

HISTORIA DWÓCH LAT

1861 — 1862

PRZEZ

Z.L.S.

CZEŚĆ II

ROZDZIAŁ VIII

Śmierć Gorczakowa

Pogląd Wielopolskiego i Gorczakowa na położenie kraju. Organizacja czasowa Rady municipalnej w Warszawie. Projekt organizacji Rady Stanu. Zamoyski odmawia odczytania go. Margrabia broni Zamoyskiego. Sprawa Modlińska i Wieczorkowski. Akta zejścia poległych d. 8 Kwietnia. Rozkaz dzienny Gorczakowa. Chaos w kołach rewolucyjnych. Tworzenie się dziesiątek. Agaton Giller i jego „Posłanie do wszystkich Polaków”. Program Millenerów. Poroniona akcja Zamoyskiego. Akt konfederacji. Mężowie zaufania. Nieporządki szkolne. Zamknięcie gimnazjów. Sprawa o sztachety. Wielopolski i „Czas” krakowski. Duchowieństwo i pieśni patryotyczne. Komunikat Wielopolskiego i reskrypt do władz dycecyjalnych. Odpowiedź arcybiskupa i Benjamina. Druga protestacja duchowieństwa. Karanie księży. Manifestacja 3 Maja. Mowa ks. A. Czartoryskiego w Paryżu. Zaburzenia w Łodzi, Częstochowie, Radomiu, Siedlcach, Janowie Ordynackim i Płocku. Litwa i zaburzenia chłopskie na Podolu. Demonstracja w Wilnie d. 20 Maja. Komisja śledcza i wypadki d. 21 i 22 Maja. Prawo o okupie pańszczyzny. Komisarze i instrukcja dla nich. Nowe projekta Wielopolskiego. Choroba Gorczakowa. Kotzebue i jego pismo. Dymisy Paniutyna. Nominacja Merchelewicza i jego odezwa. Wypadki w Boże Ciało. Śmierć Gorczakowa i jego pogrzeb. Zakończenie.

Z całego przebiegu wypadków dotychczasowych widocznem było, że położenie kraju z wiosną 1861 r. stawało się z każdym nieomal dniem rozpaczliwsze. Wśród wzrastającej ciągle nieprzyjaźni i nieufności Wielopolski miał przed sobą zadanie olbrzymie do spełnienia, zadanie reorganizacji kraju. Do takiej pracy, do takiego przedsięwzięcia trzeba było przedewszystkiem ciszy i spokoju. Zdawało mu się na chwilę, ale tylko na chwilę, że represya krwawa 8 Kwietnia tę pożądaną ciszę sprowadzi, hydrę rewolucyi, szalejącej po ulicach, zgniecie i wśród ogólnego przestachu dozwoli rządowi założyć fundamenta do przyszłej Polski, odbudowanej z gruzów i ruin. Wkrótce jednak margrabia z najrozmaitszych objawów przekonać się miał, że wypadki 8 Kwietnia sprawie ogólnej żadnej korzyści nie przyniosły, owszem szkody wieloliczne. Potoki krwi, wyczonej w ten dzień straszliwy, nietylko nie załyły żarzącego się ogniska wulkanu, ale owszem podsyciły go niejako i wzmocniły. Położenie to stawało się tem smutniejsze, tem czarniejszą wróżyło przyszłość, że Gorczakow, człowiek w gruncie rzeczy bardzo do-

bry, bardzo zacny i jak najlepszymi dla kraju ożywiony chęciami, był chory, widocznie gasł i dni jego życia były nieomal policzone. Słusznie też wszyscy ludzie przezorniejsi zapytywali siebie: kto po Gorczakowie siądzie na Zamku warszawskim? i z trwogą patrzyli w przyszłość coraz czarniejszą i chmurniejszą. W rządzie takim jak rosyjski, gdzie niema prawa, tylko są osoby, gdzie wszystko nieraz zależy od indywidualności takiego lub innego generała, osadzonego na danym stanowisku, pytanie to nabierało niezmiernej doniosłości i stanowiło nieomal Hamletowskie być albo nie być dla instytucji, przyrzeczonych przez ukaz 26 Marca, ale dotąd nie wprowadzonych w wykonanie.

To też Wielopolski, który dobrze znał rząd rosyjski, który widział, jak różni Chrulewy i Kotzebuowie krzywo patrzeli na ustępstwa i domagali się nieustannie zaprowadzenia despotyzmu i surowości militarnej, który zresztą świadom był tego, że grunt w Petersburgu zawsze jest chwiejny i śliski, ilekroć idzie o Polskę, który nakoniec przeczuwał, że z chwilą śmierci Gorczakowa wszystko odrazu zmienić się może i cały gmach jego nadziei runąć, jak domek z kart, nalegał ciągle, by reformy przyrzeczone były z możliwą szybkością urzeczywistnione. Liczył przytem na to, że ogólne niezadowolenie w kraju (bo anarchią uliczną, sądził, że krwawa nauka kwietniowa zgniotła na zawsze), samo przez się ustać musi, jak tylko reformy zaczną być wykonywane; że kraj na tyle ma rozumu i poczucia własnego interesu, iż wobec widocznych realnych korzyści, jakie dają reformy, zapomni o marzeniach, nie mogących być nigdy, a przynajmniej w tej chwili, urzeczywistnionymi. Dlatego też nie przestawał powtarzać: „dajcie mi tylko reformy, niech się rozpoczną wybory, a cały ten nieporządek ustanie. Ci, którzy dziś boczą się na nas, wówczas rzucą nam się w ramiona. Poczekawszy trochę, dacie potem więcej”.

Gorczakow ze swej strony, który w Wielopolskim, pomimo licznych i widocznych błędów, jakie w ciągu swych rządów paru tygodniowych zdołał popełnić, zawsze widział „męża stanu w całym znaczeniu tego wyrazu”, któremu nakoniec wierzył i na wiele rzeczy patrzył jego oczami, tak samo liczył na moc uspokajającą reform, a nadewszystko na wybory do rad powiatowych i miejskich. Do wyborów tych przywiązywał on wyjątkowo wielką wagę i cudów od nich oczekiwał. Zdawało mu się, że żadna inna reforma nie jest zdolną tak silnie odbić się na usposobieniu ogólnym kraju, jak wybory do rzeczonych instytucji; sądził, że przypomną one Polakom dawne sejmiki, zaprzętą ich umysły wyłącznie, skierują je zupełnie w inne strony, a przedewszystkiem uspokoją. Przekonanie to, kilkakrotnie wygłaszane przez namiestnika, mniejsza już z tem, czy było słuszne lub nie, to jednak miało tę słabą stronę, że do wyborów i w ogóle do organizacji przyszłych rad było jeszcze bardzo daleko, a tymczasem wypadki nie czekały.

Chcąc temu zapobiedz, chcąc niejako okazać publiczność że rząd poważnie i na serio myśli o wprowadzeniu w wykonanie przyrzeczonych reform, po-

lecono Komisji spraw wewnętrznych wydać przepisy dla tymczasowej Rady municypalnej warszawskiej, owego szczątku dawnej Delegacji, który niby miał czuwać nad miastem. Rada ta powstała z Wydziału obywatelskiego i składająca się z 12 członków, odbywszy d. 4 Kwietnia swe ostatnie posiedzenie, na którym dokonała wyborów, odtąd nie zbierała się więcej. Kiedy nazajutrz po strasznych wypadkach d. 8 Kwietnia członkowie jej zeszli się na ratusz, nie bez ukrytej myśli sporządzenia jakiego aktu, lub dopełnienia czynu, mającego demonstrować ich przekonania wobec rzezi wczorajszej, to zastali drzwi od sali posiedzeń zamknięte i chcąc nie chcąc musieli się rozejść. Świadczyło to wyraźnie, że rząd stanowczo pragnie skończyć ze wszelkimi ciałami obywatelskimi. W parę dni później, d. 11 Kwietnia, Komisja spraw wewnętrznych ogłosiła w pismach organizacją tymczasowej Rady municypalnej. Według tej organizacji Rada zbierała się, ilekroć wymaga tego załatwienie należących do jej atrybucji interesów, wymienionych w art. 13 ukazu z d. 26 Marca¹⁸⁶, pod przewodnictwem prezydenta miasta lub jego zastępcy. Posiedzenie Rady zwołuje prezydujący, gdy tego uzna potrzebę, to znaczy, że może nigdy tej potrzeby nie uznać. Prezydujący układa porządek dzienny posiedzenia; żaden przedmiot, nie zamieszczony na porządku dziennym, nie może być na posiedzenie wniesionym; do ważności uchwał Rady potrzebną jest obecność więcej niż połowy członków; decyzje zapadają większością głosów obecnych na posiedzeniu członków; w razie równości zdań, głos prezydującego przeważa; posiedzenia odbywać się mają przy drzwiach zamkniętych.

Taką była w głównych zarysach organizacja tymczasowej Rady municypalnej. Prezydujący w niej w ogólności miał za wielką władzę i on był wszystkim. Mógł zwołać, lub nie, Radę; to też w rezultacie nie zwoływał jej prawie wcale; mógł zawieszać wykonywanie uchwał Rady, o czym tylko potrzebował uwiadomić Komisję spraw wewnętrznych z usprawiedliwieniem swego kroku.

Jednym słowem, z Radą czy bez Rady, był on tak jak dawniej prawie samowładnym panem miasta; na szczęście w tej chwili przynajmniej pocieszano się tem, że prezydentem jest Andrault, człowiek bez charakteru, lubiący dobry stół, dobre wino i ładne kobiety. Do walki i do oporu nie był wcale zdolny, i Rada municypalna, owi Szlenkierowie, Natansony, Piotrowscy, Zielińscy i t. d. mogli sądzić, że po dawnemu, jak za czterdziestodniowych, słodkich „czasów polskich”, rządzić będą miastem. Omylili się, jak wszyscy się zawsze

186 Artykuł ten brzmi: „do Rady municypalnej należy zarząd gospodarczy miasta, ułożenie i przedstawienie do potwierdzenia rządu etatu dochodów i wydatków miasta, przedsięwzięcie w granicach jej władzy środków do zewnętrznego urzędowania miasta, dozór nad miejskimi instytucjami publicznymi, niemniej rozpoznawanie wszelkich interesów, przesłanych do jej wniosków przez władze rządowe”.

mylą, ilekroć mają do czynienia z rządem rosyjskim. Współcześnie mniej więcej z ogłoszeniem organizacyi Rady miejskiej zawiadomiono miasto, że prezydent Andrault „z powodu słabości zdrowia” usunięty zostaje, nie bez udziału Wielopolskiego, który chciał już teraz, by prezydenturę objął syn jego Zygmunt. Na miejsce Andraulta mianowany był tymczasowo radny magistratu Jeske. Cokolwiek bądź świadczyło to w każdym razie, że rząd pragnie choć pozory zachować, że jeżeli samo wprowadzenie może być nigdy nie spełnionym faktem, to przynajmniej wstęp do nich będzie dokonany.

Obok cienia Rady municypalnej, mającej zasiadać na ratuszu warszawskim, namiestnik pod wpływem i z inicjatywy Wielopolskiego zajął się Radą stanu. Odnośny projekt, przygotowany przez margrabiego, z nadzwyczajnym pośpiechem został przez namiestnika konfidencyjnie przesłany w pierwszych dniach po rzezi Kwietniowej do rozpatrzenia i udzielenia swoich uwag różnym wybitniejszym osobistościom z dawnego Komitetu Towarzystwa rolniczego. Usiłowano tym sposobem zastąpić brak ciała prawodawczego, organu legalnego, który reprezentował opinią kraju; nie mogąc działać otwarcie, musiano się uciec do dróg pokątnych. Lepszem już było, jak to później w innych sprawach robił Wielopolski, odwołać się do pomocy prasy i, ogłosiwszy przez nią sam projekt, zażądać uwag co do niego od całej oświeczonej publiczności. Tym razem, w pierwszych chwilach uznania konieczności zasiągnięcia opinii powszechnej, nie postąpiono tak i zaraz też miano zbierać gorzkie owoce kajdan, jakimi kraj był skrupowany. Gdy bowiem ów projekt przesłano także Andrzejowi Zamoyskiemu, ten odmówił nietylko swych uwag nad nim, ale nawet odczytania. Świadczyło to, jak Zamoyski jest rozdrażniony od chwili zniesienia Towarzystwa rolniczego i jak stanowczo zdecydowany był nie brać teraz żadnego, choćby nawet pośredniego udziału w sprawach krajowych. Było to niczem innym, jak tylko obrażoną miłością własną, tem, co dawni Polacy nazywali prywatą. Zamoyski, jak wszyscy zresztą ludzie wykształceńsi, nie mógł zaprzeczyć tej oczywistej, bijącej w oczy prawdzie, że udzielone krajowi koncesye stanowiły dlań niezaprzeczoną korzyść, przynosiły mu autonomią i możność rozwoju na podstawach narodowych, że przechodziły nakoniec najśmielsze nadzieje partyi Klemensowczyków. Jeżeli więc działał przeciwnie, jeżeli się usuwał i przybierał postawę dąsającego się dziecka, to dlatego tylko, że uważał się za osobiście dotkniętego i obrażonego przez rozwiązanie Towarzystwa rolniczego. Nie mógł tego darować Wielopolskiemu, gniewał się i zdecydowany był nie brać w niczem udziału.

Gorczałow uczuł się obrażonym i rozgniewanym odmową Zamoyskiego. Gniew ten oddawna podsycali otaczający starego namiestnika; mówili mu, że Zamoyski jest „naczelnikiem opozycyi” w kraju; przypominali manifestacją

z wieńcami w d. 7 Kwietnia; zachowanie się pana Andrzeja podczas wypadków lutowych, redakcją adresu w jego mieszkaniu; jednym słowem starali się przedstawić dawnego prezesa Towarzystwa rolniczego w takich kolorach, że obok niego wszelki rząd w Polsce stawał się niemożliwym. Głośno twierdzili oni, że, chcąc pokonać opozycją szlachty, należy Zamoyskiego usunąć z kraju. Gorczakow tym insynuacyom niegodnym opierał się długo, ale ostatnie zachowanie się hrabiego wobec przesłanego mu projektu organizacji Rady stanu stało się kroplą, przepełniającą naczynie. Namiestnik postanowił wysłać Zamoyskiego drogą administracyjną (administratiwnym poriadkom) do Wiatki.

Byłby to krok z wielu względów zgubny dla kraju i w tym stanie, w jakim znajdowały się wówczas umysły, mogący wywołać następstwa jak najgorsze, dać powód do nowych zaburzeń i manifestacji; krok zresztą całkiem zbyteczny, gdyż inni członkowie Komitetu, zwłaszcza Tomasz Potocki, głośno oświadczyli, że wcale nie myślą naśladować pod tym względem swego dawnego prezesa. Krok ten nakoniec najzgubniejszym byłby dla Wielopolskiego, któremu, rzecz prosta, przypisywanoby wygnanie najpopularniejszego męża w Polsce. Wielopolski zrozumiał to niebezpieczeństwo i wszelkimi siłami oparł się postanowieniu namiestnika. W wywodzie motywowanym, jaki w tej sprawie przedłożył d. 22 Kwietnia Gorczakowowi, broni on Zamoyskiego, a broni w sposób sobie właściwy, zjadliwie, zręcznie, z subtelną, a drażniącą do żywego ironią, usiłując ze swej strony przybrać postawę wspaniałomyślną, a współcześnie zadając tak dotkliwe ciosy Zamoyskiemu, że ten rysuje się jako zupełne zero w polityce, a ztąd wniosek, że na takie zero nie należy uważać i przez wygnanie nie nadawać mu znaczenia i powagi, której on nie ma. Powiada więc, że Zamoyskiemu wolno było nie brać czynnego udziału w rozwinięciu nowych instytucji, „gdyż miejsce w rządzie nie odpowiada ani jego usposobieniom, ani też jego przeszłości, że „postawa przezeń przyjęta jest naturalnem następstwem poprzednich jego oświadczeń”. – „Wiadomo przecież, że hr. Zamoyski doznaje pewnej trudności w sformułowaniu swych idei politycznych, gdy jest sam, odosobniony od swego otoczenia”¹⁸⁷; że nie ma on zamiaru opierać się rozwojowi nowej instytucji, gdyż w takim razie „staralby się właśnie obznajmić dokładnie z projektem, ażeby przed jej wprowadzeniem mógł ją krytykować i osłabić jej znaczenie”.

„Zarazy złęgo przykładu nie należy się, jak sądzę, obawiać. Hr. Zamoyski bowiem zawsze był tylko sztandarem i nigdy nie ściągął na siebie zarzutu,

187 Ten i parę innych ustępów w polskim życiorysie Wielopolskiego, napisanym przez p. Lisickiego, jest opuszczonych. W ogóle przekład pisma margrabiego w dziale tem jest niedokładny i niezupełny.

że on własny swój kierunek swym stronnikom narzuca”. — „Odmowa hr. Zamoyskiego nie ma w sobie nic nielegalnego; nie jest on urzędnikiem, wezwanie doń wystosowane nie miało charakteru urzędowego; był on zapytywany poufnie jako jedna ze znakomitości krajowych o opinię, której książę Namiestnik zasięgnąć pragnął. Wszelka surowość z tego powodu hr. Zamoyskiego dotykająca byłaby nadużyciem, wróciłaby mu część znaczenia, dziś nader małego, i otoczyłaby go urokiem męczeństwa politycznego”.

Tak obdarłszy z uroku postać Zamoyskiego, odmówiwszy mu wszelkiego znaczenia a nawet rozumu, Wielopolski przechodzi do oceny swego osobistego stanowiska, jakimby ono było, gdyby Zamoyski został wygnany, dowodząc już przez to samo, wbrew poprzednim swym twierdzeniom, że dawny prezes Towarzystwa rolniczego nie był tak mało znaczącą osobistością, za jaką go poprzednio przedstawił. „Mam wreszcie pobudki osobiste, pisał, nakazujące mi sprzeciwić się podobnego rodzaju zamiarom władzy. Wielka liczba tych, co konieczności położenia nie pojmują, uważają mnie niesłusznie za osobistego nieprzyjaciela hr. Zamoyskiego i tej nieprzyjaźni przypisują powszechnie udział, jaki miałem w rozwiązaniu Towarzystwa rolniczego. W takim składzie rzeczy surowe postąpienie z hr. Zamoyskim uczyniłoby moje położenie w kraju jeszcze trudniejszym. Rząd postąpi najmądrzej, zajmując się jak najmniej osobą hrabiego Zamoyskiego i postawą przezeń przyjętą. Powołując do Rady stanu głównych stronników pana Zamoyskiego, gotowych zresztą do zajęcia tego stanowiska, należy dlań zatrzymać, aż do chwili otwarcia zebrania ogólnego Rady stanu w Listopadzie, miejsce wiceprezesa tego zgromadzenia. Zdaje się, że widząc swych przyjaciół skupionych koło nowych instytucji, hr. Zamoyski przyjmie, jak zwykle, ich opinie i przyłączy się do nich czynnie. Jeżeliby zaś przeciwnie trwał w swym systemie abstynencji, należy w tem tylko widzieć odosobnienie się dobrowolne. Wtedy całe sztuczne znaczenie polityczne jego osoby zostanie zneutralizowane przez szczerą i czynny rozwój nowych instytucji”.

Gorczałow tym przedstawieniom wymownym dał się przekonać, i Zamoyski ocalał, odgrywając odtąd ciągle swą niemą rolę malkontenta, pozbawioną zresztą powagi i wyglądającą, jakżeśmy to już raz powiedzieli, raczej na dąsanie się dziecka lub kobiety, jak na niezadowolenie męża stanu.

Ogół nakoniec, który nie wiedział o zakulisowej sprawie z Zamoyskim, mógł się z organizacji tymczasowej Rady municypalnej, z projektu organizacji Rady stanu przekonać, że rząd istotnie zamierza wprowadzić zapowiedziane reformy w wykonanie. Polityka więc najzdrowsza, miłość kraju najprostszą nakazywały zachowanie się spokojne. Na nieszczęście co chwila przytrafiało się coś takiego, że ogólną temperaturę umysłów podnosiło wysoko. Przedew-

szystkiem interesował kraj i Warszawę los aresztowanych w dniu 8 Kwietnia i wywiezionych do Modlina. Obliczano ich ogółem na 86 osób i z niecierpliwością, z łatwo wytłomaczonym niepokojem oczekiwano na decyzję rządu w tym względzie. Jakoż w d. 12 Kwietnia ukazało się ogłoszenie w gazetach, że do prowadzenia śledztwa w sprawie wzmiankowanych osób wyznaczony został prezes Sądu kryminalnego gubernii warszawskiej Józef Wiczorkowski. Było to bardzo wymowne; dowodziło, że skończyły się dni sądów tajnych, Wehmy średniowiecznej i wojskowych kodeksów; wszystko teraz zależało od postawienia się odpowiedniego sądów cywilnych, których świętym obowiązkiem było bezwzględne ukaranie winnych. Na nieszczęście kodeks karny, obowiązujący w kraju, obfity we wszelkiego rodzaju przestępstwa i w stosowanie za nie kar drakońskich, prawie że nie znał wykroczeń przeciw porządkowi publicznemu, zaburzeń z charakterem politycznym, gdyż te zawsze i wszędzie w Rosyi sążone były przez jenerałów, przez sądy polowe i według praw wojennych. Wszelako sędzia rozumny, odczuwający doniosłość sytuacji i wagę obowiązków na niego włożonych, obdarzony dobrą wolą i szczerą miłością ojczyzny, byłby z wadliwego prawa wyciągnął to, co się wyciągnąć dało i winnych ukarał. O to bowiem głównie szło; przestępstwo było wyraźne i jasne i należało je pomścić legalnie, należało zamknąć usta kamaryli wojskowej przy namiestniku, która na wieść o wysłaniu Wiczorkowskiego ruszała ramionami, uśmiechała się pogardliwie i głośno wołała, że to do niczego nie doprowadzi, że przestępstwo stanu powinien sąd wojenny i tajny sądzić, że sądy cywilne, złożone z Polaków, z takich samych rewolucjonistów, jak ci, co są zamknięci w Modlinie, z pewnością ich uwolnią i nie znajdą w nich żadnej winy; że namiestnik wcześniej czy później przekona się, iż trzeba wrócić do dawnego, jedynie dobrego i wypróbowanego postępowania.

Jakoż, niestety! ci złowróźbni wieszczkowie nie omylili się wcale; fakta przekonali, że sądownictwo polskie nie jest zdolne do utrzymania porządku w kraju. Wiczorkowski udał się do Modlina, przeprowadził śledztwo i w raporcie złożonym Komisji sprawiedliwości żądał uwolnienia obwinionych dla niebytu czynu karygodnego. „Jeżeli jest zadaniem dzisiejszego śledztwa, pisał, aby wykryć i ukarać sprawców, tudzież uczestników ostatniego zebrania ludowego, to nie kto inny jak miejscowa władza policyjna winna była onychże sądowi wskazać i poszlaki gruntowne do śledztwa przeciwko nim dostarczyć. Czas albowiem przeszło czteromiesięczny, t. j. od d. 17/29 Listopada r. z. rozpoczętych zebrań ludowych, a od blisko dwóch miesięcy coraz częściej i następnie codziennie w różnych częściach miasta, już to i w obecności samejże policji jawnie się ponawiających, nie powinien i nie mógł być dla niej stracony. Jej to głównym obowiązkiem było uprzedzić przedewszystkiem, aby czyny

przestępne nie były spełniane, i do niej też należało zapobiegać zbieraniu się owych tłumów ludowych, a skoro te zostały już dokonane, jej znów atrybucją jest sprawców takichże zgromadzeń śledzić i sądom po skarceniu, przy wskazaniu stosownych poszlak, oddawać. Przeciwnie zaś jej postępowanie stawia w oczach mieszkańców rząd w ujemnym położeniu, jako władzę krajową; wielu zaś mieszkańców Warszawy naraża się na wyrządzenie im krzywdy osobistej przez pozbawienie ich osobistej wolności, oderwanie z łona rodziny i sposobu zarobkowania wówczas, kiedy tylko sam pozór, lub wypadkowy zbieg okoliczności przyaresztowanie ich spowodował”.

Jednym słowem, według Wieczorkowskiego wszyscy byli winni, i rząd i policja, tylko nie ci, których schwytano nieomal na gorącym uczynku w d. 8 Kwietnia na placu Zamkowym. Dla uzupełnienia niejako złego i krzywdy, jaką tym krokiem Wieczorkowski wyrządzał krajowi, cały ten raport ukazał się zaraz w „Czasie” krakowskim. Była to najwyraźniejsza zdrada tajemnic rządowych, odtąd przybierająca tak szerokie, prawie epidemiczne rozmiary, że Wielopolski zmuszony był w pierwszych dniach Czerwca zagrozić publicznie pociąganiem do odpowiedzialności karnej tych urzędników, którzy będą rozgłaszali bez upoważnienia wiadomości o czynnościach rządowych, lub udzielali obcym osobom dowody lub pisma z akt sądowych, albo administracyjnych¹⁸⁸.

Do takich to następstw prowadzić koniecznie musiał brak poczucia w większości ówczesnych urzędników prostej uczciwości; dowodził zarazem, jak dalece trzydziestoletnie rządy militarne umiały do gruntu zgangrenować sfery urzędowe, jak nawet wśród nich rządy te nie były zdolne do stworzenia sobie choćby najsłabszego punktu oparcia. Rząd wisiał po prostu w powietrzu i trzymał się tylko siłą pięści i przekonywał się teraz na wielką swoją szkodę, że siła taka nie zawsze wystarcza¹⁸⁹.

188 Oto tekst tego ogłoszenia: „Warszawa d. 8 Czerwca 1851 r. Z polecenia p. o. Dyrektora głównego, prezydującego w Komisji rządowej Sprawiedliwości, z powodu wydarzonych pod tym względem nieporządków, ostrzega się, że urzędnicy, rozgłaszający bez upoważnienia wiadomości o czynnościach rządowych lub udzielający nieprawnie obcym osobom dowody lub pisma z akt sądowych albo administracyjnych, pociągani być mogą do odpowiedzialności według art. 426 i następnych Kodeksu kar głównych i poprawczych”.

189 Dla niepowracania do sprawy modlińskiej przebiegniemy tu w krótkości jej epilog ostateczny. Sąd kryminalny warszawski, zgodnie z opinią Wieczorkowskiego, uznał niebyt czynu karygodnego i kazał uwięzionych uwolnić. Prokurator królewski odwołał się od tej decyzji do sądu apelacyjnego, który w pierwszych dniach Lipca „decyzją kwalifikacyjną ostateczną uznał między innymi, że orzeczenie Sądu kryminalnego warszawskiego nie jest zgodne ze śledztwem dotychczas wyprowadzonym, albowiem istota czynu, obciążającego osoby, jest dostatecznie ustanowioną, gdyż osoby te obwinione są, że w d. 8 Kwietnia r. b. należały do tłumnego zbiegowiska, jakie wieczorem tego dnia przed

Bądź co bądź, sprawa modlińska, jak ją powszechnie nazywano, zepsuła najlepsze zamiary Wielopolskiego, zadała cios jego słodkim marzeniom, że w Polsce pod rządem rosyjskim może kiedykolwiek przyjść taka chwila, iż prawo, a nie osoby będą wszystkim; zadała cios dzięki temu, że narzędzie użyte do wykonania tej myśli okazało się całkiem niepodatnem. Oddziało to także bardzo ujemnie na Gorczakowa. Ulegając naciskowi otaczających go generałów, była chwila, że począł skłaniać się do ich żądania, aby przestępstwa polityczne oddać po dawnemu w ręce sądów wojennych, telegrafował nawet w d. 27 Kwietnia do Petersburga, by mu przysłano jakiego biegłego (bojkago) audytora, „gdyż takowego konieczna jest potrzeba”.

Jakoż w parę dni później posłano mu niejakiego Achszarumowa, człowieka młodego, kandydata praw uniwersytetu petersburskiego, który odtąd miał być sędzią, prowadzącym śledztwa w przestępstwach stanu.

Przyznać wszelako należy, że i druga strona nie postępowała tak jak trzeba było, że Wielopolski, usiłując pod jednym względem poprawić sposób rządzenia Polską, zniszczył dawną, opłakaną tradycją kłamstw i gwałtów, pod drugim atoli rząd ten naśladował i zarażał się jego wadami. Wspomnieliśmy już, że Wołowski, jako dyrektor Komisji sprawiedliwości, żądał natarczywie, by akta zejścia osób poległych dnia 8 Kwietnia, były koniecznie spisane gdzie należy, jak tego wymagało prawo. Wiemy, że to nie podobało się Gorczakowowi

Zamkiem miało miejsce, oraz, że po wezwaniu przez władzę o rozejście i po trzykrotnem zabębnienu nie ustąpiły, a tym sposobem do użycia siły zbrojnej dały powód, że nadto niektóre z nich na wojsko kamieniami rzucały; a że zbiegowisko to w dniu zacytowanym miało istotne miejsce i władza przy odgłosie bębna lud o rozejście się wzywała, stwierdzone jest, obok urzędowych dowodów, zeznaniem świadków pod przysięgą badanych i przez zeznanie niektórych obwinionych”. Ogłaszając tę decyzją, Wielopolski ze swej strony dodaje: „zapadła jak wyżej decyzja Sądu apelacyjnego, uznająca byt przestępnego czynu zbiegowiska w d. 8 Kwietnia, podaje zarazem zasadę prawną niedopuszczenia przez władzę, aby jakiegokolwiek pomniki z powodu tych wypadków wznoszone i poświęcane były, o czym już Dyrektor główny, prezydujący w Komisji rządowej wyznał i oświecenia, Zarządców dycezyi urzędownie zawiadomił”. Nie miało się jednak na tem skończyć. W parę miesięcy później, mianowicie we Wrześniu 1861 r., ukazała się w Poznaniu broszura p. t. „Kilka słów w sprawie modlińskiej”, wydana u Żupańskiego, w której nieznany autor broni Sądu apelacyjnego, oskarżonego jakoby przez opinią o to, że zniósł decyzją Sądu kryminalnego warszawskiego, dozwalającą, by aresztowani w d. 8 Kwietnia odpowiadali z wolnej nogi i t. d. „Ci, którzy puścili pogłoskę o niesprawiedliwym postanowieniu Sądu apel., pisze autor broszury, nie znali aktu sprawy, nie znali postanowień Sądu kryminal. i Sądu apel., nie znali, lub nie chcieli znać prawa. Ze słuchu tylko ułożyli i utworzyli sobie zdanie. Przypisując je Sądowi apel. ściągnęli tym sposobem zemstę publiczną na osoby, do składu tegoż sądu należące”. Autor twierdzi i słusznie, że ani Sąd krym., ani apelacyjny kary na więźniów modlińskich nie wyrzekały, ale tylko rozstrzygnęły kwestyą odpowiedzialności obwinionych z wolności lub nie.

i było jednym z powodów szybkiego usunięcia niewygodnego Wołowskiego ze stanowiska przezeń zajmowanego. Wielopolski, stając na jego miejscu, czuł potrzebę zadość uczynienia prawu, które nie znało pod tym względem żadnych wyjątków, które w każdym innym kraju musiałyby być niezwłocznie spełnione. Jakoż d. 12 Kwietnia, a więc w cztery dni po krwawych wypadkach na placu Zamkowym, ogłosił w gazetach, że „w celu zadość uczynienia prawu i tem samem zabezpieczenia stosunków cywilnych osób, w d. 8 b. m. poległych, spisywane będą akta zejścia w księgach stanu cywilnego w parafii św. Jana, jako miejscu ich śmierci”. W rzeczy zaś samej było to próżną i kłamliwą obietnicą, której zapewne, pisząc to ogłoszenie, Wielopolski nie myślał dotrzymać. Ani jeden bowiem taki akt nie został sporządzony w wymienionej parafii.

Wśród tych działań rządowych, wśród tych błędów i niepowodzeń, miasto i kraj po strasznej nauce kwietniowej zdawały się być dość spokojne i ciche. Gorczakow, w chęci zapewne utrzymania w Petersburgu dobrego dla kraju usposobienia, donosił ciągle cesarzowi, że „tu spokojnie”, lub, że „wszystko jest dobrze” (wsio błagopólnoczno), i zapewne nie przypuszczał, by kiedykolwiek jeszcze mogły się powtórzyć takie sceny, jak przed kilku dniami na placu Zamkowym. Tymczasem w rzeczywistości inaczej było; stan kraju i miasta stawał się z każdą nieomal chwilą niebezpieczniejszy i groźniejszy. Gorączka, która ogarnęła cały organizm polski, nie ustawała, tylko ukryła się wewnątrz i tam miała odtąd czynić straszne, nieobliczone spustoszenia. Z pozoru wszelako było cicho; na ulicach Warszawy, wśród biwakujących wojsk, życie, na chwilę wyrzucone ze swej kolei, zdawało się wracać do dawnych, zwykłych karbów. Nie było już manifestacyi ulicznych, nie było zbiegowisk. Ale zato w czterech ścianach domów nienawiść ku ciemności, ku katom i mordercom, jak nazywano Moskali, wzrastała nieustannie. Opowiadano sobie tysiące szczegółów, pełnych dramatyczności, o wypadkach na placu Zamkowym; podniecano w sobie gniew i chęć zemsty wzajemnie. Między ludem, na Starem Mieście, wśród sławnych ze swej gadatliwości przekupek warszawskich, wśród klas rzemieślniczych i drobnego mieszczaństwa, zarysowała się na kanwie tych wypadków pełna fantastyczności i cudowności legenda, przypominająca swą osnową średniowieczne podania kronikarskie. Mówiono więc, że ciała poległych, pochowane w cytadeli, przewieziono na Powązki potajemnie i tam powtórnie pogrzebano, a uczyniono to dla tego, że wartom wojskowym, rozstawionym na wałach twierdzy, ukazywały się co noc duchy pomordowanych i, podobnie jak w Szekspirowskim dramacie, tak dalece przerażały swem nagłym pojawieniem się strażę, że te uciekały. Inni twierdzili, że nie mary pozagrobowe dręczyły co noc warty moskiewskie, pilnujące wałów cytadeli,

ale Matka Boska, ukazująca się w światłości nieziemskiej nad kościółkiem praskim i domagająca się swą postawą, by zwłoki poległych wykopano i pochowano w ziemi poświęcanej.

Ale jeżeli lud w swój sposób sądził wypadki, które swą grozą uderzyły jego wyobraźnię, to w sferach wyższych, wśród inteligencji, wspomnienie o rzezi kwietniowej, budziło stale oburzenie i chęć pomsty. Rząd ze swej strony, zwłaszcza w pierwszych chwilach, czynił wszystko, co tylko mógł, by pamięć tych scen straszliwych utrwalić; przyjmował postawę mówiącą, że dobrze zrobił, mordując setki ludzi na ulicach. Wojsko wciąż biwakowało na placach miasta, a choć nie napadało już na przechodniów, przecież swem zachowaniem się i obejściem brutalnym dawało poznać, że jest gotowe przy pierwszej lepszej sposobności powtórzyć krwawy dramat kwietniowy. W dniu 20 Kwietnia Gorczakow wydał do wojska tego, noszącego miano armii pierwszej, rozkaz dzienny, w którym donosił, że: „Najjaśniejszy Pan raczył rozkazać: objawić najwyższą J. C. Mości wdzięczność generał-porucznikowi Chrulewowi i będącym pod jego dowództwem d. 27 Marca (8 Kwietnia) wojskom za uśmierzenie nieporządków, wywołanych przez tłumy wzburzonego ludu na placu Zamkowym w Warszawie”. Rozkaz ten, dzięki temu, że zaraza rewolucyjna powoli przedostawać się poczęła do wojska, zwłaszcza do ciała oficerskiego, w którym było mnóstwo Polaków, doszedł do wiadomości ogółu i oczywiście wzbudził powszechne oburzenie. Nawet ludzie chłodni, wytrawni, nie zapalający się do niczego i nie dziwiący się niczemu, gniewali się i surowo potępiali ten rozkaz. Że strzelali do ludu, mówili, nic w tem nadzwyczajnego; byli rozdrażnieni, prowokowano ich i trzeba było raz to zrobić. Było to złe konieczne, ale właśnie dla tego, że jest złem, należy o niem jak najprędzej zapomnieć i uważać je za złe. Tymczasem wyrazy wdzięczności i podziękowania za czyn, bądź co bądź ohydny, świadczą, że rząd uważa rzeź kwietniową za coś dobrego i zaszczytnego. Otóż to jest niemoralne i godne surowego potępienia: jest to rodzaj naigrawania się z pokonanych, przypomina policzek dany przez Małgorzatę Andegawęńską krwawej głowie księcia Jorku.

Wszystkie jednak te zdania, te słowa potępienia i oburzenia, wygłaszano po cichu, tajemnie, w czterech ścianach, oglądając się trwożliwie dokoła. Wzburzenie było wielkie, umysły były wciąż rozgorączkowane, ale straszna groza, która padła na ludność po rzezi, kazała to w sobie tłumić. Ruch widocznie został zepchnięty z ulicy i pod tym względem Wielopolski mógł sądzić, że zwyciężył, że przy pomocy okrutnej, krwawej nauki kraj uspokoił. W istocie jednak rzeczy ruch wcale nie skończył i nie mógł skończyć. Znadto on był młody, z nadto silnego nabył prądu, by mógł się odrazu zatrzymać. Dla młodzieży, dla wszelkiego pokroju rewolucjonistów, cóż znaczyło tę paretę

trupów w obec świętej sprawy oswobodzenia ojczyzny od obcego najazdu? Wszak wiedzieli oni dobrze, iż uzyskanie niepodległości dla tej ojczyzny nie-szczęśliwej nie obejdzie się, nie może się obejść bez ofiar; byli na nie przygotowani i z heroizmem, zaiste zdumiewającym, gotowi je byli ponosić. Teraz jednak, kiedy cel główny manifestacyi, to jest obudzenie ducha w masach ludności, został osiągnięty, kiedy same manifestacye niepotrzebne już tylko ofiary mogły wywoływać, w tych wszystkich kołach i kółkach, jakie tworzyły się w mieście, powstało pytanie: co robić? Kołami temi nikt teraz nie rządził i nie kierował. Jurgens, przeciwny zawsze ulicznym awanturom, kończącym się katastrofą, oddawna usunął się na stronę, pogrzyżył się w cieniu i nie mając wpływu na rozmaite stowarzyszenia i nie starając się o jego uzyskanie, co zresztą wprost było niemożliwym, nie był zdolny do kierowania tym chaosem, jaki powstał w sferach rewolucyjnych po d. 8 Kwietnia. Tryumwirat Majewskiego, nigdy nie uznany, większości młodzieży nawet nieznanym, już w dobie rządów Delegacyi rozpadł się i zniknął przez własną niemoc. Nie było więc nikogo, coby mógł chwycić wodze ruchu w ręce. Mnóstwo kół i kółek, tworów efemerycznych, nie znających się wzajemnie, częstokroć nie wiedzących o sobie, roilo się w mieście. Był to, powtarzamy, istny chaos, materya kosmiczna, rzucona w przestrzeń dziejowych przeznaczeń, z której dopiero z czasem przez słowo „stań się!” jakiego nowożytnego boga rewolucyi mogło utworzyć się ciało, mające porwać za sobą naród polski i powieść go w nieznaną, tajemniczą dziedzinę przyszłości.

Wszelako ten chaos rozrzuconych cząstek przyszłego ciała rewolucyi miał jeden punkt wspólny, punkt grawitacyi, że tak powiemy, około którego powoli mogły się cząstki owe skupiać. Tym punktem było ogólne, powszechne poczucie, że z manifestacyami ulicznymi trzeba skończyć, że są one teraz niemożliwe, że trzeba się organizować. System trójek i dziesiątek leżał, że się tak wyrazimy, w powietrzu i bezwiednie, bez żadnego porozumienia, począł być stosowany w różnych punktach miasta i między różnymi klasami ludności. Pod tym względem działalność agitatorów była tak żywa i tak energiczna, że w parę tygodni po rzezi kwietniowej cała nieomal Warszawa pokryta została siecią tej organizacyi, luźnej wprawdzie, nie scentralizowanej, ale mającej już wyraźny charakter spisku. Bardzo często zdarzało się, że ogniwa takich dziesiątek spotykały się ze sobą nagle, nie wiedząc dotąd o sobie i dowiadując się, że obok nich są inni przygotowujący konspiracyę; przekonywano się przytem, że choć forma tej konspiracyi była jednakowa, duch jednak ją ożywiający był różny. Jedno koło dążyło gwałtownie i szybko do powstania, gotowe było zaraz wybuchnąć, choć wiedziało, że nie ma potemu żadnych przygotowań i licząc tylko na entuzjazm narodowy; inne odrzucało powstanie natych-

miastowe, a zato chciało prowadzić długą, wolną, ale przez to samo bardziej ugruntowaną pracę przygotowawczą. Większość jednak tych kół należała do pierwszych, do sfery gorących zapaleńców, gotowych choćby nazajutrz rzucić się na Moskali.

Niektóre z pomiędzy tych podziemnych i bezimiennych stowarzyszeń starały się oddziaływać na prowincję. W tym celu, pod pozorem, że w miasteczkach i na wsiach łatwiej można znaleźć zarobek, którego dzięki rozruchom istotnie w stolicy brakowało¹⁹⁰, wysłano na prowincję przeszło dwustu czeladników rzemieślniczych, ażeby wśród drzemiącej trochę i leniwej umysłowo ludności miasteczek, a nadewszystko wśród ludu wiejskiego szerzyli pojęcia patryotyczne i przygotowywali go do powstania. Wszyscy ci czeladnicy, przemienieni nagle w agentów politycznych, napojeni byli skrajnym, rewolucyjnym patryotyzmem; zaopatrzeni w książki, odezwy, obrazki i medaliki patryotyczne, niesli ze sobą zarzewia tego ognia, który pożerał stolicę, przynosili w senne życie prowincjonalne tę płomienistą atmosferę bruku warszawskiego, która najchłodniejszych i najobojętniejszych nieraz ludzi zamieniała w gorących, czerwonych patryotów.

Ajentom tym z chłopem nie bardzo, a nawet wcale się nie wiodło, ale mieszczaństwo drobne, wiodące mizerny, wegetacyjny żywot po licznych miasteczkach Królestwa, gorąco pochłaniało słowa propagatorów i wieści, zawsze przesadzone, o „strasznych mordach moskiewskich”, i kipiało chęcią pomszczenia się na tyranach.

Wobec tego wszystkiego spiskowcy doświadczeni, starzy, wytrawni mistrze konspiracyi, widzieli jak na dłoni, że jeżeli ta samodzielnie rozwijająca się po miastach organizacja a raczej spisek, wytryskający z podziemnych czełusci mas tysiącem źródeł ogrzanych do temperatury bardzo wysokiej, nie będzie ujętą w karby, nie będzie objaśnioną o położeniu i siłach kraju, o potrzebie przygotowań, to powstanie wybuchnie, powstanie słabe, nieudolne, płód

190 W rzeczy samej w klasie wyrobniczej bieda była ogólna. W czasach powszechnego wzburzenia wszelkie przedsiębiorstwa się kurczą, a kapitał się chowa. Brak zarobku powodował, że tłumy robotników i czeladzi rzemieślniczej, nie mając zajęć, włóczyły się po mieście, stanowiąc element podatny do wszelkich manifestacji. Rząd starał się temu zapobiedz i w d. 12 Kwietnia namiestnik ogłosił, że dla „dania możności zarobkowania klasie rzemieślniczej i wyrobnikom tutejszego (sic) miasta” polecił dokonania następujących robót publicznych: 1) ubezpieczenie brzegu Wisły od strony Warszawy przy ulicy Solec, poczynając od zakładów żeglugi parowej aż do ulicy Czerniakowskiej; 2) splantowanie projektowanego ogrodu na Pradze; 3) odbudowanie i reparacja fosy okopowej i okopów, poczynając od ulicy Pańskiej po rogatki Powązkowskie i 4) przygotowanie tysiąca płaszczy i dwóch tysięcy par butów dla komend inwalidnych. Na wykonanie tych robót namiestnik osobny fundusz wyznaczył.

poroniony, który skona na drugi dzień w potokach krwi własnej i straszną na kraj klęskę sprowadzi. Do takich mistrzów spiskowania, mistrzów doświadczonych, chłodnych i spokojnych, należał Agaton Giller, Sybirak, redagujący w tej chwili „Czytelnię niedzielną”, bacznie zwracający uwagę na wszystko, co się dzieje w kraju, trzymający się dotąd nieco na uboczu, ale mający obszerne koło stosunków we wszystkich sferach rewolucjonistów i nierewolucjonistów. Obok niego grupowali się inni, jemu podobni; był on przytem w ciągłym zetknięciu z Ruprechtem i dawną Delegacją, z żywiołem mieszczańskim, który bardzo by był rad, żeby Moskali licho wzięło, ale który bał się powstania jak zmory, a rewolucji czerwonej z Mierosławskim jak zarazy. W tych to sferach, pod wpływem namowy Gillera, powstała myśl wydania odezwy do narodu, odezwy objaśniającej położenie obecne i nakreślającej program przyszłego działania. Ponieważ projekt ten wyszedł od Gillera, jemu więc powierzono jego wykonanie. Jakoż Giller, nie zwlekając, wziął się do tego i już w połowie Kwietnia odezwa była gotowa, odczytana tym, którzy o zamiarze całym wiedzieli, i przyjęta przez nich z małemi zmianami. Niejaki Marcin Borelowski, rzemieślnik, który z czasem w dziejach powstania zbrojnego miał odegrać historyczną rolę pod pseudonimem Lelewela, zabrał się do drukowania odezwy po nocach i rozsyłania po kraju¹⁹¹. Odbito jej przeszło sto tysięcy egzemplarzy, czytano chciwie, gdyż bądź co bądź, wobec dotychczasowych najrozmaitszych druków, wychodzących z lekkiej ręki rewolucjonistów warszawskich, ona pierwsza stawiała jasny i wyraźny program działania, nakreślała drogę dla błędzącego samopas ruchu, drogę, której ostatecznym celem było wywalczenie niepodległości polskiej przy pomocy powstania, z bronią w ręku.

Odezwę tę, noszącą tytuł: „posłanie do wszystkich Polaków na ziemi polskiej”, a podpisaną: „mieszkańcy Warszawy”, możnaby nazwać umiarkowanie rewolucyjną. Nie wyrzeka się ona powstania, owszem uważa je za jedyny i wyłączny cel ruchu, ale chce, by ono wtedy wybuchło, gdy będzie miało pewność zwycięstwa za sobą. Ton tego pisma jest spokojny, pełen prostoty i jasności tak, żeby nawet człowiek niewykształcony mógł je zrozumieć, a co ją dodatnio wyróżnia od nadętych i pełnych niesmacznego patosu innych odezw tej epoki.

191 Niektórzy pisarze z tego powodu, że drukiem i rozsyłaniem odezwy tej zajmował się Borelowski, przypisują mu jej autorstwo. Giller stanowczo temu zaprzecza w swej „Historii powstania narodu polskiego (I, 17). „Borelowski, mówi tam, ani jej pisał, ani też jej napisania nie spowodował. Borelowski był rzemieślnikiem, który prócz rachunków, kilkunastu listów, a w czasie powstania raportów do Rządu narodowego, nic więcej w życiu nie napisał. W Warszawie miał on pod swoją komendą z tysiąc pracujących, którzy go słuchali w zupełności, lecz wykonywał tylko dane mu rozkazy, nigdy naczelnej roli nie odgrywając, ani żadnej do niej nie mając pretensyi”. „Borelowski drukował ją (odezwę) po nocach i rozsyłał, i ztąd urosła wieść, że on był jej autorem”.

Publikacja ta zaczyna się od opisu zbrodni, jakiej na Polsce dokonały i dokonywują ciągle trzy państwa zaborcze, skreśla w jaskrawych barwach ucisk i gwałty ich rządów.

„Nigdzie nie było, powiada, większej niewoli i nigdzie nie ma większego bezprawia! Rządy Rosyi, Prus i Austrii w Polsce są nieustanną zbrodnią, która psuje postęp i wolność nawet innych narodów. Wspólność interesu duszenia nas zbliża ich w wielu razach i jest węzłem koniecznego między nimi związku, wobec którego wolność europejskich narodów rozwinąć się, a ich bezpieczeństwo utrwalić nie może”.

Po tym wstępie, gubiącym się w fantastycznej teorii, że wolność zupełna świata zależną jest od wolności Polski, następuje program, jakiego, według Gillera i jego stronników, naród trzymać się winien: „Jakkolwiek wolność Polski, mówi tedy fantazyjujący spiskowiec warszawski, obchodzi całą Europę, przecież na siebie jedynie liczyć możemy i powinniśmy, bo od nas samych pomyślność i wolność nasza zależy. Pod ciężkiem jarzmem, pod czujnym i mściwym nieprzyjacielem pracować musimy na naszą wolność. Dlatego to potrzebna nam jest roztropność i umiejętność korzystania z zaślepienia rządów, które, coraz bardziej gwałcąc prawa, coraz bardziej obrażając potrzeby narodu, same sobie upadek gotują”. — „Mordy i bezprawia siły zwyciężyć nie mogły ducha narodowego. Siłą moralną, jaką nam ten duch daje, walczyć musimy i powinniśmy, dopóki sami z sobą nie urządzimy się i przez usiłowania ciche i wytrwałe nie wyrobimy potęgi materyalnej. Demonstracye więc tylko w pewnych razach i okolicznościach są potrzebne, kuszenie się na zbrojne powstanie bez poprzedniego obrachowania się i wyrobienia w sobie siły materyalnej dzisiaj jest przedwczesne. Nadejdzie czas zbrojnego wystąpienia i wtedy, nie mając już kłopotu sami w sobie, mocni i zgodni, a pewni zwycięstwa, wystąpimy. Teraz z inną bronią wychodzimy na bój z wrogami! Oni mają rządy, prawa niesprawiedliwe, armaty i bagnety; my mamy Boga, ducha narodowego, potrzeby słuszne i przez wszystkich uznane i siłę moralną, jaką Bóg obdarza krzywdzonych i prześladowanych. Wielka to i potężna siła! Ona już raz w Lutym r. b. pokonała na jakiś czas wroga. Rządy nie są w stanie pozbawić nas tej siły, lecz broń mogą nam jeszcze dzisiaj z rąk wytrącić”.

„Z bliznami niezagojonemi i z krwi jeszcze nieotarci, mieszkańcy Warszawy, wzywamy wszystkich rodaków, w imię wolności Polski i pomyślności całego narodu, do zgody i miłości wzajemnej. Podniesienie włościan, najliczniejszej klasy ludności, do stanu obywatelstwa rozszerzy podstawy dla idei i pracy narodowej, wzmocni, uorganizuje kraj i da nam niespożyty siłę. Niechaj więc szlachta łączy się z włościanami, jako bracia z braćmi. To, co różniło te dwie klasy ludności: ciemnota i pańszczyzna, wspólnymi siłami wkrótce zniknąć

powinny. Szlachta ożywiona dobrą wolą, śpiesznie, choćby z poświęceniem części korzyści materialnych, niechaj przeprowadzi oczyszczanie tam, gdzie go jeszcze nie ma, a przez nie dąży do uwłaszczenia, niechaj zakłada szkoły i uczy włościan, bo dopóki włościanie nie zostaną obywatelami, dopóty jarzmo ciążyć nam będzie. Wy zaś włościanie z ufnością zbliżajcie się do dziedziców, bo od zgody z nimi wasze i wszystkich szczęście zależy. Pan, który włościanina obje i skrzywdzi, jak i włościanin, który, słuchając podżegaczy, występuje przeciw panu, są występnyymi wobec narodu. Sami się uczyć, kształcić młode pokolenie i wzajemnie objaśniać co do naszego położenia powinniśmy”. — „Nie wiercie rządowi, który ani jednej obietnicy nie dotrzymał i zawsze nas oszukuje! Odsuwajcie jego namowy i nie szukajcie pomocy od niego, bo nam ją da zatrutą ręką! Procesy i spory rozstrzygajcie sami pomiędzy sobą, a nie szukajcie zadość uczynienia w sądach i w urzędach. Gdzie się tylko rząd dotknie swoją ręką, niechaj znajduje niechęć i niewiarę. Jego gwałty, strachy puszczane, groźby, trwożyć nas nie powinny. Silni zgodą i miłością, osłabimy rząd nieufnością i wstrętem, jakim powszechnie zostanie obdarzony i sprawimy, że groźb i bezprawia bez własnej szkody, jakto już i teraz po części ma miejsce, wykonać nie potrafi”.

„Żydzi okazali polskie uczucia i są także naszymi braćmi, są takimi jak i my Polakami, chociaż innej wiary. Więc i oni z resztą narodu, a naród z nimi w zgodzie, w braterstwie i wspólnych usiłowaniach dla pomyślności i niepodległości kraju, niechaj pracują! Bracia nasi na Litwie i Rusi, od wieków z Polską dobrowolnie złączeni, niechaj odsuwają namowy Moskali i Niemców, usiłujące ich poróżnić z rodakami na Mazowszu, w Wielko i Małopolsce mieszkającymi. Wszystkie te ziemie aż do Gdańska są jedną Polską i wszyscy mieszkańcy pomimo różnicy stanu, języka lub wiary są rodakami i Polakami. Zgoda więc powszechna, jedność zupełna niechaj wszystkich ożywia i będzie celem dla wszystkich”. „...Porzucmy zbytki, hulankę i niepotrzebną wesołość. Czarno ubrani na znak smutku, w jaki nas rządy wprowadziły, nośmy ubrania polskie, nikogo za inne ubrania nie prześladowając. Kto zna obce języki, a mianowicie: niemiecki i moskiewski, niechaj nimi nigdy na polskiej ziemi do żadnego Niemca ani Moskala nie przemawia. Opinia publiczna mocno i silnie wyrobiona zastąpi nam brak władzy narodowej”.

„Nikt nie może bezkarnie podlić się, szkodzić narodowi i siebie poniżyć. Zamiast szukać sobie chleba w wojsku lub w jakiejś podłej służbie, niechaj szukają go w rzemiośle, w roli, w handlu i w innych uczciwych zatrudnieniach. Nie rozrzucamy grosza napróżno, a chętnie go dawajmy na potrzeby ojczyzny, na wsparcie biednych, na broń, na książkę lub obrazek polski. Pomagajmy sobie wzajem i wspierajmy w każdej potrzebie, a wnet dojdziemy do mocy,

którą wrogów wypędzimy z kraju. Nic od rządu spodziewać się, niczego nie oczekiwać, ze wszystkiego korzystać i ułatwiać potrzeby kraju wspólnymi i zgodnymi siłami, a nauczymy się wszyscy, gdy czas przyjdzie, stać na polu bitwy i zwyciężyć orężem. Tą drogą, nie szafując zasobów na próżne pokuszenia, dojdziemy do szczęścia ogólnego, do Polski wolnej i niepodległej. Niech żyje Polska! niech nikt dla Polski pracy, grosza i życia nie żałuje!”

Całym zatem programem tej odezwy nie było nic innego, jak przygotowanie się do powstania, które otwarcie i szczerze zapowiadano; było to nakoniec wyraźne wypowiedzenie wojny Rosji, spalenie wszystkich za sobą okrętów, potępienie polityki wszelkich, choćby najkorzystniejszych dla kraju kompromisów z rządem obcym. W tych zasadniczych punktach odezwa w niczym nie różniła się od tego, co dotąd wyznawała i głosiła partya rewolucyjna, czerwona; różniła się z nią tylko co do sposobu działania. Sposób ten był prosty, jasny i wydawał się niepozbawionym rozumu; nie było w nim entuzjazmu, ale był pozorny chłodny obrachunek. Mówimy: pozorny, boć przecie rzeczą było oczywistą, że dążenie do powstania, czy to ostatnie ma jutro, czy za rok, czy za dziesięć lat wybuchnąć, było prostem szaleństwem, porywaniem się z motyką na słońce, że użyjemy dosadnego porównania ludowego. Ale na to już nie było rady; dla czerwieńców wszelkich odcieni, dla tych umysłów, spaczonych przez długą niewolę, innego celu ruch mieć nie mógł i mieć nie powinien.

Podczas kiedy stronnictwo mieszczańskie warszawskie, stronnictwo Milenerów, zamieniając się powoli w spisek, w ten sposób nakreślało swój program i zamierzało położyć tamę działalności szaleńców, chcących powstania natychmiastowego, w stronnictwie Białych, w rozbitych szczątkach Towarzystwa rolniczego, budziła się także myśl jakiegoś działania, potrzeba jakiegoś programu. Kiedy Komitet Towarzystwa, kupiąc się koło Zamoyskiego, pozwolił mu się dąsać, a sam z pewnem wahaniem przyjmował reformy Wielopolskiego i gotów był do udziału w nich, ale z wyraźną obawą, kilku energiczniejszych członków Towarzystwa, ludzi młodszych i żywszych, z innymi nosiło się zamiarami. Podobnie, jak Giller i Millenerzy, widzieli oni chaos, panujący wśród kół i kółek konspiracyjnych, i odczuwali potrzebę nadania im kierunku, powstrzymania od „głupstw”, jak mówili. Wobec tego, oświadczali, konieczną jest rzeczą stworzenie jakiejś organizacji.

Pod ich to wpływem zapewne, a może i pod wpływem rozdrażnienia, jakie nim powoli owładało, pan Andrzej zgodził się i pozwolił użyć swego nazwiska do akcji, całkiem sprzecznej z działalnością jego dotychczasową. Szło wprost o utworzenie organizacji powstańczej w całym kraju pod egidą i kierownictwem pana Andrzeja. Odlitografowano w końcu Kwietnia odpowiednią ode-

zwę i instrukcją i rozesłano członkom b. Towarzystwa wraz z nominacjami na różne stanowiska. Odezwa zalecała przygotowania do powstania zbrojnego przeciw najazdowi, zachęcała do uwłaszczenia chłopów bez wynagrodzenia z ich strony, jednym słowem mówiła to samo, co znana nam już odezwa „mieszkańców Warszawy”. Instrukcja nakazywała zbieranie pieniędzy drogą ofiar dobrowolnych, spisywanie ludzi zdatnych do broni, obliczanie broni myśliwskiej, koni pod kawaleryą i t. p. Rozesłano przytem po całym kraju agentów, którzy głośno mówili, że oba te dokumenty pochodzą od p. Andrzeja i wręczali nominacje odpowiednim ludziom na starostów w każdym powiecie¹⁹².

Udział jednak Zamoyskiego w tej organizacyi tajnej trwał nie długo. Już w trzy tygodnie potem, w drugiej połowie Maja, uwiadomił starostów, że cofa dane rozporządzenie, gdyż wobec tego, że jest zupełna pewność otrzymania drogą legalną wielu ustępstw dla kraju, nie należy, nie wolno ryzykować w nierównej walce losów całego narodu. Cofnięcie się to przyjęto z niechęcią w ogóle, tu i owdzie z oburzeniem, uważano je za wynik słabości charakteru p. Andrzeja.

Nie była to jednak słabość, ale przekonanie, które żywił i w czyn przez całe życie wprowadzał, że drogą spisków i powstań Polski się nie wywalczy. Jeżeli na chwilę dał się owładnąć uczuciu rozdrażnienia, jeżeli uległ wpływom gorętszych, to rozważa chłodniejsza kazała mu się natychmiast cofnąć od dzieła, które uważał za zgubę kraju. Dał tem dowód wielkiej siły woli i szczerego patriotyzmu.

Ale w czasach tak burzliwych, kiedy spisek unosił się nieomal w powietrzu, jak pył rodzajny roślin szukający sposobności zapłodnienia kwiatu, cofnięcie się takie nie mogło już naprawić szkody, jaką jego odezwa, instrukcja i urok imienia zrobiły. Jeżeli tu i owdzie przerwano agitacyą, to byli jednak tacy między szlachtą, którzy za nic w świecie ustąpić nie chcieli. W Pod-

192 W powiecie włodawskim został takim starostą Bronisław Deskur, właściciel wsi Horostyta. (Czytaj jego Pamiętniki w „Wydawnictwie materyałów do historii powstania” II, 135). Że czerwoni warszawscy nic o tem nie wiedzieli, świadczy okoliczność następująca. Zaraz po wypadkach 8 Kwietnia, niejaki Teodor Jasiński, obywatel z Włodawskiego, zdołał się w Warszawie porozumieć z rewolucjonistami i umówił się z nimi, że zebrałi zostaną delegaci wojewódzcy z całego kraju i zjadą się z delegatami Warszawy d. 15 Maja we wsi Horostyta, u wzmiankowanego Deskura. Gdy na ten zjazd przybył z Warszawy w terminie Stanisław Szachowski i Wiśniewski, uczeń instytutu rolniczego w Marymoncie, zdziwili się niezmiernie, gdy im Deskur powiedział o akcyi Zamoyskiego i wyjechali „ażebym w Warszawie dojść do źródła tej roboty”, którą widocznie podejrzewali. Zjazd oczywiście wobec wystąpienia Zamoyskiego, jako już całkiem niepotrzebny, nie przyszedł od skutku.

laskiem Deskur oświadczył, że „dalej robić będzie, jak mu sumienie każe”; w Częstochowskim nie tylko nie ustąpiono, ale wzięto się do rzeczy bardzo systematycznie i powoli.

Niejaki Włodzimierz Trepka, zamożny szlachcic z Kaliskiego i korespondent b. Towarzystwa rolniczego, postanowił także dalej działać i w tym celu zjechał w końcu Maja do Żytna, wsi leżącej niedaleko Pławna w Częstochowskim, a należącej do Zygmunta Siemieńskiego i poczęli tam radzić, co teraz robić. Do nich przyłączył się wkrótce Józef Kołaczkowski, dziedzic wsi Cielętniki, sąsiadującej z Żytnem, człowiek młody, bogaty, trochę hulaka i utracysz, oraz Karol Majewski, który ich znał i miał na nich wpływ pewien. Tak we czterech, po kilkudniowej naradzie, postanowili wytworzyć ciało, mające kierować ruchem. Ciało to miało nosić starodawną nazwę polsko-szlachecką „konfederacyi”. Sporządzono odnośny akt na piśmie, na którym wszyscy czterej się podpisali i w którym wyłożone były powody zawiązania „konfederacyi”, jej skład i cele. Powody są nam już znane; była to potrzeba ujęcia w jakiejś karby ruchu i poprowadzenia go tam, gdzie należy. Co do składu zaś tego ciała zwierzchniczego, to nie miało ono być samozwańcem, jak wszystkie kółka warszawskie, wyrosłe na bruku, nie wiadomo z kogo złożone, a mające pretensją do rządzenia, jak wreszcie jacyś mgliści, nieokreśleni „mieszkańcy Warszawy”, podznaczeni na odezwie Gillera, ale miało powstać z wyborów. W każdym województwie, a raczej w każdej gubernii, szlachta ma wybrać z pomiędzy siebie jednego „męża zaufania”, którzy w ogólnej liczbie pięciu, mają stanowić zwierzchniczą władzę ruchu i, jako wyraz woli narodowej, kierować nim niepodzielnie. W tym celu, dla zarządzenia wyborów na „mężów zaufania”, oraz dla przyjęcia przez wszystkich aktu konfederacyi, czterej radzący w cichej, zabitej deskami od świata, wiosce postanowili puścić się na wędrowkę po kraju, agitować i wybory zarządzać. Uchwalono, że dla porozumiewania się, dla komunikowania sobie wiadomości o postępie tej agitacyi, mają się w lecie zjeżdżać w Busku lub Ojcowie.

Taką była w swych głównych, zasadniczych rysach Konfederacja biała, forma, w której miało się mieścić naczelne ciało, kierujące ruchem. Ale dokądże ono miało go prowadzić, jak kierować i ku jakiemu celowi? Pod tym względem Konfederacja miała te same dążności, stawiała sobie taki sam program ostateczny, jak „Posłanie” Millenerów. Oba stronnictwa miały wieść naród ku strasznej godzinie powstania. Akt Konfederacyi, spisany w Żytnie, różnił się od „Posłania” tylko co do tego, że nie nakreślał wcale drogi, ani sposobów, w jakie naród ma być przygotowany do walki o swą niepodległość. Nakreślenie szczegółowego programu działania pozostawiono „mężom zaufania”, którzy jako reprezentanci, jeżeli już nie narodu całego, to przynajmniej pew-

nej jego wybitniejszej warstwy, powstałi z wyborów, sami jedni mogli dawać wskazówki, co robić i jak robić należy. Jednym słowem, przez wytworzenie takiego ciała, którego nikt samozwańcem nie będzie mógł tytułować, chciano ogarnąć wszystko, powściągnąć Millenerów, którzy przez „Posłanie” dawali poznać wyraźnie, że mają pretensyą do rządzenia i kierowania krajem.

Tym więc sposobem po katastrofie Kwietniowej, która według Wielopolskiego miała kraj uspokoić, „ocalić porządek publiczny” — przeciwnie, głośne manifestacye, awantury jawne i na oczach wszystkich odbywające się, zmieniły się w spisek tajemny, nurtujący pod ziemią cicho i zdradliwie. W tej chwili były to tylko zarodki tego spisku, embryon, z którego niewiadomo jeszcze co się wykształci, ale embryon ten niósł w swem łonie posiew burz i huraganów, które miały wstrząsnąć krajem do głębi. To, co dotąd tylko w głowach nie wielu ludzi szalonych lub głupich majaczyło się, zbrojne powstanie, stało się teraz celem dla wszystkich, dla Czerwonych i dla Białych, dla Millenerów i umiarkowanych szlachciców. Tę nową fazę w rozwoju dziejów naszych nieszczęść, fazę, niosącą w zwojach swego płaszcza szereg klęsk i plag, z wielu względów zawdzięczać należy polityce i postępowaniu Wielopolskiego. Agitacya bowiem otwarta, manifestacye uliczne, choćby nie wiem jak wielkich rozmiarów, zawsze łatwe są do pokonania dla tego, kto ma siłę w ręku, i nigdy nie są tak niebezpieczne, jak spisek tajemny, knujący swe zamiary i czyny w ciemnościach, nieuchwytny i trudny do wysłedzenia. Niebezpieczeństwo więc po katastrofie 8 Kwietnia, zamiast zmniejszyć się, owszem bardziej się jeszcze zwiększyło.

Gdy więc tak powoli i nieznacznie tworzyły się zarodki ciała, mających kierować ruchem w celu wywołania powstania zbrojnego, rozmaici agitatorzy uliczni, uczniowie szkół i młodzież rzemieślnicza, przyszedłszy nieco do siebie po krwawej nauce Kwietniowej, poczuli podawnemu urządzać w mieście rozmaite awantury, noszące miano manifestacyi politycznych. Nieporządki i anarchia zapanowała teraz nawet wśród ścian szkolnych, gdzie rozprzęgła się wszelka karność i wszelkie poszanowanie władzy. Wykładów języka rosyjskiego uczniowie nie chcieli słuchać; nauczycieli obrzucali zgniłemi jajami, wypychali za drzwi, porywali się nawet do bicia nieulubianych profesorów. Wizytatorowi Papłońskiemu, który nie cieszył się dobrą w kraju opinią i uchodził za wiernego sługę rządu, a który udał się do Płocka dla zwiedzenia szkół tamtejszych, uczniowie gimnazjum wyprawili kocią muzykę przed hotelem, w którym stanął. W gimnazjum realnem w Warszawie, liczącem blisko tysiąc uczniów i mieszczącym się w pałacu Kazimierowskim, pewnego dnia, we wszystkich klasach podarto na szczątki książki rosyjskie i kartkami z nich zasłano podłogę; rąbano ławki, tablice i t. p. W Radomiu klasa czwarta

i piąta tamtejszego gimnazjum gubernialnego tak była niesforna względem swej zwierzchności, że Wielopolski dla ukarania młodzieży wymyślił nowy, całkiem zresztą niefortunny środek, to jest zamknął obie klasy aż do dalszego rozporządzenia przez reskrypt z d. 20 Kwietnia. Powtarzamy, był to środek niefortunny, choćby z tego powodu, że młodzież, pozbawiona teraz wszelkiego zajęcia i wszelkiego dozoru szkolnego, rzuciła się na oślep w wir awantur ulicznych. W gimnazjum gubernialnem warszawkiem dyrektor Kaulbars kazał oćwiczyć różgami kilku malców z trzeciej klasy za to, że śpiewali pieśni patryotyczne w kościele. Zemszczono się na nim w ten sposób, że mu wyprawiono kocią muzykę i wybito wszystkie szyby, w czym główny udział brali uczniowie klasy trzeciej. Wielopolski przez reskrypt z d. 23 Kwietnia kazał klasę tę zamknąć. W Kaliszu, w miejscowej szkole realnej, uczniowie rzucili się na znieawidzonego przez nich inspektora i wypchnęli go za drzwi. Wielopolski rozkazał całą szkołę zamknąć. Wszędzie zresztą tego rodzaju awantury się powtarzały i rzecz można, że nie było szkoły rządowej w kraju, w którejby nie ukazywały się mniejsze lub większe objawy niesubordynacji i swawoli.

Zamykanie szkół, jako odpowiedź i kara na postępowanie młodzieży, było środkiem niewłaściwym i zgubnym, powszechnie zresztą przez opinią potępianym. „Cóż to za naczelnik oświecenia publicznego! wołał „Czas” z oburzeniem, oto w jaki sposób szerzy on oświatę. Rujnuje rodziny, niszczy przyszłość kilku pokoleń, pogrąża kraj w ciemnościach nieuctwa!” W rzeczy zaś samej tak nie było, choć środek, użyty przez Wielopolskiego, był zły i nie prowadzący do celu; chciał on przez niego uniknąć mieszania się policji i wojska do spraw szkolnych, ale zdaje się, że lekarstwo było gorszem od choroby¹⁹³.

Wszystkie te awantury szkolne, świadczące jak szerokie rozmiary przybrała agitacja i jak w łonie kraju wszystko było trawione przez gorączkę, miały znaleźć swój epilog w głośniejszym i ze wszech miar fatalnym w swych skutkach historyi sztachet w pałacu Kazimierowskim. Wielopolski w domu obok biblioteki, który zajmował w tym pałacu, kazał dla swego własnego użytku oddzielić sztachetami część ogrodu, mieszczącego się z tyłu zabudowań i spadającego przepysznymi tarasami ku Wiśle. Ogród ten dotąd należał do gimnazjum realnego i szkoły sztuk pięknych. Dnia 13 Maja, właśnie w chwili gdy cieśle zajęci byli robotą, a mularze przygotowywali wapno do podmurowania, o godzinie 10-tej

193 Lisicki (Aleksander Wielopolski I, 216) powiada: „margrabia zakłady naukowe zamyka, dawne bowiem władze szkolne nie były już w stanie utrzymać ładu, a udział w manifestacjach wystawiał młodzież na zetknięcie z wojskiem i policją”. Czy jednak zamknięcie szkoły zapobiegało temu? wszak młodzież, nie mając co robić i nie lękając się już nikogo, tem więcej teraz brała udział w manifestacjach i tem bardziej wystawioną była na zetknięcie z policją i wojskiem.

rano, w czasie pauzy, uczniowie gimnazjum realnego, czy z namowy czyjejs, czy z własnego popędu, przeważnie z klas wyższych, zebrali się tłumnie i zaczęli wołać: „co to jest? gwałtem nachodzą na nasz ogród? ty nie znosisz rządów w rządzie, a my ogrodów w ogrodzie!” Z takim okrzykiem, stanowiącym nie bez dowcipu zastosowane szyderstwo z osławionej mowy Wielopolskiego do duchowieństwa, uderzyli na robotników, którzy nie mieli zresztą ani zamiaru, ani chęci się opierać, wyrwali im siekiery, porąbali większą część sztachet, wapno zaś przygotowane w beczkach i cegły zrzucili do stawu, znajdującego się na dole tarasu, zatopili tam i przez to wygubili wszystkie ryby.

Nadbiegli stróże pałacu i woźni szkolni zostali rozpuśczeni przez rozzu-chwaloną młodzież; wezwana policja zachowała się w sposób godzien najsurowszej nagany, dowodzący, jak dalece anarchia i rewolucyjne idee przeniknęły nawet do szeregów tych mniemanych przedstawicieli porządku publicznego. Policjanci, tłumacząc się tem, że są za słabi liczebnie, by mogli stawić opór skuteczny nadużyciu młodzieży, pokładli się na trawie i z uśmiechem, z pewną aprobacją niemą, przypatrywali się całej scenie zniszczenia.

Sprawa ta, mająca charakter swawoli szkolnej i jako taka nie zasługująca na to, by z niej robiono fakt doniosłości politycznej, w niepojęty sposób rozdrażniła Wielopolskiego. Zapominając o tem, że kraj znajdował się w położeniu nadzwyczajnem, że umysły były w stanie gorączki, że człowiek wyższy nie powinien uważać na drobne ukłucia, że obowiązkiem nakoniec jego było w ówczesnej sytuacji łagodzić ludzi i rzeczy, a nie drażnić ich, patrzeć na wiele faktów przez palce, mnóstwa innych nie widzieć wcale, postanowił sprawę załatwić nie na drodze karności szkolnej, ale na drodze sądowej. Zaraz nazajutrz, na wielkie zdziwienie wszystkich, na boleść głęboką jednych, oburzenie innych, ogłosił w dziennikach, że „czyny młodzieży szkolnej rozmyślnego zniszczenia i uszkodzenia własności nieruchomości i ruchomej, oddane zostały na drogę prawną”. Wezwał Sąd policji prostej wydziału III-go miasta Warszawy, by przeprowadził śledztwo, a czuwanie nad biegiem sprawy polecił prokuratorowi królewskiemu przy sądzie kryminalnym gubernii warszawskiej. W rozdrażnieniu niepomowanym, we właściwej swej naturze chęci pomsty na tych, którzy mu w czemkolwiek dokuczali, wzywał do siebie sędziów i prokuratorów i, zapominając o legalności, której się głosił obrońcą, całą przewagą swego zwierzchniego stanowiska, tonem surowym i despotycznym, domagał się od nich ukarania winnych i prowadzenia sprawy tak a nie inaczej¹⁹⁴.

194 A. Giller (Aleks. hr. Wielopolski, 60) opowiada, że nacisk na sędziów był jednym ze środków dość często przez Wielopolskiego używanych. Pisząc o margrabim, zapewnia, że „ucisk przez obcych wojskowych wywierany chciał zastąpić uciskiem, dokonywanym przez swoich i administracją, oraz sądy zamienić na narzędzia policyjnego prześladowa-

Nie poprzestając jednak na tem, w gniewie, który go zaślepił, wzywać kazał wszystkich nauczycieli pomienionego gimnazjum do protokołu, a jeśli w którym z nich znalazł choćby najmniejszą winę, karał go odpowiednimi środkami administracyjnymi, jako naczelnik Komisji oświecenia. Dyrektora szkoły Łyszkowskiego przeniósł „dla dobra służby” do Łomży, a inspektora Pankiewicza do Szczepieszyna. Sam zaś w kilka dni potem opuścił miejsce awantury szkolnej i obrał sobie mieszkanie w pałacu namiestnikowskim.

Gdy wieść o tem wszystkim rozeszła się po Warszawie i kraju, bo nic się wtedy ukryć nie mogło i publiczność bacznie śledziła każdy krok rządu w ogólności, a Wielopolskiego w szczególności, oburzenie było powszechne. Ogół cieszył się, że uczniowie w sposób tak dotkliwy dokuczili znieprawionemu magnatowi; zuchwałych młokosów, którzy dopuścili się tego czynu, uważał za bohaterów, a w sprawie sądowej, wytoczonej im, widział męczeństwo za ojczyznę. Rodzice i krewni uczniów, zagrożonych procesem karnym, podnieśli krzyk zanadto interesowany, by mógł być słusznym, że Wielopolski chce dzieci, które należało różgą ukarać, wysłać na Sybir, złamać im życie, zmarnować kwiat narodu. Zdania te znajdowały niejako potwierdzenie w groźnym i szorstkiem przyjęciu przez Wielopolskiego deputacy od rodziców młodzieży, oddanej pod sąd. Na prośby deputatów margrabia odpowiedział surowo, że sprawiedliwość musi iść swoją drogą i kara musi być wymierzona. Kara ta zresztą nie mogła być i w rzeczy samej nie była wielką. Przy ówczesnem usposobieniu ogólnem w kraju, skład ciała sądowego w ogromnej swej większości sprzyjał ruchowi, przyczem nacisk opinii publicznej był tak silny, że spodziewać się należało łaskawego obejścia się sprawiedliwości z oskarżonymi. Prócz tego obrońca podsądnych, adwokat Ciągliński¹⁹⁵, zdołał w imię patriotyzmu nakłonić mularzy

nia. Kodeks karny nie nastroczał mu jeszcze, pomimo swej surowości, dość sposobów do wywołania grozy, tłumaczył więc dowolnie jego paragrafy i wyprowadzał z nich różne zastrzeżenia. Kodeks ten nie zna kary śmierci. Wielopolskiego pojęcie o potrzebie większej represji posunęło nawet do tego, iż z jednego artykułu tegoż kodeksu wyinterpretował prawność kary śmierci za udział w manifestacjach politycznych. Tłumaczenie to swoje, chcąc narzucić sądownictwu, zebrał u siebie, jako minister sprawiedliwości, sędziów i oznajmiwszy, iż sprawy polityczne będą rozstrzygane przez sądy krajowe, rozkazał im stosować w wyrokach wspomniany paragraf kodeksu według swojej interpretacji. Sędziowie, zdumieni dowolnością ministra, oświadczyli przez usta jednego z pomiędzy siebie, dzisiaj obecnego we Lwowie (pisane w r. 1878), iż podobne tłumaczenie nie zgadza się z prawem, że rozkaz ten wydany jest samowolą i że do niego stosować się nie mogą, ponieważ kodeks nie zna kary śmierci”. Szkoda wielka, że autor bliżej nie określa ani czasu, ani osób, biorących udział w tych osobliwszych pertraktacjach. Rzecz tak, jak jest podana, ma charakter zbyt mglisty i niejasny, wygląda raczej na umyślne, ostre i nieprzyjemne zabarwienie nienawidzonego człowieka, jak na fakt historyczny.

195 Z powodu tego procesu, po ogrodzie Saskim tłumnie biegali uczniowie, szukając wśród publiczności adwokatów. — „A na co wam adwokaci potrzebni?” pytano ich. „Żeby nas

i cieśli (cieśla Karol Springer, mularz Andrzej Abramski), że zrzekli się aktem rejentalnym w d. 21 Maja swej skargi o pobicie, jakiemu ulegli. Z rozkazu jednak Wielopolskiego śledztwo ciągnęło się dalej na tej zasadzie, że oprócz pobicia, została przez uczniów uszkodzona własność skarbowa.

W rezultacie Sąd policyjny prostej, wyrokiem z d. 28 Listopada 1861 r. ośmiu oskarżonych, a mianowicie Stanisława Ziemińskiego lat 17, Karola Rychtera lat 15, obu synów urzędników; Marcelego i Stanisława, braci Żebrowskich (pierwszy lat 18, drugi 20), Feliksa Sierpińskiego lat 17, Teodora Gajzlera lat 16, wszyscy czterej synowie właścicieli domów, Leona Sztencla lat 18, syna piwowara i na koniec znanego nam już członka tryumwiratu, Władysława Gołemberskiego, nauczyciela, lat 24 liczącego, który znalazł się także pośród szalejącej młodzieży szkolnej — skazał na jeden dzień aresztu i złp. 400 sztrafu, jako wynagrodzenie za szkodę, zrządzoną skarbowi¹⁹⁶.

Wszelkie więc wieści o wygnaniu na Sybir, grożącym jakoby młodzieży, były przedwczesne, na niczem nie oparte i zostały umyślnie rozpuszczone przez agitatorów dla zaalarmowania umysłów i wzbudzenia w nich większej nienawiści do rządu i Wielopolskiego. Ten ze swej strony niczem nie starał się ukoić oburzenia publicznego, które na koniec znalazło swój wyraz w „Czasie” krakowskim. W redaktorach tego pisma, ogromnie wpływowego na kraj, zwłaszcza na szlachtę, tak dalece pod naciskiem idei pseudo-patriotycznych zamącone zostało poczucie prostej słuszności, że usprawiedliwiali postępowanie młodzieży i jej napad na sztachety. „Dzieci zrozumiały, pisze ten organ, że ogród, do publicznego użytku należący, z wydziedzczeniem ogółu na użytek prywatny poświęcony być nie powinien; dostrzegłszy, że zabierają im miejsce do spaceru, przeszkadzili ukończeniu roboty, sztachety powyciągali i biednym porozdawiali”. Gdy gazetę doszła wiadomość, że margrabia oddaje całą sprawę pod rozpoznanie sądów, wołała ona z oburzeniem: „rzecz niesłychana! sąd kryminalny na dzieci, które różgą należało ukarać!”

Zresztą „Czas” nie tylko w tej sprawie zajmował nieprzyjazne względem Wielopolskiego stanowisko i tem postępowaniem swoim ciężką istotnie szkodę krajowi przyniósł. Dziennik ten, założony koło r. 1848, pod zręczną redakcją Maurycyego Manna, zdołał sobie wyrobić pozycją wyjątkową w prasie polskiej i był jedyną gazetą polską, którą czytano zagranicą i którą uważano za organ poważny i wyrażający opinią kraju.

bronili”. — „Przed kim?”- „Przed margrabią Wielopolskim”. Słowa te przyjmowane były przez publiczność głośnymi oklaskami. Sceny takie powtarzały się przez jakiś czas prawie codziennie.

196 Od wyroku tego podsądni apelowali; apelował i prokurator królewski, domagając się surowszej kary. Sprawa wlokła się leniwie i ukończyła dopiero w r. 1863 zupełnem po większej części uwolnieniem oskarżonych od winy.

Względem Wielopolskiego postawił się odrazu nieprzyjaźnie, nie dla tego, by jego istotnym był nieprzyjacielem, gdyż Mann osobiście znał margrabiego i cenił jego rozum wysoki, ale dla tego, że otrzymywał korespondencje z Królestwa, pochodzące ze sfer biorących jeśli nie czynny, to przynajmniej życzliwy w ruchu udział¹⁹⁷. Sam Mann nie znał Królestwa, nigdy w niem nie był, ale pod wpływem powszechnej opinii, panującej w Galicyi w owe czasy i dłużej jeszcze potem, że uciski i gwałty rządowe w Kongresówce są tak straszne, iż czynią z całego kraju jedno więzienie, jeden plac kaźni, chętnie dawał miejsce wszystkim skargom ztamtąd pochodzącym. Prócz tego korespondenci mieli bardzo dobre, źródłowe informacje, często przysyłali tajne dokumenta urzędowe, wykradane przez urzędników i im udzielane; były to więc rzeczy, które kaźden dziennik z natury już swojej skwapliwie chwytać był winien i „Czas” je też natychmiast drukował. Wreszcie w redakcyi miały udział pewne osobistości, które wszelki pakt z rządem rosyjskim, despotyzmem i „schizmą”, uważały za zbrodnię przeciw narodowości i religii, a w ruchu warszawskim widziały „palec Boży”. Nie szczędzono więc Wielopolskiego, jako właśnie człowieka, który taki „cudzołozny” związek chciał zawrzeć; „Czas” nigdy go inaczej nie nazywał jak „ta osobistość, to indywiduum”. Korespondencje z Warszawy przekreślały i w fałszywym świetle wystawiały wszystkie jego czyny, a jeśli ich doniosłości korzystnej dla kraju nie mogły zaprzeczyć, starały się obniżyć ich znaczenie. Jednym słowem „Czas” zajął tak nieprzyjazne stanowisko, że Wielopolski, ulegając rozdrażnieniu, które nim powoli owładło, widząc, że dziennik ten bardzo skwapliwie czytany jest w Królestwie, chwycił się środka gwałtownego, pożałowania godnego i w d. 12 Czerwca zakazał „Czasowi” wstępu do Królestwa i cesarstwa¹⁹⁸.

Mówimy: pożałowania godnego, gdyż czyn ten największą szkodę przyniósł samemu Wielopolskiemu. „Czas” z nieprzyjaciela politycznego, jakim był dotąd, stał się nieprzyjacielem osobistym margrabiego i obrzucał go począł obelgami i kalumniami, wydobywanymi z błota nienawiści i gniewu, zohydzając przez to jeszcze bardziej w opinii kraju postać rządcy Polski, czyniąc zeń jakiegoś nieludzkiego potwora, zaprzańca i zdrajcę.

Do takich to następstw doprowadziły awantury szkolne, swawola dzieci, które zamiast pilnować książki, rzuciły się także do robienia polityki na swoją rękę, a w kraju nie znalazł się ani jeden ojciec, któryby młokosów umiał i chciał za to skarcić jak należy. Znajdowali oni zawsze obronę i podporę w matkach, siostrach, w opinii kraju, a przede wszystkim kobiet, które dzięki naszemu zdumiewającemu niedołęztwu, zawsze u nas rządziły, a w owych czasach więcej, niż kiedykolwiek. Poza młodzieżą szkolną jednak różne, nieznanne koła rewolucyjne w Warszawie, ochłonawszy ze zgro-

197 Pisywał je podobno Agaton Giller.

198 Lisicki (Aleks. Wielopolski I, 213) myli się mówiąc, że „Czas” został zakazany pod koniec Kwietnia.

zy, jaką na nie rzuciła rzeź kwietniowa, poczęły po dawnemu urządzać manifestacje uliczne. Z powodu rocznicy urodzin cesarza, d. 29 Kwietnia przypadającej, ukazały się na rogach ulic poprzyklepiane plakaty, oraz obiegały po całym mieście, Bóg wie przez kogo sporządzone, nakazujące tonem surowym i pełnym jak zwykle wykrzykników i frazesów patetycznych, ażeby w dniu tym nikt się na ulicach nie pokazywał, aby sklepów niezamykano i domów nie oświetlano pod groźą wybicia szyb nieposłusznym. Rozkazu tego, wydanego przez jakąś samowznaczą władzę, który zresztą nie do wszystkich doszedł, oczywiście nieposłuchano, choć domy zrzadka i skąpo były oświetlone. Inne znowu koło agitatorów ulicznych, a może to samo, które powyżej przytoczony rozkaz wydało, w d. 2 Maja, w Wielki Czwartek, według starego kalendarza, zamierzało wybić okna w soborze prawosławnym na ulicy Długiej. Policja, dość wcześnie o tem uwiadomiona, przez baczną czujność zdołała zapobiedz tej nierozumnej i nie mającej celu awanturze. Zato w Poniedziałek, d. 6 Maja, w dzień imienin W. księżny Konstantowej, bratowej cesarza, gdy policja nakazała oświetlenie w oknach pod karą pieniężną, rozkazowi temu po większej części zadość nie uczyniono, a jeżeli kto to zrobił, to miał szyby powybijane.

Gazety zagraniczne ze swej strony nie przestały rozpuszczać pogłosek jak najfałszywszych o tem, co się dzieje w Warszawie, a „Gazeta policyjna” nie przedstawiała im zaprzeczać, czyniąc przez to interesom krajowym i rządowym prawdziwie niedźwiedzią przysługę. W końcu Kwietnia, po gazetach francuzkich, zwłaszcza „Patrie” i „Presse”, ukazała się wiadomość, która od nich przeszła do innych dzienników europejskich, że rząd rosyjski, chcąc jakoby ożywić smutny i ponury widok, jaki przedstawiała Warszawa, nakazał otworzenie teatrów, mieszkańcom zaś rozdawano bilety, z których ci obowiązani byli korzystać. Oczywiście nic podobnego miejsca nie miało; teatry, raz zamknięte w dniach lutowych, dotąd nie były otwarte. Znalazły się i inne wieści, urodzone za granicą, które, przedostawszy się kontrabandą do Królestwa, przenikały powoli do mas i budziły tam popłoch prawdziwy. Mówiono np. powszechnie, że rząd w celu osłabienia ruchu rewolucyjnego, zamierza powołać do wojska wszystkich młodych ludzi, którzy w ciągu czterech ostatnich lat byli w wieku popisowym. A że (nie wiadomo na jakich podstawach), obliczono kontyngens roczny rekruta z Królestwa na 40.000 ludzi, wypadło więc z tego, że rząd zamierza odrazu wziąć 160.000 młodzieży w kwiecie wieku. W istocie zaś rzeczy było to kłamstwem; poboru rekruta nie zamierzano w tym roku robić, jakkolwiek wśród kamarylli wojskowej w Zamku były głosy, które radziły, żeby tym sposobem przeciąć ruch na zawsze. Te to rady, które nie były nawet słuchane, dały zapewne początek pogłosce, jaka, powtarzamy, prawdziwy popłoch rzuciła na kraj¹⁹⁹.

199 Do tych pogłosek przyczyniła się zapewne wiele wiadomość pomieszczona w gazetach, że cesarz na przedstawienie namiestnika, przez decyzją z d. 4/16 Października 1860 r.

Inne znowu pisma zagraniczne, za przykładem „Czasu” krakowskiego, nie przedstawiały rzucić światła fałszywego na każdą czynność rządową. Rażący przykład takiego postępowania, daje fakt następujący: z ustanowieniem Komisji wyznań religijnych i oświecenia, wszelkie sprawy duchowne, dotąd należące do Komisji spraw wewnętrznych, z natury rzeczy przejść musiały pod zarząd nowo utworzonej dykasteryi. Inaczej być nie mogło i nie powinno. To też Rada administracyjna Królestwa przez reskrypt z d. 14 Maja poleciła, ażeby „wszelkie fundusze na potrzeby duchowieństwa i edukacji publicznej, czy to budżetem Królestwa oznaczone, czy też z innych jakichbądź źródeł pochodzące, gdziekolwiekbądź manipulowane lub deponowane, oddają się do dyspozycji Komisji rządowej wyznań i oświecenia publicznego”. Ten prosty i naturalny reskrypt nie podobał się prasie zagranicznej polskiej. Jedna z nich wołała, że postanowienie to jest bardzo uciążliwym dla duchowieństwa katolickiego, że ogranicza autonomią Kościoła, który dotąd rozporządzał znacznymi funduszami bez żadnej kontroli. Widocznem było z tego twierdzenia, że mądry redaktor gazety nie odczytał dobrze samego rozporządzenia, a może go dzięki swej wysokiej inteligencji nie zrozumiał. Nie szło tu przecież o fundusze, którymi samo duchowieństwo rozporządzało, ale o te, które były dotąd w zawiadywaniu Komisji spraw wewnętrznych, a które w skutek utworzenia nowej władzy, zawiadującej interesami duchownymi, powinny były przejść pod dyktando tejże władzy. Było to proste i jasne i trzeba było prawdziwej zlej woli, by w tym fakcie znaleźć szkodę dla interesów duchownych i społecznych²⁰⁰.

umorzył zupełnie niedobór rekrutów, wynikały w skutek tego, że przez pięć lat wcale nie brano do wojska, a wynoszący 61.436 ludzi. Pierwotnie niedobór ten zamierzano pokryć poborem większej niż zwykle liczby rekrutów (o 3327 ludzi rocznie) w następnych latach, ale teraz zaniechano tego zamiaru.

- 200 Wielopolski w komunikacie, przesianym do gazet warszawskich, bronił się przeciw temu zarzutowi w sposób następujący: „jak dalece przypuszczenie to jest mylne, dosyć przytoczyć, że gdy Wydział wyznań, czyli spraw duchownych, należał poprzednio do składu Komisji rządowej spraw wewnętrznych i duchownych, a z ustanowieniem nowej Komisji rządowej wyznań religijnych i oświecenia publicznego przeszedł do tej ostatniej, zarząd przeto i opieka nad funduszami duchownymi nie mogły pozostać przy Komisji rządowej spraw wewnętrznych, lecz musiały przejść także do Komisji rząd. wyznań rel. i oświecenia publicz.

W tym celu i znaczeniu wydane zostało postanowienie, o którym mowa, a które nie stanowią ani jakiegobądź nowej kontroli nad funduszami duchownymi, ani też, zmieniając w czemkolwiek wykonywany poprzednio przez Komisją spraw wew. i duchownych zarząd i opiekę nad tymi funduszami, takowe obowiązki przeniosło jedynie na Komisją rząd. wyznań i religij. i oświecenia publ. w zamiarze, aby czy to wypłata z kas skarbowych dla duchowieństwa sum, budżetem oznaczonych, czy nakoniec ubezpieczenie legatów lub obrona własności duchownych mogły być na właściwej drodze dokonywane za dyspozycjami Komisji rząd. wyznań rel. i ośw. publ. bez udawania się o to do Komisji rządowej spraw wewnętrznych”.

Samo duchowieństwo zresztą, od czasu osławionej mowy Wielopolskiego do przedstawicieli kleru, przyjęło względem nowego swego zwierzchnika postawę wrogą i wyraźnie brało udział w ruchu rewolucyjnym. Duchowieństwo niższe, proboszcze i wikaryusze, zamieszkali po wsiach i miasteczkach, wszystkie prawie zakony, ciemne, niewykształcone, rekrutujące się przeważnie z drobnego mieszczaństwa lub ludu, nienawidzące Moskali jako schizmatyków, przesiąknięte fanatyzmem nietolerancyjnym, Ignęło do ruchu, który budził w nich wszystkie uśpione uczucia zagorzałego i ślepego patryotyzmu. Po kościołach śpiewano więc pieśni patryotyczne, które z każdym dniem nieomal mnożyły się co do liczby; do „Boże coś Polskę” dodawano nowe strofy²⁰¹, a bardzo często się zdarzało, że po

201 Liczba tych pieśni już w Kwietniu 1861 r., o ile wiemy, dochodziła do piętnastu. Wkrótce ukazał się nawet zeszyt litografowany p. t. „Śpiewy nabożne polskie”, który publicznie chłopcy sprzedawali po ulicach. Na okładce było wyobrażenie oka Opatrzności, otoczonego gałęziami palmowymi, krzyżem złamanym i wieńcem cierniowym. W zeszycie tym, który posiadamy w naszych zbiorach, znajduje się ośm pieśni, ale wydawca zapowiada, że jeszcze więcej zamierza opublikować. 1) Pieśń „Boże coś Polskę”, która w tekście pierwotnym Alojzego Felińskiego, zawierała tylko pięć strof, w zeszycie tym ma ich już dziewięć, nieodpowiadających poważnemu, klasycznemu nastrojowi pierwowzoru i o wiele od niego słabszych. 2) Prócz niej śpiewano w tym czasie „Chorał” Ujejskiego, zaczynający się od słów: „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej”. 3) „Pieśń do Matki Boskiej”, utwór słaby, którego pierwsza strofa tak brzmi:

„Królowa polska o Maryo jedyna,
Coś Częstochowę od Szwedów broniła,
Kiedy nam czoła schyla cierpień siła,
Wstaw się za nami do Twojego Syna.
O! Częstochowska przeczysta Panienko.
Zmiłuj się, zmiłuj nad Polaków męką”.

Takich miernych bardzo strof pieśń ta zawiera ośm. 4) Rozpowszechniony był bardzo „Hymn uciśnionych Polaków”, który pierwszy raz śpiewał Dobrski, tenor opery warszawskiej, podczas nabożeństwa za poległych w d. 9 Marca, w kościele Reformatorów. Hymn ten przytoczyliśmy we właściwym miejscu w całości. 5) „Pieśń do Boga, na pamiątkę d. 8 Kwietnia 1861 r.” Pierwsza strofka brzmi:

„Ojczyznę narodów, królu całej ziemi!
Stwórcu, w którego ręku cały świat,
Ty się upomnij za dziećmi Twojemi,
Co tyle bólów, tyle znoszą strat!
Ziemia spłynęła rzekami krwawemi,
Pogańska kosa siecze polski kwiat!”

6) „Ojczyznę naszą”. Do każdego zdania tej modlitwy dorobiony jest wiersz. Zaczyna się tak:

„Ojczyznę naszą, któryś jest w niebie,
Ciebie z pokorą błagamy,
Ratuj ojczyznę w potrzebie,
Wsparcia Twojego czekamy”.

Kończy się zaś jak następuje:

skończonem nabożeństwie sami księża rozpoczynali taką pieśń, nieuznaną przez Kościół i nieznaną ludowi.

W Kielcach, w dzień Zielonych Świątek, po nieszpórach klerycy miejscowego seminarium pierwsi zaintonowali „Boże, coś Polskę”, zachęcając

„Ale nas zbaw odezłego,
Od niewolniczej sromoty,
Od zdrajców kraju własnego
Daj bojaźń Bożą i cnoty!”

7) „Modlitwa do św. Stanisława, patrona Polski”. Zaczyna się od słów:

Święty, wielki w cudy Pana,
Synu Prawy polskiej ziemi,
Oto prośba krwią polana,
Tych, co winni być wolnemi”.

Prócz tych były jeszcze następujące pieśni: 8) Pieśń na Boże Ciało. 9) Pieśń do serca Pana Jezusa, z której przytaczamy niektóre charakterystyczniejsze strofki:

„Z tej naszej, nędzą ścieśnionej ziemi,
W Niebo się wznosi błagalny jęk,
O! nie gardź Panie modły naszemi,
Przyjmij łaskawie tej piersi dźwięk”.

albo: „O! my tak długo cierpiemy już,
Niewoli naszej okowy skrusz,
Serce Jezusa błagamy Ciebie
Zlituj się, zlituj i Polskę zbaw” (sic).

„Panie, my zemsty wcale nie chcemy,
Za wrogów naszych błagamy Cię,
My tylko jarzmo zrucioć pragniemy
Pod którym serce zakrwawia się!
O dobry Jezu! błogosław im,
Ale walcz za nas orężem Twym”.

10) Modlitwa do Matki Boskiej. 11) Pieśń do Zbawcy świata. 12) Hymn do Matki Boskiej, którego pierwsza strofka brzmi:

„Matko Chrystusowa, Najświętsza Marya,
Z jękiem przychodzimy do Twego ołtarza,
Lud Twój bezbronny dziki wróg zabija,
Rąbie krzyż Pana, Twój obraz znieważa!
Twojej litości błagamy ze łzami,
O! Matko nasza, ujmij się za nami!”

albo: „Choć srogie jarzmo zgięło karki nasze,
W sercach jest miłość, nadzieja i wiara!
Odkryjem piersi na strzały, pałasze,
Niech nam okupi ojczyznę ofiara!”

13) Pieśń do Pana Jezusa. 14) Hymn do Matki Boskiej na 27 Lutego. 15) Druga modlitwa uciśnionych Polaków. Wszystkie te utwory, oprócz dwóch pierwszych, mających na sobie znamieńko talentu poetyckiego, są bardzo słabe, nieraz częstochowskim rymem pisane, przypominające kantyczki, ale pozbawione ich prostoty i naiwności. Nie wzbogaciły one niczem literatury pieśni kościelnych polskich.

przez to niejako wiernych do ich naśladowania. Jeżeli nie księży, to uczniowie szkół rozpoczynali śpiew hymnów rewolucyjno-nabożnych. Nie było dnia, żeby Wielopolski nie otrzymał od namiestnika wielkiego arkusza papieru, na którym dużymi, zamazystemi literami, skreślonymi ołówkiem, Gorczakow pisał po francuzku: „panie margrabi, śpiewano pieśni rewolucyjne w takim a takim kościele, pod przewodnictwem uczniów tego lub owego gimnazjum”. W Warszawie księży zachowywali się nieco ostrożniej; niekiedy nie brali udziału w śpiewie, niekiedy opuszczali kościół, najczęściej jednak śpiewali za innymi. W ogólności, ten objaw ruchu, kryjący się po kościołach, był najniebezpieczniejszy i najtrudniejszy do powstrzymania i rząd do pewnego stopnia czuł się w obec niego bezsilnym. Bądź co bądź jednak, trzeba było coś zrobić i Wielopolski w d. 20 Kwietnia pomieścił w gazetach warszawskich komunikat, w którym przedstawił pogląd rządu na śpiewy rzeczone i odwoływał się do uczuć zdrowego patriotyzmu. Twierdził, że „śpiewy te nie tylko przez kościół nie są aprobowane i rytuałem kościelnym objęte, ale nawet nie mają cechy właściwej modłom i pieśniom nabożnym. Śpiewy te, niepokojąc umysły ostatnimi wypadkami rozdrażnione, podniecają lud do naruszania porządku publicznego i to właśnie w tej uroczystej chwili, kiedy uczucie porządku i ufności oczekiwania zkądinąd szerzy się i ustala. To samowolne wprowadzenie do świątyń Pańskich śpiewów, nieupoważnionych przez władzę duchowną, ubliża tej władzy, do której starodawnym obyczajem ojców naszych inicjatywa w tej mierze zawsze należała i należy”.

Nie odzywa się już teraz surowo do duchowieństwa, nie karci go wcale, lecz owszem stawia go na tem samym co i rząd stanowisku, na stanowisku pragnienia, by pieśni rewolucyjne jak najprędzej po kościołach ustały, „Władza duchowna, równie jakoteż i świecka, pisze, pragną przede wszystkim, aby ci, którzy są przyczyną ubliżania kościołowi i porządkowi publicznemu przez samowolne śpiewy, uznali błąd swój i zastanowić się chcieli nad ogromną szkodą, jaką całemu społeczeństwu przynoszą”. Odezwę tę tak kończy: „dodamy i to jeszcze, że w razie niezaprzeczenia tych przywłaszczeń w świątyniach władza, idąc w pomoc usiłowaniam duchowieństwa, użyje służących jej prawnych środków do utrzymania porządku jak wszędzie, tak tem bardziej po świątyniach Pańskich”.

Jak wszystkie tego rodzaju próby i usiłowania rządowe, tak i ta odezwa nie przyniosła żadnego skutku. Prywatne kroki, czynione u arcybiskupa i władz dyecezyalnych, na nic się nie zdały; biskupi wprost obawiali się, by im niższy kler pod tym względem nie wymówił posłuszeństwa i nie śmieli odezwać się doń ze słowami zakazu, choć byli tacy, co czuli tego potrzebę i w pieśniach, tworzonych przez różnych pokątnych poetów, widzieli profanacją kościoła.

Niemniej na nic się nie przydał reskrypt, wydany w tym celu przez Komisją wyznań pod d. 22 Kwietnia, do wszystkich władz dyecezyalnych rzymsko-katolickich i do administratora dyecezyi chełmskiej. „Doszło do wiadomości J. O. księcia namiestnika Królestwa, pisał w nim Wielopolski, że od niejakiego czasu niektórzy duchowni katolicy publicznie w kościołach, podczas spełniania swych obowiązków, dotykają przedmiotów politycznych, jedni, zapominając, że kapłani z powołania swego powinni być rozkrzewicielami pokoju i jedności, otwarcie obudzają w narodzie nienawiść, oddając pochwały zaburzeniom i ganiąc środki przedsiębrane dla powściągnięcia takowych, inni usiłują zaszczerpać w narodzie nieufność względem rządu i podburzać przeciw niemu. Ponieważ podobne czyny przewidziane są prawem i rząd z obowiązku swego nie może zaniechać środków określonych przez prawo dla utrzymania społecznego porządku i bezpieczeństwa, przeto J. K. Mość, reskrytem z d. $\frac{6}{18}$ Kwietnia r. b. No 438, polecił mi zwrócić uwagę władz dyecezyalnych na przeciwne prawu postępowanie niektórych duchownych i na konieczność bezzwłocznego przedsięwzięcia przeciw temu środkom, oraz zawiadomić, że gubernatorowie cywilni, oraz naczelnicy wojenni otrzymali polecenie, aby winni wykroczeń tego rodzaju, bez względu na ich stan, byli aresztowani dla pociągnięcia ich do odpowiedzialności według całej surowości praw. Przytem J. K. Mość wyraził, że nie wątpi, iż dostatecznym będzie uwiadomić władze dyecezyalne o takim karygodnym postępowaniu niektórych duchownych, w celu, aby też władze z obowiązku prawdziwych zachowawców pokoju i miłości chrześcijańskiej starały się bezzwłocznie zwrócić na drogę prawdy ludzi błądzących, którzy, lekceważąc włożony na nich święty obowiązek, stają się sprawcami nieporządku i narażają ojczyznę swą na działanie siły zbrojnej i wszystkie połączone z takowemi następstwa. O powyższym reskrypcie J. O. księcia namiestnika zawiadamiając J. W. Pana, mam zaszczyt prosić go, abys wydał do podwładnego duchowieństwa stosowne ostrzegające rozporządzenia i o tem zawiadomić mię raczył”.

Arcybiskup i biskupi tymczasem nie wydali do podwładnego sobie duchowieństwa rozporządzeń ostrzegających; rzeczy odbywały się po dawnemu, śpiewy i kazania podburzające wciąż brzmiały po kościołach. Na skutek tego Wielopolski jeszcze raz przez reskrypt z d. 16 Maja (No 824) doniósł arcybiskupowi, że życzeniem namiestnika jest, aby „dla uspokojenia umysłów wzburzonych ostatnimi wypadkami wydał list pasterski i polecił duchowieństwu archidyecezyi warszawskiej użyć wszelkiego wpływu swojego przez stosowne nauki z ambon, celem położenia tamy nieporządkom, powodowanym przez śpiewanie w kościołach pieśni, nie należących do Mszy św., czyli do obrzędów kościelnych, poprzednio w kościołach wykonywanych, a które od pewne-

go czasu zgromadzony lud z poduszczeń źle myślących śpiewa w kościołach, dodając strofy, których treść wymierzona przeciw rządowi i umysły podburza”. Arcybiskup Fijałkowski, w piśmie swem, w miesiąc później (d. 22 Maja) przesłanem do Komisji Wyznań, pierwszy odmówił wydania listu pasterskiego, mającego położyć tamę śpiewom patryotycznym po kościołach. Starzec ten, nad grobem stojący, ulegając garści fanatycznych i czerwonych księży, a głównie księdzu Działkowskiemu, którzy go otaczali i wpływ przeważny nań wywierali, zwołał pewien rodzaj synodu, na którym znaleźli się wszyscy przełożeni klasztorów i proboszcze parafii warszawskich i przedstawił im następujące pytania:

- 1) jakiego rodzaju są śpiewy, które lud sam, bez inicjatywy duchowieństwa w kościołach wykonywa?
- 2) czy jest nadzieja, że lud listu pasterskiego, jakoteż i stosownych nauk z ambon głoszonych usłucha i śpiewów zaprzestanie?

Na pytania te oczywiście zebrani odpowiedzieli w duchu partyi rewolucyjnej, że śpiewy są treści patryotyczno-religijnej, że były dawniej drukowane w książkach do nabożeństwa, aprobowane przez władzę duchowną i przed r. 1830 śpiewane w dni dworskie i galowe przez młodzież szkolną, a w niedzielę i święta przez muzyki wojskowe podczas Mszy św. wykonywane; że obecnie śpiewa je lud z pewnemi zmianami i dodaniem strof, „wyrażając w nich swą boleść i rozdrażnienie”; że kilkakrotnie w niektórych kościołach śpiewano i inne pieśni, „objawiając w nich swoje oburzenie i niechęć co do zaszłych smutnych wypadków”, ale w skutek refleksji kapłanów śpiewania ich zaprzestano.

Na zapytanie co do skutku listu pasterskiego niemniej odmowna wypadła odpowiedź. Zebrani jednoznacznie oświadczyli, że wydanie takiego listu nie przyniesie wcale spodziewanego przez namiestnika rezultatu, że rozdrażni jeszcze bardziej lud, że go oburzy przeciw osobie arcybiskupa i duchowieństwu, że „lud straci zaufanie do kapłanów, naukami ich wzgardzi i może zaniedbać wykonywania obowiązków religijnych i przystępowania do Sakramentów św. z wielką szkodą religii i dusz swoich”. Obawy swe usprawiedliwiali zebrani tem, że w kilku kościołach kapłani, przemawiając publicznie o zaprzestaniu pieśni, doznali gorzkich wyrzutów już ustnie, już piśmiennie; że cierpliwość będzie tu najskuteczniejszym środkiem i że śpiewy z czasem, przy uspokojeniu się umysłów w skutek łagodzących środków, użytych przez rząd, niezawodnie same przez się ustaną.

„Z tych uwag, pisał w końcu Fijałkowski, raczy J. W. Dyrektor powziąć przekonanie, że pasterska moja władza, oparta jedynie na moralnej i religijnej podstawie, nie może być narażoną na widoczny upadek, lub przynajmniej lek-

ceważenie ludu, że niepodobna wystawiać duchowieństwa na obelgi, zniewagi i nienawiść ludu z nieuchronną szkodą religii i moralności”, że wzbronienie śpiewów z ambon nie doprowadzi do celu, „że tak pożądane uspokojenie umysłów, tylko przez zaufanie do wysokiego rządu nastąpić może, a środki ku temu skuteczne łatwo wysoki rząd obmyśleć zdoła. Mam zupełną ufność w wysokim świetle i sprawiedliwości ks. namiestnika, że, reprezentując w kraju tutejszym osobą monarchy, nie zechce żądać rozdziału między duchowieństwem a ludem, który przez ogłoszenie listu pasterskiego niezawodnie by nastąpił, że zatem J. W. Dyrektor uwolnić mnie raczy od wydania odezwy, która przez nieusłuchanie ludu skompromitowałaby mój wiek sędziwy i urząd pasterski ze szkodą religii, kościoła i duchowieństwa, a co następnie dla wysokiego rządu stałoby się mogło powodem do używania środków przymusowych”.

Odezwa ta zatem była wyraźną aprobatą ruchu rewolucyjnego, udzieloną mu przez najwyższego w kraju dostojnika kościelnego; była otwartem przyznaniem się, że władza duchowna ulega teroryzmowi rewolucyjnemu, że wreszcie za nic w świecie opierać mu się nie chce i nie ma zamiaru. Przyznanie się to wypowiedział także bardzo jasno i kategorycznie biskup podlaski, Benjamin Szymański, niegdyś spowiednik Wielopolskiego, człowiek bardzo rozumny, bardzo zręczny i energiczny, w liście prywatnym do margrabiego, będącym niejako odpowiedzią na jego reskrypt. W liście tym powiada, że już trzeci raz otrzymuje cyrkularz urzędowy Komisji wyznań i oświecenia w sprawie śpiewów, że dotąd jednak zadość mu nie uczynił z powodów następujących: dotąd duchowieństwo cieszy się jeszcze ufnością wiernych, a „naturalnie nie mówię tu o ludności wiejskiej i chłopach”; jeżeli więc on, biskup, wyda polecenie do duchowieństwa, by nie pozwalało na śpiewy, to nie tylko, że nikt go nie usłucha, ale owszem wywoła jak najgorsze następstwa. „W wielu miejscach mej dyecezyi, pisze dalej, dla ukarania duchownych za najłżejszą nawet opozycją, wyrysowano im na drzwiach i okiennicach ich domów szubienice, wybito okna, a niektórzy musieli wysłuchać hańbiącej kocięj muzyki. Ja sam ileż listów anonimowych otrzymałem! Jakże więc można wymagać odemnie, bym narażał siebie, moje duchowieństwo, a nawet religią na pogardę?”

Wszelkie więc usiłowania do wytworzenia spokojności przy pomocy duchowieństwa krajowego stanowczo się nie udały. Jeżeli taki człowiek jak Benjamin, który będąc kapucynem umiał trzymać klasztory swoje żelazną ręką, poprostu drżał przed rysunkiem szubienicy i przed kocią muzyką, to inni, mniej energiczni i mniej godni swego stanowiska, tem bardziej nie chcieli się narażać agitatorom. Duchowieństwo znowu im podwładne nie potrzebowało wcale być zachęcane przez rewolucjonistów do agitacji, gdyż w głębi duszy sprzyjało ruchowi szczerze. Koło arcybiskupa wieszalo się mnóstwo złych

księży, ale zato wybornych agitatorów i spiskowców i oni to nakoniec, po długim wahaniu i oporze, zmusili starego, na pół zniedołężniałego Fijałkowskiego do podpisania protestacyi przeciw mowie margrabiego w d. 2 Kwietnia. Protestacya, akt całkiem różny od tego, jaki się ukazał w parę dni po tej mowie, podpisaną ostatecznie została przez arcybiskupa w dniu 10 Maja; trzeba więc było przeszło pięć tygodni czasu na to, by nawet tak uległego i zdzienniałego starca, jakim był Fijałkowski, zmusić do tego rodzaju wystąpienia, które mu się nie podobało, które w sumieniu swem i sercu potępiał. Na szczęście, akt ten nie doszedł wówczas do wiadomości publicznej; rozegrał on się między arcybiskupem i margrabią i obaj bardzo rozumnie zrobili, że o nim milczeli. W odezwie urzędowej, do której była dołączona protestacya, czuć przymus, jaki sobie robi Fijałkowski przesyłając ten dokument rewolucyjnych usposobień kleru polskiego. „Przy załączeniu w oryginale podania duchowieństwa do mnie uczynionego, pisze arcybiskup, które dziś rąk moich doszło, wyznaję z boleścią serca, że podzielam słuszny żal jego i doznaną krzywdę, jaką poniosło w przemówieniu J. W. dyrektora do niego. Ta krzywda byłaby znośniejszą, czują ją bowiem i wszyscy wierni, gdyby przemowa ta w pismach publicznych nie była ogłoszoną”. Powiada dalej, „że religia katolicka nie należy do tolerowanych, bo jest panującą, jako wyznawana przez wszystkich prawie mieszkańców Królestwa, inne zaś wyznania nie są i nie będą prześladowane, owszem używają zupełnej swobody; monarcha tylko może mówić o tolerancyi, a nie poddany, tem bardziej, gdy wyznaje religię katolicką; zatem wzmianka o tolerancyi nie była potrzebną”. Niemniej uderzające przez swój ton karcący jest zakończenie tego listu, dokumentu świadczącego o rozdrażnieniu arcybiskupa, nie tyle może na Wielopolskiego, ile na tych, którzy zmusili go do takiego wystąpienia. „Idąc, pisze Fijałkowski, za nauką Zbawiciela, „czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą”, pragniemy i chcemy zapomnieć doznanego ponizienia, byłoby jednak do życzenia przemówić głośno przy wydarzonej sposobności z przychylnością, dla uspokojenia obawy duchowieństwa. Jestem tego zdania, ażeby J. W. Dyrektor po przeczytaniu kazał mi odesłać powyższy oryginał, a ja go u siebie zniszczyć każę, iżby śladu o nim nie było”.

Dyrektor temu żądaniu zadość nie uczynił i protestacyą zachował dla historii. Protestacya brzmi jak następuje: „Jaśnie wielmożny Arcypasterzu! Jako do głowy i duchownego przewodnika naszego, uciekamy się do ciebie, J. W. Arcypasterzu z wynurzeniem boleści, jaką przejęte zostały serca nasze i wiernych wszystkich z powodu przemówienia J. W. Dyrektora Komisji wyznań i oświecenia publicznego do duchowieństwa w d. 2 b. m. i r. Mianowanie na wysoką posadę męża, którego wiara jest wiarą ojców naszych, dobrą obudziło w nas otuchę; przemowa jednak jego przejęła nas obawą, czy nadzieje nasze nie

będą zawiedzione. Przemowa ta bowiem wydała nam się groźną dla kościoła, poniżającą dla duchowieństwa. J. W. Dyrektor powiedział, iż jest dyrektorem władzy opiekującej się wszystkimi wyznaniem, a wyznaniem połączonymi z oświeceniem, że przeto nie zbroczy z toru prawdziwej tolerancji jednego z wielkich nabytków wieku. J. W. Dyrektor wspominał o tolerancji zapewne nie dla zalecania jej duchowieństwu tego wyznania, które jej nie narusza, które dla poparcia zasad swej wiary przymusu materialnego nie używa, ani używać może, ani używałby chciało w razie możliwości; duchowieństwu, które świeży a widoczny dało dowód swej tolerancji, które pojmuje, że jakkolwiek nie godzi się milczeć w sprawie wiary i kościoła, jednak z prawa miłości i słuszności naturalnej znosić należy inne wyznania religijne. J. W. Dyrektor przeto, sądzić możemy, mówił o tolerancji, jaką sam względem wyznań wszystkich zachować obiecuje. Ale w takim rzeczy rozumieniu bolejemy tylko, że dla wyznania naszego, któremu szczególną względność łaskawie przyrzeka, w następnym zaraz ustępie robi wyjątek. J. W. Dyrektor, zapowiadając duchowieństwu przed sobą zgromadzonemu, że nigdzie, a tem bardziej w zakresie swoim, rządów żadnych w rządzie nie uzna. Znamy w kościele rządy następcy Piotra Śgo i rządy biskupów, następców Apostołów; wiemy, że rządy te dane im są z nieba na kierowanie Kościołem, że rządy te każdy uznać winien, kto członkiem Kościoła jest. Stanowisko Kościoła w kraju naszym nie jest bynajmniej tego rodzaju, aby ze strony jego groziła obawa uszczuplenia i nadwężenia władzy państwa, więc czyżby J. W. Dyrektor zapowiedział, że rządów w rządzie nie uzna, rozumieć chciał, że duchowną władzę biskupią ukrócić należy, czyżby jej uznawać nie chciał, czyżby chciał ją uważać jako prostą gałąź ogólnej administracji krajowej, czyżby Kościół chciał poniżyć do znaczenia instytucji religijno-policyjnej?

„Pojmujemy Twoją boleść i Twój niepokój J. W. Arcypasterzu, skoro w początkach zaraz nowej drogi takie pytania sobie stawiać musimy z powodu programatu, przemową J. W. Dyrektora zakreślonego, i dlatego z synowską skwapliwością uciekamy się do Ciebie z zapewnieniem, iż zawsze przy Tobie stać będziemy na drodze, jaką wytyka Kościół, a jaka jedynie prowadzić może do szczęścia narody i ludzkość całą; a przytem składamy prośbę, abys J. W. Arcypasterzu ten żal nasz objawił wraz z żalem swoim J. W. Dyrektorowi. Nie tylko my, ale wszyscy wierni synowie Kościoła, oczekiwać będziemy głośnego uspokojenia obaw z tej strony, z której one poruszone zostały”²⁰².

202 Pod protestacją tą dopisane było własną ręką arcybiskupa: „to pismo doszło rąk moich dnia 10 Maja 1861 r. Ks. Fijałkowski Arcybiskup warsz.” Co się tyczy podpisów, to Lisicki, który miał oryginalny dokument w ręku, w swem dziele o Wielopolskim podpisów tych nie umieścił, ze względów łatwo zrozumiałych. Szkoda jednak, że nie czyni

Wielopolski takiego „głośnego uspokojenia obaw” nie dał i dać nie mógł, gdyż Kościołowi katolickiemu nie groziło wtedy żadne niebezpieczeństwo; jako wysoki urzędnik nie mógł, nie powinien był ulegać żądaniom nieusprawiedliwionym i dawać przez to dowód godnej nagany słabości. Nie uczynił więc tego, ale z drugiej strony musiał nabyć gorzkiego przeświadczenia, że w duchowieństwie polskim ma nieprzyjaciela, nieprzyjaciela strasznego i najtrudniejszego do pokonania. W pierwszych krokach, jakie uczynił ku temuż duchowieństwu, został pobity i odrzucony. Mógł wprawdzie działać siłą, ale siła nie zawsze do dobrych prowadzi rezultatów i nie wszędzie da się stosować. Innego środka jednak nie było. Niebawem poczęto karać księży, którzy albo z ambony przyczyniali się swojemi słowami do wzbudzenia ruchu rewolucyjnego, albo też czynny udział w nim brali.

Ks. Paweł Kamiński, niegdyś bawiący na emigracji we Francji, z kąd wrócił za amnestją i osiadł u Misyonarzy w Warszawie, osobistość powszechnie znana w mieście z tego, że nosił strój księdza francuzkiego, mająca z czasem w powstaniu zbrojnym odegrać pewną rolę historyczną, za gwałtowne kazanie, przepełnione już nie czerwonym, ale purpurowym, rzec można, patryotyzmem, miane w kościele św. Krzyża w Warszawie w Zielone Świątki, został przyaresztowany i wysłany na osiedlenie do Włocławka²⁰³. Takież sam los spotkał innych księży za „podburzające przemawiania z ambony”. Wysłano ich na dłuższy lub krótszy pobyt na prowincją, do miasteczek²⁰⁴.

wzmianki, czy wśród ówczesnego duchowieństwa warszawskiego byli tacy, którzy na protestacyi tej nie podpisali się. Z naszych poszukiwań nabyliśmy przekonania, że takich ludzi, śmiało stawiających czoło opinii rewolucyjnej, było kilku, a z pewnością było ich znacznie więcej. Historia winna zanotować te czyny odwagi cywilnej, tak rzadkiej u nas. Dodać tu należy, iż według dość wiarogodnych twierdzeń, których jednak sprawdzić nie mogliśmy, autorem tej protestacyi miał być niefortunny autor adresu lutowego, Edmund Stawiski, co świadczy, że w akcie duchowieństwa czynny brali udział ludzie świeccy i bodaj czy nie pod ich wpływem i naciskiem powstał ten dokument.

203 Myli się A. Giller, twierdząc (Historja powstania I, 34), że Kamińskiego wysłano do Modlina, a według innych do Płocka. Kamiński z Włocławka się wymknął i udał się wprost do Paryża, gdzie wśród emigracyi i młodzieży, skupiającej się tam w „Stowarzyszeniu młodzieży polskiej”, począł się kręcić. Potem otrzymał pozwolenie powrotu do kraju, nawet pasport wziął z ambasady rosyjskiej, ale do Królestwa nie pojechał. Osiadł w Krakowie i tu powstania się doczekał, w którym wziął udział czynny. Był to człowiek niespokojny i charakter burzliwy. Po upadku powstania napisał brzydką broszurę p. t. „Głos wymuszony na ks. Pawle Kamińskim” (Paryż 1866 r.). Koło r. 1880 był proboszczem starokatolickim w Katowicach na Szląsku.

204 Wysłani zostali oprócz Kamińskiego w połowie Czerwca: ks. Ignacy Klimowicz, Dominikanin, do klasztoru w Lublinie; ks. Aleksander Gołembowski, Bernardyn, do Włocławka. Z Radomia, z klasztoru Bernardynów, przeniesiono ks. Hilarego Kozłowskiego do Radecknicy, a ks. Jacentego Lewkowicza do Wielkowioli (Paradyzu).

Środki te, ta surowość, która zresztą nikogo nie przstraszała, nie wiele, a nawet nic nie pomagały. Po kościołach śpiewano pieśni patryotyczno-rewolucyjne, brzmiały kazania nawołujące nieomal do chwycenia za broń, na ulicach rozgrywały się ciągle drobne, małe, ale charakterystyczne manifestacje, świadczące o głębokim, niczem już teraz niepowstrzymanym ruchu umysłów. Dzień 3 Maja, jako dzień ustanowienia sławnej konstytucji, przez sejm czteroletni ułożonej, postanowiono obchodzić uroczystie, jako chwilę wspomnienia radosnego, wśród smutku stale panującego.

Kobiety przypinały do kapeluszy wstążki kolorowe w barwach narodowych; mężczyźni ukazywali się na ulicach w białych krawatach, kamizelkach i rękawiczkach. Miano odbyć uroczystą, tłumną, manifestacyjną przechadzkę do ogrodu Botanicznego, do tego miejsca, gdzie niegdyś po ogłoszeniu rzeczony konstytucji miał stanąć kościół Opatrzności. Na szczęście zimno przenikliwe, deszcz połączony ze śniegiem przeszkodził tej, jak ją nazywano, przechadzce, która przy wzburzeniu ogólnem umysłów łatwo się mogła zmienić w katastrofę, zwłaszcza, że wojsko od samego rana rozstawiono we wzmiankowanym ogrodzie. Jeżeli atoli sama manifestacja przy zagrzebanych w ziemi fundamentach kościółka Opatrzności nie udała się, to zato wszystkie prawie świątynie rozbrzmiewały nabożeństwami i modlitwami „za pomyślność ojczyzny”. Po nabożeństwie agitatorzy rozdawali obecnym gałązki zielone, jako symbol „święta i pokoju”. Oczywiście tu i owdzie przydarzały się aresztowania pojedynczych osób przez policję, ale w ogólności uroczystość ta przeszła spokojnie.

Wszelako jeżeli dzień 3 Maja przeszedł tak spokojnie i cicho w Warszawie, to zato wieści o tem, jak go obchodzono w Paryżu, rozbiegły się szeroko; doroczna mowa, jaką wygłosił książę Adam Czartoryski w Towarzystwie historycznem polskiem, w tysiącnych odpisach obiegała po kraju. Stuletni ten blisko starzec, poważny szczątek krótkiej, ale pełnej chwały epoki Aleksandryjskiej i Napoleońskiej, zachował wobec wypadków warszawskich dziwną postawę. Gdy mu doniesiono o manifestacjach lutowych, zalewał się łzami i wołał z radością: „zapory pękły!” Ale „biuro”, redaktorzy „Wiadomości polskich” oszołomieni byli tem, co się stało, nie pojmowali tego zrazu i nie wiedzieli, jak się wobec tych zdarzeń zachować. Później, oczywiście, zmienili tę swoją postawę, ruchowi nieznacznie sprzyjać poczęli, a Klaczko pisywał artykuły do poważnego dziennika „Journal des Débats” o Polsce i jej losach. Gdy nakoniec w d. 3 Maja, zwyczajem dorocznym, stary książę, siwy, drżący, zgarbiony, powstał, by przemówić nietylko do tej garści członków Towarzystwa historycznego i emigracyi, zebranej w salach tegoż Towarzystwa, ale do całej Polski i Europy zarazem, mowa jego w niczem nie różniła się od rewolucyj-

nych mów tej epoki. Mówił, że naród nasz w jednym dniu urósł wysoko i nabył mocy moralnej, jakiej nam inne narody mogą zazdrościć; że nasza sprawa zyskała powszechną sympatyę; że jednak do uwielbienia, jakie świat ma dla nas, miesza się nieco wątpliwości i obaw o przyszłość. Objaw bowiem życia narodowego, którego jesteśmy świadkami, ma w sobie coś nadprzyrodzonego, a taki cud, zdaje się, nie może być trwałym. „Wymówiłem słowo: nadprzyrodzony, wołał swym suchym, drżącym głosem tajny król polski i obstaję przy niem. Można pojąć, że człowiek pojedynczy pod panowaniem idei potężnej spełnia rzeczy wielkie, ale gdy cały naród powstaje, jak jeden mąż, ma w sobie dość światła i siły dla osiągnięcia takich wyżyn i utrzymania się na nich, to w tem wszystkim należy uznać palec Boży i czyn Opatrzności... Dziękujemy więc Bogu za pomoc niespodziewaną, jakiej nam udzielił raczył i prosimy go o siły konieczne, byśmy nie upadli i byśmy dalej mogli iść bez osłabienia, drogą boleści i ofiar, która nas zaprowadzi do celu naszych nadziei”. Wygłosiwszy te słowa rewolucyjne, a zarazem pełne tego denerwującego mistycyzmu, jakim odznaczała się owa epoka, nad grobem stojący starzec zwrócił się do narodu polskiego z taką, wzruszającą zaiste! i wysoce patetyczną przemową:

„Nie schodź, o! narodzie mój, z wysokiej strefy, na której cię ludy i mocarze muszą szanować. Na niej się stale utrzymując, bezpieczniejszy i pewniejszy jesteś widzieć twoją metę i do niej ciągle dążyć i zbliżać się. Wśród krwawych boleści, zdradą i przemocą w rozpacz popychany, odrzucaj pokusy, odpychaj jątrzące drażnienia; nie zstępuj do bitew niższego rzędu, któreby obecnie na ciebie i srozsze klęski i gorszy od nich twój własny upadek ściągnęły. Pamiętaj, że wyższego trzeba heroizmu z obnażoną piersią na śmierć się wystawić, niż żeby orężem w rękę o życie walczyć. Największą siłą na ziemi jest nie dbać o życie. Posiadać tę siłę, a przytem być łagodnym, szlachetnym, bez zemsty i zawziętości, wolnym od chęci szkodenia komubądź, nawet swoim prześladowcom, to prawdziwa cnota i dobroć, to także rozum polityczny najwyższy. Pychy nie przypuść do serca, ona najczystsze popędy psuje i zniża; ale wiedz ty poczciwy i zacny polski ludzie, że ów twojego ducha wyższy nastrój, że ta cnota dobroci, która w tobie jaśnieje, jest niezwalczoną siłą i Polski na przyszłość nadzieją. Męczeństwo za wiarę i ojczyznę, nigdy bez konieczności nie ponowione, zapewnia za każdą razą zwycięstwo, bo ofiarę uwieńcza równą, zasługą przed Bogiem i ludźmi, prześladowców ohydniejszą hańbą okrywa. Nie dano jest ludziom przewidzieć wypadków, zwłaszcza, gdy na takich wyżynach ducha rozgrywa się sprawa. Łaską jedynie Opatrzności na naród polski spłynął promień dzisiejszego natchnienia, a doczekamy się chwili, w której przez zwrot niespodziewany okoliczności ta opiekuńcza Opatrzność przyjdzie w pomoc niewinnie cierpiącym i w Jej wsparcie jedynie wierzącym”.

Mowa ta w ogólności przez swój ton mistyczny, przez polecanie narodowi polegania na Opatrzności, przez ukazywanie „palca Bożego” w wypadkach warszawskich, nie zasługiwałyby na uwagę, gdyby nie to, że od wielu lat mowy zgrzybiałego reprezentanta polskość miały w oczach Europy dyplomatycznej i monarchicznej cechę programu polskiego. Czytano je wszędzie i zwracano na nie uwagę powszechną. Mistyczny ton ostatniej mowy dziwnie musiał się przedstawiać oczom czytelników europejskich, ale zapewniał zarazem, że powstania zbrojnego nie będzie, a przynajmniej nie tak prędko. W kraju zato nikogo ona nie zadowolniła prócz garści entuzjastów i marzycieli, którzy istotnie widzieli w ruchu warszawskim powtórzenie się starych legend o mękach pierwszych chrześcijan, o ich śmierci heroicznej za wyznawane przekonania, wobec szalejącego i rozbestwionego Rzymu... Wszelako wszyscy zgadzali się z mową na jednym punkcie, że trzeba się dalej manifestować.

Jakoż manifestowano się ciągle. Przedewszystkiem odbywać się począły nabożeństwa za poległych d. 8 Kwietnia. W Paryżu takie nabożeństwo, ogłoszone przez wszystkie nieomal dzienniki, odbyło się w d. 7 Maja, w kościele św. Rocha. Zapowiadano, że celebrować będzie kardynał arcybiskup bordoski, ks. Donnel, a choć do tego nie przyszło, kościół był jednak przepelniony nie tylko Polakami, ale Francuzami z najwyższych sfer. Ksiądz Menjard, Dominikanin, miał kazanie, w którym palącemi słowy potępiał „katów Polski”, deptał Moskwę i schizmę... W kraju tego rodzaju nabożeństwa odbywały się wszędzie, w skutek represji militarnej cicho, spokojnie, bez wyraźnej i głośnej ostentacji. W jednym tylko Łowiczu odprawiono je z wielką wystawnością, kazaniem i procesją²⁰⁵.

Oprócz nabożeństw z celem patryotycznym, które stały się chlebem tak powszednim, że już nikt na nie uwagi nie zwracał, w kraju agitacja rozszerzała się, liczne manifestacje i zaburzenia się pojawiały. W Łodzi, mieście fabrycznym, przeważnie przez Niemców zamieszkałym, miały one w gruncie rzeczy nie tyle polityczny, ile socjalny charakter. Agitacja widocznie dość długo trwała, nim zdołała poruszyć ciężkie masy robotnicze, na pół niemieckie, które o polskim patryotyzmie nic nie wiedziały i gotowe były do ruchu, ale w celach socjalnych. Zaburzenia zaczęły się od tego, że d. 19 Kwietnia wyprawiono kocią muzykę lekarzowi miejscowemu Wolbergowi. Nazajutrz d. 20, a przypadło to w Sobotę, tłum złożony z 800 przeszło osób, wyłącznie prawie robotników i czeladzi rzemieślniczej, udał się do fabryki sukna i przędzalni

205 W Krakowie nabożeństwo odbyło się jeszcze d. 10 Kwietnia. Wieść o wypadkach warszawskich zrobiła tam bardzo silne wrażenie; otrzymano ją d. 9 Kwietnia wieczorem, a gdy rozeszła się wśród zgromadzonych w teatrze, opuszczono go natychmiast. Żydzi także chcieli wyprawić nabożeństwo, ale policja im tego zabroniła.

żyda, nazwiskiem Prusak, w której z powodu szabasu robotników żydowskich nie było, zniszczył ją i maszyny doszczętnie pogruchotał.

Świadczyło to, że ruch łódzki ma odrębny, nie polski charakter; robotnicy dlatego niszczyli maszyny, jak to zresztą wszędzie dawniej i później robili, że powszechnem u nich było mniemaniem, iż te odbierają im zarobek. To samo spełnili przy napadzie na wielką przędzalnię Szajblera. Napadu tego dokonali oni w nocy z Niedzieli na Poniedziałek. Większość i wyłącznie prawie niemiecka była pijana. Wybito drzwi, okna; maszyny potłuczono na szczątki, pomimo rozpaczliwego oporu, jaki część robotników polskich i żydowskich stawiała napastnikom.

Jakkolwiek wypadki łódzkie nie miały cechy politycznej i polskiej, były jednak jednym więcej dowodem tego ogólnego wzburzenia umysłów, jakie kraj ogarniało; jak wreszcie idee, nie mające związku z interesami polskimi, wpływały, że tak powiemy, na wierzch. Wprawdzie ruch robotniczo-socjalny ograniczył się tylko na Łodzi, która poczynała już w tej porze być centrem przemysłowem w Królestwie, gdyż gdzieindziej żywołów potemu nie było, ale był on niejako ostrzeżeniem dla tych wszystkich, którzy patrzeć na rzeczy umieli, że do rewolucji polskiej, czysto politycznej, gotowe są przyłączyć się wszystkie inne, całkiem nam obce i sprzeczne z naszymi interesami. Wzburzenie było powszechne, niepokój ogólny. Uroczystość Zielonych Świątek w d. 19 i 20 Kwietnia dała powód do różnych w kraju tumultów, które nagle przybrały charakter jakiejś trwogi przed niebezpieczeństwami urojonemi. Do Częstochowy na odpust, przypadający we wzmiankowane święta, zeszło się o wiele mniej ludzi, niż to zwykle bywało, z powodu pogłoski, która rozszerzyła się po całym kraju, że wojsko będzie mordowało pątników. Przytem było zimno i śnieg padał. Mimo to jednak zebrało się kilkanaście tysięcy ludzi²⁰⁶.

W czasie sumy w kościele na Jasnej górze, w dzień Zesłania Ducha Śtego, rozległ się nagle okrzyk, że „wojsko idzie rąbać i mordować” zebranych²⁰⁷. Okrzyk ten nabierał tem większego prawdopodobieństwa, że wojsko istotnie od rana znajdowało się w obrębie murów klasztornych, ale w kościele wcale się nie ukazywało. Bądźco bądź, w skutek poprzednio już panujących pogłosek i owego niefortunnego krzyku, zapanował w ogromnej świątyni popłoch straszliwy. Kobiety i dzieci na

206 Niektóre relacje, jakie posiadamy o tym wypadku, obliczają pobożnych na kilkadziesiąt tysięcy.

207 Według korespondencji, pomieszczonej w „Czasie”, w tej chwili właśnie, gdy powyższy krzyk rozległ się w kościele, miały ukazać się we drzwiach bagnety, ale wojsko do wnętrza świątyni nie weszło. Relacja ta nie wydaje nam się autentyczną. Wojsko istotnie znajdowało się w obrębie klasztoru, gdyż od czasu zaburzeń stale na odpustach się pojawiało i ta okoliczność zapewne dała powód do kłamliwej pogłoski o rzezi.

gwałt, z pośpiechem nadzwyczajnym uprowadzono do klasztoru, lub osadzano na wieży dla ochrony ich przed mniemaną rzezią. Gdy jednak rzeź owa do skutku nie przychodziła, gdy ten i ów wyrzawszy, przekonał się, że wojsko spoczywa jak przedtem przy broni w kozłach stojącej, poczęto się uspokajać i nic już nie przerwało zwykłych modlitw i zabaw pątników częstochowskich.

W Radomiu zaburzenie, wybuchłe w tenże sam dzień, miało inny nieco charakter. Ustrojono tam z powodu Zielonych Świątek, d. 19 Maja, figurę kamienną Matki Boskiej, stojącą przed kościołem OO. Bernardynów na ulicy Lubelskiej, w wieńce i kwiaty, urządzono łuk tryumfalny z napisem: „Królowo korony polskiej módl się za nami”, a nad tem orła polskiego i koronę złotą. Dla ludności świętującej było to widowisko zbyt nowe i zbyt ciekawe, by nie miała się przed statua gromadzić tłumnie. Po południu liczebność zbiegowiska tak wzrosła, że miejscowy naczelnik wojenny uznał za stosowne wyprowadzić na ulicę jedną kompanię piechoty, należącą do tego samego pułku Kostromskiego, który strzelał w Warszawie d. 8 Kwietnia. Tłum nie zważał na pojawienie się wojska, rozejść się nie myślał, owszem, agitatorzy, korzystając z tego położenia, zaśpiewali „Boże coś Polskę”. Pułkownik, dowodzący wojskiem, nakazał rozpędzenie śpiewających.

Tłum, pod naciskiem postępującego zwartym szeregiem wojska, w części rozbiega się, a w części znacznie większej chroni się za mur, otaczający od strony ulicy klasztor dokoła, i tam się zamyka. Wojsko wdzierając się na cmentarz i wiele osób aresztuje. Wszystko to staje się powodem, że na ulicy znowu pojawiają się coraz liczniejsze tłumy ciekawych i oburzonych. Wojsko usiłuje plutonami rozpędzić zbiegowisko, ale gubi się w masie, wśród której rozlegają się okrzyki: „nie ustąpimy, dopóki aresztowanych nie uwolnią”. Nakoniec, dla zapobieżenia możliwemu krwi rozlewowi, kilka osób z byłej Delegacji miejskiej udaje się do gubernatora Oppermana i uzyskuje od niego uwolnienie aresztowanych. Fakt ten i zbliżająca się noc zmusza tłumy do rozejścia się i miasto przybiera swój dawny, cichy i na pół martwy charakter.

Takie sceny, powtarzające się z małemi odmianami co do swego przebiegu faktycznego, ale zato z nużącą jednostajnością co do końcowego rezultatu, t. j. abdykacji władzy i bezkarności dla agitatorów, rozgrywały się po całym kraju. Naczelnicy wojenni i dowódcy wojsk byli to po większej części ludzie mało inteligentni i nierozgarnięci²⁰⁸; postawieni wobec ruchu religijnego, którego

208 Nie każdy z generałów chciał przyjmować na siebie trudne obowiązki naczelnika wojennego. Chruszczow np. w Lublinie, człowiek zkądinąd bardzo zacny, kilkakrotnie prosił, by go uwolniono od tych obowiązków, które w nim wstręt budziły. Tłumaczył się, że nie zna języka polskiego, nie zna „tutejszych kochanek” (sic, *zdziesznych kochanok*) i tutejszych obyczajów, gdyż do czasu mianowania go dowódcą 5-ej dywizji nigdy nie był w Polsce;

nie pojmowali, tracili do reszty słabą głowę, z obawą zabobonną przystępowali do wykonywania rozkazów wyższych, i gdzie mogli unikali krwawego starcia, raz z powodu charakteru religijnego zaburzeń, a potem ze względu na instrukcje z Warszawy, polecające oględność w postępowaniu.

Żołnierz w ogólności był łagodny, ale dziki; doprowadzony do ostateczności, drażniony nieustannie, wpadał w gniew i, dopuszczał się nieraz czynów wyuzdanego barbarzyństwa, jakto naprzykład było podczas wypadków kwietniowych w Warszawie. Pod Siedlcami zdarzył się fakt, który w innych okolicznościach nie zwróciłby na siebie niczyjej uwagi, ale który teraz rozbrzmiał szeroko, który dał powód do tysięcznych skarg na barbarzyństwo i dzikość żołnierzy rosyjskich; który nakoniec wywołał głośną manifestację.

We wsi Grabianowo, leżącej prawie tuż pod Siedlcami, dnia 12 Maja, żołnierz z pułku Sumskiego huzarów, konsystującego w tem mieście i okolicy, napadł w domu gospodarza Ciołka na jego parobka Jana Pachetkę i zranił go pałaszem śmiertelnie. Powodów tej pospolitej zresztą awantury nie znamy bliżej; zdaje się, że poszło o kobietę; dość, że Pachetka, dostawiony do szpitala w Siedlcach, w parę dni potem umarł. Z tej okoliczności agitatorzy, których nigdzie nie brakło, postanowili skorzystać i urządzić biednemu, nieznanemu parobkowi wiejskiemu pogrzeb królewski. W tym celu przedewszystkiem zwłoki przeniesiono ze szpitala do kościoła i tam je na wspaniałym, wśród kwiatów i świateł, umieszczono katafalku, jako jednej więcej ofiary „barbarzyństwa Moskali”. Przeniesieniu zwłok towarzyszył kilkutysięczny orszak najwybitniejszych mieszkańców, a nadewszystko mieszkanek Siedlec; trumnę zaś zmarłego chłopca nieśli naprzemian szlachta, mieszczenie i włościanie, których sprowadzono z okolicy. Zanosilo się na ogromną, pogrzebową manifestacją, które ta epoka sentymentalna i ponura zarazem, niby drugi Karol V-ty, bardzo lubiła, ale policja miejscowa i naczelnik wojenny do tego nie dopuścili. Pachetkę pochowano niepostrzeżenie i cicho.

W ogólności Siedlce, dotąd dość na uboczu stojące od ruchu rewolucyjnego, rzuciły się doń teraz na oślep. Na parę dni przed manifestacją z Bogu duszę winnym parobkiem wiejskim, który nigdy zapewne nie przypuszczał, by się mógł stać osobistością historyczną, odprawiono w miejscowym kościele nabożeństwo żałobne za Pantaleona Potockiego, powieszzonego w r. 1846.

że nie ma zdolności policyjno-żandarmskich i nabywać ich nie chce, ani może; że przy obecnem położeniu rzeczy potrzebni są ludzie niezbyt skrupulatni, którzy, opierając się na oskarżeniach gołosłownych, nie powinni się wahać w surowem karaniu Polaków. Mimo to utrzymano go na tem stanowisku. Ale jeżeli on się wahał, to wszyscy inni z radością przyjmowali posady dobrze płatne (otrzymywali po 1000 złp. na miesiąc), obdarzające ich wielką władzą i dające im możność robienia majątków.

Trudno dziś dojść, kto dał inicjatywę do obchodu tej pamiątki po człowieku bardzo zapewne zacnym, patryocie gorącym, ale należącym do tego nieszczęsnego pokolenia mistyków i szaleńców, którzy chcieli Polskę odbudować przy pomocy gołych rąk, lub pułków archanielskich. Po Mszy udano się w pochodzie procesyjnym na miejsce, w którym pochowane zostały zwłoki nieszczęśliwego entuzjasty; tam odprawiono stosowne modły za jego duszę i wrócono do miasta, śpiewając pieśni patryotyczne.

W Janowie Ordynackim przytrafiło się coś podobnego, jak z owym parobkiem Pachetką w Siedlcach, i dało powód do zupełnie takiej samej manifestacji. Żołnierz z garnizonu miejscowego zamordował w polu, na pastwisku, zwanem Zaleśniczówka, dziewczynę wiejską Annę Jedyńską, wprzód dopuściwszy się na niej gwałtu. Stało się to d. 21 Maja i z wypadku bardzo zresztą pospolitego zrobiono fakt doniosłości politycznej, rozgłoszono go wszędzie na dowód, jak dzikim i barbarzyńskim jest żołnierz moskiewski i jak strasznym bezprawiom kraj ulega. Zamordowanej dziewczynie tak samo, jak parobkowi Siedleckiemu, sprawiono pogrzeb wspólny, z lepszym tylko powodzeniem. Cały zakon Dominikanów, mających swój klasztor w Janowie, wystąpił, zjechało się wszystko duchowieństwo okoliczne. Trumnę, przybraną w koronę cierniową, nieśli obywatele ziemscy, urzędnicy i chłopci. Cechy wystąpiły z chorągwiami, a zjazd z całego powiatu był ogromny.

W Płocku dnia 10 Maja wybuchła awantura uliczna, bo trudno ją nazwać manifestacją, wobec której miejscowe władze wojskowe istotnie dziwnie się zachowały. Potwierdziła ona zresztą w sposób krzyczący, że to, co pisał Fijałkowski i Szymański o przykrem położeniu duchowieństwa wobec śpiewów patryotycznych, było szczerą prawdą, ale właśnie w takich okolicznościach okazuje swą siłę charakter prawdziwie mężki i głębokie poczucie istotnych interesów kraju. W kościele farnym płockim, wieczorem, gdy po nabożeństwie majowym poczęto zamiast zwykłych pieśni kościelnych śpiewać „Boże coś Polskę”, proboszcz miejscowy, ksiądz Szanior, zamknął Najświętszy Sakrament, sam zaś, niedokończywszy nabożeństwa, z wyraźną oznaką niezadowolnienia z zachowania się ludu udał się do zakrystyi i tam rozebrał. Czyn ten wywołał wśród gorącej młodzieży i licznych już w tej porze agitatorów, zapatrujących się we wszystkim na Warszawę, ogromne oburzenie. Też samej nocy na drzwiach mieszkania proboszcza powieszono stryczek i wyrysowano szubienicę. Cały dzień następny wzburzenie w mieście było widoczne; do władzy dochodziły wieści głuche i niepewne, że agitatorzy zamierzają dokonać jakiegoś gwałtu nad wieczorem, przed nabożeństwem majowym. W skutek tego komenderujący w Płocku generał Szepielow kazał ustawić na rynku dwie kompanie piechoty i nieco kozaków. Widok ten zgromadza ogromne tłumy, które

zajmują rynek i okolice fary i widocznie mają jakieś złe zamysły względem księdza Szaniora. Dla zapobieżenia temu zjawił się znany nam już ks. Myśliński, administrator płocki, w towarzystwie kanonika katedralnego Motylińskiego na cmentarzu i począł prosić tłumy, ażeby się albo rozeszły, albo wstąpiły do kościoła i wysłuchały nabożeństwa. Na to rozległy się krzyki: „nie pójdziemy do kościoła! świątynia sprofanowana! religia obrażona! precz ze szpiegiem moskiewskim! precz z proboszczem Szaniorem! nie chcemy takiego pasterza! jemu należy się szubienica!” i t. p. Słowa te zdawały się rozdrażniać tłumy, między którymi było bardzo wiele żydów najwięcej krzyczących, choć ich zapewne mniemana obraza religii katolickiej jak najmniej obchodziła. Myśliński począł mówić; gorącemi słowy zaklinał „obywateli i szanowne Polki”, by się uspokoiły, zapewniał uroczyście, że ks. Szaniora usunie z probostwa. „To mało, począto wołać, won z nim z gubernii! niech gnije w Liszkowie!”²⁰⁹. Myśliński i na to się zgadza, zapewnia, że tak a nie inaczej postąpi z ks. Szaniorem, byle się tylko uspokojono i zaprasza do kościoła. Tłum nie chce iść: „nie pójdziemy, wołają, dopóki wojsko nie ustąpi, nawet z rynku, bo pod bagnietami modlić się nie będziemy”. Cóż było robić? Myśliński zdecydował się pójść do generała Szepietowa i prosić go, by wojsku kazał ustąpić. Gdy obaj z kanonikiem opuścili w tym celu miejsce zbiegowiska, tłum począł szydzić i wymyślać wojsku. Mnóstwo żydziaków przekomarza się z kozakami, straszy ich konie, zowie ich głośno: niedźwiedziami. Wojsko w milczeniu znosi te obelgi. Gdy się pojawił na cmentarzu naczelnik żandarmów i chciał coś przemówić, powitano go ogromną wrzawą i krzykami: „precz, won, czapkę zdejm!” Żandarm nie czekał na więcej duserów, tylko uciekł. Na szczęście przybywa ze swego poselstwa administrator Myśliński i zapewnia uroczyście, że generał odtąd nie będzie się miewał do spraw kościelnych, i że wojsko nie będzie stało przed kościołem. Na to z tłumu rozlegają się głosy, że dopóty do kościoła nie pójdą, dopóki wojsko zupełnie, nawet z rynku nie ustąpi. Nowe pertraktacje, których smutnym rezultatem, powtarzającym się w tych czasach wszędzie, było to, że uczyniono zadość żądaniom tłumu; wojsko ustąpiło zupełnie i władza abdykowała przed zbiegowiskiem młodzieży, kobiet i ostatniego motłochu. Z okrzykami radości, z poczuciem tryumfu tłoczą się wszyscy do kościoła, Niemcy i żydzi nawet, gdzie Myśliński wstępuje na kazalnicę i ma tak gorącą, tak patetyczną mowę, że cały kościół jęczy od płaczu...

Ruch ten, jaki od czterech miesięcy wrzał i kipiał w całym kraju, musiał się koniecznie z natury rzeczy odbić i na Litwie.

209 Liszków, wieś w Augustowskim, w której osadzano księży przestępnych (demerytów). Zdaje się jednak, że już w r. 1861 do Liszkowa nie posyłano, ale na Łysą górę w Sandomierskie.

Widzieliśmy już, że obchodzono tam nabożeństwa żałobne za poległych, że były pojedyncze, sporadyczne objawy, świadczące o wzburzeniu umysłów w klasach wyższych, ale ogół kraju był spokojny. Chłop nie był polski, pragnień i aspiracji polskich nie rozumiał, nie był im przyjazny, zresztą w tej chwili zupełnie czem innym był zajęty. Właśnie przed paru miesiącami, kiedy Warszawa przybierała się w żałobę i sprawiała pogrzeb uroczysty pięciu poległym, w Wilnie zjawił się fligeladjutant hr. Olsufiew i przywiózł ukaz cesarski o usamowolnieniu włościan²¹⁰. Rozesłani urzędnicy po kraju nieśli wszędzie wieść drzemiacemu wśród swych puszczy odwiecznych chłopu litewskiemu o wolności. Sam manifest odczytywano z ambon po kościołach, a choć był reformą niezmiernie ważnej doniosłości, burzył odwieczny ustrój społeczny, na ciężkim i tępych chłopie litewskim nie robił on wrażenia zbyt silnego. Powoli dopiero, w ciągu paru miesięcy, wieści o łasce carskiej rosły, rozszerzały się, i wraz z wiosną, budzącą puszcze litewskie, budziły i ospałe umysły chłopskie. Gdzieindziej, wśród ludności żywszej, lotniejszej umysłowo, wieści te wywoływały formalnie rokosze i zaburzenia. W sześciu powiatach gubernii Podolskiej (Winnicki, Olhopolski, Braclawski, Hajsyński, Jampolski i Kamieniecki), w Maju 1861 r. zaburzenia te przybrały szerokie rozmiary, ogarnęły 141 wsi z ludnością liczącą około 71 tysięcy dusz. Ukaz, jak wszystkie tego rodzaju dokumenty wychodzące z kancelarii rosyjskiej, był dość niejasny i mętny, nawet dla ludzi wykształconych; dla chłopu był on całkiem niezrozumiały, a jako taki, rodził Bóg wie jakie nadzieje i jakie marzenia. Tu i owdzie dziedzic perswazyą zdołał stłumić zrywającą się burzę; w innych miejscach musiano się uciec do pomocy wojsk.

We wsi Tymanówce, w powiecie Jampolskim, w majątku na szczęście należącym do Moskala, hr. Protasowa-Bachmatiewa, chłopci czynny opór stawili sprowadzonemu wojsku. W Kirnasówce, w powiecie Braclawskim, tym razem niestety! własności Polaka, Sobańskiego, 28 gospodarzy surowo ukarano różgami. W powiecie Olhopolskim główne centrum zamieszek stanowiła wieś Żabokrycze, należąca do szlachcica Brzozowskiego. Za Żabokryczanami poszło dziewięć innych wsi. W powiecie Winnickim zaburzenia wybuchły we wsi Wielkiej Ostróżce, będącej własnością marszałka powiatowego Polkowskiego. Aresztowano w niej i odstawiono do powiatu sześciu gospodarzy. Były także rozruchy w powiecie Lityńskim, we wsi Śmiały.

Na Litwie zato, z wyjątkiem zaburzeń sporadycznych z charakterem zresztą bardzo spokojnym, w niektórych wioskach gubernii Wileńskiej i Gro-

210 W kilka dni potem, d. 21 Marca, w starej katedrze wileńskiej biskup Krasiński odprawił uroczyste na tę intencją nabożeństwo. Na nabożeństwie tem był generał-gubernator Nazimow, gubernator wileński Pochwisniew, Domeyko, marszałek gubernialny wileński, wszyscy urzędnicy i mnóstwo osób.

dzieńskiej²¹¹ panowała zupełna cisza, jakkolwiek umysły były zaniepokojone i w dręczącej gorączce oczekiwały dalszego rozwoju wypadków²¹². Ale następstwem tego było to, że chłopów nie obchodziły inne sprawy, leżące poza kwestyą jego swobody osobistej. Zresztą, powtarzamy, nie był Polakiem i w ruchu z charakterem politycznym polskim nigdyby był nie wziął udziału. Ruch ten więc ograniczył się tylko na szlachcie i to zamożniejszej, gdyż zaściankowa, tak licznie na Litwie osiadła, nie rozumiała jeszcze dobrze, o co idzie. Żydzi trzymali się na uboczu i ciekawie przypatrywali się wypadkom, rozgrywającym się przed ich oczami.

Tak więc Litwa była prawie spokojną. Nabożeństwa, pod wpływem szlachty bogatej urządzone, odbywały się cicho i szerokiego wrażenia nie wywoływały.

Sam zaś ruch objawiał się tylko żalobą, nieuczęszczaniem na zabawy tak, że na wszystkich trzech balach podczas karnawału, w klubie szlacheckim w Wilnie, nie było ani jednej kobiety; na pewnym nakoniec podniesieniu się poziomu moralnego, na marzeniach utopijnych o doskonałości, tak charakterystycznych i tak piękną cechą nadających początkom tego ruchu bezprzykładnego w dziejach. W powiecie Lidzkim np. szlachta dała sobie słowo uroczyste, że w ich domach żaden napój zbytkowny nie postanie. W Nowogródzkiem niejaki Władysław Brochocki, ziemianin zamożny, zamknął w swych dobrach wszystkie szynki, nie zważając wcale na szczyby, jakie jego budżet z tego powodu poniesie. Zakładano wszędzie szkoły wiejskie, w których młodzież dworska uczyła chłopskie dzieci, urządzano biblioteki, czytano wiele, marzono jeszcze więcej o świetnej, złocistej przyszłości pod cieniem orła białego i starej pogoni litewskiej. Rozprawiano o potrzebie podniesienia ekonomicznego kraju, o skierowaniu szlachty zaściankowej, schłopiałej już zupełnie, wiodącej żywot nędzny na swych rozdrobnionych do niemożliwości gruntach, do przemysłu i handlu. Miała ona wytworzyć z czasem stan trzeci, którego Litwa wcale dotąd nie posiadała, a którego posiadanie ówczesnym teoretykom wydawało się niezbędnym do normalnego rozwoju narodu.

Taki stan Litwy nie podobał się agitatorom i zdecydowali pchnąć ją na drogę manifestacji. Zamiar ten urodził się w Paryżu, wśród młodzieży litewskiej, która tłumnie się tu zjechała tak z kraju, jak i z uniwersytetów rosyjskich,

211 W Marcu 1861 r., we wsi Turość w Grodzieńskim, należącej do Ossolińskiego, chłopów nie chcieli chodzić na pańszczyznę. W skutek wpływu proboszcza miejscowego, ks. Morawskiego, rzecz się załagodziła. Proboszcz dostał za to od cesarza krzyż do noszenia na piersi.

212 W Inflantach polskich, w okolicach Porchowa były także zamieszki chłopskie, o których jednak bliższych szczegółów nie posiadamy.



w celu wstąpienia do mającego się utworzyć przez Mierosławskiego legionu polskiego. Gdy jednak legion się nie organizował, gdy wreszcie nadzieja nawet znikła usztyftowania go, gdy większość „twardych”, jak ich nazywano, Litwinów, zawsze trzymających się siebie i chodzących kupą, przekonała się naocznie o wartości „jenerała Ludwika”, zdecydowano się powrócić do kraju i tam wziąć czynny udział w rozruszaniu ludu. Uchwalono dać do tego hasło z Wilna, jako stolicy Litwy i w tym celu postanowiono zgromadzić jak najwięcej młodzieży uniwersyteckiej i innej do tego miasta podczas kontraktów wiosennych, rozpoczynających się w pierwszych dniach Maja. Jakoż w tym czasie ze wszech stron poczęła się do Wilna zjeżdżać młodzież, przeważnie studenci uniwersytetów rosyjskich, którzy dali się odrazu uczuć w mieście. Nie zwłócząc, zajęli się oni organizacją miejscowej młodzieży szkolnej, rzemieślniczej i urzędniczej, dzieląc ją na dziesiątki i setki, które miały później wytworzyć z siebie komitet rewolucyjny. Tymczasem jednak sformowano osobne ciało, złożone z przybyłych studentów, którego zadaniem miało być urządzenie pierwszej wielkiej manifestacji w Wilnie. Termin tej manifestacji oznaczono na dzień 20 Maja, w którym to dniu, według starego stylu przypadała uroczystość św. Stanisława. W tym celu poczęto przepisywać i rozrzucać po mieście pieśni nabożne patryotyczne, ozem głównie zajmowała się młodzież szkolna i kobiety. Robiło się to wszystko dość jawnie i bez ostrożności należytej; policja wiedziała o zjeździe licznym studentów, o niezwykłym wśród nich ruchu i ożywieniu, odgadywała, że się coś przygotowuje, ale pomimo starań wiadomości dokładnych o tem nie miała. Nazimow, na skutek raportu policji, że „Polacy przygotowują jakąś demonstracyą”, wydał rzeczonyj policji w wigilią św. Stanisława rozkaz, ażeby „pilnie czuwała nad agitatorami”. Zresztą z godnem podziwu niedołęztwem nie zrobiono najmniejszego kroku, którymby można było zapobiedz demonstracyi.

Skoro więc w dzień ów uroczysty, w starej katedrze wileńskiej sam biskup Krasieński ukończył nabożeństwo, wśród kościoła, przepełnionego ludem i wyższą szlachtą, mała gromadka, złożona z trzydziestu kilku młodych ludzi, zaśpiewała „Boże coś Polskę”. Duchowieństwo dało znak organieście, by zagłuszył śpiew, ale agitatorzy nie ustąpili i ostatecznie odnieśli zwycięztwo i pieśń do samego końca odśpiewali. Policja, która dość licznie była reprezentowaną w kościele, przy wyjściu z niego aresztowała ośmiu studentów, jako głównych kierowników manifestacji, a mianowicie: Wiktora Paszkowskiego, studenta uniwersytetu petersburskiego; Kazimierza hr. Tyszkiewicza, Ksawerego Korcję i Aleksandra Zelwerowicza, studentów uniwersytetu moskiewskiego; znanego później w naszej socjalistycznej i historycznej literaturze Bolesława Limanowskiego, studenta uniwersytetu dorpackiego i dwóch jego braci: Lu-

cyana i Józefa; głośnego z czasem w nauce polskiej Benedykta Dybrowskiego; i na koniec nauczyciela Hryniewieckiego²¹³. Z rozkazu Nazimowa rozpoczęto natychmiast śledztwo, ale, jak wszystkie śledztwa tej doby, nie doprowadziło ono do niczego, gdyż, jak brzmi odnośny raport, „żadnych wskazówek co do podżegaczy i agentów tajnych nie wykryto, z powodu braku żalu szczerego w osobach aresztowanych”. Komisya śledcza, zainteresowana nowością sprawy, chciała się koniecznie dowiedzieć: „gdzie aresztowani nauczyli się hymnu”, śpiewanego w kościele? — ale ciekawość jej nawet pod tym względem nie została zaspokojoną. Jeden z młodzieży twierdził, że słyszał pieśń rzezoną zagranicą, inny, że ją zna od dzieciństwa, a Tyszkiewicz wprost odpowiedział, że nauczył jej się w Moskwie, „w czasie nabożeństwa za poległych w Warszawie”. Wszystkich pięciu uznano za przestępców politycznych i wysłano do Rosyi²¹⁴.

Podczas gdy komisya śledcza pragnęła się czegoś dowiedzieć, a w rzeczy samej nic się nie dowiedziała, w mieście, dotąd cichem i spokojnem, wybuchło oburzenie powszechne. Koledzy aresztowanych rozbiegli się wszędzie i oburzenie to podsycali. Dzięki ich zabiegom i staraniom, nazajutrz d. 21 Maja zebrał się przed pałacem jenerał-gubernatorskim tłum samych kobiet, na czele których znajdowały się panie: Walicka z córką, Żabina, obie obywatelki ziemskie i Orgelbrandowa, żydówka, żona księgarza. Panie te wyruszyły w deputacyi do Nazimowa i domagały się posłuchania, chcąc prosić o uwolnienie studentów wczoraj aresztowanych. Oczywiście, pomimo upartych nalegań, Nazimow ich nie przyjął, na co deputacya kobieca, istny wyskok szaleństwa, odrzekła, że jutro zjawi się tutaj w liczbie daleko większej i swojego musi dokonać. W mieście heroizm, jak go nazywano, niewieści, wszystkim się podobał; nie było ani jednego męża, ojca, brata, któryby wytłomaczył kobietom, że polityka nie jest ich zadaniem, że Polka prawdziwa i obywatelka rzetelna pilnuje domu i dobrze wychowuje swe dzieci, a nie włóczy się po gubernatorach moskiewskich. Rzecz prosta, iż poklask, jaki znalazły kobiety, zachęcił je

213 Raport urzędowy policyjny, jaki mamy przed sobą, nie wymienia wcale dwóch braci Limanowskich, Dybrowskiego i Hryniewieckiego. Poszliśmy w tym względzie za jednogłośnie brzmiącymi co do liczby i nazwisk aresztowanych źródłami polskimi.

214 W skład Komisji śledczej wchodził: pułkownik Haller, jako prezydujący; pułkownik żandarmów Adamowicz, oberaudytor Emilianow i cenzor wileński Muchin, który odczytywał pisma zabrane aresztowanym. Wyrok brzmiał jak następuje: Lucyan i Józef, bracia Limanowscy, skazani zostali na osiedlenie do Wołogdy, Bolesław zaś do Archangielska; Hryniewiecki do Permu; Ksawery Korejwa do Wiatki; Dybowski z początku do Dorpatu, zkąd miał być przewieziony do jednej z bardziej oddalonych gubernii rosyjskich; Zelwerowicz i Tyszkiewicz odesłani z powrotem do Moskwy i oddani pod najsurowszy nadzór policyjny.

jeszcze bardziej do wykonania tego jutro, co dziś Nazimowowi zapowiedziały. Gorliwie popierane przez młodzież, miały w istocie nazajutrz zmanifestować się w sposób jedyny i niesłychany.

Jakoż od świtu d. 22 Maja ulice Wilna zakipiały niewidzianym oddawna ruchem i wrzawą, napełniły ciche miasteczko litewskie przedsmakiem zbierającej się na horyzoncie ponurej burzy. Przed kaplicą Ostrobramską od samego rana gromadziły się tłumy kobiet ubranych w grubą żałobę, uczniów szkolnych i studentów. Mężczyzn cywilnych w ogólności było bardzo niewiele i trzymali się zdaleka. Po wysłuchaniu nabożeństwa i odśpiewaniu „Boże, coś Polskę”, kobiety, których naliczono przeszło sto, pod przewodnictwem pani i panny Walickiej, pani Żabinej, panny hrabianki Plater i nakoniec żydówki Orgelbrandowej, idąc przez ulice najludniejsze, ruszyły do pałacu generał-gubernatora. Za kobietami postępowali parami studenci i uczniowie szkolni. Pochód był osobliwszy i wszystkich uwagę zwracał na siebie, zwłaszcza obdartego żydowstwa, które gromadnie biegło za „babską procesją”, jak mówiono w mieście, i ciekawie jej się przypatrywało.

Pałac generał-gubernatorski w „Wilnie, niegdyś należący do Masalskich, znajduje się na rogu ulicy i placu, od którego rozwija się głównym, ciężkim nieco frontem. Od strony ulicy jest podjazd w głąbi dużego podwórza. Otóż część większa kobiet wdarła się na to podwórze; służba też zaraz zamknęła bramę tak, że reszta tłumu, rosnącego z każdą chwilą, dochodząca może do liczby półtora tysiąca głów, przeważnie żydów, zalała prawie cały plac. Nazimow, nieco przestraszony tem zbiegowiskiem, zgodził się, by niektóre z kobiet wpuszczone były do niego, ale pojedynczo. Przyjmował je grzecznie, lecz o uwolnieniu studentów aresztowanych słuchać nawet nie chciał. Pertraktacje te wlokły się leniwie, żadna strona ustąpić nie myślała, czas upływał, tłum na placu zwiększał się, wzburzenie rosło. Za radą oberpolicmajstra, chcąc położyć koniec scenom tak śmiesznym i tak niebezpiecznym zarazem, polecono sprowadzić nieco wojska i straż ogniową z sikawkami. Gdy te nadszedły, oznajmiono kobietom, że, jeżeli się nie rozejdą, zostaną oblane wodą. Groźba ta poskutkowała i tłum powoli się rozszedł wśród śmiechów i żartów, nie zawsze przyzwoitych, zwłaszcza ze strony żydowstwa. Manifestacja skończyła się na niczem, a nadewszystko miała finał komiczny. Mimo to Nazimow rozkazał policji, by odtąd baczną na ludność i młodzież zwracała uwagę; pani Walickiej zaś z córką, pani Żabinej i hrabiance Plater polecił opuścić Wilno i udać się do siebie na wieś, zkąd niewolno im się było oddalać, na co musiały się podpisać.

Odtąd w Wilnie „Boże, coś Polskę” brzmiało ciągle i manifestacje z charakterem religijnym były na porządku dziennym. Co wieczór nieomal tłumy

zgrupowały się przed obrazem cudownym w Ostrejbramie, lub u figury Matki Boskiej przed kościołem Franciszkanów i odśpiewywały całą seryą patryotyczno-nabożnych pieśni. Policja rosyjska, jak wszędzie w tej dobie, niedołączna i niezaradna, przypatrywała się wszystkiemu, pisywała raporta pozornie bardzo szczegółowe, ale rola jej cała na tem się ograniczała²¹⁵.

215 Mamy właśnie przed sobą kilka takich raportów, świadczących o niedołączności i niezrozumieniu swego zadania przez organa policyjne. „Dnia 17 Maja (brzmi jeden z nich), o godz. 6 1/2 po południu, w kaplicy Ostrobramskiej, po odprawieniu przez biskupa Krasieńskiego niesporów, uczniowie gimnazjum wileńskiego, których było ze 30, zbiwszy się w gromadę po lewej stronie wielkiego ołtarza, odśpiewali z gwałtownością (s nieistowstwom), krzycząc każdy z nich ze wszystkich sił, hymn rewolucyjny. Z ich liczby wiadomi są tylko dwaj N. N.; prócz nich śpiewała ten hymn córka obywatelki ziemskiej N. N. Obok śpiewających znajdował się tłum różnych ludzi, w liczbie których stał aptekarz N. a także przeszło siedemdziesięciu uczniów tegoż gimnazjum, który chociaż nie śpiewali, ale zato bacznie śledzili działalność urzędników policyjnych. Po ukończeniu śpiewu wzmiankowani uczniowie tłumnie weszli przez osobne drzwi, znajdujące się obok wielkiego ołtarza, do zakrystyi. Wyszedszy zaś z kościoła i zamknawszy za sobą drzwi, rzekli: „choźmy zbitą masą”. Wobec tego, czy nie wypadaloby zażądać od władz szkolnych, ażeby dla dozoru nad uczniami wyznaczyły dozorców szkolnych, tak do kościołów, jak i do miejsc spacerowych, do Zakrętu i Antokola, gdyż bez tego będą oni dalej swobodnie urządzać nieporządk”. - „Dnia 21 Maja (czytamy jeszcze w innym raporcie) o godz. 12 1/2 po południu, w kościele św. Jana, przy wielkim zbiegowisku ludu, po ukończeniu nabożeństwa (była to Niedziela) uczniowie gimnazjum tutejszego, w liczbie więcej niż 150, zgromadziwszy się razem w lewej nawie, między ścianą i kolumnadą, otoczeni tłumem różnych klas ludzi, upadli na kolana, a za nimi wszyscy obecni i głosem donośnym odśpiewali hymn rewolucyjny. Klęczących było około 500 osób, ale ponieważ wszyscy byli pochyleni i zasłaniali się chustkami, kapeluszymi i burnusami, więc zauważono tylko następujących (tu raport wymienia kilkanaście nazwisk); uczniów gimnazjum naliczono 62. Do tego dodać należy, że: 1) inicjatorami i kierownikami śpiewu byli uczniowie VI klasy gimnazjum, dwaj bracia D.; i 2) uczniowie gimnazjum codzień stają się śmielsi i zuchwalsi i publicznie obrażają urzędników policyjnych. Mianowicie dopuścili się oni tego d. 21 Maja, przy wyjściu dwóch urzędników policyjnych z kościoła, wielkimi drzwiami przez podwórze gimnazyalne na ulicę, gdzie uczniowie, zebrawszy się w liczbie przeszło dwustu, zaczęli krzyczeć, obrzucać obelgami i grozić ziemi następstwami; potem gdy jeden z tych urzędników, siadłszy do dorożki, odjeżdżał, to oni, wyszedłszy z dziedzińca, obrzucili go wobec znacznego zbiegowiska ludzi wyrazami obelżywymi”. — „Dnia 24 Maja, o godz. 7-ej po południu (cytujemy inny raport), przed figurą Matki Boskiej przy kościele Franciszkańskim, po ukończeniu niesporów, różnego zajęcia ludzie, a w tej liczbie około 60 uczniów gimnazjum gubernialnego wileńskiego, śpiewali hymn rewolucyjny. W ich liczbie zanotowano uczniów 24, urzędników 3. Po ukończeniu tego hymnu uczniowie gimnazjum, wyszedłszy na ulicę, zatrzymali się i umyślnie oczekiwali wyjścia urzędników policyjnych, poczem obrzucili ich najobelżywszymi słowami, zapraszając ich na jutro na jakąś majówkę (kakuju to majewku); damy zaś widocznie podmawiały ich do tego i śmiejąc się szydziły”. — „Dnia 7 Czerwca wieczorem, uczeń klasy V gimnazjum wileńskiego, żyd P., wysłany został przez uczniów

Wśród takich to wypadków, takiej gorączki rewolucyjnej, ogarniającej już nie tylko Królestwo, ale Litwę, i w ogóle prowincje zabrane, Wielopolski przystąpił do najważniejszej czynności, do uregulowania stosunków włościańskich w kraju, czego potrzebę koniecznie czuli wszyscy głęboko, tak rząd, jak Biali i Czerwoni.

Wiedzieli oni dobrze, iż w rozpoczynającej się akcji, której strasznych skutków, niestety! nikt jeszcze wtedy nie przeczuwał, na dolę chłopską przypadnie pierwszorzędną rolę do odegrania. Każdy więc chciał, by nowy czynnik, wstępujący na arenę dziejową, był mu przyjazny. Wielopolskiemu zaś szło o to głównie, by raz rozciąć wrzód ropiący się na ciele polskiem, raz skończyć ze sprawą chłopską, zawsze niezmiernie ważną i wycieńczającą organizm narodowy. Zresztą, rozwiązawszy Towarzystwo rolnicze, które w czasach ostatnich prawie wyłącznie się tą sprawą zajmowało, trzeba było samemu się nią zająć, nie chcąc narażać się na dotkliwie i, jak tym razem, zupełnie słuszne zarzuty. Chłop nakoniec nie był spokojny; obawy rzezi w kraju nie ustawały; podżegacze tajni ciągle byli chwytni w różnych stronach Królestwa; głuche wieści, wpadając w senne, posępne wody umysłu chłopskiego, tworzyły coraz większe, coraz szersze koła, obejmowały sobą najgwałtowniejsze żądze i najfantastyczniejsze nadzieje. Z drugiej strony nie przestawały do wieśniaka dochodzić różne odezwy, które jeszcze bardziej mąciły mu w głowie, a w każdym razie przekonywały go, że w kraju się coś dzieje, coś dla niego, jak przypuszczał, niebezpiecznego. Do takich odezw całkiem niepotrzebnych należało rozporządzenie o zbiegowiskach, które z rozkazu Wielopolskiego w tym czasie wszędzie odczytywano chłopom z ambon po kościołach. Lud po większej części nie rozumiał go i nie pojmował wcale o co idzie.

W takim stanie rzeczy Wielopolski przystąpił do uregulowania sprawy chłopskiej, czyli właściwie, negując zupełnie uchwałę Towarzystwa rolniczego o uwłaszczeniu, do zamiany pańszczyzny na okup prawny z początku, a następnie oczynszowanie. Wiemy, że tego rodzaju postępowanie praktykowało się u nas w kraju oddawna, a zwłaszcza od r. 1858 przybrało nieco szersze rozmiary, jakkolwiek nie takie, jakie powinno było przyjąć, gdyby zdrowe poczucie interesu publicznego przenikało głowy i serca szlacheckie. Szlachta

z progimnazjum do uczniów szkoły rabinów z poleceniem oznajmienia im, że oni chcą z nimi pogodzić się, żeby hymn rewolucyjny przetłómaczyli na język żydowski i śpiewali go, oraz żeby z nimi poszli na majówkę”.

Raporta te w sposób dosadny charakteryzują niedołęztwo i ciasnotę widnokregu władz policyjnych wileńskich. Śledzą one pilnie wszystko, ale tak niezręcznie, że uczniowie obelgami obrzucają policyjantów, którzy piszą idyotyczne raporta i na tem kończą swą czynność. Czyż mógłby jakikolwiek rząd na świecie stłumić ruch rewolucyjny, mając taką policyję?

w ogóle niechętną była oczynszowaniu, szczególnie młodszemu pokoleniu, wychowane w szkole muchanowskiego zepsucia, nie umiejące nawiązać tradycji istotnego patriotyzmu. Młodzi ci ludzie pięknie mówili na zebraniach Towarzystwa rolniczego, wygłaszali szumne frazesy liberalne, a w praktyce pragnęli pozostać jak najdłużej przy pańszczyźnie i jeżeli przystępowali do oczynszowania, to działali prawie zawsze z widoczną szkodą dla włościan. Dzięki tym wszystkim przyczynom, od r. 1858 do 1861, t. j. w ciągu trzech lat ożywionego ruchu umysłów i budzącego się patriotyzmu, na ogólną cyfrę 137.250 osad włościańskich, w kraju, podlegających robociznie przymusowej, oczynszowano zaledwie 1.017²¹⁶. Stosunek jest zanadto rażący, by nie miał świadczyć, że, pomimo wszelkich okoliczności nieprzyjaznych, szlachta niechętną była w gruncie rzeczy zmianie położenia dotychczasowego.

Wiemy już, że Wielopolski był przeciwny uwłaszczeniu, w którym widział „zmorę zaboru”, że ideałem uregulowania oplakanych stosunków wiejskich było dla niego oczynszowanie, i takowe postanowił przeprowadzić. Wychodził on z zasady, że „pańszczyzna, czyli robocizna przymusowa, nie tylko jest obcą obowiązującemu u nas prawu cywilnemu, jest ona jeszcze wyraźnym jego przepisem i całemu układowi przeciwną. Wedle art. 1142 K. C. każdy obowiązek czynienia, w razie niedopełnienia go przez dłużnika, daje tylko prawo poszukiwania szkód i straconych korzyści; dalej, w prawie tem, przymus osobisty dopuszczony jest tylko w rzadkich, wyjątkowych przypadkach, jak art. 2059 i następne tegoż kodeksu przekonywują. Przez pańszczyznę, z której pieniędzmi wykupić się nie jest wolno, ludność wiejska zostaje pod rodzajem ciągłego osobistego przymusu o dopełnienie obowiązku czynienia. Egzekucja pańszczyzny na drodze administracyjnej wywoływać musi rozdrażnienie między ludnością i stawia nieraz rząd w konieczności używania środków represyi, nie dających się pogodzić z obecnym stanem towarzyskim. Te uwagi widocznie wskazują, że chociaż zasada dobrowolności umów z kądinąd zasługuje na najwyższe poszanowanie, to przecież co do przejścia z pańszczyzny do prawnego opisu umowy czynszowej ustąpić ona musi wyższym względom, które w imię porządku towarzyskiego i dobra ogółu zniesienie pańszczyźnianych stosunków nakazują”.

Ukaz, znoszący pańszczyznę i ustanawiający okup prawny, pojawił się dnia 16 Maja.

Mocą tego prawa nowego pańszczyzna, czyli robocizna przymusowa znosiła się w Królestwie od d. 1 Października 1861 r. Naznaczenie tak odległego stosunkowo terminu miało na celu, ażeby zasiewy były zebrane, i żeby przez nagły przewrót w gospodarstwie rolnem nie narazić kraju na poważne

216 Z tych 1017 osad na gubernią warszawską przypadło 585, na augustowską 44, radomską 245, lubelską zaledwie 15, plocką 128.

straty ekonomiczne. Co do tego punktu zresztą, w Komitecie włościańskim, ustanowionym przez Wielopolskiego przy Komisji spraw wewnętrznych, a złożonym przeważnie z członków byłego Towarzystwa rolniczego, zdania były podzielone. Jedni chcieli, by pańszczyzna ustała dopiero z d. 1 Stycznia 1862 r., inni domagali się natychmiastowego jej zniesienia, bez względu na szkody, jakie kraj mógłby ponieść; jeszcze inni pragnęli, by ten termin nastąpił d. 1 Lipca. W ogólności najracjonalniejszym i najlepszym był termin 1 Października i ten też przez ukaz został oznaczony. Do tego zaś czasu chłopci roboczną, tabelami prestacyjnymi wykazaną, odrabiać byli powinni. W zamian za pańszczyznę nowe prawo ustanawiało okup, czyli wynagrodzenie pieniężne. W tym celu oparto się na cenach praktykowanych w kraju, oraz na przepisach Komisji skarbu, według których ta ostatnia obliczała wartość prestand pańszczyźnianych przy wydzierżawianiu dóbr rządowych. Według nich więc ustanowiono najniższą wartość za roboczną, podzieloną na dni piesze i sprzężajne, paro i cztero-bydłęce. Ponieważ jednak nie można było oznaczać jednostajnej wysokości okupu w całym kraju, jeszcze raz oparto się na sposobach praktykowanych oddawna przez Komisją skarbu, to jest, wzięto za podstawę ceny średnie żyta, według których rzeczona Komisja z peryodu trzydziestoletniego ułożyła tabelę podziału wszystkich powiatów kraju na pewne strefy czyli klasy. Na tej podstawie ukaz podzielił kraj na cztery takie strefy, albo jak je nazywa „oddziały”, w których cena dnia pieszego od groszy 15 dosięgała do 24, sprzężajnych w jedną parę od 40 gr. do 2 złp., w dwie pary od 2 złp. do złp. 2 gr. 20²¹⁷.

Okup ten trwać miał dopóty, dopóki nie nastąpi umowa wieczystoczynszowa między dworem i wsią. Chłopi obowiązani są okup ten płacić kwartal-

217 W oddziale I, dzień pieszy kopiejek sr. 12, ciągły 2 bydłęcy kop. 30, cztero-bydłęcy kop. 45. W oddziale II, dzień pieszy kopiejek 101/2, ciągły dwu bydłęcy kop. 27, cztero-bydłęcy kp. 40. W oddziale III, dzień pieszy kop. 9, ciągły dwubydłęcy kp. 231/2, czterobydłęcy kp. 35. W oddziale IV, dzień pieszy kp. 71/2, dwubydłęcy kp. 20, czterobydłęcy kp. 30. Do oddziału I zaś należały powiaty: wrocławski, łowicki, warszawski, stanisławowski, łęczycki, rawski, koniński. Powiatów: kaliskiego, okręg kaliski; wieluńskiego, okręg częstochowski. Oddział II, powiaty: gostyński, płocki, pułtuski, lipnowski, przasnyski, ostrołęcki, piotrkowski, sieradzki, radomski, opoczyński, olkuski. Powiatów: kaliskiego, okręg wartycki; wieluńskiego, okręg wieluński; opatowskiego, okr. solecki; kieleckiego, okr. kielecki. Oddział III powiaty: mławski, siedlecki, sandomierski, miechowski, lubelski, łomżyński, augustowski, sejneński, kalwaryjski, maryampolski, Pow. łukowskiego, okr. żelechowski i garwoliński; ptu. opatowskiego, okr. opatowski; ptu. kieleckiego, okr. jędrzejowski; ptu. stopnickiego, okr. szydłowski; ptu. krasnostawskiego, okr. krasnostawski; ptu. zamojskiego, okr. tarnogrodzki i kraśnicki. Oddział IV powiaty: radzyński, bialski, hrubieszowski; powiatu łukowskiego, okręg łukowski, ptu. stopnickiego, okręg stopnicki; ptu. krasnostawskiego, okręg chełmski; ptu. zamojskiego, okręg zamojski.

nie z góry, każdego pierwszego dnia kwartału. Wolno było chłopom pozostać przy pańszczyźnie do czasu zawarcia umowy wieczysto-czynszowej, wszakże raz odrabiania pańszczyzny zaniechawszy, już do niej bez zgody właściciela dóbr powracać nie mogli. Dalsze artykuły ukazu zajmują się sposobem egzekucji czynszów i oznaczeniem sądów, w jakich mają być spory, między stronami zachodzące, rozstrzygane. Na żądanie wyżej wymienionego Komitetu włościańskiego, którego członkowie w motywach do ukazu noszą nazwę „mężów zaufania”, dodano jeszcze jeden artykuł (14), w którym wskazano, że włościanie, odmawiający pańszczyzny przed terminem ustanowionym, ulegać będą, niezależnie od zwykłych środków egzekucji, obowiązkowi opłaty za nieodrobione dni zwiększonej ceny²¹⁸.

Takim był w głównych zarysach ukaz o okupie prawnym, stanowiącym niejako przejście od pańszczyzny do oczynszowania przymusowego. Był to więc środek tymczasowy i główną jego zaletą było to, że znosił pańszczyznę, ten trąd szkaradny na ciele polskim. Tej zasadniczej i kardynalnej zasługi nowego prawa w kraju uznać nie chciano; nie zadowolniło ono nikogo, a wielu oburzyło. Mnóstwo interesowanych, oczywiście między szlachtą niechętnie patrzącą na zbliżającą się szybkimi krokami reformę włościańską, poczęło głośno wyrażać obawę, że wobec nowego prawa wierzyciele hipoteczni mogą być narażeni na straty. Obawa ta była płonna. „Gdziekolwiek, pisze Wielopolski w motywach do ukazu, urządzono stosunki włościańskie przez uchylenie pańszczyzny za słusznym wynagrodzeniem i ludowi swobodę pracy nadano, tam ogólny dobry byt, a z nim i wartość dóbr nieruchomości wzrastały, instytucje kredytowe zakwitły, a ztąd powiększyło się bezpieczeństwo dla kapitałów hipotecznych, oraz łatwość ich realizowania”.

Inni znowu, zapatrując się na nowe prawo ze stanowiska osobistego interesu, dla każdego inaczej się przedstawiającego, oceniali je według miary strat własnych. Mówiono więc, że dni robocze zostały za nisko oszacowane, brano bowiem za normę nie wartość istotną pańszczyzny, lecz ceny najmu, jakie odtąd nastawały. Ukaz trzymał się zasady, że gdzie ludność jest większą, tam robocizna winna być tańszą i odwrotnie. Tymczasem w rzeczywistości inaczej było. Czy w skutek pojawienia się ukazu i nadziei uregulowania ostatecznego kwestyi włościańskiej, czy z innych powodów ekonomicznej natury, których rozjaśnienie w zakres nasz nie wchodzi, dość, że w wielu okolicach o dobrej

218 Cenę tę oznaczono: w oddziale I za nieodrobiony dzień pieszy kop. 18, ciągły dwubydłęcy kp. 45. W oddziale II, za nieodrobiony dzień pieszy kop. 15; ciągły dwubydłęcy kop. 40, czterobydłęcy kop. 60. W oddziale III, za nieodrobiony dzień pieszy kop. 13½ciągły dwubydłęcy kop. 34; czterobydłęcy kop. 52½. W oddziale IV za nieodrobiony dzień pieszy kop. 11, ciągły dwubydłęcy kop. 30, czterobydłęcy kop. 45.

ziemi i mocno zaludnionych, jak np. w Hrubieszowskim, Proszowskim, na Kujawach, najem nagle i nieproporcjonalnie podrożał tak, że oszacowanie ukazu wcale nie odpowiadało rzeczywistości. Dochód z osady chłopu wystarczył, więc najmować się nie chciał; może rad był w pierwszych chwilach okazać dworowi swą niezależność. Oczywiście wina tego stanu rzeczy nie leżała na prawodawcy, i on na to poradzić nic nie mógł; trzeba było zostawić to naturalnemu rozwojowi ekonomicznemu i czekać cierpliwie.

Jeżeli atoli obrzucali zarzutami właściciele ziemscy nowe prawo, to ogół kraju niemniej niechętnie je przyjął. Dla Czerwieńców, dla wyznawców Mięrosławskiego było ono rodzajem zamachu na ich program, na ich przyszłość rewolucyjną. Udanie się bowiem powstania., według nich, zależnym było od tego, że stosunki wiejskie pozostaną takimi jak przedtem i że rewolucya, jako środek pociągnięcia chłopów do ruchu, będzie miała uwłaszczenie. Wszelka więc regulacya uprzednia stosunków włościańskich była według nich zamachem na przyszłość kraju, zbrodnią przeciw ojczyźnie. Tej zasady doktrynerskiej, fałszywej i zgubnej, nie głosili oni publicznie, lękając się słusznego oburzenia opinii, ale przyłączali się ze swemi skargami na nowe prawo do tej licznej rzeszy mieszczaństwa demokratycznie usposobionego, do tych adwokatów, urzędników, literatów, kupców i t. d., którzy zbawienie kraju widzieli w uwłaszczeniu natychmiastowem. Nie przeczymy, że uwłaszczenie było środkiem najlepszym, nawet koniecznym, ale trzeba się było godzić z tem, co Wielopolski robił, boć w każdym razie było to lepszem jak pańszczyzna, a nade wszystko nie rujnowało mnóstwa drobniejszych i uboższych właścicieli. Nie uwzględniano jednak tego, sztychowano z nowego prawa, nazywano je z przekąsem „rozkładem czynszowania na raty”, cofnięciem uchwał Towarzystwa rolniczego i dalszym ciągiem zgubnej, jak mówiono, polityki rozwiązania onegoż. W Warszawie ukazał się obrazek, odbity w litografii Dzwonkowskiego, przedstawiający Faryzeusza, który pokazuje Chrystusowi monetę czynszową. Obrazek ten tani, bo tylko dwa złote kosztujący, rozkupowany był powszechnie, jako okaz szyderstwa z nowego prawa.

Tymczasem prawo to było zaiste wielkiem zdarzeniem historycznym, wystarczyłoby samo przez się do nadania 1861 rokowi doniosłego znaczenia w dziejach naszych, gdyby w kraju umysły nie były czem innem zajęte, gdyby serc i głów polskich nie porывał ów straszny, peryodyczny wichur, który je wysusza i obezwładnia na długo. Nie chciano widzieć tego, że ostatecznie pańszczyzna, po trzech-wiekowym blisko istnieniu, została zniesiona, że pękł bolący wrzód na ciele narodowem, który nadawał mu wygląd chorobliwy, który był strasznym anachronizmem, który je czynił niezdatnem ani do rozwoju normalnego, ani do wielkich wysiłków narodowych. O tem wszystkim zapo-

mniano; pisarze i poeci, tworzący co chwila kliwne pieśni i skargi do wszelkich możebnych świętych o niedoli ojczyzny, nie widzieli tego, że skończyła się po długim, przez trzy stulecia istniejącym czasie, największa i najcięższa jej niedola. Tak to niekiedy ludziom i narodom pada na oczy bielmo, zasłaniające przed nimi istotne dobro, a każące im ścigać fantastyczne marzenia i urojone ideały pomyślności. Szczęśliwe ludy, które prędko pozbywają się tego zaślepienia! my, niestety! takiego szczęścia nigdy nie mieliśmy, lub mieć nie chcieliśmy. Napróżno pewna część prasy warszawskiej podnosiła wysoko nowe prawo, napróżno zachęcała do korzystania z niego. „Gazeta warszawska”, lubo uchodząca za organ szlachecki, wołała jednak w dobrze zrozumianym interesie narodowym: „otwiera się więc dla obywateli wiejskich pole pracy i zasługi niemałej, jeżeli śpiesznie przemienią stosunek pańszczyźniany na czynszowy, doprowadzający włościan do własności. Teraz nadeszła pora działania szybko i stanowczo. Mamy powody spodziewać się, że włościanie chętniej dzisiaj do zawierania umów przystępować będą, a nie wątpimy, że właściciele ziemscy silnie przekonani będąc o potrzebie wykonania tego, co słuszność sama i potrzeba czasu wymagają, mieć będą energią i wytrwałość, potrzebną do śpiesznego dopełnienia tej wielkiej i stanowczej dla kraju reformy”²¹⁹.

Ukaz, ostatecznie zatwierdzony przez cesarza d. 15 Maja, ogłoszony został w gazetach dopiero d. 21 t. m. Wielopolskiemu szło o jak najszybsze wprowadzenie go w wykonanie. „Wszelkimi sposobami starać się nam należy, pisać w motywach do nowego prawa, aby nowe stosunki, zwłaszcza w ich związ-

219 „Gazeta polska”, jak spodziewać się należało, bardziej radykalnie na tę kwestyę się zapatrywała. „Oczynszowanie, pisze ona w No 152, równie jak opłata za pańszczyznę, lubo czasowo zaradzają złemu, nie są ostatnim wyrazem potrzeby społecznej, są to środki *pro tempore*, przejście tylko z jednego do drugiego stanu stanowiące. Ułatwienie nabycia własności, wykup czynszów, oto cel, oto konieczność, do której zdążać jak najprędzej potrzeba. Tam, gdzie, jak widzimy, brakło dotąd nawet idei własności pojedynczej, trzeba ją zaszczepić praktycznie, aby przyszłość kraju ubezpieczyć; włościanin, stając się dopiero właścicielem, staje się czynnym członkiem społeczeństwa, wchodzi w rodzinę narodu, wiązuje się z nim, poczuwa jego potrzeby, pojmując, że do ogólnej pomyślności, której część spływa nań, przyczynić się jest obowiązany. Czynsz zaspokaja chwilowo, ale nie zadowalnia, a oyczyszowanie wieczne, półśrodek najszkodliwszy, zaciemnia ideę własności, o której wpojenie chodzi głównie; rozwój sił swobodny przy nim nastąpić nie może; wieczna dzierżawa nie zaspokaja tak, jak dziedzictwo, jest zawsze obwarunkowaną, nierozporządną, niepodzielną, jakąś dwulicową własnością”. — Trwajmy w przekonaniu, że pierwszym obowiązkiem jest załatwienie tej kwestyi po bratersku, po ludzku i na starej zasadzie, zgodnej z charakterem narodowym, z duchem ofiary. Płacimy długi za przeszłość, lecz jak dzieci uczciwe, nie stękajmy, że je nam zostawili rodzice”. Było to więc wyraźne oświadczenie się za uwłaszczeniem, oświadczenie, które należy uważać za opinią wyższego mieszczaństwa warszawskiego.

ku, ile możności wolne były od zdrażnienia. Jeżeli projekt mój zatwierdzenie uzyska, pożądanem będzie jak najrychlejsze ogłoszenie postanowienia, aby wiadomość o zniesieniu pańszczyzny przez rząd, ze stolicy po kraju się szerząca, zamiast wywoływania niekorzystnych następstw, dokładną znajomością szczegółów i warunków uzupełniona, przyczyniła się do coraz głębszego uspokojenia umysłów”.

W tym celu, w celu „coraz głębszego uspokojenia umysłów”, Wielopolski postanowił rozesać na wsie osobnych urzędników, którzyby chłopu ukaz odczytywali i wprowadzali go w wykonanie. Dla tych komisarzy już w kilka dni potem, bo d. 21 Maja, przygotował instrukcją specjalną, która polecała, ażeby delegat, przybywszy na miejsce, udał się do kancelaryi wójta gminy i wezwał go o niezwłoczne zwołanie wszystkich sołtysów i włościan pańszczyźnianych w gminie na oznaczony czas, jednocześnie z chłopami ma być wezwany właściciel dóbr, lub jego plenipotent. Jak tylko wszyscy się stawią, urzędnik delegowany, przybrany we właściwy mundur, odczytać winien wolno i głośno sam ukaz, bez żadnych ze swej strony objaśnień i komentarzy. Natychmiast po odczytaniu ukazu, urzędnik przystąpi do odczytania tak zwanej informacji, zredagowanej przez Wielopolskiego i wyjaśniającej ukaz. W końcu tej informacji pomieszczony był taki ustęp „najjaśniejszy pan chce, abyście, jako jemu wierni poddani, spokojnie się zachowywali i z dziedzicami waszymi w zgodzie żyli, powinności wasze czy to w robociznie, czy w gotowiznie, wedle tutaj objawionej wam woli rządu uiszczając i aby nie było powodu za nieuległość was karać”.

Instrukcja kilkakrotnie jak najkategoryczniej zabraniała wszelkich objaśnień ustnych, odpowiadania na pytania, lub przyjmowania skarg od włościan. W rzeczywistości jednak inaczej się działo. Tego rodzaju delegatów wyznaczała Komisya spraw wewnętrznych i oczywiście wyznaczała z pomiędzy urzędników niższych i młodszych, którzy od dawien dawna przesiąknięci byli duchem skrajnego rewolucjonizmu i należeli do wszelkich manifestacy i kół spiskowych, tworzących się na bruku warszawskim. Doskonale oni pojmowali, że jest to sposobność jedyna przekonania się naoczego o usposobieniu kraju a nadewszystko chłopów i dlatego skwapliwie chwycili się tej misyi. Przeciwni ukazowi, który nie czynił zadość ich ideałom rewolucyjnym, z góry postanowili mu szkodzić, gdzie tylko można było i wcale nie myśleli krępować się instrukcją²²⁰. Między nimi znalazł się także Edward Jurgens, który rad był

220 Do gubernii radomskiej i lubelskiej Komisya spraw wewnętrznych wysłała ogółem 18 delegatów, na których skarb Królestwa wydał rs. 2041 kop. 3. O ilości delegatów, wysłanych do innych gubernii, nie mamy danych: to tylko pewna, że oprócz nich ukaz ogłaszały także władze administracyjne i sądy pokoju.

tej wycieczce, dającej mu możność pod pokrywką misji urzędowej przekonać się o istotnem położeniu ludu i o jego usposobieniu. Udał on się w Lubelskie. Inni, rozjechawszy się w różne strony, wszędzie mówili, że „ukaz ten nic właściwie nie robi dla chłopu; że wszystko skończy się tylko na zwiększeniu czynszu, że chłop nigdy nie będzie wolny, że panowie do Października wszystko przerobią” i t. p. Łatwo pojąć, jak takie słowa oddziaływać musiały na wieśniaka i jak silny niepokój budził się w jego duszy. Tak to najlepsze zamiary Wielopolskiego natrafiały wszędzie na przeszkody niezwalczone i rozbijając się musiały o złą wolę wykonawców.

Mimo to nie upadał on na duchu, znajdując orzeźwienie i źródła nadziei w olbrzymiej, gorączkowej pracy, jakiej się poświęcał, w snuciu nowych projektów i nowych reform, które sądził, że zdołają wpłynąć na uspokojenie umysłów. W połowie Maja, właśnie w tym czasie, gdy ukaz znoszący pańszczyznę miał być wkrótce ogłoszony, Wielopolski przygotował memoriał do cesarza, żądając jeszcze większego rozszerzenia praw autonomicznych Królestwa. Korzystając z tego, że cesarz osobiście był mu bardzo przychylny, że przysłał mu przez pośrednictwo namiestnika podziękowanie i uznanie jego zasług, ośmiela się zauważyć, że „instytucye, któremi najjaśniejszy pan raczył łaskawie obdarzyć Królestwo Polskie, nie wyłączając nowego ukazu o okupie pańszczyzny, szczerze wprowadzone w życie, zdaje mi się, że odpowiadają potrzebom najbardziej naglącym mej ojczyzny. Postępując drogą rozsądną reform użytecznych, rząd i kraj znajdują się powoli na szerokiej i żyznej drodze legalności.

Reformy te nie przyczynią się nigdy do osłabienia władzy, tej strażnicy porządku społecznego, więcej niż kiedykolwiek u nas koniecznego w tej chwili. Jego C. Mość trzyma w swym ręku potężne środki, zdolne podnieść w oczach Jego poddanych polskich znaczenie i urok łask, jakich im udzielić raczył”.

Czegóż więc żądał margrabia? Przedewszystkiem żądał, by podobnie, jak Ogólne zgromadzenie departamentów rządzącego senatu zastąpiła już Rada stanu, zastąpił IX i X departament tegoż senatu Sąd najwyższy, niegdyś objęty konstytucją 1815 r. i Statutem organicznym, zachowując przytem pożyteczną instytucją prokuratora naczelnego. Była to tylko zmiana formy, nie dotycząca się w niczem istoty rzeczy, ale zmiana ta przypominałaby krajowi lepsze jego dni, zbliżała go do instytucji Królestwa kongresowego, „odpowiedziałyby, jak pisał Wielopolski, życzeniom kraju, życzeniom, podług mnie, legalnym, i byłaby rękojmią naszej autonomii administracyjnej”. Następnie domagał się, żeby przywrócono w Królestwie dawny podział na ośm województw. „Podczas ostatnich zaburzeń, motywował to swoje żądanie, rząd miał sposobność przekonania się, że obecny podział administracyjny obejmuje zanadto wielkie przestrzenie, by działalność administracyjna mogła być skuteczna. Ta-

każ niedogodność okaże się wkrótce pod względem reprezentacji interesów w Radach gubernialnych. Reprezentacja ta stanie się skuteczniejszą i odpowie lepiej potrzebom, które się zmieniają odpowiednio do miejsca, gdyby liczba Rad była zwiększoną. Prócz tego przypuszczenie do Rady stanu znamienitości krajowych, pochodzących z wyborów, stanie się z kolei rzeczy bardziej odpowiadającym istotnym interesom kraju. Zmiany te w niczem nie rozminą się z zasadami ustanowionymi przez N. Pana, uczynią tylko zastosowanie tych zasad bardziej zupełnem”.

W dalszym ciągu żądał, by język polski był przywrócony w urzędach: „Redakcja projektu do prawa o Radzie stanu, tłumaczył się, naturalnie wywiodła na stoł kwestyą języka urzędowego. Prawa obecnie obowiązujące nie nadają tego charakteru językowi rosyjskiemu i nie przepisują wyraźnie znajomości tego języka, jako warunku przypuszczenia do urzędów publicznych. Racz N. Panie w swej wspaniałomyślności i sprawiedliwości utrzymać obecne urządzenie w tej kwestyi. W tem życzeniu poddanych W. C. Mości jestem osobiście interesowany, gdyż, jeżeliby znajomość języka rosyjskiego była uznana za konieczną dla biorących udział w Radzie administracyjnej, jako nie posiadający tego języka, musiałbym się usunąć. Chciał wreszcie, by Rada stanu miała w pieczęci herb Królestwa, jak również mundury w kolorach narodowych, takie, jakie były przepisane przed rokiem 1830, oraz żeby ta łaska rozszerzona była na Komisją wyznań i oświecenia publicznego. „Wysoka mądrość cesarza i króla, pisał, oceni czy to jest możliwem, ażeby ta sama łaska zaraz była rozszerzoną na inne gałęzie służby cywilnej Królestwa, a mianowicie, ażeby wolno było mieszkańcom tego kraju nosić dawne mundury obywatelskie²²¹. Ta wielka łaska W. C. Mości, nadając instytucjom niedawno utworzonym charakter narodowy, odpowie gorącym życzeniom kraju. Środek ten nakoniec przyczyni się do odebrania wszelkiego znaczenia wychodźtwa, osiadłemu w stolicach Europy, które uchodzi za reprezentacją Polski. Liczni podróżnicy polscy, mogąc występować w mundurach o barwach narodowych, nie będą wstydzili się swych stosunków z misyami cesarskimi rosyjskimi, a zatem i ze światem urzędowym na obczyźnie, który wkrótce przekona się, po czyjej stronie stoi Polska prawdziwa i prawowita. Jeżeli cesarz i król raczy uzupełnić w ten sposób miarę swych dobrodziejstw, jego wierni poddani w Królestwie i Europa cała przyjmą z uwielbieniem ten akt monarchy wspaniałomyślnego, który przyrzekłszy wiele udziela nagle daleko więcej, niż przyrzekł. Jednocześnie w kraju coraz więcej utrwać się będzie ufność ku rządowi J. C. Mości, a co do mnie, dumny będę, iż mogę poświęcić me życie służbie wielkiego monarchy.

221 Granatowe z amarantem.

Opatrzność Boska wynagrodzi J. C. Mość, że przyczynił się do rozwoju i szczęścia mej ojczyzny, udzielając mu panowanie pełne chwały”.

Memoryał ten, który gdyby był wszedł w wykonanie, zwłaszcza co do barw narodowych, reformy najbardziej rzucającej się w oczy tłumów, mógł mieć nader zbawienne skutki, wręczony został ks. Gorczakowi, który nie przesłał go nawet do Petersburga, gdyż w tej dobie niczem się już nie zajmował z powodu choroby, jaka nim owładła. Później zaś, zobaczymy w miejscu właściwym, jakie wrażenie jeden tylko ustęp z tego memoriału wywarł w Petersburgu. Gdyby Gorczakow był żył, niektóre żądania Wielopolskiego możeby weszły były w wykonanie, ale na nieszczęście Polski śmierć szybkimi krokami zbliżała się do starego namiestnika.

Zostawiliśmy go wstrząśniętym do głębi przez straszne wypadki kwietniowe; po nocach przed jego rozgorączkowaną wyobraźnią snuły się mury żałobne i grobowe. Zasnął właściwie d. 19 Kwietnia, a choć doniósł o tem cesarzowi²²², jednak nie pokazywał tego po sobie. Mimo to, wszyscy otaczający widzieli w nim wielką zmianę; zwykle łagodny, wahający się, niezdecydowany, stał się nagle rozdrażnionym, gwałtownym. Nie ufał już teraz nikomu, podejrzewał wszystkich, tak, że nie można z nim było mówić spokojnie o najzwyczajniejszych i najubożniejszych przedmiotach. Gniewał się o lada co; udawał, że jest zdrowy, krzepił się jak mógł i gdy mu napomykano o potrzebie spoczynku, o wycieczce do wód zagranicznych, ani chciał o tem słyszeć. Wprawdzie przez jakiś czas sam nosił się z myślą ustąpienia z namiestnictwa, mówił nawet o tem Kotzebuemu, ale nazajutrz, jak zwykle bywało, zmienił zdanie i rzekł do tegoż Kotzebuego: „rozmyślałem długo nad moją dymisią i przyszedłem do przekonania, że nie ma nikogo w Rosyi, ktoby mię mógł zastąpić” (*j'ai beaucoup médité sur ma retraite, et je suis venu à la conclusion qu'il n'y a personne en Russie, qui aurait pu me remplacer*). Tymczasem w Petersburgu na seryo już myślano o tem, żeby starego, zniedołężniałego namiestnika usunąć i rozglądano się dokoła, kogoby wybrać należało na to stanowisko niezmiernie teraz trudne, śliskie i pełne odpowiedzialności.

Do tego usposobienia nad Nową, a zapewne i do rozdrażnienia, jakie owładnęło teraz Gorczakowem, przyczynił się bardzo wiele stary intrygant, zły i zgryźliwy Niemiec, wspomniany Paweł Kotzebue. Jakkolwiek był on w stosunkach zażyłych z namiestnikiem, jakkolwiek był to może jeden jedyny z plebejuszków, którego arystokratyczny książę przypuścił do swej poufałości i nic bez niego nie robił, przecież Kotzebue nie czuł się w niczem obowiązany Gorczakowowi i ciągle obok niego, przy nim i za jego plecami intrygował.

222 Depesza z d. Kwietnia do ministra wojny: „dziś jestem niezdrów” (siewo dnia niezdrów).

Widząc, że namiestnik co chwila staje się słabszym, postanowił pod pozorem dobra państwowego donieść o wszystkim do Petersburga, napisać do ministra wojny, że „wszystko tu w Warszawie stare i zmurszałe i ludzie i system rządzenia; wszystko potrzebuje odmiany; wypadki płyną jak chmury i grożą katastrofą”; domagał się, żeby minister raczył o tem zawiadomić cesarza, iż należy nowego namiestnika przysłać do Warszawy, młodszego, energiczniejszego, gdyż ksiązę Gorczakow jest chory moralnie i fizycznie, że nawet w ostatnich czasach miał kilka ataków nerwowych. Do tego pisma zdradzieckiego dołączone było świadectwo lekarskie, potwierdzające fakt choroby namiestnika.

Bojąc się jednak, żeby to nie wyglądało na denuncyacyą, przez szczególny sposób pojmowania rzeczy i wypadków, Kotzebue postanowił list ten swój pokazać Gorczakowowi. Być może (jeżeli wolno odgadywać historykowi skryte myśli ludzkie i pobudki czynów), iż Kotzebuemu szło o to, by obezwładnić Gorczakowa, który nie wiedząc o piśmie traktowałby je wprost jako denuncyacyą, wiedząc zaś nie mógł oczywiście przeciw niemu wystąpić. Samo zaś pismo spełniłoby swoje; podkopałoby stanowisko starego wodza, stanowisko, którego, jak wieść powszechna niesie, Kotzebue gorąco pragnął dla siebie i czuł się zupełnie odpowiednim do jego zajęcia.

Tym razem jednak niegodna ta intryga się nie udała. Gorczakow, mając sobie przedstawione przez samego autora pismo rzeczone, ze zwykłym brakiem decyzji w stanowczych momentach życia, przeczytał je z pozornym spokojem, poprawił nawet jeden błąd pod względem języka (list był skreślony po rosyjsku) i rzekł: „poślij pan, ja nic nie mam przeciw temu”. W gruncie jednak rzeczy, oburzył się mocno. Jak wszystkie charaktery słabe, a co zatem idzie i skryte, przez tego samego kuryera wysłał także swój list do ministra wojny Suchozaneta, za którego pośrednictwem miało się dostać do cesarza pismo Kotzebuego i w liście tym między innymi było takie zdanie: „widzisz pan wśród jakich intryg zmuszony jestem działać!” Rezultat tej intrygi wypadł jak najgorzej dla Kotzebuego. Przysłano mu urlop roczny (właściwie na jedenaście miesięcy) do Rosyi i zagranicę, co oczywiście równało się uwolnieniu ze służby; jakoż wyjechał on zaraz do Paryża. Co zaś do Gorczakowa, to utwierdzono się w stolicy caratu jeszcze mocniej w przekonaniu, że jest on wprost niemożliwy, jako namiestnik Królestwa. Radzono mu w sposób naglący, by postarał się o poprawę swego zdrowia, obiecywano mu urlop trzechmiesięczny, tak, że namiestnik wybierać się począł do wód w Ems i mówił, że „jedzie tylko na miesiąc, a za miesiąc wróci i zarządzi wybory do rad powiatowych i miejskich”.

Jak na teraz atoli ofiarą intrygi padł dotychczasowy generał-gubernator warszawski Paniutyn, którego niedołęztwo w jaskrawych kolorach przedsta-

wił w swem piśmie Kotzebue. Paniutyna postanowiono w Petersburgu usunąć, gdyż nie miano powodu oszczędzać go tak, jak oszczędzano Gorczakowa, starego wodza sewastopolskiego, zasłużonego generała i kniazia. Już w końcu Kwietnia decyzja ta zapadła, oczywiście za uprzednim porozumieniem się z namiestnikiem i zamierzono powołać na to stanowisko generała Lamberta, pochodzącego z rodziny francuzkiej, bawiącego w tej chwili zagranicą, a który z czasem bardzo wielką i bardzo tragiczną rolę miał odegrać w wypadkach polskich. Wysłano do niego zapytanie, czy gotów jest przyjąć generał-gubernatorstwo w Warszawie i oczekiwano właśnie na jego odpowiedź. Paniutyn o tem wszystkim nic nie wiedział, tak, że Gorczakow w d. 29 Kwietnia pytał się telegramem cesarza, czy może uwiadomić już Paniutyna o jego dymisji, oraz czy do czasu, nim Lambert da odpowiedź, może zastępczo powierzyć generał-gubernatorstwo Merchelewiczowi? Cesarz zgodził się na to, Paniutyn został uwolniony i d. 19 Maja nazawsze opuścił Warszawę, udając się do Petersburga, zostawiwszy po sobie pamięć w mieście człowieka dobrego, jakkolwiek intryganta. Tym to intrygom zawdzięczał on swój upadek. Usunięto także od prezydencji w komisji śledczej w cytadeli osławionego generała Jermołowa, a na to miejsce powołano pułkownika von-Tschudi.

Gdy się to wszystko działo w sferach rządowych, gdy namiestnik, przeniósłszy się na mieszkanie do Belwederu, z każdą chwilą nieomal tracił siły, choć udawał zdrowego, w mieście było pozornie dość cicho i spokojnie, tak, że oberpolicmajster Rozwadowski z wyraźnego rozkazu Gorczakowa uznał za stosowne porobić pewne ulgi mieszkańcom. Przez rozporządzenie z d. 13 Maja, dozwolono więc „z uwagi, że porządek w mieście w niczem nie został naruszony”, chodzić po godz. 10 wieczorem bez latarek. Świadczyło to, o tyle o ile, o dobrych chęciach konającego wielkorządcy Polski, ale nie o jego przenikliwości. Pod spokojem bowiem pozornym wulkan wrzał i kipiał, dając znać o sobie od czasu do czasu przez wybuchy złowróźbnego dymu. W ogrodzie Saskim chłopcy z niższych klas szkolnych zbierali się tłumnie prawie codziennie i podzieliwszy się na dwie partye: Polaków i Moskali, staczali ze sobą walki, w których oczywiście ci ostatni zawsze bywali pobici, przy oklaskach i oznakach uznania ze strony publiczności, zawsze przypatrującej się gromadnie temu widowisku i zachęcającej dzieciuchów do niego. Zdarzało się, że niekiedy policja mieszała się w te zabawy, wzywała chłopców do rozejścia się, pobitego mocno wodza „Moskali” osłaniała, ale zwykle sama musiała ze wstydem rejterować wobec oburzenia publicznego, obelg, świstań i krzyków. Za przykładem Włochów, nie chcących nosić przed kilku laty kapeluszy cylindrowych, poczęto je zrzucać, a stroić się natomiast w czapki, kapelusze węgierskie, lub t. z. neapolitańskie z wielkimi, bandyckimi skrzydłami. Ale

i temu śmiesznemu objawowi pseudo-patryotyzmu, Bóg wie z czyjej inicjatywy, postanowiono nadać charakter głośnej, publicznej manifestacji. Pewnego dnia, wśród śmiechów, krzyków, oklasków, mężczyźni zrzucali w ogrodzie Saskim „cylindry”, tak, że aleje literalnie były niemi zasypane.

Tymczasem z Gorczakowem było coraz gorzej. Choroba widocznie się wzmagała, tak, że wezwano z zagranicy jego żonę i obie córki (Zofię i Barbarę, z męża Pankratiew), które przybyły do Warszawy d. 24 Maja. Nazajutrz, koło południa, nastąpiło gwałtowne pogorszenie, jakkolwiek lekarze wojskowi utrzymywali, że niebezpieczeństwa jeszcze nie ma. Ale gdy na drugi dzień się nie polepszyło, gdy lekarstwa przestały działać, gdy chory upadł nadzwyczajnie na duchu i ciągle o śmierci mówił, zaproszono do rady polskie znakomitości lekarskie, między nimi Chałubińskiego, ale ratunek był już prawie niemożliwy. Paraliż płuc powolny, ale ciągły, zapowiadał śmierć rychłą i męczącą. Chory ciężko cierpiał, dusił się i niczem już stanowczo zajmować się nie mógł, a noce przepędzał niespokojnie wśród wizji i dręczącej jakiejś trwogi. To też przedewszystkiem, d. 26 Maja, zdał dowództwo nad armią generałowi Kryżanowskiemu. W Petersburgu dowiedziano się o niebezpiecznym stanie Gorczakowa d. 25 Maja, z telegramu Kryżanowskiego i postanowiono natychmiast wysłać na zastępcę namiestnika, generała Suchozaneta, ministra wojny, a tymczasem cesarz przez depeszę z d. 26 Maja nakazał generał-gubernatorowi Merchelewiczowi, jako najstarszemu po Gorczakowie pod względem rangi generałowi, pełnienie obowiązków „zarządzającego służbą cywilną” w Królestwie i prezydowanie w Radzie administracyjnej, dopóki nie przybędzie Suchozanet, który miał wyruszyć do stolicy polskiej d. 28 Maja.

W tymże samym dniu, w którym Merchelewicz otrzymał rozkaz zarządzania Królestwem, zdarzył się na Lesznie wypadek opłakany, świadczący, jak dalece umysły były wzburzone. Była to niedziela i kościółek karmelicki, który niedawno tak ważną rolę odegrał w ruchu rewolucyjnym, był przepelniony modlącymi się. Ktoś miał zauważyć, że jakiś człowiek kręci się ciągle po kościele i w czasie śpiewu „Boże, coś Polskę” robi znaki kredą na plecach śpiewających. Czy w istocie tak było, trudno dziś dociec, dość, że puszczone pogłoskę, że to szpieg i może najniewinniejszego biedaka miano odtąd na oku. Gdy nakoniec wyszedł z kościoła otoczono go i zbito niemiłosiernie, tak, że cały pokrwawiony ledwie zdołał wymknąć się i uratować od śmierci niechybnej i strasznej. Nadbiegła policja i żandarmi, ale rozdrażniony tłum schronił się na chodniki, które na Lesznie oddzielone są od ulicy bardzo szerokimi rynsztokami, tak, że wszelkie usiłowania żandarmów rozpedzenia zbiegowiska były bezowocne.

Podobnaż scena powtórzyła się nazajutrz w Czerniakowie z innym człowiekiem, podejrzanym także o szpiegostwo, którego ledwie ocaliła policja



i żandarmi. Bicie szpiegów nazywano odtąd w Warszawie „wysmaleniem skóry!” Gdy się rozległ ten okrzyk, biada było nieszczęśliwemu, na którego się rzucono. Jeżeli nie życiem, to zdrowiem przypłacał straszny akt „sprawiedliwości ludowej”.

To „smalenie skóry”, te krwawe awantury uliczne świadczyły o wzrastających znowu falach wzburzenia, ucihłego nieco na chwilę po okropnych dniach kwietniowych. Do policyi dochodziły głuche wieści o przygotowującej się jakoby w uroczystość Bożego Ciała, przypadającą we Czwartek d. 30 Maja, wielkiej manifestacji. Kryżanowski, jako naczelnie dowodzący armią, chciał przy odgłosie bębnow obwieścić miastu, że pierwszy wystrzał z cytadeli na alarm, będzie zarazem znakiem, że Warszawa znajduje się w stanie oblężenia. Telegrafował d. 27 Maja do Petersburga i domagał się usilnie, by odpowiedni rozkaz wydano Merchelewiczowi. Jakoż tego jeszcze dnia wieczorem, o godz. 11½, minister wojny, a zarazem zastępca namiestnika, Suchozanet, polecił Merchelewiczowi, ażeby taką odezwę, jakiej domagał się Kryżanowski, opublikował. Odezwę tę więc poczęto redagować, gdyż co chwila przychodziły nowe wieści o przygotowujących się jakoby bardzo ważnych wypadkach i Kryżanowski chciał, by koniecznie ogłoszono stan wojenny. Na szczęście oparł się temu stanowczo Wielopolski; mówił, że niema żadnego powodu do używania tego surowego środka, że lepiej go zachować na chwilę istotnego niebezpieczeństwa, że wieści o gotującej się jakoby manifestacji, jeżeli nie są zupełnie fałszywe, to w każdym razie mocno przesadzone. Merchelewicz, człowiek dobry i łagodny, dał się przekonać i d. 28 Maja na rogach ulic miasta ukazała się odezwa następująca:

„Mieszkańcy Warszawy! Wołą monarszą powołany zostałem do objęcia zarządu częścią cywilną w Królestwie Polskiem, na czas choroby J. O. księcia namiestnika. Oznajmiając o tem mieszkańcom miasta Warszawy, mam nadzieję, że spokojne zachowanie się wasze i uległość władzom, dozwoli mi spełnić powołanie moje pieczę tylko nad dobrem waszem. W razie ponowienia zaburzeń i zbiegowisk, postanowienie Rady administracyjnej Królestwa z d. 27 Marca (8 Kwietnia) r. b. z żołnierską sumiennością wykonam. Postanowienie rzezone ogłaszam wam na nowo. W Warszawie d. ¹⁶/₂₈ Maja 1861 r. Jenerał-adjutant, Merchelewicz”.

Groźba zawarta w tej odezwie, groźba, której się nikt nie lękał, ani też zapowiedź „żołnierskiej sumienności”, nie mogły powstrzymać rozszalałej młodzieży i agitatorów ulicznych. Z odezwy sztychowano, w wielu miejscach zbryzgano ją błotem i kałem, w innych pozdzierano, tak, że musiano przyklepać nowe egzemplarze, a gdy te taki sam los spotkał, przystawić na rogach ulic żandarmów z poleceniem czuwania nad całością proklamacji namiestni-

kowskiej. Oberpolicmajster zaś warszawski, pułkownik Rozwadowski, musiał w parę dni potem przez publiczne ogłoszenia przypominać agitatorom, że w kodeksie kar głównych i poprawczych istnieje paragraf, zabraniający odzierania lub niszczenia obwieszczeń, publicznie przez zwierzchność wystawionych, pod karą aresztu od dni trzech do tyłu tygodni, lub opłaty pieniężnej od jednego do dziesięciu rubli. „Ponieważ, pisze w końcu Rozwadowski, podobne przekroczenia w obecnym czasie miały miejsce, przeto oberpolicmajster z rozkazu J. W. generał-adjutanta Merchelewicza, zarządzającego częścią cywilną w Królestwie, podając do powszechnej wiadomości powyżej cytowany artykuł prawa, uprzedza zarazem, że winni w tym wypadku, wedle brzmienia powołanego prawa do odpowiedzialności pociągnięci będą.”

Wszystko to oczywiście skutku mieć nie miało i władza, zwłaszcza Kryżanowski drżał z obawy przed zbliżającą się uroczystością Bożego Ciała, a z nią, zapowiedzianą przez policję, wielką jakoby manifestacją. W strachu przed nią robiono próby u arcybiskupa Fijałkowskiego, czyby nie uznał za stosowne nie odprawić procesji publicznych, ale propozycją tę arcybiskup odrzucił i słusznie, gdyż byłoby to lekarstwo gorsze od choroby samej, a nade wszystko dałoby nowy powód do tysiąca skarg na ucisk, jakiego się niby rząd dopuszcza względem kościoła katolickiego. Kryżanowski przedsięwziął tylko pewne ostrożności, o których głuche i przesadzone wieści, przedostając się do publiczności, wywołały obawę i ten rodzaj nerwowego naprężenia, które przy pierwszej lepszej sposobności, przy najmniejszym wypadku, mogło być wywołać panikę i zamieszanie powszechne. Obiegały po mieście pogłoski, że Moskale skorzystają ze znacznego nagromadzenia się ludności, by rzeź między nią sprawić. Pogłoski te stały się tem prawdopodobniejsze w oczach strwożonej Warszawy, że rano w dzień Bożego Ciała na placu Zamkowym ukazało się kilka dział, wylotami skierowanych w zbiegające się tu ulice. Jednym słowem obie strony przejęte były obawą urojoną i niczem nie uzasadnioną.

W procesji sam arcybiskup wziął udział. Jest starym zwyczajem warszawskim, że procesja taka postępuje z katedry przez plac Zamkowy na Krakowskie Przedmieście, na którym wzniesionych jest kilka ołtarzy. Tym razem jednak, z powodu, że na placu rzeczonem od wypadków kwietniowych obozowało wojsko i porozbijane były przezeń namioty, zmieniono więc kierunek procesji, która, wyruszając z katedry, miała iść na rynek Starego Miasta. Napływ ludności przez nabożeństwo, przez ciekawość, przez chęć wreszcie wzięcia udziału w manifestacji, jeżeli ona istotnie przyjdzie do skutku, był ogromny. Cała ulica Śto-Jańska, Zapiecek, Piwna, Podwale, Stare-Miasto, Gołębia i t. d. zapełnione były tłumami, nieco niespokojnymi, nadsłuchującymi pilnie, czy nad głowami ich nie zerwie się jaka straszna, pełna krwi i trupów

burza. W katedrze na nabożeństwie odśpiewano nowo utworzony hymn na Boże Ciało, w którym była mowa, że Polacy gotowi iść na działa i bagnety, byle ojczyznę z niewoli wydobyć, w którym nieznanemu autorowi dziwi się, że Pan Bóg pozwala jeszcze dotąd Moskalom gnębić Polaków, tym Moskalom, którzy niedawno po dwakroć krzyż Boży biczowali. Takie to pieśni uchodziły za nabożne i prawowierne i śpiewano je po kościołach z gorącą wiarą w ich skuteczność i ortodoksyjność.

Obok występującego z katedry z monstrancją arcybiskupa, ubranego we wszystkie insygnia swego dostojęstwa, starca siwowłosego, zgarbionego, posuwali się gubernator Łaszczyński i oberpolicmajster Rozwadowski w błyszczących mundurach. W chwili gdy wyruszano z katedry zagrzmiało potężne „Boże, coś Polskę”, które, podawane przez usta ustom, brzmieć poczęło na wszystkich ulicach, szumiało, jak wody szerokie wszędzie dokoła. Orszak, wśród tej zawsze wspaniałej i zawsze wstrząsającej serce polskie pieśni, powoli posuwał się ku Staremu Miastu, a głos tysięcy ludu, wydobywając się z ciasnych zaułków staromiejskich, z pod dawnych, średniowiecznych murów, które widziały tyle dni chwały i tyle dni niedoli polskiej, płynął falą olbrzymią pod jasne, błękitne niebo majowe, gdzie niestety! dawno już nikogo nie było, coby chciał słuchać skarg polskich... Wrażenie tego potężnego, imponującego śpiewu było ogromne. Kobiety głośno szlochały, serca z bólu pękały za tą ojczyzną tak nędznie, tak marnie zatraconą...

Wśród tego wszystkiego orszak dociągnął do rynku Starego Miasta, a arcybiskup zatrzymał się na rogu, przed ołtarzem tam urządzonym. Wtem, przy wylocie ulicy Piekarskiej, zdarzyło się, że żandarm konny, których poustawiano na wszystkich rogach, wypadkiem popchnął koniem chłopca, który z krzykiem upadł. Robi się oczywiście w tak zbitych masach, przejętych trwogą przed groźącą im jakoby rzezią, zamieszanie; lud faluje jak wody, gdy odparte zostaną od brzegu. Wtem na ulicy Śto-Jańskiej rozlegają się donośne głosy: „uciekajcie, Moskale idą zabijać! Moskale strzelają!” a nawet zagrzmiał okrzyk: „hura!” jaki wydaje wojsko moskiewskie, idące do ataku. Okrzyk ten i wyrazy: „Moskale strzelają” przebiega z ust do ust w najdalsze kąty, powstaje straszna, trudna do opisanego panika. Słysząc płacz kobiet, krzyk dzieci, wszystko co żyje ciśnie się z powrotem do kościoła, popychają się, depczą, gubią parasole, czapki, kije; wielu pokaleczono, połamano ręce, nogi. Nacisk był tak wielki, tak gwałtowny i tak bezmyślny, że arcybiskup popychany i potrącany, omdlał ze strachu. Podnoszą go, a Rozwadowski, nie tracąc przytomności, radzi drżącemu i zmieszanemu mocno Fijałkowskiemu, ażeby wzniósł w górę monstrancję, sam zaś powiewa chustką i skłania osoby otaczające, żeby to samo czyniły. Widok monstrancyi, w której promieniach złocistych słońce

zapaliło oślepiające blaski, podziałął uspokajająco; najbliżsi padli na kolana, za nimi inni i powoli zapanowała w tłumie cisza... Procesya odbyła się dalej, po tem krótkim zamieszaniu w porządku. Jeszcze raz wprawdzie usiłowano wzbudzić popłoch w chwili wejścia orszaku do kościoła, ale lud już temu nie uwierzył i zachował się spokojnie. Na bocznych tylko ulicach schwymano znowu kilku mniemanych szpiegów, „wysmalono im skórę” i ofiary rozdrażnionej ludności odprowadzono do cyrkułu policyjnego. Tak się skończyły wypadki tego dnia, którego się tyle obawiał Kryżanowski. Manifestacyi żadnej nie było, a o powodach zamięszania podczas procesyi różne historye sobie opowiadano. Mówiono między innymi, że przyczyną przerażenia powszechnego, była rakietka, która nagle ukazała się na czystym tle nieba, wypuszczona z Belwederu dla zawiadomienia Zamku i cytadeli, że ksiązę Gorczakow, namiestnik Królestwa, w tej chwili właśnie skonał.

Jakoż w rzeczy samej tak było. Choroba wlokła się przez cały tydzień blisko i chociaż, jak wiemy, z początku nie wydawała się niebezpieczną, tak, że doktorzy twierdzili, że po trzech, czterech tygodniach namiestnik będzie zdrow, z każdym dniem jednak stawała się groźniejszą. Z początku Gorczakow, nosząc się z zamiarem wyjazdu zagranicę, sam się domagał od cesarza, by przysłał Suchozaneta do Warszawy na zastępstwo i cesarz pisał mu d. 27 Maja, że „w skutek żądania pańskiego, posyłam ministra wojny dla czasowego zastępstwa. Modłę się do Boga o prędkie wasze wyzdrowienie”. Widocznie więc Gorczakow był przekonany, że po chwilowej nieobecności wróci na Zamek warszawski, nie wiedząc o tem, że dymisya jego była prawie postanowiona i że w Petersburgu oglądano się pilnie dokoła, komu powierzyć niezmiernie teraz ważne stanowisko wielkorządcy polskiego. Tymczasem choroba namiestnika wzmagała się; bywały godziny, że wstawał, spoczywał w fotelu, ale upadek sił był nadzwyczajny, duszność nieustanna, a w końcu przyłączyła się do tego bezsenność. Wreszcie d. 30 Maja, w samo południe, gdy na Starem Mieście, w czasie procesyi, rozgrywały się wyżej opisane sceny, stary książ moskiewski skonał w cichym, wiosenną zielenią teraz otoczonym Belwederze.

Taki był koniec człowieka, który przez sześć lat przeszło rządził Polską, na którego dolę przypadły początki najstraszliwszej burzy, jaka kiedykolwiek niebezpieczny ten kraj dotknęła. Pogrzeb jego odbył się w dziesięć dni dopiero potem, d. 8 Czerwca, przy zwykłej pompie i blasku. Ciało stało przez ten czas w cerkwi pałacowej w Łazienkach, gdzie je mogli odwiedzać wszyscy. Odwiedził je także przejeżdżający do Moskwy, generał Lambert. Ponieważ zmarły, w poetycznym wspomnieniu krwawych dni sewastopolskich, pragnął być pochowanym w stronie północnej tej twierdzy i cesarz się na to zgodził, więc ciało musiało być przewiezione na Wiedeń, Galacz do ujścia Dunaju, a ztąd morzem do Krymu. Nakazano

wojskom, konsystującym w Królestwie, włożyć żałobę na trzy dni, a pułkowi Bryańskiemu piechoty, którego szefem był Gorczakow, na dziewięć dni.

Dnia 8 Czerwca, o godz. 11-ej rano, ciało umieszczone na karawanie, w sześć koni zaprzężonym, ozdobionym herbami wszystkich gubernii Królestwa, powieziono na dworzec drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej. Przed karawanem szła setnia kozaków i szwadron żandarmeryi. Orszak postępował przez park Łazienkowski, Aleję Ujazdowską, Nowy Świat i Aleję Jerozolimską. Na wszystkich tych ulicach rozstawione były wojska. Znaki i ordery niesiono na dziewięciu poduszkach przez siedmiu sztabowych i dziesięciu wyższych oficerów. Potem szli śpiewacy cerkiewni i popy w swych kołpakach na głowie i ryzach żałobnych, a po nich dopiero karawan, prowadzony przez sześciu masztalery. Za rodziną, postępującą tuż za zwłokami męża i ojca, prowadzono konia okrytego kirem. Za tym koniem ukazała się chuda, szczupła, niepoczesna figura ministra wojny Suchozaneta, pełniącego obowiązki namiestnika w Królestwie, a za nim Rada administracyjna, senat, generałowie, konsulowie zagraniczni, oficerowie sztabu, urzędnicy, wszyscy w mundurach paradnych, błyszczący złotem i orderami. Orszak kończył pułk piechoty, pułk ułanów i bateria artylerii konnej. Gdy pociąg kolei z trumną ruszył, artyleria i piechota dała po trzy salwy, a huk ten był ostatniem pożegnaniem człowieka, który bardzo ważną i bardzo zgubną niestety! rolę odegrał w naszych dziejach.

Publiczność, oprócz motłochu i żydów²²³, bardzo mały wzięła udział w pogrzebie. Od rana po ulicach snuła się młodzież szkolna i zwracała idących ku Łazienkom w stronę przeciwną. W domach, około których orszak przechodził, pozapuszczano w oknach firanki i zasłony. Urzędnicy polscy szli za trumną tylko do Nowego Światu, a potem poczęli wymykać się po jednym, po dwóch i skręcać w ulice boczne. Wielu zachowywało się tak nieprzyzwoicie, że idąc za pogrzebem palili cygara. Ci, którzy wytrwali do końca, gdy potem wracali do domów, zostali przez uliczników powitani gwizdaniem i krzykami, rodzajem małej kociej muzyki. Ciało do granicy odprowadziło czterdziestu szeregowców z osławionego pułku Kostromskiego i sześciu kozaków kubańskich, zagranicą zaś do samego Sewastopola, jechali ze zwłokami adjutanci zmarłego: Mezencow, Meyendorf, Golicyn, Ładimirski i Urusow. Na stacjach kolei występowały wszędzie wojska i gromadki publiczności, zachowując się spokojnie, ale chłodno. Na granicy ciało odebrała straż austriacka, a w Wiedniu sam cesarz Franciszek Józef przeprowadził zwłoki namiestnika. W Sewastopolu pochowano go ostatecznie d. 19 Czerwca.

223 Pojawienie się żydów na pogrzebie, jak zapewnia Chrulew w swych pamiętnikach (Czasopismo „Kołosia” z r. 1884, 90—118) naruszyło harmonię między Polakami i żydami, a niektórych wracających z pogrzebu nawet pobito w ogrodzie Saskim.

Tak więc nie stało człowieka, który przez swój brak charakteru i stanowczości, przyczynił się bardzo wiele do nieszczęść, jakie potem spadły na Polskę. Pomimo strasznych scen kwietniowych, pomimo chwilowych rządów gwałtu i represji militarnej, zostawił on dobre w kraju wspomnienie, dzięki swej prawości, uczciwości, tak rzadkiej w satrapach moskiewskich, rządzących Polską, dzięki sercu, które bolało nad tem, co się dzieje, które życzyło Polsce jak najlepiej, które nakoniec w marzeniach swoich śniło może o zgodzie wiekuistej dwóch narodów, przez los połączonych ze sobą. Był to człowiek bądź co bądź z szerszym poglądem na rzeczy; nie był zwyczajnym generałem „stupajką”. Nie ulega wątpliwości, że reformy marcowe jemu prawie wyłącznie zawdzięczały swe istnienie, że on je zainicjował i popierał u cesarza tak gorąco, że aż blizki kuzyn posądzał go o „utrata głowy”. Łudził się, że reformami zażegna burzę, zbierając się nad krajem, ale czyż on jeden się łudził? Wszak i Wielopolski, człowiek nieporównanie wyższy od Gorczakowa i znający kraj lepiej, miał takie same złudzenia, co jemu można za grzech poczytać, ale nigdy staremu namiestnikowi, który w najszczerzej chęci starał się o reformy i o ich możliwie szybkie wprowadzenie. Reformy udzielone zostały, ale wpływu czarodziejskiego, jakiego po nich oczekiwano, nie wywarły. Kraj podawnemu wrzał, modlił się, śpiewał hymny zakazane, które wszystkich generałów i samego namiestnika w sposób osobliwszy drażniły. Wówczas to, za radą kamaryli wojskowej, za zgodą może i samego Wielopolskiego, zrobił ze wstrętem i odrazą krok stanowczy; zezwolił na prowokację ludu, by mu dać w d. 8 Kwietnia naukę krwawą i straszną.

Niestety! i tym razem się łudzono. Rzeź kwietniowa, owe margrabskie „krwawe starcie”, kraju nie uspokoiła, a na starego namiestnika silny i nadzwyczaj zgubny wpływ wywarła²²⁴. Schodził teraz ze sceny dziejowej nieżałowany przez nikogo, nikomu już niepotrzebny, przez lud warszawski przeklinany za krew, którą z niego wytoczył²²⁵.

224 Zagranicą powszechna, w najpoważniejszych nawet dziennikach ukazująca się wieść, że Gorczakow pod grozą tych wypadków dostał pomieszania zmysłów, jakkolwiek jest kłamliwą, ma jednak źródło prawdziwe. Rzeź kwietniowa wstrząsnęła do głębi schorowanym starcem i powaliła go na łożę, z którego już wstać nie miał.

225 Wkrótce po rzezi kwietniowej obiegał po Warszawie w licznych odpisach wiersz, zatytułowany: „Klątwa na Gorczakowa”, skreślony przez autora nieznanego, tej treści:

„I ty, co cię naród swym obrońcą mienił,
Ty, coś swe piękne imię na zbójcę zamienił,
Nie pomnąc jak od wszystkich byłeś szanowany,
Morderco! zbrodniarzu, polską krwią zbryzgany!
Próżno się na nas miota twa nienawiść wściekła,
Próżno wzywasz twe siostry, krwawe jędze piekła,

Jeżeli śmierć jego mogła być korzystną dla kraju, gdyby następca był człowiekiem dobrej wiary, dobrej głowy i energii, to z drugiej strony, w razie przeciwnym była ciężką klęską. Przysłowiowe szczęście polskie nie dało nam za wielkorządcę takiego dobrej wiary i dobrej głowy człowieka. To też z tego punktu widzenia śmierć starego kniazia była nieszczęściem dla Polski. Zmarły gorąco się zajmował reformami, dla margrabiego żywił szczerą przyjaźń i przekonanie, że popierać go należy wszelkimi siłami i pragnął, by kraj na drodze autonomicznej coraz bardziej się rozwijał.

Próżno zarazasz ziemię swym wszetecznym rodem,
Próżno się uniewinniasz przed biednym narodem,
Już cię wiecznej niesławy objęła pomroka.
Wrótce może rozprysnie twa brzydka posoka (sic)
Tam gdzie nie ma ludzi, gdzie gad tylko chodzi,
Bo ropa twoja same potwory wyrodzi.
Nie ma dziś w świecie równego tobie szermierza,
Coby, jak ty, był godzien stryczka i pręgierza.
Powiedz, czy w twoich piersiach serce wtedy biło,
Czy słońce twym złowieszczym oczom nie świeciło,
Gdyś na lud się modlący wydał wyrok śmierci?
Gdy czerkies niemowlęta rozdzierał na ćwierci,
Gdy ciała męczenników o kamień rozprysły,
A wleczone na stryczkach wrzucano do Wisły?
Jeszcze drgały oczy pomroką zaćmione,
Raz jeszcze na rodziną obracały stronę.
Nie chciałeś, by ich ziemia ojczysta pokryła,
By ich mogiły wolna trawa zieleńiła,
Wypiaستowana braćmi jednej matki synów,
Bo niechciałeś mieć świadków swoich niecnych czynów.
Niechaj ci we dnie i w nocy jęk zabitych dzwoni,
Niech Bóg zemsty znak hańby wyciśnie na skroni,
Niechaj każdy twój pokarm ich krwią będzie zlany,
Każdy napój ze łzami ich matek zmieszany.
Bodajbyś wiecznie konał w okropnej katuszy,
A wiecznie nie mógł oddać potępionej duszy.
Bodajby sęp żarłoczny szarpał tve wnętrzości,
Bodajby ogień piekła trawił twoje kości,
Bodajby ziemia przyjąć twoich zwłok nie chciała,
Lecz gromada psów wściekłych one poszarpała.
Bodajby twoje plemię z szatana poczęte,
Miało piętno na czole twą krwią wyciśnięte.
Bodajby... lecz słów braknie w przekleństwach dla ciebie,
Zbrodniarzu! pomnij na to, że jest Pan Bóg w niebie,
On słyzy jęki sierót i ludu wołanie,
A ciebie wraz z twym carem na ziemi nie stanie!”

Teraz, z jego śmiercią, inaczej dzieć się miało i Wielopolski musiał walczyć i szamotać się nietylko z burzą, szalejącą dokoła niego, nietylko z ziemią, drżącą mu pod nogami, ale i ze złą wolą, z ciasnotą pojęć, z nawyknięciami samowoli moskiewsko-żołnierskiej przyszłych następców berła namiestnikowskiego. Akcja więc staje się bardzo zawiłą, powieść coraz więcej skomplikowaną, horyzont nad Polską coraz chmurniejszy, burza coraz bliższą. Zobaczymy teraz, jak po skończonym pierwszym akcie ponurego dramatu polskiego, akcie, płynącym w nieskończoność dziejową z hukiem i dymem salw wojskowych, żegnających zwłoki Gorczakowa na dworcu kolei, rozpocznie się scena nowa, stokroć posępniejsza, stokroć groźniejsza, mająca zakończyć się katastrofą tak olbrzymią i tak straszną, jakich dzieje nie wiele przykładów dają.

KONIEC TOMU DRUGIEGO

DOKUMENTA

No I (do str. 122)

W sprawie memoriału Enocha

Podania dotychczasowo zawierają pod względem faktycznym jeden błąd kardynalny, a mianowicie co do daty napisania i podania księciu Górczakowowi memoriału Enocha. Karnicki w swoim *Suum cuique*, może w chęci wywyższenia siebie i podniesienia odegranej przez niego roli, utrzymuje, że będący w mowie memoriał był napisany *post factum*, czyli po uzyskaniu monarszej sankcyi dla reform, Królestwu Polskiemu nadanych, chcąc tem dowieść, że takowy nie miał i mieć nie mógł żadnego wpływu na nie, i że cała zasługa w ich uzyskaniu jemu jednemu przynależy. Byćby jednak mogło, że fałszywe twierdzenie to pochodziło z istotnej nieświadomości rzeczy; bo memoriał był napisanym i podanym podczas gdy Karnicki już był w Petersburgu, a zatem mógł on nie wiedzieć dokładnie daty jego powstania. Kiedy zaś doszedł jego wiadomości i czy mu za powrotem do Warszawy Enoch o nim wspominał, nie jest mi wiadomem. Sekretarz Stanu przy Radzie Administracyjnej i Naczelny Prokurator przy ogólnem zgromadzeniu warszawskich Departamentów Rządzącego Senatu, przy zachowaniu w stosunkach wzajemnych najuprzejmiejszych form salonowych, wzajemnie się nie lubili; Karnicki miał Enocha za chytrego parweniusza, któremu zazdrościł przeważnego wpływu na umysł namiestnika; Enoch zaś Karnickiego za fałszywego i liżącego się dworaka. Zaufania więc wzajem do siebie nie mieli i nie jest niepodobieństwem, że Enoch zgoła Karnickiemu o swoim memoriale nie mówił, jeżeli zaś to uczynił, to niewątpliwie w sposób dla tego ostatniego nieprzyjemny, w skutek czego obrażona miłość własna, nie mając materyalnego dowodu daty, wytworzyła teorią dla siebie pochlebniejszą: napisania memoriału po dokonanym fakcie. Również i ksiązę Górczakow, który cenił zdolności Karnickiego, lecz nie miał do niego sympatyi, jak i margrabia Wielopolski,

który o jego charakterze miał nieprzychylną opinią, mogli uważać za zbyt uczynne wtajemniczać Karnickiego w istnienie memoriału i nie jest niepodobnym, że Karnicki dowiedział się o nim i o dokładnej jego treści dopiero z dzieła p. Lisickiego. Na tę myśl naprowadza poniekąd tak późne zjawienie się jego *Suum cuique*, który to tytuł możnaby w tym razie przetłumaczyć po polsku „wszystko mnie, drugim nic”. Że pismo to mogło jak najśluszej Enocha oburzyć, nic w tym dziwnego. Chciał na nie odpowiedzieć i wyjaśnić istotny stan rzeczy; pisał w tym celu do Kretkowskiego zapytując, czy nie będzie miał nic przeciwko wymienieniu go, jako autora (właściwiej byłoby jako redaktora) memoriału. Tymczasem Karnicki życie zakończył i Enoch, uważając, że prowadzenie na ostre polemiki z przeciwnikiem, któremu śmierć dopiero co usta zamknęła, byłoby niewłaściwym, odłożył urzeczywistnienie swego zamiaru na później. Niewątpliwie miał w tym rację, lecz na nieszczęście wkrótce potem sam zachorował; bujny, świetny, błyszczący i błyskotliwy jego umysł zaczął się pokrywać pomroką; zaćmienie szybkim posuwało się krokiem i doprowadziło go do grobu. Te to są przyczyny, dla których Enoch nie upomniał się o swoje, a szkoda to nieodżałowana, bo niewątpliwie będąc wtajemniczonym, jako główny działacz, we wszystkie szczegóły przejść idei reform, zaczątkowanych przez margrabiego, byłby wyświecił nie jeden punkt ciemny tej, tak bolesnej dla nas w skutkach epoki.

Lecz jeżeli Karnicki świadomie, lub nawpół bezwiednie (co prędzej przypuszczam) naznaczył memoriałowi zbyt późną datę urodzin, inni stanowczo podają zbyt wczesną. Rzeczywisty zaś przebieg rzeczy był następujący. Strzały generała Zabołockiego padły. Wzburzenie, zresztą zupełnie naturalne, a podniecane jeszcze przez agitatorów, chcących je wyzyskać dla swoich celów, było ogromne. Ze stanowiska władzy należało zapewne stawić mu czoło i siłą go poskromić, bez względu na to, że prawdopodobnie do dania ognia wyższego nie było rozkazu. Tego zdania był szef sztabu jeneralnego, Paweł Kotzebue i kilka osobistości stronnictwa wojskowego. Gdyby tak postąpiono, byłoby znowu więcej ofiar, lecz oszczędzono by krajowi wiele krwi, łez i nieszczęść, które następnie na niego lawiną się sypnęły. Lecz szlachetny do przesady książę Namiestnik nie mógł się zdecydować broczyć dalej drogą zalaną krwią Polaków, z którymi żył się i których pokochał, przebywając w pośród nich od lat kilkudziesięciu. Zdawało mu się, że wyjednanie reform, odpowiednich wyrażonym wówczas przez ludzi poważnych życzeniom, zapobiegnie rozwojowi ruchu i potrzebie krwawej walki ulicznej, której przedewszystkiem chciał uniknąć; otaczający go Polacy wzmacniali go w tem przekonaniu. Wysłał w tym celu Karnickiego do Petersburga, nie wątpię, że z instrukcjami piśmiennymi i, o ile w podobnych razach to jest możebnem, dokładnymi, gdyż

Karnicki był zbyt ostrożnym, ażeby cokolwiek na własną brać odpowiedzialność. Lecz pobyt jego w Petersburgu przeciągał się, a żadnej nie było pewności, czy i jakie ustępstwa na rzecz krajowego samorządu zostaną uzyskane. Wtedy to (jeżeli się nie mylę, w Piątek, na dziesięć dni przed rozpoczęciem Wielkiego tygodnia) pewnego wieczoru Kretkowski otrzymał od Enocha kartkę, wzywającą go w pilnym i ważnym interesie. Za przybyciem, Enoch zażądał napisania w języku francuskim memoriału, wskazując punkta żądań, mające wejść w ramy takowego; że dane te były wynikiem rozmów z margrabią Wielopolskim prowadzonych i opierały się na porozumieniu z nim, o tem Kretkowski nie wątpi. Nazajutrz wieczorem, Kretkowski zaniósł Enochowi memoriał, napisany słowo w słowo tak, jak w dziele p. Lisickiego jest wydrukowanym; obejmował on wszystkie żądania przez Enocha wskazane z dodaniem jedynie dwóch własnej Kretkowskiego inicjatywy, zawartych w ustępie końcowym. Całkowita osnowa przedstawionego przez Enocha memoriału trafiła do przekonania Namiestnika, a ponieważ reformy, w takowym wskazane, sięgały poza granicę żądań zawiezionych przez Sekretarza Stanu przy Radzie administracyjnej, a może i nadawały tym ostatnim nieco odmienny kształt, zachodziła potrzeba nowego zniesienia się z Petersburgiem. Zapewne droga telegraficzna i korespondencyjna byłaby tej potrzebie w zupełności wystarczyła, gdyby nie okoliczność, że według doniesień tajnej policyi, była przygotowaną olbrzymia manifestacja, zapowiedziana na Wielki Tydzień (zda się na Środę Wielkotygodniową). Książę Namiestnik chciał ją uprzedzić i sparaliżować ogłoszeniem pod tą datą koncesyi monarszych i uniknąć tym sposobem krwawego poskromienia, któreby wtedy mogło być nieodzownem, a po którym i nadzieja reform byłaby prawdopodobnie straconą. Szło więc o pośpiech i wtedy Namiestnik zdecydował się na wysłanie drugiego gońca do Petersburga. Zapewne Enoch zaproponował mu Kretkowskiego, jako Namiestnikowi dobrze znanego i bardzo przezeń lubianego. W trzy dni po wręczeniu memoriału przez Enocha Kretkowski wyjechał z Zamku około piątej wieczorem z dwoma zapieczętowanymi pakietami, z których jeden pod adresem księcia Górczakowa, Ministra Spraw zagranicznych, brata stryjecznego Namiestnika, drugi dla Tymowskiego, Ministra sekretarza Stanu Królestwa Polskiego, z instrukcją ustną Namiestnika: 1-o przyjazdu według możliwości najrychlejszego do Petersburga; 2-o czynienia wszystkiego, co będzie mógł, celem zyskania monarszej sankcyi dla żądanych reform przed dniem na manifestacją oznaczonym (według powyższego przed Środą Wielkotygodniową); 3-o zawiadomienia go telegraficznie z chwilą położenia najwyższego podpisu; 4-o trzymania się we wszelkich rozmowach i objaśnieniach urzędowych zasad memoriału. Drogę do Dynaburga Kretkowski odbył *perekładną*, bez chwili

odpoczynku, przeprowiwszy się przez Bug (sic — zapewne Dźwinę), gęstą krą pokryty, a dalej koleją. Wprost z dworca kolei Petersburskiego, na który przybył o rannej godzinie, udał się do Ministerium spraw zagranicznych, a następnie do Sekretaryatu Stanu, gdzie ministrom oddał przeznaczone dla nich pakiety, przyczem starał się opisać jak najwierniej wzburzenie umysłów w Warszawie, przedstawić potrzebę jak najprędszego zdecydowania stanowczego, mających być przedsięwziętami reform, w duchu rozszerzenia autonomii, aby nie przyszły poniewczasie; wobec zaś Ministra spraw zagranicznych, który po odczytaniu depeesz, odezwał się: *je crois que mon cher cousin a un peu perdu la tramontane*, usiłował usprawiedliwić dotychczasowe postępowanie Namiestnika i postawienie żądań, które w przekonaniu tegoż miały uspokoić wzburzenie. Tymowski zaś i Karnicki, któremu natychmiast depeesze zakomunikował, nie tracąc chwili czasu, przebrali się, objechali wszystkich ministrów, zyskali znaczną większość dla żądań Namiestnika i na odbytej nazajutrz Radzie ministrów, ukaz o reformach ustał przez Monarchę podpisany w mniemaniu, że kraj zadowolni i ochroni od potrzeby krwawej represyi. Natychmiast po podpisaniu Kretkowski księcia Namiestnika zawiadomił, ten zaś zaraz po otrzymaniu telegramu wiadomość tę w dziennikach warszawskich ogłosił, celem uspokojenia umysłów. Na tem ograniczyła się cała rola Kretkowskiego, ku prawdziwemu jego zadowoleniu, bo lubo w wielu wypadkach, gdzie go Namiestnik wzywał do objawienia swego zdania, obstawał przy swoim z całą siłą przekonania (czego mu Namiestnik nie miał nigdy za złe), w tym jednak razie odebrał tylko rozkaz od wysokiego swego zwierzchnika i nie pozostawało mu jak wiernie go spełnić; również bodźcem była myśl, że w tych strasznych okolicznościach wypadało, jak to czynił Namiestnik, chwycić się chociaż cienia nadziei, aby uniknąć krwawych i okropnych skutków, któreby kraj pograżyły w tumany krwi i żałoby; lecz z drugiej strony ciężko było popierać z całą siłą wiary w skuteczność środki, o których w głębi duszy miało się przekonanie, że niczemu nie zapobiegną i potoku nie cofną. Kretkowski miał to przekonanie i kiedy Enoch zażądał napisania memoriału, objawił mu je z całą szczerością; wiele w tym duchu rozmawiał także z mecenasem Majewskim, z którym wracał z Petersburga, a który pomimo gorącości uczuć, przeciwnego był zdania do chwili stąpienia na bruk warszawski. Przekonanie to, że ustępstwa przyszły zapóźno lub zawczasie, z którym Kretkowski w rozmowach poufnych wcale się nie ukrywał, ściągnęło nań następnie niełaskę Margrabiego, pomimo, że najgorliwiej służył i z uwielbieniem hołdował jego ideom.

Powyższe wyjaśnienie dowodzi faktu, za który Kretkowski poręczyć może:

- 1) że memoriał był przezeń na żądanie i z natchnienia Enocha napisanym;
- 2) że był napisanym po wyjeździe Karnickiego do Petersburga i podczas jego

tamże pobytu; 3) że stał się on ostatnim bodźcem do nadania Królestwu reform w tvch granicach, w jakich wtedy zostały udzielone. W. D.

No 2 (do str. 69)

Memoryał Michała Łempickiego

„J. O. książę! Przedewszystkiem winien jestem zrobić uwagę, że do rzetelnego pojęcia słów moich koniecznie potrzeba, abyś W. ks. Mość uwierzył, że można być dobrym Polakiem, a niekoniecznie nienawidzić Rosyi, owszem, że można być dobrym Polakiem, a obok tego pragnąć szczerze i Rosyi dobra. Uwierzyć zaś w to W. ks. Mość wtenczas tylko możesz, jeżeli sam, jako dobry Rosyanin uczujesz się zdolnym pokochać Polaków i ich dobra zapragnąć. Na wspólne nasze nieszczęście, dotąd po większej części dzieje się przeciwnie: dotąd patriotyzm polski polega nie wyłącznie na miłości sprawy narodowej, ale niemal koniecznie i na nienawiści do naszych zwycięzców — jak znowu w ogóle patriota rosyjski czuje dla nas jeżeli nie pogardę, to przynajmniej niechęć, a często nawet nienawiść. Jest to fakt, niestety! aż nadto prawdziwy, nieskończenie małe wyjątki najlepszym są tego dowodem. A przecież Mości książę, dla wzajemnego naszego dobra w bliższej i dalszej przyszłości, koniecznością jest zastąpić te nieprzyjazne uczucia, uczuciami przyjaznymi; koniecznością jest, albowiem z woli Bożej losy obu narodów są nierozdzielne. Że tak jest, świadczą dzieje. Był czas, że Polska i Rosya połączone były pod panowaniem polskim. Było to krótko i upadło, ale było. Dziś znowu część Polskiłączona z Rosyą pod panowaniem Rosyi. I to także upadnie, bo upaść musi dla tego samego, dla czego tamto upadło, dla tego właśnie i jedynie dla tego, że jest panowaniem. Aż przyjdzie czas swobodnego całej Polski i Rosyi połączenia, bez panowania jednych nad drugimi. A ten czas przyjsć musi, bo z woli Bożej losy obu narodów są nierozdzielne. Otóż pierwszym a koniecznym do tego krokiem jest pozbywanie się wzajemnej niechęci, a zdobywanie w to miejsce wzajemnej życzliwości, wzajemnego szacunku i szczerzej chęci pomagania, nie szkodenia sobie. Na tej drodze początkować winna Rosya, jako naród panujący, a przedewszystkiem władze rządowe. Tak dalece jest to prawdą, że od postępowania rządu w najbliższej przyszłości zależeć będzie, czy mamy wejść dobrowolnie zaraz teraz w wieczny związek z Rosyą, czy też dopiero po długich, może wiekowych, krwawych zapasach, po mnogich, nieprzeliczonych a okropnych klęskach, spełnić wolę Opatrzności.

Naród rosyjski jest zwyciężkim, u nas panującym, więc z natury rzeczy tego panowania dobrowolnie się nie zrzecze, chyba w widocznym przekonaniu, że go utrzymać nie potrafi. Otóż zadaniem tego mego pisma jest przekonać W. ks. M. i wszystkich mężów stanu Rosyi, że panowanie Rosyi w Polsce upaść musi, a nawet upadnie niedługo.

Mości książę! w ostatnich dwóch latach zaszła radykalna zmiana w prawie publicznem europejskiem. Zasada dynastyczna ustąpiła pierwszeństwa zasadzie narodowości. Skutkiem tego wielu panujących pozbawieni tronów, a ich poddani tworzą jedno potężne państwo Italii; z drugiej strony wszystkie narody pod berłem Austrii i Turcyi budzą się do życia niepodległego. Najstarsza z dynastyi europejskich, dynastya Habsburgów zrzeka się własnowolnie praw do samowładnego panowania i powołuje narody do pisania praw, wedle jakich rządzone być mają. A przecież nie tu koniec następstw owej zmiany w publicznem prawie europejskiem, następstw, jakie nieprzeparta logika wypadków koniecznie spowodować musi. Zasada narodowości, t. j. zasada, że najwyższem prawem, jest prawo każdego narodu do bytu niepodległego; zasada ta zwycięzka we Włoszech musi zwyciężyć wszędzie i wszędzie zwycięży. Niedalej jak na przyszlą wiosnę Wenecya i Węgry odpadną od Austrii. Bardzo być może, że stanie się coś więcej, ale za co z zupełną pewnością poręczać mogę, to za niepodległość Węgiei i za połączenie Wenecyi z resztą Italii. Na tronie węgierskim osiadzie, przez naród obrany, kuzyn cesarza Francuzów, zięć króla włoskiego; wtedy Węgry staną się państwem rdzennem, z którem połączą się Rumuny i Słowianie tureccy, a może nawet i wszyscy Słowianie austriaccy. Nie trzeba zapominać, że Garibaldi zobowiązał się uroczyście w imieniu Włoch pomagać Węgom w ich walce o niepodległość. Ze tego zobowiązania Włochy dotrzymują, ich własny interes najlepszą rękojmnią. Tą bowiem drogą najłatwiej przyjdą do Wenecyi. Ale choćby nawet tak nie było, choćby Włochy odzyskały Wenecyą w inny jaki sposób, to zawsze nie przestanie być ich interesem mieć za sąsiada zamiast nieprzyjaciela, naród wolny i przyjazny, więc zawsze ich interesem będzie pomódz Węgom do odzyskania niepodległego bytu. Otóż nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w roku przyszłym Austrya dotychczasowa istnieje przestaje, a w jej miejscu powstaje państwo wolne, tak jak Włochy i Francya i najściślej z obydwojma przymierzem złączone. Powiedziałem wyżej, że na tronie tego państwa zasiadzie książę Napoleon i jest to najprawdopodobniejsze; już nawet ta myśl żyje pomiędzy Węgrami. Może jednak ten tron uregulować jeszcze dla siebie cesarz Franciszek Józef, jeżeli w dobrej wierze i z całą potrzebną energią pójdzie drogą, po jakiej idzie Wiktor Emanuel; jeżeli usłucha przyjaznych głosów, ukazujących mu ją, jako jedynie zbawienną. Czy ich usłucha? Niedaleka przyszłość pokaże.

Że przecież są ludzie, którzy usilnie nad tem pracują, o tem mogę zapewnić W. ks. Mość uroczycie. W rezultacie jednak czy panować tam będzie Napoleon, czy nawet cesarz Franciszek Józef, wszystko jedno; nic to natury rzeczy nie zmieni, nie zmieni natury państwa, które będzie nowym żołnierzem, nowym obrońcą zasady: że najwyższym prawem jest prawo każdego narodu do bytu niepodległego. W każdym więc razie tworzy się na granicy Rosyi potężne państwo, z natury swojej Rosyi nieprzyjazne, a całą potęgą Włoch, Francyi, nawet Anglii poparte. Jest to fakt nieunikniony i już dziś nie ma potęgi, która by mu spełnić się nie dozwoliła; nie wypowiadam go tu bez obawy i pytam, czy Rosya na przyjęcie takiego sąsiada jest przysposobiona?

Mnie się zdaje, że nie, bo wojny z nim nie wytrzyma, a pokój i zgodę otrzymać będzie mogła tylko zrzeczeniem się Polski. Ależ Rosya dla zachowania stanowiska swego w Europie, Polski się nie zrzeknie; więc nieuniknioną wojna, której ostatecznym następstwem będzie wprowadzie oswobodzenie Polski z pod panowania Rosyi, ale Polski zniszczonej, krwią zalanej. Z drugiej strony również nieuniknionem następstwem tej wojny będzie osłabienie Rosyi takie, że przez długie lata ran swych nie zagoi, a nadewszystko postawienie Polski i Rosyi, jako dwóch wrogów śmiertelnych, czychających na każdą sposobność wzajemnego sobie szkodzenia. Otóż Mości książe, ponieważ ten ostateczny wypadek jest tak samo zgubnym dla Rosyi, jak dla Polski, i ponieważ okupić go mamy niesłychanym krwi ludzkiej przelewem i wzajemnymi nie do opisania kłóskami, uważałem za mój sumienny obowiązek przekonać W. ks. Mość, że ten wypadek jest nieuniknionym, jeżeli Rosya wcześniej, a czas do tego jest nieskończenie krótki, nie postawi kroku, któryby go nie dopuścił.

Tutaj, dla nadania większej wagi słowom moim, dla mocniejszego przekonania W. ks. Mości, że i dziś mówię prawdę, zmuszony jestem powołać się na pismo moje do Najjaśniejszego Pana jeszcze z r. 1857. Powiedziałem tam wyraźnie, że zasada narodowości musi przyjść do panowania, że koniecznym tego następstwem będzie utworzenie potężnego państwa Italii pod berłem dynastyi sabaudzkiej, a z drugiej strony upadek Austrii. Fakta od tego czasu dokonane, oczywiście dowodzą, że powiedziałem prawdę, że widziałem dobrze.

Nie moją jest winą, Mości książe, moje stanowisko w społeczeństwie, moją przecież jest zasługą przewidzenie wypadków, jakie nastąpić mają; a wypowiedzenie ich jasne i sumienne i wtenczas i teraz jest niezaprzeczoną dowodem, że pragnę usilnie dobra Polski łącznie z dobrem Rosyi. Jeżeli tedy dobrze widziałem w r. 1857, może mam prawo mniemać, że i dzisiaj widzę dobrze, że więc prawdą jest to, co dzisiaj powiadam. Wszakże fakta już dokonane dają mi świadectwo, że powiedziałem prawdę, bo oto już od dwóch

lat dzieje się ruch rewolucyjny, który przepowiedziałem, tylko teraz posługuje się całą siłą organizowanego państwa i ma wodzem człowieka, który nazywa się Napoleon. Idzie więc śmiało naprzód do pewnego zwycięstwa, i na rok przyszły staje na granicy Rosyi. Wszakże fakta już dokonane niezaprzeczenie dowodzą, że gdyby N. Pan przez odbudowanie Polski był pierwszy wprowadził w życie zasadę narodowości, jak to zrobił cesarz Napoleon przez wojnę włoską, byłby zajął w Europie znakomitsze jeszcze stanowisko od tego, jakie dziś cesarz Francuzów zajmuje. Bo Italia nam, nie Francyi, byłaby winna swój byt niepodległy, a cesarz rosyjski byłby już dziś królem całej Polski, królem węgierskim, czeskim, serbskim i rumuńskim i panem w Konstantynopolu. Wszak dziś już nie możesz W. ks. Mość zaprzeczyć, że po odbudowaniu Polski w r. 1857, wszystko to w jednej kampanii 1858 r. z armią trzech a nawet dwóchkroć stotysięczną można było zrobić. A właśnie taką myśl przedłożyłem wówczas J. C. Mości. Dziś stan rzeczy zupełnie jest inny, dziś nie marzyć już o takiej wielkości dla cesarza Rosyi, bo to wszystko już zajęte, to wszystko już w potężnej dłoni cesarza Francuzów; dziś już jedna tylko kwestya zostaje do rozstrzygnięcia. a mianowicie kwestya taka: co jest dla Rosyi lepiej, czy czekać wypadków, aby się doczekać po dwóch, a najdalej trzech latach Polski, po walce z Rosyą. niepodległej, więc Rosyi nieprzyjaznej, czy też wziąć inicjatywę w tej sprawie i w dobrej wierze użyć całej swej potęgi do odbudowania dawnej Rzeczypospolitej?

Może wiadomości dyplomatyczne, jakie ma rząd rosyjski, nie przedstawiają rzeczy w takim świetle, w jakim ja je tu przedstawiam; w takim razie poważam się ostrzedz, że mogą być one niekoniecznie prawdziwe. Bo dziś Mości książę, obok dyplomacyi gabinetowej, powstała druga publiczna; chodzi ona po ulicach, wstępuje do mieszkań prywatnych, do zakładów fabrycznych, rzemieślniczych i do zagród wiejskich. Moje wiadomości po największej części od tej ostatniej pochodzą, a wiem, że są pewne, to też na duszę moją przysięgam W. ks. Mości, że w przeciągu dwóch, trzech lat najdalej; cała dawna Polska niepodległą będzie. Ależ zdaje mi się, że i oczy dyplomatyczne, byle jakkolwiek zdrowe, dopatrzeć tego powinny. Wiadome z dziejów odwieczne przyjazne nasze stosunki z Węgrami, znaną jest dla nas sympatya Francuzów, otóż i dla dyplomacyi gabinetowej nie powinno być wątpliwością, że oswobodzone Węgry i Włochy (przynajmniej póki Garibaldi żyć będzie), pomogą nam silnie do wywalczenia naszej niepodległości, że i Francya swej pomocy nam nie odmówi, jeżeli zwłaszcza cały ten ruch pod jej najwyższym odbywać się będzie kierunkiem. Czyż można wreszcie przypuścić, abyśmy my jedni tylko na potępienie zostali skazani, jeżeli wszystkie inne narody żyć będą swobodne? Takiego przypuszczenia nawet dyplomacya gabinetowa zrobić nie

będzie mogła. Otóż i dyplomatycznie przyjść musimy do pewnika, że Polska niepodległa być musi. Ażeby odjąć wszelki nawet pozór fałszu słowom moim, uważam za właściwe jasno wytłumaczyć W. ks. Mości moją troskliwość o dobro Rosyi, moje pragnienia swobodnego połączenia Polski z Rosyą na wieki.

Z położenia jeograficznego, a więc z woli Bożej, Rosya i Polska są obowiązane do pewnej spółności; obie mają jedno historyczne zadanie i jednego, nawet spółnego a rzeczywistego nieprzyjaciela, którym są Niemcy. Niemcy są tak rzeczywistym i tak strasznym nieprzyjacielem, że tylko spółnemi siłami oprzeć mu się będziemy mogli. Rozdzieleni zaś, a tem bardziej poważnieni z sobą, uledez im będziemy musieli. Osłabiając się wzajemnie my tylko tracimy, a zyskują tylko Niemcy, Niemcy są przyczyną odwieczną i jedyną wszelkiej pomiędzy nami niezgody. Ich polityka względem nas zawsze jedna i taż sama, zawsze dla nich korzystna. Jej owocem ciągle zdobywanie ziem słowiańskich. I rozbiór Polski niemieckiem był dziełem; Niemcy skusili do tego Rosyą i Niemcy tylko na tem zyskali, bo zyskali kawał słowiańskiej ziemi do rozsiedlenia się na niej. Dokonywają też tego w sposób tak zatrwajający, że gdyby jeszcze 15, najwięcej 20 lat, ziemie polskie zostały pod pruskim panowaniem, stałyby się one prowincją najdoskonalej niemiecką, bo ludność polska, jakaby jeszcze wówczas została, byłaby tylko, jak dziś na Szląsku, inwentarzem robotczym. Wtedy Niemcy musieliby znowu posuwać się dalej na wschód, zdobyć nowy kawał ziemi, któryby połączył ich posiadłości z prowincjami rosyjskimi nadbałtyckimi, przez Niemców zamieszkałemi — i szliby tak coraz dalej i coraz prędzej.

Otóż Mości książę, śmiem twierdzić, iż rozbiór Polski był ze strony Rosyi błędem politycznym pierwszego rządu, bo Rosya nic a nic na nim nie zyskała, owszem straciła, a cała korzyść była tylko dla Niemców. Naprawić ten błąd, powinno być dziś pierwszym zadaniem Rosyi, bo inaczej, choćby się nic nie stało, gdyby rzeczy szły dotychczasową koleją, wedle myśli polityków niemieckich, Niemcy zjedliby naprzód nas, a potem zjedliby Rosyan. Wszakże już dużo plemion słowiańskich przepadło i Niemcy rozpościerają się na ich ziemiach, nazywając je swojemi ziemiami. Taki sam los chcieliby i nam zgotować, zawsze w jednym i tym samym szlachetnym celu, niesienia cywilizacyi na wschód. Tej cywilizacyi ja lękam się dla nas, i dla tego pragnę wiecznego przymierza Polski z Rosyą; i dlatego jestem przekonany, że umysł zachowawczy, jakim Bóg natchnął każde stworzenie, zmusi Rosyę i Polskę do tego przymierza, choćbyśmy nawet rozstali się teraz jako nieprzyjaciele. Ale wtedy stałoby się to już ze wspólną naszą szkodą po wielkiej jakiej stracie.

Sumiennie tedy wypowiedziałem się W. ks. Mości z najgłębszych przekonania moich, bo rozumiem, że to jest droga jedynie właściwa, tem bardziej, że te

przekonania moje nie są tylko moje indywidualne, ale każdego Polaka w dalszą patrzącego przyszłość. W ogóle nawet, leży w instynkcie narodowym nieprzewyciężony wstręt do Niemców, i pomimo, że pozornie Rosya najwięcej zrobiła nam złego, zdolni jesteśmy pokochać Rosyan i żyć z nimi pod jednym dachem, jak tylko Rosya okaże nam czynem miłość swoją dla nas. Takiego czynu, ale natychmiast, własny interes Rosyi, własne dobro Rosyi koniecznie wymaga. Za chwilę może być zapóźno. Jakim ma być ten czyn, obecny stan rzeczy najwidoczniej wskazuje. Upadek kilku dynastyi, konanie Austrii, uczą wyraźnie, że w okolicznościach jak dzisiejsze, wszelkie opóźnienie się, lub półśrodek są śmiertelne. To też raz jeszcze powtarzam, że jeżeli w interesie Rosyi leży wieczysty sojusz z całą Polską pod berłem jednej dynastyi, a to tylko, nic innego jest jeszcze do zrobienia, musi rząd zaraz teraz na początku zimy postawić krok śmiały, który koniecznie do tego doprowadzi. Na wiosnę, a może nawet w końcu zimy, będzie już zapóźno. Tak samo, wszelki półśrodek chociaż przyjęty będzie, to tylko jako narzędzie, dające większą łatwość odzyskania wszystkiego. A wszystkim jest byt niepodległy całego narodu.

Otóż taki tylko czyn ze strony Rosyi, który nas za jej sprawą do tego doprowadzi, zrodzić musi nie tylko zapomnienie wszelkich naszych uraz do Rosyi, ale nawet naszą dla niej wdzięczność i wieczny z nią związek. Tę samą myśl przedstawiłem N. Panu jeszcze w r. 1857, a chociaż jej wykonanie dzisiaj nie przyniesie już tak bogatych owoców, jakieby wtenczas było przyniosło, to znów dziś konieczność jej wykonania może być widoczniejszą, a zawsze w zbawienny owoc nie ubogą.

Tutaj raz jeszcze zmuszony jestem W. ks. Mość upraszać, abyś zapomnieć raczył, kto te słowa mówi, a tylko słowa same, jako dobry a światły Rosyanin, głęboko rozważył. Są one sumienną prawdą podyktowaną przez chęć gorącą zapewnienia spokoju i błogiego szczęścia w bliższej i dalszej przyszłości dwom bratnim narodom.

Mości książę! wszystko to, co powiedziałem, jest tak jasną, tak oczywistą prawdą, że nie pojmuję nawet, jak można jej nie widzieć. Wprawdzie dzieją się rzeczy niepojęte; ludzie niemal świadomie z całych sił swoich pracują na własną zgubę; ależ przez Boga żywego, czyż tak ma być zawsze? czyż przelewanie krwi własnej i cudzej, niszczenie, męczenie, ma być zawsze jeszcze rozumem? O nie! Wiara w Boga uczy mię, że to fałsz; wiara w Boga uczy mię, że „najwyższy rozum, cnota”, więc miłość, więc pokój i zgoda. Tej zgody i miłości ja pragnę dla Rosyi i Polski, więc pragnę ich rzeczywistej wielkości, potęgi i sławy. Inaczej biada nam i Rosyi biada! wtedy Niemcy okrzyk tryumfu podniosą i pójdą śmieiej krok dalej na wschód. Z woli Bożej dziś losy obu narodów, ich przyszłe i trwałe szczęście, lub długa niedola, zależą od woli N. Pana, od

tego, co raczy postanowić względem obecnego stosunku Rosyi do Polski. Dla tego też pragnę, aby to pismo moje przedstawione było J. C. M. bo mocno wierzę, że nie napróżno umieściła Opatrzność w tej ważnej chwili takiego Monarchę na tronie rosyjskim, więc wierzę w pomyślny skutek słów moich, jeżeli zwłaszcza zdołałem przekonać W. ks. Mość, że powiedziałem prawdę. W końcu poważam się jeszcze zwrócić uwagę W. ks. Mości, że i to moje tylokrotne odzywianie się w tym duchu, pomimo zawodów i boleści, z tego powodu doznanych, nie może być bez historycznego znaczenia. I rzeczywiście, czyż ja maluczki, pojedynczy człowiek byłbym wstanie zdobyć się na odwagę do tego potrzebną, gdybym nie czuł, gdybym nie wiedział, że głos mój jest tylko odbiciem głosu utajonego w piersi narodu; gdybym nie czuł, gdybym nie wiedział, że wypowiadam tylko prawdę! Ależ M. książę do pojęcia i uznania tej prawdy koniecznym, choć jedynym warunkiem, jest dobra wola! Pisałem w Warszawie d. 14 Grudnia 1860 r.”

No 3 (do str. 134)

Protokół posiedzenia Delegacyi

Działo się w Ratuszu m. Warszawy d. 6 Marca
1861 r., o godz. 11-iej rano.

Ustanowiona przez J. O. księcia Namiestnika dla utrzymania porządku i bezpieczeństwa publicznego Delegacya z 24 wybranych obywateli m. Warszawy, którą składają:

- | | | |
|-------------------------|-----------------------|--------------------------------------|
| 1. X. kan. Wyszyński | 9. Stan. Hiszpański | 17. Karol Scholtze |
| 2. X. kan. Stecki | 10. Mathias Rozen | 18. Kajetan Witkowski |
| 3. Jakób Lewiński | 11. Karol Beyer | 19. H. Kuskowski
stud. Akad. Med. |
| 4. Ksawery Schlenker | 12. Józef Kraszewski | 20. Konstanty Fischer |
| 5. Leop. Kronenberg | 13. Józef Koenig | 21. Henr. Krajewski |
| 6. Jakób Piotrowski | 14. Teofil Piotrowski | 22. Ant. Trembicki |
| 7. Aug., Trzetrzewiński | 15. Nadrabin Mejsels | 23. Ant. Wrotnowski |
| 8. Tytus Chałubiński | 16. Jakób Natanson | 24. Dominik Zieliński |

Polegając na objawionych jej przez JW. Jenerała Pauluzzi dwóch decyzjach J. O. księcia Namiestnika, a mianowicie: pierwszej stanowiącej, że komunikowanemi będą imiona i nazwiska osób, mogących być aresztowanemi,

z wyjaśnieniem przyczyn aresztowania — drugiej: według której przedsięwziętymi być mają środki w celu pogodzenia przepisów postępowania sądowego wojskowego z życzeniem J. O. księcia Namiestnika, aby oskarżonym obrona prawna była zapewnioną — przystąpiła pod prezydencją JW. Jenerała Pauluzzi do swych czynności. Na dzisiejszem pierwszym posiedzeniu, po dopełnieniu instalacyi, członkowie Delegacyi przedewszystkiem proszą o uwiadomienie:

1-o ile decyzya J. O. ks. Namiestnika względem dodania obrony oskarżonym wprowadzoną została w wykonanie. JW. Jenerał Pauluzzi oświadczył, że zapyta o to J. O. ks. Namiestnika i dziś jeszcze Delegacyi odpowiedź zakomunikuje.

2-o Delegacya dla uspokojenia umysłów prosi o uwiadomienie o imionach i nazwiskach osób uwięzionych, tudzież o czynionych im zarzutach. JW. Jenerał oświadczył, że i to żądanie przedstawi J. O. ks. Namiestnikowi i dziś jeszcze da odpowiedź.

3-o Delegacya wyraziła zdanie, że szybkie zadecydowanie co do losu obwiniętych, zgodnie z zasadami słuszności i ludzkości, przyczyniłoby się potężnie do uspokojenia umysłów. JW. Jenerał odpowiedział, że żądanie to przedstawi J. O. ks. Namiestnikowi.

4-o Delegacya uważa za stosowne i konieczne urządzenie straży bezpieczeństwa obywateli nie zbrojnej i bez cech urzędowych. JW. Jenerał odpowiedział, że żądanie to również przedstawi J. O. księciu i dziś jeszcze udzieli odpowiedź.

5-o Delegacya wyraziła zdanie, że uważa za potrzebne, ażeby Policya wykonawcza w razie wykonania środków nadzwyczajnych zawiadomiła o tem poprzednio Delegacyą, przez coby środki te nadzwyczajne nieraz uniknionymi być mogły. Jenerał Pauluzzi oświadczył, że na powyższy wniosek zupełnie się zgadza.

6-o Postanowiono: że sesye zwyczajne odbywać się będą codziennie o godz. 1-iej w południe i 7-iej wieczór; na sesyach prowadzony protokół w dwóch jednobrzmiących egzemplarzach, przez wszystkich członków podpisany będzie.

7-o JW. Jenerał zgodził się na żądanie Delegacyi, ażeby służba policyjna zawiadomioną była o nazwiskach i imionach członków delegacyi, celem łatwiejszego uzyskania pomocy policyjnej w razie potrzeby. Na tem protokół niniejszy zakończony, przyjęty i podpisany został przez wszystkich obecnych z tą wzmianką, że wszystkie wnioski członków Delegacyi jednogłośnie przedstawionymi były.

Działo się w Warszawie w Gmachu Ratuszowym
d. 6 Marca 1861 r. o godz. 7-iej wieczorem.

Przedewszystkiem JW. Jenerał Pauluzzi zakomunikował następującą odpowiedź na żądania przedstawione na ostatniem posiedzeniu:

J. O. książę Namiestnik, któremu miałem honor przedstawić środki, które uważacie Panowie za potrzebne przedsięwziąć w celu uspokojenia wzburzenia umysłów, upoważnił mnie do zakomunikowania Panom co następuje:

1-o J. O. książę Namiestnik powtórzył mi, że zajmie się jak można najspieszniej zapewnieniem uwięzionym politycznym środków niewinnienia się przez udzielenie im obrońców; z mojej strony mam honor dodać, że środek ten tak wielkiej wagi w interesie ludzkości nie może być przedsięwziętym bez dojrzałej rozważy, tem więcej, że zmienia on całkowicie sposób postępowania istniejący w Królestwie.

2-o Lista uwięzionych za przestępstwa polityczne i przyczyna ich zatrzymania zakomunikowaną zostanie Delegacyi.

3-o J. O. ks. Namiestnik zgodził się także na życzenie Panów przyspieszenia decyzji względem losu uwięzionych politycznych.

4-o J. O. ks. Namiestnik podług życzeń Delegacyi raczył zezwolić w razie nagłości wskazanej przez Delegacyę i uznanej przez Prezesa, jako Dyrektora Głównego Policji, właścicielom nieruchomości i mieszkańcom miasta pełnić służbę konstablów w celu utrzymania porządku publicznego.

Po wysłuchaniu powyższych odpowiedzi Delegacya wyraziła zdanie, że zwłoka w tak nagłych okolicznościach może wyrzucić niekorzystne wrażenie na umysły obywateli miasta. JW. Jenerał Pauluzzi oświadczył, że wiadomość co do uwięzionych politycznych na jutrzejszem posiedzeniu zakomunikuje. Wreszcie JW. Jenerał Pauluzzi oświadczył, że dla ułatwienia obrad oraz na przypadek jego nieobecności zachodzi potrzeba obrania Wice-Prezesa Delegacyi. Delegacya, dzieląc to zdanie, jednomyślnością na Wice-Prezesa zaprosiła i obrała członka swego Jakóba Lewińskiego, który obowiązki Wice-Prezesa przyjął.

Działo się w Gmachu Ratuszowym dnia 7 Marca
1861 r. o godz. 1-ej po południu.

1-o Na dzisiejszem posiedzeniu zwyczajnem pod prezydencyą JW. Jenerała Pauluzzi zebrali się członkowie niżej podpisani. Posiedzenie otworzył Jenerał Pauluzzi złożeniem podpisanej przez siebie listy więźniów w cytadeli. Delegacya przyjęła ten dokument w zamiarze rozpoznania takowego, stanowiąc, że kopia jego do protokołu następnego posiedzenia dosłownie wniesioną będzie.

2-o na zapytanie Delegacyi, czyli oprócz w Cytadeli nie ma gdzieindziej uwięzionych za sprawy polityczne, JW. Jenerał Pauluzzi oświadczył, że wiadomo mu tylko, iż w Gmachu Ratuszowym znajduje się jakiś zatrzymany, na

odwiedzenie którego po ukończeniu posiedzenia obecnego przez Członków Delegacyi, JW. Jenerał Pauluzzi zezwolił.

3-o JW. Jenerał Pauluzzi oświadczył, że Prezes Komisji Śledczej w Cyta-deli przedsięwzięmie środki w celu wyjednania, ażeby przy śledztwie, prowadzonym w sprawach uwięzionych politycznych, dwóch członków przez Delegacyą wybranych asystować mogło.

4-o Delegacya przedstawiła, że, z powodu trudności w robieniu kopii z protokółów jej posiedzeń, wypadaloby wyjednać ogłoszenie ich drukiem. JW. Jenerał oświadczył, że drukowanie tych protokółów miejsca mieć nie może.

5-o Delegacya przedstawiła następnie, że, gdy niewiadomością prawa tłōmaczyć się nie można, zatem konieczną jest rzeczą wiedzieć o prawie, w kraju obowiązującym; tymczasem uwięzieni za sprawy polityczne oddawna sądzeni są przez sądy wojenne podług praw, które nigdy ogłoszone nie były i nikomu z mieszkańców wiadomemi nie są. Delegacya zatem uważa za konieczne prosić o zakomunikowanie jej prawa i procedury, których sądy wojenne trzymają się w sądzie spraw politycznych. JW. Jenerał przyrzekł żądaniu temu zadość uczynić.

6-o Delegacya wyraziła następnie, że dodanie obrońców uwięzionym politycznym mogłoby mieć miejsce stosownie do praw obowiązujących na podstawie Art. 53 ustawy przechodniej do Kod. kar. w d. ¹¹/₁₁ 1848 r. wydanej.

7-o Delegacya przedstawiła, iż w mieście rozchodzą się wieści, że na placach publicznych postawione być mają budki w celu pomieszczenia w nich wojska, co na stan umysłów szkodliwy wpływ mieć może. JW. Jenerał Pauluzzi oświadczył, że pomieszczenie żołnierzy w budkach uważa za właściwsze, jak pomieszczenie ich w miejscach prywatnych i ukrytych.

8-o W czasie trwającego posiedzenia członkowie Delegacyi: Jakób Lewiński, ks. kanonik Stecki i Antoni Wrotnowski, udali się z JW. Jenerałem do aresztu dentencyjnego, w Gmachu Ratuszowym znajdującego się i tamże przekonali się, że w rzeczonym areszcie znajduje się jeden tylko zatrzymany Feliks Maladziński, przyaresztowany w zeszły poniedziałek przez Akademików, jako niespokojny, oprócz niego jest jeszcze jeden odesłany do Szpitala, Krynicki.

Na tem posiedzenie ukończono — protokół niniejszy przeczytany, przyjęty i podpisany został.

Działo się w Warszawie w Gmachu Ratuszowym
d. 8 Marca 1861 r. o godz. 11-ej zrana.

Na dzisiejszem zwyczajnem posiedzeniu pod prezydencyą JW. Jenerała Pauluzzi zebrali się członkowie niżej podpisani.

Delegacja przedstawiła przedewszystkiem JW. Jenerałowi Pauluzzi projekt do ogłoszenia w pismach publicznych z jej strony uczynić się mającego, tej treści: „Delegacja, czuwająca ze strony obywateli nad porządkiem i bezpieczeństwem publicznem, oraz nad losem osób wypadkami ostatnich czasów dotkniętych, nie tracąc na chwilę z oczu obowiązków, zaufaniem współobywateli na nią włożonych, odwołuje się do świętego uczucia miłości kraju i uprasza ludność, aby dopomagając Delegacyi w spełnieniu trudnego zadania i nadal okazywała także same uczucia, jakie ją ożywiały w pamiętnym dniu pogrzebu 2 Marca i aby zachowała tę samą, pełną godności postawę w dniu jutrzejszego nabożeństwa. Nad porządkiem przy kościołach czuwać będzie służba obywatelska”.

I prosiła o wyjednanie u J. O. księcia Namiestnika wydrukowania dziś jeszcze wspomnianego ogłoszenia w całości, a to w celu uspokojenia umysłów, bez czego Delegacja uważałaby swoją działalność za stanowczo utrudnioną, a temsamem nieodpowiadającą dostatecznie zamierzonemu celowi.

Skutkiem tego Delegacja upraszała JW. Jenerała Pauluzzi, aby raczył zdanie to wraz z projektem ogłoszenia przedstawić J. O. księciu Namiestnikowi, na którego decyzją Delegacja w komplecie oczekiwać będzie.

Jakoż w ciągu trwającego posiedzenia JW. Jenerał Pauluzzi udał się do J. O. księcia Namiestnika, od którego powróciwszy następującą Delegacyi zakomunikował odpowiedź, iż J. O. książę Namiestnik na publikację zezwolić nie raczył. Mając sobie zatamowaną tym sposobem możliwość odezwania się do publiczności zapomocą druku, Delegacja pozbawioną jest normalnych środków działania na umysły. Z tego względu uważa Delegacja wpływ swój zewnętrzny za najzupełniej nadwerżony i niepodobny.

Na tem protokół ukończony, przeczytany, przyjęty i podpisany został.

Działo się w Warszawie w Gmachu Ratuszowym

d. 9 Marca 1861 r. o godz. 7-ej wieczorem.

Na dzisiejszem wieczornem posiedzeniu zgromadzeni niżej podpisani członkowie pod prezydencją Wice-Prezesa J. Lewińskiego.

1-o Delegacja wzięła na uwagę świeżo wprowadzone obostrzenie w losie więźni w Cytadeli, a mianowicie, iż zabroniono wszelkim innym osobom, oprócz rodziców, braci i sióstr rodzonych uwięzionego, widywać się z więźniami, że i ci krewni nawet legitymować się muszą z pokrewieństwa świadectwem policyi i że dostarczanie więźniom książek do czytania wzbronionem zostało. Ponieważ mała bardzo liczba więźniów ma tutaj tak blizkich krewnych, ponieważ legitymacja przez świadectwa policyi jest niemal niepodobną, ponieważ tym sposobem więźniowie skazani są na zupełne prawie odosobnienie od

świata zewnętrznego, przeto Delegacya postanowiła rzecz tę przedstawić JW. Jenerałowi Pauluzzi, aby usunięcie tych obostrzeń, gdzie należy, jak najprędzej wyjednać zechciał.

2-o Delegacya, mając wiadomość z własnego niektórych jej członków przekonania, że żołnierze przez swe postępowanie zdają się drażnić publiczność, objawia życzenie, aby wydany był rozkaz dzienny nakazujący im odpowiednie zachowywanie się.

Z powodu nieobecności JW. Jenerała Pauluzzi, prosiła członków swych Ksawerego Schlenkera i Jakóba Piotrowskiego, aby powyższe przedstawienia jak najprędzej JW. Jenerałowi Pauluzzi zakomunikowali.

Na tem protokół ukończony, przeczytany, przyjęty i podpisany został.

Działo się w Warszawie w Gmachu Ratuszowym

d. 11 Marca 1861 r. o godz. 1-ej po południu.

Na dzisiejszem zwyczajnem posiedzeniu zgromadzili się niżej podpisani członkowie pod prezydencją Wice-Prezesa Jakóba Lewińskiego. Stosownie do protokołu Delegacyi z d. 7 b. m., zamieszcza się lista więźniów przez JW. Jenerała Pauluzzi zakomunikowana wraz z nocnymi szczegółowemi, niżej zamieszczonemi.

Lista obejmuje najprzód tytuły rubryk następujące:

- a. numer porządkowy. b. imię i nazwisko aresztowanego,
- c. stan. d. datę dostawienia do cytadeli.
- e. obciążający zarzut. f. uwagi.

Oskarżeni podzieleni są na kategorie odróżnione przez podkreślenie każdej z nich, po wymienieniu osób do tejże kategorii należących, które tu liczbami rzymskimi oznaczają się.

I. a. 1. b. Aleksander Pomian. c. b. Inżynier z Rosyi d. 25 Stycznia (6 Lutego) 1859 r.

a. 2. b. Michał Butowicz. c. b. Komisyoner z Rosyi d. 25 Stycznia (6 Lutego) 1859 r.

a. 3. b. Jakób Szemiot, c. b. Urzędnik Intendentury d. 26 Stycznia (7 Lutego) 1859 r.

e. Pomian obwiniony o fałszowanie sturublowych assygnat rosyjskich. Butowicz o puszczenie ich w kurs ze złą wiarą, a Szemiot o ukrywanie przestępstwa i przestępcy.

f. Sprawa skończona, wyrok Sądu wojennego zapadł, lecz confirmacya jeszcze nie nastąpiła.

II. a. 4. b. *Adam Trąbczyński*. c. uczeń Gimn. Real. d. 13/26 Października 1860 r.
a. 5. b. *Henryk Filipowicz*, c. uczeń Szkoły Sztuk Pięknych d. 15/27 Października 1860 r.

a. 6. b. *Józef Kleczyński*. c. uczeń Gimn. Real. d. 8 Października 1860 r.

e. wszyscy trzej obwinieni o rozprzestrzenianie pomiędzy publicznością proklamacyi, wierszy, oblewanie tejże publiczności ubrania kwasem siarczanym i rozmyślnie wylanie w teatrze cuchnącego płynu podczas bytności tamże Najjaśniejszego Pana.

f. Sprawa ukończona i przedstawiona do decyzji J. O. ks. Namiestnika, lecz decyzja jeszcze nie wydana. NB. Trąbczyński osadzony w Ordynanshausie.

III. a. 7. b. *Narcyz Jankowski*, c. dym. porucznik Ułan. Ros. d. 7/19 Stycznia 1861 r.

a. 8. b. *Konstanty Szyszkowski*. c. uczeń Zakładu Mech. d. 8/20 Listopada 1860 r.

a. 9. b. *Bolesław Dehnel*. c. b. pisarz Konsyst. Wyz. Ew. Augs. d. 28 Listopada (10 Grudnia) 1860 r.

e. Jankowski aresztowany w Krakowie przez władze austriackie, wydany władzom naszym jako podejrzany o stosunki z partją Mierosławskiego i zamiar zrobienia powstania w Królestwie. Dehnel zaś i Szyszkowski podejrzani o stosunki z Jankowskim w tymże samym celu.

f. jak w kategorii drugiej.

IV. a. 10. b. *Aleksander Bondzewicz*. c. Magazynier kolei żel. Warsz. Wied. d. 30 Grudnia 1860 r. (11 Stycznia 1861 r.).

e. obwiniony o posiadanie zabronionych książek i wierszy.

f. jak w kategorii III.

V. a. 11. b. *Andrzej Sikorski*, c. Guwerner Inst. Szlach. d. 12/24 Stycznia 1861 r.

a. 12. b. *Adam Rzeszotarski*. c. syn obywatela ziem. d. 14/26 Stycznia 1861 r.

e. Sikorski obwiniony o posiadanie zakazanych książek i wierszy, a Rzeszotarski o napisanie do Sikorskiego listu z Paryża, w którym opisuje o zawiązanych znajomościach z członkami partji Mierosławskiego.

f. Sprawa ta z decyzji J. O. ks. Namiestnika oddana pod Sąd wojenny; lecz sąd do czynności jeszcze nie przystąpił.

VI. a. 13. b. *Antoni Załuskowski*. c. syn obywatela ziemsk. d. 26 Stycznia (7 Lutego) 1861 r.

e. aresztowany z powodu włożenia na siebie w czasie maskarady kostiumu niewolnika, obciążonego łańcuchami, f. jak w kategorii V.

VII. a. 14. b. *Stanisław Krupski*, c. poddany Austriacki d. 1/13 Lutego 1861 r. e. okazał się być agentem rządu austriackiego i także obowiązki przyjął w Warszawie, gdzie rozsyłał bezimiennie listy i przylepiał po ulicach proklamacje powstańcze:

f. Sprawa ukończona, lecz decyzja J. O. ks. Namiestnika nie nastąpiła.

VIII. a. 15. b. *Ignacy Starzyński*, c. utrzymujący się z prac literackich d. 8/20 Lutego 1861 r.

a. 16. b. *Henryk Sykłowski*. c. subjekt handlowy, d. 15/27 Lutego 1861 r.

a. 17. b. *Antoni Nassalski*. c. student Akademii medyko-chirurgicznej²²⁶.

e. pierwsi dwaj obwinieni o rozsyłanie w Lublinie bezimiennych listów i wybijanie tamże okien, a trzeci podejrzany o kompozycją tychże listów, posiadanie proklamacji Mierosławskiego i zbieranie w Lublinie składek.

f. z powodu nienaznaczenia nowego inkwidenta do Komisji Śledczej instrukcja tej sprawy nie rozpoczęta.

IX. a. 18. b. *Władysław Krajewski*, c. student Akad. Medycznej d. 15/27 Lutego 1861 r.

a. 19. b. *Stanisław Szadkowski*. c. uczeń Szkoły Sztuk Pięknych d. 15/27 Lutego 1861 r.

a. 20. b. *Ludwik Balcer*, c. uczeń Szkoły Sztuk Pięknych, dnia 15/27 Lutego 1861 r.

a. 21. b. *Karol Nowakowski*, c. uczeń Szkoły Sztuk Pięknych d. 15/27 Lutego 1861 r.

a. 22. b. *Józef Turowski*, c. uczeń Szkoły Sztuk Pięknych, dnia 15/27 Lutego 1861 r.

a. 23. b. *Leopold Cielecki*²²⁷ c. uczeń Szkoły Sztuk Pięknych, d. 15/27 Lutego 1861 r.

a. 24. b. *Ludwik Biernacki*, c. pisarz prywatny, dnia 15/27 Lutego 1861 r.

e. Nowakowski, Turowski i Cielecki, obwinieni o krzyki na Gołębiej ulicy w dniu 13/25 Lutego r. b. i pobicie dozorców, a Nowakowski nadto o pobicie

226 W egzemplarzu litografowanym protokółów Delegacyi, z których niniejszy przedruk dokonany został, Nassalski dopisany jest ołówkiem. W przekładzie rosyjskim tychże protokółów, jaki dołączył Podwysockij do swych „Zapisek Oczewidca”, Nassalski jest pomieszczony, z tym dodatkiem, że aresztowany został d. 26 Lutego 1861 r. (Przyp. Wydawcy).

227 Właściwie Cielecki. (Przyp. Wydawcy).

policjanta Tadeuszka w głowę, skutkiem czego pogiął mu kaskę (sic). Biernecki o krzyki, aby illuminować miasto i uderzenie żelaznym prętem w głowę policjanta, chcącego go zatrzymać. Krajewski o krzyki i ranienie żandarma w twarz. Szachowski o krzyki — i Balcer o rozlepianie na ulicy Elektoralnej plakatów.

f. z powodu nienaznaczenia nowego inkwirenta do Komisji Śledczej, instrukcja tej sprawy nie rozpoczęta.

X. a. 25. b. *Józef Cywiński*, c. dym. oficer wojsk rosyj., d. 21 Lutego (5 Marca) 1861 r.

e. obwiniony o namawianie uczniów Gimn. Piotrkowskiego do powstania i rozdawania im broni, aresztowany przez tychże uczniów. f. jak w kategorii IX.

Lista zakończona jest następującym zaświadczeniem JW. Jenerała Pauluzzi:

„Zapewniam niniejszem, że prócz osób w liście tej wymienionych więcej nikogo za polityczne przewinienia w Cytadeli aresztowanego niema, że porządek, za czasów pełnienia przezemnie obowiązków Prezesa Komisji Śledczej zaprowadzony, dotychczas istnieje, a nadto J. O. książę Namiestnik rozkazał w miejsce dotychczasowego etatu po kop. 30 na osobę, wyznaczyć po kop. 45 dziennie w Warszawie d. 24 Lutego (7 Marca) 1861 r. Jenerał Pauluzzi”.

W czasie rozpoznawania tej listy Delegacya miała sobie przedstawione liczne prośby tak ustnie jak i na piśmie o wstawienie się do Władz, celem wyjednania złagodzeń losu uwięzionych, tudzież ich uwolnienia, które też Delegacya w następstwie szczegółowo rozpatrzy: obecnie zaś Delegacya, wychodząc z zasady, że wszystko, cokolwiek przyczynić się może do uspokojenia umysłów, wchodzi w zakres jej działania, i że takowe o tyle tylko skutecznem być może, o ile Delegacya będzie ciągle organem ludności pośredniczącym u Władzy; mając na uwadze, że los więźniów znakomicie wpływa na dzisiejszy stan umysłów, ma honor przedstawić niektóre ogólne uwagi co do komunikowanej jej listy uwięzionych. W zadaniu swoim kieruje się Delegacya jedynie treścią zakomunikowanej listy, gdyż akta spraw nie są jej znane.

Przedewszystkiem nadmienić wypada, że trzech pierwsi oskarżeni należą do kategorii, którą zajmować się nie może być zadaniem Delegacyi, że następnie w liczbie uwięzionych znajduje się jeden agent prowokacyjny zagraniczny, a drugi aresztowany przez uczniów Gimn. Piotrkowskiego, że więc właściwie znajduje się w Cytadeli dwudziestu więźniów, których los publiczność obchodzi; co do tych więc Delegacya ma zaszczyt przedstawić następujące uwagi:

a. Bondzewicz i Sikorski są oskarżeni o posiadanie zakazanych książek i wierszy. Nadmienić tu wypada, że lista książek zakazanych, o ile wiadomo

Delegacyi, nigdy publikowaną nie była, w każdym zaś razie za posiadanie pism, choćby nawet podburzających do oporu władzom, przez Rząd ustanowionym, ustęp drugi Art. 265 k. k. G. i P. oznacza karę aresztu od 3-ch dni do 3-ch tygodni, lub naganę wobec sądu, karę nierównie mniejszą, od wysiedzianego już przez Bondzewicza i Sikorskiego w Cytadeli aresztu. Zresztą czyny, o których tu mowa, jako objęte działem III Kod. kar. nie podlegają podług art. 29 Ustawy Przechodniej z r. 1847 pod jurysdykcją Sądów wojennych.

b. Obwinieni o krzyki na Gołębiej ulicy lub pobicie policyantów w d. 13/25 Lutego r. b. Władysław Krajewski, Stanisław Szachowski, Józef Turowski, Karol Nowakowski, Leopold Cielecki, Ludwik Biernacki, podlegałyby się zdawali karom w art. 302 k. k. G i P. objętym, z których najsurowszą jest areszt od 3-ch dni do 3-ch miesięcy, zaś zarzut czyniony Ludwikowi Balcer odnosić się zdaje do art. 315 tegoż kodeksu. Obwinieni obu powyższych kategorii kwalifikowaliby się zdaniem Delegacyi do odpowiadania z wolności, nim sądy właściwe o istocie czynu zadecydują.

c. O ile z określenia czynu w zakomunikowanej liście wnioskować można, Delegacya nie może dopatrzeć dostatecznie czynu karygodnego co do Antoniego Załuskowskiego o włożenie kostiumu niewolnika podczas maskarady. Podobnie co do Adama Rzeszotarskiego, sam fakt znajomości członków partii Mierosławskiego i napisanie o tem listu, jeżeli inne nie zachodzą zarzuty, nie zdawałby się także ulegać jakiegokolwiek karze przez kodeks karny ustanowionej.

d. Co do obwinionych Adama Trąbczyńskiego, Henryka Filipowicza i Józefa Kleczyńskiego, jeżeli czyny w oskarżeniu wymienione, dowiedzione im zostały, Delegacya nadmienić to tylko może, że obwinieni są małoletni i uwięzienie ich trwa już blisko pięć miesięcy.

e. Co do Narcyza Jankowskiego, Konstantego Szyszkowskiego i Bolesława Dehnela, Delegacya ośmiela się upraszać o przyspieszenie decyzji zgodnie z zasadami ludzkości.

f. Co do Ignacego Starzyńskiego, Henryka Szydłowskiego i Antoniego Nassalskiego, Delegacya z zakomunikowanej listy nie może sobie na teraz dostatecznie zdać sprawy o doniosłości oskarżenia; a w razie, jeżeli czyn ich nie przechodzi art. 285 k. k. G. i P. postąpienie z nimi jak z innymi obwinionymi tej kategorii za stosowneby uważała.

Wyszczególniwszy powyższe okoliczności, które z samego już stanowiska prawnego przytoczyć się dają, Delegacya pozwoli sobie upraszać JW. Jenerała Pauluzzi, aby te względy przedstawić raczył J. O. ks. Namiestnikowi z powodu, że takowe może na los więźniów wpływający mogły. Obok tego wszakże, mając sobie powierzone zadanie utrzymania porządku i bezpieczeństwa, De-

legacya najmocniej uprasza o zwrócenie uwagi, że wszystkie te czyny zdają się być wynikiem ogólnego wzburzenia, które w ostatnich wypadkach tak widocznem się stało. Delegacya jest przekonaną, że w obecnym czasie odstąpienie od środków karnych, skoro dojdzie do wiadomości publicznej, przyczyni się do uspokojenia umysłów.

Następnie członkowie Ksawery Schlenker i Jakób Piotrowski zdali sprawę z czynności powierzonych im na posiedzeniu w dniu onegdajszym, odbytem w słowach następujących: „Z powodu słabości JW. Jenerała Pauluzzi, udaliśmy się do JW. Jenerała Adjutanta Kotzebue z przełożeniem, aby raczył w tym samym dniu jeszcze przedstawić J. O. ks. Namiestnikowi potrzebę zwolnienia obostrzeń w Cytaдели w ostatnich dniach zaprowadzonych. skutek tego przybył z odpowiedzią pułkownik i oświadczył, że J. O. książę Namiestnik polecił Jenerałowi Jermołow, żeby dozwolono odwiedzać uwięzionych nie tylko krewnym ale i znajomym, bez legitymowania się przez policyą, byleby tylko nie zgromadzono tam zbyt tłumnie”.

Co się tyczy prósy, żeby żołnierzom ponownie wydany był rozkaz odpowiedniego zachowania się względem publiczności, JW. Jenerał Kotzebue oświadczył, że polecenia w tej mierze dwukrotnie wydane zostały i że sam osobiście upomina oficerów, aby tego najsurowiej przestrzegali, że jednak na skutek naszej prósy nowego rozkazu wydać nie omieszka”.

Na tem protokół ukończony itd.

Działo się w Warszawie d. 12 Marca o godz. 1-ej.

Na dzisiejsze zwyczajne posiedzenie zgromadzili się członkowie pod prezydencją JW. Jenerała Pauluzzi — przedewszystkiem wypada nadmienić, że zamieszczone we wczorajszym protokole uwagi względem więźniów przez członków Delegacyi, Jakóba Piotrowskiego, Ksawerego Schlenkera i L. Kronenberga zakomunikowane zostały JW. Jenerałowi Pauluzzi, który następnie miał zaszczyt przedstawić je J. O. księciu Namiestnikowi i w odpowiedzi na takowe obecnie oświadczył, że J. O. książę Namiestnik przedstawienie Delegacyi bardzo dobrze przyjęc raczył i że obecnie losem więźniów się zajmuje, czego dowodem jest, że już jednego z nich Stanisława Szachowskiego uwolnić polecił; co do innych zaś uwięzionych JW. Jenerał Pauluzzi wyraził nadzieję, iż względem ich losu w bardzo krótkim czasie przychylna nastąpi decyzya.

Na tem protokół ukończony itd.

Działo się w Warszawie w Gmachu Ratuszowym
d. 13 Marca 1861 r. o godz. 7-ej wieczorem.

Na dzisiejsze wieczorne posiedzenie zgromadzili się członkowie niżej podpisani pod prezydencją JW. Jenerała Pauluzzi. Przedewszystkiem członek

Delegacyi Ksawery Szlenker oświadczył, że w dniu dzisiejszym o godz. 12-iej w południe wezwany został wraz z Leopoldem Kronenbergiem, członkiem Delegacyi do J. O. księcia Namiestnika, który im jako i jednocześnie zawezwanym Metropolicie Arcybiskupowi Fijałkowskiemu, Andrzejowi hr. Zamoyskiemu i hr. Władysławowi Małachowskiemu odczytać raczył Najwyższe pismo Najjaśniejszego Pana do J. O. księcia Namiestnika adresowane, którego treść główna jest ta, że Najjaśniejszy Pan zamierza zaprowadzić reformy w Królestwie Polskiem, czem teraz zajmować się raczy i liczy na utrzymanie porządku i spokojności ze strony mieszkańców Królestwa. Następnie delegowanym wyżej rzeczonym komunikowanem zostało poufnie, iż pierwszemi reformami, zaprowadzić się mającemi, będą:

1-o Utworzenie Rady Stanu, do której składu wejść mają uzdolnieni obywatele, ludzie zaufania.

2-o Urządzenie Rad Muncypalnych po miastach w kraju, na zasadzie wyborów.

3-o Zupełna zmiana systemu wychowania publicznego.

4-o Wezwani będą uzdolnieni obywatele, ludzie zaufania, w celu naradzenia się nad potrzebami kraju. Wszystkie te projekta w ciągu dni 12 ogłoszone być mają.

Po zapisaniu powyższej relacyi członka Delegacyi Ksawerego Schlenkera, nadmienić tu wypada, że JW. Jenerał Pauluzzi zawiadomił w dniu wczorajszym Wice-Prezesa Delegacyi Jakóba Lewińskiego o uwolnieniu z Cytadeli Józefa Turowskiego, zaś w dniu dzisiejszym o uwolnieniu następujących więźni: Adama Trąbczyńskiego, Aleksandra Bondzewicza, Andrzeja Sikorskiego, Antoniego Załuskowskiego, Leopolda Cieleckiego, Henryka Sykłowskiego, Adama Rzeszotarskiego, Ignacego Starzyńskiego, Konstantego Szyszkowskiego. Po wysłuchaniu relacyi członka Delegacyi Ksawerego Schlenkera, Delegacya objawiła zdanie następujące: Delegacya obywateli miasta Warszawy, powołana zaufaniem mieszkańców 27 Lutego, upoważniona przez J. O. księcia Namiestnika, w Ratuszu umieszczona, przyjęła mandat wpływania na uspokojenie umysłów do nadejścia odpowiedzi od Najjaśniejszego Pana na adres przez mieszkańców Królestwa, i mandat ten wśród najdrażliwszych okoliczności dopełniła tylko siłą moralną i wpływem, jakie jej dało zaufanie obywateli. Dzisiaj w przekonaniu, że mandat ten udzielony jest doraźnie i czasowo, ustaje, Delegacya uważa za obowiązek, odpowiadając położonemu w niej zaufaniu, przedstawić potrzeby miasta, które, aczkolwiek nader drobne z ogólnemi potrzebami kraju, są wszakże ogólnych pragnień odbiciem. Za najpierwszy warunek i rękojmię porządku uważa Delegacya, powierzenie

Zarządu miasta, administracji dochodów i podatków ludziom powołanym przez ogół swobodnymi wyborami obywateli bez różnicy stanu i wyznania. Za jeden z główniejszych powodów, na (sic) których dzisiejszy zarząd nie odpowiada swojemu zadaniu, opinia publiczna uważa rozdzielenie administracji od policji wykonawczej, któreby złączone być winny tak, aby tym sposobem policja nabrała charakteru zapobiegającej i opiekuńczej, w miejsce drażniącej i prowokacyjnej. Wobec tych potrzeb Delegacya widzi się w obowiązku wypowiedzieć, że jak najprędsze zarządzenie wyborów zdaje się być koniecznością położenia.

Na tem protokół ukończony itd.

Działo się w Warszawie w Gmachu Ratuszowym

d. 15 Marca 1861 r. o godz. 7-ej wieczorem.

Na dzisiejsze wieczorne posiedzenie zgromadzili się członkowie niżej podpisani pod prezydencją JW. Jenerała Pauluzzi.

Przedewszystkiem Delegacya uważa się w obowiązku zamieścić tutaj, że zdanie jej, wyrażone na posiedzeniu z dnia 13 b. m. i r. określające mandat Delegacyi za ustały, wywołało ogólny objaw opinii publicznej, aby Delegacya pełnionych przez siebie obowiązków jeszcze nie opuszczała. Z powodu silnego wzruszenia umysłów, jakie obecnie na nowo się objawiło, Delegacya uważa za konieczne, aby zapowiedziane poufnie reformy jak najprędzej ogłoszonymi były i w wykonanie wprowadzone zostały. Delegacya uprasza JW. Jenerała Pauluzzi, aby to jej zdanie do wiadomości J. O. księcia Namiestnika ponieść raczył.

JW. Jenerał Pauluzzi oświadczył, że, mając najzupełniejszą pewność prędkiego wprowadzenia w wykonanie zapowiedzianych reform, nie uważałby potrzeby osobnego przedstawienia do J. O. księcia Namiestnika, jednakowoż życzeniu Delegacyi zadosyćuczyni i zdanie jej J. O. księciu Namiestnikowi przedstawi. Delegacya następnie upraszała o ponowne przedstawienie J. O. księciu Namiestnikowi sprawy pozostałych w Cytadeli więźniów. JW. Jenerał Pauluzzi oświadczył, że spodziewa się wkrótce co do losu ich decyzji.

Na tem protokół niniejszy zakończony, przeczytany, przyjęty i podpisany został.

Działo się w Warszawie w Gmachu Ratuszowym

dnia 16 Marca 1861 r. o godz. 7-ej wieczorem.

Na dzisiejsze wieczorne posiedzenie zgromadzili się członkowie niżej podpisani pod prezydencją JW. Jenerała Pauluzzi, który zakomunikował Delegacyi w przedmiocie Sądów wojennych co do spraw politycznych następujące wyjaśnienia na piśmie.

I-o Podług obowiązującej u nas ordynacji kryminalnej pruskiej każdemu z obwinionych o jakiegokolwiek bądź przestępstwo służy możność ustanowienia sobie obrońcy, który ma prawo znajdować się przy badaniu świadków (§ 340), asystować przy ostatecznym przesłuchaniu swego klienta (§ 342), akta śledcze do wyrobienia obrony powinny mu być po ukończeniu inkwizycji komunikowane (§ 451); w tej obronie wykazać on może niedokładność śledztwu, żądać uzupełnienia takowego, zwrócić uwagę sądu na przepisy prawa, które względem wypadku (questionis) stosowane być winny. Ten przepis prawa podający obwinionemu wszelką możność usprawiedliwienia się miał głównie na celu, aby ścisła, bezwzględna była wyrządzona sprawiedliwość; taki też cel pojmując kodeks K. G. i P. nie tylko, że w tem postępowaniu nic zupełnie nie zmienił, ale owszem w Ustawie przechodniej z d. 11 Listopada 1847 r. § 53, wyraźnie postanowił, „iż w sprawach o przestępstwa i wykroczenia, zagrożone karami głównymi, obrony z urzędu przynoszone im będą, bez względu czyli obwinieni będą tego żądać lub nie”. Ponieważ sprawy o przestępstwa polityczne należą do rzędu ważniejszych i po większej części zagrożone są karami głównymi, obwinionym przeto bezwarunkowo dodawani być powinni obrońcy na zasadach, służących wszystkiemu oskarżonemu (zwraca się tu uwagę, że nasi obrońcy sporządzają obronę w języku polskim i niewiele się zapewne znajduje władających tak dokładnie językiem rosyjskim, aby w nim obrony swoje pisać byli w stanie, a w takim razie, jeżeli sprawa przyjdzie pod decyzją sądu wojennego, w którego składzie prawie zwykle są członkami osoby nierozumiejące po polsku, to obrona niepojęta przez nich i niekiedy niedokładnie tłumaczona, zamierzonemu nie odpowie celowi, chyba do składu sądu wojennego delegowani byli członkowie cywilni, tak jak nam przedstawia niejako obraz tego ogólne zebranie rządzącego Senatu).

2-o Co się tyczy prawa i procedury, jakimi się rządzą sądy wojenne, takowe objęte są w dziele pod tytułem: Swod wojennych zakonow, część V, Ustaw wojenno-ugołownyj z 1855 roku T. 12 (jest jeszcze nowsze wydanie z dopełnieniem postanowień od r. 1855(o którym było ogłoszenie w gazetach, lecz dotychczas z Petersburga władzy nie nadesłany) Pauluzzi).

Po rozpoznaniu tego pisma, Delegacya czuje się w obowiązku wyrazić:

a) że, jak się pokazuje, przyczyną, dla której obwinieni polityczni nie mieli dotąd dodawanych obrońców, nie są specjalne przepisy wojenne, ale ta okoliczność, że sędziący nie znają języka polskiego. Trudność ta byłaby usunięta, gdyby na sędziów mianowanymi były osoby jedynie język krajowy posiadające, co tem bardziej jest koniecznem, że i świadkowie w sprawach słuchani, rozumianymi być muszą.

b) że prawo pod tytułem: „Swod wojennych prawlenii”, którego właściwie uzupełnione wydanie dotąd nawet nadesłaniem nie zostało, nie jest w kraju obowiązującym.

Ponieważ J. O. książę Namiestnik wyrazić raczył życzenie, aby obrona obwinionym politycznym zapewnioną była, Delegacya nie wątpi, że JW. Jenerał Pauluzzi raczy powyższe jej zdanie przedstawić J. O. księciu Namiestnikowi, a przez to spełnienie życzenia J. O. księcia Namiestnika przyspieszy. Następnie Delegacya, mając na uwadze wzburzenie, objawiające się między ludnością, wśród której rozprzestrzeniane są różne wieści, niepokojące umysły, powołując się na dzisiejszą odezwę J. O. księcia Namiestnika, w której nadzwyczajne środki, przez policją przedsiębrać się mające, są wzmiankowane — powołując się na protokół swój z d. $\frac{6}{3}$ r. b. w którym zawiadomienie poprzednie Delegacyi w takich razach przez JW. Jenerała Pauluzzi było przyrzeczone — wnioskuje z dzisiejszej odezwy J. O. księcia Namiestnika, że w zamiarze władzy interwencya policji zastąpić ma wpływ moralny przez Delegacyą dotychczas wywierany, uważa, że wpływ ten byłby tym sposobem stanowczo zwichnięty i dalsze urzędowanie Delegacyi nie przynosiłoby korzyści, uprasza JW. Jenerała Pauluzzi, aby to jej zdanie do wiadomości J. O. ks. Namiestnika ponieść raczył. W takich okolicznościach Delegacya najusilniej prosi JW. Jenerała Pauluzzi o jednoczesne przedstawienie J. O. księciu Namiestnikowi zakończenia swego protokołu z d. 13 b. m. i roku, tyczącego się zarządu miasta.

W końcu JW. Jenerał Pauluzzi zakomunikował co następuje. Przedstawiłem J. O. księciu Namiestnikowi prośbę o uwolnienie pozostałych więźniów i spodziewam się, że weźmie ją na uwagę, gdyż na dzisiejszej audyencji bardzo przychylnie przyjął przedstawione Mu podanie z prośbą do J. C. Mości o powrót z wygnania Stefana Dobrycza.

Nareszcie na zapytanie Delegacyi, czy wieści o zaszyłych jakoby aresztowaniach kilku osób z prowincyi są uzasadnione, JW. Jenerał Pauluzzi oświadczył, że nic mu o tem nie wiadomo. Delegacya przedstawiła jeszcze powziętą wiadomość, że w Lublinie aresztowany jest i uwięziony od dwóch tygodni Mysłowski, aplikant Sądu poprawczego, prosiła o wiadomość o przyczynach tego aresztowania. JW. Jenerał Pauluzzi oświadczył, że o tem aresztowaniu żadnej niema wiadomości, lecz takową zasięgnie i Delegacyi udzieli.

Na tem protokół zakończony, przeczytany itd.

Działo się w Warszawie w Gmachu Ratuszowym
d. 18 Marca 1861 r. o godz. 1-iej w południe.

Na dzisiejsze zwyczajne posiedzenie zgromadzili się niżej podpisani członkowie pod prezydencją JW. Jenerała Pauluzzi. Wice-Prezes Delegacyi J. Lewiński złożył Delegacyi list JW. Jenerała Pauluzzi, otrzymany w dniu wczorajszym treści następującej:

Kochany Panie! co się tyczy wczorajszej odezwy, mam honor przedstawić Panu, że J. O. książę Namiestnik uważał się w obowiązku jej ogłoszenia z powodu, że doszło do Jego wiadomości, że w mieście znajdują się ajenci prowokacyjni, którzy usiłują niepokoić publiczność i Rząd pod względem manifestacyi, mogących mieć miejsce, oprócz tego J. O. książę Namiestnik zmuszony był uczynić krok ten z powodu, że wiele osób powołanych do dania objaśnień o opłakanych wypadkach d. 25 i 27 Lutego zeznało, iż wcale nie miały wiadomości o tem, że takie manifestacye są przez Rząd zabronione. Co się zaś tyczy pracy o municypalności, J. O. książę Namiestnik upoważnił mnie do oświadczenia Panu, że rzecz ta już jest opracowywaną.

Po przeczytaniu powyższego pisma Delegacya zapytała JW. Jenerała Pauluzzi, czy list powyższy ma być uważany za odpowiedź na przedstawienie Delegacyi, doręczone J. O. księciu Namiestnikowi przez JW. Jenerała Pauluzzi, a mianowicie za odpowiedź na część przedstawienia tyczącą się zarządu miasta. JW. Jenerał Pauluzzi na powyższe pytanie dał odpowiedź twierdzącą.

Opierając się na brzmieniu odezwy J. O. księcia Namiestnika w d. 16 b. m. w piśmie publicznym umieszczonej, z której się okazuje, że istnieją poduszczenia ajentów prowokacyjnych w celu pobudzenia do manifestacyi, Delegacya jeszcze raz widzi się w konieczności wykazania, jak dalece działalność służby obywatelskiej, która już wielokrotnie dała dowody swej skuteczności, nadal stosowną by była. Delegacya uprasza o upoważnienie do użycia tej służby w razie zachodzącej potrzeby. Nadmieniam przytem, że chociaż zewnętrzne oznaki dla poznania obywateli, do służby obywatelskiej należących, byłoby bardzo pożyteczne, jednak na żądanie Władzy od tego warunku odstępuję, udzielając w zamian za to każdemu z obywateli do tej służby należących, odpowiednią kartkę, którą w potrzebie okazać i charakter swój wylegitymować był w stanie. W skutek tego wniosku JW. Jenerał Pauluzzi oświadczył, że gdy współdziałanie obywateli zawezwanych przez Delegacyą już trzykrotnie okazało się skutecznem, JW. Jenerał na użycie służby obywatelskiej w razie zachodzącej potrzeby zezwala, z tem zastrzeżeniem, aby cech zewnętrznych urzędowych nie było i on o nastąpieniu użyciu był zawiadomiony. W końcu członek Delegacyi Ksawery Schlenker doniósł, z uwagi, że wszystko co dotyczy dobra i pokoju miasta, Delegacyi obywatelskiej wiadomem być winno, iż na d. 17 b. m. Zgromadzenie kupców obywateli Warszawy odbyło ogólne posiedzenie w Resursie kupieckiej, na którym jednomyślnie następującą protokółarną uchwałę przyjęło.

Działo się w Warszawie d. 17 Marca 1861 r.

na posiedzeniu ogólnem Zgromadzenia kupców w Resursie kupieckiej.

Zebrani niżej podpisani członkowie Zgromadzenia kupców m. Warszawy po wysłuchaniu przedstawienia Starszego Zgromadzenia Ks. Schlenkera, czy

nie należy zaprowadzoną w r. 1817 w Zgromadzeniu i dotąd utrzymywaną podwójną listę kupców t. j. jedną kupców chrześcian, drugą kupców Starozakonnych, złąć w jedno, a to dla dania jawnego i głośnego objawu tolerancyi dla wyznawców religii Mojżeszowej, którzy okazali żywe sympatye dla sprawy ogólnej w ostatnich wydarzeniach kraju. Zgromadzenie zebrane, osądziwszy sprawiedliwość wniosku, na zlanie w jedną listę kupców chrześcijan i starozakonnych jednomyślnie zezwała i wniosek Starszego w zupełności przyjmuje.

Członek Delegacyi Ks. Schlenker wniósł dalej, czy Delegacya nie uzna stosownem, aby dołożyć starań, aby powyższy protokół Zgromadzenia kupców przez pisma publiczne do wiadomości ogólnej mógł być podany, by tym sposobem służył za przykład innym warstwom społeczeństwa krajowego. Delegacya w uznaniu ważności postanowienia powyższego na Zgromadzeniu kupców przyjętego, wiadomość tę z radością i współczuciem przyjęła i obok podziękowania członkowi swojemu Ks. Schlenkerowi wniosek jego popierać postanowiła wszelkimi środkami, jakie od niej zależą.

Na tem protokół ukończony itd.

Działo się w Warszawie dnia 20 Marca 1861 r.

o godz. 1-ej po południu.

Na dzisiejsze posiedzenie zebrali się niżej podpisani członkowie pod prezydencją JW. Jenerała Pauluzzi.

1-o Z powodu obiegających pogłosek o istnieniu listy osób podejrzanych, Delegacya, powodowana bezwzględnem uczuciem sprawiedliwości, czuła się w obowiązku wydania w dniu wczorajszym następującego obwieszczenia: „Doszło do wiadomości Delegacyi, że cyrkulują po mieście listy, jakoby to z pism zagranicznych wypisane, szarpiące honor różnych a nawet i nader poważnych osób. Nie mogąc być obojętną w tak ważnej okoliczności, Delegacya przedsięwzięła wszelkie zawisłe od niej środki dla sprawdzenia tej przynajmniej okoliczności, czyli była istotnie lista jaka w pismach zagranicznych ogłoszoną, ale przekonania tego bynajmniej nie nabrała. Gdy zatem wszelkie jest prawdopodobieństwo, że listy te, na których coraz nowe wymienione są nazwiska, są poprostu dziełem nierozwagi i złośliwej swawoli, Delegacya czuje się w obowiązku przestrzedz publiczność, i upraszać, aby mniemanym listom żadnej cechy autentyczności nie mającym, wiara dawaną nie była. Honoru cudzego szarpać i mieszkańców jednych przeciw drugim podburzać wcale nie wypada, każdy przeto dobrze myślący obywatel powinienby wpływem swoim dalszemu rozprzestrzenianiu nieuzasadnionych paszkwilów zapobiegać.

2-o Doszło do wiadomości Delegacyi, że studenci Uniw. Petersburskiego, którzy przybyli do Warszawy za odpowiednimi urlopami Zwierzchności

Uniwersyteckiej, niepokojeni są przez policją tutejszą. Władza policyjna bez przytoczenia prawnych przyczyn swego postępowania, oznajmiła studentom, że otrzymała polecenie wysłania ich najdalej d. 22 b. m. z powrotem do Petersburga. Delegacja ma honor zwrócić uwagę JW. Jenerała Pauluzzi, że o tym nadzwyczajnym środku policyi uwiadomioną nie była, gdy zaś żadne zasady prawne takiego postępowania interesowanym objawione nie zostały, uprasza JW. Jenerała Pauluzzi, aby raczył wydać polecenie wstrzymania tego rodzaju kroków. JW. Jenerał Pauluzzi oświadczył, że studenci, o których mowa, zmuszeni do wyjazdu nie będą.

3-o Z powodu wydanego okólnika do Gubernatorów cywilnych, rozporządzającego różne środki nadzwyczajne, mające być zaleconymi niższymi władzom Administracyjnym i Policyjnym, Delegacja uczyniła do J. O. księcia Namiestnika przedstawienie, oparte na jednomyślnym wyrażeniu się opinii publicznej i prosiła Jego ks. Mości o przedsięwzięcie właściwych środków w celu uspokojenia i przywrócenia zaufania, powyższem rozporządzeniem wstrząśnionego. Delegacja prosiła JW. Jenerała Pauluzzi, aby ze swej strony przedstawienie to poprzeć raczył. JW. Jenerał oświadczył, że poparcia swego nie odmawia.

Na tem protokół ukończony itd.

Działo się w Warszawie dnia 21 Marca 1861 r.

o godz. 7-ej wieczorem.

Na dzisiejsze zwyczajne posiedzenie pod prezydencją JW. Jenerała Pauluzzi zebrali, się niżej podpisani członkowie.

1-o Posiedzenie rozpoczęte zostało odpowiedzią JW. Jenerała Pauluzzi na przedstawienie Delegacji do J. O. księcia Namiestnika uczynione w przedmiocie okólnika wydanego przez Dyrektora Głównego w Komisji Rz. S. W. i D. Muchanowa do Gubernatorów Cywilnych. JW. Jenerał Pauluzzi oświadczył,

- a) że okólnik wspomniany nieodpowiednio jest tłumaczony;
- b) że z początku przez pomyłkę opuszczono wójtów gmin, pomiędzy wymienionymi władzami, którym okólnik miał być komunikowany;
- c) że jednak zaraz to sprostowaniem zostało i w okólnikach wójtów gmin. wyszczególniono; d) że wreszcie oprócz zapowiedzianych reform, których ogłoszenie lada dzień może być spodziewanem, zajdą wkrótce zmiany, które zadowolnią opinię publiczną, okólnikiem niepokojoną.

Delegacja po otrzymaniu tej odpowiedzi powtórzyć tylko może, że jej wczorajsze przedstawienie było i jest odgłosem jednomyślnym kraju całego.

2-o Delegacya na skutek zanesionego do niej żądania zaznacza w protokóle swoim podług relacyi członka swego ks. Steckiego fakt następujący:

W dniu wczorajszym zebrali się w gmachu Resursy kupieckiej fabrykan-ci i Starsi zgromadzeń rzemieślniczych, którzy jednomyślnie uchwalili, aby wygotowano projekt uformowania korporacyi, mającej mieć na celu rozwój rękodzielnictwa i przemysłu. Do ciała tego postanowiono (w razie zezwolenia Rządu do jego utworzenia) dopuścić wszystkich przemysłowców i rękodziel-ników krajowych bez różnicy stanu i religii. Tym końcem przedewszystkiem zgodzono się na przypuszczenie Starozakonnych do istniejących już cechów.

Wreszcie Zgromadzenie postanowiło, aby przedsięwzięte były kroki celem wyjednania zezwolenia Rządu, której (? zdaje się Resursy rzemieślniczej) projekt podanym jest Radzie administracyjnej pod zatwierdzenie.

Fakt powyższy, dowodzący zgody i jedności obywateli, przemysłowi fa-brycznemu i rękodzielniczemu oddanych, Delegacya z radością i współczu-ciem w protokóle zaznacza.

Na tem protokół ukończony, przyjęty itd.²²⁸.

Dnia 22 Marca 1861 r. posiedzenia Delegacyi nie było. Delegacya jednak oświadczyła, że J. O. książę Namiestnik Królestwa wezwał do siebie 4 człon-ków i, dziękując im za porządek miasta, raczył uczynić 4-ry kwestye, na które członkowie, nie będąc w komplecie, udzielić odpowiedzi nie byli w możności i odłożyli ją do dnia następnego.

Przytem Delegacya zawiadamia, że w dniu dzisiejszym uwolniony został z Cytadeli Antoni Nassalski, student Akademii medycznej.

Działo się w Warszawie w Gmachu Ratuszowym
d. 23 Marca 1861 r. o godz. 11-ej w południe.

W dniu wczorajszym o godz. 12 w południe J. O. książę Namiestnik zawe-zwać raczył do siebie JW. Jenerała Pauluzzi, oraz członków Delegacyi J. Le-wińskiego, L. Kronenberga, Ks. Schlenkera i M. Rosena — wyraziwszy im podziękowanie za dotychczasowe czynności Delegacyi, oświadczył, że Dele-gacya obywatelska m. Warszawy w dotychczasowej formie urzędować prze-stanie, a po dalszą decyzją w dniu dzisiejszym zgłosić się polecił.

W dniu dzisiejszym J. O. książę Namiestnik oświadczyć raczył, że utwo-rzony ma być wydział tymczasowy obywateli, składający się z 8 osób, z grona Delegacyi wybranych, zasiadających w Magistracie, z temi samemi atrybucy-

228 W egzemplarzu jaki mieliśmy przed sobą, w tem miejscu dopisano atramentem czerwonym te słowa: „po odczytaniu protokołu powyższego, zagrzmiała sala okrzykiem: „precz z Muchanowem!”

ami, jakie miała przestająca istnieć Delegacya, i z zastrzeżeniem, aby ogłoszenie protokółów ustało.

Członkowie Delegacyi m. Warszawy w wykonaniu woli J. O. księcia Namiestnika zebrałi się w dniu dzisiejszym na zakończenie swych dotychczasowych czynności i spisanie protokołu rozwiązania. Zarazem mając na uwadze, że nowo utworzony Wydział obywatelski, pozostając przy tych samych atrybucyach, jakie miała Delegacya m. Warszawy, będzie mógł zawsze, choć pod zmienioną formą służyć za przedstawiciela i pośrednika w opinii miasta u władzy, a tym sposobem zapewnić obywatelom wpływ odpowiedni w rozmaitych okolicznościach, postanowił wydelegować ze swego grona 8 członków, którzy stanowiąc mają nowo utworzony Wydział obywatelski.

Powołując się na protokół z d. 13 b. m. tyczący się potrzeb miasta, członkowie Delegacyi uważają się w obowiązku zamieszczenia jeszcze projektu urzędzeń municypalnych dla m. Warszawy, wyrażając w tym przedmiocie życzenia mieszkańców i upraszając JW. Jenerała Pauluzzi, aby takowy J. O. książę Namiestnik przedstawić raczył.

Projekt. W celu doprowadzenia do skutku reformy dotychczasowego zarządu miast Królestwa Polskiego, odpowiednio prawdziwym korzyściom i stanowi kraju, tudzież potrzebom miejscowym i zwyczajom mieszkańców względem zarządu municypalnego miasta stołecznego Warszawy, głos powszechny mieszkańców następujące wskazuje potrzeby i zasady:

1-o Zarząd miasta porucza się Zwierzchności przez Zgromadzenie miejskie wybranej.

2-o Zwierzchność miejska składa się z Rady Municypalnej i Prezydenta, który nosić będzie tytuł Prezydenta Municypalności i Policyi.

3-o Do pomocy Prezydentowi w załatwieniu zwyczajnych czynności zarządu przydani będą czterej Radni i czterej Ławnicy, oraz Sekretarz jeneralny i Kasyer główny ze stosowną liczbą osób biuro zarządu składających, oraz Komisarzami cyrkułowymi z odpowiednią służbą obywatelską i policyjną.

4-o Rada miejska składać się będzie z 24 członków, noszących tytuł Radców municypalnych, wybieranych przez mieszkańców miasta, podług prawideł niżej wskazanych. Urzędowanie Radców municypalnych jest bezpłatne i trwać będzie lat trzy, co rok $\frac{1}{3}$ część Radców przez wybory odnawianą będzie; członkowie wychodzący mogą być na nowo wybrani.

5-o Prezydent Municypalności i Policyi mianowany będzie przez Króla na przedstawienie Rady Municypalnej z liczby trzech kandydatów, wybranych przez mieszkańców w sposób poniżej określony. Urzędowanie Prezydenta trwać będzie lat trzy i może być na nowo wybrany.

6-o Radni, Ławnicy, Sekretarz generalny i Kasyer główny wybierani będą na lat 12, w sposób powyższym artykułem oznaczony. Inne osoby należące do Biura Zarządu miejskiego jako to: Technicy, Budowniczości, Inżynierowie, Medycy, mianowani będą przez władze właściwe na przedstawienie Rady Muncypalnej.

7-o Rada Muncypalna zgromadza się w stale oznaczonych przez siebie terminach, właściwych do załatwienia należących do nich przedmiotów, oraz w każdym czasie na wezwanie Prezydenta Muncypalności i Policyi, lub na żądanie trzech swoich członków; do czynności zaś ciągłych wyznaczona będzie z łona Rady muncypalnej Deputacya w liczbie 8.

8-o Na Radzie Muncypalnej przewodniczy Prezydent, lub gdyby Prezydent zasiadać nie mógł, członek najstarszy wiekiem; Rada Muncypalna nie może nic w przedmiotach obradom jej podległym decydować, gdy przynajmniej $\frac{2}{3}$ członków nie są przytomnymi. Uchwały Rady zapadają większością głosów. Obrady będą jawne i protokoły obrad ogłaszane będą drukiem w Gazecie.

9-o Atrybucye Rady Muncypalnej są następujące:

a) obmyślanie i zarządzanie wszelkich środków, mających na celu zapewnienie spokojności, porządku i bezpieczeństwa miasta; b) zarząd własnością miasta; nabycia, zamiany, sprzedaże własności miejskiej, zaciąganie pożyczek, których potwierdzanie zależeć będzie od władz wyższych; c) ustanowienie budżetu i w ogólności wszelkich dochodów i wydatków miasta tak zwyczajnych, jako i nadzwyczajnych, stanowienie miejscowych podatków, ciężarów, składek jak np. latarniowego, brukowego i t. p.; d) oznaczenie taryf i poborów, opłat miejskich, kwaterunku w naturze i pieniądzu. Stanowienie taks na artykuły żywności, oznaczenie samej potrzeby i wysokości tychże taks, tudzież nadzór nad egzekucją wszelkich czynności ztąd wynikających; e) rozkład ciężarów na rzecz Skarbu publicznego i użytków, jakie miasto ze swych własności i funduszków ciągnie; f) zarządzanie wszelkimi konstrukcyami, znacznymi reparacyami, demolicyami i w ogólności wszelkimi robotami przedsięwziąć się mającemi, tak około budowli, jakoteż utrzymania regulacyi dróg, ulic, placów publicznych, bruków, kanałów, mostów, mostków, wodociągów, studzien, grobli, brzegów nadrzecznych, oświetlenia i oczyszczania miasta, porządków ogniowych i t. p.; g) zatwierdzenie warunków do licytacji na przedsiębiorstwa, dostawy, dzierżawy i t. p. odbywanie i zatwierdzanie tychże licytacji, lub oddawania przedsiębiorstw z wolnej ręki; h) pilnowanie praw miasta, zawierania transakcyi za zaciągnięciem opinii Rady prawnego i Prokuratoryi w Królestwie; i) wykonywanie rozporządzeń testamentowych względem legatów, przeznaczonych na wsparcia, lub inne dobroczynne cele; k) utrzymanie i nadzór nad szkołami elementarnymi, cyrkulowemi i prywatnemi (jak do r. 1833); l) odbiór, rozpo-

znawanie i monitowanie rachunków od Prezydenta Muncypalności i Policji oraz Magistratu z użytych sum na potrzeby budżetem przeznaczonych, które to rachunki następnie wprost przesłane być mają do ostatecznej decyzji Najwyższej Izby obrachunkowej; m) nadzór nad poborem do wojska, nad postępowaniem urzędników, służbą obywatelską i policyjną, rozpoznanie o decydowanie zaskarżeń z powodu egzekucji, przepisów, przedstawień do alleniacy i umorzenia nieopłaconych podatków, rozporządzeń dotyczących dobra miasta i t. d.; n) zatwierdzanie list wyborców, przygotowanych przez Deputacyą Rady Muncypalnej; o) naradzanie się nad projektami dotyczącymi sposobu poprawienia administracyi miejscowej, projektowanie zmian istniejących przepisów i urządzeń, tudzież organizacyi Rady Muncypalnej.

10-o Deputacya stała Rady Muncypalnej oprócz załatwienia czynności bieżących trudnić się będzie kontrolowaniem ksiąg spisu ludności, formowaniem i rozpoznawaniem list wyborców, mieć udział w rewizyi kas, tudzież przygotowawczem opracowaniu przedmiotów, pod rozpoznanie Rady Muncypalnej przyjść mających.

11-o Prezydent Muncypalności i Policji z pomocą Magistratu sprawować będzie następne obowiązki:

a) rozsyła, podaje do wiadomości publicznej i wykonywa urządzenia i rozporządzenia rządowe od Komisji Rząd. Spraw Wewnętrznych odbierane; czuwa nad bezpieczeństwem majątków i osób mieszkańców, oraz nad porządkiem, czystością w mieście, w zakresie środków przez Radę Muncypalną uchwalonych, zapobiega próżniactwu, włóczęgostwu i żebraniu; b) przedstawia Radzie Muncypalnej projekta do budżetu i wszelkich ulepszeń w mieście; daje baczność na to wszystko, co w obwodzie miasta jest własnością publiczną, dociera robót publicznych przez Radę Muncypalną zarządzonych; c) zawiaduje prowadzeniem rachunków, wypłaca sumy budżetem miasta przeznaczone z dochodów miejskich pochodzące i należytości za roboty publiczne przypadające. Dopełnia rewizyi kas miejskich wraz z Delegacyą stałą Rady Muncypalnej; d) rozporządza pomocą do sprawiedliwego rozkładu i prędkiego poboru ciężarów publicznych; mianuje urzędników, ofycyalistów i posługaczy od siebie zależących, na przedstawienie Rady Muncypalnej; e) czuwa nad postępowaniem tychże urzędników i ofycyalistów, niepoprawnych przez siebie mianowanych oddała, a o innych Radę Muncypalną zawiadamia; f) prowadzi ciągłą kontrolę ksiąg ludności niestałej, wydaje świadectwa, pasporty i przesiedlania; ma dozór policyjny nad targami, wagą i miarą, wszelkim handlem i zarobkowaniem, porządkiem dróg i mostów, narzędzi ogniowych, jatek, szlachtuzów, aresztów i t. p.; g) załatwia czynności spisu wojskowego w zakresie przepisany instrukcyą, łącznie z dwoma członkami Rady.

Wybory członków Rady Municipalnej i Kandydatów na Prezydenta.

1-o Wybory są podwójne, to jest wybory 1-go stopnia, wybierają wyborców stopnia 2-go, a ci ostatni członków Rady Municipalnej.

2-o Wyborcą 1-go stopnia jest każdy pełnoletni mieszkaniec miasta stołecznego Warszawy, mający kwalifikacje następujące: a) posiadający własność gruntową; b) fabrykant, rzemieślnik przełożony nad czeladzią warsztatową i czeladnik wyzwolony; c) bankier, kupiec handlujący, agent, komisant i subjekt kupiecki; d) duchowny, proboszcz, wikaryusz i przełożony zakonu lub każdej gminy religijnej; e) lekarz, nauczyciel, artysta, inżynier, technik wolno-praktykujący, aptekarz, obrońca sądowy, rejent, tudzież osoby poświęcające się naukom i posiadające wyższe kształcenie; f) każdy ojciec rodziny nie należący do powyższych kategorii, ponoszący jakiegokolwiek ciężary gminne.

3-o Każdy wyborca 1-go stopnia mający lat 25 skończonych, czytać i pisać po polsku umiejący, może być powołanym na wyborcę stopnia 2-go do Rady Municipalnej.

4-o Na każde 500 dusz ludności stałej jeden wyborca 2-go stopnia powołanym będzie. Wybory odbywać się będą cyrkułami pod prezydencją obywateli doraźnie na ten cel obranych przez wyborców.

5-o Wyborcy 2-go stopnia wybierają większością głosów 22 członków Rady Municipalnej, trzech kandydatów na Prezydenta, z których nie utrzymujący się zostają Radcami Municipalnymi i ci urząd Prezydenta mają zastępować, tudzież Radnych Magistratu, Ławników, Sekretarza jeneralnego i Kasyera, a to z osób stale w mieście osiadłych lub innych krajowców własnej lub obcej gminy.

6-o W liczbie kandydatów na Prezydenta może być jeden urzędnik, a dwaj inni obywatele z powyższych kategorii w art. 2-m wymienionych.

Kończąc swoje czynności, Członkowie Delegacyi mają zaszczyt wyrazić jeszcze prośbę, aby J. O. książę Namiestnik, co do pozostałych w Cytadeli więźniów łaskawie wyrzec raczył i zarazem dziękują za dozwolone im działanie w tak ważnych krajowych okolicznościach i zapewniają, że nie zaprzestaną całym swym osobistym wpływem działać na współobywateli, aby zachowywali godną i umiarkowaną postawę, jaką dotąd okazywali.

Następnie JW. Jenerała Pauluzzi wyraził na piśmie podziękowanie swe całej Delegacyi.

Delegacya nawzajem czuje się w obowiązku złożenia JW. Jenerała Pauluzzi najżywszego podziękowania za doznaną pomoc i za pośrednictwo pełne ludzkości i umiarkowania, które mu powszechne zjednały uznanie i w końcu wynurza to przekonanie, że wyrazy jej znajdą oddźwięk w całym kraju.

Na tem protokół ukończony, przeczytany i podpisany został.

SPIS ROZDZIAŁÓW TOMU II

Rozdział V. Pięć ofiar. Stan miasta. Raport urzędowy do cesarza.

Aresztowanie Majewskiego. Zjazd delegatów uniwersyteckich. Powstanie tryumwiratu. Antoni Załuskowski w salach reutowych. Komitet Towarzystwa rolniczego. Pierwsze posiedzenie. Mowa Zamoyskiego. Konkluzya komitetu. Towarzystwo pod wpływem Tomasza Potockiego uchwała uwłaszczenie. Wieści o manifestacji. Jelszyn i Paulucci. Balcer i środki ostrożności. Zebranie się ludu na polach grochowskich. Manifestacja na rynku Starego Miasta. Rada w Zamku i pobicie Trepowa. Wyruszenie procesyi z kościoła OO. Paulinów. Starcie z żandarmami. Pogłoski i rozwinięcie siły wojskowej. Żałoba. Telegram Gorczakowa do cesarza i ogłoszenie Trepowa. Postanowienie tryumwiratu. Inicytywa mieszczaństwa warszawskiego w sprawie adresu. Wybory w cukierni Kontiego. Dzień 27 Lutego. Nabożeństwo na Lesznie. Instrukcyja namiestnika. Pochód procesyi. Zjawienie się jej na placu Zamkowym. Ataki Czernobrowa na tłum pod Bernardynami. Pogrzeb Łempickiego. Złamany krzyż. Wystąpienie piechoty Harga. Pojawienie się Zabołockiego. Towarzystwo rolnicze i Narzymiski. Zabołocki rusza na wązkie Krakowskie Przedmieście. Strzały. Pięć ofiar i ich nazwiska. Zbieranie trupów przez lud i poszukiwanie dla nich pomieszczenia. Wzburzenie umysłów. Gorczakow wysłał Wiesielickiego i Semekę. Raport Zabołockiego. Deputacyja u namiestnika. Wybór i wysłanie delegacyi. Delegacyja i Gorczakow. Sześć punktów i usunięcie Trepowa. Redakcyja adresu. Usiłowania Wielopolskiego. Podpisywanie adresu. Konstable narodowi. Korespondencyja Gorczakowa z Petersburgiem. Oględziny sądowe ciał poległych. Patrole nocne i prowokatorzy. Wręczenie adresu. Popłoch w Zamku. Uroczysty pogrzeb poległych. Odezwy i wiersze. Okólnik o żałobie. Odezwa żydowska. Zakończenie. Str. 1 do 116

Rozdział VI. Koncesyje. Polskie czasy. Cesarz odrzuca adres. Gorczakow myśli o reformach. Juliusz Enoch. Karnicki jedzie do Petersburga. Proponowanie reformy. Nadzwyczajna rada tajna. Przyznanie koncesyi. Stan miasta. Pertraktacye Delegacyi z Gorczakowem. Zebrania w resursie. Organizacyja straży bez-

pieczeństwa. Posiedzenia Delegacyi. Dziennikarstwo, fotografie, medale, krzyże i kopce pamiątkowe. Nabożeństwo żałobne d. 9 Marca. Składki. Nabożeństwa w kraju i zagranicą. Dwa stronnictwa w Delegacyi. Więźniowie polityczni. Odpowiedź cesarska na adres, i wrażenie, jakie ona wywarła. Zamoyski z podpisami u Gorczakowa. Dymisy Muchanowa z kuratorstwa. Mowa Łaszczyńskiego. Wielopolski w Warszawie i jego warunki. Program żądanych przezeń koncesyi. Wysyłka projektu do Petersburga. Raport ministra sekretarza stanu. Ośmiogodzinna narada ministrów. Ogłoszenie treści koncesyi. Ukaz cesarski. Odezwa namiestnika. Okólnik Gorczakowa do ambasad i misyi rosyjskich. Delegacya w Lublinie. Zamach Nowakowskiego na Delegacyą. Projekt Szlenkiera. Wzburzenie wśród ludu. Okólnik Muchanowa. Instrukcyja Towarzystwa rolniczego. Okólnik Myślińskiego. Dymisy Muchanowa i jego wyjazd z Warszawy. Rozwiązanie Delegacyi. Wydział obywatelski. Kocie muzyki. Narada w Zamku. Ogłoszenie koncesyi. Zakończenie Str. 117—252.

Rozdział VII. Margrabia. Krwawe starcie. Wielopolski u władzy i jego przemowa w Komisji oświecenia. Wrażenie tej mowy. Drobne manifestacje. Święta wielkanocne. Dymisy. Odezwa Wielopolskiego do chłopów i jego domaganie się u namiestnika. Podział miasta na cztery okręgi wojenne. Trzecie posiedzenie Wydziału obywatelskiego i jego rozwiązanie. Zaburzenia na prowincyi. Kocie muzyki i Delegacya w Radomiu. Wypadki w Puławach, Kielcach, Kaliszu i innych miastach. Ucieczka Mackiewicza z Lublina i nominacya Boduszyńskiego na gubernatora. Wypadki w gimnazyum Żytomierskiem. Bebutow. Sprawa Międzyrzecka. Mowa Wielopolskiego do duchowieństwa i żydów. Protestacya duchowieństwa. Ks. Dekert. Zniesienie Towarzystwa rolniczego. Oznajmienie Wielopolskiego. Wrażenie dekretu. Początek manifestacyi na Powązkach. Zbiegowisko przed gmachem Towarzystwa kredytowego ziemskiego i przed pałacem Zamoyskiego. Zbiegowisko przed Zamkiem. Gorczakow i lud. Noc z 7-go na 8-my Kwietnia. Nowe prawo o zbiegowiskach. Pogrzeb Stobnickiego. Lud gromadzi się na placu zamkowym. Wystąpienie wojska i Ojrzyński. Atak żandarmów. Żyd Landau. Strzały i Nowakowski. Pięć salw. Straszne sceny. Chrulew i Wielopolski w Zamku. Telegram Gorczakowa do cesarza. Dymisy Wołowskiego. Mowa Wielopolskiego. Wypadki w Płocku. Komunikat Wielopolskiego. Okólnik Giecewicza i Gorczakowa. Zakończenie Str. 253—384.

Rozdział VIII. Śmierć Gorczakowa. Pogląd Wielopolskiego i Gorczakowa na położenie kraju. Organizacya czasowa Rady municypalnej w Warszawie. Projekt organizacyi Rady Stanu. Zamoyski odmawia odczytania go. Mar-

grabia broni Zamoyskiego. Sprawa Modlińska i Wieczorkowski. Akta zejścia poległych d. 8 Kwietnia. Rozkaz dzienny Gorczakowa. Chaos w kołach rewolucyjnych. Tworzenie się dziesiątek. Agaton Giller i jego „Posłanie do wszystkich Polaków”. Program Millenerów. Poroniona akcja Zamoyskiego. Akt konfederacyi. Mężowie zaufania. Nieporządki szkolne. Zamykanie gimnazjów. Sprawa o sztachety. Wielopolski i „Czas” krakowski. Duchowieństwo i pieśni patriotyczne. Komunikat Wielopolskiego i reskrypt do władz dycyzyalnych. Odpowiedź arcybiskupa i Benjamina. Druga protestacja duchowieństwa. Karanie księży. Manifestacja 3 Maja. Mowa ks. A. Czartoryskiego w Paryżu. Zaburzenia w Łodzi, Częstochowie, Radomiu, Siedlcach, Janowie Ordynackim i Płocku. Litwa i zaburzenia chłopskie na Podolu. Demonstracja w Wilnie d. 20 Maja. Komisya śledcza i wypadki d. 21 i 22 Maja. Prawo o skupie pańszczyzny. Komisarze i instrukcja dla nich. Nowe projekta Wielopolskiego. Choroba Gorczakowa. Kotzebue i jego pismo. Dymisy Paniutyna. No-minacya Merchelewicza i jego odezwa. Wypadki w Boże Ciało. Śmierć Gorczakowa i jego pogrzeb. Zakończenie str. 385—483.

Dokumenta. *No I.* W sprawie memoriału Enocha . . str. 485—489.

No II. Memoriał Michała Łempickiego . . str. 489—495.

No III. Protokoły posiedzeń Delegacyi . . str. 495—518.

Sprostowanie. W tomie I niniejszego dzieła na str. 281 powiedziano, że założycielka „Czytelni niedzielnej” p. Petrow była Polką. Jest to błąd. Pani Petrow, córka Pogodina, który otrzymał majorat Osiek w Sandomierskiem, była Rosyanką z rodu, co się niniejszem prostuje.

HISTORIA DWÓCH LAT

1861 — 1862

PRZEZ

Z.L.S.

CZEŚĆ PIERWSZA Rok 1861

Tom III

Czerwiec — Grudzień

KRAKÓW

1894

„Łatwość poświęcania zasad lub przekonania dla mniemanej jednomyślności jest dość pospolitym, a nieszczęsnym rysem naszego życia publicznego i służy za płaszczyk dla przykrycia słabości charakteru; zamiast prowadzić do prawdziwej zgody i skupionego działania, jest ona zwykle źródłem zamieszania i niemocy”.

(*L. Gadon: książkę A. Czartoryski podczas powstania listopadowego*).

„Ze wszystkich przedsięwzięć ludzkich, nie ma większych nad spiski”.

(*Saint-Real: „Spisek Hiszpanii przeciw Rzplitej weneckiej w r. 1618”*).

ROZDZIAŁ IX

Sezostrys.

Suchozanet, jego przeszłość i charakterystyka. Przyjęcie duchowieństwa i kupców. Jego postępowanie. Choroba i śmierć Joachima Lelewela. Nabożeństwa za niego w kościołach warszawskich. Garliński w ogrodzie Saskim. Nabożeństwo w Wilnie i synagogach warszawskich. Pieśni, obrazki, emblemata. Odezwa Radowskiego. Rozporządzenia szkolne. Organizacja Komisji oświecenia i prace nad reformą szkół. Sprawa korespondentów i Wacław Szymanowski. Kazimierz Wł. Wójcicki i jego dymisy. „Książka zbiorowa”. Obozowiska uliczne. Tuczkwow odmawia przyjęcia namiestnictwa. Przegląd wojsk i Ilia Arseniew. Jego korespondencje. Komitety tajne. Aresztowania i policja. Wypadki w Suwałkach i Rudanowski. Obchód rocznicy bitwy Ostrołęckiej. Pogrzeb topielca w Płocku. Popłoch w Ratowie. Sprawa Mysłowskiego w Lublinie. Ruch w Białymstoku i przyjazd tam Zamoyskiego. Agitacja w Kownie i Wilnie. Straże na Wołyniu. Obawy rzezi chłopskiej na Ukrainie. Uroczystość wianków w Warszawie. Poświęcenie grobu poległych i reskrypt Wielopolskiego. Rozkaz do wojsk z d. 2 Lipca i okólnik z d. 9 Lipca. Ukaz Radzie stanu. Artykuł „Gazety Polskiej” i nominacje do Rady stanu. Mowy namiestnika przy otwarciu teje. Burza przeciw Wielopolskiemu. Cenzura. Sprawa kolorów narodowych. Skarga Wielopolskiego w Radzie administracyjnej. Stan miasta. Zapowiedź manifestacji. Adres angielski i odpowiedź nań Czartoryskiego. Rozprawy w izbie niższej o Polsce. Manifestacja przed konsulem angielskim. Kocie muzyki w Radomiu i Kaliszu. Usposobienie ludu. Kometa i emisariusze. Zakończenie.

Mikołaj Onufrowicz Suchozanet przybył do Warszawy d. 31 maja, to jest nazajutrz po śmierci Gorczakowa. Nominacja ministra wojny na śliskie stanowisko namiestnika w Polsce, miała tylko charakter tymczasowy, podobnie jak powierzenie władzy generał-gubernatorskiej po oddalonym Paniutynie, Merchelewiczowi – i nastąpiła na wyraźne żądanie samego Gorczakowa. Tak, jak Merchelewicz miał ostatecznie zastąpić Lambert, którego wezwano z zagranicy, tak samo i Suchozanet miał rządzić Polską tylko dopóty, dopóki nie znajdzie się nowy kandydat na tron namiestnikowski w Warszawie. W Petersburgu zresztą początkowo nie spieszono się z tem wcale. Jakkolwiek bowiem cesarz postanowił ostatecznie usunąć Gorczakowa, dać mu urlop zagranicę, to przecież nie miało się to zaraz zrobić i czasu jeszcze było dosyć, by powoli wyszukać następcę. Nagły telegram Krzyżanowskiego z d. 26 Maja o chorobie namiest-

nika, wszystkie te kombinacje wywrócił. Trzeba było kogoś natychmiast wysłać, a że Gorczakow sam zażądał Suchozaneta, więc go wysłano¹.

Względy, które kierowały chorym namiestnikiem, że zażądał zastępstwa Suchozaneta, były i osobistej, i publicznej natury. Suchozanet z fachu był artylerzystą, a zatem towarzyszem jednej bronii z namiestnikiem, mieszkał za Paskiewiczza dłużej w Warszawie jako naczelnik artylerii, miał liczne stosunki z arystokracją polską, prócz tego wiedziano powszechnie, że pochodził z krwi polskiej. Suchozaneci byli starą szlachtą polską z Witebszczyzny, i na prawosławie przeszli dopiero w końcu XVIII. czy na początku XIX. wieku².

Sam namiestnik tymczasowy znał język polski, którego się nauczył w dzieciństwie jeszcze od matki swej, Polki, Strumiłówny z domu. W kołach szwinnistów rosyjskich uważano go też za pół Polaka i nie bardzo lubiano.

Jeżeli atoli wszystkie te względy świadczyły zawsze o jak najlepszych chęciach dla Polski umierającego Gorczakowa, to nie świadczyły w żadnym razie o jego przenikliwości i znajomości ludzi. Gorczakow znał od dawna Suchozaneta z Warszawy i z czasów kampanii krymskiej, gdzie wyrobił sobie o nim pojęcie jak najlepsze. Uważał go za wyborczego administratora, przepowiedział głośno, że Rosya będzie miała kiedyś w jego osobie nowego Barkłaja de Tolli. Bodaj nawet, czy jego rekomendacje nie przyczyniły się do nominacji Suchozaneta na wysokie stanowisko ministra wojny. Stosunki zachowali ze sobą zawsze jak najserdeczniejsze i nawet w korespondencji urzędowej pisali do siebie nie inaczej, jak „mój czcigodny przyjacielu” (mój uważajemyj drug). Suchozanet jednakże, liczący w dobie, gdy siadał w Zamku warszawskim na tron wielkorządcy Polski, około siedemdziesięciu lat, nie był już tym samym, jakim go znano w dawniejszych, paskiewiczowskich czasach. Był to człowiek w gruncie rzeczy tępy, z ciasnym, ograniczonym horyzontem. Natura nie obdarzyła go wyższymi zdolnościami i brak mu było wykształcenia, a jak każ-

1 Nominacja Suchozaneta nastąpiła w Carskim Siole d. 28 maja, a zatem dwa dni przed śmiercią Gorczakowa. W ukazie odnośnym czytamy, że „minister wojny, generał-adjutant, generał artylerii Suchozanet, objąć ma zarząd tymczasowy Król. Polskiego na prawach namiestnika naszego i w tym charakterze prezydować będzie w Radzie Administracyjnej i w Radzie Stanu tegoż królestwa, z pozostawieniem go (Suchozaneta nie Królestwa) przy wszelkich godnościach i zajmowanych przezeń obowiązkach”.

2 Suchozanet właściwie miał pochodzić z Mińszczyzny; ojciec jego był dzierżawcą w dobrach Radziwiłłowskich. Z tego powodu, opowiadano autorowi anegdotę następującą: skoro Suchozanet został ministrem wojny, wziął do siebie za adjutanta księcia Witgenszteina, który, jak wiadomo, po matce Stefanii Radziwiłłównie, odziedziczył olbrzymie dobra tego rodu w Mińszczyźnie. Otóż zdarzyło się raz, że na obiedzie u siebie, Suchozanet posadził swego adiutanta na pierwszym miejscu, a zdziwionym z tego powodu generałom odrzekł: „Sadam go na pierwszym miejscu, bo to mój pan, a ja jego poddany. Suchozaneci zawsze byli sługami Radziwiłłów”.

dy człowiek umysłu miernego, który dzięki szczęśliwym okolicznościowym, wydobyl się na wysokie stanowisko, był ufny w siebie, w swój rozum, w swą inteligencją. Nosił się dumnie i groźnie, tak że go nazwano w Warszawie „Sezostrysem”, gdyż znajdowano w jego twarzy chudej i kościstej, w jego napuszonej śmiesznie postawie, podobieństwo do tego starożytnego zdobywcy egipskiego. Kiedy został ministrem, dał dymisyą przeszło stu generałom; obiegała też wtedy po Petersburgu karykatura, na której Suchozanet przedstawiony był w postaci Saturna, koszącego generałów jak trawę.

Saturn petersburski był anachronizmem nie tylko w Polsce, ale i w Rosji. Wychowany i wyrobiony w tradycjach despotyzmu Mikołajewskiego uważający wojskowość za szczyt, kopułę, wieniecącą gmach układu społecznego, żołdak surowy i ograniczony, w żadnym razie nie nadawał się na rządcę kraju, w którym wrzało, w którym wszystko i ludzie, i rzeczy pędziły z szybkością nadzwyczajną w straszną przyszłość dziejowych przeznaczeń. Ruchu polskiego nie pojmował i do poważnej, rozumnej walki z nim nie był zdolny. Otoczony w Petersburgu wojskowymi, którym nie podobały się ustępstwa czynione Polsce, pod wpływem zdradzieckiego pisma Kotzebuego, które czytał, jadąc do Warszawy *ad interium* (zamiast *ad interim*), jak mówił w kiepskiej łacinie do swych podwładnych, głośno się odzywał, że chce Polskę *obołwanit*, co niby znaczy obciosać³. Te jego zamysły znalazły poparcie szczerze i gorące w kamarylli wojskowej w Warszawie, która głośno szemrała na rządy łagodne Gorczakowa, która mu zatruła ostatnie miesiące jego życia, która go popchnęła do strasznych, krwawych represalii, a która była przekonana, że teraz z przybyciem Suchozaneta nastały dawne, dobre czasy rządów i gwałtów militarnych. Do jadącego do Warszawy nowego namiestnika, Kryżanowski wysłał w d. 26 maja do Rygi specjalnego feld-jegra z ważnymi papierami i kazał mu tam czekać na przybycie wielkorządcy. Ze swej strony Suchozanet polecał, by mu w Warszawie żadnego przyjęcia publicznego nie robiono.

Rządy swoje, nowożytny Sezostrys moskiewski rozpoczął, jak wszyscy zresztą, od przyjęć. W d. 2 czerwca przyjmował dygnitarzy wojskowych, a nazajutrz duchowieństwo katolickie, urzędników i obywateli.

Wyszedł do nich w śmiesznie groźnej postawie, z rozpuszczoną na pendencie szablą, która głośno dzwoniła, w okularach niebieskich na czoło podniesionych, chwiejąc się na swych cienkich nogach, usiłując sobie nadać powagę, której cała jego postać chuda i mizerna nie miała, przypominająca niewielkiego wojownika egipskiego, ale osławionego rycerza z Manszy. Do arcybiskupa Fijałkowskiego, ubranego w purpurę, starca zgarbionego i sza-

3 Obołwanit, wyrażenie techniczne artyleryjskie, znaczące obrobienie, wygładzenie działa po jego odlaniu.

nownego w swym siwym włosie, przemówił Suchozanet kilka słów po francuzku. „Niech pan generał mówi ze mną po polsku, odrzekł arcybiskup, bo po francuzku nie rozumiem”. – „Trudno mi wyrażać się po polsku”, zauważył na to Suchozanet i mówił dalej kiepską nieco, petersburską francuzczyzną. „Nie rozumiem”, powtarzał Fijałkowski i na tem rozmowa się skończyła, wywołując u wszystkich obecnych uśmiech z wysoce komicznej sytuacji wielkorządcy, w jakiej się znalazł. Ale było to jeszcze drobnostką wobec sceny, jaką w kilka dni później rozegrał Suchozanet na przyjęciu reprezentantów kupiectwa warszawskiego, które w d. 9 czerwca stawiło się dość licznie na Zamku. Między nimi znajdował się, znany całemu miastu, kupiec winny R*, dawny znajomy ministra, ubrany w mundur wązki, w piróg (tak zwano kapełusze stosowane) i szpadę, jako sędzia sądu handlowego. Stał on w pozycji zabawnej, pocąc się w swym mundurze ciasnym, nie mogąc sobie dać rady z nieposłuszną szpadą i wysłuchując dokoła szyderskich szeptów ze swej postawy i ubrania. Na koniec ukazał się długo oczekiwany namiestnik, dzwoniąc według zwyczaju szablą i spostrzegłszy kupca R*, stojącego z nogą nieco naprzód wysuniętą i rękami w tył założonemi, zawołał głosem donośnym: „a co to znaczy? Ręce trzymać przy sobie” *eto chto znacził? Ruki po szwam!* Przestraszony biedak tak gwałtownie szarpnął rękami, że z głośnym trzaskiem pękł mu na plecach ciasny mundur, wywołując śmiech stłumiony w obecnych i zmieniając powagę przyjęcia urzędowego na krotochwilę, a Suchozaneta na króla operetkowego. Jeżeli atoli większość bezmyślna zebranych, śmiała się serdecznie z zabawnej sytuacji, to ludzie poważni szczerze boleli, patrząc na to i na człowieka, któremu oddano w ręce losy kraju, a który postępuje tak, jakby był komisarzem cyrkułu policyjnego. Prostując się i przybierając groźną postawę, wołał do zebranych Suchozanet: „panowie! Starajcie się wszelkimi siłami przyczynić do spokoju, bo gdzie jest spokój, tam idzie interes, gdzie idzie interes, tam jest pieniądz, a gdzie pieniądz, tam swoboda prawdziwa!” I taki człowiek, o którym, mówiąc za poetą rzymskim, trudno nie pisać satyry, miał być pacyfikatorem Polski, rządcą kraju, w którym wszystko wychodziło ze swych karbów, w którym huczały już odgłosy strasznej burzy, który potrzebował rozumu niepospolitego, energii wielkiej i wielkiego serca, by mógł być należycie pokierowanym.

Wieści o takim wystąpieniu nowego namiestnika, dochodziły oczywiście natychmiast do ogółu i dawały pole obszerne i podatne do łatwych tryumfów dowcipnisiom miejskim, do różnych żartów i szyderstw z Sezostrysa, w skórę generała moskiewskiego przybranego. W sferach wojskowych, wśród różnych dygnitarzy, przywykłych do głupich mów i czynów swoich zwierzchników, te wystąpienia Suchozaneta znalazły zupełną aprobatę, zwłaszcza na prowincyi.

Wnioskowano tam powszechnie, że teraz nastąpi czas działań energicznych, że „kartacze rozstrzygną spór między Polską i Rosyą”. Sam Suchozanet ukazywał się miastu w postawie groźnej i chmurnej, przebiegający ulicę wyciągniętym kłusem, otoczony czerkiesami, śmieszny ze swą miną surową, którą widocznie chciał postrach i poszanowanie dla siebie wywołać. Oberpolicmajstrowi Rozwadowskiemu nakazał, by ponowił ogłoszenie, że nie wolno nosić żadnych oznak politycznych i odzieży odróżniającej. Rozwadowski zrobił takie ogłoszenie d. 4 czerwca, dodając w formie niejako wyjaśnienia przyczyny, dla których po raz trzeci w ciągu dwóch miesięcy rzeczony zakaz publikuje; pisze więc: „z powodu wynikłej ze strony mieszkańców pod tym względem wątpliwości, p. o. Oberpolicmajstera zawiadamia, że władza miejscowa za odzież, odróżniającą się od zwyczajnej, uważa: czapki rogatywki (konfederatki) i tak nazwane czapki kościuszkowskie, dalej kontusze, żupany, jak niemniej kamizelki, halsztuki i krawaty koloru amarantowego, na koniec buty kolorowe i inne stroje, odznaczające się tak jaskrawością kolorów, jako też niezwykłością kroju. Za niestosowanie się do niniejszego, winni pociągani będą do odpowiedzialności, jako nieulegli rozporządzeniom władzy”.

Suchozanet pilnie teraz patrzył, przelatując przez ulice miasta, czy kto nie nosi zakazanego ubioru i raz spostrzegłszy jakiegoś jegomościa w czamarce, zaczepił go i skrzyczał. Przechodniom kazał czapki przed sobą zdejmować, tak że weszło w zwyczaj, iż mężczyźni na widok pędzącego namiestnika, chowali się w bramy domów. Niekiedy pojawiał on się pieszo na ulicach, zwłaszcza wczesnym rankiem, oglądał rynsztoki, „srogie wygowory” czyniąc policyi, jeżeli gdzie znalazł zepsuty lub zapadający się mostek, spełniając to wszystko z miną, powagą i namaszczeniem tak wielkiem, jakby na czamarce lub mostku spoczywały już nie tylko losy Polski, ale całego caratu. Wszystko to nie uchodziło wzroku argusowego publiczności, pilnie przypatrującej się nowemu namiestnikowi i ciekawemu dziwowisku, jakie on swem postępowaniem i zachowaniem się dawał. Śmiano się też z niego szczerze, szydzono i groźna jego postawa nikogo nastraszyć nie mogła; owszem z bystrością i przenikliwością, właściwą dzieciom i narodom, szybko dostrzeżono, że pod tą twarzą kościstą i marsową, kryje się nicość i bezgraniczna głupota typowego generała rosyjskiego starej szkoły mikołajewskiej. Ucichłe też na chwilę manifestacje postanowiono znowu rozpocząć na wielką skalę, grać dalej w tę niebezpieczną grę, w której na stół dziejowy rzucono losy, nie już jednego pokolenia, ale całej przyszłości naszego narodu.

Sposobności oczywiście potemu nie brakło. Właśnie w tę samą porę, w której w pałacu Belwederskim konał stary książę Gorczakow, śmiercią swoją przynosząc istotną szkodę interesom kraju, kraj ten poniósł stokroć więk-

szą, stokroć boleśniejszą i niczem niestety! wyngarodzić się nie dającą stratę; z wieńca jego chwały polskiej, spadał w wieczność jeden z najpiękniejszych i najwspanialszych liści, jakie wykwitły na porozbiorowej glebie smutku i niedoli narodowej. Mówimy tu o Joachimie Lelewelu, największym historyku polskim, przepysznym typie tego pokolenia, które jak gwardya stara umierała, ale się nie poddawało, które po rozbiciu w 1831 r. unosiło na obczyznę, jak Eneasze bogi, nieskalaną, niezachwianą niczem wiarę w przyszłość i idealną, doprowadzoną nieomal do obłędu miłość nieszczęśliwej swej ojczyzny. Jedząc chleb gorzki wygnania, trawiąc się w tęsknocie za krajem, chodząc w bluzie i sabotach robotnika, Lelewel pracował ciężko, szukał, badał i uczył nas wszystkich; pokoleniu żyjącemu wśród nocy niewoli ukazywał majestatyczne blaski potężnej przeszłości.

Wiadomość o chorobie Lelewela przyszła do Paryża d. 21 maja; zaraz też dr. Gałęzowski i Januskiewicz, emigrant i wydawca dzieł Lelewela, udali się do Brukseli z zamiarem przewiezienia uczonego dziejopisa do Paryża, gdzie i lekarzy lepszych i troskliwszą opiekę mógł znaleźć. Stanąwszy nazajutrz w stolicy Belgii⁴, z trudnością zdołali oni namówić Lelewela, który nie lubiał Paryża, że zgodził się na opuszczenie Brukseli.

„Pozwólcie mi umrzeć tutaj”, powtarzał. Ustąpił przecie ich naleganiom, a młodzież polska i kilku uczonych cudzoziemców zaprosiło go na obiad pożegnalny⁵. Siedząc już w wagonie, przyjmował pożegnania rodaków, tudzież

4 Zastaliśmy Joachima, opowiada nieznaną autor (ostatnie chwile Joachima Lelewela p. I.), wspartego na łóżku i dobywającego mozolnie korek z butelki faru. Obok łóżka na piecu, od kilku dni stały szczątki ryby morskiej rei i czarka mleka, pożywienie mogące struć najzdrowszego człowieka. Przytem pościel w strasznym zaniedbaniu zdradzały brak wszelkiej, ludzkiej pomocy, którą wyraźnie teraz nawet, jak w ciągu całego życia, Lelewel ze stoicką dumą odrzucał. „Jak się masz, panie Joachimie!”, zawołali wchodzący goście, pokrywając bolesne wrażenie, jakie na nich widok chorego starca w takim opuszczeniu robił. „A tak, niedobrze, odrzekł zaledwie patrząc na przychodzących. Nie mogę oto odkorkować butelki, a pić się chce... słaby jestem...” „A cóż ci to? Spytał doktor, chwytając go za puls. To nic, dodał głośno, nachylając się do ucha chorego, który już był mocno ogłuchł, a p. Januskiewiczowi szepnął: przyjechaliśmy na pogrzeb mój kochany, on ledwie parę godzin pożyje, puls słaby, jak u konającego. Przystąpiwszy do bliższej rewizji, znalazł lekarz ciało na nogach opadające z braku starań, a łokcie, na których ciągle się opierał, odarte aż do kości, pościel całą przesiąkniętą krwią i materią, słowem stan najstraszniejszego zaniedbania, jakie sobie wyobrazić można”.

5 Wybornie charakteryzuje prawdziwie stoicki charakter tego bohatera nauki epizod następujący: „przyjaciele chcieli, żeby wystąpił na tę ucztę w staranniejszej niż zwykle odzieży. P. Januskiewicz zaczął przeglądać garderobę. Najprzód pokazuje frak, zaledwie w kupie się trzymający, Lelewel woła, że dobry, „ledwie ma lat dwadzieścia kilka”. To go zabieremy? A naturalnie! Drugi zadość, czyniąc życzeniu, kładł niby w kufer, a w istocie zostawił go pod łóżkiem. Los taki spotkał prawie całą garderobę; zabrano tylko trochę bieli-

deputacye uniwersytetów Brukseli, Gandawy, Lowanium i Leodyum. Świeże powietrze orzeźwiło go trochę, mówił, że jechać miło i wygodnie, a kiedy pociąg wsunął się w las strojny zielonością wiosny, popatrzywszy chwilę przez okno, rzekł: „trzydzieści lat już nie widziałem lasu!”

W Paryżu pomieszczono go w nowym, municypanym domu zdrowia Dubois, na przedmieściu Św. Dyonizego⁶, gdzie d. 29 maja, między godziną 6 i 7 rano, zasnął snem wiecznym cicho i spokojnie⁷. Ciało zabalsamowane złożono na cmentarz Montmartre. Na pogrzeb zebrała się cała emigracja polska, bez różnicy stronnictw, składając hołd jednej z największych chwał narodowych i szła od kościoła św. Wincentego aż do mogiły. Nabożeństwo w kościele było wystawne, bo poprzednio odbywało się za jakiegoś spanoszonego kupca, a służba nie zdążyła sprzątnąć przyboru. Obok trumny, niesionej na barkach polskich, szła szkoła polska z Batignolle. Nad mogiłą przemawiali: Ludwik Wołowski, członek instytutu; rabin paryzki Astruc i rzemieślnik francuski, blacharz z przedmieścia św. Antoniego, Chabaud. „Ten znakomity i zasłużony mąż, kończył swą przemowę Wołowski, ten nieustraszony patriota, umarł: ale doznał przynajmniej najwyższej pociechy. Żył dość długo, aby

zny, która była w lepszym stanie, niż suknie. „Trzeba będzie co do ubrania sprawić”, rzekł P. Januszkiewicz, skończywszy przegląd ubiorów. „A to na co?”, krzyknął Lelewel. „Musisz mieć coś na drogę i w Paryżu do ubrania, rzekł drugi. „Jeżeli już chcesz koniecznie, to pod św. Mikołajem, stoi tandeciarz, co ma wyborne suknie”. Sprowadzono tandeciarza; p. Januszkiewicz wybrał co potrzeba. „Ruina!”, zawołał Lelewel, spojrzawszy na rzeczy. Ale cóż począć, kiedy trzeba! Są w biurku pieniądze, weź i zapłać”. P. Januszkiewicz zajrzał do szufladki i naliczył w niej 1300 franków. Poznał niezmienione banknoty, które był świeżo posłał historykowi na rachunek jego książek. Skoro odszedł tandeciarz, chciano ubrać Lelewela, ale tego już żadną miarą dokonać nie było można. „Co? mam się ubierać w nowe rzeczy na drogę? Dajże pokój! a cóż za zbytek! zwala się, zniszczy. Schowaj to, pojedę w starych”. I tak też zrobił, był na obiedzie i pojechał w starych, a nowych nie wdział ani razu”.

- 6 „Żeby nie czynić niemiłego wrażenia choremu, słowo „szpital” nie było wymówione. Powiedziano mu tylko, że to jest hotel, gdzie za pomierną cenę najwygodniej mieszkać można. Lelewel, obaczywszy machoniowe meble, dywany i dwa łóżka wspaniałe, począł krzyczeć na zbytek: „Wyrzucacie przez okno pieniądze!”, wołał, stukając laską. Pan Januszkiewicz uspokajał go, jak mógł, zapewniając, że oni grosza na to nie dają z Gałęzowskim, ale płaci jego pieniędzmi, przytem wyrachował, że za dochód z wydanych książek swoich, będzie mógł tu żyć przez lat dziesięć, nie potrzebując grosza od nikogo. Improwizowany ten rachunek i pewność, że z cudzej kieszeni nie żyje, uspokoiły nieco Lelewela, a znalazłszy się w wygodnym łóżku, o dziesiątej wieczorem, przyjaciele wychodząc, zostawili go śpiącego dość smacznie”.
- 7 „O szóstej rano przebudził się i na zapytanie kobiety, czy chce bulionu, odpowiedział coś po polsku, poczem odwrócił się do ściany i zasnął, a kiedy kobieta przyniosła mu filiżankę rosołu o siódmej, przekonała się, że nie żyje”.

widzieć, że nauki jego żyły w sercach nowego pokolenia...” „aby ujrzeć otwierające się usamowolnionym włością, posiadanie własności i żeby powitać ideę Polski większej i świetniejszej niż kiedykolwiek, wzmocnionej męczeństwem, jak opiewała natchniona niewiasta: „jeszcze Polska nie zginęła, póki za nią giną!”

„O, Lelewelu! wołał rabin żydowski, w tych ostatnich chwilach, w momencie, kiedy człowiek widzi przed sobą całe dzieje życia, twe serce czuć musiało słodkie i zasłużone wynagrodzenie. Mogłeś sobie powiedzieć, że rady twe wysłuchanemi zostały, że współobywatele twoi zostali spadkobiercami twych wielkich myśli, a jako patriarchy biblijny, mogłeś na łożu śmierci przesłać ostatnie błogosławieństwo dzieciom twym w Warszawie, tym młodym ludziom, chrześcijanom i żydom, wczoraj rozdzielonym przez nienawiść, a dziś już połączonym w bratnim i patriotycznym uścisku. Bądź więc i ty błogosławionym, a pamięć o tobie, święcie przez ziomków zachowywana, na wieki żyć będzie w sercach wszystkich Izraelitów świata i wszystkich przyjaciół ludzkości”.

Najbardziej jednak polityczną, choć najkrótszą była mowa rzemieślnika. Czuć w niej było zaczątki tej platonistycznej, niestety! sympatii ludu francuskiego do Polaków, która z czasem łudząc nasz naród, jak miraż w pustyni wędrowca spragnionego, popchnąć nas miała do aktu istotnego samobójstwa. „Wielka to boleść dla Francuzów, mówił Chlabaud, wiedzieć tylu polskich wygnańców, umierających na obcej ziemi, zanim wielka strata mogła być wynagrodzoną. Bo mamy do wypłacenia dług Polsce, tego nie zapomnieliśmy. Chcielibyśmy jak najprędzej być w możności oddania go wkrótce... jutro... im wcześniej, tem lepiej. Kiedy profesor Lelewel wyrzekł w wigilię rewolucyi Belwederskiej: „naprzód młodzieńcy, czynicie waszą powinność”, wszyscy byli bohaterami. Lecz my we Francyi, jeżeli nie wykonaliśmy wtedy naszej, to dlatego tylko, że ci, co nami rządzą, okuli w kajdany naszą odwagę. Jeżeli nie zostało dane patriarsze demokracji polskiej wrócić do wolnej ojczyzny swojej, przynajmniej w godzinie ostatniej miał tyle pociechy, iż mógł dostrzec zaranie powrotu. Tym razem nasze wspólne nadzieje nie będą zawiedzione; nie zdołamy wypowiedzieć wam, jak głęboko poruszeni zostali wszyscy robotnicy ostatnimi wypadkami warszawskimi. My nie znamy w naszych pracowniach trudności dyplomatycznych, to, co wiemy i co możemy powiedzieć głośno i ze serca, jest, że w dniu, w którym Napoleon oświadczy się za niepodległość Polski, jak się już oświadczył za niepodległość Włoch, znajdzie wszystkich Francuzów, gotowych do wszelkich poświęceń. Nie ma robotnika francuskiego, który nie oddałby z rozkoszą życia swego za Polskę, bo Polska to jeszcze Francya”.

Zgon takiej osobistości, jak Lelewel, wróg nieprzejednany Rosyi, członek Rządu narodowego w roku 1831, wielki uczony i prawdziwy twórca dziejów polskich na skalę nowożytną, był wyborną sposobnością dla agitacji. W uczczeniu pamięci Lelewela, wszystkie stronnictwa polskie, i biali, i czerwoni, i bezbarwni, wszystkie warstwy wziąć udział musiały. Kiedy więc wieść o jego śmierci przysłała do Warszawy, postanowiono urządzić szereg nabożeństw po kościołach, z wyraźnym charakterem manifestacyjno-politycznym. Pierwsze takie nabożeństwo, ciche, skromne, będące rodzajem próby, jak rząd i policja na to zaptrywać się będzie, odbyło się dnia 7 czerwca, w kościele OO. Reformatów, zamówione jak się zdaje, przez sfery naukowe i literackie Warszawy. Osób stosunkowo było niewiele i mów żadnych. Właściwie zaś uroczyste nabożeństwo, wyprawione przez wszystkie warstwy miejskie, miało się odbyć nazajutrz dnia 8 czerwca, ponieważ to był szabas żydowski, w synagodze na Daniłowiczowskiej ulicy, żydzi odprawili według swego obrządku uroczyste nabożeństwo, na którym mnóstwo Polaków się znajdowało. Znany nam już rabin żydowski, Jastrow, wygłosił mowę po polsku, w której podnosił zasługi zmarłego historyka, jako uczonego i naczelnika stronnictwa na emigracji, jako obrońcę żydów i ich przyjaciela. W zapale porównał mówca zmarłego do Mojżesza, walczącego z Faraonem o wolność opuszczenia Egiptu i wiodącego swój lud przez pustynię smutku i niedoli do ziemi obiecanej; stawiał go za wzór mocy charakteru i wytrwałości. Obecną chwilę kaznodzieja porównał do mroku nocnego, po którym zajaśnieje jutrzeńka.

Tymczasem miasto gotowało się do wielkiej uroczystości poniedziałkowej. Zarządzono składki, które zbierały kwestujące po domach prywatnych kobiety; uczniowie gimnazyów dawali na ten cel po dwa złote z osoby. Miejsca w prezbiterium i na chórze kościoła św. Krzyża sprzedawano wybitniejszym osobistościom po 10 rs. za każde, tak, że w ogólności znaczna zebrała się suma. W kościele na środku, ustawiono wspaniałą katafalk, przed którym na odpowiednim wzniesieniu umieszczono biały biust zmarłego historyka, który w czasie nabożeństwa uwieńczyli profesorowie Akademii medycznej, Janikowski i Prażmowski. Najznakomitsze damy kwestowały, przyczem miało zebrać około trzydziestu tysięcy złp. Pieniądze te, przeznaczone zostały na cele oświaty narodowej⁸. W tymże samym dniu i czasie, odbywały się także nabożeństwa po innych kościołach warszawskich. U Dominikanów zamówili je robotnicy z fabryki pobliskiej Ewansa, na co zebrali między sobą rub. sr. 45.

⁸ Tak utrzymuje korespondent „Czasu”. N. Berg pisze („Zapiski”, 319), że poszły one „na sprawę ojczyzny” (na dielo otcizny). Chrulew w swym „Dniwniku” („Warszawskija manifestacii w 1861 godu” – „Kołosia” Nr. 11. z 1884 r., p.91), nic nie mówi o celu tych składek.

U Kapucynów celebrował biskup Dekert. Wszędzie rozdawano modlącym się cynkograficzne kartki z krótkim opisem życia Lelewela. W tonie niezwykle spokojnym, bez uniesień i patosu, tak pospolitego w tej epoce, nieznanemu autorowi opowiadał wielkie zasługi zmarłego dla ojczyzny i wolności. „Ciało, – woła w końcu – obca pokrywa ziemia, lecz duch jego żyje i żyć będzie wśród rodaków, którzy łącząc się wspólną miłością ojczyzny, pracą, jednością, braterstwem, słowem, cnotami, co błyszczały na każdym kroku życia Joachima, oddadzą najwyższą cześć dla nieśmiertelnych jego czynów. Pogarda zaś zbytku i prostota życia, jakich zmarły zostawił przykład, niech będą zewnętrzną oznaką przyjęcia jego zasad, które w sercach Polaków uświęci smutny obrządek dzisiejszy.

Światłość wiekiusta, którą za życia tak umiłował, niechaj mu świeci na wieki”.

Na nabożeństwie u OO. Kapucynów, wśród przepełnionego publicznością kościoła, uwagę powszechną na siebie zwrócił swą postawą i strojem, niejaki Garliński, starzec ośmdziesięcioletni, obywatel z Płocka, który umyślnie przyjechał do Warszawy, żeby zobaczyć, co się też tu dzieje i został przyprowadzony do kościoła przez uczniów szkoły sztuk pięknych. Jego pyszna, ozdobiona dużym, jak mleko białym wąsem, typowa twarz polska, pełna jeszcze czerstwości, wspaniały kontusz z wylotami, żupan złocisty pod spodem, pas lity i buty żółte, postawa wyniosła i w ręce biała konfederatka, stały się przyczyną tłumnego zbiegowiska, gdy Garliński, wyszedłszy z kościoła, ukazał się na ulicy. Otoczono go dokoła, przypatrywano mu się chciwie, unoszono nad jego strojem i miną. Agitatorzy skorzystali z tej okoliczności, wzięli go pod ręce i zawiódłszy do ogrodu Saskiego, oprowadzali po jego alejach, przyczem towarzyszył im ogromny tłum ciekawych⁹.

Na prowincyi także odbywały się wszędzie nabożeństwa żałobne po zmarłym wielkim historyku polskim. W Kijowie, gdzie studenci uniwersytetu się tem zajęli, zjawili się w miejscowym kościele katolickim nawet niechętni Polakom Rusini; w Wilnie ogromny kościół pouniwersytecki św. Jana był przepełniony publicznością, przeważnie warstw wyższych i młodzieżą szkolną. Nabożeństwo odbyło się dnia 9. czerwca, t. j. w niedzielę. Ksiądz Bułhak, Franciszkanin, miał mowę, przesiąkniętą tym gorącym, rewolucyjno–mistycznym patriotyzmem, jaki tę epokę cechuje.

Wspominał o przeszłych czasach Polski, o jej dniach świetnych, „pełnych nauki i sławy”, chwalił „młodź cnotliwą”, radził, żeby nie upadać na duchu, wierzyć stale i niewzruszenie w przyszłość lepszą i szczęśliwszą, że „każdy

⁹ Zbiegowisko było tak znaczne, że Suchozanet telegrafował o tem do cesarza: dnia 29 maja (10 czerwca), w ogrodzie Saskim było dość dużo publiczności, przy zupełnem zachowaniu należytego porządku”.

musi umrzeć, a więc lepiej umrzeć za ojczyznę, co wysoko jest cenione tam w niebiosach i tu na ziemi”¹⁰.

W Warszawie nie poprzestano jednak na tych objawach czci dla zmarłego, zwłaszcza wśród żydów. W tydzień przeszło potem, bo dnia 17. Czerwca, zarządzono nabożeństwa naraz w trzech bożnicach: na Daniłowiczowskiej, gdzie pojawiła się w kostymie polskim niejaka Wasińska, córka piekarza¹¹; na Nalewkach i na Pradze. Na Nalewkach wygłoszono uroczystą mowę, chwalejącą zasługi Lelewela i odśpiewano z wielkim namaszczaniem 80-ty psalm Dawida: „O! pasterzu Izraelski, posłuchaj... O Boże! przywróć nas, a rozjaśnij nad nami oblicze Twoje, a będziemy zbawieni. Panie, Boże zastępów! dokądże się będziesz gniewał na modlitwę ludu swego? Nakarmiłeś je chlebem płaczu i napiłeś je łzami miarą wielką. Wystawiłeś nas na zwadę sąsiadom naszym, a nieprzyjaciołom naszym, aby sobie z nas śmiech stroili”. Słowa tego psalmu, potężnego w swej wymowie, zwłaszcza skarga bolesna: „nakarmiłeś je chlebem płaczu i napiłeś je łzami”, oraz trzykrotnie, przez chór śpiewaków, znakomicie dobrany, wygłoszone zakończenie: „O Panie, Boże zastępów, rozjaśnij nad nami oblicze Twoje, a będziemy zbawieni!” sprawiły na obecnych wrażenie tak silne, że wielu głośno płakało...

To umiejętne stosowanie wszelkiego rodzaju efektów, te nabożeństwa, śpiewy, to rozmiłowanie się w obchodach żałobnych, modlitwy za ojczyznę, utrzymywały ciągle umysły w stanie gorączki i wzburzenia. Co wieczór nieomal zgromadzały się tłumy przed figurą Matki Boskiej na Krakowskim Przedmieściu, u Reformatów na ulicy Senatorskiej, przed św. Janem Nepomucenem na placu Bankowym, wszędzie jednym słowem, gdzie tylko można było i padłszy na kolana, odśpiewywały: „Boże, coś Polskę”, „Z dymem pożarów”, lub tym podobne hymny patriotyczne. Zjawiała się nawet pieśń, zatytułowana „modlitwa Moskali”, w której ci ostatni skarżą się na to, że są „narzędziem tyraństwa”, na swą dzikość i barbarzyństwo i każdą strofkę kończą błaganiem: „lud nasz nieszczęśny racz oświecić Panie!”¹². Obok pieśni, sprzedawano pu-

10 O kazaniu tem, z rozporządzenia Nazimowa, doniesiono biskupowi Krasieńskiemu, żądając, by Bułhak został ukarany. Biskup tak na to odpowiedział: „ponieważ Bułhak przebywa w klasztorze Franciszkańskim jako nowicyusz i do czasu ukończenia studiów nie ma prawa mówić kazań, więc wzbroniono mu tak w kościele OO. Franciszkanów, jak i w innych kościołach wileńskich wygłaszać kazań, dopóki zwierzchność dyecezyjna na to nie pozwoli”.

11 Wasińskiej, ponieważ była urodzoną w Krakowie, kazano wyjechać do tego miasta.

12 Pieśń ta, jeżeli wierzyć można autorowi książki p. t.: „Galicya, czyli rok 1863 i 1864. (Lipsk. Kasprowicz. 1865), została napisaną przez panną Henrykę Pustowojtów, córkę jenerała rosyjskiego, zamieszkałą w Lublinie. Pierwsza strofka tak brzmi:

„Boże, coś Rosyą przez tak długie wieki
Trzymał w ciemnościach na hańbę ludzkości,

blicznie po ulicach małe obrazki, pełne emblematów patrotycznych, krzyży złamanych, palm, wieńców cierniowych. Bardzo rozpowszechnioną np. była litografia, dość zresztą nieudatna, przedstawiająca dorożkarza, który wyprzągłszy konie z dorożki, prowadzi je ku armacie, przeznaczonej oczywiście na to, by służyła przeciw Moskałom¹³.

Po sklepach i składach sprzedawano pasy z klamrami blaszanymi, na których odcisnięte było wyobrażenie krzyża złamanego i nieuniknionego korony cierniowej i palmy męczeńskiej; kobiety nosiły broszki, szpilki i medaliony, przeważnie z lawy wyrabiane, z takimiż emblematami; bransoletki w formie kajdan; pierścionki z orłami polskimi i pogonią litewską. Spekulacja, zwłaszcza żydowska, skorzystała z tego i wyrabiając wszystkie te przedmioty w ogromnej ilości, rozsyłała je po całym kraju, zyskując grubo, a zarazem przyczyniając się do wzrostu tej strasznej gorączki, która opanowała głowy i serca polskie. W Warszawie, oprócz sklepów, wszystkie te przedmioty, osobliwszej zaiste mody, sprzedawano publicznie po ulicach, przy wejściu do kościołów, w ogrodach spacerowych, w hotelach i t. p. Nie było prawie dnia, żeby garść najdostatniejszych uliczników, charakterystycznie zwanych w Warszawie „łobuzami”, nie obraziła kogoś na ulicy, a nawet czasem nie pobiła, czy to za noszenie na głowie cylindra, czy za niezachowanie przez kobietę żałoby, czy na koniec za podejrzenie o szpiegostwo. Szpiegów ścigano zawzięcie i biada temu, na kogo padło tego rodzaju podejrzenie ulicy.

Przeciw tym napaściom ulicznym, oberpolicmajster Rozwadowski ogłosił w dniu 14-go czerwca odezwę, jak gdyby nie wiedział, że wśród rozhukanego motłochu, wszelkie odezwy i słowa rozsądku są grochem na ścianę, są głosem wołającego na puszczy. „Od niejakiego czasu, pisał, powtarzają się w mieście tutejszem czyny niesforności i gorszącej swawoli, jako to: wyrządzanie nieprzyjemności, obelg i czynnych pokrzywdzeń różnym osobom prywatnym, a nawet kobietom; nieposłuszeństwo urzędnikom i oficyalistom służby policyjno-wojskowej i policyjnej, w imieniu prawa działającym, oraz rozmyślne

Coś jej odmawiał dotąd swej opieki,
Robiąc narzędziem tyraństwa i złości.
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Lud nasz nieszczęsny, racz nam oświecić Panie!”

13 Na litografii tej, obok armaty, znajduje się jaszczyk, na którym wyrysowany jest herb Polski i Litwy (orzeł i pogoń). Na dole jest napis: „wolność, równość, niepodległość”, u góry zaś: „Boże, błogosław naszym zamiarom”. W zbiorach naszych, niestety! niekompletnych, posiadamy kilkanaście tego rodzaju obrazków. Na jednym chłop, uzbrojony w kosę, ściska się ze szlachcicem w kontuszu i z robotnikiem we fartuchu i młotem w ręku. Portrety Kościuszki, Kilińskiego, kilkakrotnie się pojawiają. Pod każdym takim obrazkiem jest napis stosowny.

utrudnianie i tamowanie działań władz tych, występujących za (sic) utrzymaniem spokojności i należytego porządku; wreszcie zakazane, manifestacyjne zbiegowiska, ubiory i śpiewy. Takie nadużycia ulegają przepisom kodeksu kar głównych i poprawczych. Ponieważ władza policyjna wedle takowych z wszelką ścisłością obowiązana postępować, przeto dla wiadomości dokładnej każdego, podaje się tutaj artykuły tegoż kodeksu, do wyż wzmiankowanych przypadków odnoszące się”. Kary te, z których najwyższa groziła aresztem trzymiesięcznym¹⁴, oczywiście nie przestraszały nikogo. Z odezwy nic sobie nie robiono, nie czytano jej wcale, zwłaszcza, że w parę godzin po jej pojawieniu się, pozrywano ją prawie wszędzie.

Kocie muzyki wyprawiano ciągle¹⁵; ruch rewolucyjny przybierał obszerne rozmiary, grożące katastrofą, szalonym wywrotem społecznym.

Do zwiększenia się tego ruchu, przyczyniło się w tym czasie bardzo wiele rozpuszczenie młodzieży szkolnej na wakacie, o wiele wcześniejsze, niż zwykle. Wielopolski, jako dyrektor komisji oświecenia, chcąc mieć czas swobodniejszy do reorganizacji szkół oraz w chwalebny zamiarze powołania do tej wielkiej pracy nauczycieli szkolnych, jeszcze w dniu 7-go maja polecił, ażeby rok szkolny wcześniej, niż zwykle, bo w dniu 10-go czerwca się zakończył. Rozporządzenie to w kilka dni później (17. czerwca) uzupełnił tem, że czas

14 „Kto jakim gwałtownym czynem, cytował Rozwadowski artykuł 302 K. K. G. i P., zobelży straż wojskową i policyjną, albo sługim władz sądowych i innych w czasie wykonania przez nich służby, ten ulegnie karze aresztu od trzech dni do trzech miesięcy, stosownie do okoliczności, winę jego zwiększających lub zmniejszających”. Art. 665. „Kto by na ulicy, placu, lub w innem miejscu publicznem, wobec mniej lub więcej licznego zgromadzenia osób, pobudzał jakim bądź sposobem do kłótni, bitwy lub innego rodzaju burzliwości i w ogóle do naruszenia porządku i spokojności, ten stosownie do rodzaju i ważności nieporządku, do którego pobudzał, w miarę innych zwiększających lub zmniejszających winę okoliczności, ulegnie aresztowi od dni 7 do miesięcy trzech. Art. 666. Jeżeli zgromadzony na ulicy, placu lub innem, publicznem miejscu tłum ludzi, dopuści się jakiego bądź nieporządku, choćby nie tak ważnego, jak te, które w art. 274, 275, 276, 278 i 283 wymienione, jednakże takiego, jakimi są: hałas, krzyk, lub inne nieprzyzwoitości i na wezwanie policyi natychmiast nie rozejdzie się, wówczas uporczywie rozkazom zwierzchności policyjnej nie ulegli, ukarani zostaną aresztem od trzech do siedmiu dni, a ci, którzy hersztami zrządzonego nieporządku byli, lub do niego pobudzali, ulegną karze w poprzedzającym, 665 artykule oznaczonej”.

15 N. Berg (Zapiski, 321), opowiada, że znalazł się nawet „dyrektor, czyli kapelmajster kocich muzyk”, którzy za pewną, oznaczoną sumę, obowiązywał się wyprawić, komu trzeba, koncert piszczący. Za kocią muzykę z wybiciem szyb, płaciło się rs. 15, bez wybicia rs. 10, czasem taniej, stosownie do okoliczności. Ów dyrektor kocich muzyk kazał się nawet odfotografować ze wszystkimi emblematami swego rzemiosła. Fotografia ta przyczyniła się do tego, że go schwytano i wsadzono do cytadeli. Za autentyczność tej wiadomości, zresztą małego znaczenia, nie ręczymy.

wakacyi, zawsze „z powodu rozpoczętych prac nad organizacją zakładów naukowych”, przedłużył do dnia 1. Października, a jak obaczymy później, aż do Nowego roku. Poleciał prócz tego jak najsurowiej, ażeby uczniowie, których rodzice nie zamieszkują stale w mieście, w którym dana szkoła istnieje, niezwłocznie oddali się do domów rodzicielskich. Co do Warszawy, obostrzył to swoje polecenie tem, że pod żadnym pozorem nie pozwalał do niej młodzieży w czasie wakacyi przyjeżdżać, „jak tylko za szczególnem do każdego przypadku pozwoleniem dyrektora głównego, prezydującego w komisji oświecenia, które mianowicie udzielane będzie uczniom nienagannego dotąd prowadzenia się, o ile ich rodzice, lub opiekunowie udowodnią, że pozostawiają ich tutaj dla przygotowania się w naukach, pod kierunkiem nauczycieli tutejszych, do tego ukwalifikowanych i którzy w razie takim za dalsze prowadzenie się tychże uczniów, zarówno z rodzicami i opiekunami, odpowiedzialni będą”. Od nakazu natychmiastowego opuszczenia Warszawy wyjęci zostali tylko uczniowie gimnazjum realnego, pod śledztwem sądowem zostający, z powodu wiadomego zburzenia sztachet. Wreszcie Wielopolski przemawiał do młodzieży, by „czasu wakacyi tym sposobem przedłużonych, użyła na pracę domową, tak w celu wynagrodzenia sobie czasu, przez wielu z nich na marnych i dla nich niewłaściwych zajęciach straconego, jako też i dlatego, że nowe programata zakładów, mianowicie filologicznych oraz niektórych wydziałów Szkoły Głównej wyższego usposobienia w językach starożytnych od wstępujących do nich uczniów wymagać będą. Przy przyjmowaniu uczniów do zakładów z nowej organizacji dodatkowe egzamina będą miały miejsce, jak w ogólności, tak mianowicie co do uczniów klas, w ciągu roku zamkniętych”. Przez dodatkowe wreszcie rozporządzenie z dnia 24. czerwca, polecał, by uczniowie „według obowiązujących przepisów, odkrywali głowy przed osobami wyższej hierarchii duchownej, cywilnej i wojskowej oraz własnymi zwierzchnikami; że nie wolno im jest nawet w czasie wakacyi używać innej odzieży, jak tylko przepisanych mundurów, ani nosić jakiegokolwiek bądź rodzaju lasek. O tem władza policyjna dla stosownego dopilnowania, mianowicie w ogrodach i innych miejscach publicznych, zawiadomioną zostaje, a uczniowie, uchybiający przeciwko tym przepisom karności, oprócz użycia przeciw nim środków policyjnych, narażają się na relegacyą ze szkół”.

Jeżeli surowe polecenie wyjazdu młodzieży szkolnej z Warszawy i miast znajdowało swe słuszne powody w tem, by stolicę oswobodzić od gromad próżnującej, a zatem najpodatniejszej do ruchu rewolucyjnego młodzieży szkolnej, to miało ono tę złą stronę, że gorącym tym żywiołem napełniało prowincyą, która dotąd brała wprawdzie udział w ruchu, ale sporadycznie, bez ciągłości i bez systematu. Wyprawiwszy komu kocią muzykę, zaśpiewawszy

na nabożeństwie „Boże, coś Polskę”, miasta i miasteczka zapadały znowu w swój senny żywot, nad słuchując wieści z Warszawy. Teraz atoli miało się inaczej dziać; teraz przybywała młodzież szkolna, niosąca na sobie pył wielkomijskiej burzy, rozgorączkowana, rozkochana w zaburzeniach, w odgrywaniu roli patryotów i kierowników ruchu. Wsie, dwory wiejskie, plebanie, śpiące snem cichym, kiwające głowami nad tem, co się dzieje w Warszawie, miały teraz rozbrzmieć pieśniami; kościołki wiejskie nabożeństwami za „ludzi zasłużonych ojczyźnie”, lub też „za pomyślność tej ojczyzny”. Jednym słowem, jeżeli Czerwieńcy nie mieli dotąd agentów, którzy by mogli kraj na wielką skalę zrewolucjonizować, to teraz tacy ajenci się znaleźli i jacy jeszcze ajenci! najgorliwsi, najczynniejsi, najbardziej niez mordowani.

Był to zatem błąd ze strony Wielopolskiego, błąd oczywiście taki, którego uniknąć nie można było, którego skutki widziało się doskonale, lecz zapobiedz im było niepodobieństwem. Wakacje, czy dłuższe, czy krótsze, młodzieży szkolnej z porządku rzeczy dane być musiały, a już lepiej było pozbyć się jak najprędzej tej młodzieży z miast, rozpędzić ją po kraju, niż dozwalać jej na pozostawanie w skupieniu, wśród wartkiego prądu rewolucji. Przedłużenie samych wakacji było złem nieuniknionem wobec naglącej potrzeby reorganizacji szkół. Zadanie takie nie improwizuje się, wymaga czasu i zastanowienia. Wielopolski pracował ciężko, ani chwili nie zostawiał sobie spoczynku, ale po trzydziestoletnich rządach destrukcyjnych trzeba było wszystko stwarzać, na nowo budować. Uskarżano się w kraju, że Wielopolski opóźnia wprowadzenie reform, jak gdyby tego rodzaju akta można było stwarzać jednym, Bożem słowem: „stań się!”; że przygotował prawa w cichości, że okrywał siebie i swe plany tajemnicą. W tych zarzutach, które znajdowały echo w pismach zagranicznych, były nieco prawdy, ale takie postępowanie leżało najprzód w charakterze margrabiego, a potem w jego położeniu względem kraju i w samych zresztą ustawach krajowych. Rząd rosyjski nigdy się nie pytał ogółu o to, czy takie lub inne prawo będzie dobre, tylko je nadawał; zmiana nagła przyjętego postępowania, dawałaby licznym nieprzyjaciołom margrabiego i intrygantom w kamarylli wojskowej, otaczającej namiestnika oraz w jego kancelarii, tej istnej stajni Augiasza, jedną więcej broń przeciw ministrowi polskiemu. Sytuacja jego była bardzo trudna i bardzo śliska, jaką jest zawsze każda sytuacja Polaka, chcącego dobra krajowego pod rządem rosyjskim, rządem złym, nieuczciwym, tyrańskim i podejrziwym.

Mimo to Wielopolski, nie zważając na krzyki i skargi, swoje robił. Organizacja Komisji wyznań i oświecenia publicznego, powierzona została przez niego urzędnikom byłego kuratorstwa. W tej kwestyi zresztą nie chciał on nic nowego wprowadzać i nawet trudno by było coś nowego uczynić. Wła-

ściwie dla sprężystości działania, należałoby utworzyć istotne ministerium w znaczeniu zachodnim, a nie wielogłową komisją, w której dyrektor był tylko prezesem, a nie rządzącym ministrem. Wszystkie ministeria polskie były w ten sposób uorganizowane, zdaje się na stary wzór pruski¹⁶. Były to maszyny ciężkie, ospałe, w których wszelkie sprawy decydowały się większością głosów. Organizacja była wadliwa i anarchiczna w gruncie rzeczy, jakkolwiek za Paskiewicza przynosiła ona, dzięki wyjątkowemu położeniu kraju, pewne korzyści. Ograniczając swobodę działania dyrektora głównego, ratowała ona wiele rzeczy i wiele instytucji. Pod rządem złym, jakim był rosyjski, kraj w samej swej błędnej organizacji znajdował ratunek. Wielopolski tego ustroju ministeriów polskich nie mógł zmieniać, choćby dlatego, że sam rząd krzywo by może na to patrzył, dzięki swej niechęci do wszelkich innowacji; chociaż innowacje dla niego samego, dla jego idei zupełnej asymilacji Polski, idei tkwiącej w głębi ostatecznych zamiarów rosyjskich, byłyby korzystne. Nie chciał więc pozwolić na to, by nowo powstająca Komisya oświecenia nosiła tytuł ministerium, a jej dyrektor ministra, choć minister, według pojęć zachodnich, był samowładnym panem w swym wydziale i mógłby właśnie robić wszystko, nie odwołując się do członków Komisji. Na szczęście kraju, w rządzie tego nie pojmowano i utworzono Komisją, której organizacją wewnętrzną powierzono Wielopolskiemu. Ten nie miał na tyle czasu, by się mógł wszystkim zająć, może nie zastanawiał się bliżej nad tą sprawą, ani nad jej doniosłością, może wreszcie w chęci przywrócenia wszystkich form rządu sprzed 1831 r. nie chciał żadnych zmian, dość, że polecił swym podwładnym, aby ściśle w organizacji Komisji trzymali się wzoru z doby Królestwa konstytucyjnego.

Powstała więc Komisya, podobna do innych tego rodzaju instytucji polskich, istny anachronizm, złożona ze stałych członków, z dyrektorów różnych wydziałów służby pod prezydencją dyrektora głównego oraz z rady ogólnej, prezydowanej przez tegoż dyrektora, który miał w niej taki sam głos, jak i jego podwładni. W wydziale wyznań religijnych mieli zasiadać, zawsze według dawnego wzoru, trzech duchowni katoliccy, delegat arcybiskupa unickiego i dwóch protestanckich (luterański i kalwiński). Ta prawdziwa wieża Babel, tworzyła w Komisji „sekcję duchowną”, z głosem doradczym. Wielopolski w sprawie unickiej miał z nieboszczykiem Gorczakowem konferencję. Który go zapewnił, że rząd nie ma wcale zamiaru przerabiania unitów na prawosławie, zastrzega sobie tylko, że nie będzie tolerował „propagandy łacińskiej”. To zastrzeżenie oczywiście wywołało konieczność istnienia osobnych delegatów

16 Lisicki, Le marquis II, 204.

unickich w sekcji duchownej, czego Wielopolski, w dobrze zrozumianym interesie narodowym, chciał uniknąć, zlewając w reprezentacji komisyjnej oba rytuały. Taką była organizacja wewnętrzna nowej Komisji oświecenia, organizacja kulawa, ciężka, bezładna, nie odpowiadająca potrzebom kraju i czasu; organizacja powstała niejako poza Wielopolskim, który, powtarzamy, mało się nią zajmował, pozostawiając ją całkowicie swym podwładnym.

Za to gorliwie się zajął nakreśleniem programu przyszłego wychowania publicznego. W tym względzie znalazł szczere, serdeczne i umiejętne poparcie w resztkach tych sił nauczających polskich, jakich rządy Muchanowa nie zdołały jeszcze zupełnie zniszczyć. Głównym pomocnikiem margrabiego w tem zadaniu wielkiem był Józef Korzemiowski, znakomity powieściopisarz i dramaturg, niesłusznie przed paru laty za powieść p. t.: „Tadeusz bezimienny”, zaliczony przez Klaczkę do rzędu „odstępców”, wychowawiec liceum krzemienieckiego, pedagog wytrawny, umysł wyższy, za Muchanowa wizytator szkół i w tym charakterze jedyny może obrońca języka narodowego w szkołach. Chory, złamany przez wiek, co dzień o godzinie 5-tej rano przybywał ze wsi, gdzie lato przepędzał, do biura i kaszłąc, stękając, siłąc się mocą swego ducha podniosłego, pracował nad sprawą reorganizacji naukowej kraju. Było to istotne, głębokie poświęcenie; patriotyzm za wzór mogący służyć, gdyż starcem, stojącym nad grobem, nic już powodować nie mogło, tylko szczerą i bezinteresowną miłość ku ojczyźnie i ku obowiązkom względem niej. Tego jednak nie uznawano wtedy; opinia bezmyślna widziała patriotyzm nie w pracy cichej dla dobra ogólnego, ale w wybijaniu szyb zdrajcom mniemanym, w czamarkach i konfederatkach amarantowych.

Oprócz Korzeniowskiego, dopomagali margrabiemu i inni, przeważnie szczątki dawnych ciał naukowych polskich. Święty ogień, pożerający Wielopolskiego, przenikał w ich serca i głowy; byli to ludzie wszyscy już nie młodzi, a zatem nie mogący się spodziewać wielkiej kariery urzędowej, a dobrą sławę swoją, za współpracownictwo z Wielopolskim, widzieli narażoną na włóczenie po błocie ulicznym przez patriotów improwizowanych. Mimo to nie cofnęły się, dopomagali swym rozumem i doświadczeniem olbrzymiemu zadaniu, jakie przedsięwziął margrabia. Jeszcze w maju wezwał on wszystkich zwierzchników zakładów naukowych i osoby, znane z nauki w kraju, aby nadesłały mu swe spostrzeżenia co do zamierzonej reformy szkół. W ciągu dwóch miesięcy (od d. 19 czerwca do 22 sierpnia), nadesłano mu z różnych stron 38 obszernych memoriałów, między którymi znalazła się także praca Romualda Hubego, który, jak wiadomo, mieszkał w Petersburgu i oprócz prac w komisji kodyfikacyjnej, miał także dane sobie w swoim czasie polecenie opracowania nowego programu wychowania publicznego. Znany nam już lekarz entuzyasta, Tytus Chałubiński,

wygotował także memoriał w tej sprawie i kładł w nim głośny nacisk na szerokie wprowadzenie do szkół wykładu nauk przyrodniczych. Ta ilość znaczna memoriałów świadczy, jak sprawa wychowania leżała na sercu wszystkim ludziom i jak gorliwie o niej myślano. Oczywiście między tymi projektami było wiele przesiąkniętych obskurantyzmem, wiele niepraktycznych, wiele niemożliwych w wykonaniu, ale wszystkie nosiły na sobie gorącą chęć i pragnienie, by młodzież wychowywana była na podstawach narodowych¹⁷. Pracę podzielił Wielopolski w ten sposób, że redakcją projektu ogólnej natury wychowania publicznego powierzył Korzeniowskiemu; zakładów zaś specjalnych, technicznych i agronomicznych Przysiańskiemu, dyrektorowi instytutu agronomicznego w Marymoncie. Utworzono Radę wychowania, do której powołano wszystkie prawie znakomitości naukowe ówczesne, w liczbie 25 osób, których imiona, dobrze zasłużone krajowi, świadczyły aż nadto wymownie o podstawach czysto polskich, na jakich się oprze przyszłe wychowanie publiczne¹⁸.

Ta cicha, ale rzetelne mogąca krajowi przynieść korzyści praca, to odbudowywanie mocno wstrząśniętych fundamentów bytu narodowego, nieznane tłumowi, nie uderzające wyobraźni błyskotliwością, nic nie pomogło. Wielopolski był ciągle solą w oku agitatorów i szlachty, nie mogącej mu darować zniesienia Towarzystwa rolniczego.

Prasa była mu wprost nieprzyjazna; „Gazeta Polska” wychwalała i podnosiła pod niebo Cavoura, jako prawdziwego męża stanu, który umiał sobie zyskać miłość i zaufanie kraju, a zarazem potrafił dążyć do jego potęgi. Były to oczywiście lekkie strzały wymierzone przeciw Wielopolskiemu, który, że nie miał za sobą opinii, nie powinien był piąć się do roli kierownika nawą krajową. W prasie tej zachęcano do jedności, do spójni, do zgody i pod różnemi obsłonkami, w których pod presją cenzuralną niepospolitej biegłości, nabyli dziennikarze warszawscy, zapowiadano nieomal powstanie, łudzono

17 O podanie projektu co do wychowania młodzieży żydowskiej, wezwany został przez Wielopolskiego znany nam już kaznodzieja, Izaak Kramsztyk. Projekt taki on wygotował. Można go czytać w całości w książce: „Kazania Izaaka Kramsztyka” (Kraków, 1892), str. 321 – 330, dokąd odsyłamy ciekawych.

18 Do Rady tej weszli: Korzeniowski, dyrektor wydziału oświecenia; Solnicki, dyrektor wydziału wyznań; ks. Orzeszkowski, profesor Akademii duchownej; ks. Jakubowski, misionarz; Leopold Otto, pastor luterski; Bejer Meizels. Nadrabin; Wosiński, dyrektor wydziału w Komisji Sprawiedliwości; Łuszczewski, radca stanu; Wacław Aleks. Maciejowski; Tomasz Dziekoński; August Frąckiewicz, b. prof. uniwersytetu; Justynian Karnicki; Henryk Markoni, b. prof. szkoły sztuk pięknych; Strończyński; Plewe, wizytator szkół; Papłoński, profesor; Dr. Janikowski, prof. Ak. Med.; Tytus Chałubiński, prof. Akad. Med.; Lebrun, prof. Akad. Med.; Baranowski; Dyrek. Obser. Astron.; Przysiański; Szmurło, Pankiewicz, inspektorzy szkolni, oraz Rogiński.

się świetnymi nadziejami. W „Tygodniku ilustrowanym”, w czerwcu ukazała się bajka p.t.: „Ziemniak i pomidor”, w której autor, opowiedziawszy spór złościstego pomidora z ziemniakiem brudnym, obu posiekał przez kucharza, właśnie dlatego, że byli niezgodni i taki morał na końcu umieścił:

„Nie gońmy próżnej chluby, lecz złączeni w jedno,
Starajmy się ratować naszą bracię biedną”¹⁹.

Korespondenci do pism zagranicznych, po większej części literaci trzeciorzędowego znaczenia, początkujący pisarze lub dziennikarze pokątni, rozgłaszali fałszywe wieści, plotki zbierane na ulicy lub w kawiarniach, obrzucali błotem rząd i Wielopolskiego, Bóg wie, jakie historie nieprawdopodobne nieraz tworzyli. Dla ich wysledzenia, zwłaszcza korespondenta do „Czasu”, który nie przestał obelżywie odzywać się o margrabim, wyznaczono oddział osobny policyi, która jednak nic wykryć nie potrafiła.

Przyszło do tego, że Wielopolski musiał publicznie przypominać piszącym, że „za przesyłanie dziennikom wiadomości kłamliwych i potwarczych o sprawach tutejszych, pociągani być mogą do odpowiedzialności, według art. 634 i następ. Kodeksu kar głównych i poprawczych”. W kilka dni później, Wacław Szymanowski, literata przekonanego o pisanie takich korespondencji, mechesa nie tyle utalentowanego, ile zręcznego, współredaktora „Tygodnika Ilustrowanego”, wysłać był zmuszony na mieszkanie do Białej Podlaskiej. Odtąd Szymanowski począł uchodzić za męczennika sprawy ojczyściej; w Warszawie rozkupiono wszystkie jego fotografie, a w Białej kobiety przyjeżdżającego literata przyjęły w białych sukniach i obrzuciły kwiatami i wieńcami.

Niemniej za męczennika, za ofiarę mściwości i samowoli Wielopolskiego, począł uchodzić inny autor, Kazimierz Władysław Wójcicki, zasłużony zbieracz podań narodowych i archeologicznych zabytków przeszłości, ale jako człowiek mający dość niską wartość moralną. Przez wpływ kuzyna swego, Józefa Ornowskiego, naczelnika kancelaryi w Komisji rządowej sprawiedliwości, Wójcicki otrzymał był posadę archiwisty, czyli bibliotekarza Senatu oraz zarządzającego drukarnią przy wzmiankowanej Komisji, z pensją 6000 złp., co dla jego chudej kieszeni literackiej było zapomogą znakomitą. Nie umiał

19 Bajkę tę przytaczamy w całości:

„Ziemniaku, patrz jak na mnie jaśniejają szkarłaty,
Mówił z pychą pomidor, wskazując swe szaty,
„Piękniutkim jak panienka”. – „Nie bądź no tak hardy”,
Odpowie mu kartofel – „tyś piękny, ja twardy,
Ciebie lada wiatr zmiecie, ja się burz nie boję”.
Ten ci swoje przymioty wychwala, ten swoje.
Aż wreszcie kucharz nadszedł, gdy się spór przewlekał,
Wnet twardego oskrobał, pięknego posiekał” i t. d. jak w tekście.

jednak cenić tej posady. Popępiał liczne nadużycia, znane w kołach odnośnych, gdy więc Wielopolski został dyrektorem Komisji sprawiedliwości, dał dymisyę Wójcickiemu (d. 12 czerwca), „dla dobra służby”, zupełnie słusznie. Dymisyę tę poprzedziła rewizya, dokonana przez policyę, poszukującą korespondenta do „Czasu”, w mieszkaniu Wójcickiego. Znalezione u niego portret Hiszpańskiego i kilka wycinków z rzeczonyj gazety²⁰.

Fakt dymisyi, rozgłoszony przez wieść stugębną, popieraną umyślnie przez samego Wójcickiego, wywołał oburzenie powszechne. Ogromna większość publiczności polskiej nie wiedziała wcale o powodach dymisyi, których wbrew interesowi własnemu Wielopolski nie opublikował, a których ukrycie leżało zresztą w interesie tak Wójcickiego, jak i agitatorów, mających nową sposobność do wyzykania przeciw Wielopolskiemu i do podburzenia przeciw niemu opinii publicznej. Mówiąc głośno i przesadnie o zasługach Wójcickiego dla literatury ojczyznej, widziano w tym kroku margrabiego z jednej strony chęć szkodzenia i dokuczania tym wszystkim, którzy przez czas trzydziestoletniej nocy paskiewiczowskiej utrzymywali ognisko polskiego słowa publicznego; z drugiej zaś i chęć pomsty na tym, który w sprawie zapisu Świdzińskiego stanął w rządzie przeciwników margrabiego. Że Wielopolski rządził się nieraz osobistemi namiętnościami, że chętnie mścił się, gdy tylko mógł, wiemy o tem dobrze, ale w sprawie Wójcickiego słusność była zupełnie po jego stronie; dymisyja tego człowieka, czyniąc może zadość osobistej urazie margrabiego, w daleko wyższym stopniu czyniła zadość słusności i sprawiedliwości, by człowiek, dopuszczający się najordynarniejszych nadużyć, nie był cierpianym na urzędzie publicznym. Owszem, Wielopolski, który zapewne przeczuwał i wiedział z doświadczenia, jaką nową burzę tym krokiem przeciw sobie wywoła, postąpił bardzo szlachetnie, nie ogłaszając powodów dymisyi Wójcickiego i nie oddając go pod sąd, jak to może powinien był uczynić.

O tem wszystkim wiedzieć nie chciano, a jeśli wiedziiano, to udano nieświadomość i podniecając oburzenie powszechne, skorzystano ze sposobności, by dać margrabiemu wyraźne votum nieufności ogólnej. Ludwik Krasieński, zarządzający ordynacyą Opinogórką, zaofiarował ostentacyjnie Wójcickiemu posadę bibliotekarza w Opinogórze (z pensyą 3.200 złp.)²¹. Niedługo potem

20 Według „Dniwnika” (loc. cit. p. 92) Chrulewa, znalezienie tych wycinków miało być niby powodem dymisyi Wójcickiego, jakkolwiek jeden z cenzorów wspaniałomyślnie przyjął na siebie winę, przyznając się, że to on dał Wójcickiemu te wycinki. Poza tem Chrulew twierdzi, zgodnie z panującą podówczas opinią, że głównym powodem dymisyi było to, że Wójcicki w sprawie zapisu Świdzińskiego występował przeciw Wielopolskiemu.

21 Według Berga (Zapiski, 347) miano mu dać także posadę bibliotekarza w Wilanowie, ale o ile wiemy, realcyja ta jest błędną. Prawdopodobnie Berg pomieszał opinogórę z Wilanowem. Obiecywano prócz tego Wójcickiemu jakąś posadę przy teatrach rządowych z pensyą 2000 złp., ale to nie przyszło do skutku i oczywiście przyjść nie mogło.

(d. 19 września 1861 r.), miały się odbywać w Towarzystwie kredytowym ziemskim wybory na prezesa Komitetu listów zastawnych. Wśród nadzwyczajnie liczego zebrania wyborców, synekurę tę, przynoszącą około 10 tysięcy złp., oddano Wójcickiemu, jako niby człowiekowi cieszącemu się zaufaniem powszechnem, zresztą wbrew ustawie, nakazującej, ażeby taki prezes sam był właścicielem pewnej, oznaczonej liczby listów zastawnych. Obchodząc prawo, złożono mu z listów za 9 milionów rubli i wybrano na prezesa ogromną większością 1950 głosów. Nie poprzestano jednak na tem zamanifestowaniu się przeciw postępkowi margrabiego. Z inicjatywy niejakiego Adolfa Hennela, głośnego w tej dobie dziennikarza, o którym zresztą w dziejach literatury głucho zupełnie, najznamienitsi literaci ówczesni postanowili wydać książkę zbiorową na korzyść Wójcickiego, oddając hołd jego zasłudze, a zarazem potępiając głośno i wyraźnie krok margrabiego. Jakoż książka taka wyszła w kilka miesięcy później, a w niej obok panegirycznego i przepelnionego fałszami życiorysu Wójcickiego²², pięćdziesięciu głośnych pisarzy polskich pomieściło swe prace.

Anczyc wydrukował tu swego, sławnego „Tyrteusza”, poemat, który wstrząsał nerwami współczesnych, który deklamowano na wszystkich koncertach i zabawach publicznych; dali swe prace i Bartoszewicz, i Deotyma, i Kraszewski, i Giller, Przeździecki, i Bohdan Zaleski i wielu, wielu innych. Większość tych prac pełną jest napomknien do chwili ówczesnej, przesiąkniętych patriotyzmem czerwonym, o ile to możebne było pod cenzurą. Drukarze warszawscy za darmo wydrukowali całe dzieło, które rozeszło się w kilku tysiącach egzemplarzy i było, według słów Hennela, „nie tylko objawem umysłowego życia, lecz więcej jednym dowodem szlachetnych instynktów i uczucia sprawiedliwości, niezatraczonego pomiędzy nami”. Niestety! nie było to wcale uczucie sprawiedliwości, ale chęć zamanifestowania się, chęć dokuczenia Wielopolskiemu, objawienia mu głośno i publicznie, że nawet najlepsze głowy i serca polskie ogarnęła zaraz rewolucya, najuczciwsze oczy zasłoniło zaślepienie patriotyczne.

Śród tego wszystkiego Suchozanet rządził niby w kraju, latał po mieście jak szalony z konwojem czerkiesów, straszyl, a nadewszystko śmieszył ludzi swą

22 Życiorys ten jest pełen fałszów, które Wójcicki umyślnie o sobie rozpuszczał i które przeszły do historii literatury jako pewniki. Życiorys np. twierdzi, że jego ojciec Jan był człowiekiem ukształconym, lekarzem nadwornym Stanisława Augusta, z którym jeździł nawet do Petersburga. Wszystko to fałsz. Ojciec Wójcickiego był felcerem, człowiekiem prostym i bez wykształcenia, przy Stanisławie Auguście nie był i do Petersburga z nim nie jeździł. Autor wie o tem od osób albo spokrewnionych z rodziną Wójcickiego, albo też znających dobrze tak jego samego, jak i jego pochodzenie.

postawą karykaturalną Sezostrysa egipskiego. Miasto przedstawiało widok szczególnie i jedyny w swoim rodzaju, z tym wielkorządcą komicznie nadętym, przelatującym ulice z eskortą kozaków, którzy niezdejmujących czapki bili batami, z obozowiskami wojska na placach jeszcze d. 8 kwietnia. Żołnierze, ludzie prości i nieucywilizowani, roztaczali w dzień biały przed oczami przechodniów wszystkie szczegóły swego bytu i tajemnice życia domowego. Obok namiotów spali w negliżu, rozwieszali na sznurach świeżo wypraną bieliznę, myli się, ubierali, a w przystępie wesołości, przy dźwiękach dzikiej muzyki, tańczyli z ostatnimi ladacznicami byczka lub kozaka. W ogólności bezwiednie i nie widząc w tem nic złego, zachowywali się oni tak nieprzyzwoicie i swobodnie, że kobiety unikały przechodzenia przez place, na których znajdowały się obozowiska i omijały je z daleka. Na szczęście, d. 18 czerwca, Suchozanet rozkazał zwinąć te obozy, do niczego nie prowadzące i żandarmów konnych cofnąć z rogów ulic. Miasto przybrało znowu swój wygląd dawny.

Suchozanet zresztą mało się zajmował sprawami ogólnemi, wiedział, że jest namiestnikiem tylko tymczasowym, siedział w Belwederze, nic nie robił, całemi godzinami spacerował po tarasie tego pięknego pałacyku i deklamował wiersze przez siebie skomplikowane²³. Wiedział on, że w Petersburgu usilnie starają się o wyszukanie kogoś, co by się podjął dźwigania ciężkiego berła wielkorządcy warszawskiego. Pisał wprawdzie do cesarza, prosząc go, aby się nie spieszył z decyzją ostateczną, że jakkolwiek on, Suchozanet, byłby może pożyteczniejszym na innem stanowisku, wszelako jako: „wierny poddany i oddany obowiązkowi”, gotów jest pozostać w Polsce, gdyż nie chce cesarza narażać na kłopot, lub zły, w skutek pośpiechu, wybór²⁴.

23 Autor artykułu p. t.: „Posledniaja polskaja smuta”, drukowanego w „Russkiej Starinie” z r.1874, przytacza jeden taki wiersz. Brzmi on w oryginale, jak następuje:

„Ja szczytał deżurstwo wiekom,
A wot skoro i projdiet;
Tak bywajet z czelowiekom,
Otdeżuryt i pójdiet”.

24 Takie zdaje się jest znaczenie telegramu, niezwykle mętnego i niejasnego, jaki w d. 8 czerwca wysłał Suchozanet do cesarza. Przytaczamy depeszę tę w całości i w oryginale („Russ. Starina” z r. 1882, grudzień): „umoliaju nie spieszyt’ okonczatielnym rieszeniem; prodolżenie wremiennago uprawlenia bez wreda dla dieł obnaruzit’ budu li ja wzmożonen. Ostajus pri ubieźdenii, czto w prieźniem miestie służenia, ja byłby wam bolsze polecen, no kak wierno poddannij i predannij dołgu, nie postawliu Gosudaria mojego w zatrudnienie, jesli w okonczatielnom naznaczenii mienia wynuźdieny budietie krajnostiu. No Gosudar’, dla uspiewa nieobchodima uwiernennost’ wsiech nas i kaźdago w nieogranniczennoj wo wsiech słuczajach dowiernennosti waszego wielicestwa. Gen. adj. Suchozanet”. Czego właściwie chciał Suchozanet, o co mu szło w tej depeszy, trudno dociec. Zdaje się, że on sam nie umiałby odpowiedzieć, gdyby go o to zapytano.

W rzeczy samej, w Petersburgu chciano jak najprędzej usunąć stan tymczasowości, który bądź co bądź nigdy i nigdzie dobrych skutków nie wywiera. Szukano namiestnika i wybór cesarza padł na koniec na Pawła Aleksiejewicza Tuczkowa, generał-gubernatora moskiewskiego, generała-adjutanta i generała broni (generał od infanterii). Tuczkwowie była to stara rodzina bojarska, datująca się podobno jeszcze z XIII wieku, skoligacona nawet z carami. Paweł, którego cesarz chciał posłać do Warszawy, liczył już blisko sześćdziesiąt lat wieku, brał udział niegdyś w kampaniach napoleońskich i w wojnie polskiej 1831 r. Odznaczył się nawet w potyczce pod Żóltkami i przy szturmie do Warszawy. Był to człowiek gładki, czytany, ale jakał się szkaradnie. Na propozycję jechania do Polski, dał odpowiedź stanowczo odmowną, czem nawet osobiście obraził cesarza, który w skutek tego, jak sam mówił, znalazł się w położeniu „nadzwyczaj kłopotliwym”²⁵. Tuczkwow tłumaczył się, że nie zna kraju i ludzi, którymi musiałby rządzić, że nie ma ani politycznych, ani dyplomatycznych wiadomości potrzebnych do tego, że nie zna języka i t. d., że zatem nie jest odpowiedni na to stanowisko i przyjąć go nie może²⁶.

Nim więc w Petersburgu zdecydować się miano na człowieka najodpowiedniejszego, według wyobrażeń tamtejszych, do rządzenia Polską, Suchozanet w Warszawie siedział i coraz bardziej zdzierał te resztki uroku z władzy, jakie ona jeszcze posiadała w oczach ludności stołecznej. Cesarzowi donosił ciągle stereotypowymi słowami: „sława Bohu, w mieście spokojnie”; w niedzielę d. 9 czerwca kazał grać muzyce przed pałacem w Łazienkach i chciał koniecznie, żeby w teatrze rozpoczęto znowu przedstawienia. Ze swej strony, dla okazania swej przewagi i mocy militarnej odbywał ciągle przeglądy wojsk

25 Telegram z d. 26 maja (7 czerwca): „Tuczkwow stanowczo wyrzeka się Warszawy i dlatego znajduje się w nadzwyczajnym kłopotcie, kogo naznaczyć”.

26 Odmowę tę swoją wypowiedział Tuczkwow w liście do szefa żandarmów Dołgorukiego. Pisał, że jakkolwiek ofiarowanie mu namiestnictwa w Warszawie jest dla niego bardzo zaszczytnem, ale on nie może przyjąć takiego stanowiska; że po długim namyśle, szczerze przyznaje się do tego, iż nie czuje się na siłach sprostania takiemu zadaniu, że na to potrzeba mieć „charakter niezależny i możność swobodnego działania, wolną od wszelkiego, postronnego, miejscowego wpływu. Czyż ja więc mogę osiąść te warunki, nie znając miejscowego wpływu. Czyż ja więc mogę osiąść te warunki, nie znając kraju zupełnie, jego administracji skomplikowanej, nie znając ludzi, z którymi mam mieć do czynienia, nie mając żadnych wiadomości politycznych i dyplomatycznych, ani daru słowa, ani języka, tak niezbędnego przy ciągłych stosunkach z miejscowymi osobami urzędowymi?” Wskutek tego, pisze dalej, mogę pójść drogą błędną, „zwłaszcza w tej chwili, gdy okoliczności wymagają natychmiastowych rozporządzeń i czynów”. (Russ. Starina z r. 1881 listopad). Przytoczyliśmy umyślnie w streszczeniu ten list, świadczący o skromności Tuczkwowa, przymicie nadzwyczaj rzadkim wśród generałów rosyjskich, którzy, jak wiadomo, wraz ze szlifami nabywają rozumu i zdolności do wszystkiego.

na Saskim placu. Przy jednym z takich przeglądów rozegrała się znowu wysoce zabawna scena. Wśród znacznego zebrania się ciekawych próżniaków, zawsze licznych w wielkim mieście i żądnych wszelkiego rodzaju widowisk, po długim oczekiwaniu zjawił się namiestnik, powitał wojsko, przeszedł przed jego frontem i nagle zwrócił się do jakiegoś mężczyzny średnich lat, ubranego po cywilnemu bardzo wykwintnie, w białym kapeluszu i wezwał go do siebie. Był to, znany nam już z pisania projektu uniwersytetu wileńskiego, literat rosyjski, Ilia Arseniew, redaktor działu ekonomicznego w „Siewiernoj poczcie”. Arseniewa, dzięki zabiegom swego przyjaciela generała Chrulewa, sprowadził był do Warszawy Gorczakow w celu, by pisał artykuły o wypadkach warszawskich do gazet rosyjskich, a zarazem zbijał fałszywe wieści o nich, rozpuszczane przez prasę zakordonową polską i zagraniczną. Myśl była z wielu względów dobra, ale wybór wykonawcy tej myśli jak najniezwyklejszy. Arseniew, człowiek bez wybitnego talentu, dziennikarz średniej miary, nie cieszący się dobrą opinią wśród sfer literackich Petersburga, w żadnym razie nie odpowiadał zadaniu, jakie na niego włożyć chciano²⁷.

27 Chrulew, przybywszy z Sewastopola, siedział w Petersburgu bez zajęcia i kręcił się wśród różnych sfer, głównie literackich i złotej młodzieży petersburskiej. Tam to poznał Arseniewa, który skorzystał z posłania Chrulewa do Warszawy i napisał do niego list, prosząc, by mu „urządził literacką komandyrowkę do Warszawy”, za co żądał tylko 200 rs. na miesiąc, mieszkanie w Zamku i zwrot kosztów podróży. Chrulew chętnie się na to zgodził i przedstawił całą sprawę Gorczakowowi, który, mając bardzo słabe pojęcie o literaturze rosyjskiej i o stopniu uzdolnienia ówczesnych pisarzy, uwierzył słowom Chrulewa, że Arseniew jest wysoce utalentowanym człowiekiem i w d. 23 maja, a więc na tydzień przed swoją śmiercią, napisał poufny list do niejakiego Priansznikowa, który wówczas był jakimś zwierzchnikiem Arseniewa: „szanowny panie Fedorze Iwanowiczu, pisał Gorczakow, uważając za stosowne na jakiś czas mieć przy sobie redaktora do artykułów, mających być pomieszczanymi w różnych wydawnictwach periodycznych w Rosyi i zagranicą, o wszystkich przedmiotach, odnoszących się do Królestwa Polskiego i wiedząc, że będący przy waszem *wysokoprewschoditelstwie* urzędnikiem do szczególnych poruczeń p. Arseniew, biorący udział w licznych wydawnictwach periodycznych, może z pożytkiem dla rządu zajmować się układaniem artykułów tego rodzaju, zwracam się do pana, szanowny panie, z prośbą jak najpokorniejszą, ażebyś raczył wykomenderować na czas jakiś p. Arseniewa do Warszawy i żeby on tu był do mego rozporządzenia. Przyczem uważam za obowiązek dodać, że znajdujący się obecnie przy mnie generał-lejtant Chrulew, znający dobrze p. Arseniewa, uwiadomił mnie, że ten ostatni ze swej strony oświadczył gotowość przybycia do Warszawy, jeśli wasze *wysokoprewschod.* nie będzie miało nic przeciw temu. Oczekując pod tym względem odpowiedzi, korzystam ze sposobności, by przesłać i t. d.” Tymczasem Gorczakow umarł, Suchozanet zajął jego miejsce i w parę dni po przybyciu tego ostatniego do Warszawy, zjawił się tam i Arseniew z listem Priansznikowa do Suchozaneta. „Miłościwy panie Mikołaju Onufrowiczu, pisał Priansznikow, były namiestnik Królestwa Polskiego, książę Michał Dymitrewicz Gorczakow, przez pismo z d. 11/23 maja za No 134, uwiadomił mnie, że on uważałby za rzecz pożyteczną dla zbijania fałszywych

Namiestnik, zbliżywszy się do niego głosem donośnym, z miną rozkazującą i groźną, zawołał: „jesteś pan naszym obrońcą przed Europą i tłumaczem naszych czynów przed Rosyją; przypatruj się pan, uważaj na wszystko i pisz. Pióro pańskie będzie miało plon obfity. Broń nas pan, walcz, pokaż, że jesteś prawdziwie rosyjskim utalentowanym pisarzem!” Rzekłszy to namiestnik, uściśnął za rękę „obrońcę przed Europą”, zawrócił się i poszedł dalej, wlokąc za sobą szablę. Śmieszna ta i w najwyższym stopniu niewłaściwa scena, to publiczne oddawanie obrony interesów rosyjskich w ręce pisarza drugorzędnego, jeżeli z jednej strony oburzało rozumniejszych Moskali, to z drugiej w Polakach budziło śmiech szczery z namiestnika i obdzierało ze wszelkiego uroku tę straszną jeszcze niedawno władzę, oddaną teraz w ręce starca, pozbawionego rozumu. Arseniew, ogłoszony tedy publicznie na placu Saskim obrońcą interesów rosyjskich w Polsce, zabrał się do swego zadania. Odwiedzał często namiestnika, jeździł z nim na wszystkie przeglądy wojsk i uroczystości pułkowe²⁸.

wiadomości, rozsiewanych przez gazety zagraniczne o wypadkach w Polsce, pomieszczać w dziennikach i pismach rosyjskich artykuły, w których każdy mógłby znaleźć opis wierny i bezstronny istotnego stanu rzeczy oraz wypadków, które się już spełniły w Królestwie Polskiem. W tym celu zmarły książę Górczakow prosił mnie o wysłanie na jakiś czas do Warszawy urzędnika, będącego przy mnie do szczególnych poruczeń p. Arseniewa, współpracownika większej części naszych wydawnictw periodycznych, który na podstawie zebranych przez niego na miejscu danych, a również ze źródeł mu wskazanych, będzie redagował artykuły dziennikarskie, odnoszące się do Królestwa Polskiego. Za swą pracę w tym zakresie, zgodnie z warunkami, przedstawionymi przez p. Arseniewa, jak mnie uwiadomił zmarły książę Michał Dymitrewicz, wyznaczono mu pensją 200 rs. na miesiąc i mieszkanie skarbowe. Rozkazawszy obecnie panu Arseniewowi udać się do Warszawy po to, by był do rozporządzenia waszego wysokoprewoschoditelstwa i polecając go łaskawej, pańskiej uwadze, uważam za obowiązek dodać, że pan Arseniew pod względem służbowym jest mi znany, jako człowiek bardzo czynny i zdolny, a jako współpracownik naszych wydawnictw peryodycznych, zyskał sławę dobrego pisarza, którego prace cieszą się zawsze pochlebniemi wzmiankami prasy”.

Taką była korespondencya urzędowa, dotycząca „komenderówki” Arseniewa do Warszawy. („Posledniaja polskaja smuta. Raskazy oczewidca” – „Russkaja Starina” z r. 1874, T. XI, 125).

- 28 Suchozanet ciągle prawie odbywał przeglądy i odwiedzał obozowiska wojsk, znajdujące się poza Warszawą, pił tam wódką zdrowie szeregowców, wygłaszał mowy, a gdy mu kto chciał odpowiadać, krzyczał: „mołczat” (milczeć) i swoje dalej prawił. Na obchodzie uroczystości pułku Bryańskiego piechoty, opowiada naoczny świadek znów o kilku zabawnych scenach, wybornie charakteryzujących ministra i upadek władzy, której on był przedstawicielem. „po licznych toastach, cytujemy opowiadanie świadka (Posledniaja polskaja smuta. „Russ. Starina” 1874), generał Wiesielitskij zaczął wygłaszać mowę, wychwalając zasługi namiestnika. Generał Suchozanet zatkał uszy i kiwając głową, wołał: „poszczadite, poszczadite!” (oszczędź mnie pan), na co Wiesielitskij niezmiészany odpowiadał: „wasze wysokoprewoschoditelstwo, jasokraszczu, sokraszczu” (skróć). Taka rozmowa trwała dość

Z rozkazu Suchozaneta, dostarczali mu materyałów: Sofiano, naczelnik kancelaryi dyplomatycznej namiestnika; Podwysockij, znany nam naczelnik policji tajnej, wreszcie Chrulew, z którym widywał się codziennie. Korespondencye swoje miał posyłać Arseniew do gazety „Petersburgskije Wiedomosti”, z której redaktorem, Krajewskim, już się był poprzednio pod tym względem ułożył. W pierwszym, swoim liście, jaki wygotował, opisał wrażenia swej podróży do Warszawy, pobyt w Kownie, gdzie był świadkiem śpiewów patriotycznych w kościele Bernardyńskim, manifestacyę w Ostrołęce z powodu rocznicy bitwy i t. p. Jakkolwiek korespondencya ta, odczytana Suchozanetowi i przez niego polecona do druku, nie została jednak puszczonej przez cenzurę petersburską. Takież los spotkał i inne pisma Arseniewa. Wskutek tego, przerwał pisanie artykułów do gazet rosyjskich, a zajął się natomiast zasilaniem dziennika „Independance Belge” i „Nord”, będących na żołądź rosyjskim. Działalność jego w ogóle nie miała żadnego znaczenia; w niczem nie wpłynął na prasę, piszącą o sprawach polskich, a wieści przezeń podawane, jako pochodzące ze źródła urzędowego, nie budziły zaufania i pomijane były milczeniem²⁹.

Takie rządy i postęпки Suchozaneta, jeśli na sfery polskie wywierały wpływ jak najzgubniejszy, to wśród kamaryli wojskowej namiestnika wywoływały głębokie i nieklamane oburzenie. Członkowie tej kamaryli, choć między sobą wzajemnie się nienawidzili i gdzie tylko mogli, nogę sobie podstawiali i oczerniali się z godnym lepszej sprawy zapalem, zgodni przecież byli na jednym punkcie. Ilekroć szło o Polskę, zawsze i stanowczo domagali się rządów surowych i militarnych, gdyż te wysunąć by koniecznie musiały różnych karyerowiczów moskiewskich na pierwszy plan i wiecznie głodne ich kieszenie napełnić groszem polskim. Suchozanet w zasadzie zgadzał się na to, ale myśli tej przeprowadzić nie umiał. To też wśród generałów otaczają-

długo”. – „Mówią, opowiada dalej tenże świadek, że podczas obiadu Suchozanet, zwracając się do gości i gospodarzy, rzekł: „panowie, proponujcie serdeczne (raduszewnyje) toasty”. Wówczas zbliżył się do niego młody oficer, dobrze pijany i rzekł: „Proponuję toast wasze wysokopr.” – „Proponuj pan”. – „Za zdrowie tego, kto kogo lubi!” – „Czy pan jesteś umocowany do wzniesienia tego zdrowia?” – „Wcale nie” (nikak niets) – „No, to idź pan na swoje miejsce!” (Loc. cit. 129).

29 Arseniew bawił w Warszawie jeszcze podczas namiestnictwa Lamberta, w którym to czasie cofnięto mu pensyę. Porzucił więc Polskę i pojechał do Berlina, gdzie wydał broszurę p. t.: „Dla tych, którzy wiedzieć powinni” (Dla tiech, komu wiedat’ nadleżit). Opowiedział tu pobieżne wypadki warszawskie, podniósł pod niebiosa zasługi krwawe Chrulewa i drwił sobie z rządów Suchozaneta. W r. 1886 wydrukował w „Istoriczeskim Wiestniku” artykuł p. t.: „Warszawa w 1861 r.”, w którym powtórzył z małemi zmianami treść tej broszury.

cych go, naśmiewano się zeń pocisku, nazywano go „pozbawionym rozumu starcem” (wyżiwszym iz uma starikom), albo powoli odsuwano się od niego, jak to uczynił Chrulew, Liprandi i Mielnikow, komendant placu. Wśród tego nieładu powszechnego, jaki koniecznie w takim stanie rzeczy zapanaować musiał w rządzie, ruch rewolucyjny nietamowany niczem, albo tamowany źle, przybierał coraz szersze, coraz gwałtowniejsze rozmiary. Nie było dnia, żeby nie wyprawiono przy lada sposobności jakiejś manifestacji, nie naklejobno jakiej odezwy, nie zerwano z rogu ulicy proklamacji rządowej. W samym Zamku, w rezydencji namiestnika, na wszystkich korytarzach znajdowały się poprzylepiane różne odezwy rewolucyjne, dając z jednej strony świadectwo niedołęztwa wygórowanego władzy, z drugiej zuchwalstwa rewolucjonistów. W ogrodzie pałacu Kazimierowskiego, gdzie rozegrała się opowiedziana już przez nas scena ze sztachetami Wielopolskiego, teraz, podczas wakacji, młodzież szkolna i nieszkolna, zbierała się tłumnie i ćwiczyła w fechtunku; później nieco, w różnych stronach miasta pourządzano formalne szkoły fechtowania, w których zwykle jakiś były wojskowy, uczył młodzież robienia bronią i strzelania do celu. U studenta akademii Fochta, niegdyś członka komitetu zajmującego się wystawieniem pomnika dla poległych 27 lutego, był nawet karabin i pałasze, których uważano do nauki. Tworzyło się też ciągle mnóstwo efemerycznych komitetów i kółek, które łudziły się nadzieją opanowania ruchu i scentralizowania go w swoich rękach. Po większej części, istnienie ich było nieznane ogółowi zrewolucjonizowanej młodzieży; powstawały i ginęły po krótkim, jednodniowym istnieniu; czasem trwały dłużej, ale w żadnym razie spełnić swojego zadania nie mogły i umierały na bezsilność nieznane i nieuznawane przez nikogo. Wśród akademików, w tym czasie, niezmiernie żywa działalność Majewskiego, obudziła pewnego rodzaju zawiść, zwłaszcza, iż zauważono jego oddalanie się powolne od reszty kolegów, a natomiast, że poczyna wciskać się do innych sfer i koło akademickie pozostawia bez przewodnictwa. Niejaki Władysław Daniłowski, akademik, patryota gorący, czerwony i Mierosławczyk zapalony, oburzał się na „noszącego, jak mówił, płaszcz na dwóch ramionach” Majewskiego i znalazłszy między współkolegami zwolenników, zawiązał „Towarzystwo demokratyczne akademików”, do którego weszli Zdzisław Janczewski, syn rejenta z Płocka i Maksymilian Unslicht. Towarzystwo to jednak, oprócz zorganizowania rozlicznych, drugorzędnego znaczenia manifestacji, nie wywierało na ruch żadnego wpływu silniejszego.

Oprócz towarzystwa akademickiego, istniało jeszcze ciało, noszące nazwę „Komitetu starszego”, który, o ile można wiedzieć, był w ciągłych stosunkach z emigracją, a właściwie z Mierosławskim i od niego odbierał natchnienia. Obok niego egzystował i najczynniejszym był „Komitet zarządzający manife-

stacye”, którego zadanie sama nazwa maluje i w skład którego wchodziła młodzież wszelkich stanów i zajęć. Działalność obu tych ciał, okrywała się zresztą jak największą tajemnicą, tak, że wskutek tego zarysowują się one w historii bardzo mgliście i niejasno. Posiedzenia swe, odbywały one po większej części w miejscach publicznych, jak np. w cukierni Contiego w hotelu Europejskim, lub w ogrodzie Saskim. Zwykle członkowie komitetu nie zbierali się od razu wszyscy, przez co mogliby na siebie zwrócić uwagę policyi, ale tylko po kilku, których po jakimś czasie zamieniali inni, a prezydujący uwiadamtiał nowo przybyłych o tem, co dotąd mówiono. Taką samą ostrożność zachowywano w korespondencyi krajowej i zagranicznej, używając do tego umówionego i trudnego do odgadnięcia klucza³⁰.

Kiedy w ten sposób powstawały i umierały komitety i Koła relacyjne, kiedy każdy myślał o owładnięciu ruchem, ruch ten nikomu okiełznać się nie dawał i rozwijał się coraz bardziej. Miasto było niejako w rękach garści najzuchwalszych agitatorów, przeważnie młodzieży, uczniów szkół i czeladzi rzemieślniczej. Policya, złożona w większej części z Polaków, przez palce patrzyła na wszystko, a wielokrotnie się zdarzało, iż policyant umyślnie udawał, że czegoś nie widzi, co się prawie pod jego oczami działo. Jeżeli kogo aresztowano, to tylko wtedy, gdy już inaczej w żaden sposób postąpić nie można było. Zresztą, aresztowania te, wskutek chaosu panującego w samym rządzie, nie budziły najmniejszego postrachu i narażały tylko powagę władzy na szwank. Jeden naczelnik aresztował, drugi uwalniał, lub starał się u namiestnika o uwolnienie aresztowanego.

Były także indywidualia, które w ciągu jednego tygodnia trzy razy dostawały się do kozy i zawsze z niej wydobyć się potrafiły. Nikt się więc aresztowania nie bał, owszem wielu dla uchodzenia za patriotów, za męczenników sprawy ojczyźnej, umyślnie starało się o dostanie się do kozy, która żadnego niebezpieczeństwa nie przedstawiała i złych konsekwencji nie miała. Same więzienia na koniec były bardzo źle urządzone, dozór prawie żaden nad aresztowanymi, tak że komunikowali się oni z miastem i swoimi przyjaciółmi. Władze wojskowe, patrole i placówki, otrzymywały mnóstwo rozporządzeń, sprzecznych jedne z drugimi; wymagano od nich raportów o każdym, najdrobniejszym nawet zdarzeniu, tak że wielu nie chciało stawiać przeszkody manifestacyi, rozgrywającej się przed ich oczami, żeby nie ściągnąć potem na siebie odpo-

30 Klucz ten polegał na tem, że kładziono na papier rodzaj patronu czy transparentu i w jego otworach wypisywano potrzebne wiadomości, poczem, po zdjęciu tegoż wolne przedziały zapełniano nic nieznaczącymi słowami, starając się jednak o to, by był jakiś sens w całości. Odbierający list posiadał także sam patron i przyłożywszy go do papieru, z łatwością odczytywał zawartą w nim tajemnicę.

wiedzialności za niewypełnienie lub przekroczenie takiego lub innego rozporządzenia. W razie zaś, jeżeli jaki gorliwy dowódca patrolu, zdał raport o danym wypadku, to śledztwo ciągnęło się długo, zapisywano mnóstwo papieru, by potem sprawę przerwać i w kąt ją rzucić³¹.

Gdy się to działo w Warszawie, gdy Suchozanet odbywał przeglądy, ucztował z żołnierzami lub drzemał na fotelu w Belwederze, przybyła dnia 12 czerwca do stolicy wiadomość telegraficzna o zaburzeniach w Suwałkach, które zdawały się mieć bardzo poważny i bardzo niebezpieczny charakter³². W mieście tem, ulegającym powoli, jak i wszystkie inne, ogólnemu prądowi rewolucyjnemu, strojono się w konfederatki, kontusze i czamarki, śpiewano po kościołach hymny rewolucyjne, jednym słowem objawiano publicznie wszystkie te oznaki zewnętrznego patriotyzmu, jakie widzieliśmy w innych miejscowościach kraju. Na koniec, na skutek rozporządzeń Suchozaneta, zabraniających noszenia strojów pseudo-polskich i oznak pseudo-patryotycznych, gubernator miejscowy Fersen ogłosił d. 10 czerwca przez plakaty, rozlepione na rogach ulic, że odtąd nie wolno jest ubierać się w konfederatki, w czamarki, w pasy z emblematami krzyża złamanego lub herbami Polski i Litwy. Gdy to ogłoszenie, jak się spodziewać należało, nie odniosło skutku, poczęto chwytać młodych ludzi, sprowadzać ich na odwach, gdzie z czyjegóż rozkazu po obcięciu rogów u czapek, lub po zdarciu pasów i czamarek, wypuszczano aresztowanych w negliżu na ulicę³³. Widowisko takie poczęło gromadzić tłumy próżniaków, zawsze u nas liczne, zwłaszcza, że wprost domu, w którym się mieściła policja i odwach, znajdował się ogród publiczny, a raczej rodzaj skweru, jak zwykle przepełniony ludźmi, żądnymi świeżego powietrza w czasie skwaru letniego. Z początku widok obciętych konfедера-

31 N. Berg (Zapiski, 323) przytacza taki przykład charakterystyczny, wyjęty z akt naczelnika I oddziału wojennego warszawskiego: „na kompanię pułku Symbirskiego piechoty, patrolującą pewnego wieczoru czerwcowego na ulicy Miodowej, rzucił ktoś kamieniem z furty klasztoru kapucyńskiego. Major Felkner, dowodzący kompanią, lękając się niedokładności w opisie tego zdarzenia, w raporcie swym do naczelnika I okręgu miasta tak przedstawia drogę, którą kamień przebiegł: „kamień przeleciał za mną, około podporucznika Szach-Nazarowa, wzdłuż pierwszego szeregu pierwszej sekcji, drugiego plutonu rzeczonyj kompanii i trafił we drzwi domu, znajdującego się na przeciwnej stronie ulicy”. W końcu skrupulatny major Felkner dołączył długi spis nazwisk szeregowców 8-ej kompanii pułku Symbirskiego, koło których kamień przeleciał”.

32 Tak, zdaje się, zapatrywał się na nie sam Suchozanet, telegrafując do cesarza pod d. 12 czerwca, co następuje: „wczoraj w Suwałkach miały miejsce nieporządki z powodu aresztowania przez wojsko, bez użycia broni, kilku osób. Wysłałem generał-adjutanta Rudanowskiego dla przeprowadzenia śledztwa i przywrócenia porządku, ustanawiając i tam także naczelnika wojennego. J. A. Suchozanet”.

33 Opowiadanie niniejsze opieramy na relacji rękopiśmiennej.

tek i negliżu, w jakim wychodzili aresztowani z odwachu, wzbudził śmiech powszechny, potem za jakimś przykładem, jak gdyby dla pokazania władzy, że ogół innego przykrycia na głowę nie uznaje, poczęto zrzucić cylindry, którymi ulica otaczająca ogród zasiana została. Nie obeszło się przytem bez wrzawy, krzyków i wymyślań na Moskali.

Z ruchliwością, właściwą dzieciom, kobietom i masom, zbiegowisko z początkowych żartów i śmiechów przeszło do oburzenia, a tłumy ciągle rosły. Wobec tego nieliczna policja miejscowa wezwwała zebranych w ogrodzie do rozejścia się, a gdy wezwania tego nie usłuchano, wystąpiły dwa oddziały wojska, otoczyły ogród i w oczach tłumu poczęły broń nabijać. Widok ten wywołał popłoch powszechny; kobiety i dzieci chciały wydostać się z ogrodu i w przestrachu usiłowały przechodzić przez niskie baryery, otaczające go dookoła, ale żołnierze zaczęli je spychać, bić kolbami i obrzucać obelgami, w które tak obfituje język rosyjski. Ponieważ w dniu tym był jarmark w Suwałkach i na rynku, na którym znajduje się skwer, stały kramy i kręciły się tłumy ludności wiejskiej, łatwo pojąć, jaki popłoch wywołał widok wojska i nabijanych karabinów. Wszystko, co żyło, poczęło uciekać, tratując kramy, tłukąc nagromadzone góry garnków, gubiąc czapki i t. p. Wojsko poczęło mężczyzn aresztować, czego jednak niezbyt sumiennie dokonywano, gdyż zaledwie czterech odprowadzono na odwach. Ogród opustoszał, wojsko się cofnęło, ale tłum rozdrażniony z placu nie ustąpił. Część udała się ku odwachowi za aresztowanymi, większa zaś połowa ruszyła ze skargą do gubernatora Fersena. Ci, którzy znaleźli się przed odwachem, zachowywali się tam, jak zwykle zachowuje się tłum, przeważnie złożony z niższych warstw, zuchwale i nieprzyzwoicie. Podawano aresztowanym papierosy, usiłowano z nimi rozmawiać. Żołnierze, nie dopuszczając tego, potrącali, bili kolbami śmiałków, a jakąś damę żołnierz bezwstydnym gestem i słowem obraził. Energiczna kobieta, niewiele myśląc, uderzyła grubianina w twarz. Wywołało to naturalnie wśród wojska oburzenie i gdy owa kobieta się skryła, aresztowano pierwszą lepszą, mianowicie niejaką Staniszewską, żonę urzędnika miejscowego.

Gdy się to dzieje na odwachu, przed mieszkaniem gubernatora tymczasem, zebrany tłum domaga się głośno i natarczywie o uwolnienie aresztowanych. Fersen, człowiek miękki, działając wreszcie w myśl instrukcyi, przez Gorkowa jeszcze wydanych i zalecających łagodność i ostrożność w postępowaniu z ludnością, wyszedł do zebranych i przekładając potrzebę zachowania porządku, przyrzekł uwolnić aresztowanych. Jakoż zaraz osobiście udał się na odwach, osadzonych tam wypuścił, oprócz pani Staniszewskiej, która jako oskarżona o zobelżenie żołnierza, będącego na służbie, podpadała surowej odpowiedzialności karnej. O całym zaś zajściu, jak wiemy, doniósł natych-

miast drogą telegraficzną Suchozanetowi. Ten wysłał zaraz, niedawno przybyłego z Petersburga generał adiutanta Rudanowskiego, dla „przeprowadzenia śledztwa i przywrócenia porządku”, mianując go zarazem naczelnikiem wojennym gubernii augustowskiej. Było to nadużycie, gdyż, według zapewnień Wielopolskiego i Gorczakowa, wszelkiego rodzaju sprawy przeciw porządkowi publicznemu winny być śledzone i sądzone przez zwyczajne sądy cywilne; wprawdzie sądy te, jak np. w sprawie modlińskiej i w innych, nie stały na wysokości swego zadania i oddanej im w ręce obrony spokojności publicznej bronić nie potrafiły, ale bądź co bądź była to jedyna droga legalna, jedyny sposób przekonania kraju, że czasy nadużyć i rządów militarnych minęły. Uczciwy, w gruncie rzeczy rozumny i jak najlepiej życzący krajowi Gorczakow, doskonale to pojmował; ale Suchozanet, typ ograniczonego żołdaka Mikołajewskiego, nie pytając się wcale, co dotąd zrobiono dla uspokojenia kraju i co temu krajowi przyrzeczono, postępować chciał z Polską, jak z batalionem żołnierzy. W sprawie suwalskiej, nie odwołując się do nikogo, nie uwiadamiąjąc nawet Wielopolskiego, jako Dyrektora Komisji sprawiedliwości, wysłał natychmiast Rudanowskiego, zarozumiałego głupca i gburę, odpowiednie swemu widzeniu rzeczy narzędzie.

Rudanowski, przybywszy do Suwałk dnia 13 czerwca, natychmiast rozpoczął śledztwo w sposób właściwy generałom rosyjskim. Ściągał on w charakterze świadków kobiety i dzieci, zmuszał duchownych do odbierania przysięgi od świadków, wezwanych przez komisję śledczą, choć świadkom tym, wobec obowiązujących przepisów, nie wolno było składać przysięgi. Asesora trybunału miejscowego Wierzchlejskiego, za to, że żona jego brała udział w kilku procesach i że ten odwoływał się do swej władzy sądowej, która jedna ma prawo go karać, kazał aresztować w nocy i drogą administracyjną zesłać do Petersburga³⁴. Uwięziono przytem wiele innych osób, jak wikariusza miejscowego, księdza Falkowskiego, kapucyna Juwenalisa; sam Rudanowski przy śledztwie, zachowywał się w sposób oburzający, groził, krzyczał, wymyślał. Oskarżycielami byli żołnierze i oficer żandarmski Kramarenko³⁵. Wobec takiego postępowania, miasto, kryjąc w sobie oburzenie, przycichło zupełnie, tak, że Rudanowski już d. 15 czerwca mógł donieść Suchozanetowi, że „w Suwałkach spokojnie, jak nie można lepiej” (wsio sowierszenno spokojno, kak nie lzia luczsze).

34 Wierzchlejski, wrócony wkrótce potem, osiadł w Międzyrzeczu.

35 Badanie świadków i zbieranie dowodów, opowiada cytowana relacja, odbywało się w ten sposób, że np. żołnierzowi, który dostał policzek, przedstawiona p. Staniszevska z zapytaniem: „czy ta barynia cię uderzyła?” – ten odrzekł: „točno tak”, gdy tymczasem całe miasto o tem wiedziało, że p. Staniszevska nic w tej sprawie nie była winna.

Sprawa ta jednak nie miała się tak skończyć, owszem, spowodowała ona szereg zawikłań i burz w sferach najwyższych, rządzących krajem, które we właściwym miejscu opowiemy, nie chcąc się odrywać od opisu położenia ówczesnego prowincyi. Jeżeli bowiem w Suwałkach proste obcinanie rogów u konfederatek wywołało zawieruchę, której rezultaty dotknęły się najżywotniejszych spraw krajowych, to w innych miastach i miasteczkach manifestacje wszelkiego rodzaju i charakteru tak się upowszechniły, że nikt już na nie uwagi nie zwracał. W Ostrołęce, w rocznicę krwawej bitwy, d. 26 maja 1831 r., wystąpiła uroczysta procesya z miasta ku pomnikowi, postawionemu przez Mikołaja na pamiątkę bitwy.

Zebrał się przytem kilkutysięczny tłum, przeważnie z kobiet złożony, niesiono obrazy, krzyże, chorągwie, a na czele postępował ksiądz i oczywiście śpiewano nieuniknione „Boże, coś Polskę”. Pod pomnikiem, ksiądz na zaimprovizowanej z prostych desek kazalnicy, wygłosił mowę, tętniącą zwykłym w tej dobie skrajnym patriotyzmem. „Rozejdźcie się bracia do swych chat, kończył, ale niech każdy z was opowie swej rodzinie i krewnym, że nastąpiła chwila, w której Zbawiciel i Najświętsza Maryja Panna, ulitowawszy się nad cierpieniami Polaków, pozwoliła im obudzić się i ponosić ofiary dla odzyskania utraconej przez ojców wolności. Szczęśliwi, zbawieni i święci będą ci z pomiędzy was, którzy dadzą życie za ojczyznę i wiarę”. Było to najwyraźniejsze wzywianie do powstania zbrojnego³⁶.

W Płocku, stan wzburzenia ani na chwilę nie ustawał. Bywało, podobnie jak w Suwałkach i Wilnie, że, gdy kogo aresztowano, kobiety tłumnie udawały się przed dom generała Szepielowa, domagając się uwolnienia uwięzionego. Miękki Szepielow zwykle na to przystawał i zadość czynił woli „krzykliwych bab”, jak się wyrażał. Kocie muzyki, wyprawiane nielubianym w mieście osobistościom, powtarzały się często; manifestowano się przy każdej sposobności. Zdarzyło się wśród tego, że d. 13 czerwca, rybacy płynący Wisłą, spostrzegli na piasku, na lewym brzegu rzeki, od strony Radziwia, zwłoki jakiegoś mężczyzny³⁷.

36 Znany nam już Arseniew („Warszawa w 1861 roku” – „Istoriczeskij Wiestnik” z r. 1886, T. XXVI, 515), jadąc z Petersburga do Warszawy, był świadkiem tej manifestacji w Ostrołęce i opowiada, że na wielkie swoje zdziwienie, spostrzegł wśród procesyi czterech żołnierzy. Przypuszczając, że to są Polacy, poprosił swego towarzysza podróży, doskonale mówiącego po polsku, żeby ich zapytał, co oni tu robią? Pokazało się, że żołnierze są Rosyanami i prawosławnymi, że ani słowa nie umieją po polsku, że przyszli przez ciekawość zobaczyć, jak Polacy chowają swoją Bogarodzicę, która według nich umarła wczoraj, a jutro zmartwychwstanie według wiary polskiej”.

37 Według relacji współczesnej rękopiśmiennej, jaką posiadamy w naszych zbiorach, poprzednio jeszcze Wisła miała wyrzucić „dwa trupy kobiece, związane razem za włosy

Dano znać do Płocka, gdzie natychmiast, Bóg wie na czym oparta, rozbiegła się wieść, że to jedna z ofiar rzezi 8 kwietnia, wrzucona do Wisły przez Moskali. Nie zwrócono uwagi na to, że gdyby tak było, to trup, leżąc w wodzie przez dwa przeszło miesiące, musiałby uleść zupełnemu zepsuciu; sposobność była wyborna do urządzenia nowej, wielkiej manifestacji, więc skorzystano z niej, wbrew logice najprostszej. Przewieziono zatem trupa do miasta i wezwano sąd do odbycia obdukcji lekarskiej. Ogromne tłumy ludności, nieomal cały Płock wyległ na brzeg, by przypatrzeć się „nieszczęśliwej, jak mówiono, ofiarze barbarzyństwa Moskali”³⁸. Obdukcja lekarska pod presją opinii i dążności rewolucyjnych, odbywająca się zresztą wobec tłumy na brzegu rzeki, skonstatowała, że topielec rany otrzymał za życia, że był dwa razy pchnięty bagnietem i że od dwóch miesięcy leżał w wodzie. Ciało owinięto w prześcieradło, złożono do białej trumny, na której umieszczono konieczny w tej porze wieniec cierniowy i palmę męczeńską.

Nazajutrz, dnia 14 czerwca, odbył się wspaniały, imponujący mnóstwem efektów teatralnych, pogrzeb. Wystąpiły wszystkie cechy z chorągwiami, krepą obwiniętymi, całe duchowieństwo płockie eksportowało topielca, młodzież zaś niosła trumnę na swych barkach. Nad mogiłą reformat z klasztoru miejscowego wygłosił mowę, zaczynającą się od słów: „powiedz rodaku, kto cię zamordował?” Odśpiewawszy „Boże, coś Polskę”, cały tłum ruszył przed figurę Matki Boskiej, stojącą na cmentarzu przed farą i do godziny 10-ej wieczorem odśpiewano cały nieomal repertuar ówczesnych pieśni religijno-patriotycznych.

Nie koniec jednak na tem. Nazajutrz bowiem, w kościele Reformatów, odbyło się uroczyste nabożeństwo za poległych. Po nabożeństwie, kobiety, „zaczne nasze rodaczki”, jak mówi opis tych wydarzeń, z panią Jackowską, żoną prezesa Dyrekcji płockiej Tow. Kred. Ziem. na czele, poniosły ogromny krzyż czarny w procesyi, wraz z duchowieństwem na cmentarz. Na krzyżu tym były odpowiednie napisy: „ofiarom zamordowanym na ulicach Warszawy d. 8 kwietnia 1861 r.”; na drugiej stronie: „przez cierpienia i ofiary wybaw lud swój Panie”, a poniżej: „bratu Polakowi, poległemu w rzezi warszawskiej

i młodzieńca w mundurze akademickim, z rękami przybitymi gwoździami do głowy. Wojsko trupy te podchwyciło.

38 Był to mężczyzna wzrostu średniego; ciało, oprócz twarzy, stosunkowo dobrze zachowane; zębów miał zaledwie parę, czaszkę bez włosów. Okryty był ranami, jak utrzymywano, od pchnięć bagnietem i uderzeń kolbą. Ponieważ nie miał na sobie spodni, tylko szelki, więc wnioskowano, że topiący go żołnierze ściągnęli zeń ubranie; u kamizelki była oderwana gwałtownie kieszonka od zegarka; nowy zatem dowód rabunku. Koszuła była cienka, webowa, chustka biała na szyi i medalik. Powszechnie mówiono, że miał także szyję okręconą sznurem.

d. 8 kwietnia”. Krzyż ten umieszczono na mogile topielca. Epilogiem całej tej manifestacji była wieść, jaka się w parę dni po pogrzebie rozeszła po mieście, że Moskale zamierzają krzyż rzeczony wykopać i mogiłę topielca rozrzucić. Wskutek tego, uczniowie klasy VI i VII gimnazjum miejscowego co noc z kolei, z pomiędzy siebie delegowali dwóch na cmentarz dla pilnowania krzyża i mogiły. Gdy jednak nikt nie myślał robić zamachu na spokój nieboszczyka, straż ta, wykonywana z wielkim zresztą strachem, przestała pełnić swe śmieszne obowiązki.

W Ratowie, wsi w Mławskim leżącej, zaszły znowu innego rodzaju wypadki, które rewolucjonistom ówczesnym, opierającym całą swą nadzieję na chłopie, owym „spadkobiercy wielkiej ojczyzny”, winny były dać dużo do myślenia, gdyby ich oczów nie zaciemniała mgła teoryjek i doktryneryzmu rewolucyjnego. Zdarzyło się, że podczas odpustu na św. Antoniego Padewskiego, d. 13 czerwca, w miejscowym kościele Bernardynów, podczas kazania, powstał wśród licznie zgromadzonego ludu popłoch i krzyki, że „chłopi rzną szlachtę”, że „szlachta rżnie chłopów”, że „Moskale idą!” Popłoch był tak wielki, że się tłoczono, deptano i na gwałt uciekano z miasteczka. Chłopi dosiadali koni i wozów, i pędząc galopem biegli do domów, by ratować przed szlachtą swe rodziny i dobytek; szlachta to samo czyniła, chcąc znów przed chłopami ocalić swoich. Z wielką trudnością księża i ludzie rozsądniejsi zdołali uspokoić wzburzone tłumy; fakt ten w każdym razie świadczył, że głębokiego antagonizmu dworu i chaty, wzajemnej ich nieufności i niewiary do siebie, nie zatarła dotychczasowa agitacja patryotyczno-rewolucyjna, owszem wywołała ona jakiś nastrój nerwowy u ludu, jakąś dziką trwogę przed czemś nieznanym, a groźnym. Wieści najgłupsze, najnieprawdopodobniejsze, znajdowały wiarę i wstrząsały do głębi posępnym żywiołem chłopskim. Słusznie też ludzie chłodniejsi, rozumniejsi, pytali: czy na takim gruncie można co budować?

Ale na pytania takie, pytania, zdradzające straszną obawę przed następstwami ruchu, rewolucyoniści odpowiadali oskarżeniami o zdradę, o oziębienie ducha i nie szczędzili niczego, ze wszystkiego korzystali, by zachwiany mocno porządek publiczny jeszcze bardziej wstrząsnąć. Jak dalece usposobienie rewolucyjne przesiąkało wszędzie, we wszystkie warstwy t. z. inteligencji, świadczy sprawa niejakiego Antoniego Mysłowskiego, aplikanta Sądu kryminalnego w Lublinie, znanego nam już z tego, że przyaresztowanie go w marcu, dało powód Delegacji warszawskiej do interpelowania Paulucciego³⁹. Sprawa ta prócz tego, podobnie jak sprawa modlińska, jest jednym więcej dowodem, że sądy ówczesne Królestwa nie rozumiały swego i kraju położenia,

39 Patrz, Tom II, p. 199.

że w rzeczy samej ci, którzy chcieli rządów i sądów wojennych, mieli za sobą niestety! bardzo wiele słuszności.

Mysłowski przyaresztowany został w marcu za to, że namawiał do zbierania się na nabożeństwo za poległych w bitwie pod Grochowem; że rozdawał rzemieślnikom drukowane o tem ogłoszenia i nosił się ciągle z żelaznym kastelem, zaopatrzonym w ostre kalce, że wreszcie należał do wszystkich zaburzeń w Lublinie. Za czasów rządów Delegacji uwolniony, nie zaprzestał, podobnie jak wielu innych, dalszej swej działalności rewolucyjnej i agitatorskiej, ubierał się w czamarkę i konfederatkę i na koniec w d. 3 maja, na nabożeństwie w kościele św. Ducha i katedralnym podzegał innych do śpiewania pieśni zabronionych.

Wskutek tego wszystkiego, miejscowy naczelnik wojenny zażądał najprzód od Sądu kryminalnego, by Mysłowskiemu udzielił dymisją, a następnie, zgodnie ze świeżemi, przez Wielopolskiego, wyjednanemi postanowieniami, oddał agitatora pod sąd cywilny. Obowiązkiem świętym teraz sądu było okazanie, że potrafi utrzymać w silnej dłoni porządek publiczny i wszelkie przeciw niemu przekroczenia ukarze, jak należy. Niestety! Sąd poprawczy lubelski, do którego z porządku rzeczy poszła najprzód sprawa Mysłowskiego, uznał w jednych oskarżeniach brak poszlak, w drugich niezbyt przestępnego czynu i wyrokiem z d. 18 maja od wszelkiej winy agitatora uwolnił. Od wyroku tego, podprokurator założył apelację i sprawa przeszła w końcu czerwca do Sądu kryminalnego. Mysłowskiego bronił niejaki Stanisław Kasperski, patron i obrona ta, wygłoszona publicznie, przy niezwykle zbiegowisku publiczności, zwłaszcza kobiet, jest dowodem tej głębokiej i gwałtownej rewolucyjności, jaka przesiąknęła głowy i serca wszystkich; słowa, jakie z ust obrońcy rozbrzmiewały po sali sądu, zda się żywcem wzięte były z jakiej mowy Mierosławskiego, nosiły na sobie piętno czerwonego, skrajnego patriotyzmu. Mowa ta, odbita sposobem litograficznym w tysiącach egzemplarzy, rozbiegła się po całym kraju, znajdując wszędzie admiracją i pochwałą, nigdzie potępienia⁴⁰.

Obronca, przebiegłszy pobieżnie historią koncesyi udzielonych krajowi w marcu, co mu się wydawało koniecznem dla zrozumienia sprawy, zaznaczywszy, że proces ten ma charakter polityczny, jest więc, jak się wyraził, „szkołą ludową, nauką i życiem moralnem”, tak broni swego klienta co do noszenia niezwykle ubiorów: według ogólnej definicyi prawa, wszystko, co nie jest prawem zakazane, jest dozwolone.

40 W zbiorach naszych posiadamy jeden egzemplarz tej mowy, zatytułowanej: „Obrona za Antonim Mysłowskim o opór przeciw rozporządzeniom rządu obwinionym, przez Stanisława Kasperskiego, Patrona przy Trybunale Cywilnym w Lublinie napisana”. Zawiera ona dwa arkusze in folio bitego pisma; podpisana jest: „Lublin d. 26 czerwca 1861 r. Stanisław Kasperski”.

Dotąd nie było prawa zakazującego pewne ubiory. Po raz pierwszy w d. 12 kwietnia r. b. pojawiło się rozporządzenie naczelnika wojennego m. Warszawy, zabraniające niezwykłych ubiorów, tłumaczone zostało powszechnie, że ubiory zakazane, a raczej niezwykle mogą być uważane za ubiory nieznanne w Europie, np. gdyby kto wziął czapkę Chińczyka z dzwonekami, lub przepaskę Indyanina; ale nigdy ubioru, który każdy zna, bo go od dawna ma przed oczyma. Że więc Mysłowski nosił rogatą czapkę, czamarkę i kamizelkę kolorową, to przecież nie stanowiło niezwykłego ubioru; a co do noszenia spodni w butach, Mysłowski sam wytłumaczył, że dla niezwykłego błota, w d. 3 maja, przez oszczędność nogawice w buty powkładał. A zatem nie nastrocza się najmniejszy pozór do winy; a przecież za ubiór ten, skarga podana została”, „nie twórzmy sobie fałszywych pojęć, żeby ubiory te były przyczyną do odpowiedzialności; wszystko, co nas otacza, nosi charakter narodowy. . . monarcha nam panujący nosi tytuł króla polskiego, herb Królestwa złączył się z herbem państwa; monarcha, pisząc do swego namiestnika, zapewnia reformy odpowiednie potrzebom Królestwa, namiestnik w odezwie do narodu mówi: „Polacy!"; wspomina o „naszej narodowości”; wszędzie jest charakter polszczyzny; tylko na jednym Mysłowskim czamarka, czapeczka rogata i żupan są zakazanym ubiorem, chociaż nie on jeden, lecz prawie wszyscy to nosili. Nie taka myśl wyciągnąć potrzeba z dobroci naszego monarchy względem narodu polskiego! Gdyby taka była wola jego, już by dawno zniszczyć, zatrzeć kazał dotykalne pamiątki naszej narodowości i tylko w historycznych podaniach zostałyby ślady ich bytu; a przecież przed Zamkiem królewskim w Warszawie stoi Zygmunt; a dziś smutnego wspomnienia w Łazienkach Jan Sobieski; w Lublinie kolumna na pamiątkę połączenia Litwy z Koroną; mogliśmy jeszcze dalej wskazać pamiątki przeszłości, które nasz łaskawy monarcha nie tylko zacierać nie każe, lecz owszem kosztem własnym utrzymywać i przechowywać poleca, jak pomnik Kordeckiego w Częstochowie. Więc to jest zła myśl, na fałszywej oparta zasadzie, bo gdyby tak było, lud polski zmieniłby się w automatów i naród przedstawiłby ludzi bez przeszłości, bez wspomnienia, bez historii, bez łąz i pieśni, bez życia, któremu (narodowi nie życiu) monarcha nie chciałby panować. Takie było stanowisko prawa o ubiorach niezwykłych przed i po 12 kwietnia b. r. W d. 23 maja (4 czerwca) b. r. pojawiło się drugie rozporządzenie, określające literalnie, co jest zabronione, czapki konfederatki, kościuszkowskie, kontusze i żupany. W rozporządzeniu tem widzimy dwa cele, jeden polityczny, a drugi estetyczny. Że kontusz, żupan, karabela, buty kolorowe, były ojców naszych ubiorem, nikt przeczyć nie może; lecz że ubiory te nie są znane od dzisiejszych generacji, więc bardzo słusznie naczelnik wojenny zbroił ich, gdyż sama ciekawość wnuków widzenia ubioru praocjów mogłaby być przyczyną zbiegowisk, które zabronione zostały rozporządzeniem Rady ad-

ministracyjnej, co jest ze wszech miar sprawiedliwe i zbawienne, i to był cel polityczny prawa. Wszakże, gdy zauważymy z punktu estetycznego, to spostrzegamy w niem zupełne pominięcie czamarek i bardzo słusznie naczelnik wojenny uznał, że o ile kontusz i żupan był ubiorem, dla dzisiejszej generacji ruchliwej, niedogodnym, o tyle czamarkę nie dotknął ostracyzmem, jako ubiór więcej harmonijny z duchem czasu i z potrzebami wieku, swobodny, niekrępujący, a który, Bogu dzięki, zastąpił cudzoziemskie fraki. Od tego więc czasu, należy brać ściśle i prawnie zastosowywać zakaz noszenia ubiorów dawnych; gdy zaś żadne prawo nie może obowiązywać wstecz, a skarga obwinia Mysłowskiego o noszenie ubiorów zakazanych przed wydaniem prawa, nie można mu tego brać za winę. Sąd poprawczy w wyroku zaapelowanym znalazł niezbyt przestępstwa; decyzja zgodna z logiką i prawem, a przecież podprokurator wyrok ten zaapelował i domaga się skazania Mysłowickiego; lecz gdy skutki tej apelacji więcej w żądaniach, aniżeli na prawie są oparte, pozostać ona musi bez skutku. W kraju naszym stosunki socyalne urządza wola monarchy, za pomocą organów codziennych gazet; że tłumaczenie powyższe zgadza się z wolą władzy najwyższej, najlepszy dowód, że w dzienniku „Magazynie Mód” w maju 1861 r., to jest już po zakazie noszenia konfederatek i butów oddzielnego kroju, dołączona jest rycina, nauczająca Polaków, jak się ubierać mają, a nawet ubiór ten należy do mody, a moda jest najstraszniejszą potęgą; chociaż i czamarka jest ubiorem pożyczanym od Węgrów, który przeszedł do nas. Jakżeż teraz pogodzić „Magazyn Mód”, okazujący nam ubiory, jakie nosić mamy, z innymi organami prasy, które wydrukowały rozporządzenia o zakazie ubiorów, a przecież wszystkie te pisma wychodzą z dewizą cenzury: „wolno drukować za pozwoleniem zwierzchności, (podpisano) cenzor”. Rząd, jako istota moralna i prawodawcza w sprzeczności z sobą być nie może, wszystkie jego kółka ruchu muszą być w harmonii i dlatego, żeby tę harmonią upatrzeć, trzeba przyjąć, że zakaz dotyczy kontuszów i żupanów, lecz dozwala czamarek, co cała Polska z chęcią przyjmuje; a że proces Mysłowskiego jest głównie o noszenie czamarki, która prawem niezakazana, a zatem jest dozwolona”.

Wyrzekłszy te słowa, przechodzi obrońca do drugiego oskarżenia, do śpiewów zakazanych. Tu opowiedział Kasperski historią powstania pieśni „Boże, coś Polskę”, tonem wysoko nastrojonego patosu wydeklamował przed sądem i przed audytorium tę pieśń całkowicie i tak swą obronę zakończył: „w tym przebiegu historycznym widzimy, że śpiew dla Polaków jest godłem wszystkich uczuć, jakie w sercu jego rodzić się mogą. Cóż dziwnego, że Mysłowski śpiewał to, co zabronionem nie jest; wprawdzie wyszło ogłoszenie Dyrektora głównego wyznań religijnych, że zabraniają się pieśni, które nie są przez Kościół aprobowane i rytuałem kościelnym objęte; do rzędu tego nie można policzyć pieśni,

którą śpiewał Mysłowski, „Boże, coś Polskę przez tak długie wieki”, albowiem nasze duchowieństwo polskie, któremu służy władza dyskrecyjna co do rytuału, czyli uznania za właściwe śpiewów religijnych, duchowieństwo, które przy wystawieniu Sanctissimum pieśń tę śpiewa, zatem już ją uznaje; śpiew więc ten nie może być niezgodny z rytuałem, a to, co Bogu jest przyjemne, co z rozrzwaniem serca ku Niebu jest posyłane, nie może się ludziom niepodobać; dlatego w powołanym oznajmieniu władzy nie ma ani wzmianki o pieśni „Boże, coś Polskę przez tak długie wieki”. Zresztą pieśń tę co dzień słyszymy, stała się ona prawie Ojczyzną (sic) ludu; wszyscy ją śpiewamy, matka usypia i utula kwilące dziecię tą czułą harmonią; nie lękamy się wyznać tego przed Bogiem i ludźmi. Pieśń ta nie jest dzisiejszą, skomponowaną została w pierwszych latach po wskrzeszeniu Polski, na cześć Aleksandra I., króla Polskiego; będąc dziećmi, jako uczniowie, śpiewaliśmy ją; starzy, ojcowie rodzin, uczymy nasze dzieci śpiewać ją na cześć monarchy, którego ręka zdarła całun śmiertelny z grobu naszej ojczyzny. Dlatego to dotąd pieśń ta zabroniona nie została i zapewne zabronioną nie będzie. W ostatku skarga na Mysłowskiego wychodzi od pełniącego obowiązki naczelnika wojennego; pewnie ten znakomity mąż stanu nie miał tej pieśni na myśli; fałszywie doniesiono, że Mysłowski śpiewał zakazane pieśni, bo mamy tego świeży dowód, w Niedzielę po Bożem Ciele, d. 2 czerwca r. b. w nocy, gdy zebrany lud w kilka tysięcy, przed cudownym obrazem Boga Rodzicy, pieśń tę śpiewać zaczął, p. o. naczelnika wojennego, znalazłszy się przypadkiem między ludem, nie tylko, że nie bronił tego śpiewu, lecz owszem dozwolił tak czulej i rozrzwiającej modlitwy. Jakże można przypuścić, aby przedmiotem skargi była owa pieśń, a śledztwo, w zarzucie Mysłowskiemu uczynionym przeprowadzone, nie dostarczyło dowodów, aby inną jaką, prócz „Boże, coś Polskę przez tak długie wieki” pieśń śpiewał. Mysłowski przyznał, że pieśń tę śpiewał, więc jest fakt pewny; zatem wyrok zaapelowany źle wyrokował, kiedy uznał brak poszlak; owszem, winien był wyrzec, że Mysłowski w zarzucie śpiewania pieśni: „Boże, coś Polskę” jest niewinny”.

Wrażenie tej mowy było ogromne. Było to, rzec można, pierwsze, publiczne zaakcentowanie w obliczu magistratury rządowej, jaką był sąd, usposobienia rewolucyjno-patryotycznego mas. Mowę tę, jak powiedzieliśmy już, rozrzucano po całym kraju w licznych, litografowanych odbitkach, przepisywano ją sobie i przez chwilę, nieznaną dotąd osobistość patrona Kasperskiego, uważano za bohatera narodowego. Jeżeli w rzeczy samej dał on dowody niezwykłej śmiałości, wygłaszając taką obronę, to z drugiej strony był dosadnym świadectwem zarazy, która ogarniała wszystkich i przenikała wszędzie.

Na Litwie, gdzie dotąd ruch rewolucyjny objawiał się sporadycznie, teraz począł przybierać wielkie rozmiary, ogarniał sobą wszystkie nieomal miasta

i miasteczka, zwłaszcza na pograniczu Królestwa. W Białostoku powód do rozpoczęcia się agitacji dało przybycie w połowie maja trupy teatralnej polskiej, pod dyrekcją niejakiego Hahna. Teatr był zawsze pełny, a sztuki takie, jak „Krakowiaci i Górale”, lub „Kacper Karliński”, wywoływały wśród widzów gorący entuzjazm. Każde wyrażenie w sztuce, brzmiące albo o dawnej sławie polskiej, albo mające jakikolwiek związek z chwilą obecną, witane było oklaskami i wszelkiego rodzaju oznakami uniesienia. Młodzież szkolna dawała zawsze w tym względzie inicjatywę. Dnia 4 czerwca, w kościele miejscowym, uczniowie przebrani po cywilnemu pierwszy raz zaśpiewali „Boże, coś Polskę”, które tu, jak i wszędzie, wywarło to potężne, wstrząsające duszą polską do głębi, wrażenie, które tylekrotnie już opisywaliśmy. Ksiądz Bąkowski, proboszcz, zwrócił się do agitatorów z prośbą, by przestali śpiewać i przedstawiał im, że użycie świątyni Bożej za miejsce agitacji politycznej jest rzeczą nieprzyzwoitą i zdrożną. Gdy słowa te nie skutkowały, zagroził, że każe śpiewających wyprowadzić z kościoła. Śmiano się z tego, wołano, że „nie ma tyle służby, by mógł wszystkich wypędzić” i śpiewano dalej. Rozgniewany Bąkowski przerwał nabożeństwo i opuścił z innymi księżmi kościół, za co potem posypał się nań istny potop listów bezimiennych, przepelnionych groźbami i obelgami.

Do wzrostu tego usposobienia rewolucyjnego, przyczynił się bardzo wiele pobyt jednodniowy Andrzeja Zamoyskiego. Szlachta okoliczna zjechała się tłumnie i przyjmowała nieszczęsną ofiarę popularności szeregiem owacy entuzjastycznych. Był to rodzaj tryumfu, trwającego cały dzień. Starzeński, marszałek gubernialny grodzieński, witał Zamoyskiego w imieniu obywatelstwa i mówił, że „ty hrabio, przez twój charakter i twe czyny zasłużyłeś na szacunek i miłość swych współobywateli i gdziekolwiek byś się zjawił, wszędzie przyjęty będziesz kwiatami i okrzykiem: niech żyje pierwszy obywatel polski!” Okrzyk ten podchwycono i zrobiono zeń niejako hasło dnia. Gdy bowiem nad wieczorem Zamoyski, opuszczając Białystok, jechał na stacyą kolei żelaznej, całe miasto wyległo na ulicę i towarzyszyło pojazdowi wśród głośnych okrzyków: „wivat Zamoyski, pierwszy obywatel Polski!” Uniesienie przytem było tak wielkie, że mężczyźni machali kapeluszami i chustkami, kobiety zarzuciły drogę i powóz prawdziwą powodzią kwiatów. Tem przyjęciem zaiste! mógł się pocieszyć Zamoyski po ciosach, jakie ponosił w Warszawie z ciężkiej ręki Wielopolskiego i zaprawdę, zapytać się należy przeznaczeń dziejowych, czemu temu bożkowi uniesień i aspiracji narodowych nie dały rozumu i charakteru męża stanu?...

Odtąd agitacja w Białostoku, gorączkowy ruch umysłów, znamionujący tę epokę, stale zapanował i coraz bardziej się rozwijał głównie za staraniem młodzieży szkolnej, kobiet i urzędników kolei petersburskiej, którzy, ponieważ

byli na służbie kompanii francuskiej, uważali się do pewnego stopnia za niepodległych i niezależnych od władz miejscowych. Kobiety stroiły się w żałobę, rozdawały odezwy, sprzedawały krzyże, wieńce cierniowe, szyły chorągwie z emblematami temi i napisem dat lutowych i kwietniowych⁴¹.

W Kownie ruch rewolucyjny, a ściślej mówiąc śpiewanie pieśni patryotyczno-religijnych rozpoczęło się dopiero w końcu maja. Policja wskutek tego nakazała wyjechać z miasta wielu osobom, które brały czynny udział w propagandzie tych śpiewów. Między innymi, polecono opuścić miasto żydowi Landemu, komisantowi księgarskiemu. Ponieważ był to żyd, „Polak mojżeszowego wyznania”, jak to teraz mówiono i ponieważ jako taki śpiewał „Boże, coś Polskę”, więc damy kowieńskie, w chwili jego odjazdu, tłumnie się zebrały i wyprawiły mu rodzaj owacy. „Wiele wdzięku miała scena, opowiada źródło współczesne, gdy kobiety, pokonywując z pewną trudnością wrodzoną skromność, przychodziły do nieznanego i pierwsze podawały mu rękę i prawyły mu komplementa”. Zachwycano się tem, admirovano „nasze dzielne Polki”, jak powszechnie mówiono i czyniono z nich jakieś heroiny nienaturalne.

W Wilnie, które podobnie, jak Warszawa Królestwu, nadawało ton całej Litwie, dnia 4 czerwca odbył się wspaniały pogrzeb studenta uniwersytetu petersburskiego, Barancewicza. Takiego pogrzebu, Wilno nie widziało od śmierci Jędrzeja Śniadeckiego. „Nie chodziło tu, pisze współczesna relacja, o zasługi zmarłego, lecz miasto całe miało na celu złożenie hołdu młodzieży akademickiej, która w ostatnich czasach tak wielkie dała dowody swego poświęcenia dla sprawy narodowej”. Zebrało się przeszło 10.000 osób, zachowano się przyzwoicie i poważnie. W kilka dni potem, znowu odbył się drugi pogrzeb Francuza, nazwiskiem Gasse, na który zgromadzono się licznie, „dla okazania sympatyj narodowi francuskiemu, której ani czas, ani próżne zawody, dotąd nie zatarły w ludzie naszym”.

Na procesyi w Boże Ciało, której z wielką obawą oczekiwiał Nazimow i trzymał cały dzień pod bronią batalion piechoty pułku Sofijskiego i dwa szwadrony ułanów, na zakończenie uroczystości zagrzmiało z tysiąca piersi tak w katedrze, jak i na placu „Boże, coś Polskę” – „intonowane, jeżeli w niezupełnej harmonii tonów, to pewnie z harmonią dusz polskich”, jak mówi cytowana już przez nas relacja. Księża w śpiewie udziału nie brali, czem powszechne, wśród gorących głów ludu i młodzieży, wywołali na siebie oburzenie.

Na Wołyniu władze miejscowe starały się szeregiem wystąpień energicznych położyć kres wzmagającej się agitacji. Od strony Królestwa i Galicyi po wszystkich traktach porozstawiano warty, z chłopów złożone, dla kontrolowania pasz-

41. Odznaczały się w tym względzie żony urzędników i nauczycieli gimnazjum miejscowego.

portów i dozorowania wszelkiego rodzaju podróznich. Po oberżach, zajazdach, karczmach zaprowadzono księgi, w które podróżni winni się byli zapisywać⁴², porożsyłano je po dworach dla notowania gości, polecając surowo, by ściśle zapisywano godzinę ich przyjazdu i wyjazdu oraz sprawę, dla której przybyli. W samym Żytomierzu, ruch patryotyczny od dawna się objawił. W teatrze, gdzie z rozporządzenia władzy dawano zawsze obok polskiej, sztukę rosyjską, publiczność podczas ostatniej tłumnie i hałaśliwie opuszczała widowisko. W czerwcu, gubernator miejscowy wyszukiwał i karał tych wszystkich, którzy pośredni lub bezpośredni brali udział w nabożeństwach żałobnych za poległych. Doktora Fortunata Nowickiego, kazał wywieźć do Tambowa za to, że znalazł u niego fotografie poległych, liczne odezwy i plakaty z tej doby; dwóch braci Morzyckich wygnano do Wiatki za to, że konno jeździli na nabożeństwo za poległych do Berdyczowa; niejakiego Sabińskiego, Sybiraka, uwięziono za to, że córka jego kwestowała w kościele na rodziny poległych.

Jednym słowem, rozpoczął się szereg prześladowań gwałtownych, nie zawsze słusznych i konsekwentnych, które jednak zamiast uspokajać mieszkańców, owszem wzbudzały w nich większą nienawiść i rzucały ich w ramiona rewolucji. W tej surowości i ucisku, zrywającym się ni stąd, ni z owąd, nie było ani ciągłości, ani żadnego systematu, by jakikolwiek skutek dodatni mógł nastąpić.

Z drugiej strony, władze rosyjskie patrzyły przez palce na objawy nawet groźne i niebezpieczne, jeżeli te przybierały charakter przeciwpolski. Na Ukrainie, w okolicach Kaniowa i Korsunia, w klasycznej ojczyźnie koliszczyzny, w końcu czerwca poczęły się rozchodzić głuche wieści, jakoby lud tamtejszy gotował się do nowej „nocy Tarasowej”, w której chce rznąć „panow, liachiw i židiw”. Wieści te coraz bardziej się rozszerzały i stały się tak powszechnymi, że wśród szlachty miejscowej wzbudziły popłoch formalny. Głównym centrem agitacji podziemnej wśród ludu, była mogiła zmarłego w lutym poety ruskiego Szewczenki, którego pochowano w maju, w pobliżu Kaniowa, na prawym brzegu Dniepru, na wznoszącym się ostro wzgórzu i tam usypano mu, starym obyczajem słowiańskim, wysoką mogiłę. Niejaki Grzegorz Częstochowski, urzędnik z petersburskiej kapituły orderów, który osiadł w Kaniowie w celu ostatecznego ukończenia mogiły poety, chłopoman zapalony z domieszką hajdamaczyzny, rozdawał między lud mnóstwo broszur

42 Zdarzyła się przytem zabawna historia. Jechało dwóch, młodych pustaków, którzy wpisali się w podaną księgę, powierzoną chłopu, nieumiejącemu wcale czytać. W kilka dni potem, nadjeżdża urzędnik kontrolujący księgi i z wielkiem, swem przerażeniem wyczytał wpisane nazwiska; Józef Garibaldi, Ludwik Mierosławski. Biednemu, Bogu duszę winnemu chłopu, zgodnie ze sprawiedliwością moskiewską wyliczono sto plag, a śledztwo, które rozpoczęto, naturalnie do niczego nie doprowadziło.

z utworami Szewczenki, zbierał na mogiłę parobków i dziewczki, i rozpowiadał im, że jest wnukiem sławnego hajdamaki, który rzezał Lachów i żydów. Wśród ludu, nosił on nazwę Hrycia. Wkrótce poczęły obiegać wieści, że ciała Szewczenki w mogile wcale nie ma, że są tam tylko schowane noże, które we właściwym czasie będą chłopom rozdane. Mówiono, że na mogiłę pojawia się niekiedy wielki książę Konstanty, który w odpowiedniej porze rozkaże ludowi „świat oczyścić”, że na pomoc hajdamakom przybędzie 25 tysięcy kozaków z Zaporozża, z nad Morza Czarnego, z nad Dunaju i że Hryc Czestochowski będzie nimi dowodził. Zapowiadano, że powstanie jednocześnie wybuchnie w Czechrynie, Humaniu, Czerkasach i Kaniowie, że jednym słowem zbliża się wielki dzień wyswobodzenia Ukrainy i odrodzenia się satrej, pełnej chwały hetmańszczyzny... Tu i owdzie dawały się słyszeć pogrózki. W jednym miejscu chłop pogroził szlachcicowi i przypomniał mu Żeleźniaka i Gontę; w innym głosił, że Taraz Szewczenko nie umarł i jeno patrzeć, jak chłopów robi panami; gdzieindziej w karczmie wołał do żydówki szynkarki rozgniewany potomek „rezuniów”: „kolib nam daw Boch skorisz rizat was, bisowych židiw, to togda ja pierwszyj budu rizat”!

Wieści te, dochodząc z jednej strony do szlachty polskiej, z drugiej do władz miejscowych, spowodowały, że doniesiono o widocznym wzburzeniu wśród ludu generał-gubernatorowi kijowskiemu, Wasilczykowi, domagając się od niego pomocy i obrony. Jakoż wysłano do Kaniowa na śledztwo pułkownika żandarmów Grabowskiego i gubernatora kijowskiego Hessego, a choć ci potwierdzili, że wieści te nie są pozbawione pewnych podstaw, jednakże Wasilczykow zachował się wobec całej sprawy z osobliwą obojętnością. Ganiąc z jednej strony zbytnią gorliwość żandarma i gubernatora, którzy przyaresztowali Hryćka-Czestochowskiego i kilku mieszczan kaniowskich, z drugiej donosił do Petersburga, że „cała sprawa polega na próżnym strachu i pogłoskach na niczem nieopartych, zrodzonych przez zbyt trwożliwą wyobraźnię”⁴³. W ówczesnym jednak usposobieniu umysłów, przy tysiącnych prądach rewolucyjnych i socjalnych, przebiegających przez umysły, w ziemi takiej, jak Ukraina, gdzie zdawały się brzmieć jeszcze ciągle stare echa hajdamaczyzny, tego rodzaju pogłoski i groźby, wydobywające się z ust chłopskich, nie były bardzo bezpieczne.

Wasilczykow kazał Hryćkowi-Czestochowskiemu wyjechać do Petersburga i na tem sprawę całą zakończył. Wyjazd ten zapewne przerwał wzrost nasion rzucanych przez potomka rezunia, ale nie zniszczył ich zupełnie. Wyrosły one krwawo w dwa lata później i dały znać o sobie gromem Sołowijówki!...

43 Później twierdzono w sferach *diejatieli* rządowych, że całą tę historią o przygotowywającej się jakoby rzezi wymyśliły „polskie pany i księżdy”, w tym celu, by odwrócić uwagę władzy od siebie i od swej działalności rewolucyjnej.

Mimo to szlachta miejscowa, a raczej goręcej usposobiona młodzież szlachecka, nie zrażała się tem wcale i w chęci służenia krajowi, starała się wszelkimi siłami o przywrócenie dobrych stosunków między chatą, a dworem. W tym czasie mniej więcej, obiegała po całym Wołyniu, Podolu i Ukrainie odezwa „obywateli wołyńskich”, zachęcająca do zakładania szkółek ludowych, domagająca się, by szlachta ziem ukraińskich przez akt publiczny, upomniała się o swe prawa narodowe, o szkoły polskie i ludowe ruskie o to, by urzędnicy byli Polakami, o poszanowanie języka i tradycji ruskich, i zaznaczała, „że wynaradawianie mieszkańców ziem ruskich uważamy za gwałt narodowy, gwałt przeciwko prawom Opatrzności, któremu z pobudek przyrodzonych, obywatelskich i nawet religijnych, opierać się będziemy usiłowali”⁴⁴.

Gdy się to wszystko działo na prowincyi, w Warszawie też nie ustawano w urządzaniu tysięcznych, drobnych manifestacyi. Podczas kiedy Suchozanet odbywał wielkie przeglądy wojsk, jak np. dnia 15 czerwca na placu Wojskowym, gdzie zgromadził 14 batalionów piechoty, cztery sotnie kozaków i pięć baterii polowych, agitatorzy wcale się nie przerażali temi demonstracyami sił wojennych rosyjskich i robili dalej swoje, kuli powoli straszny miecz na lepszą dolę Polski. W ogrodzie Saskim, bitwy studenckie między „królem polskim i carem moskiewskim” przybrały tak szerokie rozmiary, zgromadzały tak liczną publiczność, oklaskami witającą zwycięstwo króla, że nawet Suchozanet ocknął się ze swej drzemki apatycznej w Belwederze i kazał zamknąć ogród, zostawiwszy w nim tylko dwa przejścia boczne, przy których postawił silną placówkę wojskową i policji rozkazał ściśle mieć bacność na to wszystko, co się dzieje w ogrodzie.

Inne znowu koło agitatorów urządziło hałaśliwą owacą uczennicom, przybywającym statkiem parowym z Puław po zamknięciu tam roku szkolnego za to, że zamawiały nabożeństwo żałobne za poległych i przeciw swej zwierzchności bezpośredniej rokosz podniosły. Zebrało się nad Wisłą mnóstwo młodzieży i wśród okrzyków, zasypało rozpromienione tem dziewczęta kwiatami. Dnia 23 czerwca znowu, w wigilią św. Jana, zamiast według zwyczaju dorocznego, zebrać się na moście i puszczać na Wisłę wianki, wskutek agitacyi i drukowanych wezwań, ogromne tłumy, przeszło 20.000 osób liczące, ruszyły na Powązki, na mogiłę poległych i zarzuciły ją kwiatami i wieńcami. Władza policyjna, dostawszy do rąk kilka takich wezwań, wiedziała o gotującej się manifestacyi, ale nie przeszkodziła jej wcale, „przedsięwzięwszy tylko niektóre środki ostrożności”, które polegały na tem, że obok cmentarza na

44 Odezwę tę, jako akt bardzo interesujący i wcale, o ile wiemy, dotąd drukiem nie ogłoszony, pomieszczamy w odpisie ze współczesnego manuskryptu, w zbiorze dokumentów na końcu tego tomu pod Nr. 1.

drodze, rozwinięto znaczne stosunkowo siły wojskowe⁴⁵. Te, stojąc spokojnie, nie powstrzymywały manifestatorów od niczego, owszem, przez swą obecność sam obchód uczyniły niejako uroczystym. Do miasta wracano gromadnie, śpiewając „Boże, coś Polskę” i inne pieśni. Zaimprovizowani na prędcie konstablowie utrzymywali porządek. Na cmentarzu też rozdawno liczne kartki z patetyczną odezwą, zachęcającą do wytrwania i do utrzymania żałoby.

Przy takich ciągłych manifestacjach, o uspokojeniu ludności nie mogło być mowy. Na dzień pierwszy lipca, zapowiadano poświęcenie uroczyste grobu poległych na Powązkach; w Lublinie usypano wysoką mogiłę na pamiątkę „ofiar” lutowych i sam biskup Baranowski w asystencji licznych duchowieństwa ją poświęcił. Gdy wieść o tem przyszła do Warszawy i gdy coraz głośniej poczęto mówić o gotującej się uroczystości na Powązkach, Wielopolski, chcąc temu zapobiedz, wydał do arcybiskupa dnia 28. czerwca reskrypt, zabraniający najsurowiej stawiania pomników lub krzyżów na pamiątkę poległych. „Jeśliby który duchowny, pisał w tym reskrypcie, poważyl się poświęcić na pamiątkę poległych w Warszawie pomnik, czy to w kształcie zwyczajnego pomnika, czy też w kształcie krzyża lub jakim bądź innem wyobrażeniu, lub uczestniczył przy wznoszeniu i stawianiu onegoż, uważany będzie jako sprzeciwiający się woli monarszej i pociągnięty zostanie jako taki do surowej odpowiedzialności”. Reskrypt ten, jak wszystkie reskrypta, nie został posłuchany. Do nowej manifestacji gotowano się wyraźnie, głośno o niej mówiono. Właśnie w ostatnich dniach czerwca, przypadły dwa z rzędu święta, uroczystość apostołów Piotra i Pawła w sobotę, a zaraz potem była niedziela. Piękne dni letnie, sprzyjały tłumnemu włóczeniu się po ulicach, „spacerowaniu”, tak ulubionemu przez motłoch warszawski, który na każdym kroku okazywał policji i władzom pogardę i zuchwalstwo. Mnóstwo pijanych dodawało tym wycieczkom przeciw reprezentantom zwierzchności pewną cechę gwałtowności. Suchozanet był tem tak przerażony, że donosił cesarzowi, iż „prawdopodobnie będzie zmuszony do użycia środków ostatecznych”⁴⁶.

45 Suchozanet, pod dniem 24 czerwca tak o tem donosi cesarzowi: „z powodu uroczystości Jana Chrzciciela, według zwyczaju krajowego, mieszkańcy winni byli zebrać się na moście dla rzucania wianków na Wisłę; zamiast tego, wczoraj było zbiegowisko około 20.000 ludzi na cmentarzu Powązkowskim dla ozdobienia wieńcami mogiły zabitych dnia 27 lutego. Nie przeszkadzając temu, przedsięwzięto niektóre środki ostrożności; wszystko odbyło się spokojnie przy odśpiewaniu tylko hymnu patryotycznego. O czem mam szczęście (sic) donieść. Jen. adj. Suchozanet”.

46 „Jakkolwiek, pisał, nic szczególnego nie zaszło, wszelako wzburzenie motłochu (czerni) wzmagą się, z wyraźnym zamiarem doprowadzenia rzeczy do ostateczności, dla poderwania dobrego usposobienia dobrze myślących. Prawdopodobnie będę zmuszony uciec się do środków ostatecznych. Za opór władzom policyjnym i strażom wojskowym oddaję pod sąd wojenny.

Do tego jednak nie przyszło na szczęście. Samo uroczyste poświęcenie grobu poległych, odbyło się stosunkowo dość spokojnie, choć zbiegowisko na Powązkach było ogromne. Jeszcze w maju koło rzezonego grobu, urządzono rodzaj ołtarza z darni, który obwieszono mnóstwem obrazków i emblematów, tak rozpowszechnionych w tej epoce. Przy ołtarzu tym, zawsze znajdował się ktoś z młodzieży, przeważnie ze sfer rzemieślniczych i szkolnych, w charakterze straży i jeżeli można wierzyć doniesieniom urzędowym, zbierał składki. Otóż, przed ołtarzem już od godziny 10. rano, poczęły się gromadzić znaczne tłumy, ale powtarzamy, wszystko odbyło się spokojnie. Jak zwykle zarzucono grób wieńcami, kwiatami i gałęziami zielonemi. Tłumy cały dzień włóczyły się po cmentarzu i po mieście, dopuszczając się licznych, drobnych nadużyć i zuchwałstw przeciw policji.

Niemniej liczne zbiegowisko było na kierkucie żydowskim, gdzie nad mogiłami poległych w dniu 8. kwietnia Landaua i Goździana odśpiewano hymny patryotyczne, a niejaki Szmideberg, jakkolwiek nie rabin, odczytał modlitwy nad grobem po hebrajsku, a potem je obecnej tamże ludności chrześcijańskiej, przetłumaczył na język polski.

Postawa duchowieństwa katolickiego, jaką ono w ogóle przyjęło względem rządu i względem partii rewolucyjnej, jeżeli z jednej strony miała źródło w fałszywie pojętym patryotyzmie, to z drugiej była ona niejako wynikiem pewnego rodzaju niemej zachęty, jaką otrzymywało z Rzymu. Właśnie w tym czasie, w czerwcu, wśród sfer kościelnych i rewolucyjnych obiegać poczęła głucha, niejasna wieść, że arcybiskup Fijałkowski otrzymał drogą tajną list od Papieża. O treści tego listu nie wiedziano wcale, gdyż Fijałkowski umiał co do tego zachować dyskretnie milczenie⁴⁷, przypuszczano tylko, że papież zachęca w nim duchowieństwo polskie do wytrwania dalej na drodze oporu biernego przeciw rządowi, na drodze walki za wiarę i ojczyznę.

Wieści te, dochodząc drogą uboczną do ciemnych, zardzewiałych głów duchowieństwa prowincjonalnego i zakonnego, utrwały ich w dążnościach rewolucyjnych, zachęcały do dalszych manifestacyi, jako niby przez najwyższą władzę kościelną zaaprobowanych. Inaczej jednak było.

W rzeczy bowiem samej, papież pod dniem 6 czerwca, napisał do arcybiskupa warszawskiego list obszerny, który w końcu tego miesiąca dostał się do rąk adresata. W liście tym wszelako, papież starannie i ze zręcznością, właściwą kuryi rzymskiej, unika wszelkich wzmianek o ruchu ogarniającym Polskę i zajmuje się wyłącznie sprawami kościelnymi. Przede wszystkim zaś, stara się zbić

47 List ten ukazał się na widok publiczny dopiero w listopadzie 1861 r., a więc po śmierci Fijałkowskiego. Pierwszy wydrukował go „Tygodnik katolicki”, wychodzący Grodzisku w Ks. Poznańskim, z przekładem polskim, poświadczonym jako zgodny z oryginałem przez ks. Dzierzkowskiego, kanonika warszawskiego.

powszechne w tej chwili w Polsce przekonanie, że papież o tyle tylko zajmują się Polską, o ile to jest potrzebne do ich interesów politycznych rzymskich. Zdanie to, słuszne zresztą pod wielu względami, opierało się na postępowaniu, bezwarunkowo nieszlachetnem, jakiego co do Polski trzymał się Grzegorz XVI. Otóż Pius IX. przeciw temu usilnie protestuje w liście, o którym mowa. „Sko- rośmy, pisze papież, z wielką serca naszego boleścią się dowiedzieli o okrop- nych wypadkach, które w tem mieście Warszawie i innych stronach Królestwa Polskiego w ostatnich czasach się wydarzyły, wznieśliśmy oczy nasze do Pana, modląc się i błagając, ażeby lud swój od dalszych nieszczęść uwolnił, a szczegól- niej wyrwał z niebezpieczeństwa, w jakie jego wiara i religia, przez niegodziwe i podstępne niektórych, wyrodných synów zabiegi popaść by mogła. Nie tajno bowiem było, jak ludzie skłonni do zamieszek publicznych i zdania przewrotne rozsiewający, od niejakiego czasu postanowili Polskę także wprowadzić na drogę błędu, aby godniejszą i rozsądniejszą część tego królestwa od tej prawdziwej wiary katolickiej i znakomitej, istnie synowskiej uległości i czci ku tej katedrze Piotra, któremi Polacy zawsze tak świetnie się odznaczyli, całkiem oderwać. Widzieliśmy także, że ludzie takowi, między innymi podstępny, także potwar- zy się dopuszczają, aby tak dopiąć celu sobie założonego i wiernych Polski, aczkolwiek niechętnych i opierających się, w te ciężkie pogrążyć nieszczęścia, które społeczność cywilną w tych nader krytycznych czasach tak boleśnie do- tykają; albowiem tych wiernych przekonać usiłowali, żeśmy nie tylko o ich du- chowny pożytek nigdy się nie troszczyli, lecz także wcale nie dbali, by kościół katolicki w prowincjach Polski zupełną się cieszył wolnością. A nie zaprawdę fałszywego, nic nie sprawiedliwszego przeciwko nam wymyślić było nie można. Bo mocą Apostolskiego naszego urzędu, wszystką trzodę Pańską, od samego Chrystusa, Pana naszego, nam powierzona, mając w sercu i przed oczyma, o nic bardziej się nie staramy, jak ażebyśmy duchownej wszystkich wiernych całości najmiłościwiej i najgorliwiej strzegli i interesu i praw kościoła mężnie bronili. Tobie zaś dobrze wiadomo, wielebny bracie, że z równą chytrością usiłowano przekonać wiernych Polaków, że s. p. Grzegorz XVI., poprzednik nasz, wca- le nie troszczył się o ich duchowe potrzeby i że od tego papieża całkiem byli opuszczeni. A gdy tak niesprawiedliwie i tak zgubne mniemanie u wiernych tego królestwa z każdym dniem coraz bardziej się rozszerzało, wtenczas tenże poprzednik nasz, słusznie i sprawiedliwie apostolski głos swój podnosząc, nie tylko w konsystorskiej swej allokucyi przeciwko tak haniebnej potwarzy rekla- mował, lecz także jednocześnie objaśnienie wypadków, rozlicznymi opatrzone dokumentami, drukiem ogłosić kazał, aby świat cały poznał, jak gorliwie i nie- ustannie on o dobro i pożytek religii katolickiej w cesarstwie rosyjskiem i Kró- lestwie Polskiem się starał. To uroczyście, błogiej pamięci poprzednika naszego

oświadczenie, powinno było z umysłu tych wiernych całkiem oddalić wszelką wątpliwość i przekonać ich, jak troskliwie i pilnie też Stolica zawsze się zajmowała duchownym dobrem wszystkich wiernych w Cesarstwie rosyjskiem i Królestwie Polskiem. Ale zaledwo po kilku latach ciż ludzie, korzystający już to z trudności wytrzymujących wolne utrzymywanie stosunków tychże wiernych ze Stolicą apostolską, już też z oplakanego zaiste położenia, w jakim się znajdujemy, toż samo fałszywe i niesprawiedliwe mniemanie na nowo wzbudzić w tych wiernych się nie wahali. Przeto sądzymy, wielbny bracie, że przyszedł czas, byśmy prawdę objawili tym wszystkim, którzy fałszywemi wieściami uwodzić, oszukiwać i w błąd wprowadzać się dają, a oraz, byśmy zdjęli maskę tym, którzy okryci płaszczem podstępny i kłamstwa, starają się dowieść, rzecz straszna, że ta Stolica apostolska więcej dba o korzyści panowania świeckiego, niż o duchowne zbawienie narodów”.

Poza tą obroną własną, papież stawia niejako program, czego właściwie kościół polski winien domagać się od rządu rosyjskiego. Chciał więc, by w Petersburgu lub w Warszawie stale znajdował się nuncyusz apostolski; aby od konsystorzy usunięty był prokurator cesarski i sekretarz świecki przez rząd mianowany, aby sprawy małżeńskie między katolikami i schizmatykami rozpatrywane były przez konsystorze katolickie, aby zniesione było prawo z r. 1832, nie uznające ważności małżeństw mieszanych, jeżeli ich pop schizmatycki nie pobłogosławił; aby zniesiono prawo, ograniczające swobodę nowicyatów klasztornych oraz wolność komunikowania się zakonów z ich generałami w Rzymie; aby duchowieństwu oddano wszystkie jego dobra; aby dozwolono kościołowi propagandy religijnej; aby wszystkie dyecezye były obsadzone i miały swych sufraganów; aby klerycy unicy mieli wolny wstęp do akademii duchownej w Warszawie; aby zmieniono przepisy w seminarium unickim w Chełmie; aby na koniec Bazylianie mogli utrzymywać szkołę dla swych alumnów. Wyłożywszy to wszystko, list tak się kończy:

„Otóż więc wedle tego wszystkiego, cośmy pokrótce nadmienili i poruszyli, i tobie podali do wiadomości, twoją będzie rzeczą, wielbny bracie, przy pomocy także twych sufraganów, zbić i odeprzeć bezwstydną potwarz na nas i tę świętą Stolicę rzuconą, i tych wiernych zapewnić o wszystkich staraniach przez nas i też Stolicę dla duchowego ich dobra i pożytku ciągle podejmowanych i uprzejmemi słowy ich uwiadomić o szczególnej naszej ku nim miłości i przychylności. Nie przestawaj zaś nigdy pospołu z twymi sufraganami też wierne ludy, czy to słowem, czy zbawiennymi i stosownymi pismami zawsze przestrzegać, napominać, zachęcać, aby od drogi prawdy. Honoru, cnoty i sprawiedliwości, i od najświętszych boskiej naszej religii przepisów nigdy nie zbaczały i z każdym dniem coraz bardziej w wierze,

miłości i posłuszeństwie względem tej katedry Piotra, tego środka prawdy i jedności ostatecznie i niewzruszenie wytrwały. Tym sposobem, zaprawdę, od najłaskawszego Ojca miłosierdzia uzyskują obfitość błogosławieństw niebieskich, które jedynie zdołają nie tylko odwieść od nich owe zgubne zamieszki, któremi ludziami nieprzyjaźni niepokoić je usiłują, lecz także sprawić, aby ciż Polacy tradycyjnej swojej religii błogosławieństwem i wszelkiem, prawdziwym szczęściem cieszyć się mogli. My z naszej strony, w każdej modlitwie i błaganu z dziękczynieniem najdobrotliwszego Pana pokornie i gorąco prosimy, aby bogactwa swej łaski Bożej na wierne ludy Polski łaskawie zawsze wylewać raczył”.

Bądź co bądź, jakkolwiek list ten nie dotyczył się spraw czysto politycznej natury, jakkolwiek nic nie mówił o tem, jak papież sądzi wypadki warszawskie i ruch polski, wszelako nazywanie tych wypadków „okropnymi”, świadczyło, że Kurya sprzyja Polsce, a upomnienie się o wolności jej kościoła, dowodziło, że zajmuje się nią gorąco. List ten więc, do pewnego stopnia budził w duchowieństwie poczucie, że ma się na kim oprzeć i w ogólności zaszkodził wiele tak akcyi Wielopolskiego, jak i interesom krajowym. Margrabia, który znajdował się teraz właśnie w bardzo trudnej pozycyi, w jednym z tych przesileni, stanowiących nie tylko o jego karierze politycznej, ale i o przyszłości kraju, z żywym oburzeniem patrzył na list, o którym wiedział i który niezmiernie utrudniał mu położenie. Do walki, jaka między nim, a Suchozanetem się teraz zawiązała, walki ciężkiej i pełnej niebezpieczeństw, list ten dorzucał nowy ciężar, zwiększał szanse niepowodzenia.

Dwaj tacy ludzie, jak Wielopolski i Suchozanet, tak różnych usposobień i poglądów, nie mogli być długo ze sobą w zgodzie, jak nie może być zgodną w porządku przyrodzonym woda z ogniem. Sezostrys nieegipski i w skórze jenerała moskiewskiego, ukryty miał wszystkie dzikie instynkty despoty i żołdaka, który swe „ja” uważał za prawo; o jakichkolwiek przepisach i legalności, ten umysł mały i ciasny, wprost nie miał pojęcia. Stary był zresztą bardzo i wskutek tego ulegliwy tym, którzy umieli się do niego wziąć. Przybywszy do Warszawy, od razu wpadł w ręce kamaryli wojskowej i tak zwanej kancelaryi przybocznej namiestnika, której solą w oku był nowy porządek, wprowadzony przez Wielopolskiego. Przywykła za Paskiewicza do rządzenia krajem, mocą bezpośrednio swego postanowienia, nie odwołując się częstokroć do władz cywilnych kraju, znajdowała się teraz usuniętą na plan drugi, strąconą z wyżyn, na których dotąd niepodzielnie zajmowała stanowisko. Jej dążności zbiegły się z usposobieniem Suchozaneta, starego żołdaka Mikołajewskiego. Potrafiono mu wytłumaczyć, że wzmagające się ciągle zaburzenia nigdy nie zostaną powstrzymane przez władze cywilne; że jedynie naczelnicy wojenni są do tego zdadni; że im trzeba oddać całą administracyą kraju w ręce, że administracya taka będzie sprawniejsza, po-

słuszniejsza i energiczniejsza, niż każda inna. Dzięki tym podszeptom, Suchozanet posłał Rudanowskiego do Suwałk na satrapę samowładnego, a Rożnowa do Płocka. Ale dotąd były to tylko sporadyczne czyny, mogące uchodzić za objaw tymczasowy; teraz jednak wypadki ostatnie warszawskie, szalejący przez dwa dni z rządu, na pół pijany motłoch warszawski, wymyślający policyantom i patrolom wojskowym, zdecydował Suchozaneta do powierzenia rządów całego kraju generałom rosyjskim, do potworzenia kacyków i maleńkich prokonsulów z zaprawą tatarską, we wszystkich miastach i miasteczkach polskich. Prawie nazajutrz po uroczystym poświęceniu na Powązkach grobu poległych, zajęto się w kamaryli namiestnika redagowaniem okólnika, mającego rzucić kraj na łaskę i niełaskę poruczników, zmienionych nagle w administratorów społeczeństwa ucywilizowanego. Pisząc o tem do cesarza pod dniem 3 lipca, Suchozanet usiłował swe postępowanie usprawiedliwić przez to, że zapowiedziana reforma policji dotąd nie była wprowadzona, że opóźnienie to zmusza go do włożenia na wojsko obowiązku przywrócenia spokoju i porządku po miastach. „Wskutek tego, pisał, przypomniałem i uzupełniłem instrukcją, wydaną do wojsk przez nieboszczyka, ks. Gorczakowa, o zapobieganiu i rozpędzaniu zbiegowisk; od-tąd winni przestępstw przeciw prawu, uznawanych przeze mnie za polityczne, z mocy ukazu 1833 r., będą oddawani pod sąd wojenny”. Cesarz nic nie miał przeciw temu; jego instynkta despotyczne, głęboko niestety! zakorzenione w rządzie rosyjskim, nie oburzały się na to wcale, że od woli i fantazyi takiego człowieka ograniczonego, jakim był Suchozanet, zależeć będzie uznanie danego przestępstwa za polityczne lub nie; że w rękę pierwszego, lepszego porucznika leżeć będzie los człowieka i rodzin nieraz całych.

Instrukcja do wojsk, będąca powtórzeniem instrukcji, wydanej przez Gorczakowa jeszcze w dniu 2. kwietnia, ukazała się zaraz dnia 3. lipca w rozkazie dziennym do armii. Rozkaz ten pierwotnie, wśród zrywającej się burzy kwietniowej, mającej się zakończyć katastrofą krwawą, niezauważony, wywołał teraz w sferach wojskowych głębokie i uzasadnione szemranie i świadczył, jaki, obok innych niedostatków, brak logiki panował w głowach rządowych. Dozwalał on patrolom, przebiegającym miasto, w ostateczności strzelać do ludu, ale w końcu powiadał: „jeżeli w czasie patrolowania z któregokolwiek domu, dane będą strzały do wojska lub rzucone kamienie, to nie należy odpowiadać ogniem, ale tylko zauważyć dom, z którego nastąpił wystrzał”. Czytając to, wojskowi słusznie zapytywali: jeżeli strzelanie do wojska nie jest ostatecznością, to czegoż potrzeba na to, by wojsko mogło dać ognia? Pytanie usprawiedliwione, zwłaszcza, że rozkaz rzeczony zdradzał wyraźną rękę Gorczakowa, chaos pojęć, brak decyzji w czynach i zamiarach, będący dominującą cechą nieszczęśliwego tego wielkorządcy Polski. Ale jeżeli Gorczakow jest do pew-

nego stopnia usprawiedliwionym, to Suchozanet nim nie był i powtarzając dosłownie niekonsekwentny rozkaz, dowodził tylko, jak lekkomyślnie i nie-
dbale zajmował się sprawami.

Co się zaś tyczy oddania administracyi kraju w ręce naczelników wojennych, to dokonane to zostało z pogwałceniem wszelkich praw, obowiązujących w Królestwie. Okólnik z dnia 9. lipca, dotyczący tego przedmiotu, wydany został przez Suchozaneta najprzód bez wiedzy Rady administracyjnej, co wyraźnie sprzeciwiało się cesarskiemu ukazowi o namiestnikach w Polsce, którzy wszelkie postanowienia winni byli wydawać za wiedzą i przy współudziale rzeczonyj Rady. Prócz tego wzmiankowany okólnik, powołując się na ukaz z r. 1833 o stanie wojennym, polecał oddawać wszelkie wykroczenia przeciw porządkowi publicznemu pod rozpoznanie komisji wojskowych, „aresztować nie tylko osoby, na zasadzie świadectw zaprzysiężonych, o złe czyny przeciw rządowi przekonane, ale i takie, co do których zachodzi moralne przekonanie o ich czynach występnych”, nie zgadzał się wcale z duchem tego ukazu. Ten ostatni bowiem stosował się wyłącznie i jedynie do przestępstw stanu, jasno i wyraźnie określonych, inne wykroczenia oddając sądom zwyczajnym i kodeksowi obowiązującemu. W okólniku zaś ocenę danego przestępstwa zostawiano mądrości, a raczej samowoli naczelnika wojennego; oddawano im kraj, życie i mienie mieszkańców, z pogwałceniem najprostszego poczucia sprawiedliwości i praw krajowych. Okólnik bowiem uchylał ustawę o zbiegowiskach z d. 8 kwietnia, z której słusznie Wielopolski był dumny; odbierał rozpoznawanie wszelkich tego rodzaju spraw sądom cywilnym, a oddawał je wojennym, które znały tylko deportacją drogą administracyjną; przeciwny był na koniec samym prawom wojennym, które orzekały wyraźnie, iż przestępstwa nawet przez wojskowych popełniane poza obrębem koszar, baraków, obozów, zwłaszcza, jeżeli mają styczność z osobami cywilnymi, dochodzone być winny przez komisje mieszane, z urzędników sądowych i wojskowych, a kary naznaczone, ograniczały się do aresztu i grzywien. Jednym słowem, okólnik z d. 9 lipca wywracał wszelki porządek do góry nogami, odbierał wszelką władzę i wszelką racją bytu instytucjom krajowym, podkopywał legalność i prawo, oddawał kraj na pastwę samowoli maleńkich i tem przeto dokuczliwych tyranów, noszących miano naczelników wojennych. Była to zaiste nowa woda na młyn tych, którzy wołali, że rządowi rosyjskiemu nigdy wierzyć i w niczem na nim polegać nie można, że nie rządzą w nim prawa i ustawy, ale osoby, że ze zmianą osób zmieniają się i najlepsze nawet prawa, padają w ruinę najwyborniejsze ustawy. Dodać należy, że większość naczelników wojennych zawdzięczała swoje nadzwyczaj ważne stanowisko prostemu wypadkowi. Z małym bowiem wyjątkiem nie wybierano na tę godność ludzi

mających mniej lub więcej odpowiednie kwalifikacje, ale powierzano ją dowódcy oddziału, stojącego garnizonem w danej miejscowości. Stąd zostawali naczelnikami pułkownicy, majorowie, porucznicy, którzy o administracji kraju nie mieli najmniejszego pojęcia, którym się zdawało, że rządząc pułkiem, batalionem lub kompanią, należy tak samo rządzić miastem albo prowincją. Instytucja więc, już sama przez się zła, stawała się jeszcze gorszą przez oddanie jej w ręce niewłaściwe, nabierała cech samowoli żołnierskiej i brutalstwa, zabarwionego specyficznie rosyjską tyranią.

Wielopolski przeciwko temu wywracaniu jego idei najulubieńszej protestował, ale protestował na próżno; jego usiłowania rozbijały się o ciasnotę pojęć Sezostrysa petersburskiego, o jego przyzwyczajenia, o jego przyzwyczajenia despotyczne, o upór wreszcie. Suchozanet popierany był pod tym względem przez kamaryllę wojskową, przez rady wojenne, które za każdą, choćby najmniejszą potrzebą zwoływał i zdawał się w nich szukać punktu oparcia. Starcie więc było nieuniknione i katastrofa wcześniej, czy później nastąpić musiała. Powód do niej dał fakt, mający związek pośredni z wprowadzającą się właśnie w wykonanie ustawą o Radzie stanu, radach miejskich, gubernialnych i powiatowych.

Ukaz o tych instytucjach, podpisany w Moskwie d. 5 czerwca, ogłoszony został d. 18. t. m. Opóźnienie to, blisko dwutygodniowe, spowodowane było tem, że same ukazy miał powieść do Warszawy Płatonow, którego wszelako cesarz puścić nie chciał, dopóki by nie porozumiał się z mającym przybyć z zagranicy Lambertem, a którego, po odmowie Tuczkowa, przeznaczał już na namiestnika w Warszawie. Oczywiście ogłoszenie tych ukazów, wprowadzających w wykonanie zapowiedziane jeszcze w marcu reformy, a dotąd nieuskutecznione, było rzeczą nagłą, choćby z tego tylko względu, że zamykało usta różnym plotkarzom, uparcie twierdzącym, że reformy nigdy nie będą urzeczywistnione. Prócz tego Wielopolski, a z nim wielu innych zawsze jeszcze łudziło się tą słodką nadzieją, że najlepszym hamulcem na rozwijającą się agitacją rewolucyjną będą reformy i ustępstwa. Nalegał on na możliwie szybkie ich urzeczywistnienie; sam pracując od świtu do nocy, pożerany gorączką czynu, usiłował tę gorączkę przełać we wszystkich, twierdził ciągle: „dajcie tylko reformy, a kraj się uspokoi”. Suchozanet też, pod wpływem Wielopolskiego, jeszcze w pierwszych, miodowych dniach ich rządów wzajemnych, nalegał także o przyspieszenie wysyłki ukazu, twierdząc, że „nieogłaszanie go, źle wpływa na umysł”. Jakoż na koniec, ukazy te przybyły do Warszawy i ogłoszone zostały d. 18 czerwca i tegoż samego dnia, jakby dla dodania uroczystości i wagi temu aktowi, odradzającemu istotnie kraj, wojska usunięto z placów i Resursę kupiecką otwarto. Zdawało się nawet Suchozanetowi, że w mieście jest jakoś weselej.

Organizacja Rady stanu, nosiła na sobie z wielu względów cechę biurokracyjnej ograniczoności, pewnej obawy, tak pospolitej w rządzie rosyjskim, by nie zanadto popuścić cugli i na koniec staranne unikanie wszystkiego tego, co mogłoby obrady tego ciała uczynić głośnemi i znanemi ogółowi. Rząd rosyjski, podobnie jak wszystkie rządy orientalne, na wzór których się kształtował, cały swój urok zasadza na tajemniczości swych czynów, na ukrywaniu przed ogółem wszelkich sprzężyn swej działalności, całej maszyny rządowej. Nikt nie wie, co się tam dzieje i dlaczego się tak, a nie inaczej dzieje. Wszystkie te znamiona nosi na sobie ustawa o Radzie stanu. Obrady jej (art. 35), odbywać się mają tak w ogólnem zebraniu, jak i w wydziałach przy drzwiach zamkniętych; protokoły posiedzeń i raport Rady (art. 48) może być w całości lub części drukiem ogłoszony tylko z upoważnienia cesarza; żadne akta (art. 51) i w ogólności żadne papiery, pod rozważę Rady stanu przychodzące, nie powinny być za obrębem miejsca jej urzędowania nikomu komunikowane, lecz każdemu z członków służy prawo zażądania akt, dla odczytania ich w biurach Rady. Ta obawa jawności, w czasach, gdy właśnie wiele na tem zależało, by kraj dokładnie wiedział, co rząd robi i co zamyśla robić, jest jednym z błędów, którego rządcy rosyjscy nigdy pozbyć się nie mogą. Doświadczenie nauczyło Polaków, że w Rosyi między prawem, a jego wykonaniem leży cała, częstokroć nigdy nie przebyta przepaść; dlatego też, dla zniszczenia tego przekonania, należało usilnie starać się o to, by cała działalność najwyższej magistratury krajowej była jawną i widoczną dla wszystkich. Z uwagi jednak, jak tego historya zresztą uczy, że żaden rząd na świecie nie pozbywa się od razu swych przyzwyczajęń, trzeba było przyjąć Radę stanu chętnie nawet w tej formie, w jakiej nadaną została, gdyż było to już postępek ogromnym i przynosiło krajowi korzyści nieobliczone, przyjmując ją z otwartymi ramionami, zamykając oczy na wszelkie jej niedostatki i organizacją wadliwą. Nakazywał to zdrowo pojęty interes ojczyzny.

Według ukazu, Rada stanu składać się miała: z członków Rady administracyjnej, którzy w nowej instytucyi zasiadali z urzędu; z radców stanu, mianowanych przez cesarza; z członków, powołanych przez tegoż z grona biskupów lub duchowieństwa wyższego, niemniej z pomiędzy prezesów i członków Rad gubernialnych i władz Towarzystwa kredytowego ziemskiego oraz innych osób, według uznania monarchy. Rada stanu czynności swe odbywać ma: w wydziałach, w składzie sądzącym i w ogólnem zebraniu. Wydziałów jest cztery: prawodawczy, sporny, skarbowo-administracyjny, prośb i zażaleń. W wydziale prawodawczym przygotowuje się to wszystko, co z istoty swej stanowi przedmiot prawa, ustawy lub organizacyi. Wydział sporny przygotowuje relacyą spraw i sporów, rozpoznaniu składu sądzącego Rady stanu ulegających

oraz załatwia czynność byłej Heroldyi Królestwa. Skład sądzący, rozpoznaje spory jurysdykcyjne, spory należące dotąd do departamentu warszawskiego senatu rządzącego, spory odnoszące się do sądownictwa administracyjnego, spory z przepisów ustawy celnej. Prócz tego, Rada stanu, w składzie sądzącym czyni wnioski co do oddawania pod sąd urzędników administracyjnych, przez cesarza mianowanych, jako to: członków Rady administracyjnej, członków Rady stanu, senatorów, sekretarzy stanów, naczelnych prokuratorów, członków Komisji rządowych, gubernatorów cywilnych i t. p. W wydziale skarbowo-administracyjnym, Rada stanu rozpoznaje budżet Królestwa i w ogóle wszystko odnoszące się do zarządu skarbu i kontroli. Wydział prośb i zażaleń rozpatruje wszelkie skargi na nadużycia urzędników lub naruszenie przez nich ustaw.

Przy określaniu bliższem tego niezmiernie ważnego w kraju, rządzonym despotycznie przez obcy żywioł, atrybutu Rady stanu, wystąpiła znowu wyraźnie obawa, by nie popuścić zbyt wrodo wodzy i groźbą skargi nie ograniczyć zanadto samowoli różnych kacyków urzędowych. Wskutek tej obawy, prawo zanoszenia skarg na nadużycia urzędników, zostało skrępowane taką ilością ograniczeń i przepisów, że traciło ono nieomal całą wartość i stawało się próżnem mamidłem. Przede wszystkim więc, skargą może zanosić osoba prywatna lub stowarzyszenie prywatne („zbiór osób prywatnych”, jak się wyraża ukaz) prawnie uznane, ale tylko w imieniu własnem. Tym sposobem od dobrodziejstwa tej ustawy odsuwano całą klasę niższą, ludzi biednych i ciemnych, którzy najwięcej narażeni byli zawsze na wszelkiego rodzaju nadużycia, a którzy, nie znając prawa i nie umiejąc pisać, nie mogli występować ze skargą. Dalej, żadna prośba, która by dotykała zmiany bytu politycznego Królestwa Polskiego lub zasad jego rządu, nie będzie pod rozpoznanie wziętą. Wszelkie wreszcie skargi na nadużycia urzędników, winny być wprzódy podane do właściwej Komisji rządowej i dopiero potem wraz z rezolucją tej ostatniej, przesłane Radzie stane. Ponieważ zaś zasadą jest w rządzie rosyjskim, ażeby w sporze wierzyć tylko temu, co pisze urząd, a nigdy temu, co mówi osoba prywatna, więc tym sposobem skarga, przeszedłszy przez ręce Komisji, która z natury rzeczy bronić musiała swego urzędnika, nie mogła mieć powodzenia.

Ogólne zebranie Rady stanu, rozpoznawać miało wszelkie projekta poprzednio w wydziałach rozpatrzone, wszystko wreszcie, co dotyczyło ogólnych, wewnętrznych interesów kraju. Mogło zatem zaprowadzać zmiany w kodeksach w Królestwie obowiązujących, urządzać stosunki rolnicze, przemysłowe i handlowe, ustanawiać nowe, lub zmieniać istniejące podatki, zaciągać pożyczki i t. p. Prócz tego, ogólne zebranie rozpoznawać miało sprawozdania zwierzchników różnych gałęzi administracji krajowej oraz sprawozdania Najwyższej izby obrachunkowej, raporta kontrolera jeneralnego względem obrotu

funduszków Królestwa, niemniej sprawozdania komisji umorzenia długu krajowego, przedstawienia Rad gubernialnych i Rady miejskiej warszawskiej co do potrzeb i dobra gubernii, powiatów i Warszawy, wreszcie rozpoznawanie w ostatniej instancji skarg na nadużycia urzędników.

Taką w głównych i zasadniczych zarysach była organizacja Rady stanu. Bądź co bądź wadliwe, czy nie, ciało to, jakeśmy już powiedzieli, mogło wielkie korzyści przynieść społeczności uciśniętej, rozbitej, chorej i oddanej we wszystkich gałęziach administracji, samowoli rządców złych i zepsutych. Zresztą każde prawo, choćby najgorsze, umiejętne wyzyskane, może stać się pożytecznym; organizacja zaś Rady stanu miała swe wady, ale złą nie była, więc otwierało się pole obszerne dla ludzi dobrej woli i dla ich szczerzej miłości ojczyzny. Zależało teraz wszystko od tego, jak szeroki i jak chętny udział weźmie inteligencja kraju, jego starszyzna, w otwierającej się instytucji. Otóż co do tego spotkał Wielopolskiego zawód nowy. Ogół obojętnie przyjął wiadomość o Radzie stanu. W sferach Klemensowczyków wahano się, co z tym fantem zrobić, oglądano się na siebie, nie wiedziano na pewno, jak się zachować i jaką postawę przyjmując; masy zaś, motłoch warszawski i niewarszawski, nie pojmował ani znaczenia, ani doniosłości magistratury, która nie olśniewała go niczem, nie otaczała się żadnym urokiem władzy istotnej, radziła gdzieś tam cicho, przy drzwiach zamkniętych, o rzeczach, których tłumy nie rozumiały i do których nie przywiązywały żadnego znaczenia. Rząd, zgodnie ze swą tradycją i formami w całym państwie przyjętymi, nie dopuścił, by nowa magistratura obdarzona była pewnymi przywilejami, by świeciła blaskiem władzy istotnej, przez co dobrowolnie pozbył się jednego z potężnych środków wpływania na uspokojenie kraju. Tak zaś, jak było, agitatorzy nie zwrócili uwagi na instytucję tak doniosłą, masy nie myślały przerwać swych manifestacji i rzeczy poszły koleją dotychczasową.

Mimo to jednak, w sferach inteligencji krajowej, w kołach prywatnych, w dziennikach polskich tak zakordonowych, jak i warszawskich, o ile oczywiście cenzura na to pozwalała, zajęto się żywo kwestyą: czy wziąć udział w Radzie stanu, czy nie? Kwestya ta, pomimo zabiegów stronnictwa ruchu, pomimo szkalowań, jakie ono rzucało na przyszłych „moskiewskich radców stanu”, została rozstrzygniętą twierdząco.

Powszechna jednak uwaga była zwrócona na Andrzeja Zamoyskiego, jak się zachowa wobec nowo powstającej instytucji. W dniu 18 czerwca, odbyła się u niego narada, w której wzięli udział wybitniejsi niegdyś członkowie stronnictwa Klemensowczyków, jak Aleksander Kurtz, Gruszecki, Ostrowski, Węgliński, Tomasz hr. Potocki, Krajewski i Garbiński. Na radzie tej, jednomyślnie wypowiedziano zdanie, że pan Andrzej powinien wziąć udział w Ra-

dzie stanu, już dla tego samego, żeby swoim przykładem zachęcić obywateli na prowincyi do wzięcia udziału w mających wkrótce powstać radach powiatowych i gubernialnych. Utrzymywano bowiem, nie bez pewnej zresztą słuszności, że Rada stanu nie może i nie będzie miała wielkiego znaczenia wobec rządu, przywykłego do samowoli; ale za to rady powiatowe, pomimo zbyt ograniczonego zakresu ich działania, dadzą możność nabycia tak wyborcom, jak i wybranym pewnego rodzaju praktyki politycznej, przyzwyczajają ich do obycia się ze sprawami publicznymi, utworzą z nich jeden słowem prawdziwy związek mężów stanu, na których w razie potrzeby oprzeć się będzie można.

Przywiązując zatem tak wielką wagę do rad powiatowych, chciano koniecznie, by pan Andrzej dał dobry przykład, wstępując do Rady stanu. Przedstawiono mu, że to go do niczego nie obowiązuje, gdyż, w razie jakichkolwiek nieporozumień z rządem, będzie mógł z Rady wystąpić. Pan Andrzej, zgadzając się w zasadzie na te wnioski, jak zwykle w życiu zgadzał się na to, co mu jego otoczenie podpowiedziało, zauważył tylko, że najtrudniej będzie rozróżnić małe nieporozumienia od wielkich; że z powodu pierwszych, występowanie z Rady stanu nie będzie właściwem i politycznem, ale jednakże takich małych nieporozumień z czasem może się tyle nagromadzić, że ani się spostrzeże, gdy będzie zupełnie przez nie skompromitowany. W rezultacie więc wahał się, rozmyślał i szczerze mówiąc, sam zapewne nie wiedział, czego się chwycić, jakkolwiek obecni na tej naradzie rozeszli się w tem przekonaniu, że pan Andrzej wejdzie do nowej magistratury, pod warunkiem jednak, że będzie jej wiceprezesem⁴⁸.

Tymczasem gazety nie przestawały zajmować się nową instytucją. Wielopolski pomieścił od siebie we wszystkich dziennikach rodzaj komunikatu, wyjaśniającego atrybucie, znaczenie i doniosłość Rady stanu dla interesów krajowych. Największy jednak nacisk położył na artykuł, pozwalający na podawanie skarg „przez zbiory osób prywatnych, prawnie uznane”. - „Cóż to są za zbiory?”, pyta i tak odpowiada: „wszystkie stowarzyszenia przemysłowe i handlowe, korporacje cechowe, dozory kościelne, szpitalne, bożnicze i t. p. zdaje się nawet, że bractwa pobożne, resursy. Czyż te zbiory, po całym kraju rozrzucone, nie znajdą dość faktów lub powodów do podniesienia zażaleń przeciw urzędnikom? Dlatego stawiamy nacisk na art. 24, bo, przyznając zbiorom prawo skargi, przyznano im tem samem prawo naradzania się nad temi skargami. A choćby Rada stanu nie mogła zadość uczynić tym skargom,

48 Jakkolwiek narada ta odbywała się w mieszkaniu prywatnem Zamoyskiego, przy drzwiach zamkniętych i w kole osób doskonale się nawzajem znających, jednakże w parę dni później policja tajna, znała najdrobniejsze szczegóły tego posiedzenia. Czytaj „Dniownik” Chrulewa (loc. cit. p. 97).

jako władza bez władzy wykonawczej, my w każdym razie odniesiemy zysk chociaż pośredni, ale ważny. Zysk ten leży w zbiorowym badaniu faktów przy układaniu skarg, w rozpoznawaniu gruntowniejszym, faktycznym, równie jak zasadowym przedmiotu zażaleń, w układaniu i spisywaniu owej, koniecznej dyagnozy złego, której wynikiem czy objawem było nadużycie tego lub owego urzędnika, albo urzędniczego gremium. Oto sposób, w jaki Radę stanu spożytkować można, sposób od nas zależny i dla nas jedyny, bo na inne wpływu nie mamy”.

„Gazeta polska” także, o ile mogła, gorliwie popierała potrzebę wzięcia udziału w Radzie. „W ostatnich czasach, pisała ona, zyskaliśmy wiele nabyciem jednej, zwłaszcza wielkiej prawdy, ważnej dla bytu społecznego; jest nią idea, że powolnym, a stałym i wytrwałym chodem ku postępowi ludzkość i narody pojedyncze idą pewniej i bezpieczniej, niżeli nagłymi ruchy, czasem szczęśliwymi, często niebezpiecznymi, zawsze prawie okupowanymi drogą. Prawdę tę dziś uznana po tylu gorączkowych, a krótkotrwałych wysiłkach w różnych kierunkach, jeśli kiedy to teraz winniśmy zastosować do siebie i praktyczny z niej zrobić użytek. Powinniśmy siły, jakie nam Bóg dał, nie używając ich na drobnostki skierować całe do poważnej i stałej pracy; powinniśmy, nie wzdragając się żadnej, która użyteczną być może, przyjąć, jaką nam daje czas i doba, i jąć się tego, co najpilniejsze. Zupełne usunięcie się od udziału w życiu, czynnem byłoby grzechem przeciwko przyszłości, a ciężar zadania lub niestosowność jego do życzeń naszych, zwiększa tylko zasługę, nie uwalniając od obowiązku. Największym byłoby błędem chcieć pozostać poza obrębem wszelkiej czynności i usuwać się dla wielkości ciężaru, lub dla zbyt małej jego wagi, bo gdzie idzie o dobro kraju, tam nie ma rzeczy drobnych, ani ofiar za ciężkich. Tylko wszystkimi siłami naszymi, porządnie skierowanymi, pomyślnością kraju, dalszy rozwój i postęp zapewnionymi być mogą; im więcej się ich rozprasza i usuwa, tem instytucje, nawet najprzyjaźniejsze dla rozwoju w przyszłości, w zarodzie samym prędzej spełzną na niczem. Idąc tylko dojść można, stojąc wprawdzie upaść trudniej, ale i celu doścignąć nie podobna”.

Wśród takiej to zawilej, nieco mglistej frazeologii, owijającej, niby przedza poczwarkę, myśl zasadniczą, mówiła gazeta o nowej instytucji. Zawilność ta, była wynikiem ucisku cenzuralnego i w artykule znać luki liczne, spowodowane zapewne przez tęż cenzurę; mimo to jednak myśl główna była wyraźna. Ale jeżeli starszyzna, wszystko, co było chłodniejszego w kraju, stanowczo było zdecydowane do wzięcia udziału w nowej magistraturze, to sam Suchozanet i jego kamarylla, krzywem na to patrzyła okiem i podobnie, jak czerwienicy warszawscy, pragnęła szczerze, by Rada stanu nie weszła w wykonanie, by została czczą ustawą na papierze. Przed nominacją na członków Rady, zwłaszcza

cza z pośrodku obywatelstwa i znakomitości krajowych, należało wprzód koniecznie wy badać, czy przyjmą ofiarowaną im godność. Jakoż Suchozanet zdawał się spełniać to zadanie, zapraszając do siebie niektóre wybitniejsze osobistości w mieście i badając je, czy by przyjęły udział w Radzie⁴⁹. Ale robił to wszystko powoli, nie mówił z tymi, z którymi należało mówić, jednym słowem, nie mogąc przeszkodzić istnieniu samej Rady, starał się rzecz zwłóczyć, dając jak najgorsze opinie o niektórych osobach, w fałszywym świetle wystawiając ich wahanie się, lub namysł. Z porady swego otoczenia wojskowego, nie dopuścił, by w nowej magistraturze zasiadał arcybiskup Fijałkowski, najwyższy dygnitarz kościelny w kraju, niezmiernie popularny i wpływowy⁵⁰; pod pozorem, że Fryderyk hr. Skarbek, ekonomista uczony i literat, niegdyś profesor uniwersytetu Aleksandryjskiego, były dyrektor Komisji sprawiedliwości, osobistość zawsze lojalna, waha się z przyjęciem ofiarowanej mu godności, usunął go zupełnie z kandydatury.

Podobnie z kilku innymi postąpił, tak że wybór wypadł dość kulawo i w rezultacie nie wszyscy ci zasiedli w nowej instytucji, którzy w niej zasiąść byli powinni i mogli⁵¹.

Bądź co bądź nominacje zostały podpisane przez cesarza w Krasnem Siole d. 3 lipca. Radcami stanu z urzędu mianowano senatorów: Drzewieckiego, Zaborowskiego, Kruzenszterna; gubernatora warszawskiego, Łaszczyńskiego; prezesa Banku polskiego, Niepokojczyckiego; prezesa Dyrekcji głównej To-

49 Chrulew w swym „Dniewniku” pod d. 24 czerwca (loc. cit. p. 96) pisze: „porozumienie się osobiste ministra wojny z niektórymi, znakomitszemi osobistościami wywarło wpływ należyty; wiele osób niejako oczekuje na takie porozumienie się i chętnie, jak się zdaje, zgodziłoby się działać w widokach rządu. Do liczby takich osób należą nie tylko znaczniejsi obywatele i ziemianie, ale i bankierzy żydowscy tutejsi, którzy dla rządu tem są pożądanisi, że przy znacznym, jaki posiadają, wpływie, stali się w czasach ostatnich patriotami polskimi. Ludzie ci, pomimo tego wszystkiego, uważają sobie za wielki honor porozumiewanie się osobiste z ministrem, przynajmniej wiadomem jest na pewno, że Matyas Rozen powrócił z Belwederu w usposobieniu całkiem przeciwnem temu, jakie dotąd żywił”.

50 W depeszy z d. 25 (13) czerwca pisze: „po naradzie co do przedstawienia na członków Rady uznano jednogłośnie nie mianować w tej chwili biskupa (sic) Fijałkowskiego, o czem śpieszę donieść Waszej cesarskiej Mości”.

51 Za to chciał Suchozanet, żeby mianowany był członkiem Rady niejaki ksiądz Naruszewicz, proboszcz parafii św. Aleksandra, prałat scholastyk metropolitalny, b. asesor duchowny w Komisji spraw wewnętrznych za Muchanowa. Był to ksiądz tak płochych obyczajów, że, przedstawiony w r. 1857 przez Muchanowa na biskupstwo podlaskie, został przez Rzym stanowczo odrzucony. Nominacja jego na członka Rady nie mogła przyjść do skutku z tego powodu, że w tej porze uległ on ciężkiej chorobie, rodzajowi pomieszania zmysłów, będącego następstwem gróźb, jakie otrzymywał ze wszystkich stron wskutek tego, że w maju nie dozwolił w kościele św. Aleksandra śpiewać hymnów patriotycznych. We właściwym miejscu opowiemy o zgonie jego tragicznym.

warzystwa kredytowego ziemskiego, Białokórskiego; kasztelana, Leona Dembowskiego, stary szczętek epoki konstytucyjnej; członków senatu: Hejlmana, Dutkiewicza, Bagniewskiego; członka Komisji umorzenia długu krajowego, Lewińskiego i na koniec radcę Izby obrachunkowej, Dekucińskiego. Z pomiędzy notablów krajowych mianowano członkami stałymi Rady: Tomasza hr. Potockiego „byłego oficera artylerii b. wojsk polskich”; Jakuba Lewińskiego „b. pułkownika b. wojsk polskich”, znanego nam dobrze członka Delegacji warszawskiej; Aleksandra Ostrowskiego, radcę Komitetu Towarzystwa kredytowego ziemskiego i Konrada hr. Walewskiego, szambelana dworu. Na członków czasowych na r. 1861, mianowano: ks. Józefa Juszyńskiego, biskupa sandomierskiego; ks. Jana Dekerta, biskupa halikarnaskiego, sufragana warszawskiego; ks. Macieja Majerczaka, administratora dyecezyi kieleckiej; Kazimierza hr. Starzeńskiego, szambelana dworu; prezesów dyrekcji szczegółowych Towarzystwa kred. ziem., w Warszawie Piotra hr. Łubieńskiego, w Siedlcach Karola Kozłowskiego, w Kielcach Erazma Różyckiego, w Płocku Aleksandra Nostitz Jackowskiego oraz radcę dyrekcji głównej tegoż Towarzystwa, Władysława Gruszeckiego i na koniec Stanisława hr. Aleksandrowicza, osobistość w sferach ziemiańskich bardzo wybitną.

Sekretarzem stanu został Juliusz Enoch⁵².

Tym więc sposobem, ostatecznie Rada stanu została uorganizowana, wbrew woli Czerwonych. Dowodziło to, że nie są oni ani tak silni, ani tak wpływowi, jak się zdawać mogło i przy odrobinie dobrych chęci i energii, można ich było pokonać i przygotować tryumf zdrowemu i czerstwemu pojmowaniu zadań i interesów krajowych. Z nominacji też i uorganizowania kancelaryi Rady ogół tych, których to interesowało, był dość zadowolony. Krzywiono się tylko trochę na wybór Enocha na sekretarza stanu, zwłaszcza wśród sfer rewolucyjnych, które przypisywały głównie jego zabiegom i namowom to, że Rada stanu została ukonstytuowana i że tyle wybitnych osób wzięło w niej udział.

Otwarcie uroczyste posiedzeń Rady stanu nastąpiło na koniec d. 16 lipca.

52 Rota przysięgi dla członków Rady stanu, zatwierdzona przez cesarza, brzmiała, jak następuje: „ja niżej podpisany, przyrzekam i przysięgam Bogu wszechmogącemu, w Trójcy św. jednemu jako obowiązki członka... prawem oznaczone, wypełniać będę sumiennie i tak zawsze we wszystkim i wszędzie postępować będę, jak przystoi na wiernego poddanego J. C. Kr. Mości, Najjaśniejszego cesarza i króla Aleksandra II. i następcy tronu, Jego Ces. wysokości wielkiego księcia cesarzewicza Mikołaja Aleksandrowicza”. Wyrażenia religijne według wyznania przysięgającego. Etat Rady stanu obciążał budżet Królestwa poważnym wydatkiem rocznym 87.272 rs., z czego dwunastu radców pobierało rs. 45.000 (po 3750 rs. każdy); sekretarz stanu rs. 3.750; reszta szła na kancelaryę. Członkowie Rady stanu nie pobierali żadnej pensji, tylko, w razie stałego zasiadania w którymkolwiek z wydziałów, wypłacano im pensją taką samą, jak radcom stanu.

Wszyscy jej członkowie, obecni w Warszawie, przybyli do Zamku ubrani w mundury; nawet chory, na pół sparaliżowany Tomasz Potocki, kazał się przynieść z krzesłem, by być obecnym przy narodzinach nowej ery politycznej kraju. Suchozanet, ze swą miną Sezostrysa egipskiego, wystąpił z mową, która na ustach wielu wywołała uśmiech politowania. Prawiąc frazesy banalne o dobrodziejstwach, jakie ustanowienie nowej instytucji sprowadzi na Polskę, zakończył wezwaniem do zebranych, ażeby użyli swego wpływu dla uspokojenia kraju, gdyż w razie przeciwnym „stać on się może pastwą oligarchii”. Słuchacze spojrzeli na siebie zdziwieni, jakim sposobem i jaka oligarchia może zgubić Polskę. Pokazało się, że uczonego Saturna petersburskiego, jeden z najwyższych dygnitarzy caratu, mając na myśli anarchię, pomieszał ją z oligarchią. Przy obiedzie, jaki wyprawił członkom namiestnik w pałacu Łazienkowskim, nie omieszkał także wygłosić mowy w języku francuskim i witał przyszłą Radę jako wyraz „potrzeb i interesów kraju” (*besoins et intérêts du pays*)⁵³.

Otóż ta ostatnia mowa stała się pośrednio kroplą, przepełniającą naczynie sporów wzajemnych między Wielopolskim, a Suchozanetem. Przesyłając bowiem nazajutrz do dzienników opis otwarcia Rady stanu oraz tekst mów namiestnika, słowa francuskie „*besoins et intérêts*”, przetłumaczył Wielopolski na „potrzeby i życzenia kraju”. Przekład był istotnie niedokładny, ale ostatecznie rzecz sama bardzo małego znaczenia i w innych okolicznościach nie zwrócono by zapewne na nią uwagi. Teraz jednak, gdy dla kamarylli wojskowej,

53 Donosząc o tem cesarzowi, Suchozanet utrzymywał, że „mowy przy otwarciu Rady i podczas obiadu przyjęte były sympatycznie (*s soczustwem*)” i pocieszał cesarza, że „dzień dzisiejszy zupełnie zadawalnia oczekiwania Waszej cesarskiej mości (w połnie udowletworzajet ożidanim Waszego, imperatorskago welicestwa)”. Mowa przy obiedzie, w tłumaczeniu Wielopolskiego, była następująca: „instytucje, któremi Najjaśniejszy pan Królestwo Polskie łaskawie obdarzyć raczył, dają obywatelom powołanym poza obrębem hierarchii administracyjnej, znakomity udział w sprawach krajowych. Całość tych instytucji, zapewniających krajowi wyraz rzetelny potrzeb jego, na każdym szczeblu administracji, uwieńczoną jest ustanowieniem Rady stanu, przez której organ wiadomość o tych potrzebach i życzeniach ma być do stóp tronu niesioną. Lecz, panowie, godność i doniosłość każdej instytucji zależy zarówno od nadanych jej atrybucji, jak od sposobu ich pojmowania i wykonywania. Powodując się w nowem, swem urządowaniu duchem szczerzego wykonania praw, mężowie, zaufaniem monarchy i kraju obdarzeni, wyświadczyć mogą znakomite usługi i otworzyć krajowi erę nowej pomyślności postępu moralnego i materyalnego. Obok tych wszystkich instytucji, Pan nasz najmiłościwszy, ukazem swym z d. 14/26 marca położył kamień węgielny reformy wychowania publicznego tak na niższych jego szczeblach, jako też w zakładzie szkół głównych. Wobec tych wielkich ustanowień, wobec przyjęcia rozległej i szczerzej zasady wyborczej, której niezmierne korzyści dadzą się tylko osiągnąć w powrocie zupełnym umysłów do spokojności i w słusznem ocenieniu prawdziwych korzyści kraju, możemy powiedzieć z przekonaniem, że wspaniałomyślny nasz monarcha przyszłość Królestwa Polskiego w ręce Polaków złożył”.

margrabia był solą w oku, gdy uważano go za jedną z głównych przeszkód do zaprowadzenia upragnionych rządów militarnych, czyhano na każdą, choćby najmniejszą sposobność, by mu podstawić stołka. Schwycono więc niedokładność tłumaczenia, zrobiono z niej kwestyą stanu, podburzono starego i ograniczonego Suchozaneta, jednym słowem wywołano wielką burzę o nic. W tonie napomnienia surowego, Sezostrys zapytał się Wielopolskiego, jako Dyrektora Komisji oświecenia, a zarazem prezesa Komitetu cenzury, dlaczego ta ostatnia dozwoliła na przekręcenie słów namiestnika? Margrabia odrzekł na to, że w języku polskim nie ma innego wyrażenia, że zresztą w cyrkularzu ministra spraw zagranicznych z d. 2 kwietnia o koncesjach jest także mowa „o potrzebach i życzeniach kraju”. Obronę tę swoją zakończył temi dumnymi słowami: „ja sam od chwili mego wstąpienia do urzędu, mam zwyczaj w ten sposób się wyrażać” (*depnis mon entrée en fonction, j'ai l'habitude, moi, de m'exprimer ainsi*). Odpowiedź taka nie mogła, rzecz prosta, uspokoić oburzonej na Wielopolskiego kamarylli, a nie chcąc w dziennikach krajowych rozmyślać tej sprawy, może zresztą uważając je za niegodne tego, polecono „obrońcy Rosji przed Europą”, panu Arseniewowi, ażeby w gazecie „Nord” uroczyście zaprotestował przeciw takiemu wykładowi polskiemu słów ministra wojny. Jakoż ten to uczynił w odpowiedniej korespondencji z Warszawy.

Była to więc pierwsza potyczka, jaką stoczyli ze sobą Wielopolski i Suchozanet, potyczka, w której magnat polski zachował się dumnie i pogardliwie. W ogóle nic bardziej nie drażniło kamarylli, jak ten ton nieporównanej wyższości i dumy, z jaką postępował szlachcic polski względem różnych dygnitarzy i generałów rosyjskich, przywykłych do tego, że w Warszawie wszyscy im się kłaniali i gięli przed nimi. To lekceważenie, jakie im okazywał, gniewał o ich niesłuchanie i dlatego wszelkimi siłami starali mu się szkodzić. Czując instynktownie, że stroną najsłabszą Wielopolskiego, jego piętą Achillesową, w której najdotkliwiej zranić go można, była cenzura, na tym punkcie atakowali go nieustannie. W rzeczy samej cenzura ta, odziedziczona po dawnym Okręgu naukowym, była niesłuchanie wstrętną dla Wielopolskiego, jak wstrętną być musi dla każdego, kto ceni swobodę słowa i ma poszanowanie dla myśli ludzkiej. Margrabia szczerze pragnął uwolnić się od tej istotnej koszuli Nessusa, która go paliła jak ogniem, ale nie mógł. Między gabinetami, zwłaszcza trzech państw zaborczych, istniały konwencje sekretne względem prasy, tajone przed Dyrektorem Komisji oświecenia, wskutek tego nie dość ściśle przestrzegane. Dawało to swobodne pole kamrylli zamkowej do ciągłych skarg, zażaleń i wyrzutów, z którego ona nie omieszkła korzystać. Stoczywszy walkę o „potrzeby i życzenia kraju”, poczęto gniewać się na Wielopolskiego, że cenzura przepuściła pewnego dnia numer gazety niemieckiej,

„Augsburger Allgemeine Ztung”, w którym był artykuł o stanie Warszawy, bardzo zresztą nieprzyjazny Polakom. Jak dalece szukano tylko okazji, by zaczepić Wielopolskiego, dowodzi to, że gazeta rzeczona miała zaledwie w całym kraju czterdziestu dwóch abonentów i to jeszcze przeważnie między wojskowymi i wyższymi dygnitarzami rosyjskimi. Innego dnia uskarżano się na artykuł w „Gazecie Polskiej” o Radzie stanu, na własny margrabiego komunikat o tejże instytucji, pomieszczony w dziennikach warszawskich. Zwłaszcza oburzano się na wykład artykułu o skargach na nadużycia urzędników; szep-tano na ucho Suchozanetowi, że Wielopolski jest najczernerwieńszym rewolucjonistą, że to nowy Wallenrod, że dopóty nie będzie dobrze w Polsce, dopóki ten człowiek nie zostanie usunięty. Margrabia na to wszystko odpowiadał, że jeżeli jego decyzje mają być sądzone i krytykowane przez władzę, stojącą poza hierarchią urzędową (a mówił tu o kamarylli i kancelaryi przybocznej namiestnika), to lepiej będzie, gdy go uwolnią od zwierzchnictwa nad cenzurą.

Do tego naprężonego stanu rzeczy, między obu dygnitarzami, wypadki co chwila dodawały nowego pokarmu, dolewały oliwy do ognia. Nie wiadomo skąd, ale przypuszczać należy, że pod wpływem Wielopolskiego, który z nadto miał potężną inteligencją, by pomimo niechęci wzajemnej, nie oddziaływał na ciasnogłowego Sezostrysa moskiewskiego, ten ostatni podniósł teraz sprawę kolorów narodowych, przegraną za Gorczakowa. Margrabia, mniemać należy, sądził, że szczęśliwie dokonana organizacja Rady stanu wywołała lepsze dla nas usposobienie w Petersburgu i zapewne postanowił z tego skorzystać.

Do kolorów narodowych, jak wiemy, przywiązywał on i słusznie, wielką wagę, gdyż obok innych motywów, które wyłożył w swym memoriale wtedy⁵⁴, najdonioślejszym był wpływ, jaki takie przywrócenie barw narodowych mieć może na masy. Dla tłumów, dlatego motłochu zrewolucjonizowanego, który włóczył się po ulicach Warszawy i wyprawiał tam różne awantury, większe znaczenie miały barwy polskie, błyszczące na mundurach, herbach i słupach przydrożnych, niż wszystkie Rady stanu i inne ustępstwa.

Z tego powodu, z rozumem głębokim statysty prawdziwego, Wielopolski powracał kilkakrotnie do tego przedmiotu. Otóż i teraz bezpośrednio, czy też pośrednio przez osoby trzecie, zdaje się, że musiał wpłynąć na Suchozaneta i ten postanowił podnieść kwestyą mundurów w kolorach narodowych. Zdziecinniałemu namiestnikowi zapewne potrafiąco wytłumaczyć ważność i znaczenie tej sprawy; powiedziano mu, że kiedy w r. 1833 deputacja polska przedstawiała się cesarzowi Mikołajowi, to miała na sobie mundury z kołnierzami i wyłogami koloru amarantowego; że cesarz kazał im taki mundur na zawsze zachować; że

54 Patrz Tom II, str. 467.

wówczas nosili go wszyscy urzędnicy, aż dopiero Paskiewicz samowolnie zamienił go na mundur z kołnierzem czerwonym. Suchozanet, nieświadom historii, uwierzył temu, wziął sprawę całą gorąco do serca i nie zwłócząc, d. 19 lipca przez depeszę telegraficzną przedstawił ją cesarzowi⁵⁵. Tegoż samego jeszcze dnia otrzymał odpowiedź w formie napomnienia surowego. Cesarz pisał mu, że depeszy o mundurach nie należało pod żadnym pozorem przysyłać niecyfrowanej, że Suchozanet myli się, gdyż kolor amarantowy pozwolono zatrzymać tylko samym, jednym deputatom, że mundur w barwach rosyjskich był nadany nie przez prosty kaprys Paskiewicza, ale z woli cesarskiej⁵⁶.

Ten tej depeszy surowy i karcący, jeżeli nie mógł dobrze uspokoić namiestnika względem tych, którzy go na taką naganę narazili, to z drugiej strony świadczył, jak dalece wielką wagę przywiązywano w Petersburgu do takich drobiazgów, jak kwestya kołnierza u munduru. Dlaczego tak czyniono? Trudno odgadnąć, jak wreszcie trudno jest nieraz pojąć tajemnice głupoty ludzkiej.

Jeżeli jednak cała ta akcja rozegrała się wskutek inicjatywy margrabiego, to jej rezultatem bezpośrednim było zaostrenie stosunku między nim, a Suchozanetem. Przyszło już teraz do otwartej i z obu stron z zaciekłością prowadzonej wojny. Do nowego, gwałtownego starcia, dały powód rządy Rudanowskiego w Suwałkach. O aresztowaniu i wysyłce Wierzchlejskiego i innych, o pogwałceniu wszelkich przepisów obowiązujących, prezes miejscowego Trybunału zdał raport Wielopolskiemu, jako Dyrektorowi Komisji sprawiedliwości⁵⁷. Wielopolski, oparty na tym raporcie, wystąpił z silną prote-

55 Uważam za obowiązek, pisał, uwiadomić Waszą ces. mość, że błogosławionej pamięci cesarz (Mikołaj) rozkazał w r. 1833 członkom byłej deputacji polskiej, zatrzymać na zawsze mundur, w jakim mieli szczęście mu się przedstawić, to jest z wyłogami i kołnierzami amarantowymi, które następnie przyswojono dla wszystkich urzędników i szlachty, nie będącej w służbie; feldmarszałek (Paskiewicz) własnowolnie zmienił kolor amarantowy na czerwony, choć deputaci do śmierci zachowali mundur z przyborami amarantowymi. Jen. adj. Suchozanet”.

56 Cesarz pisał: „depeszy o mundurach nie należało pod żadnym pozorem wysyłać niecyfrowanej, gdyż wola moja pod tym względem dawno znaną jest panu, za co surowe daję wam napomnienie (dźełaju wam strogoje zamieczanie). Przytem jest ona (depesza) nieprawdziwą. W r. 1832, kolor amarantowy został zachowany wyłącznie tylko dla samych deputowanych, którzy byli w Petersburgu. Dla wszystkich zaś innych urzędników i szlachty, nie będącej w służbie, nadano nie przez kaprys feldmarszałka, ale wolą najwyższą, ogólny mundur rosyjski wraz z nowo ustanowionym herbem dla Królestwa na guzikach. Aleksander”.

57 Korespondent z Warszawy do „Dziennika poznańskiego” donosił, że przybyła do Wielopolskiego także deputacya z Suwałk, skarżąca się na postępowanie jenerała Rudanowskiego. Wiadomość ta jednak nie znajduje potwierdzenia w innych, jakie posiadamy, źródłach, a mianowicie w relacyi, spisanej dla nas na miejscu przez osoby świadome rzeczy.

stacą na posiedzeniu Rady administracyjnej przeciw takiemu postępowaniu. Przedstawivszy skargę prezesa Trybunału, w tonie wyniosłym, sobie właściwym, który miał przywilej do najwyższego stopnia rozdrażniać dygnitarzy rosyjskich, zapytał: „jakiem prawem wysłano urzędnika bez wszelkiego śledztwa do jednej z fortec rosyjskich i dlaczego jego, jako Dyrektora Komisji sprawiedliwości, o tem nie uwiadomiono, ani żądano śledztwa sądowego?

Jeżeli wszędzie, mówił, gdzie wojsko stoi, prawo ustaje, natenczas nie wie, po co by się jeszcze znajdował na tym urzędzie”. Przy tej sposobności uwiadomił Radę, że Balcera, uwięzionego jeszcze w początkach roku bieżącego i trzymanego dotąd w cytadeli, wysłano bez sądu do Kronsztadu. Suchozanet, pomijając milczeniem sprawę Balcera, odrzekł ze śmiesznie nadętą miną, że o aresztowaniu Wierzchlejskiego wiedział, że na koniec on nakazał go deportować. Wysłuchawszy tego Wielopolski, jeszcze raz uroczyście zaprotestował przeciw temu pogwałceniu prawa i zażądał, by protest ten jego zamieszczono w protokóle. Z pomiędzy członków Rady, większość w milczeniu przysłuchiwała się temu sporowi, dziwiąc się zapewne w duszy odwadze margrabiego, ale wcale nie mając ochoty go naśladować; jeden tylko Funduklej, nie Polak, dzielnie i wymownie poparł Wielopolskiego. Suchozanet był rozgniewany, nazwał wystąpienie margrabiego „niesubordynacją” i groził, że o wszystkim zawiadomi cesarza. Zakończono posiedzenie wśród wyraźnych oznak nieprzyjaźni i głębokiego rozdrażnienia⁵⁸.

O tem wszystkim, o całej tej walce, w której Wielopolski tak pięknie i szlachetnie reprezentował ideę prawa i dumę narodową, kraj nic a nic nie wiedział. Były to sprawy, rozgrywające się za kulisami, ale w interesie margrabiego leżało, by one doszły do wiadomości ogółu. W takim bowiem razie mógł zyskać za sobą opinią, zdobyć popularność, znaleźć poparcie w masach, bez którego żaden mąż stanu, znajdujący się w takim, jak Wielopolski położeniu, ani istnieć, ani działać skutecznie nie może.

Tymczasem margrabia tego nie czynił, rzecz całą trzymał w ukryciu i na zewnątrz starał się okazywać, że harmonia między nim, a namiestnikiem zerwaną nie została. Powodów tego postępowania błędnego, należy szukać najprzód w nieugiętym i pysznym charakterze Wielopolskiego, który nigdy nie ubiegał się o względy opinii, który nią gardził i szydził z niej zawsze; następ-

58 Agaton Giller (Al. Wielopolski, 74), czyniąc te same zarzuty, źródło tego postępowania margrabiego widzi w innej przyczynie. „Być może, powiada, iż wynikało to z planów jego polityki, że sądził, iż chwila, w której stanie się popularnym, obudzi nieufność cara ku niemu i spowoduje jego usunięcie”. Że tak niskich i pospolitych motywów swego zachowania się margrabia nie miał, świadczy jego późniejsze podanie się do dymisyi. Jemu nie szło o utrzymanie się na swem stanowisku, ale o pozory wszechwładzy na niem.

nie w tej ambicyi dziwacznej, która kazała mu starać się usilnie o wlanie we wszystkich przekonania, że on jest rządem, że poza nim nie ma rządu, że inni mają tylko pozory władzy, jej reprezentacją, a on jest właściwym i jedynym wielkorządcą Polski. Wskutek tego błędnego zapatrywania się na wymogi swego stanowiska, usiłował ukrywać wszelkie zatargi i spory, które by mogły w oczach ogółu przedstawić go nie jako pana wszechmocnego kraju, ale jako jedno z kółek drugorzędnych maszyny rządowej; gotów był przyjmować na siebie wszelkie występki i gwałty tej władzy, jak to wreszcie uczynił z krwawą katastrofą kwietniową. Było to wielkim i ciężkim błędem, błędem, którego następstwa, nie tyle ze względu na samego Wielopolskiego (bo cóż znaczy pojedyncza osobistość wobec ojczyzny?), ile na kraj cały, były opłakane⁵⁹.

Kraj bowiem, nie wiedząc o niczem i uważając zawsze Wielopolskiego za swego nieprzyjaciela, manifestował się po dawnemu nieustannie. Nienawiść ku margrabiemu wzrastała, po ścianach domu, w którym mieszkał, pisano wiersze, ubliżające jego czci⁶⁰, dawano mu poznać na każdym kroku, że jest uważany za wroga największego ojczyzny.

Miasto dawało oznaki coraz większego i silniejszego wzburzenia. W każde święto i niedzielę, tłumy motłochu ostatniego włóczyły się po ulicach, wyprawiały awantury, okazywały tę niesforność i zuchwalstwo, które każdego człowieka rozumnego do głębi oburzać musiało. O niejakiem Hartmanie, cukierniku, mającym swój zakład na Krakowskim Przedmieściu, rozeszła się wieść, Bóg wie, przez kogo rozpuszczona, że jest „złym Polakiem” i nieprzyjacielem sprawy. Agitatorzy postanowili go ukarać i w tym celu ustawili przed drzwiami jego cukierni na ulicy kilku uczniów gimnazjum, którzy ostrzegali każdego, chcącego wejść do sklepu, że chodzić tam nie należy, gdyż właściciel jego jest zdrajcą ojczyzny. Rezultatem tej „pomsty narodowej” było to, że Hartman zbankrutował i cukiernię musiał zamknąć. Oficerów i żołnierzy obrażano na ulicach, pluto na nich, potracano. W nocy z d. 24 na 25 lipca, gromada mło-

59 „Widzę, pisał w rozkazie do komendanta 2-go korpusu pod d. 4 sierpnia, że zniewagi, wyrządzane niekiedy przez mieszkańców wojskowym, wywołały między panami oficerami silne rozdrażnienie, poczynające się objawiać szemraniem głośnie. Okoliczność ta, zwiększając kłopoty rządu, pokazuje, że panowie oficerowie patrzą się na swe położenie tutaj nie z należytego punktu widzenia i błędnie pojmują swe obowiązki. Zniewagi, winni, których zawsze liczą na możliwość usunięcia się od odpowiedzialności prawnej, nie przynoszą żadnej ujmy tym, którzy stają się wypadkowo ich ofiarami. Spodziewam się, że panowie oficerowie, pomyślawszy nad tem, zrozumieją, że w tego rodzaju okolicznościach, znoszenie spokojne nieuniknionych nieprzyjemności jest cechą istotnego męstwa”.

60 Pewnego dnia przyklepiono kartkę z takim napisem:

„W Polsce, Litwie czy na Rusi,
Wielopolski wisieć musi”.

dych ludzi napadła na wychodzącego na ulicy Miodowej z restauracji porucznika żandarmów, Wrześniewskiego i pobiła go mocno. Śledztwo, surowo nakazane przez samego cesarza, do niczego nie doprowadziło. Winnych nie znaleziono, ale wszystko to wywołało w sferach wojskowych tak silne szemranie, głośno się nawet objawiające, że Suchozanet musiał się odwoływać do honoru i męstwa wojskowego, by rozdrażnienie to nie doprowadziło do jakiej katastrofy⁶¹, choć łatwo mu było zalecać spokojne znoszenie zniewag, kiedy sam od nich był wolny, jeżdżąc po Warszawie jak szalony ze swą eskortą kozaków uzbrojonych.

Kogo zresztą schwytano z takich śmiałków, oddawano pod sąd wojenny wbrew ustawie z d. 9 kwietnia. Wzburzenie było tak wielkie i widoczne, atmosfera miasta była tak przepełniona elektrycznością, że Suchozanet spodziewał się lada chwila wielkiej jakiej manifestacji, jakiego nowego „krwawego starcia”. Z początku liczone trochę na to, że wprowadzenie w życie Rady stanu wpłynie uspokajająco na masy; wkrótce przekonano się, że motłoch, różni kanceliści, kupczyki, czeladnicy, kantorowicze i t. p., szare pospólstwo społeczne, nie zwróciło najmniejszej uwagi na nową instytucję. Co wieczór, policja z trudnością rozpędzała zbiegowiska przed figurami świętych. Polowanie na tak zwanych szpiegów stało się pewnym rodzajem sportu, któremu młodzież i rozpróżniane tłumy z namiętnością się oddawały. Ile przytem nadużyć się działo, ile najniewinniejszych ofiar padło wskutek nienawiści prywatnej lub zemsty! Wśród rozkiełzanych namiętności politycznych, wśród tego szału, jaki ogarnął wszystkich, dość było, by ktoś wskazał na ulicy pierwszego, lepszego przechodnia i zawołał nań: „szpieg”, by się tłumnie rzucono na nieszczęśliwego, nie pytając, kto oskarża, o co i kogo. Weszło w szkaradny, ze wszech miar godny potępienia zwyczaj, że takiej ofiarze ktoś przyklepał nieznaczenie na plecach kartkę z napisem fatalnym „szpieg”, oddając tym sposobem najniewinniejszego, nieraz człowieka na pastwę tłumom rozbestwionym i wśród próżniactwa i włóczęgi po ulicach, dziczącym. W tym czasie, w kościele św. Krzyża, zbito nielitościwie z tego powodu jakiegoś starego człowieka; wyniesiono go na pół żywego na ulicę i odwieziono do szpitala, gdzie

61 „Widzę, pisał w rozkazie do komendanta 2-go korpusu pod d. 4 sierpnia, że zniewagi, wyrządzane niekiedy przez mieszkańców wojskowym, wywołały między panami oficerami silne rozdrażnienie, poczynające się objawiać szemranie głośnem. Okoliczność ta, zwiększając kłopoty rządu, pokazuje, że panowie oficerowie patrzą się na swe położenie tutaj nie z należytego punktu widzenia i błędnie pojmują swe obowiązki. Zniewagi, winni, których zawsze liczą na możliwość usunięcia się od odpowiedzialności prawnej, nie przynoszą żadnej ujmy tym, którzy stają się wypadkowo ich ofiarami. Spodziewam się, że panowie oficerowie, pomyślawszy nad tem, zrozumieją, że w tego rodzaju okolicznościach, znoszenie spokojne nieuniknionych nieprzyjemności jest cechą istotnego męstwa”.

wkrótce umarł. Gdyby jednak zapytano tych wszystkich, którzy haniebnie mordowali bezbronnego, na czym opierają swe twierdzenie co do szpiegostwa owego starca, z pewnością żaden z nich nie umiałby odpowiedzieć. Okropne zaiste! czasy, w których życie i dobra cześć obywatela zależała od widzimisię, nienawiści lub zemsty pierwszej, lepszej osobistości, zwykle nikomu nie znanej; straszny obraz rozszalałych namiętności motłochu i przykład straszny dla potomności!

Policja, jak zwykle, zachowywała się wobec tego z niedbalstwem i obojętnością naganną. Jej szef tajny, Podwysocki, człowiek głupi, ale zły, niczemu nie był w stanie zapobiedz, za to rząd straszył doniesieniami o przygotowujących się jakoby nowych manifestacjach. Taka manifestacja miała się odbyć d. 7 lipca na Powązkach, Lesznie i na Placu zamkowym. Zamierzano wyruszyć procesjonalnie z obrazem Matki Boskiej na groby poległych. Tymczasem dzień ten przeszedł spokojnie, może dlatego, że w godzinach popołudniowych zewrzała się silna burza z deszczem ulewnym. Prócz tego, rano ukazały się plakaty, przyklejone na niektórych kościołach, wzywające, ażeby nie brano udziału w procesyi. Ogół, nie wiedząc od kogo pierwszy zamiar wyszedł, nie wiedział także, kto obecnie zakazywał manifestacji. Wszelako tej ostatniej rady, bardzo zresztą rozumnej, posłuchano, zwłaszcza, że po mieście akademicy biegali i ustnie wzywali o spokojność.

Wiadomość o tej manifestacji mniemanej doszła aż do cesarza⁶².

Odtąd Suchozanet przez kilka dni pocieszał siebie i Petersburg, że w mieście jest spokojnie. Tymczasem, w rzeczy samej, przygotowywała się nowa, niesmaczna, choć oryginalna manifestacja, której źródło tym razem leżało bardzo daleko, bo aż w Anglii.

Usilnym staraniom Czartoryskich, a właściwie generała Władysława Zamoyskiego, udało się na koniec rozbudzić w Anglii, jaki taki, powierzychowny,

62 Ciekawa z tego powodu korespondencja, malująca wybornie Suchozaneta i jego usposobienie, zawiązała się między nim i cesarzem. Pod d. 8 lipca (26 czerwca) Suchozanet telegrafuje: „pomimo zapowiadanej na dzień wczorajszy demonstracji, wszędzie w mieście było zupełnie spokojnie, do czego się zapewne przyczynił deszcz ulewny od godz. 4-ej do 6-ej”. Na to, tego samego dnia, cesarz słusznie zapytuje: „na czym polegała zapowiedź nieporządków na dzień wczorajszy?” Wyborna jest odpowiedź Suchozaneta: „zapowiedź polegała na bardzo silnej w różnych punktach manifestacji ludowej”. „Depesza pańska, pisze mu na to cesarz, nic nie wyjaśnia. Chcę wiedzieć, co było powodem silnej manifestacji ludowej i jak się ona odbyła”. Teraz dopiero Suchozanet pisze: „zapowiadano demonstracje na Powązkach, Lesznie, a nawet przed Zamkiem, ale ponieważ one nie przysły do skutku, zatem wyjaśnień pozytywniejszych dać nie mogę. Przypuszczam, że innych powodów nie było, jak tylko chęć wywołania nieporządków i utrzymania rządu w ciągłym niepokoju”.

bo w Anglii nigdy innego dla nas nie było, interes dla Polski. Powody zresztą tego interesu, nie leżały wcale w sympatii dla nas, w chęci szczerzej dopomożenia nam, ale jedynie w położeniu politycznym Europy, które przezorna i egoistyczna polityka angielska chciała wyzyskać na swoją korzyść i zaburzenia polskie wyborań jej potem dawały sposobność. Serdeczne stosunki przyjaźni, jaka od niejakiego czasu zawiązała się między Rosją i Francją budziły w angielskich mężach stanu poważne obawy. Zdawało im się bowiem, że ta przyjaźń, choć w gruncie rzeczy raczej pozorna niż prawdziwa, zagraża nie tylko pokojowi europejskiemu, ale wprost interesom angielskim, że zatem należy ją bądź co bądź rozerwać, do czego w sam raz nadawały się zaburzenia polskie⁶³, z których też ministerium angielskie nie omieszkowało korzystać bardzo zręcznie i ostrożnie, a nade wszystko, powiedzmy otwarcie, nieuczciwie. Nic łatwiejszego bowiem nie było, jak obudzenie we Francuzach sympatii dawnej ku narodowi polskiemu, a przez to postawienie rządu Napoleona, właśnie będącego w pełni swych stosunków kordyalnych z Rosją, w kłopotliwym względem tejże położeniu.

Wystąpienie zaś gabinetu angielskiego w sprawie zaburzeń warszawskich, znajdowało usprawiedliwienie w żywym objawie opinii publicznej w Anglii na korzyść Polski. Liczono meetingi, do których zwoływania przyczyniała się wiele niezamordowana emigracja polska, jeszcze liczniejsze artykuły za Polską w najpoważniejszych dziennikach, zmuszały niejako rząd do wzięcia pod uwagę tej kwestyi, a nade wszystko usprawiedliwiały jego postępowanie w oczach Rosyi i Europy. Toteż już w maju 1861 r. lord Russel przepowiadał w izbie lordów „światną i wolną przyszłość narodowi polskiemu, który wśród tylu klęsk i prześladowań umiał zachować nienaruszoną miłość ojczyzny”. Słowa te z natury rzeczy rozbrzmieć miały szeroko, znaleźć odgłos sympatyczny we Francyi, podniecić tam opinią publiczną i rząd cesarski zmusić do liczenia się z tą opinią, a już przez to samo zerwania „serdecznych stosunków” z Rosją. Nie porzestano jednak na tem.

W Londynie istniało od dawna „Towarzystwo przyjaciół Polski”, które obecnie, w końcu czerwca, przesłało księciu Czartoryskiemu adres. W adresie tym mieściły się gorące życzenia dla nieszczęśliwej ojczyzny starego księcia, zwykła moneta zdawkowa sentymentów, jakimi Zachód nam płacił; wreszcie podający adres wypowiadali nadzieję, że Opatrzność, przedłużając mu (Czar-

63 Zaburzenia te wybuchły w chwili tak odpowiedniej, tak we właściwym pojawiły się czasie, iż wielu mniemało i mniema po dziś dzień, jakoby w nich Anglia bardzo głęboko maczała rękę, a nawet wprost wywołała rozruchy polskie. Oczywiście dowodów na to nie ma żadnych, są tylko przypuszczenia i mniej lub więcej prawdopodobne kombinacje, o których, jako nieopartych na żadnych, pewnych podstawach, mówić tu nie możemy.

toryskiemu) życie nad zwykły kres żywota ludzkiego, tyle mu jeszcze dni użyczy, aby mógł być świadkiem wolności i pomyślności na rodzinnej ziemi”. Sędziwy reprezentant legitymizmu polskiego, odbierając adres z rąk deputacji, wypowiedział mowę, która, jak wszystko, co z ust jego wychodziło, rozbiegła się po dziennikach europejskich i nabrała tem większego znaczenia, że była ostatniem wystąpieniem publicznem Czartoryskiego, niejako jego testamentem politycznym. „Lordowie i mości panowie, rzekł on do deputacji, winniem szczerze i serdecznie podziękować wam za to przywiązanie do naszej sprawy. Usiłowania Polski były długie, a wierność przyjaciół jej dochowywała się statecznie. Wierzcie mi, w kraju naszym umieją cenić takie uczucia i odpłacać za nie wdzięcznością. Cieszy mię nie pomału, gdy widzę, jak trafnie odgadliście cechę dzisiejszego ruchu w Polsce. Wybornie umiecie oceniać ducha porządku i umiarkowania, dającego się tam postrzegać. Ruch ten spokojny i silny uczuciem sprawiedliwości nie splamił się najmniejszym gwałtem; nie widać tam ani wyobrażeń burzących, ani namiętności rewolucyjnych, ani cudzoziemskich wpływów. Walka toczy się wyłącznie na gruncie prawym, walka spokojna i moralna. Czego dopomina się Polska, czego oczekuje? Oto poparcia w tym samym duchu. Moralność wolnomyślniej Europy, dziś jest rękojmnią wygranej. Godność, honor, interes Anglii, łączą się z tem zadaniem. Gdyby przyczyniła się do przywrócenia tych praw, nie tylko zaspokoiłaby Polskę, ale i całą ucywilizowaną Europę. Pośród ważnych przemian, zachodzących w interesach międzynarodowych, wobec ustawnych zawikłań kwestyi wschodniej, rzeczą jest wielkiej wagi, prawie żywotną dla świata, a głównie dla Anglii, przyłożyć się do przywrócenia narodu, którego rozbitcie, dopełnione z pogardą praw boskich i ludzkich, zrodziło ten niesłychany zamęt w moralnem i materialnem istnieniu Europy. Kraj mój ojczysty, mówię to z uczuciem dumy, w ciągu kilkusetletniego udzielonego bytu, zawsze był użyteczny, a nigdy szkodliwy dla Europy. Bronił Chrześcijaństwa od najazdu barbarzyńskiego i światło Ewangelii niósł między pogany. Kierował nim zawsze duch miłości, a nie duch zdobyczy. Polska podzielona nawet i rozczłonkowana, nie przestała być sprzymierzeńcem Europy; członki jej rozdarte i drgające zawsze stawiały się przeciw intrygującej ambicyi i przeciw niebezpiecznym zamachom na zabicie wolności świata. W chwilach powodzeń użyteczna dla innych, w chwilach niedoli poświęcająca się za nich. Wtedy dopiero Polska, upadkiem swoim nieszczęście światu przyniesie, kiedy runie na zawsze; lecz nim to nastąpi, można być pewnym, że świat cywilizowany straci wszelkie pojęcie sprawiedliwości, wszelkie uczucie własnej konserwacyi i niepodległości”. Słowa te, pełne ulubionego w tej dobie patosu, rozplywające się we frazeologii zużytej o przedmurzu Europy, o konieczności Polski dla świata i t. p., powitane zo-

stały przez deputatów oznakami aprobacyi, a przez kraj powszechnym okrzykiem uznania i wywołały na koniec pośrednio interpelacją niejakiego Pope Hennessy w izbie niższej parlamentu angielskiego co do wypadków w Warszawie i w ogóle sprawy polskiej. Interpelacja ta, jak wszystkie tego rodzaju próby nadania kwestyi polskiej znaczenia europejskiego, nie miała skutku i po krótkiej dyskusyi, izba przeszła do porządku dziennego, a pan Hennessy naraził się tylko na liczne napaści gazet⁶⁴.

Ciekawszemi i bardziej pouczającemi dla tych wszystkich, którzy wierzą w odbudowanie naszej ojczyzny przez mocarstwa zachodnie, były rozprawy o kwestyi polskiej w izbie lordów, w d. 19 lipca. Rozprawy te, były o wiele chłodniejsze niż w izbie gmin, jak zresztą przystało poważnym lordom angielskim, ale miały one zarazem donioślejsze znaczenie.

Po licznych mówcach, wygłaszających dość zimne ubolewania nad losem Polski, roniących łyzy krokodyle nad jej dołą, zabrał głos earl Ellenborough, uproszony umyślnie przez generała Zamoyskiego, by bronił Polski. W tonie chłodnym i ostrożnym, mówca wskazywał Rosyi, że źle robi, uciemniając Polskę i tak zakończył:

„Spodziewam się, że przyjdzie czas, w którym Rosya będzie się starała postępować w odmiennym duchu i że, postępując tak, jej zbliżenie znajdzie serdeczne przyjęcie u Polaków. Wiemy, że Rzymianie zawsze liczyli na to,

64 „Times” wprost szydził z jego wystąpienia: „wszystkimi rękami, pisał, brać się nam trzeba do roboty, aby posiedzenia zakończyć, a tu tymczasem dobywamy chustkę z kieszeni i dalejże szlochać nad losami Polski. Czy już nic więcej nie potrafimy? Jesteśmy wielkim narodem, mocarstwem pierwszego rzędu, wydajemy rocznie 15 milionów funtów szter. na wojsko lądowe i tyleż na flotę i dziwnem się też wydaje, że dla Polski nie robimy nic, tylko jęczymy nad nią. Czemuż Anglia nie podejmie za nią krzyżowej wojny przeciw mocarstwom? Otóż za radą jednego ze zmarłych mężów stanu, pošlijmy flotę pod Warszawę, albo, gdyby się to nie powiodło, do Petersburga. Polska niesłuchanie dogodne ma położenie dla floty! tylko obłudnicy zważają na trudności jeograficzne! kto chce, ten może, a jeżeli parlament Wielkiej Brytanii istotnie pragnie przyjść Polsce z pomocą, to niech tylko pożyczycy 500 milionów szter. i pod kierunkiem pana Pope Hennessy wyruszy, jak nowy rycerz, na wyzwolenie Warszawy. Zdaje się wszakże, iż lord John Russel wcale się nie spodziewa podobnej wyprawy krzyżowej. Uczynił wczoraj uwagę, że nawet Napoleon I nie mógł nic zrobić dla Polski, choć był panem połowy Europy, a wreszcie i Castlereagh sam w tej sferze podołać nie mógł, lubo w 1815r. nowe państwa wydobywał z tygła. Lord John Russel był dotąd zdolnym politykiem, nigdy nie tykał tego, co Anglii nie obchodzi szczegółowo, a w radzie zawsze powściągliwy i ostrożny. Co to wszystko pomoże, kiedy dziś pan Hennessy najoczywiściej dowodzi, żeśmy przed 30 jeszcze laty mieli w kieszeni potężne casus belli przeciwko Rosyi za naruszenie traktatu wiedeńskiego. Niesłuchanie ponętnem byłoby widzieć go koronowanym na króla polskiego, a w tej porze nie często przytrafia się wieczór bardziej nauczający, jak jego historyczne rozczulanie się nad nie-szczęściami Polski”.

że ich najpotężniejsi nieprzyjaciele staną się najlepszymi ich sprzymierzeńcami, a to dlatego, że nieprzyjaciół tych swoich po zawojowaniu, zawsze dobrze traktowali. Bardzo byłoby dobrze, gdyby Rosya pamiętała o tem przy swem postępowaniu z Polakami. Niech nie sądzi, że lud biedny, dlatego, że jest biednym, może być łatwo utrzymany w spokojności. Rzecz się ma przeciwnie. Ubóstwo jest zawsze niebezpieczne, ubóstwo zawsze pragnie zmiany, ubóstwo spiskuje. Zamożność jest spokojną, bogactwo nigdy nie spiskuje, bogactwo tylko żąda, ażeby rzeczy tak dalej pozostały, jak są i ażeby utrzymać te korzyści, jakie posiada i jeżeli Rosya da Polakom bogactwo i samorząd, to spodziewać się może, iż zupełna spokojność wśród nich zapanuje. Moi lordowie! powiedziałem, że spodziewam się, iż cesarz rosyjski ze swej strony, zaofiaruje szczerą przyjaźń narodowi polskiemu. Pewny jestem, że na innej drodze nie będzie mógł odzyskać swej władzy nad Polakami. Zawsze byłem zdania, że żaden czynnik nie może być skuteczniejszym od wspaniałomyślności rządu dla podupadłego narodu i pewny jestem, iż wspaniałomyślność otrzyma największy skutek, jeżeli okazaną będzie temu najwaleczniejszemu i najszlachetniejszemu narodowi. W razie, jeżeli będą zrobione propozycje pojednawcze narodowi polskiemu, ufam, że będą przyjęte w duchu, w jakim były zrobione. Polacy muszą pamiętać, że to, czego sobie życzą i czego my byśmy sobie życzyli, t. j. przywrócenia monarchii polskiej, jest celem, którego niepodobna inaczej osiągnąć, jeno przez rozbicie wszystkich państw europejskich. Rozbicie tego rodzaju sprowadziło Napoleona I nad Wisłę. Obiecywał on wiele Polakom, używał ich, wysysał z nich najdroższą krew i oszukał ich. Czyliż mogą się spodziewać, że wśród jakich bądź okoliczności, które mogą wstrząsnąć Europą, Francya dzisiejsza postąpi sobie z większą rzetelnością i wiarą, jak Napoleon, który obszedł się z nimi tak wiarołomnie? Gdybym miał sposobność mówienia z cesarzem Rosyi, doradzałbym mu jak najgorliwiej, aby przyjął względem Polaków politykę łagodną i wspaniałomyślną. Z równą gorliwością, zaklinałbym naród polski, ażeby chęć cesarza zbliżenia się do nich, przyjęli szczerze i uprzejmie. I ostrzegłbym obydwie strony, ażeby we wszelkich zobowiązaniach, jakie mogą pomiędzy nimi nastąpić, zachowali wzajemną, zupełną wiarę. Nieszczerość w monarsze jest zbrodnią, która nigdy przebaczoną być nie może, a niewdzięczność narodu jest zbrodnią niemniej wielką, którą, gdyby Polacy popełnili, pozbyliby się współczucia, jakie obecnie posiadają w Europie”.

Słowa te, przyjęte oklaskami przez izbę, wyraźnie mówiły, że Polska nie może marzyć o niepodległości i niezależności politycznej; że Anglia zamiaru takiego nigdy nie poprze i owszem przeszkadzać mu będzie; że, co najwyżej, Polsce, zacieśnionej w granice Królestwa Kongresowego, należy się samo-

rząd pod berłem carów rosyjskich. Było to jasne i proste. Toteż wywoływały one głębokie oburzenie w sferach rewolucyjnych polskich, nie w Warszawie wprawdzie, gdzie dzięki cenzurze, jak zawsze, ciasnogłowej, nie pozwolono tej mowy przedrukować, ale za kordonem. „Gazeta narodowa”, wychodząca we Lwowie, dała wyraz temu oburzeniu.

„Oto lordowie, woła ona, nie już za prawie niepodobne, jak izba gmin, ale za całkiem niepodobne ogłosili odzyskanie niepodległości Polski. Najwymowniejszy i umyślnie do przedstawienia naszej sprawy przez hr. Zamoyskiego uproszony, earl Ellenborough, okazał się gorętszym przyjacielem Rosyi, jak Polski i przysłuchujący się mu, zadawali sobie pytanie: czyjej sprawy on broni, Polski, czy Rosyi? Zdawało się, że mu obrona Rosyi była poruczona... „Szczęściem duch, jaki w ostatnich czasach obudził się w naszym kraju, jest tak silny, że może nie dbać o to, co tam jacy cudzoziemscy staruszkowie prawią o przyszłych losach Polski i szczęściem nasza sprawa jest tak dobrze pojmowana przez ludy i publiczność europejską, że żadne, krzywe sądy dyplomatów przestarzałych, co pamiętają 1812 r. jakby wczoraj, co przez pięćdziesiąt lat niczego się nie nauczyli i o niczem nie zapomnieli, jej zdania spaczyć nie mogą. Nie należy jednak Zachodu utrzymywać w tym szkodliwym błędzie, jakoby było liczne stronnictwo w Polsce, które nie chce oderwania Polski od Rosyi i tylko pod berłem rosyjskiem spodziewa się ulepszenia bytu Polski. Chociaż dzisiaj krzątanie się p. Zamoyskiego ni piecze, ni boli, jednakże nie na zawsze Zachód odroczył rozważanie i podniesienie naszej kwestyi i nie na zawsze kraj może być obojętnym, co o nim reprezentanci narodów myślą i mówią”⁶⁵.

65 Przy tej sposobności dostał surowe napomnienie i generał Zamoyski: „...potrzeba wiedzieć, że z wyjątkiem mężów stanu, którzy sprawowali wysokie posady dyplomatyczne, a zatem mieli sposobność wyrobić i utworzyć sobie własne zdanie o zagranicznych kwestjach, pospolici lordowie i członkowie parlamentu tak przemawiają, jak zostali objaśnieni i nauczeni przez tych, co, mieniąc się naczelnikami polskich stronnictw, powinni znać sprawę Polski na palcach. Zwykle te wynurzenia mniej znacznych, angielskich przyjaciół sprawy Polski, można uważać za tłumaczenia sposobu myślenia samych, polskich naczelników. Otóż te tłumaczenia są dowodem, że mamy partją rosyjską, która nie chce odłączenia Polski od Rosyi, która do dziś dnia także niczego się nie nauczywszy, uważa traktat wiedeński za alfę i omegę praw, swobód, dążności i przeznaczeń Polski, że mamy stronnictwo, które wszelkie wystąpienie przeciw Rosyi będzie uważać jako smutny i niespodziewany wypadek, które przenosi zawisłość rosyjską nad Polskę wolną i niepodległą i któremu więcej chodzi o denuncjowanie zamiarów stronnictwa narodowego, jak o przedstawienie szeregu gwałtów, dzień w dzień przez Rosyą popełnianych. Kto nie wierzy, niech odczyta uważnie głos earla Ellenborough, który stara się naród polski odstraszyć od upomnienia się stanowczego o wszystkie, swoje prawa, przekonać go o łaskawości cara, a rzucenie się duszą i ciałem w objęcia Moskwy, przedstawić jako jedyną nadzieję ratunku i jedyną przyszłość. Wiemy z pewnością, że lord Ellenborough specjalnie był przez hr. Zamoyskiego

Pocieszano się więc tem i choć z góry wiedziano, że interpelacja Henesy'ego i rozprawy w izbie lordów nie będą miały rezultatu praktycznego, jednakże nie spodziewano się wyniku tak całkowicie, tak stanowczo sprzecznego z pragnieniami i dążeniami narodu. Bądź co bądź, cieszyć się nie było czego, a tem więcej dziękować Anglii; to jednak polityków domorosłych i agitatorów warszawskich nic nie obchodziło, oni tylko szukali sposobności do nowej demonstracji. W niedzielę, dnia 21 lipca, między godziną 5 a 6 wieczorem, zebrał się w ogrodzie Saskim tłum kilkunastotysięczny, przeważnie młodzieży rzemieślniczej i szkolnej, i z gałązkami oraz bukietami w rękach, ruszył przed mieszkanie konsula angielskiego, p. Edwarda Stanton, na rogu ulicy Mazowieckiej i Świętokrzyskiej, w celu podziękowania uroczystego, jak mówiono, narodowi angielskiemu, za współczucie okazane Polsce. Deputacya kilku osób, składająca się, według wieści, ze szlachcica, rzemieślnika, chłopca i studenta, weszła do domu i ofiarowała konsulowi z napisem: „wdzięczność narodowi angielskiemu za przychylność okazaną w sprawie polskiej. Warszawa d. 21 lipca 1861 r.” Prócz tego wręczonego Stantonowi adres, napisany przez jakiegoś polityka pokątnego⁶⁶, a najprawdopodobniej księdza, adres pełen frazesów górnolotnych, patetyczności niesmacznej, mglisty i po większej części pozbawiony sensu.

Zatytułowany on był: „Anglii – Warszawa” i brzmiał, jak następuje:

„Ja, matka, krwią męczeńską mych dzieci oblana, wdowa w szacie żałobnej, z kajdanami na rękach niewolnica, ja żywo trzymana w grobie, słę słowa dziękczynne do ciebie, narodzie angielski. Głos posła prześwietnej izby twej, głos pracowitych miast twoich, zdejmuję pieczęcie tajemnicze z mogiły, w której przemoc i obojętność Polskę pogrążyły. Na wołanie ze krwi i z łez moich do Boga, Bóg mi odpowiada ustami zacnego narodu. Chwała jemu, a dzięki tobie, Anglio! Wszystkiem, co pozostało we mnie żywe i nieśmiertelne w długoletnim męczeństwie, błogosławię twe starce, niewiasty, syny i córy na wieczną wolność i szczęście. Niech święci patronowie twoi zawsze i wiecznie przemawiają za tobą do Boga, boś ty, szanowana, cała i szczęśliwa Anglio, przemówiła za opuszczoną, rozdartą i ukrzyżowaną Polskę!”

uproszony na obrońcę sprawy Polski. Pan Zamoyski jest więc odpowiedzialnym za słowa jego”.

66 Policya tajna utrzymywała, że w przygotowaniu adresu i manifestacji, brał czynny udział hr. Skarbek, syn Fryderyka, niegdyś dyrektora Komisji sprawiedliwości i znanego w literaturze naszej pisarza. Chrulaw (loc. cit. 198) pisze, że stary hr. Skarbek na dwa dni przed manifestacją wiedział o tem, że ona się przygotowuje. Niemniej konsula angielskiego uprzedzono o zamiarach agitatorów, tak, że on postanowił wyjechać na ten dzień z Warszawy. Omyliła się tylko policya donosząc, że manifestacja gotuje się na sobotę, tymczasem odbyła się ona w niedzielę.

Konsul angielski, postać chłodna i sztywna, przyjął w milczeniu ofiarowany sobie adres i wieniec, wyrażając w ruchach i obejściu pewne zdziwienie i jakby pytanie, czego właściwie ten tłum chce od niego? Na ulicy tymczasem krzyczano: „niech żyje naród angielski!” Ktoś, prawdopodobnie jeden z deputatów, zjawił się na balkonie mieszkania konsularnego i zawołał: „niech żyje Polska!” Powitano ten okrzyk z uniesieniem i poczęto rzucać do mieszkania bukiety i gałązki zielone. Wszystko to odbyło się dość szybko i sprawnie; tłum, dokonawszy swego, rozszedł się zaraz, tak że gdy policja i wojsko nadbiegło na miejsce manifestacji, już tam nikogo nie było. Nazajutrz i tegoż jeszcze dnia zarzucono konsulatu kartami wizytowymi najrozmaitszych osób z miasta⁶⁷.

Konsul Stanton zachował się wobec całej, tej sprawy ze zrzęczością dyplomatyczną. Przyjąwszy w niemem milczeniu adres, odesłał go do Londynu wraz z ogromną ilością kart wizytowych, sam zaś udał się nazajutrz do namiestnika, z wyrazem nadzwyczajnego smutku na twarzy i ubolewaniem nad wczorajszym „krokiem szalonym”, jak mówił, mieszkańców Warszawy⁶⁸. Suchozanet ze swej strony także zabawił się dyplomacją. Chcąc, jak się sam wyrażał, ośmieszyć (ridykiulizował) demonstracją wczorajszą, a zarazem dać Stantonowi dowód swego szacunku za to, że się tak pięknie wczoraj znalazł, zaprosił go do siebie na obiad, o czym naturalnie konsul nie omieszkął także donieść swemu rządowi. Cesarz pochwalił postąpienie namiestnika i na tem cała ta sprawa się skończyła.

Na prowincyi nie ustawano także w manifestacjach i pod tym względem odznaczały się głównie większe miasta gubernialne. W Radomiu, w pierwszych dniach lipca (dnia 4), chciano wyprawić kocią muzykę gubernatorowi miejscowemu, Oppermanowi, człowiekowi nie lubianemu powszechnie. Dowiedziawszy się o tem dość wcześnie, zapobiegł nieprzyjemnej dla siebie historyi, przez zażądanie pomocy wojskowej. Gęste patrole poczęły przebiegać miasto, rozpedzały wszelkie usiłowania zbiegowisk, biły kolbami przechodniów i taki popłoch rzuciły, że kocia muzyka do skutku przyjść nie mogła.

W Kaliszu, mieście na wskroś zrewolucjonizowanem, dopuszczono się jeszcze śmielszej, zuchwalszej, że tak powiemy, awantury. Agitatorzy miejscowi dowiedzieli się, że d. 15 i 16 lipca, ma tam przybyć i stanąć garni-

67 N. Berg (Zapiski, 327), opierając się na śledztwie urzędowym, powiada, że zapotrzebowanie biletów wizytowych było tak wielkie, iż ledwie zdołały nadażyć z ich wyrabianiem wszystkie litografie warszawskie.

68 Suchozanet tak o tem donosi cesarzowi: „22 (10) lipca. Wczoraj w mieście była manifestacja, złożona z młodzieży klas niższych, przed konsulem angielskim, z wyrażeniem wdzięczności narodowi angielskiemu za współczucie dla Polski. Zachowanie się konsula wyborne. Jest on nadzwyczajnie zasmucony, nazywając to krokiem szalonym. Tłum rozszedł się przed przybyciem wojska. Manifestacji tej nie nadaję znaczenia narodowego”.

zonem pułk nizowski piechoty, ten sam, który strzelał do ludu w Warszawie w d. 27 lutego. Ponieważ powszechnem było błędne mniemanie, które przeszło do wszystkich relacji ówczesnych, że pułk ten brał udział w rzezi 8 kwietnia, więc nazwa jego była w obrzydzeniu w całym kraju. Postanowiono zatem pomścić się na nim i przy wejściu do Kalisza wyprawić mu kocią muzykę. Jakoż, kiedy pierwszy eszelon tego pułku pojawił się w mieście d. 15 lipca, powitano go niesłychanie wrzaskliwą serenadą. Władze miejscowe na razie straciły głowę, ale wreszcie zdobyły się na zwykłą, rosyjską energię, polegającą na puszczaniu na miasto gromady kozaków, którzy batami rozpedzili zbiegowisko. Taką samą sceną odbyła się nazajutrz przy wejściu drugiego eszelonu tegoż pułku do Kalisza.

Lud wiejski w tych wszystkich manifestacjach, rozszerzających się powoli na wsie, błyszczących strojami polskimi i brzmiących hymnami religijnymi na licznych odpustach, udziału wcale nie brał. Przypatrywał on się wszystkiemu ciekawie, ale z pewną trwogą nerwową, objawiającą się podobnym popłochem, jaki opisywaliśmy w czasie nabożeństwa w Ratowie. Bardzo często się zdarzało, że chłopci, usłyszawszy pieśń zakazaną, wychodzili z kościoła i tłumnie uciekali, jakby ich straszyla widmo tej Polski szlacheckiej, o którą „panowie” Boga prosili. Zaniepokojenie było wśród ludu powszechne, niczem nie wytłumaczono i przybierało cechę jakichś obaw, jakiejś zbliżającej się katastrofy straszliwej. Ukazanie się w końcu czerwca świetnej na niebie komety, której warkocz błyszczący przez parę tygodni jaśniał niezwykłym blaskiem, dodawało tym trwogom tajemniczym usprawiedliwienia, w wyobraźni zaboronnej chłopca polskiego było zapowiedzią klęsk, plag i nieszczęść, a nawet kary Bożej. Zdawało się, że zbliżają się wypadki, które zmienią postać rzeczy; ognisty palec przeznaczenia pisał na niebie biblijne Baltazarowe zgłoski. Zaszły przytem inne jeszcze okoliczności, które tym wierzeniom, a może przecuciom ludowym, nadawały znamię prawdopodobieństwa.

Jeszcze w czerwcu rozbiegła się po kraju wiadomość, że w lasach w okolicach Łukowa, Radzyna i Siedlec, w wielkich borach Świętokrzyskich i Suchedniowskich koło Kielc, w puszczy Kampinoskiej pod Warszawą, w ogromnych przestrzeniach leśnych powiatu Janowskiego (w Lubelskiem), a zapewne i w innych stronach, pojawiają się jacyś nieznani nikomu, obcy zupełnie w okolicy ludzie, ubrani biednie, w sukmany i koszule, wychylający się rzadko ze swych schronisk leśnych, ale zachowujący się spokojnie, rzec by można, świątobliwie. Tu i owdzie ukazywali się pojedynczo lub gromadką po kilku w chacie samotnej gajowego, owdzie spotkały ich dziewczęta wiejskie, zbierające grzyby lub jagody, gdzie indziej zaczęli kobietę wiejską, idącą z nabiątem do miasta i cały jej towar zakupili, płacąc gotówką i bez targu,

przemawiając łagodnie, tonem natchnienia mistycznego. Wkrótce zyskali oni wśród ludu wielkie poważanie przez swój wygląd skromny, poważny i świątobliwy. Zapytywani, kto są i czego chcą, odpowiadali alegoryjami, mienili się być ludźmi, którzy przyszli przez własne cierpienia odkupić cierpienia bliźnich. Lud uważał ich za pustelników, kających się w ciszy i samotności leśnej dawnych grzechów, ale sfery wyższe i policja widziały w nich agentów tajnych rewolucji, Mierosławczyków, rozesłanych po kraju, by lud przygotowywali do wielkiej, a bliskiej godziny powstania. Trudo dziś coś pewnego o tem powiedzieć, faktem jest w każdym razie, że ci tajemniczy emisaryusze, jak ich nazywano, przekradali się nocami tu i owdzie do plebanii, do dworów i wiedli tam narady. Policja prócz tego, z pogłosek nabyła przeświadczenia, że emisaryusze zdejmują plany pewnych miejscowości, że są w stosunkach z jakąś skrytą władzą w Warszawie, rezydującą w jednym z domów na Tamce, że pośrednikami w tych stosunkach są żydzi, przeważnie t. z. pachciarze wiejscy, że do nich przyjeżdżają młodzi ludzie z Warszawy i innych miast, że na koniec kwity, wystawiane przez emisaryuszów, są wypłacane sumiennie w stolicy kraju⁶⁹.

69 *Chrulew* (loc. cit. 116) widoczne na podstawie raportu tajnego policji, o emisaryuszach tych podaje szczegóły następujące: „nie ulega wątpliwości, że istnieje komitet rewolucyjny. W Warszawie komitet ten odbywać ma swe czynności w jednym z domów na Tamce. Jest nadzieja, że dom ten wkrótce będzie wiadomy. Niemniej pewnym jest, że komitet rzeczony znajduje się w ciągłych stosunkach z t. z. Mierosławczykami, czyli emisaryuszami, ukrywającymi się w lasach powiatów: siedleckiego, białskiego i radzyńskiego w gubernii lubelskiej i że do tych emisaryuszów wysłany został w tych dniach jeden z członków komitetu z jakimś rozkazem. Podczas nabożeństwa w kościele Dominikańskim d. 24 (12) lipca zebraniem składek pieniężnych zajmował się wiadomy Małachowski. Jest on członkiem komitetu rewolucyjnego i stąd przypuszczać można, że pieniądze, zbierane w kościołach w czasie nabożeństw i na Powązkach, wpływają do komitetu. Przed dwoma tygodniami, emisaryusze zjawili się w nocy u żyda pachciarza w jednej z wiosek w pobliżu Kałuszyna i zabrali mu 100 złp. gotówką, nieco chleba i znaczną ilość serów. Na wszystko to dali mu kwit, adresowany do jakiegoś domu w Warszawie, gdzie żyd otrzymał w całości przynależne mu pieniądze. Otrzymano na koniec wiadomości, że żydzi mieszkają w miastach, w pobliżu tych miejscowości, w których ukrywają się emisaryusze, komunikują im wszelkie wiadomości i ostrzeżenia, jak to miało miejsce przed rewizją, dokonaną niedawno z rozporządzenia władzy w gubernii lubelskiej”. *A. Giller* znowu („Historia pow. nar. pol.” II, 365 – 367) inne co do tych emisaryuszów tajemnych robi przypuszczenie. „Po lasach, jeszcze w 1861 i w 1862 r. – powiada on – na Podlasiu w Królestwie i w wielu okolicach Litwy, ukazali się jacyś, tajemniczą osłonici agitatorowie socjalni, zwani *leśnikami*. Chowali się po lasach, tylko z chłopami wdawali się w rozmowy, unikali dworów i ludzi wykształconych; sami zaś mieli pozór ludzi świątłych i znali, prócz polskiego, różne, obce języki. Po wielekroć razy wydawano z Warszawy, z grona patriotycznego polecenia do zbadania charakteru misji i sposobów propagandy leśników. Jedna i druga pozostały tajemnicą”. Przypuszcza dalej, że rząd rosyjski „w przewidywaniu powstania używał konspiracyjnych sposobów działania leśników do przygotowania kontrrewolucji” – „że leśnicy

Bądź co bądź, czy to wszelako było prawdą, czy też tylko pogłoską, wszelako pojawienie się tych emisaryuszów w ciemnych, na pół dziewiczych borach niektórych okolic kraju, wywierało wpływ denerwujący na lud, natężyło jeszcze bardziej i tak już mocno naprężone struny niepokoju powszechnego.

Natomiast nic takiego się nie pojawiało, co by ten niepokój ukołysać mogło, co by w kraju, grzmiącym już daleką jeszcze, ale zbliżającą się nieustannie burzą, ciszę zdołało przywrócić, na horyzont chmurny ojczyzny sprowadzić pogodę i jasnym blaskiem słońca oświecić nieszczęsną i zawsze czarną dolę polską. Zapuszczając się dalej w tę drogę Dantejską cierpień narodowych, zobaczymy z kolei rzeczy, jak Polska, w obłądnie jakimś, powoli sama, własnymi rękami kopała grób, w który lec miały na długą noc niedoli całe jej przyszłe pokolenia.

byli agentami najazdu, gotującymi przed powstaniem społeczne zaburzenie”. Przypuszczenie to jednak, nie zdaje się być uzasadnionem.

ROZDZIAŁ X

Mój Hamlet

Reforma policji. Śmierć Czartoryskiego. Nabożeństwo żałobne. Scena z arcybiskupem. Oburzenie kamarylli na Wielopolskiego, który podaje się do dymisy. Zygmunt Wielopolski jedzie do Petersburga. Rozkaz cesarski. Spokój pozorny. Nabożeństwo w kirsze luterskiej. Stanowisko Prus wobec kwestyi polskiej. Usposobienie miasta. Procesya do Częstochowy. Zjazd w Zamku na imieniny cesarzowej. Manifestacya w kościele. Wybijanie szyb wieczorem. Mniemane zabójstwo Antoniego Polaczka. Awantura w ogrodzie Saskim. Szkołki elementarne. Braterstwo z żydami. Pojawienie się „Jutrzenki” i „Strażnicy”. Nadużycia i gwałty na prowincyi. Podróż Nazimowa po Grodzieńskim. Ruch w Galicyi. Wypadki w Mławie i Białymstoku. Obchody unii litewskiej w d. 12 sierpnia. Odezwa. Zamiary agitatorów. Ogłoszenie Suchozaneta. Obchód unii w Warszawie, Piotrkowie, Kaliszu, Łodzi, Płocku, Mławie, Lublinie, Kielcach, Białym podlaskiej, Grodnie, Druskienikach i Wilnie. Zabawa w lasku Belmonckim. Program obchodu w Kownie. Przygotowania ze strony rosyjskiej. Wystąpienie procesyi. Atak kozaków Popowa. Połączenie się obu procesyi. Nabożeństwo w Piątku. Wrażenie tej manifestacyi i jej następstwa. Dzień 15 sierpnia. Napoleon III i Polska. Nota w „Monitorze”. Nieudanie się manifestacyi. Odezwa duchowieństwa. Woronow w Kaliszu. Wypadki w Tarnogórze. Obchód rocznicy bitwy pod Dubienką. Zaburzenia w Grodnie i Wilnie. Pogłoska o procesyi kowieńskiej. Dzień 18 sierpnia. Atak wojska. Znaczenie wypadków wileńskich. Zaprzeczenie Nazimowa. Hrabia Lambert, jego przeszłość i charakterystyka. Jego przejazd przez Warszawę. Pobyt w Petersburgu i nominacya na namiestnika. Gerstenzweig, jego przeszłość i stosunek do Lamberta. Zakończenie.

Wśród tak oplakanego położenia kraju, gdy zdawało się, że wszystkie podstawy porządku społecznego pękają i ze swych fug wychodzą, Suchozanet drzemał po dawnemu w pałacu Belwederskim, odbywał przeglądy wojsk, odwiedzał obozowiska, jadł kaszę z kotłów żołnierskich i pił wódkę, istotnym zaś rządem mało się zajmował, gdyż to go ani interesowało, ani tego nie rozumiał. Kiedy w kraju każdy dzień nieomal przynosił nowe fakta, świadczące o wzburzeniu powszechnem umysłów, gdy wszystko i ludzie, i rzeczy, pędziły szalonym biegiem ku strasznej i widocznej już teraz przyszłości, Sezostrys warszawski zajmował się drobiazgami i więcej go obchodziło zapadnięcie się jakiejś ulicy wskutek deszczów ulewnych⁷⁰, niż

⁷⁰ W d. 12 lipca telegrafuje do cesarza: „częste deszcze szkodzą zasiewom; wczoraj ulewa spowodowała znaczne zapadnięcie się na ulicy Długiej”. Nazajutrz to samo donosi:

najważniejsze fakta i objawy, zdradzające ten stan szalonej gorączki, ogarniającej Polskę i jej dolę. Rząd pozornie surowy, nawet srogi, przybierający powoli charakter despotyzmu i samowoli wojskowej, w gruncie rzeczy był słaby i niekonsekwentny. Chwytając tylko fakta powierzchowne, tłumiąc zewnętrzne, uliczne objawy, roztaczając przed oczami sztychujących z tego Warszawian znaczne siły wojenne, nie sięgał nigdy i nigdzie do głębi, nie badał choroby i nie pojmował tego, że trzeba ją leczyć radykalnie, że trzeba złe ziele wykorzeniać, wyrwać je z gruntu, a nie przycinać mu tylko liści. Do tego jednak ani Suchozanet, ani jego doradcy, ciasnogłowi żołnierze i karyerowicze, nie byli zdolni.

Policya, jakeśmy to już kilkakrotnie zaznaczyli, nie odpowiadała swemu ważnemu zadaniu. Jakkolwiek na początku roku zwiększono ją znacznie, nie wystarczała jednak na dozór ścisły nad miastem, była źle uorganizowana i złożona w większej części z Polaków, łatwo ulegała zarazie rewolucyjnej. Jeszcze za Górczakowa powzięto myśl zreformowania zupełnego tego pierwszorzędnego narzędzia rządu.

Ale jak zwykle w Petersburgu, nim projekt odnośny zredegowano, nim on przeszedł przez narady i krytykę różnych komisji, czas kosztowny zawsze, a teraz cenniejszy od złota, upływał i złe rosło. Powierzono na koniec całą sprawę Potapowowi, który wybierał się do Warszawy dla przypatrzenia się rzeczom na miejscu, jakkolwiek w rysach zasadniczych, projekt organizacji był już gotowy. Przybył on wreszcie do stolicy polskiej w d. 3 lipca i dla narady nad tym przedmiotem, wezwał wybitniejszych w mieście obywateli, a mianowicie kupca Józefa Kwiatkowskiego i właściciela domu Jana Grabowskiego, obu znanych nam już ze swego, czynnego udziału w Delegacji warszawskiej. Narady trwały blisko tydzień, były dość ożywione i dały wielokrotnie wyborną sposobność deputatom polskim wyszydzenie Potapowa, jego ciasnoty pojęć i zdumiewającej nieznajomości przedmiotu, który miał reformować. Bądź co bądź, projekt został ułożony; zamierzono znacznie zwiększyć policję, miasto podzielić na liczne rewiry policyjne, na czele których stojący podoficer winien baczną zwracać uwagę na to, co się dzieje w jego rewirze, znać wszystkich w nim mieszkańców, sposób ich zajęcia, usposobienie i dążności. Na wszystkich ulicach miasta, na rogach, w ludniejszych okolicach, postanowiono, by nieustannie znajdowały się stráže policyjne i czuwały nad porządkiem. Obostrozono przepisy i instrukcje dla komisarzy cyrkulowych; zadecydowano z Petersburga sprowadzić znaczną liczbę policyantów rosyjskich w celu podniesienia ducha w policji warszawskiej i zniszczenia w niej zakradającej się

„przedwczoraj burza i ulewa w czterech miejscach w mieście wywołała znaczne zapadnięcia się na ulicach, zagrażające bezpieczeństwu domów”.

zarazy rewolucyjnej. Wreszcie postanowiono zmienić umundurowanie, nie bez wpływu Wielopolskiego na tęczę reformy, który chciał, by „milicya” warszawska, jak ją zwać miano, nosiła mundur granatowy i białe guziki, przypominające mundury niegdyś polskie. Potapow z tem wszystkim wyjechał z powrotem do Petersburga (d. 9 lipca) i cesarz chciał, by cały projekt przedstawiono mu do zatwierdzenia za pośrednictwem Rady stanu, zgodnie zresztą z prawem świeżo do Królestwa wprowadzonym. To się nie podobało Suchozanetowi, a raczej otaczającej go kamarylli wojskowej, która chciała w skrytości duszy, by Rada stanu była czczym wyrazem, by była instytucją bez władzy, wpływu i znaczenia, by rząd, a raczej garść generałów ograniczonych umysłowo i złych, po dawnemu wydawała rozporządzenia prawomocne, znosiła lub ustanawiała nowe władze, zmieniała je wedle swego widzimisie, nie odnosząc się do nikogo i nie pytając o to nikogo. Pisał tedy Suchozanet do cesarza, że ta droga zatwierdzenia projektu reformy policji napotka poważne trudności, że rzecz cała się zwlecze, co jak najszkodliwiej oddziała na stan porządku publicznego⁷¹. Na szczęście, cesarz miał uczciwsze pod tym względem zasady i przez szczególny zbieg okoliczności, przez usposobienie liberalne, któremu w tej porze jeszcze w zupełności hołdował, chciał on szczerze i stanowczo, by przyręczone i ogłoszone reformy weszły w całej, swej rozciągłości w wykonanie. Nie cofnął więc rozkazu, by projekt o policji przeszedł najprzód przez Radę stanu, która go w zupełności zatwierdziła. W kwestyi tylko umundurowania, cesarz rzecz odłożył do czasu przybycia do Warszawy generała Lamberta, który w tej porze, w pierwszych dniach lipca, stanowczo był uznany za namiestnika Królestwa.

Tymczasem, gdy nowa policja się organizuje, gdy Rada stanu odbywa swe posiedzenia, do Warszawy d. 16 lipca przyszła wiadomość, że w Montfermeille pod Paryżem, zmarł w d. 15 t. m. wieczorem samym, sędziwy Adam książę Czartoryski, w 93 roku życia. Śmierć ta w kraju nie zrobiła wielkiego wrażenia; dla młodzieży, wychowanej w szkole Muchanowa, Czartoryski był osobistością całkiem nieznaną i obojętną, i jeżeli o nim teraz w kołach tych mówiono, to tylko dlatego, że zdarzała się sposobność wyprawienia nowej manifestacji. Za to wśród ludzi arystokratycznych, wrażenie było wielkie i głębokie.

Imię księcia Adama przypominało świetną, błyskotliwą, pełną nadziei uroczych epokę napoleońską i aleksandryjską, dni chwały wojennej polskiej, dni

71 „Rozkaz przedstawienia projektu reformy policji przez Radę stanu, napotka poważne trudności i zgubne opóźnienie. Uważając urzeczywistnienie niezwłoczne tej sprawy jako główny środek zabezpieczenia porządku, postanowiłem jutro wysłać kuryera z doniesieniem szczegółowym”. (Depesza z d. 12 lipca (30 czerwca)).

pełni życia narodowego. Zawsze, czy to jako minister rosyjski, czy jako kura-
tor okręgu wileńskiego, czy jako członek Rządu narodowego polskiego, czy na
koniec jako wygnaniec podnoszący przy każdej sposobności głos za Polską,
zawsze widziano w nim człowieka zacnego i patriotę rzetelnego, ceniono wy-
soko jego długą, wytrwałą i ciągłą służbę dla ojczyzny. A choć lepiej świadomi
rzeczy, utrzymywali w cichości, że historia nie zawsze będzie widziała czyste
i patriotyczne pobudki w działaniu Czartoryskiego, nie zawsze postępowanie
jego uważać będzie za zgodne z ideą patriotyczną i zdrowym poczuciem po-
trzeb narodowych, to jednak nikt się z tem głośno odezwać nie śmiał, a jeśli
się odzywał, uważany był za „wściekłego demagoga”, za rewolucjonistę skraj-
nego. Pogrzeb zmarłego, odbył się w Paryżu z przepychem i wspaniałością;
opowiadano sobie nawet, że za trumną, pokrytą płaszczem z purpury i grono-
stai królewskich, niesiono koronę, koronę polską, która podobno zdziecinia-
ły starzec dał sobie tajemnie włożyć na głowę...

Zaraz też po kraju obiegał poczał w licznych odpisach testament politycz-
ny zmarłego. Napisany w tonie pełnym rezygnacji religijnej, zachęcał swych
współtowarzyszy w emigracji, by dalej prowadzili tę samą służbę, jaką ksią-
żę Adam pełnił przez lat trzydzieści, jakkolwiek „kraj teraz wziął na siebie
ster sprawy”; wszelako „do emigracji należy dzisiaj opowiadać i tłumaczyć
czynności kraju, bronić praw narodowych przed opinią i rządami Europy,
oraz zawiązywać i rozwijać te z obcemi państwami stosunki, które Polsce do-
pomóc mogą i do jej wydobycia się z niewoli i do jej niepodległego w przy-
szłości życia i działania”. Oddając kierownictwo tej akcji młodszemu synowi
Władysławowi, tak kończy zgrzybiały dyplomata polski ostatnią swą wolę:
„z głębokiem uczuciem pokory i rzewnego przejęcia, dziękuję Bogu, że mi
pozwolił doczekać chwili, w której przyszłość mojego narodu już z większej
niepewności odsłaniać się zaczyna. W długiem, mojem życiu przekonałem
się, że ilekroć Pan Wszechmocny spuszczał na nas rękę karzącą, to nie dla na-
szej zaguby, ale dla naszej poprawy. Ufajmy przeto Jego miłosierdziu, ufajmy
przyczynie naszej Niebieskiej Królowej, a w każdym działaniu raczej o to się
troszczmy, co korzyść wiekuistą, niż to, co chwilową obiecywać się zdaje”⁷².

Jakkolwiek testament ten nie nosił na sobie piętna rewolucyjnego, wsze-
lako pewność, z jaką stojący nad grobem starzec mówi o przyszłości narodu
jakoby świetnej, złą przysługę czyniła krajowi, bo utwierdziła tych wszystkich,
którzy mieli zwrócone oczy na pałac Lambert, w przekonaniu, że to, co dotąd
robiono było dobrem, że tak samo dalej postępować należy, nic nie czynić
w kraju takiego, co by mogło spowodować jego uspokojenie, a za to liczyć

72 Testament ten pomieszczamy w całości z odpisu współczesnego, w zbiorze dokumentów,
na końcu tego tomu wydrukowanych, pod No 2.

wiele na zagranicę i ubiegać się o jej puste słowa ubolewania. Testament ów, powtarzamy, obiegał po kraju w tysiącnych odpisach i chciwie był czytany przez wszystkich, zachęcając niejako do wytrwania na raz obranej drodze.

Nie dziw więc, że śmierć osobistości tak wybitnej, nie mogła przeminąć bez manifestacji głośnej i publicznej, do której w rzeczy samej gotowano się w Warszawie i kraju. Wielopolski widział to doskonale i postanowił osłabić doniosłość i znaczenie manifestacji przez zezwolenie urzędowe na odbycie nabożeństwa żałobnego. Był to krok bardzo zręczny; wydierał on inicjatywę obchodów żałobnych z rąk ruchu, zadawałniał arystokrację i szlachtę, zadość wreszcie czynił potrzebie wewnętrznej Wielopolskiego, który chciał tym sposobem uczcić wielkiego obywatela polskiego i swego niegdyś zwierzchnika. W tym celu zawiadomił drogą urzędową arcybiskupa Fijałkowskiego, że władza nic nie ma przeciw odprawieniu nabożeństwa za spójność duszy zmarłego, prosił tylko, by nie urządzano takich obchodów w całym kraju, „bo książę Adam Czartoryski nie znajdował się w czasie zgonu w rządzie osób u steru rządu Królestwa naszego będących, lub wysokie godności w kraju posiadających, po śmierci których należałoby w całym kraju urządzać nabożeństwa publiczne”.

Rzecz prosta, że zastrzeżenie to niewiele pomogło, obchody żałobne odbyły się w całej Polsce, jak się tego zresztą spodziewać należało.

W Warszawie arcybiskup, korzystając z pozwolenia urzędowego, zapowiedział publicznie przez gazety, że „nabożeństwo za spójność duszy ś. p. Adama ks. Czartoryskiego”, odbędzie się w poniedziałek, d. 22 lipca, jako w oktawę śmierci. Miasto przybrało wygląd uroczysty; wszystkie sklepy podczas nabożeństwa były zamknięte i niezliczone tłumy pociągnęły do wspaniałej świątyni gotyckiej św. Jana, gdzie sam arcybiskup miał celebrować. Fijałkowski jednak był tylko obecnym, siedząc na tronie arcybiskupim, a nabożeństwo odprawił biskup Plater. W kościele znajdowało się wielu żydów, licznie była reprezentowaną arystokracja, Klemensowczycy; widziano Andrzeja Zamoyskiego, widziano i Zygmunta Wielopolskiego, syna margrabiego. Nastrój obecnych był bardzo uroczysty; zdawało się wszystkim, że chowają ostatni szczytek lepszych, piękniejszych dni... Samo nabożeństwo odbyło się zresztą spokojnie, pieśni religijno-patryotycznych nie śpiewano wcale⁷³. Ale jeżeli agitatorzy

73 Tak utrzymują wszystkie relacje polskie, co wreszcie potwierdza telegram Suchozaneta do cesarza z d. 23 lipca: „nabożeństwo żałobne za Czartoryskiego odbyło się w porządku (z błagocznem) bez kazania i hymnów narodowych”. Mikołaj Berg atoli (Zapiski, 327) inaczej twierdzi i jaskrawemi barwami maluje nabożeństwo: „Sam arcybiskup, pisze, świadek osobisty tego, co inni sobie przypominali, zalewając się łzami, nie czuł nawet, jak z ust jego wybiegło i uniosło się ku niebu: Boże, coś Polskę... Świątynia drgnęła, wszyscy

w kościele zachowali się poważnie, jeżeli powstrzymali się od odśpiewania nieuniknionego w takich razach hymnu, to wynagrodzić to sobie postanowili poza kościołem.

Gdy bowiem Fijałkowski ukazał się na ulicy, powitano go grzmiącym okrzykiem: „niech żyje nasz arcybiskup! Niech żyje arcybiskup warszawski!” Otoczono powóz i grupa młodych ludzi, ubrana żałobnie, wyprzęgła konie i wśród wrzawy głośniejszej, mimo prośb arcybiskupa, poczęła go ciągnąć, w czym dopomagał im rosnący nieustannie tłum. Nakładając drogi, widocznie w celu nadania całej sprawie rozgłosu większego, ciągniono powóz przez ulicę Śto-Jańską, Stare miasto, Gołębią, Podwale, Kapitulną na Miodową do pałacu arcybiskupiego. Tu siwy, zgarbiony arcykapłan ukazał się na balkonie, pobłogosławił tłumy i prosił je rozejść się spokojnie, co też uskuteczniło.

Na tem skończyło się wszystko i śmierć Czartoryskiego, wbrew oczekiwaniom wielu, nie dała powodu do żadnych innych zaburzeń. Nabożeństwa w innych kościołach warszawskich i w kraju odbywał się wszędzie cicho i spokojnie, niczem nie zwracając na siebie uwagi⁷⁴. Ale za to w sferach wojskowych, w zjadliwej i złej kamrylli namiestnikowskiej, te nabożeństwa za człowieka skazanego na śmierć przez rząd rosyjski, za przestępcę politycznego, jak mówili, ta manifestacja z wyprzęganiem koni u powozu arcybiskupa, wywołała gniew gwałtowny. Poczęto powstawać na Wielopolskiego, że dał zezwolenie urzędowe na modły publiczne za zbrodniarza stanu, za człowieka pozbawionego wszelkich praw, za zdrajcę państwa. Suchozanet zrazu zdawał się przyznawać zupełną rację Wielopolskiemu, pisał do cesarza: „jestem przekonany, że przez dozwoleństwo na nabożeństwo żałobne, usunięto samowolne nabożeństwa we wszystkich kościołach, czemu sprzeciwić się przy pomocy siły wojskowej wewnątrz kościołów byłoby niemożliwym”.

Cesarz ze swej strony uznał słuszność tego twierdzenia, nie gniewał się o nabożeństwo, byle tylko odtąd na żadne, inne manifestacje nie pozwalano⁷⁵. Zdawałoby się więc, że przynajmniej co do tej sprawy Wielopolski wolen być powinien od wszelkich skarg i wyrzutów; tymczasem inaczej się stało. Suchozanet, jakeśmy to już powiedzieli, był starcem zdzieciniałym, którego każdy mógł łatwo przekonać i zyskać na swą stronę. Chwaląc dziś Wielopolskiego

upadli na kolana i zaśpiewali dalsze: „otaczał blaskiem potęgi i chwały” – i jak grom Boży rozległy się pod ciemnym sklepieniem odwiecznym słowa końcowe strofy: „Przed Twe ołtarze zanosim błaganie, ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie!”

Scena bardzo patetyczna, niezaprzeczenie pięknie opisana, ale nieprawdziwa. Nikt nie śpiewał i nabożeństwo nie miało w ogólności żadnego charakteru manifestacyjnego.

74 W Wiedniu odbyło się także nabożeństwo d. 21 lipca, w kościele św. Ruprechta.

75 Depesza z Peterhofu z dnia 11 (23) lipca.

za pozwolenie na nabożeństwo, nazajutrz, pod wpływem swego otoczenia, począł się na margrabiego oburzać i wyrzuty mu czynić tym tonem ostrym, surowym, gburowatym i karcącym, jaki zwykli przybierać w Polsce generałowie rosyjscy. Ale jeżeli kto, to Wielopolski nie był zdolny do znoszenia tego rodzaju napomnień i wyrzutów, zwłaszcza, że postąpił tak, jak nie można było lepiej w obecnych okolicznościach postąpić. Stosunek więc wzajemny przybierał coraz ostrzejszy, coraz nieznośniejszy charakter. Te ciągle napaście Suchozaneta, to jego pomiatanie ustawami, ta samowola wojskowa, budziła wśród bliższego otoczenia margrabiego, które wiedziało o jego starciach z Sezostrysem, podejrzenie, że dzieje się to wszystko według pewnego, z góry nakreślonego planu. Mówiono, że taki zwykły „stupajak”, jak generał Suchozanet, pozbawiony wszelkiej woli i inicjatywy, nie ośmieliłby się nigdy zacząć tak wybitnej postaci, jak Wielopolski, gdyby na to nie miał wyraźnych zleceń tajemnych⁷⁶. Zdanie to, objawione margrabiemu i w nim wzbudziło podejrzenia; twierdzono, że użyto go tylko chwilowo, że zresztą stało się to z woli Górczakowa, ale że teraz nie chcą już magnata polskiego na urządzie, magnata, który swą postacią olbrzymią zdaje się przeważać wszystkich generałów i wszystkich Sezostrysów moskiewskich...

Jakkolwiek bądź, czy w istocie tak było, czy nie, położenie stawało się bardzo drażliwym i śliskim; na koniec sprawa nabożeństwa za Czartoryskiego była tą kroplą, która przepełniła naczynie. Wielopolski zdecydował się na krok heroiczny i w cztery dni po obchodzie żałobnym za księcia Adama, dnia 26 lipca, podał się do dymisyi. „Podobało się Waszej Ekscelencyi, mówił w piśmie wystosowanem do Suchozaneta, okazywać mi wielokrotne swe niezadowolenie. Czyny, które wywołały naganę Waszej Ekscelencyi, są następujące: obchodzenie żałobnego nabożeństwa za księcia Czartoryskiego; użycie w przekładzie mowy W. E. wyrażenia „potrzeby i życzenia kraju”, uświęconego przez depezę księcia ministra spraw zagranicznych, donoszącą o reformach udzielonych przez Jego Cesarską Mość Królestwu Polskiemu; na koniec zasady, bronione przeze mnie odnośnie do nadużyć władzy generała Rudanowskiego, dowodzącego w gubernii Augustowskiej. Miałem już zaszczyt przedstawić W. E., że w chwili, gdy rząd Królestwa stara się o to, by kraj mógł korzystać z dobrodziejstw J. Ces. Mości, nie mogę zgadzać się na akta, których skutek odbierałby nam gwarancją prawa i porządku sądowego; akta, które są przeciwne zastrzeżeniom, zrobionym przeze mnie w chwili wejścia do rządu, a których stan kraju wcale nie usprawiedliwia. Nie mogąc dłużej w tych

⁷⁶ Odgłos tej opinii, niczem jak dotąd nieusprawiedliwionej, przedarł się nawet do dzieł drukowanych. K. Gregorowicz w swym „Poglądzie krytycznym na wypadki z r. 1861/2 i 3” wyrażnie i tonem pewności zdanie to wypowiada.

warunkach służyć pożytecznie cesarzowi i królowi, służyć mu tak, jak mi to nakazują moje uczucia wiernopoddanicze i dobro mego kraju, upraszam W. E. o przedstawienie mej dymisji do podnóżka tronu”. Przy tej sposobności, „spodziewając się opuścić Warszawę w ciągu kilku dni”, przedstawił namiestnikowi prace, jakie przygotował dla przedłożenia ich Radzie administracyjnej Królestwa, a mianowicie: raport o nadużyciach popełnionych przez generała Rudanowskiego; projekt do prawa o przypuszczeniu żydów do używania praw cywilnych; projekt organizacji komisji wyznań i oświecenia publicznego; uwagi nad projektem komisji skarbu o nowym rozkładzie podatku gruntowego wraz z propozycją częściowych i natychmiastowych ulg w tej mierze.

Podając się do dymisji, Wielopolski w gruncie rzeczy nie miał wcale ani zamiaru, ani chęci opuszczenia swego stanowiska. Byłoby to najprzód zbyt dotkliwym dla jego dumy, dla jego żądz władzy, do której na koniec po tylu latach się dostał, w której wreszcie był potrzebnym ze względu na dobro kraju. Krok ten po prostu obliczony był na silniejsze utwierdzenie się w tej władzy, gdyż pewnym był, że cesarz nie zgodzi się na jego ustąpienie; była to na koniec próba wyjaśnienia podejrzeń, które wobec postawy Suchozaneta poczęły opanowywać umysł margrabiego, jakoby w Petersburgu chciano się go pozbyć i uważają go za urzędnika niewygodnego i kompromitującego⁷⁷.

⁷⁷ Lisicki („Le marquis”. II., 214) tak samo utrzymuje, że Wielopolski nie chciał wcale opuszczać swego stanowiska i nazywa jego krok, według terminu teatralnego, „une fausse sortie”. Zdaje nam się atoli, że się myli twierdząc, jakoby Wielopolski przez to miał na celu usunięciu z Warszawy Suchozaneta. Niepodobna przecież przypuszczać, by nie wiedział, że pobyt tego ostatniego w stolicy polskiej był tylko czasowy i że właśnie w tej chwili miał się już stanowczo ku końcowi. Dnia 30 lipca, cesarz donosił Sezostrysowi, że jego następca Lambert przybędzie do Warszawy za tydzień. Nie potrzeba więc było używać tak niepewnego środka, jak dymisja, gdyż nikt nie mógł zaręczyć, że ona nie będzie przyjętą, ale lepiej i rozumniej by było czekać cierpliwie jeszcze tę parę tygodni, zwłaszcza, jeżeli się czekało dwa miesiące i znosiło kaprysy i nadużycia dzieciinniałego starca. Otóż, naszym zdaniem, Wielopolskiemu szło nie o Suchozaneta, ale o zbadanie opinii Petersburga, o przekonanie się, czy twierdzenia jego przyjaciół są uzasadnione lub nie. Że tak było, świadczy jego list, jaki wystosował do jednego z dygnitarzy urzędowych w Petersburgu w sprawie swej dymisji „Zrzekłem się mych obowiązków, pisze w tym liście, a zrobiłem to wtedy dopiero, gdy spostrzegłem, że me uwagi co do aktów nielegalnych pozostają bez skutku. Nie mogę przypuścić, ażeby nowy system (Suchozaneta), zastępujący porządek legalny rządem wojskowym, miał za sobą aprobację J. C. Mości; a nie mogąc brać na siebie odpowiedzialności za te czyny, co dzień się powtarzające, zmuszony byłem rzec się mego stanowiska i czekać na rozkazy cesarza. Położenie kraju zresztą niczem nie usprawiedliwia wyjątkowego stanu, wprowadzonego do niektórych miast prowincjonalny. Od chwili ogłoszenia prawa o skupie pańszczyzny, ludność wiejska uspokoiła się i okazuje usposobienie nieprzyjazne wszelkim usiłowaniom wywołania zaburzeń. Właściciele ziemscy, żywo zajęci kwestyą oczynszowania, w większej części zdecydowani są na przy-

Suchozanet ze swej strony, mając w ręku pismo Wielopolskiego, trzymał je u siebie przez pięć blisko dni bez decyzji stanowczej i bez uwiadomienia o niem cesarza. Jakiemi pobudkami w tym względzie się kierował, trudno odgadnąć; może przerażała go stanowczość tego kroku, wstrętna zawsze starcom, może wreszcie zwykłe jego lenistwo wzięło tu górę, dość, że dopiero dnia 30-go lipca uwiadomił cesarza o piśmie margrabiego i przesłał je do Petersburga w kopii dosłownej. Zdaje się, że ostatecznie zmusiło go do tego nowe żądanie Wielopolskiego, w tym dniu właśnie przedstawione namiestnikowi. Margrabia chciał, aby syn jego Zygmunt mógł jechać do Petersburga. Ta okoliczność oraz obawa, by cesarz nie dowiedział się wprzód z innych ust o całej sprawie zmusiła Suchozaneta do uwiadomienia monarchy o wszystkim. Pisał więc, że główną przyczyną postanowienia Wielopolskiego są decyzje jego, namiestnika, co do przestępców, bez uwagi na sądy miejscowe; że margrabia pragnie wysłać swego syna do stolicy caratu w tym celu, by przedłożył cesarzowi szczegóły całej sprawy; że na koniec on, Suchozanet, przez osobnego kuriera, wyprawi jutro (dnia 31 lipca) odpowiedź na zarzuty Wielopolskiego co do legalności lub nielegalności swego postępowania, ażeby je rozpatrzone nie tutaj w Warszawie, ale w cesarstwie.

jęcie poważnego udziału w radach powiatowych i gubernialnych. Klasa wyższa inteligencji, zaspokojona przez reformy i przez wybór członków do Rady stanu, nabiera zaufania do rządu i wywiera w tym względzie wpływ zbawienny na resztę kraju. Żywiol burzliwy ogranicza się na prowincyi na ludności miejskiej, podniecanej przez agitatorów i przez kilku księży egzaltowanych, jak również na pewnej liczbie urzędników niższych. Poważna część mieszkańców miast, żydzi, pozostali obcy ruchowi, a nowa ustawa o przypuszczeniu ich do używania praw cywilnych, wywiera pod tym względem wpływ stanowczy. Otóż, wysyłanie do Rosyi wielu osób, uwięzionych pod zarzutem wywoływania nieporządków, między którymi znajdują się księża, wysyłanie wyrzekane bez sądu, na skutek prostego śledztwa komisji wojennych, przekracza granice usprawiedliwionej represyi; nie mówiąc już nic o naruszeniu art. 8 prawa o zbiegowiskach. Te środki nadzwyczajne wywołują trwogę wśród ludności spokojnej, trzymającej się ciągle z dala od wszelkich nieporządków. W dniu mej instalacyi w komisji sprawiedliwości, położyłem nacisk na to prawo, zdecydowane w przeddzień przez radę, z mocy upoważnienia specjalnego J. C. Mości, jako reforma dobroczynna w prawodawstwie karnem; zaznaczyłem przytem, że, z mocy tego prawa, kary zasądzone cierpiane będą w twierdzach kraju. Sposób postępowania przyjęty w ostatnich czasach, zadaje kłam prawu usankcjonowanemu przez monarchę, jak również mym zobowiązaniom publicznie wypowiedzianym. Nie zaniedbałem również niczego, by zapobiedz temu postępowaniu, według mnie szkodzącemu interesom J. Ces. Mości, ale uwagi moje nie zostały uwzględnione, do czego ma prawo naczelnik wydziału. Takie postępowanie ze mną, winienem w części przypisać temu, że dotąd jestem urzędnikiem pełniącym tylko obowiązki. (W komisji sprawiedliwości, Wielopolski był dotąd pełniącym obowiązki dyrektora). Upraszam Waszą ekscelencyą uwiadomić Jego C. Mość o mojem wyjaśnieniu. Rozkazy J. C. Mości, mam to przekonanie, będą zawsze takimi, że zdołam je pogodzić z mym honorem i powinnością”. List ten więc w sposób niezaprzeczony potwierdza nasze przypuszczenie, wyżej wyłuszczone.

Tymczasem margrabia nalegał na to, by syn jego jechał nad Nową. Więc Suchozanet dnia 31 lipca znowu co do tego cesarza zapytuje i sądzi, że lepiej decyzją przyspieszyć, żeby młody Wielopolski mógł przybyć do stolicy przed wyjazdem stamtąd Lamberta, „można przypuszczać, pisał w końcu, że Wielopolski przy tej sposobności wywnętrzy się zupełnie (wyskażetsia sonierszeno)”. Na to wszystko przyszła odpowiedź cesarska dopiero dnia 1 sierpnia, ubolewająca nad postanowieniem margrabiego (wieśma sożaleju o namiereniu Wielopolskiego), żądająca objaśnień bliższych, pozwalająca na przybycie jego syna do Petersburga, ale nie odrzucająca wcale dymisji⁷⁸.

Sytuacja przez to stawała się bardzo niebezpieczną i groźną, i podróż Zygmunta Wielopolskiego była tem konieczniejszą. Skoro więc pozwolenie cesarskie przyszło, ojciec wysłał go natychmiast do stolicy caratu, gdzie teraz miały się rozstrzygnąć nie tylko losy margrabiego, ale i losy przyszłych kolei polskich. Pewnem było, że jeżeli młody Wielopolski nie zdoła zwyciężyć, nie zdoła przezwyciężyć wpływów Suchozaneta, to, nie mówiąc już o upadku magnata polskiego, który ze stanowiska prostego szlachcica wyrósł nagle na ministra, należało się spodziewać całkiem innych rządów w Polsce, a może nawet jeżeli nie cofnięcia, to co najmniej nie wykonania zapowiedzianych reform. Sytuacja więc, powtarzamy, była bardzo niebezpieczna i wywołanie jej nie może być w żadnym razie uważane jako zasługa Wielopolskiemu. Mąż polityczny i statysta, mąż poświęcający swe osobiste widoki dobru publicznemu, nie stawia na jedną kartę lepszej doli swej ojczyzny, jak to Wielopolski teraz uczynił.

W instrukcyi, jaką dał swemu posłowi (a nie mógł lepszego i gorliwszego wybrać), kazał przedstawić cesarzowi, że nie może dłużej zajmować swego stanowiska, zwłaszcza dyrektorstwa sprawiedliwości, wobec wkraczania w jego atrybucie władz wojskowych; polecał położyć nacisk na niedogodność i szkody, jakie rząd ponosi z tego, że w jego łonie znajdują się dwie osoby, z których każda reprezentuje inny, wręcz sobie przeciwny kierunek. Prócz tego domagał się, aby kancelarya prywatna namiestnika była zniesiona, jako wkraczająca w atrybucyę Rady stanu; żeby go uwolniono od cenzury dzienników, żeby utworzono gazetę urzędową i żeby go mianowano ostatecznie dyrektorem komisji sprawiedliwości, gdyż jak wiadomo, zwyczajem rosyjskim, dotąd był

78 Myli się więc Lisicki, twierdząc („Aleksander Wielopolski” Tom I., 229), jakoby margrabia został „wezwany do pozostania na urzędzie” i że dopiero potem wysłał syna do Petersburga „w celu ustnego objaśnienia rzeczy”. Wezwanie do pozostania na urzędzie nastąpiło dopiero dnia 8 sierpnia, t. j. wtedy, kiedy Zygmunt Wielopolski już od pięciu dni bawił w Petersburgu (przyjechał tam dnia 3 sierpnia). Gdyby więc nie jego podróż, zdaje się, że dymisja ojca byłaby przyjętą.

tylko „pełniącym obowiązki dyrektora”. Na koniec proponował ustanowienie sądu najwyższego, który by specjalnie sądził przestępstwa stanu.

Z taką instrukcją młody Wielopolski stanął w Petersburgu dnia 3 sierpnia. O jego pobycie, o krokach, jakie czynił, nie wiemy nic, zdaje się wszelako, że, wobec postanowionego już usunięcia Suchozaneta i rychłego przybycia do Warszawy Lamberta, nie było tu nic do roboty⁷⁹. Sprawa dymisyi zdecydowała się dopiero dnia 8 sierpnia i to niezupełnie, gdyż cesarz chciał, by Wielopolski pozostał na swem stanowisku do czasu przyjazdu do Warszawy nowego namiestnika, który miał poleczone osobiste rozmówienie się z margrabią, a zatem i ostateczną decyzją, czy przyjąć dymisyą tegoż, czy też ją odrzucić⁸⁰. Bądź co bądź, było to już zwycięstwo, zwycięstwo stronnictwa ustępstw dla Polski nad stronnictwem gwałtów militarnych i Wielopolski mógł być zadowolonym z tego, gdyż co do Lamberta, o którym jak najlepsza obiegała opinia, jako o człowieku łagodnym i liberalnym, mógł być spokojny, że nie będzie chciał pozbyć się jedyne go męża stanu, na którym rząd w Polsce mógł śmiało się oprzeć.

Tak się skończyła ta dziwna, jedyna w swoim rodzaju, walka między szlachcicem polskim, a generałem rosyjskim, walka, w której ze strony pierwszego okazane było bardzo wiele zręczności i energii, walka ciągnąca się całe dwa miesiące, rozwijająca się stopniowo, dramatycznie i kończąca się zwycięstwem finalnem, jak na teraz, śmiało rzec można, dobrej sprawy.

Rzadki to przykład w historii, w której nie zawsze dobre sprawy zwyciężają; jedyny moment w tych smutnych dziejach, w którym Wielopolski mógł odzyskać dobrą w kraju opinią, byle się tylko o to chciał był postarać. Mówiliśmy, że tę, a powiedzmy jedną z najważniejszych stron walki zaniedbał umyślnie czy przypadkowo, na swoją niestety! i kraju szkodę. Dramat odbywał się za kulisami, gdzieś, w oddalonej głębi obrazu, przysłoniony nieprzejrzaną mgłą i widzowie nic o tem nie wiedzieli; aktorzy ukazywali się na scenie, jak zawsze, z uśmiechniętem obliczem i rolą dobrze wyuczoną. Głuche, niepewne, niejasne, a stąd budzące w słuchaczach wątpliwość, wieści nie mogły nic zdziałać na korzyść Wielopolskiego.

Tymczasem, gdy się to wszystko odbywało w górnych sferach wielkich tego świata, gdy się tam toczyły niekrwawe, niemniej przeto pełne trupów

79 Lisicki w obu swych biografjach margrabiego, mówi tylko ogólnikowo o pobycie jego syna w Petersburgu, co do pewnego stopnia potwierdza nasze przypuszczenie, wypowiedziane w tekście.

80 Depesza cesarska brzmi: „Dnia 8 sierpnia (27 lipca) o godzinie w pół do 6-tej popołudniu. Chcę, żeby Wielopolski pozostał przy zajmowanych obowiązkach do czasu przyjazdu hr. Lamberta. Co do dalszych kroków poleciłem mu (Lambertowi), żeby się rozmówił z nim osobiście. Wyjeżdża on (Lambert) we wtorek (dnia 13 sierpnia). Aleksander”.

i ruin walki, w szarych masach społeczności polskiej, wulkan namiętności politycznych wciąż dymił i huczał. Przez jakiś czas zdawało się, pozornie przynajmniej, że rozchodzące się coraz bardziej fale wzburzenia powszechnego kurczą się i z braku nowej siły, która by je pchnęła, nikną i rozplývają się wśród powszedniości życia codziennego. Warszawa widocznie cichła, śpiewy patryotyczne po kościołach coraz mniej dawały się słyszeć. Nawet w czasie nabożeństw uroczystych, przypadających w dniu 16 lipca, na Matkę Boską Szkaplerzną, nigdzie, w żadnym kościele nie rozległo się rozrzewniające zawsze: „Boże, coś Polskę”⁸¹. Hymn ten, jak wiemy, nie dał się słyszeć także na nabożeństwie za Czartoryskiego, którego było niejako najodpowiedniejszą i najwłaściwszą dla niego sceną.

To też Suchozanet donosił o tem z dumą cesarzowi. „Porządek, pisał i spokojność widocznie utrwała się i tuszę sobie, że to pochodzi z przekonania o jego potrzebie i korzyści”. Cesarz ze swej strony cieszył się z tego. „Depesze wasze radują mię, odpowiadał, oby Bóg dał, żeby to było początkiem lepszych dni”. Niestety! wszystko to były tylko złudzenia. Zdziecinniały Sezostrys nie umiał już patrzeć i nie wiedział, jak pod powierzchnią spokojną wszystko drży, wre i kipi, że było to tylko chwilowe wstrzymanie oddechu, skupienie sił, by przy lada sposobności wybuchnąć z większą i potężniejszą mocą. Zresztą policja w tej dobie nie była już bez pewnych danych, dotyczących spisku. W ostatnich dniach lipca, udało się agentowi policyjnemu podejść niejakiego Małachowskiego, kancelistę sądu apelacyjnego i dziesiętnika w organizacji rewolucyjnej. Od niego dowiedziano się w głównych zarysach o niektórych szczegółach tej organizacji⁸², o czem było złożony raport namiestnikowi.

81 Chrulew w swym „Dniwniku”, dwie, dość zresztą racjonalne podaje przyczyny tego nagłego uspokojenia się ulicy: najprzód ogólne wycieńczenie materyalne i fizyczne, a potem upadek nadziei w tej partii, która usiłowała dokonać rewolucji w kraju przy współudziale ludu. „Obecnie, mówi on, partya ta, jak się zdaje, rozczarowała się w swych nadziejach; przynajmniej wiadomo z jej własnych obliczeń, że zaledwie 1/8 część ludności miejskiej może być pociągniętą do ruchu w kierunku narodowym; pozostała zaś masa, nie tylko że nie jest przesiąkniętą tym duchem, ale nawet daleką jest od wszelkiego zbliżenia się do szlachty, a w niektórych miejscach zauważono stanowczą wierność włościan dla cesarza, za którego zdrowie i powodzenie włościanie bardzo często dają pieniądze na msze święte”.

82 Oto jak o tej organizacji mówi Chrulew w cytowanym „Dniwniku”. „Nie ulega wątpliwości, że: 1) istnieje w rzeczy samej, nie wiadomo tylko gdzie, towarzystwo, kierujące wszystkimi terażniejszymi działaniami podburzającemi. Towarzystwo to, ze względu na ogromną liczbę swych członków, nie jest żadnym komitetem, ale prostym spiskiem, uorganizowanym w sposób prawidłowy; 2) że towarzystwo rzeczone, zostające pod zarządem jednego naczelnika, dzieli się na trzy stopnie, a mianowicie: 1-szy stopień, stu ludzi, którzy są w stosunkach bezpośrednich z kierownikiem towarzystwa: 2-gi stopień, niższy,

Wiedział on zatem doskonale, jakie tajne pioruny kują się gdzieś pod ziemią przeciw rządowi i wobec tego słowa jego o „utrwaleniu się porządku i spokojności” były wprost kłamstwem. Zaraz też miał się przekonać niefortunny zwiastun „lepszych dni”, które wcale nie miały już nastąpić, że jeżeli tłumy, motłoch, ulica jednym słowem, była spokojną, to za to zarzewie rewolucyjne nurtowało głęboko, nurtowało tam, gdzie go się najmniej było można spodziewać.

Z powodu dokonanego zamachu na życie króla pruskiego dnia 14 lipca w Baden-Baden, prze studenta Oskara Beckera, konsul pruski zamówił nabożeństwo dziękczynne w kirsze luterskiej na dzień 25-go lipca i zaprosił na nie Suchozaneta. Z początku ten ostatni, nie uważając konsula za osobistość o „charakterze dyplomatycznym”, mniemał, że nie ma on prawa czynienia takich zaprosin i postanowił sam nie znajdować się na tem nabożeństwie, a posłać tylko generał-gubernatora warszawskiego i swoich adiutantów. Wszelako wahał się i pytał cesarza, jak ma postąpić. Cesarz odpowiedział: „przyzwolicie będzie, gdy pan sam pójdiesz”. Wskutek tego, namiestnik zawiadomił wszystkich dygnitarzy o mającem się odbyć nabożeństwie, tymczasem w kir-

tysiąc osób, które otrzymują rozkazy od rzeczonych stu ludzi, z których każdy ma pod swym zarządem po dziesięciu spiskowców. Dziesiątki te nawzajem nie wiedzą o sobie, a tylko znają się między sobą członkowie jednego i tego samego dziesiątka; ale członkowie, należący do różnych dziesiątek, stanowczo nie znają ani onych wyżej wspomnianych stu ludzi, a tym więcej kierownika naczelnego. Stopień 3-ci, najniższy z kolei, liczy 10.000 ludzi, będących w takich że stosunkach i w takich samych warunkach względem stopnia 2-go, w jakich ten ostatni znajduje się do stopnia pierwszego. Tym sposobem, przy najusilniejszych nawet staraniach, niepodobna prawie wykryć od razu całego stowarzyszenia, ale należy koniecznie poszukiwać każdą nieomal dziesiątkę. Główną, za prawidłowo niejako przyjętą zasadą rzeczzonego towarzystwa jest to, że na członków przyjmują tylko młodych ludzi. Rozkazy roznosi jeden członek wyższego dziesiątka i wręcza je każdej z osobna dziesiątce niższego stopnia. Ile właściwie dziesiątek, setek i tysięcy, znajduje się w Warszawie, trudno wiedzieć; wiadomo tylko, że nawet jednej i tej samej dziesiątce, rozkazy komunikują się w różnych punktach miasta i tak np. w przeszły wtorek, dnia 23 lipca wręczono dziesiątce rozkaz (jaki, niewiadomo) w rozwalinach browaru za rogatką Wolską, na Czystem. Wszystkie te szczegóły, otrzymałem za pośrednictwem jednego z agentów od niejakiego Małachowskiego, który należy do stopnia 2-go spisku, a zatem ma pod swym zarządem dziesięciu ludzi. Członkowie stopnia trzeciego nic nie wiedzą o spisku, ani nawet o jego składzie, gdy tymczasem członkowie stopnia drugiego wtajemniczeni są w niektóre, jakkolwiek niewielkie szczegóły. Jak dalece zaś członkowie uparcie ukrywają swą tajemnicę, świadczy to, że agent wydziału tajnego (sekretnego oddzielenia), zaledwie po czteromiesięcznych, usilnych zabiegach, zdołał od Małachowskiego wydobyć powyższe, drobne wiadomości, zawiązawszy z nim stosunki bardzo bliskie, prawie przyjacielskie”. Jak widzimy z tego, policya, a za nią rząd, już w końcu lipca 1861 roku, miał mniej więcej dokładne wiadomości o organizującym się spisku.

sze nikogo z Polaków nie było, oprócz Enocha i Karnickiego, a z urzędników cywilnych tylko Funduklej i Masson, których w żadnym razie do Polaków zaliczyć nie można było. Namiestnik, otoczony sztabem licznym i błyszczącym, mnóstwo generałów i pułkowników zapełniało świątynię, a po nabożeństwie Suchozanet zaprosił na obiad konsula z jego pomocnikiem, oraz czterech wymienionych dygnitarzy cywilnych, pił zdrowie króla „jako przyjaciela i wuja naszego najmiłościwszego monarchy”.

Jakkolwiek cesarz zgañił nieobecność Polaków na nabożeństwie dnia 25-go lipca⁸³, wszelako należało się tego spodziewać. Pominąwszy już, że były to czasy, w których każdy Polak uważałby za uchybienie swym uczuciom patryotycznym, gdyby modlił się za jednego ze swych wrogów, to stanowisko Prus i ich rządu, wobec wypadków, rozgrywających się w Królestwie, było tak nieprzyjazne, że oburzenie ogólne wywoływało przeciw temu sąsiadowi, zawsze zdradzieckiemu i zawsze nam szkodzącemu. Od początku bowiem zbudzenia się umysłów w Kongresówce, wobec polityki łagodności i zapomnienia uraz dawnych, zainaugurowanej przez Aleksandra II., Prusy nie przestawały ostrzegać przed niebezpieczeństwem, grożącym jakoby Rosyi z powodu stanu umysłów w Polsce, a przesadzając to niebezpieczeństwo rozmyślnie, utrzymywały jeszcze między rokiem 1856 a 1859, że w Królestwie istnieje spisek szeroko rozgałęziony, co oczywistym było fałszem, a czego celem namacalnym było to, by między Polską i Rosyą nigdy nie przyszło do kompromisu, którego skutki mogłyby się z czasem okazać groźnymi dla Prus.

Dla poparcia swych twierdzeń, rząd pruski za pośrednictwem dyrektora policji w Poznaniu, Baerensprunga, urządził znany nam już spisek, tak zwycięsko odstonięty przez Niegolewskiego. A jakkolwiek intryga ta się nie udała, rząd pruski, znajdując niestety! usprawiedliwienie swych domagań się w zaburzeniach warszawskich, nie przestawał ani na chwilę brać żywego udziału, przejętego sztucznem współczuciem, w kłopotach rosyjskich z Polską i nie szczędził w Petersburgu ostrzeżeń i rad. Wysyłając z jednej strony agentów tajnych do Warszawy, którzy mieli podburzać ludność do wystąpień gwałtownych, a nawet do ujęcia za broń, z drugiej strony Prusacy nieustannie podmawiali gabinet petersburski do chwycenia się środków surowej represji względem Polaków, do zgubienia przemocą ruchu. Utrzymywali oni uparcie, że polityka ustępstw i łagodności do niczego nie doprowadzi, że w ruchu polskim najmniejszą gra rolę istotny patryotyzm polski, poczucie potrzeby życia na podstawach narodowych, ale raczej idee rewolucyjne wszechuropejskie; że wreszcie ruch ten w większej części jest wynikiem wpływów obcych, jest owo-

83 Depesza z dnia 20 lipca: „nieobecności Polaków na ceremonii dnia 13 (25) nie mogę pochwalić”.

cem intrygi, niezmiernie zręcznie obmyślanej i prowadzonej przez Francją, grającą głośno rolę przyjaciela Rosyi, a skrycie podburzającą Polaków przeciw temu przyjacielowi. Sam król Wilhelm, o wiele starszy od cesarza Aleksandra, którego był wujem, nie zawahał się użyć swego wpływu osobistego na miękki i wrażliwy umysł cara, by go zmusić do środków „surowości zbawiennej”. Na szczęście, to podburzanie, zaiste! niegodne wielkiego mocarstwa, za jakie Prusy wtedy już uchodzić chciały, nie miało teraz skutku. Oskarżanie Francyi, której „stosunek serdecznego porozumienia” z Rosyą, widzieliśmy już, że przestarszał Anglią i zmuszał ją do wylewania łez krokodylich nad losem Polski, miało odnośnie do Prus to samo źródło. Prusom, tak samo jak i Anglii, szło o zerwanie tego „serdecznego porozumienia”; nie mogąc jednak przyjąć postawy ubolewającej wobec nieszczęść Polski, bo temu by nikt nie uwierzył, słały denuncjacje tajne do Petersburga, twierdząc, że źródło rozruchów polskich leży w intrydze francuskiej. Był to pomysł dość niezgrabny i nie wywarł wrażenia w stolicy caratu; cesarz Aleksander był jeszcze w peryodzie usposobień liberalnych, jeszcze ulegał ich wpływom dobroczynnym i pragnąc stłumienia ruchu, nie chciał jednak zmieniać swej polityki dotychczasowej względem Polski.

Cała ta działalność podziemna i nie zawsze zgodna z zasadami najprostszej moralności nie mogła być tak skrycie prowadzona, by z niej to i owo nie przenikało do wiadomości ogółu polskiego. Do starej nienawiści rasowej przeciw Niemcom w ogólności, a w szczególności przeciw Prusom, temu słudze wczorajszemu, który z Iwana urósł na pana kosztem polskim, przyłączyło się teraz słuszne oburzenie przeciw zdradzieckiej, niegodnej polityce pruskiej. Było to więc za wiele wymagać od Polaków, by w dobie podniecania wszystkich uczuć patryotycznych do niezmiernie wysokiej temperatury, chodzili do kirchy luterskiej i dziękowali Bogu za to, że kula minęła króla pruskiego! Tego nawet ludzie, najnieprzyjaźniejsi rozruchom zrobić by nie mogli i nie chcieli. W każdym razie świadczyło to o stanie umysłów nawet sfer urzędniczych wyższych w kraju.

Zresztą Suchozanet przekonać się miał nie tylko na sprawie nabożeństwa w kirsze luterskiej, że usposobienie rewolucyjne w kraju w niczem się nie zmieniło i temperatura jego wcale się nie obniżyła. Umysły były podniecone niesłychanie, ludność nerwowo podrażniona. W dniu 23 lipca, w jednej z uliczek nad Wisłą, z kłótni zwyczajnej między dwoma szewcami pijanymi, wszczęło się zamieszanie tak wielkie, zbiegowisko było tak znaczne, a policja przy tej sposobności uległa tak silnemu poturbowaniu, że musiano sprowadzić aż całą kompanię piechoty dla uspokojenia wzburzenia, rozpędzenia tłumu i przyaresztowania nieposłusznych. Były to bądź co bądź symptomata bardzo

złe, wskazujące że lada wypadek, pierwsza, lepsza niezręczność władzy może wywołać katastrofę, niemniej straszną i krwawą, jak w dniach kwietniowych. Porządek publiczny jednym słowem wisiał na włosku i tak, jak nad Wisłą, kłótnia dwóch szewców groziła poważną przygodą, tak gdzie indziej spór jakiej przekupki krzykliwej z policyntem, mógł sprowadzić następstwa jak najgorsze. Jeżeli w czasie opłakanych rządów Sezostrysa rosyjskiego nie przyszło do takich wypadków, jakie zakończyły dni władzy Gorczakowa, to należy to zawdzięczać nie Rosyanom, którym z pewnością chęci nie brakowało, by dać ludności warszawskiej nową naukę krwawą, ani też usposobieniu tej ludności, ale po prostu uczniom szkolnym i studentom. Była to epoka rządów studenckich, *studentokracja*, jak ją nazywano w tej porze nieco z szyderska. Wprowadzeni w życie czynne jeszcze za czasów Delegacyi, mając teraz z powodu feryi mnóstwo chwil swobodnych, włóczyli się po ulicach i rozporządzali się na nich, jak władza samoistna, której nikt opierać się nie śmiał. Niesterowani przez nikogo, albo przez różne koła, które jednolitego, wytkniętego celu przed sobą nie miały, kierowali się pozostałymi resztkami zasad, wytworzonych przez Delegacyą, chcieli, by w Warszawie był spokój, by nie narażano się niepotrzebnie rządowi, nie pozwalali na kłótnie, zbiegowiska, awantury uliczne. Gdziekolwiek zebrała się większa gromadka ludzi, zjawiał się zaraz studencik i rozkazywał: „panowie, proszę się rozejść!” i rozchodzono się z posłuszeństwem, zaprawdę zdumiewajacem. Toteż dla cudzoziemców, zwiedzających w tej porze Warszawę, dla tych wreszcie, którzy niewtajemniczeni byli w położenie istotne rzeczy, to posłuszeństwo skinieniom smarkaczy wydawało się czemś tak niepojętem, że przypuszczano, iż poza tą studentokracją stoi w rzeczy samej jakaś władza potężna, uorganizowana i na tyle silna, że rozkazy swych agentów poprzeć może siłą. Tymczasem wiemy dobrze, że tak nie było; że organizowały się dziesiątki, setki, tworzyły różne koła, rodziły się próby owładnięcia ruchem, ale władzy naczelnej jeszcze nie było. Stan ten był podobny do owego chaosu, w którym, według słów biblijnych, „ciemności były nad głębokościami”. Nikt jeszcze nie mógł przewidzieć, jakie ciało, jaki świat wyłoni się z tej mieszaniny materii, rzuconej w przestrzeń dziejowych kolei. Teraz było to szarpanie się, mocowanie z rozstrzelającymi się cząstkami, chaos nieskończony i niezgłębiany, bawienie się w politykę wobec niemocy czynu, co Jurgens w swym języku dosadnym i obrazowym, nazywał „onaniem politycznym”.

Suchozanet tego wszystkiego nie widział. Dla niego wystarczyło, gdy gdzieś, na jakimś nabożeństwie zebrane stare kupcowe lub dewotki, należące do bractwa różańcowego, nie zaśpiewały „Boże, coś Polskę” i twierdził, że to jest „objawem poczucia potrzeby i korzyści pokoju”. Kiedy we wto-

rek, dnia 6 sierpnia, wyruszyła obyczajem dorocznym olbrzymia, bo blisko 20.000 pątników licząca, kompania do Częstochowy na odpust, przypadający tam w dzień Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, z kościoła Paulinów przy ulicy Nowomiejskiej, Suchozanet zjawił się tam konno w towarzystwie czerkiesów, by się jej przypatrzeć⁸⁴. Pisał później, że „osobiście przekonał się o zupełnym porządku i braku wszelkich objawów politycznych”. Tymczasem wśród procesyi, odprowadzającej pątników do rogatki Wolskiej, znajdowały się wszystkie cechy warszawskie, niesiono olbrzymią chorągiew z orłem białym i złamanym krzyżem, jak również śpiewano „Boże, coś Polskę”. Albo więc nie spostrzegał tych objawów politycznych, albo ich spostrzegać nie chciał i łudził siebie i swego pana.

Owszem, robiąc w tym kierunku niefortunne próby, jak niepotrzebnie domagał się, by na nabożeństwie w kirsze znajdowali się Polacy i naraził ich i siebie na kompromitujące fiasko, tak teraz, z powodu zbliżającej się uroczystości dworskiej imienin cesarzowej, postanowił przywrócić zwyczaj dawny, zaniedbany od czasu wypadków, że w dni takie zjeżdżali się do Zamku wszyscy wyżsi urzędnicy, przedstawiciele różnych sfer i stanów, i składali w ręce namiestnika swe życzenia. Próba była ryzykowna i niebezpieczna, gdyż przytrafić się bardzo łatwo w tych czasach gorących mogło, że nikt w Zamku się nie stawi i takich prób człowiek rozumny i znający sztukę rządzenia nie robi tak ze względu na siebie, jak i na rządzonych. Ale Suchozanet był tak dalekim od tego rodzaju pojęć, jak dalekiem jest niebo od ziemi. Wydał więc rozporządzenie, ażeby na d. 3 sierpnia, na który przypadały wzmiankowane imieniny, o godz. 10 ½ rano zjechali się do Zamku tak wojskowi, jak i cywilni dla złożenia swych życzeń, a potem wysłuchania nabożeństwa uroczystego. Na szczęście, czy wskutek prostej ciekawości, czy z obawy, dość, że owego dnia zjazd w Zamku był niezwykle liczny. Człowiek zręczny byłby może umiał skorzystać z tak pomyslnego udania się próby, w każdym razie okazywało się, że rząd nie jest pozbawiony wszelkich podstaw w kraju, że owszem znaleźć może poparcie, byle się umiano do tego mądrze wziąć. Suchozanet z pewnem, jak na teraz zupełnie słusznem i usprawiedliwionem uczuciem dumy, przesyłając cesarzowi swe życzenia, przesyłał je zarazem od „dobrze myślących klas kraju”.

Taki wynik próby Suchozaneta oburzył mocno agitatorów, całą tę rojną rzeszę „studentokracji”, która wprawdzie nie chciała wywoływać rozruchów ulicznych, ale wszelki objaw legalności uważała za zdradę kraju i w odpowiedzi na zjazd

84 W depeszy do cesarza, z pewnym tonem samochwalstwa powiada, że ruszył bez eskorty, tylko z pułkownikiem Jefimowiczem i że wolnym krokiem przejechał przez ciasne szeregi dwukroć sto-tysięcznego tłumu. Z relacji naocznych i niepodjętych świadków nabyliśmy pewności, że był otoczony zwykłą sobie eskortą czerkiesów, która za nim postępowała.

zamkowy zamierzyła urządzić dotkliwą dla władzy manifestacją. W pięć dni po uroczystości imienin cesarzowej, przypadała inna uroczystość, rocznica jej urodzin, obchodzona d. 8 sierpnia i agitatorzy postanowili z tego skorzystać, by dać poznać rządowi, że ustępować w niczem nie myślą. Po licznym, jak i pierwszym razem, zjeździe przedstawiceli różnych klas w Zamku, rozpoczęło się zwykłe w takim dniu nabożeństwo w katedrze św. Jana. Celebrował je prałat Białobrzeski w obecności wszelako arcybiskupa Fijałkowskiego. Ale jeżeli w Zamku tłoczyły się tłumy błyszczące różnych dygnitarzy polskich i niepolskich, to tutaj w kościele świeciły pustki uderzające. Zauważono tylko dyrektora Komisji skarbu Laskiego, wiceprezesa Banku Szemiota i sześciu niższych urzędników, zresztą nikogo więcej. Olbrzymia świątynia była próżna. W chwili, gdy celebujący skończył nabożeństwo i na organach zagrano hymn „Boże, cesarza chroń”, nagle gromadka, złożona może z pięćdziesięciu ludzi młodych, zbliżyła się do kraty, oddalającej prezbiterium i zaśpiewała „Boże, coś Polskę”, głuszając zupełnie organ, zwłaszcza, że rozrzucony z rzadka po kościele ludzie wtórować poczęli. Garści dygnitarzy i duchowieństwu nic nie pozostało innego, jak szybko opuścić kościół, co też i uskuteczniło. Wieczorem liczne, pojedyncze gromady, przeważnie młodzieży rzemieślniczej, wybijały kamieniami szyby w domach rządowych lub mieszkaniach urzędników rosyjskich, gdyż ci tylko oświetlili swe okna, chociaż rozporządzenie oberpolicmajstra zapowiadało, że „w dniu tym mieszkańcy mogą iluminować swe domy”. Na ulicy Miodowej przyszło nawet do małej awantury. Wybito tam szyby w oknach mieszkania generała Szepielowa i Kuźmina oraz gromada „łobuzów” poczęła wywracać i gasić kagańce, gorejące przed Rządem gubernialnym, mieszczącym się w owe czasy w prześlicznym i oryginalnym pałacu Paca. Przechodzący patrol schwytał jednego z takich gasicieli, a gdy lud tłumnie zbiegający się chciał go odbić z rąk wojska, przyszło do żwawego starcia, w którym dostało się kilku głowom zbyt gorącym lub zapalczywym. Wojsko kolbami rozpedziło zbiegowisko i przytrzymało siedmiu zuchwalszych czy oporniejszych.

Awantura ta, bo inaczej nazwać jej niepodobna, stała się powodem najrozmaitszych i najnieprawdopodobniejszych wieści, które rozprzestrzeniły się po mieście z szybkością nadzwyczajną. Opowiadano sobie tedy, że w bójce tej zabili żołnierze niejakiego Antoniego Polaczka, pomocnika jeometry z Płocka. Na bramie domu Zajdlera, przed którym ta scena krwawa miała się odbyć, umieszczono nazajutrz plakatę z napisem: „tu Moskale zamordowali Polaczka o godzinie 10-tej wieczorem”, a gdy tę policja zerwała, ukazała się zaraz inna tej treści: „Antoni Polaczek, pomocnik jeometry z Płocka, zginął śmiercią męczeńską, zamordowany przez żołnierzy moskiewskich”⁸⁵.

85 Mówiono także, że to nie Polaczek zginął, ale Rzączyński, kancelista rządu gubernialnego radomskiego. Rzączyński, jak się później pokazało, dostał wprawdzie kolbą w głowę, ale

Rzecz prosta, że tłumy się zbiegały, pokazywano sobie nawet ślady krwi, roztkliwiano się, kobiety płakały, mężczyźni przeklinali Moskali, ale władza miała się na baczności, liczne patrole rozpędzały natychmiast zbiegowiska. Suchozanet zresztą zgniewany, a może przerażony wzrastającą falą wzburzenia, tegoż jeszcze d. 9 sierpnia, „dla stłumienia nieporządków ulicznych i zapobieżenia demonstracyom zapowiadany”, rozkazał wojsku rozłożyć obozowiska na ulicach i placach. Znowu więc Warszawa przybrała ten wygląd dziwny, jakby szturmem była wzięta, znowu patrzeć musiano na sceny życia żołnierskiego, nie zawsze z przyzwoitością publiczną zgodne.

Ale agitatorzy, próżniacząca się młodzież szkolna i rzemieślnicza przywykła już do tego; ich to ani dziwiło, ani przerażało. Obecność wojsk na placach miejskich w niczem nie zmieniała zasadniczego sposobu rządzenia krajem. Tu i owdzie schwymano jakiegoś śmiałka na ulicy, nie dozwolano na zbiegowiska, ale nikomu z tych małych kacyków, siedzących na Zamku warszawskim nie przyszło do głowy zajrzeć do wnętrza i zbadać źródło choroby. Trąd więc rozchodził się powoli i toczył biedne, schorowane ciało polskie. Nieposzano-

zył sobie potem długo jak najspokojniej. W sprawie tej, oberpolicmajster Rozwadowski wydał d. 10 sierpnia odezwę następującą: „Dnia 8 sierpnia nieporządki wynikłe w kościele katedralnym św. Jana, oraz wieczorem tegoż dnia na głównych ulicach miasta przez gaszenie iluminacy i rzucanie kamieniami do oświetlonych okien, tudzież niejednokrotnie powtarzane w następnym dniu zbiegowiska na ulicy Miodowej, spowodowane niedorzeczną pogłoską, jakoby przed jednym z domów tejże ulicy, a mianowicie Nr. 482, zabity został w nocy, w wigilią tegoż dnia przez wojsko, niejaki Antoni Polaczek, jeometra, na dowód czego pokazywano ślady krwi na murze i że następnie ciało jego miano przenieść do Zamku, zmusiły zwierzchność do postawienia wojska na placach i przedsięwzięcia innych środków policyjnych do zapobieżenia wszelkiemu nieporządkowi i zasłonięcia mieszkańców przed niesfornością niespokojnych ludzi. Co się tyczy mniemanego zabójstwa, jakoby spełnionego na osobie tegoż Polaczka, podaję do wiadomości, że nikt w dniu tym zabity nie został i że tem samem pogłoska o przeniesieniu jakiegoś ciała do Zamku, jest mylną. Po bliższem sprawdzeniu i objaśnieniu prze osobę, należącą do rodziny Polaczków, okazało się, iż wspomniany Antoni Polaczek pracował dawniej przy jeometrze w gubernii płockiej, obecnie zaś od lat dwóch pozostaje przy budowie drogi żelaznej petersbursko-warszawskiej pod Wilnem i że w tych czasach nawet do Warszawy nie przybywał. Ma on dwóch braci: Jana, który jest jeometrą przy Komisji rządowej przychodów i skarbu, i wyjechał dla robót pomiarowych w dobrach rządowych w gubernii płockiej i Aleksandra, będącego buchalterem w fabryce rządowej machin na Solcu, na teraz w mieście tutejszym przebywającego. W końcu, widzę potrzebę nadmienić, że ślady krwi, o których powyżej była mowa, powstały z następującej przyczyny: wieczorem tegoż dnia, przytrzymany został niejaki Maurycy Rzączyński, były kancelista rządu gubernialnego radomskiego, za usiłowanie odbicia aresztowanego i tenże w szamotaniu się, przyparty będąc do bramy domu wyżej wskazanego, uderzony został kolbą w głowę, lecz stan jego nie zagraża najmniejszym niebezpieczeństwem i obecnie pozostaje w szpitalu Ujazdowskim na kuracji. Warszawa d. 10 sierpnia 1861 r. Pułkownik Rozwadowski”.

wanie władzy i jej rozkazów przechodziło wszelkie granice. Dnia 5 sierpnia policyjant zatrzymał w ogrodzie Saskim chłopca, który publicznie sprzedawał zeszyty litografowane hymnów kościelno-patryotycznych. Na krzyk aresztowanego, zbiegł się publiczność, rzuciła się na policyjanta, pobiła go, poszarpała na nim ubranie i chłopca oswobodziła. Tego rodzaju fakta przytrafiały się niemal codziennie i nawet przestano na nie zwracać uwagę.

W Lublinie w d. 8 sierpnia, mnóstwo młodzieży szkolnej i rzemieślniczej, podzieliwszy się na osobne partye, gasiły palącą się na ulicach iluminacją i wybijały szyby w domach oświetlonych. Kilkunastu z pomiędzy nich aresztowano i zgodnie z nowymi przepisami oddano sądowi cywilnemu do ukarania. Sprawa się wlokła długo i dopiero w styczniu 1862 r. została rozstrzygnięta, dając jeden więcej dowód, że sądy polskie nie potrafiły ani na chwilę znieść się na wysokość swego zadania. Oskarżeni wszyscy zostali uwolnieni z motywami, że gaszeniu palących się kagańców, winne były patrole wojskowe, zbyt gwałtownie rozpędzające publiczność! Smutne czasy, gdy godność magistratur społecznych musi się poniżyć do takich wybiegów dla zadośćuczynienia chwilowym namiętnościom politycznym!⁸⁶.

Jednakże, w tem szarem, monotonnem morzu wszelkiego rodzaju swawoli ulicznej, wstrząsającej porządek publiczny, pojawiały się od czasu do czasu fakta świadczące, że zdrowe, rzeźwe, lepsze myśli i idee się rodzą i są niejako dowodem nieprzepartej żywotności narodu. Obudził się silny prąd w kraju całym zakładania szkółek wiejskich, jakkolwiek ruch ten był zbyt gwałtowny, zbyt gorączkowy, by w długotrwałość jego wierzyć można było. Prasa żarliwie poparła te dobre zamiary. „Gazeta polska” nagląco nastawała na to, by uposażono lepiej nauczycieli wiejskich, którzy wśród pracy ciężkiej i mozolnej wiedli życie nędzne i pełne prywatcy wszelkiego rodzaju. Najwyższa pensya takiego nauczyciela nie przekraczała 2.000 złp., a były miejsca, w których wynosiła zaledwie 500 złp.⁸⁷.

86 Różnow w tym czasie w Płocku oddał do wojska, bez uciekania się do pomocy sądów cywilnych, niejakiego Wolskiego, kancelistę sądu poprawczego, za śpiewanie hymnów patryotycznych w dzień imienin cesarzowej. Było to nadużycie, ale czyż źródło tego nadużycia nie leżało w nas samych? Gdyby sądy krajowe zrozumiały były myśl Wielopolskiego, takie nadużycia nie mogłyby się przytrafiać, a przynajmniej wina ich nie leżałaby na ówczesnem społeczeństwie polkiem.

87 Szkółek elementarnych, tak rządowych, jak i prywatnych w r. 1861 było w Królestwie polkiem w ogólności 1391. W Radzyminie pod Warszawą, nauczyciel brał rocznie rs. 270 bez mieszkania; w Kaliszu rs. 195, a dwóch innych po rs. 150. Tyleż pobierali nauczyciele w Koninie, Pyzdrach, Brześciu kujawskim, Przedeczu, Wieluniu. W Częstochowie płaca jego wynosiła rs. 180. Wszyscy mieli małe ordynarye i ogrody. W Łgocie Koziegłowskiej (w Radomskim) brał 300 rs., tyleż w Radomiu, Szydłowcu. W Stopnicy nie brał nawet półtora rubli. W Hrubieszowie, Lublinie, Włostowicach, Elżbietonie, Siedlcach, Janowie Ordynackim od 140 do 200 rs. W Międzyrzeczu tylko 75 rs. z dodatkiem w naturze,

Dlatego też na nauczycieli wiejskich szli ludzie, którzy do niczego innego nie byli zdolni, istne odpadki społeczne, czego rezultatem był oplakany ze wszech miar stan ten jednej z najważniejszych instytucji publicznych. Nagłącą, pierwszorzędną niemal potrzebą było zreformowanie i lepsze uposażenie tych najgłówniejszych rozsadników oświaty.

Niemniej silnie rozwijał się dalej prąd braterstwa z żydami, owa chęć gorąca, a zwodnicza niestety! zrobienia z nich „Polaków wyznania mojżeszowego”. Prasa skrętnie notowała wszelkie, choćby najdrobniejsze fakty, potwierdzające to mniemane zlanie się dwóch stanowczo różnych ras. Podnoszono, z właściwą tej opoce przesadą do wyżyn znaczenia pierwszorzędnego dla losów kraju, fakt tak drobny jak to, że w Łodzi zgromadzenie kupieckie, udzielające corocznie wsparcie podupadłym kupcom chrześcijańskim, w tym roku udzieliło je także kupcom żydowskim; że we Włocławku żydzi „na pamiątkę aktu pojednania z Chrześcijanami”, zebrali między sobą fundusz dla jednego studenta mającej się założyć Szkoły Głównej; że w Piotrkowie wybrano na jednego z dyrektorów resursy żyda Bonawenturę (sic) Toeplitza, na członków zaś pięciu żydów⁸⁸; że wkrótce Kowno poszło za tym przykładem.

W Warszawie obywatele chrześcijańscy, „wiedzeni szlachetną chęcią niesienia pomocy swoim współmieszkańcom żydowskim”, przesłali dozorowi bożniczemu złp. 3.205 gr. 11, dla rozdania między ubogich żydów z okazji zbliżających się świąt jesiennych. W Żychlinie, miasteczku w Kutnowskim, w sierpniu założono kamień węgielny pod bożnicę i była to dla miasta, jak opiewa relacja współczesna, „rzadka uroczystość, bo duch zgody i jedności, łączący nas tak silnie, na nowo podczas tej uroczystości się okazał”. Wszyscy bowiem mieszkańcy miasteczka zebrali się na placu, pod przewodnictwem rabinów. Na uczcie, z powodu tego wydanej, zięć dziedziczki miejscowej, literatki Seweryny z Żochowskim Pruszkowej, wniósł toast za szczęśliwe ukończenie zaczętej świątyni, mającej być miejscem zgody i miłości, i jaśnieć blaskiem sąsiednich świątyń chrześcijańskich”. Żydzi w zamian urządzili między sobą składkę na założenie ochrony dla dzieci chrześcijańskich i wszystko to, te zakładania bożnic, te składki, te toasty, działały się zaledwie w parę lat potem, gdy w pobliskim Turku zburzono żydowską bożnicę! Jakiż zwrot nagły i właśnie dlatego budzący wątpliwość w swą trwałość.

Ale nie poprzestano na tem. Opowiadano sobie, powtarzano chętnie mnó-

wynoszącym może drugie tyle. W Kalwarii (Augustowskie) rs. 130; w Suwałkach rs. 213, w Augustowie rs. 195; w Szczuczynie i Wyłkowyszkach po rs. 150 (Z urzędowych danych).

88 Nazwiska ich z entuzjazmem ogłosiły gazety warszawskie na wieczną rzeczy pamiątkę. Wybrano: Jakuba Rosenberga, Meszułem Horowicza, Michała Michelsona, D. L. Markowicza i Jakuba Luxa.

stwo historii na temat owego braterstwa, historii zawsze zabarwionych sentymentalizmem epoki, a dowodzących niby wyraźnie, jakie postępy robi idea wzajemnej miłości „dzieci jednej ziemi”⁸⁹.

Niejaka Rozalia z Felixów M., oczywiście żydówka, wydrukowała w tym czasie książkę p. t. „Modlitwy dla poplek możeszowego wyznania”, a inny żyd, Daniel Neufeld, dla popierania tego braterstwa, począł od lipca wydawać tygodnik p. t. „Jutrzenka”, brzmiały ciągle aż do znudzenia tym cklwym tonem nienaruszonej niczem miłości dwóch ras, miłości sztucznej i afektowanej. Pismo to, jakkolwiek nieosobliwie redagowane i niepoparte prawie wcale przez masy żydostwa, które nie myślały porzucać długich stroi i krzywo patrzyły na owe umizgi żydów ucywilizowanych do chrześcijan, nie było jednak bez wpływu. Prasa polska z entuzjazmem witała pojawienie się „Jutrzenki”. Kraszewski pisał: „Jutrzenka jest pierwszym pismem, redagowanym z tą myślą i w tym celu, by z ludzi wydzielonych, a często dobrowolnie wydzielających się ze społeczeństwa, uczynić obywateli kraju na równi z nami pracujących około jego dobra. Wiemy, że stan dotychczasowy w wielkiej części był spowodowanym przez samą naszą społeczność, że wiele było jej winy, ale, mówmy prawdę, wiele i z drugiej strony rzeczy przyczyniało się do tego. Różnice stroju, obyczaju, mowy, wyróżnianie się umyślne uwieczniało rozbrat nieszczęśliwy; potrzeba zwrócić naprzód na to usiłowanie i bacność całą, abyśmy jednym mówili językiem, nie różnili się ubiorem i powierzchownością, nie odstrychali tam, gdzie wspólne interesa ogółu powołują. Z obu stron potrzeba usiłowań ku temu, nie wątpimy

89 „Na mokotowskiej szosie, donosi „Kuryer warszawski” z d. 16 września, posiwały już nieco izraelita, tłukący ciągle pod skwarem słońca kamienie, zbliżył się w tych dniach do ks. Mikulskiego, przechodzącego tą drogą i wyjąwszy hebanowy krzyżyk, na którym była korona cierniowa ze srebra, rzekł: „to wasza świętość, ktoś pewno z przejeżdżających zgubił, tobie ją jako kapłanowi oddaję”. Ksiądz Mikulski chciał go wynagrodzić, ale uczciwy izraelita nie przyjął datku, dodając: „spełniony pobożnie obowiązek, Bóg tylko wynagradza”. Na tę odpowiedź, kapłan z całym uniesieniem ścisnął spracowaną dłoń izraelity i wiadomość o tem udzielił redaktorowi „Jutrzenki”, panu Neufeld, w liście, który tenże redaktor wydrukował. Ze względu przeto na ogłoszenie już o tem w „Jutrzence” moglibyśmy rzecz tę pominąć, lecz treść jej tak nam zdała się być ważną, że pragnęlibyśmy ją jak najbardziej upowszechnić. W tem bowiem poszanowaniu świętości naszej przez izraelitę i to walczącego jeszcze z niedostatkiem, bo wykuwającego młotem kęs chleba z kamienia; w tem oddaniu teźże świętości kapłanowi naszemu i w tem na koniec zrzeczeniu się zysku dla dopełnienia cnoty chrześcijańskiej, widzimy cechę wielkiej moralności!” Niemniej wysoko podniosła prasa warszawska fakt następujący: Niejaki Berek Złotkowski, żyd, kupiec z miasteczka Liwa, zgubił złp. 4.800, które znalazła kobieta wiejska i oddała mu. Ucieszony Złotkowski, oprócz wynagrodzenia znalazczyni, dał pewną kwotę na kościół w Liwie, za którą proboszcz kupił monstrencę.

o skutkach, widząc, jak szczerze i gorące są chęci izraelitów naszych; tą drogą niezmordowanie iść dalej potrzeba i pracować”.

Ale jeżeli „Jutrzenka” witana była z entuzjazmem i takie na niej pokładano nadzieje, jeżeli pojawienie się jej nie pozostało bez pewnego wrażenia, o ileż silniejsze, głębsze wrażenie wywarło ukazanie się tajnego pisma rewolucyjnego. Już od dawna niektóre grupy młodzieży nosiły się z myślą użycia do propagandy tak potężnego środka, jakim jest dziennik. Przedstawiało to jednak z początku niepokonane prawie trudności. Przy bardzo pilnym dozorze, jakiemu zawsze pod cenzurą ulegały drukarnie, które musiały składać wzory swych czcionek w zarządzie tejże cenzury, odbijanie gazety tajemnej w którejkolwiek z istniejących w Warszawie drukarni było niemożliwym, jeżeli tak samego zakładu, jak i jego właściciela nie chciano narazić na odpowiedzialność surową. Dlatego też trzeba było istotnie heroicznym wysiłków, istotnego poświęcenia na to, by drukować plakaty i odezwy. Potrafiono jednak to robić, dzięki temu wysoko nastrojonemu patryotyzmowi, jaki ogarniał wszystkie sfery mieszkańców Warszawy. Wszelako o wiele łatwiej było odbić jakąś ulotną, jednorazową odezwę lub wezwanie, niż drukować stale gazetę, która przez to samo, że mogła większy wpływ wywierać, baczniejszą też na siebie zwracać musiała uwagę władz rosyjskich i pobudzać je do wyszukania drukarni, która ośmieliła się ją odbijać. Mimo to wszystko jednak, dzięki inicjatywie i zabiegom znanego nam już Franciszka Godlewskiego i Sochaczewskiego, ucznia szkoły sztuk pięknych, rzecz ta teraz, w początkach sierpnia, przysłała do skutku. Urządzeniem drukarni osobnej, zajęli się niezmordowani w spiskach bracia Frankowscy i Sochaczewski. Czcionki pozbierano z różnych drukarni, z „Gazety polskiej” i z drukarni Cottiego, później nawet, jak się zdaje, sprowadzono z zagranicy małą prasę ręczną. Tak urządzoną drukarnię umieszczono na ulicy Chmielnej, w domu nr. 1530, podówczas należącym do Maciejowskiego i tam zecer Józef Szumański⁹⁰, odbijał szrotką pierwsze numera gazety. Nosiła ona miano „Strażnicy”, że niby stała na straży prawidłowego rozwoju uczuć patryotycznych i strzec je miała przeciw wszelkim skrzywieniom. W późniejszym czasie, pisali głównie do niej Władysław Sabowski, Adolf Hennel (znany

90 O Szumańskim następujące szczegóły podaje A. Giller (Historia powst. nar. pol. II., 234): „Był to szlachetny wzór polskiego rzemieślnika: młody, utrzymywał swoją pracą kaleków rodziców. Narażał się na największe niebezpieczeństwo przez założenie pierwszej, tajemnej drukarni w Warszawie, na której (drukarni oczywiście) szrotką odbijał „Strażnicę”. Bezinteresowny, oddany ojczyźnie w zupełności”. W r. 1863 poszedł do powstania; ciężko ranny pod Budą Zaborowską, przewieziony do szpitala w Warszawie, umarł tamże. „Pamiętka dla rodzin polskich” (Dodatek – 66) nie wie o tem wcale, że Szumański składał i drukował „Strażnicę”. Donosi tylko, że zmarłemu d. 19 marca 1863 sprawiono suty pogrzeb w Warszawie, na którym było przeszło 8.000 osób.

nam już z wydania „Książki zbiorowej” dla Wójcickiego), Chmurzyński i inni. Wszystko to byli ludzie młodzi, dziennikarze trzeciorzędnego znaczenia, lub, jak Sabowski, początkujący dopiero pisarze. Frankowscy na koszt wydawnictwa łożyli, co mogli. Żyli lada czem, sami sobie obiady gotowali, by grosz oszczędzony w ten sposób obrócić na „Strażnicę”.

Samą gazetę stanowiła mała ćwiartka szarego papieru, zadrukowana na jednej stronie w dwie szpalty, z oznaczeniem na dole ceny za numer pojedynczy, która wynosiła gr. 15 i napisem: „w drukarni Strażnicy”. U góry, nad tytułem pomieszczony był herb Polski i Litwy, pod jedną, wspólną koroną. Pierwszy numer ukazał się d. 6 sierpnia. Pojawienie się tej gazetki o żadnej prawie treści, drukowanej nędznie, bawiącej się w puste frazesa⁹¹, wywarło wrażenie bardzo silne, już przez to samo, że w umysłach wielu ludzi, nieświadomych istotnego stanu rzeczy, budziło przekonanie, że istnieje jakaś władza tajna i dość potężna, kiedy ośmiela się na krok taki, jak wydawanie pod straszliwym uciskiem rosyjskim, gazety.

A przytem, w naturze ludzkiej tkwi pociąg do wszystkiego, co jest tajemniczem; dość, że rzucono się skwapliwie do czytania tej gazetki, rozkupywano ją chciwie i wywierała ona nader silny wpływ na rozwój dalszy tej gorączki, która wycieńczała i paliła organizm narodowy.

Podczas, kiedy się to działo w Warszawie, kiedy z jednej strony bezrozumny wielkorządca pozorami surowości starał się stłumić ruch, a właściwie przyczyniał się tylko do jego wzrostu, na prowincyi, po dawnemu, raz rozkołysane fale wzburzenia powszechnego ani na chwilę się nie uspokajały. Kocie muzyki, śpiewy, stroje zakazane, żałoba, nabożeństwa, wloką się nieskończonym i jednostajnym łańcuchem zdarzeń. W Hrubieszowie, w początkach sierpnia, wyprawiono kocią muzykę naczelnikowi powiatu Bobakowskiemu, a jego samego pobito. Zwykle tego rodzaju awantury wywoływały śledztwo, prowadzone przez specjalnie na ten cel wydelegowanych z Warszawy jenerałów i kończące się zawsze na niczem. Do Hrubieszowa posłano jenerała Sewastyanowa, który zachowywał się dziko i samowolnie, podobnie jak Rudanowski w Suwałkach. W ogólności, naczelnicy wojenni przybierali powoli ton satrapów, dopuszczali się wszelkiego rodzaju nadużyć i gwałtów, które zamiast tłumić ruch, owszem podsycaly go mocniej. W Kielcach weszło w zwyczaj, że

91 Artykuły w niej, zwłaszcza w numerach początkowych, zdradzały, że pisali je ludzie nie mający żadnego wyrobienia literackiego. Styl był dziadowski, po większej części brak wszelkiej myśli, a w dodatku ortografia (krew była stale przez jakiś czas pisana przez f, chrzczony przez sz) wołała o pomstę do Boga. Toteż wyższe słoje agitacyjne i spiskujące, taki Jurgens, Giller, Ruprecht, śmiali się z tej nędznej gazetki i nie przywiązywali do niej żadnej wagi, a jednak wywierała ona wpływ głęboki i silny mimo wszelkich swoich niedostatków i była chciwie czytana. Dodać tu należy, że wiadomość podana przez K. Estreichera (Bibliografia polska XIX. stulecia, IV., 392), jakoby redaktorem „Strażnicy” był Roman Zmorski, nie potwierdza się w żadnej z relacji, jakie posiadamy.

co dzień wieczorem, zbierano się licznie w kapliczce, zwanej „ogrójcem”, znajdującej się przy kolegiacie i śpiewano hymny religijno-patriotyczne. Pewnego dnia, w Lipcu, dowódca garnizonu miejscowego, pułkownik Zwierew, sprowadził na plac przed kościół muzykę i podczas, gdy tam śpiewano, ta grała skoczne tańce, a gdy to nie pomogło, kolbami rozpędził zbiegowisko. Żołnierze w ogólności byli mocno rozdrażnieni i przy każdej sposobności popuszczali wodze swym dzikim instynktom. Wszelkie ich nadużycia, roznoszone natychmiast przez wieść stugębną, przesadzane i pomnażane dodatkami różnymi w barwach zawsze jaskrawych, wywoływały zgрозę i oburzenie nawet w ludziach najspokojniejszych i popychały ich niejako do wzięcia udziału w ruchu. W wielu razach przyczyniała się do tego zdumiewająca zaiste niekonsekwencja władz rosyjskich.

Jenerał-gubernator wileński, znany nam już Nazimow, równie ograniczony jak Suchozanet, wybrał się w lipcu na objazd Grodzieńskiego, gdzie z powodu sąsiedztwa z Królestwem, ruch rewolucyjny się wzrósł. Przez Lidę, Słonim, po szosie Brzesko-Bobrujskiej, udał się najprzód do Brześcia Litewskiego, a z powrotem przez Wysokie Litewskie, Białystok i Grodno. We wszystkich miastach i stacyach pocztowych, oczekiwali nań spędzeni z okolicy chłopci, do których jenerał rosyjski wszędzie przemawiał i wszędzie jednakowo, gdyż, jak się zdaje, wyuczył się na pamięć swej mowy i powtarzał ją stereotypowo. Mowy te miały charakter podburzający lud wiejski litewski i ruski przeciw szlachcie polskiej. Z każdego słowa widocznym było, że rząd chce groźbą rzezi zmusić poczynającą się burzyć szlachtę do spokoju i posłuszeństwa. Już na pierwszej od Wilna stacyi, w Jedlnie, mówił Nazimow, że chłopci byli przez 300 lat pod rządem, który ich gnębił, że dopiero panowanie rosyjskie ich uwolniło; że powinni być wdzięczni cesarzowi za udarowanie ich wolnością, której nie mieli za władzy królów polskich; że nawet teraz szlachta śpiewa pieśni nabożne, by Bóg jej raczył wrócić pańszczyznę. Chłopci wszędzie słuchali tego i złe ziarno, rzucane w bujną glebę ciemnych umysłów, tu i owdzie wydawało swe opłakane owoce. Chłopci, zaraz prawie po tej podróży najwyższego naczelnika prowincyi, w wielu miejscach odmówili dworom posłuszeństwa i nie chcieli robić. Szlachta swoim, godnym jak najsurowszego potępienia, zwyczajem, odwoływała się o pomoc do władz. Nazimow wysyłał wówczas kozaków, którzy biciem i rabunkiem przywracali porządek. Liczne, choć sporadyczne tego rodzaju „bunty”, jak je zwano w języku urzędowym, przytrafiały się teraz w brzeskiem, białostockiem i słonimskim, i wszystkie ciężką dłonią kozacką były uśmierzone⁹². Była to oczywiście ze strony Nazimowa, a głównie rządu

92 Smutną pod tym względem sławę ze swych okrucieństw, jakich się dopuszczał, na chłopach, zyskał sobie teraz adyutant Nazimowa, Michniew, który stale był wysyłany do „zbuntowanych” wsi.

rosyjskiego, gruba niekonsekwencja; nie trzeba było jeździć i głosić chłopom mówek podburzających, a potem nie katować ich za to, że mówki te w czyn wprowadzali. Taką niekonsekwencją, taką polityką chwiejną i zmieniającą się co chwila, odznaczał się wtedy cały rząd rosyjski, począwszy od głów najwyższych w Petersburgu, a skończywszy na pierwszym, lepszym kacyku-poręczniku w Lututowie lub w Rypinie.

Pod tym względem, władze rosyjskie winny były brać wzór z rządu austriackiego. Ten umiał zawsze przez energiczne, odpowiednie i we właściwej chwili użyte wystąpienie, zapobiedz wszelkim wypadkom groźniejszym. Dlatego też ruch w Galicyi, choć nie brakło potemu usiłowań, był tylko sporadyczny, cząstkowy, sztuczny nieomal i nie miał nigdy ciągłości i tego charakteru upartego, jakim się odznaczał w Królestwie. W Szczawnicy, w czasie pory kąpielowej w lipcu, gdy się zjechało wiele osób z Królestwa, poczęto w kaplicy miejscowej co dzień wieczór śpiewać „Boże, coś Polskę”. Władza tamtejsza, a mianowicie naczelnik obwodu Sandeckiego, nie wahając się ani chwili, kazał zamknąć kaplicę i w ogłoszeniu mówiąc o hymnie rzeczonym wyraził się, że „pieśń ta nie należy do pieśni kościelnych, a śpiewanie jej jedynie demonstracją narodową ma na celu”.

Za to wystąpienie energiczne nikt mu jednak kocięj muzyki nie sprawił. We Lwowie, w końcu lipca obchodzono manifestacyjnie rocznicę stracenia w r. 1846 Teofila Wiśniewskiego. Zebrano się w kościele Karmelitów, wysłuchano mszy żałobnej, odśpiewano „Boże, coś Polskę” wśród rozwiniętego na środku kościoła sztandaru żałobnego. Miasto poprzednio uwiadomiono o tej uroczystości przez drukowane plakaty; toteż wszystkie prawie sklepy były zamknięte. Wieczorem ogromne tłumy zeszły się na plac kaźni; chciano postawić tam krzyż i odśpiewawszy hymny zasypać mogiłę kwiatami, których w rzeczy samej wielką ilość niesiono. Ale władza, dowiedziawszy się o zamierzonej manifestacji, rozwinęła na wzgórzach, na których tracono, znaczne siły wojskowe, które nie dopuściły tłumów. W koszarach skonsygnowano wojska, a namiestnik Galicyi hr. Mensdorff-Pouilly wszędzie, gdzie trzeba było, sam był obecny i nadawał kierunek. Wskutek tego wystąpienia energicznego, tłum cofnął się i doszedłszy do kościoła św. Anny, zatrzymał się, padł na kolana i począł śpiewać „Boże, coś Polskę”. Lecz nie pozwolono na to; zjawił się oddział wojska i siłą rozpędził zbiegowisko; o godz. 10-ej wieczór, miasto było spokojne i ciche.

Tego, by przez postawę energiczną, pewną siebie i spokojną, zapobiedz wszelkiego rodzaju zaburzeniom i rozruchom, władze rosyjskie nigdy nie potrafiły. Liczni naczelnicy wojenni, istne kacyki z całą ich dzikością i niekonsekwencją, jednego dnia byli łagodni i dozwolali na to, na co właściwie

dozwolić nie byli powinni, by nazajutrz rozwinąć surowe, gwałtowne środki terroryzmu wojskowego z powodu rzeczy, na które nie warto było nawet zwracać uwagi. W Białymstoku, o którym kilkakrotnie już tu wspominaliśmy, w lipcu agitacja rewolucyjna i śpiewy stały się objawem codziennym. Dnia 19 lipca, kacyk miejscowy, pułkownik Szczurow, otoczył nagle wojskiem kościół, w którym śpiewano hymny i aresztował pięć osób, między którymi była jedna kobieta i jeden chłop. Gdy aresztowanych poprowadzono do policyi, zebrał się znaczny tłum, do tysiąca osób, który domagał się uparcie uwolnienia uwięzionych, a nawet poczęto szturmować do gmachu policyjnego kamieniami. Noc przerwała te awantury. Nazajutrz jednak, tak samo zebrał się znaczny tłum na cmentarzu koło kościoła; horodniczy miejscowy wysunął oddział piechoty i setnię kozaków i począł spisywać obecnych. Na skutek tego, z tłumy wysłano do horodniczego deputacyą, która prosiła, by wypuścił wszystkich bez spisywania ich nazwisk, grożąc w razie przeciwnym, jak utrzymuje raport urzędowy, że „o tych gwałtach całą Europą i gazeta „Kołokoł” będzie uwiadomiona”. Horodniczy mimo to nie ustępował, czas biegnął, noc zapadła. Koło północy zjawili się kilku obywatele znaczniejszych i zapewniwszy horodniczego, że śpiewanie pieśni patriotycznych więcej się nie powtórzy, namówili go do wypuszczenia zebranych. Jednakże, pomimo tego przyrzeczenia, na drugi dzień d. 21 lipca, znowu na cmentarzu kościelnym zebrał się tłum około 400 osób i gdy ukazała się setnia kozaków dońskich, rozpoczęto „Boże, coś Polskę”. Na żądanie tego samego horodniczego, by zgromadzeni się rozeszli, domagano się w odpowiedzi, żeby wojsko wprzód ustąpiło oraz aby ich nazwisk nie spisywano. Wśród tych pertraktacyi, poza wojskiem począł się zbierać nowy tłum, który jednak wkrótce się rozszedł; zatrzymanych zaś na cmentarzu, w nocy, z rozporządzeniem gubernatora miejscowego, uwolniono bez zapisywania nazwisk, dając tem dowód braku wszelkiej logiki w głowach rządów rosyjskich i uzuchwalając tą bezkarnością jeszcze bardziej agitatorów do prowadzenia dalszego swego, fatalnego dla kraju, rzemiosła.

W Mławie, miasteczku leżącym nad samą granicą pruską, weszło teraz, w miesiącach letnich, w zwyczaj zgromadzać się co dzień pod figurą Matki Boskiej, stojącą na końcu miasta, na cmentarzu i śpiewać tam hymny patriotyczne. Naczelnik wojenny, Runowski nazwiskiem, zarazem dowódca konsystującego tamże garnizonu z pułku Estońskiego piechoty, kilkakrotnie upominał mieszkańców, a gdy to nie skutkowało, zdał raport do Warszawy, skąd Suchozanet natychmiast wysłał na śledztwo niejakiego Ponomarewa, urzędnika do szczególnych poruczeń z biura namiestnikowskiego. Przybył on do Mławy d. 24 lipca i gdy właśnie tego dnia poczęto także śpiewać, rozkazał otoczyć śpiewających kompanią piechoty i spisać nazwiska wszystkich

obecnych. Zebrani, przestraszeni tem trochę, ruszyli ku bramie cmentarnej, gdzie już stał podpułkownik Runowski, podsędek miejscowego sądu pokoju i doboisz, wezwani umyślnie, zgodnie z prawem o zbiegowiskach z d. 8 kwietnia. Kiedy jednak reprezentant władzy sądowej zażądał, by się rozchodzono, odpowiedziano mu śmiechem, wreszcie oświadczone, że dopóty nie ustąpią, dopóki wojsko się nie cofnie. Gdy wreszcie Runowski oznajmił, że mogą sobie śpiewać, ale w kościele, byle mu dano słowo honoru, że na cmentarzu więcej zbierać się nie będą, tłum powoli począł się rozchodzić.

Nie miało się jednak na tem skończyć. Nazajutrz d. 25 lipca, wieczorem, kilkadziesiąt osób, przeważnie kobiet, zebrało się, już zgodnie z danem słowem, nie przed figurą Matki Boskiej, ale na cmentarzu kościoła parafialnego i postawiwszy na piedestale tam będącym figurę drewnianą Matki Boskiej, oświecono ją pięknie przy pomocy transparentów, orłów, krzyży złamanych i t. p. i zaczęły śpiewać hymny patryotyczne. Zebraniu temu przewodniczył wikaryusz miejscowy, ks. Rząca. Runowski wobec tego wystąpił z całą kompanią piechoty, wszedł na cmentarz, a gdy zebrani schronili się do kościoła, otoczył go zupełnie i domagał się, by wszyscy stamtąd wyszli. Nikt wezwania tego nie usłuchał i po kościele rozlegały się dalej pieśni. Runowski chciał spisać nazwiska obecnych, co spowodowało, że postanowiono nie wychodzić wcale z kościoła, dopóki wojsko się nie cofnie. Stan ten trwał przez całą noc, przyczem wojsko w wysokim stopniu zachowywało się nieprzyzwoicie. Przede wszystkim, na cmentarzu zniszczono ów pusty piedestał, a statuetkę Matki Boskiej zabrano i zanesiono do mieszkania Runowskiego. Żołnierze biwakowali na cmentarzu, paskudzili tam, oficerowie pili herbatę, palili tytoń i wchodząc od czasu do czasu do kościoła, szydzili i naigrawali się z kobiet. Kilku żołnierzy ustawiło się w kruchcie i chwyciło tych wszystkich, którzy zmuszeni byli wyjść. W ten sposób przytrzymano księdza Rzącę⁹³ i zamknięto go w jakiejś pustej stodole czy chlewie. Wreszcie o godz. 7 rano, gdy z miasta począł zbiegać się znaczny tłum, spisano wszystkich obecnych w kościele i wypuszczono. Cały dzień żołdactwo, chodząc gęstymi patrolami po mieście, biło ludzi i aresztowało⁹⁴.

93 Podwysocki (Zapiski oczewidca, 70) twierdzi, że ks. Rząca w obawie odpowiedzialności za to, że kościół otworzył, przebrał się w kościele w suknie kobiece i zdołał przemknąć się niepostrzeżenie, ale za miastem żołnierze go schwycili i przyaresztowali.

94 Tenże Podwysocki powiada, że „będące w kościele damy, oznajmiły chęć pomówienia z naczelnikiem wojennym i dlatego prosiły go, by wszedł do kościoła; lecz zaledwie wstąpił tam, gdy damy, obstąpiwszy go dokoła, poczęły go szczypać i ciągnąć do ołtarza. Po kilku minutach tych tortur, naczelnik wojenny tak osłabł (sic), że nie mógł już mówić i nie wiadomo, co by z nim zrobiły nabożne damy, gdyby mu na pomoc nie zjawił się jeden z oficerów jego batalionu”. Relacja ta, mocno co do swej autentyczności podejrzana, nie znajduje się nigdzie w źródłach polskich.

Wież o tym niesłychanym dotąd gwałcie, o przetrzymywaniu przez całą noc w kościele kobiet, o nieposzanowaniu świątyni, lotem błyskawicy rozbiegła się po kraju i wywołała oburzenie powszechne. Rektor kościoła mławskiego, w którym się sceny powyższe odbywały, ks. Chybczyński, zdał o wszystkim raport arcybiskupowi, skarżąc się na pogwałcenie kościoła. Naturalnie, gdy do zrewolucjonizowanego do szpiku kości Fijałkowskiego, przysłała taka skarga, wywołać w nim musiała chęć niepohamowaną zmanifestowania się w sposób stanowczy i silny. W odezwie z d. 27 lipca do dyrektora Komisji wyznań, żądał, ażeby ten wyjednał „przykładne ukaranie winnych i wydanie rozporządzenia, surowo wzbraniającego wojsku dopuszczania się podobnych zniewag osób duchownych, kościołów, cmentarzy, obrazów i przedmiotów poświęconych czci religijnej”.

Wielopolski, otrzymawszy tę odezwę, właściwie nic nie mógł już poradzić, gdyż w przeddzień jej przybycia, podał się był do dymisyi; zrobił jednak tyle, że wysłano na śledztwo do Mławy prezesa Sądu apelacyjnego, Strzeszewskiego. Śledztwo to, jak wszystkie śledztwa tej epoki, ciągnęło się długo, zapisano mnóstwo papieru i w rezultacie skończyło się na niczem⁹⁵.

Wielopolski więc, sprawą tą szczerze zająć się nie mógł, a uwaga kraju, zwrócona nagle została na okoliczności o wiele ważniejsze, niż wypadki Mławskie, na wielką, imponującą rzec można manifestacją, jaka właśnie rozgrywać się poczęła na olbrzymich przestrzeniach całej, dawnej Polski, od Dniepru po Wartę, od Bałtyku po Karpaty. Z powodu zbliżającej się rocznicy sejmu unii w Lublinie, przypadającej w d. 12 sierpnia, agitatorzy i nie agitatorzy postanowili wyzyskać tę okoliczność na wielką skalę, dla pokazania Rosyi i światu, że związek zawarty przed trzystu laty między dwoma narodami, istnieje w całej swej mocy. Pod tym względem, myśl tego rodzaju demonstracyi nigdzie, w żadnej sferze i w żadnym stronnictwie nie napotkała oporu. Wszyscy, tak dobrze Czerwoni, jak i Biali, czuli potrzebę publicznego, głośnego zadokumentowania swej jedności nierozzerwalnej z Litwą. Manifestacya ta zatem, przybierała przez to niezmiernie doniosły charakter polityczny, była jedną z najpoważniejszych co do swego znaczenia wewnętrznych i najdotkliwszych dla Rosyi. Rozmiarami swymi przeszła ona wszystko, co dotąd robiono; użyto

95 O wypadkach Mławskich ukazał się d. 1 sierpnia opis litografowany na ćwiartce papieru i obiegał po kraju. Autorem tego dokumentu, zdaje się, było duchowieństwo warszawskie, gdyż jest w nim mowa o raporcie do arcybiskupa proboszcza mławskiego, ks. Chybczyńskiego (opis zwie go „Hipczyńskim”), wiadomość nikomu jeszcze wówczas nieznaną. Prawdopodobnie Fijałkowski wiedział o tej relacyi, skreślonej w tonie podburzającym i gwałtownym. Przytaczamy ją w całości na końcu tego tomu w zbiorze dokumentów pod Nr. 3.

bowiem wszelkich sił, by odbyła się jednocześnie na całej przestrzeni Polski starożytnej.

Już w początkach sierpnia ukazała się odezwa litografowana, wzywająca do uroczystego obchodu dnia 12 sierpnia. Odezwa ta, jak się zdaje, zredagowana pod wpływem, a co najmniej za wiedzą arcybiskupa Fijałkowskiego⁹⁶, brzmiała, jak następuje: „Warszawa w sierpniu 1861 r. Bracia rodacy! Na dniu 12 sierpnia 1569 r. stało się, iż król Zygmunt August uroczyście zamknął sejm unii w Lublinie. I to ostateczne zjednoczenie się Litwy z Polską mową walną zapieczętował, zalecając obu narodom wieczystą miłość braterską. Owóż, bracia rodacy, uczcijmy ten dzień świetny zrękowin braterstwa przodków naszych, a zgromadziwszy się po kościołach, zanieśmy wszyscy wspólnie gorące modły do Boga, aby nasz kraj, na szmaty poszarpany, raczył w jedną całość spojść i nas w duchu zjednoczyć. Wyznajmy publicznie wszyscy wspólnie z kapłanami w d. 12 sierpnia (31 lipca v. s.) 1861 r., żeśmy bracia jednej rodziny, białego orła i pogoni! Obchód tej jedności dwu narodów winien być uroczysty, spokojny, ogarniający sobą całą przestrzeń starożytnej Polski. Żałoba na ten jeden dzień, tak wielkiej wagi w dziejach, zdejmuj się”.

Odezwa ta, niepodpisana przez nikogo, nieopatrzona żadnym znakiem, niewiadomo skąd wyszła i od kogo, była jednak posłuchana, gdyż w kraju, we wszystkich sercach i umysłach, tkwiło to głębokie przekonanie, że takiej manifestacji trzeba dokonać, że ona jest istotnie potrzebną, że przedstawia cel wyraźny, że jest obowiązkiem patriotycznym.

Przede wszystkim jednak szło o to, by dla mas, dla tłumu nieświadomego dziejów, przedstawić w obrazie wyraźnym i plastycznym fakt unii; żeby jednym słowem miejsce głównej, zasadniczej, że tak powiemy, manifestacji, znajdowało się gdzieś na granicy Polski i Litwy. Myśl ta powszechnie się podobała; w Warszawie po różnych kołach i kółkach bardzo gorąco nad tem radzono i ostatecznie zdecydowano się, żeby manifestacja główna, odbyła się na moście na Niemnie, łączący miasteczko Aleksotę z Kownem. Wszystkie szczegóły tego planu, opracowano i jego wykonanie powierzono siłom miejscowym, głównie obywatelom wiejskim. Na demonstracją tę położono nacisk

96 W broszurze „Krzyżowy charakter ruchu polskiego” p. 23 czytamy: „dodać tu jeszcze należy, że opinia publiczna przypisywała jemu (t. j. Fijałkowskiemu) ów okólnik, powołujący na dzień 12 sierpnia, jako w rocznicę unii lubelskiej, do uroczystego obchodu po kościołach tej jedynej w dziejach świata pamiątki i do modłów gorących, „aby Bóg nasz kraj na szmaty poszarpany raczył w jedną całość spojść i nas w duchu zjednoczyć”. Pojmujemy więc, jak lgnęły serca narodu do sędziwego arcypasterza, który tak zaszczytnie przewodził duchowieństwu polskiemu na drodze narodowej”. A. Giller (Historia powstania nar. pol. II, 109) nie wie wcale, kto napisał tę odezwę, ani „skąd i od kogo wyszła”. Według ustnych podań miał ją zredagować Apollo Korzeniowski.

wyłączny, wieść o niej rozpuszczono po kraju całym, żeby zjazd był liczny; wszystkim zaś miastom i miasteczkom polecono, jak to odezwa zaznaczyła, odbyć tylko nabożeństwo i zdjąć na ten dzień żałobę. Cała Polska z natężeniem miała zwrócone oczy na Kowno i oczekiwała z niepokojem 12 sierpnia. Prócz tej odezwy ukazało się: „wezwanie Polaków wyznania mojżeszowego do nabożnego obchodu rocznicy Unii Litwy z Polską”, w którym nieznanego autor woła: „dziś, gdy z przebudzeniem się życia narodowego, na całym obszarze Polski obchodzimy świetniejsze epoki z naszej przeszłości, na jakich nam nie zbywa, przez dziękczynne nabożeństwa i objawy powszechnej radości i my Polacy-żydzi, mający dać drugi przykład bratniego połączenia się, udział w tem przyjąć powinniśmy”. Wezwanie postanawiało, że rocznicę tę, żydzi obchodzić mają solennem nabożeństwem w synagogach, zamknięciem sklepów, rzęsiwem wieczór oświeceniem mieszkań i zdjęciem żałoby. „Jak owa Unia, kończy swe wezwanie – była świadectwem złączenia się dwóch narodów, oby jej obchód doroczny stał się nową rękojmią trwałości naszego z rodakami połączenia i dalszej, wspólnej pracy naukowej”⁹⁷.

Wszystkie te przygotowania, te odezwy, to oczekiwanie ogólne wiadomem było rządowi i nie mogło być inaczej, gdyż nikt się z tem nie krył. Pomimo tego jednak, Suchozanet nie przedsiębrał żadnych środków zapobiegawczych; śmiesznie groźny Sezostrys drzemał snem dzieci i starców zgrzybiałych. Całym jego wysileniem było to, że po awanturach na ulicy Miodowej rozłożył znów obozowiska na ulicach i przekonany był, że to zapobiegnie wszystkiemu. Gdy wyżej przytoczone odezwy poczęły obiegać, gdy coraz głośniejsze mówiono o wielkiej manifestacji, gdy na koniec w d. 11 sierpnia ukazały się poprzylepiane na rogach ulic ogłoszenia, wzywające na nabożeństwo jutrzejsze do kościoła oraz do oświetlenia wieczorem domów, Suchozanet wydał obwieszczenie, w którym oświadczał, „że w dniu jutrzejszym, żadne inne nabożeństwo, jak tylko przez kościół na ten dzień przepisane, ścierpianem nie będzie; tłumne zaś zgromadzenia się w celu zrobienia demonstracji, jako naruszające spokój publiczną, ulegną zatrzymaniu przez wojsko przy wyjściu z kościołów, dla postąpienia z nimi według całej surowości nadanej mi władzy. Podobnie zabrania się zamykania sklepów pod najsurowszą i osobistą odpowiedzialnością handlujących, jako też iluminacja wieczorna, za którą odpowiadać będą nie tylko właściciele domów, ale i lokatorzy, których mieszkania uiluminowane zostaną”.

Odezwę tę, o której zapewne sam był przekonany, że żadnego skutku mieć ona nie będzie, Suchozanet tak zakończył: „uprzedzam o tem wszystkich

97 Odezwę tę, dotąd nigdzie niedrukowaną, pomieszczamy w całości, w zbiorze dokumentów pod Nr. 4.

mieszkańców miasta Warszawy, ostrzegając, że wszelkie zgubne następstwa, jakie by z tego powodu wynikły, spadną na nieposłusznych i gwałcących spokojność publiczną”. Sprawa cała tym bardziej się komplikowała, groźba rozruchów stawała się tem niebezpieczniejszą, że współcześnie zapowiadano także przez plakaty, iż miasto będzie obchodziło uroczyste dzień 15 sierpnia, jako dzień imienin Napoleona, cesarza Francuzów. Mimo to wszystko, Suchozanet był spokojny, liczył bardzo wiele na groźną postawę wojska, wzywał duchowieństwo, by nie odprawiało nabożeństw, na co, jak pisał do cesarza, „ono zdaje się zgadzać”. Prócz tego uwiadomił generał-gubernatora Wileńskiego, Nazimowa, o przedsięwziętych przez siebie środkach.

Gdy na koniec niespokojnie przez wszystkich oczekiwany dzień 12 sierpnia zajaśniał, wojsko w Warszawie skonsygnowano w znacznych siłach na głównych placach; przed Zamkiem, na placu Saskim i Krasińskim zatoczono działa, co jednak nie przeszkadzało, że miasto przybrało cechę uroczystą, świąteczną. Od rana zdzierać poczęto ogłoszenia namiestnika, tak, że w końcu straż przy nich musiano postawić; w kościołach uderzono we dzwony i tłumy ciągnęły do świątyń. Wszystkie sklepy były zamknięte; kobiety zrzuciły żałobę i wystąpiły w strojach kolorowych, przeważnie w barwach narodowych, w kokardach i szarfach. Mężczyźni jak mogli, tak się ubierali, byle jaskrawo. Nabożeństwa odbywały się we wszystkich kościołach, ze szczególną jednak uroczystością u św. Jana, Wizytek i u św. Krzyża. Niemniej modlono się w synagogach i w kirsze luterskiej, a wszędzie brzmiały rozgłosne hymny patriotyczne. Policja odmykała sklepy gwałtem, ale zwykle, jak tylko odeszła, znowu je zamykano. Cukiernię Contięgo w hotelu Europejskim sam oberpolicmajster Rozwadowski otwierał. Po południu wszystkie ogrody były wypełnione publicznością; w Alejach Belwederskich utworzyło się przepyszne *corso* z błyszczących pojazdów, w których konie ustrojone były we wstęgi o barwach narodowych, a kobiety, piękne Warszawianki, ubrane przeważnie białą z amarantowemi szarfami, nadawały całości wygląd malowniczy, świetny i wesoły. Ruch był ogromny; wieczorem całe miasto zajaśniało iluminacją wspaniałą; zwłaszcza odznaczała się tem dzielnica staromiejska. Pojawiło się też mnóstwo transparentów i napisów, odpowiednich do tej chwili. Osób stosunkowo aresztowano niewiele (podobno zaledwie trzydzieści) i dzień przeszedł spokojnie. Toteż Suchozanet spieszył zaraz nazajutrz telegrafować do Petersburga, gdzie niepokój był niemały⁹⁸, że w dniu wczorajszym, dzięki groźnej obecności wojsk, porządek w mieście nie był zakłócony, choć wzburzenie było bardzo znaczne. Kobiety były w sukniach kolorowych, sklepy zamknięte; wie-

98 Cesarz d. 12 sierpnia pisał: „oby Bóg dał, by przedsięwzięte przez pana środki zapobiegały oczekiwanym nieporządkom”.

czorem była iluminacja wewnątrz mieszkań. Słowem tego rodzaju objawy, którym nie można zapobiedz ani ich powstrzymać, czy to przez policję, czy siłą oręża. Aresztowano osób 30”.

Tak się odbył obchód pamiątkowy unii w Warszawie. Powoli poczęły nadchodzić wieści z prowincji, gdzie tu i owdzie manifestacja ta przybrała charakter gwałtowniejszy i groźniejszy. W Piotrkowie naczelnik wojenny, generał Wagner, na skutek wieści o przygotowującej się manifestacji, już w przeddzień zabronił po godz. 9 wieczór wychodzić na ulice bez latarki zapalanej, co według niego miało być najlepszym środkiem dla zapobieżenia rozruchom. Na nabożeństwie nazajutrz, odbytem u fary, znajdowało się bardzo wielu chłopów, dzięki zabiegom obywateli wiejskich. Odśpiewano „Te Deum” przy biciu we wszystkie dzwony. Kobiety ukazały się jasno ubrane i wszyscy niesli gałązki zielone. Po południu odbyły się nieszpory uroczyste w kościele Dominikańskim, poczem znaczny tłum ruszył do ogrodu za miastem, przy stacyi kolei. Tu choć dzień był jeszcze jasny, dla wyszydzenia rozkazu wczorajszego, pozapalano latarki białe i czerwone, na których błyszczał napis: „na pamiątkę uroczystości narodowej w d. 12 sierpnia 1861r.” Wielu niosło zwyczajne, a nawet powozowe latarnie. Wśród śmiechu i żartów, tłum liczący do 1.000 osób, wyszedł z ogrodu, chcąc przejść w pochodzie procesyjnym przez całe miasto, ale w rynku zagrodziło im drogę wojsko pod dowództwem samego Wagnera.

Gdy ten rozkazywał, by otoczono zbiegowisko i zamykano sklepy, tłum rozproszył się po uliczkach sąsiednich i na tem się manifestacja skończyła. Całą noc silne patrole przebiegały miasto.

W Kaliszu, gdzie wzburzenie było niejako stanem normalnym, gdzie koście muzyki były na porządku dziennym⁹⁹, manifestacja 12 sierpnia musiała przybrać charakter bardziej niż gdzieindziej ostry i wyzywający. Jak wszędzie, tak i tutaj, kobiety postroiły się jaskrawo, sklepy pozamykano. Na nabożeństwie u fary, gdy śpiewano „Te Deum”, grupa młodych ludzi podniosła w górę obraz, na którym wymalowany był Polak i Litwin, obaj w strojach narodowych, ściskający się za ręce. Nad wieczorem zebrano się nadzwyczaj licznie w prześlicznym parku miejscowym, gdzie wśród zabawy odśpiewano przy akompaniamencie muzyki: „Jeszcze Polska nie zginęła” i potem stary „mazur Chłopickiego”. W entuzjazmie, jaki te pieśni w obecnych rozbudziły, płakano głośno, rzucano się sobie w ramiona. Wielu krzychało: „niech żyje Polska! niech żyje Litwa! niech trwają zgoda, jedność i braterstwo!” Zapalono ogień

⁹⁹ Dnia 9 sierpnia wyprawiono kocią muzykę sędziemu apelacyjnemu, Potrzebowskiemu za to, że w sprawie modlińskiej domagał się, by aresztowani odpowiadali z więzienia, a nie z wolnej nogi.

bengalskie, które temu rozgorączkowanemu zebraniu nadały wygląd bardzo malowniczy. Jakkolwiek przez cały dzień, wojsko się nie pokazywało i w niczym nie przeszkadzało Kaliszanom, teraz jednak zjawił się w parku generał Woronow w towarzystwie adiutanta i prosił, by się rozchodzono. „Nie rozejdziemy się”, odpowiadano mu, a ktoś zaproponował w końcu, by pójść do kościoła. Ruszono szeregami przez aleję Józefiny do fary, śpiewając: „Boże, coś Polskę”. W kościele odśpiewano cały repertuar pieśni patriotycznych. Gdy noc zapadła, miasto zajaśniało przepyszną iluminacją¹⁰⁰.

W Łodzi, mieście na wskroś fabrycznym, żydowsko-niemieckim, obchód miał także cechę niezmiernie hałaśliwą. W przeddzień Niemcy oświadczyli, że przyjmą udział w obchodzie; jakoż nazajutrz sklepy pozamykano i wszystkie fabryki stanęły. Kościół katolicki przybrano w kwiaty, drzewa, festony z zieleni; w prezbiterium umieszczono herb Korony i Litwy. Gdy nabożeństwo się skończyło, wyruszyła procesja na cmentarz z chorągwiami, między którymi jaśniała jedna z orłem i pogonią. Do tej procesji przyłączyło się 1500 strzelców kurkowych, śpiewających „Boże, coś Polskę” po niemiecku. Żydzi także szli za procesją. Po drodze wstąpiono do kirchy luterskiej, a potem do bożnicy. Przez cały dzień brzmiały pieśni patriotyczne, w ogrodzie spacerowym muzyka grała mazurka Dąbrowskiego, a miasto błyszczało w blasku iluminacji.

W Płocku, na skutek energicznego wystąpienia satrapy miejscowego Rożnowa, manifestacja d. 12 sierpnia prawie, że nie przysłała do skutku. Wezwał on administratora, by zabronił duchowieństwu odprawiania nabożeństwa, a gdy pomimo to inaczej się stało, otoczył wojskiem wszystkie trzy kościoły, zabraniając wpuszczania i wypuszczania z nich kogokolwiek. Przyszło do tego, że administrator Myśliński musiał się udać do Rożnowa, prosząc o wypuszczenie zebranych, których wreszcie sam wyprowadził. Wszystko to oburzyło mieszkańców, ale manifestacja nie odbyła się wcale, a przynajmniej nie miała tej cechy hałaśliwej i rewolucyjnej, jak gdzieindziej.

W Mławie, na nabożeństwo w kościele parafialnym, szlachta zjechała się bardzo licznie. Znany nam już pułkownik Runowski, chwycił się tego samego środka, co i poprzednio; otoczył cmentarz i kościół dookoła wojskiem, a wychodzącym oświadczył, że ponieważ zabronione jest zgromadzanie się, więc

100 W jednym z rękopismów, skreślonym współcześnie w Kaliszu, znajdujemy wiadomość, że, kiedy Woronow zjawił się w ogrodzie i zachęcał do rozejścia się, odezwały się pojedyncze głosy: „Jeszcze Polska nie zginęła panie Jenerale” i wnet wszyscy chórem krzyknęli: „nie zginęła” i „niech żyje Polska!”, czapki syknęły się w górę, a między nimi ukazała się także czapka zacnego Woronowa. Wtenczas, lud porwał go na ręce i podniósł w górę, również i adiutanta jego. Adjutant, otyły Moskal, śmiał się serdecznie, tak mu się podobało, że go na rękach noszono, a Woronow... on płakał”.

wszystkich aresztuje. Jakoż przytrzymali żołnierze trzech mężczyzn, opuszczających nabożeństwo. Wywołało to wśród zebranych na cmentarzu ogromną wrzawę; rozpoczęto pertraktacje z kacykiem Runowskim, rezultatem których było, że ten ustąpił na rynek, ale groził, że choć księży, którzy się zjechali na tę uroczystość, wyłapie. Wskutek tego, przestraszonych proboszczów przebrano po cywilnemu i zaufkami wyprowadzono z miasta. Manifestacja jednak nie udała się i oprócz nabożeństwa nic więcej w Mławie nie było.

W Lublinie, którego burzliwy i niekiedy nawet przewyższający Warszawę, charakter ludu już zaznaczyliśmy, wśród ciągłych nieomal zawichrzeń, jakie tam trwały¹⁰¹, należało się spodziewać, że pamiątka unii, która właśnie dla Lublina była jednym z najpiękniejszych wspomnień jego przeszłości, najuroczyściej będzie obchodzona. Jakoż robiono tam odpowiednie przygotowania i ułożono cały program postępowania, który na tem polegał, że po nabożeństwie w kościele OO. Kapucynów miano udać się tłumnie do pomnika, wzniesionego przez Aleksandra I-go na pamiątkę unii i takowy uwieńczyć kwiatami. Chruszczew, znany nam już wielkorządca Lublina, dowiedziawszy się o tych zamiarach, rozwinął koło pomnika znaczne siły wojskowe i groził, że, jeżeli się doń ktokolwiek zbliży, każe strzelać. Mimo to jednak, po nabożeństwach we wszystkich kościołach, w których rozbrzmiewało stokroć silniej, stokroć namiętniej, że tak powiemy, niż zwykłe „Boże, coś Polskę”, ruszono na Krakowskie Przedmieście. Wszystkie kobiety były jasno ubrane, wiele z nich w strojach wiejskich, w gorsetach, spódniczkach, z rozpuszczonymi na plecy kosami.

Odznaczała się między niemi niejaka panna Henryka Pustowojtów, córka generała rosyjskiego, znana nam już autorka „Modlitwy Moskali”, urodzona z Polki, patriotka gorąca, biorąca udział we wszystkich manifestacjach i mająca z czasem odegrać rolę historyczną w dobie powstania zbrojnego¹⁰². Ubrana

101 Podczas uroczystości dworskiej d. 3 sierpnia, gromada chłopców, przeważnie terminatorów biegała po ulicach i krzycząc: złodziej, łapaj! leciała jak szalona i wywracała lub gasiła palące się kagańce. W d. 8 sierpnia znowu, gdy poczęto tym, którzy dom uiluminowali wybijać szyby, musiało wystąpić na Krakowskie Przedmieście wojsko pod wodzą pułkownika Szelkina i kolbami rozpędzać zbiegowisko.

102 Właściwie miała imię Anny. Była ona córką Teofila Pustowojtowa, generała rosyjskiego i Polki, Kosakowskiej z domu. (Chruszczew w swych „Zapiskach” zwie ją Kosanowską), zamieszkałej w Żytomierzu. Z tego małżeństwa urodziła się dnia 26 lipca 1838 r. historyczna „panna Pustowojtów”, w dobie więc ruchu rewolucyjnego liczyła zaledwie 23 lata. Wychowana w Puławach, stała się z ducha i zwyczajów Polką. W roku 1861 mieszkała z babką swoją Kosakowską w Lublinie, na jednej z głównych ulic, niedaleko Towarzystwa kredytowego ziemskiego, w dużym domu brudno-zielonym, z balkonem. W lecie, wieczorami, na balkonie roiło się od mundurów rosyjskich, przez otwarte okna rozlegał się głos kobiecy obszerny, nieco krzykliwy; śpiewała panna Pustowojtów, jak mówiono

w strój krakowianki, z wstążkami trójkolorowymi, wplecionymi w warkocze, ufna w siebie i śmiała, dała pierwsza przykład, że pomimo wojska i groźby Chruszczewa, zarzuciła pomnik kwiatami. Chruszczew patrzył na to i do niektórych osób odezwał się: „nie wyzywajcie, proszę was bardzo”. Słowa te, wychodząc z ust człowieka, powszechnie za swą ludzkość lubianego, oddziaływały tak, że zaniechano wszelkiego manifestowania się przed pomnikiem.

W niektórych domach błyszcząły transparenty z orłem i pogonią, w innych portrety Kościuszki, a w oknach mieszkania niejakiego Mulickiego, aplikanta sądowego, był umieszczony transparent, przedstawiający pomnik, wzniesiony w Lublinie na pamiątkę unii, obok niego portret Kościuszki i Sobieskiego. Były też portrety księcia Józefa, krzyże złamane, wieńce cierniowe i t. p. W nocy, cały pomnik został literalnie zarzucony kwiatami i wieńcami.

W Kielcach usypano na pamiątkę tego dnia kopiec, na górze, zwanej Karczówką, gdzie w romantycznym położeniu wznosił się klasztor Bernardynów; w Białej podlaskiej, po nabożeństwie ruszono procesjonalnie do Bazylianów, a potem na cmentarz, gdzie stał krzyż, na pamiątkę poległych wzniesiony. W Grodnie, pomimo zakazu władz miejscowych, nabożeństwo się odbyło, a po południu wyruszono na tłumną przechadzkę do Łosośny, gdzie rozpoczęły się tańce. Sprowadzono mnóstwo chłopów i dziewcząt wiejskich; szlachta i szlachcianki z nimi tańczyli. Nad wieczorem w 600 par puszczoneo się z powrotem do miasta, przy dźwiękach poloneza Kościuszki, przy okrzykach: „niech żyje Polska i Litwa! jeszcze Polska nie zginęła!” i t. d. W Druśkienikach, miejscu kąpielowem, urządzeniem demonstracyi zajmował się głównie hr. Wołłowicz i niejaki Ostromęcki, obaj z Królestwa oraz Staniszewski, dymisyonowany podporucznik wojsk rosyjskich¹⁰³. Zjazd był ogromny, tak szlachty, jak i ludu; nie bez tego, by ten ostatni nie był zmuszony do

wtedy narzeczona oficera rosyjskiego. (Lisicki, kwartalnik historyczny z r. 1890). Dowcipniście miejscy zwali ją „pusty Wojtek” i w ogóle nie cieszyła się w Lublinie dobrą opinią. Opowiadano sobie, choć w tem zapewne niewiele było prawdy, o licznych jej romansach z oficerami i młodzieżą szkolną, która się w niej kochała na zabój. Była to dziewczyna niebrzydka, miała śliczne, czarne oczy i włosy bujne. Z nastaniem demonstracyi patryotycznych, panna przywdziała konfederatkę, we wszystkich procesyach żywy brała udział, śpiewała często na chórze w kościele katedralnym lubelskim, choć była prawosławną. Chruszczew napominał ją, mówił, że takie postępowanie jest nieprzywoite z tego powodu, że jest Rosyanką i córką generała dymisyonowanego. Niewiele to pomagało, choć i rodzina starała się na nią wpłynąć (jej siostra była za oficerem Nikitinem). Panna nie przestawała się manifestować. Dnia 25 lipcaniosła figurę Matki Boskiej wraz z innymi pannami w procesyi, idącej z Lublina na odpust do Garbowa. O jej zachowaniu się podczas demonstracyi w rocznicę unii, pomieszczamy w tekście szczegółóły.

103 Staniszewskiemu w r. 1862, zabroniono za to wyjeżdzać z miejsca swego zamieszkania w gubernii Augustowskiej.

wzięcia udziału w sprawie, której nie rozumiał i która nic go nie obchodziła. Po nabożeństwie, na prześlicznych brzegach Niemna, rozpoczęła się zabawa.

Damy biało ubrane, w girlandach z zieleni, tańczyły z chłopami przy odgłosie dwóch orkiestr, wygrywających melodye narodowe. W programie zabawy była i loterya, w której każdy bilet wygrywał. Wśród wzgórzy nadniemeńskich, długo w noc rozlegały się śpiewy patriotyczne.

W Wilnie, obchód uroczysty 12 sierpnia był początkiem całego szeregu demonstracji, ciągnących się przez kilka dni z rzędu i zakończonych wreszcie krwawym starciem z wojskiem. W dzień rzeczony, ksiądz Byszewski odprawił w kościele św. Jana wystawne nabożeństwo. Cały kościół przepełniony był publicznością (obliczano ją na 3.000 głów), przeważnie ze szlachty i urzędników złożoną. Kobiety były biało ubrane i miały na rękawach kokardy trójkolorowe. Odśpiewano „Te Deum” i „Boże, coś Polskę”. W kilka godzin potem nastąpiła wielka demonstracja uliczna. Około godz. 6-ej po południu, kilkutysięczny tłum zgromadził się przed obrazem Matki Boskiej w Ostrej bramie i tu pod przewodnictwem księdza Saforowicza śpiewano hymny patriotyczne. W tłumie mówiono, że po nabożeństwie ma się odbyć zabawa publiczna, ale gdzie, nie wiadano. Agitatorzy bowiem trzymali tę wiadomość w tajemnicy, żeby władza nie zapobiegła zabawie. Wprawdzie do Nazimowa doszła wieść, zapewne umyślnie rozpuszczona, że zabawa owa ma się odbyć na Pohulance, jakoż wysłano tam znaczny oddział kozaków. Tymczasem po odśpiewaniu hymnów, dwaj obywatele ziemscy z powiatu Dysneńskiego, głosem donośnym zawołali: „panowie bracia, prosimy do lasku Belmonckiego!” Ponieważ miejscowość ta leży w zupełnie przeciwnym kierunku, niż Pohulanka, uniknięto więc tym sposobem spotkania się z wojskiem. Tłum cały, liczący około 5.000 osób, ruszył procesjonalnie przez miasto do wskazanego miejsca. Zabawa w lasku Belmonckim ma znaczenie pierwszorzędne w historii demonstracji wileńskich. Była ona pierwszym na wielką skalę zmanifestowaniem się publicznym; nastąpiło tu na koniec tak nazwane „zbratanie się stanów”, owo entuzjastyczne uniesienie chwilowe, które wszędzie w tej dobie dziwnej, gorączkowej, bezprzykładnej w dziejach, odbywało się i stanowiło jeden z programów zasadniczych ruchu. Słodkie marzenie, nigdy może na ziemi nieziszczone, ale niech wolno będzie ludziom cieszyć się choć złudzeniami, jeżeli te złudzenia są piękne i podniosłe.

W lesie Belmonckim, tłum rozdzielił się na dwie części, z których większa liczebnie, złożona ze szlachty, ich żon i córek, urzędników, uczniów gimnazjum, rzemieślników, ugrupowała się koło zajazdu; druga umieściła się nieco dalej, w lesie. Wśród zebranych zauważono nawet paru wojskowych, oczywiście Polaków. Zabawa rozpoczęła się od mów, które wygłaszano kolejno przez przed-

stawiciele różnych stanów z zaimprovizowanej naprędcie mównicy. Mowy te, tłum witał okrzykami: „niech żyje Polska! niech żyje braterstwo i zgoda! niech żyją rzemieślnicy! szpiegi na szubienicę! Jeden z rzemieślników wygłosił płomienistą mowę o przywróceniu Polski w jej dawnych granicach¹⁰⁴. Całowano się, ściskano, płakano nad losem tej Polski, którą zaiste! wszyscy gorąco kochali, wszyscy pragnęli dla niej doli jak najlepszej, a jednak samowolnie w przepaść ją stracali. Tańczono, pito, a pod wieczór, gdy już wszyscy byli znużeni, jakiś młody urzędnik ożywił zebranych okrzykiem: „jeszcze poloneza na pohybel Moskwy!” W drugiej partii działo się to samo; grzmiały tam hymny patryotyczne i mowy za mowami. Bawiono się w ten sposób do późnego wieczoru.

Najważniejszym jednak, najdonioślejszego znaczenia pomiędzy tymi wszystkimi obchodami, był obchód w Kownie, gdzie miało się w formie plastycznej przypomnieć światu połączenie Litwy z Polską. Każdy, kto tylko mógł, dążył do stolicy żmudzkiej, uświęconej tylu drogami dla duszy polskiej wspomnieniami, by wziąć udział w wielkiej manifestacji. Przygotowania zresztą zrobiono do niej od dawna.

Sama uroczystość, według programu ułożonego z góry, miała się odbyć na moście na Niemnie, między Kownem i osadą Aleksotę, leżącą już w Królestwie. Rano, d. 12 sierpnia, ludność wszystkich wsi okolicznych w Królestwie, mianowicie: Aleksoty, Godlewa, Poniemunia, Pożajścia i t. d. miała wyruszyć procesjonalnie ku mostowi na Niemnie. Ze strony litewskiej miało się to samo zrobić, tak, by obie procesy spotkały się na moście i tam, połączywszy się, odprawić na rzece nabożeństwo uroczyste. Program ten, który się agitował przez kilka dni z rzędu, wiadomym był oczywiście w całej, swej rozciągłości władzom rosyjskim. Gubernator miejscowy, może z obawy przed następstwami manifestacji, może nie chcąc brać udziału w krwi rozlewie, jaki spodziewano się, że nastąpi, może zresztą przypadkowo, dość, że na kilka dni przedtem opuścił Kowno i wyjechał do Petersburga. Zastępca jego, tak zwany wicegubernator, odwołał się do wielkorządcy wileńskiego, Nazimowa, z zapytaniem, co czynić należy w razie, jeżeli manifestacja przyjdzie do skutku? Jenerał-gubernator odpowiedział mu depeszą telegraficzną: „postępuj pan rozumnie, a most rozebrać!”¹⁰⁵. Prócz tego, w samym mieście załogę wojskową (batalion

104 W sferze rzemieślniczej wileńskiej, zbratanie się to wywołało silne wrażenie. Klasa ta dziwiła się i budowała niezmiernie, że dumna szlachta litewska zniża się do niej. Jakiś szewc w Belmoncie pytał nawet: „czy i szewcy będą równi panom?” Pytanie wysoce charakterystyczne.

105 N. Berg (Zapiski, 331) powiada, że według twierdzeń niektórych osób, pomagających mu w pisaniu jego dzieła, depesza Nazimowa zawierała tylko te słowa: „postępuj pan rozumnie”, o moście zaś nie było wzmianki.

piechoty i szwadron ułanów) zwiększono przez setnię kozaków dońskich. Mostu jednak wicegubernator, zapewne dla nieprzerywania komunikacji, zdejmować nie kazał; dopiero jakiś porucznik, Moskał, zdołał już w ostatniej chwili usunąć na środku jedną tylko łyżwę.

Takie było położenie rzeczy i niepokój wśród władz rosyjskich nie mały, gdy d. 12 sierpnia o godz. 8 ½ rano, rozpoczął się ruch niezwykły w mieście.

Ranek był chmurny i wietrzny; mimo to ze wszystkich stron dążono do kościoła Augustyanów. Mężczyźni przeważnie postrojeni byli w kontusze, czamarki, różnokolorowe czapki; kobiety jaskrawo z amarantowemi lub granatowemi przepaskami, w wieńcach na głowach. Po krótkim stosunkowo nabożeństwie, bo już koło godz. 9-ej wyrusza na koniec procesya. Na czele z krzyżem, postępuje wysokiego wzrostu mężczyzna, z czarną, długą brodą, ubrany w mundur oficera rosyjskiego¹⁰⁶; za nim posuwa się, miotany rozgłosnie przez wiatr, las chorągwi różnobarwnych i feretrony, niesiony przez panny w bieli z wieńcami. Za tym orszakiem postępuje trzech księży Augustyanów, a za nimi tłum ogromny, śpiewający „Boże, coś Polskę”. Świadkowie naoczni opowiadają, że widok ten, ten śpiew przez wiatr porywany i niesiony gdzieś tam pod chmurne niebo żmudzkie, jęk wszystkich dzwonów kościelnych, robił wrażenie imponujące. Procesya, posuwając się wolno, napotyka na ulicach licznie rozstawioną policją, na placu Nowego miasta pół szwadronu ułanów, rozwiniętych długim frontem, na ulicy ku Niemnowi pluton (*zwod*) kozaków pod wodzą setnika Popowa, który otrzymał był od dowódcy dywizji, generała Burharda, rozkaz: „nie dozwalać na połączenie się dwóch procesyi, jeśli to okaże się możliwem, ale nie uciekać się do siły” (*nie dopuskat, jeśli można, sojedinenia, no nie upotreblat nasilstwiennych mier*).

Podczas, gdy się to dzieje w Kownie, gdy procesya zbliża się ku mostowi, do którego drogę zagradza jej Popow z kozakami, z drugiej strony Niemna, w Augustowskiem, wyrusza ku rzece procesya, jak ją zwano, polska, z Poniemunia. Dziewczęta, ubrane biało w wieńce i kwiaty, niosą ołtarze i figury. Łączą się z procesją z Godlewa, wstępują na górę Aleksoty, która cała okrywa się ludem.

Wiatr przynosi z Kowna odgłos dzwonów i śpiew, ale środek mostu rozebrany, a na nim kozacy i żołnierze. Wkrótce spostrzegają postępującą ku rzece procesją kowieńską i jedyną w swoim rodzaju scenę, jaka się tam rozgrywać zaczęła. Kiedy bowiem ta ostatnia procesya zbliżyła się do kozaków, setnik Popow rozwinął pluton lewem ramieniem naprzód i stanął frontem do procesyi, opierając swe skrzydła o domy po obu stronach ulicy. Przejście było nie-

106 Zdaje się, że był to ten sam kapitan inżynierzy K**, który nie chciał mostu rozebrać. (Zobacz: „Polskaja młodzież Zapadnago kraja” i t. d. Russkij Wiestnik, T. LXXX, 278).

możliwe; naciskających biją kozacy batami, tratują końmi, a ten i ów z tłumu broni się kijem i nie oszczędza napastników. Wobec tego, cały orszak klęka na ulicy i śpiewa „Boże, coś Polskę”. Dziewczęta niosące obrazy usiłują przerwać łańcuch kozaków; krwawe starcie wisiało na włosku. Obie strony były rozdrażnione; w kozakach widać było silny nastrój gorączki nerwowej, wzbudzającej w nich trwogę zabobonną w obliczu tych chorągwi, obrazów, świętości i tego śpiewu, grzmiącego potężnie. Na szczęście zjawił się policmajster kowieński, który jako przedstawiciel władzy cywilnej, dla uniknięcia rozlewu krwi, rozkazał Popowi „sformować pluton po obu stronach ulicy przed samym mostem i Polaków przepuścić”¹⁰⁷. Tym sposobem, kozacy stanowili teraz nie przeszkodę dla procesyi, ale owszem byli pewnego rodzaju dekoracją dla całej tej uroczystości. Administracja kowieńska tłumaczyła się później, że „z dwóch ostateczności wybrała mniej zgubną w swych następstwach; to jest albo niemożność przeszkodzenia obchodowi pomimo ofiar, tak w zabitych, jak i utopionych, albo też spełnienia go bez ofiar”.

Administracja wybrała z tych dwóch alternatyw ostatnią i dlatego kozakom rozkazano usunąć się i przez swą obecność uświetnić niejako sam obchód. Kiedy wskutek tego procesya ruszyła ku mostowi, kozacy poczuli powoli zdejmować czapki i żegnać się, przypatrując się zresztą w milczeniu całemu pochodowi.

Kiedy na koniec ten stanął na brzegu, procesya polska już tam się znajdowała i zaśpiewała „Boże, coś Polskę”. Tym samym hymnem odpowiada ją Litwini, „grzmi powietrze od tych połączonych odgłosów, pisze naoczny świadek, drąży ziemia, wtórują im łkania serdeczne, kropią łyzy rzęsiste oba nadbrzeża Niemna i spływają do wód jego”. Chorągwie po obu stronach, na znak powitania pochylają się, księża krzyżem błogosławią lud, który pada na kolana, choć pod tak wielkim ciężarem łyżwy zanurzają się i woda most zalewa. Obie połączone teraz procesye ruszyły rzez Aleksotę, Godlewo do Piątku, gdzie wśród boru znajdował się niedawno wzniesiony kościół. Naprzeciw postępującym, wyszła procesya z Weywer i razem już przez pola i i lasy ruszyły do rzeczonoego kościoła w Piątku. Tu powitał je dziewięćdziesięcioletni sta-

107 W starciu pierwotnym, kilku kozaków zostało przez śmielszych członków procesyi kijami pobitych. „Mimo to, pisze w swym raporcie Popow, mimo osobistych obraz, jakich doznałem od Polaków młodych, mimo na koniec niezadowolenia wśród kozaków, nie uznających w takim wypadku potrzeby oszczędzania buntowników i uważających swe położenie za ubliżające dla siebie, jeżeli przynajmniej batów (*nagajek*) nie użyją za obrazy doznane, kozacy zdążyli wykonać polecenie, nikogo nie obrazili, podczas gdy tłum silnie się czegoś oburzał na kozaków, którzy wypełnili tylko obowiązek służby”. Czytelnik wybaczy konstrukcją tego zdania, będącego przekładem dosłownym oryginału kozackiego.

rzec, dziedzic dóbr Fredra, nazwiskiem Godlewski, niegdyś poseł na sejm za Księstwa Warszawskiego i Królestwa konsystucyjnego. Stał on w kontuszu, siwy, zgarbiony, wsparty na kiju i witał głosem drżącym idących. W Piątku, proboszcz parafii Godlewskiej odprawił nabożeństwo z odpowiednimi dwoma kazaniami. Po nabożeństwie, ugoszczono zebranych wśród okrzyków, toastów, haseł braterstwa i wieczystej dwóch narodów unii¹⁰⁸. Pod wieczór puszczono się z powrotem, przyczem procesy polskie odprowadziły do Kowna procesją litewską.

Wrażenie tej manifestacji olbrzymiej było ogromne. Po całym kraju rozbiegły się tysiączne opisy obchod, ustrojone we wszystkie kwiaty retoryczne i przesadę, tak ulubioną w tej epoce. W epizodach pojedynczych widziano jakoby znamiona symboliczne, przepowiednie przyszłości, ten most rozerwany przez Moskali, a potem tak „cudownym”, jak mówiono, sposobem naprawiony w uroczystej chwili, gdy dwie procesy wyciągnęły ku sobie dłonie, był niejako obrazem symbolicznym starej unii Jagiellońskiej, gwałtem przez Rosyą zerwanej, a teraz w dobie obudzenia się ducha narodowego na nowo w d. 12 sierpnia się wiążącej. Dla dusz zatopionych w mistycyzmie niezdrowym, dla dusz rozgorączonych tyłu bólami, rozmarzonych przez chorą poezję polską, wszystko to stanowiło pociechę niewysłowioną, budziło słodkie nadzieje i przekonanie, że w całej, obecnej działalności polskiej jest palec Boży, jest wola Boża.

Rozchwytywano więc chciwie gazety zakordonowe, opisujące manifestacją kowieńską, czytano je z zapałem, podniecano się wzajemnie do wytrwania na raz obranej drodze. Rozbiegło się tysiące litografii, przedstawiających połączenie się obu procesy na moście kowieńskim, kupowano je łakomie, podsycono najróżnorodniejszymi sposobami tę straszną, palącą gorączkę, która miała niestety! przywieźć naród do zguby¹⁰⁹.

108 W dwutomowym rękopiśmie, jaki posiadamy w naszych zbiorach, kreślonym w latach 1861 i 62, i zawierającym mnóstwo szczegółów do tej epoki, znajdujemy następującą, wysoce charakterystyczną anegdotę, o zdarzeniu, jakie się przytrafiło w czasie tego nabożeństwa w Piątku. „Żandarm stał i obserwował wszystko w milczeniu, opowiada rękopism – ale kilkanaście dam umyśliło zrobić mu pamiątkę; ruszają tedy ku niemu. Żandarm zdejmując czapkę i odsłania zakłopotaną fizyognomią. Jedna z dam, przystąpiwszy doń, przypina mu do kłapy munduru gałązkę mirtu z kokardą trójkolorową (symbol zaślubin Korony z Litwą). Biedak nie wiedział, co ma robić z tym prezentem i uproszono go (żandarma oczywiście) wreszcie, żeby zachował na pamiątkę tego uroczystego obchodu”.

109 Ponieważ nic się w tej chwili bez hymnów nabożnych nie odbywało, więc pojawił się także taki „hymn na rocznicę unii Litwy z Koroną”, odlitografowany w ogromnej ilości egzemplarzy i śpiewany na nutę „z dymem pożarów”. Zaczyna on się tak:

„O Panie! Panie, w naszej krainie
Całego ludu wznosi się głos,

Niemniej silne wrażenie wywarły wypadki kowieńskie na władze rosyjskie na Litwie. Nazimow wpadł w gniew i zarządził śledztwo surowe dla wynalezienia winnych. Śledztwo to ostatecznie, jak wszystkie śledztwa urzędowe tej doby, do niczego nie doprowadziło. Wezwani do wytłumaczenia się ze swej obecności na procesyi, marszałek gubernialny kowieński Dowgird i powiatowy Żyliński, z dumą przyznali się do udziału w obchodzie. Żyliński wołał przed komisją: „tak, brałem udział w procesyi, która się odbyła w Kownie w d. 31 lipca (12 sierpnia) w rocznicę unii Litwy z Polską, od samego początku do końca”.

Obu za to usunięto z posad marszałkowskich, a Dowgird nawet siedzieć musiał jakiś czas na odwachu w Wilnie¹¹⁰.

I pieśń błagalna do Ciebie płynie
 O szczęście Polski, jej byt i los”.
 Strofki końcowe brzmią jak następuje:
 „Tyś świętą unią Litwy z Koroną,
 Którą dziś czwarty uświęca wiek,
 Niepokalaną, nienaruszoną,
 Sam w sercach naszych, o Panie! strzeż.
 Ojcze, wysłuchaj jęku boleści,
 Błagamy, karę w swą łaskę zmień,
 Niech grom Twój wrogom naszym obwieści,
 Że zmartwychwstania nadszedł nam dzień.
 Uświęć Jagiełłów wielkie przymierze,
 Złącz nas znów w jeden potężny lud,
 Niech świat zdumiony przykład z nas bierze,
 Jak krwią i łzami zdobywać cud!...”

- 110 Ciekawem jest bardzo tłumaczenie niektórych osób, pociąganych do śledztwa. Jako charakterystykę czasu i usposobienia umysłowego chwili, przytoczymy je tu z oryginału urzędowego. Proboszcz kościoła Augustyańskiego w Kownie zeznał, że „w dniu 31 lipca (12 sierpnia), według praw kościelnych i obrządków dyecezyi Telszewskiej, żadnej procesyi być nie powinno. Ale według obyczajów narodu rzymsko-katolickiego często się zdarzało i codzień się zdarza, że w niektórych kościołach parafialnych, liczne kompanie ludu udają się na uroczystości kościelne i kościół tego rodzaju procesyi nie potępia, owszem bardzo często księża przewodniczą ludowi. Co się zaś tyczy wzmiankowanego dnia (31 lipca), to w parafii Godlewskiej odbywała się uroczystość konsekracyi nowo wzniesionego kościoła i czternastu obrazów, na co zebrały się tam wszystkie parafie okoliczne: ludność kowieńska chciała także brać udział w rzeczonem nabożeństwie. Naród więc zaczął prosić trzech, znajdujących się w kościele, księży, ażeby poprowadzili tam procesyą, czemu kapłani nie mogli się opierać”. Trzej księża Augustyanie, którzy brali udział w procesyi, potwierdzili to tłumaczenie i dodali, że „o innym celu procesyi, prócz konsekracyi kościoła i stacyi męki Pańskiej, oni nie wiedzą”. Czy kto z pośrodku ludu bił kozaków, oni nie widzieli, ale słyszeli płacz i krzyk w tłumie, wskutek bicia ludu przez kozaków. Marszałek Dowgird tłumaczył się, że wprawdzie na procesyi był, ale przez Niemen się nie przeprawiał.

Cokolwiekbądź, manifestacja olbrzymia, jedyna w swoim rodzaju, ogarniająca sobą całą, dawną Polskę, odbyła się pomimo oporu władz rosyjskich, które zresztą nigdzie prawie stanowczo nie wystąpiły i po większej części były tylko niemymi widzami scen, rozgrywających się przed ich oczami. Świadczyło to o niesłychanym, powszechnym wzburzeniu umysłów i o sile, jaką posiadają agitatorzy, którzy też z dumą mogli później wołać, że „nie było ani jednej parafii w całej ziemi polskiej, w której by nie obchodzono tego wielkiego dnia”. Z drugiej strony dla Rosyi, dla rządu rosyjskiego, gdyby on chciał był zastanowić się nad wypadkami, których teatrem stała się nagle cała, dawna Rzeczpospolita, manifestacje 12 sierpnia rzucały nagłe i jaskrawe światło na cele ruchu polskiego.

Już teraz widocznem było, że ruch ten dąży do odzyskania granic historycznych z przed r. 1772, że się niczego nie myśli zrzekać, że nie uznaje innej Polski, tylko Polskę taką, jaką dzieje wytworzyły. Wobec tego, nie mogło być mowy o jakimkolwiek kompromisie, o załagodzeniu jątrzącej się rany polskiej, jakim balsamem z takich lub innych koncesyi; choćby nie wiem co dano w Warszawie, to naród nie będzie z tego zadowolony, dopóki to samo nie będzie danem w Wilnie, dopóki wreszcie nie odzyska swej niepodległości politycznej, boć to wyłącznie i jedynie było celem ruchu obecnego.

Od chwili udania się manifestacji 12 sierpnia, pojętej i wykonanej w rozmiarach kolosalnych, już teraz nie było prawie dnia i nie było miejsca, gdzie by nie brzmiały pieśni, nie tworzyły się zbiegowiska, nie dawano tysięcznych oznak wzburzenia ogólnego. Zbliżał się zresztą dzień 15 sierpnia, imieniny Napoleona, które pewna część agitatorów chciała obchodzić uroczystie i demonstracyjnie, licząc na to, że przez to zyskają sobie sympatyą cesarza Francuzów. Przeciw temu powstali wszyscy inni, wszyscy umiarkowańsi i rozumniejsi. Za co, pytali, mamy demonstrować się na cześć Napoleona? Czyż nie zachowuje on się wobec naszego ruchu chłodno, a nawet nieprzyjaźnie? Czyż nie jest w najserdeczniejszych z Rosyą stosunkach?

Zarzuty te były do pewnego stopnia słuszne. Postawa gabinetu francuskiego względem ruchu polskiego nie odpowiadała w żadnym razie tym tradycjom, jakie wszelkie nasze powstania żywiły ku Francyi, ku tej Francyi, która zdawała się być sprzymierzeńcem naturalnym wszystkich ludów ucieszonych i nieszczęśliwych, która na koniec niedawno krwią swoją oswobodziła Włochy. Względem Polski atoli, zaraz od samego początku wypadków warszawskich, cesarz Napoleon zachował się zimno. Ruch ten wprawiał go w widoczny kłopot. Z jednej bowiem strony nie mógł on odmówić sympatyj, a nawet poparcia budzącej się do życia Polsce; nakazywały mu to tradycje napoleońskie, może nawet pewne zobowiązania, jakie w dobie swej młodości, gdy jako wygnaniec tułał się po Europie, zaciągnął względem niektórych

członków emigracji polskiej; wreszcie ruch ten odpowiadał w zupełności tej idei narodowej, której urzeczywistnienie postawił jako cel swego życia i swego panowania. Przekonany był przytem, że nie ma w Europie sprawy, która by zdolna była więcej rozentuzjazmować Francuzów; niepopieranie jej więc znaczyłoby tyle, co stawanie przeciw opinii kraju, rzecz zawsze we Francji niebezpieczna, a tem niebezpieczniejsza dla takiego człowieka, jak Bonaparte, który nigdy nie był mocno usadowiony na swym tronie Cesarza nowożytnego.

Z drugiej strony okazanie, jeżeli już nie poparcia, to współczucia dla Polski, narażało jego dobre, z takim trudem zawiązane stosunki z Rosyą, która wobec postawy nieprzyjaznej Anglii, wobec zawsze zdradzieckich Prus, wobec Austrii z ciężkością trawiącej swój gniew za Magentę i Solferino, była mu bardzo potrzebną, jeżeli nie chciał być zupełnie osamotnionym w Europie.

Tymczasem te dobre stosunki z Rosyą, lada chwila, właśnie z powodu wypadków polskich mogły być całkiem zerwane. Jeszcze w ostatnich dniach grudnia 1860 r., ambasador rosyjski w Paryżu, hrabia Kisielew, otrzymał był z Petersburga depezę telegraficzną, pełną wyrzutów i niezadowolenia z postawy, jaką rząd francuski przjął względem rzeczonych wypadków. Polecano przytem Kisielewowi, ażeby zażądał od gabinetu tujleryjskiego kategorycznych objaśnień: „co znaczy, że w Paryżu przy tajemnem poparciu księcia Napoleona i pod jego niejako opieką, zgromadziło się mnóstwo wychodźców polskich, którzy, marząc o odbudowaniu Polski, wysyłają do rosyjskiej Polski i Litwy odezwy podburzające, oraz emisariuszów, obiecujących pieniądze, broń i najgorętsze życzenia Francji, jakoby od dawna Polsce przyjacielskiej i jednej z nią będącej wiary?”¹¹¹

Wskutek tej depezy, Kisielew poprosił o audyencyą cesarza Napoleona i osobiście przedstawił mu skargi dworu petersburskiego, oraz „intrygi tajemnicze” w Polsce brata cesarskiego. „Doszło do wiadomości gabinetu imperialnego petersburskiego, mówił poseł, że w Paryżu istnieje komitet polski i że komitet ten znajduje się pod opieką osoby, której imienia nie ośmieliłbym się wymienić, gdyby mój najdostojniejszy monarcha, polegając zupełnie na serdeczności stosunku, jaki między nim i waszą cesarską mością zachodzi, nie nakazał mi mówić z tobą Najjaśniejszy Panie szczerze i bez żadnych obstępów. Zalecił on przedstawić ci, że pałacowi Palais-Royal (mieszkanie księcia Napoleona) przypisują udział w agitacji polskiej. Niech otwartość słów tych będzie dowodem, że mój monarcha pragnie żyć z W. C. M. w najlepszej zgodzie. Wyjaśnienia szczerze bardzo często usuwają powody nieporozumień.

Napoleon wobec tych skarg, zachował się nader uprzedzająco i starał się wszelkimi siłami zadość uczynić żądaniom rosyjskim. Z rozkazu jego,

111 „Dniewnik grata Kisielewa” pod d. 19 (31) grudnia 1860 r., cytowany u Tatiszczewa: „Russkaja diplomatia w polskom woprosie” („Russkij Wiestnik” z r. 1888).

książę Napoleon musiał się osobiście udać do Kisielewa i złożyć mu swe usprawiedliwienie. Tak stały rzeczy w Paryżu; w ogóle przybrały one formę bardzo nieprzyjemną dla Napoleona i agitacja, objawiająca się w Warszawie, stawiała go w położeniu arcykłopotliwym. Zrazu pocieszano się tem na dworze Tujleryjskim, że manifestacje warszawskie mają tylko znaczenie chwilowe, że są wynikiem nieporozumień, które prędko się załatwią i spokój upragniony zapanuje w Polsce. Tak starała się rzeczy przedstawić pewna grupa dworaków cesarskich; ale Napoleon sam, umysł pomimo wszystkiego, co o nim historia powiedzieć może, dość bystry i przenikliwy, widział, iż rzeczy tak łatwo nie pójdą, że kwestya polska nie dziś, to jutro wypłynie na wierzch i zamąci Europę od dna do powierzchni, że na koniec jego samego wyrzuci z kolei, na którą od pokoju paryskiego wstąpił i która wydawała mu się jedynie dobrą i zbawienną. Pod tym względem nie mylił się. Ta burza, która zerwała się w Warszawie, nie tylko się nie uspokajała, ale owszem budziła w świecie i we Francuzach wszystkie dawne wspomnienia, wszystkie sympaty i zapowiadała, że wcześniej czy później wstrząśnie przyjacielskim stosunkiem ze „wspaniałomyślnym carem”, stosunkiem tak mozolnie i tak zreżcznie zawiązanym. Gazety francuskie nie przestawały objawiać najgorętszych sympaty dla nieszczęsnej Polski, tak krwawo deptanej i tak tyrańsko rządzonej, a książę Napoleon, który niedawno usprawiedliwiał się przed Kisielewem, dolał oliwy do ognia. W d. 19 marca 1861 wystąpił on z mową w senacie, w której podniósł kwestyą polską i między innymi powiedział: „bądźcie przekonani, że cesarz zrobi coś dla Polski. Co? i jakimi drogami! nie wiem i powiedzieć wam nie mogę... nie mam pod ręką i nie znam zawartości teki księcia Metternicha, ale pewny jestem, że cesarz coś zrobi dla Polski”. Słowa te, wypowiedziane przez brata cesarskiego, zrobiły nadzwyczajne wrażenie nie tylko u nas, ale i w całej Europie. Nikt nie przypuszczał i wiary dać temu nie chciał, żeby książę Napoleon słowa te wyrzekł sam z siebie, na własną odpowiedzialność i bez poprzedniego porozumienia się z cesarzem.

Wszelako ten ostatni głośno i w sposób dobitny potępił i zganił tę mowę; zapewniał przez trzecią osobę (księżnę Matyldę) Kisielewa, że Polacy są narodem szaleńców, że są niepoprawni, podżegacze lekkomyślni, że marzenia ich nigdy się nie ziszczą, że on nie dozwoli, by z ich powodu pokój w Europie był zakłócony¹¹². Gdy to wszystko jednak nie zdołało uspokoić gabinetu petersburskiego, który podejrzewał, że bez wiedzy i woli cesarza, książę Napoleon mowy swej wygłosił by się nie ośmielił, cesarz postanowił innego chwycić się środka, by „serdeczne porozumienie” z Rosyą utrzymać.

112 Loc. cit. pod dniem 27 kwietnia 1861 r.

Dnia 22 kwietnia, dość wczesnym rankiem zjawił się w ambasadzie rosyjskiej francuski minister spraw zagranicznych, pan Touvenel i domagał się, by natychmiast mógł się zobaczyć z Kisielewem.

Ten nie był jeszcze ubrany i w pół negliżu przyjął dygnitarza francuskiego. Pan Touvenel zaczął od usprawiedliwień, że w tak niezwykłej godzinie nachodzi ambasadora, ale przyjeżdża wprost od cesarza i na jego rozkaz w tym celu, żeby pokazać panu posłowi artykuł, przygotowany do gazety rządowej francuskiej „Monitora” i zapytać, czy nie będzie miał czego przeciw niemu. To rzekłszy, odczytał wzmiankowany komunikat, którego Kisielew wysłuchawszy, rzekł, że „z uwagi na otoczenie, w jakim się znajduje, przyznać musi, że w artykule dość dobitnie wyrażone są dobre chęci cesarza Napoleona dla monarchy rosyjskiego i sądzi, że w ten sposób komunikat ten zrozumianym będzie w Rosyi”. Touvenel na to oświadczył, że niepodobna jest surowiej wyrażać się o wypadkach warszawskich ze względu na odwieczne sympatyje Francji do Polski i wspomnienia o braterstwie broni. Na tem rozmowa się skończyła i nazajutrz, dnia 23 kwietnia, w rzeczy samej artykuł ten ukazał się w „Monitorze”.

Szło w nim głównie o to, by wylać nieco zimnej wody na rozgorączkowane głowy polskie. W zasadniczych swych wywodach komunikat francuski, który silne na kraj i w wysokim stopniu ujemne wywarł wrażenie, opierał się na znanym nam cyrkularzu księcia Górczakowa, ministra rosyjskiego spraw zagranicznych, z dnia 20 marca. Rozpisywał się on, podobnie jak wzmiankowany okólnik, obszernie o dobrodziejstwach, jakie rząd rosyjski złał na Polskę, o jego najlepszych chęciach, o ustępstwach wreszcie, zapewniających Polsce możliwość rozwoju na podstawach narodowych. Ostrzegał wreszcie opinią publiczną, by nie żywiła złudzeń, „jakoby rząd cesarski dodawał zachęty nadziejom, których zadowolnić nie jest w stanie. Wspaniałomyślne zamiary cara, są najpewniejszą rękojmią jego chęci urzeczywistnienia reform, jakich wymaga położenie Polski i pragnąć należy, by mu nie przeszkodziły w tych zamiarach drażniące manifestacje”. Było to jasne i wyraźne; mówiło głośno, że Francja nie ma wcale chęci mieszać się do spraw polskich, że reformy nadane Królestwu są w zupełności odpowiadające położeniu Polski i że Polacy źle zrobią, jeżeli ich nie przyjmą i nie przestaną wyzywać Rosyi.

Łatwo pojąć, jak przykre wrażenie wywołały te słowa na rewolucjonistów polskich i w ogóle na kraj cały. Dla stronnictwa umiarkowanego były one jednym więcej silnym argumentem, że trzeba raz położyć koniec zaburzeniom, które do niczego doprowadzić nie mogą, chyba tylko do następstw jak najgorszych; dla rewolucjonistów zaś, dla Czerwieńców, stanowiły one kamień obrazy i rodziły zdanie, coraz uparciej teraz głoszone, że Polska sama sobie da radę, że nie potrzebuje na nikogo liczyć, że obejdzie się bez pomocy ob-

cej. Ale były to niejako zapowiedzi na przyszłość jeszcze bardzo daleką: w tej chwili wszelako myśl manifestacyi w dniu 15 sierpnia, myśl powstała w jednym z tych kół, które jak bakterye niezdrowe, roiły się i żyły w ciele polskiem, musiała wywołać w większości rewolucjonistów opór i niezadowolenie. Opór ten, objawiając się w licznych odezwach, odradzających obchodzenie imienin Napoleona¹¹³, do niczego jednak nie doprowadził; na próżno wołano, że Napoleon III. „ani słowem, ani czynem nie doniósł, że pamięta, co Bóg i świat cały wiedzą, że jest naszym dłużnikiem”. Wszelkie słowa chłodniejsze na nic się nie zdały; nikt nie miał siły do powstrzymania garści szaleńców od awantur; wszak każdy, już dlatego, że był Polakiem i kochał po swojemu ojczyznę, miał prawo robić to, co w jego umyśle chorym, wydawało się być dobrem tej ojczyzny. Zapowiadana więc od kilku dni manifestacya musiała przyjść do skutku i w rzeczy samej przyszła.

Suchozanet już od czterech dni wiedział o niej, ale zajęty gotującym się obchodem rocznicy unii Litwy z Polską, nie przedsiębrał żadnych środków zapobiegawczych¹¹⁴. Manifestacya więc mogła się odbyć swobodnie; mogła nawet przybrać rozmiary ogromne i groźne ze względu, że było to święto Wniebowzięcia Najsw. Maryi Panny i jak zwykle cała Warszawa wyległa na ulice i na swe spaceru ulubione. Dzięki jednak zabiegom stronnictw przeciwnych, które nawet poprzyklepiały odezwy, wzywające tylko do modłów zwyczajnych, jako w dzień świąteczny, manifestacya zapowiadana odbyła się cicho i nieznacznie.

Garść osób, mająca niby przedstawiać wszelkie stany, udała się do konsula francuskiego, p. Segur du Peyron, z wynurzeniem swych uczuć sympatyj dla Napoleona, „monarchy, który Rosyą i Austryą upokorzył, który wziął w rękę sztandar wolności włoskiej, który dał tyle dowodów przychylności dla nas”. Konsul wysłuchał tego z pewnem zakłopotaniem, które chciał pokryć wyrazem radości i wzruszenia, i podziękował deputatom, jak się sami nazwali. Tych jednak samozwańczych reprezentantów Polski, przemawiających zuchwale w jej imieniu, przy wyjściu z konsulatu, mieszczącego się w pałacu Zamoyskiego na Nowym Świecie, spotkał brzydki wypadek. Przeciwnicy ich bowiem zaczęli się na powracających i oblali ich cuchnącą zawartością naczyń nocnych. Taki miała smutny epilog ta manifestacya niefortunna, o której zresztą mało kto wiedział, tak dalece, że nawet Suchozanet zapewniał cesarza, że „żadnej demonstracyi nie było” i że „fizyognomia miasta jest zadawalniająca”¹¹⁵.

113 Jedną z takich odezw pomieszczamy w zbiorze dokumentów pod Nrem 5.

114 Do cesarza pisał dnia 11 sierpnia: „na dzień 15 sierpnia, dzień Napoleona, są także wzywania. Przeciw dniowi 15-go sierpnia nic jeszcze nie przedsięwzię”.
115 Depesza z dnia 16 sierpnia: „wczoraj w mieście pomimo znacznego tłumu w kościołach z powodu święta, oprócz pieśni zwykłych, żadnych nieporządków, jak również wieczorem

Jak dalece się mylił i jak na pozorach się opierał, świadczy odezwa „duchowieństwa stolicy do braci i kolegów w całej Polsce”, która właśnie ukazała się w dniu 15 sierpnia i w licznych odbitkach rozbiegła się po kraju. Odezwa ta, spłodzona zapewne w rewolucyjnej kuźni księdza Mikoszewskiego, cała przepełniona jest tymi frazesami bombastycznymi, tym patosem górnołotnym, jaki tak obficie napotykały we wszystkich pismach tych czasów. „Przyjdźcie do nas, woła, przypatrzcie się nam w Warszawie; to już nie płochą zalotnicą, ona spoważniała pod koroną cierniową, bo została królową cierpienia, bo w swem łonie skupiła bóle i łzy całej Polski. Ona dziś prawdziwym sercem narodu. Świat cały wstrząsnął się na popełnione w niej zbrodnie z oburzenia i pogardy. Nieprzyjaciele i oszczercę naszego narodu oniemieli i mimo chęci, mimo woli schylają czoła przed majestatem naszego cierpienia; lud nasz ożywiony jednym uczuciem, zdaje się, że w grobie śpiewa pieśń zmartwychwstania. Na czole spokój, nadludzka rezygnacja, łza w oku, na ustach modlitwa, a w duszy odwaga lwa zranionego; przeszedł on ciężkie, bolesne próby, jednak nie upadł na duchu. Bezbronny, a bez bojaźni spogląda na te wymierzone działa, na snujące się hordy. Ruszmy choć półśłówkiem, iż ojczyzna potrzebuje ofiar, a tysiące z otwartą piersią bieć będą po palmy męczeńskie. Z takim ludem miło żyć, miło umierać”. Wśród tych patetycznych, do przesytu w tej dobie powtarzanych frazesów, odezwa wzywa duchowieństwo polskie do działalności rewolucyjnej na wielką skalę. „Spotęgujmy nasze siły i podwójmy naszą pracę, woła, bo wielka, a stanowcza chwila nadchodzi, a biada temu, kto z założonemi rękami nie pracuje w winnicy, bo nie skosztuje smacznych jej owoców. Taki zostanie obcym wśród swoich, cudzoziemcem wśród zmartwychwstałej ojczyzny, sumienie karać go nie ustanie, a potomność na jego grobie wykona kłątwe pasażerowi, który zjadł owoce cudzej krwi i pracy. Co czynić macie, to wam wasze serca i rozum wskaże. Ogrom pracy niech was nie zraża; niepowodzenie niech nie sprowadza z raz wytkniętej drogi. Przy miłości, choćbyście napotkali tam ciernie i głogi, patrzcie na cel, a idźcie odważnie, nie zapytując, jak daleko do mety. Niech was nie usypia słodki głos dwugłowego ptaka i śpiewający śpiew nadziei, aby nas do snu ukołysać, a później pić krew naszą i szarpać wnętrzości naszej matki. W imię Boga i wolności podnosimy krzyż zbawienia, choćbyśmy stanąć mieli na Golgocie! bo lepiej stokroć umrzeć, aniżeli patrzeć na znieważenie świętości, na upodlenie synów pełnej

iluminacji lub jakiegokolwiek demonstracji nie było. Na cmentarzu Powązkowskim, jak zwykle w dni świąteczne, zebrała się znaczna ilość ludzi, odśpiewali hymny nad zabitymi i spokojnie się rozeszli. W ogólności cichość i porządek; fizyognomia miasta zadawalniająca”. N. Berg także utrzymuje, że manifestacja nie przysłała do skutku, co świadczy, jak sfery rządowe nie miały o niej żadnej wiadomości.

niegdyś sławy dziedziny. W imię Boga, w imię wolności, w imię krwi niewinnie przelanej, zaklinamy was, abyście się przejęli ważnością chwili obecnej, a nie ustawali w pracy; jednocząc stany, bądźcie pośrednikami między ludem, a jego starszymi braćmi w ważnej dziś sprawie dla kraju, uwłaszczeniu. Mniemamy, że to wam z łatwością przyjdzie, gdyż szlachta nasza zawsze jest gotową dowieść, że jest szlachtą, że czuje wielkie posłannictwo, jakie ma w narodzie. Posyłamy wam bracia te wyrazy nie dla nauki, ale aby wam objaśnić nasze myśli, a wzajem was prosimy, wspierajmy się i działajmy”. Wreszcie odezwa się kończy następującymi wiadomościami: „donosimy wam, bracia, że rząd domagał się u arcybiskupa, aby zakazał po kościołach duchowieństwu śpiewów narodowych. Arcypasterz zawezwał na konferencję duchowieństwo i zaraz odpowiedziano przysłanemu, że nie można pozbawić ludu tej jedynej pociechy. Solnicki¹¹⁶ oświadczył, że rząd ma ufność w pomocy duchowieństwa, bo nie chce się mieszać w sprawy kościoła. Odpowiedziano mu, że rząd zawsze się mieszał, wyliczono fakta i ostatecznie wyrzeczono, że rząd może postąpić, jak mu się podoba. Potem Wielopolski ogłosił wbrew woli i myśli duchowieństwa, jakoby władza duchowna w myśl rządu postępować pragnęła i że rząd będzie ją popierał.

Falsz odkryty, bo duchowieństwo czynem zaprotestowało i protestować nie przestanie, a piśmiennie i jawnie przeciwko temu arcybiskup wystąpił. W lipcu, gdy rząd, widząc swoją niemożność, zaprzestał zabraniać śpiewów, dla pokazania, jak lud warszawski jest powolnym głosowi swoich wybranych, przez tydzień cały wstrzymano się od śpiewów, potem na nowo rozpoczęto z dawną gorliwością”.

Odezwa ta najwyraźniej świadczyła, jak dalece dążności rewolucyjne brały górę i jak się czuły na siłach. Szło już teraz nie o inteligencją, nie o wciągnięcie jej do ruchu, gdyż wciągniętą ona była do niego od dawna, ale o lud, o chłopca. Uderzono więc w niższe duchowieństwo, jako bezpośrednio stykające się z tym chłopem i pomimo wszystkiego, mające nań zawsze jeszcze znaczny wpływ. Dowodziło to zarazem, że pomimo „zadawalniającej fizyognomii miasta”, jak się pocieszał Suchozanet, pod tym pozornym i chwilowym spokojem wszystko wrzało. Wulkan gotował się do wybuchu strasznego. I nie były to już manifestacje uliczne, ale robota poważna, organizacyjna, sięgająca do podstaw narodowego bytu. Wszyscy to zresztą widzieli, kto tylko umiał patrzeć, komu brak zmysłu obserwacyjnego, brak rozumu nie zaciemniał wzroku. Znamy już Sezostrysa moskiewskiego, i wiemy, że patrzeć i sądzić rzeczy nie umiał. Mylił on się na każdym kroku, mylił we wszystkim, bo nawet pozornego spokoju nie

116 Solnicki był dyrektorem wydziału wyznań w Komisji rządowej wyznań i oświecenia publicznego.

było ani w Warszawie, ani w kraju i nie mogło być przy powszechnem wzburzeniu umysłów, przy modzie robienia manifestacyi tylko dlatego, by je robić, przy głupocie zdumiewającej i braku wszelkiego taktu ze strony naczelników wojennych. W Kaliszu, generał Woronow wezwał do siebie dnia 13 sierpnia dwunastu obywateli przedniejszych i zażądał od nich, aby w imieniu miasta przeprosili, obrażony mocno kocią muzyką, pułk piechoty nizowski. Odmówili mu jak najkategoryczniej, co było przecież do przewidzenia i tylko generał rosyjski, przemieniony w kacyka samowładnego, mógł tego nie przewidzieć i narazić się na kompromitującą dla władzy odmowę. Woronow rozgniewany począł grozić; mówił, że on potrafi się pomścić, że na Kalisz nałożone zostaną ogromne podatki, że przyjdzie tu znaczna ilość wojska, które rozkwaterowane po domach, potrafi mieszkańcom do żywego dokuczyć. Jakoż odtąd Wronow czyhał tylko na sposobność, by pokazać Kaliszanom swą przewagę i gdy dnia 15-go sierpnia zebrała się większa ilość osób nad wieczorem na cmentarzu miejskim i począła śpiewać pieśni nabożne, rozwinął znaczne siły wojenne, gęstymi patrolami przebiegał miasto, a zebranych na cmentarzu rozprędził przez kozaków batami.

Naczelnik żandarmeryi we Włocławku, Puszkarew, „gbur i pijak”, jak go nazywają, relacye współczesne, wysłał kilku żandarmów w okolice Brześcia Kujawskiego, dla przyaresztowania proboszcza parafii Czamanin, ks. Piekarskiego. Ponieważ wysłani dowiedzieli się, że ks. Piekarski bawi w Brześciu, puścili się więc tam za nim. Z powodu uroczystości św. Jacka (dnia 18-go sierpnia), odbywało się właśnie nabożeństwo w kościele i ks. Piekarski miał kazanie. Ledwie je skończył, gdy żandarmi go schwycili i wywieźli. Gwałt ten wywołał ogromne oburzenie wśród ludu zebranego w kościele. Rozległ się płacz kobiet, jęk, wszystko co żyło wybiegło na ulicę, krzycząc: „nie damy księdza!” Tumult przybrał rozmiary tak poważne, że wyprowadzono wojsko, pod zasłoną którego księdza wywieziono. Czyż dla uniknienia tego nie lepiej było poczekać i później księdza aresztować?

Z drugiej strony, przydarzały się niemniej opłakane wypadki, świadczące, jak dalece pod wpływem namiętności politycznych serca ludzkie dziczeją. W Tarnogórze, nędznem miasteczku w powiecie Krasnostawskim¹¹⁷, padło podejrzenie na miejscowego nauczyciela szkółki elementarnej Olędzkiego, że jest szpiegiem.

W sam dzień Wniebowzięcia Matki Boskiej, dnia 15 sierpnia, zebrał się znaczny tłum mieszkańców przed domem nieszczęśliwego nauczyciela, wy-

117 Niektóre relacye utrzymują, że stało się to w Turobinie, ale że mówią współcześnie o rzece Wieprzu, a Turobin nie leży nad Wieprzem, idziemy więc za raportem urzędowym, który miejsce akcji oznacza w Tarnogórze.

prawił mu kocią muzykę, w której wziął udział nawet przedstawiciel władzy, burmistrz Majewski i kasyer Jeziorkowski, poczem wdarto się do mieszkania, wyłamano drzwi i okna, i znalazłszy Olędzkiego, ukrywającego się na strychu, zrzucono go stamtąd. Nie poprzestając na tem, w rozbestwieniu niepojętem, przywiązano biedną ofiarę do drabiny i tak obnoszono po mieście, od czasu do czasu wśród śmiechu dzikiego rzucając wraz z drabiną na ziemię. Wreszcie włożono mu na głowę czapkę, napełnioną ekskrementami ludzkimi i przy pomocy kwiatów słonecznika obryzgiwano mu twarz moczem. Na koniec postanowiono to pastwienie się barbarzyńskie, może nad człowiekiem niewinnym, ukoronować utopieniem Olędzkiego w Wieprzu. Już go tam ciągniono, gdy miejscowy naczelnik wojenny wysłał ułanów pułku charkowskiego, którzy zbiegowisko rozpuścili i ofiarę sprawiedliwości ludowej, porzuconą na tratwie w pobliżu młyna, ocalili¹¹⁸.

Udział burmistrza w straszliwych scenach Tarnogórskich jest dowodem, jak dalece już w tej dobie administracja rządowa zarażona była ideami rewolucyjnymi.

Wkrótce takie fakta miały się stawać coraz częstszymi i coraz jaskrawszymi. W tymże mniej więcej czasie (w sierpniu), burmistrz miasteczka Firleja w Lubelskiem, nazwiskiem Jezior, w przystępie jakiegoś uniesienia osobliwszego, w obecności kilku osób, zerwał ze ściany w kancelaryi swego urzędu portret cesarza i podeptał go nogami. Tego samego dnia kazał on zdjąć z domu, w którym się mieścił magistrat, herb państwa i rzucić go w jezioro. Fakta takie, jakkolwiek można je przypisać uniesieniu chwilowemu i bezmyślnemu, świadczą jednak wymownie o tej gorączce straszliwej, jaka ogarniała społeczeństwo polskie¹¹⁹.

W Dubience postanowiono obchodzić pamiątkę zaszczytnej dla oręża polskiego bitwy, stoczonej przez Kościuszkę w roku 1792. Jakkolwiek rocz-

118 Według relacji polskich, napastnicy, wdarli się do domu Olędzkiego, zabili tam starą kucharkę jego. Wiadomość ta nie potwierdza się w raportach urzędowych, które by z pewnością faktu takiego nie ukryły. Sprawa Tarnogórska nabyła wielkiego rozgłosu i już za namiestnictwa Lüdersa winni podlegli surowej karze. Burmistrz Majewski i kasyer Jeziorkowski, za wzięcie udziału w kocie muzyce, dostali dymisy i osadzeni zostali na trzy miesiące w twierdzy w Zamościu; siedmiu mieszczan młodszych zesłano „w żołdacy” do wojsk korpusu syberyjskiego, trzech ukarano aresztem dwutygodniowym na odwachu, a trzech nieletnich oddano rodzicom dla wymierzenia kary. (N. J. Pawliszczew: „Siedmicy polskiego miateża” I., 65). Relacje polskie utrzymują, że zesłano do wojska 22 osoby, co stanowczo nie zgadza się z raportem urzędowym, jaki mamy przed sobą. Nauczyciel Olędzki został przetranslokowany do innego miasta i otrzymał znaczne wsparcie rządowe.

119 Sprawa ta wydała się dopiero w kwietniu 1862 r. wskutek denuncyi mieszczanina z Firleja, nazwiskiem Dembickiego.

nica ta przypadała dnia 17-go lipca i już minęła, nie kłopotano się tem wiele i uroczystość naznaczono na dzień 16 sierpnia. Już w końcu lipca obiegała po kraju odezwa litografowana, zachęcająca do wzięcia udziału w tym obchodzie. „Tą odezwą zapraszamy wszystkich braci naszych, pisał nieznany autor, z bliższych i najdalszych stron ziemi polskiej, aby przybyć na dzień 16-go sierpnia r. b. na pola Dubienki raczyli i rzuceniem, każdy ze swej strony, garści ziemi dopomogli nam do wzniesienia kopca, który o pamięci i wdzięczności serc naszych świadczyć będzie”. Jakoż zjazd był ogromny; obliczano go na 4.000 osób, przeważnie szlachty z Podlasia, Hrubieszowskiego i Wołynia; przybyła także znaczna ilość studentów z Akademii medycznej w Warszawie, z których inicjatywy, jak się zdaje, obchód ów powstał. Wszyscy przywozili ze sobą trochę ziemi z okolicy, w której mieszkali. Przybywających witały trwożne wieści o znacznem nagromadzeniu się wojska tak w samej Dubience, jak i okolicy. Mówiono, że rząd sprowadził kilka pułków piechoty, armaty, kozaków.

Okazało się, że wieści te są przesadzone, że w miasteczku ledwie znajdują się dwie setnie kozaków; zresztą, jakiegokolwiek by były siły, manifestacya przyjąć musiała do skutku i nie na to się tu zjechało, żeby się cofać przed groźbą napadu moskiewskiego. W rzeczy samej, dnia 16 sierpnia, po nabożeństwie odprawionem w kościółku miejscowym, ruszono procesjonalnie z proboszczem na czele na pole bitwy, gdzie w odległości ćwierci mili, na wzgórzu piaszczystem, na którym, według tradycyi, stać miała bateria dział polskich, przygotowano miejsce na kopiec i wzniesiono krzyż z napisem, błędnym co do daty: „na pamiątkę poległych dnia 16 sierpnia 1792 r.”. Na czele procesyi, wijącej się wieńcem różnobarwnym wśród melancholijnej płaszczyzny, niósł szlachcic z sąsiedztwa, były wojskowy polski, Wydźga, wielki sztandar trójkolorowy, na środku którego, na tle purpurowem, wyszyte były symbole ówczesne: krzyż strzaskany, palma, korona cierniowa oraz Matka Boska Częstochowska i orzeł biały. Kiedy zbliżano się do owego wzgórza, omywanego cichemi wodami Bugu, spostrzeżono gromadkę ludzi z muzyką oraz kozaków wyciągniętych frontem szerokim. Wzbudziło to trwogę powszechną, zwłaszcza, że według pogłoski, drugi taki oddział miał się zasadzić w lesie, nieopodal się ciągnącym. Kiedy jednak spostrzeżono, że kozacy zachowują się cicho i spokojnie, nabrano odwagi. Na zbudowanym na polu ołtarzu, tuż przy dość już wysoko usypanym kopcu, rozpoczęło się nabożeństwo. Ksiądz Jukundy, reformat z Chełma, miał gwałtowne, półtorej godziny trwające kazanie, pod niebem ziejącym żarem gorącego dnia sierpniowego. Mówił o carach rosyjskich, o „niezbawiennej Jekaterynie”, jak się z ironią wyrażał, o Mikołaju, a mówił w tonie głębokiej nienawiści i pogardy. Na wszystko to kozacy patrzyli w milczeniu, a ich pułkownik słuchał tego kazania dziwnego. Po ukończeniu tej przydługiej nieco

mowy, wzięto się do sypania kopca. Znalazła się jakaś prawdziwa, czy sztuczna wnuczka Kościuszki z linii pobocznej, którą z wielkim szacunkiem i czcią witano. Muzyka grała pieśni narodowe, po niwach dubieńskich brzmiał stary mazurek o „nieginącej Polsce” i płynął na falach Bugu daleko; kopiec gorliwie sypano. Między akademikami i szlachtą przyszło przytem do żywej sprzeczki. Pierwsi chcieli, żeby muzyka z kolei zagrała marsza Mierosławskiego, przeciw czemu szlachta zaoponowała. Zażegnano to starcie, ale marsz nie był grany. Panna hrabianka Załuska ze swym narzeczonym obchodziła z tacą złotą w rękę i zbierała składkę na kopiec. Sypały się papierki, sztuki złote i srebrne, a według wieści, gdy nadobna kwestarka zbliżyła się do pułkownika kozackiego, ten dał 25 rubli. Po usypaniu kopca, który potem z rozkazu władz został zniszczony, wszyscy rozeszli się lub rozjechali i cicha wieś nadbużańska wieść zaczęła dalej swój senny żywot wegetacyjny, na chwilę zakłócony przez namiętności polityczne¹²⁰.

W Grodnie, co wieczór zbierał się tłum na cmentarzu kościelnym i odśpiewywał całą seryą pieśni jak najsumienniej, aż na koniec przyszło do katastrofy osobliwszego rodzaju. Zdarzyło się, że d. 10 sierpnia w kościele farnym podczas śpiewania hymnów patriotycznych, niejaki Lebel, urzędnik, spostrzegłszy komisarza policyjnego począł mu grozić palcem. Przy wyjściu z kościoła, Lebel, wezwany przez policmajstra, by poszedł do gubernatora, stawiał opór; zrobiło się oczywiście zbiegowisko i Lebel nie posłuchawszy policyi, udał się do siebie. Sprowadzony siłą, został uwolniony z urzędu, aresztowany i osadzony na odwachu. Tymczasem wieść o uwięzieniu Lebela rozbiegła się po mieście i agitatorzy postanowili z tego skorzystać i wywołać w Grodnie zaburzenia poważniejsze. Dzięki ich zabiegom, koło godz. 7-ej wieczorem utworzyło się zbiegowisko przed domem gubernatora, złożone przeszło z 800 osób, przeważnie jednak kobiet, które z wrzawą i krzykiem domagały się uwolnienia Lebela, a nawet były takie, co chciały gwałtem dostać się do wnętrza mieszkania.

Sprowadzone dwie kompanie piechoty i żandarmi rozpędzili na koniec zbiegowisko¹²¹.

120 Opis manifestacji opieramy na relacjach świadków naocznych.

121 Po tej awanturze, gubernator grodzieński nakazał wzmocnić policją w mieście pięćdziesięciu kozakami. Zwierzchnicy wszystkich władz rządowych otrzymali polecenie, ażeby co dzień znajdowali się w kościołach podczas nabożeństwa porannego. Polecenie to, jako ciekawy okaz rozporządzeń rosyjskich, przytaczamy tu w całości: „w celu dozorowania, ażeby urzędujący młodzi ludzie zachowywali się przyzwoicie i pobożnie w świątyniach Pańskich i żeby nie brali udziału w śpiewaniu hymnów podburzających, poleca się niniejszem panom zwierzchnikom wszelkich władz, ażeby codziennie od godz. 7 do 10 rano, znajdowali się na nabożeństwie, uprzedziwszy urzędników, że śpiewanie hymnów

W Wilnie, od czasu zabawy d. 12 sierpnia w lasku Belmonckim, wzburzenie umysłów nie ustawało, które umieli zręcznie wyzyskać swoi i obcy agitatorzy. Odwiedzanie tłumne miejsca, na którym został powieszony i pochowany Szymon Konarski, weszło niejako w modę. Chodzono tam, modlono się, śpiewano hymny patryotyczne i znać było po fizyognomii miasta, że lada zdarzenie może wywołać katastrofę. Są poszlaki, że policmajster wileński, pułkownik Wasiliew, „chciwy krwi jak tygrys, a podły jak lis” i pułkownik Haller, „wykwintny i wymuskany planista, co z łez i krwi lepi sobie piedestał wyniesienia się w hierarchii urzędowej”, jak go charakteryzują relacje współczesne, chcieli tę katastrofę przyspieszyć i podobnie, jak kamarylla zamkowa w Warszawie w d. 8 kwietnia, rzezią krwawą stłumić ruch rewolucyjny w zarodku.

Wpływowi tych dwóch ludzi ulegał zupełnie „historyczny idyota” Nazimow i dał im się kierować we wszystkim. Cokolwiekby, rzeczy miały istotnie wkrótce przybrać rozmiary opłakane.

Już w parę dni po zabawie Belmonckiej, poczęła po Wilnie obiegać pogłoska, której źródła trudno dziś się doszukać, że wielka procesya kowieńsko-augustowska, złączoną tak „cudownym sposobem” na moście niemeńskim, wyruszyła ku Wilnu w pielgrzymce pobożnej do Ostrej bramy, że ma być w stolicy Litwy uroczyscie przyjmowaną. Chociaż wieść ta była nieprawdopodobną, chociaż przy bliższem zastanowieniu musiała się wydać fałszywą, przecież uwierzono jej powszechnie. Obliczano mający przybyć tłum gości na dziesięć do 15 tysięcy osób i poczęto dla nich przygotowywać mieszkania i żywność. Z tej to pogłoski, może umyślnie przez policją rozpuszczonej, skorzystał Wasiliew i nakazał swym agentom, ażeby przebiegali miasto i spisywali mieszkania wolne, chcąc niby przyjęciu przeszkodzić¹²². Wicegubernator Nabokow wyraźnie zabronił urzędnikom, pod utratą posady, brania udziału w zbliżającej się jakoby proce-

podburzających w kościele jest wzbronione i że każdy urzędnik, który będzie śpiewał, zostanie wydalony ze służby, jako niewykonywujący rozporządzeń rządu. Poleca się przytem pp. zwierzchnikom, żeby w razie zapytania władz policyjnych o nazwisko danego urzędnika, który będzie śpiewał, natychmiast potrzebnych wiadomości udzielali”. Oprócz tego gubernator wydał rozporządzenie do dziekana grodzieńskiego, ażeby nabożeństwo poranne przeniesione zostało z godz. 7 na 9. Dziekan na to odpisał, że „porządków istniejących z dawien dawna w kościele rzymsko-katolickim on nie ma prawa zmieniać”.

122 O tym fakcie mówią wszystkie, jakie posiadamy, relacje polskie. Znajdują one atoli potwierdzenie w źródłach rosyjskich. Rajkowskij w swej pracy: „Polskaja młodzież zpadnago kraja w miateże 1861 — 1864” (Russkij Wiestnik, T. LXXX, 283) powiada, co następuje: „według podania, istniejącego w Wilnie, niektórzy urzędnicy policyjni obchodzili nawet domy, wzywając do przygotowania mieszkań i żywności dla ludzi, idących z procesya kowieńską”.

syi. Fakta te wymownie świadczą, że pogłoska ta umyślnie była rozpuszczona przez polieją, dla wywołania zbiegowiska, któremu chciano następnie dać nakę krwawą. Niepodobna bowiem przypuścić, by władza, mając na swe zawołanie cały aparat urzędniczy, telegrafy, tysiące wreszcie sposobów dowiedzenia się o istotnym stanie rzeczy, wierzyła w zbliżanie się owej mniemanej procesyi. Według więc wszelkiego prawdopodobieństwa, chciano wywołać zaburzenia, by je za przykładem Warszawy stłumić krwawo. Ale tak samo jak nad Wisłą, tak i nad Wilią, omylono się niestety! co do rezultatów i dodajmy, że jeżeli wolno było się jeszcze ludzi w Warszawie, to w Wilnie już nie.

Cały więc zamysł Wasiliewa i innych był prostą zbrodnią, którą historia z całą surowością napiętnować winna.

Bądź co bądź, pogłoska owa nierozumna rozpowszechniła się po całym mieście, uwierzono jej zupełnie i oczekiwano z niepokojem przybycia procesyi. Obliczono, że winna ona stanąć w Wilnie najpóźniej d. 16 sierpnia: jakoż w terminie tym oczekiwanie było powszechne, a ruch w mieście przybrał niezwykłe rozmiary. Kto żyw, ciągnął na spotkanie procesyi na rogatki Pohulankowskie, ku miejscowości zwanej Dolna karczma, na drodze kowieńskiej. Nie mogąc się atoli doczekać, wracano spokojnie do domu, zachodząc po drodze na grób Konarskiego. Wielu zapuszczało się naprzeciw mniemanej procesyi na odległość dwóch mil polskich, ale oczywiście żadnych o niej nie przynosili wieści. Te wycieczki powtórzyły się i następnego dnia, aż w niedzielę, d. 18 sierpnia, powszechnie poczęto mówić, że „już dziś procesya bez żadnej wątpliwości przybędzie”. Dzień świąteczny, letni, pogodny, wyprowadził ku rogatce Pohulanki ogromne, większe niż dotąd bywało, tłumy. Zbierano się u Ostrej bramy, odśpiewano tam hymny i nad wieczorem, zwłaszcza, że czas przybycia procesyi oznaczono na godz. 8-mą, wielkie, kilkudziesięczne masy ludności¹²³ znalazły się na przedmieściu, przy wzmiankowanej rogatce.

Tutaj Wasiliew był już na to przygotowany. Koło rogatki ustawił kompanią piechoty i setnię kozaków; samą rogatkę kazał zamknąć i nikogo z miasta nie wypuszczać. Za miastem zaś, na drodze kowieńskiej, w rezerwie rozwinął jeszcze trzy kompanie piechoty; drugiej zaś setce kozaków rozkazał rozstawić posterunki na wszystkich drogach prowadzących z miasta. Jednym słowem, otoczył Wilno dookoła. To wystąpienie tak poważnych sił zbrojnych, wywołać tylko musiało większe zbiegowisko; już po południu w alejach Pohulankowskich kozacy batami rozpędzali zbierających się.

Po mieście rozlegały się głosy: „już idą! już idą!”, co niby znaczyło, że procesya się zbliża i kto tylko mógł, biegł ku rogatce. Ujrawszy wojsko, w tłumie

123 Źródła urzędowe obliczają tłum na 5000 głów.

zrodziło się przekonanie, że procesya kowieńska istotnie znajduje się w pobliżu i że wojsko na to zostało ustawione, by nie dopuścić jej wejścia do miasta i złączenia się z ludnością. Wielu więc postanowiło przedostać się bądź co bądź za miasto; śmielsi przesuwali się pod szlabanem rogatki, przemykali się bokami. Masa jednak główna, stała w niemym milczeniu i nie ruszała się wcale; przybywające wszelako nowe tłumy naciskały z tyłu i popychały przednie szeregi ku rogatce i linii wojska. Wśród zebranych, niejaki Krzyżewicz, obywatel ziemski, począł głośno wołać, że trzeba koniecznie iść naprzeciw „braci kowieńskich”. Ktoś rozpuścił pogłoskę, że procesya znajduje się już w górach Ponarskich i że tam, otoczona przez wojsko, narażona jest na głód. Wieść ta do tego stopnia znajduje wiare, że tłum się oburza, łatwo zapalne namiętności wielkiego zbiegowiska biorą górę, rozlegają się krzyki: „naszych braci w Ponarach głodem morzą! naprzód! przełamać! zanieśmy im jadła i napoju!” Wzmiankowany Krzyżewicz, oraz fabrykant kaloszy gumowych Wetz, niewiele myśląc, rzucają się na oslep, popierani przez tłum, na piechotę, stojącą rozwiniętym frontem, czołem do miasta. Wówczas Wasiliew, konno, z rewolwerem w rękę, zakomenderował: „*na ruku!*” (na bagnety!) Zrobiło się straszne zamieszanie. Lud począł rzucać na wojsko kamienie, wyrwane z bruku; inni rozebrali znajdujący się w pobliżu płot i z kijami uderzali na żołnierzy¹²⁴. Ci ostatni nie szczędzili napastników, kolbami bili, tego i owego pokłuli bagnietami, a kozacy nielitościwie smagali batami. Tłum sparty ku parkanowi, znajdującemu się z jednej strony ulicy, wywrócił go; wielu oczywiście upadło i zamieszanie jeszcze bardziej się wzmogło. Krzyki, płacz, jęki rozlegały się dokoła.

Wreszcie poczęto przez pola na przełaj uciekać, przyczem kozacy nie przestali ścigać i bić rozbiegających się. Krzyżewicza i Wetzta, ciężko poranionych i potłuczonych kolbami, schwytano i odprawiono do szpitala św. Jakuba. Reszta rannych zdołała uciec i wszystko to zebrało się znów na ulicy Trockiej, i przez Dominikańską, niosąc lub prowadząc pokrwawionych, skierowano się ku mieszkaniu generał-gubernatora, prawdopodobnie dla pokazania mu, jak się wojsko z ludem obchodzi. Lecz tu na wąskiej Dominikańskiej zagroził im drogę nowy oddział żołnierzy i kolbami zmusił do odwrotu przez ulicę Niemiecką ku Ostrej bramie, gdzie wiele osób zatrzymało się i poczęło śpiewać hymny patryotyczne. Inna część dotarła do kościoła św. Jana i odśpiewała „Boże, coś Polskę”; poczem wszyscy się rozeszli i Wilno przybrało swój wygląd dawny, z tą zmianą, że gęste patrole przebiegały całą noc ulice miasta.

124 Raporta urzędowe utrzymują, że lud przyniósł ze sobą kamienie w kieszeniach, że kobiety niosły je w fartuchach, że wśród zbiegowiska było bardzo wielu mężczyzn, przebranych za kobiety.

Taki był przebieg wypadków wileńskich d. 18 sierpnia. Rozdrażnienie w tłumie było tak wielkie, że, gdy jedna z kompanii piechoty wracała do koszar, rzucili się na nią dwaj bracia Tokajewscy i czeladnik Feliks Soroczyński i chcieli najbliższym żołnierzom wyrwać karabiny. Zbici bezlitośnie kolbami, pokrwawieni straszliwie, zostali przytrzymani, a jeden z Tokajewskich, opierając się rozpaczliwie, wołał: „gdybyśmy mieli broń, dalibyśmy wam dopiero!” Świadczy to, jak silne namiętności owładnęły masami. Po mieście obiegały najróżnorodniejsze wieści; mówiono, że w starciu przy rogatce zabito ośm osób, a przeszło sto raniono; że między zabitymi znajduje się córka generała Abramowicza; że wojsko, za przykładem Warszawy, wiele trupów wrzuciło do Wilii. Trudno dziś dojść prawdy; zdaje się jednak, że nie zabito nikogo, że za to liczba rannych wynosiła do dwudziestu trzech osób, z których kilka później, wskutek wzruszenia, przestraszenia, a może i znacznego upływu krwi, miało umrzeć¹²⁵.

Agitatorzy, rewolucyoniści umyślnie rozpuszczali wieści przesadzone, głośno rozpowiadali o zabitych, o rzezi krwawej, o gwałtach strasznych. Z tego też powodu wypadki wileńskie miały bardzo doniosłe znaczenie polityczne. Były one niejako potwierdzeniem, krwią przypieczętowanym, jak mówiono, starej unii Jagiellońskiej dwóch narodów; dowodziły, że Polska nie kończy się na Królestwie Kongresowem, ale że do ziem litewskich ma nie tylko prawo historyczne, ale i prawo narodowe. Prosta awantura uliczna, wywołana przez niezręczność lub złą wolę kacyka Wasiliewa, stała się dla agitacji faktem bardzo pożądanym, który wyzyskać potrafiono umiejętnie. „Z kim Litwa? pytał Hercen w „Kołokole” - mogło to być kwestyą do 6/18 sierpnia roku bieżącego. Teraz kwestya rozstrzygnięta”. Rozpoczął się w całym kraju szereg nabożeństw za poległych w Wilnie, ze zwykłymi w takich razach akcesoryami. Po całej Litwie obiegał cyrkularz, wydany jakoby przez biskupa wileńskiego, księdza Krasieńskiego, donoszący o „zdradzieckiej rzezi bezbronnych” i wołający, że „nasza obrona w Bogu”. Nazimow rozgniewany tem, a może przestraszony rozmiarami, jakie przybierają następstwa awantury 18 sierpnia, urzędownie „poprosił”, jak się sam wyraża, biskupa, „ażeby mu przesłał szczegółowe wiadomości względem tego wezwania”. Krasieński odpowiedział na to, jak się zresztą spodziewać należało, że „podobnego wezwania nigdy nie wydawał, nie podpisywał i że to wezwanie jest fałszywe”. Dla położenia wreszcie końca tym wieściom, Nazimow uciekł się do osobliwszego środka. Wezwał marszałka

125 Relacje polskie pod tym względem są pełne sprzeczności, tak że nic pewnego z nich wyciągnąć się nie da. Pogłoskę o zabitych umyślnie rozpuszczano w celach agitacyjnych, choć ani jednego nazwiska, prócz owej Abramowiczówny, nie umiano przytoczyć. Liczba ranionych, zdaje się, że nie przenosiła cyfry w tekście wymienionej.

gubernialnego szlachty, Domeykę oraz burmistrza (gołowę) miasta Wilna, ażeby go objaśnili: „kto mianowicie, wedle zasięgniętych przez nich wiadomości, z liczby miejscowej albo przjezdnej szlachty, a także z liczby mieszkańców miasta, rzeczywiście uważa się (sic) za zabitego, lub zaginionego bez wieści, albo na koniec utopionego w rzece? Domeyko odpowiedział, że „nikt mu nie wskazał, ażeby zginął ktokolwiek ze szlachty w wypadku d. 18 sierpnia”. Burmistrz wileński, Straus, pisał, że „dotychczas nie miał on żadnej wiadomości i nikt doń nie zanośli skargi, i z uczynionych przezeń najstaranniejszych poszukiwań nie okazało się, ażeby w czasie zaszłych w Wilnie 18 sierpnia nieporządków, ktokolwiek z mieszkańców miasta został zabity, zginął, lub był utopiony w rzece”. Ogłaszając o tym rezultacie swej ankiety, Nazimow robił słuszną uwagę, że „odprawianie nabożeństw za spokój dusz zabitych, których nie było, będzie tylko naigrawaniem się nad świętym obrządkiem”.

W niczem to jednak nie miało wpłynąć na postępowanie agitatorów. Spособność była zanadto dobra, doniosłość faktu zanadto wielka, by z niej nie miano korzystać. Twierdzenia biskupa wileńskiego, marszałka i burmistrza, uważano za wymuszone; wołano, że przecież nie mogli inaczej odpowiedzieć, nie chcąc się narażać, że to zatem nie ma żadnego znaczenia, że rzeź była i straszliwe sceny w Wilnie się rozgrywały¹²⁶. Poczęto teraz powszechnie Nazimowa zwać „Masakrowem”, a nabożeństwa w dalszym ciągu, w całym kraju się odbywały¹²⁷.

Wśród takich to okoliczności, wśród rozszalałych fal powszechnego wzburzenia, kończył swe panowanie w Warszawie Suchozanet. Dawno oczekiwany hrabia Lambert, przybył do stolicy polskiej dnia 23 sierpnia, a z nim mia-

126 Jak dalece wierzono temu, świadczy No 5 „Strażnicy” z d. 2 września. Znajdujemy tam ustęp taki: „o uroczystości 12 sierpnia nie mówiliśmy dotąd, jako o rzeczy wszystkim znanej, jako o rzeczy tak wielkiej i wzniosłej, że obawialiśmy się poniżyć jej niezręcznym, dotykając piórem. Powiemy tylko, że prowincye, kto wie czy nie przewyższyły, jeżeliby to być mogło, Warszawy; a ta święta ojczyzna Rejtanów, Kościuszków, Mickiewiczów, Litwa, w całej swej ukazała się chwale. Nie zaspali przecież i Moskale sprawy, i w odwecie krwawych na Wilnie, w kilka dni później dopuścili się mordów. Nie mamy o tej ukarowanej i przygotowanej przez wroga rzezi bliższych dotąd szczegółów i wiemy tylko, że dzikie hordy nie oszczędzały płci i wieku, że bagnet główną grał rolę i że liczba poległych i rannych do 300 osób dochodzi, pomiędzy którymi podobno 12 braci Izraelitów męczeńską śmiercią dało świadectwo miłości dla kraju”.

127 W Krakowie przyszło nawet z tego powodu do licznych awantur. Policja w czasie nabożeństwa gwałtem otwierała sklepy i pod przewodnictwem dyrektora swego, hofrata Paümana, biła ludzi kolbami po ulicach i mnóstwo osób aresztowała. Kilkadziesiąt kobiet wskutek tego, naśladując damy Wileńskie, udało się do feldmarszałka Bamberga, aby uwięzionych wypuścić. Przemawiały głównie panie: Dawidowiczowa i Krynicka. Jakoż tak potrafiły wpłynąć na Bamberga, że ten kilkanaście osób zaraz uwolnił.

ła się zacząć najdziwniejsza, najdramatyczniejsza epoka tych w ogóle dziwnych i głęboko dramatycznych czasów. Jak wiadomo, pierwotnie, w ostatnich dniach kwietnia, gdy Gorczakow uznał za konieczne usunąć Paniutyna z generał-gubernatorstwa warszawskiego, Lambert był przeznaczony na to stanowisko i chory namiestnik, pisząc o tem do cesarza, wzdychał: „daj Boże, aby Lambert się zgodził, lepszego wyboru nie można pragnąć”¹²⁸. Jakoż bez zaprzeczenia, wśród licznej, szarej, po większej części bezbarwnej rzeszy różnych generałów, błyszczących swymi mundurami na ulicach i salonach petersburskich, Lambert był osobistością wybitną, wypukle występującą na tem tle małych inteligencji, ale za to olbrzymich pretensji. Pochodził on z rodziny francuskiej. Ojciec jego, hrabia Karol Lambert, służył niegdyś w gwardii króla Ludwika XVI, a gdy rewolucja wybuchła, razem z wieloma przedstawicielami szlachty francuskiej, emigrował i poszedł szukać kariery aż w Rosyi, gdzie właśnie wtedy panowała Katarzyna. Został tu od razu majorem w pułku Kinburskim strzelców konnych, zwanych w Rosyi dragonami. Już w początkach swej nowej egzystencji miał on poznać bliżej kraj, w którym później przyszło jego synowi rządzić. Lambert bił się pod Maciejowicami, a przy szturmie Pragi, ten Francuz, przemieniony nagle na Moskała, obficie maczał ręce w krwi polskiej.

Był to typ karyerowicza i rębacza; ożenił się z córką generała Diejewa, bił się przeciw rodakom własnym i nie szczędził ich wcale, co w języku pospolicym nazywa się zdradą najnikczemniejszą i umarł w późnej starości jako generał jazdy, w r. 1843. Pozostawił dwóch synów: Józefa i Karola, Szarlem z francuska powszechnie zwanego.

Szarl był podobnie jak ojciec, typem zręcznego karyerowicza, nie nosił już tylko na sobie plamy walczenia z bronią w rękę przeciw własnej ojczyźnie. Miał w sobie dużo charakteru francuskiego, połączonego z hamletowskim marzycielstwem i niestanowczością Słowianina. Śliczny typ, inteligencya niezwykła, lotność umysłu niepospolita, istna ozdoba natury człowieczej, ale wśród życia spokojnego, obfitego, cichego, bez wielkich wstrząśnień i bez wielkich zagadnień. Los, przypadek, który zawsze sobie igraszkę robi z ludzi i rzeczy, z narodów i ich przeznaczeń, kazał Lambertowi, zdolnemu „z kochankami w niebo wzlatać, włosy splatać i rozplatać”, jak mówi poeta, stanąć wśród burzy i wśród wyjących wichrów i piętrzących się fal, sterować nawą polską. Z Polakami znał się od wczesnej młodości; w korpusie paziów, tej szkole generałów i dygnitarzy rosyjskich, spotykał się z wielkimi imionami historycznymi Polski, które tam słać swe dzieci musiały, by usnąć podejrzi-

128 Telegram z d. 30 kwietnia.

wość tyra¹²⁹. Był doskonałym, namiętym jeźdźcem i tak, jak ojciec wstąpił do kawalerii, do gwardii konnej (kawalergardów). Zbudowany jak Antinous, o twarzy uderzającej czystości rysunku, o wielkich, czarnych oczach, palących i rozmarzonych zarazem, ślicznie wychowany, zręczny, elegancki, umiał z tych darów natury korzystać i przesuwiał się przez życie, przez drogę najeżoną kolcami dworskich łask i niełask, bez obrażania sobie stóp.

W swej naturze miękkiej, miał dużo praktyczności i chłodnego rozsądku. Potrafił zachowywać i utrzymywać wszelkie stosunki i wszelkie znajomości. Z kolegami szkolnymi, z których wielu posunęło się bardzo wysoko, żył zawsze w przyjaźni i serdeczności. Jego postawa, ruchy wykwi¹²⁹ntne, rycerska, konna jazda, zwróciła nań uwagę kobiet, które w Petersburgu, jak w haremach sułtanów wschodnich, stanowią siłę ogromną; a za nimi padły na Lamberta i oczy wszechwładnego cara tak, że wkrótce, po jednej z parad wojskowych, przyszedł wielkorządca Polski, został t. z. fligeladjutantem cesarskim, co już było wielką, niezwykłą karierą. Odtąd szedł coraz wyżej. W r. 1844 udał się na Kaukaz, gdzie w korpusie generała Freytaga brał udział w kilku potyczkach, wsłuchiwał się w świst kul czeczeńskich. Uchodził teraz za żołnierza, który wie, co to wojna. Po powrocie z Kaukazu zostaje generał-majorem orszaku cesarskiego i wreszcie otrzymuje dowództwo pułku gwardii konnej. Pułk ten w owe czasy stał kwaterą w Międzyrzeczu na Podlasiu, w cichem, smutnym miasteczku polskim, gdzie musiał przebywać także nowy, świetny dowódca kawalergardów, panicz wykwi¹²⁹ntny, zdobywca serc dam petersburskich. Była to pierwsza jego znajomość z Polską, znajomość zapewne bardzo pobieżna. Wśród melancholijnych niw podlaskich, wśród pejzażu, którego granicą były zawsze sine lasy sosnowe, nie myślał on o Polsce, ani o jej życiu, ani o przeszłości i przyszłości. Czyż mógł zresztą przypuszczać, że kiedyś przeznaczenie odda mu w ręce losy tego kraju?

Po śmierci Mikołaja, pułk, którym dowodził Lambert, został wezwany do Moskwy, dla asystowania przy koronacji nowego cara. Dowódca przy tej sposobności został generał-porucznikiem, a wkrótce potem generał-adjutantem i odkomenderowany został do Petersburga. Tu zostaje naczelnikiem osad wojskowych, należy do komisji, ustanowionej przez cesarza, dla reformy armii, jest zawsze świetnym generałem, zwracającym na siebie uwagę powszechną.

129 Opowiadają, że z Janem Tadeuszem, księciem Lubomirskim, zrobił raz zakład szalony. Kiedy zbudowano pierwszą w Rosji kolej żelazną z Petersburga do Pawłowska, Lambert uczynił zakład, że się położy na drodze między szynami, a pociąg nad nim przejedzie. Jakoż dokonał swego i wyszedł cało, tylko mu węgle, spadłe z parowozu, nieco kołnierz u surduta opaliły. Objaw to brawury francuskiej w połączeniu ze ślepem poczuciem fatalizmu Słowianina.

Wypadkiem nieszczęśliwym, w r. 1860 złamał nogę na ulicy Wielkiej Milionnej przy wywróceniu się powozu i dla poratowania zdrowia udał się zagranicę, do Paryża, gdzie go ciągnęły dawne wspomnienia rodzinne i piękne oczy podobno. Tam dochodziły go wieści o Polsce, o rozruchach w niej, o rewolucyjnym nastroju umysłów. Wśród otoczenia francuskiego, wśród żywej opinii francuskiej, sympatyzującej z Polską, nie mógł pozostać obojętnym umysł tak wrażliwy, jaki posiadał Lambert, na rozgrywające się przed nim wypadki. Znał on przecież choć trochę Polskę; ponieważ wszyscy się nią zajmowali, więc i on bacznie śledził wypadki. Odczuwał niejako prąd tego wiru szalonego, który porywał nad Wisłą i ludzi, i rzeczy, i pędził w przyszłość nieznaną, i w duszy przyznawał, że nic i nikt nie będzie w stanie oprzeć się tej burzy straszliwej.

Takie było położenie rzeczy, gdy usunięcie Paniutyna z jenerał - gubernatorstwa warszawskiego wywołało w Petersburgu potrzebę poszukania kogoś na to miejsce. Cesarz rozglądał się wśród swych jenerałów, wahał się w wyborze, gdy jeden z przyjaciół szkolnych Lamberta, zajmujący w owej chwili stanowisko bardzo wysokie, zwrócił uwagę Aleksandra na przebywającego w Paryżu Lamberta. Przedstawił cesarzowi, że Lambert jest człowiekiem w sile wieku męskiego, że jest rozumny, wykształcony, zręczny, pełen powagi i taktu, że jest wytworny w obejściu, że przedstawia prawdziwy typ szlachcica francuskiego, że jednym słowem posiada cały urok zewnętrzny, tak konieczny w kraju takim, jak Polska, kraju starej szlachty i pięknych kobiet. Położył nacisk na to, że Lambert jest z pochodzenia Francuzem, co w Polsce, tak żywo sympatyzującej z Francją, nie małego może być znaczenia; że zna Polskę, bo w niej mieszkał; że ze swego oddalenia, w Paryżu, bacznie przypatrywał się wypadkom warszawskim; że nareszcie, co najważniejsza, jest katolikiem, co niezaprzeczenie może mieć wielką doniosłość w kraju na wskroś katolickim, ulegającym silnym wpływom duchowieństwa. Mówił, że wyznanie Lamberta może spowodować zbliżenie się jego do kleru polskiego, który już wyraźnie nieprzyjazną względem rządu przybierał postawę; że jeżeli na koniec, rząd zamierza w stosunku do Polski wejść na drogę ustępstw, drogę łagodności, to najlepszym narzędziem potemu będzie Lambert, człowiek z natury łagodny, miękki, nie lubiący starć, owszem kochający się w ciszy, w pokoju, w uśmiechniętych i zadowolonych twarzach. Zapewniał, że swem obejściem wytwornem i salonowem, swą zręcznością, wyznaniem, pięknocią swej postawy, inteligencją niezwykłą, potrafi on ująć Polaków, naród przywiązujący wielką wagę do pozorów zewnętrznych i poprowadzi ich, gdzie będzie chciał.

Te słowa wymowne i jak się zdawało, zupełnie uzasadnione i racjonalne, zrobiły swoje. Do Paryża śpiesznie wysłano depezę z zapytaniem do Lamberta, czy podejmie się objęcia stanowiska jenerał-gubernatora w Warsza-

wie, przyczem nakazano mu wrócić do Petersburga. Stało się to w połowie kwietnia. Lambert widocznie wahał się, gdyż do 15 maja nie było jeszcze od niego odpowiedzi stanowczej¹³⁰. Tymczasem wypadki biegły; słabość charakteru Gorczakowa, jego brak decyzji wśród najważniejszych zdarzeń, poczęły budzić niezadowolenie w Petersburgu. Jak wiemy, chciano mu dać urlop zagranicę i całkiem go usunąć z Warszawy. Tego smutnego końca uniknął Gorczakow przez swą chorobę i śmierć. Trzeba było myśleć już nie tylko o generał-gubernatorze, ale i o nowym namiestniku dla Polski. Właśnie w chwili zgonu starego Gorczakowa i przybycia do Warszawy jego zastępcy tymczasowego, zjawił się (dnia 31-go maja) w stolicy polskiej i Lambert w swym przejeździe z Paryża do Rosyi. Zabawił w naszym mieście pięć dni, odwiedził zwłoki Gorczakowa, stojące w cerkwi Łazienkowskiej, przypatrywał się ludziom i rzeczom ciekawie, o to i owo się przepytywał, pokazywał kilku dygnitarzom wojskowym depezę cesarską, wzywającą go na stanowisko generał-gubernatora i zdawał się szukać zagadki tej gorączki straszliwej, która owładnęła miastem i krajem.

Pojawienie się jego wśród dygnitarzy rosyjskich, rządzących Polską, nie pozostało bez wrażenia, które spotęgowała pokazywana im depeza cesarska. Wielu, przeczuwając w osobie Lamberta przyszłą gwiazdę na horyzoncie Warszawy, szli już teraz bić mu pokłony, a najniżej się kłaniał „chytry Ormianin”, Bebutow, znany nam już z rozwiązywania Delegacyi prowincjonalnych. Lambert w czasie krótkiego swego, pięciodniowego pobytu, zapewne niewiele mógł się dowiedzieć o położeniu kraju, jakkolwiek z Suchozanetem dużo o tem rozmawiał i zdaje się, że już wtedy układał sobie plan postępowania¹³¹. Wyjednałszy na koniec pozwolenie jechania do Moskwy, gdzie właśnie cesarz bawił, udał się tam na Petersburg dnia 5 czerwca. W Moskwie stanął dnia 11 t. m.

Tymczasem tu, wskutek znanej nam odmowy Tuczkowa w sprawie namiestnictwa w Polsce, zaszły w położeniu rzeczy poważne zmiany. Szło teraz o to, komu powierzyć, niezmiernie w tej chwili trudne i śliskie, stanowisko wielkorządcy wzburzonej do dna Polski. Cesarz, zdaje się, zwrócił znów oczy na Lamberta, który według jednych nie chciał wcale namiestnictwa, według drugich zaś starał się i zabiegał o to usilnie przez stosunki i licznych swych przyjaciół. Mniemać wszelako należy, że to drugie twierdzenie jest prawdopodobniejsze; zawszeć to była karyera, jedno ze stanowisk najwyższych w pań-

130 Depesza cesarska z dnia 15 (3) maja: „odpowiedzi stanowczej od hr. Lamberta jeszcze nie ma; oczekują jej w ciągu tygodnia”.

131 Tak sądzić należy z depezy Suchozaneta do cesarza z dnia 9 czerwca: „Lambert objaśni W. C. Mości osobiście istotne położenie kraju i przedstawi uznany przez nas za jedynie możliwy sposób postępowania oraz o osobach, które tu są niezbędnie konieczne”.

stwie, ten tron namiestnikowski w Polsce. Było się z dala od olśniewającego blasku dworu, stało się na czele wszystkich i jak Cezar można było powiedzieć: wolę być pierwszym w Warszawie, jak drugim w Petersburgu.

Bądź co bądź, rzecz się rozstrzygnęła dość prędko i już w parę tygodni Lambert był faktycznym namiestnikiem Królestwa, jakkolwiek urzędowanie nie było o tem ogłoszone¹³², Suchozanet nalegał ciągle, by przyszedł namiestnik przybywał, sądząc i słusznie, że w Warszawie, w ciągu jednego dnia więcej się dowie o Polsce i położeniu rzeczy, niż przez miesiące w Petersburgu. Cesarz odpowiedział na to, że wkrótce przybędzie. Tymczasem przyjazd ten przewłóczył się i musiał się przewłóczyć. Trzeba było bowiem przyszedłego namiestnika podnieść na wyżyny, odpowiednie obecnemu jego stanowisku; gdyż oprócz wielkorządztwa miał być głównodowodzącym tak zwaną 1-szą armią, konsystującą w Królestwie, a jako generał - adjutant byłby niższy co do stopnia od trzech dowódców korpusów, stojących w Polsce, od generałów: Łabyncewa, Liprandiego i Wrangla. Jakoż z końcem lipca nastąpił szereg nominacji Lamberta na coraz wyższe stopnie. Przez rozkaz cesarski z dnia 1 sierpnia został mianowany zarządzającym sprawami kwatery głównej i orszaku cesarskiego; przez rozkaz z dnia 18 sierpnia otrzymał stopień generała jazdy i namiestnictwo Królestwa Polskiego.

Nominacja ta, jej ton i treść świadczy, że po długiej, blisko trzymiesięcznej walce w Petersburgu, gdzie od zamiarów surowych, od chęci zdeptania Polski siłą, przechodzono co chwila do usposobienia łagodnego, do myśli gojenia ran i ustępstw, to drugie wzięło górę. Nie ulega kwestyi, że do takiej decyzji przyczynił się bardzo pobyt Wielopolskiego (syna), w stolicy nad Newą.

Bądź co bądź, nominacja Lamberta mówiła, że rząd, w tej dobie przynajmniej, nie ma zamiaru cofać się z drogi, na którą wszedł za Gorczakowa. „Hrabio Lambercie! pisał cesarz, powołałem cię do sprawowania obowiązków namiestnika mojego w Królestwie Polskiem. Z zupełnem zaufaniem poruczam ci użyć wszelkich środków, jakie za właściwe uznasz, ażeby instytucje nadane Królestwu ukazem moim z dnia 14 (26) marca r. b., przyniosły w wykonaniu pomyślne skutki. W świetle i rozsądku mieszkańców Królestwa Polskiego pokładam mocną ufność, że zrozumieją, iż rękojmią większej na-

132 Że tak było, że w czerwcu już zapadło co do tego postanowienie, świadczy depesza Suchozaneta z dnia 30 czerwca tej treści: „zwłoka w przybyciu hr. Lamberta z powodu studyowania spraw Królestwa w Petersburgu, według mego zdania, jest niewynagrodzoną stratą czasu, tak ze względu na pożytek służby, jak i dla niego samego. Tu (w Warszawie), w ciągu jednego dnia więcej się dowie o położeniu i potrzebach kraju, niż zajmując się niemi przez długi czas w Petersburgu. Obecność jego tutaj ze względu na wybory, pobyt Płatonowa i projekta co do policyi Potapowa, uważam za konieczną, gdyż w obecnej chwili, człowiek przeznaczony dla kraju powinien się tu znajdować”.

dal samoistności zarządu, pomyślności ogólnej, stać się może tylko rozwój na drodze prawnej nadanych instytucji, nie zaś zamieszki i wzburzenia ludowe, przeszkadzające spełnieniu moich najlepszych chęci i zamiarów. Powołaj do współudziału w pracy ludzi zdolnych i prawych, ażeby rzeczywiście potrzeby ukochanych moich poddanych dochodziły do mnie za pośrednictwem twojem, jako prawny wyraz ogólnych życzeń, dojrzałe rozważonych w kole światłych i ożywionych dobremi chęciami obywateli, a nie w kształcie obłądnych ułudzeń, podniecanych przez nieprzyjaciół wszelkiego porządku. Ustal spokojność w kraju, a ja z mej strony, z radością puszczę w niepamięć dni ubiegłe i odpowiem miłością i zaufaniem na miłość i zaufanie do mnie, narodu polskiego”

Lambert do Warszawy jednak nie przybywał. Cesarz kilkakrotnie nazywał już dzień jego przyjazdu, potem znów następowała zwłoka i dnia 12 sierpnia, w chwili, gdy na całym obszarze dawnej Rzeczypospolitej odbywała się uroczystość obchodu rocznicy unii lubelskiej, donosił, że: „hr. Lambert zatrzymany został przez ważne sprawy” i w cztery dni potem pisał, że wyjeżdża do Warszawy dnia 19 sierpnia rano, właściwie jednak wyjechał dopiero w parę dni później. Przez czas swego długiego pobytu w Petersburgu, Lambert okazywał sobą zjawisko ciekawe, ale niestety! bardzo pospolite wśród ludzi pod rządem despotycznym wychowanych. Mieszkał wówczas na Mojece, wraz z bratem swoim Józefem i raz na tydzień przyjmował swych przyjaciół i znajomych. Ale jeżeli dotąd był dla nich serdeczny, wylany, jeżeli ich przypuszczał do wesołej, towarzyskiej poufałości, to teraz, gdy miał zostać namiestnikiem, przybrał postawę i ton wyższości, otoczył się obłokiem powagi i zimnej etykiety. Na owych zebraniach wieczornych pojawiał się późno, wychodził ze swych pokojów jak panujący i przyjmował ukłony jako hołd mu należny. Udawał teraz, że z niechęcią bierze namiestnictwo, że ulega tylko woli cesarza i do winszujących mu przyjaciół mówił: „nie winszujcie, zmiłujcie się; w Petersburgu złamałem tylko nogę, a w Warszawie złamać mogę głowę!” Słowa te obieżyły po mieście, powtarzano je sobie, cytowano je później jako smutne proroctwo, które niestety! sprawdzić się miało; ale ludzie, umiejący patrzeć na rzeczy, umysły czyste i niepodległe, ubolewały zapewne w skrytości, że nawet tak piękna i niezwykła natura, jak Lamberta, uległa zgubnym wpływom ambicy i karyerowiczowstwa poziomego.

Jedną z przyczyn, przedłużającą na nieszczęście Polski pobyt Lamberta w Petersburgu, było wyszukanie kogoś na stanowisko generała - gubernatora warszawskiego, opróżnione przez Paniutyna. W wyborze wahano się długo; na koniec uwaga cesarza padła na Aleksandra Gerstenzweiga, nie bez wpływu zapewne Suchozaneta, którego Gerstenzweig był ulubieńcem. Rozliczne

względy składały się na ten wybór. Gerstenzweig był, podobnie jak Lambert, ambitny, zręczny, chciwy karyery; odznaczał się rozumem, wysokim wykształceniem i silnym, prawie żelaznym charakterem. Był on o wiele młodszy od Lamberta i w gruncie rzeczy zdecydowany nieprzyjaciel wszystkiego, co polskie. Ta nieprzyjaźń nie pochodziła stąd, by mu Polska kiedykolwiek jaką szkodę lub krzywdę wyrządziła, nie znał jej, nie przebywał w niej nigdy, ale dlatego, że się urodził z Polki i że był skuzynowany z Polakami (był szwagrem generała Niepokojczyckiego, późniejszego szefa sztabu w wojnie tureckiej. Matka jego była Madalińska, córka generała kościuszkowskiego, sławnego z podniesienia sztandaru powstania ze swą brygadą i śmiałego pochodzącego z Mazowsza aż pod Kraków, wśród nieprzyjaciół otaczających go dookoła. Matka wychowała inne swe dzieci w duchu polskim¹³³. Aleksander zaś, przyszły generał - gubernator warszawski, oddany za młodu do korpusu paziów, wyniósł tylko z domu wiadomość, że był synem Polki i chcąc być bardziej katolickim, niż sam papież, wzbudził w sobie nienawiść do polskości. Nie umiał po polsku, nie chciał słyszeć o Polsce i czując, że jego pochodzenie może niekorzystnie wpłynąć na przyszłą karierę, głośno, przy każdej sposobności objawiał swą nienawiść. Brzydki i pospolity typ karyerowicza rosyjskiego.

Ta jego znana powszechnie nienawiść do Polaków i Polski, bodaj czy nie najwięcej wpłynęła na wybór cesarski. Rząd rosyjski w stosunku do nas, nigdy nie był szczerym i uczciwym; robiąc ustępstwa, robił je zawsze z niechęcią i starał się zostawić sobie otworem furtkę, przez którą przy danej sposobności mógłby się wycofać. Posyłając do Warszawy Lamberta, znanego z łagodności i usposobienia miękkiego, głosząc publicznie, że jedzie tam dlatego, by „instytucje nadane Królestwu przyniosły w wykonaniu pomyślne skutki”, by „wzbudził miłość i zaufanie narodu polskiego” do cara, lękano się, aby nowy namiestnik nie zaszedł za daleko na drodze ustępstw, by nie zanadto popuszczał cugli i dano mu w charakterze nadzorcy, w charakterze Mentora nad nowym Telemakiem moskiewskim, surowego i przejętego nienawiścią do Polski, Gerstenzweiga.

133 Jeden z młodszych braci Aleksandra, podpułkownik dymisyonowany, znacznie już później, bo w roku 1875, a zatem w dobie reakcji, gdy nie było ani bezpiecznym, ani pożytecznym okazywać swe sympatie polskie, głośno w gronie wygnańców polskich utrzymywał, że rodzina jego jest pochodzenia polskiego. Przodkowie jego mieli pierwotnie pochodzić ze Szwecji, skąd przenieśli się do Polski i zmienili swe nazwisko na Jęczmionkowskich. On sam uważał się za Polaka, czytał wiele w naszym języku, którym władał doskonale. Aleksander, najstarszy z braci, usunięty wcześniej spod wpływu matki, był zupełnie innym i jak każdy odszczepieniec, serdecznie nas nienawidził. (Z ustnych podań).

Wiedziano przytem, że Lambert nie lubi tego ostatniego, że stosunki ich zawsze były chłodne i naprężone, że obydwu podejrzawali się wzajemnie o zamiary ambitne. Był to jeden więcej powód, by właśnie dlatego posłać do Warszawy Aleksandra Daniłowicza, jak zwano w Rosyi przyszłego generał - gubernatora warszawskiego. Na koniec nie wiedziano w Petersburgu, co zrobić z Gerstenzweigem, ulubieńcem Suchozaneta, który, jako minister wojny, zrobił go generałem dyżurnym i swą ręką prawą. Teraz, kiedy Suchozaneta odsuwano od wszelkich stanowisk wpływowych, musiały być usunięte i wszystkie jego kreatury. Nadawała się wyborna sposobność, by Gerstenzweiga oddalić z Petersburga i rzucić na pastwę nowoczesnemu Molochowi-Polsce, pożerającej w swym płomienistym uścisku każdego, kto dotknął się jej łona.

Nominacya Gerstenzweiga zdecydowana była dnia 1 sierpnia, o czym cesarz zaraz doniósł Suchozanetowi. Oprócz generał-gubernatorstwa, powierzono mu stanowisko dyrektora głównego w Komisji rządowej spraw wewnętrznych, po usuwającym się Giecewiczu, „z prawem, jak brzmi ukaz, zarządzania częścią cywilną w kraju i przewodniczenia w Radzie administracyjnej, jako też w Radzie stanu Królestwa, w razie nieobecności namiestnika”. Gerstenzweig z wyrażną niechęcią przyjmował tę nominacyą; dla tego rodzaju człowieka było to zamknięcie kariery, jedynie możliwej w samej stolicy caratu. Usunięcie go stąd znaczyło, że inni zdołają go wyprzedzić i w razie potrzeby podstawić mu stołka. Przytem drażniło go niezmiernie stanowisko podrzędne wobec Lamberta, którego szczerze niecierpiał. Wybierał się do miejsca swego przeznaczenia nowego z ciężkiem sercem, ze złemi przeczuciami, z tajonym gniewem ambicyi obrażonej, z przekonaniem, że karyera jego państwowa skończona. Również niechętnie na tę nominacyą patrzył Lambert. Do jego uszów doszło to i owo, w jakim ostatecznie celu wysyłany jest Gerstenzweig, sama logika zresztą przekonywała go o tem. Jeżeli bowiem taki człowiek rozumny, zręczny, ostrożny, jak Gerstenzweig, zdecydował się opuścić stolicę caratu, jeżeli przestał marzyć o ogrzewaniu się w blasku słońca padyszachowego, jeżeli nie spróbował nawet podania się do dymisy, w chwili, gdy go nakłaniano do podróży do Warszawy, to zapewne dlatego, że w podróży tej ma cel jakiś, jakieś zamiary podejrzane i zgubne, że liczy może na to, iż wcześniej, czy później zdoła namiestnika wysadzić z siodła i samemu się na stolec wielkorządcy w Zamku warszawskim. Te podejrzania znajdowały potwierdzenie w plotkach i insynuacyach, wychodzących z ust dusz poziomych i płaskich, wieszających się przy nowem słońcu, jakim był teraz Lambert. Sam nawet brat jego, Jozef, stanowczo i wielokrotnie mu radził, żeby pod żadnym warunkiem nie zgadzał się na nominacyą Gerstenzweiga.

Wśród takich to warunków, wśród takiego złego posiewu, padającego na urodzajny grunt ambicyi obrażonych obu nowych rządców Polski nieszcze-

śliwej, posiewów, które w gorącej, przesiąkniętej elektrycznością atmosferze warszawskiej, miały wkrótce wyrosnąć w zielska trujące, wytworzyć sceny najtragiczniejsze, jechał do Warszawy przyszły jej namiestnik, miękki „mój Hamlet”, jak go trafnie nazywał Wielopolski. Stał on tutaj dnia 23-go sierpnia, o godzinie 11 wieczorem. Jak niegdyś poetycznemu prototypowi jego, melancholijnemu królewiczowi duńskiemu, snuło się w nocy mglistej, na krużgankach zamku Helsingorskiego, widmo ojca, domagające się czynu, do którego ten zdolnym nie był, tak i wśród nocy ponurej życia polskiego tej doby, wśród odgłosu dalekiej jeszcze, ale zbliżającej się już szybko burzy, nowy Hamlet moskiewski zrywał się do czynu, łaknął go, uznawał jego potrzebę, a przecież w bezsilnej niemocy się szarpiąc, pchał kraj w przepaść straszliwą.

Dzięki temu usposobieniu swemu, miał Lambert odegrać w starym Zamku warszawskim jeden z najsmutniejszych i najdziwniejszych dramatów. Ale jeżeli uczucie ludzkie uzalić się musi nad jego dołą, to o ileż więcej serce polskie krwawić się winno nad losem własnej ojczyzny. Bo ludzie, rzeczy, ich koleje, smutna lub wesoła doła, wobec losu i kolei kraju są niczem, jak niczem jest życie tworu pojedynczego wobec wielkiego życia wszechprzyrodzenia. A niestety! jeżeli dotąd opowiedziane zdarzenia, pokryte są chmurami i kirem żałoby, to i w przyszłości nie ma wśród tego ponurego obrazu ani jednego blasku, ani jednej gwiazdy nadziei!

ROZDZIAŁ XI

Mentor i Telemak

Przybycie Lamberta i pierwsze jego kroki. Jego plan działania. Konferencja z Wielopolskim i jego żądania. Porozumiewanie się Lamberta z wybitniejszymi osobistościami. Manifestacje i domagania się cesarza. Nabożeństwo za poległych w Wilnie. Ogłoszenie stanu wojennego na Litwie. Zaburzenia na Nalewkach. Nabożeństwa „za pomyślność Ojczyzny”. Rozbijanie sklepów. Napad na biskupa Marszewskiego w Łęczycy. Reskrypt Wielopolskiego do sądów kryminalnych. Wypadki w Kaliszu. Odpust w Częstochowie i na Łysej Górze. Narada tamże i jej postanowienia. Panna Pustowojtow w Lublinie. Zaburzenia w Żytomierzu. Rozbrojenie Litwy i Rusi. Procesya grodzieńska. Gubernator Szpeyer. Wypadki w Kownie. Adres szlachty do hr. Tyszkiewicza. Projekt Towarzystwa rolniczego na Litwie. Adres szlachty rohaczewskiej. Podróż Nazimowa. Wygnanie z Wilna Syrokomli. Żałoba i odezwy na Litwie. Nabożeństwo w dzień św. Józafata. Niezadowolenie powszechne. Apollo Korzeniowski i jego Koło. Zjazd w Hamburgu. Spory w Radzie Administracyjnej. Wybory do Rady Miejskiej. Różne odezwy. Wybory w cyrkule X-tym. Mandat ludu do wyborców. Odezwa z dnia 26 września. Wybory na prowincyi. Pułkownik Petrow w Ostrołęce. Klub „złotej młodzieży”. Ustanowienie „Dziennika Powszechnego”. Zjazd biskupów i ich memoriał. Choroba i śmierć arcybiskupa. Jego pogrzeb. Uczta wyprawiona chłopom. Zjazd w Horodle. Rozkazy namiestnika. Narada w Stepankowicach. Wyruszenie procesyi. Pobyt w Kopylowie. Pertraktacye z Chruszczewem. Nabożeństwo na polu. Procesya w Uściługu. Obchód rocznicy bitwy Maciejowickiej i Raclawickiej. Ogłoszenie stanu wojennego. Postanowienia Rady Administracyjnej. Dzień 15 października. Nabożeństwo. Otoczenie kościołów przez wojsko. Rady wojenne. Wtargnięcie do kościołów. Oburzenie w mieście. Narada w Konsystorzu i jej postanowienie. Uwolnienie więźniów i samobójstwo Gerstenzweiga. Pertraktacye z Lambertem. Zamknięcie kościołów. Usiłowanie zamknięcia kirchy luterskiej. Zamknięcie synagog. Aresztowania. Wyjazd i śmierć Lamberta. Zakończenie.

Dawno oczekiwany, nowy namiestnik Królestwa, hr. Lambert, przybywał do kraju z możliwie dokładną znajomością jego położenia. W Petersburgu wręczono mu wszystkie raporta i wiadomości, jakie od czasu zerwania się burzy rewolucyjnej otrzymywano z Polski. Było ich bardzo wiele i bardzo obszernych, ale częstokroć przedstawiały one rzeczy i ludzi w świetle fałszywym, lecz na to już nie było rady. Lambert przeczytał to wszystko i gotował się do wypełnienia wielkiego zaiste! zadania, jakie mu

na jego hamletowskie barki kładziono. Prócz tego odbierał on na własną rękę, bezpośrednio z Warszawy wiadomości o wypadkach tam zachodzących. Znały nam już „obronca Rosyi przed Europą”, Ilia Arseniew, jadąc do Warszawy i wiedząc, że Lambert, jak wtedy było zamierzone, ma zająć stanowisko generała - gubernatora, udał się do niego i doniósł mu o swej misji. Lambert prosił go, by doń pisał z Warszawy. Jakoż Arseniew wkrótce wysłał taki list, w którym opowiedział swą podróż, obchód rocznicy bitwy w Ostrołęce, którego był świadkiem oraz ogólne wrażenie, jakie na nim kraj i miasto robiło¹³⁴.

Lambert więc nie był pozbawiony wiadomości o Polsce, która wrzała, burzyła się i jak widmo starego Dęboroga, pojawiając się w złocistych salonach Petersburga, zdawała się wołać: „oddaj coś winien!” Przybywał zatem do Warszawy nowy Hamlet moskiewski z pewną, jakkolwiek może niezupełną świadomością położenia i celów, jakie rząd sobie nakreślał w stosunku do Polski, zaopatrzonej w wielką władzę, jaką zresztą od Paskiewicza zawsze posiadali namiestnicy Królestwa. Już na samym wstępie, w granice tego Królestwa miał z jednej strony sposobność okazania swego dobrego względem kraju usposobienia, z drugiej doznać przedsmaku tych trudności i tej walki, jaką staczać będzie musiał z rewolucją i z kacykami, wykonawcami przepisów rządowych. Na kilka dni przedtem, dnia 18 sierpnia, w Ostrołęce aresztowano dwóch księży: Wiszniewskiego i Nowaka, oskarżonych o wygłaszanie kazań podburzających i urządzanie różnych manifestacyi i wywieziono do Modlina. Przed ich wyjazdem tłum publiczności, przeważnie kobiet, zebrał

134 List ten swój Arseniew tak zakończył: „wszystko, co się tu dzieje przed moimi oczami, wydaje mi się czemś nadzwyczajnem; w naszej administracyi daje się spostrzegać stan gorączkowy; ściga ona jakieś widma, z którymi usiłuje toczyć walkę. Nieporządków ulicznych dotąd, od czasu mego przybycia jeszcze nie było, jeżeli pominiemy codzienne zbiegowiska ludu po kościołach i cmentarzach oraz śpiewanie hymnów. Ośmielam się twierdzić, że nie należy zwracać uwagi głównej na Warszawę, ale raczej na Polskę całą, a mianowicie na działalność duchowieństwa, które jest narzędziem podburzającym tłumy do nieporządków i nieureczywistnionych nadziei polskich. Stronnictwo klerykałne działa w związku z osobami, stojącymi na czele zamierzonego powstania. Oczywiście, że pod pozorem oswobodzenia Polski klerykały i ich poplecznicy starają się zagarnąć władzę nad ludem i tym sposobem polepszyć swój byt materyalny, mocno zachwiany w ostatnich czasach. Nieporządki uliczne, jak mnie się zdaje, są do pewnego stopnia wystawieniem na próbę siły moralnej i materyalnej naszej administracyi. Agitatorzy śmieją się po cichu ze strachu, jaki wzbudzają w naszych nerwowych administratorach. Kończąc, jeszcze raz powtarzam: prowincya dla nas, podług mego zdania, jest niebezpieczniejszą niż Warszawa”, „Na ten list, pisze sam Arseniew (Warszawa w 1861 roku) otrzymałem od hr. Lamberta następną lakoniczną odpowiedź: *Merci pour vôtre charmante lettre. Co on znalazł zachwycającego w mym liście, nie mogę do dziś dnia zrozumieć*”. Ten list i ta odpowiedź wybornie malują obu ludzi.

się przed domem pocztowym dla pożegnania się z aresztowanymi. Postawa zebranych była spokojna i nic nie zapowiadało, by wśród nich zanosilo się na jaką awanturę. Mimo to, niejaki Prianisznikow, oficer artylerii, jeden z tych satrapów drugorzędnych, którzy już wtedy pokazywali, czem będą w chwili powstania zbrojnego, kazał wojsku ustawionemu przed pocztą rozpedzić siłą zbiegowisko. Żołnierze rzucili się z kolbami, rozegnali wszystkich i kilka osób pokaleczyli. Oburzone tem miasto, skorzystało z przejazdu Lamberta przez Ostrołękę do Warszawy i zniosło doń skargę na Prianisznikowa. Lambert delegatów, wysłanych z tą skargą, przyjął bardzo grzecznie i obiecał sprawę rozpatrzyć. Spieszył się wreszcie do Warszawy i nie miał czasu dłużej rozmawiać¹³⁵.

W stolicy polskiej stanął na koniec dnia 23 sierpnia, w piątek, około godziny 11 wieczorem. Ulice były puste, czemu dziwić się nie należy, gdyż pora była spóźniona, a Warszawa zawsze lubiła wcześniej chodzić do łóżka. Jechał w otwartym powozie, bez orszaku czerkieskiego, do którego przyzwyczał był miasto Suchozanet. Takie wystąpienie Lamberta, wywarło wrażenie dość przyjazne na tych nielicznych przechodniów, którzy byli świadkami wjazdu do stolicy nowego namiestnika. Nawet służba jego była ubraną po cywilnemu i trzymała się z daleka. Na Zjeździe zauważył Lambert jakiegoś biedaka i obdarzył go szczerze jałmużną. Przebiegłszy całe miasto, zatrzymał się w Belwederze. W niedzielę uwiadomił cesarza, że objął zarząd kraju i wojska, na co Aleksander odpowiedział mu z duszy zapewne płynącym życzeniem: „oby Bóg dał, żeby twoje objęcie władzy w szczęśliwą przypadło godzinę”¹³⁶. Niestety! była to jedna z najczarniejszych godzin tak dla Lamberta, jak i dla kraju, którym miał rządzić.

Nazajutrz, 25 sierpnia. Suchozanet zegnał się ze swymi podwładnymi. Zaproszono ich wszystkich przez osobne bilety do pałacu Belwederskiego, przy czem, jak zwykle we wszelkich wystąpieniach publicznych Sezostrysa moskiewskiego, rozegrać się znowu miała wysoce zabawna scena. Zebranie było tłumne; wszyscy liczni dygnitarze rosyjscy, przeważnie wojskowi, po długim oczekiwaniu ujrzeli na koniec wychodzącą nikłą, chudą postać Suchozaneta, z twarzą błyszczącą wyrazem radości i szczęścia, co oczywiście uderzało obecnych.

Schodzący ze sceny dziejowej namiestnik, ścisnął za ręce obecnych po kolei, dziękował im, niektórych całował i w końcu wygłosił mowę, która samego mówcę rozczuliła do łez, ale w słuchaczach śmiech stłumiony wywołała tym

135 Z relacji umyślnie dla nas spisanej.

136 Depesza z Charkowa do Warszawy z dnia 14 (26) sierpnia 1861 r.: „Daj Bog, czto by wstuplenie twoje w uprawnienie było w dobryj czas”.

dziwacznym kontrastem, jaki tworzyła nadzwyczajna przed chwilą wesołość ze łzami terazniejszymi.

W pięć minut potem zjawił się Lambert, nowe wschodzące słońce na horyzoncie Polski, ze swą postawą strojną i chłodną, odbijającą w sposób dodatni od chudej figury Sezostrysa płaczącego. Witał się ze znajomymi, niektórym rękę podawał i kilka osób zaprosił do siebie na herbatę¹³⁷. Tegoż dnia przybył nowy generał - gubernator Gerstenzweig.

Przyjęcie władz cywilnych Królestwa, naznaczone było na dzień 27 sierpnia w Zamku królewskim. Dzięki zabiegom Chrulewa zebrał się dość znaczny tłum ludu na placu Zygmuntofskim, złożony jednak z klas niższych, z mnóstwa próżniaków płci obojej, włóczących się po bruku wielkiego miasta. Lambert przyjechał otwartym koczem z Belwederu, w towarzystwie jednego tylko adjutanta, bez hałaśliwej eskorty czerkieskiej. Powitano go dość chłodno i milcząco, ale Chrulew, któremu Bóg wie skąd i dlaczego taka myśl przysłała do głowy, postanowił te pierwsze lody przełamać.

Po przyjeździe namiestnika wysłał zaraz oficera z rozkazem, by cofnął żandarmerie konnych i policję, otaczającą Zamek oraz by poprosił zgromadzoną publiczność do wejścia na dziedziniec zamkowy, gdzie jest cień i słońce tak nie pali. Publiczności podobało się to bardzo i gdy Lambert wyjeżdżał z powrotem z Zamku, powitano go grzmiącymi okrzykami, które on przyjmował z uśmiechem, kłaniając się na wszystkie strony. Zaraz też, za staraniem Arseniewa, ukazał się w pismach zagranicznych obszerny opis „owacy, jaką zrobiły damy polskie wyższych sfer sympatycznemu hrabiemu, nowemu namiestnikowi, który powołany został, by przy pomocy instytucji liberalnych zapewnić spokój i szczęście krajowi”.

Relacja ta była bardzo pochlebną, ale nieprawdziwą i Lambert był nadto rozumnym człowiekiem, by nie wiedział, że owe damy wyższych sfer, wchodzące na zaproszenie oficera w cień, jaki rzucały mury zamkowe

137 Między zaproszonymi znajdował się Chrulew i Arseniew, który tak opowiada o tej herbacie: „... przypuszczaliśmy, że przy oczekującej nas o godzinie 9 herbacie namiestnik poprosi nas, jako starych znajomych, o powiedzenie mu, co się robiło i robi w Warszawie. Lecz niestety! przypuszczenia nasze nie miały się sprawdzić. Hrabia Lambert mówił nam bardzo wiele o Petersburgu, o łaskach, jakie otrzymał, o tem, że należał, by generał-gubernatorem warszawskim został Gerstenzweig i na koniec o swym przyjacielu F. M. Weryginie, którego zdołał namówić do zajęcia przy sobie stanowiska. O wypadkach warszawskich, słówkiem nawet nie wspomniął i hrabia, żegnając się z nami, uwiadomił nas, że pojutrze odwiedzi Warszawę i wstąpi najprzód do Zamku. W powrocie z Łazienek (właściwie z Belwederu), Chrulew powiedział mu, że wymyślił dla Lamberta wspaniałe przyjęcie w Zamku. W rzeczy samej urządził on je arcyoryginalnie i zrzęcznie” (Warszawa w 1861 roku).

i witające namiestnika okrzykami, należały do klas najniższych prózniczego motłochu, że poza tem przyjęcie jest bardzo zimne i wyczekujące. Zgromadzeni w zamkowej sali przyjęć dygnitarze polscy i arystokraci, przypatrywali się ciekawie nowemu wielkorządcy kraju, ale postawy ich nie mówiły wcale, by gotowi byli na przyjazne jego słowa, przyjaznymi odpowiedzieć czy-ny. Na próżno namiestnik rozwijał cały czar swej wytwornej postawy i słów słodkich. Ponieważ arcybiskup Fijałkowski nie był obecny z powodu słabości, która od niejakiego czasu trzymała go w łóżku i wkrótce do grobu zawieźć miała, więc Lambert zwrócił się do Dekerta i rzekł, że „jako katolik prosić będzie arcybiskupa o błogosławieństwo dla rozpoczynającej się pracy około dobra kraju”¹³⁸. Te słowa przyjazne nie robiły wrażenia, zauważono przytem, że pan Andrzej Zamoyski przybył do Zamku niezwykle późno i po godzinie naznaczonej.

Zaraz też nazajutrz, Lambert udał się osobiście w odwiedzinę do chorego arcybiskupa i tu rozwinął cały czar wymowy i obejścia, by ovladnąć tym starcem tak wpływowym. Zapewniał więc o jak najlepszych chęciach cesarza dla Polski, zaręczał, że on sam dołoży wszystkich sił, by kraj mógł się pomyślnie rozwijać i obejmując oburącz dłoń arcybiskupa, zawołał: „błagam (j'implore) o pomoc ze strony władzy duchownej”. Wreszcie widząc, że jego gorące słowa przyjmowane są dość chłodno i z pewnem niedowierzaniem, zrobił uwagę, że jeżeli będzie doznawał ciągłego oporu, to poprosi cesarza o uwolnienie, „a gorzej będzie, gdy kto inny przysłany zostanie”. Fijałkowski odrzekł mu na to: „cóż my nieszczęśliwi na to poradzimy, jesteście rasą spodloną (sic), odepchniętą od ołtarza i kościoła, w których teraz nie księży, ale lud rządzi”¹³⁹.

Mimo to wszystko jednak, sama osobistość nowego namiestnika obudziła tak wśród zebranej w Zamku starszyny polskiej, jak i w otoczeniu chorego arcybiskupa uczucia sympatyczne. Przywykli do wysokiej, żurawiej figury Gorczakowa, do jego oczek małych i ukośnych, do postawy karykaturalnej Suchozaneta, chwiejącego się na cienkich i dygocących ze starości nogach, z zadowoleniem spoglądali teraz na Lamberta, jaśniejącego całą pełnią piękności mękiej. W sile wieku, o czole wysokim, przedłużonem przez łysinę, o oczach zarysowanych prawidłowo, błyszczących, czarnych i żywych, całym wyrazem twarzy zdradzał inteligencją niezwykłą, umysł bystry i wrażliwy. Rasa, z której pochodził po krwi, nadała jego cerze barwę matową, nosowi rzymski profil, nozdrza ruchliwe i cienkie, usta prześliczne, pokryte ciągle uśmiechem, nieco konwencyonalnym wprawdzie, niemniej przeto świadczącym o duszy dobrej i poczciwej. W postawie swej średnio wysokiej, w ruchach

138 Z relacji współczesnych.

139 Z relacji rękopiśmiennej jednego z księży, obecnych w tej rozmowie.

wytwornych i poważnych, w głowie podniesionej wysoko, objawiał może nieco dumy, może nieco zamiarów ambitnych, ale w każdym razie jego figura zręczna i elegancka, świadczyła o szlachetności i podniosłości myśli i uczuć.

Bądź co bądź był to wielki pan, dobrze wychowany, inteligentny, nerwowy i wrażliwy. W najnieprzyjaźniej usposobionym człowieku, Lambert musiał wzbudzić sympatią¹⁴⁰.

Nie wzbudził jej jednak w czerwieńcach warszawskich, w tak zwanej partii ruchu, w szeregach tej młodzieży, której się zdawało, że ona jedna ma monopol patryotyzmu, ona jedna dobrze i trafnie rzeczy widzi i zdolną jest kraj doprowadzić do upragnionej samoistności politycznej. Chcąc zapobiedz wrażeń przyjaznemu, jakie wywierał Lambert na tych wszystkich, którzy się doń zbliżyli oraz na lud warszawski swem wzięciem, tak różnym od jego poprzednika, rozpuszczono umyślnie o nim jak najfałszywsze i zawsze uwłaczające mu pogłoski. Mówiono, że jest to tyran w owczą skórę przybrany, że jest pijakiem, który co dzień od obiadu wstaje z głową mocno zamroczoną, a „Strażnica” wystąpiła z takim artykułem¹⁴¹.

„Tak zwani namiestnicy, jak meteory, przesuwiają się po naszym horyzoncie, a każdy z nich zaraz różnych używa środków na ujarzmienie lub ogłupienie narodu; choć te środki i środki od dawna zużyte, dobrze nam znane, tylko uśmiech politowania wywołać mogą. Od paru dni mamy pana Lamberta, byłego koniuszego, który ze stajni w Petersburgu zrobił skok na Zamek warszawski. Widać, że to człowiek nazbyt postępowy i liberalny, gdyż rozpoczął swe obowiązki od zbratania się z narodem, postroiwszy we fraki i sprowadziwszy na pokoje obywateli, jak niemniej zaprosiwszy przez policję i szpiegów na dziedziniec zamkowy wszystkich łobuzów, jakich tylko można było odgrzebać w Warszawie.

Instrukcye posiada także bardzo rozległe, bo aż do puszczenia w niepamięć wszystkich dokonanych nad nami mordów i gwałtów!”...

Jeżeli atoli stronnictwo rewolucyjne zajmowało stanowisko nieprzejednane i wyraźnie mówiło, że nie chce żadnego z Rosyą kompromisu, to ludzie starsi, chłodniejsi, doświadczeni, jednym słowem starszyzna narodu nie oświadczała się ani za tą, ani za tamtą stroną i przyjęła wobec nowego wielkorządcy

140 Znana w tej dobie w Warszawie, pani Muchanowa, żona późniejszego prezesa teatrów warszawskich, z pierwszego męża Callergi, kobieta bardzo piękna i inteligentna, skupiająca w swych salonach cały świat literacki i artystyczny stolicy, nazywała Lamberta „najprzebieglejszą kokietką” (la plus fine coquette). Mówiła o nim, że nikt nie jest w stanie oprzeć się czarowi jego rozmowy i twierdziła, że gdyby mógł ze wszystkimi w Warszawie rozmówić się osobiście, to podbiłby całe miasto samymi słowami tylko.

141 Ner 5 z dnia 2 września 1861 roku.

postawę wyczekującą. Wiedzano wprawdzie, że przyjechał on z obszernymi pełnomocnictwami, z poleceniem rzeczywistego wprowadzenia w wykonanie reform zapowiedzianych, uspokojenia kraju, że osobiście przejęty jest jak najlepszymi dla Polski chęciami, a mimo to, tego trudnego zadania nie myślało mu ułatwić z obawy przed ulicą, przed niezdrową opinią, tworzoną przez młokosów, zagorzalców i kobiety.

Takie było położenie i postawa kraju wobec nowego namiestnika. W sferach rosyjskich za to, w szeregach tych licznych generałów i karyerowiczów wszelkiego rodzaju, którzy ustrojeni w błyszczące mundury wieszali się koło Zamku, nadzieje opierane na Lambercie, niemniej były wielkie. Liczono na to, że jako żołnierz prawdziwy odda znowu wszystko, cały rząd kraju w ręce wojska, że ukróci zuchwalstwo Polaków, że wróci dawne, dobre czasy paskiewiczowskie. Ale zaraz, na samym początku nadzieje te zostały zawiedzione. Pierwszym bowiem czynem nowego namiestnika było usunięcie wojsk z ulic i placów, na których stały dotąd obozem, co naturalnie podobać się nie mogło zwolennikom surowych rządów militarynych. Zdarzyło się przytem, że przybywszy po raz pierwszy do starego Zamku królewskiego, Lambert wysłuchał tu w kaplicy zamkowej mszy katolickiej, co nadzwyczajnie oburzyło kamaryllę wojskową, a archimandryta warszawski głośno się odezwał, że „postępek Lamberta szkodzi sprawie i godności rosyjskiej”¹⁴². Inni szeptali, że nowy namiestnik „opolaczył się”.

W rzeczy zaś samej tak nie było. Lambert, jak wiemy, był katolikiem i przyjeżdżając do kraju katolickiego z instrukcjami nakazującymi mu poszanowanie dla wszelkich zwyczajów, a nawet przesądów polskich, może tym krokiem chciał zaznaczyć swe przyjazne usposobienie dla tegoż kraju, a może bez żadnej myśli politycznej zadość czynił potrzebie swej duszy. Cokolwiek bądź, te wieści różnorodne, dobiegające zapewne do niego i mówiące mu o tem, jakie wrażenie jego przyjazd i pierwsze kroki na nowej scenie wywarły, przekonać go już wtedy musiały, jak ciężkie wziął na siebie zadanie i jak trudnem będzie wykonanie planu, który tam, w Petersburgu, na wspólnej naradzie z osobami najwyższymi stojącymi, jak najstarannie obmyślił¹⁴³.

Jakiż to był ten plan działania? Przede wszystkim, w jego nakreśleniu wzięto za podstawę możliwość porozumienia się ze stronnictwem umiarkowanym w kraju, o którym wiedzano, że istnieje, że jest nawet licznem, tylko pozbawionem odwagi i ducha inicjatywy. Przy pomocy tego stronnictwa, postanowiono dokonać wyborów do rad miejskich, powiatowych i gubernialnych, do których to wyborów Lambert, a bodajże i rząd petersburski, przywiązywał

142 Arseniew: Warszawa w 1861 roku.

143 N. Berg: Zapiski, 335.

podobnie jak Gorczakow jakieś znaczenie mistyczne, wydawały mu się one pewnego rodzaju panaceum na wszystkie niedole trapiące Polskę. Przytem rozumowano tak: jeżeli przy pomocy stronnictwa umiarkowanego, rząd zdoła przeprowadzić wybory, to okaże się, że stronnictwo powyższe ma przewagę w kraju, a zatem sam fakt wyborów dowiedzie, że czerwoni nie mają siły, nie zapuścili w kraju korzeni i wcześniej, czy później zejść muszą ze sceny.

Wprawdzie będą oni przeszkadzali wyborom; wśród panującego w kraju wzburzenia, same wybory będą powodem nowych nieporządków, przypomną z wielu względów dawne sejmiki polskie, ale na to już nie ma rady, jak nie ma rady, by pomiędzy wybranymi nie znalazły się kreatury czerwieńców, które wykonywać będą to, co im spiszek robić każe. Na wszystkie te ciemne strony obrazu zamknąć należy oczy i wybory bądź co bądź przeprowadzić, i dać tym sposobem możliwość podniesienia głowy ludziom porządku. Po dokonaniu wyborów, zadaniem rządu będzie powołać oczyścić z rewolucjonistów rady i zrobić z nich to, czego rząd pragnie, co zresztą wielkich trudności nie przedstawi. Znamy przecież, mówiono sobie, Polaków i wiemy, czego się po nich spodziewać należy. Jest to plemię niewytrwałe, wrażliwe i systematycznemu naciskowi ulec musi. A choćby nawet przyszło do starcia, to będzie ono mniej kosztowało, niż gdybyśmy chcieli wprowadzić reformy przy pomocy bagnietów¹⁴⁴.

Taki był plan działania, jaki nakreślił sobie, lub nakreślono Lambertowi. Plan ten ulegał surowej krytyce ze strony kamarylli wojskowej w Warszawie, na czele której stanął Gerstenzweig, nowy generał-gubernator, przysłany jakoby dlatego, by Lambert zbyt cnie nie popuszczał cugli Polakom i by stanowił zbawienną przeciwwagę miękkiemu Hamletowi petersburskiemu. Opinia taka była powszechną i nazywano teraz surowego Gerstenzweiga: Mentorem, a słodko uśmiechniętego Lamberta: Telemakiem. Gdy więc nowożytny Telemak marzył o stworzeniu z Polski idyllicznej wyspy szczęśliwości, surowy Mentor wołał: „wszystkie te zamiary i plany na nic się nie zdadzą. Czas ustępstw już minął i szaleństwa polskie przekroczyły wszelką miarę. Dlatego też nie należy się umizgać do Polaków, ale wziąć się do nich ostro; dobrać się do gniazda agitatorów, choćby to nie wiem, ile kosztować miało, rzucić przez to postrach na wszystkich, pokazać, że rząd ma siłę i umie jej użyć w potrzebie, zrewolucjonizowanych urzędników usunąć, a na ich miejsce posadzić takich, na których liczyć można.

Nade wszystko nie trzeba czasu tracić, ale wziąć się do rzeczy natychmiast i stanowczo”.

144 Loc. cit. 336.

Ale Telemak niechętnie słuchał tych rad, zwłaszcza, że wiedział doskonale, iż pod pokrywką interesów, jakoby rządowych, wszyscy ci Mentorowie moskiewscy mieli na celu tylko interesa własne, by mogli bezkarnie kraść i rozbić w Polsce, oddanej im na łaskę. Im się oczywiście w żadnym razie podobać to nie mogło, że wprowadzone przez Suchozaneta rządy militarne miały się teraz skończyć; że Lambert głośno mówił o zniesieniu prawa, przysługującego liczным kacykom-naczelnikom wojennym karania ludzi bez sądu; że teraz sprawy o wszelkiego rodzaju przestępstwa przeciw porządkowi publicznemu podlegać miały sądom cywilnym; że rządzący w Suwałkach satrapa Rudanowski ma być odwołany; że kancelarya namiestnika ma zejść na drugi plan; że nie ona ma przedstawiać namiestnikowi wszelkie sprawy, ale sekretarz stanu. Wprawdzie wykonanie wszystkich tych projektów, wiecznie wahający się Hamlet odkładał na później, pod pozorem, że wprzód musi dokładnie zbadać istotny stan rzeczy¹⁴⁵, ale już sam zamiar taki nie mógł się podobać różnym Mentorom i generałom, już przez to samo mądrym i zdolnym do wszystkiego, że zostali generałami.

Oburzenie to tem bardziej wzrastać musiało, gdy spostrzeżono, że Wielopolski, którego znaczenie tak nisko upadło za rządów Suchozaneta, zdawał się teraz odzyskiwać swą przewagę pierwotną. Zaraz po przybyciu Lamberta do Warszawy, margrabia miał z nim konferencyą, na której przedstawił „swemu Hamletowi” zgubne skutki rządów poprzednich, nieład i niezadowolenie powszechne, jakie one wywołały. „Naglącą jest rzeczą, mówił, ożywić umysły, chwytając się środków stanowczych dla przekonania kraju, że nowy sposób rządzenia jest prawdą, że nie jest on drugą edycją rządów paskiewiczowskich”.

Przyznawał słusność Lambertowi, że chce zbadać wprzód stan rzeczy, ale sądził, że na to wystarczą trzy tygodnie i domagał się, by wojska cofnięto z ulic (co zresztą zostało dokonaniem już dnia 27 sierpnia) i sprawy bieżące rozpatrywane były we właściwych komisjach. Na przyszłość żądał, by szanowano zasadę autonomii Królestwa i rozdzielono administracyą wojskową od cywilnej; by zniesiono departament do spraw polskich w Radzie państwa w Petersburgu i zarząd generał-gubernatora w Warszawie; by Komisjom rządowym nadano tytuł ministryów i by wtłoczono we właściwe ramy władzę kancelaryi przybocznej namiestnika. Żądał, by uzupełniono prawodawstwo kryminalne, by w miejsce departamentów senatu ustanowiono sąd kasacyjny w Warszawie i sąd najwyższy, mający decydować w sprawach o przestępstwa stanu. Domagał się języka polskiego w administracyi i kolorów narodowych. Przez zniesienie zarządu generał-gubernatora, Komisya spraw wewnętrznych

145 Lisicki: Le marquis. II. 219.

odzyskiwała swe właściwe stanowisko, a utworzenie sądu najwyższego odbierało z rąk kacyków wojennych sądy w sprawach politycznych. „Wszak — mówił — okólnik ministra spraw zagranicznych, odezwy księcia Gorczakowa, a nawet mowa ministra wojny wspominała o „narodowości polskiej”; dlaczego więc nie nadać rzeczom i instytucjom charakteru narodowego? Przywróćmy kolory narodowe, nadajmy tytuł ministerów Komisjom rządowym, nazwijmy Teatr wielki teatrem narodowym. Wszystko to oddziała dodatnio na masy i sprawi, że ludzie rozumni porzucą żałobę. Bądźmy nieubłagani dla agitatorów i podżegaczy, zreorganizujmy policję, określając ściśle zakres jej działania; a ponieważ kończy się sześćciolecie, w czasie którego kraj wolny był od poboru rekruta, więc przystąpmy do spisu wojskowego, a tym sposobem znaczna ilość młodzieży, biorącej dziś udział w manifestacjach, usunięta od nich zostanie. Na to zaś, by innych powstrzymać od zaburzeń, mamy prawo o zbiegowiskach, o którego ściśle wykonywanie już ja się postaram. W tym celu jednak potrzebuję koniecznie, bym otrzymał ostatecznie nominacją na dyrektora sprawiedliwości. Rząd może liczyć na moje poświęcenie, ale z drugiej strony muszę mieć jego poparcie”.

Potem, przechodząc do duchowieństwa, domagał się Wielopolski, ażeby ułatwiono klerowi stosunki z Rzymem, przywracając dawny porządek korespondowania i proponował zwołanie do stolicy wszystkich biskupów i administratorów diecezji i porozumienia się z nimi w sprawie śpiewów i manifestacji kościelnych. Chciał, by rząd postarał się o poparcie wśród mieszczaństwa, powołując kilka wybitniejszych osobistości do Rady stanu i przyspieszając równouprawnienie żydów; by zwołano w jak najkrótszym czasie rzeczoną Radę stanu i przystąpiono do wyborów do Rad miejskich i prowincjonalnych. Przypominał, że gdy wszedł do rządu, przyrzeczono mu, iż wszystkie te ciała zwołane będą w ciągu roku. „Mam, mówił, zobowiązania względem kraju, któremu obiecałem komicye rolnicze, dla przeprowadzenia których byłoby najlepiej przywrócić dawny podział kraju na ośm województw”.

Zwracając się następnie do spraw wychowania publicznego, zaznaczył, że przygotowuje reformę edukacji krajowej, że pragnie, aby była jedna szkoła główna, a w niej wszystkie fakultety uniwersyteckie. Wprawdzie daje się uczuć brak profesorów, ale można temu zaradzić, sprowadzającuczonych polskich z zagranicy; nie ma biblioteki, ale na to jest środek przez zgromadzenie zbiorów rozprószonych po kraju oraz odwołanie się do Petersburga, by zwrócono książki, wywiezione kiedyś z Warszawy. Potrzeba założyć szkołę przygotowawczą, gdyż dotychczasowy poziom wykształcenia gimnazjalnego był taki, że młodzież nie jest przygotowaną do słuchania kursów uniwersyteckich. Zaznaczył, że „mieliśmy dawniej Towarzystwo Przyjaciół nauk; uła-

twijmy więc zakładanie towarzystw naukowych specjalnych, pozwólmy, by literaci zawiązali towarzystwo wzajemnej pomocy. A nadewszystko usuńmy jak najprędzej złe, zrobione przez ministra wojny”. W końcu domagał się, ażeby go uwolniono od cenzurowania gazet i uwiadomił namiestnika, że ma zamiar przedstawić Radzie administracyjnej projekt założenia dziennika urzędowego¹⁴⁶.

Wszystkich tych projektów, świadczących niezaprzeczenie o rozumie i patriotyzmie Wielopolskiego, namiestnik wysłuchał z wyrazem dobrych chęci, ale oświadczył, że nie wprzód może im zadość uczynić, aż rozpatrzy się dokładnie w położeniu rzeczy. Rozpatrzenie się to jednak było dość trudne. Na miękką duszę Lamberta oddziaływało mnóstwo ludzi i okoliczności, a głównym źródłem jego informacji, była owa osławiona stajnia Augiaszowa, kancelarya namiestnika. Łatwo domyśleć się można, jakie stamtąd szły uwiadomienia i w jak odmiennem od Wielopolskiego świetle przedstawiały one wszystko. Margrabiego niecierpliwiło to nadzwyczajnie; z właściwą sobie bystrością umysłu poznał on do gruntu chwiejną duszę „swego Hamleta” i wiedział, że z takim człowiekiem trzeba kuć żelazo, póki gorące, żeby wpływu margrabiego nie zatarły szybko inne wpływy, których tyle było tak różnorodnych i tak przeważnie nam nieprzyjaznych. Dlatego też, już w parę dni po opisanej przez nas konferencji, przypomniał Lambertowi, że ponieważ nie cofnął dotąd swego podania o dymisyą, więc nie pokaże się na sesjach Rady administracyjnej dopóty, dopóki zadość nie będzie uczynione jego żądaniom, jakie stawiał przy owem podaniu, a mianowicie: cofnięcie okólnika Suchozaneta, oddającego władzę cywilną i sądową w ręce naczelników wojennych, powrót osób wywiezionych do Rosyi, odwołanie na koniec generała Rudanowskiego ze Suwałk, który nie przestawał tamże dopuszczać się gwałtów.

Jako warunek wreszcie swej obecności w Radzie stanu, żądał, żeby był mianowany wiceprezesem tej rady, gdyż, jak utrzymywał, instytucja ta potrzebuje pośrednika między sobą i namiestnikiem¹⁴⁷.

W ogólności tak w swych projektach poprzednich, jak i w obecnych żądaniach, Wielopolski zdawał się wyrażać myśl, że tylko tym sposobem Lambert zdoła kraj uspokoić. Czy jednak w rzeczy samej tak było? Czy przy pomocy mniej lub więcej rozległych reform administracyjnych można było kraj uspokoić? Co do tego punktu, dla tych wszystkich, którzy kraj i aspiracje ówczes-

146 Lisicki: „Aleksander Wielopolski” I., 231. „Le marquis” II., 219—221. Powyższe streszczenie projektów Wielopolskiego oparte jest na cytowanych dziełach. Autor spisał je według notatek, skreślonych przez margrabiego zaraz po powrocie z Zamku. Mają więc one cechę autentyczną.

147 Loc. cit. 222.

sne narodowe znali, nie mogło być żadnej wątpliwości, że najszerze nawet reformy burzy nie powstrzymają. Kraj chorował na politykę, a Wielopolski leczył go na administracją, że użyjemy dosadnego wyrażenia jednego z wybitniejszych ludzi tej epoki, Kurtza. To też nic dziwnego, że taki rozumny człowiek, jak Lambert, zapoznając się powoli z położeniem rzeczy, począł nabywać przekonania, że tą drogą nie dojdzie się do niczego. Wprawdzie tłumaczył się Wielopolskiemu, że nie miał jeszcze czasu zająć się wszystkim, że co do usunięcia Rudanowskiego należy zachować pewne względy, przyrzekał, że co będzie mógł, to zrobi w jak najkrótszym czasie. Jakoż, spełniając te swoje przyrzeczenia, usunął Rudanowskiego, asesora Wierzchlejskiego wrócił z Rosyi, kilku księży uwięzionych uwolnił, sprawy rozpoczęte odstąpić kazał sądom cywilnym, przez osobny okólnik zniósł rozporządzenie Suchozaneta z dnia 9 lipca, polecił prowadzić śledztwa komisjom mieszanym, wojskom nakazał spokojne zachowanie się względem mieszkańców, wreszcie zażądał od cesarza w dniu 6 września nominacji Wielopolskiego na wiceprezesa Rady stanu i dyrektora głównego Komisji sprawiedliwości. Cesarz depeszą telegraficzną z Liwadyi zgodził się na to¹⁴⁸.

Ale spełniając życzenia margrabiego, Lambert w innych rzeczach, pod wpływem nowych czynników, jakie na ten umysł miękkiej, wrażliwej, prawie kobiecej, poczęły teraz oddziaływać, wahał się, owszem nie wiedząc sam, jak i kiedy, doszedł do całkiem innych, niż pierwotnie zamierzał rezultatów. W poczciwej chęci zapoznania się z położeniem kraju i uspokojenia go rękami samych Polaków, namiestnik szukał informacji u ludzi, którzy, jak mu się zdawało, najlepiej ten kraj i jego potrzeby znać i najtrafniejsze rady do jego uspokojenia podać mu mogą. Wiedział on, że Wielopolski jest osobistością nadzwyczaj niepopularną i wobec tego musiał sobie postawić pytanie, czy margrabia istotnie zdoła kiedykolwiek wpłynąć na uspokojenie zrywającej się burzy, czy owszem nie będzie on szkopułem, o który rozbić się muszą wszelkie w tym kierunku próby?

Wątpliwości te, bardzo uzasadnione, podsycali wszyscy Polacy, do których Lambert zdołał się zbliżyć. Zbliżenie to, jak powiedzieliśmy, było wynikiem chęci bezpośredniego zetknięcia się ze społeczeństwem polskim i tem łatwiejszego zapoznania się z jego potrzebami. I do kogóż się miał w tym celu udać, gdzie szukać informacji, jak nie u owego „moralnego rządu polskiego”, który niedawno, na wiosnę, przez czterdzieści dni postu, kierował krajem z salonów Resursy kupieckiej? Powoli otrzymali zaproszenie do Zamku prawie wszyscy członkowie byłej Delegacji, to mieszczaństwo warszawskie, które

148 Depesze z dnia 25 sierpnia (6 września) 1861r.

rwąc się początkowo do sterowania krajem, jakby wyczerpane swym czterdziestodniowym wysiłkiem, umilkło teraz, siedziało gdzieś cicho i z pewną niechęcią patrzyło na to, co się dookoła niego dzieje. Znalazł się więc na pogawędkach wieczornych w Zamku, przy szklance herbaty i bankier Kronenberg, i kupiec Szlenkier, i doktor Chałubiński i ksiądz Wyszyński. Zjawiali się tam redaktorzy pism, jak Kraszewski, Kenig, Kucz; zjawiali się i inni, mniej wybitni lub mniej głośni. Wszystkich przyjmował bardzo grzecznie, oczarowywał godnością postawy, taktem, słodkimi słowy, umiejętnością prowadzenia dyskusji, cierpliwością, z jaką słuchał zdań każdego; wszystkim mówił o potrzebie uspokojenia kraju, o najlepszych dla niego chęciach swoich. Odwoływał się do patriotyzmu obecnych, błagał o pomoc, rozpatrywał sposoby przeprowadzenia przyszłych wyborów, pytał o radę.

Zwykle pośredniczył w tych schadzkach niejaki Fredro, z rodziny Fredrów rosyjskich, pełniący przy Lambercie obowiązki urzędnika do szczególnych poruczeń, bywalec wielki, trochę hulaka, łatwy do zawierania znajomości, kręcący się wszędzie i wszędzie dla swych przymiotów towarzyskich chętnie widziany. Mieszkał stale u Enocha, z którym go jakieś stosunki łączyły. On to zwykle sprowadzał wyżej wymienionych do Lamberta, do Belwederu, późnym wieczorem na pogawędkę. Wszystkim im nowy namiestnik wydawał się człowiekiem szczerym i dobrym. Ale gdy raz na zapytanie jednego z nich, czy przywiózł jakie nowe reformy dla kraju, Lambert odrzekł, że „nieszczęściem nic” (*malheureusement rien*) nie przywiózł, że Polacy w Petersburgu mają tylko dwóch przyjaciół, to jest jego brata i cesarza Aleksandra, ostygli oni bardzo¹⁴⁹.

Odtąd mieszczaństwo warszawskie zachowywało się nader ostrożnie i chłodno. Trzymając się swej polityki tradycyjnej, którą nie bez powodzenia prowadziło w dobie Delegacji warszawskiej, starało się wpoić przekonanie w Lamberta, że wszelkie demonstracje uliczne nie mają znaczenia, że nie należy do nich zbyt wielkiej przywiązywać wagi, że najlepiej rząd zrobi, gdy zachowa się względem nich obojętnie i zostawi czasowi ostateczne uspokojenie kraju. Co do reform i wyborów, niemniej ostrożnie wygłaszali swe zdania. Uważając w ogólności ustępstwa, czynione przez rząd, jako wynik ofiar i zaburzeń krajowych, sądzili w głębi serca, że właśnie trzeba dalej ponosić ofiary i manifestować się, by więcej takich ustępstw wyjednać. A prócz tego budziła się w nich obawa, by reformy administracyjne nie uspiły kraju i nie spowodowały jego zrzeczenia się za nędzną miskę soczewicy praw nieprzedawnionych do niepodległości politycznej i granic przedrozbiorowych.

149 Z podań ustnych.

Z drugiej jednak strony, widząc, jak dalece rewolucyoniści z Mierosławskim na czele owładają wszystkim, lękali się rewolucji czerwonej i ostatecznej zaguby kraju. Dlatego też, acz bardzo ostrożnie, ostatecznie przyrzekli Lambertowi przeprowadzenie wyborów, nie zobowiązując się zresztą do niczego więcej. W końcu, rozgadując się niekiedy obszerniej, reprezentanci mieszczaństwa warszawskiego od czasu do czasu rzucili słówko, że jedną z przyczyn przeszkadzających uspokojeniu kraju, jest margrabia¹⁵⁰.

Taka, samą opinią, tylko o wiele wyraźniej i tonem bardziej stanowczym, wygłaszali inni reprezentanci starszyny narodowej, zapraszani także do Zamku. Skomunikowawszy się z mieszczaństwem warszawskim, Lambert postanowił także zasięgnąć rady u kilku dygnitarzy polskich, którzy usunęli się już od służby publicznej oraz u niektórych członków byłego Towarzystwa rolniczego¹⁵¹.

Wszyscy ci panowie, podobnie jak mieszczaństwo, w konferencyach tych zachowywali się nader ostrożnie. Mówili bardzo wiele o tem, że rząd stracił zaufanie kraju, że naród jest głęboko oburzony, że jeżeli porządek publiczny nie rozpadł się już zupełnie, to dzięki tylko nadzwyczajnym wysileniom ludzi umiarkowanych, których wpływ zresztą z każdym dniem się zmniejsza; że pierwszym krokiem, jaki rząd winien zrobić w celu uspokojenia kraju, jest usunięcie od władzy Wielopolskiego, który przez swą dumę i pychę dyskre-

150 N. Berg: Zapiski, 338. W książce p. t.: „Historia ruchu narodowego od 1861 do 1864”, wyszłej we Lwowie w r. 1882, napotykamy (I, str. 110) taką wiadomość: „przeciwko polityce wzajemnych ustępstw (Lamberta i mieszczaństwa warszawskiego), rozpoczęli zwolennicy powstania silną agitacją i zjawiała się w tym duchu napisana broszura p. t.: „Co powinienem robić z tego ustępstwa?” (sic. Była ona pióra wróconego z wygnania, znanego pisarza Apollona Korzeniowskiego, który w stronnictwie ruchu zajął rychło wpływowe stanowisko i swoją czynnością nowego mu dodał bodźca”. Broszury tej wcale nie znamy i prócz powyższej wzmianki nigdzie więcej wiadomości o niej spotkać nam się nie zdarzyło.

151 Lisicki: Le marquis, II, 222, powiada: „że nawet zrobiono mu (Lambertowi), przyjemność, iż zetknął się z czerwonymi i to takimi, którzy w hierarchii ruchu zajmowali najwyższe stanowiska”. Faktu tego, pomimo najstaranniejszych poszukiwań, sprawdzić nam się nie udało i w ogóle wydaje on nam się wątpliwym. W owym czasie, w końcu sierpnia i na początku września 1861 r., nie było jeszcze żadnej „hierarchii ruchu” i nie było takich, którzy by w tej hierarchii zajmowali najwyższe stanowiska. Tworzące się pod wpływem Mierosławskiego koła i kółeczka, po krótkim zwykle życiu umierały bezpłodnie i nie były w stanie ogarnąć ruchu. Najwybitniejsi agitatorowie tej doby, jak Nowakowski, Szachowski, Korzeniowski, nie zajmowali wcale takich stanowisk, by całym ruchem kierować mogli i nie byli jego reprezentantami. Umiarkowani, jak: Jurgens, Giller, Majewski, także nie mogli się tem poszczycić, by w tym czasie stali na czele ruchu. Z kimże więc miał mówić Lambert? Do czego by go to doprowadziło? Z tych względów podanie to uważać musimy za fałszywe.

dytuje tę władzę i czyni ją nienawistną; że przez rozwiązanie Towarzystwa rolniczego rozdrażnił szlachtę; mową swoją obraził duchowieństwo; naród oburzył swą drugą mową po wypadkach 8 kwietnia, młodzież przez zamknięcie szkół popchnął niejako w objęcia rewolucji. Wszyscy wreszcie twierdzili, że jedynym środkiem uspokojenia kraju jest powierzenie przeprowadzenia reform innym, niż Wielopolskiego rękóm, rozumie się rękóm członków byłego Towarzystwa rolniczego. Fryderyk hr. Skarbek, znany pisarz i były dyrektor główny Komisji sprawiedliwości, radził, by rogatki i słupy wiorstowe pomalować kolorami narodowymi¹⁵².

Dla mieszczaństwa, ulegającego bądź co bądź gorączce czerwonej, usunięcie od rządów znienawidzonego magnata było koniecznym z wielu względów. Mieszało się do tego po części usposobienie demokratyczne tego mieszczaństwa, po części to poczucie, że Wielopolski jest jedną z najgłówniejszych przeszkód do urzeczywistnienia ich ideałów społecznych i politycznych. Ale jeżeli te motywy podkopywania wpływów margrabiego można nie usprawiedliwić, ale wytłumaczyć, jeżeli one mają jaką taką cechę dbałości o dobro ogólne, to o intrygach starszyny szlacheckiej wcale tego powiedzieć nie można.

Ta ostatnia, miała na celu wyłącznie interesa własne, osławioną historycznie prywatę. Panowie ci sądzili, że, pracując nad obaleniem Wielopolskiego, pracują zarazem nad swem własnym przyjściem do władzy. Rozumowali oni tak: z chwilą, gdy Wielopolski upadnie, rząd będzie się musiał odwołać do pomocy pana Andrzeja Zamoyskiego, a ponieważ pan Andrzej, jak to wielokrotnie oświadczył, nie przyjmie ofiarowanej mu władzy, więc przyjdzie na nich kolej, na jednego z nich, który tym sposobem zajmie opróżnione stanowisko. Że rachunek ten, tak w swem założeniu, jak i wywodach był błędny, nie potrzebujemy mówić. Zapominali oni, że żaden z nich nie budził w podejrziwym rządzie rosyjskim tyle zaufania, by rząd ten chciał mu powierzyć władzę, że zatem wynikiem ich działalności podstępnej mógł być, co prawda, upadek Wielopolskiego, ale z upadkiem tym zarazem nastąpiły by straszne i niszczące rządy nie członków b. Towarzystwa rolniczego, ale czyhających chciwie na władzę różnych generałów i kacyków, naczelników wojennych. Wobec tego, działalność podziemna starszyny szlacheckiej stanowczo zasługuje na potępienie.

Panowie ci tego nie spostrzegali, albo udawali, że nie spostrzegają. Zachęcenii przez Lamberta, pisali memoriały, noty i rady. W memoriałach tych, jedni domagali się rozszerzenia autonomii polskiej na t. zw. prowincyje zabrane; inni wprowadzenia konstytucji. „Przede wszystkim więc należy uznać, pisał

152 Loc. cit. II, 223.

w takim memoriale ks. Wyszyński¹⁵³, cały obszar dawnej Polski za prawne pole; na którym jawnie mogłoby się rozwinąć spokojne działanie cywilizacyjnych dążeń ducha polskiego w granicach zakreślonych z dobrą wiarą, z jednej strony wymaganiami bezpieczeństwa państwa rosyjskiego, z drugiej strony zachowanymi zasadami moralności (??).

Przywrócenie w dziewięciu guberniach stanu rzeczy, jaki istniał w ciągu pierwszej ćwierci bieżącego stulecia pod panowaniem cesarza Pawła I i Aleksandra I, byłoby obiecującym postępem na drodze zupełnego uspokojenia kraju. Co do Królestwa Polskiego, ponieważ jest bardziej jednolite, to należałoby mu wyraźniej przyznać prawa bytu kraju oddzielnej narodowości, a jako rękojmię tego uznania, przede wszystkim nadać Radom wybranym prawa kontroli nad Zarządem. Postępując z dobrą wiarą drogą wytkniętą wyłożonymi wyżej zasadami, rząd niezawodnie potrafiłby uspokoić Polskę, a to tem pewniej i trwalej, im rozleglejsze zostawione by było pole dla narodowego działania. Nadto Rosya i rząd jej, nie pozbawiłyby się na przyszłość możliwości korzystania z nastęrczających się środków do prowadzenia mniej więcej federacyjnego, w przypuszczeniu, że duch narodowy Polski pójdzie wskazanym wyżej torem”.

„Pamięć panującego tu ucisku, pisał Aleksander Jackowski, członek Rady stanu i niegdyś członek komitetu Towarzystwa rolniczego¹⁵⁴, gdy zarząd miejskowy uwolnionym został od poszanowania nawet Statutu organicznego Królestwu Polskiemu nadanego, budzi w każdej okoliczności w mieszkańcach tak straszne wspomnienie, że pod wpływem obawy, aby ów stan rzeczy nie wrócił, cała ludność wpada w stan rozpacz, z którego wywiązuje się gotowość do ofiar i męczeństwa, jak tego dowiodły niedawne, krwawe wypadki. Powtarzać się one nie przestaną, dopóki łaska Monarchy nie uwzględni cierpienie narodu, dając mu ustawę zasadniczą z dopuszczeniem reprezentacji narodowej”.

Inni w ten sam mniej więcej sposób i w tymże duchu przemawiali, często-kroć w sposób jasny i wyraźny domagając się usunięcia Wielopolskiego. Ten wiedział o tych, cokolwiek byśmy powiedzieli, niegodnych zabiegach i intrygach, znał podobno treść podawanych memoriałów i zachowywał się względem całej tej działalności pokątnej z obojętnością pogardliwą.

Gdy mu zwracano uwagę, że starszyzna szlachecka stara się podkopać jego stanowisko, odpowiadał: „niech się tam sobie starają”¹⁵⁵. Ta obojętność na zabiegi nieprzyjaciół, pochodziła w części z poczucia bezsilności wobec

153 „Nota podana 6 września 1861 r. hr. Lambertowi”. Pomieszczamy ją w całości, w zbiorze dokumentów pod Nrem 6.

154 Memoriał Jackowskiego pomieszczamy tamże pod Nr. 7.

155 H. Lisicki: „Aleksander Wielopolski”, I. 234.

nieuchwytniej, podziemnej intrygi, w części z pogardy olbrzyma dla niskich dokuczań karłów, w części na koniec z doskonałej znajomości usposobienia i charakteru „swego Hamleta”. Wiedział on, że Lambert nie łatwo zdecyduje się na krok stanowczy, że wśród wiekuistych wahań nic takiego nie zrobi, co by miało cechę zdecydowaną. A przytem może wiedział i o tem, że Lambert ma zanadto umysł bystry i przenikliwy, by się dał omamić pozorami dbałości o interesa kraju tam, gdzie na dnie leżała tylko prywata. Jakoż Lambert odgadł od razu, co się kryje pod słowami doradców mieszczańskich i szlacheckich, schodzących się do niego na herbatę wieczorną i w głębi duszy postanowił bądź co bądź trzymać się Wielopolskiego.

Postanowienia tego tem chętniej się chwycił, że uwalniało go ono od zawsze mu wstrętnych kroków stanowczych. Poza tem jednak, wśród tych konferencyi, ciągnących się przez kilka z rzędu tygodni, ulegał on najrozmaitszym wpływom i podobny do drzewa, szarpanego przez różnorodne wichry, nie wiedział, na którą stronę się przechylić i nie przechylał się na żadną. Od cesarza otrzymał był instrukcją, żeby raz na zawsze skończył z manifestacjami i żeby w tym celu ogłosił w kraju stan wojenny. Teraz cesarz ciągle mu to samo powtarzał, zwłaszcza, że manifestacye ani na chwilę nie ustawały. Właśnie w parę dni po przybyciu Lamberta do Warszawy zdarzyło się dnia 26 sierpnia, że policya przyaresztowała na ulicy czterech mężczyzn, ubranych w stroje zakazane. Zrobiło się zaraz zbiegowisko, które kamieniami poczęło ciskać na policyantów, przyczem zraniono oficera żandarmskiego, Bolickiego. Musiano dla przywrócenia porządku wysłać kompanię piechoty.

W kilka dni potem, dnia 31 sierpnia, odbył się pogrzeb jakiejś, jak mówiono, ofiary, która miała umrzeć wskutek ran poniesionych jeszcze dnia 8 kwietnia. Zbiegło się mnóstwo ludzi (orszak pogrzebowy obliczano na 5.000 głów) i na cmentarzu odśpiewano hymny polityczne. Cesarz, dowiadując się o tem, pisał: „ostatnie twoje depesze świadczą o trwających ciągle zaburzeniach. Znosić ich dłużej nie należy ani w Warszawie, ani na prowincyi i dlatego żądam (*trebuję*), żebyś w miejscowościach, w których to uznasz za potrzebne, ogłosił stan oblężenia”¹⁵⁶. Ale pomimo wyraźnej woli cesarskiej, Lambert zdobyć się na to nie mógł, choć nowe manifestacye powinny go były do tego zmusić.

Z powodu mniemanej rzezi w Wilnie, gdy po całym kraju odbywały się za „pomordowanych”, jak mówiono, nabożeństwa, w Warszawie, w ostatnich dniach sierpnia obiegać poczęła odezwa tej treści: „Bracia rodacy! w chwili, gdy rząd moskiewski łaskawemi słówkami przemawiając do kraju naszego, nie przestaje mordować w Wilnie, rabować w Białymstoku i więzić w Warszawie;

156 Depesza z Odessy, z dnia 1 września (20 sierpnia).

kiedy ster władzy krajowej oddaje w ręce wojskowe przysłanego generała, naród nie zapomina swych praw, ani swej godności i pierwszą jego myślą jest uczcić krew męczeńską, przelaną przez naszych braci Litwinów za wspólną, naszą ojczyznę. Zawiadamiamy was bracia rodacy! 1) że w poniedziałek, dnia 2-go września br. we wszystkich kościołach w Warszawie, o godzinie 10-tej rano, odbędą się żałobne nabożeństwa za braci naszych Litwinów, pomordowanych przez Moskali w Wilnie dnia 18 sierpnia r. b. 2) że następnie we wtorek, środę, czwartek, piątek i sobotę, o tejże samej godzinie, we wszystkich kościołach odbywać się będą nabożeństwa żałobne na pamiątkę dni męczeństwa zaprzędanej w r. 1831 Warszawy, na pamiątkę wzięcia Woli, zarąbanego na ołtarzu generała Sowińskiego i wejścia Moskali do stolicy Polski; 3) zaczynając więc od poniedziałku, 1-go, powiększyć żałobę, aby nikt na sobie nic białego, ani kolorowego nie miał i tak cały tydzień się zachować; 2-go, wstrzymać się od licznych zebrań, uciech i radości, do których Moskale w rozmaity sposób nas zachęcają; 3-go, nareszcie w sobotę i niedzielę, t. j. dnia 7 i 8, nie znajdować się w żadnym publicznym ogrodzie, ani na placach, w zastępstwie za niedzielne nabożeństwo dnia 8-go września, które Kościół, Matka nasza, nie dozwala żałobnie obchodzić.

Uczuciom dobrych Polek i Polaków zalecamy wykonanie obowiązków powyżej wskazanych”.

Nabożeństwo powyższe odbyło się w dniu oznaczonym uroczyście; sklepy do godziny 1-szej w południe były zamknięte. Na próżno rząd zaprzeczał publicznie, żeby kogokolwiek zabito w Wilnie¹⁵⁷, sposobność była zanadto dobra, by ją pominąć miano¹⁵⁸.

157 Dnia 4 września, ukazało się w gazetach warszawskich następujące obwieszczenie rządu: „Od kilku dni rozchodzą się po Warszawie przesadne wieści o starciu, jakie miało miejsce w Wilnie w dniu 6 (18) sierpnia. Wiadomości urzędowe z dnia 9 (21) sierpnia wykazały już bezzasadność tych pogłosek. Otrzymana dziś w Warszawie depesza telegraficzna urzędowa z Wilna, uśmierza i znosi wszelką w tym względzie obawę. W rzeczy samej depesza zawiadamia, że z pomiędzy ludności trzy tylko osoby ranione zostały wskutek uderzenia kolbą, kilka zaś innych osób doznało nieznacznych kontuzji. Nadto, w chwili obecnej, wszystkie te osobv znajdują się przy zupełnem zdrowiu i ani jednego wypadku śmierci nie było. Ze strony wojska raniono lekko trzech kozaków, dwóch żołnierzy z piechoty, trębacza i oficera, kamieniami i drągami”.

158 W czasie tego nabożeństwa, jakiś człowiek, jak donoszą relacje współczesne, rozdawał po kościołach kartki drukowane, wzywające wprost do powstania. Nie wiemy o jakiej to odezwie jest mowa, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa o tej, jaką napotyamy wydrukowaną w „Wiadomościach z kraju z lat 1861 i 1862” na str. 18, w której jakiś niezbyt uczony w piśmie, zapewne niedawno z ławy szkolnej wypuszczony młokos, woła: „wicher, poprzedzający dziejową burzę, zrywa czapkę złotą z imperatorskiej głowy, car przytrzymuje ją i naciska, patrzy na Litwę, Wołyń, Podole, Ukrainę i Koronę, kipiące

O tem wszystkim Lambert donosił cesarzowi, który ciągle nalegał, by ogłoszono stan wojenny, zwłaszcza, że do tego radykalnego, jak sądzono w sferach rządowych rosyjskich, środka, uciekł się już, wskutek ostatnich wypadków wileńskich, tamtejszy generał gubernator, Nazimow.

Już zaraz nazajutrz po tych wypadkach, miejscowy oberpolicmajster Wasiliew ogłosił, że generał-gubernator zabrania: śpiewania hymnów podżegających, tak na ulicy, jak i po kościołach, i tłumnego zgromadzania się na ulicach; że wszelkie zbiegowiska rozpędzane będą siłą zbrojną „jak to miało miejsce wczoraj”; zalecał kobietom i matkom, by siedziały spokojnie w domach wśród rodziny, dla uniknięcia przy użyciu siły zbrojnej niebezpieczeństwa; zabroniono wychodzić po godzinie 9 tej wieczorem z domu, a gdyby kto zmuszony był koniecznością do tego, to winien posiadać latarkę, zatrzymywać się na wezwanie patrolu i dać wszelkie żądane objaśnienia; że na rogatkach urządzono warty wojenne i ktokolwiek chce wyjechać, musi znajdującym się tam urzędnikom okazać paszport. Był to już w rzeczywistości stan wojenny, choć urzędowe jego i wyraźne opublikowanie nastąpiło dopiero w dniu 24 sierpnia. Jako będące w tym stanie ogłoszono miasta: Wilno, Grodno, Białystok, Bielsk, Brześć Litewski z powiatami oraz gubernią Kowieńską z wyłączeniem powiatu Nowo-Aleksandrowskiego¹⁵⁹.

pragnieniem boju o wolność, oddycha żądzą morderstw, a nie może wystąpić z groźbą; podaje ręce zdradzie, ale hańba temu, kto uściśnie dłoń kata, krwią naszych braci zbroczoną! Ofiary były, są, będą. Czarny ptak potrzebuje ludzkiego ciała na pokarm i krwi na napój. Niechaj ucztuje jeszcze, bo to ostatnia dla niego biesiada. Rodacy! jedna mogiła dla pomordowanych ofiar wolności, lub jedna rzeczpospolita wskrzeszona dla wszystkich, to naszym hasłem!” Przeciw temu nadużywaniu drukowanego słowa wystąpiła „Strażnica” (Nr. 6): „ukazała się odezwa, czytamy tam, która wyraźnie nosi na sobie piętno niedojrzałości politycznej i która też powszechnie potępioną została. Liczne nawet podniosły się głosy, że odezwa ta miała źródło w gorącej chęci wroga wyzwania nas do przedwczesnej walki; niechże więc ten głos będzie nauką dla autora, a my powiemy mu tylko, że wyrzeczone przez niego słowa, nie poparte natychmiast czynem, są dziecinną przechwałką, a nad to zapytamy go, czy obliczył następstwa podobnego kroku, gdyby patryotyczny, a nierozumiejący nasz lud, rozgrzany nimi, zechciał natychmiast legnąć „w jednej dla wolnych mogile”. Szczęściem, że kraj środkowy i siły obliczać, i krew swą na potrzebne czasy zaoszczędzać umie, a na niczem niepoparte frazesa nie zwraca uwagi. Idźmy naprzód, jak dotąd w Imię Boże, a dojdziemy do celu” i t. d.

159 Ogłoszenie to brzmi: „Wskutek wynikłych w niektórych miastach nieporządków, naruszających spokojność w świątyniach rzymsko-katolickich, nadwężyjących cześć dla świątyń i spokój ogólny, pomimo łagodnego z początku przekonania, a naostatek surowych, administracyjnych skarceń, nie ustają dotąd i dotąd śpiewają hymny podburzające w świątyniach i na placach publicznych. Ludzie złych zamiarów wpływają na młodzież i kobiety, ściągają przez nie tłumy niczem nie zajętych ludzi, tak dalece, że władza zmuszona była użyć siły wojskowej. Ten stan nie może trwać dłużej. Dlatego żeby przywrócić

Ogłoszenie stanu wojennego na Litwie, było pewnego rodzaju przykładem i wzorem dla Królestwa. Toteż, gdy Lambert doniósł cesarzowi o nabożeństwach za poległych w Wilnie, ten ostatni pisał, że wszystko to przekonywa go jeszcze bardziej „o potrzebie surowych środków i należy ich chwycić się jednocześnie na Litwie i w Polsce”¹⁶⁰, zalecał, żeby „w rocznicę zdobycia Warszawy nie pozwolono na żadne demonstracje, a gdyby takowe mimo wszystkiego się odbyły, to bezwarunkowo ogłosić w Warszawie stan oblężenia. W innych miejscach tak samo postąpić i natychmiast zająć się rozbrojeniem mieszkańców”.

Ale szlachetny i dobrze życzący Polsce Lambert opierał się temu ze wszystkich sił.

„Nie ma teraz powodu do ogłoszenia stanu wojennego, pisał do cesarza dnia 4-go września, gdyż położenie rzeczy nie zmieniło się na gorsze, choć wojska z ulic cofnięto; a przytem policya publiczna (narużnaja) jeszcze nie jest uorganizowana, tajnej zaś wcale nie ma i my sami nie obznajomiliśmy się dotąd dobrze ze sprawami. Nic dziwnego (*nie mudreno*), że będą zaburzenia w dniu zdobycia Warszawy, ale pod tym względem nie widzę żadnego niebezpieczeństwa; ogłoszenie zaś stanu wojennego zaburzeniom nie zapobiegnie, w razie zaś konieczności wojska mamy w pogotowiu. Nie tyle obawiam się nieporządków ulicznych, ile wyborów”.

Tymczasem, gdy się to wszystko działo, gdy nowy namiestnik szlachetnie bronił kraju przed stanem oblężenia i rządami kacyków wojskowych, którzy tego tylko pragnęli, warczeli potajemnie na stosunki Lamberta z Polakami i tworząc w rządzie Frondę nową, skupiali się koło Gerstenzweiga — kraj po dawnemu wrzał wszelkiego rodzaju manifestacyami. Wprawdzie dzień 8 września, trzydziestoletnia rocznica poddania się Warszawy Paskiewiczowi, przeminęła spokojnie. Obawiano się w Zamku licznego zbiegowiska na cmentarzu Wolskim, a tymczasem nikt się tam nie zjawił. Przypadająca w wigilię tego dnia uroczystość dworska z powodu rocznicy koronacji Aleksandra II, nie została zakłócona śpiewami patryotycznymi po kościołach, ale za to

spokój i osłonić spokojnych mieszkańców od gwałtów i zniewag, ja, na mocy nadanej mi władzy przez Najwyższy rozkaz, ogłoszony w ukazie Rządzącego senatu z dnia 9 sierpnia, ogłaszam w stanie wojennym miasta: Wilno, Grodno, Białystok, Bielsk i Brześć Litewski z powiatami i gubernią Kowieńską, z wyłączeniem powiatu Nowo-Aleksandrowskiego, uwiadamiając, że cały ciężar wojskowego kwaterunku padnie wyłącznie na tych, którzy biorą udział w nieporządkach. Podpisano: generał-adjutant Nazimow”. Rząd gubernialny wileński ze swej strony zawiadomiał, że wszelkie przestępstwa polityczne i kryminalne (gwałt, rozbój, zabójstwo, podpalenie) sądzone będą przez sądy wojenne.

160 Depesza z Odessy, z dnia 22 sierpnia (3 września).

w dzielnicy żydowskiej miasta, na Nalewkach rozegrały się innego rodzaju sceny, świadczące, że nawet do najniższych warstw żydowskich nerwy nastroj czasu przeniknął. W dniu 5 i 6 września przypadły uroczyste święta żydowskie Nowego roku i z powodu, że niektórzy wolnomyślni żydzi nie zamknęli swych sklepów, rozfanatyzowany tłum zebrał się dnia 6-go, w piątek przed sklepem optyka Pika, na ulicy Miodowej, narobił ogromnej wrzawy, obrzucił okna błotem i kamieniami, poczem przez ulicę Kozią pociągnął na Krakowskie Przedmieście do sklepu księgarza Orgelbranda. Tu to samo się powtórzyło. Policja wcale się nie pokazywała. Nazajutrz także sceny odbyły się z większą jeszcze wrzawą na Nalewkach przed otwartym sklepem Natansona. Wybito szyby, zniszczono nieco towarów i pomimo napomnień starszego rabina, którego policja sprowadziła, nie chciano się rozejść, a gdy żandarmerya przyaresztowała kilku krzyczących najbardziej żydziaków, rzucano się na nią, wyswobodzono przytrzymanych i pobito żołnierzy. Wobec tego ściągnięto nieco wojska, które zbiegowisko rozpędziło, kilku wicherzycieli arestowało, którzy, jak ogłosił Wielopolski, „oddani zostali pod jurysdykcją Prezesa sądu kryminalnego gubernii Warszawskiej, w celu wyprowadzenia śledztwa na drodze sądowej i wymierzenia kary prawem przepisanej”.

Jakkolwiek te zaburzenia żydowskie nie miały charakteru politycznego i tak je też uważał Lambert¹⁶¹, wszelako świadczyły one wymownie o tym gorączkowym nastroju całego kraju, kiedy aż sfery najniższego żydostwa, najmniej zdolne do zaburzeń publicznych, ośmieliły się dokonywać awantur ulicznych. Wskutek tych wypadków, w parę dni potem ukazała się odezwa, drukowana w dwóch językach, polskim i żydowskim, wystawiająca niebezpieczeństwo, jakie tego rodzaju zajścia mogą wywołać dla kraju. Odezwa ta oczywiście wyszła z tych sfer ucywilizowanego żydostwa, które, oddzieliwszy się od tłumu fanatycznego, wcale nie miało ochoty padać ofiarą jego przesądów religijnych. Prócz tego rabin warszawski, znany nam już Ber Majzels, wydał także odezwę z datą 8 września, w której wzywał ojców rodzin i starszych, aby pilnowali młodzieży żydowskiej, żeby nie posuwała się do nadużyć, żeby „nie dopuszczała się szyderstw i napaści względem poważnych osób, głosząc, że to czyni w zamiarze wzmocnienia świętych przepisów religii”, że „przywłaszczenie sobie takiego prawa przez niesforną młodzież może tylko spowodować zniewagę ludu izraelskiego i ubliżenie zakonowi Bożemu”.

O wiele ważniejszym od tych awantur żydowskich był inny objaw wzbурzenia powszechnego, który teraz ogarnął Warszawę i kraj cały. Chcemy tu

161 Depesza z dnia 11 sierpnia (8 września): „... nieporządki te nie mają ani charakteru politycznego, ani żadnego znaczenia. Niektórych wicherzycieli już arestowano; dla przytrzymania głównych podżegaczy użyto odpowiednich środków”.

mówić o mnóstwie nabożeństw, odbywanych nieomal codziennie, a czasem i po kilka na dzień w różnych kościołach „za pomyślność ojczyzny”, lub „za wolność, całość i niepodległość ojczyzny”. Była to istna moda, zaraza przenikająca wszędzie, do wszelkich słoików społecznych. Pierwsze tego rodzaju nabożeństwo, o ile wiemy, odbyło się dnia 7 sierpnia w kościele OO. Augustyanów na ulicy Piwnej, zamówione przez „artystów litografij”. Drugie dnia 27 t. m. odprawiło u Bernardynów „zgromadzenie rękawiczników”, a trzecie d. 31 t. m. u św. Jana „zgromadzenie fabrykantów siodlarskich i powozowych” — ostatnie dnia 31 października u Bernardynów „orszak kawalerów młodych Polaków i dziewcząt Polek”. Przez cały ten czas, powtarzamy, nie było dnia, żeby gdzieś tego rodzaju nabożeństwa się nie odprawiły. Wszystkie cechy, zgromadzenia rzemieślnicze, rękodzielnicze, przemysłowe, stowarzyszenia, bractwa, terminatorzy, Bóg wie kto wreszcie, literaci, artyści, muzycy, akuszerki, włościanie z okolic Warszawy, dzieci polskie, panny polskie, wdowy z Pragi (sic), druciarze, uczniowie i uczennice, przełożone pensyj i t. d.¹⁶², wszystko to

162 N. Berg, Zapiski, 348, naliczył tego rodzaju nabożeństw od 23 września do 15 października 43, co stanowi zaledwie czwartą część istotnej cyfry. Autor niniejszego miał w rękę bardzo cenny zbiór zaproszeń na te nabożeństwa, należący do p. Adama Mieleszki-Maliszkiewicza i zawierający od d. 7 sierpnia do 31 października 178 nabożeństw, a wiemy, że i ta cyfra, tak pozornie znaczna, nie przedstawia liczby rzeczywistej. Wypisujemy tu z powyższej kolekcji w porządku chronologicznym wszystkie te nabożeństwa: Sierpień. Dnia 7 w kościele OO. Augustyanów, artyści litografij. Dnia 27 u Bernardynów, zgromadzenie rękawiczników. Dnia 31 u św. Jana, zgromadzenie fabrykantów siodlarskich i powozowych. Wrzesień. Dnia 2 u Reformatów, zgromadzenie czeladzi stelmachów; d. 3 u Kapucynów, zgromadzenie tokarzy (zaproszenie pisane); d. 5 u Karmelitów na Lesznie, mieszkańcy, młynarze i robotnicy młyna parowego na Lesznie; d. 9 u Dominikanów, zgromadzenie majstrów kapelusznich; d. 9 u św. Krzyża, dzieci polskich; d. 10 u Reformatów, zgromadzenie subjektów felczerskich; d. 12 u Paulinów, zgromadzenie giserów; d. 13 u Reformatów, zgromadzenie czeladzi młynarskiej; d. 14 u Reformatów, zgromadzenie piekarzy; d. 16 u Reformatów, zgromadzenie majstrów stelmachów i kołodziej; d. 16 u Pijarów, fabrykanci i subjekci fortepianów; d. 16 u św. Krzyża, fabrykanci obić papierowych; d. 19 u Karmelitów na Kraków. Przedmieściu, zgromadzenie majstrów mydlarskich; d. 19 u Bernardynów, zgromadzenie czeladzi piekarskiej; d. 19 u Reformatów, zgromadzenie majstrów iglarskich i pilnikarskich wraz z czeladnikami; d. 20 u Bernardynów, zgromadzenie druciarzy; d. 20 u Reformatów, zgromadzenie majstrów szcztokarskich wraz z czeladzią; d. 21 u Bernardynów, zgromadzenie majstrów białoskórniczych i czeladzi; d. 21 u Karmelitów na Krak. Przed., zgromadzenie majstrów kuśnierskich i czeladzi; d. 22 w kościele Ewangelicko-Augsburskim; d. 23 u Kapucynów, zgromadzenie majstrów blacharskich wraz z czeladzią; d. 23 u OO. Augustyanów, zgromadzenie gwoździarzy; d. 23 u Kapucynów, zgromadzenie strycharzy; d. 23 u Bernardynów, zgromadzenie majstrów rzeźniczych wyznania ewangelickiego(?!!); d. 24 u Bernardynów, zgromadzenie starszych felczarów; d. 24 u Reformatów, zgromadzenie służących płci żeńskiej; d. 25 u Bernardynów, zgromadzenie utrzymujących dożółki; d. 25 u Reformatów, ogrodnicy miasta i okolicy Warszawy; d. 25 u Augustyanów,

zamawiało w różnych kościołach nabożeństwa, po większej części za pomocą drukowanych lub litografowanych, a rzadziej pisanych kartek.

zgrupowanie dystrybutorów, oficyalistów, majstrów i robotników fabryk tabaczkich; d. 25 w kościele na Pradze, zgrupowanie majstrów i czeladzi szewskiej na Pradze; d. 26 u Reformatów, zgrupowanie niciarzy; d. 26 u Paulinów, zgrupowanie majstrów tkackich i czeladzi tego zgrupowania; d. 26 u Karmelitów na Krak. Przed., grono bratnie (sic) uczniów kowalskich; d. 26 u Bernardynów, zgrupowanie czeladzi rzeźniczej; d. 27 u Kapucynów, uczniowie ze zgrupowania kuśnierskiego; d. 27 u Karmelitów na Krak. Przed., towarzystwo kamerdynerów; d. 27 u Bernardynów, zgrupowanie majstrów kotlarskich wraz z czeladzią; d. 28 u Dominikanów, zgrupowanie sztuki farbierskiej; d. 28 u Bernardynów, zgrupowanie utrzymujących trunki krajowe (sic); d. 28 w kościele w Mokotowie, włóścianie z okolic Warszawy; d. 28 u Kapucynów, oficyaliści prywatni; d. 28 u św. Aleksandra, biedne wdowy (sic); d. 28 u św. Krzyża, zgrupowanie służących parafii św. Krzyża; d. 28 u św. Krzyża, zgrupowanie służących płci żeńskiej; d. 28 u Karmelitów na Lesznie, zgrupowanie wozniów; d. 28 u św. Jana, zgrupowanie stróżów i wyrobników; d. 28 u Pijarów, zgrupowanie kramarzy warszawskich i Węgrów (sic); d. 28 u Reformatów, zgrupowanie piernikarzy wraz z czeladzią; d. 29 u Reformatów, zgrupowanie czeladzi wyrobu maszyn parowych W-go Troetzera; d. 29 u Kapucynów, kupcy utrzymujący składy szkła; d. 29 u Karmelitów na Lesznie, chłopcy (sic) z fabryk wyrobów platerowanych i galwanizowanych; d. 29 na Pradze, zgrupowanie czeladników bednarskich przedmieścia Pragi; d. 29 w kościele Ewangelicko-Reformowanym; d. 30 u św. Jana, terminatorzy cechu „zdofiskiego” (sic — zaproszenie pisane); d. 30 u Karmelitów na Lesznie, zgrupowanie majstrów i czeladzi polerowniczych i z fabryk nowego srebra; d. 30 u św. Krzyża, zgrupowanie majstrów pończoszniczych wraz z czeladzią; d. 30 u Bernardynów, zgrupowanie majstrów stolarskich; d. 30 u Wizytek, grono stowarzyszonych czeladzi stolarskich; d. 30 u Reformatów, zgrupowanie czeladników krześlarskich; d. 30 u Karmelitów na Krak. Przed., pracownicy przy moście stałym i łyżwowym; d. 30 na Pradze, mieszkańcy Pragi; d. 30 u Augustyanów, zgrupowanie jubilerów i złotników, i grawerów; d. 30 u Pijarów, wdowy i sieroty polskie (sic); d. 30 u Reformatów, zgrupowanie piwowarów; d. 30 u Panny Maryi, zgrupowanie formierzy (sic); d. 30 u Paulinów, zgrupowanie dekarzy majstrów wraz z czeladzią. — Październik, d. 1 u Kapucynów, panny trudniące się polerowaniem złota; d. 1 u Dominikanów, uczniowie i uczennice szkoły ewangelicko-reformowanej; d. 1 u Augustyanów, bractwo św. Tekli (zaproszenie pisane); d. 1 u Paulinów, zgrupowanie grzebienniarzy wraz z czeladzią; d. 1 u Reformatów, uczniowie krześlarscy (pisane); d. 1 u Bernardynów, zgrupowanie majstrów tapicerskich¹; d. 1 u Karmelitów na Krak. Przed., majstrowie cechu stolarskiego; d. 2 u św. Aleksandra, furmani piwowarscy i składników; d. 2 u Kapucynów, uczennica pensji wyższej (sic); d. 2 u Pijarów, literaci i artyści polscy; d. 2 u Paulinów, zgrupowanie giserów czcionek drukarskich; d. 2 u Reformatów, inżynierowie, budowniczowie, artyści dramatyczni, literaci, malarze i rzeźbiarze; d. 2 u Karmelitów na Lesznie, rzeźbiarze i kamieniarze; d. 2 u Augustyanów, zgrupowanie terminatorów szewskich; d. 2 u Karmelitów na Krak. Przed., braterstwo (sic) uczni mydlarskich; d. 2 u Karmelitów na Lesznie, zgrupowanie brukarzy; d. 3 na Pradze, zgrupowanie kowali i ślusarzy przedmieścia Pragi; d. 3 u Trinitarzy, zgrupowanie przewoźników; d. 3 u Kapucynów, zgrupowanie zegarmistrzów; d. 3 u św. Krzyża, to-

Kartki te zaopatrywano w rozmaite emblemata z herbami Polski, Litwy i Rusi, z wieńcami cierniowymi i palmami. Weterani np. b. wojsk polskich,

warzystwo akuszerok polskich (sic); 3 u Karmelitów na Lesznie, „na intencją braci naszych w niewoli zostających”; d. 3 u Reformatów, uczenie (sic) stelmachscy i kołodziejscy; d. 4 u św. Aleksandra, sprzedający kielbaski (sic); d. 4 u św. Krzyża, zgromadzenie posługaczy szpitali warszawskich; d. 4 u Kapucynów, zgromadzenie stróżów i wyrobników; d. 4 u Pijarów, panny polskie, trudniące się krawieczyną (pisane); d. 4 u Karmelitów na Krak. Przed., zgromadzenie sztukatorskie; d. 4 u Reformatów, zgromadzenie parasolników; d. 4 u Karmelitów na Lesznie, towarzystwo uczniów lakierniczych; d. 5 u Panny Maryi, zgromadzenie rybaków; d. 5 u Karmelitów na Krak. Przed., dziewice polskie (sic); d. 5 u Augustyanów, uczniowie szkoły elementarnej; d. 5 u św. Jana, urzędnicy wszelkich władz Królestwa Polskiego w Warszawie; d. 5 w Wilanowie, włościanie wilanowscy; d. 5 u Trinitarzy, fabryka rolnicza przy żegludze parowej; d. 5 u Franciszkanów, obywatele cyrkułu VI.; d. 6 u Reformatów, zgromadzenie komisarzy; d. 6 u Paulinów, utrzymujące magłę; d. 6 u Augustyanów, zgromadzenie liczne panien służących oddziału IV. (??); d. 6 u Karmelitów na Lesznie, chłopcy polskie (sic), roznoszące (sic) plakaty; d. 6 u Panny Maryi, przełożone pensyj wyższych i niższych wraz z nauczycielkami i guwernantkami; d. 6 u Kapucynów, uczenie (sic) zgromadzenia rękawiczniczego; d. 7 u Bernardynów, uczenie (sic) zgromadzenia blacharskiego; d. 7 u Karmelitów na Lesznie, współbracia (sic) uczniowie krawieccy; d. 7 u św. Krzyża, krupiarzy (sic); d. 7 u Augustyanów, handlujące zieleniarki starego miasta i szerokiego Dunaju; d. 7 u Pijarów, panny polskie; d. 7 u Paulinów, panny służące; d. 7 na Pradze, wdowy z Pragi; d. 7 u Bernardynów, zgromadzenie wydziału mechanicznego drogi żel. Warszaw.-Petersburskiej; d. 7 u Reformatów, cała pracująca ludność w fabryce nowego srebra Hennigera; d. 7 u św. Karola Boremeusza, właściciele miejscy ulic przedmieścia Wolskiego; d. 7 u Kapucynów, zgromadzenie perukarskie wraz z subiekctami i uczniami; d. 7 u Karmelitów na Krak. Przed., zgromadzenie ciesielskie szarmajstrów (sic); d. 7 w kościele Wolskim, zgromadzenie czeladzi stelmachów i kołodziejów; d. 7 u Reformatów, zgromadzenie ogólne pracujących w fabryce nowego srebra; d. 8 u Reformatów, zgromadzenie uczniów (sic) nożowniczych i szpadniczych; d. 8 u Bernardynów, jeden z dystylatorów warszawskich; d. 8 u Franciszkanów, zgromadzenie panien starszych z magazynów (sic) obuwia (sic) damskiego (pisane); d. 8 u Augustyanów, zgromadzenie służących; d. 8 u Czerniakowie, włościanie wsi Czerniakowa; d. 8 u Pijarów, aptekarze warszawscy; d. 9 u Kapucynów, uczniowie zakładów cukierniczych; d. 9 u Augustyanów, grono dziewcząt traktyerniczych i piwa bawarskiego; d. 9 w synagodze na Nalewkach, młodzież polska(?) wyznania mojżeszowego; d. 9 u św. Krzyża, uczennice pensyj wyższych i niższych; d. 9 u Bernardynów, zgromadzenie fabrykantów ram złożonych i fabrykantów złota malarskiego wraz z subiekctami; d. 9 u Pijarów, właściciele domów przy ulicy Rynek Starego Miasta; d. 10 u Augustyanów, grono bratnie uczeni (sic) kunsztu szluserskiego, puskarskiego, ostrogarskiego i cejgszmitów (sic); d. 10 u Reformatów, sprzedający włoszczyznę i owoce za Żelazną Bramą; d. 10 w Raszynie, włościanie z Raszyna; d. 10 u św. Krzyża, zgromadzenie rzemieślników i robotników zakładu gazowego; d. 10 u Bernardynów, uczniowie garbarscy wraz z biało-skórnicznymi; d. 11 u Kapucynów, uczniowie zgromadzenia kotlarskiego; d. 11 u Augustyanów, zgromadzenie utrzymujących kawiarnie; d. 12 u Bernardynów, bratnie grono uczeni (sic) piekarskich;

zapraszając „kolegów, braci rodaków wraz z młodem pokoleniem na nabożeństwo za wolność, całość i niepodległość ojczyzny” (d. 22 października), rozesłali zaproszenie litografowane na wielkim arkuszu, na którym oprócz ułana, kosyniera i armatury wojennej, znajdował się spis znacniejszych bitew, stoczonych w 1831 r. Bogu winni duszę „druciarze” (nazwa dawana w Warszawie góralom słowackim, trudniącym się przeważnie drutowaniem garnków potłuczonych), także wystąpili z zaproszeniem litografowanym, na którym był wyrysowany druciarz w swej guni, wsparty na kij, a obok niego wieńce, palmy i herby polskie. Niektóre z tych zaproszeń, zwłaszcza pisane, kłóciły się w sposób haniebny z ortografią i gramatyką, ale cóż ortografia i gramatyka miały do miłości ojczyzny?¹⁶³

Same nabożeństwa odbywały się po większej części bardzo okazale, wśród wszelkich możliwych i zwykłych w tym czasie efektów. Kościoły oświecano wspaniale, obwieszano białymi orłami i pogonią, zdobiono w bukiety i wień-

d. 12 u Trynitarzy, mieszkańcy m. stoł. Warszawy okolic Nadwiśla; d. 12 u Augustyanów, grono braterskie uczni (sic) piekarskich; d. 13 u Paulinów, grono muślarzy; d. 13 u Sakramentek, służące klasztoru Sakramentek; d. 13 w Synagodze na Pradze, Izraelici z Pragi; d. 13 u Augustyanów, bratnie grono uczni (sic) jubilerskich, złotniczych i grawerskich; d. 13 u Karola Boromeusza, pracownicy z fabryki wyrobów parowych D. Grafa; d. 13 u św. Krzyża, młodzież męska prywatnie w zakładach naukowych i w domu rodzicielskim kształcąca się; d. 14 u św. Krzyża, zgromadzenie św. Rocha przy kościele św. Krzyża w Warszawie; d. 14 u Reformatów, uczniowie szkoły felczerskiej wraz z uczniami razurrowemi; d. 14 u Dominikanów, zgromadzenie majstrów szewskich; d. 14 u Karmelitów na Lesznie, zgromadzenie czeladzi lakierniczej; d. 15 u Bernardynów, ogólne zgromadzenie krawców m. stoł. Warszawy; d. 15 u Paulinów, zgromadzenie bractwa Opatrzności Boskiej; d. 15 u Trynitarzy, rzemieślnicy warsztatów żeglugi parowej; d. 15 u Augustyanów i Dominikanów, uczniowie wszystkich kunsztów; d. 15 u Augustyanów, zgromadzenie majstrów szklarskich wraz z czeladzią; d. 16 u Kapucynów, zgromadzenie bronzowników; d. 16 u Bernardynów, grono przyjacielskie cukierników; d. 16 u Karmelitów na Krak. Przed., „ażeby Najwyższy dał męstwo Polakom i wejrzał na biedny nasz kraj” d. 17 w Synagodze żydowskiej, Polacy wyznania możeszowego; d. 17 u św. Krzyża, braterstwo czeladzi mydlarskich; d. 17 u Bernardynów, uczenie (sic) zgromadzenia rzeźnickiego; d. 18 u Karmelitów na Lesznie, zgromadzenie czeladzi garbarskich wraz z pomocnikami; d. 22 u Augustyanów, grono braterskie uczni siodlarskich; d. 22 u Bernardynów, weterani b. wojsk polskich; d. 23 u Dominikanów, zatrudniające się wyrobami koszykarskimi; d. 27 u Bernardynów, zgromadzenie felczarów starszych; d. 25 u Bernardynów, ex-wojskowi b. wojsk polskich; d. 25 u Bernardynów, zgromadzenie liczne (sic) obszywaczek; d. 25 u Karmelitów na Krak. Przed., Panny zajmujące się strojami damskimi; d. 27 u Franciszkanów, muzycy artyści; d. 31 u Bernardynów, orszak kawalerów młodych Polaków i dziewic Polek.

163 Wszędzie np. spotykamy „uczni” zamiast „uczniów”, „kon-sztu” zamiast „kunsztu”, „magazynu obowią”, „chłopcy polskie**” i t. p. Jeżeli wierzyć urzędowym doniesieniom, to większość tych zaproszeń drukował niejaki Maciejowski, za co, już za namiestnictwa Lüdersa, skazany został do ciężkich robót na lat dziesięć.

ce z trójkolorowych wstążek. Wszędzie zbierano pieniądze „na ołtarz ojczyzny”. Na jednym z nabożeństw u Bernardynów, kwestowali żydzi z brodami i żydówka, i zebrali kilka tysięcy¹⁶⁴, co nikogo nie dziwiło, a wszystkich zachwycało. Na nabożeństwie u Karmelitów na Krakowskim Przedmieściu, sprawionem przez robotników, pracujących przy moście stałym i łyżwowym, między którymi było dużo Włochów, zawieszono przy ołtarzu orła i pogoń, a obok nich chorągiew włoską, „na znak sympatii dwóch do wolności i jedności dążących narodów”.

Do synagogi na Nalewkach, d. 9 października, zapraszała „młodzież polska wyznania mojżeszowego”, na nabożeństwo za pomyślność ojczyzny. Na zaproszeniach tych, wyrysowany był żyd ściskający się z chłopem, obok zaś stał drugi i podawał chłopu pałasz. Znany nam już kaznodzieja Kramsztyk miał mowę, zastosowaną do okoliczności. Synagoga udekorowana była we wstążki kolorów narodowych, a na środku unosiła się tarcza z orłem i pogonią. Najdonioślejszem politycznie, świadczącym jak rząd wisi w powietrzu, było nabożeństwo „urzędników wszelkich władz Królestwa Polskiego”, które się odbyło d. 5 października rano w kościele archikatedralnym św. Jana. Na nabożeństwie tem znajdowało się wielu dygnitarzy, dyrektorów wydziałów, a nade wszystko mnóstwo urzędników policyjnych¹⁶⁵. Zbiegowisko przytem ludzi wszelkich sfer było ogromne, tak że tłum, nie mogąc się pomieścić w samym kościele, zajął nieomal całą ulicę Św.-Jańską. Na nabożeństwo to, jak mówiono, urzędnicy sprawili trzy nowe chorągwie, które w pobliżu ołtarza stały rozwinięte. Jedna z nich biała z frendzlą amarantową, miała na sobie obraz Matki Boskiej Częstochowskiej i napis: „Królowo polska, przyczyn się za nami”; na drugiej było oko Opatrzności, a pod niem herb Polski i Litwy, srebrem haftowane. Manifestacya była zanadto rażąca, by nie miano na nią w Zamku zwrócić uwagi. Zarządzono śledztwo, które się ciągnęło długo i jak wszystkie śledztwa tej epoki nie doprowadziło do niczego¹⁶⁶.

164 Kronika wypadków miasta Warszawy od 1860 do 1863 r. (Kalendarz polski na r. 1866, nakład J. Radziwińskiego).

165 N. J. Pawliszczew: Siedmicy polskiego miateża I., 27.

166 N. Berg, loc. cit. 349, mówiąc o tych nabożeństwach, robi taką uwagę: „dodać należy, że duchowieństwo przytem wcale o sobie nie zapominało i ani razu nie odprawiło nabożeństwa za darmo, starając się zawsze wziąć jak najwięcej. Kiedy rozkazano (?) odprawić nabożeństwo fabrykantom fortepianów, ich starszy Stalli zebrał około 150 rubli, przy czem niektórzy majstrowie dawali po 3 ruble i udał się do Misyonarzy przy kościele św. Krzyża. Zażądali oni za zwykłe nabożeństwo rs. 100, a ze śpiewami na chórze przez seminarzystów rs. 150. Stahlowi wydało się to nieco za drogo, więc udał się do Pijarów, którzy odprawili nabożeństwo za rs. 60 (ze źródeł urzędowych)”. To samo mniej więcej powiada A. Podwysocki (Zapiski, 74): „liczba zamówień na te nabożeństwa — czytamy

Oprócz tych nabożeństw, na które, jako nie wychodzące poza obręb kościołów, władze rosyjskie patrzyły przez palce, odbywały się także awantury uliczne, będące bijącym w oczy dowodem, jakiego terroryzmu dopuszczają się wszelkiego pokroju rewolucyoniści. Niejaki Wedel, utrzymujący cukiernię na ulicy Miodowej, Niemiec z pochodzenia, wezwany by dał składkę w wysokości 3 rubli na nabożeństwo za pomyślność ojczyzny, zarządzane przez cukierników, odmówił i w dzień tegoż nabożeństwa sklepu swego zamknąć nie chciał. Wskutek tego w dniu 17 września¹⁶⁷ zebrał się przed sklepem Niemca znaczny tłum, wyprawił mu kocią muzykę, wybił szyby, zniszczył wystawę sklepową i ciężkie mu zadał straty. Nazajutrz taki sam los spotkał innego Niemca, piekarza Bartza, mającego swój sklep na ulicy Marszałkowskiej oraz rękawicznika Ostrowskiego na Nowym Świecie¹⁶⁸. Tłum, zwłaszcza na Marszałkowskiej był tak liczny, że rozbił doszczętnie wszystko, chleb i bułki, i zapasy mąki rozrzucił po ulicy i zmarnował zupełnie. Trwało to parę godzin wśród niesłychanej wrzawy, wśród rozpasania niezwykłego, aż w końcu Lambert, dowiedziawszy się, co się dzieje, nakazał generałowi Schajdemanowi, do którego zawiadywania należała ulica Marszałkowska, ażeby zbiegowisko rozpedził. Schajdeman, stary generał sewastopolski, wyruszył z poważną siłą piechoty, nawet artylerią i przyszedłszy na miejsce nic nie robił, tylko narzekając, że ma ręce związane rozmaitemi instrukcjami, krzyczał, unosił się, ale rozkazu do rozpędzenia zbiegowiska nie dawał.

Powiadają, że rozgorączkowanemu generałowi, jakiś młody człowiek podał wziętą z najbliższej cukierni szklanekę wody ze słowami: „napij się pan, to cię uspokoi”. Wojsko, będąc niemym widzem zniszczenia, odeszło tak samo, jak przyszło, nic nie zrobiwszy¹⁶⁹. Nie było dnia, żeby gdzieś na drzewie lub latar-

tam — była tak wielką, że w niektórych kościołach, księża przyjmowali je tylko za nader wysoką opłatą, jak to np. bywało w kościele św. Krzyża i u Pijarów, gdzie w końcu Września cena nabożeństw za pomyślność ojczyzny doszła do 100 rubli”.

167 N. Berg loc. cit. 345 powiada, że napad na Wedla odbył się d. 18 września. Współczesne relacje mówią o d. 17 i tej daty się trzymamy, zwłaszcza, że w depeszy Lamberta do cesarza, data 17 września jest oznaczona.

168 Powodem napaści na Bartza, według Podwysockiego (loc. cit. 75) miało być to, że ganił on surowo postępowanie swego syna, który się ubierał po polsku i brał udział we wszelkich demonstracjach.

169 N. Berg loc. cit. 345. Tenże autor cytuje (342) opowiadanie jednego z generałów, znajdujących się podówczas w Warszawie, tej treści: „w razie wszelkich tego rodzaju nieporządków wysyłano zwykle na ulicę oficera z kompanią żołnierzy, zawsze tego samego, z rozkazem „zobaczyć co się dzieje i donieść szczegółowo”. Oficer ten za każdą taką wyprawę otrzymywał 3 rs., wskutek czego bardzo akuratnie zjawiał się z kompanią w miejscu, gdzie słychać było o jakim zaburzeniu. Po większej części, gdy wracał, zbiegowisko wygwizdywało go. „Cóż! pytali go koledzy — znowu cię wygwizdali?” — „Wszystko mi

ni nie zawieszano fotografii osób nieraz najszanowniejszych, ale nielubianych albo przez całe stronnictwa, albo padających ofiarą zemsty prywatnej. Fotografie te, zaopatrzone zwykle w dopisek „szpieg”, zawieszano w ten sposób, że nitka przechodziła koło szyi i cała postać wyglądała jako wisząca na szubienicy¹⁷⁰.

Takie było położenie Warszawy nieomal w przeddzień wyborów do rad miejskich i prowincjonalnych; nie lepiej się działo w kraju. W Łęczycy zaszły bardzo ważne i jedyne w swoim rodzaju wypadki, będące dowodem oczywistym, jak pseudo-patryotyczne namiętności owładnąć zdołały wszystkimi umysłami i wszystkimi sercami. Mówiliśmy już o biskupie kujawsko-kaliskim Marszewskim, że był to człowiek spokojny, cichy, nierozumiejący dążeń polskich jako Kaszuba rodem, wychowany w szkole pruskiej; umysł miał mierny, ale był przyzwyczajony do porządku i karności niemieckiej, stąd wręca blisko od roku burza budziła w nim niesmak i o ile to było w jego mocy, stawiał opór wszystko i wszystkich porywającemu wichrowi. Adresu nie podpisał, odbywania nabożeństw żałobnych za poległych w swej diecezyi zakazał, nieposłusznych księży okładał karami i cenzurami kościelnymi, wszelkie odezwy i polecenia rządowe komunikował duchowieństwu swemu i kazał się do nich jak najściślej stosować¹⁷¹. To wszystko wywołało tak w kołach świeckich,

jedno, odpowiadał, niech sobie świszczą, a ja moje trzy rubelki złapałem”. Czyż z takim narzędziem można było co zrobić?

170 Dnia 11 września pobito haniebnie na placu Teatralnym, przed gmachem ratusza, w samo południe, osławionego z czasów Paskiewicza, Hieronima Grassa, który z prostego żydka, sprzedającego zapalki, wyniósł się dzięki najnikczemniejszym usługom do godności naczelnika powiatu warszawskiego. Usunięty z tego urzędowania za Górczakowa bawił jakiś czas w Petersburgu, a teraz powrócił do Warszawy i prawdopodobnie pod wpływem gróźb bezimiennych ogłosił w gazetach, że jest dobrym Polakiem. Nie pomogło mu to jednak. Ktoś spostrzegł go na placu przed ratuszem i zawołał: „oto szpieg idzie!” Grass w odpowiedzi na to, uderzył mówiącego laską, wszczęła się bójka, grad pocisków i pięści posypał się na nędznika i od niechybnej śmierci ocalała go policja, uprowadzając do ratusza. Podwysocki (Zapiski, 76), opowiadając o tem, dodaje, że policja „nie ośmieliła się przeszkadzać spełnieniu aktu sprawiedliwości patryotycznej, połączyła się tylko skromnie z orszakiem, posuwającym się ku ratuszowi i od czasu do czasu błagała rozwścieczonych sędziów, by dali pokój biciu i dopiero w bramie ratusza, przyjąwszy pobitego, zarządziła odwiezienie go do mieszkania”.

171 W „Przeglądzie rzeczy polskich” z d. 10 października 1861 r. w korespondencji z Warszawy (p. 56), między innymi zarzutami, czynionymi Marszewskiemu jest i ten, że udzielił był pozwolenie Muchanowi na zawarcie małżeństwa z wdową po senatorze Łubieńskim; że pozwolenie to uważane było w swoim czasie „jako nikczemne ustęstwo dla władzy”, że (kiedy? nie wiemy) zgłosili się doń jacyś ludzie, „wyrażający opinią publiczną”, to on wyjął z kieszeni woreczek i powiedział: „chcecie pieniędzy, to macie”. — „Uważano ten krok biskupa, kończy korespondent, za umyślną obelgę i stąd powstało oplakane rozdrażnienie, które objawiło się w tak niewłaściwy sposób”.

jak i duchownych, oburzenie na Marszewskiego. Doszło do tego nawet, że duchowieństwo dekanatu kaliskiego, zebrane w maju w Zagórowie na kongregacye, wystosowało do biskupa odezwę, w której wymówiło mu wprost posłuszeństwo, pisząc: „jeślibyś JW. Pasterz podobne rozporządzenia, przeciwne ustawom Kościoła św., nadal jeszcze zechciał nam przesyłać, jakeś to czynił dotychczas, przyjmować ich nie możemy i nie będziemy”.

Ale nie porzestano na tem, czekano tylko na sposobność, by surowo, po rewolucyjnemu ukarać „zdrajcę biskupa”, jak mówiono.

Zdarzyło się, że w d. 3 września biskup, jadąc na odpust do Częstochowy¹⁷², zatrzymał się był na chwilę w Łęczycy. W towarzystwie paru kanoników zajechał do hotelu, ale nie zdołano jeszcze znieść rzeczy biskupich, gdy przed hotelem poczęło się gromadzić ogromne zbiegowisko, złożone z motłochu miejskiego, w którym przeważali żydzi i wyrostki. Przewodniczył tłumowi lekarz miejscowy, pewien szlachcic zrujnowany, żyd, znany całemu miastu hultaj i woźny sądu miejscowego. W jednym nieomal momencie, cały rynek zapchany był gęstym tłumem, który rozpoczął wrzaskliwą kocią muzykę. Wśród krzyków: „Marszewski, sługa moskiewski!” posypał się grad kamieni do okien numeru, w którym biskup stanął. Rozbito na szczątki nie tylko szyby, ale i okna same¹⁷³. Wielu z pomiędzy tłumu wdarło się na dachy i kominy domów sąsiednich i stamtąd bombardowało mieszkanie biskupa. Na próżno proboszcz miejscowy starał się powstrzymać i przyprowadzić do upamiętania zbiegowisko; zakrzyczano go, wygwizdano, zwymyślano i oplwano nawet. Wieczór się robił, napad trwał już dość długo, szła tłumowi nie ustawał i wobec tego trzeba się było na jakiś krok stanowczy zdecydować. Kazano zaprządz konie i woźnica z wielkim trudem zdołał zajechać przed wrota hotelu; tłum kilkakrotnie usiłował zawrócić konie do stajni, ale woźnica stary i rzeński człowiek pogroził batem, za co obsypany kamieniami poniósł kilka lekkich obrażeń. Z niemałym niebezpieczeństwem, wśród gradu pocisków, zdołano usadzić biskupa w karecie, w której okna w jednej chwili prysły na drobne szczątki. Musiano Marszewskiego położyć na dnie karety i zakryć poduszkami.

Na koniec kareta ruszyła, ale zaraz ją zawrócono i skierowano ku ratuszowi miejskiemu, wznoszącemu się na środku rynku i kilkakrotnie, bardzo wolno obwieziono biskupa koło tego budynku, wśród nieustannych pocisków, kocięj muzyki i krzyków: „zdrajca, sługa moskiewski!” Wreszcie pozwolono mu

172 Nie do Warszawy, jak twierdzi Lisicki (Le marquis, II., 226).

173 M. Sierno-Sołowiewicz opowiada (Biskup Marszewskij w Łęczycie — Istoriceskij Wiestnik z r. 1887), że dla osłonięcia biskupa od pocisków kamiennych, towarzyszący mu kanonicy zmuszeni byli nakryć go stołem i pościelą, jaka się pod ręką znalazła.

jechać ulicą ku rogatce, ale tu w chwili, gdy konie przeszły już za podniesiony do góry szlaban, ten spuszczone nagle na karete, tak, że cały jej wierzch pogniótl się i potrzaskał. Wydostano się przecież i pędem ruszono naprzód, ale aż do wsi Topoli (oddalonej od Łęczycy o ćwierć mili), towarzyszyło karcie kilkunastu jeźdźców, obsypując ją deszczem szabru szosowego. Dopiero w wymienionej wsi, na widok gromady chłopów, zbiegających się z groźną postawą i krzyczących, że jeżeli jeźdźcy nie dadzą pokoju biskupowi, to dziś jeszcze Łęczycza pójdzie z dymem, ci zawrócili, a biedny biskup pojechał do Włocławka, rozchorował się i kwękając odtąd ciągle, w kilka lat potem umarł.

Oburzający ten z wielu względów napad na starca, na jednego z najwyższych dostojników kościoła polskiego, zrobił tak w sferach rządowych, jak i w kraju całym silne bardzo wrażenie. Namiestnik rozkazał przeprowadzić śledztwo i groził, że jeżeli wszystko to, co mu pierwotnie doniesiono, jest prawdą, to ogłosi w Łęczycy stan wojenny¹⁷⁴. Zdawało się, że w tym razie nie można się było wahać, zwłaszcza, że w kilka dni potem rozegrała się w Łęczycy nowa, niemniej zuchwała manifestacja. Przechodząca do Zgierza kompania piechoty pułku Niżenowogrodzkiego, powitana została kamieniami, a w powstałej z tego powodu awanturze jeden z wichrzycieli zraniony był pałaszem. Na koniec, w dzień uroczystości dworskiej, d. 7 września *Te Deum* śpiewane w kościele, przerwane zostało grzmieciem „Boże, coś Polskę”. Wszystko to wyraźnie świadczyło, że Łęczycza jest do gruntu zrewolucjonizowana i stan wojenny konieczny.

Ale wahający się ciągle Hamlet, poprzestał na tem, że wysłał do Łęczycy cały batalion piechoty i kilka dział, z poleceniem przywrócenia porządku. Ponieważ wszystkie te awantury stały się w mieście powiatowym, w obliczu władz administracyjnych i sądowych polskich, które według dosadnego wyrażenia Wielopolskiego „heroicznie wzięły nogi za pas”, więc margrabia, jako Dyrektor Komisji sprawiedliwości, dał im surowe napomnienie, a trzech urzędników uwolnił ze służby za to, że nie złożyli nawet raportu o wypadku z biskupem Marszewskim. Prócz tego, nie chcąc, by władza wojskowa mieszała się do tego rodzaju spraw, polecił miejscowemu sądowi policyi poprawczej, przystąpić natychmiast do śledztwa i winnych ukarać¹⁷⁵. Prócz tego, w odezwie do wszystkich sądów kryminalnych w kraju, d. 16 września wydanej, jeszcze raz odezwał się do zdrowego pojmowania interesów polskich. „Okazuje się,

174 Depesza z d. 9 września (28 sierpnia).

175 Śledztwo to ciągnęło się długo i ukończone dopiero w lipcu 1862 r. nie znalazło wcale winnych, gdyż podejrzani z powodu braku dowodów uwolnieni zostali. Była to woda na młyn kamarylli wojskowej, która ciągle twierdziła, że ona jedna potrafi porządek w kraju utrzymać, czego sądy polskie w żaden sposób zrozumieć nie chciały.

pisal, ze nie wszystkie sady przejęte są ważnością swego powołania w okolicznościach obecnych, gdzie właśnie powinny by jawnie dowieść, że czuwają nad porządkiem publicznym i bezpieczeństwem mieszkańców oraz nad winnym poszanowaniem dla władz rządowych. Dlatego dyrektor główny, prezydujący, widzi potrzebę... wezwać... sądy karne, aby we wszystkich razach, gdy zajdą wydarzające się dzisiaj tak często nieporządki lub nadużycia, a tem bardziej, gdy ze strony władz wojskowych lub administracyjnych, sądy o rozwinięcie śledztw w tej mierze wezwane zostaną, mając na celu poszanowanie praw i sumiennie spełniając zaprzysiężone obowiązki, nie ociążały się dla jakich bądź względów lub powodów z dochodzeniem takowych nadużyć, ale owszem z energicznym i odwagą cywilną nacechowanym postępowaniem, zajmowały się śledzeniem wszelkich, podobnych wykroczeń i bezstronną wymierzały sprawiedliwość.

Tym bowiem tylko sposobem zapewnią powagę prawu i sądownictwu krajowemu”.

Ale był to groch na ścianę. Sądy, zarazone gorączką pseudo-patryotyczną, nie umiały wznieść się na wysokość swego zadania, a w kraju zaburzenia dalej trwały. W dniu 7 września, w rocznicę koronacji cesarskiej, przyszło w Kaliszu do opłakanych wypadków. Ktoś w dniu tym rozpuścił pogłoskę, że kompania złożona z Poznańczyków, idąc na odpust do Częstochowy, przechodzić będzie przez Kalisz. Na jej przyjęcie tłumy wysypały się za miasto, a za nimi pułkownik Zajcew, dowodzący w miejsce usuniętego przez Lamberta Woronowa garnizonem miejscowym, wysłał wojsko, które rozpedziło zbiegowisko kolbami. Wieczorem liczne patrole strzegły, by szyb nie wybijano tym, którzy palili iluminacją, przyczem wśród nocy ciemnej i dżdżystej rozzuchwaleni żołnierze dopuszczali się wszelkiego rodzaju nadużyć. Każdego przechodzącego, choćby najniewinniejszego, bili bezlitośnie, a między innymi ciężko pokrzywdzono niejakiego Krajewskiego, starca siedemdziesięcioletniego. Wiele osób żołnierze obdzierali. Oburzeni do żywego mieszkańcy, wysłali nazajutrz deputacją do Warszawy ze skargą. Deputacyi tej namiestnik nie przyjął, a Wielopolski radził jej spokojność. Mimo to Lambert wysłał na śledztwo do Kalisza generała Pauluzziego. W kilka dni potem, d. 11 września, także w uroczystość dworską, wojsko powtórzyło sceny poprzednie. Bili kogo napotkali, przyczem kilka szynków zrabowali¹⁷⁶.

Gdy o wypadkach tych doniesiono cesarzowi, choć w gruncie rzeczy Kalisz nic temu nie był winien, rozkazał zaprowadzić w mieście stan wojenny, winnych sędzić według praw polowych i wyrok natychmiast wykonać¹⁷⁷. Lambert jednak oparł się temu.

176 Z relacyi współczesnych.

177 Depesza z Liwadyi z d. 4 (16) września.

„W wypadkach kaliskich, pisał do cesarza, winni są żołnierze pułku Niwowskiego. O potrzebie zmienienia dowódcy pułku, doniosłem generał-adjutantowi Milutynowi. Stanu wojennego nie mogę ogłosić, bo byłoby to sprzecznem z memi rozporządzeniami w tej sprawie. Racz N. Panie zmienić rozkaz. Stan wojenny przed wyborami zaszkodzi na zawsze sprawie; unikam ostateczności”¹⁷⁸.

Przypadające w tej porze liczne odpusty, dawały sposobność do manifestowania się na wielką skalę. Dla rewolucjonistów była to sposobność tem pożądanjsza, gdyż na odpusty zbiegał się lud, który dotąd trzymał się z dala, a nawet w większości wypadków nieprzyjaźnie dla objawów patriotyzmu czerwonego. Korzystano więc z odpustów, by przy pomocy nabożeństw i duchowieństwa zrewolucjonizować chłopą. Że się to nie udawało, nie potrzebujemy mówić. Chłop chodził na odpusty, ale wobec manifestacji politycznych zachowywał zawsze swą postawę obojętną, a nawet nieprzyjazną.

Wielki odpust w Częstochowie, przypadający d. 8-go września w uroczystość Narodzenia N. Maryi Panny, zmienił się w ogromną demonstracją polityczną. Zbiegowisko pobożnych i niepobożnych było olbrzymie; obliczano ogólną ilość przybyłych na 80.000 ludzi. Klasztor był uilluminowany wspaniale, brzmiały śpiewy i kazania polityczne, orły i pogonie błyszcząły na każdym niemal kroku, a „Boże, coś Polskę”, grzmiące z piersi kilkudziesięciu tysięcy ludzi, według świadków naocznych, miało robić imponujące wrażenie. Odbyła się przytem w refektarzu klasztornym „uczta braterska”, na której miało być wielu chłopów¹⁷⁹. Powracające kompanie z Częstochowy wszędzie po miasteczkach przyjmowano bardzo uroczyście.

W Praszce, gdy zbliżała się kompania Poznańczyków, „obywatele Polacy starozakonni” objawili życzenie, by pątnicy odwiedzili bożnicę. Zgodzono się na to i wyruszono z kościoła z krzyżem i chorągwiami do bożnicy, gdzie powitał wchodzących mową stary jakiś żyd, a szczególna ta uroczystość zakończyła się odśpiewaniem hymnów patriotycznych¹⁸⁰.

178 Depesza Lamberta z d. 4 (16) września.

179 W czasie tego odpustu obiegała po Częstochowie, Bóg wie przez kogo rozpuszczona pogłoska, że jedna z kompanii ma wziąć obraz cudowny i rozpocząć wojnę krzyżową przeciw Moskałom.

180 Podwysocki, Zapiski, 76, opowiada szczegóły, jak się zdaje, oparte na relacyi ajenta policyjnego, odpustu, który w tymże dniu 8 września, odbył się we wsi Błotnicy (niedaleko Jedlińska w Radomskim), słynnej z cudownego obrazu Matki Boskiej. Z kazań księży, jak zapewnia relacya, „lud prosty nie był zadowolony, zwłaszcza z tego, że księża mówili mu nie o Królestwie niebieskiem, ale o Królestwie Polskiem. Jeżeli to tak ma być, gadali między sobą chłopci, to co nam po takim Królestwie, gdzie musimy wiecznie pracować na panów pod batem ekonomów i karbowych” — „również niezadowoleni byli chłopci

Ale największa tego rodzaju manifestacja, pomyślana na wielką skalę, odbyła się w kilka dni później na odpuscie w starym, benedyktyńskim kościele św. Krzyża na Łysej górze w Sandomierskiem. Z powodu uroczystości Podwyższenia św. Krzyża, przypadającej dnia 14 września, z całego niemal kraju, dzięki zabiegom rewolucjonistów, wyruszyły kompanie¹⁸¹.

W Warszawie urządzono agitacją między rzemieślnikami, wydrukowano nawet i porozlepiano na rogach ulic odpowiednie odezwy i w d. 9 września o godzinie 10-ej z rana, z kościoła Karola Boromeusza, przy rozwiniętych chorągwiach i śpiewie „Boże, coś Polskę” wyruszyła kompania, złożona z 400 blisko osób, przeważnie z młodzieży akademickiej i szkolnej, z rzemieślników, wyrobników i t. p. Do wędrowki tej przywiązywano wielką wagę; nie miała to być w gruncie rzeczy pielgrzymka z celem pobożnym, ale po prostu wyprawa rewolucyjna, w celu podburzenia i zrewolucjonizowania wsi i miasteczek, przez które miano przechodzić. Jakoż tak się działo; po wsiach przyjmowano kompanię chłodno, ale po miastach i miasteczkach z niesłychanym entuzjazmem. W Radomiu na spotkanie Warszawiaków, wśród dnia słotnego i zimnego, wyruszono przy odgłosie dzwonów, z chorągwiami i obrazami. Wśród pieśni „z dymem pożarów”, wstąpiono do miasta, z sześciolatnim chłopcem na czele, który miał na piersiach orła haftowanego srebrem na tarczy amarantowej. Niesiono także koronę cierniową i krzyż złamany.

Wśród takich to efektów, w których ludzie tej epoki nadzwyczajnie byli rozmiłowani, dostano się na koniec w śliczny poranek jesienny na starą Łysicę, szumiącą poważnie bukami stuletnimi. Zjazd był ogromny, obliczano tłum na 30.000 ludzi; kompanii ogółem było 40, ze wszystkich niemal stron kraju. Księży, wraz z biskupem sandomierskim Juszyńskim, zjechało się około 200. Wszędzie powiewały sztandary z orłami polskimi, czerwieniały kontusze,

z mowy księdza, który zachęcał ich do posłuszeństwa panom, do układania się o czynsze, zalecał trzymać się szlachty i życie za nią nawet nieść; nie wierzyć obietnicom cesarza, gdyż on nie może rozporządzać cudzą własnością”. „W końcu nabożeństwa, mówi dalej Podwysocki, poczęto śpiewać: „Boże, coś Polskę”, ale zaledwie rozległ się śpiew, gdy włościanie jeden za drugim zaczęli opuszczać kościół. Wtedy osoby wykształcone, chcąc nauczyć głupców, schwyciły jednego z włościan i wparły w niego, że to on za pieniądze otrzymane od jakiegoś szpiega rozpuścił pogłoskę, jakoby do Błotnicy szli Moskale, przez co przestraszył włościan tak, że ci uciekli z kościoła. Biedaka przyprowadzono do mieszkania proboszcza miejscowego, rozciągnęli na ziemi i w obecności mnóstwa księży poczęli smagać dopóty, dopóki jeden z księży, w którego parafii mieszkał katowany, nie zaświadczył o nim ze strony jak najlepszej. Wieśniacy, stojący w pobliżu plebanii, słysząc krzyki swego towarzysza, uciekli z obawy, by i im się nie dostało. Wiarygodność tego faktu, o którym w polskich relacjach nigdzie wzmianki spotkać nam się nie udało, jest bardzo wątpliwą.

181 „Kilka wspomnień ludowych” (Przegląd rzeczy polskich z d. 15 lipca 1862 r. p. 33).

pasy lite, błyszcząły karabele i różnobarwne sukmany chłopą sandomierskiego, który na całą tę maskaradę, rozwijającą się przed nim, patrzył ciekawie, ale chłodno. Kompanią warszawską, jeden z księży powitał mową ognistą, pełną tych patetycznych metafor, jakimi zachwycono się w tej dobie. „Cześć wam Warszawianie rodacy! — wołał mówca — cześć wam kapłanom i cześć mieszkańcom Warszawy, cześć tej krwi rozlanej, cześć i ranom waszym! Ach! my te kamienie, krwią waszą zbroszone, z bruków kiedyś wyjmiemy i do kościoła wniesiemy! Wdzięczność, wdzięczność wam ukochani bracia! wdzięczność za obudzenie tego ducha narodowego, który prądem nie tylko przeszedł ten kawałek Polski naszej, ale nawet Litwę i tam już ożyli, i tam już za ojczyznę we krwi się pławili; tam już, jak u nas w Warszawie, męczenników wzniosły się mogiły; duch ten rozbudzony przeszedł całą ziemię naszą, dosięgnął ostatnich końców granic, które słupami żelaznymi oznaczył Bolesław Chrobry. Czemu Duch ten nie tylko nas owionął, ale i tych, którzy niegdys z nami byli? Czarnomorscy Kozacy i ci się pytają wędrowca, pytają przechodnia, jak się ma droga matka nasza i jak rychło do życia powstanie? Wdzięczność wam za to; my dziś przed wami czołem uderzamy, a uczuciem naszym, jakby kwiatem, uścielamy wam drogę waszego braterstwa” itd.¹⁸².

Ksiądz Zakrzewski z Opatowa miał mowę do chłopów, zachęcając ich do zgody z panami i wypędzenia Moskali. „Nie wierzcie podmowom zaślepionych, głupich włóczęgów, gardźcie podszeptami płatnych zbrodniarzy; w niskich chatach do łez nawykli, wzniosłemi sercami uczujcie się synami tej pięknej ziemi, której tylokrotnie zasłanialiście mężnie, a której wolność rozkwitnąć musi dla was wszystkich. Zaufajcie więc braciom waszym, nie oddzielajcie się niedorzecznym uporem od związku, który sam Bóg zespała”.

Przyniesiony z Warszawy olbrzymi sztandar z orłem białym, zatknięto na szczycie wieży kościelnej. Sam biskup Juszyński celebrował; wielu ze szlachty, ubranych w krakuski i kontusze, jeździło konno i grzmiał ciągle wśród jodeł Bolesławowych stary mazurek Dąbrowskiego: „Jeszcze nie zginęła!”... Wszystko to wywierało nadzwyczajne wrażenie. W czasie sumy, tłok w kościele był tak wielki, że kilka osób zaduszono. Na obiedzie w klasztorze było przeszło 400 osób; obiad ten przeszedł wśród nieustannych mów patryotycznych, nawoływań do pamiętania o Litwie i Rusi.

Po, obiedzie wezwano do refektarza przedstawicieli włościan w liczbie 12 sołtysów. Jeden z księży miał do nich mowę zwykłej treści, by żyli w zgodzie z panami, dano im wina i patrzących z podełba chłopów starano się ugościć serdecznie. Ale wszystko to na nic się nie zdało. Nazajutrz bowiem,

182 Ze współczesnego egzemplarza litografowanego.

w niedzielę, rozegrała się w kościele sama scena, która powinna była raz na zawsze wypędzić z głowy rewolucjonistów myśl o zyskaniu na swą stronę chłopów. Gdy ksiądz, wygłosiwszy ognistą mowę, zażądał od obecnych, by przysięgli bić się za ojczyznę do ostatniej kropli krwi i na znak zgody kazał podnieść rękę do góry, wśród martwej ciszy, jaka nagle zapanowała w kościele, rozległ się głos rozkazujący: „niech żaden ręki nie podnosi!” i chłopcy tłumnie poczuli kościół opuszczając. Scena bolesna, nawet straszna dla tych wszystkich, którzy widzieli, że kraj szybkimi krokami dąży do powstania i że nic go już na tej drodze powstrzymać nie zdoła!

W nocy z 14 na 15 września odbyła się w klasztorze narada, w której wziął udział biskup Juszyński, wszystko duchowieństwo zebrane na Łysej górze i niektórzy z osób świeckich. Na tej radzie uchwalono nie ustawać w propagandzie „ducha polskiego”, jak mówiono; księża przyrzekli z ambon zachęcać do zgody, jednomyślności, miłości ojczyzny; twierdzono, że duchowieństwo, jeżeli będzie jednomyślnie działać, nie ma powodu obawiać się rządu, gdyż rząd wszystkich księży z kraju nie może wywieźć na Sybir. Obywatele znowu przyrzekli rozszerzać organizacją powstańczą i urządzić pocztę dla przesyłania zagranicę korespondencji i wiadomości o tem, co się w Królestwie dzieje, do gazet polskich zagranicznych i do Hercenowskiego „Kołokoła”¹⁸³.

Przy powrocie kompanii warszawsko-radomskiej zaszyły opłakane zdarzenia, świadczące, jak dalece pod wpływem namiętności politycznych dziczeły ludzie ówczesni.

W jednej z wsi. spostrzeżono nad kancelaryą wójta gminy orła dwugłowego, zrzucano go, potrzaskano, a co gorsza chciano samego wójta powiesić. Gdy oświadczone gorliwym patriotom, że wójt jeszcze nie powrócił z odpuści na Łysą Górę, ograniczono się na tem, że mu cały dom zrujnowano, a ruchomości potłuczono. W Bodzentynie na skutek podejrzeń, że właściciel jednego z szynków jest szpiegiem, zniszczono mu cały szynk, samego mocno pobito wraz z żoną, broniącą męża. Ale wszystkie te nadużycia rozszalałego motłochu zgasyły wobec następującego zdarzenia. Do kompanii w czasie drogi przyczepił się jakiś wózek, na którym siedział mężczyzna i kobieta, sądząc po ubiorze, z średniej klasy. Zauważyć miano, że nadśluchiwał on pilnie tego wszystkiego, o czem mówiono, że spisywał nazwy miejscowości, osób i rozmaite szczegóły wędrówki, więc uznano go za szpiega, zrewidowano i w lesie urządzono sąd, w którym wziął udział: kancelista rządu gubernialnego radomskiego, aplikant sądu pokoju, urzędnik emeryt, dependent od adwokata, pisarz więzienny, uczeń gimnazyum i parę jeszcze innych osób. Sąd zadecydował, by

183 Wiadomość o tej naradzie opieramy na podaniach ustnych świadków naocznych i na relacji Podwysockiego (Zapiski, 78).

każdy z idących w kompanii uderzył raz nieszczęśliwych i żeby ich potem powiesić. Rozpoczęła się straszna egzekucya, która na przestrzeni 1½ mili trwała i skończyło się na tem, że mężczyzna, nazwiskiem Teofil Mańkowski, miał wszystkie kości pogruchothane i przedstawiał jedną bryłę krwawą. W lesie pod wsią Woźnikami chciano ich powiesić, ale zdecydowano, że lepiej będzie utopić w rzece pod Radomiem. Ale że woda tu była płytka, więc porzucono ten zamiar, tylko jakaś stara wiedźma tępym kozikiem urznęła ucho nieszczęśliwemu, „żeby go raz na zawsze naznaczyć”. Naprzeciw kompanii wyruszył z Radomia znaczny tłum, który dalej pastwił się nad nieszczęśliwymi. „Kobiety, opowiada świadek naoczny¹⁸⁴, drobnemi rączkami i parasolkami, obcasikami od trzewików, mimo to boleśnie, a drugie (sic) koszturami i pięściami uczciwie nadwerężyły zdrowie towarzysze szpiega (Agnieszce Kilińskiej), która zdołała umknąć spod rąk i nie wiadomo, co się z nią potem stało”.

W Radomiu Mańkowskiego oparto o ścianę domu Borkowskiego i tu każdy z przechodzących pastwił się nad nim, pluł, obrzucał błotem. Na szczęście, zjawił się ksiądz miejscowy i biedaka ocalił, uprowadzając go do szpitala, gdzie w kilka dni potem umarł. Straszny obraz zdziczenia powszechnego, okropny przykład zemsty ludowej!

W Lublinie zaszły znowu innego rodzaju wypadki. Powodem ich była, znana nam już ze swego udziału w manifestacyjnym obchodzie unii lubelskiej, panna Pustowojtówna. Naczelnik wojenny Chruszczow, zażądał był od babki Kosakowskiej, żeby wyprawiła wnuczkę do matki do Żytomierza, a tym sposobem oddaliła ją z Lublina i usunęła spod wpływów polskich. Domagał się, by mu Kosakowska takie przyrzeczenie dała na piśmie, w przeciwnym razie groził, że Pustowojtównę z żandarmami wyprawi. Swoją drogą zdał o wszystkim raport Suchozanetowi. Ten, w ostatnim dniu swego panowania, d. 22 sierpnia rozkazał, by pannę żandarmi odwieźli do Moskwy i tam w klasztorze osadzili. Chruszczow, człowiek w ogólności bardzo dobry i szlachetny, rzadki niezmiernie typ wśród kacyków generałów, rządzących u nas, wysłał o godzinie 8-jej rano naczelnika komendy żandarmskiej Demblińskiej (Iwangrodzkiej) do Pustowojtówny z tem, żeby ją uwiadomił o rozkaze namiestnika, ale żeby nic nie mówił o osadzeniu w monasterze. Panna nie opowiadała i przyrzekła, że będzie za dwie godziny gotową¹⁸⁵. Ale już wieść o tem wszystkim rozeszła się po Lublinie i koło godziny 9-jej, tłumy zgromadziły się przed domem, zamieszkiwanym przez pannę.

184 „Kilka wspomnień ludowych” (Przegląd rzeczy polskich loc. cit.).

185 Wszystkie szczegóły o wywiezieniu Pustowojtówny czerpiemy z urzędowego raportu Chruszczowa do Lamberta (p. „Otrywok iz dniewnika A. P. Chruszczowa”. Istoryczeskij Wiestnik z roku 1881).

Chruszczow udał się do niej osobiście, prosząc, by przyspieszyła wyjazd, ale że babka nie chciała samej wnuczki puszczać w drogę z oficerem i zdecydowana była z nią jechać pomimo późnego wieku, więc rzecz się przeciągnęła. W końcu, zaledwie powozy ruszyły, tłum począł rzucać bukiety. Panna nie płakała, ale stojąc w powozie żegnała wszystkich i prosiła, by się zachowano spokojnie, zapewniała, że nic się jej złego stać nie może. Odprowadzono ją do rogatek, pod krzyżem zaśpiewano pieśni patryotyczne, dowódcę pułku wologodzkiego Szelkinga powitano gwizdaniem, ale, gdy Chruszczow rozkazał wyprowadzić dwie kompanie wojska, tłum rozszedł się zupełnie.

Tymczasem z pierwszej stacji pocztowej, babka Pustowojtówny, Kosakowska, przysłała prośbę do namiestnika o pozwolenie jej wnuczce powrotu do Lublina. Prośbę tę Chruszczow odesłał do Warszawy z raportem swoim, w którym upraszał namiestnika, by nie zgadzał się na powrót Pustowojtówny do Lublina, ale żeby pozwolił jej mieszkać przy matce w Żytomierzu pod nadzorem policji. Lambert zgodził się na to i z Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie się z powodu choroby Kosakowskiej zatrzymano, wyruszono do Żytomierza. Przejazd Pustowojtówny przez różne miejscowości był rodzajem pochodu tryumfalnego. Wszędzie ją witano i ukazanie się jej nawet w najspokojniejszych dotąd miejscowościach, było niejako hasłem do manifestowania się, do śpiewania hymnów patryotycznych, jak np. w Łucku¹⁸⁶. Pobyt jej w Żytomierzu dodał także podniety czujących na sposobność żywiołom rewolucyjnym, które, jak wszędzie, tak i tutaj, zwłaszcza między młodzieżą, znajdowały się licznie. Wśród trwających nieustannie śpiewów po kościołach, przyszło komuś do głowy wznieść potajemnie krzyż na pamiątkę poległych w Warszawie.

Kilku śmielszych młodych ludzi (L. Jełowicki, Hałajkowski, Żuliński i inni), w nocy dnia 2 października ustawili duży krzyż czarny z białymi brzegami, z koroną cierniową i wieńcem z kwiatów na t. zw. bulwarze pobazylińskim (obecnie sobornym), naprzeciwko wznoszonego wówczas właśnie soboru schizmatycznego. Na krzyżu tym był napis: „braciom poległym w Warszawie dnia 27 lutego i 8 kwietnia”. Krzyż stał do rana, gdyż policja, spostrzegłszy go, wydobyła z ziemi, rozebrała na części i zaniósła do gmachu policyjnego, gdzie później został spalony. Wieść o tem rozbiegła się po mieście, agitatorzy nie próżnowali i koło godziny 4-ej po południu zdołali zebrać dość znaczny tłum na miejscu, gdzie stał krzyż. Tu poklękano i zaśpiewano: „Boże, coś Polskę”. Wśród zebranych miało być wielu prawosławnych z pomiędzy prostego ludu, co podobno bardzo przerażyło władze¹⁸⁷. Współcześnie zebrano znaczną ilość

186 W miasteczku tem po przejeździe Pustowojtówny, pierwszy raz w kościele zaśpiewano „Boże, coś Polskę”.

187 Szczegóły te z wiarogodnych ustnych relacji i współczesnych pism.

kobiet (500, jak opiewa jedna z relacji polskich), które wyruszyły do domu gubernatora, kniazia Druckiego-Sokolnickiego, z żądaniem zwrotu krzyża. Na czele tej osobliwszej deputacji stały panie: Grozina, żona znanego poety Grozy, Pietkiewiczowa, żona literata, piszącego pod pseudonimem Adama Pługa, pani Sławkowa, Bohomolcowa, krawcowa Okęczycowa i wiele innych. Drucki-Sokolnicki deputacji nie przyjął, wyprowadził wojsko i bębniąc, grożąc, że będzie strzelał, tłum do rozejścia się zmusił. Wskutek tej awantury w Żytomierzu ogłoszono dnia 4 października stan wojenny, a przewodniczki deputacji: Pietkiewiczową posłano do klasztoru do Owrucza, pani Bohomolcowej i Sławkowej kazano jechać do siebie na wieś.

W ogóle wprowadzono w t. zw. guberniach południowo-zachodnich, podobnie jak na Litwie, stan wojenny na skutek wyraźnej woli cesarskiej. Przyśpiano przytem do rozbrojenia powszechnego obu tych prowincji, co miano uskutecznić w ciągu miesiąca.

Zostawiono broń tylko schizmatykom lub lutrom; marszałkowie szlachty i chłopci mogli mieć po jednej dubeltówce. W samym Kijowie zabroniono studentom uniwersytetu chodzić w „różnych ubiorach nieprzyzwoitych”, jak rozkaz określa strój polski i z grubemi pałkami. Wybory szlachty w guberniach: wileńskiej, kowieńskiej i grodzieńskiej wstrzymano, dopóki stan wojenny nie będzie zniesiony.

Mimo to wszystko, stan wojenny nie przyniósł tych owoców, na jakie liczone. Wzburzenie powszechne umysłów trwało dalej i nie przestawano się manifestować. W Grodnie postanowiono w dzień Wniebowzięcia N. Maryi Panny, według starego stylu 15 (27) sierpnia, wyruszyć procesjonalnie do Różanego Stoku (na lewym brzegu Niemna), gdzie miały przybyć procesy z Królestwa. Z powodu jednak stanu wojennego, na zapytanie proboszcza grodzieńskiego, ks. Majewskiego, tak władza cywilna, jak i duchowna odpowiedziały, że „wszelkie niezwykle procesy przez rozkaz Najwyższy zabronione”¹⁸⁸. Mimo to, postanowiono nie ustąpić. W dzień uroczystości, kościół zapełnił się tłumami i zaraz też przed kościołem na placu, zebrały się wojska pod komendą generała dywizji Holdhoera i zamknęły wszystkie wyloty ulic, tak że cały plac był otoczony. W tejsze chwili zjawił się przed księdzem Majewskim policmajster Żmijew i rzekł, że gubernator go wzywa, na co ksiądz odparł: „teraz, gdy się zaczęło nabożeństwo, iść nie mogę; moje oddalenie się uważanoby za ucieczkę; zresztą w tak krytycznej chwili nie mogę zgromadzonego ludu zostawić w kościele. Gotów jestem iść za panem, jeżeli mię pan przy aresztujesz i tym sposobem zdejmiesz ze mnie odpowiedzialność moral-

188 Ks. Majewskij. Grodnieńskaja procesia („Ruskaja Starina” z maja 1891 r.)

ną za mój krok”. Ale Żmijew nie chciał tego: „na to nie mam rozkazu, mówił, a przytem zabiliby mnie, gdybym tu coś podobnego zrobił”.

Ksiądz więc zaczął nabożeństwo i po mszy wygłosił taką mowę: „Pasterz nasz uwiadamia mnie telegrafem, że wszelkie, niezwykle procesye są wolą najwyższą zabronione. Każdy z was wie i rozumie, że decyzji władz wyższych lekceważyć nie można i że wszyscy są obowiązani szanować jej rozkazy. Z drugiej jednak strony, ja, sługa Boży, nie mam prawa uwalniać was od danego Bogu ślubu. Niech każdy zatem postąpi w tej trudnej sprawie według sumienia i własnego rozumu. Przypuszczając jednak, że pozostaniecie przy zamiarze wykonania ślubu, obowiązany jestem przypomnieć wam, że jakiegokolwiek napotkacie przeszkody w urzeczywistnieniu tego zamiaru, w żadnym razie nie powinniście uciekać się do gwałtu, pamiętając, że nie może gwałtem otwierać sobie drogi ten, który idzie po niej kierowany duchem chrześcijańskim”. Po tej naprawdę juzuickiej przemowie, przy odgłosie śpiewów nabożnych wyruszono z kościoła na plac, otoczony ciągle dookoła wojskiem. Na środku zatrzymano się, wszyscy padli na kolana. Na widok tych modłów, generał Holdhoer i żołnierze zdjęli hełmy. Po litanii najzapaleńsi stanęli na czele z krzyżem i ruszyli naprzód. Ale Holdhoer wstrzymał ich słowami: „wybaczcie, panowie, ale procesye wzbronione są wolą najwyższą”. „A my, odrzekli mu na to, w imię Tego, który jest przybity na krzyżu, chcemy wypełnić ślub, zrobiony przez nas Bogu”. Holdhoer okazał wielki spokój i przytomność, zbliżył się, przeżegnał i rzekł: „I ja w niego wierzę tak, jak i wy, ale każdy obowiązany jest spełnić swoją powinność”. Wówczas ks. Majewski, chcąc tej scenie położyć koniec, dał znak ręką, że chce mówić i odezwał się w te słowa: „W chęci spełnienia ślubu, t. j. pójścia procesyą do miejsca świętego, napotkaliśmy przeszkodę, niezależną zupełnie od nas. Wobec tego, uważam ślub wasz za wypełniony przed Bogiem. Dla uzupełnienia go, wzywam was teraz do świątyni i pomodlimy się przed ołtarzem Najświętszej Panny”. Słowa te zrobiły swoje, wszyscy spokojnie zawrócili do kościoła i manifestacya na tem się skończyła. Powiadają, że gubernator Szpeyer przez cały ten czas biegał niespokojnie po placu i pił wodę, szklanekę po szklance¹⁸⁹.

Z gubernatorem tym, w parę tygodni potem, zaszły inne, niemniej charakterystyczne wypadki. Był to żyd przechrzczony, niegdyś dyrektor gimnazjum w Moskwie, człowiek zręczny, lecz chciwy, łapownik, mało dbający o kraj i jego administracyą, ale za to bardzo wiele o swoją kieszeń. Z tego powodu był powszechnie nielubiany. Właśnie teraz, d. 1 września za jakies krzyczące nadużycie złodziejskie, a może i za ową procesyą, dostał dymisyą. Gdy miał wyjeżdżać z miasta, zebrał się znaczny tłum (wśród którego głów-

189 Ks. Majewski, w kilka dni potem przyaresztowany, wysłany został na Syberyą, do Tobolska.

ną rolę mieli odgrywać urzędnicy miejscowej izby skarbowej) obok karczmy Pohulanki, leżącej na trakcie do Wilna, z zamiarem wyprawienia przejeżdżającemu kocię muzyki. Ktoś jednak uprzedził Szpeyera o niespodziance, jaka go oczekuje i sprawnik grodzieński Magnus, wsadziwszy upadłą wielkość pod fartuch swej bryczki, wywiózł go inną drogą, okrążając miasto; powóz zaś gubernatorski, w którym siedział służący, ruszył na Pohulanę, gdzie go zatrzymano i poczęto wygrywać koncert wrzaskliwy. Wkrótce jednak, gdy się przekonano, że Szpeyera nie ma, powóz i służbę puszczono swobodnie. Wśród tego wszystkiego, nagle ukazała się od strony miasta kompania piechoty pod wodzą znanego nam już generała Holdhoera; ale ten, zamiast rozpędzić zbiegowisko, wszedł z niem w pertraktacye, które na tem się skończyły, że generała schwyciono i przy okrzykach hura! obnoszono na rękach dookoła¹⁹⁰.

W Kownie, w lecie 1861 roku, jadącego karetą pocztową z Warszawy, generała Zabołockiego, tego samego, który dnia 27-go lutego kazał strzelać na Krakowskiem Przedmieściu, powitano za miastem kamieniami, błotem i wszelkiego rodzaju wymyślaniami, przyczem ktoś strzelił.

Gdyby nie woźnica, który zaciąwszy konie pognął pędem, Bóg wie, do czego by doszło, gdyż licznie zgromadzony tłum był nadzwyczajnie wzburzony. Miasto owe zresztą, zdaje się, miało przywilej wymyślenia najniesmaczniejszych demonstracyi. Przypominamy owacyą sprawioną przez damy kowieńskie żydowi Landemu; teraz wpadły one na pomysł równie niefortunny. Dnia 11 września wyprawiły nabożeństwo w kościele PP. Bernardynek za cierpiących i uwięzionych, przyczem umówiły się nie puszczać do kościoła żadnego mężczyzny. Dwie panny stały we drzwiach i parasolkami zagradzały drogę!!... Władze rosyjskie w tem mieście dopuszczały się także rozmaitych nadużyć. Policmajster Wasiliew wpadł na koncept utworzenia straży z ludzi „dobrze myślących” i oczywiście tych dobrze myślących znaleźć mógł tylko wśród ostatniego motłochu, pijaków i złodziei. Gdy w ostatnich dniach września przybył nowy garnizon do Kowna, to rozstawiono go na kwaterach tylko po domach polskich. Żołnierze byli gburowaci i na pół dzicy. U niejakiego Milewskiego, ubogiego mularza, wstawiono do izby sześciu żołnierzy, którzy ciężarną żonę gospodarza kolbami potłukli¹⁹¹.

Ale obok tych zaburzeń, nieraz z charakterem śmiesznym, były i inne o wiele poważniejsze i donioślejsze. Jeszcze w kwietniu 1861 r., Jan hr. Tyszkiewicz usunięty został przez rząd ze stanowiska marszałka powiatowego wileńskiego i otrzymał rozkaz wyjechania z Wilna i udania się do siebie na wieś. Wkrótce potem usunięto także marszałków: białostockiego, Sakowicza; brze-

190 Ze źródeł rękopiśmiennych.

191 Z relacyi współczesnych.

skiego, Gażycza; poniewierskiego, Rymkiewicza. Wszyscy ci panowie brali bardzo czynny udział w agitacjach, nabożeństwach i manifestacjach. W końcu czerwca zjechała się szlachta powiatu wileńskiego, w liczbie 66 osób, do Wilna dla wyboru nowego marszałka na miejsce hr. Tyszkiewicza, którego zastępował tymczasem sędzia powiatowy, książę Żagiel.

Przed wyborami, Nazimow dnia 20 czerwca wezwał do siebie szlachtę i przedstawivszy jej powody, dla których Tyszkiewicz został usunięty, prosił, „żeby wybór kandydata padł na osobę w zupełności odpowiadającą wszelkim warunkom koniecznym dla stanowiska marszałka szlachty”. Wysłuchano tego w milczeniu i wybrano Aleksandra Wańkowicza, poczem na wniosek niejakiego Karola Wagnera, sybiraka, szlachta podpisała poprzednio już przygotowany adres do Tyszkiewicza, w którym to adresie dała wyraz zupełnej aprobaty jego postępowania. Adresu tego na 66 zebranych nie podpisała jednak trzecia blisko część (dwudziestu), co było wskazówką, że gdyby rząd umiał się być wziąć do rzeczy i miał rozumnych ludzi na czele, to byłby mógł stworzyć w kraju poważne stronnictwo ludzi porządku. Po wyborach, kilku szlachty z Wańkowiczem na czele udało się do majątku Tyszkiewicza, żeby mu uroczystie adres wręczyć.

Więść o tym kroku szlachty, sprawiła w mieście i kraju silne wrażenie. Nazimow napisał odezwę do zebranych, w której nazwał ich postąpienie nieprzyzwoitością (niepriliczie); że widnieje w niem „jednomysłność z burzycielami porządku publicznego, plamiąca ich stanowisko, obrażająca ich godność i w oczach rządu poniżająca szlachtę”. Prócz tego, skasowano wybór Wańkowicza; Bolesława Jeleńskiego za to, że adres głośno odczytał, a Euzebiusza Hryniewieckiego za to, że brał udział w jego redakcyi, wysłano do Petrozawodzka w gubernii Ołonieckiej; Wagnera skazano na wygnanie do Jarosławia, ale z powodu, że był to starzec schorowany, blisko ośmdziesięcioletni, zostawiono go w kraju pod nadzorem policji.

Nazimow w ten sposób tłumiąc ruch, z drugiej brakiem rozumu i konsekwencyi, a może wskutek właściwej sobie „perfidyi greckiej”, przyczyniał się bardzo wiele do wzrostu powszechnego niezadowolenia w kraju. Od dawna już wśród szlachty litewskiej, agitowała się myśl założenia Towarzystwa rolniczego. Że w zamiarze tym tkwiła chęć naśladowania Królestwa, odegrania może takiej samej roli, jaką w Warszawie odgrywało tamtejsze Towarzystwo rolnicze, wątpić nie należy. Z tem wszystkiem, jakkolwiek wobec powszechnego rozdrażnienia, tego rodzaju stowarzyszenie mogło rządowi sprawić pewne kłopoty, to jednakże kłopotów tych uniknąć by można przez ścisły nadzór nad czynnościami towarzystwa. Te zresztą ciemne, że tak powiemy, strony projektu, gasły wobec dodatnich. Towarzystwo rolnicze litewskie miało bowiem być w ścisłym związku z projektowanym także Towarzystwem kredytowym, które

według wzorów koronnych chciano założyć na Litwie. To ostatnie wobec reformy włościańskiej, niestabilności hipotek majątkowych, zawieszenia na koniec pożyczek rządowych, było nieomal koniecznym i wszelki rząd uczciwy, istotnie dbały o dobro kraju, nie tylko żeby zezwolił na założenie takiej instytucji, ale owszem dopomagałby i zachęcał. Ale ponieważ rząd rosyjski nie dba i nigdy nie dbał o dobro zabranych ziem polskich, owszem zawsze i wszędzie stawiał tamy ich rozwojowi, więc zezwolenie na założenie obu wzmiankowanych towarzystw było bardzo problematyczne. Przygotowaną ustawę Towarzystwa rolniczego, minister spraw wewnętrznych odrzucił w r. 1862 z tej uwagi, że „w czasach teraźniejszych, każde stowarzyszenie może przybrać cele polityczne”. Podobny los spotkał projektowane Towarzystwo kredytowe. Ustawy napisanej przy współudziale członków Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Królestwie (Antoniego Wrotnowskiego i Aleksandra Kłobukowskiego, którzy umyślnie w tym celu w lecie 1861 r. zjechali byli do Wilna), ogłoszonej nawet w osobnej broszurze, rząd nie potwierdził i zezwolenia na jej wprowadzenie w życie odmówił.

W tej chwili jednak o tem jeszcze nie wiedziano i agitacja w tym celu była bardzo żywa wśród szlachty. Na zjazdach, jakie z tego powodu zwoływano, pojawiała się także inna myśl, myśl napisania adresu do cesarza, co, zwłaszcza w Mińszczyźnie i Mohilewszczyźnie znajdowało powszechną aprobatę. W tej ostatniej prowincji, myśl ta w tym czasie weszła w wykonanie. Ponieważ właśnie w październiku 1861 r. odbywały się elekcje powiatowe, więc na nich każdy powiat zredagował adres, „żądania”, jak je nazywano, które miano podpisać na wyborach gubernialnych w styczniu 1862 r. Wieść o tem doszła do rządu, mianowicie o adresie powiatu rohaczewskiego. Adres ten zredagowano po nabożeństwie w kościele dnia 22 października w mieszkaniu marszałka powiatowego, podpułkownika Bohusza. W adresie tym szlachta, „zachowawszy w pamięci prawa i przywileje, z jakich korzystała za panowania najjaśniejszych poprzedników Waszej cesarskiej mości i za panowania królów polskich”, domagała się: przywrócenia języka polskiego tak w szkołach, jak i w sądownictwie; przywrócenia publicznego i głośnego sądownictwa; przyłączenia powiatu rohaczewskiego oraz całej gubernii do gubernii litewskich; przyłączenia okręgu naukowego mohilewskiego do okręgu wileńskiego; przywrócenia na dawnych przywilejach uniwersytetu wileńskiego; dania zupełnej swobody wszystkim wyznaniom chrześcijańskim, dozwalając im budować kościoły, modlić się gdzie zechcą i jak zechcą, a przy połączeniu ślubem małżeńskim różnego wyznania osób, dozwolić rodzicom chrzczyć dzieci w jakiej zechcą religii¹⁹².

192 Adres ten, jakkolwiek współcześnie był opublikowany w pismach zagranicznych polskich, jednakże mało znany i trudny dziś do odszukania, pomieszczamy w zbiorze dokumentów na końcu tego tomu pod Nrem 8.

Rząd, dowiedziawszy się o tym adresie, marszałka Bohusza przyaresztować polecił, wysłał go do Petersburga z żandarmami i tam uwięził w fortecy. Śledztwo, jakie z tego powodu przeprowadzono, wzbudziło tylko podejrzenie, że i inne powiaty gubernii Mohilewskiej takie adresy przygotowały, ale „autentyczności tych wieści prawie nie udowodniono”, jak się wyraża współczesne urzędowe doniesienie.

Wśród tego wszystkiego, wśród niespokojnego usposobienia umysłów, Nazimow przez swe postępowanie dolewał, jak mówią, oliwy do ognia. Tłumiąc jedną ręką wszelki objaw patryotyzmu polskiego, drugą, jak mityczna puszka Pandory, siał ziarna burz i wichrów.

W lecie 1861 roku, wybrał on się na wycieczkę do gubernii Grodzieńskiej pod pozorem wytěpienia ruchu religijno-patryotycznego oraz dla obznajomienia, jak mówił, włościan z zasadami ukazu dnia 2 marca. W tym celu wcześniej wysłano rozkazy, ażeby chłopci, poddani prywatni, gromadzili się i oczekiwali na przybycie generał-gubernatora po stacyach pocztowych. Przejazd jego był rodzajem dżumy, przynoszącej wszędy zarazę i siejącej klęski. Już na pierwszej stacyi od Wilna, w Jedlinie, Nazimow mówił do chłopów: „iż powinni być wdzięczni wszyscy włościanie cesarzowi za udarowanie ich wolnością, której nie mieli za panowania królów polskich; że Litwa zawsze była krajem rosyjskim i tylko czasowie Polska go posiadała; dziś, gdy ten kraj na nowo powrócony Rosyi, włościanie powinni Bogu dziękować i za cesarza się modlić, że im dał rząd tak opiekuńczy i troskliwy o ich byt doczesny, który (oczywiście rząd) o tem jeszcze przemyśliwa, by i ziemią obywatelską mógł ich na zawsze uposażyć, jeśli na to zasłużą przez posłuszeństwo rządowi”¹⁹³. Gdzieindziej wołał, że „cesarz oswobodził was, choć wielu waszych panów tego nie chciało; że cesarz nie wstaje i nie kładzie się spać, żeby o was nie pomyślał”; „pocierpcie jeszcze trochę do czasu zupełnego wyzwolenia się od właścicieli, od jarzma polskiego, pod którym cztery wieki jęcycie”. W tym tonie, reprezentant rządu monarchicznego, stróż porządku publicznego przemawiał na każdej stacyi od Wilna do Grodna i jeżeli chłop litewsko-ruski po tych mowach nie zerwał się do rzezi szlachty, to zawdzięczać należy tylko jego naturze ociężałej, temperamentowi chłodnemu, duszy zgnębionej i pozbawionej wszelkiej inicjatywy. Prócz tego wszędy, gdzie się pojawił, Nazimow zostawiał po sobie płacz i smutek. Wydalał ze służby urzędników polskich, księży i obywatele sadzał do więzienia, wyganiał na Syberią, krzyczał, wymyślał, istny typ satrapy wschodniego.

Takie postępowanie, tego rodzaju wycieczka, zamiast kraj uspakając, wzburzała go tylko jeszcze bardziej. I jakby obie strony przyczyniać się chciały

193 „Przegląd rzeczy polskich” z dnia 10-go października 1861 roku, p. 65.

wszelkimi siłami do wzrostu gorączki powszechnej, inny człowiek, Polak, stojący na świeczniku chwały narodowej, w podobnejże wycieczce, na krótko przed Nazimowem odbytej, podniecał umysły talentem swego gieniuszu poetyckiego. Mówimy tu o znanym poecie Władysławie Syrokomli, który zwiedzając ważniejsze miasta i prowincje kraju, wszędzie witany owacyjnie, wszędzie wygłaszał mowy i improwizacje wierszowane, które budziły entuzjazm powszechny, gdyż, uderzając w nutę podniesionych uczuć patryotycznych, znajdowały oddźwięk w sercach polskich tak długo dręczonych. W Kownie przyjęty uczcią braterską, na przemówienie Dyonizego Skarżyńskiego, odpowiedział toastem zaczynającym się od słów: „w Kownie, gdzie Adam pieśń wieszczą wylewał”... Improwizacją tę przyjęto oklaskami, poetę noszono niemal na rękach. Obecny na uczcie w Kownie, szef sztabu wojsk kwaterujących w gubernii Kowieńskiej, pułkownik J. Sawicki, przeniesiony został za to w głąb Rosyi. Samego zaś poetę z rozkazu Nazimowa uwięziono, gdzie obchodzono się z nim z wszelkimi względami, wreszcie wypuszczono pod warunkiem oddalenia się z Wilna i zamieszkania w Borejkowszczyźnie, gdzie napisał pełną nieporównanego humoru elegię p. t.: „Owidyusz na Polesiu”¹⁹⁴.

Klasy zamożniejsze, szlachta polska nosiła powszechnie żałobę. W Wilnie, Grodnia, Mińsku, młodzież szkolna pod tym względem rozwinęła terroryzm prawdziwy, zmuszając kobiety, nawet Rosyanki, napaściami ulicznymi, oblewaniem sukien kwasem siarczanym, do przywdziania żałoby. W Wilnie bogata obywatelka ze Święciańskiego, pani Matylda Buczyńska, rozdawała międy uboższych wsparcia pieniężne, zachęcając ich w zamian do noszenia żałoby. „Żałoba to wielka, uroczysta, święta — wołał w tonie patetycznym nieznanym autor, jaką właściwie od lat już sześćdziesięciu naród nasz nosić byłby powinien, nie jest wymysłem kilku lub kilkunastu jednostek, ale jest ona strasznym (sic) Bożej woli objawem, jest mimowolnym wyrazem przebudzonego ducha narodowego, dowodem pojętej nędzy niewolnictwa, poczutyh mąk i hańby uznanych (?) obowiązków”. Odezwy w tym stylu bombastycznym było mnóstwo; czytano je

194 Poeta tak opisuje swe położenie:

„Ja, co żadnej Julii nie zaszedłem drogę,
 Ja, co Owidyuszem nazwać się nie mogę;
 Skazany wyższą wolą, w niemałym kłopotcie
 Siedzę w Borejkowszczyźnie, jak on w pińskim błocie.
 Wychodzę do ogrodu, a tu żyd się kłania,
 Polak mojżeszowego, chcę mówić, wyznania;
 Za czterdzieści srebrników, co mi dał do dłoni,
 Arenduje owoce gruszy i jabłoni.
 I jako mąż przezorny przygląda się bacznie,
 Czy właściciel ogrodu gruszek kraść nie zacznie”.

wszędzie chciwie, po najoddalonych dworach, po kątach zapadłych i drze-
miących dotąd snem nieprzespanym. Najgłośniejszą jednak, najbardziej czytana
była odezwa „syna ojczyzny do swej braci litewskiej”. W odezwie tej „syn ojczy-
zny” wyraźnie i otwarcie zapowiadał powstanie zbrojne. „Bracia rodacy, wołał,
wy, coście tyle wycierpieli od knuta carskiego i kazamat, wiedźcie, że godzina
naszej swobody już wybiła; trzeba tylko, byśmy zjednoczeni byli ze sobą. Bądź-
my więc zgodni, jak Węgry, żeby tak samo, jak oni pokonać wroga bez broni,
bez wojska, jednomyślnością naszych dążeń”. Nie zapomniano i o ludzie.
W gubernii Grodzieńskiej i na Białorusi, bardzo rozpowszechnioną była lito-
grafowana „Hutorka dwóch sąsiadów” (Rozmowa dwóch sąsiadów) oraz dru-
kowana „Mużickaja prawda”. Rozrzucano ją wszędzie, do czego dopomagała
bardzo wiele szlachta, duchowieństwo i tak zwani „mirowi pośrednicy”, to jest
urzędnicy do spraw włościańskich, przeważnie z Polaków złożeni. Ale wszystko
to wcale nie oddziaływało na lud. Przygnębiony wiekową niedolą, obcy języ-
kiem, a jak na Rusi i religią szlachcie polskiej, na Ukrainie pełen wspomnień
hajdamaczyzny, patrzył na rozwijający się przed nim obraz rozbudzonych uczuć
patriotycznych polskich, jeżeli nie wrogo, to obojętnie.

Chcąc obudzić w tym ludzie dawne wspomnienia unii, w sferach rewolu-
cyjnych postanowiono obchodzić uroczystości, z całym przyborem efektów
manifestacyjnych, dzień św. Józafata Kunewicza (28-go września), zabitego
w Smoleńsku przez schizmatyków. Obchód ten głównie miał się odbywać
na Rusi, dawnym siedlisku unii. Myśl niepozbawiona głębszego znaczenia,
ale w tych czasach, gdy tysiące nabożeństw uczyniło z tego rodzaju pamiątek
rzecz nieomal codzienną i powszednią, obchód taki musiał minąć bez poważ-
niejszego wrażenia. Dla przygotowania niejako umysłów do tej nowej mani-
festacji, rozrzucono po całym Podlasiu, Chełmszczyźnie i Białorusi broszurę
p. t. „Polska i Kościół unicki” oraz drugą p. t. „Żywot i męczeństwo błogosła-
wionego Józafata, arcybiskupa połockiego”, wydrukowaną w Paryżu z datą 8
września 1861 r. W tej ostatniej książeczce nieznanego autora, opisując śmierć
Józafata, ciągle porównywa okoliczności jej towarzyszące z wypadkami war-
szawskimi. „Moskale (pisze np.), napadli na Józafata, męczyli go, połamali
krzyże, jak to i teraz robią w Warszawie, i zamordowali arcybiskupa za wiarę
świętą i ojczyznę... jak zamęczyli tylu ludzi w Warszawie i Wilnie za wiarę
świętą i ojczyznę”. Oprócz tych broszur, rozrzucono mnóstwo litografowa-
nych obrazków, źle narysowanych, ale uderzających prostą wyobraźnię ludu
strasznymi szczegółami morderstwa, dokonanego na arcybiskupie połockim.
Pod obrazkiem tym był napis: „Święty Józafat, zarąbany przez Moskali”¹⁹⁵.

195 N. Berg: Zapiski. 321, opowiada, że z obrazkiem tym biegali po ulicach chłopcy i pu-
blicznie go sprzedawali, zaczepiając nawet Rosyan słowami: „może pan pułkownik po-

Wreszcie, w ogromnej ilości rozpowszechniono odezwę drukowaną, opowiadającą męczeństwo Józafata i zapraszającą na nabożeństwo dla uczczenia męczennika, kanonizowanego przez Rzym; że obchód tej pamiątki ma na celu dodanie odwagi braciom zza Buga, o wiele niż my nieszczęśliwszym, gdyż zabrano im wiarę, oddano na pastwę popom, którzy zdradzają przed rządem tajemnicę spowiedzi i nie pozwalają im odwiedzać kościołów. Samo nabożeństwo odbyło się w Warszawie dnia 28 września, w cerkwi Bazylińskiej na Miodowej ulicy oraz po wszystkich kościołach katolickich, zakończone jak zwykle hymnami patryotycznymi. Sklepy cały dzień były zamknięte¹⁹⁶.

Te ciągłe nabożeństwa, obchody, zamykanie sklepów, warsztatów, biur prywatnych, powodując zastój w interesach, poczynają w tej porze budzić niechęć w licznej, wpływowej i bardzo drażliwej o swą kieszeń burżuazji warszawskiej. Próżniactwo w klasie wyrobniczej i rzemieślniczej wzrosło do niesłychanych rozmiarów, gdyż pierwszą była, jak mówiono, ojczyzna, a potem dopiero praca na chleb. Wskutek tego zapanowała powszechna w tej warstwie nędza. Ale nikt nie śmiał publicznie zaprotestować przeciw tej bachanalii politycznej, bo straszliwy terroryzm ulicy, wyrostków wszelkiego rodzaju, zamykał każdemu usta. Przyszło do tego, że terminator u szewca, dostawszy w ciągu dnia pocięgiem od majstra, wieczorem zgromadzał bandę takich, jak sam urwisów i wyprawiał pryncypałowi swemu kocią muzykę. Był to chleb powszedni, nikogo to już nie dziwiło, ani nie oburzało, przynajmniej głośno, gdyż w cichości, w głębi duszy wielu z tego stanu rzeczy, z terroryzmu, z rządów „studentokracji”, było nadzwyczajnie niezadowolonych.

Niemniejsze niezadowolenie było i w kołach czerwonych, choć z całkiem innych powodów.

Zauważono tam dobrze stosunki Lamberta z byłą Delegacją warszawską, z członkami zniesionego Towarzystwa rolniczego; wiedziano o ich memoriałach, spostrzegano ich kwaśne miny, gdy jaką nową urządzano manifestacją. Wszystko to w oczach czerwieńców świadczyło, że „biała zaraza” rozszerza się coraz bardziej i grozi wyrzuceniem czerwonych z siodła. Poczęto się także boczyc na Majewskiego, o którego zabiegach i stosunkach z białymi wiedziano¹⁹⁷. Przybyły niedawno z Wołynia, Apollo Korzeniowski, pisarz utalentowany, trochę poeta, głowa zapalona i zdolna, zrazu był w ściślejszej przyjaźni

zwoli świętego Józafata zarąbanego przez Moskali” — przyczem autor dodaje tę uwagę charakterystyczną: „i wielu (Rosyan) kupowało, nie zastanawiając się nad tem, że tym sposobem dopomagają propagandzie powstańczej”.

196 O nabożeństwach w ten dzień na prowincyi, zwłaszcza na Podlasiu i Białorusi, nie mamy żadnych szczegółów i doszukać się ich nigdzie nie mogliśmy.

197 Z ustnych podań.

z Majewskim i bezwzględny wielbicielem tego człowieka, w gruncie rzeczy umiarkowanego, a popychanego ciągle przez wypadki, przez zbieg szczególnych okoliczności na ultraczerwoną pochyłość. Powoli jednak Korzeniowski, zauważywszy, że Majewski bywa u białych, bierze udział w ich naradach, przeniknąwszy grunt tego umysłu chwiejnego, zaczął się od niego odsuwać, a natomiast wszedł w zażyłe stosunki z tą grupą młodzieży, która wywoływała i przewodniczyła dotąd wszystkim manifestacyom i rozruchom ulicznym. Korzeniowski, jakkolwiek już nie pierwszej młodości, jakkolwiek gruntownie i po literacku wykształcony, znalazł jednak punkt zetknięcia się z tą młodzieżą niedojrzałą, nic nie umiejącą, źle wychowaną i przesiąkniętą ideami wywrotu. Tym punktem zetknięcia była miłość ojczyzny, tej biednej, nieszczęśliwej ojczyzny polskiej, którą, przekonani byli, że oni jedni tylko naprawdę kochają i oni jedni uwolnić ją zdołają od najazdu obcego. Korzeniowski, przejąwszy się na Rusi miłością pseudoludową, sentymentalnym współczuciem dla „kmiotków”, tak zwanem chłopomaństwem, chodził po Warszawie w świtce chłopskiej, wścieklej czapie i butach wysokich, zwracając na siebie uwagę powszechną, wywierając przez swą inteligencją, wykształcenie, talent pisarski, wymowę, niemały wpływ na kupiącą się koło niego młodzież.

W gronie tej młodzieży znajdował się znany nam już Szachowski, uczeń szkoły sztuk pięknych, najczerwieńszy z czerwonych, zwany w kołach rewolucyjnych, z powodu swych krwiożerczych przekonań, Maratem; dalej, znajdował się Szaniawski, szlachcic z rodu, potomek konfederata barskiego, co mu jednak nie przeszkadzało głosić, że dopóty nie będzie dobrze, dopóki szlachta do cna wytępioną nie zostanie; był Sikorski, Cielecki, na koniec bracia Jan i Leon Frankowscy, ludzie z bezprzykładnem poświęceniem, idealną ofiarnością, fanatycy spisku, gotowi rzucić się w przepaść, mur głową przebić, byle ich kto przekonał, że tą drogą, takim czynem ojczyznę się zbawi. Typy podniosłe, godne uwielbienia, możliwe tylko w Polsce, niestety! zaślepione przez źle zrozumianą miłość kraju!

Obok tych osobistości wybitniejszych, grupowała się inna młodzież tego samego pokroju, nieuznająca nad sobą żadnej władzy, nie słuchająca nikogo, zgrzytająca zębami na białych, których uważano za wrogów bardziej może niebezpiecznych niż Moskale i Niemcy, bo prowadzących, jak mówili, kraj do nowej Targowicy. Dla przeszkodzenia więc tej Targowicy, dla zerwania „konszachtów” z Lambertem, oni to urządzali te wszystkie manifestacje, nabożeństwa, które jak potok zerwany zalały kraj cały w tej porze i jak potok zerwany unosiły w morze przeznaczeń los Polski i jej przyszłość. Uważali oni reformy jako sprzedaż ojczyzny za miskę soczewicy i przez manifestacje chcieli położyć koniec wszelkim próbom uspokojenia kraju.

Do tych to zapaleńców, do tych nieprzejednanych niczem rewolucjonistów, doszła wieść, że stronnictwo umiarkowanych, biali, zamożne mieszczaństwo warszawskie i szlachta myśli o organizacji, o zjechaniu się do Warszawy, o jakimś sejmie walnym, na którym mają być rozpatrywane kwestye będące na dobie, a mianowicie: jak należy przyjąć reformy? jak urządzić wybory? jak na koniec postąpić z czerwonymi i ich manifestacjami nieustannymi? Wieści te, w części prawdziwe, w części przesadzone, nie tyle zatrwożyły, ile rozgniewały czerwonych. Poczuli oni potrzebę jakiejś organizacji między sobą, jakiejś spójni między luzem chodzącymi rewolucjonistami, jakiegoś programu działania, by go przeciwstawić działaniu białych. Mierosławski, który zawsze dotąd był wcieloną głową stronnictwa ruchu i we wszystkich wypadkach ważniejszych dawał mu wskazówki, uwiadomiony został o agitacji białych w kraju przez Majewskiego¹⁹⁸. Ten ostatni donosił mu, że mają być wybrani z każdego województwa mężowie zaufania, którzy będą rządzili krajem, jak to zresztą opiewał akt konfederacji spisany w Żytnie. Radził Mierosławskiemu, by przeciw temu nie oponował, by owszem starał się złąć w jedno oba stronnictwa dla wspólnego dobra kraju. Ale tego rodzaju rady, taka fuzyja dwóch stronnictw, nie mogły się podobać i nie podobały się „aniołowi rewolucyi”. Z chwilą, gdyby na czele ruchu w kraju stanęli ludzie, pochodzący z wyborów, Mierosławski musiałby koniecznie zejść na plan drugi, przestałby być „urodzonym dyktatorem Polski”. Odpowiadał więc Majewskiemu, że organizacja białych nie będzie zdolną do niczego, nie wierzył w jej moc rodzajną, w jej szczerą, patryotyczną, polską uczucia. „Cóż z tego będzie, pytał, gdy wybiorą kilkunastu brzuchaczy (*sic*)? Nic innego, tylko nowa zdrada, nowa Targowica, safandulstwo, szlalinycowe kiwanie łbami”¹⁹⁹.

Dla przeszkodzenia więc temu, postanowił zwołać zjazd czerwieńców i postawić go naprzeciw zapowiadanego zjazdu białych w Warszawie. Zjazd czerwonych oczywiście miał się odbyć zagranicą, bo „zmartwychwstały wódz” nie mógł i nie chciał narażać swej drogocennej osoby na nieprzyjemności, gdyby przyjechał do któregośkolwiek z trzech zaborów. Dla niezwrócenia uwagi politycy zdecydował, że należy się zjechać w jakim miejscu kąpielowem.

Ponieważ w owych czasach w Homburgu (w W. Ks. Hesskiem), był dom gry i mnóstwo awanturników i graczy z całego świata zbiegało się do tego miasteczka, więc Mierosławski uznał, że w takim miejscu najlepiej i najbezpieczniej będzie zjechać się i odbyć naradę walną²⁰⁰. Zapraszał on na

198 Z ustnych podań.

199 Z listu własnoręcznego Mierosławskiego.

200 Według jednej z relacji piśmiennych, jakie posiadamy w naszych zbiorach o tym zjeździe, to miał on się pierwotnie odbyć we Frankfurcie nad Menem, ale ruleta Homburska



nią koniecznie Majewskiego, ale ten nie miał wcale ochoty tam jechać, gdyż najprzód zawsze był tego przekonania, że emigracja nie może i nie powinna kierować krajem, że zatem i Mierosławski nie może stać na czele ruchu. Przyjazd zaś do Homburga oddawałby niejako dyktaturę w ręce Mierosławskiego. Przytem, kto wie, jakie ambitne plany rojiły się po młodej, zdolnej i bystrej głowie Majewskiego? Są ślady, że w gruncie rzeczy marzył on o objęciu kierownictwa ruchu i dlatego to może należał i do białych, i do czerwonych, co nie wzbudzało ku niemu ufności ani w tych, ani w tamtych, tak że uważano go za człowieka dwulicowego, za siedzącego na dwóch stołkach i nigdzie mu bardzo nie dowierzano. Wytłumaczywszy się więc przed Mierosławskim, że dla powodów rodzinnych jechać nie może, namówił znanych nam z aktu konfederacji w Żytnie: Józefa Kołaczkowskiego, Włodzimierza Trepkę i Siemieńskiego²⁰¹, żeby do Homburga pojechali, zobaczyli, co się tam dzieć będzie i przedstawili Mierosławskiemu, że należy, by emigracja zrzekła się swych pretensji do rządzenia krajem. Wysyłając jednak trzech powyżej wymienionych szlachciców, wysłał także, bez ich wiedzy, znanego nam czerwienca, należącego do grupy Korzeniowskiego, zapalonego agitatora i demagoga Szaniawskiego z listem do Kurzyny, który stale był przy Mierosławskim, w charakterze jego sekretarza.

W liście tym Majewski, opisując białe usposobienie Kołaczkowskiego, Trepki i Siemieńskiego, zaklinał Kurzynę, by do fuzji tych dwóch stronnictw za nic w świecie nie dopuścił.

Zjazd odbył się w początkach września²⁰². Podobnie, jak Majewski, tak i Mierosławski nie przybył, tylko wysłał Kurzynę. Na tego ostatniego musiano czekać, a tymczasem bawiono się wesoło, grano i hulano w Homburgu, do czego miejscowość ta tysiącnie nastroczała młodym i żadnym życia ludziom sposobności. Wśród tych zabaw, Szaniawski wygadał się, że ma list od Majewskiego do Kurzyny i naciskany list ten oddał deputatom, którzy go przeczytali. Na koniec zjawił się oczekiwany Kurzyna i delegaci, wrywając się z Homburga, wpadali na kilka godzin do Frankfurtu i tu, w mieszkaniu Siemieńskiego, objaśnili Kurzynę o tem, co się dzieje w kraju, że tworzy się organizacja bardzo poważna, bo z wyborów powstała, przeważnie szlachecko-mieszczańska,

tak wabiła delegatów, że wszyscy przybyli do Frankfurtu, przenieśli się powoli do pobliskiego Homburga.

201 N. Berg: loc. cit. 340, utrzymuje, że nie Trepka, ale Stanisław Karski pojechał, czemu przeczą nasze bardzo staranne poszukiwania.

202 N. Berg: loc. cit., oznacza nawet datę, 10 lub 11 września, co jest błędem. Zjeżdżano się powoli i jak zaraz zobaczymy, wśród zabaw i gry w ruletę, właściwe narady się wlokły i odbywały tylko dorywczo. Ścisłej więc daty oznaczyć niepodobna.

że jak tylko rozszerzy się ona na całą Polskę przedrozbiorową, to natychmiast zacznie czynić przygotowania do powstania. Wreszcie stanowczo żądali, by inicjatywa działania była w ręku kraju, ale nie emigracji. Kurzyna wysłuchał tego, spierał się, dowodził, że powstanie długo przygotowywane i oczekiwane zmarnuje się i spali wszystkie swe siły w gorączce oczekiwania i „jak dziewica przejrzała, doczekawszy się energicznego aktu miłości, wyda płód słaby, nie- dołączny i poroniony”²⁰³; o abdykacji wychodźstwa z kierownictwa krajem nie chciał nawet mówić. Popierał to całą swą wymową, licznymi bardzo argumen- tami, ale przekonać nikogo z obecnych nie mógł. Rozstano się z wzajemnym niezadowoleniem i podrażnieniem, i zjazd Homburski właściwie do niczego nie doprowadził i nic nie zrobił.

Pozostano przy swych przekonaniach i w głębi duszy każde ze stronnictw postanowiło działać osobno i na własną rękę²⁰⁴.

Ten rozdział ostateczny dwóch stronnictw, najwyraźniej objawił się w War- szawie, gdzie wobec zbliżających się wyborów do rad miejskich i prowincy- onalnych zarysowały się dwa, wręcz przeciwne sobie prądy. Kiedy bowiem biali, zamożne mieszczaństwo warszawskie i szlachta z panem Andrzejem

203 Własne wyrażenie Kurzyny. Opis powyższy opieramy na relacji rękopiśmiennej tego zjazdu, jaką posiadamy w naszych zbiorach.

204 N. Berg: loc. cit. 343, powiada, że współcześnie z naradami czerwonych w Homburgu odbył się wielki zjazd szlachty w Warszawie i na pierwszym posiedzeniu, bardzo burzli- wem, wybrano delegacją z następujących osób: Edwarda Jurgensa, Leopolda Kronenber- ga, Aleksandra Kurtza, Adama Golca, Tadeusza Eydziatowicza i Karola Majewskiego. Podanie to, jak sam powiada w przypisku, opiera Berg na zeznaniach K. Majewskiego, poczynionych w cytadeli, a według wszelkiego prawdopodobieństwa na relacji M. P. Ustimomcza (Zagowory i pokuszenie, p. 82), z tą zmianą, że w miejsce podanego przez tego ostatniego Kołaczkowskiego mieści Eydziatowicza oraz Władysława hr. Zamoy- skiego (syna p. Andrzeja). Wszelako Ustimowicz w tym względzie jest mało wiarogodny. Pisarz ten bowiem w każdym, choćby najniewinniejszym i chwilowym tylko zebraniu się pewnej grupy ludzi, widzi zaraz spiski i komitety powstańcze, ściśle organizowane. Dzięki też temu natworzył delegacyi i komitetów takie mnóstwo, że, sądząc według nie- go, przypuścić by należało, że spisek trwał już od roku 1856 i komitety z zakresem po- stańczym, rządzące całym krajem, w tej dobie ciągle istniały. Że we wrześniu zjechało się do Warszawy dużo szlachty, że się ta zgromadzała i naradzała, to wątpliwości nie ma, ale żeby już wtedy miała powstać t. zw. później „Dyrekcyja białych”, temu kategorycznie zaprzeczyć musimy na podstawie jak najautentyczniejszych relacyi. Dyrekcyja ta, w tym mniej więcej składzie, jaki podaje Berg, powstała dopiero w grudniu 1861 r., o czem, we właściwym miejscu bliższe podamy szczegóły. We wrześniu jednak jeszcze nie istniała, choć jakeśmy to już zaznaczyli, gdzie należy, myśl ta agitowała się od wiosny, od chwili zawiązania się konfederacyi w Żytnie. W tej chwili atoli, myśl ta nie przybrała jeszcze kształtów ciała uorganizowanego, jak to utrzymuje Berg, a za nim bezimienny autor „Historyi ruchu narodowego”. T. III.

na czele, byli za tem, żeby reformy przyjąć z dobrą wolą, wyzyskać je, wyborów dokonać, gdyż „będą one najlepszym orężem w walce o zdobycie nowych ustępstw”, to czerwoni ani słuchać o tem nie chcieli.

Rząd wiedział o tem ostatecznem rozejściu się stronnictw, o ich niechęci ku sobie i walce, jaką ze sobą toczyć zaczynały. Już dnia 12 września donosił Lambert cesarzowi, że „manifestacye ustają, gdyż większość im nie sprzyja”; a w kilka dni potem, dnia 16-go t. m., pisał: „wzburzenie w Warszawie nabiera cech walki między stronnictwem skrajnem i umiarkowanym”. Cesarz z właściwą swemu charakterowi perfidyą grecką, radził, żeby z walki tej skorzystać, czyli po prostu obie partye podżegając przeciw sobie tak osłabić, by same przez się upadły.

Takie było ogólne położenie kraju w pierwszych tygodniach rządów Lamberta. Wśród najróżnorodniejszych wpływów, działających na niego, nie mógł on się zdobyć na krok stanowczy, na przybranie postawy decydującej. Przybyły współcześnie z nim z Petersburga Platonow, w charakterze komisarza cesarskiego dla ostatecznego uorganizowania policji warszawskiej, z którą sobie jakoś rady dać nie umiano, przekształcano ją ciągle i mimo wszystko było z niej narzędzie bardzo nieudolne, krzywo patrzył na stosunki przyjazne namiestnika z mieszczaństwem i szlachtą polską. Popierany przez Gerstenzweiga, skupił koło siebie warcząca koteryą generałów, wzdychających do tych dobrych, dawnych czasów, kiedy to oni w Polsce byli wszystkim. Oczywiście koterya ta, wprawna we wszelkiego rodzaju intrygi, pośrednio oddziaływała na Lamberta, domagała się rządów surowych, w czem popierana była do pewnego stopnia przez cesarza, który nie przestawał nalegać na namiestnika, by stan wojenny w Polsce ogłosił.

Wskutek tego wszystkiego, wśród tych wahań i braku decyzji stanowczej, rzeczy szły po dawnemu, to jest jak najgorzej. W Radzie administracyjnej, przejście najważniejszych projektów i praw zależnem było od wypadku²⁰⁵. Nie załatwiano wcale spraw, ale odsyłano je do komisji rządowych „dla poznania ich opinii”.

Dzięki temu wszystko się wlokło leniwie i ospale, kiedy trzeba było działać szybko i stanowczo, kiedy w powietrzu wisiała burza, a pod nogami ziemia drżała. A przytem Wielopolski, główny autor wszelkich projektów, które dla „poznania opinii” przesyłano do Komisji, miał wszędzie mnóstwo nieprzyjaciół, którzy znajdowali w tem pewną satysfakcją, że odrzucając jego projekta, poddając je krytyce surowej, choć w ten sposób dokuczyć mu mogli. W Komisji spraw wewnętrznych, jego projekt oczynszowania starano się przero-

205 Lisicki: „Le marquis”, II, 224.

bić tak, by przyniósł głównie szkodę wielkim właścicielom, a zatem i margrabiemu, jakkolwiek Komisya, chcąc zmienić projekt Wielopolskiego, miała nieco słuszności. Patrzano na ten projekt podejrzliwie, bo w praktyce teraz okazało się, że zniesienie pańszczyzny i okup prawny, zaprowadzony przez Wielopolskiego, był sporządzony z wyraźną szkodą dla chłopów, a korzyścią dla właścicieli ziemskich. Okup ten był tak wysoki, że rozlegały się już między ludem narzekania, choć zrazu chłopów wszędzie zrzekali się chętnie pańszczyzny. A przytem wiedziano, że Wielopolski jest przeciwnikiem uwłaszczenia, które w oczach klasy urzędniczej polskiej, demokratycznie usposobionej, było jedynym wyjściem z zawitych i wstrętnych stosunków włościańskich i sądząc po wysokości zadekretowanego okupu prawnego, nie widzieli w nim dbałości o dobro ludu, ale dbałość o osobiste interesy margrabiego, gdyż okup przynosił mu krociowe korzyści.

Niemniej niechętnie patrzyła Komisya spraw wewnętrznych na projekt emancypacji żydów. Tutaj wszedł w grę pogląd jej dyrektora głównego, który ze stanowiska rosyjskiego sądząc rzeczy, nie widział nic dobrego dla rządu, jeżeli żydzi przez emancypację zbliżą się i zasymilują z żywiołem miejscowym. W Radzie administracyjnej, gdy przyszedł pod rozbiór projekt organizacji wydziału wyznań religijnych, członkowie rosyjscy Rady zaoponowali przeciw złączeniu dwóch obrządków katolickiego i unickiego w jednej radzie duchownej i uparli się, by utrzymano dotychczasowy stan rzeczy. W kwestyi uniwersytetu warszawskiego, który miał nosić nazwę Szkoły Głównej, odżyła dawna myśl Muchanowa, ażeby rozrzucić po kraju pojedyncze jego wydziały i w protokóle zaznaczyli, że „istnienie Szkoły Głównej w niczem nie przesądza urządzenia kilku Szkół Głównych”²⁰⁶. Wielopolski, przewidując konieczność ogłoszenia wcześniej czy później stanu wojennego, chciał, by przez prawo ściśle określone oznaczone były granice władzy wojskowej oraz jej stosunek do władz cywilnych. Była to myśl prawdziwie patryotyczna; wszak margrabia doskonale wiedział, co to są generałowie rosyjscy przemienieni w kacyków wszechwładnych i dlatego samowolę ich chciał ograniczyć przez odnośne prawo. W tym celu projekt odpowiedni przedłożył Radzie administracyjnej, ale na to Lambert odrzekł: „jako głównodowodzący wojskami konsystującymi w Królestwie, mam prawo ogłoszenia stanu wojennego, ilekroć uznaję to za potrzebne; zresztą stan wojenny, zaprowadzony przez księcia Paskiewicza, nigdy nie był zniesiony, nowe więc prawo co do tego jest całkiem niepotrzebne”²⁰⁷. W przeddzień nieomal wyborów namiestnik przyszedł do przekonania, że ogłoszenie stanu wojennego jest nieuniknionem. Cesarz ciągle nań o to nalegał. „Z Litwy, pisał

206 Loc. cit.

207 Loc. cit.

mu dnia 15-go września, od chwili zaprowadzenia stanu wojennego, nadchodzą wiadomości zadawalniające, co mnie jeszcze bardziej utwierdza w przekonaniu, że zastosowanie tego środka w Królestwie jest koniecznym”. „Nie przeczę, odpowiadał Lambert, że ogłoszenie stanu wojennego jest koniecznym, ale wybór chwili odpowiedniej racz mi zostawić Najjaśniejszy panie. Agitatorzy chcą nas wyprowadzić z cierpliwości”. „Cieszę się bardzo, pisał na to cesarz, żeś się sam przekonał o konieczności stanu wojennego. Agitatorzy zbyt już długo przywykli liczyć na naszą cierpliwość, której źródło widzą w naszej słabości i braku decyzji.

Jeszcze raz ci powtarzam, czas już położyć temu koniec”²⁰⁸.

Ale Lambert nie mógł się zdobyć na krok tak stanowczy, jakim było ogłoszenie stanu wojennego, tem bardziej, że teraz znajdował usprawiedliwienie swego wahania w zbliżających się wyborach, na które bardzo źle mogłoby wpłynąć takie postąpienie rządu i prawdopodobnie by im przeszkodzili. Wszelako, nie ogłaszając stanu wojennego, Lambert miał go ciągle na myśli i powoli się doń przygotowywał. W połowie września zwierzył się przed Wielopolskim, że chciałby przywrócić dawną i z praw cesarstwa już wykreśloną karę oddawania do wojsk za przestępstwa stanu. Wielopolskiemu oczywiście nie mogło się to podobać. „Dlaczego nie zarządzisz panie hrabio branki do wojska?” spytał. „Nie! to zrobiłoby złe wrażenie”²⁰⁹. Lękając się więc złego wrażenia z kroku zupełnie legalnego, uciekać się chciał do kroków nielegalnych i tak dalece złych, że je usunięto nawet z praw rosyjskich. Mimo to myśli swej nie porzucił i w przeddzień wyborów zażądał co do tego pozwolenia od cesarza. „Proszę o udzielenie mi władzy, pisał, w razie ogłoszenia stanu wojennego, oddawać ludzi podejrzanych, biorących udział w nieporządkach, do wojska, na rachunek poboru przyszłego, w razie zaś niezdatności wysyłać ich na mieszkanie do gubernij oddalonych”²¹⁰. Cesarz zgodził się natychmiast na udzielenie tej władzy dyskrecyonalnej namiestnikowi, który teraz bez sądów, bez śledztwa, na proste swoje widzimisię, mógł oddawać ludzi do wojska, lub zsyłać ich na Sybir.

Wśród tych niepowodzeń, jedna tylko rzecz udała się w tym czasie margrabiemu, to jest wyjednanie u Lamberta pozwolenia na założenie dziennika urzędowego. W dniu 11 września wniósł Wielopolski projekt do Rady administracyjnej, ażeby ustanowioną w r. 1837 „Gazetę Rządową”, organ przez nikogo nieczytany i zawierający tylko ogłoszenia rządowe, zreformować,

208 Depesze: z Liwadyi z d. 3 (15) września, z Warszawy z d. 5 (17) września i z Liwadyi z tejże daty.

209 Lisicki, *Le marquis*, II., 224.

210 Depesza z d. 9 (21) września, o godz. 1 w nocy.

a mianowicie: przywrócić jej dawny, z r. 1823 tytuł „Dziennika powszechnego” i rozszerzyć przez pomieszczenie w niej rozpraw literackich i naukowych.

Rada administracyjna zgodziła się na to, ale szło teraz o uzyskanie zezwolenia cesarskiego. Lambert tegoż dnia zatelegrafował do cesarza i pisał, że „przyspieszenie tej reformy uważa za konieczne”²¹¹. Gdy cesarz się zgodził, w dniu 13 września ogłoszono po wszystkich gazetach odnośny dekret Rady administracyjnej, mocą którego przyszły „Dziennik powszechny, pismo urzędowe, polityczne i naukowe”, miało podlegać wyłącznie cenzurze komitetu przy Komisji Wyznań i Oświecenia ustanowionego; że ukazy mają być w niem pomieszczone w języku polskim i rosyjskim, inne zaś artykuły tylko w języku polskim; że redakcją ma się trudnić osoba wyznaczona przez Dyrektora tejże Komisji; wszelkie postanowienia rządowe mają być najprzód w Dzienniku drukowane, a inne gazety mogą je powtórzyć dopiero w 24 godziny potem; że coroczny zasiłek ze skarbu ma wynosić rs. 1.502, że prenumerata ustanawia się na rs. 2 kwartalnie.

Wielopolski do wydawnictwa tego przywiązywał w ogólności wielką wagę; jeszcze za Gorczakowa, wstępując do rządu, stawiał między swemi żądaniami konieczność założenia dziennika oficjalnego. Czem zaś chciał mieć ten dziennik, świadczy jego komunikat, jaki zaraz po dekreście Rady administracyjnej rozesał do wszystkich gazet warszawskich.

Według tego więc artykułu, przyszły „Dziennik powszechny” miał zająć takie stanowisko, jakie w innych krajach zajmuje rządowa i pół-urzędowa prasa, że miał połączyć charakter francuskiego „Monitora” z charakterem gazety „Pays”, „Constitutionel” i innych organów inspirowanych. Sądził, że pismo rządowe, polityczne i naukowe wpłynie korzystnie „na ciężkie dzisiejsze stosunki prasowe, które ten tylko zrozumieć może, kto się ich dotknął”; wyraził przytem nadzieję, że władza pozwoli innym organom kontrolować kierunek „Dziennika”, rozświecać położenie rzeczy, a „nawet prostować tam, gdzie przekonania organów prywatnych z przekonaniem „Dziennika powszechnego” zgadzać się nie będą. Mniemał, że stąd powinna się wyrodzić większa niż dotąd swoboda w wyrażeniach, że polemika taka nie będzie osobistą ani próżną, ale rozkwiecającą kwestye kraj obchodzące; że polemika taka możliwą

211 Depesza Lamberta z d. 11 września (30 sierpnia). Brzmi ona, jak następuje: „Rada (administracyjna) na przedstawienie Wielopolskiego uznała za pożyteczne przekształcić gazetę urzędową Królestwa Polskiego, ażeby przez nią oddziaływać na uspokojenie umysłów, redakcją ulepszyć, przyczem część nieurzędową drukować tylko po polsku, bez tekstu rosyjskiego. Przyspieszenie tej reformy uważam za konieczne, ale nie może ona nastąpić bez zezwolenia Najwyższego. Czy raczysz się Najjaśniejszy Panie zgodzić?” — Telegramu ze zgodą cesarza w zbiorze, tylokrotnie przez nas cytowanym, nie ma, ale skądinąd wiemy, że zgoda na tę reformę nastąpiła nieomal zaraz.

jest tylko w warunkach swobody, że wszelkie ścieśnienie czyni ją niepodobną. W przeciwnym bowiem razie „Dziennik” pozostać by musiał sam jeden i sam jeden by przemawiał. „O ile nas jednak, pisał w końcu, doświadczenie osobiste, historia dziennikarstwa, a nawet pewna znajomość ludzkiej natury nauczyły, głos bez odpowiedzi to kazanie na stepie, myśl nie wywalczona pozostanie zawsze jałową, a gdy minie chwila ciekawości, „Dziennik” nawet przy staraniach redakcyi, może pozostać z tym samym wpływem, co dzisiejsza „Gazeta Rządowa”. Do pism tego rodzaju nader właściwie zastosować można te słowa Larochfoucaulda: „on la critique n'est pas permise, la louange est sans dignite”; siła ich właśnie i wpływ leży w możności owej krytyki, której warunki skreśliliśmy wyżej. Ponieważ przypuszczamy, że te myśli spowodowały założenie „Dziennika”, dlatego zwróciliśmy uwagę na ów fakt, który tak stosowany może być ważny; pojmowany zaś inaczej, byłby bez żadnego znaczenia”²¹².

212 Jak się w ogóle na tę sprawę, a w szczególności na dziennikarstwo warszawskie, zapatrywał Wielopolski, świadczy broszura, wyszła wprawdzie z druku nieco później p. t. „Ruch polski z 1861 r. Rzut oka na rozwój polityczny i społeczny w Król. Pol. od r. 1831 do naszych czasów. Wydanie drugie, Lipsk 1863 r.”. W broszurze tej, jak mówią powszechnie, napisanej przez Miniszewskiego pod wpływem margrabiego, znajdujemy ustęp taki na str. 43: „utrzymane ścieśnienia prasy, przy dotychczasowym stanie dziennikarstwa warszawskiego, było koniecznem. Dlaczego? Bo dziennik wskutek ograniczonej liczby przywilejów stał się własnością prywatną, a więc ulegającą pewnym względom ekonomicznym. Wszelka własność, wszelkie gospodarstwo wymaga nakładów i zapewnia pewne korzyści. Liczba prenumeratorów stała się warunkiem bytu dzienników istniejących. Przy wyzwoleniu prasy, gospodarz tego papierowego folwarku starać się musi o popularność, bo stąd jego prenumeratorzy i intrata. Gdyby odezwał się w interesie porządku i dobra społecznego, nie zawsze trafi do przekonania masom wzburzonym. Przy zachowaniu zaś dawnych ograniczeń prasy, dziennikarz rządowi posługiwać nie mógł bezwarunkowo, bo społeczność prenumerująca dzienniki była z rządem w rozdwojeniu. Więc dziennikarstwo zachowało dwójznaczne milczenie w tych ważnych chwilach, kiedy trzeba było rozsądkowi dać panowanie nad opinią publiczną. Ale był inny sposób do otwarcia pola odzywaniu się rozsądku. Oto trzeba było wydać konsensa na nowe dzienniki, a wymagać, aby w redakcyach stanęły korporacje reprezentujące prawdziwą inteligencją, a nie samą tylko własność spekulanta. Bez naruszenia idei własności, można było interes przedsiębiorstwa materyjalnego postawić na drugim lub trzecim planie. To nie ulega wątpliwości, że w czasach wielkich poruszeń ludu, spekulacja kapitalisty w swobodnem dziennikarstwie najgorsze wywiera wpływy na społeczność, potakując ciżbie. Dostojne dziennikarstwo istnieć może wtedy tylko poświęceniami obywateli, bo wielkie idee organizacyjne nie mogą wtedy być popularnemi. Trzeba było nie tylko zwolnień, ale nowej organizacyi dla wyzwolonej z ciasnych szranek prasy. Rząd w rokowaniach z komitetami nic się nie dowiedział o stanie umysłów w kraju, a rokowaniem swoim ośmielał masy, które ostatecznie miał przecież zamiar wprowadzić na grunt legalny. Otóż, otwierając pole dziennikarstwu zorganizowanemu, byłby dowiadywał się dokładniej o duchu społeczności, bez ośmielenia mas do nieustających gminoruchów.

Jakkolwiek w komunikacie tym wyraźnie wypowiedziana była gorąca chęć Wielopolskiego nadania prasie warszawskiej większej swobody słowa, chęć, z którą kilkakrotnie się już odzywał, wszelako była to złudna nadzieja i nieznamość rządu rosyjskiego. Przekonać się miał wkrótce, że „Dziennik” we wszelkich kwestyach „pozostał sam jeden i sam jeden przemawiał”, bo innym cenzura nie pozwalała się odzywać. Ale, mówiąc szczerze, w tem upartem staraniu się margrabiego o utworzenie organu urzędowego mniej szło o interesu krajowe, jak zadośćuczynienie własnej żyłce dziennikarskiej, jaką miał w sobie Wielopolski. Tak jak zawsze, ilekroć się zdarzyła potemu sposobność, chętnie stawał przed kratkami sądowymi, by odegrać rolę adwokata, tak, jak zawsze rad był wygłaszać mowy, w gruncie rzeczy zgryźliwe i komuś „dające się we znaki”, tak samo lubiał polemizować, spierać się, walczyć na pióra, jak tego dał dowody w swej zjadliwej kłótni z Olrychem Szanieckim o majorat i z literatami warszawskimi o zapis Świdzińskiego. Już wtedy w polemice tej wyraził żal, że nie posiada własnego dziennika, więc teraz, gdy miał władzę, uparcie zabiegał o to, by posiadać taki dziennik, mieć możność do walczenia, do zadawania razów nielubianym osobom na prawo i lewo. Mylił się tylko w tem, że to, co jest dozwołonem osobie prywatnej, nie jest takim dla męża stanu, dla człowieka stojącego u władzy i wkrótce sam się miał przekonać, jak śmiesznym się staje minister, rozpisujący się z powagą i namaszczeniem o grze takiej lub innej aktorki. W ogólności więc, założenie „Dziennika powszechnego” nie miało nic wspólnego z interesami kraju i szkodę mogło tylko tym interesom uczynić. Ponieważ sam Wielopolski nie mógł się podpisywać na „Dzienniku”, więc trzeba było kogoś z literatów postawić na czele pisma. Ale teraz pokazały się dopiero trudności takie same, jakie we wszystkich, swych krokach, na każdym polu swego działania napotykał margrabia. Żaden z ówczesnych wybitniejszych, a dla Wielopolskiego możliwych dziennikarzy i literatów warszawskich, redakcyi organu urzędowego podjąć się nie chciał. Choć pensya była, jak na owe czasy, dość wysoka, bo wynosząca 12.000 złp., nikt się na nią nie zląkomił. Proponowano redakcyą osobistościom, zajmującym pewne, urzędowe stanowiska, jak Kazimierzowi Kaszowskiemu, ale odmówił²¹³; proponowano Lewestamowi i nawet ten, choć go Polska nic nie

W pierwszych zaraz dniach marca trzeba było użyć tego środka i założyć swój organ, który założono już w porze dość późnionej”.

213 Wielopolski, szukając redaktora zasięgnął rady Sobieszczańskiego i ten mu wskazał Raszewskiego, do którego wysiano najprzód drukarza Józefa Ungra, który miał drukować u siebie „Dziennik”, a z Raszewskim żył w przyjaźni. Raszewski jednak odmówił, utrzymując, że nie czuje się na siłach do prowadzenia redakcyi. W parę dni później, w tej samej kwestyi zgłosił się Przyszański, urzędnik Komisji oświecenia i nauczyciel szkolny, a gdy i to nie skutkowało, zjawił się w imieniu margrabiego Józef Korzeniowski. Ofia-

obchodziła, a dla grosza wiele rzeczy gotów był zrobić, podjąć się redakcji nie chciał. Wobec tego musiał Wielopolski brać to, co się nadarzyło i powierzył redakcją Fr. M. Sobieszczańskiemu, człowiekowi dobremu, ale umysłowo miernemu i nie mającemu ani odrobiny nawet talentu dziennikarskiego. Wyborny znawca archeologii i starożytności, zwłaszcza warszawskich, szpeceracz sumienny i zamiłowany w przedmiocie, nie cieszył się zbyt dobrą opinią przez to, że był cenzorem i człowiekiem nader usłużnym dla rządu. Objęcie redakcji „Dziennika”, miało go do reszty dobić w opinii; gazecie nie przyniósł on żadnej korzyści, gdyż jak powiadamy, nie posiadał ani talentu, ani temperamentu, ani rutyny dziennikarskiej. Wniósł on tam tylko sumiennność i pracowitość, dwa przymioty zapewne bardzo szacowne, ale mające drugorzędne znaczenie w rzemiośle dziennikarskim. Do pomocy dodano mu Józefa Aleksandra Miniszewskiego, pisarza z dużą zdolnością, który niemalą sobie sławę zyskał swemi powieściami, wydawanymi pod pseudonimem Cześnikiewicza, ale człowieka o charakterze lichym i mającego opinią bardzo zaszarganą.

Niegdyś należał on do t. z. „cyganeryi literackiej”, siedział jakiś czas, koło r. 1848, w cytadeli, był zagranicą, gospodarzył na wsi, a w r. 1858 objął wraz z Aleksandrem Niewiarowskim redakcją „Gazety codziennej”, której używali obaj na to, by wyzyskiwać wszelkim sposobem ludzi²¹⁴. Dzięki temu uchodził za człowieka bez zasad i bez moralności, gotowego wszystko zrobić i każdemu się sprzedać. W początkach manifestacyi, Miniszewski przywdział sukmanę chłopską i uchodził za mocno czerwonego i demagoga. Wezwany teraz do redakcji „Dziennika” stał się nagle bardzo umiarkowanym, bardzo chłodnym i trzeźwym, ubrał się we frak i cylinder; człowiek z talentem bez zaprzeczenia, ale charakteru żadnego. Wielopolski doskonale zapewne wiedział o tem; czuł, że ani Sobieszczański, ani Miniszewski nie przynoszą zaszczytu nowemu pismu, ale gdy nikt inny podjąć się redakcji nie chciał, zmuszony był do nich się uciec. Smutna konieczność, świadcząca jak dalece margrabia był w kraju odosobniony.

rowano Kaszewskiemu 12.000 złp. i mieszkanie, byle tylko dał swój podpis, czuwał nad układem i czystością języka. Korzeniowski przytem groził, że margrabia odmową może się obrazić i dać Kaszewskiemu uczuć to dotkliwie. Ten jednak stale odmawiał i prosił Korzeniowskiego, by odmowę jego upozorował brakiem rutyny redaktorskiej i zdolności dziennikarskich, i prosił, by w razie potrzeby bronił go, co w rzeczy samej Korzeniowski zrobił. Wtedy dopiero za poradą tego ostatniego powołano Sobieszczańskiego, który, jak się zdaje, robił pewne zabiegi o to stanowisko.

214 W piśmie „Demokrata polski” z d. 28 października 1858r. czytamy o obu tych panach, co następuje: „mając na swe rozporządzenie szpalty gazety, która zaczęła obudzać uwagę publiczności, Niewiarowski i Miniszewski nadali jej charakter pamfletu i kartelu, i przyszło w końcu do tego, że napadali na ludzi i magazyny, i jak piraci greccy żądali okupu, a w razie przeciwnym grozili artykułem.

Dziennik począł wychodzić od 1-go października w wielkim formacie, jakiego dotąd żadne pismo polskie nie miało. W numerze pierwszym margrabia powrócił do raz już podniesionej kwestyi, to jest do wykładu powodów powstania „Dziennika”. Widocznie powody te nie musiały być zbyt jasne, kiedy tak często starał się je usprawiedliwiać. „Jeżeli kiedy, pisał, to zaprawdę w obecnych czasach reformy i przekształcenia tyłu stosunków niezbędną jest rzeczą, aby Rząd posiadał właściwy potemu i swój własny organ, w którym by mógł prowadzić ciągle i w sposób siebie godny obronę sprawy swojej, będącej zarazem sprawą kraju i porządku, a przytem w miarę potrzeby prostować i zbijać mylne, a często fałszywe wiadomości po pismach zagranicznych co do kraju naszego od niejakiego czasu uporczywie, a poniekąd systematycznie rozgłaszane”.

Dalej mówi, że dziennik taki przez podanie sposobności swobodnego, a umiarkowanego, na prawdzie opartego rozbioru działań publicznych, może wpłynąć na „uzacnienie” dziennikarstwa krajowego; przyczynić się może do wyprowadzenia na jasność sił umysłowych, po kraju rozrzuconych, a „sprawie porządku przyjaznych”, przez nadsyłanie artykułów; tym bowiem sposobem, władza poznawałaby te siły i zdolności.

W ogólności sam Wielopolski pisał dużo do „Dziennika”, swym stylem ciężkim i częstokroć zawiłym, dając tym sposobem folgę swej nieszczęśliwej żyłce dziennikarskiej. Zwłaszcza zabierał głos chętnie w sprawach teatru, domagał się w nim reformy, gdyż dotąd sceny „wszystko obracają na zewnętrzną wystawność”; narzekał, że dają tylko liche komedye tłumaczone, a natomiast nie wystawiają dramatów historycznych i tragedyi, zapominając, że za Muchanowa cenzura na to nie pozwalała. Wskutek tego, pisał dalej, teatr zamiast podniesienia i uzacnienia ludu, „pozostawia w umysłach próżnię opłakaną, w której wzrósł chwast obłądów i uprzedzeń”. Uważał więc reformę teatru niemal za tyle ważną, ile reformę szkół, zaznaczał jednak, że siły, jakie wówczas reprezentowały teatr warszawski, nie są w stanie podolać tej reformie.

Nie poprzestał jednak na tem. Ten przepełniony pychą umysł sądził, że się na wszystkim zna. Gdy skutkiem jego woli wystawiono w teatrze „Horacyuszów” Kornela, w przekładzie Osieńskiego, napisał do „Dziennika” o tem przedstawieniu sprawozdanie, tym właściwym sobie stylem patetycznym i ciężkim. „Imię wielkiego tragika, wołał, polszczyzna lepszych czasów, wspomniały tok wiersza, od razu temu wystawieniu pewną wysokość nadały”. Narzekał na przesadę w grze: „zdawało się, jakoby aktorowie w tej krótko odegranej scenie usiłowali ściągnąć trzydziestoletnią zaległość wyższych, dramatycznych natchnień”. Pociesza się tem, choć to nie było prawdą, że w teatrze coraz więcej osób bywa, że „oczyszczona atmosfera w świątyni sztuki dramatycznej stać się może lekarstwem na hipokondryczne dzisiejsze usposobienie”.

Jakkolwiek artykuły te nie były przez Wielopolskiego podpisane, wiedziano jednak dobrze, że one są jego pióra i poczęto szydzić z męża stanu i ministra, zajmującego się z powagą i namaszczeniem grą aktorek i aktorów teatralnych. Na dobitkę, Miniszewski rozpoczął w odcinku, „Dziennika” drukować swe „Listy”, kreślone piórem ciętym, ale zjadliwym i nie oszczędzającym żadnej słabostki ludzi ówczesnych. W pierwszym z tych listów, mówiąc o odwadze cywilnej, zaznaczał, że cnoty tej nie ma u nas wcale, że wyrobić się nie mogła, bo „obywatele, zamknięci w sferach kółka rodzinnego, rozrosnąć się mogli sercami tylko»; że brak jest w kraju umysłów wyższych, że tchórzostwo jest powszechnem, że jest ono cechą dusz małych i lenistwa, pozbawionego wszelkiej ambicji męskiej. Jeżeli tak dalej będzie, to burza może wysadzić z fundamentów budowę społeczną.

Wszystko to czytano chciwie, szydzono z Wielopolskiego, odgrywającego rolę recenzenta teatralnego, oburzano się na Miniszewskiego, który w żadnym razie ani przez swój charakter, ani przez swą przeszłość nie miał prawa tak przemawiać. W ogólności „Dziennik” zamiast wywierania dodatniego, jak to marzył Wielopolski, wpływu, owszem stał się jedną z podniet niepokoju w umysłach i sercach.

Wśród takich to działań, wśród rozwiewających się złudzeń, zbliżał się termin wyborów do Rad miejskich i prowincjonalnych. Dla Warszawy назначone one były na dzień 23 września. Podczas, kiedy stronnictwo białych, a właściwie mieszczaństwo warszawskie zdecydowane było bądź co bądź przeprowadzić wybory, czerwieńcy rozdrażnieni „umizgami Targowicy do Moskali”, jak mówili, postanowili wszelkimi siłami przeszkodzić temu. W kółku Korzeniowskiego wrzało jak w garnku; namiętności polityczne dochodziły do swej pełni. Szachowski, ów domorosły, maleńki Maracik polski, odgrażał się, że w ostateczności kijami rozegna wyborców, że choćby mu przyszło jutro jechać na Sybir, zgnieć w cytadeli, to nie zezwoli na to, by przeciwnicy i zaprzańcy tryumfowali. Zapowiadał, że napadnie na biura wyborcze i rozpędzi je na cztery wiatry.

Wiść o tych pogroźkach ultraczerwieńców rozbiegła się po mieście i w sferach umiarkowanych, wśród mieszczaństwa warszawskiego wywołała pewne obawy. Wszak czoło tego mieszczaństwa stanowili byli członkowie Delegacyi, a ci doskonale pamiętali zamach Nowakowskiego na Resursę kupiecką i wiedzieli, do czego zdolni są czerwieńcy. Naradzano się więc co robić, starano się wpłynąć na młodzież czerwoną, trafiono nawet do redakcyi „Strażnicy”, chcąc przez nią oddziaływać na rozgorączkowane umysły. „Strażnica” dzięki temu przechyliła się na stronę umiarkowanych. Zrazu, na parę tygodni przed wyborami, dość chłodno tę rzecz traktowała. „Kwestya wyborów do

Rad gubernialnych, powiatowych i miejskich, pisała, porusza obecnie umysł, czy odrzucić to nieszczerze i ułudne ustępstwo, czy też je przyjąć jako grunt administracyjny, na którym cnota obywateli może co dnia stawać do walki z nadużyciami najezdniczego rządu? Ludzie dobrej woli, pragnący pomyślności kraju, radzą zająć się wyborami i w ręce zacnych obywateli złożyć mandaty. Ciężkie zadanie wybranych, ale dla miłości ojczyzny, do każdej ofiary powinniśmy być gotowi”²¹⁵.

To chłodne swoje stanowisko, uważające przyjęcie mandatu za ciężką ofiarę dla ojczyzny, powoli, pod wpływem umiarkowanych, „Strażnica” zmieniła na gorące popieranie wyborów. Nieomal w ich przeddzień (nr. 7 z soboty d. 21 września, a wybory naznaczone były na poniedziałek d. 23 września), wystąpiła z artykułem, w którym między innymi powiedziano: „...musimy koniecznie przystąpić do zbliżających się wyborów do Rad miejskich, powiatowych i gubernialnych, aby wprowadzić do nich zacnych, kraj miłujących ludzi, którzy by sprawę narodową mieli na oku, w przeciwnym bowiem razie rząd najezdniczy przeprowadzi swych kandydatów, którzy, zasłonięci mandatami, paraliżowałiby dążności kraju”; powiada, że „kraj tego wymaga, przyszłość nakazuje”, że „uczucie nie jest polityką, a namiętność może nas zgubić”; że „skandal i rozerwanie stałoby się pociechą dla nieprzyjaciela, a dla nas wstydem i hańbą, gdyby nawet tak wielkie, jak dziś podniesienie ducha narodowego zjednoczyć nas nie potrafiło”. Kończy wezwaniem: „kto wierny syn ojczyzny, ten niech do zgody w dziele tak ważnym dla przyszłej kraju organizacyi rękę przyłoży”. Numer ten odbito w bardzo wielkiej ilości egzemplarzy i rozrzucono po całej Warszawie i kraju²¹⁶, licząc na to i słusznie, że uwagi wygłaszane przez pismo tajemne, a zatem otoczone urokiem niepospolitym, największy wpływ wywrą na umysły sfer rzemieślniczych i kupieckich Warszawy, które najliczniejszy kontyngens wyborców miały dostarczyć. „Gazeta Warszawska”, zawsze chętnie czytana przez szlachtę, starała się także wykazywać korzyści wyniknąć mogące z wyborów i zachęcała do wzięcia w nich udziału. Prócz tego ukazała się odezwa litografowana, napisana bardzo dobrze, piórem wytrawnym i zdolnym, dodatnio odróżniająca się od tego potopu lichych i bombastycznych elukubracji, jakie w tej porze się pojawiały. „W chwili tak ważnej, jak dzisiejsza, mówi odezwa, to, na co większość się zgodziła, staje się prawem dla wszystkich. Kto się lekkomyślnie z niego wyłamuje, kraj w przepaść popy-

215 Nr. 5 z d. 2 września.

216 Dzięki temu jest on też do dziś dnia najpospolitszy. Podczas, kiedy numer 1, 6 i inne są prawdziwą rzadkością bibliograficzną, nr. 7 napotkać można w każdym nieomal zbiorze druków z tej epoki. Numer ten zresztą w całości przedrukował Giller (Historia powstania II., 110).

cha”; że „wybory do Rad nie są reformą dotyczącą naszego bytu politycznego, ale tylko ulepszeniem administracyjnym, z którego korzystać, które spotrzebować powinniśmy.

One nas nie uspią, ale dodadzą sił do działania i życia”; że „protestacye przeciw tym rozporządzeniom podniosłyby je do znaczenia reform, którego one nie mają, a w oczach świata dałyby nam pozór ludzi nieumiejących korzystać z położenia i politycznie niedojrzałych”; że „kraj przede wszystkim wymaga organizacyi, poznania się, zbliżenia i wspólnej, jednolitej, choć w różnych kierunkach pracy. Rady w swym zakresie nie dają możności szerokiego działania, ale ważnemi się staną, jeżeli do nich wybierzemy ludzi silnej woli, żelaznej pracy i kraj nad wszystko miłujących”.

Nie poprzestano jednak na odezwach, ale wydawano i rozpowszechniano broszury²¹⁷ oraz rozpoczęto czynną agitacją w klasach rzemieślniczych w imię porządku. Postanowiono nawet w razie napaści na biura wyborcze, siłą dać odpór. W tym celu za staraniem znanego już nam Marcina Borelowskiego, który, jak wiemy, zajmował się przed paru miesiącami drukowaniem i rozsyłaniem „odezwy mieszkańców Warszawy”, mającego później zasłynąć jako dowódca oddziału powstańczego pod pseudonimem Lelewela, zdołano zgromadzić przeszło tysiąc rzemieślników, którzy, zajmwszy posterunki przy biurach wyborczych, mieli siłą siłą odeprzeć²¹⁸. Starano się także drogą perswazyi oddziaływać na młodzież czerwoną, ale to nie na wiele się przydało. Młodzież ta przekonać się nie dała.

Wycwiczeni w szkole Mierosławskiego, napojeni najsakrajniejszymi teoryjami, uważali rozum i rachunek za rzecz zbyteczną i pamiętali tylko o tem zdaniu swego mistrza, że kto inaczej, jak oni myśli, jest zdrajcą i dlatego w żadne z nim rozprawy wdawać się nie należy. Naśladując we wszystkim „generała Ludwika”, byli oni, podobnie jak ich prototyp, niesłuchanie zarozumiali i w tej zarozumiałości sądzili, że do wszystkiego są zdolni, że bez nauki i doświadczenia mogą być ministrami, wodzami, zbawcami narodu. Straszmem to

217 Ukazała się np. broszura litografowana p. t. „Co mam z tym fantem robić, co go trzymam w ręku?” (według Pawliszczewa, Siedmicy I., 77, miał ją odlitografować Fleck, za co za czasów Lüdersa wysłany został do gubernii Tomskiej). Zachęcała ona do przyjęcia reform i wzięcia udziału w wyborach do Rad miejskich i prowincjonalnych. Druga broszura p. t. „Tak lub nie”, także przemawiała za uczestnictwem w tych wyborach. Z powodu, że w broszurze tej jest mowa, iż przyczyną ucisku w Polsce są Prusacy, nie rząd rosyjski oraz że autor wyraźnie zapowiedział, że mu „wszystko jedno czy go wieniec męczeński od wrogów, czy kocia od rodaków spotka muzyka”, przypisywano ją powszechnie Wielopolskiemu, co jest jednak bardzo wątpliwem. Miały być jeszcze inne pisma przygodne w sprawie wyborów, ale tych nie znamy.

218 A. Giller, *Historia powstania narodu polskiego II.*, 113.

nieszczęściem dla kraju byli ci „politycy bez wąsów”, jaki ich zwie jeden ze współczesnych, tem straszniejszym, że środka prawie na nich nie było. Nie dając się przekonać, nie słuchając uwag umiarkowanych, na odezwy poczęli odpowiadać odezwami, na agitacją także agitacją. W odezwach tych odrzucali oni wybory, odrzucali wszelki rozwój systematyczny sił narodowych, a w ciągłej agitacji jedyne zbawienie ojczyzny upatrywali. W rządzie tych odezw, jedna, zaczynająca się od słów: „narodzie, bacność!” wzbudziła powszechne rozweselenie w Warszawie z powodu swego stylu bombastycznego, niefortunnie naśladowanego z Mierosławskiego i nazwana „odezwą o czartowskich powidłach”, gdyż tego rodzaju wyrażenie w niej się mieściło. Autorem tej śmiesznej elukubracji był niejaki Ignacy Kwiatkowski²¹⁹, o którym zresztą nic więcej nie wiemy. Przemawia on do „dęborywnych rzemieślników”, do „starosławnych i utajonych w swej nędzy chłopów”, do „dwudziestomilionowej nędzy”, nagania dotychczasową jedność, potępia usiłowania Delegacyi i nazywa zdrajcą, „co w wilczy dół” stara się wprowadzić, każdego, kto domaga się cichej pracy organicznej i tak kończy: „narodzie, miej węż dobry, abyś dusze mógł węszyć. Pamiętaj, że wąż nie pod nogą, ale w zanadrzu szkodliwy, że pan w Polsce, to wrzód w ciele. Jednego tylko znaj pana, Tego, co światem rządzi wiekuiście. Nie daj radzić pod batem, bo to moskiewskie byłyby rady. Żadnych łask od katów nie przyjmuj.

Idź, gdzie cię gna wicher Boży! idź, aż na zegarze wieczności wybije godzina, w której powstaniesz jakoby mąż wielki, obejrzyś się dokoła, porwiesz żelazo, kamień, kół i jednym zamachem, na wiek wieków pamiętnym, z szarańczy, co twe ziemie obżera, zrobisz powidła, które czarci na swe piekielne biesiady zabiorą”.

Śmieszna to odezwa, powtarzamy, rozweseliła Warszawę i najwięcej się może przyczyniła do tego, że zamiary czerwieńców rozbicia wyborów nie przysły do skutku. Już teraz, nikt z rozsądniejszych ludzi nie mógł iść za głosem stronnictwa, które tak nierozumnie i dziecinnie przemawiało. Poza tem zresztą, Warszawa przedstawiała w przeddzień wyborów obraz niezmiernie ożywiony. Była to niedziela, dzień piękny, ciepły, jesienny i kto mógł tylko wyszedł na ulicę, gdzie tłoczyły się tłumy ludu, wyborców i niewyborców, rozprawiano, spierano, gapiono się i włóczono z kąta w kąt. Co chwila ogólną uwagę zwracał na siebie brudny i oberwany chłopiec z paczką odezw pod pachą, z garnkiem kłajstru i pędzlem w ręku. Wszyscy biegli za nim, na róg ulicy, gdzie naklejona nowa odezwa odczytywaną była głośno, wywoływała spory, najróżnorodniejsze zdania dopóty, dopóki ktoś ze stronnictwa przeciwnego

219 N. Berg, Zapiski, 344.

odezwy tej nie zerwał i dopóki na jej miejsce nie zjawiła się nowa, w duchu całkiem przeciwnym tamtej skreślona. Stronnictwo najczernerwieszych, kółko Korzeniowskiego spostrzegło, że jest całkiem pobitem; nikt z nim nie chciał już teraz nawet gadać; za to nie przestawano wieść pertraktacyi ze stronnictwem nieco umiarkowańszem, rozsądniejszem, z Majewskim, Godlewskim i innymi, którzy także nie chcieli wyborów, choć nie mieli zamiaru w oporze swoim posuwać się do ostateczności. Wreszcie zgadzali się oni na wybory, na przyjęcie tym sposobem reform, a co zatem idzie, „paktowanie z najazdem”, ale pod warunkiem, że przy wyborach zredagowane będą dwa adresy, dwie petycje raczej, jedna do Rady stanu z żądaniem równouprawnienia żydów, druga do namiestnika, domagająca się dla Królestwa reprezentacyi narodowej. Mieszczañstwo biali, zgadzali się na to, ale nawzajem domagali się, by odtąd wszelkie manifestacye, nabożeństwa, śpiewy, ustały, jako nieprowadzące już do niczego, a mogące tylko rząd rozdrażnić. Dobrze, odpowiadano im, przestaniemy manifestacyi i nabożeństw z tym wyjątkiem, że odbędziemy jeszcze tylko jedno, d. 15 października, w dzień śmierci Kościuszki, gdyż należy się oddać cześć bohaterowi narodowemu²²⁰.

Stanął więc pakt, w którego trwałość żadna strona nie wierzyła i który zawierano z zamiarem niedotrzymania go wcale. Wieść o zamiarze pisania adresów doszła do rządu i wywołała tam wielkie zaniepokojenie²²¹. Niemniej niepokojono się bardzo samymi wyborami. Ożywienie panujące w mieście, tłumy snujące się po niem, chaos i wrzawa powszechna, dawała słuszny powód do tego niepokoju, choć rząd do niczego się nie mieszał i niczemu nie przeszkadzał²²². Szlachetny i pragnący bądź co bądź uspokojenia kraju, Lambert sądził, że raz wprowadzone w życie ciała, z wyborów pochodzące, przyczynią się do tego uspokojenia; więc postanowił nie przeszkadzać w niczem wyborom i nie mieszać się do nich, żeby nie powiedziano, iż pod presyą rządową zostały one dokonane. Dzięki temu, lud warszawski mógł się włóczyć po ulicach i wypowiadać swobodnie swe zdania, mogli je również głosić tak czerwoni, jak i biali.

Nadszedł na koniec dzień 23 września, oznaczony na wybory²²³.

220 Z relacyi współczesnych.

221 Depesza Lamberta z d. 8 (20) września.

222 W zbiorze depesz, wydrukowanych w „Russkiej Starinie” (z r. 1883), brak zupełny depesz z doby wyborów. Ostatni przed wyborami telegram jest z dnia 21 września, a zaraz następny jest dopiero z d. 9 października. Jest więc przerwa, obejmująca przeciąg czasu przeszło dwutygodniowy, z którego żadnej depeszy nie pomieszczono. Co jest powodem tego braku, nie wiemy.

223 N. Berg, Zapiski, 345, oznacza pierwsze wybory na dzień 19 września i za nim poszli wszyscy piszący o tych wypadkach. Jest to jednak pomyłka; przekonać się o tem łatwo można z ogłoszeń po dziennikach współczesnych.

Poprzednio już przygotowano listy wyborcze, głównie za staraniem znanego nam z czasów Delegacji warszawskiej, kupca Józefa Kwiatkowskiego, które to listy wydrukowano i rozesłano wyborcom bardzo szybko, w ciągu jednej nocy²²⁴. Pierwsze wybory miały się odbyć w cyrkule policyjnym 2-im, w salach ratusza miejskiego i w cyrkule 10-ym, w salach Akademii medycznej, w b. pałacu Staszica na Krakowskim Przedmieściu. Rzemieślnicy zgromadzeni przez Borelowskiego, stanęli na swych miejscach, a prócz tego wydelegowano do ratusza ks. Steckiego, a do pałacu Staszica księdza Wyszyńskiego, żeby w razie napadu czerwonych starali się na nich wpłynąć przewagą swej popularności. Ks. Stecki przez cały dzień prawie chodził przed ratuszem i błagał wszystkich idących tamże, by nie dopuszczali się nieporządków. W cyrkule 2-im, przewodniczącym w wyborachznaczony został prezydent miasta Andrault, komisarzem rządowym członek senatu Łącki; w cyrkule 10-ym przewodniczącym był radny magistratu Jeska, a komisarzem rządowym generał margrabia Paulucci. Przed samymi wyborami, czerwieńcy odprawili uroczyste nabożeństwo w kościele św. Krzyża „za pomyślność i jedność doli Kongresówki z krajami dawniej do Polski należącymi, a przez Moskwę zabranymi”. Odbywszy to nabożeństwo, wylegli na plac Kopernika pod wodzą Korzeniowskiego, Szachowskiego i innych. Tu już zgromadził się tłum kilkutyśyczny tak wyborców, jak i wszelkiej gawiedzi, tłoczącej się wszędzie tam, gdzie jej rozpróżniaczony umysł może znaleźć jaką rozrywkę. Czerwieńcy przybyli tutaj z drukowaną, nową odezwą, noszącą szumny tytuł: „mandat ludu do wyborców”.

Ten „mandat”, zredagowany przez Apolla Korzeniowskiego, nazywał ustawę wyborczą „szyderską odpowiedzią na adres podany w miesiącu lutym”, „zamachem na jedność i zgodę w ruchu narodowym”, „oszukaństwem administracyjnym”, „nicością”, „sidłem, w które ułowione Królestwo Polskie rozbrat bierze z rodzonymi ziemiami swojemi Litwą i Rusią, dla których i tych nawet sideł nie raczy rząd rosyjski zastawiać”; odwoływał się do wyborców, że „nie shańbią Polski, nie wyrzekną się Litwy i Rusi”. „Wierzmy wam zani mężowie, brzmi dalej mandat, szanujemy was, ale wierząc i szanując, nie chcemy nielicznego grona waszego zostawiać bez poparcia. Głos ludu potęgą swoją was popiera, możemy więc śmiało powiedzieć: wola narodu nam prawa dyktuje, tylko więc siła bagnatów wykonać to prawo przeszkodzić nam może”. Domagał się więc, by następne desiderata przedstawiono rządowi: „1) że ustawa wyborcza nie odpowiada żądaniom, ani zadawalnia pragnień narodu polskiego; 2) że ustawa wyborcza najlepsza nawet, ale tycząca się tylko Królestwa

224 Były to małe kartki z szarego papieru, na których wydrukowano imię i nazwisko kandydata na członka Rady miejskiej z oznaczeniem cyrkulu właściwego. W zbiorach dokumentów współczesnych bardzo często spotkać się można z temi kartkami.

kongresowego, obraża bratnie i narodowe uczucia dla Litwy i Rusi; 3) że Królestwo tylko w połączeniu z Litwą i Rusią w całej swej politycznej i administracyjnej doli, może wyczekiwać od Boga przeznaczonych im losów; 4) że, dopóki na Litwie i Rusi nie ustaną prześladowania, dopóty Królestwo kongresowe cierpieć i w cierpieniu niespokojnie drgać musi; 5) że wypowiedzenie woli narodu jasne, zrozumiałe i szczere, zależy tylko od powołania wszystkich jego żywiołów do wydania tego głosu”. Wreszcie mandat odzywa się do wyborców w tonie wysoko podniesionego patosu: „zaklinamy was, wydajcie głos nasz ze swych męskich piersi; a jeśliby, czego Boże nie dopuść, zginąć za ten głos było potrzeba, to przed wami wszystkie nasze piersi stać będą i usta nasze wołać nie przestaną aż do skonu: Polska, Litwa, Ruś i cała ojczyzna!”²²⁵.

Mandat ten rozrzucano pomiędzy lud, który oczywiście bezmyślny, jak wszelki tłum, nie wiedział co robić i wahał się wobec tego przystępować do wyborów.

Większość w obawie o dobro kraju, w szczerzej intencji patryotycznej, stawiała sobie pytanie: kto wie, może mandat ten ma rację? może wybory będą prostą zdradą kraju? Poczęto więc domagać się, by ukazał się pan Andrzej Zamoyski, który, jako mieszkający w cyrkule 10-m, znajdował się w sali Akademii między wyborcami. Żądano, by dał objaśnienia. Pan Andrzej wyszedł w towarzystwie ks. Wyszyńskiego i zapytał czerwonych: czego chcą? Korzeniowski podał mu drukowany „mandat”, domagając się, by postawione w nim desiderata były wykonane. Ale pan Andrzej mandatu tego przyjąć nie chciał i tonem chłodnym odrzekł, że teraz nie może żadnych i od nikogo mandatów przyjmować, że wszystko, co należy, zostało zrobione i rozpatrzone ze wszech stron, że nikomu nie wolno teraz ani zmienić kierunku, ani odwołać wyborów.

Słowa te nadzwyczajnie nie podobały się czerwieńcom. Szachowski rozgorączkowany wskoczył na jakieś krzesło, stojące w pobliżu posągu Kopernika i głosem grzmiącym począł pośpiesznie odczytywać „mandat”. Wśród tego czytania, z pośrodku tłumy odzywały się głosy: „dobrze mówi, doskonale mówi, ma rację, dzielnie mówi!” Ale gdy skończył, miał zaraz się mały Maracik polski przekonać, jak zmienne są opinie tego ludu, w którego imieniu on niby przemawiał. Wystąpił bowiem teraz na krzesło pan Andrzej, ze swą wysoką, szczupłą, arystokratyczną i chłodną figurą i począł mówić za wyborcami. Walka dwóch młodych ludzi, mało komu znanych, z popularną osobistością pana Andrzeja, była nierówną. Jego wszyscy znali, wiedzieli kto on jest, a dla rzemieślnika i mieszczanina warszawskiego zawsze wielki urok ma tytuł, imię historyczne i majątek. Toteż gdy pan Andrzej, kończąc swą mowę,

225 Mandat ten w całości czytać można w Gillera „Historji powstania nar. pol.” II., 113.

zawołał: „kto chce prawa i porządku, szanować prawo i porządek powinien”, przyczem, zwracając się do Szachowskiego, wskazał na tłum słuchający mówcy z zapalem i rzekł: „oto jest lud, który ze mną staje do wyborów; pokaż mi pan swój lud, który wyborów nie chce”, rozległy się oklaski, głosy aprobaty, okrzyki: „niech żyje hrabia Andrzej! wiwat Andrzej Zamoyski! my tylko pana słuchać będziemy!” Wielu w uniesieniu, łatwo ogarniającem duszę polską, ilekroć idzie o ojczyznę, rzucili się ku panu Andrzejowi i poczęli go całować po rękach i nogach.

Zwycięstwo więc ze strony partyi mieszczańsko-białej było zupełne i niezaprzeczone. Szachowski, zmieszany wsunął w rękę Zamoyskiemu swój niešťczęśliwy mandat i rzekłszy: „lud wykonał swój obowiązek”, odszedł. Wybory rozpoczęły się bez żadnej przeszkody i wybrano nieomal jednogłównie (na 835 wyborców, 821 głosów) na członka Rady p. Andrzeja hr. Zamoyskiego oraz generała Jakuba Lewińskiego (741 głosów), na ich zastępców: Telesfora Szpadkowskiego, mularza (708 głosów) i pastora luterskiego Ludwika Otto; w cyrkule 2-gim ks. Józefa Wyszyńskiego i Stanisława Hiszpańskiego, na ich zastępców Dra Adama Helbicha i Jana Grabowskiego. Nie obeszło się jednak bez tego, by czerwoni nie starali się zakłócić porządku. W cyrkule 10-tym znalazło się np. dwanaście kartek z nazwiskami Mierosławskiego i Wysockiego na radców, na ich zaś zastępców: Garibaldiego i Henryka Dąbrowskiego. To samo działo się w ratuszu, gdzie znalazł się między wybranymi Klapka. Ale w niczem to nie naruszyło sforności i ładu; przy odczytywaniu tych nazwisk rozlegały się tylko wybuchy śmiechu wesołego...

Wieczorem tego samego dnia, J. I. Kraszewski wystąpił w „Gazecie Polskiej” z artykułem silnie piętnującym czerwieńców. „Kilku ludzi, pisał, małuczka garstka, chcąc nazywać się ludem, do czego ani wiek, ani zasługi prawa jej nie dają, usiłowała zakłócić harmonię powszechną, stając z żądaniemi przed salą wyborczą w sposób niewłaściwy. Nie wchodzim w treść tych żądań, lecz postawienie ich w tej chwili uważamy za środek użyty do zerwania wyborów, które ogromna większość kraju za potrzebne uznała. Przeciwko środkom takim ludzi, nieumiejących złożyć w ofierze na ołtarzu kraju swych idei i niewczesnego zapalu, jak najmocniej się oświadczamy”. „...Wywołać zgiewk, pokryć żądania imieniem ludu, który ma głęboką wiarę w dobre chęci każdego, jest bardzo łatwo, jak łatwo jest niszczyć i szkodzić; lecz budować i starać się o przyszłość jest trudniej daleko”. W dalszym ciągu domagał się, „by nierozważny czyn kilku za gorących ludzi nie przerywał pracy ogółu”; wołał, że nie rozumie „uporu wbrew poczuciom wszystkich, stojącego przy swoich pojęciach, choćby je najdrożej okupywać przyszło; uczył czerwieńców, że „wszędzie i zawsze ogół stanowi i zdanie jego poszanowaniem być musi”. W końcu

jednak wobec zwycięstwa umiarkowanych pocieszał się, że „kraj, pojmując swe zadanie, dla namiętnych objawów nie poświęci istoty i pójdzie drogą pracy, którą dzisiejszy jego krok pierwszy mu wytyka”.

Niestety! łudzono się i łudzono zbyt wcześnie; kraj wkrótce miał „dla namiętnych objawów poświęcić istotę”. Zwycięstwo, odniesione teraz, było tylko zwycięstwem chwilowym. Zresztą zobaczono to zaraz, że czerwieńcy, odniósłszy porażkę, nie uważają się wcale za pokonanych. Ponieważ wybory miały trwać dalej po innych cyrkulach, a zwłaszcza na prowincyi do Rad powiatowych i gubernialnych (d. 23 września rozpoczęły się w okręgu Błońskim, w Grodzisku i Radomiu), więc Korzeniowski nie przestawał rozrzucać swego „mandatu”, przekonany, że tym sposobem uda mu się choć w jednym miejscu zerwać wybory. Trzeba było temu przeszkodzić. W tym celu, w dniu 26 września, wydrukowano odezwę, będącą niejako odpowiedzią na „mandat”, odezwę dźwięczącą źle ukrywaną nutą tryumfu i tonem zapożyczonym ze sławnej cesarskiej odpowiedzi na adres. „Rodacy! woła odezwa, w dniu onegdajszym garstka, złożona z kilkunastu ludzi, chciała sobie przywłaszczyć prawo odzywiania się w imieniu ludu, ale opinia ogółu jednomyślnie i surowo przez usta najpoważniejszych swych przedstawicieli i głosem publicznym potępiła to niesumienne postępowanie. Garstka ta zowiąca się ludem, a chcąca stworzyć stronnictwo, okazała jawnie swą bezsilność moralną i liczebną, i okryła się tylko śmiesznością. Mamy nadzieję, że po onegdajszej nauce przestanie wypotrzebowywać (sic) imię narodu i jeżeli zechce występować publicznie ze zdaniem swoim, wystąpi w charakterze pojedynczych obywateli, nie podpierając się uwiedzionymi fałszywą pogłoską tłumami”²²⁶.

Ale już wszystkie te odezwy były całkiem niepotrzebne. Wybory wszędzie się odbywały bez żadnych zakłóceń²²⁷, co świadczyło, że czerwieńcy nie są ani

226 Odezwa ta w całości znajduje się w Gillera „Hist. powst. nar. pol.” II, 116.

227 Wybory po większej części w Warszawie padły na członków byłej Delegacji warszawskiej albo na t. zw. inteligencyą miejską, co dowodzi, że stronnictwo mieszczańskie umiało koło swych spraw chodzić. W cyrkule III wybrano Dominika Zielińskiego, mechesa, znanego adwokata i żyda Ignacego Natansohna. W cyrkule IV, na ogólną ilość 529 wyborców, Matyas Rosen, znany nam bankier żydowski, otrzymał 393 głosy, Grabowski Józef 390 głosów; zastępcy ich Barciński Antoni, urzędnik żeglugi parowej, ożeniony z siostrą Szopena, 359 głosów, a Szmurło Augustyn, znany pisarz i pedagog, 350 głosów. W cyrkule V wybrano Preisa Aleksandra, urzędnika Towarzystwa Kredytowego Ziem. i Trzetrzewińskiego Augusta, mecenasa, b. członka Delegacji, o którym mówiono, że pisał już konstytucyą dla przyszłego państwa polskiego. W cyrkule VI wybrany: Siwiński Edward, nauczyciel i literat, późniejszy członek Rządu Narodowego i Siekiński Ludwik, sędzia. Na zastępców Töplitz Henryk, żyd, i Hildt Ludwik, kupiec. W cyrkule VIII wybrano: Dra Chałubińskiego Tytusa i Kaszewskiego Kazimierza, literata. W cyrkule IX: Kronenberg Leopold, bankier i ks. Broniewski, prowincyał OO. Bazylianów. W cyrkule

tak silni, ani tak wpływowi, by nie tylko walka z nimi, lecz i zwycięstwo nie było możliwe.

Niestety! wysiliwszy się na chwilę na przeprowadzenie wyborów, nucąc pean swego tryumfu, stronnictwo białych zasnęło na laurach i dozwoliło działać czerwonym, którzy, doznawszy porażki, nie uważali się za pokonanych i nie myśleli wcale o złożeniu broni. Na prowincyi przy wyborach, starali się oni także stawiać pewne przeszkody, ale usiłowania te w ogólności były słabe i bezskuteczne. Prowincya zapatrywała się we wszystkim na Warszawę, więc skoro tam wybory doszły do skutku, to i tu inaczej być nie mogło. Wszędzie zresztą wybory te, tak samo jak w Warszawie, miały jeden charakter. Padły one na inteligencją i żydów. W Piotrkowie na 12 radców wybrano trzech żydów, w Lublinie czterech, w Siedlcach pięciu. Nawet do Rad powiatowych tu i owdzie wybierano żydów (w Radomiu: Hersza Rosenblatta).

Jakkolwiek jednak rząd, pragnąc, by wybory doszły do skutku, zachowywał się wobec nich neutralnie i w niczem nie przeszkadzał wszelkiego rodzaju agitacyi, zdarzył się przecież wypadek, świadczący, jak dalece ograniczeni byli niektórzy naczelnicy wojenni i jak dzikie instynkta w nich się pleniły. W Ostrołęce, dnia 23 września, gdy się zebrano na wybory, pułkownik Petrow, dowódca brygady artyleryi, konsystującej w tem mieście, odbywał właśnie musztrę z działami. Spostrzegłszy liczny zjazd, otoczył wojskiem salę wyborów, do okien wymierzył dwa działa, postawił przy nich kanonierów z za-

XII: Henryk Muklanowicz i Izrael Gesundheit, żyd; na zastępców: Andrzej Brzeziński, meches, głośny adwokat oraz Jan Baranowski. Żydzi więc stosunkowo bardzo obficie byli reprezentowani w Radzie miejskiej i w większości wypadków wybrani zostali przez katolików. „Jutrzenka” bowiem, znane nam już pismo polskie, dla żydów przeznaczone, ostrzegało swych współwyznawców, by przez „patryotyzm religijny” nie wybierali radców tylko z pomiędzy siebie. „Nie wątpimy wcale, pisała „Jutrzenka”, że przy szczerych życzeniach służenia dobru ogólnemu, zdołamy sobie w krótkim czasie przyswoić warunki do służby publicznej potrzebne; ale uczciwość nakazuje nam przyznać, że jak na teraz jesteśmy w niej nowicuszami. Liczba mogących służyć z pożytkiem krajowi jest między nami mała, bo położenie nasze dotychczasowe nikogo prawie w tym kierunku nie kształciło i nim służyć potrafim, służby publicznej uczyć nam się potrzeba. Zwracamy dlatego na to uwagę naszych współwyznawców, aby czasem niejasne pojęcie powinności, wynikające z naszego, odosobnionego położenia wśród współobywateli, nie chciało się objawić przez pewien patryotyzm religijny, że go tak nazwiemy, to jest, abyśmy przyzwyczajeni sami sobie wystarczać i teraz tylko wybierali spośród siebie członków różnych Rad, utworzyć się mających. Popęnilibyśmy przez to nie tylko błąd wielki, ale nawet grzech wobec kraju, który potrzebuje pracowników wytrawnych, z wymaganiami ogółu dokładnie obeznanych; a nas dotychczas najczęściej troska o utrzymanie tak wyłącznie zajmowała, żeśmy potrzeby kraju tylko ukradkiem śledzić mogli. Szukajmy dlatego członków do rad pomiędzy tymi, których i szczęśliwe położenie obywatelskie, i ciągła potrzeba służenia ogółowi do pożytecznego działania dostatecznie wykształciły”.

palonymi lontami i groził, że będzie strzelał, bo takie liczne zebranie uważa za bunt. Wszystkie bryczki wyborców, których było przeszło 200, rozpedził, jednego z wyborców, żyda, Szmula Kochana, idącego do sali elekcyjnej, żołnierze nie puścili i poturbowali mocno. Wobec tego, zgromadzeni przerwali wotowanie, opieczętowano urny z głosami, spisano protokół całego zajścia i wysłano go do Warszawy²²⁸. Wprawdzie Petrow za to został usunięty, ale zdarzenie ostrołęckie przekonywało wszystkich, że w Polsce dopóty ładu nie będzie, dopóki w niej rządzić będą pułkownicy i generałowie rosyjscy. Wypadki powyższe nabrały niemałego rozgłosu i były wodą na młyn czerwonych.

Byli oni niesłychanie rozdrażnieni, a zwłaszcza koło Korzeniowskiego, złożone z zapaleńców, z niedouczonych młokosów, ale gotowych do wszelkiego szaleństwa. Ten gniew, jaki w nich wrzał na myśl, że „Targowica tryumfuje”, że ich śmie nazywać „garścią indywiduów”, wzmagać się musiał wobec tego, co się koło nich działo. Właśnie w tym mniej więcej czasie, rozeszła się po mieście pogłoska, w gruncie rzeczy prawdziwa, ale ogromnie przesadzona, że w Hotelu Europejskim różni bogaci panicze założyli klub „złotej młodzieży”. W klubie tym wobec żałoby powszechnej, powstrzymywania się od wszelkich rozrywek i zabaw, wobec oszczędności, którą poczęto uważać za jedną z cnót i obowiązków patryotycznych, miano grać grubo w karty, wyprawiać pijatyki i hulanki, a nade wszystko szydzić z partyi ruchu i wszystkich objawów patryotycznych. Każdą rzecz tam wyśmiano i wydrwiono.

Do klubu tego, oprócz młodszego syna margrabiego, Józefa Wielopolskiego, należał oficer rosyjski Alf Wrześniowski, adjutant Lamberta, Polak, gorący zwolennik margrabiego; niejaki Waligórski, szlachcic z Poznańskiego, niby delegat Tellusa w celach ekonomicznych wysłany do Warszawy, a jak dobrze poinformowani sobie szeptali, tajny agent Kronenberga, który we wszystkich partyach miał swych ludzi²²⁹; Gracjan Czarnocki, plenipotent właścicieli hotelu Europejskiego, Rodryg hr. Potocki, Mańkowski, wnuk generała Henryka Dąbrowskiego i wielu innych. Klub ten, zwany inaczej „klubikiem”, w gruncie rzeczy nie miał prawie żadnego znaczenia i wpływu też żadnego wywierać nie mógł; wieści o kartach i hulankach były fałszywe, ale szyderstwa złotej młodzieży z tego, co uważano za świętość, różne koncepta z ludzi i rzeczy, obiegając po mieście, drażniły wielu i szkodziły bardzo samemu margrabie-

228 Z relacji współczesnych.

229 To ostatnie przypuszczenie co do Waligórskiego, tem większej nabierało cechy prawdy, że należał on do składu redakcji „Gazety Polskiej”, za co brał 100 rs. pensji na miesiąc i jak opowiada współczesna relacja rękopiśmienna, z której tę wiadomość czerpiemy, „nic nie robił. Napisał jeden artykuł o żydach, ale poprawiano go przez trzy dni i jeszcze był głupi”.

mu. Oburzano się na to powszechnie, że mąż stanu, wysoki urzędnik pozwala, by syn jego w czasach tak gorących wyzywał opinią publiczną, tę opinią, tak nieprzyjazną już ojcu; by grupa paniczów całkiem niepotrzebnie drażniła tłumy i tak już mocno podrażnione²³⁰.

Do podrażnienia tego wzmagającego siły czerwonych, przyczynił teraz bardzo wiele zjazd do Warszawy wszystkich biskupów z całego kraju. Zjazd ten nastąpił na wezwanie Wielopolskiego, przesłane przez okólnik do biskupów i rządców diecezji, ażeby przybyli do Warszawy na dzień 20 września. Biskupi tem chętniej zadość uczynili temu wezwaniu, że wzmagająca się ciągle choroba arcybiskupa Fijałkowskiego, budziła tak wśród kleru, jak i w kraju niemały niepokój. Wielopolski zaś chciał użyć wpływu najwyższych dostojników kościelnych na niższe duchowieństwo, które w kościołach tolerowało śpiewy patryotyczne, brało udział we wszystkich manifestacjach, a nawet przewodniczyło im wszędzie. Sądził, że w ustnej konferencji z biskupami zdoła ich przekonać i w imię dobra krajowego zachęcić do takiego kroku, choć rzecz była bardzo wątpliwą. Wszak biskup podlaski, Szymański, raz już odmówił takich usiłowań, choć był wielbicielem margrabiego i doskonale pojmował położenie kraju. Do Juszyńskiego, biskupa sandomierskiego, pisał był w sierpniu Wielopolski, jako Dyrektor Komisji oświecenia i wyznań religijnych, żeby o każdej procesji, jaka się ma odbyć, duchowieństwo na parę dni wprzód uwiadamiła odnośne władze administracyjne. Na to biskup pod d. 23 sierpnia odrzekł, że takiego polecenia podwładnemu sobie duchowieństwu dać nie może, bo nieraz „powód odbycia procesji wypaść może nagle”, że wreszcie polecenia takie, on uważa za ścieśnienie religijne. Tenże biskup w parę tygodni potem wziął udział w wielkiej manifestacji politycznej podczas odpustu na górze Świętokrzyskiej.

Wszystko to więc kazało przypuszczać, że próba Wielopolskiego odwołania się do najprostszego poczucia patryotyzmu rozumnego na nic się nie

230 Margrabia wiedział o istnieniu tego „klubiku” i w milczeniu jego szyderczą działalność aprobował. Bardzo często nawet pytał się jego uczestników: „a cóż tam słycać w waszym klubiku?” W Zamku także patrzano dobrze na owe zgromadzenie, które istniało aż do końca 1803 r. O tem wszystkim w mieście wiedziano. Oburzało to czerwonych, że członkowie klubu mieli pewne przywileje, że mogli bez latarek chodzić późno w nocy po mieście, a już największe oburzenie wywarł fakt następujący, którego bohaterem był członek klubu, wspomniany wyżej oficer Alf Wrześniowski. Po wyjeździe Lamberta na Maderę utrzymywał on z nim ciągłą korespondencją i kiedy raz z takim listem przyszedł na pocztę, urzędnik odbierający to pismo, niejaki Huzarski, ruszył konceptem i spytał się Wrześniowskiego: „czy Lambert i na Maderze myśli być namiestnikiem?” Pytanie było dość niemądre, mimo to obraziło Wrześniowskiego tak, że poszedł na skargę do dyrektora poczty. Huzarski zagrożony dymisją, nie szczędził oczywiście Wrześniowskiego, tak że oburzenie na niego i na klub dochodziło w kołach czerwonych ogromnych rozmiarów. Z Wrześniowskim spotkamy się jeszcze w tej historii.

przyda i kto wie? może nie należało jej robić, nie będąc pewnym skutku. Ale nie trzeba za złe brać Wielopolskiemu, że szukał wszelkich dróg i wszelkich środków, by kraj toczący się w przepaść zatrzymać na fatalnej pochyłości.

Jakoż biskupi powoli poczuli się zjeżdżać do Warszawy. Najprzód, bo dnia 11 września jeszcze, przybył ks. Walenty Baranowski, biskup sufragan lubelski. Gdy wjeżdżał do Warszawy, Bóg wie dlaczego i za co, powitał go przy rogatkach znaczny tłum, który krzyczał „wiwat!” i odprowadził biskupa aż do hotelu Wileńskiego. Nie obeszło się przytem bez różnych, tak pospolitych w tej dobie teatralnych wystąpień. Kobiety niosły wieńce i bukiety z kwiatów, którymi zasypywały biskupa, a mężczyźni, ustawivszy się przy koniach, prowadzili je za cugle i cały ten orszak przedelflował przez Pragę i Warszawę aż na ulicę Tłomacką, gdzie biskup stanął. Robiło to tem większy efekt, że właśnie był to dzień galowy, rocznica koronacy cesarskiej. W tydzień potem, d. 19 września, przybył ks. Wincenty Pieńkowski, biskup lubelski; nazajutrz ks. Józef Juszyński, wspomniany już biskup sandomierski i ks. Józef Twarowski, biskup amyzoneński, sufragan podlaski, wysłany przez Szymańskiego, który sam wcale się nie zjawił, nie chcąc zapewne stawać w opozycyi z jednej strony z margrabią, z drugiej z opinią publiczną. Po nich zjechali do Warszawy: ks. Maciej Majerczak, administrator dyecezyi kielecko-krakowskiej, ks. Tomasz Myśliński, administrator dyecezyi płockiej i na koniec ks. Choiński, administrator dyecezyi augustowskiej. Biskup kujawsko-kaliski, Marszewski, chory po niedawnej kociej muzyce w Łęczycy, wcale nie przyjechał.

Przybyli do Warszawy biskupi w liczbie siedmiu, od razu znaleźli się wpośród księży czerwono usposobionych, otaczających chorego arcybiskupa. Ci to księży namówili pozbawionego wszelkiej energii umysłowej starca, ażeby, korzystając ze zjazdu wszystkich rządców dyecezyi w Królestwie, przedstawił im, że nadarza się jedyna sposobność, by uczynić krok wspólny większej wagi i doniosłości. Tym krokiem ma być zredagowanie memoriału, a raczej protestacyi przeciw krzywdom, jakich doznaje kościół polski i podanie jej Lambertowi. Biskupi w zasadzie zgodzili się na to i podczas, gdy duchowieństwo warszawskie przygotowywało ów memoriał, oni udali się dnia 24 września na konferencyą do Wielopolskiego.

Ten z postawy i słów zebranych od razu się przekonał, że próba jego nie przyniesie żadnych owoców. Na próżno mówił, że rząd zdecydowany jest użyć wszelkich środków, będących w jego mocy, by zrewolucjonizowane duchowieństwo niższe przyprowadzić do porządku, że lada chwila spodziewać się należy rozporządzenia, zabraniającego kazań rewolucyjnych i nadużyć w ceremoniach kościelnych; że zatem lepiej będzie dla samego nawet duchowieństwa, jeżeli biskupi mocą swej władzy i powagi zapobiegną potrzebie mieszania się władz cywilnych do spraw wewnętrznych kleru; że co do niego, to

osobiście pragnąłby nie mieszać się do tych spraw, ale on nie jest tu panem i nie może odpowiadać za czyny władz wojskowych, z którymi duchowieństwo codziennie niemal wchodzi w zatargi²³¹. Na to wszystko biskupi odrzekli, że oni nie są w stanie nic zdziałać, że duchowieństwo ich nie słucha, że znikła wszelka karność i obojętność, że oni sami nic nie zrobią bez interwencji rządu. Ks. Pieńkowski uskarżał się przytem na stan opuszczenia, w jakim się znajdują seminaria, na niedostateczną liczbę księży, na terroryzm, wywierany przez młodzież i kobiety, które „popychają duchowieństwo do manifestacji”. Na uwagę Wielopolskiego, że popieranie ruchu rewolucyjnego jest krzywdą dla religii, ks. Baranowski odrzekł z pewnym rozdrażnieniem, że oni „jako księża lepiej wiedzą od pana dyrektora, co jest pożytecznym dla religii, a jako biskupi nie ubliżają swemu charakterowi, gdy są dobrymi Polakami”²³².

Konferencja powoli poczęła przybierać cechy wzajemnego podrażnienia i gdy jeden z biskupów (zdaje się ks. Majerczak), zwrócił się do margrabiego ze zwierzeniem, że mają zamiar podać namiestnikowi memoriał o położeniu duchowieństwa, Wielopolski odrzekł, że nie powinni, nie mogą tego robić, że to na nic się nie zda, zwłaszcza, że posiedzenia Rady stanu wkrótce się rozpoczną, a wtedy drogą legalną będą mogli się upominać o prawa swoje. Bardzo słuszną i rozsądną ta uwaga, nie przypadła wcale do smaku biskupom. Wszak w gruncie rzeczy im nie szło wcale o dobro kościoła, ale o stawianie trudności rządowi, o zadośćuczynienie opinii ulicy, o fakt głośnego protestu. W Radzie stanu, choćby nawet żądania ich przeszły, to stałoby się to cicho, bez wrzawy, bez rozgłosu, którego oni właśnie chcieli. Rozstano się więc z margrabią z podrażnieniem wzajemnym, z postanowieniem zrobienia tego, co on odradzał.

Jakoż nazajutrz, d. 25 września, memoriał był gotowy²³³. Memoriał ten z wielu względów jest bardzo ciekawym dokumentem, zawierającym w zasadzie żądania sprawiedliwe, ale należało sobie zadać wobec własnego sumienia pytanie, czy forma ich była właściwa, a czas odpowiedni potem.

231 Lisicki, *Le marquis II*, 225.

232 Z relacji współczesnych.

233 Memoriał ten wydrukowany w całości w książce: „Wspomnienie o Zyg. Szczęsnym Fełińskim” p. 10, nosi datę 25 września; tęż datę podają dzienniki współczesne. Nie wiemy zatem, na jakiej zasadzie Giller (*Hist. pow. nar. pol. I*, 267) powstanie materiału naznacza na d. 22 września, a za nim „Wydawnictwo materiałów do historii powstania” I, 12. Że ta data jest błędna, dowodzi choćby tylko ta okoliczność, że Majerczak przybył do Warszawy dopiero d. 21 września (przekonywują o tem współczesne gazety warszawskie), a konferencja z Wielopolskim odbyła się d. 24 września i na konferencji tej, jak zapewnia Lisicki (*Le marquis II*, 225) biskupi zakomunikowali margrabiemu swój zamiar podania memoriału. Stąd wniosek, że memoriał dnia 22 września nie mógł być i nie był gotowy.

W szesnastu artykułach biskupi domagali się, „aby religii rzymsko-katolickiej przywrócone zostało dawne jej znaczenie, aby artykuły kodeksu o małżeństwie (Art. 193 i od 195 do 201) i o spowiedzi były uchylone, aby „Komisya rządowa w stosunku swoim do kościoła ograniczoną była do przedmiotów czysto administracyjnych i nie mięszała się do nabożeństw, procesyi, kazań, rytuałów i t. p.”, aby przy Komisji wyznań był wydział duchowny pod prezydencją arcybiskupa dla rozstrzygnięcia spraw kościelnych²³⁴, aby biskupom wolno było odbywać synody, aby katedry biskupie wakujące rychło, były obsadzone kandydatami przez kapituły wybieranymi, aby liczba alumnów w seminariach, a zakonników w klasztorach ograniczoną nie była, aby fundusze przy zagranicznych akademiach dla alumnów przywrócone zostały, aby w każdej dyecezyi był dom emerytów dla wysłużonych księży, aby instytut demerytów na Łysej Górze był zreorganizowany, aby władze dyecezyalne w potrzebach duchownych mogły bezpośrednio odnosić się do Stolicy apostolskiej, aby duchowni obecnie aresztowani i wywiezieni powróceni zostali i aby na przyszłość nikogo z księży nie aresztowano bez wiedzy władzy duchownej i t. p.

Memoryał ten podpisałi wszyscy obecni w Warszawie biskupi, a na ich czele położył swe imię chory arcybiskup Fijałkowski. Uradzono, że memoriał podadzą namiestnikowi księża Pieńkowski i Juszyński, jako dwaj pełni biskupi dyecezyalni. Jakoż, nie zwlekając, udali się dwaj wymienieni do namiestnika z tym memoriałem, ale Lambert przyjąć go nie chciał, tłumacząc się, że nie jest upoważnionym do przyjmowania zbiorowych petycji. Biskupi wrócili nieco rozgniewani, a ponieważ na ten dzień wszyscy byli zaproszeni do Belwederu do namiestnika na obiad, więc nań wcale nie poszli i zaproszenia odesłali.

W parę dni potem memoriał ukazał się w dziennikach zagranicznych, wywołując wszędzie niemałą sensacją. Przetłumaczony na język łaciński wraz z odpowiednimi objaśnieniami, znalazł się także wkrótce w Rzymie²³⁵. Czerwieńcy byli ucieszeni niezmiernie tem wystąpieniem najwyższych dostojników kościelnych, tą wyraźną opozycją pacyfikacyjnym dążnościom Wielopolskiego i Lamberta; umiarkowani zaś, biali, także pochwalali memoriał, jako protest głośny i publiczny przeciw strasznej przewadze schizmy i krzyczącej nietolerancyi religijnej, jakiej kraj od lat trzydziestu ulegał. Wśród

234 Co do tego punktu, słuszną uwagę robi Lisicki (*Le marquis II*, 226), że czerwieńcy, admirując tak sam memoriał, jak i odwagę podpisanych, którzy, powiedzmy nawiasem, nie narażali się na żadne niebezpieczeństwo, rzucali kamieniem na Wielopolskiego właśnie z powodu tego „Wydziału duchownego”, twierdząc, że ten zatwardziały Heglianista chciał „Kościół ujarzmić i zrobić go niewolnikiem państwa”.

235 Stefan Prawdzicki. *Wspomnienie o Zygmuncie Szczęsnym Felińskim*, p. 15.

ogólnego wrzenia umysłów, memoriał ten jednym słowem był nowem zarzewiem, nowem podsyceniem ognia.

Położenie spraw duchownych i w ogóle postawa kleru odnośnie do rządu pogorszyła się znacznie wskutek choroby arcybiskupa Fijałkowskiego. Przeszło ośmdziesięcioletni ten starzec dogorywał widocznie i już w czasie przybycia Lamberta do Warszawy był tak słaby, że nie mógł przybyć do Zamku dla powitania nowego namiestnika. W połowie września stan chorego tak się pogorszył, że konsystorz warszawski nakazał d. 18 września odbyć we wszystkich kościołach dyecezyi nabożeństwo „dla uproszenia Boga o powrót do zdrowia” arcybiskupa. Nabożeństwo w katedrze św. Jana odprawiło się z wielką uroczystością; celebrował biskup Baranowski i po skończonej wotywie przemawiał do ludu, wzywając go do wspólnego połączenia modłów o zdrowie arcypasterza. Odtąd rozpoczął się szereg nabożeństw na tę intencję w całej Polsce, nabożeństw po większej części z charakterem manifestacyjnym²³⁶, w czym i żydzi brali udział, urządzając po swych synagogach odpowiednie modły²³⁷.

Jakkolwiek Fijałkowski był bardzo chory, jednakże wziął udział w naradach co do znanego nam memoriału i podpisał go pierwszy, ale już d. 24 września uczuł się tak źle, że zazaądał spowiednika, przyjmował kapitułę, duchowieństwo warszawskie i prowincjonalne, oraz kler seminaryum. Błogosławił ich i kraj cały. Nazajutrz byli u niego wszyscy biskupi, zebrani w Warszawie. Udzielając im benedykcji pasterskiej i polecając ich modłom swą duszę, miał wyrzec słowa, które powtórzone rozbiegły się po całej Polsce i nadzwyczajne uwielbienie dla Fijałkowskiego wywołały. „Umierającym proszę i zaklinam was głosem, miał wyrzec, trzymajcie zawsze z narodem; starajcie się, jako pasterze ludu, bronić sprawy wspólnej ojczyzny i nie zapominajcie nigdy, że jesteście Polakami”²³⁸. Odtąd przez dziesięć jeszcze dni choroba się wlokła, aż na koniec d. 5 października w sobotę, o godz. 7-ej rano, arcybiskup wyzionął ducha. Poprzednio z wielką uroczystością, w ornat ubrany, przyjął Najświętsze Sakramenta.

O śmierci jego doniósł tego dnia ks. biskup Juszyński w katedrze ludowi, zgromadzonemu na nabożeństwo za pomyślność ojczyzny, zamówione przez urzędników różnych dykasteryi. Wiadomość ta wywarła wielkie wrażenie.

236 Dnia 21 września odprawiło wotywę na tę intencję w kościele św. Krzyża bractwo św. Rocha; d. 23 września także nabożeństwo odbyło się w Krakowie; d. 28 t. m. archikonfraternia literacka odprawiła nabożeństwo u św. Jana; d. 25 t. m. we Lwowie w kościele Bernardynów i w katedrze; dnia 23 we Włocławku, d. 2 października u Kapucynów w Krakowie.

237 Dnia 23 września z zarządzenia rabina okręgu warszawskiego, odbyło się nabożeństwo we wszystkich synagogach i domach modlitwy w Warszawie; d. 21 t. m. we Włocławku, przyczem wygłoszono osobną modlitwę *Mi-szeberech* na intencję rychłego ozdrowienia „kapłana” Fijałkowskiego; d. 28 t. m. w Radomiu z tąż modlitwą i t. d.

238 Słowa te z małymi wariantami powtarzają wszystkie współczesne i późniejsze relacje.

Fijałkowski przez przyjęcie czynnego udziału w ruchu, przez przewodniczenie mu niekiedy, przez wydanie odezwy o zaprowadzeniu żałoby i paru innych, stanął wysoko w opinii wszystkich gorących patryotów, choć w cichości, znając jego słabość charakteru, zwali go „koźłem ofiarnym rewolucyi”. Dla czerwieńców, dla kółka Korzeniowskiego przytrafiła się nowa sposobność rozruszania usypiających już i znużonych nieustającymi manifestacjami tłumów. W pogrzebie arcybiskupa, prawdziwego, jak mówili, prymasa polskiego, wszyscy muszą wziąć udział i biali, i umiarkowane mieszczaństwo, i dygnitarze urzędowi, wszyscy. Będzie więc manifestacya olbrzymia, której nikt oprzeć się nie może i nie zdoła, i zachcianki białych uspokojenia kraju, przyjęcia reform, rozbiją się o entuzjazm powszechny.

A entuzjazm ten dla zmarłego, rósł do niebываłych rozmiarów, dzięki działalności prasy jawnej i ukrytej. Wszystkie dzienniki warszawskie, przez kilka dni z rzędu zapełnione były szczegółami z życia „znakomitego w kościele Bożym męża”, rozpisywały się o najdrobniejszych szczegółach, podnosiły jego zasługi wysoko, oddawały mu cześć jako najlepszemu i najgodniejszemu z patryotów. „Gazeta Polska” widziała w tem mistyczny palec Boży, że arcybiskup umarł tego samego dnia, 5 października, w którym objął niegdyś administracyą archidiecezyi warszawskiej; redaktor „Gazety Warszawskiej” opowiadał z przejęciem się głębokiem, że ostatni raz, kiedy się przed Fijałkowskim stawił, „było nas trzech: jeden katolik, jeden ewangelik, jeden żyd; wszyscy trzej przyszlśmy po radę wspólną w rzeczy doczesnej. Nie naumyślnie zebraliśmy się, ale przypadkowo tak się rzeczy ułożyły; wszyscy trzej wyszlśmy równie zbudowani prostotą i głęboką prawdą słów do nas wyrzeczonych. Każdy z nas jedno złożyłby świadectwo: my za kapłanem i człowiekiem, dwaj drudzy wprawdzie za człowiekiem tylko, ale który w Bogu czerpał siłę i myśl słów swoich, a stał wiarą i wiedział, że wypełnieniem zakonu jest miłość”. Wszystko to czytano z zapałem i gorączką powszechna się wzmagała, podsycana różnorodnymi odezwami tajnymi. Tego samego dnia, w którym umarł Fijałkowski, ukazała się odezwa, drukowana na małej kartce, wzywająca do przyodziania się w oznaki żałoby głębokiej, którą miano nosić przez cały tydzień. Jakoż usłuchano natychmiast tego wezwania i ubrano się w grubą żałobę; kobiety na sukniach nosiły białe taśmy, mężczyźni czarne kokardy. Na rogach ulic porozlepiano t. zw. „klapsydry” z doniesieniem o śmierci oraz o nabożeństwach żałobnych, jakie się miały odbywać po wszystkich kościołach. Rozrzucono w mnóstwie egzemplarzy litografowany na ćwiartce papieru opis życia zmarłego, w tonie panegirycznym trzymany. Na prowincyą wysłano wezwanie do przybycia na pogrzeb arcybiskupa, „który w obecnej chwili walki z rządem przedstawia w sobie

zmarłego prymasa i w dzisiejszym czasie bezkrólewia zastępuje króla; dlatego też i jego pogrzeb będzie odpowiadał wspaniałością i powagą pogrzebowi królewskiemu²³⁹.

Kapituła tymczasem zajęła się przygotowaniem programu pogrzebowego, na co Lambert się zgodził, z tym warunkiem, że dano mu podobno słowo, że uroczystość nie będzie wcale miała charakteru manifestacji politycznej²⁴⁰; zastrzegł jednak sobie, że cały ceremoniał będzie przedstawiony generał-gubernatorowi do zatwierdzenia. Zaraz też utworzył się specjalny w tym celu komitet, złożony z księży i cywilnych, wśród których wydatną rolę odgrywał znany nam już kupiec Józef Kwiatkowski. Zadanie było niełatwe. Przede wszystkim szło o to, żeby dzień pogrzebu jak najbardziej opóźnić, dlatego, żeby prowincja mogła się zjechać; naznaczono więc na pogrzeb dzień 10 października, to jest szósty od daty śmierci²⁴¹. Następnie szło komitetowi o ustanowienie takiego ceremoniału, żeby rząd i kraj był z niego zadowolony.

Rozmaite wnioski podawano, częstokroć tak zabawnie naiwne, że zebrani wybuchali śmiechem. W rezultacie, program pogrzebu zrehabilitowano i przedstawiono do zatwierdzenia Gerstenzweigowi. Ten zakomunikował go Lambertowi, a namiestnik poradził się Wielopolskiego, czy program taki przyjąć²⁴². Ponieważ w programie tym było, że orszak pogrzebowy, wyruszywszy z pałacu arcybiskupiego na ulicy Miodowej, iść będzie ulicami: Długą, Przejazdem, Rymarską, Placem Bankowym, Senatorską, Wierzbową, Placem Saskim, Krakowskim Przedmieściem i Świętojańską do katedry św. Jana, więc tego rodzaju kołowanie, widocznie obliczone na to, żeby więcej nadać pochodowi ostentacji i większe masy ciekawych ściągnąć, nie podobało się margrabiemu. Radził więc namiestnikowi, ażeby tę część programu zmienił, żeby orszak posuwał się najprostszą i najkrótszą drogą (Miodową, Senatorską, Placem Zamkowym i Świętojańską) oraz żeby członkowie komitetu osobistą odpowiedzialnością za to wszystko, co nad program ukaże się w czasie pogrzebu.

Rada ta w tem prawdopodobnie miała swe źródło, że do Wielopolskiego musiała dojść wiadomość, iż obok komitetu, że tak powiemy, urzędowego,

239 N. Berg, *Zapiski* 361; cytata z zeznań Awejdj.

240 N. Berg, loc. cit. Podwysocki, *Zapiski*, 87.

241 Ponieważ w tymże dniu 10 października miała się odbyć i odbyła się wielka manifestacja w Horodle na pamiątkę unii Litwy z Polską, więc późniejsi pisarze rosyjscy podejrzewali, że komitet umyślnie ten dzień wybrał. Tymczasem tak nie było. Jednoczesne urządzenie dwóch manifestacji mogło się stać powodem, że żadna z nich się nie uda, a tego przecież nie chciano. Odbycie obu jednego dnia było przypadkowe i związku ze sobą nie miało.

242 Lisicki, *Le marquis*, II., 235.

zorganizował się komitet tajny, który naradzał się nad tem, co należy dodać do ceremoniału przedłożonego władzy, ażeby właśnie pogrzeb przybrał cechy wielkiej manifestacji politycznej²⁴³. W komitecie tym zasiadali księża: Dziarkowski, Wyszyński i Stecki, który prócz tego zbierał składki na kosztą, ale oczywiście przeważali czerwoni, młodzież zapalona i gorąca, choć byli także i członkowie urzędowego komitetu. Wielopolski, zdaje się, wiedział o tem wszystkim i dlatego dawał rady tak przeciwne zamiarom agitatorów i w granie rzeczy tak zbawienne.

Lambert uznawał ich słusność, mówił, że pójdzie za tą radą, choć z drugiej strony dawał poznać, że nie widzi znowu nic tak bardzo niebezpiecznego w programie. Niepokoiło go tylko zapowiedziane „castrum doloris”. W obrzędku tym widział coś mocno podejrzanego; ale Wielopolski pod tym względem uspokoił go zupełnie, zapewniając go, że są to śpiewy, nucone przez czterech księży na czterech rogach katafalku, że to jest zatem obrządek czysto kościelny, niemający najmniejszej cechy politycznej. Uspokojony więc całkowicie, choć uznawał słusność rad Wielopolskiego, program ostatecznie za twierdził.

Program ten zapowiadał się majestatycznie. Miały wziąć udział w pogrzebie wszelkie korporacje i stowarzyszenia, wszystkie szkoły i warstwy ludności, cechy, bractwa, zgromadzenia. Na Placu Bankowym mieli oczekiwać na orszak pogrzebowy rabini, czyli, jak jest powiedziane w programie, „duchowieństwo wyznania mojżeszowego” i gmina żydowska; na Placu Saskim zaś duchowieństwo luterskie i gmina lutersko-kalwińska. Zrazu przy naradach księża zakładali przeciw temu opozycją, by duchowni obcych wyznań brali udział w pogrzebie, ale, wobec groźby zrywania jedności narodowej, ustąpili²⁴⁴. Wszelkich więc sprzężyn, wszelkich środków użyto, by manifestacji nadać charakter wspaniały, charakter hołdu wszechnarodowego. Program ten ogłoszono zaraz w gazetach i całe miasto gotowało się do nowej, wielkiej manifestacji. Do pałacu arcybiskupiego na ulicy Miodowej, gdzie drugiego dnia po śmierci wystawione były na widok publiczny zwłoki zmarłego, ciągnęły niezliczone tłumy osób wszelkiego stanu, płci i wieku. Salę główną pierwszego piętra zamieniono w kaplicę, według pomysłu znanego budowniczego i archeologa Bolesława Podczaszyńskiego. Ściany obciągnięto suknem pąsowem, zwieszającym się we wdzięcznych draperyach; trumna była tegoż koloru, złotem ozdobiona; ciało ubrane w fiolety spoczywało na katafalku pąsowym.

Mnóstwo świec jarzących, insygnia biskupie, leżące obok na taborecie, ta purpura majestatyczna dookoła, nieustanne msze, odbywające się przy ciele, na

243 N. Berg, loc. cit. 362.

244 Relacje współczesne.

koniec te niezliczone szeregi ludu, przychodzące odwiedzić zmarłego, nadawały całości wygląd niezwykle i uroczysty. Członkowie Towarzystwa Dobroczynności oraz młodzież szkolna pilnowała porządku. Ciągnęły więc rzesze niezliczone, a wśród nich na koniec znalazł się także nadrabin żydowski Majzels, postępujący poważnie w lisiej czapce na głowie i atlasowym żupanie na czele kahału żydowskiego. Przyjęty na schodach przez dwóch kanoników, został wprowadzony do zwłok wśród powszechnego entuzjazmu i silnego wrażenia na najchłodniejsze nawet umysły, jakie ta dziwna, średniowieczna procesja żydowska wywarła. Zjawili się tu także predykanci luterscy i kalwińscy, ze swymi superintendentami: Ludwigiem i Spleszyńskim na czele, zjawił się nawet archimandryta schizmatycki Joanicyusz. W ciągu kilku pierwszych godzin, jeśli wierzyć można doniesieniom dziennikarskim, przeszło 20.000 osób przesunęło się obok katafalka nieboszczyka.

W Zamku o tem wszystkim wiedziano; uroczysty nastrój miasta kazał przypuszczać, że przygotowuje się nowa, wielka manifestacja, że pomimo programu urzędowego, odbywać się będą rzeczy całkiem nim nieobjęte. Wzbudziło to pewne obawy w Lambercie; musiały do niego dochodzić jakieś wieści groźne, jakieś, tak często powtarzające się w tej dobie pogłoski o bliskim i nieuniknionem powstaniu, gdyż w nocy, poprzedzającej dzień pogrzebu, prosił cesarza o rozkaz, ażeby policyanci, ustawieni na ulicach dla zachowania porządku, uważani byli za posterunki wojenne. Cesarz chętnie się na to zgodził²⁴⁵.

Ale policya rządowa, pomimo nadania jej wskutek tego rozkazu groźnego znaczenia, niewiele mogła zrobić i wpływ jej został zupełnie zatarty. Od samego rana bowiem dnia 10 października, konstable narodowi, wyznaczeni przez tajny komitet pogrzebowy bez wiedzy władzy rządowej, pod naczelnictwem Józefa Kwiatkowskiego, Tomasza Le Bruna, Fiszera, pułkownika b. wojsk polskich i wielu innych, biegali po wszystkich ulicach i nakazywali kupcom zamykać sklepy. Szewc Hiszpański, należący także do tajnego komitetu pogrzebowego, wydał polecenie rzemieślnikom, aby w dniu tym warsztaty były zamknięte, czeladź i robotnicy rozpuszczeni. Nikt się temu rozkazowi nie opierał, nikt nie śmiałby się opierać, gdyż w przeciwnym razie zmuszono by go siłą. Taki wypadek spotkał kupca Knola, Niemca, którego handel winny na ulicy Ogrodowej konstable narodowi, wskutek oporu właściciela rozkazom władzy tajnej, prawie doszczętnie zniszczyli. Na targu za Żelazną bramą, jakiś

245 Depesza Lamberta brzmi: „27 września (9 października) o godz. 1 minut 30 w nocy: jutro pogrzeb arcybiskupa Fijałkowskiego. Mogą zająć nieporządku. Upraszam o wydanie rozkazu telegrafem, aby policyantów, ustawionych dla nadzoru nad porządkiem, uważać za posterunki wojenne, aż do nowego rozkazu (policyjskich czynów, postawionych dla sobliudenia poriadka, szcitat wojennymi czasowymi, wpred do osobago powelenia”.

bednarz, niechcący usłuchać konstabli, utracił wszystkie swe naczynia, które potłuczono i potrzaskano. Na ulicy Solnej, gdzie wznoszono jakiś budynek, konstable rozrzucili wapno i cegły, a mularzy, opierających się temu, obmazali gliną²⁴⁶. Wobec tego posłuch był ogólny i miasto przybrało postać uroczystą i świąteczną. Wszędzie mówiono, że zmarły arcybiskup był istotnym prymasem polskim, a jako taki, ponieważ od lat trzydziestu w Polsce trwa bezkrólestwie, jest wiceregiem, królem prawdziwym i pogrzeb jego musi mieć charakter królewski i majestatyczny. Na ulicach, któremi orszak pogrzebowy miał przechodzić, wszystkie prawie balkony i okna okryte zostały kirem żałobnym.

Zjazd w Warszawie był ogromny; w hotelach zabrakło mieszkań.

Ze wszystkich stron kraju przybywano pojedynczo i tłumnie, a czerwieńcom szło oczywiście bardzo wiele o to, żeby w pogrzebie wzięli udział także chłopci, zwłaszcza z dóbr Skierniewickich, niegdyś własności prymasów polskich. Znaleźli oni pod tym względem żywe poparcie i pomoc czynną w nadzorcy pałacu skierniewickiego oraz w wikaryuszach miejscowych, ks. Magnuskim i Delercie, na koniec w ziemianinie z tamtych stron Augustie Zawiszy, bracie rodzonym straconego w r. 1833 Artura. Dzięki ich zabiegom, przyczem księża zbierali w kościele Skierniewickim składkę na zakup biletów na kolej dla uboższych²⁴⁷, zdołano zgromadzić znaczną ilość włościan²⁴⁸ i udano się z nimi do Warszawy. Tu, uwiadomieni o tem członkowie tajnego komitetu pogrzebowego, wysłali na przyjęcie przybywających deputacyą, która czekała na nich na dworcu kolei. Chłopów patrzących ciekawie na wszystko, ale trzymających się ostrożnie, powitano bardzo serdecznie, uściskano, ucałowano i poprowadzono na przygotowane już śniadanie w jednym z pobliskich ogródków restauracyjnych. Ponieważ godzina pogrzebu się zbliżała, więc uszykowano się i wyruszono procesjonalnie do pałacu arcybiskupiego na ulicy Miodowej. Postępowano zatem prawie przez całe miasto przy odgłosie hymnu „Boże coś Polskę”, z księdzem niosącym krzyż na czele i z chorągwiami kościelnymi. Na jednej z tych chorągwi wyszyty był św. Stanisław i herb Korony i Litwy. Ta procesya uroczysta, ten tłum chłopów w ich strojach ludowych, robił silne wrażenie na umysłach tych wszystkich, którzy wierzyli, że tylko „lud kmiecy dzwignie Polskę swemi plecymi” i widzieli zbliżającą się już niejako tę godzinę. Wszak ta procesya była oczywiście zaprzeczeniem tego, co mówiono o chłopach i o ich niechęci do ruchu.

246 N. Berg loc. cit. 363.

247 Pawliszczew, Siedmicy, I, 49.

248 Według relacji współczesnych miało ich być około tysiąca, choć cyfra ta wydaje nam się nieco przesadzoną. „Gazeta Warszawska” oblicza ich w przybliżeniu na głów 700, co zdaje się być prawdopodobniejsze. Giller swoim zwyczajem z tych 700 ludzi zrobił „kilka tysięcy” (A. hr. Wielopolski, 82).

Niestety! było to złudzenie takie samo, jak wiele innych złudzeń, o których w tych smutnych dziejach już mówiliśmy.

Oprócz chłopów z Skierniewic, byli i inni z księstwa Łowickiego, ze wsi Bąkowa, Jeziorka, Kompina, byli z Kutna z księdzem na czele, ze Sleszyna i Sannik, byli z Góry Puławskiej (około 20, „lud dzielny i krzepki”, jak się wyraża relacja współczesna); byli z Wilanowa, Mokotowa, Piaseczna i Gołkowa²⁴⁹. Chłopi z okolic podmiejskich przyszli pieszo i ustawili się na Krakowskim Przedmieściu obok kościoła Bernardynów, tworząc długi szpaler; inni stanęli na ulicy Bielańskiej w pobliżu hotelu Niemieckiego.

Pogrzeb miał się odbyć o godz. 3-ej popołudniu, a już o godzinie 1-ej zaczęły się szeregować na wyznaczonych im przez program miejscach różne korporacje. Długość całego orszaku przeszło ćwierć mili wynosiła i początek jego stał na końcu Placu Saskiego, kiedy trumna dopiero z pałacu biskupów wychodziła. Wynoszono ją na koniec wśród ogłuszającego jęku dzwonów wszystkich kościołów warszawskich, wśród smutnych tonów muzyki, grającej marsza żałobnego, umyślnie napisanego przez Moniuszkę, który sam orkiestrą dyrygował (drugą orkiestrę, dalej umieszczoną, tworzyli uczniowie i uczennice Instytutu muzycznego pod dyrekcją Kątskiego), wśród melancholijnego śpiewu duchowieństwa. To ostatnie zebrało się bardzo licznie; oprócz całej kapituły warszawskiej, akademii duchownej, seminarium i w ogóle wszystkiego duchowieństwa świeckiego, zjechało się jeszcze mnóstwo księży z archidiecezyi i wystąpiły wszystkie zakony, między którymi zwracali na siebie uwagę Bazylianie warszawscy, Kameduli bielańscy, Paulini z Jasnej Góry i Maryanie z Puszczy Korabiewskiej. Wśród zakonów żeńskich, widać było szereg dam w stroju żałobnym zwyczajnym, z szeroką szarfą czerwoną z haftem.

Były to mało znane miastu panny Kanoniczki. Celebrował biskup sandomierski Juszyński, mając po bokach biskupów: Szymańskiego i Platera. Wystąpiły wszystkie szkoły i zakłady naukowe; dziewczęta były w grubej żałobie. Szkoła realna niosła herb Polski i Litwy: studenci Akademii medycyko-chirurgicznej, chorągiew z orłem polskim i wstążkami trójkolorowymi. Na Placu Teatralnym oczekiwali skupieni koło znanej poetki Deotymy literaci warszawscy, malarze, rzeźbiarze i artyści dramatyczni. Wystąpiły wszystkie cechy, ustawione w porządku alfabetycznym, najprzód blacharze, a na końcu tokarze, niosąc 49 chorągwi, poobwijanych krepą, ozdobionych orłami i trójkolorowymi wstęgami. Wszyscy dźwigali w rękach ogromne gromnice.

249 Pawliszczew (loc. cit. I, 15) powiada, że w tych ostatnich okolicach, do zebrania włościan przyczyniła się obywatelka tamtejsza, pani Łabęcka i baron Dangieli, który wszystkim chłopom udającym się na pogrzeb obiecał darować po rublu z czynszów i sam rozdawał obszywki i kapelusze żałobne.

Na ulicy Rymarskiej stało zgromadzenie szmuklerzy i tapicerów żydowskich, w długim szeregu oczekując na zbliżenie się orszaku.

A orszak tymczasem, wśród nieustannego jęku dzwonów, płaczu muzyki, posuwał się wolno wyznaczonymi ulicami, posępny i smutny, z mnóstwem sztandarów, które wiatr rozwijając, ukazywał orły białe i starą pogoń litewską. Porządek był wzorowy; utrzymywała go młodzież i komitet pogrzebowy, zaopatrzone w żałobne przepaski na lewym ramieniu. W komitecie tym znajdowały się także deputacje kilku miast i powiatów, reprezentanci: Hrubieszowskiego, Czerskiego, Rawskiego, deputacje z Łodzi, Kutna, Płocka, Kalisza i t. d. Powszechną zwracano uwagę na deputacją z Poznańskiego w mundurach obywatelskich i na trzech Węgrów, przybranych w strój narodowy, „reprezentujących sąsiedni, a zawsze przyjazny nam naród”, jak się wyraża relacja współczesna. Bogatą trumnę pąsową niosło duchowieństwo i świeccy na marach purpurowych. Krzyż arcybiskupi dźwigał jeden z kanoników metropolitalnych. Tuż za trumną, na poduszkach czerwonych niesiono wieńce cierniowie, a w jednym z nich mieścił się wielki orzeł biały i insygnia królewskie, t. j. dwie korony: polską, litewską i berło, na znak, że chowany jest vicerex polski. Wszystko to owinięte było krepą. Prócz tego widać było jeszcze dwie korony: koronę króla, którą dźwigało dwoje chłopiat, ubranych w kontusze i koronę królowej, niesioną przez dziewczęta w bieli. Za karawanem, ustrojonym w godła arcybiskupie, płynęła olbrzymia, stutysięczna fala ludu w głębokim milczeniu.

Powoli do tego konduktu przyłączały się różne korporacje, ustawione w porządku na drodze jego pochodu. Na ulicy Długiej więc złączyła się malownicza grupa górali. „Inteligentne ich, nieraz pełne wyrazu twarze, opowiada świadek naoczny, porządek ścisły, utrzymywany przez starszych, zwracały każdego uwagę. Było ich przeszło stu, młodszy, prawie dzieci, szli przodem”. Około hotelu Niemieckiego, na ulicy Bielańskiej, przyłączyli się chłopci. Jeden z nich dźwigał ową ogromną chorągiew ze św. Stanisławem i orłem białym, a dwaj obywatele prowadzili go pod ręce, dwóch innych chłopów trzymało wstążki od chorągwi. Gdy na koniec i cechy zmieszały się z orszakiem ze swymi 49 sztandarami, ten las purpury zwijanej i rozwijanej przez wiatr, te orły i pogonie robiły wrażenie imponujące, chwytaly za serca nawet najzimniejsze, budziły najgłębiej uspięte uczucia ku tej nieszczęśliwej ojczyźnie polskiej, ku zatraconym dniom minionego jej szczęścia.

Na Placu Bankowym oczekiwali na orszak rabini żydowscy, stojąc na estradzie umyślnie wzniesionej, ubrani uroczyście w żupany atłasowe, pasy czarne i wielkie czapki lisie, otoczeni dozorem bożniczym i tysiącami swych współwyznawców. Przed tem duchowieństwem stała chorągiew z białym

orłem u szczytu i pękiem wstążek trójkolorowych, oraz tablice dziesięciorga przykazań z herbami Polski i Litwy. Gdy trzech biskupi eksportujący zrównali się z tym ponurym, średniowiecznym tłumem, pokłonili mu się uroczyście i takiż pokłon odebrali²⁵⁰. Potem żydzi przyłączyli się do konduktu i zgodnie z przepisami swej religii, zajęli miejsce zaraz za trumną i razem z całą procesją weszli do kościoła archikatedralnego.

Na Saskim Placu, orszak spotkany został przez pastorów luterskich i kalwińskich z ich superintendentami na czele, otoczonych licznym gronem członków kollegiów kościelnych. Zajęli oni miejsce przed zakonami żeńskimi i także odprowadzili zwłoki aż do katedry. W gronie tem znajdował się także pastor z Łodzi, przybyły na pogrzeb z deputacją z tego miasta. Oprócz pastorów, orszak pogrzebowy powiększony został na Saskim Placu przez konsulów wszystkich mocarstw. Ubrani w mundury paradne, kapiące od złota, ukazali się konsulowie: angielski, francuski, austriacki, belgijski, saski i nawet pruski, co pewną sensacją sprawiło.

Wśród takich to epizodów, wśród odgłosu bębna na odwachu, który wystąpił i broń prezentował, przeciągnęła procesja przez Plac Saski i Krakowskie Przedmieście ku Placowi Zamkowemu. Pewne wrażenie na obecnych sprawiał widok kilku dygnitarzy rosyjskich, a między nimi zięcia Gorczakowa, Pankratiewa, który szedł z głową odkrytą²⁵¹. Ludność, nie mogąc się pomieścić na ulicach, zajęła wszystkie okna domów, nawet dachy. Gdy procesja przeciągała przez Plac Zygmuntowski, z okien Zamku patrzyła na nią ciekawie dygnitarka rosyjska...

Pierwotnie Lambert miał zamiar osobiście wziąć udział w pogrzebie z całym swoim sztabem. Wszak czytał program i sądził, że jeżeli przytrafią się jakie wykroczenia przeciw niemu, to tak mało znaczące, że można będzie na nie uwagi nie zwracać. Ubrał się więc w mundur galowy; na dziedzińcu zamkowym oczekiwało około piętnastu koni, na których Lambert ze sztabem miał wyruszyć wierzchem. Wtem doniesiono mu o zmianie bardzo poważnej programu; zdjął więc błyszczący mundur, włożył ubranie codzienne i siadł przy oknie. Obok niego, u innych okien stanęli uzbrojeni w binokle Gerstenzweig, Kryżanowskij, Potapow, Wielopolski i wielu wyższych dygnitarzy.

Ciekawie patrzano na przesuwaną się procesją i w milczeniu poglądano na siebie...²⁵²

Tymczasem kondukt przeciągnął wśród nieustannego jęku rozkołysanych dzwonów i żałośliwego śpiewu duchowieństwa, i wkroczył na ciasną ulicę

250 A. Giller. *Historia powstania narodu polskiego*, I, 244.

251 *Die Yorläufer des polnischen Aufstandes*, 148.

252 N. Berg, loc. cit. 364.

Świętojańską. Ponieważ tego olbrzymiego, stutysięcznego tłumu kościół nie byłby w stanie pomieścić, więc cechy i korporacje wszelkiego rodzaju, poprzedzające trumnę, przeszły tylko obok katedry i udały się aż na ulicę Gołębią, gdzie stanąwszy oczekiwały końca ceremonii. Do kościoła weszły jedynie delegacje wszelkich instytucji, cechów i korporacji w liczbie po trzech z każdej, cały komitet pogrzebowy, rodzina i naczelnicy władz rządowych.

Dochodziła godzina szósta wieczorem, gdy znaleziono się przed starą, gotycką katedrą warszawską. Drzwi były na rozścież otwarte i wewnątrz świątyni gorzało tysiącem ognii. W samym środku, na pomoście stał wyniosły katafalk, suknem pąsowem obciążony i złotem ozdobiony²⁵³. Po ustawieniu trumny na katafalku i odpowiednich ceremoniach, wszedł na ambonę X. Rzewuski i opowiedział życie nieboszczyka. Oczywista rzecz, że w tem opowiadaniu nie mógł pominąć ostatnich czasów, w których dopiero właściwie począł Fijałkowski odgrywać rolę historyczną i stał się bożyszczem narodu.

Rzewuski, przedstawiając jak wielkie trudności miał zmarły do pokonania, wołał: „czyż mógł arcybiskup zgodzić się na to, aby z Sakramentu spowiedzi trybunał indagacyjny robiono, a to przez rządowy zakaz wydany do duchownych, aby tylko znajomych do konfesjonału przypuszczali? List pasterski, wydany o wstrzemięźliwości kilka razy odrzucała i przerabiała władza świecka, w ogóle nie jak przewodnika i dygnitarza Kościoła, lecz jak podrzędnego sługę arcybiskupa traktująca. Ostatnie wypadki, w których obrażono religię w jej godłach, niemało także przyczyniły się do przyspieszenia zgonu nieboszczyka...”

Po nabożeństwie, długo w noc kościół, jaśniejący wciąż łuną światła i blaskiem purpury, był otwarty i tłumy rozkołysane tą olbrzymią manifestacją, szły oglądać ustrojenie świątyni i katafalka, i modlić się za duszę zmarłego.

Tak się skończył ten dzień pamiętny; sam pogrzeb z jego królewską wspańnością, z czcią i powagą majestatyczną, wywarł wielkie, niezatarte wrażenie. Gazety ówczesne, opisując go, wpadają w zachwyt i uniesienie. „Ten tłumny orszak ludzi wszystkich stanów, pisał J. I. Kraszewski w „Gazecie Polskiej”, wszelkiej wiary, płci i wieku, złączony węzłem jednego, w piersiach tysięcy

253 Kościół tak był udekorowany: U góry katafalka były liście dębowe i wieńce z tychże liści uwite. Na przodzie widać było portret zmarłego przez Lessera i Saclietiego (dekoratora teatru) wykonany. Od sklepienia kościoła, ponad katafalkiem, rozpięto z takiegoż sukna pąsowego baldachim w insygnia arcybiskupie przybrany, którego cztery festyny udrapowane, przywiązane były pąsowymi sznurami do czterech filarów kościoła. Ze środka baldachimu spuszczał się ponad trumną krzyż metropolitalny srebrny, oświetlony lampami. Obok katafalka, stały po czterech rogach kandelabry o 40 światłach każdy, strojne w cyprysy i tuje. Wszystkie okna w kościele czarnymi zasłonami zapuszczone zostały, posadzka kobiercami wysłana, podobnie jak i chóry niemi okryte, a ambona osłonięta pąsowem suknem i krepowymi festonami. Tron arcybiskupi żałobą również był pokryty.

bijącego uczucia; związany braterstwem nadziemskim (?), jakby widzeniem przyszłych losów świata; przesuwający się wśród żałobą okrytego miasta, ze śpiewy (sic), które wiara głęboka natchnęła nadzieją niebieską, podnosił duszę ponad boleści ziemi i opromieniał pokojem anielskim”. „W tym wielkim chórze tysięcy piersi nie było jednej nuty fałszywej, nuty nienawiści, wyróżnienia, nierówności; wszyscy stali się małuczkami, aby całość urosła w potęgę, aby wypowiedzieli sobą, że wiara i miłość są siłą naszą”.

Nazajutrz od samego rana, od godz. 7-ej, rozpoczęło się znowu, celebrowane przez biskupa Szymańskiego, nabożeństwo, trwające do godz. 10-ej, w czasie którego biskup Plater miał mowę i opowiedział szczegółowo o ostatnich chwilach zmarłego i o tem, jak błogosławił zebranych koło swego łóża biskupów i jak ich zaklinał, by trzymali z narodem. Po ukończeniu nabożeństwa, ciało pochowano w grobach pod kościołem. W owe czasy, tuż przy schodach, prowadzących do prezbiterium, była duża płyta marmurowa, która przykrywała wejście do grobów. Płytę ową podniesiono i po krótkiej mowie X. Białobrzeskiego, trumnę spuszczone do lochu. Wśród tego młodzież, kręcąc się po kościele, przypominała obecnym, by się licznie zebrawi na obchód uroczysty i nabożeństwo żałobne w dzień śmierci Kościuszki, d. 15 października i księcia Józefa d. 19 t. m. W ten sposób sam pogrzeb się skończył, ale nie skończyły się inne objawy i jego konieczne następstwa²⁵⁴.

Chłopami, zwiezionymi na pogrzeb z różnych miejscowości kraju, zajęto się bardzo gorliwie.

254 Koszta pogrzebu były bardzo znaczne i według wykazu urzędowego, jaki posiadamy w naszych zbiorach, obciążały masę spadkową po zmarłym. Wynosiły one w ogólności rs. 2994 kop. 6. (Ubogim rozdano rs. 150; muzyka w katedrze rs. 100; katafalk i karawan rs. 170 kop. 70; żałobnicy rs. 6; trumna rs. 255; dorożki rs. 19; balsamowanie zwłok rs. 125; zakonnikom za msze w kaplicy pałacowej rs. 120; światło rs. 846 kp. 24½, za t. z. klapsydry i bilety wolnego wejścia do katedry rs. 150; tapicer Mergenthaler za baldachim i dekoracją katedry rs. 1063 kop. 5½; sąd za opieczętowanie rs. 25). Arcybiskup zostawił testament, spisany jeszcze w r. 1845, do którego dołączone były trzy kodycyle własnoręczne, ostatni z d. 13 września 1861 r. Uniwersalnymi spadkobiercami ustanowieni byli dwaj Fijałkowscy, jeden brat rodzony zmarłego Józef Kalasanty, właściciel wsi Piaskowice pod Zgierzem w pow. Łęczyckim oraz synowiec Wiktor Fijałkowski, właściciel dóbr Kossowice w Opatowskiem. Spadek nie był zbyt znaczny. Masa czynna wynosiła w ogóle rs. 15.211 kop. 21½ (w tem w gotowiznie, w srebrze i złocie było rs. 6.688 kop. 34; w srebrach domowych i klejnotach rs. 1.606 kop. 65); pasywa zaś dochodziły do rs. 9.137 kop. 64, tak że ogółem cały spadek wynosił rs. 6.073 kop. 57½, którym się spadkobiercy podzielili. Później, nie wiadomo za co, zdaje się jednak, że z powodu pogrzebu arcybiskupa, obaj ci spadkobiercy byli aresztowani i siedzieli przez trzy miesiące w cytadeli. Prócz nich, zmarły miał jeszcze bliską krewną Józefę Mansfeldową, zamieszkałą podówczas w Jędrzejowie w Krakowskiem, córkę rodzonego brata Mateusza, ale tej dla niewiadomych powodów nic nie zapisał.

Całemi grupami zabierały ich do siebie na noc klasztory Kapucynów, Bernardynów i inne, a prócz tego poumieszczano ich po domach prywatnych, w czym żydzi nie pozostawali w tyle i ugaszczano ich suto, i karmiono ideami tego patryotyzmu gorącego, który wrzał teraz we wszystkich sercach. Chłopi jedli dobrze i słuchali w milczeniu, potakując wszystkiemu, ale nie wygłaszając swego zdania, które dopiero nazajutrz, przez usta jednego z najstarszych z pomiędzy siebie, wypowiedzieli dość szorstko i wyraźnie.

Na drugi dzień bowiem (11 października) po pogrzebie, rewolucyoniści zajęli się wyłącznie chłopami, w których zgodnie ze swą teorią widzieli jedy-nych zbawców Polski, byle ich się udało zyskać. Zawieziono ich najprzód na Powązki, na grób poległych i kazano im zarzucić go wieńcami; potem urządzono dla nich dwie uczty, jedną w hotelu Wiedeńskim, drugą w Europejskim. W tym ostatnim zebrało się mnóstwo ludzi wszystkich stanów, ciekawych tego niezwykłego w Polsce widoku, panów ugaszczających chama, surdutów i siermięg zmieszanych razem. Kto mógł, biegł do przepysznej sali hotelu Europejskiego, gdzie przy ogromnym stole, na 200 osób zastawionym, zasiedli wszyscy wspólnie. Każdy chłop miał sobie dodanego jednego z członków albo b. Towarzystwa rolniczego, albo Delegacyi, albo wreszcie z pośrodku młodzieży, która starała się wszelkimi siłami okazywać swym gościom serdeczność i uczucia braterskie. Było mnóstwo żydów, szlachty, księży i mieszczan warszawskich. Pito głównie miód polski. Przemawiali księża: Stecki i Wyszyński oraz August Zawisza, Hiszpański i inni. Wszystkie mowy miały za temat tę ojczyznę nieszczęśliwą, tak biedną, rozszarpaną, ujarzmioną; wszystkie starały się obudzić uczucia patryotyczne w chłopach. Ci zrazu siedzieli dość mroczni i nieswoi, ale powoli ich pocziwe dusze polskie, stara krew piastowska, w tej atmosferze powszechnego entuzjazmu, w tej rosnącej fali miłości do kraju, poczęły się rozgrzewać. Jakiś stary kmicz z księstwa Łowickiego powstał i wyrzekł te słowa pamiętne: „teraz panowie jesteście z nami w zgodzie, ale jak przyjdzie do czego, to tak jak w rewolucyę, rzucicie nas na żeżarcie Moskalców!” Lecz te słowa gorzkiej prawdy nikogo nie obraziły; rozrzewnienie doszło do najwyższego stopnia, wszyscy płakali, przysięgali sobie miłość i zgodę, byle ojczyzna była wolną i szczęśliwą! Piękna zaiste godzina, szczytny wylew najserdeczniejszego entuzjazmu, czemuż niestety! tak krótko trwały?...

Tę ucztę pogodzenia się wszystkich stanów na grobie ojczyzny, jak mówiono, zakończył ksiądz Stecki mową, w której przedstawił obecne położenie kraju, zachęcał wszystkich do ufności wzajemnej, ostrzegał, by nie słuchano podszeptów fałszywych, wreszcie podniósł stary toast polski: kochajmy się! Więc rzucono się sobie w ramiona, ściskano się, całowano, uniesienie dochodziło do ostatnich granic. Potem wznoszono różne toasty, na cześć pana An-

drzeja Zamoyskiego, księży Wyszyńskiego i Steckiego, za pomyślność „starozakonnych braci naszych”, za wygnańców, za unię Litwy i Rusi z Polską...²⁵⁵.

Uczta skończyła się koło godziny 5-tej po południu. Na chłopów oczekiwały już na Placu Saskim trzy omnibusy i kilka dorożek, które miały ich odwieźć do kolei. Wychodzącym ze sali rozdawano małe medaliki na pamiątkę zjazdu w Horodle wybite, jako też wizerunki zmarłego arcybiskupa. Chłopi siadając na wózki, rozochoceni mocno, w swej rozbudzałej fantazyi polskiej, poczęli wołać: „niech żyje Warszawa!” Jedna ich część jechała na stacyą kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, druga do rogatek Mokotowskich. Na koźle pierwszego omnibusu siedział chłop i trzymał chorągiew z orłem białym. Tysiące ludzi, tłumy ogromne towarzyszyły tej jeździe; zdejmowano kapelusze, rzucono czapki w górę, krzyczano: „niech żyje Polska! niech żyją bracia nasi wieśniacy! Na stacyi kolei niemiejszy tłum oczekiwał. Utworzono szpaler, wśród którego znajdowało się wiele kobiet strojnie ubranych, z bukietami kwiatów, którymi obrzucały chłopów.

Ci szli środkiem szpaleru z chorągiewami, trzymani pod ręce przez szlachtę i Warszawiaków. Miejsca w wagonach już były dla nich przygotowane i opłacone. Wśród nieustannych okrzyków: „Jeszcze Polska nie zginęła!”, wśród potopu kwiatów i wieńców, chłopcy siadać poczęli do wagonów. Owego starego mówcę z hotelu Europejskiego, który przepowiadał, że panowie cisną chłopów „na zeżarcie Moskalowi”, zaniecono na rękach do wagonu i domagano się odeń błogosławieństwa dla Warszawy. Na pierwszym wagonie powiewała zatknięta chorągiew z orłem polskim, na drugim krzyż ciernowy. Gdy pociąg ruszył, lud klęknął i zaśpiewał: „Boże, coś Polskę”. Aż do okopów liczne tłumy stały i żegnały chłopów, a ci powiewali kapeluszami i czapkami, krzycząc: „niech żyje Polska! niech żyje Warszawa! Wszystkie stacye aż do Skierniewic były uilluminowane i napełnione ludem; wszędzie owacyjnie żegnano gości wiejskich. W Skierniewicach kościół był oświecony i po przyjeździe, chłopcy udali się do niego, skąd po odśpiewaniu paru pieśni rozeszli się do domów.

Tak się skończyła ta wielka manifestacja, różniąca się od dotychczasowych tą wyraźną cechą, że usiłowano wciągnąć do ruchu chłopów, dotąd zdała odeń stojących, a nawet mu niechętnych. Rewolucyoniści z tej manifestacji cieszyli się nadzwyczajnie; różna młodzież w guście Marata-Szachowskiego, urodzona i wychowana na bruku Warszawy, znająca chłopca ze sceny, lub z „Czytelnicy niedzielnej”, przekonaną była, że z garścią skierniewieckich i mokotowskich chłopów cały lud polski sobie zyskała, że lud ten odtąd należy do powstania i byle hasło tylko dano, porwie za starą kosę Raclawicką. Starsi, doświadczeń-

255 Z relacji współczesnych.

si, lepiej znający kraj, a nade wszystko chłopą, nie mieli pod tym względem złudzeń, ale cieszyli się z tego, że w oczach Europy, o co im bardzo szło, Polska we wszystkich swych warstwach przedstawić się teraz musi jako jednolita masa, jako jeden naród niczem nie rozdzielony.

Na teraz to im wystarczało i byli bardzo zadowoleni z ostatniej manifestacji.

Ale nie porzeczano na niej. Powracających z Warszawy po pogrzebie biskupów wszędzie po drodze ostentacyjnie witano. Baranowskiego w Markuszewie, Kurowie, Garwolinie tłumy ludu z kwiatami i wieńcami przyjmowały. Pieńkowskiemu gdzieś na drodze, gromada dzieci wręczyła bukiet z kwiatów białych, czerwonych i niebieskich, prosząc, by wymodlił ojczyznę, za którą one kiedyś chcą walczyć. W Lublinie, w dniu przybycia obu biskupów, miasto uilluminowano, a tłum ludu, wśród grzmiących okrzyków, odprowadził ich do mieszkania.

Rozpoczęły się teraz w całym kraju nabożeństwa żałobne za duszę zmarłego arcybiskupa²⁵⁶. W Kijowie przyszło przy tej sposobności do brzydkiej awantury. Nabożeństwo naznaczone było na dzień 21 października. Studenci uniwersytetu żywo się tą sprawą zajmowali i rozesłali zaproszenia w trzech językach: polskim, ruskim i rosyjskim.

256 W Poznaniu odbyło się ono d. 14 października, w kościele św. Wojciecha, przy ogromnym napływie ludności, wśród kiru, którym świątynia była obita, z katafalkiem, na którym stała świeca złamana i niezapalona, koroną cierniową ozdobiona. We wszystkich miasteczkach Księstwa odprawiano także nabożeństwa. W Krakowie administrator dyecezyi wezwał do tego duchowieństwo i polecił, by przez pięć dni, trzy razy dziennie uderzano w dzwony, lud zaś przez rok cały plebani mają w każdą niedzielę i święto wzywać z kazalnicy do modlitwy za duszę zmarłego. W Tarnowie odbyło się nabożeństwo d. 11 października, we Lwowie d. 15, gdzie celebrował arcybiskup X. Wierchlejski. Na katafalku umieszczony był portret nieboszczyka i testament przekazany duchowieństwu polskiemu. W Paryżu, d. 24 października w kościele Wniebowzięcia, wszyscy Polacy ubrani w grubą żałobę byli obecni na nabożeństwie; d. 8 odbyło się ono w Krasnostawie, 12 w Kaliszu, 16 w Tarnobrzegu, 12 w Lublinie, 11 w Kole, 14 w Koninie, 11 w Białobrzegach, 10 w Brześciu Litewskim, d. 18 w Mińsku Litewskim. Zjazd szlachty był tu ogromny, celebrował biskup Wojtkiewicz. Cały kościół był kirem obity i dwie chorągwie czerwone z białymi orłami nad katafalkiem w kształcie krzyża zawieszono. Dnia 18 w Wilnie, w kościele Franciszkanów; w Grodnie d. 9 października; d. 29 w Mohilewie, gdzie nabożeństwo, jak donosiła „Gazeta Polska”, zakończyło się „tkliwym śpiewem, który jakby z jednej piersi i z jednego serca pochodził”. Dnia 6 listopada w Rzeczycy (Inflanty polskie). Odbyły się nabożeństwa prócz tego w Rohaczewie, Kopyściu i wielu bardzo wsiach. W Warszawie odbywały się kolejno we wszystkich kościołach, wszędzie wśród kirów, emblematów, pieśni, z wyraźnym charakterem manifestacyjnym. Dnia 7 listopada odprawiono je w Petersburgu: d. 5 listopada w Rzymie, w kościele św. Kludyusza. Śpiewacy z kaplicy Sykstyńskiej, umyślnie przez Papieża przystani, wykonali treny żałobne.

Kościół był przepełniony, strój czarny przeważał. Przy wyjściu z kościoła, spostrzeżono na ganku stojącego dozorcę policyjnego, niejakiego Matkowskiego, oczywiście Polaka, rzucono się nań, przewrócono i zbito nielitościwie. W kilka dni potem (według innych poprzedniego dnia) taki sam los spotkał na najruchliwszej ulicy, na Kreszczatiku, urzędnika dóbr państwowych Rodziewiczza, który uchodził w oczach młodzieży za złego Polaka²⁵⁷.

Tymczasem, gdy się to działo w Kijowie, gdy w Warszawie tak uroczyście chowano interrexa polskiego i ucztowano z chłopami w hotelu Europejskim, z dala od stolicy, nad Bugiem rozgrywały się inne sceny, niemniej uderzające swą wielkością i oryginalnością. Wieści o tem, co się stało w Horodle, gdzie tego samego dnia, w którym odprawiał się pogrzeb Fijałkowskiego, odbył się dawno zapowiadany zjazd, zrazu głucho i niepewne, w końcu jasne i szczegółowe nadbiegły do Warszawy i wszystkie serca patryotów napełniły radością.

Myśl obchodu rocznicy unii Horodelskiej już od kilku tygodni agitowała się żywo w całym kraju. Powstała ona, jak się zdaje, w głowie Apolla Korzeniowskiego, który, najwykształceńszy może z pośrodku otaczającej go młodzieży, wychowanej w szkole Muchanowa, pierwszy wprowadził manifestacyjne ob-

257 Jak dalece już wtedy stosunki między młodzieżą polską i ruską, a zwłaszcza rosyjską, były rozgoryczone, świadczy fakt następujący: Po wypadku z Matkowskim, studenci Polacy udali się do uniwersytetu i tu w sali zebrań odczytano głośno list, pisany przez studentów petersburskich, domagający się, by Kijowiaci przyłączyli się do kolegów wszystkich innych wszechnic w sprawie protestu przeciw nowym przepisom uniwersyteckim, jakie rząd wprowadzał. Ale tu wobec Rusinów i Rosyan sprawa ta, właśnie dlatego, że była popierana przez Polaków, nie mogła znaleźć sympatii. Mimo to, jeżeli wierzyć można doniesieniom urzędowym, studenci Polacy, w towarzystwie bardzo nielicznej garstki Rusinów, mieli potłuc lamy i szkło, za którym umieszczone było ogłoszenie o nowych przepisach. Rada pedagogiczna uniwersytetu wobec tego wezwała studentów, ażeby na piśmie oświadczyli, że nie sympatyzują wcale z powyższą demonstracją. Podpisywanie tej deklaracji szło bardzo wolno, mimo to w ciągu trzech dni zdołano zebrać 300 podpisów; nie dość na tem, studenci Rusini, a jak się niektórzy już poczynali nazywać „Małoruscy”, wyjednali u władzy pozwolenie na zwołanie zgromadzenia, które by zastanowiło się nad środkami, mogącymi na przyszłość zapobiedz takim, jak 9 października, demonstracyom. Pierwszą kwestyą, jaka się podniosła na tem zebraniu, była: „czy studenci Polacy mogą brać udział w zgromadzeniu?” w rezultacie, po długich rozprawach zgodzono się, że mogą być obecni, ale głosu żadnego nie mają. Rezultatem tej narady był taki wniosek: „że ponieważ Polacy przykrzą się nie tylko krajowi południowo-ruskiemu, ale i uniwersytetowi, więc studenci ruscy zmuszeni są prosić rząd, ażeby założył dla Polaków osobny uniwersytet”. Jednakże Polacy, prawdopodobnie w poczuciu potrzeby zyskania sobie Rusinów, zwrócili się do nich z propozycją zgody i przedstawienia warunków, na których ta zgoda mogłaby dojść do skutku. W tym celu wybrano z obu partyi deputowanych, którzy zebrawi się w nocy, ale i ta narada do niczego nie doprowadziła, owszem rozdrażnienie wzajemne jeszcze bardziej zaogniła. (Na podstawie relacji urzędowych).

chody rocznic historycznych. Przytem, jako Rusin z rodu, chciał przez ten obchód obudzić dawne wspomnienia unii Polski z Rusią, jak obchód w Kownie d. 12 sierpnia obudził wspomnienia unii z Litwą²⁵⁸. Pragniono zresztą pokazać światu całemu, że Polska w swych starych granicach historycznych zawsze jest tą samą Polską, jaką była przed rozbiorami, że pretensje rosyjskie do Rusi są nieuzasadnione. Do urzeczywistnienia projektu tej manifestacji przyczynił się także bardzo wiele ksiądz Stefan Laurysiewicz, Rusin z rodu, unita, zamieszkały w tej porze w klasztorze Bazylikańskim w Lublinie²⁵⁹.

Gończy patriota, pragnął on koniecznie wciągnąć Ruś do ruchu rewolucyjnego i w tym celu odbył umyślną podróż do Kijowa i na Ukrainę zadnieprską i zdołał zebrać kilka osób, pewien rodzaj deputacy, która z nim razem udała się do Warszawy dla porozumienia się z tamtejszemi kołami rewolucyjnymi i określenia stosunku Rusi do przyszłej Polski²⁶⁰. Z kim się w Warszawie ci panowie porozumiewali, nie wiadomo; to pewna, że w naradach tych brał udział Korzeniowski, Szaehowski, Majewski i inni, i postanowiono, aby odtąd do herbu Polski i Litwy zawsze był dołączany herb Rusi (archanioł Michał) oraz aby „nawiązany węzeł bratni trzech ludów, wskazując nową politykę, różną od dawniejszej, był ujawnionym”. I tak powstała myśl zjazdu horodelskiego. Myśl ta znalazła wszędzie oddźwięk, we wszystkich sercach pozyskała aprobatę, tak dobrze wśród mieszczaństwa warszawskiego, jak i wśród szlachty. Jurgens podobno gorącym był jej zwolennikiem. Rozpoczęła się więc żywa bardzo i energiczna agitacja w całej dawnej Polsce, prowadzona głównie przez Laurysiewicza i niez mordowanych braci Frankowskich; chciano bowiem, żeby w obchodzie wzięły udział wszystkie części kraju, żeby ze wszystkich jego dzielnic, ze wszystkich ziem i województw byli deputaci.

Ktoś zaproponował, żeby z dzielnic tych, jak niegdyś na krakowski kopiec Kościuszki, każdy przywiózł garść ziemi i żeby z ziemi tej na pamiątkę ob-

258 *Historia ruchu narodowego* I, 113.

259 *Pamiętka dla rodzin Polskich*, II, 148.

260 *Każ. Gregorowicz w swym „Poglądzie krytycznym na wypadki 1861 — 63 r.”* I, 35, powiada, że w deputacyi tej znajdował się także „potomek w prostej linii dawnego kozaka zaporoskiego, człowiek wielkiego zapału i wykształcenia, który był prawdziwą duszą ożywczą deputacyi, jednocześnie cementem spajającym różnorodne żywioły Rusi. Porozumienie nie było łatwe; nagromadzone w przeszłości materiały do wzajemnego niedowierzania, budziły się pod wpływem rozpraw, dotyczących rzeczy narodowych pierwszorzędnego znaczenia”. Kozakiem tym, o ile wiemy, był niejaki Podhaluzin („Pamiętka dla rodzin polskich” I, 124, zowie go błędnie Podhamozinem Mitrofanem), osobistość niewyraźna, miesząca się w tej dobie do wszystkiego, który w r. 1863 dowodził niewielkim oddziałem jazdy w Sandomierskiem, pod pseudonimem Huragana. Schwytany, został rozstrzelany w rowie cytadeli warszawskiej w r. 1866.

chodu usypaną była mogiła. Krążyło zresztą mnóstwo projektów, mówiono o nich głośno i oczy wszystkich zwrócone były na ciche, nadbużne miasteczko, w którym zamierzano odbyć tę wielką manifestacją wszechpolską.

W końcu września ukazała się nareszcie odezwa, napisana, jak się zdaje, przez Korzeniowskiego²⁶¹, wzywająca do obchodu unii w Horodle nadbużnym d. 10 października. „Niesłychanem w dziejach narodów wydarzeniem, woła odezwa, wzajemne sympaty i idea wolności zastąpiły tu zwycięstwo i podbój. Pominąć fakt podobny bez nadania mu właściwego znaczenia dla chwili obecnej, nie uświęcić powszechnym narodowym obchodem tak drogiej dla nas pamiątki, byłoby zaparciem się wobec Europy, narodów i własnego sumienia, swojej przeszłości i przyszłości zarazem. Wzywamy więc trzy narody połączone, aby tem sercem przyjęły odezwę naszą, jakiem ich przodkowie przyjęli wezwanie na zjazd horodelski i tuszymy, że głos nasz w każdym miłującym ojczyznę i swobody znajdzie przychylne uznanie”. Odezwa, dla nadania obchodowi znaczenia, wzywała przede wszystkim duchowieństwo unickie i łacińskie, „aby tak ze względu na jedność cierpienia i nadziei z narodem, jako też dla interesu kościoła, ściśle połączonego z interesem Polski”, przyjęło publiczny i najszerszy udział w obchodzie przez swoich biskupów, deputacje kapituł, zgromadzeń zakonnych i wszelkich korporacji duchownych ze wszystkich diecezji dawnej Polski; domagała się, by towarzystwa naukowe i literackie, uniwersytety, redakcje dzienników polskich i ruskich, towarzystwa i spółki przemysłowe, miasta i korporacje „Polaków Mojżeszowego wyznania” i w ogóle wszelkie ciała społeczne, mające pewną organizacją, przyjęły przez swych deputatów udział w zjeździe.

„Naród nasz, mówi odezwa, w ten tylko sposób reprezentowany, potrafi obchodowi horodelskiemu zapewnić powszechne i narodowe uznanie”. W końcu proklamacji znajdował się spis księstw, województw i ziem, stanowiących niegdyś ciało Rzeczypospolitej, które miały należeć do obchodu. Żalobę na ten dzień polecono rzucić.

Nowa ta manifestacja, która ogromem swoim wszystkie dotychczasowe przewyższyć miała, mocno zaniepokoiła Lamberta, ale nie wiedział, jak sobie postąpić. Raz chciał ogłosić stan wojenny, o który nieustannie nań cesarz nalegał, to znów myślał, że najlepiej będzie wprost zakazać zjazdu w Horodle. Wielopolski zapytany o radę, najusilniej oparł się ogłoszeniu stanu oblężenia. Stan oblężenia, mówił, nie jest środkiem zapobiegawczym; należy się do niego uciekać wtedy dopiero, gdy tego wymagać będzie bezwarunkowo utrzymanie

261 N. Berg, loc. cit. 349. Odezwę tę wydrukował Giller (Hist. pow. nar. pol. II, 87), oraz broszura „Wiadomości z kraju” p. 19; wreszcie bardzo często można ją spotkać w zbiorach druków z tej epoki.

porządku publicznego. „Bądźmy oszczędni w słowach, zakończył, ale za to szczodrzy w czynach”²⁶². Lambert usłuchał tej rady i postanowił zapobiedz zjazdowi horodelskiemu przez odpowiednie rozporządzenia wojskowe i przez prosty zakaz, choć z góry należało przewidywać, że ani jedno, ani drugie do niczego nie doprowadzi.

W tym celu naczelnik sztabu głównego, wysłał z rozkazu namiestnika d. 26 września, a więc na dwa tygodnie przed zapowiedzianym zjazdem do generała Chruszczowa, znanego nam już naczelnika wojennego w Lublinie, odezwę, w której zaznaczał, że „obiegają tu pogłoski, jakoby w miasteczku Horodle zaczęto budować łuki tryumfalne (triumfalnyja arki)”; że „jeżeli rzeczy w istocie tak się mają, to namiestnik życzy sobie, aby wszelkie tego rodzaju budowle były zburzone do fundamentów”; że namiestnik „poleca panu generałowi (waszemu prewoschoditelstwu), ażeby osobiście udał się do Horodła dnia 10 października, a nawet wcześniej, jeżeli pańska obecność okaże się tam potrzebną”; „że bardzo byłoby pożądanem zmuszenie tłumu do rozejścia się samymi słowami i namową (ugovorami i uwieszczaniami), ale jeżeli to skutku nie odniesie, to należy uciec się do broni”²⁶³.

Instrukcja była jasna i wyraźna, ale można się było spodziewać, że Chruszczow, człowiek dobry i łagodny, mając wolność do nieuciekania się do broni, w żadnym razie jej nie użyje. Mimo to wziął się zaraz do wykonania rozkazów. Do Horodła wysłał natychmiast swego szefa sztabu, podpułkownika Witkowskiego, znanego nam z czasów Delegacji lubelskiej, Polaka, Warszawiaka rodem, który właśnie rozpoczynał swą dziwną rolę historyczną, ażeby kazał rozburzyć owe „łuki tryumfalne”, o jakich rozkaz namiestnika mówił. W rzeczy zaś samej nie były to żadne łuki, ale po prostu założono, nie wiadomo z czyjej inicjatywy, fundamenta pod mający się wzniesić pomnik na pamiątkę unii. Witkowski fundamenta te kazał rozrzucić, Chruszczow zaś zgromadził w Horodle i jego okolicy bardzo znaczne siły wojenne, dochodzące do 1.500 ludzi piechoty, 1.000 koni i 8 dział artylerii konnej. W samym Horodle stanęło 1.000 ludzi piechoty, 300 koni jazdy i cztery działa artylerii konnej²⁶⁴.

Takimi były rozporządzenia wojskowe, któremi miano nadzieję zapobiedz nowej manifestacji. Liczono może na to, że tak znaczne rozwinięcie sił wojennych przestraszy manifestatorów. Z drugiej strony Lambert kazał

262 Lisicki, *Le marquis II*, 231.

263 N. Berg, *loc. cit.* 352.

264 Reszta sił zajęła Hrubieszów (szwadron dragonów, 4 działa oraz 2 kompanie pułku Mohilewskiego piechoty), Dubienkę (30 kozaków), wieś Łużków (szwadron dragonów). Rezerwę utworzyły dwa szwadrony ułanów, których ściągnięto forsownym marszem z Krasnegostawu oraz setnia kozaków sprowadzona z Chełma.

w d. 1 października, w pierwszym numerze nowego „Dziennika powszechnego”, ogłosić, co następuje: „doszło do wiadomości rządu, że na d. 28 września (10 października) r. b. zamierzone zostało liczne zebranie ludu do miasteczka Horodła, położonego w gubernii lubelskiej, powiecie Hrubieszowskim.

Gdy powód tegoż zgromadzenia niczem usprawiedliwić się nie da, a sam napływ w to miejsce znacznej ludności może wywołać nieład i zakłócić porządek publiczny, przeto z polecenia J. W. P. O. namiestnika Królestwa, podaje się do powszechnej wiadomości, że wspomniane zgromadzenie zostaje przez rząd wzbronionem i że w celu zapobieżenia temu przedsięwzięte są odpowiednie środki”.

Rzecz prosta, że nie można się było ludzić, by ten zakaz jakikolwiek miał skutek. Zewsząd dochodziły wieści, że rewolucyoniści zamiar swój urzeczywistnią, że ruch w kraju jest wielki, że zjazd będzie olbrzymi. Chruszczow obsadził wszelkie drogi i przesmyki oraz wybrzeża Bugu, kawaleryą; prócz tego, jak w czasie wojennym wysyłał ciągłe patrole i podjazdy we wszelkich kierunkach. Zdarzyło się, że w nocy z d. 3 na 4 października w okolicach wsi Hrebienne, leżącej wśród bagnisk, jeden z dragonów natknął się na partyę jeźdźców, złożoną z 10 do 12 koni i zaczepiony przez nich, dał ognia z pistoletu²⁶⁵. Co znaczyli owi jeźdźcy nie wiadomo; zdaje się, że była to młodzież okoliczna, która zajmowała się przygotowaniem do manifestacji.

Gdy o tym, bardzo małego zresztą znaczenia wypadku, wieść doszła do Warszawy²⁶⁶, wywarła ona silne wrażenie na Lamberta. Począł on się lękać i słusznie, żeby zbytnia gorliwość oficerów z jednej, dzikość żołnierzy z drugiej strony, nie doprowadziła do krwi rozlewu i nie przerwała na zawsze tak mozolnie nawiązywanych nici uspokojenia kraju drogą łagodności i ustępstw. Wypadek w Hrebiennem świadczył, że wojsko w okolicy Horodła jest silnie podrażnione, uważa się za będące na wojnie i może się dopuścić strasznych nadużyć.

Dla zapobieżenia temu, w d. 6 października wysłał do Chruszczowa nowy rozkaz, w którym zalecał mu „zwracać baczną uwagę na wojska, zebrane obecnie w okolicy Horodła oraz na to, że wojska te, tak piechota, jak i dragoni, przybyli nie dawno z Rosyi, a więc mogą, nierozumiejąc jeszcze naszego stosunku do mieszkańców tutejszych, uciec się do broni, czego należy unikać...”, „jeżeli zaś, pomimo wszelkich środków zapobiegawczych... procesya przyjdzie do skutku, to należy ją rozpędzić przy pomocy jazdy, działając ze skrzydeł i z tyłu, przyczem należy unikać starcia z księżmi i kobietami. Upartych trze-

265 N. Berg, loc. cit. 353, podejrzewa, że jeźdźcy owi chcieli dragona utopić w bagniskach i że pistolet jego wystrzelił wypadkiem.

266 Chruszczow zdał o nim raport zaraz, d. 5 października.

ba aresztować i odsyłać do Zamościa, do czasu zdecydowania o ich losie przez namiestnika”²⁶⁷.

Wśród takich warunków i takich przygotowań, zbliżał się dzień 10 października, naznaczony na zjazd. Właściwie miały być dwie procesje: jedna z prowincji leżących z tej strony Bugu, druga z Rusi zabużnej. Obie miały się zejść w Horodle, tam odprawić nabożeństwo uroczyste i usypać na pamiątkę mogiłę. Ale Chruszczow zapobiegł temu przez to, że rozstawił, jakieś rzeckli, wzdłuż Bugu, po obu jego stronach, gęste placówki kawaleryjskie i niko go z jednego brzegu na drugi puszczać nie kazał. Prócz tego polecił ściągnąć na lewy brzeg wszystkie łodzie i promy, tak że komunikacja była przerwana zupełnie. Te przygotowania ze strony rządu, to nagromadzenie wojska, które w łatwo zapalnej wyobraźni tłumu obliczano na 40 tysięcy, nie uszły i nie mogły ująć uwagi manifestatorów; przekonani oni byli, że w Horodle przyjdzie do nowego „krwawego starcia”, ale to wcale ich nie przerażało i bynajmniej nie myśleli się cofać. Osądzwszy raz taki zjazd za rzecz pożyteczną dla ojczyzny, postanowili go dokonać, choćby nie 40, ale 100 tysięcy wojska stanęło im na drodze.

Był to pewnego rodzaju heroizm i gotowość do ofiar; jedna z tych cech podniosłych, jaka znamionuje ludzi tej epoki. Z drugiej jednak strony, wieść o znacznym nagromadzeniu wojsk, mnóstwo plotek, obiegających po kraju, zakaz rządu, ogłoszony w „Dzienniku powszechnym”, nie pozostały bez skutku. Liczba uczestników w zjeździe zmalała znacznie; jeżeli pierwotnie wybierały się tam dziesiątki tysięcy ludzi, jeżeli sądzono, że na polach Horodła zbierze się do stu tysięcy, to przekonano się, że zebrało się ich zaledwie jakieś kilkanaście²⁶⁸.

Ale i ta cyfra była bardzo poważną; toteż ciche zwykle, jakby senne okolice nadbużne, wśród ślicznej i cieplej jesieni ożywiły się w tej chwili niezmiernie. Już na dwa dni przed naznaczonym terminem, na wszystkich traktach, ku Horodłu wiodących, z północy, południa i zachodu ciągnęły nieustannie wozy i bryczki, wiozące ciekawych i takich, którzy przybywali tu z głębokim przeświadczeniem, że spełniają ofiarę, ale ofiary tej ojczyzna wymaga. „Od Kra-

267 N. Berg, loc. cit. 354. Niesłuszny zdaniem naszym Berg robi zarzut Lambertowi, że dwie zacytowane przez nas instrukcje były sprzeczne między sobą i że Chruszczow po prostu stracił głowę (jestestwienno rasteriałsia). Jak w pierwszej, tak i w drugiej namiestnik wyraźnie zalecał postępowanie łagodne.

268 Korespondent z Lubelskiego, opisujący zjazd w Horodle w zeszycie listopadowym 1861 r. „Przeglądu rzeczy polskich”, oblicza tłum na 15.000 głów. N. Berg loc. cit. 355, powiada, że było pod Horodłem do 10.000 ludzi. Autor broszury „Die Vorläufer des polnischen Aufstandes” mówi (p. 147) o 15.000. Taką liczbę podaje rękopiśmienna kronika tych czasów, jaką posiadamy.

snegostawu począwszy, opowiada jeden ze świadków naocznych, jechałem już w towarzystwie kilkadziesiątu wozów i bryczek, których drugie tyle toczyło się jeszcze za nami sznurkiem bez końca”. Na kilka mil w około nie było też dworu, karczmy, chaty chłopskiej, gumna, stodoły, gdzieby ze środy na czwartek, t. j. z dnia 9 na 10 października nie nocowało nieraz po kilkadziesiąt osób. Były dwory, w których po kilkaset gości się mieściło; gospodarz nie pytał, czy to znajomi lub niezajomi, lecz przyjmował wszystkich z tą szczerą, serdeczną gościnnością polską, z tą gotowością ofiar dla celu szerszego, dla ojczyzny, jaka cechuje ówczesne pokolenie.

Hrubieszów, Stepankowice, Dubienka, Łużków, Hołubków i mnóstwo innych wsi było przepełnionych. We wzmiankowanych Stepankowicach, wielkiej wsi, leżącej na trakcie z Wołynia do Lublina, oddalonej od Horodła o niespełna trzy mile, parę tysięcy ludzi obozowało przez noc na polach; ktoś, jakiś były wojskowy, porozstawiał pikiety, jak w czasie wojennym i gęste patrole z młodzieży złożone, całą noc przebiegały obozowisko, pilnując niby porządku.

Wszędzie, gdzie znaczniejsza ilość pątników się zebrała, odbywały się narady i na koniec największy tego rodzaju sejmik, na którym był i Jurgens, i Korzeniowski, wielu czerwieńców warszawskich i kilku ze szlachty zamożniejszej z Poznańskiego i Galicji²⁶⁹, odbył się w Stepankowicach. Tutaj jeszcze raz, pomimo mnóstwa zatrzważających wieści, postanowiono manifestacji dokonać; zdecydowano, że do Horodła mają wyruszyć dwie procesje z duchowieństwem na czele: jedna ze Stepankowic, druga z Hrubieszowa; spotkać się w Kopyłowie i stąd już razem, „majestatyczną masą”, jak się wyrażał Szachowski, naśladowując konwencyonistów francuskich, udać się do Horodła. Zgromadzonym Rusinom zabużańskim, gdy się dowiedziano w Stepankowicach w nocy z d. 9 na 10 o zajęciu statków przewozowych przez Chruszczowa, pozostawiono swobodę działania, zalecając im jednak, by koniecznie starali się dostać do Horodła, jeżeli nie tłumnie, to pojedynczo. Poprzednio jeszcze wysłano deputacją do biskupa sufragana Baranowskiego do Zamościa, gdzie mieszkał jako tamtejszy proboszcz, ażeby stanął na czele procesji, ale odmówił, gdyż właśnie otrzymał był rozkaz udania się do Lublina, dokąd w rzeczy samej pojechał²⁷⁰.

269 Jeżeli wierzyć podaniom współczesnym, to miała być deputacja z Gdańska, Malborka, z Kurlandji (wezвано podobno generała Rüdigera i radcę tajnego Krusensterna, ale oczywiście nie przybyli), ze Smoleńska, Witebska, nawet kozacy dońscy przysłali deputata, prawdopodobnie tego samego Podhaluzina, który był w Warszawie na naradzie w sprawie obchodu unii Horodelskiej.

270 Lisicki „Le marquis II, 223, powiada, że gdy wrócił do Zamościa, ogromny tłum wyszedł na jego spotkanie i miał wołać: coś zrobił z naszymi mężami, braćmi i synami? dlaczego ich opuścił? Prałat miał dostać ataku nerwowego. Wiadomości tej nie spotkaliśmy w żadnym innym źródle z tej epoki i dlatego sprawdzić jej nie mogliśmy.

Tutaj to wreszcie, w Stepankowicach, w przewidywaniu, że do Horodła nazajutrz nie będzie można się dostać, spisano t. z. „protestu, a raczej protokół aktu odnowienia unii horodelskiej. Redakcją tego dokumentu zajął się Kazimierz Gregorowicz, adwokat z Lublina; literat Brzozowski, Apollo Korzeniowski, Marat-Szachowski i na koniec Sikorski, uczeń szkoły realnej. Nie obeszło się przytem bez żywych sporów, zwłaszcza między stronnikami Jurgensa i Korzeniowskiego, który domagał się, by w razie przeszkody ze strony wojska, uderzyć na nie i siłą przełamać. Te szalone wnioski odrzucono, ale co gorsza poczęto podejrzewać Korzeniowskiego, że jest prostym zdrajcą, że został przekupiony przez Moskali, by wywołać pretekst do nowej rzezi krwawej²⁷¹.

Wśród takich to przygotowań i sporów, minęła noc i zajaśniał dzień 10 października, dzień bardzo piękny i słoneczny, koło południa nawet gorący i parny. W Stepankowicach o szarym świcie pobudzono wszystkich i o godz. 6-tej rano udano się do miejscowej cerkiewki unickiej, gdzie odprawioną została msza śpiewana, a X. Fidelis Paszkowski, gwardyan Kapucynów z Lubartowa, wystąpił z kazaniem, które do łez rozczuliło obecnych. Kazanie to zakończył on temi słowy: „bracia moi! idziemy na spotkanie nieprzyjaciół, którzy nie wiadomo, jak się obejdą z nami. Po kilkakrotnem rozlaniu krwi na ulicach Warszawy, możemy się wszystkiego spodziewać i może nie za długo wielu z nas, a może wszyscy staniemy przed sądem Najwyższego; na wszelki więc wypadek uklękniście, mówcie spowiedź powszechną, a ja wam dam śmiertelne rozgrzeszenie”. Jakoż wśród płaczu ogólnego, łkania kobiet, wszyscy padli na kolana, a ksiądz z wyciągniętymi rękami, ze wzrokiem ku niebu podniesionym, dał rozgrzeszenie.

Scena, według świadków naocznych, była niezwykle wzruszająca i piękna.

Po odprawionej mszy i z tem błogosławieństwem wyruszono wreszcie w drogę. Większość była przekonaną, że idzie na śmierć, że rozegra się straszna pod Horodłem tragedia, powtórzą się krwawe dni kwietniowe i cokolwiekbądź, trzeba podziwiać heroizm tych ludzi, którzy postępowali śmiało, przekonani, że czynią to dla ojczyzny, że poświęcić się dla niej w tej chwili jest obowiązkiem. Powszechnie spodziewano się zasadzki, naglej napaści; mówiono, że wojsko, które uważano za hordę dziką, dopuści się rabunku. W tej obawie zostawiano po drodze u obywateli i poczmistrzów kosztowności i pieniądze. Mimo to nikt się nie wrócił, jakkolwiek tu i owdzie, zwłaszcza wśród młodszych i gorętszych, odzywały się głosy, że niepodobna dawać się bezkarnie zabijać, że w razie napaści wojska należy siłą odeprzeć. Inni

271 Z podań współczesnych.

nie pochwalali tych projektów rozpaczliwych. Napojeni mistycyzmem epoki, bredniami poetycznymi o sile ducha i modlitwy, chcieli, by posuwano się poważnie i wolno, w uroczystej procesyi, przed którą wojsko, jak utrzymywali, rozstać się musi. Byli i tacy na koniec, którzy radzili dotrzeć tylko do Kopyłowa, pomodlić się tam i rozjechać.

Wśród tego wszystkiego postępowano ciągle naprzód. Na czele procesyi, która miała charakter kościelny, z chorągwiami i obrazami, szli księża, których znaczna liczba się zjechała. Za stosunkowo niewielką ilością pieszych, ciągnął się cały tabor wszelkiego rodzaju bryczek i powozów. Na wozach drabiniastych mieściła się ludność okolicznych miasteczek, widziano nawet kobiety z niemowlętami u piersi. Włościan tylko prawie wcale nie było. Ponieważ wyruszone ze Stepankowic bardzo wcześnie i nieomal na czczo, więc przez drogę posilano się, zwłaszcza, że dwory sąsiednie poprzysyłały na furach całe beczki wódki i piwa, całe stosy chleba i pieczeni huzarskiej. Po drodze przyłączały się liczne gromady i procesya Stepankowicka rosła w liczbę, jak lawina staczająca się z gór alpejskich. Śpiewy patryotyczne, rozumie się samo, brzmiały ciągle i według słów świadka naocznego „powietrze niejako w całej okolicy przepełnione było hymnami narodowymi”.

W Kopyłowie połączono się z procesją Hrubieszowską. Od Horodła oddzielał zebranych tylko las, za którym wiedziano, że są uszykowane wojska i że mają rozkaz niewpuszczania nikogo do miasteczka. Prócz tego zjawił się wśród starszyny, wśród tych, którzy niejako przewodniczyli, którzy w nocy naradzali się w Stepankowicach, pewien właściciel dóbr ziemskich, uproszony przez generała Chruszczowa, ażeby starał się zebranych powstrzymać od manifestacji. Przez usta posła generał zapewniał, że ma rozkaz strzelania, że rozkaz ten wykonać musi i wykona. Poseł starał się wszelkimi siłami spełnić swą misję jak należy, ale nie mógł nic zrobić wobec rozgorączkowania powszechnego, wobec przekonania, że to, co się robi, to się robi dla ojczyzny. Z pogardą odrzucono propozycją posła, posądzono go nawet wprost o zdradę, miano mu za złe, że podjął się tego rodzaju misji, wreszcie paroch unicki, Bojarski z Krasnegostawu, zawołał: „pójdziemy na długość bagnetu!” Co to miało właściwie znaczyć, zapewne sam X. Bojarski nie umiałby powiedzieć, dość, że słowa te niezmiernie się spodobały zebranych, od nich przeniosły się do tłumów i wśród okrzyków entuzjastycznych: „pójdziemy na długość bagnetu”, zrywano się do drogi²⁷².

Ale teraz, w obliczu niebezpieczeństwa, trzeba było w tym kilkunastotyśięcznym tłumie, w tem wielkim ruchomem obozowisku, przypominającym ze swego wyglądu wędrówki średniowieczne ludów, zaprowadzić pewien ład

272 Z relacji współczesnych.

i porządek. Na czele więc całej procesyi postawiono chłopą, gospodarza z ordynacyi Zamoyskiej, który niósł krzyż z wizerunkiem Zbawiciela; za nim chorągwie i obrazy rozmaitych bractw i obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, potem posuwało się długim rzędem przeszło 200 księży w komzach i stułach.

Za księżmi stanęły kobiety, „aby, jak się wyraża źródło współczesne, piersiami swemi ochronić mężów, braci, synów, znajomych, a nawet i niezajomych, aby tylko rodaków”²⁷³. Za tą tarczą niewieścią uszykowali się „delegaci wszystkich prowincyi dawnej Polski” i tłum cały. Wszyscy z wozów zeszli i wozy te stanowiły ogon procesyi, zajmujący przeszło ćwierć mili drogi. Koło tych wozów młodzież w sukmanach chłopskich i konfederatkach białych harcowała konno, pilnując wśród nich porządku. Między zebranymi obiegały wieści, że na tych wozach i bryczkach, pod sianem i koniczyną, mieści się broń i amunicya, co oczywiście było fałszem. Mówiono również, że wśród zgromadzonych znajduje się kilkudziesięciu szpiegów, przebranych w strój narodowy, a wysłanych przez rząd umyślnie w tym celu, by wojsko zaczepić i tym sposobem rzeź wywołać. Nie obyło się też w chwili, gdy przechodzono przez las, dzielący Kopyłow od Horodła, bez łapania i bicia owych szpiegów.

Już w lesie napotkano pierwszą pikietę konną, dragona, który spostrzegłszy zbliżającą się procesyę, zerwał się, zawrócił i pędem pognał ku Horodłu. To samo zrobiła druga i trzecia pikieta, co wszystko nie pozostało bez pewnego wrażenia na idących. Gdy na koniec wydostano się z lasu, ujrzano na obszernej płaszczyźnie, pagórkowato się wznoszącej, której ramą było Horodło i sine lasy, ustawioną w szyku bojowym piechotę z jazdą po skrzydłach i artyleryą, a na przedzie świetny, błyszczący sztab z Chruszczowem na czele. Słońce jesienne złociło bagnety i hełmy, działa i szable, i błyskawice w nich zapalało. Widok ten jednak nie powstrzymał procesyi, posuwała się ona dalej, gdy nagle rozległ się głos donośny: „stać!” Zatrzymano się więc, a znany nam już ksiądz Bojarski jeszcze raz przemówił do zebranych, że „nie naszą rzeczą jest zemsta, nie naszą w dniu dzisiejszym oręż”, że „z pieśnią, z modlitwą na ustach, z bezbronnemi, do Boga wzniesionemi ramionami winniśmy naprzód postępować”; zaklinał, że „jeżeli jest pomiędzy wami z bronią ktokolwiek, wskażcie, a sam go w ręce nieprzyjaciela wydam”.

Mowa ta, wyraz mistycznego usposobienia epoki, była wynikiem tych pogawędek, jakie toczono wśród zebranych, że siłę siłą odeprzeć należy, że na wozach, których nieskończony szereg włókł się za procesyą, broń się znajduje. Na głos księdza Bojarskiego, młodzież zrzekła się swych planów zaczepnych i wszyscy poporzucali nawet laski, by ruszyć dalej rzeczywiście z gołemi rękami.

273 Kazimierz Gregorowicz: „Pogląd krytyczny” i t. d.

Po tym krótkim epizodzie, wśród śpiewu „Kto się w opiekę poda Panu swemu”, poczęto iść naprzód. W tejsze chwili, cała linia wojska się poruszyła i posuwać się zaczęła ku procesyi. Przyszedłszy na strzał armatni, artylerya pędem zatoczyła działa, odprzodkowała je i widać było kanonierów, jak stali z lontami zapalonymi. Wojsko zatrzymało się i zdawało się, że lada chwila z tych dział sygną się kartacze, by zdziesiątkować te tłumy, tych księży i te kobiety. Ale widok ten wśród podnieconych do najwyższego stopnia uczuć patriotycznych, wśród entuzjazmu przenikającego wszystkie serca, wśród gotowości do ofiar, nikogo nie powstrzymał. Procesya, śpiewając dalej stary psalm Dawidowy, ufna, że może „nie dbać na strzały, któremi sieje przygoda w dzień biały”, posuwała się ciągle naprzód. Wówczas generał Chruszczow podjechał do idących na czele swego sztabu, złożonego z 14 oficerów, w otoczeniu 20 kozaków, stanął, zdjął czapkę i głosem donośnym zawołał po rosyjsku, że „otrzymał rozkaz od namiestnika, aby nie pozwolić na zbiegowisko w Horodle i jeżeli procesya mimo to będzie tam chciała iść, to zmuszony zostanie uciec się do pomocy siły zbrojnej”. Na to z pośrodku zebranych rozległy się słowa: „nie rozumiemy po moskiewsku!” Wówczas jeden z adjutantów Chruszczowa powtórzył przemowę generała po polsku, a z głębi procesyi dały się słyszeć krzyki: „na długość bagnetu! na długość bagnetu!” owe niefortunne i pozbawione sensu hasło dnia²⁷⁴. Wreszcie ktoś odpowiedział, że idą się modlić. Chruszczow nic na to nie odrzekł i była chwila strasznej ciszy. Generał otoczony błyszczącym sztabem patrzył na tłumy i tłumy patrzyły na niego w milczeniu groźnem i niosącym w łonie swem burzę może.

Tymczasem starszyzna, ci, którzy całą tę manifestacją urządzili, naradzali się gorączkowo, co robić. Z miejsca, na którym stano, widziano drugi brzeg Bugu i zgromadzone tam wojska, nie przepuszczające nikogo do Horodła. Wobec tego zadano sobie pytanie, czy wejście do miasteczka jest koniecznem, czy nie lepiej będzie zatrzymać się tutaj, na polu i przed oczami Rusinów za- bużańskich odprawić nabożeństwo. „Byliby oni w takim razie niejako obecni zebraniu, nie słysząc wprawdzie wyrazów, ale patrząc na obrzęd, wytykający na przyszłość nową drogę postępowania”²⁷⁵. Rada ta przypadła do smaku wszystkim i dla jej przeprowadzenia wysłano do Chruszczowa deputacyą z księdzem

274 Rozmaite są relacje o szczegółach tej rozmowy. Według Gregorowicza, nie adjutant przetłumaczył słowa Chruszczowa, ale księża unicy, którzy przestraszeni mieli wysunąć się naprzód i zawołali: „my rozumiemy po moskiewsku i będziemy służyli za tłumaczy”. Nasze opowiadanie opieramy na Bergu, który miał przed sobą raporta urzędowe i na kronice w kalendarzu Radomińskiego, naocznego świadka, uzupełniając je wiarogodnymi szczegółami z innych źródeł (Gregorowicz, Lisicki, „Przegląd rzeczy polskich”, Podwysockij, kronika rękopiśmienna i relacje ustne).

275 H. Gregorowicz, loc. cit.

Bojarskim na czele. Ten, zbliżywszy się do Chruszczowa, zapytał: „czy generał dajesz na to słowo honoru, że każesz strzelać, jeżeli zechcemy wejść do Horodła?” Chruszczow odrzekł potwierdzająco, więc Bojarski zauważył, że „niepodobieństwem jest, aby kilkunastotysięczna masa, z tak daleka na nabożeństwo zgromadzona, bez odbycia takowego się rozeszła; że przecież modlić się nie zabroniono”. Chruszczow na to odparł, że rząd pozwala na procesje kościelne przez Kościół ustanowione, nie mające charakteru politycznego i demonstracyjnego, i że procesja obecna jest właśnie taką i że on do miasta jej nie puści.

Bojarski zapytał: „Czy nie można by odprawić nabożeństwa na pobliskim wzgórzu?” i wskazał palcem na wysoką mogiłę, wznoszącą się na polach horodelskich. Chruszczow po krótkim, ale widocznym namyśle odpowiedział, że rozkaz przez niego odebrany dotyczy jedynie miasta Horodła, a tem samym pola okoliczne nie obchodzą go wcale i w rezultacie zgodził się na nabożeństwo.

Ponieważ aparatów stosownych nie było, więc poproszono Chruszczowa, żeby pozwolił sprowadzić je z miasteczka, na co przystał i kapucyn Fidelis z pułkownikiem kozackim udali się bryczką do Horodła. W oczekiwaniu, procesja skierowała się ku mogiłę, a między deputacją i Chruszczowem związała się tymczasem pogawędka. Generał rosyjski kilkakrotnie się dopytywał, czy Polacy z bronią zjechali na manifestację, na co mu odpowiedziano, że przybyli tutaj modlić się, nie bić i że nikt broni przy sobie nie ma.

Wśród tego wszystkiego, kierownicy zajęli się urządzeniem ostatniego aktu wielkiej manifestacji. Pchnięto gońców do ogona procesji i do bryczek, które na gościńcu, na blisko milowej przestrzeni zatrzymały się, ustawiono w trzy rzędy, choć mnóstwo ich jeszcze ulokowało się na oziminach i ugorach. Wszyscy więc, którzy dotąd nie wyszli z lasu Kopyłowskiego, teraz tłumnie wylegli i stanęli na pochyłości owego wzgórza czy mogiły, ścierniem pokrytej. Od wschodu, ścianę tego dziwnego i jedyne w swoim rodzaju obrazu stanowiła długa linia wojska, między odstępami której błyszczwały działa, rozrzucone po dwa. Ze wzgórza widać było błękitną wstęgę Bugu, poza którym czerniały wojska, miasteczko Uściług i tłumy zebranej tam ludności. Na tym to czworoboku wyniosłym, od brzegu lasu ku środkowi góry stanęło około 4.000 wszelkiego rodzaju bryczek i powozów. Przywieziony z Horodła ołtarz postawiono na samym szczycie wzgórza, między gościńcem, prowadzącym ze Stepankowic, a wojskiem. Tłumy ludności otoczyły całe wzgórze, które obstawiono wetkniętymi w ziemię chorągiewkami, których było 54. W chwili, gdy ksiądz Anicet, kapucyn z Lublina, przystępował ze Mszą św. do zaimprovizowanego ołtarza, wszystkie te chorągwie pochylały się, bijąc niby pokłon, a w rzeczy samej dlatego, by odpiąć chorągwie kościelne, a na ich miejsce

przymocować sztandary z herbami wszystkich ziem i województw dawnej Rzeczypospolitej. Sztandary te, kobiety poprzynosiły poukrywane pod spódnicami²⁷⁶. Wiatr powiał i rozwinął te pyszne, jedwabiste purpury, a w szeleście ich, zdawało się obecnym, że słyszą chrzęst skrzydeł unoszących się orłów i tętent cwałującej pogoni!... Widok był wspaniały i nigdy niezapomniany dla tych, co nań patrzyli. Te sztandary, to niebo błękitne, ta cicha jesień polska, lasy żółkniejące, te tłumy ludu i to wojsko na koniec, przybyłe tutaj na to chyba, by dodać blasku całej uroczystości, miało w sobie tyle poezji, że najtwardsze, najchłodniejsze serca przejęte były wzruszeniem; najsuchsze, dawno już wypłakane oczy, zrosiły się łzami i żalem za tą utraconą, tak wielką niegdyś, a dziś tak nędzną polską ojczyzną...

Msza była cicha, a towarzyszył jej potężny, grzmiący z dziesiątków tysięcy piersi śpiew „Boże coś Polskę”. Gdy sędziwy, z siwą brodą ojciec Anicet podniósł w górę Hostyą, rozległ się donośny głos księdza Laurysiewicza: „klękać, bo podniesienie!” Wszyscy uklękli, nawet żydzi, których tu zjechało się dużo z Warszawy, Lublina, Lwowa oraz reprezentanci kahałów z sąsiednich miasteczek. Gdy się Msza skończyła, na kazalnicę, na prędcę zbudowaną, poszedł znany nam już Bazyljanin, ksiądz Laurysiewicz i wygłosił mowę palącą, przepełnioną temi uczuciami patriotycznymi, tym uroczystym patosem chwili, jaki spotykamy we wszystkich aktach, słowach i czynach tej epoki. Wyjaśniliśmy obecnym znaczenie tej olbrzymiej manifestacji i pamiątki historycznej, którą tu obchodzono, zapowiedział wyraźnie bliskość powstania zbrojnego.

„Módlmy się — wołał, prosimy Boga o przebaczenie win naszych i ojców naszych, a nadejdzie czas, że dojrzali, wzmocnieni na duchu, z orężem w rękę praw naszych poszukiwać będziemy, ale wtedy... o! wtedy bracia, powstanie Polska jak jeden mąż, nikogo w zastępach naszych brakować nie będzie, za łaską Boga dojdziemy do celu wspólnych życzeń naszych, pobijem wroga, odbierzem, co nasze, złączym rozdarte części wspólnej matki naszej i Polska zakwitnie, i sława jej rozniesie się po świecie szeroko, jak sława synów, co ją z upadku dźwignęli!”

Najważniejszym jednak ustępem mowy, było zaznaczenie stosunku Rusi do Polski. Manifestacja ta bowiem głównie dlatego była zrobiona, żeby zadokumentować niejako unię i jedność Rusi z Polską; nie mógł więc tej kwestii mówca pominąć, sam Rusin z rodu. „Pamiętaj Polsko, wołał, żeś ty nie podbiła, nie zawojowała Rusi; pamiętaj o tem, że Ruś twa siostra, dobrowolnie się sama w objęcia twoje rzuciła. O Polsko! nie odpychaj twej siostry od siebie. Przez naszych to ojców winę, przez ich brak rozumu politycznego, spodłała,

276 Lisicki, Le marquis II, 234.

znikczemniała Ruś bratnia, wyciągnąwszy z niej wszystko, co szlachetniejsze, zostawiono lud biedny w ciemnocie, wystawiono go na wpływ i podszepty sąsiedniej Moskwy... I zmałał, i upadł lud nieszczęśliwy, i nie miał już w końcu siły oprzeć się potężnej sąsiada przemocy; i Polski macierzy już zasłonić nie mógł, i sam padł biedny schyzmą przygnieciony!" „Ależ dzisiaj bracia, naprawcie błędy ojców; naprawcie je, naprawcie, póki czas naprawiać! Nie odpychaj Korono tych ramion, które stęskniona siostra do ciebie wyciąga, nie odpychaj serca, z którym do ciebie płynie! Pamiętaj narodzie, ty wielki narodzie, że nigdy Polska szczęśliwą nie będzie, że nigdy się Polska nie dobieje wolności, bez czynnej i szczerej pomocy Rusi. Pamiętaj kraju zabużny, ty Ruś kochana, ty matko moja, pamiętaj sobie, że tylko w Polsce szczęśliwą być możesz, że tylko Polska twą matką prawą „A ty czajko kozacza, Ukraino moja! wspomnij o! biedna, na szczęśliwą dołą, jakąś miała, gdyś z Polską złączoną była, pókiś się macierzy trzymała. A potem wróg poważniejszy was pomiędzy sobą, rozdarte, pojedyncze, zdusił każdą z osobna lakonowym uściskiem i skrępowane cisnął pod plugawe stopy swoje, i odurzone jedną przeciw drugiej podszczuwa. Żal serce ściska na widok obałamuczonych braci, pod wrażym sztandarem stojących, którzy na skinienie wspólnego ciemiężcy gotowi splamić swe dzidy Kainowym czynem! O! przyplęń, przyplęń czajko z wód Dniepru, tul się pod sztandar orła białego; prowadź ty wodą, gdy on łądem wiedzie, prowadźcie naród do dawnej sławy!"

Wreszcie przemówił do żydów, zachęcając ich do sumiennego wytrwania na obranej raz drodze, przypomniał im przywileje i łaski, jakimi Polska niegdyś ich obsypała i wołał: „kochani bracia Izraelici: jam na was krzyknął: „zegnijcie kolana!" i wy usłuchaliście mnie. Wybaczcie uniesieniu, w jakim to uczyniłem". Na koniec wpadając w entuzjazm, zwrócił się do orłów, bielejących na sztandarach i zawołał: „o! ptaku czysty, ty orle białe! Orle, coś niegdyś korony rozdawał, a dziś własnej nie masz! unieś się lotem nad ludem twoim, załaskotaj skrzydłami po dawnemu, zakrakaj na cztery świata strony, powiedz światu, że żyjesz! Zwołaj twe dzieci pod twój sztandar jeden, zwołaj tułaczów, twych dawnych obrońców i wskaż im drogę!"...

Wrażenie tej mowy, wypowiedzianej głosem silnym, tych słów gorących, targających za najskrytsze struny duszy polskiej, było potężne. Wielu płakało rzewnymi łzami, jęki i szlochania rozlegały się dookoła²⁷⁷. W końcu, wśród ciszy grobowej zwinięto sztandary. Teraz postanowiono na tem miejscu, na pamiątkę

277 N. Berg, loc. cit. 357, utrzymuje, że po kazaniu księdza Laurysiewicza przemawiał jeszcze adwokat Gregorowicz i obywatel z Częstochowy Edward Stawecki. Podanie to jest bardzo wątpliwem. Nie ma o niem bowiem we wszystkich nam znanych relacjach żadnej wzmianki.

obchodu wznieść krzyż, a dół pod niego rękami wykopać. Pokazało się, że w całym tem zgromadzeniu nie było siekiery dla urąbania drzewa z sąsiedniego lasu.

Znalazł się wreszcie chłop prosty (Poleszuk podobno) z siekierą, ściał młody dąb i ramię poprzeczne w braku gwoździ wicią drewnianą związał i w ten sposób zaimprovizował pomnik pod Horodłem. Krzyż ten poświęcili księża wraz ze sztandarami²⁷⁸.

Tymczasem Chruszczow, przypatrujący się temu wszystkiemu przez lunetę w milczeniu, dwukrotnie przysyłał adjutantów, prosząc o rozejście się, gdyż wojsko stojąc od świtu było mocno znużone. Nie bardzo zważano na to i zajęto się teraz na ołtarzu, pod świeżo wkopanym krzyżem, zbieraniem podpisów pod przygotowany w Stepankowicach protest. W proteście tym czytamy, że gdy zebrani na polach Horodła, „otoczeni siłą zbrojną”, do miasta tego dostać się nie mogli, „na pograniczu tego sławnego zjednoczeniem się trzech ludów miasta, odnawiają akt Horodelski w całej swej rozciągłości; protestują przeciw pogwałceniu naszych swobód i niewolniczej formie rządu; protestują przeciw samowolnym rozbiorom Polski i żądają powrócenia jej niepodległości”. Kończą zaś temi słowy: „Akt niniejszy, gdy nie może w obecnem położeniu rzeczy być przesłany gdzie należy, jako zdziałany w kraju rządzonym despotycznie i pozbawionym narodowej reprezentacji, ma być zamieszczonym we wszystkich pismach zagranicznych, dla obznajmienia z nim zaborczych rządów i dla wiadomości mocarstw, których obchodzą jęki ujarzmionego ludu”²⁷⁹. Akt ten gorączkowo podpisywano na miejscu, a i później jeszcze młodzież po dworach i karczmach zatrzymywała przejeżdżających i zmuszała do podpisów na białych arkuszach papieru, które miano dołączać do oryginalnego protestu²⁸⁰.

278 Według relacji w „Przeglądzie rzeczy polskich,” po tym akcie miano te sztandary złożyć w ręce reprezentantów ziem polskich dla przechowania. Wiadomość ta jednak w innych źródłach nie znajduje potwierdzenia.

279 Protest ten czytać można w całości w broszurze: „Wiadomości z kraju”, 25; w Gillera „Historji powstania narodu polskiego”, II, 89, i „Wydawnictwie materyałów do historji powstania”, I, 16.

280 K. Gregorowicz, loc. cit. I, 44, przytacza całkiem inny akt, sporządzony jakoby w Stepankowicach i podpisany na polach Horodła. Protest, któryśmy w tekście podali, uważa on za podrobiony; twierdzi, że pod Horodłem nie podpisywano protestu, ale akt odnowionej unii Polski z Litwą i Rusią. Nieznany autor (Limanowski?) „Historji powstania narodu polskiego”, I, 115, uważa oba akta, tak akt zacytowany przez Gregorowicza, jak i protest, za autentyczne, sądzi tylko, że ten drugi był wcześniej przygotowany w Warszawie. Nam się nie zdaje, by to było możliwem. Nikt w Warszawie nie mógł przewidzieć, jak się manifestacja odbędzie, a zatem nie mógł w proteście zaznaczyć, że do Horodła się nie dostano i na jego polach wskutek tego podpisano protest.

Akt, o którym mówi Gregorowicz, brzmi: „my, niżej podpisani delegaci ziem i powiatów Polski, w tym jej składzie, jaki miała do podziałów, zebrawszy się w Horodle dnia

Około godziny trzeciej popołudniu, cała uroczystość się skończyła i olbrzymia ta fala ludu ruszyła w drogę powrotną²⁸¹.

Gdy się to wszystko działo na polach horodelskich, z tamtej strony Bugu, na Wołyniu odbywały się niemniej interesujące i niemniej oryginalne sceny. Zebrano się tam w znacznej stosunkowo, jakkolwiek o wiele mniejszej liczbie, w Uściługu, skąd wedle pierwotnego planu miała wyruszyć uroczysta procesja, przepłynąć się na promach przez Bug, dostać się do Horodła i tu połączyć się z Koroniarzami. Ale już na parę dni przedtem rozeszła się wieść, że rozstawione wzdłuż brzegów Bugu pikiety nikogo do Królestwa nie puszczają. Do samego Uściługa ściągnięto pułk Olwiopolski huzarów, pewną ilość kozaków, powołano nawet urlopników z dóbr skarbowych. Mimo to wszystko, do Uściługa zjechało się około 2000 osób, przeważnie szlachty wołyńskiej, podolskiej i ukraińskiej. Wszyscy przybrani byli w kontusze i różne emblematy tej epoki. Ulice cichego zwykle żydowskiego miasteczka zawrzały życiem niezwykłym, przepełnione były bryczkami i powozami.

Wieczorem, w wigilię dnia przeznaczanego na uroczystość, uwiadomiono zebranych o programie na dzień jutrzejszy. Miało się więc o godzinie ósmej rano odbyć nabożeństwo w kaplicy na cmentarzu i stamtąd procesjonalnie

10 października 1861 roku w 448 rocznicę unii Litwy z Polską, oświadczamy aktem niniejszym i stwierdzamy go własnoręcznymi podpisami, że unia, jednocząca wszystkie ziemie Polski, wznawia się teraz na zasadach zupełnego równouprawnienia wszelkich narodowości i wyznań, łącząc się do wspólnej pracy celem wydzwignięcia ojczyzny z dzisiejszego jej upadku, aż do odzyskania zupełnej niepodległości. Prawa nasze polecamy sumieniu narodów i rozumowi rządów konstytucyjnych”.

Berg, loc. cit. 357, poplątał rzeczy jeszcze bardziej. Powiada on, że w Horodle podpisano akt zacytowany przez Gregorowicza, a w Uściługu protest przez nas w tekście przytoczony, co jest widocznym błędem, choćby ze względu na treść tego ostatniego aktu. O proteście uściłuskim patrz szczegóły niżej. W ogólności trudno dziś dojść, jak się w istocie rzeczy mają z tymi aktami, gdyż oryginałów z podpisami, zbieranymi w Horodle, pomimo usilnych naszych poszukiwań odnaleźć nam się nie udało. Berg wprowadzie utrzymuje, że trzy egzemplarze protestu, z ośmiu tysiącami podpisów na każdym, odesłano do Paryża, Londynu i Genui; my jednak na ślad ich nie natrafiliśmy. Może są w Rapperswyłu, ale tam dopytać się nie mogliśmy, stąd wnioskujemy, że prawdopodobnie już one nie istnieją.

281 Na pamiątkę zjazdu horodelskiego wybity został medal, przedstawiający z jednej strony Jadwigę, podającą krzyż Jagielle, który w lewej ręce trzyma miecz. Pod spodem napis: „2 Paźdz. 1413 r. w Horodle”; zaś w otoku: „połączenie Rusi i Litwy z Koroną za Jadwigi i Jagiełły”. Na stronie odwrotnej: u góry Matka Boska z dzieciątkiem Jezus w chmurach, a pod nią Archanioł Michał, trzymający dwie tarcze z orłem i pogonią. Niżej napis: „10. Paźdz. 1861 w Horodle”, a w otoku: „na pamiątkę pierwszej unii braterstwa, równości praw i swobód Litwy i Rusi z Polską”. Medal ten można widzieć w dziele Czapskiego, II, Nr. 3844 oraz tablica XIX, Nr. 26.

miano wyruszyć nad Bug, gdzie wraz z przybyłą z Królestwa procesją, stojąc po obu brzegach rzeki, zamierzano uczynić ów „duchowy akt pojednania”, jak mówiono wtedy. Jakoż nazajutrz po odprawieniu nabożeństwa w owej kapliczce cmentarnej, wśród śpiewu „Boże coś Polskę”, wyruszono z krzyżem i chorągwiami kościelnymi ku promowi na rzece. Droga tam prowadziła wąwozem, w którym ujrzano uszykowanych huzarów, a oficer żandarmski w sposób grzeczny, ale stanowczy uwiadomił idących, że ma rozkaz nieprzepuszczania ich za Bug, prosił więc, by się wrócono, gdyż w przeciwnym razie będzie zmuszony uciec się do siły. Po chwilowym wahaniu się i rzadkich zresztą protestach, procesja zawróciła z protestem do Uściługu, odprawiono znów nabożeństwo w owej kaplicy na cmentarzu, zrobiono składkę na szpital miejscowy i spisano wreszcie akt, w którym oświadczono, że „od rozbioru kraju po dziś dzień, uczucie jedności i powszechnego braterstwa łączy nas (Rusinów) ze wszystkimi braćmi znad Wisły, Warty, Niemna i Dźwiny w jednej, nieśmiertelnej ojczyźnie naszej, Polsce”²⁸².

Powracających spod Horodła deputatów i niedeputatów województw dawnej Rzeczypospolitej, postanowiono za staraniem Gregorowicza uroczyście ugościć w Lublinie, przyczem miano się z nimi ostatecznie naradzić o dalszych planach działania. W tym celu, wyprawiono im w salach resursy miejscowej wspaniałą biesiadę, na której był obok biskupa sufragana Baranowskiego także rabin żydowski. Rozbrzmiała sala mowami, pełnymi uniesień patryotycznych, wśród których drżała ciągle jedna zwrotka, leżąca w tej dobie wszystkim na sercu: „zyskać sobie chłopów i organizować się”. Powoli, pod wpływem tych mów, tej atmosfery, jaka od kilku dni otaczała obecnych na uczcie, jaka rozpaliała serca i głowy wszystkich, pod wpływem wina wreszcie, rzucono się sobie w objęcia, całowano się, a wielu wskakiwało na stoły i po nich, po talerzach i szklach chodziło, jak po podłodze. Na biesiadzie tej zbierano dalej pod protestem podpisy²⁸³.

Tak więc olbrzymia manifestacja horodelska odbyła się wprawdzie ze zmienionym nieco programem, niemniej przeto wspañiale i głośno.

Surowe rozporządzenia Lamberta, nagromadzenie wojsk i działań, groźna niby postawa rządu wcale nie przestraszyła manifestatorów; co chcieli, to

282 Akt ten, jakkolwiek współcześnie w pismach zagranicznych polskich był ogłoszony, wszelako jako mniej znany podajemy w całości, w zbiorze dokumentów pod Nr. 9.

283 „Wspomnienia z pamięci. Notaty do lat 1860 i 1861” (rękopism). Gdy Chruszczow dowiedział się o tej biesiadzie, zapytał prezydenta, co ona znaczyła; ten odrzekł, że to było nabożeństwo żałobne za Fijałkowskiego, które w rzeczy samej w tymże dniu odbyło się bardzo uroczyście w katedrze lubelskiej. Tłumaczenie to z niedowierzaniem, wszelako zostało przyjętem.

i zrobili, a wojska zebrane na polach Horodła, owe bataliony piechoty, szwadrony jazdy i baterie dział, zeszyły się tutaj na to tylko, by dodać samej uroczystości więcej blasku. Fakt ten z jednej strony świadczył o nadzwyczajnej śmiałości stronnictwa rewolucyjnego w kraju, o wielkim entuzjazmie, ogarniającym naród, który tego rodzaju wystąpienia uważał za czyn patryotyczny, z drugiej o niezwyklej niedołężności władz rządowych. W ogóle władze te nie zdawały sobie dobrze sprawy z doniosłości demonstracji horodelskiej; nie zwróciły uwagi na to, że była ona głośnie zadokumentowaniem pretensji polskich do ziem ruskich, że miała na celu wciągnięcie drzemiącej i z lekka tylko po kilku większych miastach manifestującej się Rusi, do ruchu rewolucyjnego. Lambert tak dalece miał fałszywe i niedokładne wieści o tem, co się stało w Horodle, że telegrafując do cesarza w trzy dni później, donosił, iż „z mocy wydanych rozporządzeń, zbiegowisko w mieście Horodle nie przyszło do skutku”²⁸⁴. Juźci w samym Horodle nic nie było, gdyż Chruszczow do miasta procesyi nie dopuścił, ale czyż o to tylko szło, by jej do Horodła nie dopuścić? czyż olbrzymia procesya, nabożeństwo pod gołym niebem, sztandary, mowy palące jak płomień, protesta podpisywane przez tysiące, niczem nie były? czyż akt ten, straszliwej gorączki, ogarniającej organizm polski, nie podsyćcił jej jeszcze bardziej, nie dolał oliwy do ognia?

Jakoż w rzeczy samej tak było i miano się o tem zaraz przekonać. Wypadki, których sceną stała się teraz Warszawa, w swym przebiegu niczem nie różniły się od wszystkich, dotychczasowych manifestacji, ale w skutkach swych, w katastrofie końcowej i w zmianach, jakie wywołały w całym kraju i jego losach, przedstawiają one obraz zupełnie oryginalny i bardzo tragiczny. Zapowiadany od kilku tygodni uroczysty obchód daty śmierci Kościuszki i ks. Józefa Poniatowskiego, odbycie się jednocześnie dwóch na wielką skalę pomysłanych manifestacji, jaką był pogrzeb arcybiskupa i zjazd horodelski, cały kraj brzmiały pieśniami i nabożeństwami, zapowiadania głośnie bliskiego powstania, wszystko to wymownie dowodziło, że ruch dobiega swego apogeum.

Do Warszawy, do chorego Lamberta, z każdą godziną nieomal przychodziły nowe wieści o tej wzmagającej się fali ruchu; z raportów przekonywał się on powoli, że manifestacja w Horodle, wbrew pierwotnemu jego twierdzeniu, w rzeczy samej „przyszła do skutku”.

O zamierzonym obchodzie śmierci Kościuszki, otrzymywał on zewsząd raporta, że ma się odbyć w całym kraju i pierwsze objawy tego obchodu już się okazywały, przez manifestacje na polach Maciejowic, Szczekocin i Raclawic.

284 Depesza z dnia 1/13 października o godz. 2 m. 15 po południu.

Przez nieszczęśliwy dla rewolucjonistów zbieg okoliczności, data obchodu unii Horodelskiej przypadła tego samego dnia, w którym rozegrała się katastrofa Maciejowicka, mimo to postanowili oni i na polach ostatniej walki Kościuszkowskiej odbyć manifestację. Zjazd był ogromny; samych księży miało przybyć około pięćdziesięciu. Wszystkie szlachta z okolic bliższych i dalszych stawiała się konno, jak na wojnę, otoczona służbą dworską. Tych jeźdźców improwizowanych obliczano na dwustu²⁸⁵. Przybyło też z parafii okolicznych mnóstwo kompanii z krzyżami i chorągwiami. Po odbytem nabożeństwie, na które właściciel Maciejowic, Stanisław hrabia Zamoyski, przywiózł gromadę żydów na furze czterokonnej i wprowadził ich do kościoła, usypano wielką mogiłę na polach wsi Krempe, gdzie właśnie główna bitwa była stoczona. Potem w pałacu odbyła się uczta, na której znajdował się jakiś stary bardzo kміeć, który jakoby miał być świadkiem naocznym bitwy. Posadzono go na pierwszym miejscu, ugoszczono i wygłaszano mnóstwo mów przepelnionych patetycznymi wyrażeniami i uniesieniami.

Jeżeli obchód bitwy Maciejowickiej miał za sobą jakąkolwiek rację, gdyż rocznica klęski przypadała dnia 10 października, to obchód potyczki Raclawickiej, która odbyła się d. 4 kwietnia, tem tylko usprawiedliwiony być może, iż korzystano z każdej okazji, byle się manifestować. Zeszło się tu kilka tysięcy ludzi. Kompanie z chorągwiami, z księżmi na czele wyruszyły ze wszystkich okolicznych miasteczek, z Miechowa, Skalbmierza, Proszowic, Słomnik, Działoszyc i t. d. Żydzi także wszędzie przyłączyli się do tych kompanii ze swymi rabinami i nawet chorągwie kościelne nieśli. Miejscowe władze wojskowe w niczem nie przeszkadzały tej manifestacji, która objęła i poruszyła znaczną stosunkowo przestrzeń kraju. W Działoszycach, gdy kompania wśród śpiewów patryotycznych, z krzyżami, chorągwiami, na których orły białe były wymalowane, niesionemi przez żydów, przechodziła przez miasteczko, wojsko musztrujące się wtedy, na rozkaz swego komendanta broń sprezentowało. W Raclawicach nabożeństwo odprawił proboszcz z Wiślicy, ksiądz Strądałło, przyczem wygłosił mowę, którą tak rozentuzyzmował obecnych, że mu komżę w kawałki podarto na pamiątkę²⁸⁶. Potem wyruszone tłumnie pod wieś Janowiczki, gdzie odbył się słynny atak kosynierów na działa Denisowa i tam usypano wysoką mogiłę. Ktoś wyszukał w Raclawicach potomka jakoby Bartosza Głowackiego, biednego chłopca, który się niedawno spalił i zarządzono dla niego składkę. Zebrano kilkaset złotych i wręczono biedakowi, który zapewne nie pojmował dlaczego i za co spada nań taka szczodrośliwość. Zresztą udział chłopów w obchodzie był bardzo mały.

285 Pawliszczew, Siedmicy, I, 9 i 60.

286 Z relacji świadków naocznych.

O wszystkim tem przychodziły wiadomości do Warszawy i coraz większy niepokój budziły w sferach rządzących. Niepokój ten wzrósł do nadzwyczajnego stopnia wskutek uparcie powtarzających się w tej porze pogłosek, że w Petersburgu wybuchło powstanie.

Mówiono, że w Rosyi istnieje nader rozgałęzione sprzysiężenie, że lud obiegił pałac Zimowy, że zaprowadzono rząd rewolucyjny tymczasowy, że linia telegraficzna między Petersburgiem i Warszawą zerwana, że od czterech dni dzienniki nie przychodzą, że Lambert odebrał odezwę rządu tymczasowego petersburskiego, że Hercen przerwał wydawnictwo „Kołokoła” i jedzie do Rosyi, że pismo tajemne „Wielikorus” radzi oddać Polsce Wołyń, Litwę, Podole i Ukrainę, że wyszła broszura „precz z Romanowymi”, że podano adres o konstytucyą i t. p. Jakkolwiek sama sprzeczność tych pogłosek świadczyła o ich fałszywości i jedno w nich tylko było prawdą, że właśnie w tej porze poczęło wychodzić w Moskwie tajne pismo rewolucyjne „Wielikorus”²⁸⁷, wszelako uporczywe ich powtarzanie się zrobiło pewne wrażenie na Lambercie. Przestraszył się niemi tak dalece, że aż telegrafował o tem do Petersburga. „Obiegają tu, pisał, przerażające wieści o Petersburgu. Stan umysłów jest bardzo zły”²⁸⁸, co świadczy, jak dalece był zdenerwowany i jak stracił trzeźwość poglądu na rzeczy i ludzi, i spokój konieczny.

Niepokój ten podniecało zachowanie się większej części dygnitarzy rosyjskich, owej nieznośnej kamarylli generałów i niegenerałów, wieszających się koło namiestnika i kręcących się ciągle po Zamku.

Niektórzy z nich chodzili z minami przygnębionemi i twierdzili, że nikt i nic nie jest w stanie położyć zapory rozwijającej się rewolucyi i widocznie w obawie zwycięstwa tej rewolucyi, żony ich przybrały się w żałobę, a dzieci ukazywały się na ulicach ustrojone w czamarki i konfederatki²⁸⁹. Inni znowu, jak Chrulew i Potapow, nosili się chmurnie i ciągle prawili, że czas już wielki przerwać wszelkie ceremonie z Polakami i rozwiązać ręce władzom wojskowym; że tylko rządy militarne mogą przywrócić ład i porządek, i spokój upragniony. Cesarz ze swej strony nieustannie domagał się ogłoszenia stanu

287 W pierwszym numerze tego pisma wyraźnie zapowiadana jest rewolucya: „jeżeli rzeczy pójdą terazniejszym torem, to wypada oczekiwać wielkiego zamieszania. Rząd nie jest w siłach cokolwiek zrozumieć, głupi i szorstki prowadzi Rosyą ku Puhaczewszynie. Wypada ludziom wykształconym wziąć kierownictwo spraw z rąk nieudolnego rządu, aby naród wyratować z jarzma; jeżeli społeczeństwo tego nie uczyni, to ulegnie samo terroryzmowi, dlatego, że rząd przy swej nieumiejętności rozumnego prowadzenia spraw narodowych jest w konieczności utrzymania systematu ucisku”. Kończy słowami: „myśmy nie Polacy, ani też chłopci, do nas strzelać nie można!”

288 Depesza z dnia 30 września (12 października).

289 „Poslednija polskaja smuta” (Russkaja Starina z 1874r. p. 712).

wojennego. Nadzwyczajnie był niezadowolony z manifestacyjnego pogrzebu arcybiskupa, pisał, że „jeżeli wybory w Warszawie zostały już ukończone, to natychmiast należy ogłosić stan wojenny”²⁹⁰.

Pod wpływem tego wszystkiego, sam Lambert począł przyznawać, że ogłoszenie tego stanu jest nieuniknionem²⁹¹; mimo to wahał się jeszcze. Ale gdy d. 13 października po mieście poczęło obiegać tysiące wezwań drukowanych i pisanych do obchodu rocznicy zgonu Kościuszki²⁹², zdecydował się na koniec na ogłoszenie owego stanu wojennego. Tegoż samego dnia, 13 października, oznajmił o tem Wielopolskiemu, utrzymując, że czyni to na mocy rozkazów otrzymanych z Petersburga²⁹³.

Zawiadamiając o tem Radę administracyjną, zapytał, czy Radę stanu oraz Rady miejskie, powiatowe i gubernialne odroczyć należy? Na to Wielopolski odrzekł, że ponieważ kodeks wojenny cesarstwa nie jest w Królestwie ani obowiązujący, ani znany, więc aby ocenić, czy rzeczzone ciała mogą pozostać nadal, należy wprzód wiedzieć osnowę ogłoszenia stanu wojennego²⁹⁴.

Co na tę słuszną uwagę Wielopolskiego odrzekł namiestnik, nie wiemy, dość, że wieczorem tegoż dnia wezwał dyrektora swej kancelaryi, Kazaczkowskiego i polecił mu, ażeby przygotował wszystko, co należy, by nazajutrz mógł być opublikowany stan wojenny, ażeby odnośne przepisy wydrukowano w takiej ilości egzemplarzy, ile jest domów w Warszawie i żeby do każdego domu jeden egzemplarz był posłany. Kazaczkowski zabrał się zaraz do roboty o tyle ułatwionej, że cały program stanu oblężenia był gotowy jeszcze od marca i teraz trzeba go było tylko wydrukować, co też dokonano z małemi zmianami.

290 Depesza z Liwadyi z d. 19 września (1 października).

291 Depesza Lamberta do cesarza z d. 30 września (12 października).

292 Między temi wezwaniami było jedno, litografowane dość starannie, mające na pierwszej stronie u góry portret Kościuszki i Głowackiego, opisujące jego życie i kończące się temi słowy: „takiego to człowieka, przyjaciela ludu wiejskiego i obrońcę ojczyzny, dziś obchodzimy rocznicę śmierci. Módlmy się za jego duszę i prosimy Boga, aby chłop polski, jak za jego czasów, kochał ojczyznę swoją i bił się ochotnie za jej wolność, a połączony braterską miłością z duchowieństwem, ze szlachtą, z mieszczanami i rodakami żydami, będzie prawdziwym obywatelem polskim, kiedy ani nasienia na naszej świętej ziemi nie znajdzie moskala, co się krwią naszą i łzami tak długo wypasa”.

293 Lisicki w obu swych życiorysach Wielopolskiego, mówiąc o tem oświadczeniu Lamberta, dodaje w przypisku: „w Petersburgu utrzymywano później, że namiestnik na własną rękę się porządził” — „że nie żądał rozkazów”. Być może, iż ludzie nie bardzo świadomi rzeczy, tak utrzymywali w Petersburgu później, ale że się mylili, to nie ulega wątpliwości. W tekście kilkakrotnie przytoczyliśmy telegraficzne nalegania cesarza, żeby położyć koniec zaburzeniom przez ogłoszenie stanu wojennego oraz że Lambert opierał się temu dopóki mógł, co najwymowniej świadczy, że nie „porządził się na własną rękę”.

294 Lisicki, Le marquis II, 236. Aleksander Wielopolski I, 255.

Nazajutrz od rana, wszystkie rogi ulic zaopatrzone były w wielkie arkusze, donoszące o poważnej zmianie, jaka zaszła w zarządzie Królestwa; prócz tego, wszyscy właściciele domów otrzymali po jednym egzemplarzu ogłoszenia za pokwitowaniem, co w tym celu było uczynione, ażeby nikt nieświadomością nowych przepisów nie mógł się tłumaczyć²⁹⁵. Lambert ze swej strony tegoż dnia, 14 października, doniósł o wszystkim cesarzowi. „Wobec nowych, podburzających zapowiedzi z powodu pamiątki po Kościuszcze, mającej się jutro obchodzić, uznałem za konieczne bezzwłocznie ogłosić całe Królestwo w stanie wojennym. W mieście wojska zajmują miejsca swoje tej jeszcze nocy”. Cesarz w zupełności pochwalał ten krok namiestnika.

„Oby Bóg dał (daj Boh) — pisał — żeby ogłoszenie w całym Królestwie stanu wojennego wydało ten skutek, jakiego ja od dawna oczekuję”²⁹⁶.

Stan wojenny zapowiadał, że wszyscy mieszkańcy za przestępstwa zdrady stanu, rokoszu i wzniecenie powstania, za nieposłuszeństwo władzom wojskowym i policyjnym, ukrywanie broni, mowy publiczne podżegające, układanie i rozszerzanie odezw i wszelkiego rodzaju pism podburzających, gwałty, zabójstwa, rozboje, rabunki i podpalania, o ile te mają charakter polityczny, podlegać mają sądowi wojennemu, który karać ich będzie podług praw polowych. Ustanawiał naczelników wojennych, którym wszelkie władze ulegać mają; zabraniał zgromadzeń i schadzek na ulicach i placach, demonstracji politycznych, nabożeństw kościelnych za przestępców politycznych lub zabitych i ranionych „w czasie rokoszu”, obchodu pamiątek historycznych, śpiewania w kościołach i gdziekolwiek bądź pieśni podburzających i hymnów zakazanych. Naczelnikom wojennym rozporządzenie nadawało wielką władzę, dozwalał im dokonywania rewizji, aresztowania, wydalania cudzoziemców, zamykania sklepów, kawiarni, szynków, zabraniać zgromadzeń nawet prywatnych i t. d.

Obok proklamacji namiestnika, ogłaszającej stan wojenny w Królestwie, ukazało się także obwieszczenie generał-gubernatora warszawskiego, Gerstenzweiga, zabraniające zbierania się na ulicach i placach więcej, jak trzem osobom, nakazujące, aby bramy i drzwi domów były zamykane o godzinie dziewiątej wieczorem, aby w razie zamieszania lub alarmu nikt z domu nie wychodził, aby nie noszono strojów odróżniających, czapek i oznak emblematycznych, lasek z ukrytą bronią lub nalanych ołowiem. Nie wolno było nikomu po godzinie dziewiątej wieczorem chodzić bez zapalanej latarki; na pogrzebach mogli się znajdować tylko najbliżsi krewni; obie resursy, wszystkie

295 N. Berg, loc. cit. 366.

296 Depesze z d. 2/14 października. Cesarz przytem pytał się o zdrowie Lamberta i wygłosił życzenie: „oby ci Bóg sił dodał” (da podkrepił ciebie Hospod).

szynki i sale dla zabaw zamknięto; handle win, cukiernie, restauracje, kawiarnie, piwiarnie i t. p., winny być otwierane najwcześniej o godzinie szóstej rano, a zamykane o dziewiątej wieczorem.

Nakazano przytem, aby w ciągu 48 godzin wszelka broń palna i sieczna będą złożona w policji.

Ze swej strony oberpolicmajster warszawski, Piłsudzki, polecał zamknięcie ogrodów publicznych (Saski, Krasiński, Botaniczny i Belwederski); nakazywał, ażeby dorożkarze na każde wezwanie policji się zatrzymywali, choćby kogo wieźli; ażeby właściciele domów meldowali w ciągu 24 godzin policji o każdym nowo przybyłym; ażeby osobę ściganą przez policję wydawali w ręce władzy, żeby donosili natychmiast, gdyby w ich domach zbierali się ludzie „źle myślący”. Rozkazywał policji, ażeby w ciągu dwóch dni nadesłała mu listy imienne studentów i uczniów; aby do wszystkich kościołów przeznaczona była służba policyjna, która miała pilnować, by nie śpiewano hymnów zakazanych i t. d.²⁹⁷.

Ogłoszenie stanu wojennego wywarło na Warszawę silne wrażenie, zwłaszcza, że na placach znowu pojawiły się obozy wojskowe, nadając miastu ten osobliwszy wygląd, jaki w ostatnich czasach parokrotnie już przybierało. Mieszkańcy tłumnie snuli się po ulicach, czytali porozwieszane plakaty, tu i owdzie szydzili i wogóle powszechne było przekonanie, że nowe przepisy w rzeczywistości nie będą i nie mogą być ściśle wykonane. W kołach rewolucyjnych, wśród młodzieży czerwonej, wśród umysłów rozegzaltowanych do najwyższego stopnia, nie sądzono, by stan wojenny mógł wpłynąć na zmianę dotychczasowego postępowania. Zresztą nabożeństwo za Kościuszkę i tak miało być już ostatniem. Postanowiono więc nie zważać na groźby rządowe i nabożeństwo to koniecznie odprawić. Odezwy więc w dalszym ciągu rozsyłano, a kupców ustnie i piśmiennie wzywano, żeby nazajutrz sklepy bezwzględnie zamknęli.

Wiść o tem doszła do policji i do szeregu obwieszczeń, które owego dnia spadły na Warszawę, przybyło jeszcze jedno oberpolicmajstra Piłsudzkiego, zabraniające jak najsurowiej zamykania sklepów i grożące, że „jeżeli ktokolwiek do takowych poduszceń zastosuje się i sklep lub handel swój zamknie bez usprawiedliwiających powodów, ulegnie karze pieniężnej w ilości rs. sto, oprócz tego egzekucyą wojskową do mieszkania zesłaną mieć będzie”.

Zresztą dzień ów w mieście przeszedł spokojnie i w ciszy, ale cisza ta dla tych, którzy znali tajemne wichry, przebiegające serca i umysły, była owym złowrogim spokojem natury, skupiającej swe siły do strasznej burzy. Katastrofa się zbliżała, a groźna postawa rządu, w którego siłę i energię nie wierzone,

297 Wszystkie te ogłoszenia można czytać w ówczesnych dziennikach warszawskich oraz w broszurze „Wiadomości z kraju” p. 159 i następne.

nikogo nie przerażała. Ale jeżeli na ulicach zdawał się panować zupełny i niczem niezakłócony spokój, to w Zamku, w samym rządzie, spokoju takiego nie było. Wielopolski, odczytawszy d. 14 października ogłoszenia o stanie wojennym, uczuł jak teraz chwiejnym jest jego stanowisko, jak to, o co od pół roku walczył, to jest zaprowadzenie legalności w rządzie, rozpaść się musi w rękach małych carzyków, naczelników wojennych; udał się do namiestnika i oświadczył mu, że ogłoszenie praw wyjątkowych nastąpiło bez jego udziału, że przeto jeżeli obecność jego ma stać rządowi na zawadzie, gotów jest usunąć się, wszelako chętnie pozostanie, jeżeli projekta do praw o oczynszowaniu, wychowaniu i żydach pójdą dalej swym torem i Radzie stanu będą przedłożone. Ale Lambert, jak wszyscy ludzie słabi, wybuchnął teraz gniewem. Począł wyrzucać Wielopolskiemu, że nikt inny, tylko on przyczynił się do tego, że rząd w kraju jest znienawidzonym, że on spowodował, iż szlachta nie chce rządu popierać, gdyż oburzył ją przez rozwiązanie Towarzystwa rolniczego; że duchowieństwo zraził przez swą mowę z dnia 2 kwietnia, a młodzież przez zamknięcie szkół²⁹⁸.

„Usuając się teraz, mówił Lambert, uniesiesz pan z sobą sympatyą żydów i chłopów, i zostawisz rząd bez żadnej w kraju podpory”²⁹⁹. Nie mogło być więc mowy o dymisji i Lambert chciał, by Wielopolski został w rządzie, prosił tylko, aby „Dziennik powszechny” nie pomieszczał nic takiego, co by powagę władzy osłabić mogło. Margrabia przyrzekł, że wpływać będzie, aby redakcja w wyrażeniach była ostrożną. Na Radzie administracyjnej, która zaraz się zebrała, na wniosek Wielopolskiego postanowiono: Rad powiatowych i gubernialnych teraz nie zwoływać, z powodów zaś wcale się nie tłumaczyć, aż dopiero po upływie trzech miesięcy; za to Rady miejskie zostawić, dopóki nie wystąpią nieprzyjaźnie przeciw rządowi i wtedy dopiero je rozwiązać lub odroczyć, a przeciwko winnym na podstawie prawa obowiązującego wystąpić. Co do Rady stanu, z której członkami Wielopolski poprzednio się porozumiał i uzyskał od nich przyrzeczenie, że Warszawy pomimo stanu wojennego nie opuszczą, zadecydowano jej nie odraczać i silnie pracą zajmować³⁰⁰.

Takie było położenie rzeczy w pierwszym dniu ogłoszenia stanu wojennego. Namiestnik liczył na to, że będzie on ściśle wykonany, że wszyscy ci generałowie i dygnitarze, którzy walczyli po kątach, wezmą się teraz energicznie do tłumienia ruchu. Policja, zorganizowana przez Potapowa, do której wcielono najinteligentniejszych żołnierzy z gwardyi i armii³⁰¹, zdawała się być

298 Z relacji współczesnych.

299 Lisicki, *Le marquis II*, 236.

300 Tenże, *Aleksander Wielopolski I*, 256.

301 Podwysockij, *Zapiski oczewidca*, 88.

wybornem narzędziem wykonawczem. Wobec tego Lambert przekonany był, że zapowiedziana na dzień 15 października manifestacja nie przyjdzie do skutku i donosił cesarzowi, że przedsięwzięto wszelkie środki dla jej zapobieżenia³⁰². Jakże się jednak mylił! jak boleśnie miał się przekonać, że wszyscy ci ludzie, zdolni do chwilowego czynu gwałtu i brutalności dzikiej, niezdolni są do systematycznego działania i do szanowania prawa.

Nadszedł na koniec ów dzień 15 października, dzień na zawsze pamiętny w rocznikach naszych nieszczęść. Rano ukazała się nowa proklamacja namiestnika do „mieszkańców Królestwa Polskiego”, w której tłumaczy się, dlaczego ogłosił stan wojenny. Wymieniwszy główne manifestacje, nieporządki w czasie wyborów, zwraca się do ojców rodzin i wzywa ich, aby „rozciągnęli ścisły dozór nad swymi rodzinami, w szczególności zaś nad nieletnimi dziećmi, mogącemi przez płochość ulec następstwom stanu wojennego, którym przy ukróceniu siłą oręża nieporządków ulicznych, podlegają czasem wszystkie osoby bez różnicy płci i wieku”. Proklamacja kończy się takim okrzykiem patetycznym: „Polacy! wykonywaniem obowiązków dla waszego monarchy, ufnością błogim jego zamiarom (sic) i uległością ustanowionym przez niego władzom, zbliżcie czas, w którym wolno mi będzie wstawić się do najjaśniejszego pana o zniesienie stanu wojennego i znów przystąpić do rozwinięcia na drodze legalnej najmiłościwiej nadanych Królestwu Polskiemu instytucji.”

Niestety! słów tych nikt nie usłuchał; tego wezwania, zapowiadającego możliwość zniesienia dokuczliwego stanu wojennego, nikt nawet czytać nie chciał. Miasto przybrało charakter uroczysty i świąteczny, choć był to dzień powszedni (wtorek); sklepy, wbrew rozporządzeniu policyjnemu i zapowiedzianej karze stu rubli, były pozamykane, a gdzie właściciel wahał się, umiano go do tego zmusić. Tłumy ludności, kobiet i mężczyzn czarno ubranych, dążyły do kościołów³⁰³, zwłaszcza do archikatedry św. Jana i Bernardynów, gdzie mieli celebrować biskupi oraz do św. Krzyża, kościoła, który w tej porze był modnym.

302 Depesza z d. 3/15 października; wysłana o godz. 2 minut 20 w nocy.

303 N. Berg, loc. cit. 368, opowiada, że czerwoni wprzódy dla próby „o godz. 9 rano wyprawili do kościoła Świętojańskiego, Bernardyńskiego i Śtokrzyskiego gromadę chłopców i kobiet, którym kazali zaśpiewać w danej chwili hymny. Co z tego będzie? Ale młodzi i niedoświadczeni mernerzy nie mogli nic zrobić; wcale nie zaśpiewali. Wtedy starsi nie mogli już wytrzymać, weszli do kościołów tłumnie, wciągnęli za sobą włączając się po ulicach ludność, wśród której znajdowały się wszystkie sfery i około godz. 11 rozległy się w kościołach hymny z należytą uroczystością”. Podanie to, zaczerpnięte widocznie ze źródeł mętnych, nie jest prawdziwe. Nikt nikogo na próbę nie wysyłał; o gotującej się uroczystości wskutek odezwy całe miasto wiedziało i publiczność od samego rana dążyła do kościołów.

U św. Jana stał jeszcze katafalk, na którym spoczywały zwłoki arcybiskupa i pysznie udekorowany, dodawał blasku uroczystości³⁰⁴. Tu nabożeństwo rozpoczęło się o godz. 10 rano; celebrował biskup podlaski, znany nam już kapucyn, ks. Benjamin Szymański³⁰⁵. U Bernardynów celebrował biskup sufragan łowicki, Plater.

Po nabożeństwie, koło godz. 11, rozpoczęło się śpiewanie hymnów patryotycznych, o czym policja natychmiast dała znać do Zamku, zapytując, co zrobić? Zapytanie było w całym znaczeniu tego słowa niewłaściwe i świadczyło, jak dalece narzędzie, na które liczono co do należytego wykonywania przepisów stanu wojennego, było niedołążne i niesprawne.

W rozkazie do policji, wydanym przez oberpolicmajstra Piłsudskiego w dniu poprzedzającym, w art. 10 wypadek tego rodzaju był przewidziany i dane wskazówki, jak w takich razach policja ma postępować³⁰⁶. Pytanie było zupełnie niepotrzebne i Lambert odrzekł: „wykonać ściśle postanowienie wydane na wypadek zbiegowisk, t. j. kościoły otoczyć wojskiem i gdy nabożeństwo się skończy i lud pocznie wychodzić, aresztować wszystkich mężczyzn dorosłych, nie tykając kobiet i dzieci³⁰⁷. Rozkazowi temu zadość uczyniono. Z wojsk stojących na placu Zamkowym, Chrulew, do którego zarządu wojennego zawsze ta część miasta należała, wzięły dwie kompanie piechoty i otoczyły niemi kościoły św. Jana i Bernardynów. Podobnie postąpiono z kościołem św. Krzyża.

304 Ozdobiony był czterema obrazami Stachowicza: pierwszy przedstawiał przysięgę na rynku w Krakowie, drugi Waszyngtona obdarzającego Kościuszkę orderem Cyncynata, trzeci oddanie czci Kościuszcze przez ułanów polskich w Solurze, czwarty alegorią, w której ojczyzna przekazuje Kościuszkę nieśmiertelności. Prócz tego, katafalk był ozdobiony chorągiewkami, krakuską i orężem, a przed katafalkiem stało kolosalne popiersie Kościuszki.

305 Uległ on tylko naciskowi rewolucjonistów i osobnej deputacji, która doń przybyła zapraszając do celebry. Gdy biskup się wahał i mówił, że może być za to uwięziony, szewc Hiszpański, obecny w deputacji, zawołał: „księżę biskupie, ja jestem szewc, więc za to, że buty robię, to mam iść do kozy?” Znaczyło to, że ty księżę za spełnienie obowiązków swego stanu karany być nie możesz. Logika ta oddziaływała na biskupa tak, że zgodził się na wzięcie udziału w nabożeństwie manifestacyjnym, choć niektórzy księża, jak Biernacki, kustosz kościoła św. Jana, zwracali mu uwagę, że rząd źle to będzie widział, jak utrzymuje Pawliszczew (Siedmicy, I, 29).

306 Artykuł ten brzmi: „do wszystkich kościołów przeznaczyć służbę policyjną, której obowiązkiem jest, w razie śpiewania hymnów zakazanych, dawać znać najbliższemu naczelnikowi wojsk dla przeznaczenia do kościoła siły wojskowej. Wojska wewnątrz kościołów wchodzić nie będą, lecz przy wyjściu z takowych mężczyzn zatrzymywać, a kobiety i dzieci wolno puszczają być. Przytem w razie możności znajdować się będzie jeden z policmajstrów, w każdym zaś razie komisarz cyrkulowy obecnym być winien”.

307 N. Berg, loc. cit. 368.

W katedrze właśnie zaczynało się śpiewać „Boże coś Polskę”, gdy rozeszła się wieść, że wojsko obiegnęło kościół dookoła. Gdy zobaczono błyszczące przed drzwiami bagnety, zrazu zapanował popłoch; kto mógł wymykał się i niektórym szczęśliwie się to udało. Biskup Benjamin wydostał się jeden z pierwszych i schronił się do klasztoru OO. Kapucynów przy ulicy Miodowej, skąd natychmiast posłał po konie pocztowe, żeby wyjechać z Warszawy do Janowa, przyczem mówił: „jeżeli mię mają aresztować, to niech mię aresztują w dyecezyi”³⁰⁸. W kościele Bernardynów biskup Plater wymknął się przez zakrystią do klasztoru, a stąd boczną bramą na ulicę. Lud pozostały zaś uległ namowom młodzieży i postanowił nie wychodzić. Miano to przekonanie, że wojsko nie ośmieli się wejść do kościoła, że zatem opór ten zmusi władzę do ustępstwa i do oswobodzenia wszystkich. Nawet kobiety i dzieci wychodzić nie chciały.

Wieść o otoczeniu kościołów przez wojsko oraz o postanowieniu zamkniętego w nich ludu, rozbiegła się błyskawicą po mieście i wywarła niesłychanie potężne wrażenie, któremu uległ i sam Lambert. Rozdrażniony nadzwyczajnie, chory, płujący krwią, lękając się, by ludność nie gromadziła się przed kościołami, by w ogóle wybuch jaki w mieście nie nastąpił, chwycił się środka barbarzyńskiego. Jak wszystkie charaktery słabe i temperamenta nerwowe, wpadł z jednej ostateczności w drugą; przed chwilą łagodny i miękki, stał się teraz okrutnym i dzikim. Nakazał rozpuścić po mieście około trzystu kozaków, którzy mieli polecenie rozpędzania wszelkich zbiegowisk. Latali więc oni po ulicach, jak szaleni, bili batami każdego, kogo napotkali, nie pytając winien czy nie winien, nie zważając na wiek, płeć, ani stan³⁰⁹. Oczywiście kto mógł, chronił się do domów; miasto zaległa posepna, głucha i przynębiająca cisza.

308 Z ustnych podań. Po konie wysłany był ojciec Wilhelm Pasiuta.

309 Że przytem kozactwo dopuszczało się różnych nadużyć i gwałtów, dziwić się temu nie można. Zdzierając konfederatki lub pasy z przechodniów, kradli także zegarki i pieniądze, a kobietom kolczyki, medaliony, brosze. Nie zważali oni na nic. Zdarzyło się, że właśnie na pocztę, która wtedy była na rogu ulicy Trębackiej i Krakowskiego Przedmieścia, przybyły dwa dyliżanse pocztowe z Lublina z pasażerami. Kozacy na wysiadających napadli i batożyć ich poczęli, a wstawiającego się za nimi urzędnika pocztowego Szafrańskiego i służbę niemiłosiernie skatowali. Senatora Fenshawa, pomimo że krzyczał, iż jest generałem, porządnie skropili na ulicy Miodowej. Pastora luterskiego Otton'a, niosącego list na pocztę, ten sam los spotkał. Poddanego angielskiego, Jerzego Mitchel, kozacy na ulicy Czystej haniebnie zbili. Oburzony tem Anglik zaniósł skargę do lorda Johna Russel i domagał się koniecznie satysfakcyi. List jego, opisujący w jaskrawych barwach straszne te i jedyne w swoim rodzaju sceny, obiegał wówczas wszystkie gazety. Zawiązała się wskutek tego korespondencya dyplomatyczna i rząd angielski żądał, by ci kozacy, którzy pobili Mitchela, byli ukarani. Przeprowadzono śledztwo, już za Lüdersa, kozaków tych znaleźć nie mogli i sprawa cała na tem się skończyła.

Tymczasem, gdy się to na ulicach dzieje, gdy tam hula, niby horda barbarzyńców średniowiecznych, na pół dzikie kozactwo, lud z kościołów nie myśli wcale wychodzić.

Czas upływał i dłużył się obu stronom niesłychanie, zwłaszcza, że tak lud, jak i rząd nigdy nie przypuszczał, żeby sprawa taki obrót wzięła. Lud zrazu sądził, że wojsko przyprowadzono na postrach tylko i że po paru godzinach odejdzie ono sobie; rząd mniemał, że lud nie wytrzyma i pocznie wychodzić. Inaczej się jednak stało, lud wciąż pozostawał w kościołach. U św. Jana kobiety poumieszczały się po ławkach, konfesyonałach, rozesłano dla nich kobierce z prezbiterium i siedziały smutne modląc się i drzemiąc. Najgorszy los był dzieci, które z głodu i pragnienia już koło godziny piątej popołudniu poczęły płakać i omdlewać. Na szczęście potrafiono się porozumieć z mieszkańcami domu popijarskiego, oddzielonego od katedry wąskim podwórkiem, zwanem cmentarzykiem. Tu wiele osób stało i z okien tego domu poczęto spuszczać obłożonym w koszach chleb, bułki, wędliny i wodę. Kilku rezolutniejszym, a może bardziej tchórzliwym i mniej wytrzymałym, przyszło do głowy, że tą samą drogą, którą przybywała żywność, można by się wydostać z kościoła. Wyszukali więc drabinę, przystawili ją do okna celi i jakiś młodzieniec drapać się po niej zaczął. Ale wojsko stojące na Kanonii spostrzegło to, zwłaszcza, że drzwi wychodzących z tego podwórka zapomniano zamknąć, wpadło więc na dziedziniec, drabinę wywróciło, przyczem ów drapiący się śmiałek potłukł się haniebnie, a kosze z wodą i żywnością zabrało. Musiano się więc kontentować wodą święconą, ciepłą i niesmaczną, której potrochu udzielano dzieciom i kobietom.

Powoli wśród tego wszystkiego noc zapadła, chłodna, księżycowa. Wojsko, oblegające kościoły, ustawiło broń w kozły i rozłożyło ogniska na ulicach, co przy ciszy powszechnej, zupełnie pustych ulicach i nocy, robiło wstrząsające wrażenie. W kościele św. Jana przed kratą zamkniętą u głównego wejścia, zjawił się oficer i oznajmił zebrany, że kobiety i dzieci mogą swobodnie wracać do domu; odpowiedziano mu, że jeżeli wszystkich wolno puszczać, to wyjdą, inaczej z miejsca się nie ruszą³¹⁰.

O wszystkim tem wiedziano w Zamku. Owa scena z koszami bułek, spuszczanymi z domu popijarskiego, owa odmowa wyjścia świadczyła, że lud uparł się i uledz nie myśli. Groźna cisza, panująca w mieście zwykle tak ruchliwym, upajała zebranych w Zamku generałów i dygnitarzy jak narkotyk niezdrowy i oszołomiała ich mózgi. Z trwogą przysłuchiwali się oni tej ciszy, przerywanej od czasu do czasu tylko brzękiem szabli, dzwoniącej o bruk ulicz-

310 Kilka wspomnień ludowych („Przegląd rzeczy polskich” Lipiec, 1862).

ny, głuchym stukiem kolb od karabinów lub szeptem żołnierzy... Co robić? jak wyjść z tego położenia? oto pytanie, które każdemu wieszalo się na ustach...

Zebrała się więc w Zamku rada wojenna, na której, oprócz Lamberta, znajdował się Gerstenzweig, Chrulew, Kryżanowski, Potapow, Rożnow i wielu innych, sama jeneralicya, sama śmietanka rządu warszawskiego. Postanowiono to, co było istotnie w tem położeniu najrozsądniejszego, to jest trzymać się ściśle przepisu, zawartego w artykule 10 rozporządzenia o stanie wojennym, t. j. czekać, póki lud nie zacznie wychodzić z kościołów i wtedy aresztować wszystkich mężczyzn. Utrzymywano i słusznie, że wcześniej czy później lud zmuszony głodem i znużeniem wyjść musi³¹¹.

Ale postanowienie to wkrótce pod wpływem postrachu i pogłosek na niczem nieugruntowanych, miało się zmienić. Po naradzie wojennej, Gerstenzweig koło północy, nadzwyczajnie zmęczony, udał się do siebie, do pałacu Brühlowskiego i zaraz zjawił się u niego biskup Dekert. Wysłany on został przez księży zgromadzonych około Białobrzeskiego, wybranego administratorem diecezji po śmierci arcybiskupa i domagających się usilnie, ażeby nieść jakąkolwiek pomoc zamkniętej w kościołach ludności³¹². Dekert pojechał do Gerstenzweiga, ale nie został przezeń przyjęty, tylko wysłany adjutant zapytał go: czego sobie życzy? Dekert odrzekł, że przybył z prośbą, aby lud z kościołów wypuszczono i nikogo nie aresztowano. Prośba taka u Gerstenzweiga, człowieka twardego i przeciwnego wszelkim ustępstwom, nie znalazła ucha. Odpowiedział przez adjutanta Dekertowi tonem nieco szyderskim: „niech wychodzą, nikt im nie broni; co zaś do aresztowań, to rzecz ta należy do rządu i nie czas o tem teraz rozprawiać”³¹³. Te surowe słowa, ten ton szyderski i naigrawający się, oburzył nadzwyczajnie księży, którym powtórzył je Dekert. Wśród gorączkowych rozpraw, wśród roznamiętnienia powszechnego, poczęto najróżnorodniejsze, najfantastyczniejsze podawać projekta. Wszystkim na

311 Tak twierdzi Berg, loc. cit. 369, dodając, że większość rady wojennej wraz z Gerstenzweigem była tego zdania. Podanie to jest najprawdopodobniejszym i my za niem poszliśmy. Wszelako Berg, zaznaczając, że było to także zdanie Gerstenzweiga, każe się domyślać, że Lambert był przeciwnego mniemania, co jest jednak wątpliwem. Dnia tego był on tak chorym, że ledwie utrzymać się mógł na nogach (S. M. Borszczow, Samobójstwo generała Gerstenzweiga”. *Istoriczeskij Wiestnik* tom XXVII, 63) i prawdopodobnie kierował się opinią innych. Cały zresztą przebieg tej sprawy do dziś dnia nie jest jasny; w każdym razie najprawdziwszą wydaje się być relacja Berga i dlatego za nią poszliśmy. Z podań jednak rozmaitych autorów wynika, że były dwie rady wojenne, jedna zaraz z wieczora, druga później nad ranem. O tej ostatniej pomówimy później.

312 Z ustnych podań, bardzo wiarogodnych.

313 N. Berg, loc. cit. 369.

sercu leżało oswobodzenie obłączonych i wszystkie umysły wrzały i głowy się paliły. Noc późna, natężenie nerwów, wyobraźnia uderzona niezwykająnością wypadków, ekstaza patryotyczna, przyczyniały się do tego, że projekta te istotnie przybierały niekiedy rozmiary fantastyczne. Mówiono więc, że należy co żywo urządzić procesy nocną z chorągwiemi, krzyżami, obrazami, z Najświętszym Sakramentem, z mnóstwem światła i podążyć wprost do kościołów i wyprowadzić stamtąd osaczoną ludność. Garść osób świeckich, różnej młodzieży czerwonej, która znajdowała się na tem posiedzeniu, odbywajacem się w konsystorzu przy ulicy Miodowej, przyrzekała swój współudział.

Wiedzano, że w mieście jest straszne rozdrażnienie, że zatem nie trzeba będzie zbyt wielkich starań i zabiegów, by zebrać gromadę ludu, straceńców i entuzyastów, którzy pójdą wszędzie, na bagnety i działa nawet³¹⁴.

Wieści o tem, jak zwykle przesadzone, niejasne i mętne, doszły do uszów wojska, biwakującego na ulicach i jego dowódców. Mówiono, że już gdzieś tam zgromadziły się ogromne tłumy ludu i tylko patrzeć, jak rzucą się na wojsko; że duchowieństwo ubrane w stroje uroczyste, w ornaty i kapy, wyruszy na czele niosąc monstrancye, krzyże, relikwie świętych... Wieści te doszły do Chrulewa, którego wyobraźnia zapalna łatwo tym fantastycznym wieściami uwierzyła; pobiegł więc co żywo do Zamku, około godziny pierwszej w nocy i uwiadomił o wszystkim Lamberta.

Łatwo pojąć, jak silne wrażenie na tym chorym, zdenerwowanym Hamlecie moskiewskim wieść ta wywarła. Zwołano na gwałt drugą naradę wojenną, na którą, jak się zdaje, zawezwano także Gerstenzweiga³¹⁵ i znowu postawiono pytanie: co robić?

314 Tenże, loc. cit. 370. O tej procesy wspomina także raport urzędowy, wydrukowany w kilka dni później w „Dzienniku powszechnym”. „Z pewnością wiadomem było (czytamy tam), że na rano przygotowywa się wielka manifestacja, a mianowicie procesya duchowieństwa na czele ludu ku otoczonym kościołom”.

315 Mówimy „jak się zdaje,” gdyż Berg o tej radzie wspomina tylko mimochodem i z jego opowiadania wynika, że generał-gubernator na niej nie był. Wszelako obecność jego późniejsza przy wtargnięciu do kościołów, jego udział w akcji, niezgodnej z przepisami niedawno wydanymi, świadczy przeciwnie. Mamy zresztą dowody jego obecności na tej drugiej naradzie. Teobald w swych „Wspominaniach” IV, 20, powiada, że gdy wieść o zamierzonej procesy przysłała do Zamku, „zebrała się rada wojenna. Hrabia Lambert chciał postawić przed Zamkiem całą baterię (dział) i rozpocząć ogień na procesy, ale Gerstenzweig, Kryżanowski, Chrulew, Rożnow i inni radzili, ażeby rzeczy nie doprowadzić do takiej ostateczności”. *P. Martianow* w artykule wydrukowanym w gazecie „Swiet” z r. 1893 p. t. „Tragiczeskaja konczina gen. A. D. Gerstenzweiga” powiada, że G. był obecny na radzie, w tem się tylko różni od Teobalda, że generał-gubernatorowi przypisuje ów projekt strzelania z dział do procesy. Opiera on się w tym względzie na relacy przyjaciela Lamberta, Borszczowa, któremu namiestnik miał oświadczyć, że „na zdanie Gerstenzweiga: „trzeba wyprowadzić w czasie demonstracy wojska”, Lambert

Chrulew przede wszystkim opowiedział to, co słyszał i w końcu dodał, że „uważa chwilę obecną za bardzo groźną; że powstanie jest możliwe; że oczywiście ludność wojska nie pokona, ale w każdym razie starcie będzie straszne i liczne padną ofiary, może liczniejsze, niż dnia 8 kwietnia; dla rządu wreszcie nie jest rzeczą korzystną walczyć z kupą „popów”, którzy bezwarunkowo staną na czele tłumu”³¹⁶. Wobec tego według jednych Chrulew, według innych Gerstenzweig miał poradzić, ażeby zmienić osnowę znanego nam już artykułu 10 o stanie wojennym i „posłać do kościołów, otoczonych przez wojsko, oficerów na czele nieuzbrojonych oddziałów żołnierzy, którzy zażądają od zebranych, ażeby wyszli; gdyby zaś lud tego nie posłuchał, wprowadzić oddziały zbrojne i wszystkich aresztować”³¹⁷. Większość rady wojennej głosowała za tym wnioskiem; Lambert, po pewnym widocznym wahaniu, zgodził się także i upoważnił Chrulewa do wykonania tej decyzji. Porozumiewszy się w zasadzie, obradowano jeszcze nad drobnymi szczegółami; kazano kobiety i dzieci puścić wolno, mężczyźni tylko zabrać do cytadeli, z których wszystkich mło-

odrzekł ironicznie: „a może postawić przed Zamkiem baterią i gdy się zbliży procesja kościelna, powitać ją kartaczami”. W źródłach polskich rękopiśmiennych, jakie posiadamy pod ręką, mianowicie w „Kronice” owych czasów, uparcie powtarza się opinia, że rada wtargnięcia do kościołów wyszła od Gerstenzweiga. „Sprawcą wszystkich tych nadużyć (wtargnięcia do kościołów) — czytamy tam — jak okazało się później, nie był Lambert, ale Gerstenzweig. Otrzymał on *carte blanche* od cesarza na 48 godzin: utrzymywał, że przez ten czas stłumi rozruchy polskie i taki zrobił z niej użytek”. Wprawdzie słowa o owej *carte blanche* noszą na sobie cechę prostackiej plotki ulicznej, wszelako powszechność opinii, że Gerstenzweig był głównym powodem naruszenia nietykalności świątyń, opiera się na fakcie prawdziwym. *Giller* (A. Wielopolski, 82 i 84), który aczkolwiek w wielu razach jest echem plotek obiegających po mieście, ale miewa także niekiedy dobre wiadomości, jest tego samego zdania. Utrzymuje on, że z powodu manifestacji przyszło do kłótni między Lambertem i Gerstenzweigem, że „ostatni zażądał, aby jemu namiestnik zostawił swobodę działania, rękując słowem honoru, że buntowników poskromi, nie popełniwszy żadnego barbarzyństwa”. O parę stronicy dalej mówi: „jenerał Gerstenzweig, jako gubernator wojenny, zażądał od hr. Lamberta szczegółowych rozkazów do wystąpienia przeciw modlącym się w kościołach. Hr. Lambert wahał się, Gerstenzweig nalegał, przyszło powtórnie do sporu pomiędzy nimi, który się tem zakończył, że gubernator dał po raz drugi słowo honoru, że nie popełni żadnego okrucieństwa, jeżeli namiestnik zostawi mu zupełną swobodę działania”. Z tego wszystkiego, pomijając drobne wątpliwe szczegóły, ten jednak autentyczny można wyprowadzić wniosek, że Gerstenzweig, wbrew twierdzeniu Berga, był obecny na drugiej naradzie, na której zapadła decyzja wtargnięcia do kościołów. Czy ta rada wyszła od Gerstenzweiga, czy od Chrulewa, jak utrzymuje Berg, a pośrednio i *Lisicki* (*Le marquis*, 237, „prawdopodobnie rozkaz wejścia do kościołów nie był dany ani przez Lamberta, ani przez Gerstenzweiga”), dojsć dziś na podstawie tych źródeł, jakie posiadamy, niepodobna.

316 N. Berg, loc. cit. 390.

317 Loc. cit.

dych przeznaczono do wojska, starszych zaś na zesłanie do Syberii. Polecono również zredagować odpowiedni opis zaszłych wypadków i opublikować go w „Dzienniku powszechnym”³¹⁸.

Otrzymałszy pozwolenie do działania i taką instrukcją, Chrulew zabrał się do dzieła. Właściwie trzy tylko kościoły miały uleść wtargnięciu wojska: Świętojański, Bernardyński i Świętokrzyski, gdyż z innych, jak np. z kościoła Trynitarzy na Solcu i Reformatów przy ulicy Senatorskiej, ludność, gdy wojsko się pokazało, zdołała zbiedz bocznymi wyjściami³¹⁹. Wiedzano o tem i sądzono, że przyjdzie do aresztowań tylko w trzech wymienionych świątyniach. Chrulew sformował oddziały odpowiednie, kazał im broń złożyć w kozły i zaczął od kościoła Świętokrzyskiego. Ale jakże się zdziwiono, gdy wyłamawszy furtkę od klasztoru, prowadzącą do kościoła, znaleziono go ciemnym i pustym.

Lud bowiem w chwili, gdy wojsko otoczyło kościół, wyszedł sobie najspokojniej, dzięki wskazówkom księdza Łuniewskiego, prefekta klasztornego, przez zakrystyą do ogrodu, a stąd wydostał się w części na ulicę Świętokrzyską, w części ogrodami przylegającymi na Mazowiecką. Dość, że nie zastano nikogo³²⁰.

Teraz Chrulew nieco z miną kwaśną, że pomimo tylu przygotowań komedyi nie było, ruszył do kościoła Bernardynów. Wysłał tam najprzód od strony klasztoru kapitana sztabu jeneralnego, Tarasenkowa (który już poprzednio kilkakrotnie drogą tą przechodził i starał się przekonać zebranych, ażeby ustąpili), z poleceniem, aby jeszcze raz wezwał ich do wyjścia dobrowolnego. Tarasenkow poszedł, przemówił do ludności drzemiącej po kątach albo nerwowo przechadzającej się po korytarzu przylegającym do kościoła, ale na próżno. Oficer oświadczył, że w razie nieposłuszeństwa wojsko będzie do świątyni wprowadzone i wszyscy mężczyźni przyaresztowani. Odpowiedziano mu krzykami i obelgami, a wielu wołało, że się wziąć nie dadzą, że się bronić będą. Kapitan Tarasenkow spełniwszy swą misję, cofnął się, a zebrani w obawie rabunku poczęli w zakrystyi na ręce zakonników składać zegarki, pierścionki, klejnoty, wszelkie słowem kosztowności.

318 Teobald. Wspomnienia, IV, 20.

319 „Kronika”, rękopism.

320 Pogłoska, która obiegała wówczas między rosyjskimi kołami wojskowemi, o której wspomina Berg (loc. cit. 371) i Teobald, jakoby lud wyszedł przez podziemne przejście, mające istnieć między kościołem i domem Andrzeja hr. Zamoyskiego, jest zupełnie fałszywą. Wprawdzie Berg przytacza opowiadanie jednego z oficerów, który jakoby później z grotty istniejącej w ogrodzie Zamoyskiego dostał się do tego przejścia podziemnego i idąc przez nie, znalazł parasolkę kobiecą i w końcu wyszedł z zakrystyi kościelnej, ale romantyczna ta opowieść jest od początku do końca kłamstwem. Przejścia takiego nie było i nigdy ono nie istniało.

Tymczasem Chrulew rozkazał Tarasenkowowi wziąć trzydziestu żołnierzy bez broni i bez czapek, i na czele tego oddziału wejść do kościoła zwykłą drogą, to jest od strony klasztoru. Kapitan poszedł, ale zaledwie próg przestąpił, gdy skupieni w tym miejscu mężczyźni, uzbrojeni w ławki, lichtarze, kije, rzucili się na żołnierzy. Ci zaczęli uciekać, choć Tarasenkow usiłował ich powstrzymać, wołając z drugiej strony do ludu, że postępowanie jego jest nierycerskie, gdyż napada na bezbronnych żołnierzy.

Chrulew widząc, że inaczej nic nie poradzi, kazał żołnierzom wziąć do rąk karabiny z bagnetami i po raz wtóry wtargnąć do kościoła³²¹. Żołnierze rozdrażnieni mocno, po większej części pijani, z wściekłością uderzyli na lud, bili kolbami, wielu potłukli mocno i poranili, i wśród nieustającego oporu, jęku i płaczu kobiet, krzyków i wrzawy wyprowadzili wszystkich mężczyzn na ulicę. Z zakrystyi pokradli przytem klejnoty tam złożone, rozbiegli się po całym klasztorze, odbijali cele zakonników i dopuszczali się wszelkich gwałtów. Nie ulega najmniejszej kwestyi, że w starciu tem krew popłynęła. W miarę wyprowadzania aresztowanych na ulicę, łączono ich w partye po stu ludzi i wiedziono do Zamku, a stąd do cytadeli. Kobietom dozwolono iść do domów.

Chrulew, załatwiwszy się w ten sposób z kościołem Bernardynów, ruszył do św. Jana. Tu połączyli się z nim Gerstenzweig i Potapow, otoczeni adjutantami. Było około godziny trzeciej rano i noc była chłodna, księżycowa. Podobnie, jak u Bernardynów i tutaj wysłano parlamentarza do zgromadzonych. Oficer, stanąwszy przed kratą, oddzielającą kruchtę od kościoła i zamkniętą na łańcuch, wezwał zebranych do wyjścia; gdy to nie skutkowało, Chrulew wydelegował sześciu ludzi z liczby aresztowanych u Bernardynów, żeby opowiedzieli, co się tam stało i namówili opornych do uległości. Ale i ta misya dziwna do niczego nie doprowadziła, owszem zdawała się rozdrażniać obecnych. Wielu chciało się uzbrajać i stawiać czynny opór, ale większość osądziła, że w żadnym razie w kościele walki wszczynać nie należy, że naród prowadzi „wojnę ewangeliczną”, niech więc Moskale robią, co chcą. Oficerowie, stojąc przy kracie, drwić sobie zaczęli i dopytywali się, jak sobie radzono w kościele w niektórych razach.

Tu i owdzie między kobietami robił się ruch i na gwałt przebierano w suknie niewieście jakiegoś bardziej skompromitowanego mężczyznę, czasem męża, brata, a może i kochanka...

321 Raport urzędów, a za nim relacya Teobalda twierdzi, że Tarasenkowowi udało się przemocą lud i że żołnierze, zawsze bezbronni, wyaresztowali po jednemu wszystkich mężczyzn. Zaprzeczają temu wszelkie relacye polskie, zaprzeczca i Berg. Aresztowań dokonano dopiero za drugim wkroczeniem żołnierzy już uzbrojonych.

Nagle, żołnierze w liczbie dwudziestu, z karabinami w rękach, ale bez czapek, wprowadzeni do kruchty³²², poczęli toporami odbijać łańcuch od kraty. „Żołnierzom, jak powiada raport urzędowy, stanowczo, bez względu na żadne okoliczności, zakazano użycia broni i dozwolono tylko w ostatecznym razie grozić kolbami”. Ale ponieważ byli oni po większej części pijani i mocno podrażnieni, należało się spodziewać, że z pozwolenia grożenia kolbami, skorzystają w swój zwykły sposób. Krata na koniec pękła i błyszczące bagnety ukazały się na progu świątyni.

Widok, jaki uderzył zebranych tu jenerałów, miał w sobie coś uroczyście wspaniałego i groźnego zarazem. Cała, wielka, gotycka świątynia gorzała od światła, które ginęło gdzieś pod sklepieniem ostrołukowem lub łączyła się z blaskiem miesiąca, przedzierającym się przez okna, na pół przysłonięte kirem, jeszcze od czasu pogrzebu arcybiskupa. Na środku wznosił się olbrzymi katafalk, z baldachimem srebrzystym, a w jego ozdobach odbijało się i przelewało światło tysiąca świec. Lud zebrany klęczał, twarzą zwrócony do ołtarza i śpiewał nerwowo, głosem rwącym się co chwila, stary psalm Dawidowy: „Kto się w opiekę poda Panu swemu”... Scena była pełna grozy i powagi; Kościół dyszał blaskiem, świętością i modlitwą.

Któryś z jenerałów, stanąwszy na schodach, prowadzących spod chóru do naw kościelnych, zawołał po polsku głosem donośnym: „Panowie, wychodźcie! gdyż w przeciwnym razie dany będzie rozkaz aresztowania was!” Na słowa te nikt się nie odezwał. W kościele zaległa cisza grobowa, śpiew nawet się urwał. Zdawało się, że wszyscy utaiwszy dech w piersiach oczekują strasznej katastrofy.

Na koniec, na głośną komendę oficera dowodzącego, żołnierze spuścili bagnety jak do ataku i ruszyli ku nawie lewej od wejścia. W kościele rozległ się jęk, płacz i krzyk. Większość przekonana była, że zostanie wyklutą. Tymczasem żołnierze, szturgając opierających się kolbami, pędzili ich przed sobą i pojedynczo lub grupami aresztując, wyprowadzali ich na ulicę, a stąd do Zamku. Gdy już oczyścili tym sposobem nawę lewą i cały tłum skupił się w środkowej i prawej, nagle przed kratą od prezbiterium, na schodkach, ukazał się ubrany w komżę i stułę, z krzyżem metalowym w ręku ks. Pyzalski, nauczyciel religii w gimnazyum gubernialnem w Warszawie i podnosząc krzyż do góry, począł mówić głosem nerwowym do żołnierzy i do ludu, wzywając go do oporu. Wszyscy zatrzymali się, jak skamienieli, zdziwieni nadzwyczajnie tem niespodziewanem wystąpieniem, wszyscy wlepili w mowę oczy i w kościele

322 Drzwi główne nie były zamknięte; gdyż poprzednio otworzono je dla wpuszczenia niosących wodę, a żołnierze zamknąć już więcej ich nie dali i przez nie swobodnie oficerowie dostawali się do kruchty.

zaległo pełne grozy milczenie³²³. Trwało to zresztą krótką chwilę, gdyż jeden z żołnierzy schwycił księdza za kark i pchnął go do grupy już aresztowanych. Ksiądz Pyzalski wyprowadzony, szedł przez całą drogę do Zamku, mówiąc głośno modlitwę i przybywszy na odwach zamkowy, natychmiast zasnął³²⁴.

Po tej scenie aresztowania dalej trwały. Kobiety i dzieci spędzono do prezbiterium, mężczyzn zaś wyprowadzano. Niektórzy dali się brać bez najmniejszego oporu, w milczeniu, jakby nieprzytomni lub senni, inni bronili się zawzięcie i kolbami zmuszeni dopiero ulegali. Tu i owdzie przyszło do poważnych nawet starć; żołnierze rozdrażnieni oporem bili już uległych i nieuległych. Coraz więcej wojska przybywało do kościoła, przetrząsało wszystko, zaglądali za ołtarze, za obrazy, za katafalk, pod dywany, do stali, konfesyonałów, zakrystyi; wdarli się na chór, na ambonę, tłukąc i niszcząc wiele drobnych sprzętów.

W chwili, gdy te sceny straszliwe i niesłychane odbywały się w kościele, ktoś dostał się na dzwonnice i uderzył w dzwony, jakby na trwogę. Wśród ciszy panującej w mieście, odgłos tego dzwonu rozlegał się żałośnie, rozpląwał się na dalekie przestrzenie. Zrazu przy ogólnym zamieszaniu, krzykach, płaczu kobiet, nie zwracano uwagi na jęczący dzwon nieustannie, ale powoli w grupie jenerałów i oficerów odgłos ten wzbudził pewne rozdrażnienie i Gerstenzweig pierwszy zawołał: „a zrzućcież mi tego dzwonnika z dzwonnicy!” (da snimite mnie etogo zwonara s kołokolni!) Żołnierze rzucili się, ale wnętrze dzwonnicy napełnione było kryjącymi się tutaj. Wywleczono ich wszystkich, sznury od dzwonów poprzecinano i jęk płaczący dzwonu ustał³²⁵.

Na koniec wyprowadzono już wszystkich mężczyzn. Kobiety zostały w kościele i po krótkim ich przeglądzie, dokonanym przez oficerów, niektórym pozwolono zaraz wracać do domów, dokąd odprowadzali je policyanci, inne zaś zostały aż do rana w kościele. Odbywały się przytem sceny rozdierające. Wiele kobiet, żon, matek, sióstr, a może kochanek z płaczem i krzykiem przeciskało się przez żołnierzy, by po raz ostatni kogoś z aresztowanych ucałować, zwłaszcza, że obiegała wśród tłumu pogłoska, że ich rozstrzelają. Pogłoskę tę popierały ironiczne żarty żołnierzy, którzy wprost mówili, że co piątemu będą „jak sobakom” w łby strzelali: Na ulicy Świętojańskiej wszystkich aresztowanych ustawiono w szeregi. Gretstenzweig zapytał: ilu ich jest?” — odpowiedziano mu, że od dwóch do trzech tysięcy. Cyfra ta zdawała go się przerażać i zawołał: „co my będziemy z nimi robili?... *quelle terrible histoire!* (co za straszna historia)”³²⁶.

323 Z podań ustnych.

324 Za to wystąpienie ks. Pyzalski, już za Lüdersa, zesłany został do gubernii Ołonieckiej (Pawliszczew, Siedmicy I, 26).

325 N. Berg: loc. cit.

326 Loc. cit.

Wszystkich aresztowanych popędzono do cytadeli.

W długim tym, ćwierć mili przeszło pochodzie, żołnierze szydzili z jeńców, wymyślali im, grozili, a będących na końcu bili bezlitośnie kolbami; zwłaszcza największą okazywali nienawiść do studentów i żydów, których kilku wzięto w kościele. Idącym kazali, żeby maszerowali równo, po wojskowemu i nie umiejących tego kułakowali lub obelgami obrzucali. Gdy się zbliżono do cytadeli, żołnierze wskazując na nią mówili do więźniów: „oto wasza Matka Boska” (wot wasza Boża Matier). Przybyłych do fortecy obliczono natychmiast i pokazało się, że cyfra aresztowanych w obu kościołach wynosi 1.678³²⁷. Przeważnie należeli oni do sfery mieszczańsko-rzemieślniczej. Z wybitniejszych w mieście osób nikogo nie było, chyba, że zaliczymy do nich znanego nam już szewca Hiszpańskiego oraz dwóch aktorów: Królikowskiego i Chęcińskiego. Aresztowano również niejakiego Sadowskiego, podporucznika pułku smoleńskiego piechoty, Polaka, który znalazł się także w kościele i wyjść z niego nie chciał³²⁸.

Aresztowanie skończyło się około godziny 5-tej rano i Gerstenzweig zaraz, tejże nocy zgłosił się z raportem o wszystkim do namiestnika. Gdy wymienił cyfrę aresztowanych, Lambert rozpaczliwie załamał ręce i rzekł z ironią: „a cóż, ukarż ich pan wszystkich, oddaj w rekruty lub wyslij na osiedlenie”³²⁹.

Widocznie był tą sprawą mocno wzburzony; do cesarza zaraz o wszystkim telegrafował o godzinie 4 minut 15 rano³³⁰.

Gdy się dzień zrobił, wieść o tem, co się stało w nocy w kościołach, rozbiegła się piorunem po mieście i wywarła na wszystkich wstrząsające wrażenie. Oburzenie było ogólne; w mieście wrzało, jak w kotle. Po ulicach poczęły się gromadzić tłumy, przybierały postawę groźną, zdawało się, że lada chwila wy-

327 Taką cyfrę podaje raport urzędowy, opublikowany w „Dzienniku powszechnym”. Teobald mniej więcej tę samą cyfrę daje (1.684). Lambert w depeszy do cesarza z dnia 17 października, powiada, że aresztowano 1.600 osób. Liczba więc od 1.600 do 1.700 jest najwiarogodniejszą. Berg nie określa bliżej liczby, jak również źródła polskie. Jeden tylko Podwysockij (Zapiski, 90) powiada, że aresztowano w obu kościołach 3.500 mężczyzn.

328 Zdegradowany został za to na prostego żołnierza (Pawliszczew I, 59).

329 P. Martianow: „Tragiczeskaja koncziina gen. Gerstenzweiga”. („Swiet” z 1893r.). Teobald, Wspomnienia, IV, 21, twierdzi, że Lambert miał odrzec: „los ich zdecydowany; młodzi do wojska, starsi na Syberyą”. Berg nic o tem nie wspomina, żeby Gerstenzweig tegoż poranku, po aresztowaniach w kościele, był u Lamberta.

330 Telegram z dnia 4 (16) października, godzina 4 minut 15 w nocy: „wczoraj trzy kościoły, w których zebrało się (nie mówi co) dla odprawienia nabożeństwa i śpiewali hymny podburzające, były otoczone siłą wojskową; z jednego z nich publiczność wyszła tajemnym przejściem (skrytym hodom); w innych uparcie pozostała do późnej nocy. W tej chwili dokonywuje się w nich aresztowanie przemocą wszystkich mężczyzn”.

buch nastąpi. Bóg wie o czym nie mówiono i nie marzono w tych tłumach rozgorączkowanych, roznamiętnionych, wygrażających pięściami. Gdyby się był znalazł wódz, człowiek dość silny, by te tłumy porwać, kto wie, czy wtedy, w ten dzień fatalny krew polska i moskiewska nie była się polała po bruku Warszawy. Ale wodza takiego nie było...

W Zamku, wśród generałów popłoch był niemały. Uważali oni moment ten za arcyniebezpieczny, za najgroźniejszy, jaki był od chwili poczęcia manifestacji³³¹. W Zamku zdwojono posterunki, do cytadeli dano znać, by się miano na pogotowiu, a na miasto puszczono znowu dwie setnie kozaków i tak zwanych czerkiesów, żeby rozpędzali wszelkie zbiegowiska. Powtórzyły się znowu wczorajsze dzikie sceny. Kozacy latali po ulicach i bili batami, kogo tylko napotkali. Tu i owdzie broniono im się, ale ostatecznie koło południa fale powszechnego wzburzenia, groźny pomrok miasta umilkł. Ulice zupełnie opustoszały, obawa nagłego wybuchu znikła. Felczerzy i lekarze, wezwani do Zamku na wypadek potrzeby, rozeszli się do domów. Miękką, słowiańską, niezdecydowaną naturą polską wzięła górę...

Ale nie miało się na tem skończyć, niestety! Wśród duchowieństwa, wśród kleru, przesiąkniętego gorącym patryotyzmem chwili, dotkniętego bezpośrednio zniewagą, wyrządzoną kościołom i religii. oburzenie dosięgało swego zenitu. Wybrany przed paru dniami przez kapitułę administratorem dyecezyi ks. Antoni Białobrzescki, wbrew opinii, która domagała się, by na stanowisko to powołano sufragana lubelskiego, Baranowskiego, był już człowiekiem niemłodym, o charakterze miękkim i ulegającym obcym wpływom, przytem, jak każda słabość, upartym. Otoczony księżmi pełnymi energii, jak Dziarzkowski i Sieklucki, lub tak wpływowymi w tej chwili, jak Stecki i Wyszyński, patrzył na wszystko ich oczami. Rankiem, dnia 16-go października, zbiegli się do niego wszyscy, mówili, gorączkowali się, zapalali; umysły były nadzwyczajnie rozgoryczone i podniecone. Oprócz księży, których coraz więcej do mieszkania Białobrzesckiego w pałacu arcybiskupim przybywało, zjawiało się tu także wielu cywilnych, zjawiał się Stawiski, znany autor adresu do cesarza, zjawiał się i Majewski... Atmosfera oburzenia wzrastała, wszyscy rozprawiali, wszyscy czuli potrzebę zrobienia jakiegoś kroku, ale nikt nie wiedział, co zrobić należy i jak sobie postąpić.

Wśród tego wszystkiego, wśród tego chaosu podnieconych namiętności, rozpalonych głów i rozgoryczonych serc, pojawił się posłaniec od biskupa Dekerta z karteczką do Białobrzesckiego. Dekert niemniej oburzony jak wszyscy, rozdrażniony nocnym pobytem u Gerstenzweiga, który przez adjutanta roz-

331 N. Berg: loc. cit. 373, w przypisku.

mawiał się z wysokim dygnitarzem kościelnym, traktował go szydersko i lekceważąco, radził administratorowi, żeby polecił spisać protokół z wypadków nocnych i przeprowadził śledztwo w sprawie profanacji kościołów, a ponieważ, kończył, „w kapitularku tego zrobić nie można, gdyż policja archikatedrę ciągle otacza, więc należy aktu tego dokonać w konsystorzu”³³².

Słowa te wśród burzliwego zamętu stały się drogowskazem, wyraz „profanacja” osiłą rozwijających się planów, uchwyciono jej się chciwie, domagano się od Białobrzeskiego, by co żywo zwołał do konsystorza kapitułę i niekapitułę.

Wkrótce zbiegło się w salach konsystorza mnóstwo księży i osób cywilnych, którym księża Wojno, Dziarkowski i inni, dali znać o zebraniu. Zgromadzenie obliczano na 300 osób i widocznym było, że tu nie szło o akt protestujący przeciw zniewadze kościołów, gdyż w takim razie ludzie świeccy nie mieli tu co robić, ale o akt polityczny, dla którego ta zniewaga była pretekstem tylko. Z pomiędzy biskupów był obecnym ks. Juszyński, sandomierski i Majerczak, administrator diecezji kielecko-krakowskiej. Rozprawy z początku toczyły się głównie co do tego, czy istotnie kościoły uległy profanacji. Pomimo rozgorączkowania powszechnego, pomimo oburzenia, pomimo upajającej i niezdrowej atmosfery rewolucyjnej, większość zebranych księży sądziła, że kościoły przez akt napadu nocnego nie uległy profanacji. Któryś z księży zacytował nawet zdanie teologiczne, że „kościół sam przez się nie ulega zniewadze, tylko w mniemaniu ludu” (*ecclesia in se ipsa non polluitur, sed in existimatione populi*). Na to inny ksiądz, profesor akademii, który z czasem miał wybitne zająć stanowisko w hierarchii duchownej, zwołał z ogniem: „a więc trzeba temu mniemaniu ludowemu zadość uczynić i kościoły zamknąć” (*oportet hanc existimationem satisfacere*). Wyrazy te stały się blaskiem, rozświecającym ciemności; stały się ognistym słupem Mojżeszowym, przewodniczącym w pustyni. Wszyscy uchwycili się ich gorąco, wołano: „znieważono kościoły, zamknąć je! duchowieństwo może to zrobić, są na to dekreta papieskie, bulle, teologia!” Cywilni, różnego pokroju rewolucyoniści i nierewolucyoniści, którzy chcieli dokuczyć Wielopolskiemu, wszyscy wreszcie pragnący, by przepaść między rządzącymi i rządzonymi stawała się coraz szersza i głębsza, gorąco popierali tę myśl dziwną, niczem nieusprawiedliwioną i ze stanowiska teologii nieprawną. Na próżno ks. Topolski, kanonik metropolitalny i sędzia surrogat konsystorza, powstał przeciw temu, na próżno wymownymi słowami wykazywał całą nieprawność takiego kroku, zakrzyczano go, nazwano Moskalem, służką rządowym. Ten sam ksiądz, który pierwszy podał projekt zamknięcia kościołów, odparł zarzuty Topolskiego. „Wprawdzie, mówił on,

332 Z ustnych relacji osób wiarogodnych.

według kanonów, kościoły nie mogą być zamknięte, ale ze względu na stan umysłów w kraju, rzecz ta winna być koniecznie dokonana”. Mówił z zapalem i porwał za sobą wszystkich dotąd chwiejących się wobec własnego sumienia i decyzja zamknięcia kościołów zapadła niemal jednogłośnie³³³.

Zaraz też, żeby nie tracić czasu i kuć żelazo, póki gorące, wystosowano od Konsystorza jeneralnego odezwę do dziekana foralnego warszawskiego, ażeby „z powodu zaszłej w dniu wczorajszym profanacji kościołów św. Jana i Bernardynów”, kościoły te natychmiast zapieczętował, protokół tej czynności spisał i takowy przy raporcie konsystorzowi nadesłał. Prócz tego wygotowano t. zw. „kursoryą”, czyli okólnik do wszystkich przełożonych kościołów parafialnych i zakonnych w Warszawie, w którym, donosząc im o opieczętowaniu dwóch kościołów, powiada: „ze słusznej zaś uwagi, aby inne świątynie Pańskie nie uległy tymże wypadkom, JW. ksiądz administrator poleca, że od dnia jutrzejszego wszystkie kościoły parafialne i zakonne, jako też kaplice publiczne mają być zamknięte, a to do dalszej jego decyzji, to jest dopóki nie otrzyma rękojmi, że rzeczony świątynie zabezpieczone zostaną od profanacji, a lud wierny z zupełnem bezpieczeństwem będzie mógł w nich zasyłać swoje modły do Boga”³³⁴. W chwili, gdy ks. Sieklucki, sędzia surrogat konsystorza, odezwę i kursoryą powyższą ekspedyował, zbliżył się do niego ksiądz Zwoliński, proboszcz kościoła na Pradze i prosił Siekluckiego, by tej kursoryi do niego nie przysyłał.

Trzeba przecie, mówił, żeby choć jeden kościół był otwarty, a że Praga jest za Wisłą i kościół daleko, więc to w niczem ogólnej postawy kleru nie naruszy. Sieklucki zgodził się na to, kursoryi na Pragę nie posłał i Zwoliński, człowiek niewykształcony, prostackich usposobień, chciwy na grosz, ale nadzwyczaj zręczny, zyskał sobie przez to u rządu bardzo dobrą opinią, która mu z czasem miała posłużyć do zajęcia jednego z najwyższych stanowisk w hierarchii duchownej Królestwa.

Wszystko to odbyło się bardzo szybko i wieść o postanowieniu duchowieństwa błyskawicą rozbiegła się po Warszawie, rozniesiona zresztą przez księży i przez cywilnych, obecnych na radzie. Doszła ona oczywiście i do Zamku, potwierdzona zresztą przez kopią odezwy konsystorza, którą wręczono Lambertowi. Zaraz też przysłała odezwa Białobrzeskiego, jako administratora Archidiecezyi, wystosowana do namiestnika, W odezwie tej, a raczej liście, napisanym nadzwyczaj śmiało, świadczącym, jak dalece umysły były rozgorączkowane, Białobrzeski donosił o postanowieniu swoim, pisał, że „sromo-

333 Cały przebieg narady w konsystorzu opisujemy według relacji osób wiarogodnych, które były na tem posiedzeniu.

334 Obie te odezwy u Gillera: „Historia powstania narodu polskiego”, II, 389.

ta wyrządzona w dniu wczorajszym kościołom nie pozwala mu milczeć”, że „gwałt wyrządzony kościołom w czasie śpiewania po mszy świętej pieśni religijnej aprobowanej (sic), przez otoczenie ich wojskiem, zatrzymanie w nich przez dzień i noc bez pokarmu ludności męskiej blisko dwutysięcznej, następnie wdarcie się do tychże wśród nocy przez złamanie kraty, wyrąbanie bramy, żołnierzy z bronią, z nakrytymi głowami, bicie kolbami i potracanie pięściami osób wzbraniających się wyjść z obawy niezasłużonego aresztu, są czynami, których żadnemu regularnemu żołnierzowi, tem bardziej w rządzie zaręczającym szczególną opiekę religii katolickiej i to podczas najzupełniejszego pokoju dopuszczać się nie godzi, są czynami, które raczej do wieków Atyllów, niżeli do naszego należą”. Wobec tego administrator postanowił zamknąć wszystkie kościoły w Warszawie i tak kończy: brak pociech i pomocy religii, jakie wywoła usposobienie i następstwa wzburzonych do głębi umysłów, nie chcę się domyslać. To wiem tylko, że tylokrotnie i tak boleśnie zrywane węzły zaufania między rządzonymi, a rządem niczem się skuć ani nawiązać nie dadzą”.

Pismo to przeraziło Lamberta mocno; wieści donoszone mu z miasta przez usłużnych jenerałów, brzmiące złowrogo i zapowiadające powstanie, dodawały grozy całemu położeniu, chorego i wahającego się Hamleta wprawiały w jeszcze większy stan niepewności. Wezwał on zaraz do Zamku Białobrzeskiego, który stawiał się tam o godz. 9-ej rano³³⁵. Rozmowa była bardzo żywa, niekiedy gwałtowna. Białobrzesci, jak wszystkie umysły słabe, a przytem uparte, powtarzał to, czem go napoili młodzi księża; był zresztą mocno podrażniony. Mówił więc o oburzającej scenie aresztowań w kościele; pomysł tych aresztowań uważał za nader pośpiesznie i bez namysłu dokonany; oświadczył wreszcie, że rozporządzenie o zamknięciu kościołów dotąd nie zostało wykonane, że może być ono cofnięte, jeżeli namiestnik każe natychmiast uwolnić aresztowanych co do jednego i jeżeli da rękojmią duchowieństwu, że podobne sceny więcej się nie powtórzą. Lambert nadzwyczajnie znużony, bo już trzy z rzędu noce nie spał, nie bardzo rozumiał subtelności teologicznych, któremi go przytem karmiono, nie chciał się spierać, żeby bardziej duchowieństwa nie drażnić, a może też w gruncie rzeczy potępiał w duszy nocną napaść na kościoły, na którą zezwolenie gwałtem mu niejako wydarto, dość, że prze-

335 N. Berg, loc. cit. 375. Juliusz Jastrzębczyk: „Krzyżowy charakter ruchu polskiego” 29, utrzymuje, że z Białobrzeskim pojechali: biskup Juszyński i Majerczak oraz że Białobrzesci złożyli na ręce namiestnika protestacyą, której streszczenie autor przytacza. Bytność biskupów na Zamku owego dnia nie potwierdza się wcale przez inne źródła. Protestacya zaś owa jest odezwą, jaką d. 17 paździer., a więc nazajutrz po swej bytności w Zamku, Białobrzesci wystosował do Wielopolskiego, jako Dyrektora Kom. Oświecienia. Administrator więc był sam i żadnej protestacyi Lambertowi nie składał.

rwał rozmowę i zakończył ją temi słowy, „że ze swej strony zrobi wszystko, co można będzie dla uspokojenia umysłów i ma nadzieję, że duchowieństwo tak samo postąpi”³³⁶.

Rozmowa ta, zdaje się, zostawiła na Lambercie takie wrażenie, że jeżeli aresztowanych w nocy w obu kościołach uwolni, to te ostatnie zamknięte nie będą i spór z duchowieństwem, bardzo niebezpieczny i bardzo drażliwy, sam przez się upadnie. Wskutek tego wezwał do siebie natychmiast pułkownika Lewszyna, prezesa komisji śledczej i polecił mu, ażeby nie tracąc czasu udał się do cytadeli i tam, wraz z komendantem tej twierdzy Jermołowem, ma jak najspieszniej przejrzeć wszystkich aresztowanych i uwolnić tych, którzy się wydadzą mniej niebezpiecznymi lub winnymi, zwracając jednak główną uwagę na lata więźniów. Gdy już Lewszyn odchodził, namiestnik zatrzymał go we drzwiach i dodał: „proszę się nie krępować” (nie stiesniajties)³³⁷.

336 N. Berg, loc. cit. 376.

337 Loc. cit. Berg wiadomość tę miał od samego Lewszyna. Że zresztą taki, a nie inny był powód uwolnienia aresztowanych, świadczy odezwa Białobrzeskiego, przesłana nazajutrz do Wielopolskiego, w której administrator mówi o swej bytności u Lamberta i dodaje, że otrzymał zapewnienie, „że podobnego rodzaju nadużycia powstrzymane zostaną i już się więcej nie powtórzą”. Mimo to Borszczow w cytowanym już artykule (Samobójstwo generała Gersztenzweiga) utrzymuje, że uwolnienie aresztowanych nastąpiło wskutek rozkazu telegraficznego cesarza. „Hr. Lambert, pisze Borszczow, doniósł natychmiast o wypadku tym (wtargnięcie do kościołów) telegrafem cesarzowi Aleksandrowi Nikołajewiczowi, bawiącemu podówczas w Liwadi. Otrzymałszy od J. C. Mości odpowiedź, w której cesarz nie ganiąc wcale koniecznych i surowych środków, jakich się chycono, wypowiedział wszelako życzenie, żeby środki te nie były zbyt ostre; hr. Lambert wezwał do siebie natychmiast generała Lewszyna, będącego wówczas oberpolicmajstrem warszawskim, rozkazał mu zrobić przegląd aresztowanych i uwolnić tych, którzy mają mniej niż lat 20, lub więcej niż 40 i o których będzie miał przekonanie, że są niewinni i w kościele wypadkiem tylko się znaleźli”. Relacją tę potwierdza Martianow (Tragiczeskaja koncziina) i mówi, że pomimo wszelkich zarzutów, Borszczow uparcie trzymał się swego zdania i uzupełniał je temi słowy: „Lambert uczuł przestrach wobec położenia, w jakim został postawiony przez rozszerzenie pierwotnego swego rozkazu i natychmiast zatelegrafował o wszystkim otwarciu cesarzowi do Liwadi. Nie spał całą noc oczekując na odpowiedź. W głowie jego rysowały się obrazy tego, co się stało i spostrzegł, że popełniono czyn niesprawiedliwy. Aresztowanie zamiast samych agitatorów wszystkich mężczyzn, będących w kościołach, wydało mu się anomalią potworną, za którą odpowiedzialność spadała na niego, jako tego, który zgodził się na taki krok stanowczy. Rozmyślając nad tem, jakim by sposobem, nie kompromitując władzy, naprawić zbytek gorliwości swego pomocnika, przyszedł do wniosku, że należy postąpić z aresztowanymi jak można najwzględniej i otrzymałszy między godz. 7, a 8 rano odpowiedź telegraficzną od cesarza, w której między innymi wypowiedziane było życzenie, żeby przedsięwzięte środki nie były zbyt surowe, natychmiast rozkazał generałowi Lewszynowi, który przybył do niego ze zwykłym raportem porannym, udać się do cytadeli i uwolnić tych wszystkich

Lewszyn, spełniając ten rozkaz, udał się do cytadeli i uwolnił prawie wszystkich. W miarę uwalniania, tłumy aresztowanych, po kilkuset ludzi, wychodząc z cytadeli śpiewały głośno: „jeszcze Polska nie zginęła”, lub krzyczały: „niech żyje Napoleon! wiwat Wiktorya!”, co niby znaczyło w ich przekonaniu, że uwolnieni zostali wskutek wpływu lub z obawy władz rosyjskich przed cesarzem Francuzów i królową angielską. Jedną z takich gromad krzyczących spotkał na moście jadący do cytadeli Gerstenzweig, który dotąd nie wiedział o tem, że namiestnik wydał rozkaz uwolnienia aresztowanych³³⁸. Przybywszy

z pomiędzy aresztowanych w nocy w kościołach, którzy nie należą do agitacyi, lub znaleźli się w kościele przypadkiem”. Borszczow utrzymuje przytem, że wszystko to słyszał od samego Lamberta. Wszelako zdaje się, że relacya ta jest kłamliwą. Pominąwszy już jego niewiadomość, że Lewszyn nie był wówczas oberpolicmajstrem warszawskim (był nim Piłsudski), pominąwszy następnie, że Lambert nie mógł czekać całej nocy na odpowiedź cesarską, gdyż aresztowanie w kościołach skończyło się koło godziny 5-ej rano, a on telegrafował o tem do cesarza o godz. 4 m. 15, to najważniejszą rzeczą jest, że tego rodzaju telegramu nie ma w zbiorze Muchanowa, który wydrukowała „Russkaja Starina”. Wprawdzie, jakeśmy to już zaznaczyli gdzieindziej, nie wszystkie tam znajdują się depesze, które w tych czasach gorących wymieniali namiestnicy warszawscy z cesarzem i w wypadku, o który nam idzie, uderza ta okoliczność, że od depeszy, o której wyżej mowa, wysłanej d. 16 października o godz. 4 m. 15 rano, nie ma żadnego telegramu przez cały dzień 16, w którym tyle ważnych rozegrało się wypadków. Następną depesza jest dopiero z d. 17, o godz. 3-ej rano, a więc w 24 godzin po pierwszej. Jest ona bardzo lakoniczna i donosi o uwolnieniu aresztowanych. Z tego wnioskować by można, że wydawcy, dla powodów nam nieznanych, opuścili depesze wysłane i odebrane w ciągu dnia, wśród których mógł się także znajdować telegram, o którym mówi Borszczow. Wszelako wątpić należy, czy taki telegram w rzeczy samej istniał, jeszcze z innych względów. Cesarz Aleksander nie był dobrym człowiekiem i czy to z tradycyi swych rządów, czy przez chęć okazania się nieubłaganym, zwłaszcza w stosunku do nas, zawsze stał po stronie rządów surowych. Znamy przecież jego nieustanne nalegania, by ogłoszono stan wojenny i wykonywano jego przepisy bez żadnej względności (bez nikakich posłablenij). Wątpliwą więc jest bardzo rzeczą, by nakazywał łagodne środki wobec tego, że władze warszawskie przepisy stanu wojennego ściśle wykonały. Wreszcie Teobald (Wspomina-
nia, 30), mówiąc o tem, wprost zaprzecza istnieniu takiej depeszy i robi słuszną uwagę: „gdyby taka depesza istniała, to spór między Gerstenzweigiem, a hr. Lambertem nie mógłby powstać, gdyż ostatni pokazałby pierwszemu telegram najwyższy (sic) i tem zamknąłby usta Gerstenzweigowi”. Zdaje się więc, że relacya Berga jest najautentyczniejszą i za nią też w opowiadaniu naszym idziemy.

338 Teobald, Wspomina-
nia IV., 22. Był on świadkiem naocznym tych spotkań Gerstenzweiga z powracającymi z cytadeli więźniami. Miało się to dziać koło godz. 11-ej rano. Teobald (Rotkirch) wysłany został przez Lamberta do cytadeli, żeby zobaczyć, ilu Lewszyn uwolnił. „Wyjeżdżając z ulicy Zakroczymskiej, opowiada, na stoku cytadeli spotkałem idący z fortecy tłum ludzi około 500 lub 600 osób, który ze świstem i wrzawą ryczał (sic) „jeszcze Polska nie zginęła”. W tymże czasie zauważyłem Gerstenzweiga, który także jechał do cytadeli, ale zatrzymał się i stojąc w powozie z zadziwieniem patrzył

do cytadeli, z liczby 1684 więźniów, zastał tylko dwudziestu, którzy kłaniali się Lewszynowi i prosili, żeby ich także uwolnił.

Zirytowany tem nadzwyczajnie Gerstenzweig, choć Bogiem a prawdą nie było się czego irytować, skłócił się z Lewszynem³³⁹ i wprost z cytadeli w strasznym paroksyzmie gniewu pojechał do Zamku. Tu bez meldowania się wcale wpadł do gabinetu namiestnika i rozegrała się tam, w obecności Chrulewa tragiczna scena, w której niemałą rolę zapewne odegrała zawiść wzajemna, scena w szczegółach nieznaną. Jak przypuszczają niektórzy, Gerstenzweig miał znieważyć namiestnika, skutkiem czego nastąpiło wyzwanie. Na wniosek jednak Chrulewa, że ze względu na stanowisko obu tych panów, należy uniknąć skandalu, zgodzono się na tak zwany pojedynek amerykański. Chrulew związał węzełek na chustce i węzełek ten wyciągnął Gerstenzweig³⁴⁰.

na szalejący tłum". Berg zaś utrzymuje (według opowiadań ówczesnego komendanta placu Bebutowa), że Gerstenzweig do południa o niczem nie wiedział i o godz. 9-ej rano kazał księciu Bebutowowi udać się do cytadeli i zobaczyć, czy aresztowani mają dobre pożywienie, sienniki i słomę. Bebutow pojechał i około godz. 10-ej rano spotkał ów tłum 500 osób, idący po moście Konstantynowskim; drugą taką partycją spotkał dalej. Zabawiwszy koło godziny, przez który to czas odbywało się dalej uwalnianie, wrócił do generał-gubernatora, ale go już w domu nie zastał. Pojechał on do Zamku. Relacja Teobalda, jako świadka naoczno, wydaje nam się autentyczniejszą.

339 Teobald, loc. cit. tak opowiada tę scenę: „Gerstenzweig w strasznym gniewie napadł na Lewszyna: co to znaczy generale? Lewszyn spokojnie, mierząc go wzrokiem od stóp do głów, odrzekł kładąc nacisk na każdym wyrazie: wypełniam rozkaz namiestnika, generale! hrabia kazał mi uwolnić tych, których według mego widzenia uznaję za niewinnych. Więc uwolniłem niewinnych. I pan śmiesz mi to mówić z takim cynizmem? to zdrada! (eto izmiena). — Proszę wasze *prewoschoditelstwo* nie podnosić głosu i zastanowić się nad swymi wyrażeniami. Ja za swój krok odpowiem nie przed panem, ale przed namiestnikiem; jemu zdam sprawę i on jest dla mnie jedynym sędzią. Straszliwie wzburzony Gerstenzweig wybiegł z pawilonu, wskoczył do powozu i krzyknął do woźnicy: do namiestnika”!

340 Że w istocie tak było, to nie ulega wątpliwości. Na to wszyscy pisarze polscy i rosyjscy się zgadzają. Tak wreszcie utrzymuje obszerny artykuł, wydrukowany wkrótce potem w gazecie francuskiej „Opinion nationale”, któremu nikt nie zaprzeczył. Cała ta sprawa zresztą ma drugorzędne dla nas znaczenie, jako pośrednio tylko dotycząca naszego przedmiotu. Dlatego nie pomieszczamy szczegółów samej rozmowy Lamberta z Gerstenzweigem, tem więcej, że autentyczność tych szczegółów jest mocno podejrzana. Chrulew, który był jej świadkiem naocznym, do końca życia zachował tajemnicę. Zapytywany o to mówił: „tajemnica nie do mnie należy i zaniosę ją ze sobą do grobu” (Teobald IV., 33). Pomimo to, w r. 1887 w miesięczniku rosyjskim „Istoriczeskij Wiestnik” ukazało się opowiadanie wspomnianego już przez nas tylokrotnie Borszczowa, osobistego przyjaciela Lamberta. W opowiadaniu tem, Borszczow utrzymuje, że był obecny przy całym zajściu między moskiewskim Mentorem i Telemakiem i twierdzi, że Gerstenzweig zarzucał Lambertowi wprost zdradę i nawet podniósł rękę, by go w twarz uderzyć. Relacja ta i sam ton opowiadania budzi poważne podejrzenia, że Borszczow powtarza to tylko, co słyszał od

Po tej scenie generał gubernator, przegrawszy sprawę ze swym Telemakiem, pojechał do siebie do pałacu Brühlowskiego straszliwie wzburzony, przeleżał cały wieczór ubrany i nieruchomy, i nazajutrz d. 17 października o godz. 7-ej rano, stanąwszy przy oknie gabinetu, wychodzącym na ogród pałacowy, strzelił sobie z rewolweru dwa razy w głowę. Pierwsza kula ześlizgnęła się po czaszce, przebiła okno i wypadła do ogrodu, druga utkwiała w głowie. Nieszczęśliwy człowiek, ofiara niezdrowej ambicji, żył jeszcze przez dni dziewiętnaście³⁴¹.

Tymczasem, gdy się to działo, gdy te tragiczne sceny rozgrywały się między naczelnikami rządu, w mieście oburzenie głucho rośnie coraz bardziej, a sprawa zamknięcia kościołów wikłała się w węzeł nierozwiązany. Wyrazem powszechnego oburzenia było to, że większość członków Rady stanu chciała

innych, lub co mu może w kilku słowach opowiedział sam Lambert. Ciekawych relacji Borszczowa odsyłamy do „Istoriczeskiego Wiestnika” Tom XXIII., 61 i nast. Teobald zaprzecza Borszczowowi, by mógł być obecnym przytem starciu. Wszelako i tu znajdujemy potwierdzenie, że wskutek sporu, nie ulega wątpliwości, bardzo gwałtownego, nastąpiło wyzwanie i pojedynki amerykański. Giller (Aleks. Wielopolski, 86) to samo mówi, utrzymuje tylko, zapewne z plotek ulicznych, że Lambert nazwał Gerstenzweiga „podłym”.

- 341 W gazecie „Opinion nationale”, według relacji, prawdopodobnie pochodzącej ze źródeł polskich, powiedziane jest, że Gerstenzweig strzelił do siebie z tego samego pistoletu, którym jego ojciec się zabił w Siedmiogrodzie w r. 1849; że jedna kula przeszła głowę na wylot, a druga uwięzła w niej. *Berg* lot. cit. 378, podaje z relacji urzędowych oraz opowiadań Polenowa, adjutanta Gerstenzweiga, szczegóły następujące: „Gerstenzweig wyjechał z Zamku około godziny 4-ej, nadzwyczajnie wzburzony. O godz. 5-ej zjadł obiad u siebie z dyrektorem swej kancelaryi Czestilinem i jednym ze swych adjutantów, Polenowem. Mówił niewiele. Wszyscy byli jacyś nieswoi. Zjadłszy obiad, Gerstenzweig położył się w swym gabinecie, (który później był gabinetem Wielopolskiego, Milutyna i Solowieja) nie rozbierając się, w mundurze, tak jak stał i zabronił przyjmować kogokolwiek. Tak, prawie nie ruszając się, przeleżał cały ten wieczór. (Wiadomość tę miał *Berg* od kniazia Bebutowa, który kilka razy podchodził do drzwi gabinetu, otwierał je cicho i widział Gerstenzweiga zawsze w tej samej pozycji, na sofie, która dotąd (do r. 1873) tam stoi, na lewo od drzwi). Nazajutrz d. 17 października, wstał z pościeli o godz. 7-ej rano, nabił rewolwer i zbliżywszy się do jednego z okien gabinetu, wystrzelił sobie w czoło dwa razy. Pierwsza kula, ześlizgnąwszy się po czaszce, przeszła przez roletę i okno. Drugi wystrzał spowodował jedenaście pęknięć i kula przebiwszy czoło zsunęła się wewnątrz czaszki i zatrzymała się w jej tyle (źródła urzędowe). Pomimo to, nieszczęśliwy męczennik nie tylko żył, ale zachował całą przytomność. Doszedłszy znowu do łóżka, stojącego w drugim pokoju, położył się i zadzwonił. (Relacja od jednego z adjutantów Gerstenzweiga, który mówił przytem, że gdy zauważono nadzwyczajne wzburzenie generała, ktoś umyślnie zepsuł rewolwer, a przynajmniej starał się go zepsuć). Wystrzałów nikt w domu nie słyszał. Służący, wszedłszy na głos dzwonka, zobaczył generała zakrwawionego i pobiegł do adjutanta dyżurnego. Gdy ten wszedł; *imagines-vous*, rzekł Gerstenzweig spokojnie — *deux coups et je ne suis pas encore mort*. (Wyobraź pan sobie, dwa strzały i żyję jeszcze).

uciekać z Warszawy wobec stanu oblężenia, wobec gwałtów dokonywanych przez kozaków po ulicach. Pierwsi pod tym względem dali przykład dygnitarze duchowni, którzy pod pozorem, że ich obecność potrzebną jest w dycezyjach, pragnęli jak najprędzej wynieść się z ogniska burz i wichrów wszelakich, jakim była Warszawa³⁴². Że przez to objawili brak podnioślejszego patriotyzmu, że pod płaszczykiem dbałości o religię kryło się tchórzostwo i pragnienie usunięcia się od wszelkich niebezpieczeństw, dowodzić chyba nie potrzeba. Świeccy członkowie tymi samymi względami zapewne, przynajmniej w większości swojej się kierowali, choć przyrzekli poprzednio Wielopolskiemu, że pomimo rządów wojskowych, stanowisk swych nie opuszczą. Lecz ludzie są zawsze ludźmi i w życiu swoim przede wszystkim kierują się interesem i dbałością o skórę własną.

O wszystkim tem, jak również o napaści wojska na kościoły, doniósł margrabiemu d. 16 października rano, Tomasz Potocki³⁴³. Wielopolski odrzekł mu, że na wykonanie stanu oblężenia wpływu żadnego nie ma, prosił, by członkowie Rady stanu na swych miejscach wytrwali i w końcu powiedział te piękne słowa: „gdybym mógł, chętnie przyjąłbym na moje plecy nahajki, jakie wam dostać się mogą i mówiłbym do kozaków: bijcie, ale czynszujcie i szkoły organizujcie”.

Ale jeżeli dezercją Rady stanu można było zażegnać, to ze sprawą kościelną rzeczy miały się o wiele gorzej. Uwolnienie z cytadeli aresztowanych nie wpłynęło w niczem na postawę duchowieństwa, któremu w gruncie rzeczy nie szło wcale o więźniów, ale o postawienie rządu w położenie bez wyjścia. Tegoż więc dnia 16 wieczorem, zamknięto i opieczętowano oba sprofanowane kościoły, katedrę o godz. 5-ej, a w godzinę później kościół Bernardynów. Lambert po trzech nocach bezsennie spędzonych, po strasznej scenie z Gerstenzweigiem, rozchorował się ciężko, dostał krwotoku płucnego, nadzwyczajnie był mizerny i rozdrażniony. Wobec opieczętowania dwóch kościołów i groźby zamknięcia wszystkich innych, wezwał Wielopolskiego, żądając od niego rady i pomocy. Ten jednak odmówił swej interwencji w tę sprawę, najprzód dlatego, że wtargnięcie do kościołów odbyło się bez jego udziału i wiedzy jako Dyrektora Komisji wyznań i oświecenia, a potem, że wdanie się jego zaogniłoby całą rzecz mocniej. Wskutek tego układy toczyły się wyłącznie między Lambertem i Białobrzeskim, za pośrednictwem Solnickiego, dyrektora wydziału wyznań w Komisji oświecenia, człowieka bardzo zręcznego i bardzo ostrożnego. Namiestnik, grożąc z jednej strony Białobrzeskemu prawem wojennem, z drugiej uwiadamtował go, że aresztowanych kazał uwolnić, prosił,

342 Lisicki, Aleksander Wielopolski I, 257.

343 Tenże, Le marquis II., 237.

żeby kościołów nie zamykano, dając słowo honoru, że odtąd ani policya, ani wojsko nie będzie wchodziło do ich wnętrza.

Do cesarza donosił dnia 17 rano, że kazał uwolnić aresztowanych, że aresztowanie to wywołało wśród duchowieństwa silne oburzenie i że chce ono kościoły zamknąć³⁴⁴.

Propozycje i przyrzeczenia Lamberta zrobiły taki skutek, że Białobrzesci, starsi członkowie kapituły, zwłaszcza ks. Topolski, poczęli się wahać i uważali, że wobec tego nie należy zamykać kościołów. Ale młodsi, gorętsi, pijący pełną czarą napój upojenia powszechnego, za nic na to zgodzić się nie chcieli; twierdzili, że rządowi wierzyć nie można, że on żadnego ze swych przyrzeczeń nigdy nie dotrzymał, nie dotrzyma więc i tego; że kiedy rozesłano już kursoryą do wszystkich proboszczów, to polecenie w niej zawarte wykonać należy, a potem dopiero z rządem traktować; że wreszcie wobec tego, iż decyzja duchowieństwa całemu miastu jest już wiadomą, cofnięcie się będzie uważane za słabość, za ustępstwa przed władzą; że przez to duchowieństwo straci całą swą powagę i wpływ swój cały. Nie dość na tem, domagali się oni, ażeby nie tylko w Warszawie kościoły były zamknięte, ale w całym kraju, a przynajmniej w archidiecezyji, żeby i świątynie innych wyznań były także opieczętowane i nabożeństwo w nich przerwane³⁴⁵.

Tym naleganiom, wypowiedzanym gwałtownie i z ogniem, przybranym w sukienkę gorliwości religijnej i patriotycznej, ani Białobrzesci, ani starsi i chłodniejsi członkowie kapituły oprzeć się nie śmieli. Nie chcąc jednak wprost odrzucać prośby Lamberta, wynaleźli taki sposób wyjścia z tego położenia, że zażądali, iżby przyrzeczenie namiestnika dane im było na piśmie. Z tem odszedł Solnicki i na tem ukończyły się pertraktacje w d. 16 października, dniu najburzliwszym i najgroźniejszym ze wszystkich dni tego straszego, rzec można roku.

Nazajutrz Lambert, jakkolwiek mógł się uważać za obrażonego, że jego słowu honoru nie wierzą i żądają przyrzeczenia piśmiennego, przyrzeczenie takie dał i Solnicki poniósł je do konsystorza. Ale i teraz stawiano nowe warunki; młodzi księża mówili Białobrzesciemu, że tego rodzaju przyrzeczenie, o którym nikt nie będzie wiedział, nie ma żadnego znaczenia, że dla nadania mu siły, dla zasłonięcia wreszcie duchowieństwa przed opinią publiczną, należy domagać się, żeby deklaracja ta ogłoszona była w dziennikach. Tem

344 Depesza z d. 5 (17) października o godz. 3-ej rano. Brzmi ona w przekładzie dosłownym, jak następuje: „w mieście spokojnie. Z pomiędzy aresztowanych w kościołach 1600 ludzi, większa część uwolniona z powodu starości lub małoletności. Aresztowanie to wywołało w duchowieństwie silne oburzenie; chcą kościoły w Warszawie zamknąć”.

345 Ustne relacje od świadków naocznych.

konieczniejsze się to kapitule wydawało, że Solnicki przyrzeczenie Lamberta jej tylko pokazał, ale z rąk wypuścić go nie chciał³⁴⁶. Wobec tego oświadczono mu, że wtedy jedynie, gdy deklaracja ta będzie opublikowana, rozporządzenie o zamknięciu kościołów cofniętem zostanie. Z tem wrócił Solnicki do namiestnika, którego zastał nadzwyczajnie wzburzonego, a relacja o przebiegu pertraktacji z kapitułą nie mogła wpłynąć kojąco na to wzburzenie. Domaganie się kapituły uważał teraz Lambert za prostą szykanę i więcej z nią układać się nie chciał.

Wzburzenie namiestnika w d. 17 października miało źródło w wiadomości, jaką otrzymał około godz. 9-tej rano o samobójstwie Gerstenzweiga. Siedział on jeszcze w swojej sypialni i golił się, gdy jeden z adjutantów wbiegł i doniósł mu o tym wypadku tragicznym. Nieszczęśliwy Telemak moskiewski usłyszawszy to, zbladł straszliwie, brzytwa wypadła mu z ręki i pochylił się na krześle, jakby utracił naraz siły³⁴⁷, poczem przyszedłszy do siebie, ubrał się i pojechał do pałacu Brühlowskiego odwiedzić samobójcę³⁴⁸.

Z wycieczki tej wrócił nadzwyczajnie wzburzony i o godz. w pół do dziesiątej rano wysłał, do Liwady do cesarza depezę pełną rozpacz, zaklinał go „na Boga”, by przeznaczył kogo innego na jego miejsce, bo on jest tak chory, że życie jego jest poważnie zagrożone³⁴⁹.

Tymczasem kapituła, oczekując na rezultat misji Solnickiego przez cały prawie dzień, gdy nie otrzymywała żadnej odpowiedzi, zdecydowała się na koniec groźbę swą przyprowadzić do skutku. Nakazano natychmiast zamknąć kościoły, czego w całej Warszawie tegoż jeszcze dnia 17 dokonano. Gdy się namiestnik o tem dowiedział, polecił Wielopolskiemu, jako Dyrektorowi głównemu Komisji wyznań i oświecenia, zapytać się na drodze urzędowej kapituły, jakie ma znaczenie jej krok, przyczem rozkazał zagrozić jej odpowiedzialnością,

346 Lisicki, Aleksander Wielopolski, I., 258.

347 Oczewidec, Posledniaja polskaja smuta (Russkaja Starina XI., 720).

348 N. Berg loc. cit., 379 opowiada o tych odwiedzinach szczegóły następujące: o godz. 9-tej przyjechał Lambert i chcąc z chorym sam na sam się rozmówić, dał znak adjutantowi, żeby wyszedł, lecz ten zauważył, że bez rozkazu swego generała zrobić tego nie może. „Rozkaż pan” (prikazite), rzekł Lambert. Gerstenzweig z widoczną niechęcią dał znak...” Szczegóły te jakkolwiek małego znaczenia, są jednak mocno podejrzone co do swej autentyczności. Teobald loc. cit. IV, 36, powtarzając je, stawia takie, naszym zdaniem, słuszne pytanie: „pytamy wszystkich wojskowych, czy który z nich ośmieliłby się nie być posłusznym osobistemu rozkazowi naczelnego wodza (głównokomandujuszczago) i odpowiedzieć mu tak zuchwale, jak się tem szczyli adjutant?”

349 Depesza z d. 5 (17) października o godz. 9 m. 30 rano „generał-adjutant Gerstenzweig zastrzelił się o godz. 7-ej rano; umiera. Choroba moja tak się wzmaga, że nie mam żadnej nadziei. Na Boga (radi Boga) przyślijcie natychmiast kogokolwiek na nasze miejsce. Hrabia Lambert”.

według całej surowości praw wojennych za wszelkie skutki, jakie z powodu zamknięcia kościołów nastąpić mogą³⁵⁰. Wielopolski odezwę taką zaraz wysłał do Białobrzieskiego i w niespełna dwie godziny otrzymał odpowiedź zawierającą półtora arkusza pisma, niemniej śmiałą i zuchwałą, jak poprzednie. „Ponieważ, czytamy tam, pełniący obowiązki namiestnika Królestwa, jako też i JW. Dyrektor zażądać raczyli piśmiennego uwiadomienia o skutku, mam zaszczyt niniejszem oświadczyć to, co już pierwej na audyencji powiedziałem, że rzeczzone rozporządzenie władzy duchownej co do zamknięcia kościołów w Warszawie cofnę, gdy wysoki rząd da pewną gwarancją, bo kościół używa tego środka tylko w ostateczności, zagnalony zatrważającymi wypadkami.

Ja go użyć musiałem, widząc profanacją dwóch świątyń i przewidując, że los ten może spotkać i inne kościoły”; mówi, że teraz zasięgnął rady kapituły, biskupów i kapłanów świątliwych i rada ta przyniosła następujący rezultat: „... że gdy kościół metropolitalny, jako matka wszystkich kościołów zbeczeszczony został, słusznie zatem, by inne kościoły, jako córki węzłem wzajemnej miłości połączone, okryły się smutkiem i żałobą; że gdy ze strony ludu rozdrażnionego, zniecierpliwionego, a ostatnimi wypadkami nawet oburzonego, oczekiwać nie można zaprzestania śpiewów patryotyczno-religijnych, a że ze strony rządu również nie posiada kościół żadnego zaręczenia, że się nie powtórzą straszliwe sceny i zniewagi świątyń, ale owszem wydawane są ciągle postanowienia... mocą których modlitwa, duchowieństwo i lud wierny widocznie pod sąd policyi i wojska są oddane, dowodzą o coraz groźniejszych zamiarach rządu, o wielkiem niebezpieczeństwie religii i kościoła; gdy z przepelnionych świątyń Pańskich, z tych miejsc jedynych schronienia, miejsc modlitwy, tak silnie art. 213 K. k. przez monarchę od zniewag zawarowanych, cała ludność męska zaaresztowaną i uprowadzoną została; dopóki jedna z tych nieszczęśliwych i niewinnych ofiar, również jak i ofiar sromotnie bitych i chwytyanych po ulicach, pozostanie w więzieniu, przewidywać nie można uspokojenia umysłów i wpływ duchowieństwa nie odniesie pożądanego skutku”. Z tych więc powodów Białobrzieski sądzi, że kościoły nie mogą być otwarte, że wreszcie wydawszy dopiero wczoraj rozkaz ich zamknięcia, nie może go dziś cofać; „zamknięcie trwać musi przez pewien czas; przez ten czas wysoki rząd będzie mógł wynaleźć środki dla obudzenia zaufania u ludu, będzie mógł wszystkich uwięzionych wypuścić i dać zapewnienie, że się nie powtórzą bolesne wypadki dni poprzednich”. W końcu tego pisma, Białobrzieski uwiadomiał Wielopolskiego, że dla przeprowadzenia śledztwa w obu sprofanowanych kościołach, wyznaczył od siebie delegatów: ks. Chmielewskiego, Rzewuskiego, Wyszyń-

350 N. Berg loc. cit. 379.

skiego i Dorobisa, i prosił, aby władza ze swej strony wyznaczyła urzędników dla attentowania przy śledztwie³⁵¹.

Odezwę tę, Wielopolski natychmiast zakomunikował Lambertowi, a wspólnie dochodziły wiadomości, że żydzi zamierzają zamknąć także synagogi, a lutrzy swą kirchę. Jakoż w rzeczy samej tak było. Tegoż dnia 17 października, wieczorem o godz. 6-ej, dzięki żywej agitacji, jaką rozwinięto, zebrało się w sali nad zakrystią kirchy luterskiej przy ulicy Królewskiej kollegium kościelne na nadzwyczajną naradę pod przewodnictwem swego prezesa Ksawerego Szlenkera i postanowiło zapytać się konsystorz ewangelicko-augsburski, „czy by nie uznał za stosowne, aby i kościół ewangelicko-augsburski od przyszłej niedzieli, to jest od d. 20 b. m. do dalszej decyzji był zamkniętym, a tem samem aby zwykle nabożeństwo zawieszono w nim zostało”. Jako powód tej propozycji, Kollegium przytaczało tę okoliczność, że skoro wszystkie kościoły katolickie zostały zamknięte, to obawiać się należy, „aby ludność miejscowa, pozbawiona przybytków przeznaczonych na nabożeństwo, nie zebrała się w przyszłą niedzielę w kościele ewang.-augsb. i nie zaintonowała śpiewów, obecnie przez władzę zabronionych, a tem samem, aby kościół ewang.-augsb. i osoby zebrane na nabożeństwo nie były narażone na skutki, zapowiedziane punktem 10 rozporządzenia przez władzę policyjną w dniu wczorajszym wydanego”.

Proponując jednak swej władzy taki, niczem nie usprawiedliwiony krok, kollegium kościelne ostrzegало konsystorz, że jeżeli się ten nie zgodzi na żądanie zebranych, to oni sami zarządzą zamknięcie kościoła³⁵².

Oczywiście konsystorz się na to nie zgodził i jak najsurowiej zabronił zamykania kirchy, a przytem wśród gminy luterskiej warszawskiej oraz w samem kollegium było dość stosunkowo liczne stronnictwo nie tyle ludzi trzeźwiejszych, ile Niemców wrogo usposobionych dla Polaków i Polski. Do rzędu ich przede wszystkim należał superintendent jeneralny Ludwиг, Niemiec zabity, należało wielu zamożnych przemysłowców i fabrykantów, którzy

351 Odezwę tę czytać można u Gillera *Historia powst. nar. pol.* II, 392 oraz w „Wydawnictwie materyałów do Hist. powstania 1863/4 I, 20. Co się tyczy owego śledztwa, to w kościele Bernardynów znaleziono w rzeczy samej ślady krwi na posadzce, choć już wówczas powątpiewano, czy ta krew istotnie z ran pochodziła. W kaplicy św. Ładysława, anioł przy ołtarzu był poobtrącany, pieniądze ze skarbonki i zakrystyi skradzione. U św. Jana, ks. Bierniacki zaraz po zabraniu nabożnych został wezwany do sprawdzenia, czy czego nie brakuje i zaświadczył, że wszystko jest w całości. (Pawliszczew, *Siedmicy I*, 22 i 26). Zdaje się, że w katedrze nie zrobiono żadnej poważniejszej szkody, prócz tego, że laska marszałkowska na pomniku Małachowskiego była utracona.

352 Uchwałę kollegium kościelnego pomieszczamy w całości w zbiorze dokumentów pod nr. 10.

na razie, z obawy przed rewolucjonistami, ustąpili i zgodę swą na zamknięcie kirchy dali, ale znalazłszy poparcie w konsystorzu, tem śmielej z opozycją wystąpili. Dzięki tym wszystkim powodom, do zamknięcia kirchy luterskiej nie przyszło.

Za to wśród żydów, gdzie takich przyczyn nie było, synagogi zostały zamknięte. Tegoż dnia, w którym wszystkie powyższe akta się odbywały, wybitniejsi przedstawiciele gminy żydowskiej zebrałi się u rabina Mayzelsa i głównie za staraniem rabinów Jastrowa, Kramsztyka i prezesa dozoru bożniczego Fajnkinda prawie jednomyślnie postanowili zamknąć synagogi, co też w rzeczy samej uskuteczniiono. Uradzono, że na wypadek, gdyby władza zażądała wyjaśnienia powodów tego postąpienia, tłumaczyć się w podobny, jak u Lutrów sposób, to jest, że wobec zamknięcia kościołów, gmina żydowska obawia się, aby ludność nie uczęszczała do synagog i nie śpiewała tam hymnów patryotycznych, co mogłoby bożnice narazić na następstwa paragrafu 10 ogłoszenia policyjnego.

Odezwa administratora do Wielopolskiego, usiłowania kollegium luterskiego, krok niczem nieuzasadniony żydów, straszne następstwa sceny z Gerstenzweigiem, rozdrażniły Lamberta do najwyższego stopnia i doprowadziły nieomal do szaleństwa. Jak wszyscy ludzie słabego charakteru, a wspólcześnie gorącego i namiętnego temperamentu, ze zbytnej łagodności przeszedł nagle do gwałtów i nadużyć. Rozpuszczono znowu po ulicach gromady kozaków, którzy szaleli i bili każdego; policja aresztowała przechodniów za lada co, za najmniejsze podejrzenie, a oberpolicmajstrowi Piłsudzkemu nakazano, żeby stosownie do przepisów stanu wojennego nałożył surowe kary pieniężne na kupców i handlarzy, którzy w d. 15 października mieli sklepy zamknięte. Jakoż karę po rs. 100 nałożono na 667 kupców, co ogółem wyniosło rs. 66.700. Suma ta miała być zapłacona w ciągu trzech dni pod rygorem egzekucyi wojskowej.

Wprawdzie z tej wielkiej chmury deszcz był mały, gdyż kupcy zapłacili ledwie rs. 6.953 kop. 40, resztę zaś umorzono, ale na razie strachu i lamentu było niemało³⁵³.

353 Egzekucją tych kar powierzono magistratowi, który dokonywał jej za pośrednictwem swych komisarzy administracyjnych. Ci do skazanych rozesłali cyrkularz drukowany tej treści: „Komisarz cyrkułu N. N. Do wielmożnego N. N. Ponieważ W. Pan pomieszczony jesteś na liście kupców i handlujących, którzy w d. 3 (15) paźdz. r. b. mieli swe sklepy zamknięte, pomimo ogłoszonego zakazu i od każdego z których, stosownie do rozkazu JW. wojennego generał-gubernatora, ściągniętą być ma w ciągu dni trzech kara rs. 100, zatem z rozporządzenia władzy wyższej, zawiadamiając o tem W. Pana, mam honor wezwać go, aby karę takową rs. 100 wniósł do kasy ekonomicznej miasta, która do jej przyjęcia jest już upoważnioną. Upprzedzam zarazem, że niezaspokojenie tej kary

Ale nie na tem miało się skończyć rozdrażnienie i ślepy gniew Lamberta. Komisarza cyrkułu X-go, Dzierżanowskiego za to, że nie wiedział o bocznem wyjściu z kościoła Świętokrzyskiego, oddał pod sąd wojenny, a gdy ten skazał biedaka na rozstrzelanie, Lambert chciał wyrok podpisać, od czego ledwie powstrzymał go Chrulew. W nocy dnia 19 października, aresztowano księży Wyszyńskiego i Steckiego, tych samych, którzy niedawno w charakterze doradców bywali w Zamku i memoryały pisali, jakby na potwierdzenie tej starej prawdy, że rządowi rosyjskiemu nigdy u nas wierzyć i ufać nie można; aresztowano szewca Hiszpańskiego³⁵⁴ oraz literata Włodzimierza Wolskiego, który przed przybyłą policją schronił się za ołtarz w kościele św. Krzyża. W nocy d. 21 dokonano mnóstwo aresztowań osób mniej wybitniejszych³⁵⁵, cytadela się znowu przepełniła, popłoch padł na koła agitacyjne, na wszystkich tych, którzy cokolwiek zawinili, ale stanu rzeczy w niczem to nie polepszyło.

Aresztowanie Wyszyńskiego i Steckiego było błędem i tłumaczy się tylko rozdrażnieniem, w jakim się znajdował Lambert. Aresztowanie to bowiem przerwało akcją, jaką księża ci rozpoczęli w sprawie otwarcia kościołów. Bawił wówczas w Warszawie ksiądz Konstanty Ireneusz Łubieński, proboszcz rewelski i kanonik honorowy gnieźnieński, człowiek bardzo zręczny, ruchliwy

w naznaczonych dniach trzech, spowoduje zapowiedziany już przez wyższą władzę rygor egzekucyjny wojskowej”. Skazani wystąpili z podaniami do magistratu. Jedni zaprzeczali, jakoby mieli sklepy zamknięte, inni przytaczali okoliczności usprawiedliwiające zamknięcie, jeszcze inni do posiadania sklepów wcale się nie przyznawali i t. p. Takich prośb do d. 18 paźdz. wniesiono 580, a pieniędzy ledwie rs. 4.324 kop. 10. Wobec tego magistrat wystąpił do generał-gubernatora, domagając się, aby karę nałożoną na kupców uboższych, jak rękawicznicy, drobni kramarze i t. p. albo umorzył całkiem, albo zmniejszył do rs. 3 lub 2, nawet do kop. 50 lub 30. Na to, wskutek polecenia Suchozaneta z d. 27 paźdz. odpowiedziano, że kary ściągnięte być muszą, uboższym tylko rozłożyć je można na raty. Powoli jednak poczęto od kary uwalniać (uwolniono przede wszystkim kacapów Slepuzszkina i Maszkowa, potem Bekkera fabrykanta broni, Rozmanita winiarza, panią Peyer fabrykantkę gorsetów i t. d.). W rezultacie, po licznych zabiegach i liczniejszej jeszcze korespondencji ściągnięto, jakieśmy to w tekście powiedzieli, zaledwie rs. 6.953 kop. 40, a resztę umorzono. Z tej sumy wypłacano później różnym osobom, które poniosły straty, przez powstanie, rs. 1.410, reszta zaś spoczywała w depozycie magistratu, aż do r. 1871, w którym to czasie z rozporządzenia namiestnika Berga, przelana została do kasy gubernialnej.

354 Hiszpański był aresztowany w kościele św. Jana w nocy d. 15 października i wraz z innymi z cytadeli uwolniony. Przy rewizji, teraz dokonanej w jego domu, znaleziono ogromny zbiór plakat i odezw rewolucyjnych oraz adres, jaki mu przesłało trzydziestu obywateli ziemskich ze Stanisławowskiego. Hiszpański już za Lüdersa zesłany został do gubernii Wiackiej (Pawliszczew. Siedmicy I., 56).

355 Depesza Lamberta z d. 21 października o godz. 2 m. 35 w nocy: „nocy dzisiejszej aresztowano wielu głośnych agitatorów”.

i czynny, należący do rodziny, która w dziejach porozbiorowych naszych nader przeważną odgrywała rolę, typ labusia fracuskiego z XVIII wieku, elegancki, wykwinny, przytem rozumny, choć nielubiany przez opinią, przez czerwieńców, którzy go wprost nazywali „popem prawosławnym”. Znany on był oświęconym Lambertowi, gdyż podobno dawniej w Petersburgu był jego spowiednikiem. Łubieński, widząc, że Wielopolski od sprawy zamknięcia kościołów całkiem się usuwa, postanowił ją w swoje wziąć ręce. Może miał w tem swe prywatne widoki, może sądził, że przez to wysadzi z siodła nielubianego przez rodzinę Łubieńskich margrabię, dość, że znalazł się w Zamku i w te dni gorączki powszechnej, strasznego nieładu i strasliwszych jeszcze katastrof, zapewniać począł namiestnika, że całą sprawę da się załatwić, że zamknięcie kościołów nie jest zgodne z przepisami kanonicznymi, a zatem łatwo mogą być otwarte, byle rząd nie uciekał się do środków surowych. Tym to może zapewnieniom i tym słowom Łubieńskiego przypisać należy owe pertraktacje pokojowe, jakie przez parę dni z rządu toczył Lambert z kapitułą. Pertraktacje te, jak wiemy, nie doprowadziły do niczego, nie doprowadziły też do celu i zabiegi Łubieńskiego. Na próżno usiłował on wybitniejsze osobistości z pomiędzy kleru i świeckich zyskać na stronę tej myśli, na próżno biegał, prosił, zaklinał, tłumaczył, nikt go słuchać nawet nie chciał. Wreszcie zdołał przekonać księży Wyszyńskiego i Steckiego, ludzi dobrych, gorąco kochających kraj i jak największego szczęścia pragnących dla tego kraju. Z nimi to na koniec, w nocy, jak się zdaje d. 18 października, koło godz. 11-ej wieczorem udał się do Białobrzeskiego. Administrator, człowiek stary, był już w łóżku, mimo to przyjął ich i wysłuchał cierpliwie. Łubieński był tak wymowny, obecność Wyszyńskiego i Steckiego tak znaczącą, że Białobrzeski, jak zwykle bez zdania, pozbawiony swych zwykłych doradców, uległ tym przedstawieniom i zgodził się na otwarcie kościołów. W tym celu posłano zaraz po regensa konsystorza, księdza Cz..., żeby zredagował odnośne rozporządzenie. Ten przybywszy i wysłuchawszy propozycji, zrobił uwagę, że wszystko to jest słusznem, ale ponieważ kościoły zamknięte zostały po naradzie z kapitułą i ponieważ odnośną uchwałę podpisali biskupi, więc bez wiedzy kapituły i biskupów otwierać kościołów nie można. Uwaga ta wydała się Białobrzeskiemu uzasadnioną. „A prawda!” zawołał i odrzucił stanowczo propozycją Łubieńskiego i dwóch jego towarzyszy. Na próżno ci wysilali się na udowodnienie, że według kanonów kapituła ma tylko głos doradczy, Białobrzeski się uparł i krzywiąc się, jak dziecko rozgrymaszone, wołał na wszelkie uwagi, szepleniąc szkaradnie: „nie chcę, nie otworzę!”³⁵⁶.

356 Relacje ustne.

Mimo to ani Łubieński, ani jego towarzysze Stecki i Wyszyński nie wątpili, że powoli uda im się wpłynąć na Białobrzieskiego, gdy nagle i jak na teraz niewczesne i niczem nieusprawiedliwione aresztowanie obu rzeczonych księży, całej tej akcji zadało cios stanowczy i położenie bardzo przykre i najmniejniejsze dla rządu przedłużyło. Wielki to i uderzający przykład dla tych, w których ręku władza spoczywa, aby nigdy nic nie czynili pod wpływem rozdrażnienia chwilowego i aby każdy ich krok był owocem wszechstronnych i dojrzałych rozmyślań.

Wielopolski nazajutrz po zamknięciu kościołów, dnia 18 października, ogłosił o tem w „Dzienniku powszechnym” w zwykłym sobie stylu ciężkim, w tonie chłodnym i urzędowym. „Powodem zamknięcia dwóch rzeczonych kościołów, pisał, miały być nadużycia w tychże popełnione, ku sprawdzeniu których rząd duchowieństwu wszelką pozostawił swobodę.

Wszakże władza duchowna zarządziła prócz tego zawieszenie nabożeństw w innych kościołach, którego rząd w niczem usprawiedliwionem nie znajdując, całą odpowiedzialność za wszelkie następstwa składa na tych, którzy to rozporządzenie wydali”. Ze swej strony, wobec tego, że Rada administracyjna Królestwa nie uznała wyboru kapituły Białobrzieskiego na administratora archidiecezyi, radził Wielopolski, żeby nie wchodząc w kolizyę z przepisami kościelnymi, odwołać się do Rzymu, wyjednać tam rezygnacyę administratora i zamianowanie na jego miejsce wikaryusza apostolskiego³⁵⁷.

Lambert tego wszystkiego nie słuchał i myślał już tylko o tem, jakby najprędzej pozbyć się ciężaru władzy, usunąć się z pola tej straszliwej burzy, która go do grobu popychała. Chory był ciężko, pluł krwią, zbladł i zzieleniał. Do tych, którzy przybywając z Petersburga, dziwili się zmianie nadzwyczajnej, zaszłej w nim, mówił: „oto, co zrobiły dwa miesiące mego pobytu w Warszawie” (*voilà, mon chér, ce qu'ont faits les deux mois de mon séjour à Varsovie*) i pokazywał na chustkę od nosa krwią zawałoną³⁵⁸. Na swój rozpaczliwy telegram z d. 17 października, błagający „na miłość Boską” cesarza, by przysłał kogo na jego miejsce do Warszawy, otrzymał w dniu następnym uwiadomienie, że prawdopodobnie posłany będzie Lüders³⁵⁹. To zapewne pocieszyło go nieco, ale beznadziejny stan zdrowia Gerstenzweiga dodawał coraz więcej udręczeń do udręczonej już i tak mocno jego duszy³⁶⁰.

357 Lisicki, Aleks. Wielopolski 1, 259.

358 S. M. Borszczow, Samoubijstwo Gerstenzweiga loc. cit. 63.

359 Depesza z d. 6 (18) października: „połagaju poslat w Warszawu gen. adj. Lüdersa”.

360 Gerstenzweig umarł dopiero d. 5 listopada, zachowując do ostatka przytomność. D. 1 listopada, a więc na cztery dni przed śmiercią, Suchozanet, zastępujący wówczas namiestnika, telegrafował do cesarza z prośbą, by przysłał do Gerstenzweiga kilka słów współ-

Na miejsce wakujące generał-gubernatora, Lambert mianował Merchelewicza, sam zaś, jak tylko zjawił się w Warszawie Suchozanet, który do czasu przybycia Lüdersa, miał pełnić obowiązki namiestnika, opuścił co prędzej i w jak największej tajemnicy to straszne dla niego miasto. Wyjechał d. 23 października o godz. 11-ej w nocy koleją warszawsko-wiedeńską za granicę, nie pożegnawszy się z nikim w Warszawie. Był tak ciężko chory, że na stacy granicznej w Maczkach dostał silnego i nagłego krwotoku, i musiał przez sześć godzin spoczywać. Udał się przez Rotterdam³⁶¹ na wyspę Maderę, gdzie we własnej willi, ocienionej pysznymi drzewami figowymi, spodziewał się znaleźć zdrowie i życie. Nie znalazł go tam niestety! Wśród zwykłych u suchotników zmian w zdrowiu, w chwili gdy zdawało mu się, że stan jego się polepszył, zaślubił tam na Maderze, przybyłą umyślnie do niego margrabinę Lancôme de Brèves, ale wkrótce potem umarł³⁶². O Polsce nigdy nie chciał mówić, ani przybywającym doń przyjaciółom z Rosyi wyjaśniać strasznych katastrof, jakie go spotkały w Warszawie.

Tak skończył człowiek, który przed dwoma niespełna miesiącami przybywał do Warszawy na stolec namiestnikowski z obszerną władzą i przejęty jak najlepszymi dla kraju chęciami.

Obdarzony od natury sympatyczną fizyognomią, niezwykłą inteligencją, Francuz z rodu, wyznania i przekonań, człowiek ucywilizowany wysoko, zdawało się, że posiadał wszystkie warunki, by zyskać za sobą kraj, uspokoić go i popchnąć na drogę rozwoju legalnego. Niestety! nic z tych zapowiedzi nie spełnił, a za jego rządów ruch rewolucyjny nie tylko nie ustał, ale owszem doszedł do swej pełni, do swego apogeum. Na to, na ten opłakany ze wszech miar rezultat akcyi Lamberta składało się bardzo wiele i bardzo różnorodnych

czucia, przyczem dodawał: „on (Gerstenzweig) jest zupełnie przytomny (on w pełnej pamięci) i pragnie słowa współczucia od Was”. Depesza ta zbija więc jak najzupełniej twierdzenie Teobalda (Wspominania IV, 37), jakoby Gerstenzweig pozbawiony był zupełnie przytomności i „żył życiem polipa” (sic). Chory, ponieważ do czasu przyjazdu żony, nie było nikogo, kto by go mógł doglądać, prosił, by mu przysłano siostry miłosierdzia katolickie; jakoż przybyło ich dwie i do końca życia bawiły przy samobójcy. Żona przebywająca w Szwajcaryi, wezwana telegrafem, przybyła d. 25 paździer., t. j. prawie w tydzień po samobójstwie. Ranny umarł dopiero wtedy, gdy doktorzy z Chałubińskim na czele, postanowili mu kulę wyjąć z głowy. Skonał prawie pod nożem. Ciało wystawione było w pałacu Brühlowskim, ale pokryte sukniem czerwonym. Wyprowadzono je d. 8 listopada o godz. 9-ej rano przez most na Pragę do kolei petersburskiej, skąd powieziono je do Rosyi.

361 Z Rotterdamu d. 19 października telegrafował do Warszawy do Suchozaneta: „zdrowie jednakowe. Wypływam dziś na Maderę. Pisałem wczoraj. (Santé même état. Embarque aujourd'hui pour Maderè. Ecris hièr).

362 S. M. Borszczow, loc. cit. 68.

przyczyn, które w ciągu opowieści o rządach jego, przytoczyliśmy po szczególności. Już nieraz mówiliśmy, że ruchu, który rwał naprzód i który za cel ostateczny stawiał sobie niepodległość narodową, ulgami administracyjnymi okiełznać było nie można. Wobec tego, wszelkie usiłowania na tej drodze czynione, rozbić się koniecznie musiały, rozbił sobie głowę i Lambert. Nieszczęsny Hamlet moskiewski pozbawiony charakteru i tej siły, która wali stawać czoło mogła, ale zwrócić jej w żadnym razie zdolną nie była, przybywając do Warszawy, niósł za sobą zarodki niepowodzenia w osobie Gerstenzweiga. Ten surowy żołnierz, trawiony ambycją i wrogo usposobiony dla tego, który zajął jego miejsce na stanowisku namiestnika, dany jako Mentor zbyt miękkiemu Telemakowi, padł ofiarą swej ambicyjnej i niezdrowej i wszystko pożerającego ognia rewolucyjnej. Ta rewolucja rozegrawszy głośno i publicznie ostatni akt jawnego dramatu, spaliwszy na swym łonie poetyczną i wahającą się postać Hamleta, Lamberta, miała teraz rozlać swój jad trujący po całym organizmie narodowym, nurtować tajemnie po wszystkich jego żyłach i arteriach, niszczyć jego siły i zasoby żywotne, ocalałe po straszniejszych dniach dawnych rozbić i ciosów. Z pola publicznych manifestacji, głośnych objawów ruchu, teraz pod grozą stanu wojennego ucichłych, przechodzimy do powieści o spiskach tajemniczych, o knowaniach skrytych, zawiązywanych gdzieś w głębi społecznego życia i podkopujących to życie. Spisek, jak pasożyt na chorem już ciele polskim, miał do reszty je zgangrenować i strawić, i ta nowa faza w dziejach naszych jest wynikiem mimowolnym i nieprzewidzianym rządów Lamberta. Dlatego też, o ile historyk zachować winien szczerą sympatią do tej bądź co bądź pięknej postaci, o tyle musi romantycznemu Telemakowi przypisać, że przyczynił się bardzo do nieszczęść oplakanych, jakie spadły na biedną naszą ojczyznę.

ROZDZIAŁ XII

Spisek

Jenerał-adjutant Lüders. Suchozanet w Warszawie. Wielopolski podaje się do dymisji. Jej powody. Intryga Suchozaneta. Rożnow w Płocku. Aresztowania. Walka z Wielopolskim. Sprawa „Dziennika Powszechnego”. Rozkaz cesarski. Otwarcie kursów przygotowawczych. Skład ciała nauczycielskiego. Mowa Wielopolskiego. Jego wyjazd do Petersburga. Odezwa ks. Władysława Czartoryskiego. Szkoła wojskowa w Genui. „Głos z Paryża i Genui”. Rokowania Zamoyskiego z Wysockim. Polityka Francji. Powstanie „Komitetu miejskiego”. Ignacy Chmieleński, Głowacki i Wereszczyński. Wybory i powstanie „Koła”. Lüders, Kryżanowski i komisye śledcze. Aresztowanie Białobrzeskiego. Korespondencya z Dekertem i kapitułą. Śmierć i pogrzeb Dekerta. Zeznania Białobrzeskiego i wyrok. Otwarcie cerkwi Bazylińskiej. Okólnik arcybiskupa Wierchlejskiego. Deputacya i kocia muzyka. Rządy wojskowe. Kruzensztern. Rada administracyjna i sprawa oczyszczania. Podburzanie ludu. Zabójstwo Kleniewskiego. Naczelnicy wojenni. Aresztowani. Odpowiedź konsystorza kaliskiego. Rocznica 29 listopada. Szlachta i powstanie „dyrekcyi białych”. Rada stanu i dyskusye nad projektami. Rzut oka na przebieżony okres. Zakończenie.

Gdy rozpaczliwy telegram Lamberta, napisany w dniu samobójstwa Gerstenzweiga i błagający „na Boga”, by kogo innego na stanowisko namiestnika w Warszawie przysłano, doszedł do rąk cesarza, bawiącego podówczas w Liwadyi, ten natychmiast zajął się wyszukaniem człowieka, którego by można było posłać do Polski. Rzecz była niełatwa; takich, co by chcieli jechać i rządzić w Warszawie, objętej płomieniem rewolucyi, było niewiele; straszny przykład Gerstenzweiga i Lamberta odbierał ochotę każdemu. Wybór więc był trudny. Wtedy ktoś podszeptał cesarzowi, a może sam sobie przypomniał starego jenerała, żyjącego w odosobnieniu zupełnem w pobliżu Odessy, nad morzem Czarnem, nazwiskiem Aleksander Nikołajewicz Lüders. Imię to, przed kilku zaledwie laty było bardzo głośnem, teraz jednak prawie zupełnie zapomnianem. Lüders usunięty od służby czynnej, nie spodziewał się wcale, by go kiedykolwiek do niej znowu powołano. Nieszczęśliwa Polska wyprowadziła jeszcze raz na widownię dziejową tego człowieka, Niemca z rodu, żołdaka z przyzwyczajęń, hulakę, kobieciarza, utracjusza, splamionego brzydkim czynem okradania skarbu publicznego. Odznaczywszy się w kam-

panii węgierskiej, pogromca Bema przy Szegeswarze i Mülendorfie, gdy wojna krymska wybuchła, został, po usunięciu Gorczakowa, naczelnym wodzem armii w grudniu 1855r. W kilka miesięcy jednak potem oskarżony o okradanie wojska, oddany pod sąd, uwolniony został od służby we wrześniu 1856 r. i całkiem, co zresztą było rzeczą słuszną, zapomniany.

Takiego to człowieka postanowiono posłać do Warszawy. Cesarz zaraz nazajutrz po wspomnianym telegramie Lamberta, d. 18 października pisał, że ma zamiar następcą jego mianować Lüdersa i uwiadamił, że rozkazał mu przybyć do siebie z Odessy. W tym celu wysłano po przyszłego wielkorządcę Polski yacht cesarski. Lüders oczywiście stawiał się natychmiast i uwiadomiony o wszystkim, z wyraźną niechęcią i obawą przyjął swe naznaczenie na tak wysokie i niebezpieczne stanowisko. Zrazu nawet energicznie się opierał, ale uledz musiał przed wolą samowładcy, który osobiście udzielił mu instrukcji i doniósł o tem Lambertowi już d. 21 października, zapowiadając przybycie nowego dygnitarza najdalej w ciągu tygodnia. Tegoż samego dnia podpisany został reskrypt cesarski, mianujący Lüdersa „pełniącym obowiązki namiestnika przez czas nieobecności hrabiego Lamberta”.

Tym więc sposobem nominacja Lüdersa miała tylko charakter czasowy. Zdaje się, że cesarz na razie nie przypuszczał, by Lambert zamierzał natychmiast opuścić swe stanowisko; gdy jednak później dowiedział się, że ten chce zaraz wyjechać, więc trzeba było kogoś koniecznie do czasu przybycia Lüdersa osadzić w Warszawie. Wezwał zatem Suchozaneta, bawiącego w Dreźnie, który właśnie w tej porze miał przejeżdżać przez stolicę polską, ażeby się tam zatrzymał i przez te kilka dni rządził. Suchozanet zgodził się, za co cesarz serdecznie mu dziękował i rozkazywał, ażeby działał z bezwzględną surowością, nie pozwalał na żadne nieporządki, winnych sądził według praw polowych i wyroki natychmiast wykonywał³⁶³. Suchozanet przybył do Warszawy dnia 28 października o godz. 11-ej w nocy, to jest w przeddzień wyjazdu Lamberta.

O tem wszystkim, o tych gotujących się zmianach nie wiedzano nic w Warszawie, nie wiedział i Wielopolski. W dzień wyjazdu Lamberta, tegoż samego 23 października, w którym przybył Suchozanet, margrabia został wezwany do zamku. „Mój Hamlet” przyjął go w łóżku, tak osłabiony, że ledwie mógł mówić, pluł ciągle krwią i oznajmił mu o przyjeździe ministra wojny, który tymczasowo ma objąć namiestnictwo. Wielopolski wobec tego oświadczył, że się podaje do dymisyi, że ani chwili pod Suchozanetem na urządzie nie pozostanie³⁶⁴. Że to

363 Depesza z dnia 10 (22) października: „Proszu was dejstwowat bez wsiakago poslablenia i niedopuskat ni pod kakim nidom nikakich swojewolij. Winownych sudit po wojennomu położeniu i prigowory priwodit w ispolnienie niemiedla”.

364 Lisicki, Le marquis II, 229.

było znowu teatralne „udane wyjście”, że Wielopolski nie miał wcale zdecydowanego zamiaru usuwać się od urzędu, zdaje się nie ulegać kwestyi. Niepodobna bowiem przypuszczać, ażeby Lambert go nie uwiadomił, iż objęcie namiestnictwa przez Suchozaneta jest tylko chwilowem, że za kilka dni rządu znienawidzonego Sezostrysa się skończą i że Lüders wkrótce przybędzie; usuwanie się więc z urzędu było całkiem niepotrzebne.

Parę tygodni to nie wieczność i przez tak krótki czas można było znieść panowanie dziecienniałego starca. Jeżeli jednak Wielopolski, mimo to, stanowczo oświadczył, że podaje się do dymisyi, to miał na celu, podobnie jak pierwszym razem, wyjednanie nowych ustępstw czy dla siebie, czy dla kraju. Liczył, że przez swe postępowanie zmusi rząd do tych ustępstw, choć z drugiej strony można było przypuszczać, iż w Petersburgu zgodzą się na jego dymisyą. Tak potężny umysł, jak Wielopolski, zapewne widział to doskonale, wszelako nie zawahał się i dla osiągnięcia upragnionego celu zrobił nowy krok ryzykowny.

Jakiż jednak był ten cel? czego żądał margrabia? Cel ten i to żądanie wyraźnie wypowiedział w swem podaniu o dymisyą. „Rezultat częstych zmian osób w ciągu ostatnich miesięcy w administracyi zwierzchniej Królestwa — pisze tam Wielopolski — wzbudził we mnie to niewzruszone przekonanie, że dla dobra służby J. C. Mości w naszym kraju, rozdział dwóch władz: cywilnej i wojskowej stał się nieodzownym. Bez takiego rozdziału, władza wojskowa skończy zawsze na wdarciu się w zakres administracyi cywilnej, ze szkodą samorządu Królestwa. Choćby urzędnicy wojskowi posiadali najwybitniejsze przymioty osobiste, wszelako nie posiadając języka, nie znając praw, potrzeb, przebiegu spraw krajowych, nie odpowiedzą nigdy wspaniałomyślnym widokom monarchy”³⁶⁵. Z tych słów jasno ujawnia się cel margrabiego; chciał być całkiem niezależnym od władz wojskowych tak sam, jak w ogóle administracyi Królestwa. Cel był bardzo znaczny i bardzo patryotyczny, i dla jego osiągnięcia warto było coś zaryzykować, rzucić na stół ostatniego atuta. Tego atuta margrabia rzucił i podanie o dymisyą złożył do rąk Lamberta.

Ten podanie to przyjął bardzo niechętnie, co jest jednym więcej dowodem, że szczerze życzył krajowi. Wszak sam wydał się, by umrzeć cicho na oddalonej wyspie oceanu i jeżeli przekładał Wielopolskiemu, by pozostał na urzędzie, to tylko ze względu na Polskę, która go strawiła, do grobu wpędziła, a której on mimo to, w swej dobrej, szlachetnej duszy może rad był nieba przychylić. Tegoż samego jeszcze dnia, przed wyjazdem, doniósł telegrafem o wszystkim cesarzowi, dodając te znaczące słowa: „uważam za konieczne zatrzymanie Wielopolskiego w imieniu monarchy”³⁶⁶. Ale depeszy tej nie wy-

365 Loc. cit. II, 240.

366 Depesza z dnia 11 (23): „nachožu nieobchodimym ot imieni gosudaria jego udierzat”.

słano zaraz. Suchozanet był już w Warszawie i objął swój urząd, więc zapewne depeszę zatrzymał i posłał ją do Liwadyi dopiero nazajutrz, dnia 24 października o godz. 8-ej rano, to jest kiedy Lambert już dawno wyjechał był ze stolicy polskiej³⁶⁷. Nie poprzestał jednak na tym, bądź co bądź nieuczciwym czynie i do depeszy poprzednika swego dodał te słowa: „nie mam nadziei, żeby proponowane Wielopolskiemu pozostanie na służbie, miało skutek pomyślny³⁶⁸”. Ta brzydka intryga i słowa te obliczone były na to, że oburzą despotyczne instynkta cesarza i że dymisy będą przyjęte, o co głównie szło Suchozanetowi. Był on bowiem nieprześląganym wrogiem margrabiego i bodaj czy nie za cel swych krótkich rządów położył sobie usunięcie tego człowieka znienawidzonego, który mu imponował rozumem, inteligencją i arystokratycznym obejściem, pełnem dumy nieprzobranej.

Na razie jednak intryga ta, świadcząca, jak dalece rząd despotyczny psuje charaktery, nie miała powodzenia.

Cesarz rozkazał Suchozanetowi, ażeby wezwał Wielopolskiego „do pozostania na służbie”, bo „tym sposobem okaże on prawdziwe poświęcenie dla ojczyzny i dla mnie³⁶⁹”. Rozkaz ten oczywiście nie był przyjemnym Sezostrysowi moskiewskiemu, gdyż był pierwszą przegraną bitwą w walce z margrabią, ale mimo wszystko wykonać go trzeba było. Płatonow wysłany do Wielopolskiego, uwiadomił go o woli monarchy. Margrabia odpowiedział wymijająco i nie mógł inaczej odpowiedzieć, gdyż przedłużenie obecnego stanu rzeczy nie prowadziło do niczego i nie zbliżało go wcale do celu, który sobie założył, to jest rozdzielenie władzy cywilnej od wojskowej. Oświadczył więc Płatonowi, że pragnie napisać do cesarza. Pismo takie zrazu chciał powierzyć pierwszemu kuryerowi, jaki pojedzie z Warszawy do Aleksandra II, później po namyśle zdecydował się wysłać je przez syna swego Zygmunta, który znał dobrze wszystkie zamiary i myśli ojca, i brał w nich czynny udział. Projekt ten w najwyższym stopniu nie podobał się Suchozanetowi. Donosząc o nim cesarzowi d. 25 października, pisał, że „powodem podania się do dymisy jest przekonanie, że ja ze zdwojoną ścisłością wykonywać będę przepisy stanu wojennego, na który on (margrabia) zgodził się w nadziei, że hr. Lambert złagodzi je mocno”; twierdził, że taki wniosek wyprowadził Płatonow z rozmowy z Wielopolskim; dodawał, że uważa za rzecz konieczną uwolnienie margrabiego z urzędów”, a przynajmniej pozostawienie go tylko przy dyrektorstwie

367 W Liwadyi depeszę tę otrzymano d. 12 (24) o godz. 3 min. 15 w nocy.

368 Oryginał brzmi: „nie imieju nadziei, czto by wysoczajsze predłożenie Wielopolskomu ostawatsia na służbie, imieło uspiech”.

369 Depesza z d. 12 (24): „objawite Wielopolskomu, czto ja żelaju czto on ostawałsia na służbie, i czto on etim dokażet istinnuju predannost otieczestwu i mnie”.

sprawiedliwości, gdyż w Komisji oświecenia i spraw duchownych jest on „stanowczo szkodliwym” (położitelno wreden); utrzymywał, że takiego samego zdania jest Lambert i Płatonow, i obiecywał, że o wszystkim szczegółowo napisze przez kuriera³⁷⁰.

Cesarz odbierając takie wiadomości, oddalony od miejsca wypadków, mimo to w gruncie rzeczy zawsze przyjazny margrabiemu, odpowiadał, że sprawę tę zdecyduje po przybyciu owego przyobiecane go kuryera³⁷¹.

Tymczasem w Warszawie walka pomiędzy margrabią i namiestnikiem, z każdą niemal chwilą przybierała coraz ostrzejszy charakter. I była to walka z wielu względów szczególna i jedyna w swoim rodzaju. Z jednej bowiem strony stawał magnat polski, przez nikogo, nawet przez własny naród nie popierany, z drugiej generał rosyjski, minister wojny, wysoki dygnitarz, wsparty na całej kamarylli wojskowej, której podobały się rządy militarne, która nienawidziła i lękała się „Wielopolskiego, ośmielającego się jej dążnościom stawiać czoło. Rozpoczął się więc szereg tych drobnych starć, dokuczliwych ukłuc, w których mistrzami są wszyscy dygnitarze rosyjscy, wyćwiczeni w szkole intryg dworskich. Traktowano więc Wielopolskiego wprost jako człowieka podejrzanego i co dzień nieomal wystawiony był na różnorodne szykany. Stronnictwo wojskowe poczęło szaleć po dawnemu. Aresztowano mnóstwo osób winnych i niewinnych, a na prowincyi dopuszczano się wszelkiego rodzaju gwałtów i nadużyć, krzyczących o pomstę do nieba. W Płocku generał Rożnow, nowy „pasza Janiny”, jak go zwią relacje współczesne, rzucił postrach na miasto swem dzikiem postępowaniem. Otoczywszy się gromadą ludzi, uważanych przez opinię za łotrów i wyrzutków, jak niejaki Mirza Tuchan Baranowski, Tatar z rodu, Kłobuszewski i sławny później oszust w kartach i szuler, Kusociński, wszyscy trzej radcowie gubernialni, rozpoczął rządy istnego kacyka.

Ponieważ na placu przed gmachem rządu gubernialnego, miejscem zwykłych przechadzek mieszkańców, kobiety nie pokazywały się, unikając zaczepiek nieprzyzwoitych ze strony oficerów rosyjskich, więc Rożnow wezwał do siebie urzędników i zapowiedział im, że jeżeli ich żony, córki i siostry nie będą spacerowały jak zwykle po placu, to starszym da dymisyą, a młodszych różgami oćwiczyć każe³⁷². Na koniec w nocy z 18 na 19 października aresztowano wszystkich tych, którzy w manifestacjach poprzednich jakkolwiek brali udział. Liczba uwięzionych była znaczna, dochodziła podobno do 50, a naza-

370 Depesza z d. 13 (25) października.

371 Depesza z Nikołajewa z d. 13 (25) października „O Wielopolskim rieszu po połączeniu sledujuszczago kuryera”.

372 Z relacji współczesnych.

jutrz rozpoczął się prawdziwy „sądny dzień” dla Płocka i tak też w rzeczy samej nazwany został. Rożnow bowiem, nie bawiąc się w żadne śledztwa, protokoły i sądy, kazał po prostu aresztowanych, zwłaszcza młodszych, osmagał różgami. Obici zostali: Olszewski, syn urzędnika, Dobrowolski urzędnik, Waśniewski cukiernik, Bogusławski kupiec, Chądzyński subjekt i wielu innych. Nie porzesał jednak na tem, nie żałował różeg i dla kobiet, które chwymano na ulicy za żałobę i prowadzono do ratusza. Oćwiczono w ów „sądny dzień” panią Krajewską, pannę Wołowską, pochodzącą z mechesów i znaną w mieście pod nazwą „Małki”; obito na koniec niejaką Dzierżanowską, kobietę złego prowadzenia³⁷³. Straszliwy popłoch padł na miasto.

Wiść o tem piorunem rozbiegła się po całym kraju i wywołując oburzenie powszechne, dała zarazem żywe świadectwo, do czego są zdolne rządy militarne. Zewsząd słyhać było o aresztowaniach, o wysyłaniu młodych ludzi do batalionów orenburskich, o wyrokach śmierci, których wprawdzie nie wykonywano, ale które postrach niemały rzucały. W Sandomierzu jeden z takich kacyków naczelników wojennych, którymi się roi teraz kraj cały, major Gołubow, w czasie pogrzebu niejakiego Dreiseiteln, Bóg wie dlaczego, wpuścił na cmentarz tylko księży, ludność zaś kazał wojsku rozpędzić kolbami. Tu i owdzie, idąc za przykładem Warszawy, duchowieństwo, wobec aresztowania osób wychodzących z kościoła, zaczęło te kościoły zamykać.

W Łęczycy ksiądz Żukowski zamknął kościół parafialny; w Augustowie dla tejsze przyczyny ks. Pożarski zrobił to samo; w Ratowie (w Płockiem) gwardyan Bernardynów, ks. Gołandyszkiewicz, także tego rozpacznego chwycił się środka³⁷⁴. Sporadyczne te wypadki jednak nie znalazły naśladowców w innych miejscowościach kraju, świadczyły wszelako o wzburzeniu powszechnem. Bardzo wielu księży aresztowano, osadzano ich w cytadeli warszawskiej, gdzie o obchodzeniu się z więźniami zwykle nieprawdziwe i przesadzone, ale nadzwyczaj drażniące obiegały pogłoski.

Suchozanet ze swej strony, gorliwie zajmował się aresztowaniem tak zwanych przez siebie „kierowników propagandy” (rukowoditelej propagandy); w sprawie zaś z Wielopolskim dopuścił się nawet gwałtu, ostatniej ucieczki wszystkich wielkorządców rosyjskich. Oświadczenie margrabiego, że pragnie syna wysłać do Petersburga z listem do cesarza, nie podobało się Suchozanetowi, jak w ogóle nie mogło się podobać wszelkie porozumienie bezpośrednie magnata polskiego z imperatorem. Nie mogąc tego zabronić urzędnikowi, zajmującemu tak wysoką godność, postanowił jednak przeszkadzać wszelkimi siłami, a nade wszystko starać się o to, by jego, namiestnika, raport wprzód

373 Relacje rękopiśmienne.

374 Pawliszczew, Siedmicy I, 2 i 9.

doszedł do rąk cesarza i tym sposobem niejako uprzedził wrażenie, jakie list margrabiego na monarchę wyrzucić może. Taki raport wygotował on pospiesznie i wprost oskarżał w nim margrabiego o „bunt”; dokument ten powierzył generałowi Potapowowi, polecając mu jechać jak najspieszniej; w rzeczy samej tenże puścił się do stolicy północnej dnia 28 października. Gdy jednak Zygmunt Wielopolski chciał to samo zrobić, zabronił mu dawać koni na pocztę, kolei żelaznej zapowiedział, żeby przewozić go się nie ważyła, a rogatkom, by go nie śmiały przepuszczać³⁷⁵. Do Wielopolskiego posłał „w pełnej gwiazdźstości”, jak się wyraził margrabia, jakiegoś generała z ofiarą przesłania listu do Petersburga przez kuryera, ale margrabia odrzekł deputatowi, że syn pojedzie, że jako szambelan dworu cesarskiego nie potrzebuje niczyjego pozwolenia, by udać się do cesarza, że nikt nie ma prawa zabraniać mu tego i skończył słowami: „co do mnie, jestem niekiedy zuchwały, ale nigdy szalony” (*je suis quelquefois téméraire, mais jamais étourdi*).

Wszystko to nadzwyczajnie rozdrażniło Suchozaneta, wychowanego według wzorów mikołajewskich, przywykłego, żeby wszystko się ugięło przed wolą pierwszego lepszego generała.

Zaszła przytem jeszcze jedna okoliczność, która położenie to zaostriżyła mocniej. Wielopolski przewidując możność opuszczenia urzędu i chcąc niejako przekonać kraj, że pracował i pragnął przeprowadzić najważniejsze tej doby reformy, t. j. oczynszowanie włościan i przekształcenie wychowania publicznego, kazał w dniu 28 października wydrukować w osobnym dodatku do „Dziennika powszechnego” projekt do ukazu o oczynszowaniu i projekt reformy szkół. Miało to być dla jego następcy drogowskazem przy dalszem przeprowadzaniu tych reform, a dla Wielopolskiego niejako pieśnią łabędią i usprawiedliwieniem przed krajem i historią”. Publiczność, która dotąd nie zajmowała się wcale „Dziennikiem”, z chciwością rzuciła się na niego, odczytując owe dwa projekta, komentując je i rozprawiając o nich głośno. Fakt ten oburzył nadzwyczajnie namiestnika. Tego rodzaju postępek, oddający pod dyskusję publiczną projekta do praw, przez władzę wyższą niezatwierdzone, był przeciwny wszelkim zwyczajom rosyjskim i uważał on go za lekceważenie powagi namiestnika. Rozkazał więc, ażeby odtąd „Dziennik”, podobnie jak wszystkie gazety warszawskie, ulegał cenzurze naczelnika poczty Massona, a zarazem naczelnika policji, a ów nieszczęsny dodatek z projektami kazał na pocztę skonfiskować, tak, że jest on dziś rzadkością bibliograficzną.

Wielopolski oparł się stanowczo posyłaniu „Dziennika” do cenzury Massonowi. „Nic z tego nie będzie, mówił, gdyż z mocy rozporządzenia Rady ad-

375 Lisicki, Aleks. Wielopolski I, 261.

ministracyjnej Królestwa, wydanego w imieniu Najjaś. Pana, cenzura „Dziennika” należy do dyrektora Komisji oświecenia³⁷⁶. Suchozanet w odpowiedzi na to, kazał drukarnią „Dziennika” opieczetować, a Bogu duszę winnego Sobieszczańskiego, jako redaktora, wsadzić na tydzień na odwach „za nieposłuszeństwo”. Odtąd Sobieszczański, unikając mieszania się do walki, w której najniewinniej mógł paść ofiarą, niby od siebie już tylko posyłał dziennik do cenzury Massona. Namiestnik zaś kazał w „Dzienniku” i we wszystkich pismach warszawskich ogłosić komunikat urzędowy, że projekt o oczyszczeniu włościan, nie będąc jeszcze ani poddany pod wyższy rozbiór, ani zatwierdzony w ustanowionym porządku, uważany być powinien jedynie za wynurzenie myśli osobistych w tym przedmiocie margrabiego Wielopolskiego”. Nie poprzestając jednak na tem, chciał, by także obwieszczenie rozesłano gubernatorom z poleceniem odczytywania go wszędzie włościanom. Krok ten byłby istotnym głupstwem, gdyż chłopci nie czytali „Dziennika” i nie wiedząc, o co idzie, byliby Bóg wie jakie wnioski wysnuwali, co w czasach powszechnego podniecenia umysłów wcale nie było rzeczą pożądaną. Na szczęście Komisya spraw wewnętrznych, ulegając pozornie woli namiestnika, poleciła gubernatorom, żeby tam tylko odczytywano obwieszczenie, gdzie włościanie projekt przeczytali i gdzie by uważając go za urzędowy, pretensje jakiegokolwiek z tego powodu rościć mogli³⁷⁷. Ponieważ jednak chłopci, jak się tego spodziewać należało, nigdzie owego projektu nie czytali, więc też i zaprzeczenie namiestnika prawie nigdzie nie było im komunikowane.

Obok tego wszystkiego, Suchozanet kazał Wielopolskiemu powiedzieć, że „uważa jego postępowanie za niezgodne z poleceniami namiestnika, że wstrzymuje się wszelako od uciekania się do środków będących w jego władzy, że jednak o wszystkim doniesie cesarzowi”³⁷⁸.

W rzeczy samej skarżył się przed tym ostatnim tonem mocnego podrażnienia. „Margrabia Wielopolski po waryacku (sumazbrodno) trwa w nieposłuszeństwie; wstrzymuję się od kroków stanowczych, ale niebezpiecznym jest znosić dłużej jego postępowanie”. Innym razem wyrzekął, że margrabia wyraźnie lekceważy namiestnika, że od chwili przybycia tego ostatniego do Warszawy nie pokazał mu się ani razu, że bywa tylko tam, gdzie pewny jest, że nie spotka Suchozaneta, że czyni to wszystko dla zyskania popularności u stronnictwa przeciwnego rządowi, że mu się to po części udało; że dalsze jego pozostawanie na urzędzie czyni położenie namiestnika i całego żywiołu rosyjskiego w Warszawie prawie niemożliwym.

376 Lisicki, *Le marquis*, II, 242.

377 Lisicki, *Aleks. Wielopolski* I, 262.

378 Depesza Suchozaneta z d. 19 (31) października.

Jeżeli jednak Sezostrys moskiewski pod wielu względami nie miał racji i motywem jego postępowania z margrabią była obrażona pycha, to wszelako jego twierdzenie o odzyskiwaniu przez Wielopolskiego popularności było prawdziwym i uzasadnionem. Jakkolwiek bowiem wszystkie te, powyżej opowiedziane, epizody walki odbywały się po większej części za kulisami, w ukryciu czterech ścian, w niedościgłych dla zwykłego śmiertelnika empirejskich wyżynach wielkich tego świata, były przecież objawy niektóre zbyt głośne i zbyt jawne, by nie miały zwrócić na siebie uwagi ogółu i nie przekonać go, że jakieś starcie głucho toczy się między Wielopolskim i Suchozanetem. Mianowicie awantura z „Dziennikiem” była powszechnie wiadomą, historia z synem margrabięgo również była znaną; zresztą, jak się zdaje, w Zamku nie umiano zachować tajemnicy, a Wielopolski wcale jej nie zachowywał, przyszedłszy w końcu do przekonania, że jego dymisya, mimo wszystko może nastąpić, że w nowej tej walce zostanie pobity, że zatem lepiej będzie, gdy zejdzie ze stanowiska w nimbie popularności, którą był utracił zupełnie, a którą w tej chwili mógł być od razu odzyskać³⁷⁹.

Toteż margrabia nagle we wszystkich prawie sferach, z wyjątkiem oczywiście zacietrzewionych rewolucjonistów, stał się popularnym. Poczęto go wychwalać, jego salony na ulicy Długiej, w gmachu Komisji sprawiedliwości, zaczęły się napełniać, choć zajęty i zapracowany mocno, nikogo nie przyjmował; unoszono się nad postawą jego wobec rządu, uważano, że godnie reprezentuje kraj, że umie nakazać uszanowanie dla imienia Polaka wobec generałów moskiewskich. Fotografie jego rozkupowano w tak wielkiej ilości, że Bayer nie mógł ich nastarczyć. Cieszono się z tego, że na koniec przełamał opór namiestnika i syna Zygmunta wysłał do Petersburga.

Czy jednak ten syn mógł co zrobić w stolicy nad Newą, w tej stolicy tak zawsze nieprzyjaznej wszystkiemu, co polskie, było pytaniem bardzo wątpliwym. Suchozanet bowiem wtedy dopiero przestał przeszkadzać jego wyjaz-

379 Że się tak na tę sytuacją zapatrywano, może służyć za dowód przytoczony przez Lisickiego (Le marquis, II, 245) list, jaki w tym czasie któryś z „dalekich krewnych” margrabięgo do niego napisał. „W każdej karierze publicznej, mówi ów krewny, są chwile, w których można, cofając się we właściwym czasie, wszystko uratować i wszystko odzyskać. Wielcy gieniusze upadli, nie umiejąc uchwycić tej chwili. Taki moment nadszedł dla ciebie. Rzuć władzę, a świat wkrótce się dowie z uwielbieniem o powodach twego postanowienia. Cofnięcie się może ci zapewnić piękną kartę w rocznikach twego domu. Podjąłeś władzę w przekonaniu, że możesz uratować nasze społeczeństwo od rozkładu, jaki mu zagrażał. Liczyłeś na siłę, jaką daje władza absolutna, a tej siły wcale nie znalazłeś. Brak ci wszelkich środków do rządzenia, nic ci więc nie pozostaje, jak rozwieść się z władzą. Wszystko raczej, niż zostawić imię, które by nieprzyjaciele wszelkiej wyższości moralnej, wymawiali z radością, a twoi przyjaciele z żalem i smutkiem.

dowi, gdy już Potapow pędził ku stolicy caratu i gdy był pewny, że jego, Suchozaneta, raport znacznie wyprzedzi list Wielopolskiego. Przytem, powyższe przytoczone telegramy, które namiestnik słał do Petersburga, przedstawiające margrabiego, jako wyraźnie pomiatającego władzą rosyjską, musiały koniecznie źle usposobić cesarza dla dygnitarza polskiego i Suchozanet przekonany był, że lada chwila nadejdzie rozkaz, uwalniający Wielopolskiego od wszystkich urzędów. Jakież było jego niezadowolenie, a z nim całej kamarylli wojskowej, gdy d. 30 października, nadszedł do Warszawy rozkaz telegraficzny cesarza, ażeby Wielopolski natychmiast (niemiedlenno) stawił się w Petersburgu dla złożenia osobiście swych wyjaśnień³⁸⁰. Rozkaz ten tak dalece był dla Suchozaneta niespodziewanym, tak nieprzyjemnie nań oddział, że mu się ośmielił sprzeciwić i tego samego dnia telegrafował do cesarza, że jego rozkaz zakomunikuje Wielopolskiemu dopiero nazajutrz, jeżeli otrzyma ponowne jego potwierdzenie po tem, co Potapow powie, który ma stanąć w Petersburgu jutro, d. 31 października. Widocznie Sezostrys liczył na to, że gdy cesarz wysłucha raportu Potapowa, to prawdopodobnie nie będzie już chciał widzieć margrabiego, ale natychmiast udzieli mu tak gorąco pożądaną przez Zamek warszawski dymisyą. Ale i ta nadzieja nie miała się urzeczywistnić na wielkie rozczarowanie i gniew Suchozaneta.

Tego samego bowiem dnia, 31 października, w którym Potapow stanął w Petersburgu z aktem oskarżenia Wielopolskiego, cesarz, przeczytawszy owe pismo, oświadczył, że istotnie margrabia „nie może być dłużej cierpiącym w Warszawie” i jeszcze raz nakazywał, żeby niezwłocznie przed nim się stawił. W razie gdyby polecenia tego nie posłuchał, miał być przyaresztowany i odesłany do cytadeli³⁸¹. Groźny ten rozkaz sprawił rozczarowanie w Zamku z jednej strony, z drugiej niemałe zakłopotanie.

Suchozanet zastanawia! się nad tem, co istotnie zrobić należy; jeżeli Wielopolski oprze się i nie będzie chciał jechać do Petersburga, co wtedy zrobić? pytał jednego ze swych adjutantów. „Ależ to jest proste, odrzekł mu tenże, pójdę go aresztować i zawiozę do cytadeli”. „Ba! pan go przyaresztujesz!... łatwo to powiedzieć...”³⁸². Niemniejszy był niepokój w Petersburgu co do za-

380 Depesza z dnia 18/30 października. Myli się więc Lisicki twierdząc (Alek. Wielopol. 1, 262), że rozkaz ten nadszedł d. 1 listopada. Brzmi on, jak następuje: „Wielopolskiemu oznajmij pan mój rozkaz udania się do Petersburga, gdzie chcę usłyszeć osobiście jego wyjaśnienia”.

381 Dosłownie depesza ta brzmi: „19/31 października. Nr. 22. Potapow przyjechał. List pański i objaśnienia jego przekonały mię w zupełności, że Wielopolski nie może być dłużej cierpiącym (dolżeje tierpim) w Warszawie i dlatego oznajmij mu pan mój rozkaz o natychmiastowym wyjeździe tutaj. Gdyby miał śmiałość być nieposłusznym, to aresztować go w cytadeli i donieść. Aleksander”.

382 Lisicki, Le marquis, II, 244.

chowania się margrabiego. Cesarz, nie odbierając przez dwadzieścia cztery godziny żadnej wiadomości z Warszawy, telegrafował nazajutrz d. 1 listopada: „dziwię się, że mi pan nie odpowiadasz o natychmiastowej wysyłce tutaj Wielopolskiego. Proszę postąpić według mego wczorajszego telegramu”. Jakoż nie było co zwlekać i należało wyraźny rozkaz cesarski spełnić. Wielopolski uwiadomiony o nim, na razie nie dał żadnej odpowiedzi, a Suchozanet donosił tegoż dnia, 1 listopada, że „raczej zgodzę się na zwłokę, niż na skandal (eskłandru), mogący zwiększyć popularność Wielopolskiego”. Dowodziło to, że za nic w świecie nie byłby margrabiego aresztował i do cytadeli posyłał. Ale Wielopolski nie myślał się opierać; wezwanie do Petersburga było niejako pierwszym krokiem do zwycięstwa; porozumienie się osobiste z cesarzem było rzeczą bardzo ważną i w skutkach może bardzo doniosłą, by nie miał z niej skorzystać. Jeszcze więc tego samego dnia uwiadomił Suchozaneta, że jak tylko pokończy konieczne przygotowania do podróży dalekiej, jak tylko nabędzie powóz i futro, natychmiast wyjedzie, co najpóźniej nastąpi dnia 4 listopada. Suchozanet uwiadomił o tem natychmiast cesarza³⁸³.

Wiść o wezwaniu Wielopolskiego do Petersburga szybko rozeszła się po mieście i jako finalny akt blisko dwutygodniowej walki z Suchozanetem zrobiła różnorodne, stosownie do osób i sfery, wrażenie.

Opinia, zwracając się teraz ku margrabiemu, widziała w tej podróży zadatek lepszej przyszłości, gdyż sądzono i słusznie, że nie dlatego wzywano go do stolicy caratu, by się tam tłumaczył z zarzutów, uczynionych mu przez Suchozaneta. Takie tłumaczenie byłoby całkiem zbytecznym, gdyby nie myślano o jakichś nowych ulgach dla kraju, gdyż dość byłoby prostym ukazem usunąć z urzędu krnąbrnego dygnitarza. Jeżeli zaś sam cesarz go wzywał, to dlatego, by z nim naradzić się co do potrzebnych dla kraju reform. Opinie te były pociechą dla wszystkich dusz zrozpaczonych, dla wszystkich umysłów, patrzących trzeźwo na rzeczy i widzących, że kraj toczy się po fatalnej pochyłości. Ale były także zdania wręcz przeciwne. Czerwieńcy, rewolucyoniści również cieszyli się z wyjazdu margrabiego, ale cieszyli się dlatego, że uważali wezwanie nad Nową za rodzaj wygnania, czyli sam rząd rosyjski usuwał jedną z największych zapór ich działaniu. Kwestya kompromisu z Rosją na podstawie uchwał kongresu wiedeńskiego, mówili, owego znenawidzonego kongresu, będącego niczem innym, tylko sankcją międzynarodową bezprawia rozbioru wraz z Wielopolskim sama przez się upadła. Widząc zwrot w opinii,

383 Depesza z dnia 20 października (1 listopada): „Wielopolski w tej chwili doniósł, że wyjeżdża najpóźniej dnia 23 października (4 listopada), a nawet wcześniej, jeżeli przygotowania do podróży będą mogły być prędzej ukończone, co uważam za słuszne, gdyż nie ma ani powozu podróżnego, ani futra”.

ostrzegali „tłum starych dzieci”, by się nie dał uwodzić pozorom i nie przestał pogardzać Wielopolskim. Ukazujące się właśnie w tej porze nowe piśmiemko tajemne p. t. „Pobudka,” w sprawie tej tak się odzywało: „pewna część zbyt niestety! łatwowiernych ludzi zaczęła uniewinniać margrabiego, inni widzieli w nim nowego Wallenroda, przypisywali mu arcyskryte, lecz niemniej partyotyczne zamiary. Wybuchy arystokratycznej dumy w osobistych zajściach z generałami wzięto za dowód nienawiści ku Moskwie, poprzednie czyny za zręczne maskowanie się, a wypracowanie i ogłoszenie wbrew woli namiestnika dwóch projektów do praw za wielką przysługę dla kraju. W czasie podróży spotkały go podobno nawet niejaki owacye, przypuszczając więc można, że gdyby margrabia wrócił zwycięzcą z Petersburga, wioząc nowy szmat martwych reform, ten tłum starych dzieci przyjąłby go, jak zbawcę i reformatora. Lecz opamiętajcie się niebaczn! postępowanie takie byłoby ciężką krzywdą, wyrządzoną dążeniom, nadziejom i prawom naszym”. „Znane są zasady Wielopolskiego; naród chce Polski całej, niepodległej, wolnej od wszelkich wpływów i gwarancyi. Margrabia jej nie chce. Naród wierzy nie tylko w możliwość, lecz w konieczność wolnej Polski, margrabia uważa to za efemerę (sic); naród wytrwale dąży do niej przez krew i cierpienie, on zaś choćby i krwią niewinnych dążeniu temu przeszkadza. Między Wielopolskim, a narodem nie ma nic wspólnego, jest on carskim sługą, rozumniejszym zapewne od Suchozanotów, Lüdersów lub Gerstenzweigów, ale zawsze sługą tylko; tamci zgniecioną, wysaną i okutą, ten kwitnącą, zamożną i oświeconą, a rzekomo wolną Polskę, chce rzucić na pastwę carowi. Naród wzdryga się na tę myśl ohydną”. „Żadne prawa, żadne projekta lub koncesye nie okupią takich postępów i skrytych zamiarów. Margr. Wielopolski, raz jeszcze powtarzamy, niczem więcej nie jest, jak tylko urzędnikiem, wiernym sługą cara, a dla takich, czy wracają z knutem lub łaskami, naród jedno ma tylko uczucie: chłód, obojętność, jeżeli nie wzgardę. Oznaki sympatyi, okrzyki czci i uniesienia, mamy tylko dla ludzi, którzy z narodem, w narodzie i dla narodu żyją, pracują i cierpią”³⁸⁴.

Słowa ciężkie i dotkliwe, tem dotkliwsze, że niezasłużone, ale dosadnie malujące kierunek umysłów w stronnictwie ruchu. Lecz nie tylko piśmiemka potajemne, wydawane przez rewolucjonistów ultraczerwonych potępiały margrabiego, nawet poważny „Czas” krakowski, żegnając go, pisał, że „teraz odejdzie od władzy, aby żyć w narodzie, który zdeptał, znieważył, niczem nie zdoławszy zmyć krwawego piętna, jakie ciężać będzie na jego imieniu”³⁸⁵.

384 „Pobudka” Nr. 2, z dnia 15 listopada 1861 roku. Ćwiartka litografowana.

385 Wielopolski za ten artykuł wystąpił w dniu 2 listopada ze skargą o obrazę czci przeciw Antoniemu Kłobukowskiemu, jako redaktorowi „Czasu” oraz przeciw Maurycemu Mannowi, Leonowi Chrzanowskiemu i Aleksandrowi Szukiewiczowi jako współre-

Wśród takich to sprzecznych ze sobą i różnorodnych opinii, świadczących o wewnętrznym rozbiciu narodu, Wielopolski wybierał się do stolicy Rosji, miasta, jak mówi poeta, pełnego „węzowych ślin, pajęczych nici i krwi zepsutej”. Zostawiał po sobie mnóstwo rozpoczętych prac i nie mógł przewidzieć, czy kiedykolwiek w tym stanie, w jakim się kraj teraz znajdował, będą one urzeczywistnione. Jedną tylko, bardzo doniosłą i bardzo zbawienną zostawił pamiątkę, to jest Szkołę przygotowawczą do przyszłego uniwersytetu polskiego. Szkoła ta była niejako zadatkiem, że w krótkim czasie wejdzie w czyn jedno z najgorętszych pragnień narodowych, uniwersytet, którego kraj potrzebował, a którego od lat trzydziestu był pozbawiony. Toteż w innych czasach, w czasach trzeźwości i liczenia się z realnością, cała Polska miałaby na ten ważny akt zwrócone oczy; dziś przebrzmiał on cicho i bez żadnego rozgłosu.

Szkoła, albo jak ją zwano urzędownie, kursa przygotowawcze, ustanowiona została z inicjatywą Wielopolskiego, jako dyrektora Komisji oświecenia, uchwałą Rady administracyjnej Królestwa z dnia 20 września 1861 r. Głównym powodem jej założenia było to, że młodzież, która pokończyła dotychczasowe gimnazya, nie była wcale uzdolnioną do słuchania wykładów w przyszłym uniwersytecie. Kursa te zresztą nie miały być stałe i oznaczono ich trwanie na rok jeden; przyjmować miano do nich tylko takich kandydatów, którzy ukończyli gimnazya filologiczne lub realne, ale przepis ten nie był ściśle stosowanym i podobnie jak niegdyś do Akademii medycznej, przyjmowano każdego, kto okazał choćby najmniejsze uzdolnienie, nie oglądając się na patent, gdyż wiadano, że w kraju niewiele jest takiej młodzieży, która naprawdę mogła bez przygotowania słuchać wykładów uniwersyteckich. Zapis miał się rozpocząć dnia 10 października, lekcje zaś w pięć dni potem; z różnych jednak powodów, otwarcie przeciągnęło się do dnia 28 t. m., to jest na jakiś tydzień przed wyjazdem Wielopolskiego do Petersburga. Od razu zapisało się przeszło 300 uczniów, co dowodzi, jak młodzież i kraj spragniony był nauki. Szkołę pomieszczono w dawnym gmachu Instytutu szlacheckiego przy ulicy Wiejskiej, który odpowiednio przerobiono³⁸⁶. Niemało trzeba było zażyć trudu, żeby zebrać odpowiednich dla wykładu akademickiego nauczycieli. Wielopolski wzywał uczonych polskich z Galicyi, z księstwa Poznańskiego, z Rosji i zagranicy, ale nie wszyscy chcieli porzucić posiadane i pewne

daktorom, ale sądy austriackie nie znalazły w słowach dziennika czynu karygodnego i uwolniły powyżej wymienionych od wszelkiej odpowiedzialności.

386 Usunięto na przykład ukryte okna, umieszczone wzdłuż górnego korytarza, a przeznaczone za rządów Muchanowa do szpiegowania rozmów i działań szlacheckiej młodzieży. (Patrz: Aleksander Kraushar: Siedmioletnie Szkoły głównej, 114).

stanowiska, dla niepewnej i chwiejnej kariery w Warszawie. Dziwna bowiem rzecz, ale w ogromnej większości umysłów panowało głuche jakieś, niepewne przeczucie, że to, co się robi, co buduje Wielopolski i to, co czyni przeciwne mu stronnictwo, ma przed sobą krótkie życie i jutro wątpliwe. Dzięki temu przekonaniu, większość sław polskich odmawiała przyjęcia ofiarowywanych im katedr. Głośny już w tej dobie uczony lwowski, Antoni Małecki, wezwany przez Wielopolskiego, by objął katedrę literatury polskiej z początku na kursach przygotowawczych, a później w Szkole głównej, odmówił, podobno za radą Karola Szajnochy, który nie wróżył mu szczęścia w Warszawie, „bo miasto to zwodnicze, niedarmo ma w herbie syrenę”³⁸⁷. Przybywali tylko młodszy, albo tacy, którzy służbę dla ojczyzny stawiali ponad wszystko; ale mówiąc szczerze, takich było niewiele. Wobec tego, niemałą miał trudność margrabia w uzupełnieniu ciała profesorskiego na kursach przygotowawczych i nieraz musiał brać, co się nadarzyło lub co było pod ręką.

Katedrę logiki i psychologii powierzył Kazimierzowi Kaszewskiemu, temu samemu, który nie chciał objąć redakcji „Dziennika powszechnego”, a którego i tym razem polecił margrabiemu Józef Korzeniowski. Wybór niekoniecznie był dobry. Kaszewski, znając gruntownie przedmiot, który miał wykładać, pozbawiony był jednak wymowy i tej lotności umysłu, która porywa młodzież za sobą i budzi w niej entuzjazm do nauki. Wykłady literatury polskiej, których nie podjął się Małecki, oddał margrabiemu, również za radą Korzeniowskiego, Edwardowi Siwińskiemu, młodemu literatowi, którego krytyki i studia literackie zwracały wtedy powszechną na siebie uwagę, a który w czasie powstania zbrojnego miał odegrać pewną rolę historyczną. Był to umysł bardzo zdolny, bardzo lotny, ale brakowało mu rutyny profesorskiej i wykład jego wyglądał raczej na improwizację, niż na ściśle naukowe badania. Umiejętności matematyczne objął Pęczarski, człowiek uczony, ale zużyty już przez długie nauczycielstwo w gimnazyach. Najlepszym jednak nabytkiem był Kazimierz Plebański, Poznańczyk rodem, który wezwany przez margrabię chętnie przyjął ofiarowaną mu katedrę historii. Wykłady jego cieszyły się wielkim rozgłosem i wpływem na umysły młodzieży, przez ton szyderczy, przez surową krytykę i obalanie dotychczasowych powag naukowych i literackich w kraju. Jakkolwiek język wykładów był z wielu względów opłakany, przepelniony niemczyzną i prowincjonalizmami, jednakże wada ta nikła wobec pewności siebie i sarkazmu, z jakim młody profesor traktował nie tylko współczesne sobie wielkości, ale i prądy przebiegające społeczeństwo polskie. Czyniąc czę-

387 Zaznaczyć tu jednak należy, że głównym powodem nieprzyjęcia przez Małeckiego ofiarowanego mu w Warszawie stanowiska, była obawa, żeby rząd austriacki z braku profesora nie zwinął w uniwersytecie lwowskim katedry literatury polskiej.

ste aluzje do wypadków ówczesnych, Plebański gromił warcholstwo uliczne, nawoływał młodzież do pracy, do unikania pragnień wygórowanych, lał zimną wodę na głowy rozgorączkowane. Wszystkie te przyczyny spowodowały, że wykłady jego cieszyły się znacznym powodzeniem i wpływowi Plebańskiego zawdzięczać to należy, że młodzież na kursach przygotowawczych zajęła się pracą, że tradycją tej pracy przekazała Szkole Głównej i sztorcem stanęła w swej całości do powstania zbrojnego.

Taki był skład ciała nauczającego na kursach przygotowawczych, których przełożonym został Augustyn Szmurło, stary, wytrawny pedagog i łacinnik wyborny. Opinia publiczna nominacje te dość dobrze przyjęła, jakkolwiek miano powszechnie za złe Wielopolskiemu, że nie powołał także do wykładów Juliana Bartoszewicza, któremu się katedra ze wszech miar należała, widząc, nie bez pewnej słuszności, w tem pominięciu jednego z uczeńszych ludzi epoki, zemstę za występowanie historyka przeciw margrabiemu w sprawie zapisu Swidzińskiego. Poza tem, otwierającą się Szkołą nie zajmowano się wiele; uwaga powszechna zwrócona była w innym kierunku i wszystko, co z kwestyą niepodległości i wypędzenia z kraju Moskali nie miało związku bezpośredniego i widocznego, nie obchodziło prawie nikogo, a jeżeli obchodziło, to tylko umysły głębsze i dalej patrzące. Oplakane czasy, niepojęte zaślepienie!

Rozpoczęcie wykładów w d. 28 października odbyło się w obecności Wielopolskiego. Pojawienie się wśród młodzieży, zebranej z różnych stron kraju, dyszącej warem rewolucyjnej, tego człowieka, tak oszkalowanego wtedy, zrobiło wielkie wrażenie. Przybył sam jeden, bez żadnej asystencji urzędowej, wysłuchał z widocznym zajęciem lekcji wstępnej Szmurły: „o zadaniu nauk akademickich”, wreszcie powstał i swym głosem niskim, silnym i dźwięcznym, przemówił do zebranych kilka słów gorących i patetycznych, tym językiem jędrnym i ciężkim nieco, jaki znamionuje wszystkie jego mowy. „Jako dawnemu uczniowi tutejszego uniwersytetu, rzekł między innymi, zdawało mi się, że zdrowy duch nauk akademickich nad nami powiewał”. „Od waszego zachowania się zawisło teraz nie tylko wasze własne powodzenie, ale także w znacznej części los szkoły Głównej, którego to okazalszego gmachu miejsce to jest tylko przysionkiem, zależy także przyszłość zakładów naukowych w kraju”. „Wobec społeczności naszej spada na was zadanie rehabilitacji młodzieży szkolnej. Władza edukacyjna w urządzeniach swych uważa was wszędzie za młodzieńców honoru. Tuszę sobie, że takimi się okażecie, jako przykład dla innych, dla wszystkich. Aby odpowiedzieć tym żądaniom, nie potrzeba z waszej strony żadnego nadzwyczajnego wysilenia, żadnych osobnych zachodów; bądźcie tylko po prostu i sumiennie uczniami, zachowujcie wskazania i oj-

cowskie rady, jakie z ust szanownego tej szkoły zwierzchnika dopiero co slyszeście, oddajcie się nauce, a z podziwieniem może sami ujrzycie, że ważne zadanie, jakie spełnić macie, są przy dobrej i szczerzej woli do spełnienia łatwe i że wśród pełnienia waszego obowiązku i przez nie właśnie, zachowacie młodzieńczą swobodę umysłu i serca. Żegnam was teraz serdecznie i częściej z wami tutaj widywać się pragnę”.

Czy jednak miał zobaczyć jeszcze tę młodzież, której zadatek tak pięknej przyszłości zostawiał, było bardzo wątpliwem i sam zapewne tę wątpliwość w głębi duszy żywił. Czekala go teraz daleka droga do stolicy caratu i przyszłość w tej stolicy bardzo zagadkowa. Wybierał się tam powoli i na koniec d. 3 listopada puścił się w podróż. Przed wyjazdem Suchozanet naznaczył na jego zastępców w Komisji sprawiedliwości kasztelana Dembowskiego, a w Komisji wyznań i oświecenia Romualda Hubego, co było niejako wstępem do zupełnej ze wszystkich urzędów dymisji margrabiego. Zacierzwiony Sezostrys starał się wszelkimi sposobami dokuczyć znieawidzonemu magnatowi polskiemu. Nie pozwolił mu zabrać ze sobą urzędnika z Komisji oświecenia, Maksymiliana Vidala, który był sekretarzem margrabiego, do którego ten ostatni przywykł i bez którego prawie obejść się nie mógł. Redaktorowi „Dziennika powszechnego” Sobieszczańskiemu, namiestnik jak naj-surowiej zabronił widzenia się z Wielopolskim dla otrzymania instrukcji³⁸⁸; z wyjeżdżającym margrabią pomieścił w jednym pociągu kolei pułkownika żandarmskiego, z poleceniem, by czuwał nad nim i do samego Petersburga go odwiózł³⁸⁹.

Nazajutrz po wyjeździe Wielopolskiego, zjawił się w Warszawie nowy namiestnik Lüders. Przybył on d. 5 listopada, o godz. 2-iej po północy i zajechał do Zamku wśród ulic pustych i głuchych. Towarzyszył mu naczelnik sztabu głównego Kryżanowski i pułkownik Czernicki, których Suchozanet wysłał był, pierwszego do Brześcia, a drugiego do Żytomierza na spotkanie Lüdersa i obznajmienia go ze stanem rzeczy w kraju³⁹⁰. Wszelako nowy wielkorządca niewiele musiał się dowiedzieć od obu tych panów, gdyż nie od razu objął swój urząd, ale odłożył tę czynność do dnia 8 listopada, tłumacząc się przed cesarzem, że koniecznie musi się zapoznać z osobami i położeniem³⁹¹.

A położenie to gruntownie się zmieniło od chwili ogłoszenia stanu wojennego przez Lamberta i oczywista rzecz, że na obznajmienie się z niem nie mogli wystarczyć te trzy dni czasu, jakie sobie naznaczył Lüders. Pozornie

388 Lisicki, *Le marquis II*, 243.

389 N. Berg, dalszy ciąg „Zapisek”. Rozd. VIII.

390 Loc. cit.

391 Depesza Lüdersa z dnia 24 października (5 listopada).

panował spokój i porządek; wszelkie manifestacje publiczne znikły i na społeczeństwie zdawał się leżeć postrach powszechny i senna cisza. Ale ta cisza ze wszech miar była groźną i może niebezpieczniejszą, niż dotychczasowe wystąpienia tłumne. Nikt nie ubierał się teraz w krzyżące stroje, kontusze i konfederatki pochowane zostały głęboko; wieczorami wszyscy z zapalonymi latarkami chodzili. Kościoły były ciągle zamknięte, tylko w różnych porach dnia można było widzieć gromadki nabożnych, klęczące pod drzwiami i modlące się cicho i gorąco.

Tak z pozoru przedstawiało się miasto i zdawało się dla patrzących powierzchownie, że powoli wszystko wraca do porządku, że stugłowa hydra rewolucji została na zawsze startą i zabita. Wszelako dla tych, którzy głębiej spoglądali, którzy znali kraj, ta cisza była zwiastunem nowych nieszczęść, świadczyła, że wewnątrz organizmu narodowego pracują jakieś głuche, straszne siły.

W rzeczy samej tak było. Przede wszystkim z zagranicy, z emigracji dochodziły bardzo niepokojące wieści i oznaki, mówiące o jej dążnościach i zamiarach. Odbywały się tam, dawnym zwyczajem, dwie akcje, jedna wypływająca z obozu arystokratycznego, że go tak nazwiemy, druga z pomiędzy rojnej rzeszy demokracji emigracyjnej. W d. 2 września ukazała się w Paryżu mała broszura, zatytułowana „Głos z kraju”, napisana niby rzeczywiście w kraju i wystosowana do emigracji. O ile sądzić można, głos ten wyszedł z koła, otaczającego pana Andrzeja Zamoyskiego i wzywał wychodźstwo, aby się zgrupowało pod sztandarem ks. Władysława Czartoryskiego, młodszego syna zmarłego niedawno ks. Adama. „Boć jeżeli emigracya, pisał nieznany autor, działania swoje zjednoczyć zechce około jakiegoś stanowiska osobistych zasług, nie ma wątpliwości, że zjednoczenie to nie nastąpi, lub nigdy trwałem być nie może; ileż to bowiem jest w emigracji zasług osobistych? a wśród największych komuż dać pierwszeństwo? i wieluż to znajdzie się takich, którzy dać przed sobą pierwszeństwo dozwolą?” Głos ten jednak nie znalazł uznania wśród emigracji, tej kłótlivej, rozdzielonej, niesfornej emigracji, tych ludzi, którzy, jak mówił o nich poeta, „utraciwszy rozum w mękach długich, plwają na siebie i żrą jedni drugich”. Odezwa, którą w parę tygodni potem wystosował do emigracji Władysław ks. Czartoryski, niepodobała się powszechnie, oburzyła wielu. W odezwie tej, syn zaznaczał, że ojciec umierając, polecił mu „odpowiadać i tłumaczyć czynności kraju, bronić praw narodowych przed opinią i rządami Europy oraz zawiązywać i rozwijać z obcymi państwami stosunki, które Polsce dopomóc mogą do jej wydobywania się z niewoli i do jej niepodległego w przyszłości życia i działania”. Syn, przejmując tę spuściznę po ojcu, tłumaczył się z powodów swego postanowienia, zastrzegając się wyraźnie przeciw mniemaniu, jakoby on i jego towarzysze

chcieli się mieszać do spraw wewnętrznych narodu, gdyż emigracja „upływem lat i przestrzenią oddzielona od kraju”, nie może znać do tyła jego stanu, potrzeb dzisiejszych i zasobów, aby nim zdolna była sterować, lub choćby tylko stanowczo nań wpływać. Usprawiedliwiał się, że nie kierują nim żadne widoki osobiste, że jest tylko „żołnierzem w szeregu narodowym”, że walczy na stanowisku jemu w obecnej chwili, więcej może niż komu innemu przystępnem, że gotów jest z niego ustąpić natychmiast, „skoro tylko innych przedstawicieli poza krajem wyznaczy jawny i ukonstytuowany rząd Polski niepodległej, lub o niepodległość dobijającej się z bronią w rękę”.

Odezwa ta, napisana tonem pełnym skromności, nie wywarła tego wrażenia, jakiego po niej się spodziewano. Bądź co bądź, jeżeli już tego rodzaju działanie, jakie prowadził zmarły ks. Adam, a jakie zamierzał nadal prowadzić syn jego Władysław, w tej chwili było koniecznym, o czym wszelako bardzo wątpić można było, to lepiej, że je brał w ręce człowiek, wychowany w tradycji domu, który zawsze zajmował się wielką polityką i który w świecie dyplomatycznym umiał sobie wyrobić stosunki i poszanowanie powszechne. W kołach demokratycznych i rewolucyjnych, wśród mnóstwa młodzieży, która gromadnie emigrowała do Paryża i wieszała się koło Mierosławskiego, młodzieży liczącej godziny nieomal, by „dosiąść owdowiałego siodła”, ta cicha, mrówcza, niegłośna i podziemna niejako praca dyplomatyczna, wydawała się po prostu głupstwem, zabawką, snuciem przędzy Penelopy. Zresztą, mówiono sobie, jeżeli do prowadzenia tego rodzaju działań mógł mieć pewne prawa stary książę Adam, to w żadnym razie praw tych nie posiadał młodszy jego syn Władysław, który niczem się nie odznaczył, którego mało znano i w rozum jego nie bardzo wierzono.

Krzywiono się więc powszechnie na tę odezwę i na uzurpację, jak ją nazwano i nie myślano skromnych słów nowego reprezentanta polskośći słuchać. Wreszcie umysły młodzieży, w tej chwili czem innym były zajęte, a mianowicie przygotowywaniem się do przyszłego powstania zbrojnego, o którym wszyscy mówili i którego wybuch uważano za bardzo bliski. W Paryżu, dzięki staraniom i zabiegom generała Wysockiego, rząd pozwolił młodzieży polskiej kształcić się w szkołach wojskowych francuskich; ale najważniejszą, najgłośniejszą i nie bez poważnego wpływu na przyszłość, była, właśnie w tej porze (w końcu września) założona, szkoła podchorążych polskich w Genui we Włoszech. Wskutek tego, że w końcu 1860 r. Garibaldi zamierzał utworzyć legion zagraniczny, a właściwie polski i dowództwo jego oddał Mierosławskiemu, mnóstwo młodzieży, emigrującej z kraju, pociągnęło do Włoch, by służyć i pierwszy chrzest ognia otrzymać pod wodzem, którego ubóstwiała i którego „zmartwychwstałym” zwała. Gdy legia ta jednak spełzła na niczem,

młodzież ta nagle znalazła się bez zajęcia, bez celu, rzucona na obcą ziemię, z dala od ojczyzny, skąd dochodziły wieści coraz gorętsze, zapowiadające burzę coraz bliższą. Wtedy to Mierosławski powziął myśl założenia we Włoszech szkoły wojskowej, w której by młódź rzeczona, wałęsająca się i nie wiedząca, co ze sobą zrobić, przygotować się mogła na przyszłych oficerów powstania. Myśl tę poparł Garibaldi, pierwsze nawet środki na ten cel z własnej dał szkatuły, a co najważniejsza, postarał się o pozwolenie u rządu włoskiego. Dla tego ostatniego, projekt ten ze wszech miar był na rękę. Rosya bowiem dotąd nie uznała królestwa włoskiego i uznać go nie chciała, jako monarchii powstałej z inicjatywy i za przyczynieniem się rewolucyi czerwonej. Rząd więc króla Wiktora Emanuela w założeniu szkoły wojskowej polskiej widział jeden ze środków, mogących zmusić Rosyą do tego uznania, a przynajmniej dawał sposobność do targów, w razie gdyby w Petersburgu za rzeczzone uznanie w zamian czegoś zażądano. W takich warunkach dni nowo powstającego zakładu były policzone i przyszłości na prawdę nie miał on żadnej, ale o tem wcale w kołach rewolucyjnych polskich nie wiedziano, cieszący się ze szkoły i obiecując sobie po niej bardzo wiele. Postanowiono ją pomieścić w Genui, gdzie władze miejscowe pod wpływem Garibaldiego chętnie się na to zgodziły. Garibaldi wynajął dom Bianchiettego, który mu miasto ustąpiło, urządzony odpowiednio, gdyż zwykle municypalność genueńska mieściła tu rezerwowych oficerów swoich i tym sposobem powstała we Włoszech szkoła podchorążych polskich³⁹².

Wieść o tem, radośnie została powitana przez młodzież polską zagraniczną i w kraju, i przez wszystkich rewolucjonistów, którzy widzieli w tem zapowiedź, że powstanie zbrojne nie jest mrzonką i że wcześniej, czy później wybuchnie i wybuchnąć musi. Ale dla postawienia szkoły na nogi trzeba było pieniędzy. Mierosławski podobno dostał ich trochę od księcia Napoleona, od Marcelego ks. Lubomirskiego, bogatego pana polskiego, włączącego się zagranicą i mieszkającego się do wszystkiego; wreszcie posypały się z kraju i emigracyi składki, stosunkowo dość obfite, które pozwoliły od razu postawić szkołę na stopę przynależną. Prócz tego, rząd włoski zobowiązał się dawać na każdego ucznia 2 franki dziennie, niby na rachunek, jak mówiono, sum neapolitańskich, co stanowiło najpoważniejszą podwalinę istnienia szkoły.

Zrazu zapisało się 40 młodych ludzi, powoli jednak poczęli zbiegać się ze wszystkich stron, z kraju i z zagranicy, tak, że szkoła w końcu 1861 r. liczyła blisko 120 słuchaczy. Pomiędzy nimi znalazło się bardzo wielu takich, „którzy z czasem w powstaniu zbrojnym mieli odegrać mniej więcej wybitną rolę, jak

392 Rękopism p. t. „Szkoła wojskowa polska w Genui i Cuneo”.

Józef Oksiński, Aleksander Litich, Bolesław Kołyszko, Zygmunt Chmieleński, Lacroix, Rogiński, Wisłouch, wszystko dowódcy w wojnie, jaką naród jeszcze raz miał stoczyć z najazdem o niepodległość. Szkoła zajmowała kilkanaście pokoi na trzecim piętrze, umeblowanych odpowiednio. Jej dowódcą został oczywiście Mierosławski, co mu się słusznie należało, gdyż jego staraniom i zabiegom był swój zawdzięczała; opiekunem był Garibaldi, który подарował odpowiednią ilość broni do musztry; koni dostarczała ujeżdżalnia miejska.

Nauczyciele niekoniecznie byli dobrani, ale temu zaradzić nie można było z powodu braku sił odpowiednich. Musztrę piechoty wykładał major Władysław Englert; teorię piechoty i tyralierki kapitan Karol Brazewicz. Baron Dulfus, Polak, kapitan gwardii królewskiej włoskiej był kasyerem szkoły i uczył fechtunku na bagnety, Stojowski fechtunku na pałasze. Rogaliński, porucznik ułanów austriackich, wykładał tak teorię, jak i praktykę kawaleryjską. Major Waligórski, b. oficer wojsk polskich, uczył matematyki; Kosiński, kapitan artylerii rosyjskiej, fortyfikacji polowej. Ze szkołą artylerii obznajmiał młodzież początkowo jeden z uczniów, Michał Suzin, porucznik artylerii rosyjskiej, ale z powodu nieznamności wyrażen technicznych polskich, wykład był męczący i niedokładny. Zastąpił go później Zygmunt Chmieleński, także uczeń szkoły, dawniej porucznik artylerii rosyjskiej. Ale szorstki w obejściu, przyczem domagał się koniecznie, by mu dano choć jedną armatę, na której by mógł praktycznie uczyć kolegów, co było prostym niepodobieństwem, więc zniechęcony usunął się sam, a jego miejsce zajął sławny później Maryan Langiewicz, porucznik artylerii pruskiej, a potem oficer t. z. gidów Garibaldiiego. Wykładał słabo i monotennie, tak, że przestano uczęszczać na jego lekcje, wreszcie dla różnych, wewnętrznych rozterek, które szkołę od początku jak rak toczyły, usunął się dobrowolnie. Jego katedrę, że ją tak nazwiemy, objął Zygmunt Padlewski, niemniej z czasem rozgłośny. Komendantem był niejaki Fijałkowski, b. pułkownik wojsk hiszpańskich. Musztra odbywała się zrazu na placu t. z. żandarmskim, ale gdy ten okazał się za mały, oddano na użytek szkoły plac za miastem leżący, który z tego względu był niedogodny, że trzeba było doń chodzić bardzo daleko. Młodzież była ubrana jednakowo, w popielate czamarki, także spodnie z lampasem czerwonym i rogatywki czerwone z białym barankiem. Później ubrano ją w mundury granatowe z rabatami amarantowymi.

Sam Mierosławski wykładał strategią, taktykę i jeografią wojenną. Zwykle miewał lekcję po męczącej mustrze, mimo to swą wymową, swymi zwrotami, pełnymi patosu i obrazowości orientalnej, porywał młodzież, która chciwie go słuchała i połykała niemal każde słowo. Ale niestety! Mierosławski więcej, niż szkołą, zajęty był różnymi swymi pomysłami i intrygami. Przede wszystkim począł budować owe osławione później wozy, przeznaczone jakoby do

sieczenia nieprzyjaciela, „ostrokoły przenośne”, jak je nazywał, „niezwalczony tabor i fortyfikacją lotną, jak szarża kawaleryi, a wszystko przed sobą łamiącą, jak kolumny szturmujące”. Wozy te oczywiście nic nie były warte i na śmieszność tylko z czasem naraziły Mierosławskiego, i zabawka ta nie zasługiwałaby na wspomnienie, gdyby dla niej nie marnował krwawego grosza krajowego i nie zaniedbywał szkoły.

Wszelako zajęcie się budowaniem „ostrokołów przenośnych”, mniejszą w ogólności szkodę by przyniosło, gdyby Mierosławski współcześnie z właściwymi swej naturze nie wystąpił był intrygami. Szkalując wszystkich tych, którzy nie byli wyznawcami jego teorii, twierdził, że otoczony jest przez szpiegów, że życiu jego ustawicznie zagrażają spiski, tak ze strony nieprzyjanych mu Polaków, jak i agentów rosyjskich. Wśród młodzieży uczącej się i zachowującej zawsze swą gorącą wiarę w „anioła rewolucyi”, zasiał przez to ziarna podejrzeń udęcujących; z pomiędzy najzapaleńszych wybrał sobie rodzaj gwardyi pretoryańskiej, w liczbie 26, którzy uzbrojeni w rewolwery grozili śmiercią każdemu, kto by się śmiał odezwać przeciw Mierosławskiemu. Nie dość na tem, w nieustannej obawie zamachu na swe życie, Mierosławski zażądał od młodzieży, by mu dała prawo odpieczętowania i czytania listów, nadchodzących do niej z kraju lub zagranicy. Żądanie to oburzyło bardzo wielu i rozterka do tego doszła, że znaczna część uczących się, chciała rzucić szkołę, co ostatecznie groziło jej zupełnem rozbiciem. Wobec tego Mierosławski podał swój projekt pod głosowanie i taki jeszcze miał wśród młodzieży urok, że większość głosów padła za projektem; ale te burze wewnętrzne świadczyły, że kierownictwo szkoły w złych rękach leży.

Poza tem wszystkim, szkoła przedstawiała się na zewnątrz bardzo dobrze, a jej życie wewnętrzne i koleżeńskie miało na sobie charakter tego entuzjazmu i tej gorącej miłości ojczyzny, jaka cechuje wszystkie objawy tej epoki. Poczucie honoru było wysoko rozwinięte; uważano się za przednią straż przyszłej wojny o niepodległość, za pierwszy hufiec, który ma iść w ogień i pod kule wroga. Nazwisko każdego nowoprzybywającego, oraz jego pochodzenie wywieszane było na tablicy w kordegardzie przez parę tygodni, ażeby każdy je widział i w razie, jeżeli były jakie zarzuty, publicznie je wygłosił³⁹³. Pomiedzy sobą, nowi podchorążowie polscy zachowywali wysoko posunięte koleżeństwo i braterskość; Mierosławski i Garibaldi był ich bożyszczem, jak wszystkiej młodzieży tych czasów³⁹⁴.

393 Życie było dość skromne. „Rano o 6-ej, opowiada jeden z uczniów (Józef Wielobycki), dawano herbatę lub kawę i chleb biały; o godz. 11-ej, na drugie śniadanie makaron gotowany lub zupę; o godz. 4-ej obiad, składający się z 2-ch dań i pół kwarty wina czerwonego. Kiepsko było z kolacją, bo wcale jej nie dawano”.

394 Jak daleko sięgał ten entuzjazm, świadczy następujące zdarzenie, które stylem nieco naiwnym, ale noszącym na sobie znamiona prawdy, opisał powyżej zacytowany uczeń

To ubóstwienie, to przejęcie się ich ideami wyrazili oni w pisemku p. t. „Głos z Paryża i Genui”, które wydali w Listopadzie pod pseudonimem „Beniaminów”. Publikacja ta, pełna bombastycznych zwrotów i retoryki nadętej, co do której ci Beniamini naśladowali ślepo swego mistrza, odznaczała się nadzwyczaj ostrym i bezwzględny sąd oraz nieoględnym pomiataniem wszystkich ludzi, którzy nie należeli do obozu Mierosławskiego. Zwłaszcza sąd o ostatnich wypadkach warszawskich był bardzo surowy; nie oszczędzano nawet szkalowań i nie cofano się przed fałszem, byle zozydzić swych przeciwników. O owej, tak w Warszawie czczonej Delegacyi, o owych czterdziestu dniach „polskich czasów”, które tak miłym i słodkim zostały wspomnieniem w sercach tych, którzy na nie patrzyli, genueńscy „Beniaminkowie” tak się odzywali: „zostawiła Delegacya ślady swego istnienia, wzniosła dla siebie *monumentum aere perennius*, uiluminowała miasto nazajutrz po pogrzebie pięciu zamordowanych przez carskich zbirów ofiar, uiluminowała je w cześć imienia ciemniźcy”. Te szkalowania, w zasadzie fałszywe, ale zgodne ze sposobem pisanania Mierosławskiego, były niczem jeszcze wobec drugiego zeszytu „Głosu”, który ukazał się w grudniu 1861 r. I tutaj stylem, pełnym napuszystości, gwałcąc nieraz gramatykę, młodzi „Beniaminkowie” zapowiadali narodowi zagładę, jeżeli nie posłucha ich rozkazów. „Wiosna, wołał niedouczony autor,

szkoły. „W tych czasach, pisze on, zawitał Garibaldi do Genui; z niezmiernym entuzjazmem przyjął go naród; wystrzały armatnie w porcie zdradziły jego *incognito*. Jenerał Mierosławski wpadł zdyszany do szkoły; zagrzmiało po korytarzach: „stawać!” W pięć minut sformowaliśmy się; Sikorski, obywatel ziemski z Poznańskiego, a uczeń szkoły, pochwyił za sztandar: Mierosławski z instruktorem na czele: „krok podwójny, marsz!” Czworkami do prawego ruszyliśmy, gdyby huragan tych stu kilkunastu przedarło się jednakże przez całą procesyą włoską, złożoną ze wszystkich cechów na czele; dotarliśmy do studentów uniwersytetu, przebiliśmy się przez nich i złączyliśmy się z Garibaldczykami, w których Genua obfitowała. Było ich kilkuset w czerwonych koszulach i czapkach. Zapchało się. Przodownicy nasi zmniejszyli krok, my dreptaliśmy w miejscu. Wysłano silniejszych na skrzydła. Od początku szedłem w pierwszej czwórce; bom wtedy miał krzepę nielada. „Naprzód, marsz!” przejmujący, gromki głos Mierosławskiego dał się słyszeć. Sunęliśmy; Niezadowolenie między Garibaldczykami było widoczne. Kolumna nasza coraz bliżej dochodziła do ich sztandaru; tu i owdzie usiłowano nas powstrzymać i nie puszczać na front; na próżno! gdyby świder kolumna nasza dotarła do celu. Obok mnie, często się wywracali Włosi, z czego byłem bardzo kontent. Pierwsza szkoła wojskowa polska powitała Garibaldię, stojącego na ganku mieszkania, przez niego zajmowanego. Okrzyki: „niech żyje Garibaldi! niech żyją Włochy!” rozległy się grzmiąco. Powitał nas bardzo uprzejmie, do swoich zaś rzekł: „czego chcecie? bądźcie zawsze gotowi i uzbrojeni; jeżeli powołam was, pójdźcie za mną”. Kilku naszych wraz z sztabem zostało zaproszonych przez Garibaldię. Odwiedził on nas w koszarach, był na mustrze, zachwycony dobrą naszą znajomością regulaminu. Spożył wspólnie obiad i w nocy odpłynął, przeprowadzony tylko przez kilkunastu ze szkoły wojskowej polskiej”.

musi zastać nas powstańcami”. „Być na wiosnę, albo nie być wcale”. „Narodzie! powstań na wiosnę, albo przepadniesz!” Te frazesa, ten ton dyktatorski gotowujących młokosów, nakazujących narodowi taką, a nie inną drogę postępowania, wywołał we wszystkich umysłach poważniejszych i doświadczeńszych w kraju i na emigracji żywe oburzenie. „Dziennik Poznański”, dając wyraz temu oburzeniu, napisał o „Głosie”, „organie, jak go nazwał, wielkiego Kurzyny³⁹⁵, wielkiego Mierosławskiego i zuchów, których z kraju wypędził potrosze strach, potrosze niepojęcie swych obowiązków”. „Lepiej iść na Sybir, pisał „Dziennik” i hartować się dla przyszłości, niż zbijać genueńskie bruki i dawać ze siebie śmieszne Włochom widowisko pod kierownictwem szarlatana”.

Takie było w ogólnych zarysach położenie zagranicą, wśród emigracji polskiej. Mówiło ono głośno i wyraźnie o gotującym się i blizkiem powstaniu, mówiło, że impuls do tego dawała głównie emigracja, że tam się przygotowywały nieszczęścia, które wkrótce spaść miały na kraj, jak plagi egipskie. To przekonanie mieli wszyscy ludzie, umiejący patrzeć na rzeczy, miał je i pan Andrzej Zamoyski. Wybuch powstania uważał on, wraz z grupą otaczających go Klemensowczyków, za klęskę straszliwą, za błąd, więcej niż za błąd, bo za zbrodnię, za ruinę pracy cichej, prowadzonej z takim mozołem przez lat trzydzieści. Sądząc, że stłumiwszy zamysły powstania wśród emigracji, stłumi je przez to samo i w kraju, powziął on myśl, a może uległ naleganiom swego otoczenia, żeby porozumieć się z najwybitniejszymi osobistościami stronnictwa rewolucyjnego na wychodźstwie i zjednać ich dla swego, że tak powiemy, programu.

Ponieważ mówić o zaniedbaniu robót powstańczych z Mierosławskim było to samo, co przemawiać do głuchych, oraz z uwagi, że „urodzony dyktator”, przez swe postępowanie w Szkole genueńskiej coraz bardziej odstręczał od siebie młodzież i zdawało się, że powoli traci swój wpływ na nią, więc postanowiono udać się do generała Józefa Wysockiego, który o tyle zyskiwał na znaczeniu pośród młodzieży, o ile upadał w jej mniemaniu Mierosławski. W tym celu późną jesienią 1861 r., wysłał pan Andrzej do Paryża pewnego właściciela dóbr ziemskich w Radomskim (zdaje się Stanisława Karskiego), z zupełnym pełnomocnictwem swoim do przeprowadzenia odnośnych rokowań z Wysockim. Poseł miał temu ostatniemu przedstawić rzeczywiste położenie kraju i domagać się, aby projekt powstania był zaniechany, a młodzież zajęła się nauką. Jeżeliby Wysocki się zgodził (a nie wątpiono po jego zacności i gorącej miłości dla kraju, że się zgodzi), miał dać deklaracją piśmienną, zapewniającą pod słowem honoru, że swego wpływu użyje na zapobieżenie

395 Kurzyna zaprotełtował później publicznie, że „Głos z Paryża i Genui” nie jest jego organem.

powstaniu i zwrócenie młodzieży do pracy, głównie zaś do szkoły podchorążych w Genui, jako najbardziej odpowiedniej ówczesnemu usposobieniu wojowniczemu tej młodzieży. Pełnomocnik pana Andrzeja w zamian za to winien oświadczyć w jego imieniu, że gotów jest podpisać zobowiązanie wyplacania na ręce Wysockiego corocznie po milionie franków na utrzymanie szkoły i nawet zaraz złożyć z góry za pierwszy kwartał sumę 250.000 franków, w którą został przez pana Andrzeja zaopatrzony³⁹⁶.

Z taką drażliwą misją umocowany Zamoyskiego, udał się do Paryża i tam, za radą ludzi świadomych rzeczy, porozumiał się najprzód z Elżanowskim, redaktorem „Przeglądu rzeczy polskich”, człowiekiem rozumnym, fanatycznie przywiązany do kraju i mającym duży wpływ na Wysockiego. Elżanowski uległ argumentom posła, uznał je za bardzo poważne i wraz z nim udał się do Wysockiego. Ale ten ani słuchać nawet nie chciał o „przeszkodzeniu”, jak się wyraził, powstaniu.

Odpowiadał na wszelkie dowodzenia z uporem fanatyka zaślepionego swą ideą, że powstanie musi wybuchnąć i wybuchnie, bez względu na to, czy Andrzej Zamoyski i stronnictwo konserwatyzmu zgodzi się lub nie, gdyż „młodzież polska nie może pozwolić, aby kompromis, przez Wielopolskiego przeprowadzony, przyszedł do skutku, że więc ona pojednaniu narodu polskiego z Rosyą musi stawić przeszkodę we krwi, którą wyleje”³⁹⁷. Na uwagę, że powstanie zbrojne nie ma żadnych szans powodzenia, że wcześniej, czy później ulec musi przed potęgą militarną Rosyi, Wysocki odrzekł, że obawy te są płonne, gdyż wedle wskazówek, jakie otrzymuje od księcia Napoleona, Francya bezwarunkowo wda się w sprawę polską i potężną armią pośle na pomoc powstańcom. Dodawał, że właściciele ziemscy zamiast przeszkadzać robotom powstańczym, jeżeli szczerze kraj kochają, powinni im owszem dopomagać wszelkimi siłami, stanąć nawet na ich czele, a fundusze, przeznaczone przez Zamoyskiego na utrzymanie młodzieży, oddać na zakupno broni.

Wobec takiej postawy kierownika młodzieży na emigracji, człowieka skądinąd najzaciejszego i gotowego do wszelkich poświęceń dla Polski, wszelkie rokowania były niemożliwe i poseł wrócił z niczem. Że rezultat ten był bardzo gorzkim i bardzo bolesnym dla pana Andrzeja, wątpić nie należy. Wiedział on dobrze przez rodzinne swoje stosunki, że liczenie na Francyą, w tej chwili przynajmniej, jest prostym złudzeniem, gdyż Francya odosobniona w Europie, otoczona ze wszystkich stron przez nieprzyjaciół, do rządu których nawet Włochy, niedawno jej krwią oswobodzone, należały, starała się wszelkimi siłami o dobre stosunki, a nawet o przymierze z Rosyą. Nie mogła więc sprzy-

396 Stanisław Z. Porozbiorowe aspiracje polityczne itd. (wyd. 2), 293.

397 Loc. cit.

jać dążnościom polskim, a objawem tego jej usposobienia był, znany nam już, kwietniowy artykuł w „Monitorze”.

W tej porze rzeczy tak samo stały, jak w kwietniu, a w kilka tygodni po rokowaniach z Wysockim, na nalegania Kisielewa, posła rosyjskiego w Paryżu, policya tajemny i ścisły rozciągnęła nadzór nad emigracją polską i zabroniła Mierosławskiemu wydawania pisma p. t. „Przegląd polski”, które chciał założyć³⁹⁸. W takim położeniu, nadzieje Wysockiego były straszem w swych skutkach złudzeniem i pan Zamoyski oraz jego otoczenie, widząc to, podwójnie boleć musieli.

Wszelako może to było błędem z jego strony, że udawał się do emigracyi o zrobienie tego na obczyźnie, co właściwie w kraju zrobić należało. Nikt przecież nie mógł wątpić, że jeżeli kraj nie będzie chciał powstać, to go do tego nie zmusi ani Wysocki, ani Mierosławski, ani brząkająca szabelkami po bruku genueńskim młodzież polska. Jeżeli więc gdzie przeciwdziałać należało, rozwinąć całą energią dla stłumienia zgubnego w swych następstwach ruchu, to w samej Polsce, zwłaszcza w Królestwie kongresowem. Tu było główne zarzewie, tu tlić się już poczęły iskry, które wkrótce niestety! wybuchnąć miały wielkim i wszystko pożerającym płomieniem.

Do rozdmuchania tych iskieł przyczynił się bardzo wiele stan obłączenia, zaprowadzony przez Lamberta. Przy niemożności publicznego i głośnego manifestowania się, odbywania wielkich procesyi, agitacya naturalnym porządkiem rzeczy musiała się zwrócić na wewnątrz, kryć się i działać potajemnie. Pod wpływem emigracyi i Mierosławskiego, którego wysłańcy i zwolennicy zawiązywali nieustanne komitety, umierające na drugi dzień po swem powstaniu, przy rozszerzającej się coraz bardziej organizacyi dziesiętnej, wobec obawy na koniec, by pod naciskiem rządów militaryjnych agitacya całkiem nie ustała, musiała zrodzić się myśl utworzenia jakiegoś ciała zwierzchniego, które by owładnęło siecią organizacyi i kierowało nią ku wytkniętemu celowi. „Strażnica” już w połowie października, zapewne pod wpływem tej myśli, nie przestawała nawoływać, by „nie błąkano się, nie próbowano, nie macano”, ale że należy „iść pewnymi drogami, iść z wiedzą rezultatu”.

„Jesteśmy, mówiła, bezbronni i bezsilni, ale są sposoby, które na pewno nigdy na klęski nie narażają, do siły doprowadzają. Sposoby te podaje nam dobrze pojęta agitacya, która opanowywa w kraju wszystko i wszystkimi kanałami podkopuje fundamenta złego zarządu”³⁹⁹.

Była to więc myśl, która powoli, z czasem wejść miała na szeroką skalę w wykonanie, ażeby precyzyjnie się z organizacją rewolucyjną do wszystkich organów rządowych, owładnąć nimi i przez to sparaliżować zupełnie rząd na-

398 S. Tatiszczew, Russkaja diplomatia w polskom woprosie („Russ. Wiestnik z r. 1888, XI, 32).

399 Strażnica nr. 10, z d. 15 października 1861 r.

jezdniczy. Myśl ta nie była jeszcze całkowicie wykształcona, ale tkwiła w zarodku w wielu głowach i olśniewała je przez to samo, że miała pewną wielkość w sobie, że uderzała olbrzymością przedsięwzięcia i olbrzymością skutków. To jednak ludzi ówczesnych nie przerażało. Wychowani w ciężkiej szkole rządów rosyjskich, skowani w swej energii kajdanami ucisku, teraz, gdy te kajdany się nieco rozluźniły czuli w sobie siłę podwójną, siłę porywania się na wszystko, dokonywania wszystkiego, do czego podniecała ich jeszcze ognista, zapalna, pełna niewyczerpanego entuzjazmu miłość do ojczyzny.

Ale chcąc tak wielkiego zadania dokonać, trzeba było, żeby cała organizacja, dotąd luźna, niekierowana przez nikogo, rozwijająca się wprawdzie bardzo szybko, ale raczej przez instynkt, przez ciekawość tajemniczości, przez wrodzoną niejako od lat czterdziestu dążność do spisków, niż skutek programu ściśle obmyślanego i mającego cel jasno wytknięty, otóż żeby cała organizacja szła sformnie i karnie, i z wielkim posłuchem. Chcąc taką jeonolitość, taką sformność tysiącom ogniów tej organizacji nadać, trzeba było, by na jej czele stanęło jedno lub kilka ciał nią zwierzchnie kierujących. Myśl ta parokrotnie już powstawała w głowach tych licznych przodowników agitacji, których mieliśmy sposobność dotąd poznać, jak Godlewski, Frankowscy, Marat-Szachowski, Korzeniowski i inni, ale mimo usiłowań nie udało im się dotąd jej urzeczywistnić.

Teraz, gdy rządy wojskowe groziły stłumieniem zupełnym agitacji, gdy rzuciły postrach na organizację, trzeba było wobec niebezpieczeństwa rozprzęgnięcia się wszystkiego coś na to poradzić i poradzić szybko.

Rewolucjonistów warszawskich podniecała do czynu jeszcze ta okoliczność, że wiedzieli oni o krzątaniu się szlachty, białych, jak ich nazywano, w celu utworzenia ciała z wyborów, mężów zaufania wojewódzkich, którzy mieli kierować krajem. Na myśl o tem, że biali mogą owdądnać Polską i doprowadzić ją do kompromisu z najazdem, oburzenie czerwonych przybierało ogromne rozmiary. Poczęły się więc między nimi narady, schadzki, projekta, ale wszystko rozbijało się o niemoc poczęcia. Mówić, gniewać się, wygadywać na białych, tworzyć manifestacje i awantury uliczne, umieli oni doskonale, ale gdy przyszło skupić się, zgodzić na jedno, wycieńczeni w jałowym samogwałcie politycznym, uczuwali w sobie brak siły rodzajnej i tej, ubóstwionej przez siebie, kochanki rewolucji, zapłodnić nie mogli.

Ale był wówczas w Warszawie człowiek, który łączył w swym charakterze wielką energią, bezwzględność w działaniu i umiejętność wpływania na innych, przymiot we wszystkich spiskach pierwszorzędno znaczenia. Człowiekiem tym był Ignacy Chmieliński⁴⁰⁰, rodzony brat wspomnianego już

400 Nie Chmieliński, jak go nazywają niektórzy. Mamy przed sobą jego oraz brata Zygmunta, podpisy własnoręczne, mamy kopię zdjętą z nagrobka ich ojca na cmentarzu

przez nas Zygmunta. Niski, szczupły, prawie chudy, jakby strawiony przez tlejący w nim ogień namiętności, o ponurem wejrzeniu, oczach zawsze chorych, niewymowny, ale przez swe milczenie posępne onieśmielający wielu, szyderski i zjadliwy w słowach, mrukliwy i szorstki, zawsze chmurny, był wśród młodzieży gadatliwej i krzykliwej tej doby niezwykłym i wyjątkowym zjawiskiem. Syn niezamożnego dzierżawcy wsi Barcząca pod Mińskiem mazowieckim, bawił jakiś czas na uniwersytecie kijowskim, na wydziale filologiczno-historycznym, ale z natury dziki nieco i nieokrzesany, uczyć się bardzo nie chciał. Wówczas matka oddała go na praktykę gospodarską do dóbr Knyszyńskich, należących do Krasińskich, gdzie dobrodusznym oficyalistów wiejskich zrażał już wtedy swymi radykalnymi poglądami na stosunki społeczne, swym brakiem wiary religijnej i szyderstwem. Później trzymał dzierżawą jakąś wioskę koło Warki i z niej często dojeżdżał do Warszawy, zawiązując stosunki z młodzieżą, słuchając wszystkiego pilnie, patrząc się na wszystko jeszcze pilniej, milcząc ponuro i szydząc niekiedy z ludzi i rzeczy. Wyznawca teorii Mierosławskiego, nie był jednakże człowiekiem, który by mógł służyć za ślepe narzędzie komu innemu. Pożerała go ambicja i gorączka czynu na własną rękę; typ warchoła najgorszego gatunku, gotowego wszystko oplwać, wszędzie wnieść rozkład i zawsze chętnie chodzącego pojedynkiem, działającego osobno, poza plecami innych. Miał on swe pojęcia i swe idee, którymi z nikim się nie dzielił i nie radził się nikogo w swych postanowieniach, a co raz postanowił, to wykonać musiał. W jego twarzy chudej i żółtej, w oczach zielonych i małych, malowała się dusza namiętna i twarda, natura zacięta i niekarna. W wychowaniu Muchanowa, w uniwersytecie kijowskim, tem gnieździe rewolucji, w tym rozsądniku najradykalniejszych przekonań i najgwałtowniejszych charakterów, urobiła się dusza Chmieleńskiego, z przyrodzenia już swego dzika i szorstka, i na dziejach tej doby położył on swoje znamię ciężkie i krwawe.

Taki to człowiek, wśród ogólnej niemocy, postanowił działać na własną rękę. Koło niego, jak zwykle koło ludzi silniejszego charakteru, wieszalo się kilku innych, niemniej gorąco usposobionych. Znany nam już Bolesław Dehnel, który uwolniony z cytadeli znalazł się znowu wśród wiru rewolucji, a mając żyłkę do pisania, brał czynny udział w redakcji „Strażnicy” i zapewne spod jego to pióra wyszedł wyżej zacytowany artykuł o potrzebie „dobrze pojętej agitacji”, nie przestawał namawiać Chmieleńskiego, by tam, gdzie nikt nie ośmiela się wziąć władzy w rękę, on ją uchwycił. Obok Dehnela znalazł się inny jeszcze człowiek to samo mówiący, niejaki Głowacki (Anastazy?), wychowaniec uniwersytetu kijowskiego, przesiąknięty na wskroś rewolucyjną

atmosferą tej szkoły, która wydała najczernerwieńszych, najskrajniejszych agitatorów tej doby, chłopoman, radykał z przekonań, ale cichy, małomówny, skromny, gotowy do wszelkich poświęceń, zdecydowany na wszystko. Kula wy, szczupły, jakby chorowity, miał jednak wiele odwagi gardzącej wszelkimi niebezpieczeństwami; niezdolny do inicjatywy, ale bezwzględny wykonawca czyjegoś rozkazu, jeżeli ten rozkaz uznał za dobry i pożyteczny.

Do tej grupy ludzi, czujących gwałtowną potrzebę owdładnięcia ruchem, trawionych ambycją kierowania wszystkim, należał jeszcze Julian Wereszczyński, niegdyś członek Kapituły i prawie wszelkich efemerycznych komitetów, wyrosłych na bruku warszawskim, niepospolicie zdolny, młodziutki chłopiec, jeden z tych umysłów lotnych, głów prawie gienialnych, jakimi los obdarza Polskę obficie na to tylko, by się marnowały, by ginęły bez śladu i bez pamięci, ofiary okropnego, wszystko niszczącego położenia kraju. Liczył on w tej porze zaledwie 21 lat wieku i był drobnym, podrzędnym urzędnikiem w Banku polskim, gdzie dostał się jako kancelista po ukończeniu w 14 roku życia gimnazjum radomskiego. Gorący patriota, głowa otwarta, ale nieco marzycielska, znajdował w Chmieleńskim tę energią czynu, której jemu brakowało i otóż ci trzej ludzie, Chmieleński, Wereszczyński i Głowacki, zawiązali komitet⁴⁰¹, który wziął sobie za zadanie owdładnięcie ruchem i organizacją tworzącą się ciągle i wzrastającą olbrzymio⁴⁰².

Kiedy się to stało, trudno ściśle określić; powstawanie tego rodzaju ciał, jak poczęcie wszelkiego organizmu, kryje się w mroku tajemniczości; to pewna, że w drugiej połowie października 1861 r. komitet już istniał. W dniu 25 t. m. Dehnel pisał o tem w „Strażnicy”, w formie wprawdzie bardzo niejasnej dla niewtajemniczonych, ale doskonale zrozumiałej dla tych, którzy wiedzieli, o co idzie. Pisał on, że gwałty zohydzają rząd najezdniczy i „dają narodowi możność wytworzenia czynników i form własnej organizacji i przeprowadze-

401 M. P. Ustimowicz, *Zagowory i pokuszenia*, 83.

402 A. Giller, *Historia powstania I*, 68, powiada, że inicjatywę do zawiązania Komitetu dat „pewien obywatel, przybyły z Wołynia”. Mogło to być w rzeczy samej i zapewne było, że jakiś obywatel wołyński zachęcał do takiego postanowienia, ale nie można powiedzieć, jakoby inicjatywa w tej sprawie wyłącznie należała do jednej osoby. Potrzebę utworzenia jakiegoś ciała, które by owdładnęło ruchem i organizacją, zawiązującą się samorzutnie i bez żadnej kontroli, odczuwali w tej dobie wszyscy, którzy maczali, że tak powiemy, ręce w tych robotach. O taki zwierzchni kierunek nagabywany był nieustannie Karol Majewski, ale zajęty właśnie w tym czasie organizacją stronnictwa białych, o innej myśleć nie chciał i nie uważał ją za potrzebną. Podanie więc Gillera, jakkolwiek w zasadzie może być prawdziwem, w tem jest jednak błędem, że przywiązuje zbyt wielką wagę do zachęcań jakiegoś „obywatela z Wołynia” wtedy, gdy rzecz ta leżała niejako w powietrzu i wcześniej, czy później wytworzyć się musiała, bez niczyjej osobistej inicjatywy.

nia budowy fundamentów do gmachu przyszłej niepodległości”⁴⁰³. W kilka dni potem powrócił jeszcze raz do tego przedmiotu i wołał: „po raz drugi w tych czarnych dniach prześladowania oznajmiamy, że rozwijanie się sprawy wolności i niepodległości Polski nie zostało przerwane, że owszem z panującego ucisku sprawa ta skorzysta”⁴⁰⁴.

W ten sposób powstały komitet przybrał nazwę „miejskiego”, gdyż, zdaje się, pierwotnie Chmieleński i jego towarzysze zamierzali tylko ośwładnąć i stanąć na czele organizacyi warszawskiej i w programie ich leżało, ażeby każda prowincja i każde miasto wytwarzało u siebie takie zwierzchnie komitety, kierujące organizacją danej miejscowości⁴⁰⁵. Nie myśleli jeszcze o tem, może wydało im się to prostem niepodobieństwem, by w tej chwili mogli zapanować nad organizacją całego kraju, a Wereszczyński, który dalej i lepiej widział, sądził, że nawet objąć zwierzchnictwo wyłączne organizacyi warszawskiej nie będzie rzeczą tak łatwą.

Wszak patrzył on od kilku lat na to, jak na bruku Warszawy, w jej atmosferze gorącej unosiły się pyłki rodzajne, zalążki spisku, jak z nich rodziły się tysięczne komitety, koła, ciała różnych nazw, wszystkie z pretensjami do rządzenia krajem i umierające w kilka godzin nieraz po swych narodzinach, ginące bez wieści w chaotycznym zamęcie ruchu. Przewidywał więc, że i nowy „Komitet miejski” skona bezpłodnie i bezgłośnie, jeżeli się nie oprze na podstawach silniejszych. Widział on, że tworząca się dyrekcyja białych ma zamiar oprzeć się na wyborach, na mężach zaufania, powziął więc myśl wprowadzenia do nowego komitetu także pierwiastku wyborczego⁴⁰⁶. To nie przedstawiało zbyt wielkiej trudności, zwłaszcza, że zakres komitetu ograniczał się na Warszawie; dość więc było zgromadzić dziesiętników i setników organizacyi i polecić im wybranie ze swego łona członków do komitetu, który by jako zwierzchnia i naczelna władza kierował i rządził całą organizacją miejską. Potrzeba takiej władzy dawno się już czuć dawała; wszyscy domagali się jej instynktownie niejako; rzecz więc nie była trudną i tym sposobem komitet prawnie i legalnie ośwładłby organizacją miejską.

W tym celu, pewnego dnia, Wereszczyński zdołał zgromadzić u siebie, w swem mieszkaniu kawalerskim na ulicy Świętokrzyskiej, znaczną ilość setników i dziesiętników organizacyi oraz wybitniejsze osobistości ostatniego ruchu. Znalazł się tam więc, znany nam już dobrze, Franciszek Godlewski, Apollo Korzeniowski, ksiądz Mikoszewski, wikaryusz przy kościele św. Alek-

403 Strażnica nr. 11.

404 Idem. nr. 12 z d. 3 listopada 1861.

405 Z podań ustnych.

406 Idem.

sandra, ksiądz o niespokojnym i burzliwym charakterze, znalazło się i wielu innych, jak, głośny później szef sztabu u Jeziorańskiego, Tomasz Winnicki, jak sam Antoni Jeziorański, przysły jenerał powstania, a teraz setnik w organizacji rewolucyjnej; Witold Marczewski, inżynier na drodze żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, w parę lat potem głębokimi rysami zaznaczający się w dziejach tego niesłychanego spisku; Ksawery Norwid, brat poety Cypryana, urzędnik Towarzystwa Kred. Ziem., niedawno schwytany w czasie oblężenia kościoła św. Jana; wreszcie Karol Majewski.

Znalazł się on tu także, dzięki swemu charakterowi niezdecydowanemu, który mu pozwalał zajmować się organizacją białych i należeć do organizacji czerwonych. Było wielu innych mniej znanych i mniej głośniejszych, wielu działaczy i setników, był oczywiście i cały, nowy Komitet miejski, który już zdołał w niższych sferach organizacji, między zapalną i gorącą młodzieżą rzemieślniczą wyrobić sobie pewne wpływy. Zebranie było bardzo burzliwe, wreszcie zgodzono się na istnienie Komitetu, jako władzy naczelnej, ale obok niej, a raczej nad nią postanowiono utworzyć jeszcze inne ciało, t. z. „Koło”, które ma powstać z wyborów, mieć władzę kontrolującą nad Komitetem, a w razie potrzeby zmieniać i mianować nowych jego członków. Właściwie więc nie Komitet miejski, ale Koło miało być zwierzchnią władzą organizacji.

Wszystko to niepodobało się nadzwyczajnie Chmieleńskiemu, ale zwyczajem swoim mruknął coś pod nosem i umilkł chmurny, z uśmiechem zgryźliwym na twarzy, spoglądając dokoła z ukosa swemi choremi oczami; Wereszczyński przewidywał, że tego rodzaju organizacja dwóch władz, wywołać musi kolizje i starcia, ale odzywał się nieśmiało wobec starszych od siebie, więc uchwała zapadła i przystąpiono do wyborów. Każdy z obecnych miał napisać odpowiednią ilość nazwisk na kartkach (zdaje się pięć), a Norwid i Godlewski obliczyli głosy⁴⁰⁷.

Kogo wybrano wtedy, nie wiemy, co zresztą jest mniejszego znaczenia, gdyż koło nie stanowiło nigdy ściśle ograniczonego i zamkniętego ciała i miało formy bardzo luźne. Wybrani opuszczali go, inni wcale i przez nikogo nie wybierani na ich miejsce wchodzili, należał, kto chciał, każdy krzychał i każdy rządzić zamierzał, jednym słowem powtarzało się to, co we wszystkich dotychczasowych ciałach konspiracyjnych. Jeden tylko Komitet miejski, złożony z trzech zaledwie osób, rządzony przez przeważną wolę Chmieleńskiego,

407 A. Jeziorański, Pamiętniki I, 55, mówi o tem zebraniu, ale zwyczajem swoim tak poplątał daty i wypadki, że przeniósł je na dzień 6 czerwca 1861 r. Jest to oczywistym błędem, choć sama treść relacji jego jest autentyczną w głównych zarysach. W naszym opowiadaniu opieramy się po większej części na podaniach ustnych, bardzo zresztą wiarogodnych.



„Lud w kościele” – Modły za ojczyznę i śpiewanie hymnu *„Boże coś Polskę”* stały się głównym elementem nabożeństw z lat 1861-1863 w Warszawie, stwarzając atmosferę patriotycznej egzaltacji. Artur Grottger symbolicznie oddaje nastroje społeczeństwa, ostentacyjnej religijności, noszenia żałoby przez kobiety oraz patriotycznej edukacji dzieci i młodzieży.

wiedział, czego chciał i do czego dążył, i w tym chaosie stanowił istny środek, i oś wszystkiego. Dzięki temu było już ciało konspiracyjne, była organizacja, był jednym słowem spisek, który zakrojony na wielką skalę miał powoli ogarnąć Polskę, jej siły skupić, pochłonąć w siebie, wyssać z niej wszystko i napoić organizm cały jadem zatrutym.

Tymczasem, gdy on się rodził gdzieś w głębiach oszalałych zaiste! i nie-doświadczonych umysłów, nowy namiestnik Lüders objął swe urządowanie d. 8 listopada i zaraz zaznaczył je surowością postępowania. Tegoż samego bowiem dnia, w nocy z 8 na 9 listopada, rozkazał przyaresztować i osadzić w cytadeli głównych sprawców zamknięcia synagog żydowskich: Kramsztyka, Jastrowa, Mayzelsa oraz prezesa dozoru bóżniczego Feinkinda⁴⁰⁸. Rzuciło to pewien popłoch, choć z drugiej strony sama osoba nowego namiestnika budziła pełną niepokoju ciekawość, jak to zwykle bywa w kraju rządzonym despotycznie, gdzie wszystko zależy nic od prawa, ale od osób. Nie można powiedzieć, żeby Lüders ujemnie oddziałał na żywą wyobraźnię mas bezmyślnych przez swą postawę marsową i pełną męskiej piękności, swój wąs duży i siwy, jak również przez to, że jeździł po mieście sam, bez otoczenia gromadą kozaków, jak to czynił Suchozanet, którego każde pojawienie się na ulicach, napełniało je rwącym wszystko trzaskiem i hukiem gromady jeźdźców, pędzących na złamanie karku. Lüders nie tylko że jeździł bez żadnego orszaku, ale owszem bardzo często ukazywał się pieszo na ulicach, zwłaszcza wczesnym rankiem, wstępował do sklepów, przypatrywał się wszystkiemu ciekawie i sam był ciekawie oglądany. W początkach odbywał liczne przeglądy wojsk, przed które wybiegał pędem konno i witał je zuchowato, co wszystko musiało się podobać ludowi polskiemu, mającemu w sobie ducha wojskowego i lubiącemu postacie rycerskie i dzielne. Oddziaływało to także na wojsko. Namiestnik w pierwszym, jaki wydał, rozkazie dziennym polecał, ażeby muzyka wojskowa każdego popołudnia grywała przed Zamkiem, co spowodowało, że w kołach rosyjskich przestano zwać teraz siedlisko wielkorządcy „nieprzystępną Gazetą”.

Miasto jednak na zewnątrz zachowało swój dawny, posępny wygląd z zamkniętymi kościołami, z czarną żałobą kobiet, obozowiskami żołnierskimi na placach miejskich, z brakiem wszelkich rozrywek publicznych, które wynagradzano sobie obfitem spacerowaniem po ulicach z latarkami, jakie wieczorem, a jak teraz, w listopadzie, już o godz. 4-ej popołudniu noszono. Nastrój

408 Mayzelsa, jako poddanego austriackiego w lutym 1862 r., wydalono zagranicę Królestwa z zabronieniem powrotu; Kramsztyka skazano na rok więzienia w kazamatach Bobrujska, a potem na osiedlenie w Rosyi; Feinkinda uwolniono i oddano tylko pod dozór policji (patrz Pawliszczew, Siedmicy I, 52).

umysłów w ogólności był smutny i poważny, a aresztowania, ciągle się powtarzające, siały popłoch między tych wszystkich, którzy w czemkolwiek czuli się winnymi przeciw rządowi. Wzięto się przede wszystkim do członków dawnej Delegacji; aresztowano Jakuba Piotrowskiego, oskarżonego, że zbierał składki na pogrzeb poległych i skazano go w końcu na 3 miesiące więzienia w Modlinie⁴⁰⁹; aresztowano wszystkich członków komitetu ustanowionego dla urządzenia pogrzebu arcybiskupa Fijałkowskiego; aresztowano fotografa Bayera, głównie za to, że rozprzestrzeniał fotografie poległych oraz fotografią Anglika Mitchela w tej postaci, w jakiej wyszedł z rąk kozackich na ulicy Czystej; aresztowano pastora lutcrskiego Leopolda Otto, kupca Szlenkera, dawniej jeszcze Hiszpańskiego i wielu innych.

Lüders, gdy mu ktoś zwrócił uwagę, że naprawdę nie ma za co karać Kramsztyka i dwóch ostatnich, odezwał się z pojęciem prawdziwego generała rosyjskiego, że „szewc, kupiec i żyd nie powinni się mieszać po polityki”⁴¹⁰. Na ulicach już nie pojawiali się chłopcy sprzedający zakazane pisma i druki, gdyż zaraz ich chwymano. Na miasto i na prowincję, gdzie także dokonano bardzo wielu aresztowań, padł popłoch ogromny; nikt nie był pewny jutra. Słusznie też do pewnego stopnia wobec tych aresztowań zaznaczała „Pobudka”, że wszelka lojalność względem rządu „jest zbrodnią w oczach zbirów”. „Buntownikami są ci, mówiła, co zbyt łatwowiernie wierzyli carskiemu słowu, chcieli przyjąć na seryo nadane instytucje, a występując legalnie występowali jawnie; buntownikami jest młodzież, która nieraz niestety! przyczyniła się do utrzymania stanu umówionej legalności”⁴¹¹. Był to wyrzut skierowany przeciw tym wszystkim, którzy za czasów Delegacji warszawskiej używali do spokoju i porządku, i „najgorliwszych patriotów oddawali w ręce policyi”, jak się zgryźliwie cytowane pismo wyrażało. „O zgrozo! (kończyło ono z szyderstwem) w Warszawie stronnicy porządku i legalności dostają się do kozy!” Z tego taki wniosek należało wyprowadzić, że z rządem rosyjskim nie trzeba się wdawać w żadne legalności, ale spiskować i walczyć przeciw niemu na każdym kroku.

Dla sądenia aresztowanych i przeprowadzania śledztwa ustanowiono nadzwyczajną komisją śledczą w cytadeli, prezesem której mianowano głośnego ze swych czynów w Płocku, satrapę Roźnowa. Ale że koń uderzeniem kopyta złamał mu rękę właśnie w tym czasie, więc miejsce Roźnowa zajął, znany nam już naczelnik kancelaryi namiestnika, radca tajny Kazaczkowski.

409 Matyas Rosen oraz redaktorzy pism: Kraszewski, Kenig i Kucz otrzymali surowe napomnienie, żeby na przyszłość zachowywali się ostrożniej.

410 Die Vorläufer des pol. Aufstandes, 159.

411 Pobudka nr. 3 z d. 1 grudnia 1861 r.

Jenerał-gubernatorstwo warszawskie po Gerstenzweigu objął Kryżanowski⁴¹², człowiek jak najgorszych instynktów, należący z przekonań do stronictwa niemiecko-rosyjskiego ultrareakcjonistów, wierzący tylko w pięć i surowe rządy wojskowe. Rozwinął on gwałtowny terroryzm w kraju, chwycił winnych i niewinnych, i osadzał ich w cytadeli, gdzie tajne sądy rozpoczęły prawdziwe swe saturnalia. Dopomagał mu w tym względzie oberpolicmajster Piłsudzki, który oburzał się na to, że „ludzie chodzą sobie po ulicach Warszawy, jakby stan wojenny wcale nie istniał”⁴¹³, a podwładnej sobie służbie policyjnej wyznaczał nagrody, jeżeli więcej osób przyaresztowała na mieście, zwłaszcza wieczorem za nieposiadanie zapalanej, lub za zgaszoną przez wiatr latarkę.

Kryżanowski do czasu swego przybycia do Warszawy, polecił sądom wojennym, ażeby wyroków swoich nie wykonywały, ale czekały z tem aż do jego zatwierdzenia. Wiele więc osób siedziało dalej w ponurych celach cytadeli, oczekując na to zatwierdzenie, z którym Kryżanowski się nie spieszył wcale, akta śledcze kazał przeglądać powtórnie, przysyłać je do różnych komisji, protokoły po raz drugi spisywać, jeszcze raz sprawę sądzić, aż wypadł w końcu wyrok nowy, o wiele surowszy od pierwszego, o co głównie chodziło jenerał-gubernatorowi. Zresztą same sądy wojenne w wyrokowaniu swoim kierowały się nie stopniem winy oskarżonego, ale jego stanowiskiem społecznym. Głównie zajmowało je owe braterstwo żydów z Polakami, które w ostatnich wypadkach tak ostentacyjnie manifestowano wszędzie i zawsze, gdzie tylko znalazła się potemu sposobność. Sędziowie, podejrzewając wszędzie spiski, ściśle określone stowarzyszenia, przekonani byli, że owe braterstwo jest wynikiem jakiegoś kompromisu między przedstawicielami różnych wyznań w kraju, jakiegoś spisku tajnego, mającego cele sięgające daleko i że muszą się gdzieś znajdować odpowiednie dokumenta piśmienne takiej konspiracji.

Nie przypuszczali oni wcale, nie wierzyli temu, żeby braterstwo z żydami było wynikiem czystej idei, która zrodziła się, dojrzała i wydała owoce bez żadnych spisków i propagandy tajnej. Aresztowanym, zwłaszcza tym osobistościom, które w tem braterstwie zademonstrowały się najwyraźniej, jak np. rabinowi Mayzelsowi, pastorowi Otto, Szlenkerowi, polecali pisać obszernie referaty w kwestyach, które z właściwym śledztwem nie były w żadnym związku. Mayzels więc musiał odpowiadać na pytanie: „dlaczego żydzi, prześladowani przez fanatyzm religijny Polaków, nie uciekli się do pomocy

412 Pierwotnie Lüders pragnął, by mu dano na jenerał-gubernatora, dawnego jego szefa sztabu, jenerała Niepokojczyckiego, Polaka, jednego z najlepszych administratorów wojskowych, ale ten odmówił.

413 Die Vorläufer, loc. cit.

rzędu?"; Otto miał rozwiązać zadanie: „jakich protestanci spodziewali się korzyści z braterstwa z katolicką większością kraju?"; Szlenker dostał temat: „kiedy to braterstwo powstało i kto najbardziej w tej sprawie był czynnym?"; W ogóle kwestya ta mocno leżała na sercu sędziom rosyjskim; każdy papier, każdy świstek, dotyczący tego przedmiotu, poddawany był jak najściślejszemu śledztwu⁴¹⁴ i gdy nie mogli wykryć istotnego spisku, bo go tu nie było, wpadali w zdumienie i gniew niepomahowany.

Najważniejszą jednak w tej chwili i najgłośniejszą była sprawa księdza Biało-brzeskiego, administratora archidiecezyi warszawskiej. Kościoły były wciąż zamknięte, a choć w niektórych odbywały się ciche nabożeństwa⁴¹⁵, wszelako na zewnątrz, dla nieświadomego rzeczy przedstawiały się one jako całkiem puste i głuche. Sprawa ta w ogóle drażniła mocno rząd, a choć Suchozanet w czasie swej krótkiej, parutygodniowej władzy sądził, że „zamknięcie kościołów nie przedstawia dla rządu żadnego niebezpieczeństwa, gdyż nie znalazło sympatyj u ludu i depopularyzuje duchowieństwo”⁴¹⁶, wszelako w sferach umiających lepiej patrzeć na rzeczy, inaczej sądzono. Fakt bowiem zamknięcia kościołów, rozgłoszony przez dzienniki, wywarł wielkie wrażenie na Europę; wiedzano tam, że duchowieństwo polskie uciekło się do tego środka wskutek najścia na kościoły wojska; wszędzie surowo ganiono gwałt i przedstawiano rząd rosyjski jako dziki, pastwiący się bezlitośnie nad Polakami. Zwłaszcza dzienniki katolickie powtarzały nieustannie swe żale i wzywały świat ucywilizowany do nowej krucjaty przeciw barbarzyńskiej i schizmatyckiej Moskwie.

Dlatego też z Petersburga ciągle nalegano na Suchozaneta, by drażniącą tę sprawę załatwił; by Biało-brzeskiego, jako niezatwierdzonego przez rząd na

414 Loc. cit. 162. Autor przytacza takie zdarzenie. Tłumacz przy sądzie wojennym, osławiony Jakub Tugendhold, żyd i cenzor, składając temuż sądowi raport szczegółowy o papierach hebrajskich, zabranych u rabina Mayzelsa, zwrócił uwagę na próżną kopertę, na której pieczęć miała we środku wyobrażenie krzyża. Krzyż, pisał tłumacz, wskazuje, że wysyłającym list był ksiądz katolicki, a o czemże mógłby pisać duchowny katolicki do swego żydowskiego kolegi, jak nie o braterstwie wyznań? Mayzels, wezwany przed komisją śledczą, musiał się tłumaczyć skąd, od kogo i co zawierał ten list? Niestety! nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć tej okoliczności, ale na szczęście, przyglądając się bliżej kopercie i pieczęci, przekonał się, że nie przedstawia ona krzyża, ale kotwicę i że list pisał do niego jakiś kupiec. Takie to drobne i śmieszne sprawy zajmowały nieraz po całych dniach komisją śledczą, świadcząc o niskim jej poziomie umysłowym i o wyrażnej dążności dręczenia więźniów.

415 Nabożeństwa za pomyślność ojczyzny odbyły się np. dnia 18 paźdz. u Karmelitów na Lesznie, d. 22 u Augustyanów i Bernardynów. d. 23 u Dominikanów, d. 25 znów u Bernardynów, tegoż dnia u Karmelitów na Krak. Przed., d. 27 u F ranciszkanów i t. d. Zwykle dostawano się do kościoła bocznymi drzwiami, główne wejście było zamknięte.

416 Depesza nr. 291 z d. 1 listopada (20 październik).

stanowisku administratora archidiecezyi, ze stanowiska tego usunął i nowy wybór zarządził. Suchozanet swoim zwyczajem zwlekał i pocieszał się tem, że „zamknięcie kościołów nie znalazło w ludności współczucia”. Rząd zaś, usuwając Białobrzeskiego, zaprzeczając legalności jego wyborów, zaprzeczał tem samem legalności zamknięcia kościołów; nie będąc bowiem administratorem, Białobrzeski nie miał prawa nakazywania takiego kroku.

Komisya Wyznań i Oświecenia publicznego w tym względzie powoływała się na artykuł 12 konkordatu z r. 1847, gdzie najwyraźniej było powiedziane, że „nominacye na wyższe posady mogą mieć dopiero miejsce za wspólnem porozumieniem się cesarza rosyjskiego i papieża”. Białobrzeski więc, ściśle mówiąc, nie był administratorem legalnym i ta okoliczność była dla rządu punktem wyjścia, którego oburącz uchwycić się postanowił. Cesarz więc domagał się nieustannie, by Białobrzeski został aresztowany, osadzony w cytadeli i oddany pod sąd polowy i gdy z tem zrazu tak Suchozanet, jak i Lüders zwlekał, depeszą z dnia 12 listopada, przez zwykłe swe „trebuj” nakazał aresztowanie prałata, przyczem dodawał: „mam nadzieję, że wybór na jego miejsce dokonany zostanie z należytą ostrożnością”⁴¹⁷.

Wskutek tego rozkazu, tej jeszcze nocy, według barbarzyńskiego obyczaju rosyjskiego, przyaresztowano Białobrzeskiego. Policjanci i żandarmi, zebrani w znacznej liczbie, wpadli o godz. 2-iej w nocy do mieszkania siedemdziesięcioletniego starca, wywlekli go z łóżka i przetrząsnawszy wszystko, zawieźli do cytadeli. Wieść o tem, nazajutrz dość przykre na miasto wywarła wrażenie, ale popłoch był tak wielki, że nikt nie tylko nie myślał o urządzeniu z tego powodu nowej manifestacyi, ale nawet mówiono sobie o nowym tym gwałcie pocichu i na ucho, w obawie, by liczni szpiedzy policyjni nie pociągnęli za zbyt śmiałe wyrażenia do odpowiedzialności. Przytem Lüders nazajutrz, pod pozorem przeglądu wojsk, rozwinął na placu Ujazdowskim znaczne siły i prawie przez cały dzień przeprowadzał je po ulicach, pewny, że taka gotowość wojenna zamknie usta wszystkim.

Jakoż milczano, a tymczasem rząd rozpoczął znowu pertraktacye z duchowieństwem o wybór nowego administratora. Na kilka dni przedtem Rada administracyjna Królestwa, opierając się na wspomnianym art. 12 konkordatu, nie potwierdziła elekcji Białobrzeskiego, a tem samem unieważniła go zupełnie. W dniu zaś aresztowania tego ostatniego, Komisya wyznań uwiadomiła o tem Dekerta, jako suffragana i dziekana kapituły warszawskiej i poleciła mu zarządzić nowe wybory. Dekert właśnie wtedy zapadł na ciężką chorobę, która go w kilka dni później do grobu zawieźć miała, rozdrażniony mocno

417 Depesza z d. 12 listop. (31 paździer.). Brzmi ona tak w oryginale: „sozaleju niesma, czto cerkwi jeszcze nie odkryty. Trebuj, czto by Białobrzeskij był arestowan i predan sudu. Nadiejus czto wybor na jego miesto budiet dzielan z dołżnoju ostorożnostiu”.

i w przewidywaniu bliskiej śmierci niewidzący zapewne powodu oszczędzania rządu, zaraz nazajutrz po aresztowaniu Białobrzieskiego, a więc d. 13 listopada, odpisał Komisji wyznań, że „pomimo niezatwierdzenia przez Radę administracyjną wikaryusza kapitularnego, tenże władzy przelanej na niego przez kapitułę nie utracą, a kapituła, przelawszy raz odziedziczoną po śmierci ś. p. arcybiskupa władzę na osobę swojego wikaryusza, już jej w myśl prawa nie posiada do uczynienia nowego wyboru, dopóki wybrany władzy sobie udzielonej nie zrzecze się i takowej w ręce kapituły nie zrezygnuje”... „że do rezygnacji kapituła ani go zmusić, ani też bez jego dyspozycji kościołów otworzyć nie może. Gdy zaś ksiądz prałat Białobrzieski, prawnie obrany wikaryusz kapitularny, uwięziony został dzisiejszej nocy w cytadeli warszawskiej, kapituła, nie tracąc swego reprezentanta, ma związane ręce do wszelkiego działania”. Domaga się w końcu, by Białobrzieski został uwolniony; zastrzega się, że „rezygnacja jego, gdyby ją chciał uczynić w cytadeli, nie byłaby ważną” i prosi rząd o przesłanie prośby kapituły do Rzymu, o naznaczenie wikaryusza apostołskiego⁴¹⁸. Do odpowiedzi tej, skreślonej tonem szorstkim, dołączona była wzmiankowana prośba do papieża.

Upredzając w niej Ojca św. o uwięzieniu kanonika Białobrzieskiego, Dekert przedstawia, że kapituła, nie mogąc go ani skłonić do zrzeczenia się powierzonej mu władzy, ani przyjąć tego zrzeczenia, jeżeli uczynionem będzie w więzieniu, ani wreszcie przystąpić do nowego wyboru, prosi więc papieża, aby raczył wpłynąć na uwolnienie prałata, albo sam zamianował wikaryusza na administratora archidiecezyi. Komisja Wyznań pod d. 16 listopada jeszcze raz uwiadomiła Dekerta, że rząd nie uznaje wyboru Białobrzieskiego, że administrator nie może być mianowany bez zatwierdzenia rządu, że na koniec pismo biskupa sufragana do Stolicy Apostolskiej przesłaniem nie będzie.

Gdy więc rokowania piśmienne do niczego nie doprowadziły, poczęto prywatnie oddziaływać na pojedynczych członków kapituły, tak przykrą była dla rządu sytuacja obecna i gorąco pragnął jak najprędzej koniec jej położyć. W tym celu biegał i namawiał nowy dyrektor Komisji wyznań i oświecenia, Romuald Hube, dopomagał mu zaś gorliwie znany nam już ksiądz Konstanty Łubieński, proboszcz z Rewia. Gdy jednak resztki niewięzionej kapituły ciągle i statecznie opierały się żądaniu przystąpienia do nowych wyborów, nie wiadomo, czy Łubieński, czy też sam Hube wyszukał gdzieś jakiś przepis kościelny, że „gdy biskup lub jego zastępca porwany został *per barbaros* i nie wiadomo gdzie się znajduje, kapituła ma prawo obrać innego na jego miej-

418 Odezwę Komisji wyznań i odpowiedź Dekerta opublikował „Czas” krakowski w numerze z d. 19 listopada 1861 r.

sce”⁴¹⁹. Kapituła, otrzymawszy taki dokument nie omieszkała z niego skorzystać w sposób ośmieszający władzę. Zapytała tedy „prześwietną Komisję Wyznań”, jakim sposobem rząd nabył przekonania, że administrator został porwany przez owych *barbaros* i jak rozumieć ową nieświadomość pobytu ks. Białobrzeskiego, o którym wszyscy wiedzą, że siedzi w cytadeli i ostatecznie jeszcze raz zapewniała, że do nowego wyboru nie przystąpi, dopóki ks. Białobrzęski sam dobrowolnie nie zrzecze się swego urzędu i to nie w więzieniu.

Ponieważ w onych czasach nic się nie mogło ukryć przed wiadomością ogółu, więc i owi *barbaros* stali się źródłem tysiąca śmiesznych konceptów i łatwych zresztą dowcipów, co w każdym razie miało ten skutek, że chwiało jeszcze bardziej i tak już mocno zachwianą powagą rządu.

Niemniej doszło do wiadomości powszechnej, w jaki sposób Dekert przyjął wysłańca namiestnika, wysokiego urzędnika, jak się zdaje znanego nam już Solnickiego, który przyszedł do sufragana z poleceniem przekonania go jeszcze raz o potrzebie wyboru nowego administratora. Było to d. 17 listopada, to jest na parę dni zaledwie przed śmiercią Dekerta. Gdy się Solnicki pokazał i gdy mówić począł, ośmdziesięcioletni starzec, chory, wychudzony jak widmo, zerwał się na łóżku i potrząsając ręką, z iskrzącymi niezwykle blaskiem oczami, nazwał rządzących „barbarzyńcami”, pytał, co uczynili w tym nieszczęśliwym kraju? że zdeptali religią, znieważyli świątynie, uwięzili kapłanów, zmusili chrześcijan do krycia się z modłami swemi, jak za czasów rozpasanego pogaństwa i że potem wszystkim śmia tu jeszcze przychodzić do niego z jakimiś układami! Wołał, by go pozostawiono, by mu dano skonać spokojnie! Słowa te silne, wypowiedziane głosem drżącym, zrobiły na pośle tak silne wrażenie, że zabrał się i uciekł jak najprędzej⁴²⁰. Scena ta zresztą tak oddziaływała na samego Dekerta, że konał już widocznie i d. 19 listopada o godz. 1-iej po północy przeniósł się do wieczności.

Śmierć ta wzbudziła obawę w policji, że pogrzeb zmarłego da sposobność do nowych manifestacyj. Wskutek tego wydano, z wiedzą oczywiście Lüdersa, rozkaz, ażeby na pogrzebie oprócz rodziny i duchowieństwa, znajdowali się ci tylko, którzy otrzymają odpowiednie bilety. Wydawano je w biurze generał-gubernatora, ober-policmajstra i w Komisji spraw wewnętrznych, a wydawano bardzo ostrożnie i tylko takim osobom, które w niczem nie były podejrzane i które usprawiedliwiły powód swej obecności na pogrzebie.

Każdy otrzymujący bilet musiał podać swe nazwisko, zajęcie i mieszkanie. Przytem liczbę tych pozwoleń ograniczono do 2.000. Rozporządzenie to,

419 Lisicki, Aleks. Wielopolski I, 298.

420 Rękopism współczesny. Pogłoska, jakoby tej nocy chciano aresztować Dekerta, ale ten, gdy do niego weszła policja, zerwał się z łóżka i padł jak martwy na podłogę, jest nieprawdziwą.

nie bardzo taktowne, oburzyło wielu, a „Strażnica” wołała: „kondukt, uzbrojony listem żelaznym policyi, to szczyt tryumfu nieprzyjaciela, to poniżenie cieniów szanownego biskupa, poniżenie świętej przeszłości naszej. Wróg i w tym smutnym pochodzie, chce swoją korzyść upatrzeć. Czyż do szeregu biletnych, nie przyłączy się chociażby przypadkiem jaki bezbiletowy? A wtedy czyż nie ponowią się sceny bata i bagneta?..” W końcu wzywała, by „żaden Polak policyjnem biletom rąk nie plamił. Hańba temu, kto, zaopatruwszy się w tę poniżającą bartę bezpieczeństwa, pójdzie za pogrzebowym orszakiem”. Zalecała wreszcie, aby każdy w chwili pogrzebu we własnym domu błagał na kolanach Boga o spokój duszy zmarłego biskupa.

Odezwa ta, oddrukowana w osobnych odbitkach i rozrzucona po mieście, zrobiła swoje. Gdy dnia 22 listopada, o godz. 1-iej po południu orszak pogrzebowy wyruszył z domu na ulicy Chłodnej, obok kościoła św. Karola Boromeusza, to oprócz sióstr miłosierdzia, idących na czele sierot i starców przez Towarzystwo dobroczynności utrzymywanych, oprócz Instytutu głuchoniemych, zakonów męskich i żeńskich, oprócz duchowieństwa na koniec, zebrało się zaledwie paręset osób⁴²¹. Tak więc smutno chowano w ponury dzień listopadowy jednego z najzacniejszych kapłanów polskich, gorącego, choć nieopatrnego patryotę. Żal z powodu jego śmierci był powszechny; wielu się zdawało, że uniósł on ze sobą do grobu ostatnią nić, wiążącą teraźniejszość z przeszłością, z nigdy niezapomnianymi dniami sejmu czteroletniego i tych chwil uroczystych, gdy powoływano mieszczanństwo do życia publicznego, gdy późniejszego sufragana warszawskiego trzymał cały naród do chrztu w osobie marszałka sejmu.

Wszystko to minęło, jak sen słodki i uroczy, a ostatni świadek tego snu kładł się do grobu, wśród najbardziej ponurych okoliczności, wśród nieba chmurnego i brzemiennego piorunami.

Tymczasem, gdy się to działo, gdy duchowieństwo warszawskie straciło ostatniego swego dygnitarza, Białobrzeski jęczał w cytadeli. Zostawiony sam sobie, usunięty spod wpływu tej garści energicznych księży, którzy nim dotąd rządzili i kierowali, okazał się człowiekiem słabym i bez charakteru, jakim był całe życie. Zrazu trzymał się w swych zeznaniach pewnej taktyki, widocznie obmyślanej z góry, gdyż prawdopodobnie przypuszczał, że wcześniej, czy później będzie aresztowanym. Stawiony przed komisją śledczą dopiero czwartego dnia po swem aresztowaniu, t. j. d. 16 listopada, miał sobie zadanych

421 Lüderys w depeszy do cesarza z d. 23 (11) listopada donosi, że pogrzeb odbył się w zupełnym porządku, przy napływie więcej niż 2.000 ludzi. Wiadomość ta jest mylną; prawdopodobnie Lüderys przypuszczał, że całe 2.000 biletów rozprzedano i na tem przypuszczeniu oparł swą relację.

ośm pytań, z których najważniejsze były: na jakiej zasadzie zamknął kościoły Świętojański i Bernardyński? oraz dlaczego to samo zrobił z resztą kościołów? Na pytania te, Białobrzeski odpowiedział, że „zamknął dwa powyższe kościoły między innymi dlatego, że nie miał lepszego sposobu dla położenia tamy śpiewaniu hymnów zakazanych, do czego oba rzeczony kościoły jak najlepiej się nadawały. Zamykając więc je, uczynił zadość woli rządu, który zabronił śpiewania hymnów patriotycznych”. W odpowiedzi tej nie było ani słówka o najściu wojska na kościoły, o oblężeniu zamkniętego w nich ludu, o gwałtownym wreszcie aresztowaniu tego ludu, co, jak wszystkim było wiadomem, stanowiło główny powód opieczętowania kościołów. Odpowiedź więc była wymijająca i niegodna ze wszech miar człowieka, który odważył się na krok tak ryzykowny, a konsenkwenyji jego uląkł się małodusznie. Na drugie pytanie odrzekł mniej więcej to samo, co w swym liście do Lamberta był zamieścił, a mianowicie, że „kościół katedralny z mocy praw kanonicznych jest matką wszystkich kościołów, które są jego córkami, dlatego więc duchowieństwo zawyrokowało, że skoro matka cierpi, to i córki winny uleść takiemuż samemu losowi”. Po tem pierwszym śledztwie, Białobrzeski, silnie zapewne wstrząśnięty swem aresztowaniem i więzieniem, zasłabł tak, że musiano na kilka dni inkwizycją przerwać⁴²².

Jakoż w kilka dni potem, gdy więzień przyszedł nieco do siebie, Komisya d. 21 listopada przedstawiła mu ustawy soboru trydenckiego, na które on w pierwszym swem zeznaniu się powoływał i domagała się, żeby wskazał taki przepis, na mocy którego zarządzający kościołem może go zamknąć. Białobrzeski natychmiast odszukał odnośny paragraf, w którym powiedziane było, że biskup ma obowiązek starać się o zbawienie dusz, powierzonych jego pieczy, że zatem powinien uciekać się do wszelkich środków, które mu mogą dopomóc do tego celu, używać wszelkich sposobów ku zwiększeniu chwały Bożej, usuwać wszystko, co jest przeciwnem czci Bożej, zwłaszcza w kościołach, jako miejscach świętych, przeznaczonych dla Jego chwały. Gdy zaś biskup nie zdoła tego osiągnąć ani prośbą, namową, nauką lub wyrzutami, to pozostaje mu jedyny środek, zamknąć ludowi przystęp do miejsca świętego. Oczywiście Komisya, jak to zresztą było do przewidzenia, nie uznała tych powodów za prawdziwe i uzasadnione, a przytem zbitcie twierdzeń Białobrzeskiego było bardzo łatwem wobec jego odezw i wezwań, rozesyłanych do duchowieństwa, do Komisji wyznań i do namiestnika. W pismach tych były wyłożone całkiem inne powody opieczętowania kościołów; wreszcie Komisya, przy pomocy zapewne usłużnych księży, znalazła między ustawami kościoła

422 N. Berg, Zapiski, roz. VIII.

katolickiego i taki przepis, który zabraniał zamykania kościołów dla powodów, przytoczonych przez Białobrzeskiego i miano nawet odszukać prawo, pozwalające aresztowania ludu w obrębie świątyni⁴²³.

Obrona więc była słaba i w podstawach swoich kłamliwa. W końcu Białobrzęski widząc, że sprawa jego bardzo źle stoi, napisał w d. 2 grudnia kompromitujące go w najwyższym stopniu zeznanie, świadczące o opłakanej jego słabości charakteru. Zeznaniem tem dowiódł on, że nie dorósł do położenia chwili, że swój krok stanowczy i śmiały spełnił nie z własnej inicjatywy, ale pod wpływem otoczenia. „Jak przez całe życie moje (pisze w tym dokumencie, smutnym objawie dekadencji charakterów ludzkich), zwłaszcza przy sprawowaniu obowiązków, jakie powierzane mi były, starałem się, aby wyższej władzy najmniejszym wyrazem nie ubliżyć, ale za ścisły osądziłem obowiązek w wyrazach malujących stan rzeczy zdarzenia zasła przedstawić wysokiemu rządowi, aby go nie wprowadzić w błąd, nie nasuwać mylnego zdania o wypadku, a następnie i sądu o nim; odstępując zaś od treści składanych doniesień nadużywałbym położonego w sobie zaufania i zdradzał tych, którzy mi zaufali”. Po tym ustępie, skreślonym nieudolnie i w tonie nieprzyzwoitej pokory, przystępuje na koniec do rzeczy i powiada: „wstrzymanie czasowo nabożeństwa w kościołach, nieuległych jawnemu sprofanowaniu, nie żadne inne spowodowały przyczyny, jak tylko zaprzysiężona gorliwość moja względem ścisłego wykonania powinności w rządzeniu kościołem i wiernym ludem, jaką na mnie wkładały prawa Boga i ustawy kościoła”. „Ja, zostawszy przełożonym, zając się byłem obowiązany środkami niedopuszczania ludziom grzeszyć, nie tylko dla uchronienia ich od kary, ale i siebie samego, skoro za ich grzechy i moją duszę czekała surowa przed Bogiem odpowiedzialność. Ludzie, śpiewający pieśni nienabożne, jeszcze w miejscu świętem, nie tylko nie chwalili Boga, ale go obrażali, dawali zgorszenie drugim, przeszkadzali im w nabożeństwie, nie szanowali, owszem znieważali miejsce święte, gdzie są złożone Najśw. Sakramenta, nie pozwalali, jak przynależy odprawiać Najśw. Ofiary Mszy św., nareszcie sprzeciwiali się woli rządu; jednym więc czynem wiele ciężkich popełniali grzechów, czemu przeszkodzić moim było obowiązkiem, aby ich ratować i siebie. Inne łagodniejsze środki, jako to: nauki, rady, upomnienia, strofowania już wyczerpnięte zostały przez św. p. arcybiskupa, któremu dalej prowadzić to dzieło śmierć przeszkodziła. Cóż mnie pozostawało czynić dalej? Oto przed tak niebacznymi na moje i swoje zbawienie ludźmi zamknąć na czas przybytki pańskie i dać mu sposobność zwrócenia uwagi na niewłaściwość postępowania i poprzestania grzeszyć przynajmniej w kościołach. Staje

423 Loc. cit.

więc, według rozkazu prawa Bożego, w zgromadzeniu kapłanów mądrych, szukam w nich wsparcia, pomocy i rady, którzy ten środek jednomyślnie podają za najwłaściwszy i do wstrzymania dalszej obrazy Pana Boga najskuteczniejszy, a żadnych złych skutków za sobą niepociągający; zwłaszcza, że sam rząd do tego otworzył drogę i podał sposobność, gdy się albowiem przekonał, że zakazy, groźby i kary nie skutkują, do groźniejszych i surowszych udał się środków. Gdybym więc ja opuścił ręce i w przeszkodzeniu grzeszyć niebacznemu ludowi, zaniedbał iść za radą drugich kapłanów i swoją powinnością, zaciągnąłbym na swoją duszę odpowiedzialność... Środka surowszego, jakiego rząd użył do uspokojenia ludu, nie uważałem i nie miałem za zły, skoro sam w przeszkodzeniu obrażania Boga w kościele, również chwyciłem się surowszego”. „Wyrażając w raporcie żądanie uwolnienia wszystkich aresztowanych z kościołów, nie miałem nigdy zamiaru uwolnienia od odpowiedzialności tych, którzy z powodu wykroczeń innych, gdzieindziej popełnionych, na odpowiedzialność zasłużyli; lecz chciałem wyrazić porządek postępowania w podobnego rodzaju sprawach, jaki postanowienie Grzegorza papieża wskazuje, bo tym sposobem bezpieczeństwo i swoboda kościoła ściśle zachowana by została, a winny bez tumultu, krzyków i zgorszenia od zasłużonej skądinąd nie uwolniłby się odpowiedzialności i kary”.

Wyjaśniwszy zatem sposób i jak sądził zapewne, dostatecznie powody swego zachowania się w sprawie zamknięcia kościołów, taką prośbą kończy: „te są więc przyczyny, które za uniewinnieniem mojem do wysokiego sądu wnoszę, a które jeżeli jeszcze są niedostatecznymi, błagam, by litość i miłosierdzie dostojnych i miłosiernych sędziów zastąpić i uzupełnić raczyła. Czcigodni sędziowie! raczcie mieć wzgląd na moją starość i osłabione już siły, wzgląd na moje chęci wypełniania wiernie obowiązków moich, co do zachowania od zguby powierzonych mojej pieczy dusz ludzkich i uchronienie siebie samego od odpowiedzialności przed Najwyższym sędzią, Bogiem! Raczcie łaskawie wspomnieć na zasadę prawa, że lepiej jest zostawić winnego bez ukarania, niżli niewinnego potępić. Przyjmijcie mnie pod swoją opiekę i obronę, a wdzięczność dla was zachowam do zgonu, Bóg zaś, który najskrytsze tajniki serc ludzkich przenika i w najpóźniejszych pokoleniach waszych błogosławieństwa swego hojnie udzielać będzie. Raczcie mnie obronić, a w każdej swojej potrzebie u Boga znajdziecie obronę. W końcu oświadczam, iż wszystkie moje zeznania i usprawiedliwienia czyniłem swobodnie i bez żadnego od kogo bądź przymusu”.

Jednakże ta poniżająca prośba starca, który właśnie dlatego powinien był mniej dbać o życie, nie została wysłuchaną. Sąd wojenny zaraz nazajutrz po napisaniu ostatniego zeznania, d. 3 grudnia, skazał Białobrzeskiego, na pod-

stawie artykułów kodeksu wojennego, na pozbawienie godności duchownej, orderu św. Anny kl. II i rozstrzelanie. Wyrok bez zaprzeczenia był bardzo surowy, to też Lüders, do którego, jako do namiestnika należało jego potwierdzenie, zwlekał ze swym podpisem. Cesarz d. 17 grudnia, a więc w dwa tygodnie po zapadłym wyroku, pytał się Lüdersa drogą telegraficzną, jakie powziął w tej sprawie postanowienie?⁴²⁴, na co namiestnik odrzekł, że sprawa ta ostatecznie rozstrzygniętą zostanie d. 19 grudnia, że jednak myśli karę śmierci, ze względu na wiek i chorobę skazanego, zamienić na pozbawienie stanu duchownego i wszelkich praw, i zesłanie na Syberyą.

Zaraz nazajutrz otrzymał rozkaz telegraficzny, ażeby wyroku nie wykonywać, a akta sprawy przesłać do Petersburga, co d. 19 grudnia uskuteczniiono.

Wszystko to jednak w niczem nie zmieniło naprężonej mocno sytuacji między rządem, a klerem. Kościoły wciąż pozostawały zamknięte, udało się tylko Hubemu wymóc na biskupie unickim, że kazał cerkiew Bazyliąńską w Warszawie otworzyć. Proboszcz tej parafii, ks. Bazyli Kalinowski oraz ks. Broniewski, zagrożeni przez Lüdersa konfiskatą majątku bazylińskiego Supraśla, ustąpili i zrobili podanie d. 11 grudnia do biskupa Bełzkiego, Jana Taraszkiewicza, administratora dyecezyi chełmskiej, z zapytaniem: czy mają otworzyć rzeczoną cerkiew? Na to ks. Taraszkiewicz dał im odpowiedź d. 13 grudnia, opublikowaną zaraz we wszystkich dziennikach, w której pisał: „że bardzo źle, że księża Bazylianie warszawscy, jako należący do dyecezyi Chełmskiej, zgodzili się w tej mierze (t. j. zamknęli cerkiew), bez żadnego odniesienia się do nas i że kościół rzeczony odemknąć niezwłocznie mogą i powinni, czuwając zawsze, aby w nim nie śpiewano pieśni zakazanych”. Tegoż samego dnia, cerkiew otwartą została przy licznej asystencji policyi; ale mimo tego, że odtąd nabożeństwo co dzień się tam odbywało, nikt z ludności do cerkwi nie uczęszczał.

Otwarto również przy asystencji policyi synagogę żydowską hasydów na ulicy Franciszkańskiej. Synagoga żydów reformowanych, tak zwanych przez motłoch: niemieckich, przy ulicy Daniłowiczowskiej, pozostawała wciąż zamkniętą.

Niemniej opublikował rząd najprzód w „Dzienniku powszechnym”, a potem i we wszystkich gazetach warszawskich cyrkularz ks. Wierzchlejskiego, arcybiskupa lwowskiego. Cyrkularz ten wywołał wielkie oburzenie z tego powodu, że wzywał duchowieństwo, aby nie dozwalało śpiewania po kościołach hymnów i pieśni patriotycznych. Arcybiskup Wierzchlejski od dawna już był źle uważany przez rewolucjonistów i przez zacietrzewionych pseudopa-

424 Depesza z d. 17 (5) grudnia: „telegrafirujcie, czym ny rieszili dielo Bialobrzeskago?”

tryotów, stąd, że jeszcze w r. 1860 zakazywał śpiewania w kościołach hymnu Ujejskiego „Z dymem pożarów” oraz że zakaz ten powtórzył d. 14 marca 1861 r., rozciągając go i do innych pieśni. Przypominając teraz pod d. 18 listopada podwładnemu sobie duchowieństwu swój zakaz, zabraniał jak naj-surowiej „niezwykłych procesyi, uroczystego stawiania krzyżów, ozdobionych pewnemi politycznemi godłami lub napisami, przyczem w zwyczaju jest odśpiewywać pewne pieśni nowe, wątpliwego nabożeństwa, treści bardziej politycznej, aniżeli religijnej. „Wiemy wprawdzie, pisał dalej, jak trudne i niebezpieczne jest w obecnym czasie stanowisko duchowieństwa, wiemy dobrze, iż wielki ruch umysłów falami swemi rzuca pianę aż na stopnie ołtarza, znamy na koniec, jak ogromną siłę parcia na duchowieństwo wywierają dzienniki, lubiące się mienić tłumaczami opinii publicznej”; ale duchowieństwo ma inne zadania; „wyście powołani, wołał, do walki o wiarę, a nie do kłótni politycznych, które światem miotają. Powierzona wam jest opieka nad zbawieniem wiernych, a nie załatwianie spraw świeckich. Postawieni jesteście na wysokim miejscu, gdzie was dosięgnąć nie mogą burze tego świata, chyba, że sami zstąpicie na poziom”.

Przypomnienie to było bardzo właściwem i bardzo na czasie, gdyż jeżeli kiedy, to teraz duchowieństwo polskie „zstąpiło na poziom”. Ale najlepsze, najzdrowsze rady nie mogły mieć przystępu do głów oszalałych przez namiętności polityczne, do serc rozbolałych cierpieniem ojczyzny i widzących jej zbawienie tylko w rewolucyi. Na próżno arcybiskup Wierzchlejski napominał w swym okólniku kaznodziejów, „aby się zupełnie wstrzymywali od mieszania przedmiotów politycznych i od wzmianek tegoż rodzaju, chociażby nawet płaszczykiem religii pokrytych i aby się zajmowali jedynie głoszeniem słów zbawienia” i na próżno zakazywał pieśni, na próżno słuszną robił uwagę, że „największa część ludu, nawet wyznania rzymsko-katolickiego, mały bierze udział w modłach, w których widzi górującą cechę polityczną, a skłonną do podejrzeń, może się łatwo od was odstręczyć” — wszystko to wrażenia nie robiło, najoczywistsze powody dla zaślepionych nie były widzialnymi. Wielu przytem obraziło się ustępem, w którym arcybiskup przypominał, „że wysoki cesarsko-królewski rząd zakazał pod karą wielu tego rodzaju pieśni treści politycznej, któremu to zakazowi wszyscy wierni poddani Naj. Pana obowiązani są posłuszeństwo, a tem bardziej księża, których świętem jest powołaniem zwywać nieustannie do posłuszeństwa dla władzy świeckiej, zwłaszcza jeżeli ta nie nakazuje nic przeciwnego ani prawu Boskiemu, ani kościelnemu”.

Okólnik ten, powtarzamy, wywarł jak najgorsze wrażenie i oburzano się nań powszechnie. Wśród czerwieńców lwowskich, wśród zapaleńców wszelkiego rodzaju, których nigdzie niestety! w owe czasy nie brakowało, wrzało jak

w garnku, a wreszcie to udzieliło się najspokojniejszym i najpoważniejszym skądinąd ludziom. Znalazło się zaraz kilka osób, które udały się do arcybiskupa z prośbą, by odezwę powyższą wstrzymał; lecz na wszystkie przedstawienia i zakłęcia otrzymywali jedną ciągle odpowiedź, że „w państwie katolickim kościół powinien uczyć lud posłuszeństwa władzy świeckiej, a gdy ta władza zakazała te lub owe pieśni, te lub owe obrzędy, nie może ich władza kościelna pozwolić”.

Gdy się wieść o tem rozeszła, zebrała się w d. 30 listopada znacznie liczniejsza deputacja, z sześćdziesięciu obywateli złożona, przeważnie z osławionych później „tromtadratów”, która, przybywszy do konsystorza, w obecności członków kapituły jeszcze raz usiłowała nakłonić Wierzchlejskiego do odwołania cyrkularza, tłumacząc swoje pojawienie się „gorliwością o niepodległość kościoła”, „chęcią ratowania zagrożonej arcypasterza popularności” i domagała się „wyjaśnień względem niepokojących o mniemanem ulegnięciu jego reakcyjnym podszeptom wieści”. Wierzchlejski zrazu był mocno zmieszany tem tłumem najściem i jękając się, z widocznym wahaniem mówił, że pieśni „Boże, coś Polskę” nie zakazywał, „gdyż ona nic przeciwnego wierze w sobie nie zawiera, ale że też równie nie może tej pieśni do śpiewania w kościołach aprobować, najprzód już dlatego, że nie należy ona do tych, które od dawna są u nas w używaniu, lecz dopiero przed laty czterdziestu przez poetę Felińskiego do innych zupełnie okoliczności ułożona, w tym kraju (w Galicyi) aż po czasy najnowsze nigdy śpiewaną nie była, że przytem śpiewają ją dziś nie z pierwotnym, ale ze zmienionym tekstem, a mianowicie z dorobieniem nowych strof i zwrotek, i że nadto pozwolić jej nie może, jako zakazanej od rządu, ponieważ uczucia narodowości, które i on jako Polak podziela, winno powstrzymywane być w granicach obowiązków”. Po tej, dość długiej dyzertacji o pieśniach, Wierzchlejski, odzyskując zwykły sobie spokój, zauważył ironicznie, że „dzisiejszy prąd pobożności zadziwia go bardzo, gdyż dawniej nic podobnego w kraju nie widział”. Odpowiedziano mu na to z niemniejszą ironią, że „jako naczelnik kościoła winien w tem upatrywać palec Boży i nie przeszkadzać prądowi tak zbawiennemu”. Na to żywo odparł arcybiskup, że „Polski wyśpiewać sobie nie można”. Słowa te, jakkolwiek mieszczące w sobie wiele prawdy i właśnie dlatego dotkliwe, stały się kamieniem obrazy dla wszystkich i wytworzyły Wierzchlejskiemu jak najgorszą opinią, miano zdrajcy, Moskala i zaprzańca. Posypały się teraz odezwy i listy bezimienne, wiersze, wymyślenia i obelgi wszelkiego rodzaju, aż nareszcie oburzenie ogólne znalazło ujście w kociej muzyce, jaką wyprawiono w niedzielę d. 22 stycznia 1862 r. przed pałacem arcybiskupa we Lwowie.

Jeżeli atoli cyrkularz i całe zachowanie się Wierzchlejskiego wywołało takie oburzenie i rozgoryczenie we Lwowie, o ile przykrzej ono oddziaływać musiało na Królestwo kongresowe, na Warszawę, gdzie rząd z tryumfem publikował

w swym dzienniku tę odezwę, gdzie wreszcie ucisk i gwałty wszelkiego rodzaju, jakich dopuszczali się różni kacykowie moskiewscy, dochodziły swego apogeum. Sam Lüders, nie znając się na administracji cywilnej, uważając się za wodza przyszłej wojny, o jakiej powszechnie mówiono, a w której Rosya miała nieść pomoc Austrii przeciw Włochom, zajmował się tylko wojskiem, odbywał szumne i pełne wrzawy przeglądy wojsk i nudził się straszliwie w Warszawie. Nie był on nieprzyjacielem naszym, wszelkie spory narodowe nic go nie obchodziły i nie myślał wcale o patriotyzmie rosyjskim. Dość chłodny w obejściu, zwolennik wielki kobiet i przyjemności życia, nie znajdując ich w Warszawie, pogrążonej w żałobie, unikającej jak zarazy wszystkiego, co mundur nosiło, przykrzył tu sobie bardzo i naprawdę sprawami krajowymi się nie zajmował. Skorzystali z tego ci wszyscy, którzy za rządów Górczako-wa i Lamberta, pod wpływem Wielopolskiego, usunięci zostali na plan drugi, wszyscy ci karyerowicze, te odpadki rosyjskie, które przybiegały do Polski szukać pieniędzy i orderów, i którzy koncentrowali się głównie w osławionej kancelaryi przybocznej namiestnika. Znaleźli się tam znowu ludzie z najgorszych czasów, którzy przypominając sobie dane tradycje paskiewiczowskie postanawiali wywrócić to, co przez rok ostatni było zbudowane. Powrócił więc zwyczaj załatwiania najważniejszych spraw w tej kancelaryi, bez udziału i wiedzy Rady administracyjnej, lub też odbywały się pokątne posiedzenia tej rady, złożone z Rosyan i bezbarwnych dygnitarzy polskich, które to posiedzenia obalały nieraz zupełnie to, co było postanowione na sesjach urzędowych⁴²⁵. W takim stanie rzeczy o rozwoju reform i ustępstw nie mogło być nawet mowy, przeciwnie widocznem było, że cofano się na każdym kroku, że reakcja bierze górę i pragnie kraj wtłoczyć w dawne kajdany paskiewiczowskie.

Najważniejszym objawem tej reakcji było mianowanie dyrektorem Komisji spraw wewnętrznych Aleksandra Iwanowicza Kruzenszterna, którego popierał Suchozanet i zaraz po powrocie do Petersburga, d. 19 listopada, wyjednał jego nominację na to najważniejsze w Królestwie ministerium⁴²⁶.

Był to wychowaniec kancelaryi namiestnika, w której zajmował różne stanowiska od 1832 roku, syn sławnego żeglarza admirała Jana Kruzenszterna, człowiek dość uczony, lubiący zajęcia literackie, korespondujący z Humboldtem, Thiersem, Guizotem, pisujący rozprawy literackie⁴²⁷, ale obok tego

425 Lisicki: Aleks. Wielopolski I, 283.

426 Reskrypty cesarski nosi datę 20 listopada.

427 W r. 1837 wydał w Warszawie: „Précis du système de progrès et de l'état de l'instruction publique in Russie”. W rękopiśmie pozostało po nim wiele prac rosyjskich i francuskich, między którymi ma się znajdować memoriał p. t. „Obobrazowanii junosiestwa w carstwie Polskom”.

niechęć Polaków i Polski, i zwolennik rządu nię po paskiewiczowsku. Jakoż rozpoczął on od tego, że zdeorganizował i zatruł do reszty całą administracją kraju. Za czasów Lamberta utworzono z inicjatywy Wielopolskiego Komitet specjalny, złożony z Łęskiego, dyrektora Komisji skarbu, Giecwicza, dyrektora Komisji spraw wewnętrznych, Płatonowa i Wielopolskiego⁴²⁸, mający się zająć oczyszczeniem, że tak powiemy, administracji, usunięciem z niej różnych urzędników, którzy prawdziwą zakałą tej administracji stanowili. Komitet ten przygotował listę nowych radców Rządów gubernialnych i naczelników powiatów, których miano nominować na te posady, po usuniętych poprzednio urzędnikach. Z nominacjami temi jednak na nieszczęście wstrzymano się do czasu ukończenia list wyborczych do Rad powiatowych. Kruzensztern teraz skorzystał z tego i nie tylko że porzucił plan powyższy, ale owszem począł przyjmować na dawne posady wypędzonych łapowników i złodziei, twierdząc, że padli oni ofiarą swej gorliwości i „przywiązania do rządu”. Znów więc administracja kraju zaroiliła się indywidualami najgorszej reputacji, którzy kompromitowali rząd i jaskrawo przypominali upłynione, jak się zdawało, czasy.

Tę zgubną i szkodliwą dla kraju działalność Kruzensztern wniósł także i do Rady administracyjnej Królestwa, w której z urzędu, jako dyrektor Komisji spraw wewnętrznych zasiadał.

Obok niego, wbrew zasadzie autonomii Królestwa, pomieszczono w tej Radzie generał-gubernatora Kryżanowskiego, co usprawiedliwiano stanem wojennym oraz Massona, dyrektora poczt, tak że teraz, na ogólną liczbę dziesięciu członków Rady, było sześciu Rosyan, jak najgorzej usposobionych dla aspiracji polskich i reform krajowych. Ci to panowie, gdy przyszła na stół kwestya oczyszczenia, postanowili jej użyć jako narzędzia przeciw rewolucji, zwrócić z jej załatwieniem, dawną niezgodę między dworem i chatą rozżarzać. Projekt ułożony za staraniem Wielopolskiego przez Komisję skarbu i sprawiedliwości, którego opublikowanie w „Dzienniku powszechnym” taki gniew w Suchozaniec wywołało, teraz Rada administracyjna odrzuciła. Głównie oburzano się na paragraf zapowiadający udzielanie zapomóg majątkom, które wprost przystąpią do skupu czynszów; mówiono, że kraj na takie dobrodziejstwo nie zasługuje⁴²⁹. Całe wreszcie prawo o skupie czynszów chciano obalić pod pretekstem jego uciążliwości dla włościan, co, jakkolwiek w części było prawdą, nie usprawiedliwiała jednak usunięcia zupełnego nowych ustaw. Należało je poprawić, a nie obalać. Wreszcie Rada administracyjna, całkiem przestała się zajmować sprawą włościańską, odesławszy projekt

428 Lisicki: Aleks. Wielopolski I, 286.

429 Loc. cit.

Wielopolskiego do Komisji spraw wewnętrznych, polecając jej wniesienie swoich poprawek.

To było właśnie na rękę Kruzenszternowi, w czym chętną pomoc mu dali urzędnicy polscy, najprzód obrażeni, że sprawa taka bez nich się załatwiała, potem rewolucyjnie usposobieni i radzi z tego, że myśl znienawidzonego magnata mogą wywrócić na nie. Rozpoczęło się więc przerabianie projektu i przerabianie w punktach zasadniczych nader szkodliwie dla kraju. Margrabia chciał i słusznie, aby umowy dobrowolne zawierane były tylko między stronami, między chłopem i szlachcicem, i żeby do tej sprawy nie mieszały się wcale władze administracyjne, w razie zaś sporu, żeby takowy rozstrzygały sądy lub delegacje czynszowe, wychodzące z łona Rad powiatowych.

Najwyższą wreszcie instancją miał stanowić w tych kwestjach osobny wydział Rady stanu. Tym sposobem drażliwa sprawa włościańska załatwiana była przez swoich rękami polskimi. To oczywiście nie mogło się podobać Kruzenszternowi i demagogicznym urzędnikom Komisji spraw wewnętrznych, którzy jakkolwiek także nie chcieli, by Moskałe mieszały się do kwestyi włościańskiej, ale byli przeciwni jej rozwiązaniu teraz, gdyż, jakeśmy to tylokrotnie już powiedzieli, według ich teorii, chłop, dziś w ten lub inny sposób obdarzony ziemią, nie będzie chciał pójść do przyszłego powstania, bo to powstanie nic mu już dać nie będzie mogło. Zapominali oni o wielkiej nauce historii, że masy nigdy albo bardzo rzadko dają się poruszać nadzieją korzyści materyalnych; że tylko zrobić to może wielka idea, odczuta przez te masy w zupełności. Ale dla tych niedouczonej i spaczonych umysłów nauki historii nie istniały i dla swych przekonań gotowi byli wszystko poświęcić. Nie chcąc więc, by chłop w tej chwili był tak lub owak zaspokojony, sprzeciwiali się projektowi Wielopolskiego, zwłaszcza, że projekt ten miał swe słabe strony, przynosił on więcej korzyści właścicielowi niż chłopu. Tę słabą stronę podniesiono umiejętnie i proponowano, ażeby nie delegacje czynszowe, nie sądy i Rada stanu, ale władze administracyjne pod kierunkiem Komisji spraw wewnętrznych decydowały w sporach między chłopem i szlachcicem; żeby ostatnią w tych sporach instancją stanowił specjalny komitet, złożony z gubernatora, trzech radców gubernialnych i trzech członków Rady gubernialnej i żeby temu Komitetowi nadać bardzo obszerne atrybucje⁴³⁰.

Kruzensztern korzystając ze stanu wojennego, którego utrzymanie o ile miało rację w miastach i miasteczkach, o tyle na wsiach niczem nie było usprawiedliwione, tamował zawieranie umów o czynsze i okup prawny. Do chłopów dochodziły różne wieści, w powietrzu niejako unosiły się zwiastuny stanowczych zmian.

430 Loc. cit.

Niechętnie więc przystępowali do umów, nie chcieli robić pańszczyzny, zanosili skargi i denuncjacje na swych dziedziców. We wsi Wieliszewie w gubernii warszawskiej, dzierżawczyni miejscowa musiała uciekać z domu z obawy przed chłopami, którzy się na nią odgrazali, a nawet ją pobili. Z tego powodu władze aresztowały pięciu głównych podżegaczy⁴³¹. Na Mazurach, w Płockiem, Przasnyskiem i Łomżyńskiem, lud, wobec rozbudzonych nadziei, odmówił płacenia podatków, aż ciężkie i niszczące egzekucje wojskowe zmusiły go do tego. W powiecie hrubieszowskim przeszło 185 wsi odmówiło płacenia okupu właścicielom. Wysłano do „buntujących się”, jak to urzędowo nazywano, kozaków i dragonów. Wieś Kryków, po żywieniu przez dwa dni całego plutonu jazdy, uległa i okup prawny zapłaciła. W Dołohobyczowie i Hołubiu opór był dłuższy, ale i tu chłopci ulegli, a za ich przykładem poszły i inne wsie⁴³². Po wsiach znów poczęło się kręcić mnóstwo podejrzanych osobistości, które podmawiały chłopów do otwartego oporu. W okolicach Olkusza uwijał się niejaki Grabowski, zaopatrzony w paszport austriacki, w broszury opisujące wypadki galicyjskie w r. 1846, wszędzie rozpowiadał, że panowie i żydzi wkrótce chłopów rznąć będą i że należy pomyśleć o sobie. Przy schwytanym znaleziono listę wsi i miasteczek, do których się wybierał w celach swej propagandy. Władze wojskowe pod pozorem stanu wojennego odebrały Grabowskiego sądom krajowym i wraz z aktami śledztwa odesłały do cytadeli⁴³³. W Gostyńskim wzburzenie między ludem poczęło przybierać groźniejsze niż gdziebądź indziej rozmiary. We wsi Lisicy, dziedzic Dobrowolski kazał d. 24 Grudnia przytrzymać chłopca, który na czele licznej bandy rzucił się na gorzelanego. W parę godzin potem cała niemal wieś, uzbrojona w kije i kosy, wdarła się na dziedziniec dworski, domagając się wydania aresztowanego.

Oczywiście woli ich stało się zadość. Na koniec wielkie i nadzwyczaj przykre wrażenie w kraju i za jego granicami wywarła wiadomość z tegoż Gostyńskiego, że chłop, Cichowicz nazwiskiem, zabił niejakiego Bolesława Kleniewskiego, właściciela wsi Sieraków. Jakkolwiek bliższe śledztwo wykryło, że fakt ten był prostą zbrodnią, że Cichowicz przez zemstę dopuścił się morderstwa za to, że tegoż dnia został z rokazu Kleniewskiego oświadczony różgami, że w ogóle wypadek ten nie był wynikiem powszechnego rozdrażnienia ludu, przecież rzucił on popłoch ogólny na szlachtę i wszyscy lękać się poczęli nowej rzezi, nowej „rabacy”. Nie wchodzono w powody tej zbrodni, mówiono, że nie jeden chłop, ale chłopci zabili Kleniewskiego

431 N. J. Pawliszczew, *Siedmicy* I, 3.

432 *Loc. cit.*

433 Lisicki, Aleks. Wielopolski, *loc. cit.*

i oskarżano głośno rząd, że podburza lud, by mieć z niego w danej chwili straszne w ręku narzędzie⁴³⁴.

W rzeczy zaś samej, rząd bezpośrednio ludu nie podburzał, ale patrzył przez palce na nurtowania, których dokazywali po większej części różni demagodzy ze szkoły Mierosławskiego i w niczem się nie przyczyniał do uspokojenia umysłów, owszem przez powstrzymywanie rozwiązania kwestyi włościańskiej pośrednio dolewał oliwy do ognia, powszechnemu ruchowi nadziei wśród mas ludowych nie stawiał żadnej zapory. Rząd warszawski, podniecany nieustannie przez gazety niemieckie, które donosiły, że powstanie lada chwila wybuchnie, że w kraju są znaczne składki broni i amunicji, gdy tych składków nigdzie wykryć nie mógł, a powstanie nie wybuchało, przyszedł do wniosku, że najlepiej będzie to powstanie przyspieszyć, zgnieść je przemocą od razu i tym sposobem koniec położyć nieustannym zaburzeniom⁴³⁵. Policje tajne, których było kilka, całkiem niezależnych od siebie i nienawidzących się wzajemnie, płały sobie figle, denuncyowały się, a wszystko to odbijało się na kraju, na niewinnych nieraz osobach.

Aresztowania w drugiej połowie listopada doszły do olbrzymich rozmiarów, tak że cytadela okazała się za małą i pomieszczano więźniów na t. z. Pawiaku. Później mówiono, że wśród aresztowanych było wielu niewinnych, ale skoro już raz zostali więźni, trudno ich było wypuszczać i narażać przez to powagę i urok władzy; a że ich wysłano do Rosyi, to dla ich dobra, gdyż przez to uchroniono ich od mieszania się w rzeczy samej do spisku. Takimi to nikczemnymi wybiegami nieczna policja usiłowała pokryć swe czyny.

Na prowincyi naczelnicy wojenni dopuszczali się mnóstwa krzyżących nadużyć, które uchodziły im bezkarnie, gdyż stan obłączenia nadawał im wielką władzę, a rząd na te nadużycia spoglądał obojętnie. W Opatowie na św. Marcina, d. 11 listopada, na odpust doroczny, wojsko stojące na rogatkach, nie wpuszczało nikogo do miasta. Zabraniali oni jeździć na jarmarki, odwiedzać sąsiadów, przyjmować większe towarzystwo, zbierać się na polowania. W Kieleckiem naczelnik wojenny rozesłał cyrkularz do wszystkich wójtów gmin i burmistrzów, żeby natychmiast objawili mieszkańcom, że kto z nich chce obchodzić uroczystość swych imienin, sprawić chrzciny, wesela, lub w ogóle urządzać zabawy, winien wyjednać wprzód na to pozwolenie od naczelnika wojennego, a to pod karą odpowiedzialności przed sądem polowym⁴³⁶.

434 Takie mniemanie przeszło nawet do dzieł drukowanych. Lisicki (Aleks. Wielopolski I, 288) powiada: „w okolicach Kutna chłopci zamordowali obywatela Kleniewskiego”, co jest fałszem, gdyż jeden tylko chłop tego dokonał”.

435 Loc. cit. I, 284.

436 Rękopism współczesny. Odezwa ta, wydana przez naczelnika cywilnego powiatu z polecenia naczelnika wojennego, brzmi: „wzywam wójtów gmin i burmistrzów miast o ogło-

W Zduńskiej woli, miejscowy kacyk naczelnik, dowiedziawszy się, że w wigilię Bożego Narodzenia odbywa się msza nocna, zwana pasterką, otoczył kościół wojskiem i przeszło 60 osób aresztował⁴³⁷. W Warszawie ajenci którejś z tajnych policji, poczęli w tej porze namawiać lud, ażeby tłumnie zebrał się przed katedrą i żądał jej otwarcia. Pomimo, że płacono i pojono po szynkach motłoch, manifestacja do skutku nie doszła, choć podobno kosztowała skarb około 5.000 rs.⁴³⁸.

W ogóle nowi namiestnicy nie oszczędzili wcale skarbu Królestwa, którego krwawy grosz trwoniono w sposób oburzający. Skarb ten, dzięki uczciwym rządóm Grorczakowa, po jego śmierci znalazł się w stanie kwitnym i miał znaczne zapasy, które teraz wyczerpano na tego rodzaju manifestacje, na koszt utrzymania więźniów i komisji śledczych, na pensje naczelników wojennych, na dodatki do pensji, które dla urzędników kancelaryi namiestnika dosięgały od 250 do 500 rs. miesięcznie⁴³⁹. Wynagradzał to sobie rząd tem, że powstrzymał wszelkie wypłaty ze skarbu Królestwa duchowieństwu. Wezwawszy jeszcze raz proboszczów i przełożonych klasztorów, ażeby niezwłocznie otworzyli zamknięte kościoły, gdy otrzymał, jak się spodziewać należało, odpowiedź odmowną, rozkazał przez reskryt z d. 9 grudnia wstrzymać wszelkie wypłaty najprzód członkom kapituły warszawskiej, a d. 27 grudnia i proboszczom⁴⁴⁰. Jakkolwiek był to krok bezprawny, gdyż większość tych funduszków nie była rządową, ale wyłączną własnością duchowieństwa, administrowaną tylko przez skarb, wszelako można go jeszcze usprawiedliwić, ale gdy Lüders kazał wstrzymać także wypłatę procentu w wysokości 50.000 złp., jaki Kanoniczki warszawskie pobierały z magistratu za to, że odstąpiły mu niegdyś grunta i zabudowania Maryniskie, gdy zakazał opłaty komornego za wynajęty lokal na szkołę powiatową w domu, należącym do OO. Karmelitów na Lesznie, gdy powstrzymał pensją profesorom Akademii duchownej, to już było bezprawnie i gwałt krzyczący⁴⁴¹.

Aresztowania ciągle trwały i miały tę nieznośną i oburzającą cechę, że stosowano prawo wstecz i karano ludzi za przestępstwa, popełnione przed ogło-

szenie natychmiast mieszkańcom, aby każdy z nich, pragnący obchodzić uroczystość swoich imienin, sprawić chrzciny lub inne obchody, wyjednał na to od wspomnianego naczelnika wojennego pozwolenie na kilka dni wcześniej, nie tak, jak to zrobił wójt gminy T., który w wigilię swoich imienin prosił o pozwolenie. W przeciwnym bowiem razie, winni do odpowiedzialności pociągnięci zostaną”.

437 Relacja rękopiśmienna.

438 Rękopism współczesny.

439 Lisicki Aleks. Wielopolski I, 288.

440 N. J. Pawliszczew, Siedmicy I, 7.

441 Rękopism współczesny.

szeniem stanu wojennego. W d. 31 października przesłano z Warszawy do wszystkich naczelników wojennych cyrkularz, zabraniający jak najsurowiej przechowywania po kościołach chorągwi rewolucyjnych i innych tego rodzaju emblematów; w razie zaś oporu polecano mężczyźn oddawać do wojska, a kobiety i księży aresztować⁴⁴². Ta liczba aresztowań nieustannych, zwróciła na nie uwagę pism zagranicznych, które poczęły w mocno przesadzonych barwach je przedstawiać i wołały, że „cała Polska jest dziś jednym więzieniem”. To zmusiło rząd do ogłoszenia w „Dzienniku Powszechnym”, d. 28 grudnia, że liczba aresztowanych dotąd nie przechodzi cyfry 250 osób, czemu nikt nie wierzył. Jakoż że cyfra ta nie była dokładną, świadczy ta okoliczność, że w kilka dni potem ogłoszono listę imienną aresztowanych oraz wyroki, jakie na nich zapadły i lista ta wynosiła tylko 143 nazwiska, co niejako przekonywa, że pierwsza lista była albo za dużą, albo za małą, a w każdym razie niedokładną. Nie pomieszczono w niej przytem żadnej wiadomości o losie takich ludzi, jak Szlenker, Hiszpański i inni, których całe miasto znało i całe miasto wiedziało o ich uwięzieniu.

Ludzie świadomi rzeczy, znacznie wprawdzie później, wykryli prócz tego w tej liście liczne fałsze, które jakkolwiek może nie zawsze były fałszami, wszelako w większości wypadków dowodził one, że rząd jak zwykle kłamie i ani w swych postępkach, ani w słowach swoich prawdą się nie kieruje, a tem samem nie może wzbudzać ku sobie żadnego zaufania.

Pod naciskiem tych saturnalii wojennych, kraj zdawał się być zupełnie cichym i spokojnym. Ale jak wiemy, był to spokój pozorny tylko. Pomijając to, że wewnątrz organizmu narodowego nurtował już na wielką skalę spisek, ujęty w dobrze obmyślaną organizacją, na zewnątrz od czasu do czasu ukazywały się objawy, świadczące, do jak wielkich rozmiarów dochodziło wzburzenie umysłów. Właśnie teraz, w połowie listopada, do wiadomości ogółu doszło heroiczne, jak mówiono, zachowanie się Konsystorza kaliskiego. Rzecz tak się miała. Naczelnik powiatu kaliskiego, na mocy przepisów stanu

442 Do rzędu takich fałszów należy historia z Nepomucenem Kurowskim, znanym pisaniem w zakresie rolnictwa i weterynaryi. Pod nr. 83, ogłoszonej w „Dzien. Pow.” listy, napisano o nim, że jako poddany pruski został wysłany zagranicę ze wzbronieniem powrotu do Król. Polskiego. Tymczasem miało się pokazać, że tenże Kurowski, aresztowany w Warszawie d. 11 maja 1861 r. a więc na pięć miesięcy przed ogłoszeniem stanu wojennego, w kilka dni potem na Syberję wysłany został; że d. 5 kwietnia 1862 r. a więc blisko po rocznej podróży, przywiezione go do Tobolska, a stąd do Omska, gdzie na 8 lat ciężkich robót był skazany. Druga podobna historia dotyczy ks. Hilarego Kozierowskiego, bernardyna z Lublina, który według listy miał być wysłany do Rosyi na mieszkanie, a tymczasem miał się znajdować w Orenburgu w więzieniu. (Die Vorläufer des poln. Aufstandes, 165).

wojennego, wezwał dnia 29 października Konsystorza o wydanie polecenia do duchowieństwa, aby nie odprawiało żadnych procesyi oraz żeby żądało od naczelnika wojennego, za każdym razem osobno, pozwolenia na odpusty. Na to Konsystorz przez odezwę z d. 31 października wyraził najprzód „zdziwienie”, a potem tonem namiętnego podrażnienia odrzekł, że „podobne rozporządzenia nie są zgodne ani z wolnością religijną, ani z powagą władzy”, że „Konsystorz od naczelnika wojennego, jako władzy sobie równej, żadnych rozkazów przyjmować nie może i nie będzie, że „naczelnik wojenny nie może, według swego widzimisię, kościołami rozrządzać, ani odpustów udzielać”, że „on i wszelkie władze w kraju, cywilne i wojskowe mogą tylko zajmować się porządkiem po ulicach i szynkach, a nie w kościołach”, że zatem Konsystorz nie może i nie będzie nakazywał duchowieństwu odprawiania procesyi i odpustów. Współcześnie przez cyrkularz do duchowieństwa, konsystorz polecił mu, ażeby procesye, odpusty i t. p. dalej, tak samo jak dotąd, odbywało⁴⁴³.

Zbliżająca się rocznica powstania listopadowego mocno niepokoiła Lüdersa, który obawiał się jakiej wielkiej manifestacyi. W sam dzień 29 listopada donosił z radością cesarzowi, że nie widać wcale, by czyniono jakie w tym celu przygotowania, a nazajutrz pisał: „dzień wczorajszy przeszedł spokojnie, nie próbowano wcale obchodzić go uroczystej. Ten niepokój z początku, a później te doniesienia przekonywują, że pomimo licznych tajnych policyi, namiestnik jak zwykle był źle poinformowany o tem, co się dzieje w kraju. Od kilku bowiem dni obiegała po całej Warszawie i kraju odezwa drukowana, która polecała „największe narodowe święto” uczcić w ten sposób, że „zebrani u ogniska domowego w gronie rodziny, przepędzimy tę uroczystość na rozpamiętywaniu wielkiego narodowego aktu”; zalecała, aby „ojcowie rodzin, gospodarze, majstrowie i zwierchnicy zgromadzili koło siebie czeladkę i podwładnych, i wytłumaczyli im znaczenie obecnej pamiątki. Uroczysta cisza powinna zapanować w całym mieście i pokazać wrogom, że umiemy być w danym razie cierpliwi, a zawsze rozważni i wytrwali. Każda nowa ofiara w tej chwili byłaby zbytkiem, a więc grzechem”.

Jakoż zadość się stało tajnej odezwie. W Warszawie ulice w dzień ten opustoszały, wychodził tylko ten, kto musiał, lub dla którego wszelkie obchody były obojętne. Wieczorem zwłaszcza, miasto zwykle bardzo ruchliwe, przerażało nieświadomych rzeczy nagłą ciszą i pustką. Wiele kobiet w dzień ten pościło, a pieniądze zaoszczędzone obracały na t. zw. „pożytek ojczyzny”. Na prowincyi tu i owdzie odbywały się nabożeństwa, oczywiście potajemnie

443 Obie te odezwy, jakkolwiek w swoim czasie w pismach polskich zagranicznych drukowane, jednakże mało znane i trudne do odszukania, pomieszczamy w zbiorze dokumentów pod nr. 11.

i bez rozgłosu. W Ks. Poznańskim dzień ten obchodzono bardzo uroczysto. Wszędzie po kościołach odprawiano modły, a ludność wstrzymała się od pracy. W Krakowie ukazała się odezwa drukowana, zapowiadająca uczczenie rocznicy powstania. „Winniśmy, brzmi ona, podziękować Bogu, że nie usnęliśmy w niewoli, jak tyle innych narodów”, że „mimo wiekowego ucisku i tyłu zawodów, płonie coraz jaśniej w duszach naszych święty ogień miłości ojczyzny i swobody”. Zapowiedziano więc nabożeństwo w kościele Maryackim i nakazywano, aby zaraz potem rozejść się do domów i „w spokoju, ciszy i poważnie zakończyć ma się ten w dniach niewoli obchód rocznicy powstania, które upadło przez nasze i ojców naszych winy”. Polecono również na ten dzień zdjąć żałobę narodową.

Na emigracyi, zwłaszcza w Paryżu, doroczny ten obchód przybrał tym razem cechę bardziej uroczystą, niż zwykle. Na cmentarzu Montmartre, w szczupłej kapliczce cmentarnej odprawił mszę znany nam już ks. Paweł Kamiński, który niedawno zbiegł z kraju. Było oczywiście kilka mów, odpowiednich okolicznościom. W kościele Assomption, ks. Kajsiewicz miał kazanie przepełnione gorącym patriotyzmem, a w kościele św. Genowefy ks. Różański. Po południu odbyło się zebranie w Bibliotece polskiej i doroczne zebranie Towarzystwa historycznego, na którym Barzykowski, niegdyś członek Rządu narodowego, późniejszy historyk powstania listopadowego, mówiąc o nowym prezesie towarzystwa, księciu Władysławie Czartoryskim, odezwał się, że „może Bóg da, że księżę Władysław skołatana nawę ojczystą do portu zbawienia doprowadzi”, co wielu oburzyło. W licznych miejscach zbierano składki na młodzież uczącą się w Genui. W Angers, Polacy wystosowali adres do Franciszka Smolki, prosząc go, „by raczył przyjąć od rodaków na wygnaniu największą wdzięczność i najszczerzy szacunek”.

W Londynie odbył się w dniu tym mityng publiczny, na który zebrało się wielu Polaków i jeszcze więcej Anglików, i uchwalono podać petycją do parlamentu, w której domagano się, aby Anglia powstrzymała wypłatę Rosyi dawnego długu holenderskiego, „dopóki Rosya nie dopełni warunków, poprzedzających w traktacie wiedeńskim i Królestwu Polskiemu nie przywróci jego konstytucyi i odrębnej administracyi, a zabranym prowincjom wszystkiego tego, do czego się traktatem zobowiązała”.

Tak w ogólności obchodzono wielką bez zaprzeczenia pamiątkę narodową. Ale to, co czyniono lub mówiono na emigracyi, w zaborach pruskim i austriackim, mniejszą miało wagę wobec poważnego zachowania się Warszawy. Zachowanie się to wyraźnie dowodziło, jak potężny wpływ miał już tajny Komitet miejski, skoro polecenie jego tak ściśle i bezwarunkowo wykonaniem zostało. Fakt ten przekonywał najbardziej nawet zaślepionych, że organizacya

rewolucyjna sięgnęła już bardzo głęboko i siecią swoją omotała jeżeli nie cały naród, to przynajmniej jego warstwy miejskie i szlacheckie. Jeżeli atoli mógł on być niewidzialnym dla tajnej policyi, dla namiestnika wreszcie, którego naprawdę niewiele to obchodziło i sądząc rzeczy ze stanowiska żołnierskiego, pewny był, że gwałtem, surowością i rządami wojskowymi stłumi ruch, to nie mógł ten objaw ujść uwagi stronnictwa umiarkowanego, wszystkich tych panów, którzy kupili się koło Zamoyskiego, a którzy zanadto dobrze znali kraj i zanadto dobrze umieli patrzeć, by nie wiedzieli, co się dzieje.

A przytem położenie szlachty w ogóle w tej dobie było jak najopłakańsze, nieomal tragiczne. Usposobiona konserwatywnie w ogromnej swej większości, niechętną była gotującej się rewolucyi i na reformy patrzała przyjaźnie, gotowa nieomal do ich popierania całą duszą, byle nie było Wielopolskiego i byle za to kraj na nią krzywo nie patrzył. Przede wszystkim bowiem drżała z obawy przed tą rozgorączkowaną, namiętą opinią publiczną, przeciw mianu zdrajcy, które tak łatwo można było w tych czasach otrzymać. Dzięki temu brakowi odwagi, stanowiącemu jedną z wad kardynalnych narodowych, nie śmiała się głośno odezwać, oburzała się wewnątrz, w cichości, w czterech ścianach na ludzi, „którzy nic nie mają do stracenia” i którzy ojczyznę wiedą do zguby, ale na krok stanowczy, kładący tamę agitacyi, zdobyć się nie mogła. Rząd, z drugiej strony był zanadto nierozumny i zanadto nie ufał wszystkiemu, co polskie, by miał się odwołać do pomocy szlachty w uspokojeniu kraju. Wszyscy namiestnicy, owi Suchozaneci i Lüdersy, byli to żołnierze ciasnogłowi, którzy nie rozumieli się wcale na rządzeniu krajem i na polityce; podnieceni instrukcyami różnych dygnitarzy petersburskich, nam nieprzyjaznych, nie wierzyli nikomu, a tem mniej szlachcie, którą uważali zawsze za skłoną do powstań i do rewolucyi. Historia pisana w pewnym kierunku uczyła ich, że w Polsce zawsze tylko szlachta powstawała i dumnie niosła sztandar niepodległości politycznej, szabłami swemi, według wyrażenia poety, chciała podeprzeć walące się sklepienie nie katedry św. Piotra, ale starej Republiki szlacheckiej. Dlatego też rząd nie ufał przodującej warstwie narodu, przez palce patrzył na to, że chłop coraz groźniejszą wobec niej przybierał postawę i nie rad był załatwieniu kwestyi włościańskiej, chcąc zostawić jątrzącą się ranę i narzędzie, jak mu się zdawało, gotowe do powstrzymania wszelkich zachcianek szlacheckich.

Tym sposobem ziemiaństwo znajdowało się w tej chwili w położeniu człowieka pozostawionego sobie, otoczonego dookoła wrogami. Nie pierwszy to przykład w historii takiego położenia, ale kiedy indziej i gdzieindziej zniechęcone stronnictwa lub warstwy narodu umiały zeń wyjść od razu przez krok stanowczy i energiczny, u nas szlachta polska na energią zdobyć się nie

mogła. Zdawałoby się, że krew z niej wytoczona na tysięcznych polach bitew, od śnieżnych szczytów gór hiszpańskich, od piasków pustyń egipskich aż do niw Ostrołęki i szańców Woli, pozbawiła ją wszystkich sił i całej mocy czynu. Ale ta niemoc właściwie pochodziła z innego źródła, ze źródła tej ślepej miłości ojczyzny, z aspiracji narodowych, które w głębi duszy każdego nie pozwalały na żaden kompromis z Rosyą i kazały dążyć do zupełnej, w granicach historycznych zawartej niepodległości narodowej. Toteż szlachta, nie łącząc się ani z Wielopolskim, ani z rządem, ani z czerwieńcami warszawskimi i ich tajną organizacją, wytworzyła na koniec własny spisek, własną organizacją, której celem ostatecznym, podobnie jak Komitetu miejskiego, było powstanie zbrojne, walka z Rosyą, krwawy pojedynek z najazdem i schizmą.

Ale jeżeli czerwoni wzięli się do utworzenia swego komitetu energicznie, jeżeli stworzyli go szybko i jeszcze szybciej, i zuchwalej uchwycili dyktaturę nad całą siecią organizacyi, to szlachta zabierała się do tego leniwie i wolno, całe miesiące straciła w mękach porodu, nim wydała na koniec płód z wielu względów niedonoszony, anemiczny i kulawy. Wspomnieliśmy już we właściwym miejscu, jak w kwietniu jeszcze powstał projekt w Żytnie, utworzenia ciała, pochodzącego z wyborów, które by rządziło krajem i położyło zarazem koniec tym różnym, samozwańczym komitetom, które powstawały w Warszawie z wielkimi pretensjami, a małą możliwością wprowadzenia w czyn tych pretensyi; wspomnieliśmy na koniec, że myśl ta, dzięki zabiegom Karola Majewskiego, Włodzimierza Trepki i Zygmunta Siemieńskiego, agitowała się przez całe lato. Po licznych, nieudanych próbach, zjazdach, długich i nudnych naradach, przyszło na koniec do tego późną jesienią, że każde województwo wybrało t. zw. „mężów zaufania”, na których włożyło obowiązek, stworzenia na koniec owego ciała zwierzchniego. Wybory te oczywiście nie zawsze i nie wszędzie odbywały się, jak należy. Wobec stanu wojennego, wobec zastrzonej bacności władz wojskowo-policyjnych, nie podobna było urządzać zjazdów wszystkiej szlachty z całego województwa i zwoływać sejmików. Zwykle pewna grupa wybitniejszych obywateli w województwie, częstokroć bardzo szczupła, zjeżdżała się pod różnymi pozorami czy to polowania, czy imienin, wesela lub chrzcin i dokonywała wyboru. W takich to warunkach, nie odpowiadających wcale ścisłym pojęciom elekcyjności, wybrano mężów zaufania z ośmiu województw, według dawnego podziału Królestwa. Z województwa mazowieckiego wybrany został, znany nam już dobrze autor przyszłej konstytucyi polskiej, adwokat Wojciech Trzetrzewiński, dziedzic dóbr Janowa pod Mińskiem mazowieckim oraz Hornowski; z kaliskiego: Krzyżtoporski i Włodzimierz Trepka; z płockiego: Dziewanowski; z krakowskiego: Adolf Niemojewski, zamożny szlachcic z okolic Włoszczowy (według innych

Masłowicz); z sandomierskiego: Julian Załęski i Stanisław Karski, niedawno jeżdżący z poręki pana Andrzeja Zamoyskiego do Paryża, do Wysockiego; z podlaskiego: August Szydłowski; z augustowskiego: Julian Paszkiewicz; z lubelskiego: Julian Horodyński. Z miasta na koniec Warszawy, stanowiącej osobny niejako okręg wyborczy, wyznaczono Leopolda Kronenberga, Jurgensa i nieuniknionego Karola Majewskiego. Ogółem mężów zaufania było czterestu⁴⁴⁴; po większej części byli to dawni członkowie Towarzystwa rolniczego, dawni wojewódzcy mężowie zaufania tegoż Towarzystwa; niektórych nie wybierano wcale, lecz wprost oświadczano, że kiedy już raz obdarzeni zostali zaufaniem współobywateli, to zaufanie to dalej im pozostawiają i uważają ich za swych reprezentantów.

Ci wybrani, czy nie wybrani, ale bądź co bądź poprzednio już obdarzeni zaufaniem współziemian, zjechali się w końcu grudnia do Warszawy i tutaj, w mieszkaniu p. Rembielińskiego, w pałacu Andrzeja Zamoyskiego na Nowym Świecie, przystąpili do utworzenia ze swego łona owego ciała zwierzchniego, które miało rządzić krajem. Postanowiono, że ciało to ma nosić miano „Dyrekcji”, że składać się będzie z 5 członków, że będzie jedyną legalną władzą kraju i istotną jego reprezentacją. Wybór przede wszystkim, jak się tego spodziewać należało, padł na pana Andrzeja Zamoyskiego, ale ten stanowczo odmówił przyjęcia mandatu. Wszelako zrzekając się udziału bezpośrednio w tajnym, jak mówił, rządzie, dał poznać, że pośrednio gotów jest dopomagać mu swym wpływem, znaczeniem i radami. Pośrednikiem między nim i przyszłą Dyrekcją, miał być syn, pan Władysław Zamoyski. Majewskiemu nie bardzo się to wszystko podobało. Mówił, że pan Andrzej widocznie chce odgrywać rolę króla konstytucyjnego, a Dyrekcja ma być tylko jego ministerium.

Ale słów takich słuchać nawet nie chciano; w tem zebraniu szlacheckim krzywo patrzano na Majewskiego, utajonego czerwieńca, młodzika i jeżeli go cierpiano, to tylko z musu, tylko dlatego, że miano nadzieję wpływać przez niego na koła rewolucyjne, a nawet ować niemi. Dlatego też zgodzono się na propozycją p. Andrzeja, z urny wyborczej wykluczono zupełnie jego i syna, i zajęto się na koniec ostatecznym składem przyszłej Dyrekcji. Wybór padł na Tytusa Wojciechowskiego i Kurtza z pomiędzy ziemian, a na Kronenberga, Jurgensa i Majewskiego z pomiędzy mieszczan warszawskich. Ta przewa-

444 To jest o tyłu wiemy, gdyż relacja nasza opiera się na dwóch podaniach rękopiśmiennych, częstokroć sprzecznych ze sobą. Że liczba mężów zaufania, przez nas w tekście przytoczona, nie zdaje się być kompletną, świadczy to, że w niektórych województwach znajdujemy po dwóch, a w innych tylko po jednym. Nie ulega zaś wątpliwości, że każde województwo co najmniej dwóch wybrało.

ga żywiołu miejskiego tem się tłumaczy, że Kronenberg był bogaty i z tego powodu w żaden sposób pominąć go nie można było, zaś Jurgens i Majewski byli nader wpływowi w sferach miejskich i rewolucyjnych. Zresztą nie mogło być i nie było w wybranych poważnej i zbyt rażącej różnicy w poglądach na sprawę polską. Już na pierwszych posiedzeniach, jakie nowa Dyrekcyja odbyła, zgodzono się jednomyślnie na to, że nie może być żadnego kompromisu z Rosyą, że Polska winna być państwem niepodległym w granicach przez historiją wytworzonych, że zatem akcyja Wielopolskiego jest zgubną i wszelkimi siłami w ostatecznych konsenkwencyach sprzeciwić się jej należy. Za cel więc swego istnienia i swego działania Dyrekcyja, podobnie jak Czerwieńcy, stawiała powstanie zbrojne dla wywalczenia niepodległości i w zasadniczej kwestyi w niczem od tych ostatnich się nie różniła, tylko środki prowadzące do tego celu miały być inne, chłodniejsze i rozumniej obliczone.

Pod tym względem przyjmowano do pewnego stopnia program Jurgensa, a raczej dawny program Millenerów. Postanawiano koncesyje przyjmować, korzystać z nich, wyzyskiwać je wszelkimi sposobami, rozszerzać, aby tym sposobem wzmocnić się moralnie i materyalnie w ostatniej chwili powstania. Uchwalono wyzyskać w tym celu rady miejskie, powiatowe i gubernialne, które, sądzono, najpodatniejszym będą potem narzędziem. Samo powstanie odkładano na długo, nie tak, jak czerwieńcy, którym się zdawało, że już są gotowi i głośno gadali, że na wiosnę „dosięda owdowiałego siodła”. Jednakże i w Dyrekcyi białych tym razem powstania nie odsuwano w tę nieskończoną, mglistą przyszłość, jak to niegdyś czynili Millenerzy; postanawiano sobie bowiem skorzystać z pierwszych lepszych zawikłań w Europie i chwycić za broń; w ostateczności obliczano, że mniej więcej do r. 1865 wszystko się da przygotować odpowiednio i że wtedy samo powstanie wybuchnie⁴⁴⁵. Na posiedzeniach Dyrekcyi mówiono o tem głośno i wyraźnie, akcentowano w sposób najbardziej stanowczy, że to jest jedynem i wyłącznem zadaniem ruchu obecnego i Dyrekcyi, tego rządu polskiego, za jaki się ona uważała. Zwykle na posiedzeniach Majewskiemu, jako najmłodszemu, dawano głos najprzód. Gdy w łonie Dyrekcyi podniosła się wątpliwość co do celu jej istnienia i zadań, to jest czy ona w rzeczy samej na to się utworzyła i ukonstytuowała, ażeby robić przygotowania do powstania i w końcu samo powstanie wywołać, Majewski wprost stawiał pytanie: więc po cóż istniejemy? po co się tu zbieramy? Odpowiadano mu na to, że dla owładnięcia ruchem, który nie kierowany, albo kierowany rękami szaleńców może zawieść naród nad brzeg przepaści; pytał: a na cóż my mamy owładnąć ruchem, jeżeli nie chcemy z niego wyprowadzać

445 Relacje ustne, bardzo wiarogodne.

ostatecznej konsekwencji, to jest powstania? Jeżeli bowiem idzie o stłumienie ruchu, o słodkie używanie nadanych koncesji, drzemanie na fotelach radców stanu lub rozprawianie w radach prowincjonalnych o funduszach szpitalnych, lub walących się mostach, to dla tak małego, tak marnego celu nie potrzeba tajnych ciał, wielkich przygotowań, spisków, posiedzeń, wyborów, ale dość pójść do Lüdersa i powiedzieć mu, chcemy ci dopomóc szczerze i otwarcie w zgnieceniu ruchu⁴⁴⁶.

Ta logika, nie pozbawiona słuszności, zamykała usta chłodniejszym, zwłaszcza, że zadość czyniła ich tajnym aspiracyom i pragnieniom. Mówiono więc o powstaniu, jako rzeczy nieuniknionej, koniecznej i tak naturalnej jak to, że co dzień słońce wstaje i co dzień zachodzi i już tylko przedmiotem debatów i rozpraw było rozpoczęcie przygotowań na wielką skalę do tego aktu finalnego. Przede wszystkim szło o pieniądze. W tym względzie miano się wziąć do rzeczy tak zręcznie i energicznie, że już w końcu stycznia 1862 r. Dyrekcja posiadała w swej kasie około miliona złotych polskich, a w kilka miesięcy potem przeszło dwa miliony⁴⁴⁷, co zawdzięczała głównie Kronenbergowi, który najprzód sam dał stosunkowo bardzo dużo, a następnie kierował całą tą operacją finansową, że ją tak nazwiemy. Ta szybkość w zgromadzeniu znacznych stosunkowo funduszków napełniła członków Dyrekcyi słuszną dumą i pewnością siebie; poczęli więc bardzo pogardliwie spoglądać na Komitet miejski, który był biedny, bez grosza i przekonani byli, że wcześniej czy później, do nich jako bogatych i sytych, sam przyjść będzie musiał i oni wtedy zostaną samowładnymi panami kraju i poprowadzą go tam, gdzie będą chcieli.

Niemniej jednak, podobnie jak Czerwieńcy, Dyrekcya uważała za jedno z zasadniczych przygotowań do przyszłego powstania, zyskanie chłopca na swą stronę, chwycenie w ręce kwestyi włościańskiej. Zasiadający na sesjach Dyrekcyi szlachcice i mieszczenie przekonani byli, że im się to uda zrobić; marzyli o tem, że zdołają rozwiązać węzeł chłopski własnymi rękami. Majewski razu pewnego wołał, że jeżeli rozwiązanie to, zwłaszcza na Litwie, nie pójdzie tak, jak iść powinno, jeżeli potoczy się nieodpowiednio do myśli powstańczej, to należy się chwycić środków radykalnych. Cóż łatwiejszego, pytał, jak wywołać gdzieś rzeź chłopską, która nauczy opornych dziedziców rozumu. „Niech na Białorusi, lub gdziekolwiek bądź, chłopci zarzną z pięciu szlachciców, a wtedy zawiła ta kwestya sama się rozwiąże prędko i stanowczo”.

Słowa te przyjęto chłodno, a nawet z oburzeniem, ale Jurgensowi tak się one podobały, że zerwał się, pobiegł do Majewskiego i w uniesieniu

446 Z ustnych podań.

447 Materyały rękopiśmienne.

entuzjastycznym, uściskał go serdecznie⁴⁴⁸.

W zakresie innych środków, Dyrekcyja zamierzała, a przynajmniej zastanawiała się i radziła szeroko nad potrzebą wydawania w Paryżu gazety polskiej i francuskiej, których zadaniem z jednej strony byłoby kierowanie umysłami polskimi, z drugiej wyjaśnienie cudzoziemcom istotnego położenia rzeczy polskich. Chciano w tym celu Kraszewskiego, zaopatrzonego w znaczne fundusze, wysłać do Paryża. W końcu postanowiono poprzeć moralnie i materialnie szkołę wojskową polską w Genui pod warunkiem, że wyjętą będzie spod zawiadywania Mierosławskiego. Chciano mieć z niej rozsądnik przyszłych oficerów i wodzów powstania.

Takie to kwestye rozbiegane były na posiedzeniach Dyrekcyi, która z początku, z właściwą charakterowi polskiemu energią i fantazyą, wszystko poruszała, wszelkie zagadnienia zaczepiała i pewna była, że je rozwiąże i zadość im uczyni. Większość jednak tych spraw przypada już na rok 1862, na dalsze czasy egzystencyi Dyrekcyi. Teraz z kończącym się rokiem 1861, faktem było, że uorganizowały się dwa ciała, dwa spiski, stojące naprzeciw siebie, poglądnące na się z ukosa i gotowe do walki o łup Patrokla, o zbroję nie homerycznego bohatera i nie o jego ciało, ale o ciało święte Polski. W tej walce częstokroć zapomniano o celu upartego i pełnego ofiar boju, ale raniono się wzajemnie dla osiągnięcia supremacyi, władzy, chwycenia cugli, które dzierżyły rozhukanego rumaka rewolucyi. Widowisko dla duszy szczerze polskiej przykre, bolesne i udręczające, ale nieostatnie i niejedyne niestety! w tej historii, której obraz ponury roztaczamy przed okiem czytelnika.

Ale przypatrzwszy się temu, co się działo w łonie narodu, w głębiach tajemnych spisku, pełzającego skrycie i w ciemnościach, czas już wielki, byśmy się przenieśli na północ daleką, do stolicy caratu, gdzie rozgrywał się niemniej denerwujący dramat, którego pierwszym bohaterem był Wielopolski. Opowieść o jego zabiegach, usiłowaniach, walkach i sporach, klęskach i zwycięstwach, będzie przedmiotem następnych rozdziałów tej pracy.

Drezno, w rocznicę zdobycia szaniec Woli.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ I TOMU III

448 Loc. cit.

DOKUMENTA

No 1 (do str. 60).

Okólnik grona obywateli wołyńskich do ogółu obywatelstwa ziem ruskich (Z rękopismu współczesnego)

Jakkolwiek jedno narodowe tradycje nas wiążą, a w ostatnich czasach jedno uczucie, jak tchnienie Boże nas poruszyło, jednak ażeby doróść do czynu obywatelskiego, brakuje nam jednoci opinii i tej wspólności zapatrywania się na wypadki bieżące z rozleglejszego stanowiska narodowego, które jedynie może być rękojmią nieomylnoci w każdym przedsięwzięciu obywatelskim.

Potrzeba nam komunikować się, zbliżać, znajomić, udzielać wzajemnie opinie i poglądy na rzeczy, ażeby wszystkie serca jednym uderzyły pragnieniem, wszystkie umysły jednym zapłonęły ogniem. Tylko wówczas myśl wcieli się w czyn społeczny i prawdziwie obywatelski.

Dogadzając tej potrzebie, zechciej pan, przyjąwszy obecnie słów kilka, po obywatelsku i bez przesadzenia udzielić sąsiadom swoim i znajomym opinie i życzenia tu zawarte, co tem snadniej przyjdzie, że opinie te są wyrazem wykształconej większości, a bez wątpienia są i pańskimi.

Wypadki, zaszłe w rozmaitych częściach naszej nieszczęśliwej ojczyzny, wzywają nas do publicznego objawienia naszych uczuć i obywatelskiego, opatrzną myślą kierowanego czynu.

Poznańskie, Galicya, Królestwo Kongresowe wywalczają sobie rozmaitemi drogami uznanie praw narodowych wobec rządów i opinii ludów — ludów Europejskich. W ostatnich czasach i Litwa przyłączyła się do tego ruchu! Przemoc ustępuje przed naciskiem idei, której przewodniczy miłość i prawda. A więc myśl Boża, której tętno w piersiach czujemy, winna się w czyn zamienić, w czyn, świadczący braciom zachodnim, że się ich nie wypieramy w Europie, żeśmy nie przestali być narodem.

Chwila obecna wymaga po nas dwóch świadectw: żeśmy Polacy, żeśmy wszyscy bracia, bez względu na różnicę stanów i wyznań. Przechowaniu w nas nienaruszenie narodowych tradycji pomimo ucisku i nieszczęść społecznych przyświadczymy, gdy upomnimy się u rządu o uznanie i przeprowadzenie naszych praw narodowych i zasad z przeszłości płynących w sprawach religii, wychowania publicznego i administracji krajowej.

Potrzeba, abyśmy się zdobyli na obywatelską odwagę i wypowiedzieli publicznie tak, jak inne części naszej ojczyzny, że zeznajemy, czem jesteśmy, że naszej przeszłości nigdy się nie wyprzemy, ani się jej nie przeniemy, że zmoskalenie nas za pomocą szkół, korpusów, sądownictwa i t. p. jest rzeczą bezużyteczną, że pragniemy szkół polskich i ludowych ruskich, że, posiadając między sobą ludzi wykształconych i chcących pracować dla kraju, możemy mieć swoich urzędników, że Moskali zatem, z ubliżeniem nam do rządu nasyłanych, kraj obdzierających i demoralizujących, na urzędach uznawać nie będziemy, że dla ludu ruskiego, dobrowolną unią z nami przed wieki połączonego, jesteśmy rodzoną bracią, więc o równouprawienie go z nami prosimy; że o poszanowanie jego języka i tradycji, równie o pozwolenie mu uczyć się, wychowywać, pisać, spraw swoich przed sądem bronić i t. d. w jego rodowitym narzeczu, dopominamy się; że, na koniec, wynarodowienie mieszkańców ziem ruskich uważamy za gwałt narodowy, gwałt przeciwko prawom opatrności, któremu z pobudek przyrodzonych, obywatelskich, narodowych i nawet religijnych opierać się będziemy usiłowali.

Jak można najprędzszego objawienia światu i rządowi naszego samouznania narodowego wymaga w nas dobro kraju, przyszłość nasza i losy przyszłych naszych pokoleń, które inaczej czeka zatracenie historyczne, jeśli dziś jeszcze nie wytoczymy sprawy naszej przed trybunał narodów.

Nie potrzebujemy dziś spiskować, broni ostrzyć i t. p. Nasza tylko wola i jedność będą dostateczne do zwyciężenia nieprzyjaciela i wyjednania u ludów uznania praw naszych.

Baczność tylko na to, ażeby wyznanie wiary naszej przed światem nie było dwuznaczne, lęklive, blade. Nie potrzebuje się lękać, kto w imię prawdy przemawia, kto występuje w obronie praw swych odwiecznych. Jest trybunał w Europie, który nam krzywdy nie pozwoli uczynić, jest sumienie ludów nieprzekupne, które nam w duchu i w prawdzie poczynającym, błogosławieństwa swego udzieli, a w nieszczęściu do bratniej nam pomocy pobudzi.

Ażeby dowieść ludowi naszemu, tyle lat zaniedbanemu i okolicznościami demoralizowanemu, jak gorąco pragniemy nie tylko jego uwolnienia i uwłaszczenia, które z radością witaliśmy, ale jego obywatelstwa, uczynimy krok publiczny i donośny na korzyść jego oświaty. Człowiek nieoświecony

nie potrafi być wolnym, nie potrafi z praw swych obywatelskich korzystać. Otóż na odkupienie grzechów naszej przeszłości, gdy dla ludu często byliśmy przyczyną niedoli, a w ostatnich nawet czasach narzędziem niewoli, zrobmy uchwałę funduszu edukacyjnego, dając przytem w każdej wiosce grunt i dworek na szkołkę wiejską. Uchwalając fundusz, obwarujemy, że tylko na oświatę, na pierwiastkach plemiennych obu ludów opartą, fundusz ten przeznaczamy, a administracją temi szkołami i funduszami tylko ludziom swobodnym głosowaniem wybranym powierzamy.

W obecnem położeniu rzeczy, gdy uwłaszczenie ludu, do którego energicznie wziąć się musimy, nie może być przeprowadzone tak spiesznie, iżby sympatją jego dla nas zjednać, krok powyższy jest koniecznym, jako wywiązanie się z obywatelskich naszych względem ludu obowiązków i dla usunięcia resztek niedowierzania i nieufności, przez wrogów posianych i pielęgnowanych, i dla przekonania świata, że nie masz niezgody między ludem na Rusi i szlachtą, że jeżeli były przykłady, iż jeden na drugiego się targnął, to tylko wówczas, kiedy był opętany moskiewskimi wpływami.

Uchwały takiej dokonamy aktem publicznym przez wszystkich właścicieli ziemskich trzech gubernii (Podolskiej, Ukrainskiej i Wołyńskiej) podpisanymi. A jeżeli przemoc nie da nam tych zamiarów do skutku doprowadzić i błogich owoców się doczekać, lub jeśli, co jest najnieprawdopodobniejszem, krok ten nasz przez lud, przy ubocznych wpływach, źle zostanie zrozumiany; to i wówczas jeszcze będzie nasza wygrana, bo, dopełniając świętego obowiązku obywatelskiego, o wiele się zbliżymy do lepszej przyszłości. Bo gdzie są czyny obywatelskie, tam Bóg i cnota zaczynają panować, a gdzie są prawdziwi obywatele, tam musi być kraj niepodległy.

No 2 (do str. 113).

Testament polityczny księcia Adama Czartoryskiego.

(Z odpisu współczesnego).

Dnia 14 lipca 1861.

Chcąc wczesnie ubezpieczyć bieg służby publicznej w emigracyi, aby w żadnym razie nie był wstrzymany, postanowiłem spisać niektóre myśli moje w tym względzie i polecam je uwadze mojej rodziny i mych współpracowników. Jak powiedziałem w ostatniem mojem do rodaków przemówieniu, kraj teraz sam wziął na siebie ster sprawy. Sam on kieruje swemi usiłowaniami i na drodze do celu jemu dobrze wiadomego, przyspiesza lub zwalnia kroku

wedle zasobu sił wewnętrznych i potrzeby ich czasowego zastosowania. Do emigracyi należy dzisiaj opowiadać i tłumaczyć czynności kraju, bronić praw narodowych przed opinią i Rządami Europy oraz zawiązywać i rozwijać te z obcemi państwami stosunki, które Polsce dopomóc mogą i do jej wydobycia się z niewoli i do jej niepodległego w przyszłości życia i działania. Tak pojęte dzisiaj obowiązki emigracyi wchodzą w skład ogólny pracy narodu i żaden wypadek, żadna okoliczność szczęśliwa lub fatalna nie może od tej służby uwolnić tych, którzy dotąd ją pełnili, dopóki Polska sama do swej niepodległości przywrócona, swych przedstawicieli za krajem nie wyznaczy. W tych może już ostatnich próbach, przez jakie kraj przechodzi, potrzeba jest, aby każdy zachował się i ważył sumiennie: czy dla Ojczyzny robi wszystko, co robić może na swem stanowisku, a w miarę, im pełniejsze będzie i jawniejsze życie Polski, tem bardziej wzrastać powinna w swej dzielności jej służba zagraniczna; tem bardziej nawykać do szyku, ścisłości i zbiorowego porządku. Bez tego koniecznego ładu, bez podziału pracy, oznaczonych stanowisk i poczucia się do najściślejszej solidarności, indywidualna gorliwość, choćby najznaczniejsza, często szkodę tylko przynieść by mogła.

Z pociechą niewymowną widziałem, że syn mój Władysław, odkąd doszedł lat dojrzałych, oddał się całej służbie publicznej. Stała się ona dla niego celem i wyłącznem zatrudnieniem. Ufam, że na tej drodze pozostanie, że go z niej nie odwiodą inne zajęcia i względy; że kraj będzie w nim miał zawsze pożytecznego sługę. Jego więc wzywam, aby prowadził dalej dzieło, któremu, bez widoków osobistych lub rodzinnych, lat tyle się poświęcałem, a wzywam go tem śmielej, że własną czynnością i stosunkami zdobył on już sobie wśród obcych stanowisko, na którem skutecznie dzisiejszym zagranicznym potrzebom narodu, dzisiejszemu powołaniu emigracyi dopomóc potrafi.

Syna mojego starszego Witolda błagam, aby jak dotąd z nieporównaną zacnością okazywał chęć pomagania młodszemu bratu, tak i nadal tej samej chęci, tej samej szlachetnej ofiarności składał wciąż dowody i zachował dla niego tę miłość troskliwą, z jaką go stale wspierał i podnosił. Znajdzie, tak działając i szerokie pole służenia Ojczyźnie i nagrodę w swoim sumieniu. Wiem, że pisząc te słowa, nic więcej nie mówię nadto, co jemu własne jego poczciwe serce dyktuje; ale chciałem zarazem, ażeby wiedział, że taka też była i myśl moja.

Od nikogo przez całe życie moje publiczne, nie doznałem tyle dowodów niezachwianej stałości, ile od mojego siostrzeńca generała Zamoyskiego. W licznych przygodach, w długim szeregu starań i zachodów był on mi, niemal zawsze, prawą ręką: nigdy niezłamany i wyżej nad powodzenie i nadzieję kładący obowiązki. Tą samą pomocą będzie on dla mego syna Władysława;

a pamięć mej trzydziestoletniej wspólnej z nim pracy, wiązać będzie ich serca i ręce w dalszym trudzie narodowym.

Jeżeli pośród usiłowań rozlicznych, potrafiłem niekiedy oddać sprawie Ojczyściej jakąś usługę; jeśli nawet same te starania i samo w nich trwanie, bez względu na ich skutek, pożytkiem było dla kraju; zawdzięczam to głównie poparciu moich przyjaciół i współpracowników. Z tych jedni już zstąpili do grobu, zostawiając po sobie żal nieutulony; inni, choć ich wiek przyciska, resztę sił ochoczo przynoszą Ojczyźnie; inni na koniec ostatniej godziny robotnicy, świadczą, że każde pokolenie poczuwa się zarówno do wspólnej powinności. A jak żaden z nich, w złej czy dobrej godzinie, nie odstąpił mnie nigdy i nie odmówił mi swojej światłej, gorliwej i bezinteresownej pomocy; tak, ufam, żaden nie odstąpi też mego syna i nie cofnie się ze swym udziałem, w pracy zacnej i pożytecznej. Dwie myśli towarzyszyły mi na drodze mego żywota; obie równie ważne i prawdziwe; pamiętałem o tem, że „siła rodzi się z jedności” i że „samotnego ściga nieszczęście”. Pierwszą z nich przekazuje mojej rodzinie i innym współpracownikom; drugą synowi mojemu Władysławowi. W każdej z dzielnic naszej ziemi są ludzie, z którymi łączą mnie drogie związki krwi, przyjaźni i dawnych, a nieprzerwanych stosunków. Nie wolno mi żadnego z nich wymienić; przecież chciałbym, aby wiedzieli, jak głęboko wdzięcznością przejęty byłem za wszystko, co dla mnie, a raczej wraz ze mną dla kraju uczynili. Powielekroć, w różnych odezwach moich, przypominałem rodakom ich naglące obowiązki, potrzeby i niebezpieczeństwa sprawy. Dziś, te potrzeby i te obowiązki prawie powszechnie są rozumiane, a mężowie, których naród, tak sprawiedliwie, czią swoją otoczył, zapewnić mogą, w każdym razie, konieczną jedność w kraju i wspólnych usiłowań kierunek. Niech wszakże obywatele krajowi, obok swych ważnych, a pożytecznych zajęć, nie tracą z pamięci, że część istotna służby narodowej zagranicą pełnić się musi; — że bez wielkiej szkody dla całości opuszczoną być nie może; że jej emigracja dopełnić nie potrafi bez współdziałania kraju.

Z głębokim uczuciem pokory i rzewnego przejścia, dziękuję Bogu, że mi dozwolił doczekać chwili, w której przyszłość mojego narodu już z większej niepewności odsłaniać się zaczyna. W długim moim życiu przekonałem się, że ilekroć Pan Wszechmocny spuszczał na nas rękę karzącą, to nie dla naszej zaguby, ale dla naszej poprawy. Ufajmy przeto Jego miłosierdziu; ufajmy przyczynie Naszej Niebieskiej Królowej — a w każdym działaniu, raczej o to się troszczmy, co korzyść wiekuistą, niż o to, co chwilowo, obiecywać się zdaje.

Bądź wola Twoja Panie Boże Wszechmogący!

Adam Czartoryski

N^o 3 (do str. 148).

Wypadki Mławskie.

(Z odezwy litografowanej).

Dnia 25 lipca 1861 r., podpułkownik pułku Ingermanlandzkiego, stojącego w Mławie, o godzinie pół do dziewiątej wieczorem, w czasie śpiewania pieśni nabożnych za Ojczyznę w tanecznym kościele, przyszedł z uzbrojonymi żołnierzami i otoczywszy kościół, pozamykawszy wszystkie wejścia cmentarza, trzymał modlący się lud w takim oblężeniu przez noc całą do 7-ej rano. Wychoźącego z kościoła wikarego, księdza Rządcę, kazał aresztować i zaprowadzić do stodoły, gdzie między żołnierzami zostawał do rana, doznając od nich naigrawiania i prześladowań. Ksiądz ten dotąd jeszcze nie jest wolny. Kiedy lud zamknięty w kościele śpiewał pieśni i modlił się, żołnierze na cmentarzu w przytomności swoich oficerów wyprawiali najbrudniejsze swawole, plugawili poświęcone figury w sposób najszkaradniejszy. Zdarli krzyż z wizerunkiem Chrystusa i obraz Matki Najświętszej z figury stojącej na cmentarzu, a połamawszy je, pytali swego pułkownika, co z tem mają zrobić? Ten im odpowiedział: „rzucić w kloakę” (czy to zrobiono nie wiadomo, ale że tak mówił, słyszeli ludzie koło cmentarza stojący). Oficerowie, pijąc herbatę na cmentarzu i paląc cygara, wchodzili do kościoła, zaczęli modlące się tam kobiety w najnieprzyzwoitszy i najbardziej znieważający sposób, to słowami, to nawet czynnie. Wypuszczony na drugi dzień naród błąkał się po ulicach prawie w rozpacz, nie śmiejąc wejść do świątyni, tak niegodnie znieważonej przez wroga. Ks. Hipczyński (sic), proboszcz, doniósł o tem naszemu czcigodnemu Arcypasterzowi. Ten z pewnością zrobi wszystko, co będzie mógł, lecz czy znajdzie sprawiedliwość u rządu moskiewskiego? Wrogi zaprą się tego postępku, powiedzą, że to nieprawda, sądząc, że Boga i świat cały oszukają słowem wyrzeczonym z rozkazu cara lub jego wiernych służalców.

Taki to czyn wrogów naszych podajemy do wiadomości wszystkich braci. Jest to jeden dowód więcej świętokradztwa popełnionego przez nich już tyle razy w Warszawie, jest to czyn godny iść w parze z morderstwem niewinnego i bezbronnoego ludu. O! jak podły, a zarazem bezsilny jest wróg nasz. Bezsilny, bo aż w zbrodni szuka oręża na nas bezbronnych, mających tylko miłość Ojczyzny w sercach, wiarę i nadzieję w miłosierdzie Boga, i pieśń błagalną za Matkę Polskę w ustach. My tą miłością, tą modlitwą zbrojni, nie powinniśmy się lękać wrogów. Z nami Bóg i Matka Jego, Królowa polska. Przeciwno nim szereg zbrodni i gwałtów przez tyle już lat popełnianych, przeciwno nim sprawiedliwość Boska, która karać będzie, jak już i dziś karze zaślepieniem obrazy wyrządzone sobie i swoim świątyniom.

Ty ludu miejski! wy mieszkańcy miast! waszym całym skarbem i największym dobrem jest religia i Kościół, i proście Boga, aby zniszczył wrogów naszych, aby nie pozwolił odjąć nam tej pociechy, jaką daje modlitwa, aby nie dozwolił znieważać świątyń Pańskich i kapłanów, a lud modlący się mordować, lub skazywać na męki. Módlcie się i kochajcie Boga i Polskę! Silni już jesteście, silniejsi będziemy za Boską pomocą, a dzień walki z wrogiem będzie ostatnim dniem naszej niewoli.

Z Warszawy d. 1 sierpnia 1861 r.

No 4 (do str. 150).

**Wezwanie Polaków wyznania Mojżeszowego
do nabożnego obchodu rocznicy Unii Litwy z Polską.**

(Kopia z druku).

Dnia 12 sierpnia 1569 r. po sto ośmdziesięcioletniem bratniem złączeniu się między Litwą i Polską, w Lublinie nastąpiło ostateczne zlanie. Połączenie to przetrwało cały czas niepodległego życia Polski i niczem nie zmącone zespoliło w taką niepodzielną całość oba narody, że wszystkie usiłowania ciemieżców naszych, do rozerwania tego węzła dążące, żadnego nie odniosły skutku. Dziś, gdy z przebudzeniem się życia narodowego, na całym obszarze Polski obchodzimy świetniejsze epoki z naszej przeszłości, na jakich nam nie zbywa, przez dziękczynne nabożeństwa i objawy powszechnej radości, i my Polacy-żydzi, mający dać drugi przykład bratniego połączenia się, udział w tem przyjąć powinniśmy. Rocznicę Unii obchodzić będziemy solennie nabożeństwem w d. 12 sierpnia 1861 r. w poniedziałek, o godzinie 9 rano w synagogach: przy ulicy Daniłowiczowskiej i Nalewkach, zamknięciem sklepów i wieczór rzęsiem oświetleniem mieszkań. Żałoba na ten dzień uroczysty zrzuca się.

Jak owa Unia była świadectwem zlania się dwóch narodów, oby jej obchód doroczny stał się nową rękojmią trwałości naszego z rodakami pojednania i dalszej wspólnej pracy narodowej.

No 5 (do str. 173).

Odezwa z d. 13 sierpnia 1861 r.

(Kopia z druku).

Dzień 12 sierpnia, jako wiecznie pamiętną rocznicę zjednoczenia Polski z Litwą, rocznicę jedynego faktu w historii, gdzie miłość złączyła dwa ludy w jeden naród; dzień ten, ziomkowie, święcimy. Lecz 15 tego miesiąca jest dniem imienin monarchy, z którego imieniem rodzinnem połączone są wprawdzie wspomnienia naszej chwały i walk naszych, naszych ofiar i cierpień, ale on sam ani słowem, ani czynem nie dowiódł, że pamięta, co Bóg i świat cały wiedzą, że jest naszym dłużnikiem. Zachowajmy dla niego tradycyjne sympaty, lecz dzień jego imienin nie jest świętem narodowym, a wszelkie obchodzenie go uroczyste byłoby tylko niewczesnym pochlebstwem, nieodpowiedniem godności naszego narodu”.

No 6 (do str. 223).

**Nota podana 6 września 1861 r. hr. Lambertowi
przez ks. kanonika Józefa Wyszyńskiego p. t. Myśli o uspokojeniu Polski.
(Z rękopismu współczesnego).**

Środki uspokojenia zależeć będą od sposobu ocenienia ruchu narodowego w Polsce, w związku z zasadami prawa publicznego, nabywającymi coraz większego znaczenia w Europie i przypuszczalnym kierunkiem rozwoju sił wewnętrznych Rosyi.

Zbadanie objawu ducha publicznego Polaków w Galicyi i w Poznańskim, objawów zupełnie zgodnych z duchem wypadków zaszłych w prowincjach polskich, należących do Rosyi, dostatecznie dowodzi, że Polacy przede wszystkim starają się o zyskanie podstawy legalnego bytu, która by zapewniała wszystkim częściom dawnej Rzplitej środki postępu moralnego i materialnego w duchu cywilizacji narodowej.

Dążenie to przecież nie przesądza wcale form, jakie przyszłość zachowuje w swem łonie dla narodu chciwego życia, a tem samem nie narusza bynajmniej dziś istniejących podziałów terytorjalnych. Dążenie to jedynie daje ludowi zdolnemu i wrażliwemu nadzieję lepszego powodzenia, które chwilowe klęski mogą tylko opóźnić, ale nie osłabić, ani zniechęcić. Mylnieby było przypuszczać, że bierne zachowanie się ludu wiejskiego, lub różnica dyalektu i liturgii, potrafią inaczej wpłynąć na wzmiankowane dążenia, jak to, że podnie-

cą jeszcze i popchną do najrozleglejszego zastosowania zasad przyciągających masy, których biernie nawet zachowanie są jedynie następstwem rozbudzenia się instynktu wolności.

Przyszłe wypadki rzucają niejaki cień, zapowiadający je z dala, dlatego nieroztropnie by było opuszczać z uwagi, jak wielką siłę dośrodkową i odśrodkową nabyć może zasada narodowości, świeżo wprowadzona do europejskiego publicznego prawa.

Byłoby to zaślepieniem nie widzieć, że Rosya wchodzi na nowe koleje historii, zupełnie różne od przebieżonych w ciągu ubiegłych 150 lat i że mając na uwadze konieczne stopniowanie przejścia, nie można już przecie bez niebezpieczeństwa trzymać się zasad, które dotąd posługiwały do ukształcenia narodu w duchu rządu wojskowego; zasad mających odtąd kierować działaniem sił indywidualnych, powołanych do współdziałania w rozwoju materialnej pomyślności państwa.

Trudno byłoby zaprzeczać, że Rosya i rząd jej zamiast zużywać swe siły na zniweczenie, a raczej na przyprowadzenie do ostateczności narodowego ruchu Polski, daleko by więcej odniosły korzyści ze starania kierowania tym ruchem, a przynajmniej nie dopuszczenia mu wyjścia z korbów. Osiągnąć zaś to można nie tylko ustępstwami administracyjnymi, a nawet instytucjami reprezentacyjnymi, nadanymi Królestwu Polskiemu, ale nadto i przede wszystkim, przez udzielenie ustępstw żywiołowi polskiemu w dziewięciu guberniach, nazwanych zachodnimi, pod względem wychowania publicznego, używania języka polskiego w urzędzie i tolerancji religijnej.

Przede wszystkim więc należy uznać cały obszar dawnej Polski za prawne pole, na którym jawnie mogłoby się rozwinąć spokojne działanie cywilizacyjnych dążeń ducha polskiego w granicach zakreślonych z dobrą wiarą z jednej strony wymaganiami bezpieczeństwa Państwa Rosyjskiego, z drugiej strony zachowaniami zasadami moralności.

Przywrócenie w dziewięciu guberniach zachodnich stanu rzeczy, jaki istniał w ciągu pierwszej ćwierci bieżącego stulecia pod panowaniem cesarza Pawła I i Aleksandra I, byłoby obiecującym postępem na drodze zupełnego uspokojenia kraju. Co do Królestwa Polskiego, ponieważ jest bardziej jednolite, to należało by mu wyraźniej przyznać prawa bytu kraju oddzielnej narodowości, a jako rękojmią tego uznania przede wszystkim nadać radom wybranym prawa kontroli nad zarządem.

Postępując z dobrą wiarą drogą wytkniętą, wyłożonemi wyżej zasadami, rząd niezawodnie potrafiłby uspokoić Polskę, a to tem pewniej i trwalej, im rozleglejsze zostawione by było pole dla narodowego działania. Nadto, Rosya i rząd jej nie pozbawiłyby się na przyszłość możliwości korzystania z następcza-

jących się środków do prowadzenia mniej więcej federacyjnego, w przypuszczeniu, że duch narodowy Polski pójdzie wskazanym wyżej torem.

No 7 (do str. 224).

**Memoryał Aleksandra Jackowskiego, członka Rady Stanu,
złożony namiestnikowi Lambertowi.
(Z współczesnego rękopismu).**

Zaszczycony zaufaniem monarchy przez powołanie mnie do zasiadania w Radzie Stanu Królestwa Polskiego, jako Polak i obywatel tego kraju winniem zachować szczerłość i otwartość w stosunkach z rządem, dotyczących spraw i położenia kraju.

Obowiązek ten tem sumienniej spełnić mi należy w obecnej chwili względem Waszej Ekscelencyi, bo Monarcha Wam powierzył rozpoznanie rzeczywistych potrzeb i ogólnych życzeń Narodu polskiego — od zaspokojenia których pomyślność ojczyzny mojej zależy.

Ustawa w Radzie Stanu w art. 31 w związku z art. 24 pozbawia mnie możliwości czynienia przedstawięń dotyczących zasad rządu, a położenie kraju według głębokiego mojego przekonania wymaga rozpatrzenia tych zasad i ustalenia ich wedle potrzeb i życzeń narodu; bez tego bowiem wola Monarchy, pragnącego szczęścia tego kraju, spełnioną być nie może.

Nie mogąc więc bez naruszenia ustawy przedstawiać w Radzie swoich uwag, poczytuję za obowiązek sumienia względem Monarchy i kraju uczynić to bezpośrednio Waszej Ekscelencyi, jako swojemu w Radzie Prezesowi.

Rada Stanu Królestwa Polskiego, tak jak jest postanowioną, powinna być instytucją zasad i stróżem legalności; obok tego powołaną ona została do wykazywania potrzeby nowych urządzeń i zmiany dawniejszych, o ile one zasad rządu nie dotyczą. Do składu jej, oprócz urzędników, wprowadzono dygnitarzy duchownych i obywateli, aby interesa i sprawy kraju wszechstronnie rozpatrywane być mogły i ku jego pomyślności załatwiane były.

Aby tak postawiona instytucya rzeczywiście na potrzeby kraju działać mogła i spełniała powołanie, przez Monarchę jej naznaczone, konieczną jest rzeczą, aby stosunek rządu z krajem na stałych i jasnych oparty był zasadach i aby zasady te, wysnute z rzeczywistych potrzeb kraju, były w zgodzie i harmonii z moralnemi jego wymaganiami, bez których uwzględnienia materyalne nawet rozwinięcie nie jest możliwem.

Lecz zasady rządu nie mogą być w sprzeczności z tradycją historyczną narodu i prawami jemu przyrodzonymi, bo sprzeczność taka wywołuje konieczność rządu, wyłącznie na materyalnej sile opartego, a rząd taki wyklucza wszelką możliwość zasad, stanowiących moralny jego z narodem stosunek.

Rząd taki może istnieć tak długo, dopóki niszczeniem kraju sam siebie nie osłabi; ale nie mając żadnego moralnego z krajem stosunku, nie może mieć założenia (sic) pomyślności kraju i nie znosi żadnych instytucji z łona kraju wysnutych, pożytek jego, moralne i materyalne rozwinięcie na celu mających.

Przyrodzonymi i koniecznymi warunkami bytu mieszkańców naszego kraju, jego moralnego i materyalnego rozwinięcia jest narodowość i zupełna autonomia na legalności oparta; kto chce jego rozwoju i szczęścia, ten przede wszystkim zasady rządu na dwóch tych warunkach oprzeć musi. Rząd, pomijający te warunki, nie może mieć innego punktu oparcia, jak siłę materyalną; a taki rząd wszelkie instytucje krajowi nadane wkrótce w drodze represji zwinąć będzie zmuszony i instytucje te, zamiast wpływać na rozwój kraju, narażać tylko będą i zużywać ludzi do nich powołanych.

Rzut oka na stosunki rządu Królestwa Polskiego w ciągu ostatnich lat trzydziestu jest świadectwem prawdy niniejszego poglądu.

Wstąpienie na tron dziś nam panującego Monarchy ożywiło nadzieję doczekania kresu ucisku i niesprawiedliwości.

Naród, pozbawiony wszelkiego organu do bezpośredniego stosunku z Monarchą, powziął myśl odezwania się przez adres, aby rzeczywiste swe potrzeby i gorące życzenia wypowiedzieć.

Wyrazy Najjaśniejszego Pana: „Królestwo Polskie jest na zawsze połączone z wielką rodziną cesarsko-rosyjską”, wyrzeczone do zebranych obywateli w czasie pierwszego pobytu w Warszawie, uwzględniające prawa tego kraju i wskazujące wyraźnie na zupełną jego autonomię pod unią osobistą, powstrzymały wykonanie tej myśli narodu.

Cierpliwie wyczekiwał on chwili łaskawego wejrzenia na sprawy kraju i wprowadzenia zmian w zasady rządu, potrzebom i życzeniom ogólnym odpowiednich. Gdy lata ubiegały na bezowocnym wyczekiwaniu, a uczucie potrzeb i życzenie zmian wzmagало się — adres podanym został.

W dalszej kolei czasu wyrazy cesarskie do Księcia Namiestnika w liście z dnia 25 lutego (9 marca) b. r. „poświęcam wszelkie starania moje ważnym reformom, jakich bieg czasu i rozwinięcie potrzeb w państwie moim wymagają. Poddani moi Królestwa Polskiego są przedmiotem równej ze mojej troskliwości. Wszystko, co może zapewnić ich pomyślność, nie znajduje i nie znajdzie mnie obojętnym”.

Nadanie krajowi instytucji z wyboru i wstęp do postanowienia nadawczego z d. 4/16 marca b. r., w którym powiedziano: „w ciągłej troskliwości o dobro poddanych naszych Królestwa Polskiego, pragnąc rozwinąć i ulepszyć instytucje tego kraju” — przywrócenie Komisji rządowej Wyznań religijnych i Oświecenia Publicznego, postanowiona reforma szkół oraz ustanowienie zakładów, naukowych wyższych, których kraj lat trzydzieści był pozbawiony; treść okólnika ks. Górczakowa, ministra Spraw Zagranicznych Cesarstwa z d. 22 marca (3 kwietnia) b. r. wydanego do rosyjskich ambasad i misji z powodu nadanych Królestwu Polskiemu instytucji i zapowiedzianych reform, a mianowicie wyrazy: „Wolą jest Najjaśniejszego Pana, aby wszystko przez Niego nadane było prawdą” — odezwa księcia Namiestnika z d. 20 marca (1 kwietnia) b. r., w której mówi: „Polacy, instytucje najłaskawiej nadane Królestwu Polskiemu przez Najjaśniejszego Pana są rękojmią dla interesów waszego kraju, dla interesów najdroższych sercom waszym, religii i narodowości waszej” i w końcu list Najjaśniejszego Pana do Waszej Ekscelencji, powierzając mu losy tego kraju napisany. Zgoła wszystkie, dopiero tu powołane, tak ważne i uroczyste dokumenta, włożyły w cały naród jak najmocniejsze przekonanie, że łaska Monarchy ogarnęła kraj swą opieką, że zatem skończył się systemat rządu, w zupełnej sprzeczności z istotą bytu narodu i jego potrzebami będący.

Wygląda tedy naród reform, które wytworzyć mają rząd z rodzinnych złożony żywiołów i oparty na jasnym prawie zasadniczym, osłaniającym zupełną autonomią i narodowość tego kraju, bo taki tylko rząd, czyniąc zadosyć moralnym wymaganiom kraju i głównym warunkom istoty jego bytu, wytworzy zaufanie, uspokoi umysły i da możliwość rozwinięcia dla dobra kraju umysłowych i materyalnych jego zasobów.

Taki tylko rząd da się pogodzić z instytucjami z wyboru pochodzącymi i przy takim tylko rządzie Rada Stanu, na straży praw stojąca, zaczęła by dopiero mieć rzeczywistą przyczynę istnienia.

Lecz spodziewana przez naród reforma rządu uległa zwłóce, stąd umysły się niepokoją, a wyznać potrzeba, że w miejsce nadziei rozpacz wstępować w naród zaczęła, odkąd objaśniono sądy krajowe, że w Królestwie nie przestają obowiązywać prawa wojenne, w kraju tym nieznanne. Kraj na drodze kryjomej, bo żadna publikacja nie miała miejsca, dowiedział się także, że każda miejscowość podług uznania władzy może być ogłoszoną w stanie wojennym.

Że boleść kraju jest wielką, wyrozumieć łatwo, bo w rzeczy samej, jeżeli sądy wojenne były swego czasu koniecznością logiczną systematu tępienia narodowości, to po oświadczeniach monarchy, dających zapewnienie rozwoju narodowości polskiej, są zupełną sprzecznością — bo ustawiają dwie narodowości, pod jednym berłem żyjące, w stosunek wyradzający nienawiść,

z której mściwość się rodzi; bo Polak zdaje się dlatego tylko być pod sąd wojenny poddanym, aby był przez Rosyan sądzonym, ilekroć poważy się zbyt żywo objawić miłość swej narodowości. W tem położeniu rzeczy, trudno zaiste spodziewać się, aby kraj ufnością otoczył tworzące się instytucje lub ażeby ludzie do nich powołani pojmowali się właściwymi (sic) w stanowisku, z którego bezpieczeństwa nawet osobistego mieszkańców osłonić nie można; a skoro tak jest, wszelkimi innemi sprawami na próżno byłoby się zajmować. Istotnym warunkiem rozwoju takich instytucji jest wiara kraju w trwałość zaprowadzonego porządku rzeczy, lecz tę wiarę dać tylko może jasna ustawa zasadnicza, dająca rękojmię przyszłego rozwoju pomyślności kraju przy udziale przedstawicieli narodu.

Rząd zdawał się uwzględniać tę potrzebę krajową, dopuszczając w ustawie o Radzie Stanu, aby prośby w przedmiotach, załatwienia rządowego wymagających, były do Rady Stanu podawane: ale ograniczając mieszkańców, aby zasad rządu nie wazyli się dyskutować, pozbawił ich tem samem nadziei, aby na tej drodze pogodzenie widoków rządu z potrzebami narodu, kiedykolwiek nastąpić mogło — tym sposobem instytucje świeżo nadane, nie porzucając ani narodowości, ani autonomii, stanęły na tym punkcie, z którego zarówno do swobody, jak i do ucisku droga prowadzi.

Pamięć panującego tu ucisku, gdy zarząd miejscowy zwolnionym został od poszanowania nawet statutu Organicznego Królestwu Polskiemu nadanego, budzi w każdej okoliczności w mieszkańcach tak straszne wspomnienie, że pod wpływem obawy, aby ów stan rzeczy nie wrócił, cała ludność wpada w stan rozpacz, z którego wywiązuje się gotowość do ofiar i męczeństwa, jak tego dowiodły niedawne krwawe wypadki.

Powtarzać się one nie przestaną, dopóki łaska Monarchy nie uwzględni cierpień narodu, dając mu ustawę zasadniczą z dopuszczeniem reprezentacji narodowej.

No 8 (do str. 261).

Adres szlachty powiatu rohaczewskiego.

1861 roku 10 (22) października, szlachta gub. mohilewskiej, pow. rohaczewskiego, zgromadziwszy się na zjeździe powiatowym dla wyborów trzechletnich, poczynając od r. 1861, postanowiła korzystać z praw umieszczonych w t. IX, rozdziale 108, wydanym w 1857 r., a rozważywszy swoje korzyści i potrzeby, postanowiła:

1. Zanieść do stóp tronu najgłębsze i najpokorniejsze podziękowanie Najjaśniejszemu Panu za łaskawe przyjęcie prośb szlachty o zniesienie prawa poddaństwa.

Ten wielki wypadek obudził w sercach szlachty rohaczewskiego powiatu nadzieję, że to dopiero jutrzeńka panowania N. Pana i tych wielkich zmian, którym ono dało tak piękny początek. Szlachta powiatu rohaczewskiego cieszy się błogą nadzieją, że N. Pan, dając osobistą swobodę włościanom, raczy przywołać także szlachtę do życia obywatelskiego. Szlachta powiatu rohaczewskiego, zachowawszy w pamięci prawa i przywileje, z jakich korzystała za panowania Najjaśniejszych poprzedników Waszej Cesarskiej Mości i za panowania królów polskich, dziś postanowiła najpokorniej prosić Waszą Cesarską Mość o przywrócenie tych praw i przywilejów, zachowanie których uroczyście obiecanem było w traktatach cesarzowej Katarzyny II.

2. Prosić o przywrócenie języka polskiego tak w szkołach, jak i w sądownictwie.

3. O przywrócenie publicznego i głośnego sądownictwa.

4. O przyłączenie powiatu rohaczewskiego oraz całej gubernii do gubernij litewskich, z którymi ona od dawna była połączoną.

5. O przyłączeniu okręgu naukowego gubernii mohilewskiej do okręgu wileńskiego.

6. O przywróceniu na dawnych przywilejach uniwersytetu wileńskiego.

7. O danie zupełnej swobody wszystkim wyznaniom chrześcijańskim, dozwalając im budować kościoły, modlić się gdzie zechcą i jak zechcą, a przy połączeniu ślubem małżeńskim różnego wyznania osób, dozwolić rodzicom chrzczyć dzieci w jakiej zechcą religii.

Wszystkie te wypowiedziane żądania szlachty powiatu rohaczewskiego oparte są na prawach i przywilejach, jakimi się ona od dawna rządziła na Białej-Rusi. Prawa te potwierdzono w traktacie w 1773 r., gdzie cesarzowa Katarzyna II, za siebie i za następców swoich, uroczyście obiecała zostawić język polski w nowo zdobytych przez nią prowincjach, nie zmieniać praw i ustaw narodowych dla ogólnego dobra Białej-Rusi, wszystkim wyznawcom rzymsko-katolickiej religii, tak uniatom, jak i katolikom, którzy na zasadzie drugiego artykułu tegoż traktatu przeszli pod jej panowanie, zostawić zupełną swobodę wyznania; oprócz tego zabezpieczyć zachowanie na wieczne czasy wszystkich przywilejów, obrządków kościelnych, praw własności każdego szlachcica w kraju, który na mocy wyżej nadmienionego traktatu przeszedł pod panowanie Jej Cesarskiej Mości.

Cesarz Aleksander I, na kongresie wiedeńskim w obliczu całej Europy, uroczyście oznajmił, że wszystkie prowincje oddzielone od Polski złączy w jedno i zaprowadzi w nich rząd narodowy reprezentacyjny.

Przy wstąpieniu na tron Najjaśniejszego Aleksandra II, nadanie praw włościanom obudziło w sercach szlachty nadzieję i życzenie uproszenia dla siebie praw, z jakich korzystała dawniej, a których wspomnienie zostaje głęboko wyryte w jej sercach.

Szlachta rohaczewskiego powiatu zasyła prośbę swoją w nadziei, że Najjaśniejszy Pan nie odrzuci jej i powróci prawa i przywileje. Dla nadania zaś swobody osobistej i obywatelskiej wszystkim klasom cesarstwa, pozwoli wybranym deputowanym przedstawić prośby o potrzebach wszystkich poddanych W. C. M. W nadziei tej, szlachta powiatu rohaczewskiego, spisawszy w niniejszym akcie swoje chęci, poleca gubernialnemu marszałkowi, przedstawić je Najjaśniejszemu Panu.

No 9 (do str. 345).

**Akt odnowionej unii Horodelskiej,
spisany w Uściługu d. 10 października 1861 r.**

My obywatele Rusi, zgromadziwszy się w mieście Uściługu nad Bugiem, dla połączenia się z bracią pozostałych części Rzeczypospolitej polskiej w akcie zbiorowego uznania i odnowienia wiekopomnej Unii Horodelskiej, gdy na zawadzie znaleźliśmy przymus rządowy, ograniczamy się najuroczystszem, w imieniu własnem i współobywateli naszych, oświadczeniem, że od rozbioru kraju podziś dzień, uczucie jedności i powszechnego braterstwa łączy nas ze wszystkimi braćmi z nad Wisły, Warty, Niemna i Dźwiny, w jednej nieśmiertelnej Ojczyźnie naszej, Polsce.

(Podpisy)

No 10 (do str 393).

Uchwała o zamknięciu kirchy luterskiej.

Działo się w Warszawie w Sali nad zakrystyą kościoła na nadzwyczajnem posiedzeniu kollegium kościelnego paratii Ewangelicko-Augsburskiej warszawskiej dnia 17 października r. 1861 o godz. 6 po połud. Obecni: Szlenker Ksawery Prezes, Najprzewielebniejszy X. Ludwigo, Wielebny ks. Otto Leopold, Berensee Jan, Heinrich Adolf, Jende Daniel, S... L... Strasburger Edward, J... L..., Adolph August, Anders Edward, Bakka Stanisław, Gerlach Wilhelm,

Haubold Karol, Kloetzer Krystyan, Krause Aleksander, Krause Jan, Lampe August, Lampe Jan, Lentzki Aleksander, Liedtkie Jan, Manitius Herman, Szlenker Karol, Steinmetz Jan.

Dowiedziawszy się, że z rozkazu Administratora Archidiecezyi Warszawskiej, wszystkie kościoły rzymsko-katolickie w Warszawie zostały zamknięte — w obawie, aby ludność miejscowa, pozbawiona Przybytków przeznaczonych na nabożeństwa, nie zebrała się w przyszłą niedzielę w kościele Ewangelicko-Augsburskim i nie zaintonowała śpiewów obecnie przez Władzę zabronionych, a tem samem, aby kościół Ewangelicko-Augsburski i osoby zebrane na nabożeństwo nie były narażone na skutki zapowiedziane punktem 10-tym Rozporządzenia przez Władzę policyjną w dniu wczorajszym wydanego i w Nrze 249 „Gazety Policyjnej Warszawskiej” ogłoszonego. Kollegium kościelne, nie posiadając żadnego środka zapobieżenia takowym śpiewom, ma zaszczyt niniejszem zapytać się Wysokiego Konsystorza, czy by nie uznał za stosowne, aby i kościół Ewangelicko-Augsburski od przyszłej niedzieli, to jest od d. 20 b. m. do dalszej decyzji był zamkniętym, a tem samem aby zwykłe nabożeństwa zawieszony w nim zostały.

Kollegium kościelne przed Niedzielą, czyli dniem powyższym, oczekiwać będzie decyzji Wysokiego Konsystorza, gdyż skoro by takowa nie nadeszła, Kollegium dla wyżej przytoczonych powodów byłoby zmuszonym samo zamknięcie kościoła zarządzić. Powyższy raport Kollegium kościelne do rąk własnych J. W. Prezesa Konsystorza przedstawić uchwaliło.

(Podpisano) Ksawery Szlenker — X. J. Ludwig — X. L. Otto - J. Lampe — K. Kloetzer — W. Gerlach — L. S. — Liedtkie — August Lampe — Werner — D. Jende — A. Adolph — A. Heinrich — K. Haubold — J. Heinrich — St. Bakka — E. Strasburger — Karol Szlenker — A. Krause — Berensee — A. Krause — A. Lentzki — H. Manitius — L. J...

No 11 (do str. 473).

Kalisz, d. 31 października 1861 r. — Konsystorz jeneralny kaliski do Wgo naczelnika powiatu Kaliskiego.

„Zdumiała Konsystorz odezwa Wgo naczelnika z d. 29 b. m. i r., żądająca od niego wydania polecenia do duchowieństwa, aby nie odprawiało żadnych procesyi, nawet przez Kościół św. dozwolonych oraz aby żądało pozwolenia na odpusty, od p. o. naczelnika wojennego kaliskiego, a to wskutek reskryptu tegoż naczelnika wojennego — a zdumiała zaś raz dlatego, że podobne

rozporządzenia nie są zgodne, ani z wolnością religijną, ani z powagą władzy; drugi raz dlatego, że Konsystorz od naczelnika wojennego, jako władzy sobie równej, żadnych rozkazów przyjmować nie może i nie będzie; lecz je przyjmuje tylko od dyrektora głównego, prezesującego w komisji rządowej wyznań i oświecenia publicznego, lub od JW. Biskupa. — Nadto Konsystorz wie i oświadcza, że naczelnik wojenny nie może według swego widzimisie kościołami rozrządzać, ani odpustów udzielać; że on i wszelkie władze w kraju cywilne i wojskowe mogą tylko zajmować się porządkiem po ulicach lub szynkach, a nie w kościołach, które, jako domy Bogu poświęcone, są pod wyłącznym dozorem władzy duchownej i wszelkiej nietykalności używają z prawa; że pozwolenie na odpusty udziela tylko Ojciec św., a nie żołnierze, o ich zaś odbywaniu zawiadamiają każdego dzwony kościelne. Nie może więc Konsystorz i nie będzie zakazywał Duchowieństwu swemu żadnych procesyi ani odpustów. O tej decyzyi Konsystorza zechce Wny naczelnik uwiadomić p. o. naczelnika wojennego i prosić go, aby Konsystorz od podobnych odezwwolnić zechciał raz na zawsze.

(Podpisano) X. J. Lisiecki, oficyał. — X. Modrzejewski, sekretarz.

II.

Kalisz, d. 31 października 1861 r. — Konsystorz jeneralny kaliski do szanownego duchowieństwa oficyałatu Kaliskiego.

W ciągu całego czasu obecnego rozstrojenia w kraju, duchowieństwo tu-tejszego oficyałatu spełniło swe obowiązki, jako stróży wiary, prawych synów ojczyzny i miłośników pokoju w kraju z całą powagą i poświęceniem, które Konsystorz uwielbić musi i swe zadowolenie publicznie wynurzyć. Obecnie, kiedy przy stanie wojennym w kraju, mogą złej woli ludzie tamować mu dalszy rozwój tych świętych postępów, Konsystorz widzi się zmuszonym przemówić do niego, by je na tej drodze utwierdzić. Poleca więc Konsystorz szan. Duchowieństwu, *sub onere conscientiae*, aby wszelkie obrzędy religijne z dawną powagą, pobożnością i duchem miłości chrześcijańskiej wypełniało; aby lud wierny w smutnych czasach dzisiejszych do pokuty, do pobożności i modłów zachęcało słowem i przykładem; aby zwykłe procesye, potrzeby i odpusty z dotychczasową świetnością odbywało, jak to dotąd praktykowane było w kościołach. Odezwę tę poda X. Dziekan natychmiast do wiadomości duchowieństwa i zastosowania się.

(Podpisy jak wyżej)

SPIS ROZDZIAŁÓW TOMU III

Rozdział IX. Sezostrys. Suchozanet, jego przeszłość i charakterystyka. Przyjęcie duchowieństwa i kupców. Jego postępowanie. Choroba i śmierć Joachima Lelewela. Nabożeństwa za niego w kościołach warszawskich. Garliński w ogrodzie Saskim. Nabożeństwo w Wilnie i synagogach warszawskich. Pieśni, obrazki, emblemata. Odezwa Rozwadowskiego. Rozporządzenia szkolne. Organizacja Komisji oświecenia i prace nad reformą szkół. Sprawa korespondentów i Wacław Szymanowski. Kazimierz Wł. Wójcicki i jego dymisja. „Książka zbiorowa”. Obozowiska uliczne. Tuczko odmawia przyjęcia namiestnictwa. Przegląd wojsk i Ilia Arseniew. Jego korespondencje. Komitety tajne. Aresztowania i policja. Wypadki w Suwałkach i Rudanowski. Obchód rocznicy bitwy Ostrołęckiej. Pogrzeb topielca w Płocku. Popłoch w Ratowie. Sprawa Mysłowskiego w Lublinie. Ruch w Białymstoku i przyjazd tam Zamoyskiego. Agitacja w Kownie i Wilnie. Straże na Wołyniu. Obawy rzezi chłopskiej na Ukrainie. Uroczystość wianków w Warszawie. Poświęcenie grobu poległych i reskrypt Wielopolskiego. Rozkaz do wojsk z d. 2 lipca i okólnik z d. 9 lipca. Ukaz Radzie stanu. Artykuł „Gazety Polskiej” i nominacje do Rady stanu. Mowy namiestnika przy otwarciu tejże. Burza przeciw Wielopolskiemu. Cenzura. Sprawa kolorów narodowych. Skarga Wielopolskiego w Radzie administracyjnej. Stan miasta. Zapowiedź manifestacji. Adres angielski i odpowiedź nań Czartoryskiego. Rozprawy w izbie niższej o Polsce. Manifestacja przed konsulem angielskim. Kocie muzyki w Radomiu i Kaliszu. Usposobienie ludu. Kometa i emisariusze. Zakończenie. Str. 1 do 107.

Rozdział X. Mój Hamlet. Reforma policji. Śmierć Czartoryskiego. Nabożeństwo żałobne. Scena z arcybiskupem. Oburzenie kamarylli na Wielopolskiego, który podaje się do dymisji. Zygmunt Wielopolski jedzie do Petersburga. Rozkaz cesarski. Spokój pozorny. Nabożeństwo w kirsze luterskiej. Stanowisko Prus wobec kwestii polskiej. Usposobienie miasta. Procesja do Częstochowy. Zjazd w Zamku na imieniny cesarzowej.

Manifestacja w kościele. Wybijanie szyb wieczorem. Mniemane zabójstwo Antoniego Polaczka. Awantura w ogrodzie Saskim. Szkółki elementarne. Braterstwo z żydami. Pojawienie się „Jutrzenki” i „Strażnicy”. Nadużycia i gwałty na prowincyi. Podróż Nazimowa po Grodzieńskim. Ruch w Galicyi. Wypadki w Mławie i Białymstoku. Obchody unii lubelskiej w d. 12 sierpnia. Odezwa. Zamiary agitatorów. Ogłoszenie Suchozaneta. Obchód unii w Warszawie, Piotrkowie, Kaliszu, Łodzi, Płocku, Mławie, Lublinie, Kielcach, Biały podlaskiej, Grodnie, Druskiemikach i Wilnie. Zabawa w lasku Belmonckim. Program obchodu w Kownie. Przygotowania ze strony rosyjskiej. Wystąpienie procesyi. Atak kozaków Popowa. Połączenie się obu procesyi. Nabożeństwo w Piątku. Wrażenie tej manifestacyi i jej następstwa. Dzień 15 sierpnia. Napoleon III i Polska. Nota w „Monitorze”. Nieudanie się manifestacyi. Odezwa duchowieństwa. Woronow w Kaliszu. Wypadki w Tarnogórze. Obchód rocznicy bitwy pod Dubienką. Zaburzenia w Grodnie i Wilnie. Pogłoska o procesji kowieńskiej. Dzień 18 sierpnia. Atak wojska. Znaczenie wypadków wileńskich. Zaprzeczenie Nazimowa. Hrabia Lambert, jego przeszłość i charakterystyka. Jego przejazd przez Warszawę. Pobyt w Petersburgu i nominacja na namiestnika. Gerstenzweig, jego przeszłość i stosunek do Lamberta. Zakończenie.... Str. 108 do 202.

Rozdział XI. Mentor i Telemak. Przybycie Lamberta i pierwsze jego kroki. Jego plan działania. Konferencya z Wielopolskim i jego żądania. Porozumiewanie się Lamberta z wybitniejszymi osobistościami. Manifestacja i domaganie się cesarza. Nabożeństwo za poległych w Wilnie. Ogłoszenie stanu wojennego na Litwie. Zaburzenia na Nalewkach. Nabożeństwa „za pomyślność Ojczyzny”. Rozbijanie sklepów. Napad na biskupa Marszewskiego w Łęczycy. Reskrypt Wielopolskiego do sądów kryminalnych. Wypadki w Kaliszu. Odpust w Częstochowie i na Łysej Górze. Narada tamże i jej postanowienia. Panna Pustowojtow w Lublinie. Zaburzenia w Żytomierzu. Rozbrojenie Litwy i Rusi. Procesya grodzieńska. Gubernator Szpeyer. Wypadki w Kownie. Adres szlachty do hr. Tyszkiewicza. Projekt Towarzystwa rolniczego na Litwie. Adres szlachty rohaczewskiej. Podróż Nazimowa. Wygnanie z Wilna Syrokomli. Żałoba i odezwy na Litwie. Nabożeństwo w dzień św. Jozafata. Niezadowolenie powszechne. Apollo Korzeniowski i jego Koło. Zjazd w Homburgu. Spory w Radzie Administracyjnej. Wybory do Rady Miejskiej. Różne odezwy. Wybory w cyrkule X-tym. Mandat ludu do wyborców. Odezwa z dnia 26 września. Wybory na prowincyi. Pułkownik Petrow w Ostrołęce. Klub „złotej młodzieży”. Ustanowienie „Dziennika Powszechnego”. Zjazd biskupów i ich memoriał. Choroba i śmierć arcybiskupa. Jego pogrzeb.

Uczta wyprawiona chłopom. Zjazd w Horodle. Rozkazy namiestnika. Narada w Stepankowicach. Wyruszenie procesyi. Pobyt w Kopyłowie. Pertrakcye z Chruszczewem. Nabożeństwo na polu. Procesya w Uściługu. Obchód rocznicy bitwy Maciejowickiej i Raclawickiej. Ogłoszenie stanu wojennego. Postanowienia Rady Administracyjnej. Dzień 15 października. Nabożeństwo. Otoczenie kościołów przez wojsko. Rady wojenne. Wtargnięcie do kościołów. Oburzenie w mieście. Narada w Konsystorzu i jej postanowienie. Uwolnienie więźniów i samobójstwo Gerstenzweiga. Pertrakcye z Lambertem. Zamknięcie kościołów. Usiłowanie zamknięcia kirchy luterskiej. Zamknięcie synagog. Aresztowania. Wyjazd i śmierć Lamberta. Zakończenie.....Str. 203 do 401

Rozdział XII. Spisek. Jenerał-adjutant Lüders. Suchozanet w Warszawie. Wielopolski podaje się do dymisyi. Jej powody. Intryga Suchozaneta. Różnow w Płocku. Aresztowania. Walka z Wielopolskim. Sprawa „Dziennika Powszechnego”. Rozkaz cesarski. Otwarcie kursów przygotowawczych. Skład ciała nauczycielskiego. Mowa Wielopolskiego. Jego wyjazd do Petersburga. Odezwa ks. Władysława Czartoryskiego. Szkoła wojskowa w Genui. „Głos z Paryża i Genui”. Rokowania Zamoyskiego z Wysockim. Polityka Francyi. Powstanie „Komitetu miejskiego”. Ignacy Chmieleński, Głowacki i Wereszczyński. Wybory i powstanie „Koła”. Lüders, Kryżanowski i komisye śledcze. Aresztowanie Białobrzeskiego. Korespondencya z Dekertem i kapitułą. Śmierć i pogrzeb Dekerta. Zeznania Białobrzeskiego i wyrok. Otwarcie cerkwi Bazylikańskiej. Okólnik arcybiskupa Wierzchlejskiego. Deputacya i kocia muzyka. Rządy wojskowe. Kruzensztern. Rada administracyjna i sprawa oczynszowania. Podburzanie ludu. Zabójstwo Kleniewskiego. Naczelnicy wojenni. Aresztowani. Odpowiedź konsystorza kaliskiego. Rocznicza 29 listopada. Szlachta i powstanie „dyrekcji białych”. Rada stanu i dyskusye nad projektami. Rzut oka na przebieżony okres. Zakończenie.....Str. 402 do 484.

HISTORIA DWÓCH LAT

1861 — 1862

PRZEZ

Z.L.S.

CZEŚĆ DRUGA
Rok 1862

Tom IV

Styczeń - Czerwiec

KRAKÓW

1895

Ostrożnie o! Glaukonie, bo niebezpiecznym jest podejmować się tego, czego nie umiesz. Zamiast pochwał mogą cię spotkać nagany, zamiast czci potępienie. Do kierunku spraw publicznych zabieraj się wtedy, gdy naukę i doświadczeniem postawisz się wyżej nad zwyczajnych ludzi.

(Ksenofont „Memorabilia”)

Rewolucja krajowa jest jak owa bajeczna u poetów Cyrce, która swoich dowódców przerabia w burzycielów porządku, gdy się nie uda, albo w bohaterów i zbawców, gdy swego dopnie.

(Jan Śniadecki w „Żywocie H. Kołłątaja”)

ROZDZIAŁ XIII

Nowy arcybiskup.

Wielopolski w Petersburgu. Wrażenie, jakie tam zrobił. Widzenie się z księciem Górczakowem i audiencya u cesarza. Posiedzenia Rady stanu. Debaty nad projektem wychowania publicznego. Głos Lewińskiego. Równouprawienie żydów. Projekt ks. Majerczaka. Śmierć Tomasza hr. Potockiego. Wielopolski i panna Błudow. Memoryał i rozdzielenie władzy. Sprawa ks. Białołbrzeskiego. Poświadczenie ks. Czajewicza. Propozycya Wielopolskiego. Kandydaci na arcybiskupstwo warszawskie. Ks. Zygmunt Szczęsny Feliński, jego przeszłość i charakterystyka. Stosunek ze Słowackim. Wyprawa w Poznańskie. Śmierć Słowackiego. Życie w Petersburgu. Życie w Petersburgu. Projekt Wielopolskiego o nuncyaturze. Narada cesarza z ks. Górczakowem. Łubieński i Feliński w Rzymie. Dwa widzenia się Felińskiego z cesarzem i ich rozmowy. Prekonizacya. Wrażenie w Warszawie. Wieści i dzienniki. List papieski. Trzecie odwiedziny cesarza. Konsekracya. Wyjazd do Warszawy. Polityka rządu warszawskiego odnośnie do Felińskiego. Jego podróż do Warszawy. Pobyt w Częstochowie. Przybycie do Warszawy. Poznanie się z duchowieństwem warszawskim. Wizyta u Lüdersa i u p. Andrzeja Zamoyskiego. Wieść o otwarciu kościołów. Deputacya akademicka. Karykatury. Spór z Ludersem. Kwestya ogłoszeń po dziennikach. Ceremonia otwarcia kościoła św. Jana. Mowa Felińskiego. Wrażenie tej mowy. Głosy prasy tajnej i urzędowego „Dziennika Powszechnego”. Mowa Felińskiego w Towarzystwie Dobroczynności. Paszkwil p.t. „Słowo narodu polskiego”. Ingres do katedry. Kazanie Felińskiego. Zakończenie.

Różni Polacy w różnych czasach przebywali w Petersburgu, a w większej części wypadków pociągały ich tam sprawy polityczne, losy ich nieszczęśliwej ojczyzny. Już od Katarzyny II-ej, która tak stanowczy i tak zgubny wpływ wywarła na te losy, Polacy pojawiali się w stolicy caratu; i patrioci, i Targowiczanie, i niewolnicy Maciejowicy, i zakładnicy wielkich rodów magnackich. Bawił tu jakiś czas Stanisław Poniatowski, szukający drogi do tronu przez umizgi do Messaliny północnej, bawił i hetman przyszły polski Ksawery Branicki, i Szczęsny Potocki, Kościuszko, Niemcewicz, i któż ich wreszcie zliczy? Tutaj to Michał Ogiński snuł nową kombinacyą bytu politycznego ojczyzny, tutaj w cienistych alejach ogrodu Tauryckiego marzył o odbudowaniu Polski Adam Czartoryski. Ale choć w większej części byli to magnaci polscy i choć nosili na sobie jeszcze ślady niepodległości ojczystej, żaden z nich jednak nie wywarł na sfery polityczne i towarzyskie Petersburga tak ogromnego, tak potężnego wrażenia jak margrabia Wielopolski.

Położenie jego było jedno z najosobliwszych, jakiego trudno znaleźć w historii, i jakie wytworzyć się mogło tylko w Polsce, żyjącej życiem nienormalnym i skrzywionem. Margrabia przebywał nad Newę z rozkazu cesarskiego, jako krnąbrny poddany, oskarżony przez namiestnika o złe zamiary, jako nieuległy urzędnik, dla usprawiedliwienia się przed samowładnym imperatorem. A jednak, poza tym charakterem, wszyscy w nim widzieli przedstawiciela polskości, która przyszła tu, nad Newę, upomnieć się o swe prawa. Ta podwójna rola, jaką wypadki włożyły na Wielopolskiego, trudną była zaiste do odegrania, i jeżeli z niej wyszedł zwycięzko, to zawdzięczał to nadzwyczajnemu swemu rozumowi, zdecydowanej postawie i gorącej miłości kraju, jaką był przejęty.

Wyjechał on z Warszawy d. 3 Listopada, z synem swoim Józefem, w tem smutnem przekonaniu, że zapewne zabawi w Petersburgu najwyżej parę tygodni, że prawdopodobnie jego karyera polityczna jest skończoną, i że powróci jako człowiek prywatny do przerwanych swych zajęć i studi¹.

Udawał się do stolicy caratu nieznany tam nikomu, prócz wicekanclerza księcia Górczakowa, któremu był przedstawiony jeszcze w 1856 r. w czasie pobytu cesarza Aleksandra II w Warszawie. Ale była to znajomość przelotna i na nią wiele liczyć nie można było. Więcej natomiast rachował na dawny swój stosunek z baronem Piotrem Meyendorffem, z którym niegdyś kolegował na uniwersytecie w Getyndze, i z którym umiał zachować relacje. Meyendorff, jako członek Rady państwa, nie był bez wpływu na politykę rosyjską tej doby. Prócz tego margrabia zaopatrzył się w pewne, że tak powiemy, rekomendacje. Znana nam już ze swych wpływów towarzyskich w Warszawie, pani Calergis, późniejsza Muchanowowa, z domu Nesselrode, bratanka kanclerza rosyjskiego hr. Nesselrode, poparła go u tego ostatniego. Ale pozatem, największe znaczenie miała sama osoba Wielopolskiego. W tym świecie „czynownictwa, lokajów i błaznów dworskich”, jak się wyraża historyk rosyjski², powszechną budził ciekawość człowiek, który nagle, z prostego szlachcica wiejskiego wyrósł na ministra i swą postacią olbrzymią rzucał cień na wszystko i wszystkich, nawet na dygnitarzy moskiewskich, tak zawsze potężnych w Warszawie. Jego walka z Suchozanetem, znana w ogólnych zarysach w Petersburgu, zdumiewała ten świat rosyjski, przywykły do karności i posłuszeństwa wobec generałów, przemienionych w wielkorządców, i budziła gorącą chęć przypatrzenia się bliżej tej postaci oryginalnej, tak niezwyklej w państwie Piotra Wielkiego. Dzięki prądom liberalnym, przebiegającym przez serca i głowy ówczesnych sfer rządzących i rządzonych, sama ta walka z żołdakiem Sezostry-

1 Lisicki, Le marquis II, 246.

2 N. Berg. Zapiski (edycja poznańska) II, 197.

sem jednała margrabiemu sympatią powszechną. W szarem, bezbarwnem, urządzonem na jedną modłę towarzystwie dygnitarskiem petersburskiem, taka postać nawskróś nowa i oryginalna, z konieczności musiała wywołać zaciekawienie ogólne.

Skoro więc dowiedziano się o przybyciu Wielopolskiego nad Nową, wszyscy pragnęli go poznać i mieć u siebie, pochwalić się nim, jak rzadką osobliwością i margrabia wkrótce miał się stać modnym bohaterem zimowego sezonu stolicy rosyjskiej.

Niemniejsze zaciekawienie budził on w kołach dworskich, nawet w samym cesarzu. Tutaj niebardzo wierzono w oskarżenia Suchozaneta, widocznie przesadzone, choćby z tego względu, że malowały margrabię jako oczywiściego buntownika, „po wariacku trwającego w nieposłuszeństwie”. Ale bądź co bądź, nie ulegało wątpliwości, że Wielopolski sztorcem stawał do namiestnika i pragniono przez ciekawość naturalną bliżej poznać tego „strasznego” margrabię, który nikogo i niczego się nie boi. Przytem uważano, że jego pobyt w Warszawie jest niewygodny, choćby z tego względu, że przez swe stanowisko wysokie, przez swą wyraźną dążność do legalności, może on krępować i hamować działalność stanu wojennego, który za miano za najlepsze i jedyne lekarstwo na gorączkę rewolucyjną Polski. Tuszono więc sobie, że gdy stan wyjątkowy ostatecznie uspokoi Polskę, wówczas będzie można na nowo margrabię posłać do Warszawy i korzystnie go zużytkować. Teraz zaś lepiej było, by od zwulkanizowanej stolicy polskiej znajdował się z daleka³.

Wielopolski przybywając nad Nową, gdzie stanął dnia 7 Listopada, nic nie wiedział o tem wszystkim, jak i o tem, że jego osoba wywołuje ciekawość powszechną. Wstępował on na ten grunt grzązki i zawsze niepewny dla nóg polskich, na którym tyłu znakomitych Polaków już się poślizgnęło, z uczuciem zupełnej jego nieznajomości i stąd pewnej niemocy. Przekonany był, że napotka mnóstwo nieprzełamanych trudności, że znajdzie nieufność i podejrzliwość na każdym kroku, i w takich warunkach, tracąc z konieczności wiarę w siebie, zdecydowany był podać się do dymisy i wrócić do życia prywatnego, z którego wyrwała go gwałtowna burza rewolucyjna⁴. Stanąwszy w hotelu Demouth na ulicy Michajłowskiej, udał się najprzód do ministra spraw zagranicznych, księcia Górczakowa.

Przypomniał mu swą znajomość z r. 1856, mówił o odrzuceniu swego adresu ówczesnego i twierdził, że gdyby ten adres był wtedy przyjęty, rzeczy prawdopodobnie całkiem by inny obrót wzięły. Minister przyznał, że stracono wiele drogiego czasu, lecz że w tej chwili idzie głównie o „przywrócenie powa-

3 Lisicki, Le marquis II, 247.

4 Loc. cit.

gi władzy” (restaurer l’*autorité de pouvoir*); zapewnił wreszcie Wielopolskiego, że jego usługi znalazły zupełne u cesarza uznanie⁵.

Najważniejszym jednak było widzenie się z samym cesarzem, który bał w ulubionej swej rezydencji w Carskim Siole i z przyjęciem margrabiego wcale się nie śpieszył. Wreszcie naznaczył mu audyencją na dzień 14 Listopada⁶, czyli w tydzień po przyjeździe Wielopolskiego do Petersburga. Tydzień ten minister polski przepędził wśród niepokoju bardzo naturalnego, w przekonaniu coraz bardziej się utrwalającym, że jego rola polityczna się skończyła⁷. Audyencji tej zresztą nie nadawano żadnej szczególnej wagi; cesarz przybywał do stolicy dla przyzdowania w radzie ministrów, i przy tej sposobności chciał obaczyć margrabiego. Posłuchanie trwało prawie trzy kwadransy⁸. Cesarz przyjął go bardzo łaskawie, dziękował mu za poświęcenie, jakie okazał w chwilach nader trudnych i oświadczył, że pragnie, by go Wielopolski obznajmił z przebiegiem wypadków w Królestwie i z istotnym stanem kraju.

Margrabia, korzystając z tego oświadczenia, wypowiedzianego z dobrocią, szczerością i prostotą, właściwą Aleksandrowi II, rozwinął swój pogląd na położenie, i jako jedyny środek zaradczy przedstawił swoją ulubioną i niezaprzeczenie rozumną myśl, rozdziału władzy cywilnej od wojskowej. Uważał, że bez takiego rozdziału porządek stały w Królestwie jest wprost niemożliwy. Ale tego rodzaju projekt nie mógł się podobać zwierzchnikowi państwa samowładnego. Odrzekł więc, niekoniecznie z dobrą wiarą, że o takim rozdziale wśród stanu wojennego nie może być mowy, że choć szczerze pragnie utrzymania autonomii w Królestwie, wszelako nie może się zgodzić na osłabienie władzy; wreszcie oświadczył, że życzy sobie, aby Wielopolski pozostał na dłuższy czas w Petersburgu dla wzięcia udziału w rozprawach nad projektami do praw, jakie był przygotował.

W gruncie więc rzeczy, pomimo nader łaskawego przyjęcia i słówek bardzo grzecznych, audyencja ta nie dała żadnych rezultatów stanowczych. Cesarz odrzucał wszelką myśl podziału władzy w Polsce, uwolnienia jej z pod rządów różnych dokuczliwych satrapów-jenerałów, odrzucał więc główny program Wielopolskiego, jedyny, według niego, środek ustalenia porządku w kraju. Natomiast z wielką zręcznością, z charakteryzującą go perfidyą, zatrzymywał margrabiego w Petersburgu pod pozorem brania udziału w debatach nad

5 Loc. cit, 248.

6 Depesza z d. 31 października/12 listopada: „Wielopolskago uwizu poslie zawtra”.

7 List Wielopolskiego do żony, cytowany u *Lisickiego*, *Le marquis*, II, 248. „Pendant la huitaine, qui avait précédé mon audience, je me berciais de l’espoir de vous revoir bientôt tout à Chroberz, où je comptais me rendre en droite ligne”.

8 Szczegóły tej audyencji opieramy na wspomnianym liście Wielopolskiego do żony.

projektami o oczynszowaniu, edukacji publicznej i równouprawnieniu żydów. Że cesarzowi o to branie udziału w debatach wcale nie szło, to nie ulega wątpliwości; jemu szło wprost o trzymanie Wielopolskiego zdala od kraju dla przyczyn, któreśmy już wyżej wyłożyli. Minister polski, zdaje się, zrozumiał to dobrze; wiedział, że pierwszą bitwę przegrał i wahał się, czy posłuchać cesarza i zostać, czy też zażądać uwolnienia zupełnego od służby. Ale ta dobra, zacna myśl patryotyczna, że jego obecność przyczynić się może do uzyskania sankcji cesarskiej dla wymienionych wyżej projektów, oraz nalegania przyjaciół z Warszawy, spowodowały, że ostatecznie postanowił zatrzymać się nadal w Petersburgu⁹.

Powoli począł nabywać przekonania, że jego program będzie przyjęty. „Zasada rozdziału władzy, pisał do żony, zyskuje tutaj coraz więcej zwolenników”. Były to oczywiście złudzenia, pochodzące stąd, że istotnie w pewnych sferach rządowych, albo blizkich rządu, wskutek nadzwyczajnego zaciekawienia, jakie obudził Wielopolski, jego projekta poczęto uważać za jedyne rozumne i zbawienne i obiecywano gorąco je popierać. Do rzędu takich osób należał, wspomniany już przez nas, baron Meyendorf, z którym margrabia odnowił stosunki, mile był przyjęty i uzyskał przyrzeczenie, że może liczyć na pomoc. Tę pomoc znalazł także u starego kanclerza Nesselrodego i u wielu innych, mniej znanych i wybitnych, niemniej przeto wpływowych. Ale inna rzecz były pogawędki towarzyskie i obietnice salonowe lub uniesienia nad rozumem szlachcica polskiego, który nagle stał się gwiazdą zimowego sezonu Petersburga, a inna pogląd na tę sprawę rządu samego.

Rząd ten zresztą zwłóczył ze wszystkim. Cesarz dopiero d. 15 Grudnia, a więc akuratnie w miesiąc po rozmowie z Wielopolskim, zażądał telegrafem, żeby Płatonow przyjechał do Petersburga z projektami wspomnianymi, i żeby także przywiózł oryginalny projekt margrabiego o oczynszowaniu, po rozpatrzeniu go ostatecznym przez Radę stanu¹⁰.

Rada ta właściwie zwołaną być powinna jeszcze w d. 16 Października, ale z powodu ówczesnych wypadków, z powodu wreszcie, że większość radców

9 Tomasz Potocki pisał do niego: „według mego najgłębszego przekonania, powinieś skorzystać z wezwania cesarskiego, byś bawił tak długo dopóki prawa, przez ciebie projektowane, nie będą przedstawione do podpisu. Wiem, że od ogłoszenia prawa do jego dobrego wykonania jeszcze bardzo daleko, że leżeć może przez lata całe spokojne, jak Statut organiczny, jednakże skoro raz już podpisane, to trzeba tylko czekać pomyślniej chwili, a któż może zaręczyć, że nam Bóg chwili takiej nie udzieli? Dlatego, zaklinam cię, nie daj się zrażać chwilowem niepowodzeniem”. *Lisicki*, Aleksander Wielopolski I, 273. List ten jest wyraźnym dowodem, że Wielopolski wahał się, czy ma pozostać w Petersburgu, czy też wyjechać.

10 Depesza z d. 3/15 grudnia 1861 r.

stanu, bojąc się batogów kozackich, heroicznie wzięła nogi za pas i wymknęła się z Warszawy, odłożono ją na trzy tygodnie. Ponieważ termin ten upływał z d. 6 listopada, więc Suchozanet pytał za pośrednictwem telegrafu, czy może otworzyć posiedzenia Rady i uważał to za „rzecz pożyteczną”¹¹. Cesarz zgodził się na to, domagał się tylko przez swe stereotypowe „trebują”, żeby przy otwarciu Rady „nie pozwolono na żadne rozprawy polityczne”. Jakoż ostatecznie zwołanie tej najwyższej w kraju magistratury przeciągnęło się do d. 12 listopada, w którym nakoniec mogła się ona zająć rozpatrzeniem projektów Wielopolskiego. Naprzód więc weszła na porządek dzienny kwestya wychowania publicznego, którego projekt wygotowany prawie wyłącznie przez Korzeniowskiego, Stronczyńskiego i Przysiańskiego, został przedłożony teraz Ogólnemu zebraniu Rady stanu.

Poprzednio już, zgodnie z przepisami, rozpatrywany był ten projekt przez wydział odnośny Rady, który wyraził o nim opinią bardzo przychylną. Przedewszystkiem więc szło o to, czy Rada podziela opinią wydziału i czy projekt odpowiada potrzebom i zamierzonemu celowi. Na tym punkcie związała się bardzo żwawa dyskusja; Gruszecki nader logicznie i wymownie uzasadnił, że Rada powinna podzielić opinią wydziału, a Michał Lewiński zakonkludował, że nie tylko powinna się przyłączyć do opinii wydziału, ale kraj wkłada na Radę obowiązek przedstawienia cesarzowi, iż dobro ogólne tego wymaga, aby projekt ten jak najprędzej mógł wejść w wykonanie. Wszyscy do pewnego stopnia zgadzali się na to, tylko Heilman, uczony prawnik, doskonały zresztą Polak, ale Kalwin, twierdzić zaczął, iż pomieszczenie wyznania kalwińskiego w jednym ustępie wraz z wyznaniem żydowskim, ubliża pierwszemu, i że pastorowie nie znoszą, aby ich obok rabinów stawiano. Kwestya ta jednak przyjętą została obojętnie przez zebranych, więc Heilman widząc, że go nikt nie popiera, umilkł powtarzając z Katonem: *vitrix causa...*

„Gdy już nikt nie zażądał głosu, opowiada świadek naoczny¹², prezydujący powtórnie zapytał, czy Ogólne zebranie podziela zdanie wydziału, co jednomyślnością i prawie *per acclamationem* przyjętem zostało. Ta jednomyślność była rzeczywiście manifestacją, przyznaniem, nawet na przeciwnikach uczuciem wstydu wydarciem”. Słowa te świadczą, jak ciężkie musiała polska część Rady stanu staczać walki z jej członkami rosyjskimi.

Ta walka zarysowała się najwyraźniej przy rozpatrywaniu szczegółów projektu. Tu najprzód wystąpił przyszły dyrektor Komisji spraw wewnętrznych, Aleksander Kruzenstern, z trzema arkuszami wniosków. Domagał on

11 Depesza z dnia 25 października / 6 listopada 1861 r.

12 Tomasz hr. Potocki w liście do Wielopolskiego, cytowanym u *Lisickiego*, Al. Wielopolski I, 289.

się w nich, aby w przyszłym programie wychowania publicznego, narodowości niemieckiej, jako licznie reprezentowanej w kraju, zapewniono stanowisko wyjątkowe; żądałby 285 istniejących wówczas szkół elementarnych niemieckich, pozostało pod zarządem konsystorza protestanckich i żeby wykład w nich był wyłącznie niemiecki¹³. Że to był wniosek zrodzony z nienawiści do Polaków, jest rzeczą oczywistą. Koloniści niemieccy nie byli ani zbyt liczni, ani zbyt dbali o swą narodowość, by im nadawano jakieś wyjątkowe przywileje; Kruzensternowi szło o to, by ich wychowanie nie polonizowało. Wnioski jego zbyt przejrzyście ukrywające myśl zdradziecką, wywołały w zgromadzeniu pewne, łatwo wytłumaczone rozdrażnienie.

Zawiązała się gorzka dyskusja o kwestyi narodowości; Lewiński bronił języka, który jest „religią narodowości”, jak mówił; twierdził, że jeżeli pierwsze pokolenie kolonistów niemieckich nie znało mowy polskiej, to inaczej się rzecz ma z jego następcami, czego „dowodem jest znaczna liczba obywateli miasta stołecznego Warszawy, którzy choć nazwiska niemieckiego, sercem są Polakami”, i dlatego on nie widzi żadnej racji, by nauki w szkołach protestanckich wykładane były po niemiecku¹⁴. Mówili i inni, i przy wotowaniu okazało się aż ośmnaście głosów przeciw wnioskowi Kruzensterna. Przepadł on więc z kretesem. Wynik ten przekonał polskich członków Rady, że w Ogólnym zebraniu większość do nich należy. Nabyli oni przez to pewnej śmiałości i ufności do siebie, tak że w dalszej dyskusyi robili ustępstwa bardzo drobne, przyjmowali nic nieznaczające poprawki. W tych kwestiach zresztą kierowali się oni opinią Korzeniowskiego, który jako członek Komisji Oświecenia wprowadzał, że tak powiemy, projekt na posiedzeniu Rady. Tam gdzie Korzeniowski się upierał, Rada go nie odstąpiła; gdy zgadzał się na jaką modyfikacyą i ona się zgadzała. Zresztą żywiano to przekonanie i słuszne, że drobne poprawki lepiej przyjąć, niż narażać cały projekt na niebezpieczeństwo, a przytem opozycja uparta budzićby mogła podejrzenie, że Rada stanowi stronnictwo uorganizowane, czego w dobrze zrozumianym interesie kraju unikać koniecznie należało. Bądź co bądź zwycięstwo było zupełne i słuszną dumę mogło napełnić Radców stanu polskich i margrabiego, który też potem mówił, że „Rada stanu reprezentuje kraj lepiej niż sprawcy manifestacyi”. W ogóle członkowie polscy tej magistratury trzymali się silnie razem i stanowili ogromną większość 17 głosów przeciw 3 wątpliwym i trzem stale oponującym. Rozprawy nad kwestyą wychowania publicznego ukończono w ciągu trzech posiedzeń, d. 12, 13 i 14 listopada.

13 Lisicki, loc. cit. III, 420.

14 Mowa Lewińskiego obiegała współcześnie w licznych odpisach. Pomieszczamy ją w całości w dziale dokumentów pod Nr. 1-ym.

Następna sesja odbyła się d. 18 t. m. a przedmiotem rozpraw miał być projekt emancypacji żydów¹⁵.

Nie ulegało wątpliwości żadnej, że przy ogólnym prądzie, jaki się wytworzył w ciągu ostatnich paru lat, przy pragnieniu koniecznego załatwienia kwestyi żydowskiej, przy dążności zasymilowania tej ludności licznej, ruchliwej i inteligentnej, przy aspiracjach wreszcie mieszczańsko-liberalnych epoki, projekt równouprawnienia żydów bezwarunkowo znajdzie poparcie w polskich członkach Rady stanu. Wielopolski zresztą, pomimo przesądów rodowych, był pod względem przekonań synem ideałów mieszczańskich rewolucyi francuskiej i kodeksu napoleońskiego, który nie znał obywateli nierównych wobec prawa; to też projekt jego, będąc z jednej strony wyrazem jego własnych opinii, z drugiej zgadzał się w zupełności z dążnościami rewolucjonistów polskich. Przez szczególny zbieg okoliczności, ci „dwaj na swych słońcach bogi”, Wielopolski i czerwieńcy, na tym punkcie się schodzili i jednomyślnie działali, choć w różnych zaiste celach. Równouprawnienie żydów, a jak ich teraz stale nazywano „Polaków wyznania Mojżeszowego”, znalazło już wyraz w ustawie o Radach miejskich i powiatowych, do których wyborcami i wybranymi mogli być wszyscy obywatele, mający odpowiedni census i lat 25 wieku, „bez różnicy stanu i wyznania”. Jakoż widzieliśmy, że do wielu rad powołano starozakonnych, a w Radzie stanu zasiadał Matyas Rosen, co było najlepszym dowodem, że idea emancypacji żydów rosnąc powoli wzmogła się i przyjęła potężnie. Projekt Wielopolskiego miał tej idei nadać teraz sankcją prawodawczą, zakończyć szczęśliwie długo ciągnącą się powieść, „po zawilej próbie parę miłosną naostatek złączyć”, nie Chloe i nie Dafnisa, ale żyda i Polskę. Pisząc o tem, w gorącym pragnieniu urzeczywistnienia ideału mieszczańskiego, pewny był, że „obu ludów błogosławieństwo po Kazimierzu odziedziczy łaskawie panujący nam monarcha”, pocieszał się, że „z dokonaniem wskazanych tu reform, otworzyć się może pod wielorakim względem źródło poprawy naszego społeczeństwa; uczacni prawodawstwo, pozbywając się sprzeczności rozporządzeń rozmaitych szczegółowych z uznaniami głównymi zasadami, niezgodności bezustannych wyjątków z postanowionemi ogólnemi prawidłami, która to sprzeczność i niezgodność uszanowanie prawa podkupuje; uczacni się z jednej strony liczna część mieszkańców kraju, dotąd byt swój naprzeciwko surowości ustaw ciąglem prawa obchodzeniem ocalająca, z drugiej strony, klasa, której część znaczna frymarczy udziałem swobód i korzyści przez prawo odmawia-

15 Projekt ten wypracowany przez Komisją sprawiedliwości, gotowy już był we wrześniu, ale jego rozpatrzenie przez wszystkie inne Komisye, przeciągnęło się do pierwszych dni października. Potem przeszedł do wydziału skarbowo – administracyjnego Rady stanu, teraz zaś został przedstawiony Ogólnemu jej zebraniu.

nych; uzacni się nakoniec w wyznaniu swem liczna część ludności krajowej, gdy dostępując równego udziału w prawach krajowych, odosobnienia od powszechnego prawa krajowego, pod ulepszonym zarządem spraw swoich duchownych, rzetelnie się pozbędzie”¹⁶. Jakże się mylił, niestety!

Dzięki też tym pragnieniom, projekt po wędrowce w różnych komisjach i wydziałach przyszedł pod obrady Ogólnego zebrania Rady stanu prawie wcale nietknięty, w dziewiczej swej całości i niepokalani. Członkowie jej polscy uprzedzeni byli, że ze strony przeciwników wszelkich reform, spodziewać się mają silnych na projekt napaści. Przygotowywano się więc do gorącej obrony. Ale po jego odczytaniu d. 18 listopada, pierwszy wystąpił niefortunny Heilman z wnioskiem kilkuarkuszowym. Twierdził więc on, że zgadzając się w zupełności z dążnością nowego prawa, uważa wszelako, że wprowadzenie go teraz w wykonanie byłoby nie na czasie. Utrzymywał, że do równouprawnienia żydzi jeszcze nie są przygotowani odpowiednio, że przez nowe prawo wcale nie zasymilują się z nami, że do tego potrzeba przedewszystkiem przekształcenia się ich życia rodzinnego, co wymaga dużo czasu i nie jednego pokolenia, że asymilacja może nastąpić tylko na drodze społecznej a nie prawodawczej, że trzeba, by duchowieństwo rzymsko-katolickie zezwoliło najprzód na małżeństwa między osobami religii katolickiej i wyznania mojżeszowego.

Wywodził dalej uczenie, że ludność żydowska w naszym kraju dzieli się na różne sekty, i że każda z nich oddzielnego potrzebuje prawa i t. p. Pominąwszy wniosek o małżeństwach, przez który przeglądał zacięty Kalwin, słowa Heilmana, jakkolwiek w ogólnej swej osnowie nosiły raczej charakter rozprawy uczonego, niż sądów męża stanu, miały jednak w sobie wiele prawdy. Wypowiedziane dość nieudolnie, dygocącym głosem starca, nie podobały się one nadzwyczajnie zebranym i podobać się nie mogły przy nastroju ogólnym epoki. Uważano je też wprost za absurdum¹⁷, słuchano ich niechętnie i przy wotowaniu przepadły zupełnie. Heilman przegłosowany schować musiał swą rozprawę do kieszeni, a gdy jego opozycja doszła do wiadomości publicznej, stał on się przedmiotem szyderstw i niechęci powszechnej, a nie mogąc go dotknąć w niczem innym, obgadywano jego życie domowe, tajemnice alkowy jego młodej i pięknej żony, nie mogąc kochać starego męża. Stał on się bijącym w oczy przykładem, do jakich niegodziwości posuwa się opinia tłumu, dla dokuczenia nielubianym przez siebie ludziom. Tym więc sposobem, gdy

16 Dyrektora Komisji Oświecenia wykład powodów... względem równouprawnienia żydów (Lisicki, Aleks. Wielopolski, III, 439).

17 „Nie wiedziałem retora, pisze Tomasz Potocki w cytowanym liście do Wielopolskiego, który oparłszy się na absurdum, logiczniej i wymowniej z niego wyprowadzał wnioski, wiodące do koniecznej, logicznej konkluzji, do nowego absurdum”.

nikt w zebraniu Rady nie żądał więcej głosu przeciw ogólnej dążności projektu przeciw równouprawnieniu żydów, prezydujący wniósł, że projekt w zasadzie przyjęto, co zgromadzenie jednomyślnie potwierdziło. Teraz rozpoczęła się dyskusja nad szczegółami, przy których miał nastąpić ów zapowiedziany atak członków rosyjskich zebrania. Ale rozprawy były bardzo spokojne, i zgodzono się na niektóre zmiany, a najzwawsza dyskusja wybuchła przy artykule pierwszym, w którym powiedziano, że żydzi kupujący dobra ziemskie powinni umieć czytać i pisać po polsku. Słowa te postanowiono wypuścić, z uwagi że trudno obmyśleć taka formę, w którejby kupujący dobra dowieść mógł, że istotnie posiada umiejętność powyższą.

Obostrzono dalej rygor, że żydom nie wolno kupować majątków pańszczyźnianych, tylko oczynszowane, uważając przytem okup prawny za małą rękojmię, gdyż z niego można było jeszcze do pańszczyzny powrócić. Dotąd wszystko szło dobrze, gdy nakoniec wzięto pod rozpoznanie artykuł drugi. Artykuł ten znosił wszelkie ograniczenia co do zamieszkiwania przez żydów miast lub wsi, nic wszelako nie mówił o zakazie, mocą którego nie wolno było osiadać żydom w trzechmilogowym pasie pogranicznym. Otóż wystąpił Kruzenstern, już teraz dyrektor Komisji spraw wewnętrznych, z uwagą piśmieniem, że nie widzi żadnej przyczyny, dla którejby miał być nadal utrzymany ten zakaz, gdyż wszelkie w tym względzie ścieśnienia nie dadzą się logicznie umotywić. Wniosek ten, czyniący nagle z Kruzensterna bardzo liberalnego patriotę polskiego, zdumiał na razie zebranych, ale czasu do namysłu nie było, gdyż gubernator warszawski Łaszczyński, poparł uwagę powyższą. Dowodził on, że cel, dla którego ten zakaz zaprowadzono, wcale nie został osiągnięty, że zakaz ten ma najzłubniejsze skutki dla kraju, gdyż dzięki jemu nie żydzi są defraudantami w pasie granicznym, lecz włościanie, których szwarcunek odrywa od gospodarstwa, przyucza do życia włoścogowskiego, do nieposzanowania władzy i t. d. Dowodzenia te, niewątpliwie bardzo słuszne, dozwoliły jednak pewnej części radców przyjść do siebie i ktoś z nich zrobił uwagę, że przedmiot ten nie należy do atrybucji rządu polskiego, ale wchodzi w kompetencję rosyjskiego ministra skarbu, a Enoch, jako sekretarz stanu, objaśnił, że Rada nie ma prawa dawania jakiegokolwiek opinii w przedmiocie, należącym do władz cesarstwa. Zdanie to wypowiedział on w tem przekonaniu, że wniosek Kruzensterna kryje jakiś podstęp, ostrzegał więc niejako Zgromadzenie, by się miało na ostrożności. Trudno dziś rozstrzygnąć, czy w rzeczy samej Kruzenstern działał z obmyślanym z góry podstępem. Może w istocie chciał on wprowadzić Radę stanu w kolizyję z władzą centralną rosyjską, a prawo wstrzymać przy pomocy ministra skarbu, w którym łatwo było obudzić przekonanie, że zakaz, broniący żydom mieszkania w pasie granicznym, zmniej-

sza kontrabandę. W każdym razie było pewnem, że Kruzensternowi ufać nie można było, i niektórzy członkowie Rady wraz z Enochem, spostrzegli się dość prędko, ale inni, jak zwykle każde liczniejsze zgromadzenie, nie zorientowali się od razu, tylko zdziwieni tak wnioskiem Kruzensterna jak i opozycją, poczęli głosować za zniesieniem owego zakazu. Jakoż zniesienie to przeszło prawie jednomyślnie i dołączono je do projektu, który całkowicie z drobnymi bardzo zmianami został zatwierdzony przez Radę stanu.

Tym więc sposobem, dwie bardzo ważne reformy społeczne, do których Wielopolski tak wiele wagi przywiązywał, uzyskały sankcją najwyższej magistratury krajowej. Ale donioślejsza, największe mająca dla kraju znaczenie kwestya włościańska, nie mogła tym razem wejść pod obrady Rady stanu z powodu, że projekt Wielopolskiego, dostawszy się do rąk Kruzensterna i Komisji spraw wewnętrznych, ugrzązł tam, ulegając najrozmaitszym przeróbkom, jakieśmy już o tem mówili¹⁸. Zato zajęła się Rada w ciągu kilku pozostałych posiedzeń innemi sprawami drobniejszemi, przeważnie natury administracyjnej, ale które silniej, że tak powiemy, akcentowały autonomią Królestwa. Uchwalono więc uchylene cuchnącego bizantyzmem kodeksu kar głównych i poprawczych a przywrócenie tymczasowo kodeksu karnego polskiego z roku 1818; postanowiono, aby pożyczka, zaciągnięta na pokrycie kosztów budowy cytadeli, nie obciążała wyłącznie funduszy Warszawy, gdyż „urządzenie twierdz jest rzeczą całe państwo obchodzącą”¹⁹; domagano się, aby inwentarz majątkowy skarbu Królestwa jak najspieszniej sporządzony został; aby przywrócono zwinięte trzy rządy gubernialne: podlaski, kielecki i kaliski (wniosek Kozłowskiego); oddano zarząd poczt pod zawiadywanie Komisji spraw wewnętrznych (czyli oddzielono go od zarządu centralnego w Rosyi); miary i wagi ruskie, na wniosek Kozłowskiego, usunięto, zastępując je dawnymi polskimi, czemu nawet Płatanow się nie sprzeciwiał; uznano potrzebę zaprowadzenia instytucji kredytowej miejskiej. Rozpatrzono budżet Królestwa na r. 1862, ustawę górnica, raport Komisji umorzenia długu krajowego o stanie majątkowym Banku polskiego za rok 1860 i t. p. Wreszcie na posiedzeniu d. 23 listopada przeszły jednomyślnie, bez żadnej już teraz opozycji, wnioski administratora dyecezyi kielecko-krakowskiej, ks. Majerczaka.

18 Patrz Tom III, 466. Wielopolski uskarżał się na to postępowanie ministrowi sekretarzowi stanu Tymowskiemu. W liście do niego pisał: „to postępowanie władz jest wyparciem się mnie”. „Sądzę, że na to nie zasłużyłem, a milczenie dowodziłoby, że się zgadzam na to. Koniecznem jest położenie końca tej anarchii administracyjnej, zalecając urzędnikom, którzy mię zastępują, ażeby nic nie zmieniali w biegu spraw w moim wydziale, nie porozumiawszy się wprzód ze mną”. (Lisicki, Al. Wielopolski II, 237).

19 Protokół 14-ty z d. 2 Grudnia (Lisicki, Al. Wielopolski II, 237).

Dotyczyły one kwestyi nadzwyczaj drażliwej dla obu stron i dla obu stron mającej pierwszorzędnę znaczenie polityczne. Szło o unitów i o zadośćuczynienie niektórym potrzebom kościoła. Majerczak domagał się, ażeby na przyszłość, we wszelkiego rodzaju aktach urzędowych, dotychczas używany termin „wyznanie greko-unickie”, zmieniono na „obrządek greko-unicki”, i aby w następstwie tej zmiany w przyszłych sprawozdaniach wydziału wyznań, rubryka „obrządek greko-unicki”, umieszczoną była bezpośrednio po rubryce „wyznanie rzymsko-katolickie; żądał dalej, aby przywrócono dawny zwyczaj, iż alumni seminarium unickiego w Chełmie kończyli swe studia w akademii duchownej rzymsko-katolickiej w Warszawie²⁰; aby wakujące katedry biskupie były rychłe obsadzone²¹, aby fundusz, przeznaczony na utrzymanie seminariów, był powiększony; ażeby ułatwiono procedurę administracyjną w sprawie uzyskania pozwolenia na reparacyą kościołów; ażeby zabezpieczono los księży emerytów, którzy dotąd pobierali za ledwie po 400 złp. pensyi rocznie.

Żądania te, powtarzamy, przeszły jednogłośnie w Radzie stanu, nie wyjmując nawet jej członków rosyjskich, co świadczyło jak epoka ta wstrząsała wszystkimi zasadami, stanowiącemi dotychczas politykę wewnętrzną rosyjską. Kwestya nazwy zamiast „wyznanie greko-unickie” – „obrządek”, jakkolwiek drobna z pozoru, miała swe głębokie znaczenie; mówiła bowiem, iż unia nie jest osobnem wyznaniem, za jaką rząd rosyjski w Królestwie, w łatwo zrozumianym celu, ciągle ją uważał, ale tylko obrządkiem odmiennym jednego kościoła katolickiego. Niemniej ważną i kładącą koniec zamachom moskiewskim na unię, była druga uchwała, dotycząca wysyłania seminarzystów chełmskich do akademii warszawskiej. Zwyczaj ten praktykowany do r. 1842, został przerwany, a w dziesięć lat potem na rozkaz rządu wysłać musiano dwóch alumnów do akademii moskiewskiej, a w r. 1853 czterech do akademii kijowskiej, co oczywiście groziło unii schizmą. Z tych sześciu alumnów po powrocie z akademii schizmatycznych, trzech objęło katedry nauczycielskie w Chełmie (jeden wykładał język grecki, drugi filozofią, a trzeci nauki przyrodnicze), a jeden wygnany z dyecezyi, został urzędnikiem w Komisji wyznań i oświecenia. Domagania się więc ks. Majerczaka, wobec tak opłakanego stanu rzeczy, dążyły najwyraźniej do nadania dawnej mocy unii, która pod straszną przewagą cerkwi urzędowej chyliła się widocznie do upadku, by w kilka lat potem, niestety! skonać wśród krwawych, alhunrykowych gwałtów. W tej chwili jednak przejście przez Radę stanu tego rodzaju uchwał, zapowiadało, że roztwiera się przed Polską horyzont

20 Protokół z d. 17 grudnia 1861 r. Loc. cit.

21 Oprócz kielecko-krakowskiej, gdzie właśnie administratorem był ks. Majerczak, dyecezya augustowska od lat 13 nie miała biskupa; Chełmska (unicka) „jakkolwiek innego obrządku, ale tego samego wyznania” jak brzmi protokół, od lat 10, a Płocka od lat 9.

jasny i widny wzmocnienia się jej organizmu wewnętrznego tak potężnie, że byle tą drogą szła dalej, to dojść musi do tak krzepkiego stężenia, że żadnych zamachów moskiewskich lękałaby się nie potrzebowała. Niestety! Polsce niešťczęśliwej waśni jej synowie nie pozwolili na taki rozwój mocy wewnętrznej.

Takie obfite w owoce posiedzenia Rady stanu zakończyć się miały ze wszech miar smutnym i dla kraju niepowetowanie niešťczęśliwym faktem. Znany nam dobrze Tomasz hr. Potocki, szwagier Wielopolskiego, jedna z najwybitniejszych postaci tej epoki wogóle ubogiej w postaci wybitne, mąż wielkiego rozumu, gorąco miłujący kraj, umarł nagle w d. 12 grudnia 1861 r. Poprzedniego dnia był na posiedzeniu Rady, poczem do późnej nocy pracował nad przyśpieszeniem rozbioru prawa o czynszowaniu w Radzie, a nazajutrz, o godzinie 5-ej rano, znaleziono go martwym w łóżku. Wielopolski tracił w nim prawdziwą podporę i pomoc, kraj znakomitego obywatela, których nigdy u nas wielu nie było, a w owych czasach mniej niż zwykle. Oddawna chory i złamany, od chwili gdy pod Długosiodłem kula moskiewska zadała mu ciężką ranę, która na całe życie zrobiła go kaleką, gdy nie mógł jeździć już na posiedzenia Rady stanu, to kazał się w krześle tam nosić, bo czuł, że dla ojczyzny trzeba stać do ostatka na wyłomie, pozostałej jej drzazgi bronić do ostatka. Z nim schodził w grób nietylko wielki obywatel, ale jeden z tych bohaterów, na czole których zdawał się czernić jeszcze pył bojowy z przed lat trzydziestu, drzeć nuta ostatniej ogromnej epopei, jaką wypisał na kartach dziejów bagnet i lanca polska. Żał też był powszechny w kraju; nawet przeciwnicy jego zacięci, czerwieńcy warszawscy, różni Chmieleńscy, Szachowscy, Frankowscy umilkli i schylić musieli czoło przed zwłokami tego, który bronił ojczyzny wszędzie, gdzie bronić jej mógł. Ciało jego, z posesyi, zwanej Foksalem, na Nowym Świecie, przewiezione zostały do grobów rodzinnych w Chrzęstowie pod Koniępolem.

Jeżeli śmierć ta napełniła żalem serca wszystkich lepszych i rozumniejszych obywateli kraju, a więc i margrabiego, to z drugiej strony cieszyć się należało, że dwie ważne reformy: wychowanie publiczne i emancypacja żydów (a to ostatnie uważano podówczas za równoznaczne z najdonioślejszymi sprawami kraju), przeszły przez Radę stanu. Szło teraz o to, żeby one uzyskały sankcją cesarską, dla wyjednania której, dla obrony projektów przed licznymi ciałami zwierzchnich władz rosyjskich, Wielopolski po części został w Petersburgu, kwasiał się w tem wielkiem, niezdrowem i niemiłym dla Polaka mieście. Z projektami temi miał jechać do stolicy caratu Płatonow, i cesarz d. 15 grudnia pytał się, kiedy on nakoniec przyjedzie i rozkazywał, by przywiózł także oryginalny projekt Wielopolskiego o czynszowaniu²². Margrabia nalegał także

22 Depesza z d. 3/15 grudnia 1861 r.

na swych przyjaciół, by przyśpieszyli wysyłkę projektów, „dla skrócenia tutaj jego wygnania”²³. Tymczasem, jak zwykle, ostateczne przygotowanie papierów wlokło się leniwie i Płatonow wyjechał dopiero d. 19 stycznia 1862 r. wioząc ze sobą wszystkie projekta Wielopolskiego do Petersburga, gdzie miały wytrzymać ostatnią próbę ogniową.

Wśród tego wszystkiego margrabia nad Newą zyskiwał coraz szersze koło znajomych, stawał się coraz bardziej modnym. Z ciekawością, niepojętą dla tych, którzy nie znają towarzystwa petersburskiego, utworzonego na jedną modłę, przypatrywano się jego postaci olbrzymiej i ciężkiej, jego obejściu dumnemu, jego oryginalnemu sposobowi wzięcia się, jego rozmowie mądrej a pełnej inteligencji i dowcipu *sui generis*. Przytem sama dziwaczność jego położenia otaczała go pewnym nowym dla Petersburszczan urokiem. Przyjmowano go więc wszędzie w najwyższych i najlepszych towarzystwach, zapraszano na wieczory, bale, uczyty. Wielu chciało okazać przez to swe sympatyje ku ideom liberalnym, tak rozpowszechnionym, w tej epoce, a których przedstawicielką była niejako Polska; inni znowu, przeciwni wszelkim gwałtom, ze szczerego współczucia dla tej Polski tak nieszczęśliwej i tak długo gnębionej, z gorącym zapałem witali tego hardego szlachcica polskiego, który nieozdobiony żadnym tytułem, ani żadnym orderem, przyszedł do świata „czynownictwa”, upomnieć się o nieprzedawnione prawa swej ojczyzny.

Robił więc mnóstwo znajomości, ale najosobliwszą najdziwaczniejszą była znajomość z domem hrabiego Dymitra Błudowa, prezydującego w Radzie państwa. Hr. Błudow, człowiek już przez swoje wysokie stanowisko bardzo wpływowy, wyrocznia w sprawach kościelnych, pierwszorzędną powagę w innych, był wdowcem i honory domu robiła córka jego, panna Antonina, Antoanetą z francuzka zwana, osobistość na wskroś oryginalna, możliwa tylko w społeczeństwie takim jak rosyjskie, entuzjastka z pewnym odcieniem mistycyzmu, właściwego tej rasie tak długo gnębionej, wykołysanej w niewoli, oddychającej szerokimi przestrzeniami pól bezbrzeżnych i melancholijnych. Przyjmowano tam co czwartek i Wielopolski chętnie bywał na salonach Błudowa, pociągany zapewne urokiem tej panny tak niezwyklej i tak wyróżniającej się od wszystkich. Nie młoda już bardzo i nie ładna, choć siwiejąca mocno nie przykrywała głowy niczem i chodziła „przetowłosa”, jakby powiedział stary kronikarz Bielski. Otyła, ciężka, mimo to nadzwyczaj gadatliwa, gotowa była „przeciwnika na śmierć zagadać”, jak się wyraża o niej ktoś inny²⁴. Zrezygnowawszy z pola podbojów serc męzkich, rzuciła się z całym zapałem namiętej duszy kobiecej w szalony wir tych idei, które wstrząsały ówczesnem społec-

23 Lisicki, Le marquis, II, 256.

24 Lisicki, Kwartalnik historyczny, zeszyt IV, z 1894r., p. 743.

czeństwem rosyjskiem. Miała ona pewien wpływ na ojca²⁵, a bywając u dworu, wskutek swej pobożności znalazła łatwy przystęp do cesarzowej, która jako nowonawrócona przesadzała w swej dewocyi prawosławnej. W zebraniach wieczornych w salonach tej ostatniej, panna powoli zaczęła zajmować pierwsze miejsce i z czasem uzyskiwała ogromną przewagę nad słabym umysłem tej Niemki, zmienionej w carową prawosławną. Teraz jednak panna Antoaneta nie tyle zajęła była prawosławiem, ile polityką i ideami chwili, które szerokiemi, ale płytkimi i sztucznym korytem rozlewały się po pysznych salonach petersburskich.

Niegdyś, w r. 1848 wielbicielka bana Kroacyi Jellaczica, wyznawała teorię, że przyszłość należy do młodego świata słowiańskiego, a ten świat przedstawiała sobie według pojęć słowianofilów moskiewskich i z całym zapalem broniła i propagowała te zasady. W tym koncercie majestatycznym, jaki kiedyś w dziejowym pochodzie ludzkości miała odegrać słowiańszczyzna, Polska musiała mieć swą rolę; świętą więc powinnością było załagodzenie teraz wiekowej rozterki, jaka panowała między dwoma przodowymi narodami słowiańskimi: Polską i Rosyą. Pojawienie się margrabiego w Petersburgu z misją niejako załatwienia tego sporu, musiało na siebie zwrócić uwagę takiej entuzystki, jak panna Błudow. Przeczytała więc sławny „List szlachcica polskiego do ks. Metternicha”, i przejęła się niekłamanym uwielbieniem dla jego autora. Było to natura gorąca i kobieca; entuzjazm jej był płomienisty i wylewający się na zewnątrz. Mniej więcej w tym czasie ukazała się w „Journal de St. Petersburg” korespondencya z Warszawy, streszczająca artykuł dziennika „Monde”, o dążnościach Rosyi skonfederowała pod swem berłem całej Słowiańszczyzny, i jakoby margrabia popierał tą dążność, artykuł zakończony słowami: margrabia Wielopolski jest człowiekiem zbyt rozumnym i zbyt zasłużonym, by dał się porywać urojonym pomysłom kilku marzycieli²⁶. Te słowa dotknęły do żywego pannę Błudow. Przesłała ona do „Norda” odpowiedź pełną uniesień duszy wierzącej w to, o czem pisze. „Żałujemy mocno, wołała, że margrabia Wielopolski porzucił ideę słowiańską, gdyż lubilibyśmy widzieć w nim pojednawcą dwóch naszych narodowości, niepojednanych dotąd między sobą”²⁷.

25 Lisicki, Le marquis II, 272.

26 Lisicki, loc. cit. II, 417.

27 Charakterystyczną jest dalsza jej odpowiedź, malująca wybornie tę duszę, pogrążoną w melancholii mistycznej: „czy idea, którą wyznawało kilku marzycieli, o których mówi Plinius w opisie rodzącej się sekty chrześcijańskiej, była także urojeniem? Czy idea marzyciela Włodzimierza, wierzącego, że cerkiew prawosławna najlepiej odpowiada Rosyi, była także urojeniem? Czy idea kilku marzycieli monasteru Troickiego, uzbrających Rosyą przeciw anarchii była urojeniem? Czy idea marzyciela, wzniosłego męczennika prawa i narodowości, Hermogena, umierającego w więzieniu i podnoszącego myśl wyboru

Ale gdy poznała margrabiego osobiście, w długich, nieraz poufnych pogawędkach wieczornych, ovladnął on zupełnie tym entuzjastycznym, ale chwiejnym umysłem i znalazł w pannie Błudow gorącą i niezmiernie czynną orędowniczkę swych dążeń. Popierała go ona u ojca, zaznajamiała z kim tylko mogła, a między innymi z Tiutczewem, „sławistą a nawet pansławistą, jak pisała, porywającym poetą ruskim”, który później skończył na ubóstwianiu Murawiewa Wieszatiela. Sądziła ona zresztą, że idee wygłoszone przez margrabiego w r. 1846, znajdują grunt w Rosyi i robią postępy. „Żadna wielka idea, pisała, nie pojawiła się nagle na świecie, prócz idei objawionych, które zresztą długo tłumili głupota i złość ludzka. Ale zaród innej jak wojna nieczysta przyszłości, innej jak ucisk jednych przez drugich, istnieje w Rosyi, a jak sądzę, dzięki panu istnieje on i w Polsce. Wierz mi pan, że ogromna większość w Rosyi byłaby szczęśliwą, gdyby mogła wierzyć w istotne pojednanie i w zupełne narodowe zrównanie się między nami i wami, zwłaszcza, że wszyscy pragną zrzucić jarzmo moralne, jakie przewaga niemiecka włożyła na nas od dni smutnej pamięci Byrona”. „Jeżeli mówię panu jeszcze o rozwodzie (między Królestwem Polskim a Rosyą), to dlatego, że widząc zbyt złe pożycie między nami aż dotąd, nie mogę wierzyć w zbliżenie i za zbyt długo żyję, by marzenia o szczęściu małżeńskim budziły we mnie wiarę. Niemniej przeto gorąco pragnę, ażeby prawdziwy pokój zastąpił skrytą lub otwartą wojnę, jaką prowadzimy od tak dawna. Być może iż nudzę pana memi naleganiami, ale nalegam i nalegać nie przestanę, byś przygotował mego ojca do lepszego zrozumienia całości twych planów; jest to tylko możliwem wtedy, gdy będziesz mówił szczerze i szczegółowo o nadziejach, jakie można oprzeć rozumnie na pewnym systemie działania, dla dojścia do celu pożądanego”. W mistycznym usposobieniu swego ducha, chodziła do soboru Kazańskiego, gdzie się znajduje obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, i przed tym obrazem Najświętszej Panny, myślała o Wielopolskim, „pragnąc z całego serca, by pod naszymi nogami mógł się kiedyś znaleźć grunt neutralny, na którym oba narody mogłyby się spotkać szczerze”²⁸.

Wśród takich to warunków, wśród takiego prądu najróżnorodniejszych idei, Wielopolski pędził życie w Petersburgu, o tyle przynajmniej szczęśliwy, że rozszerzając krąg swych stosunków, nabierał przekonania, iż przy ich pomocy uda mu się przeprowadzić swą ideę zasadniczą. A z Warszawy tymczasem nadchodziły coraz gorsze wiadomości; reakcja brała tam górę. Nominacja Krzyżanowskiego i Kruzensterna, świadcząca najwymowniej o tej

Romanowa, była urojeniem? Czy idea marzyciela z Ham, idea napoleońska jest także urojeniem?

28 Loc. cit. 416.

reakcyi, postępowanie wreszcie w Komisji spraw wewnętrznych z jego projektem oczynszowania zmusiło go podać się ostatecznie do dymisyi, która mu udzieloną została ze wszystkich urzędów, z wyjątkiem członka Rady stanu, d. 7 grudnia 1861 r. przyczem obdarzony został orderem Orła białego w nagrodę „za poświęcenie, jakiego dał dowody w trudnych okolicznościach”²⁹. Proszono go przytem, by pozostał nadal w Petersburgu dla wzięcia udziału w pracach prawodawczych. Do podania o dymisyą dołączył obszerny memoriał, dotyczący ulubionej jego myśli i jak sądził, jedynie w ówczesnych okolicznościach zbawiennej: rozdziału władzy wojskowej od cywilnej. W memoryale tym twierdził on, że rozdział dwóch rzeczonych władz, „konieczny dla utrwalenia autonomii Królestwa Polskiego”, nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa dla władzy.

Zresztą nie był on wcale nowością; przed wypadkami w 1830 r. namiestnik królewski nie miał żadnego udziału w komendzie nad wojskiem; wódz zaś naczelny, wielki książę Konstanty nie mieszał się do administracyi Królestwa, i jeżeli ruch 1830 r. nabył trwałości, to tylko wskutek tego, że wódz opuścił armię. Dziś w kraju jest tylko jedno wojsko rosyjskie, które wystarcza aż nadto do poskromienia wszelkich prób zbrojnego oporu, „nieprawdopodobnego” wreszcie, przytem Warszawa znajduje się pod działaniami cytadeli. Komendę nad wojskiem dzierży oficer, obdarzony zaufaniem cesarza, i rozdział władzy nie może wywołać najmniejszej nawet obawy. Bez tego rozdział wszelki rząd w Królestwie będzie tylko rządem militarnym, mniej lub więcej zamaskowanym. Złączenie dwóch władz w jednej osobie, praktycznie dawniej, dziś w obecnych instytucyj, nadanych Królestwu, jest wprost niemożliwe; doprowadza ono, jak tego dowiodły wypadki ostatnie, do zamieszania i anarchii w łonie samego rządu. Zasada autonomii Królestwa, tylokrotnie wypowiedana, zaznaczoną została niedawno w reskrypcie cesarskiej do hr. Lamberta. Przez wzgląd na godność i interes tronu, obietnica ta nie może pozostać martwą, ale należy ją szeroko zastosować, a tym sposobem unikanie się żądań o nowe ustępstwa. Reformy społeczne i administracyjne zajmą umysły i wytworzą w łonie narodu zdrowe stronnictwo rządowe. Rządy wojskowe mogą tylko zniszczyć urok moralny władzy. Ważne prawa, które on, Wielopolski, przygotował na rozkaz monarchy, mają odrodzić społeczeństwo, otworzyć dlań nową erę i wzbudzić wdzięczność dla króla i cesarza. Reformy nadane w Marcu przyjęte zostały wprawdzie chłodno, ale to ztąd pochodzi, że w porównaniu z instytucjami 1815 r. stanowią one minimum reform politycznych; jednakże przy pomocy

29 „Co o mnie mówią w Warszawie?” pytał Wielopolski w jednym ze swych listów, cytowany u Lisickiego (Le marquis II, 256). „Orzeł biały odebrał mi zapewne większą część mej chudej popularności, a pobyt przedłużony tutaj zabije jej resztkę”.

wielkich praw, wyżej wspomnianych, chciał on przekonać kraj o doniosłości i ważności nowych instytucyj.

Potem przechodzi do uwag nad stanem wojennym, który ostatecznie dowiódł, jak dalece rządy wojskowe nie są zdolne do uspokojenia kraju, i kończy takiemi, niepozbowionemi właściwej mu patetyczności i siły słowami: „jako lojalny i wierny poddany, winienem zwrócić uwagę i wysoką mądrość cesarza na przepaść, jaką wykopie między narodem i tronem przedłużenie do nieskończoności rządu wojskowego. Stan oblężenia z każdym dniem rozszerza swą podstawę, nawet wstecz sięga. Według mego skromnego rozumienia, należy jak najprędzej wrócić na drogę legalności i ustalić porządek przez rozdzielenie dwóch władz, nie dających się żadną miarą pogodzić. Od decyzji cesarza zależy rozstrzygnięcie kwestyi, czy Królestwo Polskie będzie dla Rosyi żywiołem siły i postępu wewnętrznego a przewagi zewnętrznej, czy też stanie się nieustannem źródłem kłopotów dla cesarza i dla jego polityki”³⁰.

Uwagi te przyjmowano dość chłodno i na razie nie myślano widocznie zadość im uczynić. Rząd rosyjski, jak każdy wreszcie rząd despotyczny, był w gruncie rzeczy rządem militarnym i na wszelkie niepokoje społeczne widział zawsze jedyne lekarstwo w bagnecie i pięści, przez oddanie władzy w inne, a nie żołnierskie ręce. Mimo to w tej chwili nie myślał on schodzić z drogi ustępstw, na którą wszedł był w marcu; nalegał na Lüdersa ciągle, by przyspieszył wysyłkę projektów Wielopolskiego i na skutek domagań się tego ostatniego, zajął się załagodzeniem i ukończeniem kompromitującego w najwyższym stopniu, zatargu z duchowieństwem katolickim w Warszawie. Zatarg ten w tej chwili dochodził, że tak powiemy, do swego apogeum wskutek sprawy ks. Białobrzeskiego.

Jak wiemy, został on przez sąd wojenny, pomimo gorącej prośby piśmiennej, skazany na śmierć; wiemy, że cesarz polecił Lüdersowi wykonanie wyroku powstrzymać i akta sprawy przesłać do Petersburga, co namiestnik spełnił w d. 19 grudnia 1861 r.³¹. Tutaj to zapadła decyzja ostateczna co do losu Białobrzeskiego: cesarz zmienił karę śmierci na więzienie jednoroczne w twierdzy Bobrujskiej. Decyzję tę ogłoszono we wszystkich gazetach warszawskich w d. 10 stycznia 1862 r. z opisem szczegółowym całego procesu i sformułowano ją w sposób nieco drażniący, co wkrótce naraziło rząd na mnóstwo nieprzyjemności i niepotrzebną wcale polemikę dziennikarską. „Naj. Pan, czytamy w owym sprawozdaniu, po rozpoznaniu sprawy, uznał, że prałat Białobrzeski za nieprawne zgromadzenie w kapitule, i samowolne zamknięcie wszystkich

30 Memoryał czytać można w całości u Lisickiego, *Le marquis*, II, 250 i następn.

31 Depesza z d. 7/19 grudnia: „Kuryer wyjeżdża do Waszej Ces. Mości o godz. 5-iej, posyłam przez niego sprawę Białobrzeskiego”.

kościółów katolickich w Warszawie, wyrokiem sądu polowego wojennego prawnie skazanym został na karę śmierci; lecz jednocześnie najmiłościwiej raczył zwrócić uwagę na długoletnie piastowanie przez Białobrzeskiego, z zupełnym uznaniem władzy duchownej i świeckiej, rozlicznych urzędów duchownych, nieskazitelne prowadzenie się jego w czasie rokосу 1831 r. i podczas wszystkich innych zamieszek w Królestwie, niemniej także, że Białobrzeski w razie niedostateczności złożonych przezeń usprawiedliwień, odwołał się do miłosierdzia monarchy, ze względu przeto na powyższe okoliczności, Naj. Pan najmiłościwiej rozkazać raczył ograniczyć stopień kary, osadzeniem Białobrzeskiego w fortecy na rok jeden, nie pozbawiając go duchownej godności i orderu”.

Otóż słowa powyższe stały się kamieniem obrazy dla rozgorączkowanych głów warszawskich; wszyscy czuli się obrażonymi tem, że jakoby Białobrzeski miał się wyrazić, że kościoły przez hymny patryotyczne były znieważone, że „odwołał się do miłosierdzia monarchy”. Zaprzeczono temu, twierdzono, że to być nie może, że jest to kłamstwo „wynalezione przez zbirów moskiewskich na zohydzenie czcigodnego starca, duchowieństwa całego i narodu”.

Odgłos tych zaprzeczeń znalazł się oczywiście zaraz w prasie zakordonowej polskiej, a z niej powoli przeszedł do dziennikarstwa zagranicznego. „Jednym z najohydniejszych środków, jakich rząd rosyjski używa, pisano tam, jest rzucanie potwarzy i chęć plamienia charakteru i czynów ludzi zasłużonych i kochanych przez naród. Nie udaje mu się to jednak, bo mu nikt nie wierzy. Nie uwierzono również kilku nedorzecznym wyrażeniom, jakie włożono w relacji w usta ks. Białobrzeskiego. Przekonania swe, uczucia i odwagę aż nadto stwierdził on czynami; stwierdził je nawet sąd polowy wydając wyrok śmierci”. Ze stanowiska rządu najlepiej było nie zwracać uwagi na te zaprzeczenia gazeciarskie, nie wywołać polemiki, gdyż każda władza w tego rodzaju walce na pióra musi być pokonaną i sama jej obrona przyczynić się może do wzmocnienia rozdrażnienia powszechnego. Najlepiej więc było pominąć milczeniem te napaści dziennikarskie, zwłaszcza, że na nie ciągle był wystawiony i nie odpowiadać wcale. Inaczej się jednak zapatrywano w Warszawie na tę sprawę. Lüders pod wpływem swego otoczenia, a głównie Kruzensterna, bo samby zapewne takiego projektu nie powziął, w d. 26 stycznia zatelegrafował do cesarza z zapytaniem, czy wobec tych zaprzeczeń nie należałoby ogłosić w pismach publicznych oryginalnego tekstu zeznania Białobrzeskiego.³² Ce-

32 Depesza z d. 14/26 Stycznia: „Gazety zagraniczne twierdzą, że w wydrukowanej przez nas sentencji o Białobrzeskim, jego zeznanie i odwołanie się do łaski W. C. Mości jest zmyślone. Upraszam o pozwolenie wydrukowania dosłownie w tutejszych gazetach oryginalnego jego zeznania z akt sądu wojennego. Jenerał-adyutant Lüders”.

sarz tegoż samego dnia dał odpowiedź, zgadzającą się na ten osobliwszy projekt i w parę dni potem, 30 stycznia, ukazała się w „Dzienniku powszechnym” owa opłakana prośba Białobrzeskiego z 2 grudnia do sądu, w której w sposób tak poniżający dla siebie wypierał się wszystkiego i błagał o życie³³.

Ale w przypuszczeniu, że dziennikarstwo zagraniczne polskie, uzna tę prośbę także za akt sfalszowany, rząd uciekł się do środka niepraktykowanego. Kruzenstern, który całą tę akcję prowadził, wezwał do Zamku w dniu 29 stycznia za pośrednictwem listu prywatnego, skreślonego przez Solnickiego, dyrektora wydziału wyznań, księdza Czajewicza, ówczesnego regensa konsystorza i przedstawivszy mu oryginalny manuskrypt zeznań a raczej prośby Białobrzeskiego, kazał mu poświadczyć jej autentyczność. Położenie ks. Czajewicza było trudne, a nie był to człowiek, któryby miał odwagę cywilną stawienia czoła zrewolucjonizowanej i chorej opinii publicznej. Przytem poświadczenie autentyczności prośby Białobrzeskiego, strącało z piedestału jednego z tych bożków, jakich sobie mnóstwo wówczas tworzono i bądź co bądź nie było na rękę stronnictwu rewolucyjnemu i mogło narazić ks. Czajewicza na liczne zarzuty i oskarżenia. W tak trudnem niezaprzeczenie dla wszystkich słabych charakterów położeniu, regens konsystorza uciekł się do rozmaitych wybiegów. Zrazu stawił opór, mówiąc że nie ma do tego od swej władzy upoważnienia, ale nastraszony i skrzyzczany z żołnierską gburowatością przez samego Lüdersa, ustąpił i działać zamierzył na zwłokę. Ponieważ forma tego poświadczenia miała być protokółarną, więc ks. Czajewicz podniósł kwestyą, skąd on się wziął w Zamku? „Wszak, mówił, to musi być zaznaczonem w protokóle”. Odpowiedziano mu, że przybył tu na wezwanie Solnickiego. „List prywatny, odrzekł Czajewicz, nie jest wezwaniem urzędowem”. Uznano słuszność tej uwagi i odłożono rzecz do dnia następnego, co dało możność regensowi obmyślenia dalszego swego postępowania. Nazajutrz, d. 30 stycznia, otrzymał urzędowe wezwanie i wtedy własnoręcznie napisał wymagane poświadczenie, które z wykreśleniem i zmianą kilku wyrazów opublikowano zaraz w dziennikach³⁴.

Brzmi ono jak następuje: „z polecenia Komisji rządowej wyznań religijnych i oświecenia publicznego przez reskrypt z d. 18 (30) stycznia r.b. Nr. 1331/560, przybyłem do kancelarii namiestnika Królestwa, gdzie mi okazane zostało pismo JW. Ks. Białobrzeskiego, prałata archidyakona metropolitalnego warszawskiego, zawierające zeznanie jego w sądzie wojennym na dniu 20 Listopada (2 Grudnia) r. z. złożone, własną jego ręką napisane i podpisane, tudzież kopia tego zeznania, do mojego poświadczenia, a chociaż poznaję

33 Patrz: Tom III, 457 i następne.

34 Wszystkie te szczegóły z podań ustnych od osób wiarogodnych i świadomych rzeczy.

własnoręczność pisma i podpisu JW. ks. Białobrzeskiego prałata i jednoznaczności okazanej mi kopii z oryginałem zaprzeczyć nie mogę, kopii wszakże bez upoważnienia mojej władzy duchownej poświadczyc nie mogę. Warszawa d. 18 (30) stycznia 1862 r. ks. Ludwik Czajewicz regens kancel. Kons. J.W.”

Taki w ogólnych zarysach miała finał sprawa ks. Białobrzeskiego, która zyskała rozgłos ogromny w całej Europie, a w kraju burzyła i niepokoiła nadzwyczaj umysły. Białobrzski wywieziony do Bobrujska, wszędzie po drodze aż do Słucka, witany był przez tłumy, przeważnie kobiety, głośno płaczące nad jego losem i domagające się jego błogosławieństwa, które chętnie udzielał, nie wdając się z nikim w rozmowę³⁵. Nie wierzono jego upokarzającym zeznaniom w sądzie³⁶, a dwuznaczne poświadczenie ks. Czajewicza niewiarę tę wzmocniło, i rządowi cała ta sprawa żadnej korzyści nie przyniosła, a samo skazanie ks. Białobrzeskiego nie przstraszyło wcale duchowieństwa i na podstawie jego w niczem nie wpłynęło.

A jednak załatwienie sprawy zamknięcia kościołów, ich otwarcie, obsadzenie katedry metropolitalnej w Warszawie, było rzeczą nagłą i nieuniknioną.

Wielopolski to doskonale widział i łudził się tem, że przyszły arcybiskup zdoła okiełznać, przez samą powagę swego zwierzchniego stanowiska, zbyt wybujałe duchowieństwo polskie. Przekonać się miał z czasem, że było to złudzenie, że prądu rwącego z siłą szaloną pojedynczy człowiek powstrzymać już nie mógł, że zrobić to mogło tylko zbiorowe działanie ludzi rozumnych i szczerze pragnących dobra kraju. Margrabia jednak już przez swój charakter, który sam na sobie zawsze się opierał i na siebie liczył, sądził, że swą olbrzymią postawą zawali koryto wezbranej fali; sam będąc niezwykłą, potężną indywidualnością, wierzył w moc i siłę indywidualną. Dlatego to wydawało mu się, że najlepszym środkiem na zrewolucjonizowane do szpiku kości duchowieństwo warszawskie, będzie postawienie na jego czele człowieka wybranego ostrożnie. To przekonanie starał się przelać w sfery rządowe petersburskie. „Trzeba, mówił, zażądać od Rzymu, by mianował wikaryusza apostolskiego, albo też obsadzić wakującą katedrę warszawską. Pierwszy z tych środków będzie miał zawsze charakter prowizoryczny, a wybór osoby, którą się zaproponuje Stolicy apostolskiej, napotka wielkie trudności, gdyż niepodobna będzie wybrać wikaryusza apostolskiego z poza sfery kapituły metropolital-

35 W Biały Podlaskiej, jeśli wierzyć doniesieniom czasopisma tajnego p. t. *Pobudka* (Nr. 2 z dnia 1 Lutego 1862 r.) „tłumy ludu wszystkich stanów i wyznań, na wieść o przejeździe ks. administratora, cisnęły się w ulicach, ażeby otrzymać błogosławieństwo. Kiedy zaś z rozkazu jenerała Mamajewa, kozacy napadli na lud pobożny, chłopki Rusinki poczęły wołać: „ne byjte nas za naszaho batka, bo was Boh wszech pokarajc za toi czarny sudy”.

36 Taż *Pobudka* pisała: „rząd, dopełniając miary bezprawia, wysłał do fortecy czcigodnego ks. Białobrzeskiego, napełniwszy wpierw gazety kłamstwami, za które sam fałsz by się rumienił”.

nej warszawskiej, a przynajmniej poza duchowieństwem Królestwa Polskiego; a przytem obowiązki wikaryusza są niejako drogą prowadzącą do godności biskupa dyecezyjnego lub sufragana. Wobec złego stanu umysłów wśród wyższego duchowieństwa, nominacya arcybiskupa pod każdym względem jest lepszą. Kandydat na tę godność może być bez żadnych kwestyi wyszukany poza kapitułą warszawską i poza duchowieństwem Królestwa, a zatem poza zgubnym wpływem, jakiemu uległa większa część naszego kleru. Wybór zrobiony w takich warunkach, nie może napotkać trudności ze strony Stolicy apostolskiej, która od kandydatów na godność biskupią wymaga tylko konduity bez zarzutu, pewnej nauki, zdolności koniecznych dla rządzenia dyecezyą i znajomości języka wiernych, oddanych jej opiece. Nominacya zrobiona poza duchowieństwem Królestwa będzie zbawienną nauką, gdyż pokaże ona, że rząd, mając na względzie jedynie dobro religii i moralności, zdecydowany jest wybrać swych kandydatów z pośrodku całego duchowieństwa katolickiego, byle łączyli w sobie wymagane przymioty i zdala stali od intryg politycznych; roztetnie przytem szybko i skutecznie trudności wynikłe z wydalenia prałata Białobrzzeskiego i zamknięcia kościołów³⁷.

Słowa te potrafiły przekonać cesarza, uznał on konieczność załatwienia trudności powstałych z zamknięcia kościołów, i wolał obsadzenia katedry biskupiej, niż staranie się o wikariusza apostolskiego, który, jak to słusznie zauważył Wielopolski, nie rozstrzygał kwestyi, dawał szerokie pole Rzymowi do mieszania się w sprawy wewnętrzne kościoła polskiego, co zawsze przeciwne było polityce rosyjskiej w Polsce. Niemniej zgadzał się cesarz na to, by kandydat wybrany był poza duchowieństwem Królestwa, a nawet stawiał to jako konieczny warunek przyszłej nominacyi. Zdaje się jednak, że pomimo tego zasięmano wiadomości w Warszawie, kogoby tamtejsze sfery rządzące chciały mieć z pomiędzy kleru Kongresówki arcybiskupem. Lüders, do którego oczywiście to pytanie było wystosowane, chciał wybrać takich kandydatów, którzyby dobrze byli widziani przez Polaków, rząd i Rzym, i podał ich trzech: Marszewskiego, biskupa kujawsko-kaliskiego, niedawną ofiarę szkaradnej napaści w Łęczycy; Zwolińskiego, proboszcza praskiego, i ks. Kaczanowskiego, dziekana kapelanów wojskowych, mieszkającego w Warszawie. Z pomiędzy tych trzech kandydatów, Marszewski jako chory i jako powszechnie znienawidzony, był wprost niemożliwy; co do Zwolińskiego wątpliwem było, by go Rzym zaakceptował, zresztą od chwili gdy kościoła na Pradze nie zamknął, był krzywo widziany przez ogół polski. Margrabia zapytany o Zwolińskiego, stanowczo go odradził³⁸.

37 Lisicki, *Le marquis II*, 254.

38 N. Berg, *Zapiski (edycya poznańska) II*, 209.

Pozostawał więc jeden tylko ks. Kaczanowski, człowiek bardzo poczciwy, ksiądz wzorowy, ale cichy i nieznan nikomu. Lüdersowi więc zdawało się, że ten ostatni najlepiej odpowiada warunkom wyżej wyszczególnionym. Ks. Kaczanowski jednak zapytany, odmówił stanowczo: „powieście mnie, wołał rozstrzelajcie, ześlijcie na Sybir, ale ja nie chcę”³⁹. Wszystkie zatem kandydatury te upadły, zresztą nie były one traktowane na seryo; cesarz bowiem za nic nie chciał, by przyszły arcybiskup wyszedł z łona duchowieństwa w Królestwie.

W Petersburgu więc myślano zupełnie o kim innym i na razie rzucono okiem na ks. Żylińskiego, arcybiskupa mohylewskiego; wreszcie z porządku rzeczy zapytano się margrabiego, komuby radził oddać wysoką godność metropolitalną w Warszawie? Wielopolski podał trzech kandydatów: ks. Janiszewskiego z Poznania, ks. Prokopa Leszczyńskiego kapucyna z klasztoru warszawskiego⁴⁰, nakoniec ks. Konstantego hr. Łubieńskiego, proboszcza z Rewła, znanego nam już ze swej akcji w sprawie otwarcia kościołów. Ponieważ jednak ks. Prokop należał do kleru w Królestwie i zakon Kapucynów przez swój czynny udział w manifestacjach, źle był widziany w Petersburgu, więc kandydatura ta zaraz upadła, stawiana zapewne przez samego Wielopolskiego w charakterze komparsa, obok głównej postaci, którą był Łubieński. Upaść także musiała wobec tego kandydatura ks. Janiszewskiego, nie budząca już przez to samo zaufania, że należał on do duchowieństwa polskiego zagranicznego, było obcym poddanym i wyrosłym w całkiem innych warunkach. Tym sposobem pozostał jeden Łubieński, jedyna poważna kandydatura.

Był to ksiądz jeszcze młody, pochodzący z rodu o nazwisku historycznym, co nie małe zapewne miało znaczenie w arystokratycznej opinii margrabiego, czynny, energiczny, zaprawiony w intrygach politycznych, w których ród ten tradycyjnie się odznaczał, nadzwyczaj zdolny, rozumny, ambitny, co było właściwością wszystkich Łubieńskich. Niewątpliwą było rzeczą, że potrafiłby on stawić czoło burzy, zbierającej się w Polsce, że zdołałby przywrócić karność wśród duchowieństwa, że może (jeżeli w historii należy robić przypuszczenia) popchnąłby na inną kolej nasze dzieje; ale z drugiej strony był nielubiany przez ogół, rewolucyoniści go potępiali za jego, jak mówili, „intrygi”, za rządów Lamberta, umiarkowani uważali go za zbyt gorliwego, za ultramontanina⁴¹, i za zbyt oddanego rządowi. Bawił on podówczas w Petersburgu i zapytany przez Wielopolskiego, czy przyjąłby godność arcybiskupią, odmówił bezwa-

39 „Żywoć ks. Szczęsnego Zygmunta Felińskiego”. Rękopism, skreślony przez osobę bardzo blisko będącą arcybiskupa Felińskiego, znajdujący się w naszych zbiorach.

40 Loc. cit.

41 Lisicki, loc. cit. 255.

runkowo. Jakie względy nim kierowały, trudno odgadnąć⁴², to pewna, że dobry patriota inaczejby postąpił, i kielich goryczy wypił do dna dla ojczyzny... Wszelako spytany o radę, kogoby w takim razie uważał za odpowiedniego do objęcia wysokiej, trudnej i politycznie niebezpiecznej godności metropolity warszawskiego, bez wahania wskazał na ks. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, podówczas profesora Akademii Duchownej petersburskiej⁴³, należącego do archidiecezyi mohilewskiej, znanego ze swych cnót, pobożności i nauki, ale skromnego, zagrzebanego w pracy, a przez to niezbyt głośnego⁴⁴.

Łubieński odmalował owego cichego księdza, zamieszkałego w skromnej celi akademickiej na wyspie Wasilewskiej, tak dodatnimi barwami, że Wielopolski zapragnął go poznać. Przytem uderzała obu ta okoliczność, dziwna zaiste! i jakby palec Boży zdradzająca, że kandydat na arcybiskupa warszawskiego, powołanego między innymi do usunięcia z kościołów pieśni „Boże, coś Polskę” i innych, nosił to samo nazwisko i był bliskim krewnym twórcy tej pieśni, tak poetycznej i tak wstrząsającej nerwami współczesnych. W duchu mistycznym epoki, a duchowi temu nawet tak potężna organizacja umysłowa, jaką był Wielopolski, ulegała niekiedy, zdawała się ta okoliczność świadczyć o tajnych przeznaczeniach dziejowych i nie bez wpływu zapewne była na ostateczną decyzją margrabiego. Powtarzamy, oznajmił chęć poznania ks. Felińskiego.

Jakoż, pewnego dnia, wieczorem, na herbatę przywiózł ks. Łubieński skromnego profesora akademii, do salonów, zajmowanych przez najdumniejszego z magnatów polskich. Było kilka osób i margrabia tak się urządził, że zostawiwszy Łubieńskiego z nimi, sam niepostrzeżenie zniknął z nowoprzybyłym i zamknął się w osobnym gabinecie. Rozmowa trwała dość długo

42 N. Berg, loc. cit. przypuszcza, że Łubieński marzył o arcybiskupstwie i Felińskiego wysłał tylko na utorowanie mu drogi ciernistej.

43 Nie seminaryum, jak to powiada Lisicki, *Le marquis II*, 255.

44 Stefan Prawdzicki (ks. Polkowski) w swem dziełku p. t. „Wspomnienie o Zyg. Szczęsnym Felińskim” (Kraków 1866) na str. 18 inaczej opowiada przebieg tej sprawy. Utrzymuje on, że Wielopolski wcale nie proponował ks. Łubieńskiemu arcybiskupstwa. Rzecz zaś, według niego, tak się odbyć miała: „przypadek zrządził, że w pewnym miejscu, przedstawiono mu (Wielopolskiemu) znanego niegdyś kapłana Konstantego Łubieńskiego, proboszcza z Rewła. Znany ze swej dumy margrabia, jakkolwiek rzadko z kim raczył na uboczu rozmawiać, znacząco zaprosił ks. Ł. I rozpoczął z nim badawczą rozmowę, wypytując nieznacznie o liczbę duchowieństwa w stolicy (Petersburgu?) o ich postępowaniu i t. d. w końcu zapytał go: kto tu ma największą wziętość i imię? Czy ks. Ł. odgadł myśl margrabiego, czy nie – nie wchodzimy w to, dość, że w opisywaniu duchowieństwa petersburskiego wielce się rozwiódł nad pochwałami ks. Felińskiego, profesora Akademii duchownej”. Otóż podanie to jest błędne. Wszystkie relacje, jakie posiadamy o tej sprawie, jednogłośnie twierdzą, że przebieg wypadków był taki, jaki podaliśmy w tekście.

i margrabia ukazał się nakoniec z twarzą dość zadowoloną i dziękował Łubieńskiemu, że mu „pozwoił zrobić tak przyjemną znajomość”⁴⁵.

Po tem oczywiście nic nie pozostawało, jak zasięgnąć bliższych wiadomości o tym księdzu dotąd nieznanym, którego gwiazda nagle z poza chmurnego horyzontu petersburskiego ukazywać się poczęła na niemniej chmurnem niebie polskiem. Wiadomości te były bardzo różnorodnej natury i bardzo dziwne i bardzo romantyczne.

W chwili gdy go powołać chciano do dźwigania ciężkiego zaprawdę krzyża, gdy miał wstąpić na wielką scenę akcji historycznej, był on w sile wieku męskiego, gdyż liczył zaledwie lat 40 (urodzony we Wsi Wojutynie (inni zwią ją Wojtunem) w powiecie łuckim na Wołyniu, dnia 1 listopada 1822 r.). Szczupły, jakby zawiędły w uniesieniach ascetycznych, o twarzy surowej i nerwowej zarazem, oczach błękitnych, rozmarzonych i niekiedy mających wyraz półbłędny i półsenny, był niejako wcieleniem tego pokolenia, które po wielkiej epopei 1831 r. w szeregu Rolandowych awantur, wśród rozkołysanych marzeń, wyśnionych „na pościeli granitów rzymskich” i „oddychaniu różami Cezarów”, szło szukać wolności ojczyzny na setkach pól krwawych, na rusztowaniach, na szubienicach, w rzeziach kaukazkich, w kopalniach i tajgach syberyjskich. Wszystkie bóle tego pokolenia dziwnego i jedyne w dziejach, wszystkie cierpienia i męki jego, wszystkie sny i marzenia, znalazły odbicie w duszy i sercu ks. Felińskiego. Należał on zresztą do rodziny, która stale niosła z siebie ofiarę dla ojczyzny. Ojciec jego Gerard umarł na wygnaniu na Syberji, matka, słynna Ewa z Wendorfów Felińska, za spiszek Konarskiego, zesłana na Sybir, na krańce jego ostatnie, do Berezowa, opisała swój pobyt tamże i urokiem swego stylu, podniosłością swej duszy, czystością myśli, więcej z tej książki, zyskała sobie od razu piękną kartę w dziejach piśmiennictwa ojczyzstego⁴⁶.

45 „Żywot ks. S. Z. Felińskiego”, rękopism. Gdy wyjeżdżając od Wielopolskiego (opowiada tenże rękopism) wsiadali obaj księża do powozu, Łubieński, zwracając się do woźnicy, zawołał: „Wańka! Ostrożnie jedź, bo wiesz arcybiskupa warszawskiego!” Feliński usłyszawszy to, i przekonany, że tym przyszłym arcybiskupem jest nie kto inny tylko ks. Łubieński, począł mu składać swe powinszowania, Łubieński ciągle utrzymując nastrój żartobliwy, rzekł: „jeszcze niewiadomo, kto komu ma winszować”.

46 Książka ta wyszła w 3 tomach w r. 1852 w Wilnie p. t. „Wspomnienia z podróży po Syberji i pobytu w Berezowie i Saratowie”. W r. 1856 w tymże Wilnie wyszły niemniej ciekawe i niemniej pięknie napisane „Pamiętniki z życia Ewy Felińskiej”. Poprzednio jeszcze, w r. 1849 napisała powieść p. t. „Hersylia” a współcześnie z wyjściem wspomnień syberyjskich, które ogromnego rozgłosu nabrały, pani Felińska, nagłona zapewne przez spekulacją księgarską, napisała i wydała w r. 1852 w Wilnie powieść „Pan Deputat”, bardzo słabą. W tym zakresie twórczości literackiej matka przyszłego arcybiskupa nie miała zyskać sobie sławy. Siłę jej stanowiło spokojne, równe opowiadanie, pełne słodkiej melancholii i poezji głębokiej. Talent jej twórczym nie był.

Stryj, głośny w swoim czasie poeta Alojzy Feliński, i pomimo hołdowania pseudoklasycyzmowi niezaprzeczonego poeta, autor rozplamieniącej współczesnych tragedii „Barbara Radziwiłłówna”, stworzył ów hymn, który tak doniosłą i tak potężną odegrał rolę w ostatnich dziejach naszych nieszczęść. Siostra Alojzego, Emilia, w 18 roku życia przez przekład paru poezji Rousseau’a, uzyskała dość znaczny rozgłos, gdyż wówczas dość tanim kosztem można było zdobyć sobie sławę literacką. Jednym słowem w rodzie tym streszczała się niejako cała działalność pokoleń ówczesnych, knowanie spisków, ciężka za nie pokuta i praca literacka.

Gdy ojciec przyszłego arcybiskupa w r. 1838 umarł na Syberii, a matkę wkrótce potem wywieziono do Tobolska za to, że udzieliła przytułku jednemu z emisariuszów Konarskiego, dzieci w liczbie sześciorga, trzy córki i trzech synów⁴⁷, pozostawione same sobie, znalazły schronienie u sąsiadów, którzy uważali sobie za obowiązek obywatelski rozciągnięcia opieki nad dziećmi męczenników za ojczyznę, jak to wtedy mówiono.

Stąd Feliński w czasie wakacyi robił parokrotne wycieczki do matki, którą przeniesiono już do Saratowa, pomagał jej ze swych drobnych oszczędności (posyłał jej rocznie 1000 złp.), i po ukończeniu uniwersytetu, wywdzięczając się za pomoc swemu opiekunowi Brzozowskiemu, został nauczycielem jego dzieci. Były to czasy rozkwitu romantyzmu, epoka seraficznych marzeń, bajronicznych uniesień, roztkliwienia poetycznego. Dzieła trzech wielkich wieszczów tej doby, przedostając się kontrabandą do kraju, wywierały wrażenie olbrzymie na dusze tak melancholijne, tak poetyczne, wykołysane w bólu, wychowane w cierpieniu rodziny i ojczyzny, jaką była dusza Felińskiego. Poeci płynąc po wodach jezior szwajcarskich lub italskich, kontemplując „nad Alp śniegiem rozwieszane Włoch błębity”, „rwąc fiołki rosnące na grobach świętych i gladiatorów”, kochali się w mężatkach, mieli swe Beatrice, swe Delfiny Potockie, swe Bóbr Piotrowickie, swe Ludki i swe Eglantyny i kraszając tę nieprawą miłość wszystkimi urokami poezyi, stawiali ją na piedestale czegoś niezemskiego i czegoś wzniosłego. W życiu spaczonem i niezdrowem ojczyzny paczyły się najprostsze zasady moralności i uczciwości, i zdrożne stosunki wyrastały na ideały godne naśladowania, zatrwały młode serca i głowy. Opowieści o tych kochankach, przysłonięte mgłą tajemniczą, ubrane w najcudowniejszą krasę poetycką, miały już przez swą tajemniczość wielki urok dla takich serc czułych i poetycznych jak Feliński. Opiekun jego Brzozowski miał

47 Córki: Paulina, Zofia i Wiktorya; dwie z nich wyszły za mąż, jedna za Wincentego Wydzę, zdaje się Paulina, i pojechawszy z mężem do matki na wygnanie, zmarła tam wkrótce; druga była za Adamem Poniatowskim. Trzeciej los nam nieznan. Z synów dwóch poświęciło się stanowi duchownemu.

żonę, Zamoyską z domu, kobietę podobno młodą jeszcze i bardzo piękną; nic dziwnego, że rozmarzony chłopiec zakochał się w mężatce. „I ja też miałam Beatricę moją” mógł zawołać z poetą, ale miłość ta, choć podobno odczuwana przez drugą stronę⁴⁸, napoiła go taką goryczą, takim uczuciem nieszczęścia i niedoli, że postanowił uciec od niej⁴⁹, i pod pozorem dalszego kształcenia się, w r. 1847 wyjechał zagranicę, za paszportem legalnym i z wiedzą swego opiekuna. Oczywiście udał się do Francji, do Paryża i począł uczęszczać do Sorbony i Kollegium francuskiego na kursa historii i filozofii⁵⁰, zapoznał się z emigracją, zwłaszcza młodszą, która przybiegła tutaj z ciasnego i dusznego więzienia paskiewiczowskiego, rwała się do czynu i wołała, by jej szyto „trójbarwiste, chorągiewki czyste”.

Emigracja starsza, niemniej gorąca i zapalna, ale zato o wiele silniejsze posiadająca charaktery, gotowała się także do stoczenia nowego boju o wolność i ojczyznę. W ten wir uczuć, podniesionych do najwyższego tonu, słów szumnobrzmiących, pobrząkiwania szabelkami i górnolotnymi frazesami, wpadł młody Feliński z duszą rozgoryczoną bardzo, zwarzoną przedwcześnie, zbołą i rozkochaną w kobiecie i ojczyźnie. Uważano go powszechnie w emigracji za młodzieńca bardzo obiecującego. Pracował wiele i pilnie i bystro pojmował każdą rzecz. Miał, według tych, co go wtedy znali „umysł wrażliwy i podniosły, wielce skłonny do mistycyzmu, a nawet marzycielstwa, egzaltowany w niektórych sposobach zapatrywania się na sprawy ludzkie. Polak, gorącym sercem kochający kraj i przeszłość naszą. Tajemniczy, głęboko religijny i uczuciowy zarazem, lubiący wnikać w tajniki zasad moralnych i społecznych. Charakter słodki, duch miękki, niedość samoistny, rozpływający się w owej bezwzględnej miłości, którą to naród tak trafnie zwie żeńską miłością. Obyczajów surowych, sięgających do ascetyzmu. Wśród jednak nieudanej skromności i prostoty, w osobistości Szczęsnego, bliżej wglądawszy, dostrzedz było można trochę miłości własnej i pewności samego siebie. Powierzchności miłej, wzrostu mierzkiego, szczupły, nerwowy, oczów niebieskich a włosów jasnych, trochę szepleniący, lecz z łatwością słowa. Wogóle znać w nim było staranne i troskliwe wychowanie domowe, dane mu przez ząną matkę, o której zawsze mówił z wielką miłością synowską”⁵¹.

W Paryżu Feliński zapoznał się z Juliuszem Słowackim, głośnym bardzo poetą, z którym łączyły go wołyńskie moze i krzemienieckie wspomnienia⁵².

48 N. Berg, *Loc. cit.* II, 209.

49 „Żywot ks. S. Z. Felińskiego” rękopism.

50 J. Jastrzębczyk, *Krzyżowy charakter ruchu polskiego*, 40.

51 Jastrzębczyk, *Loc. cit.* 40.

52 Matka Felińskiego, mieszkając w Krzemieńcu dla edukacji dzieci, zapoznała się tam i zaprzyjaźniła z panią Becu, matką Juliusza.

Nie zajmowały go czcze teorie demokratyczne lub arystokratyczne, o które emigracja się żarła między sobą; on przyłgął do fantastycznego gieniuszu autora „Kordyana”, a przez niego do niemniej fantastycznej i mistycznej nauki, jaką głosił „mistrz Andrzej” Towiański. Człowiek ten, który tyle głów u nas zepsuł, tyle talentów zmarnował, na chorą i tonącą już w mistycyzmie duszę Felińskiego oddziałał bardzo mocno, a pod żarliwym wpływem Słowackiego, który w swym geniuszu poetyckim fantazyował na temat mętej nauki Towiańskiego, przyszły metropolita warszawski został Towiańczykiem⁵³. W tym względzie oddziałał na niego zapewne wysoki nastrój Juliusza i jego życie surowe, prawie ascetyczne, jakie teraz pędził. Ze swej strony Słowacki polubił go bardzo. Poznali się w początkach 1848 r. i autor „Mazepy” pisząc o tem do matki, nazwał Felińskiego „godnym kochania chłopcem”⁵⁴. Ten ostatni odwiedzał poetę co czwartek i wkrótce zawiązał się między nimi stosunek bardzo serdeczny; nie jedno dzieło poety przepisał mu Szczęsny. Słowacki zwał go teraz poufale „Felusiem”, „czystym brylantem i skarbem swoim”, wołał, że „prawdziwie mu takiego potrzeba było”.

Ale zbliżała się wielka burza 1848 roku. Dym barykad paryskich owionął emigracją polską, w głowach wrzeć zaczęło, serca rwać się do Polski kochanej, w snach marzycielskich szatą niepodległości odzianej. Rozpoczęły się narady co robić i jak robić. W mieszkaniu Chłędowskiego, wśród zebranych około trzydziestu Polaków, znalazł się Słowacki, znalazł się i jego „Felus”. Słowacki rozgrzany różnymi pomysłami, ze zwykłą sobie porywającą wymową, z zapalem iskrzącym, zaproponował skonfederowanie się całego narodu z przyjęciem dawnych form konfederackich i żądał natychmiastowego zawiązania się konfederacyi w Paryżu⁵⁵.

Pomimo silnego wrażenia, jakie mowa ta wywarła, chłodniejsi a może praktyczniejsi, uznali niepodobieństwo przeprowadzenia tego rodzaju aktu, co bynajmniej nie wpłynęło na Słowackiego i czterech bezwzględnych zwolenników tej myśli, t. j. Felińskiego, Józefa Czarnowskiego, Andrzeja Fredro i Kornela Ujejskiego. Spisali oni akt konfederacyi i odpowiednią odezwę ogłosili drukiem. Ale przeminęła ona bez wrażenia; zaproszony do naczelnictwa wojennego generał Kamiński odmówił, odmówił i pułkownik Różycki. Wobec tego, wobec wieści z Poznańskiego, gdzie się tworzyły pod Mierosławskim obozowiska polskie i brzmiała pobudka wojenna, Słowacki postanowił tam szukać gruntu dla swej idei i z trzema towarzyszami (Feliński, Fredrą i Czarnowskim) wybrał się do Księstwa. Wszyscy oni trzej wstąpili w szeregi. Z tej

53 „Żywot ks. S. Z. Felińskiego” rękopism.

54 „Listy J. Słowackiego do matki” II, 188 (List z d. 22 stycznia 1848 r.).

55 J. Jastrzębczyk, *Loc. cit.* 41.

wyprawy w duszy Felińskiego pozostał na całe życie żal niczem nieutulony, a na czole blizna od szabli dragona pruskiego, w krwawym starciu pod Miłosławiem otrzymana.

Feliński raniony najprzód powrócił do Paryża w połowie czerwca, a po nim Słowacki i dwaj jego towarzysze. Zaszła krwawa represya Cavaignaca, i Feliński „doznał twardej nędzy, wodę nosił i jeść gotował”⁵⁶. Dni te wraz z tem, co widział w Poznańskim, głębokie wrażenie wywarły na jego umysł. Bolał serdecznie nad małością i nad namiętnościami ludzkimi, a stan egzaltacji duchowej w połączeniu z mistycznymi teoriami „mistrza Andrzeja” doszedł w nim do swego apogeum. Słowacki wrócił niemniej rozboleły, i dwie te dusze, rozumiejące się doskonale wzajem, coraz bardziej zanurzały się w przepaście otchłania mistycznych uniesień i marzeń. W takim stanie umysłu przyszłego arcybiskupa, nadeszła w lipcu 1848 r. wieść, że pani Zenonowa Brzozowska, chora na suchoty, bawi w Monachium. Pod pozorem starania się o przedłużenie paszportu, Feliński wyjechał do tego miasta.

Co tam robił (prowadził podobno dalej swe studia akademickie), jak żył i jak cierpiał, nie wiemy, dość, że w ostatnich dniach marca 1849 r. na wieść o chorobie Słowackiego powrócił do Paryża⁵⁷, po to tylko, by być świadkiem zgonu jednego z największych poetów polskich i świata słowiańskiego. Umierając Słowacki wyrzekł do swego przyjaciela te pamiętne słowa: „wszak prawda? Gdziekolwiek ostatnia godzina Cię zastanie, czy na wysokim urzędzie, czy w skromnym wiejskim domku, czy we własnym dworze, przyjmiesz wolę Bożą spokojnie i z godnością, jak nieśmiertelnemu duchowi przystoi”. Zgon ten opowiedział Feliński i w opisie tym widać żal głęboki: „sił mi nie staje pisać dalej (kończy o stracie, którą tak mocno uczułem; był on dla mnie więcej niż przyjacielem”.

Śmierć ta, zawiedzione nadzieje polityczne, choroba pani Brzozowskiej, która podobno przeniosła się do Paryża, by tu cicho skonać⁵⁸, tak oddziaływały na rozbolełą, poetyczną duszę Felińskiego, że powróciwszy do kraju, decyduje się wstąpić do stanu duchownego i marzy o tem, jak kiedyś zostanie proboszczem w rodzinnym Wojutynie. Zapisuje się więc do seminarium w Łucku, skąd po dwuletnim pobycie wysyła go ks. biskup Borowski do akademii duchownej w Petersburgu dla ukończenia studyów. Tu dogorywający już biskup Hołowiński wyświęca go w r. 1855 na księdza i przeznacza na wikaryusza przy kościele św. Katarzyny, skąd po czterech latach wezwany zostaje na profesora

56 Listy II, 201.

57 S. Prawdzicki, loc. cit. 258. List do Teofila Januszewskiego z d. 7 kwietnia 1849 r. „Przyjechawszy przed dwoma tygodniami do Paryża”.

58 N. Berg, Loc. cit. II, 209.

logiki i filozofii moralnej w Akademii Duchownej. Odtąd w skromnej i cichej celi, przedzielonej przepierzeniem drewnianem i tworzącej przez to niby dwa pokoiki, umeblowane w kilka krzeseł twardych, szafę w kącie z książkami i kulawy samowarek, przepędzał młody ksiądz Feliński lata całe, pogrążony w ascetyzm prawdziwy, rozplamieniący się w ciszy prawie klasztornej życia potężnym ogniem miłości ku tej Polsce, której nie przestawano krzyżować.

Wykład jego włókł się dość leniwie i ospale, usypiająco oddziałując na słuchaczy, ale ilekroć profesor pośrednio czy bezpośrednio dotykał się losu narodu, oko jego zapalało się, twarz ożywiała, słowa płynęły z ust jak roztopiona i wszystko pożerająca sobą fala złota. Nie przestawał on ani na chwilę wpajać w swych uczniów gorącej miłości ku Polsce, radził jak mają postępować w przyszłości, gdy Bóg pozwoli im tam wrócić i zająć stanowiska rozmaite. Te rady, bardzo zresztą liczne i zapewne w różnych czasach i okolicznościach wygłaszane, jeden z alumnów spisał sobie w osobnym zeszycie i zachował zostawszy proboszczem gdzieś na Litwie. Tu wpadły one w ręce Murawiewa Wieszatiela i opublikowane⁵⁹, stały się tematem niewyczerpanym dla ówczesnych karierowiczów moskiewskich do głośnych krzyków za zgnilizną jezuicko-łacińskiej cywilizacji, na miejsce której oni powołani zostali do wprowadzenia zdrowej jakoby i młodej cywilizacji moskiewsko-prawosławnej. Pisał tutaj życiorys ks. biskupa Hołowińskiego, skreślony, mówiąc nawiasem, blado i stylem kościelno-kaznodziejskim, robił wycieczki w strony rodzinne do matki, odwiedził nawet J. I. Kraszewskiego w Gródku⁶⁰, a w Petersburgu swym życiem bogobożnym, ascetycznym i czystym powoli zyskiwać począł wpływ ogromny. Wśród zamętu, jaki nagle powstał w umysłach społeczeństwa rosyjskiego pod działaniem reform i prądów liberalnych nowego panowania, wiele dam z najwyższego świata petersburskiego okazywało skłonność ku katolicyzmowi⁶¹ i szukało w nim ukojenia może nie tyle dla dusz swoich, ile dla żądzdy odmiany i nowości. Wiele z nich w rzeczy samej potajemnie przeszło na katolicyzm i spowiadało się u skromnego, mnisze życie pędzącego profesora Akademii Duchownej.

Przez to zyskiwał on niemałe wpływy i dzięki temu udało mu się w stolicy caratu założyć rodzaj zakonu żeńskiego pod nazwą „Towarzystwa polskiego siostr miłosierdzia”, zwanych w języku potocznym „Felinkami”, lub „Felicyankami”. Stowarzyszenia tego, które rozwinęło się od razu bardzo silnie, był on opiekunem duchownym, a przełożoną była panna Florentyna Dyman, kobie-

59 W czasopiśmie „Wiestnik Zapadnoj Rossii” z 1866 r. II, 168 p. t. „Rady przyjacielskie” (Druzestwiennyja sowiety).

60 „Książka jubileuszowa, ofiarowana J. I. Kraszewskiemu”, 41.

61 „Żywot ks. S. Z. Felińskiego” rękopism.

ta niemłoda, nieładna, ale nadzwyczaj zręczna w postępowaniu i pełna stosunków. Jednym słowem, Feliński przez kilka lat pobytu w Petersburgu, dzięki swemu życiu czystemu i ascetycznemu, dzięki swemu wykształceniu i podniosłości ducha, umiał sobie wyrobić znaczne bardzo wpływy⁶².

Takim w ogólnych zarysach był człowiek, któremu Wielopolski zamierzył powierzyć trudne niezmiernie w tej chwili stanowisko arcybiskupa metropolity warszawskiego. Nie zważał, a może nie znał szczegółów z przeszłości tego księdza, który wykarmił się poczyą romantyczną i romantyczną polityką polską, któremu nie przestał brzmieć w uszach żałośliwy „jęk Miłośławia i Wrześni”, który wreszcie w gruncie rzeczy był najognistszym, najzapaleńszym patriotą, jednym z tych ludzi, tak licznych w tej epoce, którzy dla ojczyzny gotowi byli iść na męczeństwo, dla których Polska była świętością, a myśl jedynie zwracała się ku republice o dwa morza i o dwie rzeki opartej. Może Wielopolski nie zdawał sobie sprawy z tego, może sądził, że mroźna atmosfera petersburska, widok naoczny potęgi caratu i tego granitowego miasta, jakby uosobionego w pomniku Piotrowym, co „leciał tratując po drodze”, tak oddziaływał na Felińskiego, że zrzekł się polityki awanturniczej, że potrafi liczyć się z rzeczywistością i myśleć będzie nie o odzyskaniu utraconego, ale o utrzymaniu tego, co się jeszcze miało. Zobaczymy, że mylił się, jak może i sam Feliński się mylił w sądzie o położeniu rzeczy. Co innego bowiem było patrzeć na wypadki ostatnie z odległego punktu na wyspie Wasilewskiej, a co innego żyć wśród nich, oddychać gorącą atmosferą Warszawy i grać główną rolę na tragicznej scenie polskiej.

Dlatego też kładąc ciężką infułę metropolitalną na głowę, kładł ją w dobrej wierze, iż wykona swe zadanie uczciwie i że wykonując je tak, nie inaczej, dobrą służbę spełni ojczyźnie. Z czasem, w burzy szalonej, która się zerwała u nóg jego, przekonać się miał, że się mylił i heroicznie za tę omyłkę i odpokutował.

Ale w tej chwili nie wątpił o sobie i o patriotyzmie najczystszymswej misji. Nie wątpił i Wielopolski i przekonany był, że ten cichy ksiądz, o wyglądzie mistyka i ascety, jakby żywcem wygrzebanego z pieczar Tebaidy, uspokoi duchowieństwo, ład i karność wśród niego zaprowadzi i wzbierającej fali rewolucji nałoży wędzidło. W tem przekonaniu wygotował memoriał, który cesarzowi przedstawił. W memoriale tym wszelkimi sposobami, starał się za radą ks. Konstantego Łubieńskiego⁶³ uzasadnić potrzebę rezydencji nuncjusza papie-

62 Loc. cit.

63 Myśl nuncjatury nie wyszła wcale od Wielopolskiego, jak to utrzymuje Lisicki w obu swych panegirykach, ale od ks. Łubieńskiego, który w czasie swego pobytu w Rzymie w r. 1861 podsunął ją ambasadorowi rosyjskiemu hr. Kisielowi. Dodać tu trzeba, że Kisie-

skiego w Warszawie, lub ostateczności w Petersburgu. Twierdził, że z nuncyuszem takim, rząd porozumiewałby się tu na miejscu, a ten wiele spraw mógłby sam załatwić i z niektórymi tylko odnosić się do dworu rzymskiego; „to zaś, na coby on (t. j. nuncyusz) się zgodził, z pewnością twierdzić można, zostałyby przez dwór rzymski zaakceptowane”. Do takich spraw, mogących być rozstrzygniętymi na miejscu, należało przedewszystkiem oczynszowanie w dobrach duchownych; duchowieństwo bowiem, uważając oczynszowanie w dobrach duchownych; duchowieństwo bowiem, uważając oczynszowanie włością za alienacją, potrzebującą upoważnienia Stolicy apostolskiej, wstrzymało się z przystąpieniem w dobrach swoich do tego aktu. Do takich spraw dalej należało zwierzchnictwo nad zakonami, które w Królestwie nie podlegały władzy biskupów, ale swych generałów, w Rzymie mieszkających.

Wskutek tego, jak twierdził memoriał, „zakony nie zachowują jak należy reguły swojej, dopuszczają się nadużyć, rozwolnienia w życiu i całym postępowaniu, a biskupi zaradzić temu nie są władni, jak tego były nawet przykłady w terażniejszych wypadkach krajowych, w którym zakonnicy występowali to z nabożeństwami, to ze śpiewami politycznymi przez rząd wzbronionymi a nawet z przemowami do ludu, nieprzyjawnymi dla rządu. Temu wszystkiemu powagą swoją mógłby nuncyusz zapobiedz, jak również nieporozumieniom, wynikającym z prawa 1836 roku o małżeństwach mieszanych. Utrzymywał, iż bytność na miejscu nuncyusza i osobiste z nim porozumienie się wpłynęłoby na usunięcie wynikłych z tego powodu rozdrażnień; mógłby też, według memoriału, z łatwością rozstrzygnąć raz na zawsze kwestyą dyecezyi kieleckiej, która z prawa należała do krakowskiej i biskupa osobnego mieć nie mogła, tylko administratora. Niemniej bytność w kraju nuncyusza usuwałaby potrzebę trzeciej instancyi w sprawach rozwodowych, która znajdowała się w Rzymie; łatwiejszą i nakoniec prędszą byłaby nominacja biskupów na wakujące katedry, gdyż „skoroby się nuncyusz zgodził na zaproponowanych mu ze strony rządu kandydatów, nie zachodziłaby u dworu rzymskiego w ich akceptacji żadna przeszkoda”⁶⁴.

Memoriał ten nie pozostał bez wrażenia, jak niemniej niemałe zdziwienie w cesarzu wywołała propozycja Wielopolskiego, by na archikatedrę warszawską powołać ks. Felińskiego⁶⁵. Zdaje się, że coś wiedziano o jego przeszłości, w końcu jednak, wobec gorącego pragnienia ukończenia kompromitującego

lew ożeniony był z Potocką, Łubieński rodził się z Potockiej, stąd pewne powinowactwo ułatwiało stosunki wzajemne.

64 Memoriał ten czytać można w całości w dość niedołącznym przekładzie polskim u Lisickiego, Aleks. Wielopolski II, 215—224.

65 Lisicki, Le marquis II, 255.

i nadzwyczaj niewygodnego sporu z duchowieństwem warszawskim, cesarz w zasadzie zgodził się na tę kandydaturę. Wielopolski w d. 14 grudnia wręczył cesarzowi notatkę z listą trzech kandydatów, jak tego wymagały przepisy konkordatu. Na liście tej był ks. Łubieński, Zwoliński, znany nam proboszcz z Pragi i ks. Feliński.

„A czy on potępi duchowieństwo za wzięcie udziału w politycznych wypadkach?” — miał się spytać cesarz⁶⁶. Wielopolski odrzekł na to, że przyszły arcybiskup nie biorąc udziału w żadnych manifestacjach politycznych i kościelnych, zakazując hymnów patryotycznych, już tem samem potępi tych, którzy to dotąd robili. Cesarz przyjął tę uwagę, odebrał notatkę i nazajutrz miał naradę z wicekanclerzem państwa ks. Gorczakowem w tej kwestyi. Wiemy już jak dalece rząd pragnął załatwienia sporu z duchowieństwem warszawskim, a nadewszystko otwarcia kościołów, gdyż kompromitowało go to przed całą Europą, a Rosya jeszcze wówczas czuła była na opinią Zachodu o sobie. Z Rzymem też stosunki były bardzo naprężone. Jeszcze w lecie 1861 r. jakśmy o tem we właściwem miejscu wspominali, gabinet petersburski odniósł się był do Stolicy apostolskiej, by zakazała śpiewania po kościołach hymnów rewolucyjnych i dała upomnienie duchowieństwu polskiemu za branie udziału w manifestacjach politycznych. Papież wszelako odmówił, a teraz właśnie, w chwili gdy Wielopolski wystąpił ze swym memoryałem i kandydaturą ks. Felińskiego, dochodziły do rządu rosyjskiego niepokojące wieści z Rzymu, że papież na najbliższym konsystorzu zamierza pochwalić duchowieństwo polskie za jego postawę i za zamknięcie kościołów⁶⁷. W takim położeniu projekt Wielopolskiego wydał się być bardzo skutecznym środkiem zapobieżenia nowemu wystąpieniu papieskiemu.

Zdecydowano się na przedstawienie Felińskiego na arcybiskupstwo warszawskie i rozpoczęcie negocjacji co do stałej nuncjatury w Warszawie lub Petersburgu, według wszelkiego prawdopodobieństwa z tą myślą, żeby tych negocjacji do skutku nie doprowadzić. Wysłano więc natychmiast feldjegra Greya do stolicy świata chrześcijańskiego z odpowiednimi instrukcjami⁶⁸.

Nie odbyło się to wszystko tak cicho i tajemniczo, by wieść o ostatecznej rezolucyi i wysłaniu instrukcji dla posła rosyjskiego w Rzymie nie doszła do

66 S. Prawdzicki, *Loc. cit.* 19. Wprawdzie broszurze tej bardzo wierzyć nie można, gdyż przytaczanie rozmów, których nikt trzeci nie był świadkiem i nikt nie notował, koniecznie musi budzić wątpliwości. Cały ton wreszcie książki, sposób pisania przypominający metodę kronikarzy średniowiecznych, długie rozmowy, liczne zresztą błędy i podania fałszywe, każą z pracy tej korzystać z wielką ostrożnością. Tu i owdzie jednak autor ma wiadomości dobre i źródłowe.

67 *Loc. cit.* 20, oraz materiały rękopiśmienne.

68 *Loc. cit.*

Wielopolskiego, a zwłaszcza do ks. Łubieńskiego, który pilną na te sprawy miał zwrócić uwagę. Tegoż samego wieczora przybył on do skromnej celi ks. Felińskiego, który właśnie kończył swój brewiarz, i doniósł mu o wszystkim⁶⁹. Podobno Łubieński przybył z krzyżem arcybiskupim, który w ciągu dnia kazał zrobić naprędce i wręczając go Felińskiemu, ukląkł przed nim i prosił go o błogosławieństwo⁷⁰. Zrazu skromny profesor akademicki nie chciał temu wierzyć, a gdy go Łubieński starał się przekonać o prawdzie słów swoich, zawołał: „niechże mię Bóg broni!” Powoli jednak uległ dowodzeniom wymownym Łubieńskiego, który mu zarazem przedstawił warunki, pod jakimi rząd rosyjski pragnie go widzieć arcybiskupem warszawskim. Mówił więc, że „musisz otworzyć kościoły, każesz zaprzestać śpiewów patryotycznych i w liście pasterskim zgromisz tych księży, którzy się manifestują”. Warunki te nie podobały się ks. Felińskiemu, twierdził, że w takim razie nic go nie nagli do przyjęcia tego „strasznego ciężaru”.

Ale Łubieński wytłomaczył mu, że tylko tym sposobem, robiąc to co rząd chce, będzie można w zamian zyskać ważne ustępstwa dla kraju; nazwał tych, co działali w kraju „szaleńcami”, odwołał się do jego uczuć polskich i zdołał tę duszę rozkochaną w Polsce, rozmarzoną o „matce sześćkroć przebitej” przekonać, że przyjmując infułę metropolitalną spełni akt wysokiego patryotyzmu. „Fiat!” rzekł ks. Feliński i dodał: „jeżeli istotnie Pan Bóg cud ten uczyni, że mię na tak trudnym postawi stanowisku, to ufam, że nie odmówi też i drugiego cudu, łaski mianowicie do spełnienia tego posłannictwa”⁷¹, i prosił tylko gościa, by rzecz całą zachował w największej tajemnicy. A potem, gdy został sam w swej skromnej celi, zaniósł gorące modły w ekstazie mistycznej do Boga i do Panny Częstochowskiej, by go natchnęła mocą i dozwoliła mu umrzeć, jak trzeba będzie za Polskę...

Tymczasem gdy tutaj, w mroźnej stolicy caratu, rozgrywały się powyższe

69 Loc. cit. 21. Autor przytacza przy tej sposobności, na wzór Liwiuszowski, całą rozmowę, jaką prowadzili ze sobą obaj księża. Że mogli tak rozmawiać, że nawet rozmowa ta w swej treści może być prawdziwą, o tem nie wątpimy, ale mimo to nie jest ona ściśle historyczną. Najlepszym dowodem tego jest to, że ks. Łubieński miał powiedzieć: „od tygodnia bawi tu w Petersburgu margrabia Wielopolski”. Tymczasem sam Prawdzicki na poprzedniej stronie zaznacza, że bytność margrabiego u cesarza z listą kandydatów odbyła się d. 14 grudnia 1861, a już nazajutrz t. j. d. 15 grudnia był Łubieński u ks. Felińskiego. Wiemy wszelako, że Wielopolski bawił w Petersburgu od miesiąca przeszło (przybył d. 7 listopada) a nie od tygodnia. W ten sposób traktowane są wszystkie szczegóły w książce Prawdzickiego.

70 „Żywot S. Z. Felińskiego” rękopism.

71 Rękopism, skreślony przez bezimiennego, którego nazwisko jednak jest nam znanem, ale z powodów od nas niezależnych wymienić go nie możemy. To tylko zaznaczyć należy, że autor rękopismu miał zręczność dowiedzenia się z bezpośredniego źródła o działalności w tej porze ks. Felińskiego. Na pismo to w ciągu tej pracy często powoływać się będziemy.

sceny niezwyklej doniosłości historycznej, w Rzymie, pod turkusowem niebem Italii, w dniu 21 grudnia, poseł nadzwyczajny rosyjski Mikołaj Kisielew, otrzymawszy przez Greya instrukcje z Petersburga, w rozmowie z kardynałem Antonellim domagał się koniecznie, by Stolica apostolska przez encyklikę potępiła pieśni patryotyczne i naganę udzieliła duchowieństwu polskiemu. Był to wstęp do właściwych negocjacji, o rozpoczęcie których Kisielew otrzymał już polecenie; próbowano czy groźbą uznania królestwa włoskiego, a tem samem i jego nabytków, nie da się uzyskać upragnionej encykliki, bez przykrych dla Rosyi ustępstw, za jakie uważano nuncyaturę papieską w Warszawie. Tej ostateczności chciano uniknąć i uciekano się do groźby.

Gdy ta jednak nie poskutkowała, gdy kardynał Antonelli wyrzekł „*non possumus*”, Kisielew szukał poparcia u posła pruskiego Kaunitza⁷², i u pewnej grupy Polaków, którzy mieszkając albo stale, albo chwilowo w Rzymie, umieli sobie wyrobić niejaki wpływ w Kuryi rzymskiej. „Niecni Targowiczanie”, jak ich zwano w kołach rewolucyjnych, a między nimi Witold ks. Czartoryski, który w tej porze bawił w Rzymie i miał długą audyencyą u papieża⁷³, poskła-

72 Kaunitz skarżył się kardynałowi Antonellemu, że ruch, ogarniający Królestwo Polskie, daje się także odczuwać i w Księstwie Poznańskim, że odbiło się to na ostatnich wyborach do sejmu, że lud zaczyna śpiewać po kościołach hymny rewolucyjne, i że wogóle postępowanie duchowieństwa katolickiego jest nagannem i niczem nieusprawiedliwionem. Oświadczył przytem, że rząd jego zdecydowany jest karać surowo księży, biorących udział w ruchu rewolucyjnym, że zatem dla uniknienia przykrych dla obu stron następstw, najlepiej będzie, gdy Stolica apostolska potępi owe hymny i przywoła do porządku kler polski.

73 Prawdzicki, Loc. cit. 27, powiada, że do tych „necnych Targowiczian” należała Rozalia hr. Rzewuska; za nim powtarza tę plotkę A. Giller (Historia pow. nar. pol. II, 162) z tem dodatkiem, że kiedy pierwszy inicjałami oznacza „necną Targowiczankę”, Giller nie krępuje się już niczem i całe nazwisko wypisuje. Nazwaliśmy to podanie plotką, choćby z tego względu, że w tej dobie hr. Rzewuska, wdowa po emirze Wacławie, była już kobietą bardzo starą i do polityki wcale się nie mieszała, mieszkając cicho i spokojnie w Warszawie. Była to kobieta bardzo rozumna, z wielkim charakterem, lojalna w swych przekonaniach, dobra Polka, nienawidząca wprawdzie rewolucyi i mająca przez zięcia swego, Włocha, jeszcze stosunki z Rzymem, ale to wszystko nie jest wcale dowodem, ażeby przez oskarżenie duchowieństwa polskiego dopomagała akcyi rządu rosyjskiego. Opinia zrewolucjonizowanej ulicy niecierpiała pani Rzewuskiej za to, że się nie kryła ze swemi przekonaniem, że cesarz Mikołaj I., ilekroć przyjechał do Warszawy, zawsze tej pani składał wizytę. Niewątpliwie p. Rzewuska niekiedy w swej lojalności za daleko zachodziła, jak np. prosząc Mikołaja, by jej syna po powstaniu w 1831 r. zesłał na Kaukaz, co się może tłumaczy stosunkami rodzinnymi, ale z drugiej strony faktem jest, że nie chciała przyjąć zwrotu skonfiskowanych dóbr jej męża, jak tylko pod warunkiem, że wszystkie konfiskaty będą zwrócone w całej Polsce dawnej. Jest to bez zaprzeczenia piękny rys charakteru i hr. Rzewuska nie zasłużyła na tę opinią, jaką o niej miano. O złej stronie tej pani wiedziano, o dobrych umyślnie zapominano i przy każdej sposobności szkalowano ją. Echem tych oskarżeń jest podanie zarejestrowane przez Prawdzickiego i plotkarza Gillera.

dali raporta, może nieco przesadzone, ale bądź co bądź prawdziwe o rewolucyjnym i niesforem usposobieniu duchowieństwa polskiego. Oczywiście nie działali oni tu wcale w zмовie z Kisielewem i bynajmniej nie mieli zamiaru robienia przysługi rządowi rosyjskiemu, znieńawidzonemu przez wszystkich, czy oni byli biali, czy czerwoni, czy bezbarwni. Zdaje się, że i z Watykanu żądano takich informacji i informacje te dano, nie wiedząc wcale, że mogą one dopomódz akcji rządu rosyjskiego. Kisielew wiedział o tem i liczył, że wszystko to, w połączeniu z jego groźbą, wywrze wpływ na Stolicę apostolską, użyska od niej to co trzeba i niebezpiecznej nuncyatury się uniknie. Oczekiwano więc z łatwo wytlómaczonym niepokojem Konsystorza, który był zwołany na dzień 23 grudnia 1861 r.

Nadzieje te jednak zawiodły rząd rosyjski. Papież wogóle nie dotykał polityki, a co do Polski, jakkolwiek mocno ochłodzony ku niej, nie rzekł przecież ani jednego słowa potępiającego nieszczęśliwy kraj, szarpiący się w mękach nieziszczonych pragnień. Owszem, wspominając o gotującej się kanonizacji męczenników japońskich i Michała de Sanctis, i wydając polecenie, ażeby na tę uroczystość zaproszono biskupów całego świata katolickiego, dodał te znaczące słowa: „a o biskupach z Polski nie zapominajcie; wyprawcie do nich zaproszenia naprzód i to dwiema drogami, bo oni nieszczęśliwi, gorzej jak chińskim murem odgradzeni są od nas”⁷⁴. Zdanie to świadczyło, że wszelkie zabiegi posłów rosyjskich (Kisielewa i przysłanego mu do pomocy Urusowa) chybiły zupełnie i trzeba było wystąpić z propozycją nuncyatury i obsadzenia archikatedry warszawskiej. Jednakże i tym razem nie chciano mówić o nominacji arcybiskupa, ale tylko administratora na miejsce uwięzionego Białobrzeskiego, i z taką propozycją, nazajutrz po Konsystorzu, Kisielew wystąpił do kardynała Antonellego⁷⁵.

Wyraziwszy swe ubolewanie z powodu, że na wczorajszym Konsystorzu nie zostało spełnione gorące pragnienie rosyjskie, poseł oświadczył gotowość swego rządu do przyjęcia nuncjusza apostolskiego w Petersburgu, przyczem przedstawił kandydatów na administratora archidiecezyi warszawskiej, prosząc o możliwie najprędszy wybór. Kardynał z nieukrywaną radością przyjął wiadomość o nuncjuszu, oświadczył, że „Ojciec św. z niecierpliwością liczyć będzie dni, dzielące go od urzędowego przesłania legata”, ale nie zgodził się na nominacją administratora, gdyż tym jest prałat Białobrzeski, wybrany przez kapitułę warszawską i nie przestanie nim być dopóty, dopóki albo sam nie zrzecze się dobrowolnie, albo dopóki arcybiskup nie obejmie stolicy osieroco-

74 Prawdzicki, loc. cit. 27.

75 Prawdzicki, loc. cit. utrzymuje, że poseł rosyjski wystąpił z tą propozycją wprost do papieża. Inne, pewniejsze informacje przekonywują, że przedstawił je naprzód kardynałowi Antonellemu.

nej⁷⁶. Wobec tego Kisielew ustąpił i listę trzech kandydatów nie na administratora, ale arcybiskupa złożył do rąk kardynała sekretarza stanu.

Kurya rzymska skwapliwie teraz zabrała się do rzeczy, by skorzystać ze szczęśliwego położenia. Co prędzej poczęto zasięgać wiadomości wśród kolonii polskiej w Rzymie o nowym kandydacie na arcybiskupstwo warszawskie. Nie wiele tam co prawda wiedzano o tym cichym, ascetycznym profesorze akademii petersburskiej, ale to, co wiedzano, dawało o nim jak najlepsze świadectwa. Zresztą, mieszkał tam wówczas brat Felińskiego, Julian, także ksiądz, uczeń Kollegium rzymskiego, „wzór pobożności i cnoty”, i ten do pewnego stopnia był najwymowniejszym dowodem, że arcybiskupstwo warszawskie w godne dostanie się ręce. Z drugiej strony kolonia polska przez swe stosunki nalegała usilnie na Kuryą, by przyspieszono prekonizacją Felińskiego, z obawy, by rząd rosyjski, namyśliwszy się, nie cofnął swego szczęśliwego wyboru. Sam papież miał być bardzo zadowolony z tych jednobrzmiących pochwał, jakie słyszał o Felińskim.

„Choć raz przecie, mówił, zaproponowała nam Rosya takiego kandydata, na którym żaden nie ciąży zarzut, a zewsząd same tylko pochwały odbiera”⁷⁷. Wobec tego, wobec słusznych uwag kolonii polskiej, że rządowi rosyjskiemu dowierzać nie należy, papież zapowiedział d. 30 grudnia, z niezwykłą w takich razach szybkością konsystorz nadzwyczajny na dzień 6 stycznia, na którym miał być ks. Feliński prekonizowany arcybiskupem warszawskim, oraz uwolniony od wszystkich przedwstępnych formalności kanonicznych.

Niemniej skwapliwie wzięto się w Rzymie do sprawy nuncjatury, która miała przywrócić zerwane oddawna stosunki międzynarodowe między Rzymem a Rosją. Kardynał Antonelli widział w tem punkt oparcia dla swej polityki, zwłaszcza dla polityki jego włoskiej i pragnął wyzyskać postawę Rosyi względem nowego królestwa włoskiego, zrodzonego z rewolucyi czerwonej, zaborcy ziem Państwa kościelnego i czyhającego na samą stolicę świata chrześcijańskiego. Rosya dotąd zdobyczy tych nie uznała i Kurya liczyła, że przez wysłanie nuncjusza postawę tę Rosyi utrwali na długo. Zrazu myślano o wysłaniu jakiego prałata w misyi tymczasowej, któryby przygotował grunt dla przyszłego nuncjusza, ale potem nie bez wpływu kolonii polskiej w Rzymie, która nie przestawała nalegać o pośpiech i radziła nie ufać rządowi rosyjskiemu, zmieniono to zdanie i na nuncjusza przeznaczono ks. Berardi, podsekretarza stanu, ucznia kardynała Antonellego, „persona grata” dla rządu petersburskiego⁷⁸, i z pośpiechem udzielono mu potrzebnych święceń⁷⁹.

76 Loc. cit. 29.

77 Loc. cit. 30.

78 Rękopism bezimienny.

79 Lisicki, Le marquis II, 287.

Wśród tego wszystkiego, w Petersburgu, nie bez zadowolenia dowiedziano się, że papież zaakceptował kandydaturę Felińskiego.

I tu pragniono rzecz całą przyśpieszyć, z innych oczywiście niż w Rzymie przyczyn, a mianowicie spodziewano się, że oplakane stosunki z duchowieństwem polskim nowy arcybiskup załatwi szczęśliwie, kościoły otworzy, hymnów patryotycznych zakaze, i zrewolucjonizowanych księży weźmie w kluby. Tem przekonaniem i temi nadziejami brzmiały słowa cesarza, gdy przed nim stanął wezwany umyślnie ks. Feliński. Przeprowadzony przez mnóstwo sal, lśniących przepychem i zbytkiem, znalazł się w końcu w osobistym gabinecie Aleksandra, przed obliczem samowładnego cara Wszech Rosyi⁸⁰. Dziwny zaiste! kontrast, rzadko w historii spotykany, tworzył ten ksiądz polski w swej skromnej sutannie czarnej, ze swą twarzą ascety i marzyciela, z blizną miłosławską na czole, z ideałem Polski wielkiej i niezależnej w sercu, potomek wygnańców sybirskich, z tym „synem Wasilowym”, panem krajów „od chłodnych, fińskich skał do płomiennej Kolchidy”. Dziwniejszem niestety! i na zawsze bolesnem jest dla duszy polskiej, że to, czego chciał w tej chwili ten car moskiewski, było bezwarunkowo zbawiennem i dobrem dla tej nieszczęśliwej Polski, tak strasznie upadłej, że na żądanie jego zgodziłby się dziś bezwarunkowo najlepszy, najczystszy patriota polski.

„Witam was jako arcybiskupa warszawskiego” (pozdrowiają was archiepiskopom warszawskim), rzekł cesarz, poczem zaraz wypowiedział swe żądania i swe nadzieje. Słowa jego brzmiały łagodnie, pełne były obietnic⁸¹. Feliński z pokorą przyjmował na siebie „ciążar arcybiskupstwa”, i w łatwo wytłomaczonej ekstazie, składając ręce i ze łzami, które wycisnęła gorąca miłość ojczyzny, błagał cesarza, by wytrwał w swej łaskawości dla Polski, by dał kościołowi katolickiemu swobodę zupełną. Cesarz na to odpowiedział, iż wszystko jest gotów zrobić, ale żąda, by kraj się wprzód uspokoił, by Feliński wszelkimi siłami do tego uspokojenia się przyczynił.

Rozmowa ta na rozplakaną duszę Felińskiego, na jego serce przepełnione Polską i tęsknicą za nią, tak oddziałała, że wprost z pałacu Zimowego udał się do kościoła św. Katarzyny i padłszy krzyżem przed ołtarzem, błagał Boga o siły i pomoc, i modlił się za Polskę kochaną, za Polskę nieszczęśliwą!⁸². W parę dni potem, gdy przysłała z Rzymu wiadomość, że prekonizacja Felińskiego ma nastąpić w d. 6 stycznia, cesarz uwiadomił go o tem i dodał, że

80 S. Prawdzicki, *Loc. cit.* 31.

81 Prawdzicki, zwyczajem swoim przytacza całą rozmowę, która oczywiście nie może mieć cechy autentycznej, ale przytem twierdzi, że cesarz był groźny i chmurny. Myśmy poszli za relacją rękopiśmienną „Życiorysu ks. S. Z. Felińskiego”.

82 *Loc. cit.* 34.

„papież na jego, cesarza, prośby usunął wszelkie formalności, dlatego jedynie, aby Feliński co prędzej mógł spełnić wolę cesarską na tym ważnym urzędzie”, co, jak wiemy, nie było prawdą, gdyż niezwyklego pośpiechu w Rzymie były całkiem inne powody. Przytem Aleksander II zapewniał, że „Feliński, wszelkie potrzeby, dla zachowania splendoru jego dostojęństwa, zaspokojone mieć będzie ze skarbu cesarskiego”⁸³.

Prekonizacja odbyła się według zapowiedzi d. 6 stycznia, w dzień Trzech Króli, wśród zwykłych w takich razach uroczystości. Papież wygłosił allokucją, która głębokie wywarła wrażenie i niemiłym odbiła się echem w Petersburgu. „Słabe i niedołążne wybiera Pan Bóg, mówił papież, aby okazał moc swoją i chwałę swoją. Tej świętej prawdy stawię wam nowy przykład wielebni bracia moi. Cierpieniom tyle nieszczęśliwego, a tyle szlachetnego narodu polskiego ulitował się Pan, krótkie osierocenie po zmarłym zacnej pamięci arcybiskupie warszawskim Antonim nagradza Pan ubogim w duchu a bogatym w cnoty, młodym kapłanem. Chlubne o nim świadectwa, jakie nam zewsząd nadesłano, każą spodziewać się, że jak ona dzisiejsza gwiazda mędrców, tak on będzie przyświecać kościołowi w ojczyźnie swojej. Od niepamiętnych czasów nie uczyniliśmy tak śpiesznego wyboru; z tym jednakże nie wahamy się, przez wzgląd szczególnie na nieszczęśliwy stan Polski, spodziewając się zarazem, że gotowość, z jaką przyjęliśmy kandydata, skłoni cesarza rosyjskiego do łagodniejszego obchodzenia się z Polakami, i osłodzi przeto los cierpiących.

Tym kandydatem jest ks. Zygmunt Szczęsny Feliński, profesor i ojciec duchowny Akademii rzymskokatolickiej w Petersburgu. Czy zgadzacie się wielebni bracia, abyśmy go prekonizowali arcybiskupem warszawskim?” Gdy na to pytanie zebrani kardynałowie odrzekli: *placet* (zgoda!). Papież głosem uroczystym odezwał się: „zaczem powagą Boga wszechmogącego, świętych Apostołów Piotra i Pawła, tudzież naszą, ks. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego profesora Akademii Duchownej rzymsko-katolickiej w Petersburgu, mianujemy arcybiskupem metropolitą warszawskim i nadajemy mu paliusz, jako godło arcybiskupiej godności, a dyspensując go od wszelkich przedwstępnych formalności, rozkazujemy wysłać do niego wszystkie papiery, potrzebne do jego przywilejów.”

Wiadomość o tem poseł rosyjski tegoż jeszcze dnia przesłał telegrafem do Petersburga, skąd w parę dni potem dostała się do gazet warszawskich, i tu najróżnorodniejsze, ale w gruncie rzeczy nieprzyjemne nowemu arcybiskupowi, wywołała sądy. Wieść ta wprawdzie nie była zupełną dla Warszawian nowością; od paru tygodni obiegały już o tem głuche pogłoski, które powta-

83 Loc. cit. 36.

rzano, ale nie bardzo im wierzono, nie chcąc przypuszczać, by jakiś nieznany ksiądz i do tego z Petersburga, miał zasiąść na metropolitalnej stolicy polskiej, był prymasem polskim. Gdy się to jednak sprawdziło, niechęć wzrósć musiała. Niewiele wiedziano o nowym arcybiskupie, najrozmaitsze obiegały plotki, zawsze w ujemnym wystawiające go świetle. Wprawdzie to usposobienie nie-szczęśliwe chciała zażegnać prasa jawna warszawska. „Gazeta polska” pisała: „syn najgodniejszej z niewiast, która wielkie przymioty serca łączyła z niepopolitymi darami umysłu, ks. Szczęsny odziedziczył po niej moc duszy i charakteru z wzniosłym połączone umysłem, które praca i znakomite wykształcenie podniosły. Całe jego życie dotychczas upłynęło w ciszy i zajęciu, zawsze sercem i rozumem pokierowanemu ku obmyślanemu celowi”. „Wezwany do dźwignienia ciężkiego brzemienia, z poświęceniem chrześcijanina bierze na ramiona. Nie będziemy mu wieszować dostojęstwa, bo dostojność jego charakteru starczyłaby dlań, a dostojęstwo jest ciężarem, ale mamy nadzieję, że dla kościoła wybór ten prawdziwie opatrzny, będzie w czasach próby wielkim darem nieba”. Korespondent z Rzymu do „Gazety warszawskiej”, osobistość bardzo blisko będąca dworu papieskiego, stąd dobrze poinformowany, donosząc o prekonizacji Felińskiego, pisał: „ks. Szczęsny, syn Ewy Felińskiej, znanej literatki, a synowiec autora „Barbary”, jest bardzo młodym na godność, którą go Najwyższy Pasterz zaszczyca; liczy on bowiem tylko lat trzydzięści dziewięć i przechodzi bezpośrednio z katedry profesorskiej w Akademii Duchownej w Petersburgu na najwyższe kościelne w Królestwie Polskiem dostojęstwo. Wyniesienie jego ma otworzyć nową erę dla duchowieństwa katolickiego. Pius IX ogłosi nowego arcybiskupa warszawskiego w dzień, w którym cudowna gwiazda zabłysła dla ludów, siedzących w cieniach śmierci i powołała królów, a w nich wszystkie narodowości ziemi do stajenki leżącego w żłobie Dzieciątka; można tedy śmiało powiedzieć, iż ks. Feliński, Szczęsny także z imienia, wstępuje na pasterską stolicę pod istotnie szczęśliwą gwiazdą. Oby jej promień opiekuńczy zawsze jemu przyświecał!”

Ale słowa te pełne nieskrywanej radości i ciężarne ukrytymi myślami, nie zrobiły wrażenia. Duchowieństwo, którego wpływ w tej dobie był ogromny, uczuło się mocno obrażonym w swej godności, a nadewszystko upokorzonym, że na archikatedrę nie powołano żadnego z pomiędzy nich, ale „jakiegoś tam profesorzynę z Petersburga”⁸⁴. W ogólności z przekąsem wyrażało się o nowym metropolicie, „petersburskim księdzu”, i obiecywało sobie w duszy dać mu uczuć przy pierwszej sposobności, że jest intruzem i dzięki tylko „łascie moskiewskiej wlaźł na metropolią”.

84 Wyrażenie to jak i następne zaczerpnięte ze źródeł współczesnych, głównie z „Życiorysu ks. S. Z. Felińskiego”, manuskrypt.

W niechęci i rozgoryczeniu swoim wyższy kler warszawski twierdził, że będzie to taki sam biskup, jakich widziały katedry polskie za Paskiewicza i Muchanowa, „duch moskiewski”, „służka carski”, we wszystkim uległy rządowi⁸⁵. Niższy kler, zwłaszcza na prowincyi, niemniej był zdziwiony i zrażony tą niespodziewaną nominacją. Zrewolucjonizowany do szpiku kości, najczernerwiejszy z czerwonych, chciał widzieć na metropolii nowego Fijałkowskiego i Białobrzeskigo, jak mówiono, któryby dalej prowadził upartą walkę z rządem. Wszystkim niepodobało się nadzwyczajnie, budziło podejrzenie co do prawości zamiarów nowego arcybiskupa, że on pochodził z grona kleru petersburskiego, który nigdy nie cieszył się dobrą opinią wśród duchowieństwa w Królestwie. Mieszczanstwo na pół zżyzdzałe i marzące o zdobyciu ostróg obywatelstwa w nowym ruchu rewolucyjnym, szlachta niechęcą w gruncie rzeczy powstania, ale mimo to biorąca udział w organizacji tajnej i manifestacjach wszelkiego rodzaju, przeczuwała w przyszłym arcybiskupie pacyfikatora, i dochodząc w swej lekkomyślnej opinii do zbrodniczych kalumnii, wołała, że „będzie to nowy Siemaszko”⁸⁶. Jednym słowem opinia o ks. Felińskim była jak najgorsza, jak najbardziej mu nieprzyjazna, do czego z wiedzą czy bezwiednie przyczyniali się bardzo wiele różni dygnitarze polscy i rosyjscy. Jedni wygłaszali o nim głośno przesadzone, a tem samem nieszczerze pochwały, a na ucho szeptali każdemu, kto ich chciał słuchać, że nowy arcybiskup „uznaje z zasady istniejącą władzę, ale marzy o przeciągnięciu Rosyi na łono kościoła katolickiego”, że „pragnie powrotu Polski z buławami i infułami, lęka się powstania opierającego się na rewolucyi, a w pomoc Europy zachodniej nie wierzy”⁸⁷. Prawiąc te komunały, kiwali głowami, jakby się litowali nad nierozumem przyszłego prymasa polskiego i tym sposobem do reszty dobijali go w opinii tłumów, jak zawsze bezmyślnych i zawsze do owczego pędu skłonnych.

Inni rozpuszczali tysiące uwłaczających ks. Felińskiemu pogłosek, którym niby nie wierzono, ale chętnie je powtarzano wszędzie. Twierdzili oni, że ks. Feliński zostawał przez długi czas przy poselstwie rosyjskiem w Paryżu, w jakiejś misyi bliżej nieokreślonej, tem podejrzanszej zatem, a wieść ta dostała się nawet do gazet zagranicznych i obiegała po nich długo, przedrukowywana z dodatkami zawsze uwłaczającymi polskiemu charakterowi arcybiskupa.

Dziennikarstwo warszawskie, mając usta zamknięte przez cenzurę, milczało zupełnie, ale już to milczenie samo, było bardzo wymowne; za to dzienniki galicyjskie nie szczędziły słodko-kwaskowatych rad ks. Felińskiemu. „Czas”

85 Prawdzicki, loc. cit. 43.

86 Loc. cit. 44.

87 Historia ruchu narodowego I, 130.

krakowski, zawsze nader wpływowi i czytany, na wieść o zamierzonej nominacji pisał: „arcybiskup z wyboru rządu, nie z wyboru duchowieństwa, będzie sługą Moskwy, nieprzyjacielem kościoła i wiary katolickiej”. Później, gdy już nominacja przyszła do skutku wołał ze sztucznym, szumno-brzmiącym, ale pozbawionym treści patosem: „oby ks. Feliński miał zawsze przed oczyma opatrzne znaczenie dnia, w którym prekonizowanym został; oby nie dzielił nigdy sprawy narodowości polskiej, sprawy uciśnionej ojczyzny, od sprawy kościoła, który był dotąd jej przytułkiem i tarczą; oby nie zboczył ani na krok z drogi wytkniętej przez wielkiego poprzednika swego i zawiódł całkiem nadzieję tych, którzy na niego, jako na narzędzie przeciw Polsce liczyli; oby pamiętał, że jest wyniesiony w uroczystość narodowości i pieśni, kiedy aniołowie śpiewali na wysokościach, a pastuszkowie kolędowali Małemu, i że Ojciec św., jednocześnie z zatwierdzeniem jego, odmówił urzędownie potępienia hymnów polskich”. W tym samym tonie odzywa się korespondent warszawski „Czasu”: „w trudnej niezmiernie chwili obejmuje ks. Feliński godność arcy-pasterza; lecz im trudniejsze jest położenie, tem większa dla niego zasługa, jeżeli wytrwa w kierunku wytkniętym przez Fijałkowskiego i Białobrzeskiego, jeżeli pójdzie śladem tych ludzi, którzy aż do męczeństwa bronili praw kościoła i kraju. Sprawa uciśnionego narodu jest ściśle złączona ze sprawą kościoła katolicko-chrześcijańskiego. Kto rozłączy duchowieństwo od narodu, kto po wypadkach, które naród krwią oblały i podniosły go moralnie, zechce z uległością rządowi rosyjskiemu prowadzić sprawę, ten kościołowi i narodowi zada cios bolesny. Dla ks. Felińskiego niema innej drogi, prócz tej, którą szli jego poprzednicy; nią pójść powinien, odrazu wstąpić na nią obowiązany; inaczej postępując, poda rękę pomocną owemu bezprawiu i gwałtowi, który chce stłumić wszelką siłę moralną a z duchowieństwa zrobić sługę i narzędzie do gnębienia narodu”. Tak pisał „Czas”, jeden z najpoważniejszych dzienników polskich tej doby. W redakcyi, którą opuścił chłodny i ostrożny Mann i oddał ją na pastwę najróżnorodniejszych prądów, podsycanych sztucznie z Wiednia, przygotowywano adres do papieża. W piśmie tem dziękowano Stolicy apostołskiej za współczucie jej dla sprawy polskiej, a to w tym celu, by wzbudzić w masach przekonanie, że papież aprobeje bez restrykcyi całe postępowanie duchowieństwa polskiego, a zatem, że nowy arcybiskup, działając przeciwnie, stanie w opozycyi z Rzymem i głową kościoła katolickiego⁸⁸.

W tym chórze wszelkiego rodzaju wieści, insynuacyi i rad nieproszonych i przytem zbyt interesowanych, by miały być szczeremi, najprzyzwoiciej, że się tak wyrazimy, zachowali się czerwieńcy warszawscy i ich prasa tajna. Po

88 Lisicki, Le marquis II, 274.

większej części milczała ona bardzo dyskretnie o przyszłym arcybiskupie, lub odzywała się nader ostrożnie. „Z dobrego źródła wiadomo nam, pisała „Strażnica”⁸⁹, że papież, mianując arcybiskupa Felińskiego, stanowczo odmówił potępienia objawów życia narodowego Polski i oświadczył się na korzyść pieśni „Boże, coś Polskę”. Ksiądz Feliński nie ma więc upoważnienia Stolicy apostolskiej do wystąpienia przeciw narodowi, dlatego nie należy wierzyć pogłoskom przez szpiegów w interesie najazdu rozpuszczonym.

Dość jeszcze będziemy mieli czasu do uregulowania stosunków z naszym nowym arcybiskupem, gdy w pośród nas przybędzie i da się poznać swymi czynami”. W słowach tych nie widać przychylnego usposobienia, ale też nie ma tych rad ubliżających, jakimi przepelniona jest prasa galicyjska. „Pobudka” niemniej ostrożnie i oględnie zapowiedziała w kilku słowach przybycie arcybiskupa. „Podług doniesień rządowych ks. Szczęsny Feliński prekonizowany został w Rzymie na arcybiskupa warszawskiego. Ważny to niesłychanie fakt dla kraju, dlatego też z niecierpliwością wyglądamy przybycia arcypasterza w błogiej nadziei, że syn zacnej matki, której skrwawione stopy znać jeszcze na śniegach Sybiru, potrafi się z godnością utrzymać na stanowisku ojca ojczyzny i nie zawiedzie oczekiwań narodu”⁹⁰.

Tak się odzywała prasa tajna rewolucyjna, takie sądy ostrożne wydawało czoło stronnictwa czerwonego. Zato wśród niższych jego warstw, w tym szarym motłochu, który na nieszczęście narodów stanowi opinią, oburzenie przeciw papieżowi i Felińskiemu wzrastało z każdą chwilą. Rewolucyoniści włoscy i francuscy po swych dziennikach twierdzili, że papież uląkł się pogrożek cesarza rosyjskiego, że interes wiary poświęcił interesowi politycznemu, a samą prekonizacją Felińskiego, niejaki Piotr Sterbini, dziennikarz drugorzędny i przyjaciel Mazziniego, nazwał „weselem w piekle”. Z ubóstwem fantazyi pisarskiej opowiada, jak Lucyfer zwołuje wszystkich szatanów i ogłasza im nominacją Felińskiego uroczyscie, jako zwycięstwo piekła nad Rzymem. W ogólności twierdzono, że Feliński „przez Moskwę i Rzym zasadzony jest pospołu, aby ruch polski wydać carowi”⁹¹. W Warszawie obiegać poczęły drukowane kartki, zwykle na ścianach domów przyklepane, w których jakiś domorosły agitator, nie tyle dowcipny ile złośliwy, pisał, że „do otwarcia kościołów przyjedzie z Petersburga ślusarz; jest nim ks. Feliński, biskup moskiewski”.

W takich to warunkach ks Feliński miał wstąpić na najwyższą godność duchowną w tej Polsce, którą tak gorąco kochał i dla której wszelkie ofiary ponieść był gotów. Szkalowano go, oplwano, zwano zdrajcą i biskupem mo-

89 Nr. 2 z d. 25 stycznia 1862 r.

90 „Pobudka” Nr. 2, z d. 1 lutego 1862 r.

91 Prawdzicki, Loc. cit. 46.

skiewskim, nie szczędzono mu żadnych obelg i żadnych ciosów. Jakież męcznie musiała przechodzić ta dusza czysta, rozmarzona, zapatrzona w Polskę, rozkochana w niej jedynie! jak gorzko odczuwać największą z boleści, gdy własni bracia odtrącają od ojczyzny! Ale był to dopiero początek, pierwsze krople cykuty, którą pić miał z czasem pełnym kielichem.

W Petersburgu niemałe było zadowolenie, że tak szybko i bez wielkich trudności udało się załatwić w Rzymie sprawę arcybiskupstwa, a choć nie otrzymano potępienia hymnów patryotycznych i duchowieństwa polskiego, spodziewano się jednak, że przy ostatecznych układach o nuncyaturę, przy groźbie uznania królestwa włoskiego, cel ten da się powoli osiągnąć. Nie omieszkało też publicznie objawić tego swego zadowolenia, gdyż w dniu 13 stycznia, w sam Nowy Rok według kalendarza juliańskiego, radca tajny i poseł pełnomocny w Rzymie Mikołaj Kisielew otrzymał order orła białego. Oczekiwano także z niecierpliwością na kuriera ze stolicy rzymskiej, który miał przynieść potrzebne papiery i list Ojca św. do cesarza⁹². List ten jednak sprawił pewne rozczarowanie w Petersburgu. Papież, mówiąc zrazu o nuncyaturze i o nominacji Felińskiego, w końcu robi uwagę o hymnach polskich, że przeczytał je pilnie i potępić ich nie może, gdyż nie są przeciwne wierze i obyczajom⁹³.

Goniec z listem, papierami i paliuszem papieskim dla nowego arcybiskupa, stanął w Petersburgu w dniu 13 stycznia 1862 roku. Paliusz ten wraz z pierścieniem arcybiskupim, bardzo kosztownym, oraz infulą i pastorałem, który Aleksander jako dar od siebie ofiarował, otrzymał Feliński z rąk cesarza.

Teraz wobec zbliżającej się konsekracji, nominat arcybiskup zabrał się do pisania listów, do „prześwietnej” kapituły metropolitalnej warszawskiej i do kapituły łowickiej, prosząc je, by przysłały delegatów na ten akt uroczysty. Ciągłe w stanie ekstazy na pół poetycznej, pół marzycielskiej, przewidując niejako ciężki zaiste krzyż, jaki mu przyjdzie dźwigać na purpurze arcybiskupiej, w ascetycznym uniesieniu odbył teraz sześciodniowe rekolekcje wśród modłów nieustannych i zupełnem odcięciu od świata⁹⁴.

92 Prawdzicki, loc. cit. 39, opowiada, że Kisielew, wysyłając kuriera, miał rzec: „ruszaj bracie, otrzymaliśmy wszystko cośmy chcieli” (stąpaj bracie, my wsio połączyli, czewo tolko chotieli). Wątpliwem jest jednak, by tak mówił, gdyż właściwie oprócz nominacji arcybiskupiej nic więcej nie otrzymał.

93 Ustęp ten listu, według Prawdzickiego, loc. cit. 39, brzmi jak następuje: „co się tyczy pieśni polskich, których przekłady czytaliśmy pilnie, tych nie możemy potępić. Stolica albowiem apostolska to tylko potępia, co jest złem zawsze i wszędzie, co jest przeciwne wierze i obyczajom. W przedłożonych nam pieśniach polskich nic tego nie znaleźliśmy, te więc jako kwestye miejscowe zostawiamy biskupom do rozstrzygnięcia, wedle ich mądrości”.

94 Loc. cit. 40.

Wśród tego wszystkiego powoli gotowano się w Warszawie i Petersburgu do konsekracji. Ukaz cesarski o „wyniesieniu do godności arcybiskupa warszawskiego” księdza Felińskiego, ukazał się dnia 24 stycznia, konsekracja zaś naznaczoną została na niedzielę, d. 26 t. m. Obie kapituły: warszawska i łowicka, pozbawione najenergiczniejszych swych członków, otrzymawszy listy Felińskiego, wybrały na delegatów do Petersburga, pod wyraźnym naciskiem władz rządowych, dwóch kanoników: ks. Szczygielskiego z Warszawy i ks. Budziszewskiego z Łowicza. Prócz tego rząd polecił biskupowi sufraganowi Platerowi, aby także udał się do Petersburga dla asystencji przy uroczystościach konsekracyjnych. Feliński delegatów tych oczekiwał z wielką i łatwo w jego położeniu wytłomaczoną niecierpliwością. To co się działo w Warszawie, dochodziło doń w nie zawsze pewnych, a częstokroć mocno skażonych kształtach, zwłaszcza w zakresie spraw kościelnych.

Zresztą na wulkanicznym bruku Warszawy czas i wypadki biegly szalonym pędem, fizygnomia ich co chwila nieomal się zmieniała, i to co się działo przed tygodniem i co wymagało takiego a nie innego postępowania, dziś już było faktem przestarzałym, i wymagającym całkiem innych środków zapobiegawczych. Przybywający więc z Warszawy i kraju księża mogli go dokładnie objaśnić o najnowszych zwrotach i kierunku tego wichru, który szalał po Polsce. Niestety! przybyli nie chcieli, czy nie umieli tego uczynić. W części przez bojaźń, a może w zamiarach, by ten „intruz”, jak go nazywali, sam brał rozwścieczonego byka rewolucji za rogi, nie powiedzieli mu prawdy, nie dali rady otwartej i serdecznej. Feliński odczuł to później głęboko; „nie potępiam ich, mówił, ale mam do nich żal szczery”⁹⁵.

W wigilią konsekracji, w sobotę dnia 25 stycznia, naznaczona została Felińskiemu audyencya u cesarza, który, jak sam powiada, dał nowemu arcybiskupowi „osobiście wskazówki postępowania”⁹⁶. Do posłuchania tego, trwającego przeszło godzinę, Aleksander przygotował się niejako przez długą konferencyą z Płatonowem, pomocnikiem ministra sekretarza stanu Tymowskiego.

Płatonow obznajomił swego pana szczegółowo z bieżącymi kwestyami kościelnymi w Warszawie, tak że cesarz w rozmowie z Felińskim zdradzał

95 Prawdicki loc. cit. 48. Wiadomość podana, przez tego pisana na str. 47, jakoby Feliński nie mógł się swobodnie rozmówić z przybyłymi z Warszawy, gdyż „argusowa straż, przydana arcybiskupowi i gościom, nie dozwoliła mu, jak tego pragnął, szczerze i serdecznie rozpytać się o wszystko, co się dzieje w kraju”, jest pozbawiona prawdy. W kwestyi tej w *Rękopiśmie bezimiennym*, który zasługuje na zupełną wiarę, czytamy co następuje: „stosunek z nimi (z gośćmi z Warszawy) był zupełnie swobodny i wogóle ze strony rządu okazywano ks. Felińskiemu zupełne zaufanie”.

96 Depesza do Lüdesza z 15,26 stycznia: „Felińskawo prinimał wczera i dał jemu licznyja nastawienia”.

dokładną znajomość stosunków tamtejszych. Posiedzenie zagał oświadczeniem kategorycznym, że postanowił zmienić dotychczasowe postępowanie z Polakami, że dążeniem jego jest szczerze i trwale pojednanie obu narodów na podstawie uwzględnienia słuszných żądań jego poddanych polskich, którym nadał obszerną autonomię administracyjną. „Pragnę, powiedział, aby w kraju tym narodowość i religia mogły się rozwijać z całą swobodą, byle na drodze legalnej”⁹⁷. Zaręczał, że nikt nie będzie prześladowany za swe przekonania religijne, jak również za swe uczucia polskie, byle jedno i drugie zamknięte było w szrankach ustaw, kraj cały obowiązujących. Twierdził, że od duchowieństwa katolickiego nic takiego nie wymaga, coby się sprzeciwiało jego sumieniu. „Macie prawo kanoniczne, mówił, bądźcie biskupami wedle jego wymagań, a znajdziecie z mojej strony opiekę i uznanie”. Na nieszczęście, ciągnął dalej, znaleźli się wśród Polaków „wichrzyciele”, którzy postawiwszy sobie cele niemożliwe do urzeczywistnienia, a nawet „niegodziwe”, przy pomocy środków występnych starają się je urzeczywistnić. Potrafili oni obalamucić część duchowieństwa, używając księży za narzędzie do wciągania ludu ciemnego do „spisków buntowniczych”. „Rząd mój, mówił cesarz, ściga tych zapamiętałych szaleńców, bez współudziału jednak samego społeczeństwa zaraza ta wytepić się nie da. Ufam, że tam, gdzie interes rządu wspólny jest z interesem narodu, gdzie religia i cywilizacja na tę samą pokojowego rozwoju nawołują drogę, ufam, mówię, że w najwyższym zwierzchniku duchowieństwa polskiego znajdę szczerego i dzielnego pomocnika w pokojowych i dobroczynnych dla kraju moich usiłowaniach”⁹⁸. Na te słowa, brzmiące nutą łagodności i jak najlepszych życzeń dla Polski, ks. Feliński odrzekł, że jako Polak i katolik z niewymowną wdzięcznością przyjmuje program „wspaniałomyślnego monarchy”, że wobec „tak błogich zamiarów rządu dla kraju, uważa wszelkie dążności rewolucyjne za zgubne i że dołoży wszelkich starań, by tak duchowieństwo jak i lud mu powierzony odwieść od sideł, zastawionych na niedoświadczoną młodzież przez apostołów przewrotu”.

Był to pewien rodzaj zobowiązania się na przyszłość, którego cesarz wysłuchawszy, przeszedł do praktycznej strony działalności nominata. Oznajmił mu więc naprzód, że pierwszą sprawą, jaką będzie musiał załatwić w Warszawie, jest otwarcie kościołów. Na odpowiedź Felińskiego, że uczyni to niezwłocznie po dopełnieniu rekonyliacyi dwóch sprofanowanych świątyń, cesarz zauważył, że według telegramu namiestnika Lüdersa rozlewu krwi w rzeźzonych kościołach nie było, rekonyliacja więc całkiem nie jest potrzebną. Na to odparł ks. Feliński, że nie był w Warszawie ani podczas wypadków, ani

97 Rękopism bezimienny.

98 Loc. cit.

podczas śledztwa, że więc, kiedy tam przybędzie, oprzeć się będzie musiał jedynie na dokumentach, jakie znajdzie w konsystorzu; że wie, iż w sprawie profanacji istnieje dokument, podpisany przez trzydziestu świadków, którzy jednoznacznie pod przysięgą zeznali, iż krew była przelana; że przewodniczący śledztwu w swoim czasie zażądał od generała Lüdersa, aby wyznaczył do składu komisji delegata rządowego, czego jednak namiestnik nie uczynił; że gdyby ów delegat zaprotestował był protokółarnie przeciw orzeczeniu komisji, wówczas, na podstawie tego protestu, ks. Feliński mógłby wytoczyć nowe śledztwo. Ponieważ jednak we właściwym czasie nikt nie protestował, więc on, jako człowiek nowy, nie może rozpoczynać rządów od zarzutu kłamstwa, „tylu zacnym i powszechnie szanowanym świadkom”, gdyż przez to zaufanie do niego zostałoby na samym początku zachwianem i wpływ całkiem udaremniiony. Cesarz zdawał się uznawać słuszność tych uwag, gdyż rzekł: „a więc zostawiam tę kwestyę uznaniu pańskiemu; uczynisz, co uznasz za właściwe na miejscu”⁹⁹. Następnie zapytał, kogo zamierza mianować oficjałem, a na odpowiedź Felińskiego, że ks. Rzewuskiego, cesarz odezwał się: „ależ to on właśnie prezydował w komisji, która zawyrokowała o sprofanowaniu kościołów!”

„Jestem pewny, odrzekł nominat, że osądził wedle przekonania własnego sumienia, nie oglądając się na presyą ani ze strony rządu, ani ze strony ulicy, gdyż jest to kapłan mocnych zasad i niezłomnego charakteru; francuskie zaś przysłowie mówi: *on ne s'appuie, que sur ce qui resiste* (na tem tylko, co stawia opór, oprzeć się można)”. Snadź cesarzowi nie podobał się ten wybór, gdyż rzekł, że możeby lepiej było na to stanowisko powołać księdza Zwolińskiego, który „okazał niepospolitą siłę charakteru nie zamykając kościoła na Pradze, pomimo nacisku rewolucjonistów”. „Ks. Zwoliński, odpowiedział na to przyszły arcybiskup, skompromitował się swą wenałnością w sprawach rozwodowych i najgorszej używa opinii tak w kraju, jak i w Rzymie; jego wybór i mnieby skompromitował w przekonaniu ludzi uczciwych”. „To powołaj ks. Siekluckiego, nalegał cesarz; był on wprawdzie uwięziony, ale stało się to przez pomyłkę i rząd niema nic przeciw jego nominacji”. Ale Feliński nie myślał ustępować i odrzekł, że skoro cesarz postanowił zmienić system rządzenia w Królestwie Polskiem, to nie trzeba zużytych narzędzi stawiać na czele maszyny rządowej, gdyż ogół narodu nie tyle zwraca uwagi na ustawy pisane, ile na ludzi powołanych do ich wykonania. Gdy bowiem ogół spostrzeże, że u steru władzy stoją te same znieprawione osoby, to nigdy nie uwierzy w szczerść zamiarów rządowych. Cesarz przekonany tym argumentem i tym razem ustąpił, pozostawiając tę sprawę uznaniu arcybiskupa, poczem przeszedł do kwestyi udziału duchowieństwa w spiskach

99 Loc. cit.

tajnych, w których księży ślubują posłuszeństwo jakiejś władzy nieznaney i bezbożnej i odbierają przysięgę od spiskowych, że władzy tej słuchać będą. Zapytał następnie, jakich środków zamierza użyć arcybiskup, aby podwładne sobie duchowieństwo od podobnych bezprawii powstrzymać? Ks. Feliński odrzekł, iż postępowanie podobne najzupełniej gani, jako sprzeciwiające się nauce kościoła i wyraźnie przez Stolicę apostolską potępione; że dla wydobycia tych księży z sieci, którzy już w nie popadli, zamierza zwołać synod dyecezyalny, na którym odczytane będą bulle papieskie, odnoszące się do tej kwestyi, tudzież unieważnione zostaną powagą arcybiskupią przysięgi tego rodzaju, jako niegodziwe. W celu ustrzeżenia zaś na przyszłość kleru polskiego od knowań rewolucyjnych, radził, żeby rząd starał się o umocnienie z Rzymem związku duchownego, który obecnie był prawie zerwany z powodu rozporządzenia, zabraniającego klerowi polskiemu wszelkich stosunków ze Stolicą apostolską. Tam bowiem tylko, mówił dalej, w tem ognisku jedności katolickiej przechowuje się nauka nieskażona dogmatów i moralności chrześcijańskiej, oczyszczona od wszelkich namiętności politycznych i socyalnych; tam przeto należy wychowywać czoło kleru polskiego, aby odrodzony w duchu kościelnym i współbraci też swoich na tę drogę naprowadzić usiłował. Radził przeto, aby założono w Rzymie kolegium polskie dla kilkunastu kleryków, którzyby uczęszczali do Collegium romanum, po ukończeniu zaś nauk objęliby katedry w seminariach krajowych. O fundusze niema się co kłopotać, gdyż sami biskupi dostarczyliby pieniędzy na pokrycie kosztów utrzymania, rząd tylko odstąpiłby na ten cel w Rzymie dom, należący niegdyś do poselstwa polskiego, obecnie zaś będący własnością rosyjską. Cesarz odpowiedział, że skłonny jest do zbliżenia się ze Stolicą apostolską, co się zaś tyczy proponowanego kolegium, to sprawa ta musi być wprzód dokładnie zbadaną i dlatego do arcybiskupa przyśle Płatonowa, który dostarczy mu objaśnień potrzebnych. Na tem skończyła się rozmowa; cesarz uprzejmie pożegnał ks. Felińskiego i przy rozstaniu dodał, że w Warszawie jednemu tylko namiestnikowi winien złożyć wizytę, wszyscy zaś inni dygnitarze, tak cywilni jak i wojskowi sami mu się przedstawią¹⁰⁰.

100 Rękopism bezimienny. Prawdzicki loc. cit. 40, utrzymuje, że cesarz w rozmowie tej wyraził życzenie czytania jeszcze tu, w Petersburgu, listu pasterskiego, że ks. Fel. miał odpowiedzieć: „nie wiem N. Panie, czy będę w możności kreślenia pasterskiego listu, w oddali od owieczek moich, zupełnie mi nieznanych, sądzę, że dopiero po przybyciu mojem do Warszawy będę mógł napisać odezwę pasterską do duchowieństwa i wiernych archidiecezyi całej”. Kończy Prawdzicki tę błędną relacją, że „zręczne to znalezienie się arcybiskupa, kiedy paliusz miał już w rękę, nie podobało się carowi, bo wkrótce zakończył rozmowę i pożegnał arcypasterza kilka nie mającymi znaczenia frazesami”. Całe to opowiadanie jest zupełnie fałszywe. O liście pasterskim nie było mowy; kwestyą jego wyjaśnimy bliżej we właściwem miejscu i opowiemy, jak się z nim rzeczy miały.

Jakoż wkrótce w skromnej celi ks. Felińskiego zjawił się Płatonow z ogromną teką pod pachą, i pomimo wyszukanych form grzeczności zewnętrznej, objawiał w każdej kwestyi niechęć i złą wolę wyraźną. W sprawie dawnego domu poselstwa polskiego w Rzymie, okazał dokumenta urzędowe, dowodzące, że budynek ten nabyty został za pieniądze przez Aleksandra I-go i stanowi własność prywatną rodziny cesarskiej. Tym więc sposobem projekt urządzenia kolegium polskiego w Rzymie upadł i konferencya z Płatonowem nie miała żadnych następstw praktycznych¹⁰¹.

Wśród tego wszystkiego zbliżał się dzień naznaczony na konsekracyą, która miała się odbyć w kościółku, raczej kaplicy św. Jana Jerozolimskiego, mieszczącej się w podwórzu pałacu paziów na ulicy Sadowej. Pałac ten i kaplica, zbudowana niegdyś przez imperatora Pawła dla kawalerów maltańskich z wielkim przepychem, w poważnym stylu *empire*, uchodziła za modną, i zwykle w niej na mszę ranną, co niedziela zgromadzał się cały wielki świat petersburski polski. Teraz, w ową niedzielę, d. 26 stycznia 1862 r. miał się rozegrać akt wyniesienia na pierwszą godność duchowną w Polsce prostego księdza wikaryusza. Tłumy też napełniały poważną, błyszczącą od złotych krzyży maltańskich, od kolumn z różowego granitu, kaplicę. Cały świat wielki polski i niepolski Petersburga zbiegł się tutaj, by patrzeć na to niezwykle w stolicy caratu widowisko.

Zauważono mnóstwo błyszczących mundurów wielkich dygnitarzy; był więc minister spraw wewnętrznych Wałujew, był Tymowski, minister sekretarz stanu Królestwa Polskiego, był jego pomocnik Płatonow, był minister skarbu, był wielki mistrz obrzędów dworskich hr. Borch, był hr. Sievers, dyrektor departamentu do spraw obcych wyznań, byli ambasadorowie różnych państw katolickich i niekatolickich, jak: hiszpański, angielski, austriacki, belgijski i bawarski. Kościół lśknął się od świetnych mundurów, świetniejszych jeszcze strojów kobiecych, a wśród tego błyszczącego grona, ponad głowami tego barwnego orszaku, tych postaci, jakby przez Veroneza malowanych, unosiła się olbrzymia figura Wielopolskiego w prostym, czarnym fraku. Wszystkie spojrzenia ku niemu się zwracały, gdyż widziano w nim twórcę tego uroczystego aktu, który za chwilę miał się odbyć, a podejrzывano o przygotowywanie wielu innych aktów... Zresztą, był on bohaterem sezonu petersburskiego, ogniskiem, w którym, mniemało wielu, że zestrzela się wszystko. Więc odwracano głowy od błyszczących mundurów i bardziej jeszcze błyszczących oczów kobiecych, by spojrzeć na tę ciężką, niedźwiedziowatą postawę magnata polskiego, który zdawał się w tej chwili, w swej potężnej dłoni, dzierżyć losy nie tylko Polski, ale i Rosyi...

101 Rękopism bezimienny.

Samej konsekracji dokonał bardzo uroczyście, według ceremoniału odpowiedniego, arcybiskup metropolita mochilewski, ks. Wacław Żyliński, w towarzystwie biskupów sufraganów: Staniszewskiego, Bereśniewicza i hr. Platera, oraz dwóch wyżej wymienionych kanoników: Szczygielskiego i Budziszewskiego. Gdy wchodził do kościoła świetniejącego od mundurów złocistych, od koronek i jedwabi kobiecych, wszystkich spojrzenia zwróciły się na tego księdza, który wziął na siebie tak ciężkie brzemię i przed którym tak tragiczna leżała przyszłość. Na jego twarzy poważnej i nerwowej, w oczach zwykle tak rozmarzonych i jakby mgłą powleczonych, malowało się teraz uczucie głębokiej pokory, rezygnacji i trwogi zarazem¹⁰².

Zdawał się widzieć, a może śnił tylko o drodze ciernistej, jaka go od chwili wyjścia z tego kościółka petersburskiego czekała. Gdy nakoniec wszystko się skończyło, gdy opuszczał progi świątyni, klerycy otaczający go mieli łzy w oczach, miało je wielu także obecnych. Całą resztę dnia tego, tak ważnego w życiu Felińskiego i w dramatycznych dziejach Polski, zachował on pewną poważną wesołość i swobodę. Skromny obiad w zakładzie ubogich sierot, czyli t. z. „przytułku”, i wieczór spędzony w gronie alumnów Akademii Duchownej, zakończył ten dzień tak pamiętny. „Ciężkie to brzemię, które biorę na siebie, mówił już wtedy, odpowiedzialność straszna, ale tak jakoś po odbytych rekolekcjach dał mi Bóg myśli i natchnienia szczęśliwe, że zupełnie spokojny jestem i mam nadzieję, że wszystko dobrze pójdzie”¹⁰³. Niestety! przekonać się miał wkrótce, że złudne żywił nadzieje. Ale teraz był najlepszej myśli i śpieszył się, by jak najprędzej pojechać do Warszawy, w czym zgadzał się z wolą cesarza. Uważał każdy dzień przebyty w Petersburgu, zdała od tragicznej sceny swego działania, za stracony. Wyjazd swój naznaczył zrazu na czwartek, ale wyjechał dopiero nazajutrz w piątek, d. 31 stycznia¹⁰⁴.

Przed wyjazdem jednak, poskładał wizyty pożegnalne różnym dygnitarzom polskim i niepolskim. Był więc u ministra sekretarza stanu Tymowskiego, był

102 Korespondencja z Petersburga do *Gazety polskiej* z d. 30 stycznia 1862 r.

103 Loc. cit.

104 Lisicki, Le marquis II, 276 twierdzi, że Wielopolski był przeciwny temu nagłemu wyjazdowi i radził odroczenie jego aż do zniesienia stanu obłączenia i ustanowienia rozdziału władzy cywilnej od wojskowej. Mniemanie to swoje opiera na memoryale Wielopolskiego, skreślonym, jak sam powiada d. 15 lutego 1862 r. (Al. Wielopolski I, 301), a więc w dwa tygodnie po wyjeździe do Warszawy Felińskiego, czyli *post festum*. Przytem w memoryale tym niema ani słówka o wstrzymaniu wyjazdu nowego arcybiskupa, jest tylko obawa, czy wobec ówczesnego położenia kraju „stanowisko Felińskiego nie stanie się straconym posterunkiem”, oraz rada powstrzymania ogłoszenia listu pasterskiego, przygotowanego w Petersburgu. O wyjeździe zaś niema ani słówka. Z czego zatem p. Lisicki wyciągnął swój fałszywy wniosek, powiedzieć nie umiemy.

i u Wielopolskiego. Ten w rozmowie z arcybiskupem, nie wdając się w roztrząsanie sytuacji, wyrzekł jednak kilka słów znaczących, mogących służyć za pewną wskazówkę dla puszczającego się na burzliwe morze warszawskie Felińskiego. „Mnie tu, mówił margrabia, nazywają politycznym sfinksem, ale tym jedynie sposobem można coś zrobić”¹⁰⁵. Znaczyło to, że i ty księżę bądź takimże sfinksem w Warszawie, bądź chłodnym i spokojnym, gdyż tą tylko drogą dojść możesz do celu. Minister spraw wewnętrznych Wałujew, gdy do niego nowy arcybiskup warszawski przybył z wizytą pożegnalną, ograniczył się na ogólnikach, wyraził tylko nadzieję, że w zbawiennych dla obu narodów reformach, przeprowadzonych przez „wspaniałomyślnego monarchę”, pójdą obaj, t. j. minister i arcybiskup ręką w rękę, do ogólnego zmierzając celu. Z jednym tylko wice-kanclerzem państwa, ks. Gorczakowem, rozmowa przybrała charakter praktyczniejszy i wyraźniejszy. Gorczakow mówił o stosunkach warszawskich i pokazał żegnającemu go ks. Felińskiemu list, jaki z powodu jego wyjazdu do Warszawy napisał do Lüdersa. W liście tym zaznaczał, że arcybiskup ma usposobienie pojednawcze i niezwykłą stałość charakteru. Przeczytawszy ten list uśmiechnął się zwykłym swym zjadliwym i pełnym ironii uśmiechem, i patrząc przez złote okulary na gościa, rzekł: „tak mi się stan rzeczy w obecnej chwili przedstawia, ale przyszłość dopiero pokaże, jakim on jest rzeczywiście”. Feliński poprosił go, by mu pozwolił pisywać do siebie bezpośrednio i nie drogą oficjalną, na co Gorczakow chętnie się zgodził. Dla arcybiskupa była to rzecz ważna, gdyż minister spraw zagranicznych cieszył się wówczas zupełnym zaufaniem cesarza i można było liczyć na to, że tym sposobem niejedna wiadomość, przesłana Gorczakowowi przez Felińskiego, dostanie się do rąk Aleksandra II-go.

Na odchodnym już, Gorczakow ostrzegł dygnitarza kościelnego, aby nie zważał na to, co w około siebie w Warszawie usłyszy i obaczy, nie tylko w obozie rewolucyjnym, ale nawet w sferach urzędowych, lecz aby w każdej wątpliwości przywodził sobie na pamięć słowa, jakie usłyszał z ust cesarza, gdyż one jedynie są wskazówką nieomylną¹⁰⁶.

Z Petersburga wyjechał nowy arcybiskup w towarzystwie delegatów warszawskich, biskupa sufragana Platera, kanoników: Szczygielskiego i Budziszewskiego, oraz ks. Feliksa Rakowskiego. Ponieważ kolej warszawsko-petersburska doprowadzona była wtedy tylko do Dynaburga, więc stąd puszczono się dwoma dyliżansami, które miały odwieść podróżnych aż do samej Warszawy. Tymczasem spadły tak obfite śniegi, że droga kołowa od Kowna stała się całkiem niemożliwą. Już na pierwszej stacyi za Kownem, sześć razy trze-

105 Rękopism bezimienny.

106 Loc. cit.

ba było zwoływać ludzi, by wydobyli ugrzęźnięte w przepaścistych zaspach śniegowych powozy. Kanonicy Szczygielski i Budziszewski, mało mając ze sobą rzeczy, przesiedli się na lekkie saneczki i podążyli wprost do Warszawy, ale Feliński, obarczony całą swą wyprawą arcybiskupią, nie mógł tego uczynić. W takim stanie rzeczy, nie widząc innej rady, Feliński zatelegrafował do Warszawy do namiestnika, prosząc o pozwolenie przejechania drogą żelazną przez Prusy, na co otrzymał odpowiedź przyzwalającą, bez żadnych warunków. Ruszył więc na Królewiec, Poznań, Wrocław, nigdzie się nie zatrzymując i nie wysiadając nawet z wagonu¹⁰⁷.

Ta okolna droga z Petersburga do Warszawy dla publiczności, nieobznajmionej z jej powodami, wydała się bardzo dziwną, a dla prokonsulów rosyjskich, rządzących w Polsce, bardzo podejrzaną. Powoli wśród nich wytworzył się program osobliwszej i złej polityki odnośnie do nowego arcybiskupa. Lękając się, by nie wyjednał sobie u narodu sympatii, a tem samem by nie był popchnięty na drogę działań rewolucyjnych, postanowili mu wszelkimi siłami szkodzić w opinii ogólnej, by tym sposobem zmusić go do rzucenia się w objęcia niezbyt przyjemne różnych Krzyżanowskich i Kruzensternów. Może ten program nie był jasno i wyraźnie wyrozumowany i postawiony, ale był tak doskonale odczuty przez całą tę zgraję ludzi złych i zepsutych, jacy wtedy rządili krajem, że działali oni jednomyślnie i bezwzględnie w tym kierunku. W tym celu w „Dzienniku powszechnym”, który, jak się wyraził teraz

107 Loc. cit. Jakkolwiek doniesienia urzędowe, pomieszczone w dziennikach ówczesnych, zawiadmiały, że „zasy śniegowe i podobne przeszkody (sic), zwykłe w obecnej porze, nie pozwoliły dostojnemu arcybiskupowi jechać, według zamierzenia, na Wilno i trakt Kowieński, tak że z Dynaburga pojechał na Prusy”, to nikt temu nie wierzył i co do tej podróży okolnej potworzyły się całe legendy, które nawet przeszły do dzieł drukowanych. Prawdzicki loc. cit. 49 utrzymuje, że „odgłos zabronionych po kościołach śpiewów przez ks. arcybiskupa lwowskiego, pociąga go (Felińskiego) do Poznania, by się przeświadczyć o tem na wolniejszej ziemi, by od patriarchy duchowieństwa polskiego, najprzewielebniejszego arcybiskupa Przyłuskiego, usłyszeć słowo rady”. — „Krótko tu zabawiwszy, bo anioł opiekuńczy w moskiewskich szlifach dla honoru mu niby przydany a właściwie dla straży, był na każdym kroku jego, udał się dalej koleją żelazną przez Wrocław do Królestwa”. N. Berg, Zapiski II, 209, zapewnia, że na wycieczkę do Poznania Feliński otrzymał pozwolenie od cesarza i że miał się tam w sprawie zakazanych hymnów patryotycznych porozumiewać z arcybiskupem Leonem Przyłuskim, i nie dość na tem, chciał jeszcze jechać do Lwowa, by tam porozumieć się z Wierzchlejskim, ale mu już na to naglące telegramy władz warszawskich nie pozwoliły i t. p. Wszystkie te podania są fałszywe. Powody okolnej drogi przez Prusy są takie, jakieśmy je w tekście opowiedzieli. W Poznaniu ks. Feliński z nikim się nie widział, bo naprzód nie uważał tego za potrzebne, mając w sprawie śpiewów wytknięty plan działania, a potem, żeby nie obudzać podejrzliwości rosyjskiej. O zbaczaniu do Lwowa nie myślał wcale i żadne telegramy do Warszawy go nie wzywały. Nie towarzyszył mu też wcale „anioł opiekuńczy w moskiewskich szlifach”.

Wielkopolski, „nie odpowiadał już dziś przeznaczeniu swemu oświecania opinii publicznej”, pomieszczono kilka artykułów o Felińskim, którego chwaląc w wyrazach przesadnych i niesmacznych, tem samem w drażliwej opinii polskiej wywoływali przez to nieufność do arcybiskupa, tak gorąco przez rząd zalecanego. „Ks. Feliński, pisał „Dziennik”, jest uczonym teologiem i światłym mężem; znany jest z surowości obyczajów i pomiędzy katolikami zjednał sobie bardzo wielki i słuszny szacunek. Nie wątpię, że będzie dobrze przyjęty w Warszawie, że będzie wywierał tam na duchowieństwo i na lud wielki wpływ moralny, i nakoniec, że wpływ jego będzie miał bardzo dobre skutki”. Ale o wiele gorsze następstwa miał artykuł pomieszczony w piśmie petersbuskiem „Pszczola północna”, organie ministerium spraw wewnętrznych, przedrukowany skwapliwie przez „Dziennik powszechny”, a zatem i gazety warszawskie. Nieznany autor tej niewczesnej i nadzwyczaj szkodliwej elucubracyi, opisawszy zaburzenia warszawskie i stan kościoła katolickiego w Królestwie, tak kończył: „na rządcę dyecezyi potrzebny był człowiek z umysłem stanowczym i niezachwianym, człowiek oddany kościołowi i prawdziwym interesom narodu. Wybór cesarza padł na Felińskiego, gorliwego katolika i wiernego poddanego. W myśl 12 artykułu konkordatu zawartego z dworem rzymskim r. 1847. mianowanie biskupów rzymsko-katolickich w cesarstwie i Królestwie Polskiem dzieje się po uprzednim skomunikowaniu się z papieżem, który jako głowa rzymsko-katolickiego kościoła utwierdza kanonicznie wybraną przez rząd nasz osobę w godności biskupa. W zwyczajnym biegu rzeczy Rzym działa w podobnych razach nadzwyczaj ostrożnie. Przewód tak zwanego procesu kanonicznego (zbadania przymiotów osoby podnoszonej (sic) na tę godność), prekonizacya nowego biskupa na konsystorzu tajnym, ułożenie bulli i przesłanie ich potrzebują wiele czasu, lecz na ten raz Jego Świątobliwość, uwzględniając stan dyecezyi warszawskiej, z opuszczeniem wszystkich formalności i z zupełnem zaufaniem w wybór naszego rządu, prekonizował ks. Felińskiego arcybiskupem warszawskim w konsystorzu, zwołanym nie w czasie zwykle na to przepisany. Cesarz Jegomość, pełen najmiłościwszych względów dla nowo wybranego arcybiskupa, raczył mu osobiście wręczyć paliusz i prócz tego dać mu kosztowny pierścień, mitrę, pastorał i potrzebne na sprawienie szat pieniądze”. Niewątpliwie wszystko to było do pewnego stopnia prawdą, ale są prawdy, od których wygłaszania w pewnych okolicznościach rozumny i szczerze życzący krajowi polityk wstrzymać się powinien. Tutaj było to o tyle gorszem, że całe to, już samo przez się niezręczne opowiadanie, zaopatrzone w niesmaczny dodatek o podarunku pieniędzy „na sprawienie szat”. Wszystko to, w całej swej pozornej naiwności tonu, było rodzajem niedźwiedziej przysługi, czynionej ks. Felińskiemu. Prasa polska za-

kordonowa, prasa tajna rewolucyjna, opinia wreszcie publiczna niezmiernie ożywiona, nie omieszkła skorzystać z tych pochwał, by wykazać jak dalece Feliński jest „kreaturą moskiewską” i jak mu ufać nie można. Powszechnie też wołano: „odpychamy go od serca i czci”, a wołano tem goręcej, że może przez zbieg okoliczności, a może w dalszym ciągu urzeczywistnienia swego programu, prokonsulowie warszawscy, w chwili gdy ks. Feliński wstępował w granice Królestwa, wywozili ostentacyjnie na wygnanie oprócz Białobrzeskiego, księży: Wyszyńskiego, Steckiego, Działkowskiego, Chmielewskiego, Witmana, Żukowskiego z Łęczycy i wielu innych. Słusznie też wobec tego pytano się: czy to nie przyjazd arcybiskupa wywołał to prześladowanie? Byli tacy nawet, którzy twierdzili, że stało się to za jego wiedzą i wolą, by mu krnąbrni księża nie przeszkadzali w jego dążnościach pacyfikacyjnych¹⁰⁸.

Pierwszem miejscem na ziemi polskiej, na którym się ks. Feliński dłużej zatrzymał, była Częstochowa, a raczej klasztor Jasnogórski. Postanowił tu parę dni wypocząć po długiej i męczącej podróży, i „w tem cudownem miejscu prosić Boga o łaskę podołania przechodzącemu siły jego zadaniu”¹⁰⁹.

Późną porą w sobotę, dnia 9 lutego, zapukał wraz z sufraganiem Platerem do furty klasztornej; zakonnicy przyjęli go dość chłodno, okazywali mu jednak przesadzone, choć nadzwyczaj zimne uszanowanie¹¹⁰. Zażądał, by go zaraz, tak jak był w ubraniu podróżnym, zaprowadzono przed ołtarz Matki Boskiej cudownej, gdzie chce się pomodlić. Uczyniono zadość jego woli i tu, wśród mroków szybko zapadającej nocy, w źle oświetlonej kaplicy, pełnej tłukących się po kątach cieniów, padł krzyżem przed ołtarzem i leżał tak przez godzinę, budując tem nadzwyczajnie proste natury zakonników. W modlitwie tej, w tej ekstazie tak osłabł, że go musiano podnieść i chwiejącego się na nogach zaprowadzono do celi przeora¹¹¹. Nazajutrz w niedzielę spowiadał się i w tejsze kaplicy Matki Boskiej cudownej odprawił mszę św., pierwszą na ziemi polskiej. Zamierzał, jakżeśmy rzekli, parę dni spędzić w murach klasztoru Jasnogórskiego, pełnego mistycznego uroku i wspomnień bohaterskich, gdy otrzymał od Lüdersa z Warszawy telegram naglący, wzywający go natychmiast do Warszawy¹¹².

108 „Życiorys ks. S. Z. Felińskiego” rkpsm.

109 Rękopism bezimienny.

110 Prawdzicki, loc. cit. 49: „zakonnicy przyjęli go jeśli nieserdecznie, to przynajmniej z uszanowaniem należnem”. N. Berg, loc. cit. II, 224, utrzymuje, że Paulini wzięli go zrazu za szpiega przebranego. Wiadomość ta jednak w innych źródłach, jakie znamy, nie znajduje potwierdzenia.

111 N. Berg, loc. cit. II, 225.

112 Prawdzicki loc. cit. 50 utrzymuje, że głównym powodem tego wezwania był pułkownik rosyjski, towarzyszący Felińskiemu od Petersburga. Dowiedziawszy się bowiem o za-

Feliński uległ temu wezwaniu i wyruszył zaraz do stolicy kraju; tym razem towarzyszył mu wydelegowany przez rząd generał książę Bagration, który nie opuścił go już do samej Warszawy¹¹³. Wyruszył z nim także jeden z Paulinów, który powiózł ze sobą ofiarowany ks. Felińskiemu przez zakonników obraz Matki Boskiej, przeznaczony do kaplicy arcybiskupiej¹¹⁴. W Częstochowie, w klasztorze, wśród zakonników przesiąkniętych jadem rewolucji, ta uległość arcybiskupa nadzwyczajnie się nie podobała. Mówili oni, że powinien był oprzeć się „kozackiemu rozkazowi!”¹¹⁵, prokonsula warszawskiego, że gwałcił dzień Boży, jadąc w niedzielę i t. p. Tutaj nakoniec w Częstochowie, jak się zdaje, otrzymał wiersz bezimienny¹¹⁶, bardzo miernej wartości literackiej, pełen frazesów pustych ale poetycznych, zaczynający się od słów: „witamy cię ojczyźnie bez kluczy (??), bez krzyża”¹¹⁷. Nieznany autor wątpi, czy „młoda głowa” nowego arcybiskupa podoła zadaniu, jakie ją czeka; że nie wie z czym on przybywa, „ale jeżeli, broń Boże, krzyż mu w ręku cięży”, to lepiej niech nie wchodzi w mury miasta, niech nie plami imion „Fijałkowskich, Białobrzeskich i wygnańców innych, przed carem potępionych, przed Stwórcą niewinnych”.

Był to przedsmak niejako tych trudności, jakie go czekały na ciernistej drodze, na którą wstąpił. Tu i ówdzie, dla zobaczenia jadącego do Warszawy arcybiskupa zbierały się na stacyach gromadki ciekawych, których on witał uprzejmie i błogosławił.

W paru miejscach, już bliżej Warszawy, z tłumu odzywały się głosy: „prosimy o uwolnienie Białobrzeskiego!”, jak gdyby to uwolnienie zależało od arcybiskupa.

miarze arcybiskupa pozostania przez niedzielę w Częstochowie, pułkownik ów „posyłał telegram za telegramem do namiestnika Lüdersa, aby ten koniecznie pragnął (sic) bezzwłocznego przybycia arcybiskupa do Warszawy, a odbierane odpowiedzi komunikując ciągle dostojnemu panu, którego konwojował, wymógł na nim, że nie zostanie do jutra, ale dziś jeszcze pojedzie”. Podobnie Oczewidiec (Posledniaja polskaja smuta. Russkaja Starina z 1874 r.) powiada: „Lüders zrozumiał do czego prowadzą te zwłoki i dnia 9 lutego posłał mu (Felińskiemu) zaproszenie (prigłuszenie) do natychmiastowego przybycia do Warszawy”. Inne źródła rękopiśmienne i drukowane szczegółu tego nie podają; Berg nic o tem nie wie. Owym pułkownikiem Prawdzickiego, był zapewne nie kto inny, tylko wspomniany w tekście generał Bagration.

113 Rękopism bezimienny. Pawliszczew, Siedmicy II, 47 nazywa go naczelnikiem okręgu drogi żelaznej.

114 Rękopism bezimienny.

115 „Żywot ks. S. Z. Felińskiego”, rkpsm.

116 Podwysockij, Zapiski 100, twierdzi, ale nie napewno (kak utwierzdali), że wiersz ten otrzymał jeszcze w Petersburgu. Relacja rękopiśmienna p. t. ks. „Żywot S. Z. Felińskiego” powiada, że dostał go do rąk w Częstochowie. W każdym razie nie w Petersburgu, gdyż sama treść wiersza sprzeciwia się temu.

117 Wiersz ten z rękopismu współczesnego, podajemy na końcu tego tomu, w zbiorze dokumentów pod Nr. 2.

Najtłumniej witano go w Piotrkowie i Skierniewicach. W Piotrkowie spotkał go, między innymi, Władysław hr. Zamoyski, wysłany tu zapewne przez ojca p. Andrzeja, i wsiadłszy do jednego z arcybiskupem wagonu, towarzyszył mu do Warszawy. W samej Warszawie prokonsulowie rosyjscy, postępując zgodnie z pierwotnym swoim planem, rozpuścili pogłoskę, że czerwieńcy zamierzają powitać przybywającego Felińskiego kocią muzyką, wskutek czego nakazano policji, ażeby użyła wszelkich środków dla uchronienia arcybiskupa od zuchwałej manifestacji¹¹⁸. Nie zanedbano przytem uwiadomić arcybiskupa o owej, rzekomo gotującej się kociej muzyce¹¹⁹; łatwo więc pojąć, z jak bolesnym niepokojem wjeżdżał ten gorący syn Polski na dworzec warszawski kolei. Było to już dość późno, po godzinie 11-tej i noc zupełna. Na dworcu znajdowała się gromadka ludzi i gdy Feliński wyszedł z wagonu, zamiast kocią muzyką, powitano go okrzykiem: „niech żyje arcypasterz!” co przez pewne indywidua (a jak podejrzewają niektórzy przebranych policyantów), przyjęte było sykaniem¹²⁰. Księży było niewielu, z regensem konsystorza ks. Czajewiczem na czele, co uderzać każdego musiało, a i ci, którzy byli, chłodno i obojętnie przyjmowali nowego swego zwierzchnika. Władysław Zamoyski poprosił do swej karety Felińskiego¹²¹ i wyruszone do miasta.

Noc była jasna, na ulicach wielka cisza zapanowała i na umysł Felińskiego, na pierwszym jego wstępie do Warszawy ta posępna półcisz, latarki przechodniów, migocące po chodnikach, przykre i bolesne wywarły wrażenie. Na ogół zaś inna okoliczność, o której ks. Feliński nie wiedział, zrobiła o wiele przykrzejsze i gorsze wrażenie. Namiestnik Lüders wysłał był na dworzec kolei swą karete po arcybiskupa, otoczoną żandarmami i kozakami, i kareta ta, gdy ks. Feliński pojechał z p. Zamoyskim, wracała próżną. Wszelako nikt o tem nie wiedział i sądzono powszechnie, że to arcypasterz polski i katolicki wjeżdża do stolicy polskiej z trzaskiem i hukiem, otoczony przez siłę zbrojną nieprzyjaciela, co mimowoli w umysłach budzić musiało podejrzenie, że rzeczywiście zwierzchnik kościoła przerzucił się na stronę rządową¹²².

Koło północy przyjechano do pałacu arcybiskupiego, gdzie przykrość i posępność całej tej dziwnej sytuacji o wiele wzrosć musiała wskutek tego, że

118 Podwysockij loc. cit. 100, opowiada: „zdołali oni (t. j. czerwoni) wcześniej podburzyć opinią publiczną przeciw Felińskiemu, tak że w dzień jego przybycia do Warszawy, dnia 9 lutego, lękano się nawet zuchwałej przeciw niemu demonstracji, dla zapobieżenia której należało się uciec do silnych ostrożności policyjnych”.

119 „Żywot ks. S. Z. Felińskiego”, rkpsm.

120 Prawdzicki loc. cit. 51.

121 Rękopism bezimienny.

122 Wieść o tem, że ks. Feliński wjeżdżał otoczony kozakami, tak się rozpowszechniła, że wszystkie źródła współczesne o tem mówią. W istocie rzeczy tak nie było i ks. Feliński nie wiedział nawet o owej karecie Lüdersa.

nikt z księży nie oczekiwał tutaj na przybyłego. Tłomaczył to sobie spóźnioną porą i przepisami policyjnymi, niedozwalającymi wychodzenia na miasto po godzinie 11-tej, mógł sobie tłumaczyć i innymi jeszcze względami, ale nie mógł temu zaprzeczyć, że widziany jest przez kraj niechętnie i że czeka go walka ciężka i straszna. Wielkie sale pałacu arcybiskupiego, po których zdawał się jeszcze słaniać duch Fijałkowskiego, nieopalone, chłodne, źle oświetlone, w umyśle tak wrażliwym jak Felińskiego potęgować musiały bolesny smutek jego duszy. Czy on, syn wygnanki sybirskiej, z nutą pobudki bojowej, grającej mu jeszcze w duszy od dni Miłosławia i Wrześni, spodziewał się, że będzie kiedyś tak przyjmowany w stolicy polskiej?

Po wieczerzy spożytej w towarzystwie ks. Czajewicza, Wojny i Rakowskiego, wieczerzy smutnej i milczącej, rzucił się w ubraniu na łóżko i tak przepędził pierwszy wieczór i noc pierwszą w Warszawie.

Nazajutrz, o świcie chłodnego poranku zimowego, odprawivszy o godzinie 5-tej rano mszę w kaplicy pałacowej, własnoręcznie napisał do dziekana warszawskiego, donosząc mu o swem przybyciu z grzecznem poleceniem zaproszenia członków kapituły metropolitalnej i duchowieństwa do sali konsystoryjalnej, gdzie pragnie je powitać i zapoznać się z niem¹²³. Jakoż, około godziny 11-ej rano, zeszli się wezwani licznie, a wchodzący do sali arcybiskup mógł widzieć na tych twarzach ciekawość, z jaką na niego patrzano i podejrzliwą nieufność, której wielu ukryć nie zdołało. Gdy mu ks. Szczygielski przedstawił wszystkich po kolei, arcybiskup począł mówić o swych zamiarach, że postanowił kościoły otworzyć, że ma uroczyste przyrzeczenie cesarskie, iż sceny takie, jakie w nocy z 15-go na 16 października się odbywały, więcej się nie powtórzą; że odprawi się rekoncyliacya dwóch kościołów sprofanowanych t. j. św. Jana i Bernardynów, a inne otwarte być mają przez właściwych proboszczów. Potem przeszedł na kwestyą hymnów patryotycznych i wyraził nadzieję, że duchowieństwo zdoła wpłynąć na lud, aby tych śpiewów zaprzestał. Wreszcie, jakby chciał załagodzić przykrość tych nowin, tak wstrętnych zrewolucjonizowanemu klerowi, a może w chęci nawiązania jakiejś nici sympatyczniejszej między sobą i przyszłymi jego pomocnikami, zapytał: „czem mógłby im być użytecznym?” Z grona zebranych odezwało się kilka głosów: „prosimy o uwolnienie ks. Białobrzeskiego i wszystkich księży, będących w więzieniu lub na wygnaniu!”

To uparte domaganie się uwolnienia Białobrzeskiego, brzmiące w uszach arcybiskupa nieomal od chwili, gdy stanął na ziemi Królestwa, niemile musiało uderzyć jego uszy, gdyż na tej ascetycznej, jakby sennej twarzy, ukazał się

123 Prawdzicki, loc. cit. 51.

na chwilę wyraz niezadowolenia; stłumił je jednak szybko i rzekł łagodnie, że dwakroć prosił o to cesarza i prosić ciągle będzie dopóty, dopóki wszyscy kapłani wolni nie będą. Ale teraz między zebranymi księżmi poczęły się zrazu pojedyncze i nieśmiałe, powoli coraz liczniejsze i coraz natarczywsze odzywać głosy, że do śpiewów, których arcybiskup zamierza zakazać, lud wielką przywiązuje wagę, że zakaz może wywołać to niepożądane wcale następstwo, iż lud nie usłucha rozporządzenia duchowieństwa. Taki zaś wynik szkodliwym ze wszech miar będzie dla kraju, jak i dla powagi kapłańskiej, gdyż lud uważać będzie duchowieństwo za nieprzyjaciół sprawy narodowej.

Tych uwag, tylokrotnie powtarzanych w tym czasie przez kler polski, arcybiskup wysłuchał w chmurnem milczeniu i w końcu rzekł tonem dość chłodnym, że czy znajdzie w tej sprawie pomoc w duchowieństwie czy nie, on pierwszy odezwie się w tym przedmiocie; że będzie to miało bardzo poważne dla przyszłych losów kraju następstwa; że zdecydowany jest dobrą i złą dolę dzielić z duchowieństwem, a resztę zdaje na Opatrzność Bożą. Przechodząc następnie do spraw wewnętrznych dyecezyi, zawiadomił obecnych, że na oficyna konsystorza zaprosił ks. kanonika Rzewuskiego i dodał, iż przyjmując na siebie odpowiedzialność za rządy dyecezyi, musi z jednej strony czuwać osobiście nad wszystkimi gałęziami administracyi, z drugiej otoczyć się ludźmi zaufania, którzy na własną rękę nic czynić nie zechcą. Dla dopięcia tego podwójnego celu, jeden tylko zamianuje konsystorz w Warszawie, całkiem zwinąwszy istniejący dotąd w Łowiczu, gdyż pragnie osobiście rozpatrywać wszystkie sprawy wchodzące do konsystorza, gdzie też codzień przewodniczyć będzie swoim współpracownikom. Akademią i seminaryum postara się też nawiedzać jak najczęściej, obsadzając je gronem profesorów, przejętych duchem kościelnym, którzyby wprowadzić usiłowali system naukowy pod okiem Ojca św. w Rzymie praktykowany. W tym tonie mówiąc o reformach, jakie zaprowadzi, zakończył, że „komu ten program nie trafia do przekonania, winien zawczasu usunąć się ze stanowiska, nie czekając aż sama zwierzchność go usunie”¹²⁴. Dodając, że o rekonyliacyi kościołów uwiadomi ich przez dziekana, pożegnał zebranych starem polskiem: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”.

Z tej rozmowy obie strony wyniosły źle wróżący na przyszłość zaczyn wzajemnego niezadowolenia. Feliński przekonał się, że to, co mówił w Petersburgu Łubieński o duchowieństwie warszawskiem, jest prawdą i odrazu stracił wiarę do tego kleru, na którego czele stanąć mu przyszło. Było to bez wątpienia bardzo złem, gdyż w charakterze arcybiskupa leżało, że jak raz stracił do

124 Rękopism bezimienny.

kogo zaufanie, już mu go nigdy nie przywracał¹²⁵, a w takim położeniu, w jakim ówczesna Polska się znajdowała, mogło to mieć jak najgorsze następstwa i niestety! miało, jak to wkrótce obaczymy. Co się zaś tyczy zebranego w sali konsystoryjalnej duchowieństwa, to wskutek swego usposobienia rewolucyjnego, wyniosło ono z powyższej rozmowy jak najgorsze wrażenie. W mieście wiadano natychmiast o wszystkich szczegółach rozmowy i niechęć przeciw Felińskiemu wzrastała szybko i przygotowywano się przy pierwszej lepszej sposobności tę niechęć mu okazać. Oburzano się nań powszechnie za zamiar otwarcia kościołów i zakaz hymnów patryotycznych; duchowieństwo srodze było rozgniewane widocznymi zamysłami arcybiskupa samoistnego rządu archidiecezją, gdyż sądzili, że jako nieobznajmiony z okolicznościami miejscowemi, musi im władzę oddać w ręce. A nawet nominacja Rzewuskiego oficjałem nie podobała się klerowi, i niektórzy księża ostrzegali arcybiskupa, że wątpliwą jest rzeczą, by prałaci zaszczytzeni całkowitem zaufaniem ks. Fijałkowskiego, którego w trudnych pasterskich obowiązkach wyręczali, zgodzili się na przyjęcie podrzędnej roli w konsystorzu¹²⁶.

Za to stronnictwo rewolucyjne nominacją ks. Rzewuskiego powszechnie chwaliło. Ksiądz ten, bardzo zacny, bardzo uczony, bardzo świątobliwy nawet, był przy tem wszystkim najczerwieńszym, najgorętszym patryotą. Wybór ten, uczyniony przez arcybiskupa wskutek zaleceń Łubieńskiego, jak wiemy, jeszcze w Petersburgu, w innych czasach i w innych okolicznościach byłby jak najlepszy, teraz zaś, gdy fala wzrastająca rewolucyi zalewała wszystko, gdy pożar rósł z każdą chwilą nieomal, oddanie tak ważnego urzędu jak oficjalstwo w ręce Rzewuskiego było dolaniem niejako oliwy do ognia. Już samo zadowolenie stronnictwa rewolucyjnego świadczyło, że wybór był zły i niewczesny.

Tak się też na tę sprawę zapatrywał za przykładem cesarza i namiestnik Lüders. Gdy nowy arcybiskup zaraz nazajutrz po swem przybyciu udał się z wizytą do wielkorządcy, ten powitał go bardzo grzecznie, wyszedł nawet na schody na jego spotkanie i zaczął od naiwnego nieomal przyznania, że nie jest ani dyplomatą, ani politykiem, że zna się tylko na sprawach wojskowych i dał cesarzowi słowo, że nie dopuści do rozruchów w Warszawie, chociażby połowę miasta miał w gruzy zamienić. Mówiąc to, prostował się groźnie i powtarzał: „dotrzymam danego słowa! dotrzymam słowa!” Przy rozmowie obecny był generał-gubernator Kryżanowski, który miał u Lüdersa opinią bardzo przebiegłego polityka, dlatego też zawsze, przy wszystkich widzeniach się namiestnika z arcybiskupem, był obecny, jeżeli nie Kryżanowski, to Safianos, naczelnik kancelaryi dyplomatycznej. Obecność któregośkolwiek z tych panów

125 Żywot ks. S. Z. Felińskiego.

126 Rękopism bezimienny.

była tem konieczniejszą dla Lüdersa, że nie był on nawet w stanie zdać sprawy z żadnej poważniejszej rozmowy. Tym razem tak namiestnik, jak i Kryżanowski, uważając arcybiskupa za kreaturę rządową, rozmawiali z nim nader otwarcie i szczerze. Jenerał-gubernator, okrętując położenie ówczesne kraju, między innymi zaznaczył istnienie dwóch stronnictw: białych i czerwonych, przyczem wypowiedział te słowa charakterystyczne: „Czerwonych się nie lękamy, ale ci łajdacy Biali są bardzo niebezpieczni” (*nous ne craignons pas les Rouges ces, mais coquins de Blancs, voila ce qui est dangereux*). Gdy ks. Feliński zapytał Lüdersa, jakich kandydatów przedstawił do Petersburga na wakujące katedry biskupie w Płocku i Sejnach, ten odrzekł, że księży: Zwolińskiego i Topolskiego. Na uwagę Felińskiego, że pierwszy z tych księży ma jak najgorszą reputacją zarówno w kraju jak i w Rzymie, Lüders odrzekł z naiwną otwartością: „wiem, że to człowiek zszarzanego imienia, ale któż nam będzie służył, jeżeli przestaniemy wynagradzać nasze kreatury? (*je sais, que c'est un homme taré, mais qui est ce qui nous servira, si nous ne récompensons pas nos créatures?*)” W sprawie rekonyliacyi kościołów i nominacyi na oficyała ks. Rzewuskiego, Lüders już był powiadomiony z Petersburga, choć więc kilku słowy dał poznać, że mu to nie po myśli, nie próbował jednak zmienić w tym względzie postanowienia arcybiskupa. Rozmowa w ogólności nie miała żadnego głębszego znaczenia; zapoznano się ze sobą i na tem się skończyło¹²⁷.

Wprost z Zamku, arcybiskup udał się do p. Andrzeja Zamoyskiego, którego nie znał wcale, ale któremu chciał ostentacyjnie złożyć pierwszą wizytę, „jako hołd należny cnotom jego i zasługom na polu pracy narodowej położonym”¹²⁸, a przytem chciał pokazać śledzącej go pilnie opinii publicznej, że nie jest niewolnikiem natchnień rządowych, lecz własną i niezależną drogą iść zamierza. Z drugiej strony powodowała nim zupełnie usprawiedliwiona ciekawość dowiedzenia się czegoś od p. Andrzeja, owego „pierwszego obywatela kraju”, jak go stale nazywano; wiedział, że ostatecznie nie kto inny, tylko p. Zamoyski kieruje stronnictwem Białych, którzy tak niebezpiecznymi wydawali się Kryżanowskiemu.

Ze swego stanowiska, wyobrażeń, przekonań i wyrozumowania, ks. Feliński należał do tego stronnictwa i gotów był z niem iść ręką w rękę, ale trzeba było wprzód zapoznać się z jego dążnościami i pragnieniami. Tę znajomość dokładną mógł mu dać tylko p. Andrzej, więc do niego jechał, bez względu na

127 Rękopism bezimienny. Prawdzicki. loc. cit. 56, utrzymuje, że rozmowa głównie toczyła się o rekonyliacyi kościołów i o nominacyi Rzewuskiego, i że Lüders wszelkimi siłami starał się odwieść arcybiskupa od jednego i drugiego. Naszą relacją opieramy na najautentyczniejszych podaniach.

128 Loc. cit. Wyrażenie z rękopismu tego zaczerpnięte.

to, że krok taki miał pewien charakter śmiałości i w oczach rządu nie mógł być dobrze widziany. Ale zato na samego p. Andrzeja odwiedziny te wywarły bardzo przyjazne wrażenie; od razu lody pękły i może po raz pierwszy szczerze i otwarcie wyświadał się ze swych przekonań i nadziei. Przedewszystkiem więc starał się wyjaśnić i wytłómaczyć swe stanowisko polityczne, jakie zajął od chwili wybuchu dziwnych wypadków, rozgrywających się od roku przeszło. Stanowisko to, to zupełne usuwanie się od udziału w nadanych Królestwu instytucjach, których ważność uznawał, tłumaczył nieufnością do rządu. Twierdził, że rządowi temu w niczem i nigdy wierzyć nie można; wyraził przekonanie, że przy pierwszej lepszej sposobności nadane instytucje cofnięte zostaną; że on dopóty nie poprze rządu, dopóki nie będzie daną rękojmią, wiążącą samowolę Rosyi wobec Polski. Jaką miała być ta rękojmia p. Andrzej nie powiedział, ale te jego zwierzenia w zupełności wyjaśniły jego upartą abstynencją od współpracownictwa w rozwoju rzeczonych instytucji.

Gdy w dalszym ciągu arcybiskup opowiedział swą rozmowę z cesarzem i ówczesne usposobienie ministrów, gdy wreszcie oświadczył, że zamierza pracować nad uspokojeniem umysłów, by je od szalonych projektów odwieść, p. Andrzej uznał niewczesność i szkodliwość ruchu, ale utrzymywał, że mało jest nadziei, by zbierająca się burza zażegnać się dała. Namiętności w kraju, mówił, są zbyt rozognione, a kierownicy ruchu są niedostępni żadnym wpływom, nie z obozu rewolucyjnego pochodzącym. Na dowód tego twierdzenia pokazał odezwę Mierosławskiego do organizacyi czerwonej. W odezwie tej „urodzony dyktator” rozkazywał, aby najpóźniej w końcu kwietnia 1863 r. wszystko było gotowem do powstania, i żeby powstanie to w tym czasie koniecznie wybuchło, choćby rząd czynił ustępstwa najdalej sięgające, gdyż na ten termin przygotowana jest rewolucya w całej Europie i w samej Rosyi. Był to dowód oczywisty, jak dalece zaciętrzewione i jak lekkomyślne jest stronnictwo ruchu.

Następnie wyszła na stół kwestya listu pasterskiego. List ten ks. Feliński przygotował jeszcze w Petersburgu wyłącznie z inicjatywy własnej. A że nigdy przedtem nie był w Warszawie i nie znał ani duchowieństwa, ani narodu, ani jego układu społecznego, więc zasięgnął pod tym względem wiadomości od ks. Łubieńskiego. Ten, wielki pan z rodu, pełen przekonań szlacheckich, poinformował pytającego, że ruch polski ma charakter raczej socyalny niż narodowy. Tę cechę socyalnego wywrotu widział on zapewne w opinii powszechnej, domagającej się nie oczyszczenia, ale uwłaszczenia włościan, opinii głośno i natarczywie wypowiedzianej przez stronnictwo ruchu; widział w teoryach Mierosławczyków, grożących rzezią szlachcie. Łubieński, nie wątpimy, że szczerze przekonany był, że ruch dąży do rzeczywistej burzy socyalnej. Dzięki tym fałszywym i błędnym informacyom, ks. Feliński w jednym z ustępów

listu pasterskiego, wystąpił w tonie surowym i ostrym przeciw wszelkim tego rodzaju wywrotowym dążnościom, i zapowiedział, że walczyć z nimi będzie z całą stanowczością.

Otóż, kiedy obecnie ks. Feliński odczytał p. Andrzejowi swój list pasterski, snadź w celu uzyskania jego aprobaty, p. Andrzej był bardzo zgorszony powyższym ustępem, i oświadczył tonem zdecydowanym, że stronnictwo jego całkiem odmówi poparcia arcybiskupowi, jeśli pozostawi w liście ustęp o knowaniach socyalnych. Starał się przytem przekonać swego gościa, że ruch obecny w kraju jest ruchem czysto narodowym i jedynie niepodległość ojczyzny mającym na celu. Gdyby więc po kościołach poczęto z ambon głosić, że ruch ten, objawiający się dotąd głównie przez śpiewy religijne, ma zabarwienie socyalistyczne, oburzyłoby to patryotów, usposobiłoby ich wrogo przeciw duchowieństwu, a rządowi dałoby broń przeciw aspiracyom narodowym, jako napiętnowanym cechą wywrotu społecznego. Uwagi te, świadczące, jak dalece w gruncie rzeczy p. Andrzej sprzyjał ruchowi i jak mu na sercu leżała jego dobra sława, ks. Feliński uznał za słuszne i inkryminowany ustęp obiecał z listu pasterskiego wykreślić¹²⁹.

Rozmowa ta wogóle bardzo smutne zrobiła na duszy ks. Felińskiego wrażenie. Przekonywał się powoli, że naprawdę z nikim w kraju nie będzie mógł iść ręką w rękę; ani z rządem, który w osobie Kryżanowskiego i ograniczonego umysłowo Lüdersa widocznie był wrogi wszystkiemu co polskie; ani ze stronnictwem Białych, które pomimo wszelkich restrykcyi, wyraźnie dążyło do powstania. Postanowił więc zamknąć się wyłącznie w sferze spraw kościelnych, nie mieszając się do polityki¹³⁰, jak gdyby w tych czasach gorących, w tej burzy szalonej, taka abstynencya była możliwą dla Polaka, kochającego swój kraj. Ale w tej chwili zdawało mu się inaczej i myślał tylko o spełnieniu swych zadań kościelnych.

Pierwszem, najważniejszym takim zadaniem było otwarcie kościołów.

Naradzał się w tym względzie z nowym swym oficyałem i postanowiono uroczystą rekoncyliacyą dwóch sprofanowanych kościołów naznaczyć na

129 Rękopism bezimienny. A. Giller w swej Historji powstania II, 164, podnosi z tej pory jeden poważny przeciw ks. Felińskiemu zarzut. Twierdzi on mianowicie, że arcybiskup zaraz po przyjeździe wszystkim generałom, nawet Chrulewowi „splamionemu krwią 8 kwietnia, poskładał wizyty”. Jest to fałsz. Arcybiskup, jak wiemy, miał wyraźne polecenie cesarza, by u nikogo, prócz u namiestnika, pierwszy nie był i jeżeli jeździł do generałów i Chrulewa, to tylko z rewizytą, czego proste formy grzeczności towarzyskiej wymagały. Ale ulica, a za nią plotkarze historycy nie widzieli, lub nie chcieli widzieć wizyt jeneralskich w pałacu arcybiskupim, a za to szeroko mieli oczy otwarte na to co robi ks. Feliński i szkalować go nie przestawali.

130 Rękopism bezimienny.

dzień 13 lutego, na czwartek; ingres zaś do metropolii na niedzielę, dnia 16 tegoż miesiąca. Jakoż nazajutrz duchowieństwo otrzymało odezwę od arcybiskupa, uwiadamiającą je o tem, przyczem Feliński donosił, że tego „smutnego aktu” dopełni sam w kościele św. Jana, a w kościele Bernardynów ks. biskup Plater. W końcu polecał, żeby nazajutrz po rekoncyliacji dwóch wymienionych kościołów otworzono wszystkie inne, dotąd zamknięte, przy rozpoczęciu służby Bożej przez czterdziestogodzinne nabożeństwo. Jednocześnie uwiadomił o wszystkim dyrektora głównego w komisji wyznań i oświecenia.

Wiść o odezwie do duchowieństwa z niezwykłą szybkością, właściwą tym czasem nerwowym, rozbiegła się po mieście, wywołując wszędzie niemałą sensację. Czerwono usposobione mieszczaństwo warszawskie przyjęło ją z osłupieniem, gdyż choć oddawna wiedziano, że arcybiskup zamierza otworzyć kościoły, jednakże niedowierzano temu, sądzono, że tego rodzaju ustępstwo okupione będzie jakimś szczególnym aktem łaski ze strony rządu, zwolnieniem tyranii, jaka od chwili objęcia namiestnictwa przez Lüdersa nad krajem się znęcała. Gdy tego nie widziano, a mimo to kościoły miały być otwarte, oburzenie było ogromne i opinia stanowczo oświadczyła się przeciw ks. Felińskiemu. Nawet ludzie spokojni nie mogli się pogodzić z tą myślą, żeby tak ważny akt odbył się bez żadnych rękojmi ze strony rządu i uważali za złe, za błąd nie do darowania, jeżeli nie za coś gorszego, że ks. Feliński takich rękojmi nie zażądał. Wśród Czerwieńców, w Komitecie miejskim Chmielińskiego, a zwłaszcza w Kole, wrzenie dochodziło do ostatnich granic. Na szczęście chłodniejsi, jak Karol Majewski, zdołali przekonać różnych krwiożerczych Maratów domorosłych, że nim coś przedsięwzją, należy się wprzód przekonać o istotnych zamiarach ks. Felińskiego. Uwaga ta wpłynęła uspakajająco na rozgorączkowane głowy i dla wyrozumienia arcybiskupa, dla przekonania się o istotnych jego zamiarach, postanowiono doń wysłać deputacją. Oczywiście rzecz, że na deputata wybrano przedewszystkiem samego Majewskiego, a do pomocy dodano mu studenta akademii medycznej, Eugeniusza Sokulskiego, zwanego Robespierrem z powodu teorii krwawych, jakie wygłaszał. Sokulski miał raczej charakter dozorca Majewskiego, któremu nie bardzo już ufano i podejrzywano go, zupełnie zresztą słusznie, o „białą zarazę”. Prócz tych dwóch panów, do deputacji weszło jeszcze trzech młodych ludzi, których nazwiska są nam nieznane, tak że w ogólnej liczbie pięciu, wyruszyli na ulicę Miodową do pałacu arcybiskupiego. Ks. Feliński w obecności swego kapłana ks. Potockiego, z pewnem łatwo wytlomaczonym zdziwieniem, mimo to nader grzecznie, przyjął tę osobliwszą deputacją młokosów, grających rolę ojców ojczyzny, wysłuchał ich spokojnie, wypytywał o ruch cały, mówił dużo z wyraźną cechą ekstazy mistycznej, o Opatrzności czuwającej i kierującej lo-

sami narodów, ale o zamiarach swoich właściwie nic pewnego nie powiedział. Gdy w opowieści o charakterze ruchu młodzi deputaci wspomnieli o żydach, którzy tak wybitnie w nim zajęli stanowisko, ks. Feliński wygłosił oryginalne, ale na wskroś przejęte mistycyzmem religijnym zdanie. Żydzi, mówił, są przez Boga nasłani do Polski, aby byli „rynsztokiem, odprowadzającym w epoce giełdy, handlu i szwindłów, wszystkie brudy, które czyste, rycerskie i do innych celów przeznaczone ręce polskie, kalać się nie powinny”¹³¹. Tego rodzaju opinia, która pomimo mistyczności swojej o rządach Bożych na ziemi, wyraźnie świadczyła, że ks. Feliński nie jest żydom przyjazny, że i na tym punkcie stoi na wręcz przeciwnym dążnościom narodowym, (jak mówiono), gruncie, nie mogła się podobać deputatom. Gdy wyszli, gdy przyszło zdawać sprawę ze swej misji, postrzegli, że właściwie niczego się nie dowiedzieli, chyba tylko tego, że Feliński z ruchem ręką w rękę nie pójdzie.

To też deputacja, w kołach Czerwieńców, zamiast ich uspokoić dołała oliwy do ognia i wrzenie przeciw „moskiewskiemu biskupowi” wzrastało z każdą chwilą i nakoniec znalazła swój wyraz w czynie, który byłby bardzo brzydkim, gdyby nie nosił cechy głupoty studenckiej. Na rogach ulic ukazały się plakaty, przedstawiające dość niedbale narysowaną karykaturę ks. Felińskiego na koniu, w kurcie i baraniej czapce kozackiej, z kluczami od kościoła w jednej a batem w drugiej ręce. Obok niego pomieszczono dwóch niewymownie szpetnych kozaków, którzy oświecają latarniami drzwi kościoła archikatedralnego św. Jana. Karykaturę tę przysłano także w liście arcybiskupowi, by wiedział, jak się opinia polska zapatruje na jego postęпки.

Niemniejsze niezadowolenie i przykre starcie wywołała sprawa otwarcia kościołów w sferach rządowych, jakkolwiek z całkiem innych przyczyn. Ks. Feliński, uwiadamiając o tem osobiście Lüdersa, żądał przede wszystkim, żeby policja i wojsko nie znajdowało się ani w pobliżu, ani w samym kościele. Twierdził, że przez nieszczęśliwe wypadki październikowe ludność tak jest rozżalona, że nie może ręczyć za jej spokojność w razie gdyby się policja ukazała nietylko w kościele, ale nawet w jego okolicy. Namiestnik bronił się tem, że policja dla zachowania porządku jest potrzebną, że wśród niej i wojska jest wiele katolików, którym niepodobna zakazać wstępu do kościołów; wreszcie napierany stanowczo milczeniem zbył tę kwestyą, nic nie obiecując¹³².

131 Relacje ustne.

132 Prawdzicki, loc. cit. 60, utrzymuje, że Lüders mówił także o rekoncyliacji dwóch kościołów i był jej przeciwny, gdyż byłoby to, miał się odezwać, „uznaniem, że wojsko dopuściło się gwałtu”; że ks. Feliński podrażniony tym oporem, ani myślał ustępować; że tonem widocznego uniesienia rzekł do namiestnika, iż „w sprawach religijnych on jeden wie, co mu czynić należy”, że „od prawa kanonicznego nie odstąpi”, że jeżeli władza

Lecz nie na tem tylko miało się skończyć. Żywy opór napotkał ks. Feliński i wśród duchowieństwa, wśród urzędników własnego konsystorza. Arcybiskup całemu aktowi otworzenia świątyń chciał nadać charakter wyłącznie kościelny; stronnictwo zaś ruchu, nie mogąc zmienić samego postanowienia, dokładać poczęło wszelkich starań, by obrzęd religijny zamienić na manifestacją polityczną. Przy pomocy ówczesnego regensa konsystorza usiłowano poprostu sterroryzować arcybiskupa groźbą rozruchów ulicznych, jeśli, jak mówiono, nie uwzględni wymagań ludu. Do rzędu tych mniemanych wymagań ludu należała przedstawiona arcybiskupowi przez regensa konieczność ogłoszenia w „Kuryerze Warszawskim” i innych gazetach terminu otwarcia i rekonyliacji sprofanowanych kościołów. Ks. Feliński odmówił stanowczo temu żądaniu i dodał, że sprawy kościelne jedynie przez kurendy konsystorskie ogłaszać będzie. Na uwagę zaś regensa, że mieszkańcy Warszawy przyzwyczajeni są do takich obwieszczeń, i że nie uwierzą w dokonaną rekonyliację, jeżeli ta cichaczem się odbędzie, arcybiskup odpowiedział, że spełnia przepis kościoła a nie żądania ulicy, na którą w postępowaniu swoim wcale oglądać się nie będzie. Regens widząc, że na tym punkcie nie otrzyma żadnego ustępstwa, począł gorąco zaklinać arcybiskupa, aby w przemowie, jaką w czasie rekonyliacji ten ostatni miał wygłosić, nie poruszał przynajmniej kwestyi hymnów patriotycznych, gdyż to oburzy tylko wszystkich, skutku zaś żadnego mieć nie będzie. I tu jednak otrzymał odpowiedź ks. Felińskiego, że „nie o popularność mu chodzi, ale o sumienne obowiązków swoich spełnienie, skutki zaś swych usiowań Opatrzności pozostawia”. Stało się więc wedle rozporządzeń arcybiskupa, kurenda poszła do duchowieństwa i ogłoszeń po gazetach nie było¹³³.

mu w tem przeszkodzi, to on „nakaże jeszcze raz śledztwo, śledztwu temu sam obecny będzie” i pewny jest, że „stąd smutne dla rządu wynikną następstwa”; wreszcie wrócił do pierwszego swego żądania o policyi, że jeżeli co do tego odmowną otrzyma odpowiedź, to zatelegrafuje do cesarza, „bo to pozwolenie otrzymał od Niego”. N. Berg (Zapiski II, 230), potwierdzając do pewnego stopnia tę relację, dodaje, że w końcu Lüders zgodzić się musiał na rekonyliację, pod warunkiem, że o tem nie będzie ogłoszone w gazetach. Obie te relacje są błędne. Arcybiskup nie potrzebował się wdawać z namiestnikiem w rozprawę o rekonyliacji, gdyż rzecz ta, jak wiemy, na audyencji u cesarza była zdecydowana i namiestnik o wszystkim uwiadomiony. Co do ogłoszeń w gazetach, rzecz zupełnie inaczej się miała, i autentyczną historją tej sprawy podajemy poniżej w tekście.

133 Rękopism bezimienny. Inny rękopism, tylokrotnie tu cytowany „Żywot ks. S. Z. Felińskiego”, całkiem odmiennie tę sprawę przedstawia. Utrzymuje on, zgodnie z podaniem Prawdzickiego (loc. cit. 58), że arcybiskup, uwiadamiając Komisją wyznań i oświecenia o rekonyliacji, zażądał, ażeby magistratura ta zawiadomiła o tem mieszkańców Warszawy przez pisma publiczne. Gdy jednak Komisya tego nie uczyniła, trzeba było samemu się tem zająć. W tym celu ks. F. wezwał do siebie regensa konsystorza i kazał mu tego rodzaju ogłoszenie do dzienników przygotować. Ale ksiądz Cz. nie spieszył się

Nakoniec dzień 13 lutego nadszedł, dzień chłodny ale pogodny i jasny. Olbrzymie tłumy od świtu nieomal samego dążyły ku ulicy Świętojańskiej, która już o godzinie 7-ej rano była przepełniona. Po mieście przebiegały liczne patrole piesze i konne, wojsko skonsygnowano po koszarach i rozdano mu ostre ładunki.

Na ulicy Świętojańskiej patrole się nie pokazywały, ale natomiast Lüders kazał po domach i sieniach poumieszczać mnóstwo policyantów¹³⁴, których lud poznawał i dobrodusznie palcami sobie wskazywał. Jednakże, w tym licznym zbiegowisku, wśród którego znajdowało się mnóstwo najczernerwieszych agitatorów, różnych Maratów-Szachowskich, Robespierrow-Sokulskich i im podobnych, porządek zachowany był wzorowy i cisza niczem niezakłócona. W tej półciszy rozlegały się tylko szepty głuche. Robiło to wszystko nadzwyczaj smutne wrażenie. Około godziny 9-ej ukazała się karetka arcybiskupia, która z trudnością zdołała się przedostać przez tłum. Patrzano na nią w milczeniu, tu i owdzie ktoś uchylał czapki. Tak zajechał ks. Feliński do zakrystyi od strony ulicy Kanonii, gdzie go oczekiwało licznie zebrane duchowieństwo świeckie i zakonne. Na jego to czele, otoczony kapitułą metropolitalną i akademią duchowną, w długiej procesyi wyruszył ku wielkim drzwiom kościoła. Sam arcybiskup, ubrany w purpurę i infułę, szedł z głową kornie schyloną, z ascetycznym i rozmarzonym wyrazem twarzy; posuwano się w głębokim milczeniu, co niezwykłością swoją uderzało umysły ludu i nastrajało go posępnie. Gdy się procesya nakoniec zbliżyła do wielkich drzwi katedry, ks. Feliński

z tem wcale, owszem „zrobił wielkie oczy” i oświadczył w końcu arcybiskupowi, że tak ważnego aktu, jakim będzie otwarcie kościołów, nie można dokonać bez przejrzenia akt konsystorskich, a raczej śledztwa przeprowadzonego w tej sprawie. Feliński, ciągle będąc w stanie rozdrażnienia, zerwał się i dość szorstko odrzekł: „...a cóż mię to obchodzi!” i jeszcze raz kazał mu napisać potrzebne ogłoszenie do „Kuryera Warsz.,” a do Kraszewskiego jako redaktora „Gazety Polskiej”, oświadczył, że sam osobiście pojedzie. Przy pomocy Rzewuskiego, ksiądz Cz. zdołał arcybiskupowi wytłumaczyć, że taka wizyta jest całkiem niepotrzebna, że będzie ona z ujmą godności arcybiskupiej (jak gdyby odwiedzi-ny znakomitego pisarza polskiego mogły komukolwiek na świecie ujmę przynieść). Feliński uległ tym namowom, ogłoszenia przygotowano i posłano, ale cenzura wydrukować ich nie pozwoliła. Wobec tego arcybiskup kazał jakoby ustnie powiadomić proboszczów i wikaryuszów, aby ci wszelkimi możliwymi sposobami komunikowali parafianom swoim odezwę jego o rekonyliacji kościołów.

Decydować nie będziemy, która z tych relacji jest prawdziwą, my poszliśmy za opowieścią „Rękopismu bezimiennego”, jako pochodzącą ze źródła najautentyczniejszego. Dodać tu trzeba, że według Prawdzickiego (62) Lüders trzykrotnie przysyłał bliżej nieokreślonych jenerałów, którzy starali się wszelkimi siłami odwieść arcybiskupa od aktu rekonyliacji. Wiadomość tę uważamy za bezwarunkowo kłamliwą.

134 N. Berg II, 230. Autor zaczerpnął tę relacją, o której zresztą wszystkie źródła polskie mówią, z rękopiśmiennego dziennika niejakiego Kriwoszeina, pułkownika rosyjskiego.

zaintonował psalm pokutny, który podchwycony przez liczny kler, ponurością swego tonu, w tem ogromnem zbiegowisku ludu powtarzany echem przez odwieczne, średniowieczne domy ulicy, wydobywał z niej jęk jakiś okrutny. Potem cała procesya obesza kościół zewnątrz dokoła. Gdy wrócono do drzwi głównych, arcybiskup uderzył w nie trzykroć pastorałem, podwoje się rozwarły i duchowieństwo, a za niem lud wszedł do świątyni od trzech przeszło miesięcy zamkniętej.

Spostrzeżono, że wsunęło się także do kościoła kilkudziesięciu policyan-tów z komisarzami i oberpolicmajstrem Piłsudzkim na czele, wbrew domaganiom się Felińskiego. Ale nie wiele zwracano na to uwagi. Po wszystkich zebranych powiał duch uroczysty i smutny, gdy spostrzeżono, że ks. Feliński wszedłszy do prezbiterium padł krzyżem i leżał tak blisko trzy kwadranse, aż ukończono śpiewanie grobowej litanii i psalmów pokutnych. Dalsza ceremonia polegała na trzykrotnej procesyi po wszystkich nawach kościoła, które arcybiskup kropił wodą święconą, pierwszy raz ściany, drugi raz ziemię, trzeci raz wiernych. To właśnie stanowiło akt rekonyliacji. Tłumy ludu tymczasem napełniały świątynię, zwłaszcza kaplicę Matki Boskiej i cudownego Pana Jezusa norymberskiego, i z kaplic tych, w chwilowej ciszy, jaka teraz w starym gotyckim gmachu zapanowała, rozlegały się westchnienia żałośliwe, jęki, tłumione łkania...

Wśród tego wszystkiego, arcybiskup w purpurze swego metropolitalnego majestatu, nagle wstąpił na ambonę, co niemałe wywołało zdziwienie, a jeszcze większą oczywiście ciekawość. Była taka cisza, że zdawało się, iż tylko głuchy oddech kilku tysięcy ludzi napełnia żebrowane gotyckie mury kościoła. Ks. Feliński głosem silnie wzruszonym, drżącym widocznie nutą nieopisanego rozżalenia, wyrzekł staropolskie: „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, na które z wielu piersi rozległo się przeciągłe: „na wieki wieków”. Po wstępie, wypowiedzianym nieco pośpiesznie, wyrzekł między innymi: „gdyby od nas żądano, abyśmy przestali kochać naszą ojczyznę, albo żebyśmy przestali modlić się o jej pomyślność, sambym was zaklinał, abyście nie słuchali rządu, gdyż wołałbym, aby matki nasze postradały płodność, niżby miały dać życie pokoleniu na losy ojczyzny nieczułem”¹³⁵.

Słowa te same przez się bardzo patetyczne i w swym patosie bardzo piękne, wypowiedziane z błyszczącymi łzami w oczach i głosem wzruszonym, dźwięczącym żalem i bólem, zrobiły takie wrażenie w tych czasach nerwów,

135 Tekst tego przemówienia ogłoszony w ówczesnych dziennikach jest całkiem inny, ale Lüders, niezadowolony z mowy, prawdziwego jej brzmienia wydrukować nie dozwolił. Nasz tekst, przytoczony powyżej, zaczerpnięty z „Rękopismu bezimiennego” jest autentyczny.

nastrojonych do najwyższego tonu, że cały kościół głośno łkać począł, kobiety z krzykiem się zanosily od płaczu. Scena była nadzwyczaj rzewna i piękna niezaprzeczenie, bo te wszystkie serca targała, te wszystkie łzy wyciskała miłość ku tej Polsce tak ukochanej, Polsce tak nieszczęśliwej i tak udręczonej, jak mało przykładów podobnych dzieje świata dają. „Uspokójcie się i nie płaczcie, rzekł po chwili arcybiskup sam do głębi wzruszony, ja was zapewniam, że żadna władza nie może nam zabronić i nie zabroni tej modlitwy, która się poczęła w sercach naszych i do której tak wielką przywiązujemy wagę. Ale kiedy wymagają dziś od nas jedynie zaniechania niektórych śpiewów, nie należących do liturgii kościelnej, w zamian zaś ofiarują nieocenione dla narodu korzyści, to czyż ta sama miłość ojczyzny nie nakazuje nam złożenia ofiary z tych bezowocnych już dziś manifestacyi? Powiecie może, że rząd nas oszuka i nie dotrzyma przyrzeczeń? Co do mnie ufam słowu monarchy i wam podobną ufność doradzam; lecz przedewszystkiem ufam rządowi Opatrzności, która pierwej czy później winnych zawsze osiągnie; nie bądźmyż przeto winnymi!” Mowę tę swoją arcybiskup zakończył słowy następującymi: „usłuchajcie najmilsi tego pierwszego do was pasterskiego głosu mego, a wierząc, że porówno pragnę dobra kraju naszego i kościoła świętego, ufajcie mi, a kto mi ufa i przyrzeka pójść za radą moją, niechaj przykłąknie, a ja udzielię mu moje pasterskie błogosławieństwo”. Feliński wymówiwszy te słowa spojrział po słuchaczach, ale nie wiele osób ukłąkło, zwłaszcza że gdzieś, z pośrodku tłumu rozległ się głos donośny: „niech nikt nie kłąka!”¹³⁶ Zaraz też tłumnie i z hałasem poczęto opuszczać kościół, a arcybiskup z duszą, zapewne do głębi rozdartą, wznosił błagalnie dłonie i błogosławił wychodzących. Po skończeniu mowy ks. Rzewuski odprawił mszę, lecz na niej niewiele osób było i przeważnie ze sfer najniższych.

Pierwsze więc wystąpienie publiczne ks. Felińskiego było całkowicie chybione i jak najgorsze wywarło wrażenie. Wśród ruchliwej sfery mieszczańskiej i rzemieślniczej głośno wygadywano na metropolitę i roztkliwiając się sztucznie, wołano: „niema Fijałkowskiego, niema Białobrzeskiego, arcybiskup stoi gdzieindziej, a naród z duchowieństwem gdzie indziej”. Tę samą myśl podniósł w kilka dni potem „Czas” krakowski i, opisując otwarcie kościołów, dodawał: „arcybiskup mógł się przekonać, że stoi na innym od narodu stanowisku”. Mnóstwo karykatur¹³⁷, plakat, odezw ponaklemano na murach pałacu arcybiskupiego, a nazajutrz, w piątek, rozrzucono po całym mieście drukowany świstek, wystosowany do Polek, w którym jakiś patryota pokątny oświadczał, że nie dla nas otwarte są kościoły,

136 „Żywot ks. S. Z. Felińskiego”, rękopism.

137 Przysłano np. księdzu Felińskiemu obrazek z wyobrażeniem z jednej strony szubienicy, z drugiej aureoli, z podpisem: „wybieraj!”

„w których czcić cara narównu z Bogiem wczoraj poseł moskiewski zalecał”, i zapewniał, że „trochę jeszcze cierpliwości, a przyjdzie czas, że w kościołach zabrzmie pieśń miła Bogu i narodowi”¹³⁸. Po mieście obiegała niezliczona ilość fałszywych pogłosek, przekręcano kazanie ks. Felińskiego, zwłaszcza zdanie końcowe. Twierdzono, że miał mówić: „ufaj ludu swemu wielkiemu monarsze, który cię otacza swą opieką. Uspokój się, a ktokolwiek z was czuje miłość dla swego króla i pana, niech klęknie, a pobłogosławię go”. W owych czasach powszechnego podniecenia uczuć i rozdrażnienia, tego rodzaju plotki, przyjmowane z dobrą wiarą, zwłaszcza przez ludzi niewykształconych, przynosiły skutki jak najgorsze. Nie wtajemniczeni w stan rzeczy, nieświadomi całego przebiegu sprawy otwarcia kościołów, mieli za złe Felińskiemu, że tego ważnego aktu dokonał potajemnie, bez uprzedzenia ogółu wiernych, bez ogłoszeń po pismach publicznych.

Zarzuty te były bardzo bolesne dla arcybiskupa, jako pochodzące od swoich. Podawano bowiem w wątpliwość nie już tylko jego sumienie kapłańskie, ale i sumienie polskie nawet, szkalowano go bezlitośnie, obsypywano oszczerstwami. Prasa rewolucyjna tajna, dotąd dość wstrzemięźliwa, teraz poczęła się wyrażać z niechęcią, acz w formie dość przyzwoitej, o otwarciu kościołów. „Strażnica”, ciągle jeszcze zajmująca stanowisko najpoważniejsze wśród tego dziennikarstwa osobliwszego, pisała¹³⁹: „przykrą jest rzeczą, że opinia o szlachetności i łaskawości cara, z ust ich (popleczników rządowych) przeszła w usta niektórych naszych przyjaciół, że ją ogłaszają z ambony ci, którzy wiedzieć przecież powinni, jaką ona ma rzeczywiście wartość. Nie! naród nie wierzy w szlachetne uczucia cara”. „Ks. Feliński (z boleścią to mówimy), poszedł inną niż ks. Fijałkowski i Białobrzeski drogą; chwycił się zasady uległości, mającej rozbroić zawziętość nieprzyjaciół i odemknąć wrota do wspaniałych łask cara! Otworzył kościoły, wstrzymał śpiewy i cóż zyskał? Ścieśnienie i niewola z policją, jak wprzód, tamują i przeszkadzają modlitwie po kościołach”. Drugie pismo tajne „Pobudka”, niemniej niechętnie acz krótko o fakcie tym się wyrażało¹⁴⁰: „obóz na ulicach, kościoły zamienione w koszary milicyi, w placówkę szpiegów i policyantów; w takich kościołach Duch Boży mieszkać nie może, Chrystus ucieka z pośród murów, które dziś z woli cara stały się mieszkaniem fałszu i zdrady”. Nakoniec trzecie tego rodzaju pismo, którego numer pierwszy właśnie w tej porze się ukazał, p. t. „Prawdziwy patriota”¹⁴¹,

138 Odezwę tę, jako nigdzie niedrukowaną i bardzo rzadką, podajemy ze współczesnego druku w zbiorze dokumentów pod Nr. 3.

139 Nr. 5 z d. 15 marca 1862 r.

140 Nr. 3 z d. 6 marca 1862 r.

141 Nr. 1 z d. 27 marca z napisem: „Kantor główny w Warszawie w drukarni Niezależnej. Cena egzemplarza gr. 10”. Mała kartka m 160, niedbale drukowana po obu stronach.

wołało, że otwarcie przez ks. Felińskiego kościołów w obecnym położeniu, z pominięciem warunków przez dostojnego ks. Białobrzeskiego postawionych, jest ustępstwem tem niebezpieczniejszem, że grozi zerwaniem jedności narodowej i może wywołać inne jeszcze ważniejsze ustępstwa”.

Ale jeżeli prasa tajna w ten sposób odzywała się o akcie otwarcia kościołów, to było bardzo naturalne i inaczej być nie mogło; i wobec powszechnej opinii słowa jej nie zaważyły ani mniej, ani więcej na szali popularności nowego arcybiskupa. Odezwanie się atoli urzędowego „Dziennika powszechnego”, w chwili tak drażliwej i przesiąkniętej rozgorczeniem ogólnem, było prawdziwą niedźwiedzią przysługą dla ks. Felińskiego. „Dziennik”, dając opis¹⁴² ceremoniału otwarcia kościołów, skreślony stylem ckliwo-sentymentalnym i urzędownie nieudolnym, wołał: „rzewne te obrządkie, dopełnione w duchu pokory i chrześcijańskiego namaszczenia, wielkie na obecnych sprawiły wrażenie, czego dowodem była cicha modlitwa po wstąpieniu w progi świątyni, przeplatana łzami i poważnym śpiewem kapłanów”. Donosząc następnie o nakazanem przez arcybiskupa czterdziestogodzinnem nabożeństwie we wszystkich kościołach warszawskich, w tymże samym czułościowym tonie pisał, że nabożeństwo to arcybiskup odprawiać polecił „tak dla uproszenia sobie błogosławieństwa Bożego w dźwiganiu trudnych obowiązków pasterstwa ewangelicznego, jako też i dla dania sposobności wiernemu ludowi do wynagrodzenia tej długiej przerwy bolesnej, która mu nie dozwalała zaspakajać swych potrzeb duchownych i czerpać w tej drodze żywota zasilek ze źródła łask sakramentalnych”. Ogromna większość czytając te słowa sądziła, że wyszły one jeżeli nie z pod pióra samego ks. Felińskiego, to przynajmniej za jego wiedzą i aprobatą, znajdowała w nich powód do nowej niechęci ku arcybiskupowi, do nowych oszczerstw i potępień.

Lüders, zdaje się, miał niezbyt dokładne wiadomości o tem, co zaszło w kościele św. Jana, gdyż w depeszy, wysłanej do cesarza tego samego dnia, pisał, że „po ukończeniu nabożeństwa arcybiskup wygłosił naukę, zgodną ze wskazówkami, danymi przez Waszą cesarską Mość.

Wszystko odbyło się przyzwoicie i spokojnie, przy bardzo licznej zgromadzeniu ludu”¹⁴³. Feliński ze swej strony, jakeśmy to wyżej wspomnieli, nakazał odbywać nabożeństwo czterdziestogodzinne we wszystkich kościołach, które tym sposobem cały dzień były otwarte, ale po większej części puste¹⁴⁴.

142 Nr. 35 z r. 1862.

143 Depesza z d. 1/13 lutego: „po skonczaniu służenia, archiepiskop skazał pouczenie w smyle nastawienia, daunawo Waszim Wielicestwom. Wsio proizoszło czynno i spokojno, pri mnogoczislennom sobranii naroda”.

144 „Żywot ks. S. Z. Felińskiego”.

Prócz dewotek, żebraczek, kobiet ze sfery ludowej, nikt do nich nie zaglądał, co już nosiło wyraźny charakter protestu przeciw aktowi wczorajszemu. Sam arcybiskup zwiedzał kolejno wszystkie kościoły, wszędzie się modlił, wszędzie po drodze witał zebranych staropolskiem: „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, na co mu półgębkiem odpowiadano. Pielgrzymka ta po kościołach znów zła wywarła wrażenie wskutek tego, że gdziekolwiek arcybiskup się ukazał, wszędzie pojawiała się tłumnie policja, kręciła się koło jego karety, jak gdyby strzegła go przed jakimś niewidzialnym niebezpieczeństwem i salutowała go po wojskowemu¹⁴⁵. Tłum, motłoch szary, przepelniający każde wielkie miasto, sądzący wszystko z pozoru, widział w tem zgodność arcybiskupa z rządem i nieufność jego do ludu, którego miał być pasterzem duchownym.

Na szczęście w tych dniach ciężkiego utrapienia i niepowodzeń, jakie otaczały ks. Felińskiego, zdarzyła mu się sposobność wygłoszenia mowy czysto politycznej, publicznej niejako obrony przeciw oszczerstwu i posądzeniom, jakie na niego rzucono. Odwiedzając w dniu 15 lutego, a więc w dwa dni po otwarciu kościołów, szpitale i ochronki, zajechał nakoniec do Towarzystwa Dobroczyńności. Tutaj powitał go prezes Rady opiekuńczej, Eugeniusz ks. Lubomirski, i w mowie bardzo zręcznie zbudowanej, dał mu poznać, że wszystkich oczy są zwrócone na niego, że wszyscy wiele oczekują i wiele po nim się spodziewają, a głos narodu pragnie w nim mieć ojca.

Na mowę tę, pełną aluzji do ówczesnego położenia, arcybiskup odpowiedział naprzód wyrazami radości, że w tak pożądanym stanie zastał wszystkie zakłady dobroczynne w Warszawie, wreszcie wyrzekł, żeby z sądem o nim samym wstrzymano się do czasu, dopóki nie będzie miał sposobności objawienia swych uczuć, dopóki nie przekonają się o jego sposobie myślenia, i o najczystszych jego zamiarach. „Nieraz pozornie zdawać się będzie mogło, ciągnął dalej, że niejednakowo z wami patrzę na wiele rzeczy wzajemnie nas obchodzących, nie potępiajcie mnie za to, bo was upewniam, że równie z wami kraj mój kocham serdecznie, i życzenia moje dla ojczyzny naszej są równie gorące jak wasze. Zdanie moje i moje zapatrywanie się na stan nasz z otwartością wypowiem, i zawsze stać będę po stronie sprawiedliwości, a cokolwiek nastąpi, wierzajcie mi, dobre czy też złe losy kraju naszego, dzielić je z wami będę zarówno, a jakiegokolwiek byłyby skutki różniącego się działania, ja nigdy od ogółu odłączać się nie będę i zawsze będę trzymał stronę narodu, bo tam, gdzie owczarnia, zawsze pozostać musi i pasterz. Dzisiaj jest taka moja polityczna wiara, ażebyśmy zbyt wielkimi wymaganiami nie pogorszyli czasem położenia naszego, a więc wypada nam z drogi legalnej nie schodzić, gdyż to

145 Prawdzicki, loc. cit. 75.

jest jedyny na teraz środek, który nas do celu naszego doprowadzić może, to jest jedyna droga, po której idąc, możemy być sędziami tych, którzy nas dzisiaj sądzą”¹⁴⁶.

Mowa ta, na wskroś polityczna, w swem zakończeniu zdawała się zdradzać jakąś myśl Possewinowską owładnięcia Rosyą, stania się kiedyś „sędziami tych, którzy nas dzisiaj sądzą”, wywarła bardzo dobre w mieście wrażenie. W sferach rządowych zato nie podobała się zupełnie i różni Kryżanowscy i Kruzensterny głośno wołali, nie bez pewnej zresztą słuszności, że zawiera ona mnóstwo ukrytych myśli, że w osobie ks. Felińskiego zyskała sobie Rosya nowego Wallenroda, który pragnie „jak Samson jednym wstrząśnięciem kolumny zburzyć gmach cały i runąć pod gmachem”.

Że w tej duszy rozbolełej od cierpień narodowych, wykołysanej na romantycznych egzasperacjach poezji polskiej, pogrążonej w mistycyzmie religijnym, chorej nerwową chorobą epoki i narodu, myśli takie mogły się rodzić i plenić, zaprzeczyć nie można, ale historia zatrzymać się winna wobec tajników serca ludzkiego...

Ale to dobre wrażenie, jakie wywarła mowa ks. Felińskiego, zadowolenie wewnętrzne, jakiego doznawać musiał, że mógł publicznie cześć swoją polską obronić, zatarło się jeszcze tego samego dnia. Otrzymał bowiem przysłany mu przez umyślnego list, zatytułowany szumnie „Słowo narodu polskiego do ks. Szczęsnego Zygmunta Felińskiego”¹⁴⁷. Niegodny ten paszkwil, na inną bowiem nazwę nie zasługuje, zredagowany w tonie kaznodziejskim, niewątpliwie wyszedł z pod pióra księżego (jak się zdaje ks. Karola Mikoszewskiego, wikaryusza przy kościele św. Aleksandra w Warszawie), oskarża zaraz z początku Felińskiego, że w przemowie do przedstawiającego mu się duchowieństwa i do ludzi przy otwarciu kościołów wyraźnie dał poznać swój plan, „właściwy wszystkim sługom carskiego nad nami ucisku”, i że plan ten pobudza „lud polski” do protestacyi.

„Czy olśniony wysoką godnością, czy omamiony czczemi i bezzasadnemi obietnicami, czy nie zbadawszy dobrze wielkości zadania, leżącego w osobie pierwszego księcia Polski podczas interregnum, (woła autor paszkwilu w tonie patetycznym epoki) rzucić zdajesz się na stronę przeciwną godnych i uwiel-

146 Mowę tę czytać można w całości u Prawdzickiego loc. cit. 76.

147 Prawdzicki, loc. cit. 102, utrzymuje, że paszkwil ten odebrał ks. Feliński d. 5 marca, po skończeniu nabożeństwa pasyjnego. Relacji tej zaprzecza najprzód napis, umieszczony na końcu „Słowa narodu polskiego”, że „pismo to wręczone zostało arcybiskupowi w d. 15 lutego, t. j. w przeddzień uroczystego ingresu do kościoła św. Jana”; następnie, jak to zapewnia Giller, Hist. powstania II, 166, przesłał je Felińskiemu urzędnik Aleksander Zamojski, który będąc aresztowanym w d. 2 marca, w trzy dni potem nie mógł rozsyłać listów po mieście.

bianych od narodu poprzedników twoich, i ze zgubą własną, ze zwicnięciem wiary ojców naszych, ze zniweczeniem prac krwawych, łzami okupionych, przez naród podjętych, nierozważnie stajesz się narzędziem oszukaństwa, dlatego tylko, że sam jesteś oszukanym". Autor paszkwilu jest przekonany, że pismo to znane będzie całej Europie. W odezwie tej najważniejszym jest wyraźne wypowiedzenie, na czym właściwie stronnictwo Czerwonych w kraju opierało swe nadzieje, powołując ten kraj do rychłe jako mającego wybuchnąć powstania. Pod tym względem „Słowo” ma znaczenie dokumentu, gdyż nigdzie jeszcze Czerwieńcy tak otwarcie i szczerze nie ujawnili swej polityki fantastycznej, swych marzeń niepraktycznych i lekkomyślności niesłychanej. Twierdzą oni tedy, że zbliża się już niechybny upadek jeżeli nie krajów Austrii i Rosyi, „to przynajmniej ich rządów kłamstwa i ucisku”, że „na gruzach wielkiej potęgi władców wznosi się budowa wolności i rozwoju dobra narodowego”. Mówiąc nieustannie i dużo o jakimś „świętem posłannictwie Polski względem świata katolickiego”, twierdzą, że Rosya „stoi na wulkanie narodowych niechęci”, i na te rzekome wewnętrzne niechęci różnych ludów, wchodzących w skład caratu, poczynają oni liczyć bardzo wiele. Nie pierwszy to przykład w historii, gdy rewolucyoniści nasi poczęli rachować na rewolucyonistów moskiewskich i z tego przymusowego, nieprawego związku spodziewali się zdrowego potomstwa; czas okazał, że związek ten był zawsze niepłodnym. Ale tego doświadczenia i tej nauki nie mieli ówczcześni rewolucyoniści warszawscy, nic w ogromnej swej większości nie umiemy, i przekonani byli, że znajdą pomoc dla swych polskich aspiracyi „w łonie samej Rosyi”, że znajdą ją nakoniec na Zachodzie i wskutek tego, pewni tryumfu i zwycięstwa, nie chcą żadnych kompromisów z Rosyą i nic ich nie skłoni do układów, „żadne przebiegi i kłamstwa, i chociażby najprzewielebniejszy arcybiskup jawnie nam dał poznać swoje skłonności i chęci panslawistyczne i przychyłność ku nowo nadać się mającym z konceptu cara i Wielopolskiego instytucjom, szerszy zakres rozwoju mającym, ominiemy cię jako błędzącego, a kosztem ofiar najświętszych sercu naszemu, do groźnej potęgi dojść musimy. Każdy zaś w pośrodku nas stojący, a nie oddany duszą i ciałem sprawie naszej, lub one czy to przez błąd, słabość, lub poniżenie inaczej tłumaczący, uważany będzie za przeszkodę, którą usunąć potrzeba. Kto nie jest z nami, ten wrogiem naszym!”

Za takiego wroga paszkwil zdaje się uważać i Felińskiego; owszem, wpadając w zwykłą stronnictwom skrajnym ostateczność, z godną surowej nagany lekkomyślnością, miesza takich dobrze zasłużonych krajowi obywateli, jak: Karnicki i Enoch, z niecną zgają łotrów i karyerowiczów, jak: Muchanow, Płatonow, Leichte lub Trepow; wychwala wysoko Fijałkowskiego i w tonie

pełnym jadowitej złośliwości powiada, że nigdy „nie potrzebował on listów rekomendacyjnych z Petersburga do oprawców, ani poniżył swojej godności pierwszego księżęcia oddawaniem wizyt gubernatorom czy dygnitarzom carskim”, a co, jak wiemy, fałszywie poinformowana opinia publiczna przypisywała ks. Felińskiemu. W rezultacie „Słowo” surowo ostrzega arcybiskupa, aby nie ufał obietnicom cesarskim, którym zdaje się wierzyć mocno i na nich nadzieje swe budować. „A czemuż, pyta, śledztwa sprofanowanych kościołów nie uznano, czemu przy otwarciu nie pozwolono napisać, że kościoły te zostały rekuncyliowane, ale tylko otworzone? Czemu nie przyszło ci na myśl zapytać się, gdzie lud, który był świadkiem zbrodni w kościołach popełnionej, czy sam nie przychodzi na świadectwo, czy go policja i kozactwo po ulicach wstrzymuje?” Ostrzega dalej i słusznie arcybiskupa, że rząd umyślnie stara się go skompromitować w oczach narodu, i opowiada, z pewnem oczywiście umyślnie fałszywym oświeceniem, fakta następujące: „niewiadomo zapewne Waszej Ekscelencyi, że kiedyś miał przybyć do Warszawy pociągiem o godzinie 5-ej, dobroduszny lud gromadnie chciał cię powitać, chciał w niecierpliwości i znękanii z twarzy twej zaczerpnąć nową otuchę, ale nie dopuścili tego oprawcy i telegram wysłany został, abys się powstrzymał i przybył dopiero o godzinie 11-ej; że kiedyś już do Warszawy dojeżdżał, spotkać cię chcących z rozkazu Kryżanowskiego i Piłsudzkiego rozbijano i rozganiano batami, innych tłumnie w sali zebranych na klucz zamknięto podstępem, a chłopczynę, co okrzyk radości wydał, pokaleczonego do szpitala zaniesiono; że kiedyś jechał od kolei do pałacu, powóz twój oddział kozaków eskortował; że przed pałacem twoim, czego nigdy nie było, stawa kilku policyantów; po ulicy Miodowej wyłączanie, przechodzą tłumnie zbrojne patrole; że od Piłsudzkiego wyszedł onegdaj rozkaz, aby komisarze policyjni pod najsurowszą odpowiedzialnością składali raporta kiedy i gdzie się oddalasz, kto do pałacu twego przybywa. Czyż z tego pojąć nie możesz arcybiskupa i ojczyste, że carscy śludzy, którymi pogardzić nie umiałeś, chcą cię z narodem poróżnić, chcą ci pokazać, że lud cię uczcić nie potrafi, że nawet cię znieważyc ośmieliłby się, gdyby nie ich obrona”.

Wreszcie „Słowo” takie zarzuty czyni ks. Felińskiemu: „otworzyłeś arcybiskupa i ojczyste, kościoły bez uznania krzywd narodowi (tak!) popełnionych, z naganą prawie dla tych, co one pozamykali; dalej podasz rękę przyjazną ciemiężcom narodu, którzy cię wokoło otaczają, a sprawa nasza na tem ucierpi i dobro kościoła poszwankuje”. W końcu, w zwykłym tonie epoki tak się odzywa: „najprzewielebniejszy arcybiskupa i ojczyste! oto przed tobą otworem stoją dwie drogi: jedna, jak druga, ostrym nabita cierniem; na szczycie pierwszej jest święta wiara nasza, a złana ona jest krwią męczenników, kapłanów i wygnańców naszych; na szczycie drugiej jest kłamana łaska carska i poniżenie.

Pośredniej zaś, której wyszukać pragniesz dyplomatycznymi zwrotami, wcale niema i nie będzie; wybieraj tę, która ci prawdziwie pożyteczną i z obowiązkami pasterskimi zgodną być się zdaje”. Wyraża dalej nadzieję, że list pasterski postanowienie Felińskiego objawi, że listu tego oczekują z niecierpliwością, „a radziłyśmy go widzieć pisany nie pod natchnieniem policyjnych urzędników, ale prawych i światłych kapłanów naszych”. Paszkwil kończy się tak: „niech wyziębione serce rozgrzeje się miłością ojczyzny, miłością ludu, z którego powstałaś, otrząśnij się z idei ułudnych z Petersburga przywiezionych, a ręczymy sumieniem narodu, że dojdiesz do tej czci i uwielbienia, co i twój najprzewielebniejszy arcybiskup przed nami”¹⁴⁸.

Ks. Feliński szkaradny ten paszkwil odebrał w obecności Rzewuskiego, który, widząc list tajemniczy, wyrzekł, że jest to zapewne „cierń bolesny do krwawego wieńca, który Pan Bóg zgotował dla Waszej Ekscelencyi” i głośno list odczytał. Tym razem gorzkie i, cokolwiekbyśmy powiedzieli, niezasłużone zarzuty, dotkliwie uczył Feliński; w uniesieniu niezwykłym u tej duszy cichej i pokornej, oburzył się: „a więc mną chcą rządzić, a więc mnie chcą wskazywać drogę!” wołał, i uskarżał się, że droga ta może doprowadzić tę ukochaną ojczyznę polską do zguby. Narzekał, że chcą, by był „bańką mydlaną, którą oni (czerwoni) jak malutkie dzieci bawić się będą, radując się gdy im zajaśnieje kolorami tęczy, smucąc się gdy pęknie i zniknie”; twierdził w poczuciu szczerej i rozumnej miłości kraju, że on tego nie uczyni, że choć nie potępia ich życzeń, ku którym go może serce ciągnie, ale rozsądek, wiara w powolne, lecz na mocnej podstawie oparte reformy, nie pozwalają mu rzucić się, „w tę rozpaczliwą grę namiętności, w grę wygórowanej, olbrzymiej, ale źle zrozumianej miłości ojczyzny!”¹⁴⁹. Niestety! nie wiedział w silnem zaufaniu w siebie, że i jego „ta rozpaczliwa gra namiętności” kiedyś porwie, uniesie jak liść zeschnięty i rzuci w puste przestrzenie wygnania, gdzie, grzebiąc wszystkie nadzieje i wszystkie miłości, zmarnuje to życie, które był gotów ponieść w ofierze dla ojczyzny!

Nazajutrz, d. 16 lutego, w niedzielę, miał się odbyć solenny ingres nowego arcybiskupa do katedry świętojańskiej. Ogromne tłumy ludu zbiegły się na tę uroczystość, przepełniły sobą starą świątynię.

Wielu, zwłaszcza ze sfer inteligentniejszych, z młodzieży zarażonej jadem rewolucji czerwonej, szło na tę ceremonię kościelną nie z pobudek nabożnych, ale dlatego, że według wieści, ks. Feliński będzie miał mowę. Wiedzano już powszechnie o otrzymaniu przezeń „Słowa narodu polskiego”, i ciekawi

148 „Słowo narodu polskiego”, jakkolwiek dość często spotykane w zbiorach pism z tej epoki, jednakże nieprzedrukowane nigdzie, podajemy w całości w zbiorze dokumentów, na końcu tego tomu pomieszczonych, pod Nr. 4.

149 Prawdzicki, loc. cit. 102.

byli dowiedzieć się, jakie nań wrażenie paszkwil ten wywarł i co powie¹⁵⁰. Ceremonia rozpoczęła się, jak zwykle, od przysięgi nowego arcybiskupa, złożonej w ręce sufragana Platera, poczem ks. Rzewuski wstąpił na ambonę, odczytał cztery bulle papieskie i wystawił obraz cnót i charakteru Felińskiego. Mowa była gorąco wypowiedziana i miała w sobie ustępy bardzo patetyczne, bardzo nawet poetyczne, wysuwające się poza ramy pospolitej kaznodziejskiej elokwencji. „Słuchaj go cały ludu polski, wołał mówca, bo on twój prawy arcy-pasterz, bo on twoja duchowna władza, on obrona twoja, on pociecha twoja i radość twoja, on prawy syn kościoła św. i matki naszej ojczyzny, on prawy następca twoich biskupów, udarowany tą arcybiskupią godnością od Ojca św. Piusa IX, zasiadającego na nieśmiertelnym tronie papieżów”. Potem sam Feliński odprawiać począł mszę św. i po *credo*, z wzniesienia urządzonego w bliskości ołtarza, przemówił z wyraźnym drżeniem w głosie, od silnego zapewne wzruszenia, jakie nim owładło. Feliński nigdy nie był mówcą; poeta w czynach i myślach, nie był poetą słowa, i wszelkie jego utwory noszą na sobie cechę ciężkiej i mozolnej pracy. Lecz tym razem czy uroczystość chwili, a może wielki ból serca zranionego dotkliwie, włożyły mu w usta słowa naprawdę wzruszające i naprawdę piękne. Stanowisko swoje, mówił, uważa za walkę. „Nie przeto, bym koniecznie życie swoje spodziewał się położyć w obronie powierzonej mi trzody, lecz że walka musi być moim udziałem, bo nie sami męczennicy, lecz i wyznawcy też walczyć muszą, a jakże często bywa, że wyznawcy potrzeba więcej męstwa niż męczennikowi, bo temu dosyć chwili odwagi, gdy tamten nieraz musi przez długie lata bój zacięty prowadzić”.

Pocieszał się jednak, że kościół, któremu „żadne burze i walki nie zaszkodzą”, daje mu swej wewnętrznej mocy, w swej organizacji taki puklerz i taką siłę, że obawiać się niczego nie potrzebuje. „Dopóki się jego trzymamy, mówił, jesteśmy bezpieczni, bo na wszelkie niesłuszne wymagania władzy, możemy śmiało powiedzieć: nie możemy, bo nam prawo nie pozwala”. Twierdził, że „ofiara daje okup i zbawia. Od ofiary was bracia kochani nie powstrzymuję, ale czyńcie ją w czystości serca, cierpiąc dla sprawiedliwości z zaparciem siebie, z poddaniem się woli Bożej, ja sam, da Bóg, jak przyjdzie godzina, od niej się nie usunę”. Wreszcie zakończył temi słowy: „nie wierzcie podszeptom fałszywym, które w was nieufność wzbudzić usiłują, ufajcie mi, przecie nie napróżno łaska Ducha św. zlaną jest na mnie. Módlcie się za mnie, aby mi Bóg dodał siły do wytrwania i zniesienia wszystkich przeciwności mężnie, jak tego pragnę. Polecam się sercom waszym, modlitwom waszym, słuchajcie głosu mego i idźcie za mną, a da Bóg, że ani pasterz od owiec, ani owce od pasterza nie będą odłączone na wieki”.

150 „Żywot ks. Szczęsnego Zygmunta Felińskiego”. Rękopism.

Gdy te słowa wygłaszał i gdy rękę podniósł, by błogosławieństwo dać słuchaczom, znać było na twarzy jego głębokie wzruszenie, które nie pozostało bez wrażenia na obecnych. Po ukończeniu ceremonii i nabożeństwa, gdy się znalazł w zakrystyi, zastał tam kilkunastu wybitniejszych obywateli miasta z p. Andrzejem Zamoyskim na czele, którzy przybyli złożyć arcybiskupowi swoje uszanowanie. Powitał ich radośnie i może śnił w ową niedzielę, że zdoła opanować rewolucyą, stłumić tlejący pożar i wichrom, dmącym z wzrastającą siłą, nadać inny kierunek. Był owego dnia wesół bardzo, rozmarzony jeszcze więcej, rozkołysany jakoś żałośliwie, ale z dobrotliwym uśmiechem na ustach, z nadzieją, że może przyszłość będzie jaśniejsza.

Jakoż bez zaprzeczenia w tej chwili, na chmurnem ciągle niebie polskiem, rozpalanem od czasu do czasu purpurą błyskawic i hukiem rzadkich jeszcze gromów, gdzieś, w oddali błyszcząca jasna, widna zorza świtu lepszych nadziei i lepszej przyszłości, by zgasnąć wkrótce na długo i nocą czarną, nieprzejrzaną, nieprzespaną nocą pokryć ojczyznę polską. Tym uroczystym, płodnym w nadzieje, świtem dalekim, tą zorzą szczęśliwych dni, zaróżowić zdołał ołowiane niebo polskie jeden z jej najlepszych, najrozumniejszych i najdzielniejszych synów. Nad Newą, w granitowych murach Petersburga, w mroźnej jego atmosferze kiełkować w tej dobie poczęły ziarna nadziei polskich. Tam więc po raz wtóry przenieść nam się wypada, iść w ślad za tą, słusznie przez historyka nazwaną „przędzą Penelopy”, rwącą w dzień osnowę w nocy utkaną, przypatrzeć się działaniu męża, który w złocistych salonach petersburskich nosił zagadkowe miano „sfinksa politycznego”.

Na podstawie wydań z lat 1892-1896
ze zbiorów Biblioteki Narodowej w Warszawie

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

Wydawca



Graf_ika
Usługi Wydawnicze
Iwona Knechta

Opracowanie graficzne i przygotowanie do druku

Graf_ika
Usługi Wydawnicze
Iwona Knechta

przy współpracy



Gopher u.r.p. Andrzej Famielec
www.gopher-urp.pl

Sprzedaż i dystrybucja
Graf_ika Usługi Wydawnicze Iwona Knechta
tel. 660 422 919; 22 625 13 94
www.graf-ika.pl; graf_ika@wp.pl

© Copyright by Graf_ika, 2020
Wszelkie prawa zastrzeżone

zapraszamy do naszego sklepu internetowego
www.sklep.graf-ika.pl



ISBN 978-83-65602-98-5

Warszawa 2020